

ŚWIADEK
KORONNY

JERZY LECHOWSKI

Spis Treści

CZEŚĆ PIERWSZA

- W BARWACH ARCYBRACTWA **12**
- RUCH – DYNAMO KIJÓW 5:0! **19**
- FENOMEN Z SOSNOWCA **28**
- FORSOWANIE „ŻELAZNEJ KURTYNY” **35**
- DIABELSKI TUZIN **46**
- GINĄ TALENTY **53**
- ZACZĘŁO SIĘ W POZNANIU... **59**

CZEŚĆ DRUGA

- KRÓL „RYCERZY WIOSNY” **72**
- UCZTA ZADŻUMIONYCH **82**
- BENEFIS CIEŚLIKA **93**
- „KICI” BYŁ WIELKI! **103**
- RADIOLOG CZY SELEKCYJNER? **112**
- BOJE TRENERÓW Z DZIENNIKARZAMI **126**
- INTERWIEW Z ROUSEM I KOPĄ **139**
- „PORTUGALCZYCY”... **154**
- DYSKWALIFIKACJA ZA... KUFEL PIWA **164**
- CHARLTON I BEST
W CIENIU LUBAŃSKIEGO **179**
- POLONIA BYTOM
Z PUCHAREM AMERYKI **191**
- OŚLIZŁO I JAROSIK
TAŃCZĄ KANKANA **206**
- ŻŁOTE GODY PZPN **213**

- POZYTYWISTA Z „CZUCIEM I WIARĄ” **224**
- PUCHAR ŚWIATA
NA SZKLANYM EKRANIE **232**
- EFFENDI KONTRA GRUBEŃKO **242**
- PRZYPADKI „PROFESORA” WEISSA **246**

CZEŚĆ TRZECIA

- SPÓR O DEYNĘ **253**
- POLSKI FINAŁ NA PRATERZE **267**
- ROCK AND ROLL W „KONGRESOWEJ” **275**
- BLASKI I CIENIE „WARIANTU RYZYKO” **286**
- W DRODZE PO OLIMPIJSKIE ZŁOTO **297**
- NARODZINY TYGODNIKA
„PIĘKA NOŻNA” **311**
- KANCEROWANIE LIGI **325**
- JASZYN CHWALI KOSTKĘ **334**
- REKONESANS W PORT-AU-PRINCE **345**
- GEST TRENERA W SUTANNIE **359**
- „BIAŁY PELE” W ROLI GOŁASA **372**
- HODOWCY SPRYCIARZY
I PASOŻYTÓW **386**
- KLĘSKA POD AKROPOLEM **399**
- SĄD NAD „SREBRNĄ DRUŻYNĄ” **408**
- PO GÓRSKIM BYŁ GMOCH **418**
- POWRÓT LUBAŃSKIEGO **431**
- SZOPKA MISTRZA MĘTRAKA **439**
- „GORĄCA LINIA” Z „BIAŁYM DOMEM” **455**
- BALANGA JUNIORÓW
NA TURNIEJU UEFA **466**
- ARGENTYŃSKIE FRUSTRACJE **476**
- „BANDYTA” Z MONTE CARLO **488**

● „AFERA” NA OKĘCIU	
I... DRESZCZOWIEC NA MALCIE	503
● TAJEMNICE	
HISZPAŃSKIEGO MUNDIALU	519
● EL PARTIDO	
NUMERO TREINTA Y OCHO	532
● PARSZYWY LOT	
Z BRĄZOWYM MEDALEM	546

CZEŚĆ CZWARTA

● ZAWODOWSTWO?	
PZPN – TAK! GKkFiS – NIE!	556
● EMPIRYZM	
KAZIMIERZA GÓRSKIEGO	567
● ANTEK W KABINIE PILOTA	577
● AWIONETKA Z HESEL DO TIRANY	583
● MEKSYKAŃSKA TAKTYKA	599
● ZABAWA W ARGONAUTÓW	615
● TAJNY RAPORT	624
● URODZINOWA GALA	636
● CZKAWKA „NAPOLEONA”	645
● WIECIE KOLATOR...	
SŁUCHAJCIE ŻELAZKO...	655
● TRENER PREZESEM PZPN	665
● ŚLEDZTWO	
W NOWOJORSKIM KONSULACIE	678
● KARA BEZ ZBRODNI	694
● PONURY JUBILEUSZ	707
● UMIZGI „MAGNATA”	713
● ARGUSOWE OKO PANA JANKA	724
● PODCIĘTE SKRZYDŁA ANIOŁA	741

CZEŚĆ PIĄTA

● JAK „DŻUMA” ALBERTA CAMUSA	765
● NIEDZIELE I ŚRODY... CUDÓW	776
● PO ENGELU BYŁ BONIEK	788
● DAWNYCH WSPOMNIEŃ CZAR...	796
● FAŁSZYWE „DIAMENTY”	804
● EWOLUCJA SYSTEMÓW GRY	819
● JEDNODNIOWI MILIONERZY	832
● FAWORYCI TRENERA STULECIA	842
● LIGA NA... ŻUŻLU	851
● PRZESTĘPCY ZRZESZENI	
PRZECIWKO NAM	861
● KODEKS PROFESORA LIPCA	873
● „PIŁKARSKI SENAT” Z MIODOWEJ	886
● STARZY CZY MŁODZI?	894
● OREŻ „CZWARTEJ WŁADZY”	896
● TO WIE TYLKO PIECHNICZEK?	905

POSTSCRIPTUM

● ZANIK SPOŁECZNEJ SYMETRII	914
● JANAS MARZYCIEL	922
● UPIĆ SIĘ WARTO...	931
● AUFWIEDERSEHEN,	
PANIE JANIE!	937
● ANEKS DO „RAPORTU” JANASA	943
● MEDALOWY REDAKTOR	950
● GRA W POKERA	958
● WYZNANIE BEENHAKKERA	965
● LISTKIEWICZ PRZEPRASZA	972
● WILKI I... ŻUBRY Z BIAŁOWIEŻY	976

∞ CZEŚĆ I ∞

FUTBOL ZNIEWOLONY

Coubertin na poligonie

Studenckie kopanie

Juniorzy za „żelazną kurtyną”

„Ała” przegrywa garnitur

P(łać) K(onduktorowi) P(ołowę)

Selekcjonerzy z... biura paszportów

Po czerwcu był październik

PZPN redivivus!

W rzesień 1953 był ciepły i pogodny, żywo przypominał ten pamiętny z 1939 roku. Lato też gorące. Już bez praktyk wakacyjnych i studenckich „rozkoszy” na akcjach żniwnych. Teraz biegaliśmy w kamaszach w krainie lasów i jezior warmińsko-mazurskich... Tam właśnie przebrano nas za żołnierzy. To finał trwającego trzy lata studium wojskowego. Wiedzieliśmy już, jak bronić się przed imperialistami i... amerykańską stonką ziemniaczaną. Teraz trzeba było to potwierdzić na poligonie. Bywało wesoło.

Pewnego razu na zajęciach politycznych harmider był niesamowity.

– Kto tak wrzeszczy?! – wściekał się dowódca uniwersyteckiej kompanii.

– To Balzac! – krzyknął ktoś z sali.

– Balzac, wstać!... Do raportu!

Wybuch śmiechu skwitował ten rozkaz.

– Obywatelu kapitanie, to niemożliwe! Balzac już dawno nie żyje...

W dziewiętnastym wieku był francuskim powieściopisarzem...

W Muszakach był też czas na sport. Najczęściej i najchętniej graliśmy oczywiście w piłkę nożną. W tej zabawie nie byłem gapami karmiony, przeto nic dziwnego, że nasz opiekun sportowy wytypował mnie do reprezentacji jednostki. I w tym momencie stałem się „świadkiem koronnym” pierwszego przestępstwa. Drużyna wojskowa z Muszaków grała wówczas bodajże w A klasie. Szło jej nie najlepiej, przegrywała mecz za meczem. Ktoś w sztabie jednostki wpadł na pomysł, aby wakacyjni żołnierze, mający pojęcie o futbolu, pomogli wygrzebać kulejący zespół z dołów tabeli. Na ratunek wezwano trzech studentów z warszawskiej „dziennikarki”, jednego „prawnika” i jednego „filozofa”. Zawieziono

chłopaków do Olsztyna. Wygrali. Piszę w trzeciej osobie, bo mnie tam nie było. Nagle odezwała się we mnie dusza barona de Coubertina: – „*Nie pojedę, to nie fair...Nie jestem uprawniony do gry! Zresztą, już w poniedziałek trzeba będzie zdać egzamin z wyszkolenia strzeleckiego.*”

Na chęci poszanowania zasady „fair play”, a to kłóciło się z interesem pułkowej drużyny, wyszedłem jak Zabłocki na mydle. Nie zdałem egzaminu ze strzelania!

– A wam jak poszło? – zde gustowany zapytałem Andrzeja Marondla i Tadeusza Sasa. – Zdaliście?

– Na piątkę! – zgodnie odpowiedzieli. – Egzaminator uściśnął tylko nasze dłonie, podziękował i życzył dalszych sukcesów w piłkarstwie i... zawodzie dziennikarskim.

– Czyście poszaleli? O nic nie pytał? Żartujecie...

– Nie bój nic, pomęczysz się, ale poprawkę zdasz... Szkoda jednak, że nie pojechałeś z nami do Olsztyna. Teraz mógłbyś się spokojnie klepać po brzuchu...

Do Warszawy wróciłem jak struty. Zły nastrój łagodziła treść nakazu pracy. Mam pracować w „Przeglądzie Sportowym”! Ostateczne rozstrzygnięcie miało jednak zapaść w gabinecie dyrektora III delegatury Zarządu Głównego RSW „Prasa”. Panem i władcą był tam towarzysz Podhorec, z wyglądu i sposobu wyrażania myśli, jakby nieco odbiegający od polskich norm. On też usiłował mnie egzaminować! Wyszedłem ze szkoły Adama Schaffa i Leszka Kołakowskiego oraz Edwarda Lipińskiego i Zdzisława Sadowskiego, przeto w filozofii i ekonomii nie znalazł na mnie haka. O prozie Fiodora Dostojewskiego i Lwa Tołstoja Podhorec miał jeszcze mniejsze pojęcie. Gustował w literaturze proletariackiej. Nade wszystko upodobał sobie powieść Fiodora Gładkowa

– może jedyną, którą przeczytał – „Cement”. Taki typowy socrealistyczny produkcyjniak...

– Znacie to, towarzyszu? – zapytał.

– Oczywiście! To była lektura obowiązkowa...

– Co wam się tam najbardziej podobało?

– Wątki erotyczne... Autor daje do zrozumienia, że aktywiści partii bolszewickiej też są żywymi ludźmi... Nie stronią od miłosnych rozkoszy...

Spojrzał na mnie z politowaniem:

– To wszystko? A gdzie walka klasowa i budowa komunizmu?... Tego nie dostrzegliście? Popracujecie w „Głosie Koszalińskim”...! Może tam dojrzejecie ideowo...

Prosto z Zarządu Głównego, mieszczącego się przy ulicy Bagateli, pieszo poszedłem aż na Żurawią, gdzie wtedy w kilku pokoikach gnieździła się redakcja „Przeglądu Sportowego”.

– Co pan taki bledziutki? – czule zapytał woźny Czesław Miszczyk.

Był to chłop, jak dąb, wysoki, z brzuszkiem i rumieńcami na twarzy. Dostojna postać! Odniosłem wrażenie, że jeśli gdziekolwiek i kiedykolwiek odrodził się humor okazjonalny i ludowe mądrości „Dzielnego wojaka Szwejka”, to właśnie w osobie naszego woźnego. Był stateczny, spokojny aż do bólu, na wszystko miał czas, tryskał przy tym optymizmem. Zwierzyłem się panu Czesiowi z moich kłopotów.

– W porządelu. Załatwi się...

Z przyzwyczajenia podrapał się po głowie, cmoknął, przełknął ślinę i podniósłszy palec wskazujący w górę, ceremonialnie artykułował swoje mądrości:

– Tak jest w każdym urzędzie – redaktorku. Ta cholerna biurokracja... Ale będzie dobrze. Chce pan pracować w „Przeglądzie”? Chce! Chce pana

zatrudnić szefunio Strzelecki? Chce... Ta będziesz tu chłopie pracował. Ja to panu mówię – Czesław Miszczyk, żołnierz Armii Andersa. Będzie miło... U nas ZMP-owcy lubią się zabawić... Raz nawet, po jakimś zebraniu, nieźle spili, a potem rozebrali, delegatkę ze Śródmieścia...

Kołowrotek wokół mojego zatrudnienia w „Przeglądzie” trwał do połowy września. Klamka zapadła w gabinecie Leszka Wysznackiego, wówczas instruktora w biurze prasy KC, później redaktora naczelnego w tygodniku „Stolica”. W „PS” pisał felietony pod pseudonimem Leonidas. Otrzymałem pierwsze zadanie. Sekretarz redakcji, Emilia Godlewska-Szczudłowa, babka czterdziestoletnia, mająca słabość do młodych chłopaków, skierowała mnie na skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Ronda jeszcze nie było, rozkopy, bałagan jak po potopie.

– Pracują tam junacy z SP i z OHP – powiedziała. – Zapytajcie, jak się czują w Warszawie i czy uprawiają sport. Tu, w stolicy i u siebie w domu... Ciepło to opiszcie!

Temat nie w moim guście, ale debiut udany. Powoli poznawałem zespół, nie mogłem jednak zidentyfikować autora „Przeglądu Wydarzeń Piłkarskich”. Któregoś dnia nieśmiało zapytałem:

– Który to jest ten redaktor Andrzej Jurski?

Ten i ów spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– To ty nie wiesz, że te felietony firmuje Jurek Zmarzlik? Pod swoim nazwiskiem w „Reflektorem po ringach” wychwalała tylko boks i nazywa to szlachetną walką na pięści. W piłce najważniejszy jest Grzesio Aleksandrowicz...

Akurat „pana Grzegorza” znałem już dość dobrze. Był przecież wybitnym sędzią piłkarskim. U schyłku roku akademickiego

1953 podpadłem redaktorowi na boisku Drukarza w Parku Skaryszewskim podczas meczu finałowego Uniwersytet – Politechnika o mistrzostwo stołecznych wyższych uczelni. W zespole PW grał mój kolega, niegdyś z tej samej klasy gimnazjum i liceum im. Bolesława Prusa w Skierniewicach, także futbolowy partner z VIS-u, HKS-u i z Unii, Andrzej Zelenay. Teraz był zawodnikiem Polonii Warszawa. Dziwiłem się, że ligowiec zabawia się w rozgrywki uczelniane. I jeszcze się przed nami popisuje! Poniosły mnie nerwy. Przy stanie 2:2 posłałem Andrzejowi wiązaneczkę wyrafinowanych przekleństw. Aleksandrowicz to usłyszał i usunął mnie z boiska. Zespół UW kończył mecz w „dziesiątkę” i... przegrał 2:3. Miałem wyrzuty sumienia.

W pracy red. Aleksandrowicz dyskretnie wypominał mi to „niesportowe zachowanie”. Był jednak tolerancyjny, miał niezwykle wrażliwe serce, wzruszał się, umiał przebaczać. Ale tylko i wyłącznie poza boiskiem! Tam był twardy i zdecydowany. W redakcji od początku obdarzył mnie sympatią i zaufaniem. W latach zniewolenia, kiedy każdą dziedzinę życia kształtowano na sowiecką nutę, narzucano wzory i praktyki obce polskiej tradycji i przywiązaniu do swobód obywatelskich, nie było to łatwe. Wokół rodziły się podejrzenia. Wiedziano – i tego nie ukrywano – że w każdym zakładzie produkcyjnym, urzędzie, no i oczywiście w redakcji – funkcjonowała „spółdzielnia ucho”. W „PS” też mieliśmy takich gagatków. Mnożyły się rusycyzmy, stąd u nas w miejsce pojęcia „zebranie redakcyjne” pojawił się neologizm „letuczka”.

Pracowaliśmy i pisaliśmy pod dużą presją polityczną. Niełatwo było płynąć pod prąd. Krytyka była mocno tonowana już w czujnym kierownictwie redakcji. Dygnitarze z GKKF byli z zasady nietykalni. Jakąś drobną łatkę można było przypiąć wyłącznie

urzędnikom niższego szczebla. Dyrektorom departamentu już nie! Pierwszeństwo miały teksty te z gatunku „po linii i na bazie”. Tylko we własnym wąskim gronie mogliśmy przy kuflu piwa ubolewać, że kluby zastąpiono kołami sportowymi i pozmieniano ich nazwy. Wisła była wówczas Gwardią, Ruch Unią, Polonia Warszawa i Lech Poznań Kolejarem, ŁKS Włókniarzem, Cracovia Ogniwem, Warta Związkowcem, Legia CWKS-em, zaś AKS Chorzów, Odra Opole i Lechia Gdańsk Budowlanymi.

Autorytarna władza głosiła równość społeczną, ale nawet w sporcie jej nie było. Zlikwidowano związki sportowe. Powołano na obcą modłę pionierów i zrzeszenia. Jedne były uprzywilejowane, inne tylko tolerowane. Znane i zasłużone kluby dyskryminowano. Piłkarską ekstraklasę uznano za przeżytek burżuazyjny. Prześladowano działaczy, wielu więziono, zsyłano na Sybir. W PZPN, zanim przekształcono go w Sekcję Piłki Nożnej GKKF, pozbawiono prezesury generała Władysława Bończę-Uzdowskiego. W Komitecie fizyki były wysoki oficer bezpieczeństwa Apolinary Minecki, tak skwitował zdymisjonowanie generała:

– Dajmy mu na pożegnanie radio, niech sobie starzec posłucha Londynu...

Pojęcia „leśne dziadki” wówczas jeszcze nie znano. Razić jednak musiało określenie „starzec”. Generał miał przecież niewiele ponad 60 lat, a Jego zasługi dla PZPN były niepodważalne! **Władysław BOŃCZA-UZDOWSKI** był „prezesem dwóch epok”. Pierwsza, dość długa, przypadła na lata międzywojenne, natomiast druga, już znacznie krótsza, na czas powojennych zniszczeń i odbudowy. Obie te epoki były wyjątkowo trudne dla polskiego piłkarstwa. Generał wyszedł z nich obronną ręką.

Przewycięzył organizacyjne i szkoleniowe niedostatki, niedobory finansowe i starał się wzbogacić wiedzę większości działaczy o futbolu. Na przekór tym trudnościom tworzył kolejne okręgowe związki piłki nożnej. Był z tego dumny. Nie budował domków na lodzie. Umiejętnie pozyskiwał i łączył działaczy dla wspólnej sprawy. Prasa była po jego stronie.

W pryncypiach stanowczy, twórczy w dyskusjach, imponował siłą perswazji i argumentów. Wygrał przede wszystkim dwie bitwy o ligę: w roku 1928 pozyskał do niej PZPN i Cracovię, a w 1947 przekonał ówczesnych propagandzistów, że liga to nie „przeżytek burżuazyjny”. Stworzył zręby przemysłanej pracy z młodzieżą. Dostrzegł w krzewieniu sportu elementy obywatelskiego wychowania. Wierny żołnierskiej służbie i honorowym powinnościom oficera pielęgnował te wartości również w piłkarstwie. Przybliżał w tym dziele młodzieży ideały angielskiego generała Roberta Baden Powella, twórcy światowego skautingu.

Nasz prezes – generał był nieprzejednany wobec jednostek niezdyscyplinowanych. Kierując się tymi zasadami w roku 1936 usunął z reprezentacji olimpijskiej Ernesta Wilimowskiego. Po wojnie nadal był promotorem cnót moralnych. Ale wtedy już było to w modzie, przypominało walkę Don Kichote’a z „wiatrakami”. Nadszedł bowiem czas dyktatury proletariatu. Zlikwidowano kluby i związki sportowe, triumfowała odgórnie sterowana biurokracja i obowiązywał kult wartości o zgoła innym wydźwięku. Władysław Bończa-Uzdowski musiał odejść. Ciężała na nim legionowa przeszłość, generalskie szlify i... własne zdanie.

W BARWACH ARCYBRACTWA

Wkrótce redakcję z Żurawiej przeniesiono w Aleje Szucha, wtedy I Armii Wojska Polskiego. Niewielka poprawa, nadal tłoczno, jak w kołchozie. Od początku pracowałem w jednym pokoju z Grzegorzem Aleksandrowiczem i Zygmuntem Weissem. Staralem się ich przekonać, że moje miejsce jest przy "przeładowej" piłce nożnej. Kierownictwo widziało to inaczej, bo najpierw starano się mnie uszczęśliwić pisaniem o hokeju na lodzie (przez jakiś czas prowadziłem rubrykę w „Pogoni za krążkiem”), a nawet o boksie. Jak to zmienić? Napisałem polemiczny materiał pod tytułem: „NIE WYPACZAJMY SENSU ROZGRYWEK O PIŁKARSKI PUCHAR POLSKI”. Tekst ten przekazałem bezpośrednio Jerzemu Zmarzlikowi.

– *Dlaczego to takie długie?* – zapytał.

Była to typowa reakcja zastępcy redaktora naczelnego. Pomysły w pracy miał wspaniałe, pisał błyskotliwie, ale chęci i chyba także talentu do adyustacji tekstów innych autorów niewiele. Był z natury złośliwy, co drugą kartkę rękopisu wyrzucał do kosza. Już raz po dowcipnym artykule o hokeju na lodzie mnie też nie dał żadnych szans:

– *To się nadaje do „Szpilek”, a my jesteśmy poważną gazetą...*

Czy taki sam los spotka moje uwagi o Pucharze Polski? Tym razem Zmarzlik przeczytał każdą kartkę i mile zaskoczył:

– Jesteście odważni – powiedział. – Polemizujecie z redaktorem Maliszewskim ze „Sportu” Katowice. Wysoko sięgacie...

Red. Tadeusz Maliszewski był autorem komentarza „**Udał nam się Puchar Polski**”. On chwalił niespodzianki, natomiast ja napisałem, że wszystko ma swoje granice. Nie może klubik z LZS-u wygrywać z mistrzem Polski. Wielcy bimbają sobie z tych rozgrywek! Co na to lider „Sportu”? Przyjął tę różnicę zdań spokojnie, wyraził nawet chęć poznania mnie. Poczuję się zaszczycony, wszak zaraz po wojnie Maliszewski był redaktorem naczelnym „Przeglądu Sportowego”, a w światku piłkarskim traktowano go jak rabina w gminie żydowskiej. Uważano, że wygłasza prawdy absolutne.

Właściwie nazywał się Narcyz Suessermann, pochodził ze Lwowa, gdzie w czasie okupacji sowieckiej był kierownikiem drużyny piłkarskiej Spartaka. Grał tam Kazimierz Górski. Spartakowcy zwracali się do Suessermanna per „panie Iciu”. We Lwowie sklepy spożywcze były wtedy puste, brakowało jedła i napoju, ale „pan Iciu” w sobie tylko wiadomy sposób otrzymywał coraz to lepsze i większe deputaty. Był sprytny, miał głowę do handlu, lubił przy tym piłkę nożną i dobrze ją znał. Po wojnie początkowo mieszkał w Łodzi, a potem przez długie lata w Warszawie. Dość często opisywaliśmy te same mecze, „pan Iciu” w „Sporcie”, ja w „Przeglądzie”. Wdarłem się do arcybractwa, tak wtedy tu i ówdzie nazywano dziennikarstwo sportowe.

Redaktor Aleksandrowicz postawił przede mną dwa zadania: najpierw muszę zdać egzamin sędziowski, a potem dobrze poznać trenerów i stale wzbogacać swoją wiedzę o futbolu. Po studiach dziennikarskich na UW trochę polizałem tych mądrości na rocznej specjalizacji w AWF, więc z ochotą podjąłem wyzwanie. Z przepisów gry w piłkę nożną egzaminowali mnie dwaj przyjaciele redaktora, Józef Komorowski i Alfred Nowakowski

z Warszawskiego Kolegium Sędziów. Na kursach sędziowskich w Jeleniej Górze i Wiśle pogłębiałem tę wiedzę. Jednak z dużo większą rozkoszą zgłębiałem tajniki piłkarskiego szkolenia. Byłem pilnym słuchaczem na każdej trenerskiej naradzie, studiowałem wszystkie dostępne książki na ten temat.

W lutym 1954 roku na jednym z zebrań Sekcji Piłki Nożnej GKKF osobiście poznałem: Wacława Kuchara, Mieczysława Balcera, Ryszarda Koncewicza, Wacława Pegzę, Tadeusza Forysia, Michała Matyasa, Artura Woźniaka, Zygmunta Jesionkę... Ten ostatni wydał mi się w tym towarzystwie osobą wtedy najwyżej cenioną i szanowaną. Był odważny i pryncypialny w ocenie sytuacji: *„Zły styl pracy sekcji piłkarskiej przy GKKF – powiedział – wpływa demobilizująco na aktyw terenowy. Braki w metodyce szkolenia, chałupnictwo trenerów i niewłaściwa gospodarka materiałem ludzkim spowodowały zahamowanie rozwoju poziomu naszej piłkarskiej czołówki i klas średnich”*.

Była to na owe czasy druzgocąca krytyka władz fizykultury. Magister Jesionka w formie nieco zawołowanej dał do zrozumienia, że w GKKF pracują piłkarscy ignoranci, ludzie, którzy z przyczyn doktrynalnych zaszeregowali piłkę nożną do czwartej kategorii sportu w Polsce. To właśnie oni, działacze rangi Karola Bergtala z Warszawianki, Władysława Wilczyńskiego z robotniczego „Sarmaty”, Franciszka Gęsiora uczestnika bitwy o Anglię czy też doktora Józefa Lustgartena – jednego ze współzałożycieli Cracovii, skazali na zapomnienie, a funkcjonariusze MBP na katorgę. Zastąpiono ich co najwyżej trzecim garniturem urzędasów z zaciągu „nie matura lecz chęć szczerą”...

W Gdańsku na wspólnym zebraniu Rady Trenerów i Komisji Młodzieżowej debiutował w roli szkoleniowca Kazimierz Górski. Przed

rokiem jeszcze strzelał bramki dla Legii, a teraz po kursach w Krakowie, miał już uprawnienia trenera II klasy. Ówczesnym tuzom futbolu, starym wyjadaczom w sztuce szkolenia, przedstawił nowatorską wizję pracy z młodzieżą już w wieku 12-13 lat. Większość trenerów z uznaniem przyjęła propozycje Górskiego, tylko Czesław Krug, który był wówczas naczelnikiem Sekcji Piłki Nożnej GKKF, miał pewne wątpliwości:

– Trzeba te wszystkie uwagi skierować do GKKF i skonsultować z trenerem Hajdu, wszak to on odpowiada za całość szkolenia w Polsce.

Krugiem kierowała nie tyle zawodowa lojalność, ile zależność służbowa od wiceprzewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, Pawła Procka. Była to postać równie barwna, co komiczna, ale futbolowi przychylna, w przeciwieństwie do ogromniej masy urzędników z Alei Róż. Procek miał ogromne zaufanie do trenerów z Węgier. Nic dziwnego, wtedy całe piłkarstwo węgierskie uchodziło w Europie za wzór wszelkich cnót. Osiągnięcia klubowe „wielkiego Honvedu” Budapeszt i „cudownej jedenastki” Gustava Sebesa były przecież imponujące, a metody szkoleniowe godne naśladowania. Cały piłkarski świat był zwłaszcza pod wrażeniem wygranej Puskusa i spółki z Anglią na Wembley 6:3. Wątpliwości musiał jednak budzić gangsterski u Madziarów styl kaptowania zawodników. Rozbijano inne kluby, by zbudować potęgę drużyn wojskowych i milicyjnych. Pełne naśladownictwo złych praktyk przeniesionych z ZSRR było tam jeszcze większe, niż w Polsce.

Przed Olimpiadą w Helsinkach sprowadzono do Polski Tibora Kiralyego, a zaraz po nim właśnie Nandora Hajdu. Obaj byli trenerami drugiego rzutu. Ten drugi, pulchny i dość leniwy zwykł wygłaszać swoje

racje wyłącznie ex cathedra. Do pracy na boisku nadawał się tak, jak wół do karety. Rozruszał jednak pracę z młodzieżą. Co jakiś czas organizował złoty juniorów z całej Polski. Dla mnie była to nowość i dobra szkoła selekcji. Głównie w Warszawie na boisku Marymontu i Goplany w Inowrocławiu uczyłem się odróżniać prawdziwy talent od tępawego kopacza piłki. Hajdu, najczęściej z dymiącym cygarem w gębie, wydawał polecenia naszym trenerom z wygodnego fotela. Miał kilku polskich asystentów, z reguły jednego z nich posyłał po piwo i... „Przegląd Sportowy”. Chciał wiedzieć, co tam o nim piszą.

Trener Tadeusz Foryś lubujący się w porównaniach uważał, że Węgrzy nieudolnie pozowali na muszkieterów z czasów Ludwika XIII i kardynała Richelieu. Trzymali ze sobą, jeden był gotów wspierać drugiego. Ale pomoc naszemu futbolowi nie potrafili. Magister, jak zwykle z humorem i pewną dozą ironii, scharakteryzował ich piłkarskie wyczyny. Byli zwykłymi kuglarzami! Dokonania Kiraly’ego i Hajdu były więc mierne. Jeszcze gorzej od nich zaprezentował się w Polsce trzeci z tych piłkarskich muszkieterów, Istvan Seidl-Szedler. To był dopiero dyletant! Opowiadał o futbolu i jego historii bajki jakby żywcem wzięte z wyobraźni Hansa Christiana Andersena.

... „Dawno, bardzo dawno temu na włoskim dworze był król, który miał dzieci. Dzieci te miały blade liczka. Król zawołał medyków, ale oni nie wiedzieli, dlaczego królewskie dzieci mają blade liczka. Pewnego razu dzieci poszły na łąkę, tam leżał jakiś kamyk i dzieci zaczęły go kopać. Wróciły do pałacu, a król patrzy, że mają rumiane liczka. Król zadzwonił po doktorów (ktoś z sali wtedy krzyknął – chyba zębami), oni popatrzyli na dzieci i mówią – to jest dobre! Wtedy król nakazał, żeby służba dała dzieciom wypchany świński pęcherz, to one będą go kopały. No to dzieci

bawiły się tym pęcherzem na łące i już zawsze miały różowe liczka. Na tym dworze byli dwaj angielscy żołnierze. Potem pojechali do domu i tam też kopali świński pęcherz. I to jest właśnie ten początek angielskiego futbolu”...

Rok 1954 był przełomowy w europejskim i polskim piłkarstwie. Powstała UEFA. Nie od razu przystąpiła do niej nasza federacja. Kongres założycielski Europejskiej Unii Piłkarskiej odbył się w Bazylei w czasie mistrzostw świata w Szwajcarii. Przedstawiciela SPN GKKF tam nie było. Od Zachodu również w piłkarstwie dość długo dzieliła Polskę „żelazna kurtyna”. Sekcję piłkarską Głównego Komitetu Kultury Fizycznej nieoficjalnie reprezentowali w Bazylei działacze z Czechosłowacji. Na tymże Kongresie był jednak (w roli sprawozdawcy) red. Grzegorz Aleksandrowicz. On to właśnie – po powrocie z mistrzostw świata – dość długo i szeroko opowiadał mi o tym historycznym wydarzeniu. Był też jednym z tych, którzy przyspieszyli przystąpienie SPN GKKF do UEFA. Wokół „zimna wojna”, podział kontynentu na dwa wrogie obozy, a tu tak spektakularna symbioza. Nasze piłkarstwo, mimo barier politycznych, zniewolone przez narzucony system, biurokratów i wyznawców sportowego centralizmu, akurat w tej materii już nie stroniło od Europy.

Zgłoszono reprezentację do mistrzostw świata w Szwajcarii. Los przydzielił nam w eliminacjach reprezentację Węgier. Strach obleciał tchórzliwych decydentów z GKKF, w obawie przed kompromitacją nakazali wycofanie zgłoszenia. Do akcji wkroczyli natomiast entuzjaści gospodarki planowej. W przemyśle, rolnictwie, budownictwie i handlu realizowano właśnie „sześciolatkę”, teraz podobnym pomysłem postanowiono uszczęśliwić piłkę nożną. Uchwalono „futbolową

czterolatkę”. Potraktowano futbol jak zakład produkcyjny. Do roku 1958 dogonimy Węgrów i zbudujemy drużynę na miarę mistrzostw świata w Szwecji. Na półmetku tych utopii zrezygnowano jednak z udziału w Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne. Tchórzostwo okazało się silniejsze od marzeń.

Dla mnie osobiście rok 1954 był udany. Pisałem już sprawozdania z rozgrywek I i II ligi. Poznałem czołowych trenerów. Po rekordowym w Budapeszcie zwycięstwie reprezentacji Węgier nad Anglią 7:1 na dobre zaprzyjaźniłem się z Kazimierzem Górskim. Był on jednym z obserwatorów tego niecodziennego wydarzenia. Opowiadał, *„jak to Węgrzy pod wodzą Puskasa zagrali Wyspiarzom czardasza”*. Zwierzenia młodego trenera ukazały się oczywiście na łamach „PS”. Wkrótce przy warszawskim piwku i żółtym serze z mieloną papryką przeszliśmy na „per ty”. Spotykaliśmy się coraz częściej, umacniając naszą zażyłość również innymi trunkami, głównie ulubionymi przez Kazia „harcerzykami”. Później była też „Wyborowa”, bo dołączył do nas Wiesław Motoczyński.

„Przegląd Sportowy” pierwszej połowy lat pięćdziesiątych nie był redakcją abstynentów, tam nikt „nie wylewał za kołnierz”. Redakcyjne panienki i nawet leciwa Ela Cungebiegle posługująca się pięcioma językami, chętnie uczestniczyły w kawalerskich wieczorkach. Kiedy w redakcji pojawił się Zbyszek Mejer, sporządził nawet „dziesiątkę” najbardziej trunkowych. Ubolewał, że w tym swoistym rankingu nie zajął premiowanego miejsca. W ścisłej czołówce, był natomiast Artur Cendrowski, u nas najpierw szef „działu listów”, a później „informacji”, zaś w świecie sportowym – prezes Polskiego Związku Tenisa Stołowego. Z racji bliźniaczego podobieństwa do kanclerza RFN nazwaliśmy go „Adenauerem”. Mistrz w redakcyjnej robocie. Nawet pod gazem szybko

zbierał sportowe wyniki i jednym palcem błyskawicznie wystukiwał na maszynie wszystkie tabelki.

W Bydgoszczy w meczu Gwardia – CWKS swoją pierwszą bramkę w lidze zdobył Lucjan Brychczy. W redakcji jeszcze nieznany, więc w moim sprawozdaniu znad Brdy fatalnie zniekształcono jego nazwisko. Brychaj... W sierpniu legionista debiutował w reprezentacji, a ja w „PS” w roli sprawozdawcy z meczu międzypaństwowego. Opisałem historię **„Czterech strzelonych i wielu niestrzelonych bramek”** podczas meczu Polska A – Bułgaria A 2:2. Obie bramki dla Polski zdobył Kazimierz Trampisz. A dwudziestoletni debiutant Brychczy? Zastąpił po przerwie Józefa Kokota z ŁKS i zagrał tak dobrze, iż przez ponad następnych 15 lat bez niego trudno było sobie wyobrazić reprezentację.

W lidze grano, tak jak teraz, systemem dwurundowym, ale odległym od form zachodnio-europejskich. Obowiązywał cykl „wiosna-jesień”. Niespodziewanie mistrzem Polski została Polonia Bytom. Od początku rozgrywek nieco więcej szans na końcowy sukces miały jedenastki Ruchu Chorzów i odrodzony ŁKS, ale końcowy scenariusz był zaskakujący. W decydującym meczu Ruch tylko zremisował z Gwardią i tytuł powędrował do Bytomia. Znowu górą był Ryszard Koncewicz. Przed dwoma i trzema laty triumfował w Chorzowie, teraz sprawił prezent swoim ziomkom ze Lwowa.

Do zmiany klubu zmusiły Koncewicza przede wszystkim przepisy, a nie tylko sentyment do Polonii. Kadrowiec Huty Batory był nieubłagany: – *U nas nie ma dla trenera odpowiedniego etatu*. Kolejne mistrzostwo Polski ucieszyło Koncewicza, ale nie zaspokajało ambicji. Chciał być trenerem reprezentacji. Blisko kadry był już w roku 1952, jednak wtedy dużo więcej do powiedzenia miał Węgier Tibor Kiraly.

Poza tym ówczesne władze sportu nie miały do Koncewicza zaufania. Na Olimpiadę do Helsinek, jako drugi trener, pojechał Michał Matyas. Różne były ich piłkarskie „polskie drogi”. W roku 1939 „Fajka” wyróżnił się bohaterstwem na szanłcach Warszawy, otrzymał za to Krzyż Walecznych, potem był w niemieckiej niewoli, natomiast „pan Michał” grał w latach czterdziestych w Dynamie Kijów. Miał więc „lepsze papiery”, niż Koncewicz.

RUCH – DYNAMO KIJÓW 5:0!

Mistrz Ukrainy przez wiele lat pozostawał w cieniu klubów moskiewskich: Dynama, Torpeda, CSKA, Lokomotiwu i przede wszystkim Spartaka, ulubieńca kibiców z całej Rosji. Także Dynamo Tbilisi z Antadze i Gogoberidze miało większe chody u komunistycznych dyktatorów. Dbał o to szef NKWD, Ławrientij Beria. Dopiero po śmierci Josefa Wissarionowicza i ścięciu Berii również kijowskie Dynamo wyruszyło w świat. Następowoło powolne przegrupowanie sił w „sportowej rodzinie radzieckich narodów”. Dynamo debiutowało w Bułgarii. Oglądał je tam red. Jerzy Zmarzlik i przed występami Gruzinów w Polsce dmuchał na zimne: *„Widowiska mogą być bardzo ładne, o co na pewno postarają się goście, ale wyniki naszych drużyn chyba znowu nie będą najlepsze.”* Oprócz Gwardii, faworyzowanej wtedy ponad wszystkie dopuszczalne normy, z „reprezentantem radzieckiego futbolu” zmierzył się Ruch Chorzów.

Nigdy nie byłem klientem Państwowej Loterii, ale nagle poczułem, że los mi sprzyja. Pojadę do Chorzowa na mecz Ruch – Dynamo,

jako specjalny wysłannik „Przeglądu Sportowego”. W tamtych czasach było to wyróżnienie wyjątkowe, bo gdzie mi tam było do Aleksandrowicza lub Zmarzlika. Nie dowierzałem szczęściu. A może chcą mnie „wsadzić na minę”? Ruch dostanie niezłe baty i wtedy ja będę musiał tłumaczyć się przed Czytelnikami. Pojechałem do Chorzowa z duszą na ramieniu, ale do Warszawy wróciłem z wieńcem laurowym na głowie. Ruch rozgromił Dynamo Kijów w rozmiarach wręcz niebotycznych – 5:0! Odżył duch w narodzie. Może wreszcie piłka nożna przestanie być sportem czwartej kategorii? Odczuwało się tę dyskryminację także na łamach „PS”. Wszystkie sprawozdania z I i II ligi, niekiedy też komentarze i zapowiedzi, tabele i różne bilanse ubijano, jak śledzie w beczce, na jednej stronie gazety. Bezsensowna polityka.

Mecz w Chorzowie odbył się pierwszego listopada 1954 roku, dokładnie w dniu moich 25 urodzin. Ruch sprawił mi prezent niecodzienny. Odwdziczyłem się „Niebieskim” entuzjastyczną relacją: **„Wielki dzień mistrza Polski!”**, **„Porywająca gra trójki Cieślik – Suszczyk – Alszer”**. Po powrocie z Chorzowa, w redakcji skromnie świętowałem swoje ćwierćwiecze. Koledzy z działu sportu, którym kierował „pan Grzegorz” znając moją słabość do literatury francuskiej, przekazali w prezencie „Dzieła wybrane” Honoriusza Balzaca. Życzenia z podpisami: Grzegorza Aleksandrowicza, Artura Cendrowskiego, Zygmunta Głuszka, Jerzego Mrzygłoda, Magdaleny Niepokojczyckiej, Eugeniusza Warmińskiego, Jana Wojdygi i Zygmunta Weissa, były budujące. *„Abyś został w przyszłości naczelnym redaktorem wydawnictwa piłkarskiego”*. Wizjonerzy?...

Drugi mecz Dynama, tym razem z Gwardią Warszawa zakończył się wynikiem remisowym. Na Stadionie Wojska Polskiego pojawił się Tolek Komuda, bokserskie „dziecko Warszawy”, ale też fanatyk futbolu.

Zaskoczyła mnie oryginalna wskazówka, jakiej przed grą udzielił młodziutkiemu Lewandowskiemu.

– Bolek! Ty się „ruskich” nie bój... Podejdz do piłki, uderz i... odejdz! Jak na ringu...

Na Śląsku w niektórych klubach dość długo grę w piłkę nożną traktowano wyłącznie jako hobby. Kłopoty w pracy mieli nie tylko trenerzy, także piłkarze. W AKS-ie Chorzów, lokalnym rywalu Ruchu grał jeden z lepszych w Polsce prawych obrońców, Henryk Janduda. Pracował w Chorzowskim Zjednoczeniu Węglowym. Jak długo? Dopóty, dopóki ówczesny kapitan związkowy Zygmunt Alfus nie powołał chorzowianina do kadry. Zgrupowania, gry kontrolne, wyjazdy na mecze międzypaństwowe siłą rzeczy kolidowały z pracą. Cena tej sprzeczności interesów była wyjątkowo duża. Zaraz po udanych w roku 1948 meczach reprezentacji w Sofii z Bułgarią (1:1) i z Czechosłowacją w Warszawie (3:1), wyrzucono Jandudę z pracy. Kilka lat później AKS spadł z I ligi.

W Chorzowie zbyt długo upajano się przeszłością, latami czystego amatorstwa. Tymczasem radykalnie zmieniał się wizerunek futbolu i układ sił w kraju. ŁKS wzmocniony rezerwistami CWKS Warszawa, Gwardia pod skrzydłami opiekuńczymi MSW i MBP, a Legia Ministerstwa Obrony Narodowej, na progu sezonu 1955 były wyżej notowane. Nad Brynicą pojawiła się dotowana przez lokalny przemysł ambitna Stal, zaś w Zabrze powoli z cienia wyłaniał się wszechpotężny Górnik. Nasza liga rosła w siłę. Z racji możliwych patronów wzrosły przede wszystkim akcje obu klubów warszawskich. Jednak Gwardia nadal nie miała własnego boiska; mecze najczęściej rozgrywała na stadionie Skry przy ulicy Wawelskiej i na Legii przy Łazienkowskiej.

Trwało zauroczenie węgierskimi trenerami. U schyłku 1953 roku w CWKS podziękowano za pracę Wacławowi Kucharowi i na początku 1954 zatrudniono Janosa Steinera. Na krótko adres zmienił też Kazimierz Górski. Wrócił jednak do Legii, bo na drugim krańcu Warszawy przeraziły go nadmierne skłonności biesiadne zawodników Marymontu i brak na to reakcji ze strony kierownictwa klubu. Dyplom trenera II klasy umożliwił Kaziowi pracę u boku Węgra. Znał już metody szkoleniowe Koncewicza, Matyasa, Forysia, Artura Woźniaka, wiedzę teoretyczną Zygmunta Jesionki i Mieczysława Balcera, a także nieudolne przeszczepianie na nasz grunt pomysłów pociesznego Nandora Hajdu. Teraz niecierpliwie czekał, co pokaże Janos Steiner.

CWKS miał dobrą drużynę już w roku 1953, występowali w niej między innymi: Edward Szymkowiak, Jerzy Orłowski, Marian Olejnik, Zdzisław Bieniek, Józef Wieczorek, Wacław Sasiadek, Edward Jankowski, Henryk Szymborski i Janusz Gogolewski, ale furory w lidze nie zrobili. Wypisz, wymaluj grali tak, jak ich wielcy poprzednicy z lat trzydziestych: Martyna, Ziemian, Ciszewski, Nawrot, Łańko... Traktowali mecze wybiórczo. To sprawiło, że pisano o nich, iż są *„drużyną fochów, nastrojów, grymasów, świetnie wyszkolonych wyrobników piłkarskich, którzy raczej... odrabiają pańszczyznę”*. Ich następcy z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych mobilizowali się tylko na mecze z Ruchem i Gwardią Warszawa. Łatwość, z jaką Legia pozyskiwała wówczas zawodników (teoretycznie każdy mógł być powołany do wojska), oburzała cywilne kluby bezceremonialnie okradane z najbardziej uzdolnionej młodzieży. Mnożyły się protesty. Najczęściej przydawały się psu na budę...

Mentalność zwerbowanych do Legii zawodników wyraźnie odbiegała od norm uważanych w wojsku i w sporcie za normalne. Większość z nich bimbała sobie ze szkolenia, obijała się na treningach i w czasie gry. Nacisk kładziony we wszystkich krajach ówczesnej „demokracji ludowej” na dynamiczny rozwój „piłki nożnej w mundurach” u nas nie przyniósł spodziewanych efektów. W pierwszym powojennym dziesięcioleciu z drużyn tworzonych na rozkaz tylko Honved Budapeszt i Partizan Belgrad wykorzystały wszystkie możliwości. Niepowtarzalny gwiazdozbiór! W czerwcu 1946 roku dwukrotnie oglądałem drużynę Partizana na Stadionie WP w meczach z Cracovią i wzmocnioną krakusami Legią. To, czym uraczyli kibiców głównie Czajkowski, Bobek i na zero ogolony Simonowicz, ukazało jeszcze u nas nieznaną głębię futbolu. To byli artyści na boisku. Maestria techniczna! Pokrzykiwano: – *Trzymajcie tego tysego! Zrobi Legii kuku!... To szatan, nie piłkarz!*

Takich piłkarzy Janos Steiner w Polsce nie miał, natomiast w Budapeszcie niejako na co dzień widział jeszcze wspanialszych: Puskasa, Kocsisa, Bozsika, Czibora, Hidegkuttiego. Budując zespół Legii wybrał drogę nieco inną, niż jego poprzednik Wacław Kuchar. Ze starego składu zostawił tylko Edwarda Szymkowiaka i Jerzego Orłowskiego. Nowy zaciąg rozpoczął od przeglądu wszystkich drużyn piłkarskich przy jednostkach i klubach wojskowych. Los mu sprzyjał. Akurat wtedy ze zlikwidowanego OWKS Kraków trafili do Legii: Edmund Kowal, Jerzy Słaboszowski, Marcei Strzykalski i Robert Grzywocz, Jerzy Woźniak z Kadry Rembertów, a z jednostki łódzkiej Ernest Pohl.

Z poboru doszli Antoni Mahselli i Henryk Kempny z Polonii Bytom oraz Zygmunt Pieda z Ruchu Chorzów. Dołączył do nich

Henryk Grzybowski ze stołecznego Targówka . Sama młodzież. To już była drużyna na miarę mistrza Polski. A gdy jeszcze Pohl i Kowal namówili Lucjana Brychczego na grę w Warszawie, narodził się team, jakiego w przeszłości na Łazienkowskiej jeszcze nie było. Tłustawy Steiner z zadowolenia klepał się po brzuszku, ale jeszcze nie zakończył selekcji. Zrezygnował z Grzywocza, bo po intensywnym treningu „bolały go mięśnie”, ale zapragnął, by w CWKS-ie pojawił się Gerard Cieślik. Zgłosił się do prezesa klubu generała Stanisława Popławskiego i zaraz po zamknięciu drzwi gorączkowo wyjaśniał cel wizyty:

– Herr Generale, Czeszlik muss Legia spielen!...

Zaskoczony prezes milczał, dopiero po chwili z trudem wyksztusił:

– Ależ panie trenerze, Cieślik gra w Ruchu, to słynny klub z Chorzowa, wielokrotny mistrz Polski. Cieślik jest jego kapitanem, do nas nie przyjdzie, to nie możliwe... Zresztą, na Śląsku jest Markiewka...

Węgier niewiele z tego zrozumiał, utożsamiał Markiewkę, znanego przodownika pracy i posła na Sejm z „marchewką”. Nie dał więc za wygraną:

– Herr Generale, marchewka das ist Gemuese (jarzyna)... Czy w Warszawa nie ma marchewka? Jeszli Czeszlik lubi Gemuese, to i u nas moszna mu kupicz... ta marchewka.

Opowieść o próbie skaperowania do Legii Cieślika i przebiegu rozmowy trenera z generałem – długo krążyła po Stadionie Wojska Polskiego i nietylko tam. Najchętniej o tym humorystycznym dialogu wspominał Jurek Słaboszowski na grupowaniach kadry, a także Franciszek Głowacki, Walery Kisieliński i Kazimierz Górski na zebraniach Rady Trenerów. Wszyscy z uwagą śledzili metody szkoleniowe Steinera: „ładowanie akumulatorów”, niektóre tricki techniczne zapożyczone z Honvedu i rozwiązania

taktyczne. Te jednak traktowano z lekkim przymrużeniem oka. Zabawne było zwłaszcza przydzielanie przez Węgra indywidualnych zadań dla zawodników. Bardziej skomplikowane przekazywał drużynie przez Jurka Słaboszowskiego i Henia Kempnego, a te pozornie prostsze zagrywki w łamanym języku niemieckim sam tłumaczył:

– HynieK (Kempny) – das ist Hidegkutti... Ernest (Pohl) das ist Puskas... Epi (Kowal) – das ist Kocsis. Co kaszde robicz? – Epi pikum – pakum i szibkie labda (piłka) do HynieK. Kempny duszo mozsoly, rusza sze i odda pilka Epi. Kowal pikum-pakum, rata – tata, da labda Ernest i Pohl duszo bramka schiessen. Janos dzienkuja i nie ma Kopfschmerzen (ból głowy).

Asystentów Węgra i piłkarzy zaskoczyło pominięcie przy tym „pikum-pakum” i „rata-tata” udziału Lucjana Brychczego. Pytali więc zdziwieni:

– A Kici... Co ma robić Kici?

– Ech, Kici – wzdychał Steiner – Kici das ist Kici. Bardzo dusza futbol...

Rozgrywkom ligowym 1955 roku szczególnego uroku nadawała właśnie Legia, a w niej przede wszystkim Brychczy. Już w wiosennych derbach Warszawy (5:1) zdobył cztery bramki, a nieco później w meczu Polonia Bytom – CWKS (0:3) ujął swoją grą nawet Ślązaków. Tamtejsza prasa rzadko była przychylna Kiciemu, ale po jego przepięknym występie w Bytomiu pisała: *„Ręce same składały się do oklasków, gdy przy piłce był najlepszy zawodnik na boisku, mały czarodziej Brychczy...”*

Przed derby stolicy oba zespoły trenowały na Łazienkowskiej, Legia vis’ a vis kortów dla amatorów, a Gwardia na płycie od strony ulicy Myśliwieckiej, zwanej wtedy „Saharą”, bo nic tam nie rośło. Piłkarska Warszawa była zadowolona, że dwa kluby stołeczne brylują w ekstraklasie.

Bliskie sobie rodowodem, ale jakże inne w stylu i taktyce gry. Legia grała po... węgiersku. W owych czasach była to rzeczywiście polska kopia Honvedu Budapeszt. Najego wzór i podobieństwo Steiner budował i szkolił drużynę z Łazienkowskiej. Kładł nacisk na stałe doskonalenie techniki, w tym szczególnie strzałów, a także na stosowanie „ćwiczeń z piłką” głównie dla podtrzymywania kondycji. Na treningach Steinera nie można było się nudzić. Tryskał rubasznym humorem, ale umiał też być surowy, katował legionistów piłkarskim interwałem.

Porównywałem to z zaprawą Gwardii. Była zupełnie inna, mówiono, że „harpagony” trenują po angielsku. Trener Edward Brzozowski zanim pozwolił na ćwiczenia z piłką, najpierw aplikował całej drużynie, łącznie z bramkarzem Tomkiem Stefaniszynem, intensywne tempówki po bieżni. Było ich sporo, czasami gubiono się w liczeniu. Były też różnice w sposobie gry. „Węgierska Legia” zadziwiała autentycznym atakiem pozycyjnym (ach, gdzie te czasy?!), natomiast „angielska Gwardia” szybkim kontratakiem. Wojskowi zamęczali przeciwników dziesiątkami wyrafinowanych zagrań technicznych, natomiast milicjanci byli bardziej skąpi w prezentowaniu boiskowych fajerwerków. Uwielbiali długie przerzuty.

Ze studiów na UW jeszcze dobrze w pamięci miałem postawę życiową „Skąpca” Moliere’a, a także pomysłowość i dobre serce Stanisława Wokulskiego z „Lalki” Bolesława Prusa. Wzorując się na tych bohaterach nadałem warszawskim drużynom stosowne kryptonimy. Gwardia – to były w moim pojęciu molierowskie „harpagony”, a Legia – prusowski „elegancki lider”. Cieszę się, że po upływie pięćdziesięciu lat w „PS” (i nie tylko) nadal uważa się piłkarzy Gwardii za „harpagonów”. Boleję jednak, że na Raławickiej jest teraz piłkarska bryndza, a na Łazienkowskiej nie ma tej klasy zawodników, co Lucjan Brychczy.

„Kici” – tak zawsze pisałem, a dziś powtarzam - przed epoką Włodzimierza Lubańskiego i Kazimierza Deyny był naszym najbardziej utalentowanym i najlepiej wyszkolonym piłkarzem, błyskotliwym i skutecznym. Wszak tylko Ernest Pohl wyprzedza go na liście ligowych strzelców wszechczasów. Obaj jednak mieli pecha, za wcześnie się urodzili. Dziś również byliby ozdobą boisk w całej Europie. Nietuzinkowym graczem był również Edmund Kowal, „żongler-kręciołek” – jak zwykł o nim mawiać znany fotoreporter Gienio Warmiński. Władysław Szpilman („Pianista”) skomponował piłkarską piosenkę „TRZEJ PRZYJACIELE Z BOISKA”. Nie wiem kogo miał na myśli, podobno skrzydłowego Ruchu Eryka Kubickiego, łącznika Gerarda Cieślaka i bramkarza Ryszarda Wyrobka. W moim odczuciu na pewno takimi przyjaciółmi byli: Lucek, Ernest i Edmund.

Wypytywałem mnie Roman Kołtoń, autor książki o mistrzostwach świata w Korei i Japonii, a od niedawna redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”, ile spotkań piłkarskich obejrzałem i oceniałem w czasie tak długiej kariery dziennikarskiej. Tysiąc? – Dwa tysiące? – sondował. – Nie liczyłem, bo pamięć skupiałem na innych faktach. Tak zgranych tercetów i tak pomysłowo kreujących akcje ofensywne w polskim piłkarstwie, jak Brychczy, Kowal i Pohl później już rzadko widywałem. Chyba tylko pomoc Legii Brychczy (znowu), Deyna, Blaut z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i druga linia Kasperczak – Deyna – Maszczyk na mistrzostwach świata 1974 w RFN dorównywała ich klasie.

Brak sukcesów reprezentacji, źle zarządzane kluby, bariery polityczne, ekonomiczne i zakaz transferów zagranicznych utrudniały rozwój tych niecodziennych talentów. Trochę sami też byli sobie winni, bo niektórzy

z nich nadmiernie korzystali z „rozkoszy dnia i nocy”. Pohl zaraz po „polskim październiku” miał mnóstwo lukratywnych propozycji z Bundesligi, a po meczu Polska – Hiszpania w Chorzowie, gdzie grali liderzy światowego futbolu – Alfredo di Stefano i Luis Suarez, trener Helenio Herrera omal nie nosił Brychczego na rękach. Błagał: – „*Sprzedajcie mi tego chłopca, a ja go wkomponuję w napad Realu Madryt z Kopą, di Stefano, Puskasem i Gento*”. Kto dziś ma takie oferty?

W połowie lat pięćdziesiątych w słabym dotychczas polskim piłkarstwie można było zauważyć powolne odbijanie się od dna. Drużyna narodowa grała jeszcze w kratkę, bo niektórzy zawodnicy chętniej bronili barw klubowych, niż „biało-czerwonych”. Pojawiały się skandaliczne wypowiedzi w prasie: - „**Co mi tam reprezentacja!**”. Jednak w roku 1955 z trzech rozegranych spotkań z Rumunią, Bułgarią i Finlandią nie przegrała Polska ani jednego. Nadzieją napawał dość duży napływ nowej fali. Poza wspomnianym tercetem z Legii, przebłyśki talentu ujawnili: Jerzy Woźniak, Henryk Grzybowski, Krzysztof Baszkiewicz, Henryk Kempny, Marian Norkowski, Engelbert Jarek... Udanie wspierali ich nieco starsi: Gerard Cieślik, Stanisław Hachorek, Leszek Jezierski, Marcei Strzykalski, Henryk Szymborski, Roman Korynt i wiecznie młody Czesław Suszczyk.

Ten wzrost poziomu i optymizmu był bardzo potrzebny, bo właśnie w roku 1955 odbywała się w Warszawie pierwsza po wojnie – wprawdzie na modłę międzynarodowej młodzieżówki socjalistycznej - impreza sportowa na skalę światową. „PS” informował, że w kawiarni „Nowy Świat” gościło wieczorami pół sportowego świata. Było w tym sporo przesady, zwłaszcza jeśli idzie o piłkę nożną. Fakt, przyjechało do Warszawy 15 drużyn z Europy, Azji (Pekin) i Afryki (Kair), ale

nie były to zespoły najwyższego lotu. W tej sytuacji faworytem, obok Budapesztu i Bukaresztu, była nasza Warszawa, wzmocniona kilkoma zawodnikami ze Śląska. Przez eliminacje w grupie z Karl-Marx-Stadt, Pekinem i Liege przeszła jak burza, ale w półfinale potknęła się na Bukareszcie i przysł sen o pierwszym miejscu. Zespół z Rumunii, równoznaczny z pierwszą reprezentacją, górował nad naszymi piłkarzami wyszkoleniem technicznym i... chęcią do gry. Komentując ten turniej na łamach „PS” skierowałem pod adresem Polaków niezbyt wówczas popularne pytanie: - „NIE CHCĄ CZY NIE POTRAFIĄ?”.

Mecz o trzecie miejsce z Kairem Warszawa wygrała 3:1, ale tylko dlatego, że Egipcjanie popełnili stanowczo za dużo błędów w obronie. Nasi też grali kiepsko, ale taktycznie górowali nad Arabami. Cieślik, Trampisz i Woźniak wyraźnie się oszczędzali. Bojaźliwie grał nawet Brychczy – unikał starć z obrońcami. Jednak w całym turnieju najbardziej zawiódł nasz kapitan, Cieślik. Postawa Gerarda zaskoczyła kolegów z drużyny, wszak - dobrze wiedzieli, że stać go na dużo lepszą grę. Olał ten turniej? Bukareszt – nasz pogromca z półfinału, wygrał zawody bez większych kłopotów.

FENOMEN Z SOSNOWCA

Znaczna część kibiców przyjęła „oszczędną grę” Polaków ze zrozumieniem. Dla nich też, tak - jak dla piłkarzy, ważniejsze od tego mocno upolitycznionego turnieju były interesujące rozgrywki ligowe. Wysoka wygrana Legii w derbystolicy nieco oddaliła Gwardię od czołówki, ale nadal utrzymywała się w pięcioosobowym peletonie: Legia, ŁKS,

Stal (Zagłębie) Sosnowiec, Ruch i Gwardia. Prawdziwą rewelacją w tym towarzystwie było Zagłębie, zwłaszcza jego bramkarz Aleksander Dziurawicz. Wyrastał na bohatera numer jeden całej batalii o ligowe punkty. W sześciu kolejnych meczach nie przepuścił ani jednej bramki! Redaktor Zmarzlik, rodowity sosnowiczanie promieniał z radości.

Ale najpoważniejszy egzamin pupila Czerwonego Zagłębia (taką opinię miał ten region Polski już przed wojną) oczekiwał dopiero w Warszawie. Legia miała już za sobą kilka efektownych zwycięstw nad drużynami zagranicznymi: belgijskim White Star 8:0 (sześć goli strzeliło trio: Brychczy, Kowal, Pohl), francuskim RC Lens 5:2 i Rudą Hvezdą Bratysława 3:1 (trzy bramki Brychczego), teraz liczyła na pierwsze w historii klubu mistrzostwo Polski. Nie mogła więc pozwolić sobie na przegraną ze Stalą. Był to wymagający i ambitny rywal, a jego trener Włodzimierz Dudek miał już gotową receptę na wywalczenie tytułu. W jednej z rozmów ze mną powiedział:

– Krążą wokół Stali przedziwne opinie: że jest najszcześniejszą drużyną pod słońcem, że ma zaczarowaną bramkę i rozpościera nad nią swój ochronny parasol Edward Gierek. A to wszystko bzdura! Prawdą jest natomiast, że ja, trener tej drużyny, wiem, jak dotrzeć do końca rozgrywek na pozycji lidera. U siebie w Sosnowcu trzeba wszystko wygrać, a u przeciwnika zremisować i tytuł mistrzowski będzie nasz!

W arcyciekawym meczu z Legią w Warszawie filozofia i strategia Dudka dość długo triumfowały. Nie nastawił zespołu na jednostronną taktykę defensywną, czym w tamtych latach gustowali „gdańscy murarze” trenowani przez Tadeusza Forysia i „poznańscy desantowcy”, liczący tylko i wyłącznie na strzelecki talent Teodora Anioły. Nie, Dudek i jego Stal zbierali na Stadionie WP oklaski również za odwagę i pomysłowość w grze

ofensywnej. A jednak do 87 minuty utrzymywał się wynik bezbramkowy. Wprawdzie „Kici” dwukrotnie był blisko pokonania Dziurowicza, ale w obu wypadkach górą był piłkarz znad Brynicy. Kolejny strzał Brychczego był jednak celny i Legia wygrała 1:0. Sprawdziło się porzekadło „do trzech razy sztuka”...

Siedziałem na tym meczu w towarzystwie redaktorów Grzegorza Aleksandrowicza i Jerzego Zmarzlika. Oni jako widzowie, ja jako sprawozdawca. Wszyscy trzej wielokrotnie głośno artykułowaliśmy przeróżne „ochy” i „achy”, biliśmy brawo, ale końcowy wynik z pełną aprobatą przyjąłem tylko ja. Zmarzlik – jako wierny syn Ziemi Zagłębiowskiej – nie ukrywał rozczarowania, zaś Aleksandrowicz raczej bliższy uczuciowo Gwardii, zwycięstwo Legii przyjął chłodno, bez większych emocji. W relacji z tego niecodziennego meczu sporo ciepłych słów poświęciłem obu rywalom.

„NAJLEPSZY MECZ DZIESIĘCIOLECIA”

„CHWAŁA ZWYCIĘZCOM I POKONANYM”

- takie było główne motto przeglądowego komentarza. W tekście nie można było jednak pominąć braw i uznania dla Brychczego za odczarowanie bramki Stali po 627 minutach brawurowych interwencji Aleksandra Dziurowicza. W takim nastroju, pochwał i podziękowań, Legia i Zagłębie kończyły rundę wiosenną. Komu jesienią kurka jajko zniesie? Czy dopiero nad Brynicą rozstrzygną się losy mistrzostwa?

Duże apetyty na tytuł miały także ŁKS i Gwardia. Jednak szanse łodzian pogrzebali niesforni kibice. W 60 minucie meczu przy stanie 2:1 dla Polonii Bytom wtargnęli na boisko i zaczęli wymierzać gościom „sprawiedliwość”. Sędziego też usiłowali wygarbować, a był nim mój redakcyjny szef, Grzegorz Aleksandrowicz. Oj, nie lubił on takich drak,

oj – nie lubił! Po meczu jeszcze czekano na „pana Grzesia” przed szatnią, ale przytomność i spryt łódzkich działaczy zmyliły garstkę żądnych samosądu. Karetką pogotowia do Koluszek, a stamtąd pociągiem, arbiter bez szwanku powrócił do Warszawy.

Nastęstwategoskandalubyłyłatwedoprzewidzenia:walkower3:0dla Polonii,karyindywidualne dla zawodników i zamknięcie boiska. Najbliższe spotkanie z Legią musiał ŁKS rozegrać w Szczecinie. Mnie też diabli tam ponieśli, ale nie żałowałem. Pierwszą połowę oba zespoły rozegrały w stylu isticie mistrzowskim, na poziomie wiosennego pojedynku Legia – Zagłębie. Po przerwie „Włókniarzom” nie dopisała kondycja i wojskowi wygrali aż 5:1. ŁKS odpadł więc z peletonu, wcześniej pogubiła się Gwardia, za słaby był Ruch, przeto na placu boju pozostały już tylko Legia i Zagłębie. Rewanż w Sosnowcu...

Moje ułomne pióro nie jest w stanie barwnie i z odpowiednią dozą dramaturgii opisać tego wszystkiego, co w tygodniu poprzedzającym ten mecz, działo się w redakcji. Jurek Mrzygłód i karykaturzysta Edward Ałaszewski załamani tak niefortunnym zakończeniem sezonu przez ŁKS, naczelny Edward Strzelecki i zastępca Jerzy Zmarzlik – obaj rodem z Sosnowca, podekscytowani do granic dotychczas niespotykanych. Zygmunt Głuszek, urodzony hazardzista, organizuje wewnętrznego toto-lotka, Gienio Warmiński niemalże wychowany na Łazienkowskiej, w nieco gorszym, niż zawsze humorze, a ja pełen obaw, czy znajdę się w redakcyjnej ekipie na to wydarzenie. Tak – wydarzenie, bo na ten mecz z wypiekami na twarzy oczekiwali sympatycy obu drużyn z całej Polski!

Kierownictwo „Przeglądu Sportowego” wydelegowało na ten finał ligowego sezonu 1955 trzech Jerzych: Zmarzlika, Mrzygłóda,

Lechowskiego i fotoreportera Gienia Warmińskiego. Gdyby to działo się w dzisiejszych czasach, wsiadamy w redakcyjny samochód i hajże na Sosnowiec! Ale wtedy?... Auto było luksusem. Nie było też pociągów standardu europejskiego, a wagony pierwszej klasy pociągów pośpiesznych bez miejscówek. Był tylko niesamowity tłok. Całą trasę Warszawa – Katowice przemierzyliśmy na stojąco. Nastrój w wieczór poprzedzający ten mecz przypominał na Śląsku przygotowania rycerzy do średniowiecznych turniejów. Koili roztrzęsione nerwy z dala od oczekującej ich bitwy. Sosnowiczanie skryli się w katowickim hotelu „Monopol”, a legionieści w „Polonii”. My też tam się zatrzymaliśmy. Gienio nie mógł zasnąć, tak przeżywał ten mecz, to i nam nie dał spać. Marudził:

– Tu, za rogiem już o szóstej rano otwierają bar mleczny. Na śniadanko bułeczka z masełkiem, rozumie się gorące mleczko lub kakao, może być też jajeczniczka, naleśniczki z serem. Wstawajcie Jursie...

Zmarzlik największy śpioch w tym towarzystwie początkowo milczeniem zbył głędzenie Warmińskiego, ale gdy ten stawał się upierdliwy, nie wytrzymał: podniósł przed łóżka but i rzucił nim w kierunku Gienia. Spudłował, kamasz trafił w lustro...

Mecz rozpoczął się w niedzielę, 20 listopada w samo południe wraz z hejnałem z Wieży Mariackiej w Krakowie. Początek wymarzony dla gospodarzy, już w 40 sekundzie przy linii bocznej starego boiska Stali na ulicy Mireckiego toczył się spór o aut. Sędzia wskazał na Zagłębie, wrzut przejął Krężel, wymanewrował Strzykalskiego, wypatrzył wbiegającego w pole karne Uznańskiego, sosnowiecki „prezes” celnie strzelił i... piłka zatrzepotała w siatce. Redaktor Zmarzlik jak by porażony prądem, poderwał się z krzesła, po chwili

z namaszczeniem zdjął z głowy kapelusz i w głębokich ukłonach przemaszerował przed lożą honorową, przygotowaną specjalnie na ten mecz.

– Panowie, kapelusze z głów! – Oto narodził się mistrz Polski 1955!
– oznajmił gościom z całej Polski.

Przygryzłem wargi, z trudem przełknąłem ślinę. Lubię Zagłębie, ale jestem z Warszawy, więc - co tu ukrywać – zawsze bliższa człowiekowi koszula, niż sukmana. Nieswojo czułem się jednak tylko przez 14 minut. Właśnie Edmund Kowal wybijał z prawej strony trzeci z kolei rzut różny dla Legii. Centrę przejął lewą nogą „Kici”, w polu karnym zwodem uwolnił się spod niezwykle „czułej” opieki Piotra Musiała i prawą chytrze strzelił w lewy róg. Wyrównał na 1:1. Ten remis zadowalał wojskowych, grali więc bardzo uważnie, spokojnie, bez kawaleryjskich szarży. Wszak teraz Legia była mistrzem Polski. Zagłębie tylko przez 14 minut...

Sukces nad Brynicą dodał Janosowi Steinerowi odwagi i większej pewności siebie. Zaczął marzyć, mocno się przy tym pusząc i rozczulając. Zajęcia były lżejsze i krótsze, typowe dla okresu sezonowego roztrenowania. Janos miał teraz więcej czasu i spokoju. W wolnych chwilach popijał czerwone wino węgierskie i delectował się cygarami. W drodze do domu od czasu do czasu pociągał również z butelki piwko w budce „U Adelki”, tuż przed głównym wejściem na stadion. Wieczorami rozkładał na stół mapę Europy i z rozkoszą jeździł po niej palcami. Podróżował z mistrzem Polski:

– Zuerst (najpierw) Legia jechacz do Bundesrepublik, Hamburg, Koeln, Muenchen... Dann (potem) nach Amsterdam, Paris, London... Legia immer (zawsze) zwyczajacz... Endlich (wreszcie) der grosse Real

Madrid!... Hier auch wielka sukces... Janosz ist zufrieden (zadowolony), Herr Generale tesz, bo miecz duszo Geld...

Na razie trener Steiner i jego pupile mieli za sobą wyprawę do Francji. Dla Janosa nie była pomyślna; zawodnicy stawali okoniem. Najpierw w nocy, poprzedzającej mecz z Vallenciennes, wybrali się do kina na „Cenę strachu”, a dosłownie przed samą grą „zabalowali” u mera miasta. „Epi” Kowal i spółka wyraźnie przesadzili w degustacji szampana. Steiner wrzeszczał:

– Herr pulkownika, tseba odwołacz ta gra!... One som besoffen... Pijane!

– Ależ to niemożliwe – odparł spokojnie szef ekipy. – Obowiązuje nas umowa... Musimy rozegrać ten mecz.

– Nein! - nadal pieklił się trener.

Gdy na nic zdały się jego protesty, wpadł na parszywy pomysł.

– Muessen spielen?! To druszyna ma dzisz Franio (Głowacki). Janos geht tribuna...

Do przerwy 0:0, Steiner triumfuje:

– One padnom w druga polowa!...

Czas płynął, na moment Francuzi rzeczywiście przygnietli, ale bramki nie zdobyli. Skazani na niepowodzenie legioniści wykpiłi oburzenie Janosa. Strzelają jedną bramkę, drugą, trzecią... Zaskoczony trener skręcał się ze złości w łoży honorowej. Nagle wyskoczył z fotela, zbiegł z trybuny, podszedł do Głowackiego i poklepał go po plecach:

– O, Franio dobre Kameraden! Dzenkuja... Teraz Janos boisko, a Franio tribuna.

Widzą to piłkarze. Kapitan drużyny Marcelli Strzykalski pokrzykuje w kierunku Frania.

– Nie słuchać go!... Głowacki, dla pana tak walczymy!

Ostatecznie Legia wygrała ten mecz aż 6:1.

Takich nieporozumień między Głowackim i Steinerem było więcej. Wracali właśnie z Jugosławii, gdzie Janos kupił dwa kozuchy. Za dużo, mogą być kłopoty na granicy. Jeden więc od razu wręczył Głowackiemu. Znowu był wylewny:

– Franio – Janosz zwei gute Kameraden. Bitte, bracz kabat...

Zdziwiony Franio, ale i zadowolony mocno wyściskał Janosa. Taki prezent?!... Przejaw wielkiej przyjaźni trenerów... Wszystkie kontrole celne udane. Ekipa jest już w Polsce. Uradowany Steiner klepie Głowackiego po plecach.

– O, Franio dobre Kameraden. Dzenkuja – powtórzył tekst z Francji...

Zabiera kozuch i... pakuje do swojego worka. Franio osłupiał. Z głupoty pięścią palnął się w łeb. On taki warszawski „cwaniak” dał się wyprowadzić w pole Węgrowi.

Był to jednak początek końca pracy Steinera na Łazienkowskiej. Kto go zastąpi – Głowacki czy Górski? Kazio, choć czasami styl bycia i pracy Węgra, mocno go bawił, lubił z nim porozmawiać i sporo się od niego nauczył. Był ten rubaszny Janos zupełnie inny, niż Kuchar, Koncewicz, Foryś...

– Steiner był mi szczególnie bliski – mówił Górski. – Kiedyś sam strzelałem bramki i do dziś mam w sobie duszę napastnika. A Węgier lubił grę ofensywną. Nie bał się ryzyka i to właśnie w jego pracy najbardziej mi odpowiadało. O Legii w tej chwili nie myślę. Jestem na etacie w PZPN...

FORSOWANIE „ŻELAZNEJ KURTINY”

U schyłku 1955 roku – w ślad za powoli nadchodzącą „polską odwilżą” – również w piłkarstwie zaczęto mówić o konieczności zmian. Wypadało by rozluźnić administracyjne i finansowe pęta krępujące kluby i pomyśleć o przywróceniu im tradycyjnych, swojsko brzmiących nazw. Przestać też kisić się wyłącznie w sportowym sosie demoludów i kopiować wyłącznie wschodnie wzory. Za przejaw forsowania w futbolu „żelaznej kurtyny” można by już uznać wizytę belgijskiego White Star i francuskiego FC Lens w Warszawie i na Śląsku, ale dopiero wyrażenie zgody GKKF na udział naszych juniorów w turnieju UEFA zapowiadało bardziej przyjazne spojrzenie na Europę.

Okolicznością sprzyjającą, która pozwoliła urzędnikom z Alei Róż i ich aplegierkom z Alei Stalina (tak się wówczas nazywały Aleje Ujazdowskie) uniknąć całkowitej ślepoty, była niedawno powstała UEFA. Zaproszono Polaków – jak to się wówczas romantycznie mówiło – do udziału w piłkarskim rendez-vous młodzieży we Włoszech. Trenerem naszych juniorów w parze z Zygmuntem Jesionką był wtedy Kazimierz Górski. Z zadowoleniem przyjął decyzję o wyprawie do Italii, miał przecież w kadrze sporo utalentowanej młodzieży. Niemal każdego dnia zwierzał mi się z postępów w przygotowaniach.

Miał dobre wzory, wszak już od 1947 roku jego starsi koledzy po fachu z zapałem szkolili na centralnych zgrupowaniach: Bienka, Dziurowicza, Jankowskiego, Hodyrę, Kaszubę, Kuleszę, Majewskiego, Masłonia, Poświata, Sasiadka, Trampisza, Uznańskiego, Zientarę i dosłownie setki ich rówieśników. Ci chłopcy w roku 1948 już raz

błysnęli talentem i charakterem, wygrali w Łodzi z Węgrami 1:0. Potem tak spektakularnego sukcesu już nie odnieśli. Może więc we Włoszech?... Kazimierz Górski od roku systematycznie budował drużynę. Nie ukrywał, że liczy na jej udany debiut w Montecatini. Tymczasem Leszek Ryłski przywiózł z Kongresu UEFA w Wiedniu niemalże hiobową wieść: we Włoszech mogą grać juniorzy urodzeni dopiero po 1 września 1936 roku.

– Dlaczego? To jakieś „widzimisię”... Zmieniają regulamin na kilka miesięcy przed turniejem? – oburzali się Jesionka i Górski.

– To ukłon pod adresem klubów i lig zachodnich – wyjaśnił Ryłski. – Tam grają systemem „jesień-wiosna”, na ogół rozpoczynają mistrzostwa właśnie we wrześniu, więc te zmiany są dla nich korzystne.

– Ale mnie komplikują pracę – żalił się Górski. – W październiku wytypowaliśmy 35 kandydatów do reprezentacji, cały rocznik 1936, a teraz dowiadujemy się, że są za starzy. Zostało by tylko pięciu!...

Kazio mocno się wkurzył, ale na przegranego nie wyglądał. Również on niczym dzielny wojak Szwejk tylko się pocieszał:

– Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było... Natychmiast trzeba zmontować nową drużynę.

Budowali na prędcę, jak pokerzyści wchodzili do gry w „ciemno”, na „łapu-capu”, ale do Włoch pojechali. Podróż pociągiem wiodła przez Wiedeń, Padwę, Florencję. Słońcem powitała ich piękna Toscania, tak piękna, jak nasze „najpiękniejsze jest Mazowsze”. Ja wtedy z juniorami nie byłem, pojawiłem się tam dokładnie 40 lat później z reprezentacją Warszawy. Mając do brzo w pamięci wspomnienia Górskiego i Ryłskiego z tych niemalże „zamierzchłych” czasów, a także „olimpijczyków” z roku 1960, smakowałem i dotykałem rękami te wszystkie miejsca i rzeczy, także siedziska na

stadionach w Livorno, Pizie i Florencji, gdzie nasi wówczas i teraz kopali piłkę.

Byłem również w Montecatini, obejrzałem hotel „Corallo”, w którym w roku 1955 mieszkały juniorskie ekipy, a teraz czułem się jakbym był w Ciechocinku lub Krynicy. Takie właśnie jest Montecatini. A Piza? Byłem pod Krzywą Wieżą, coraz bardziej pochyloną, akurat restaurowaną i niedostępną dla turystów. Miło i wesoło było na tej pierwszej wyprawie naszych juniorów „na Zachód”, choć wyniki kiepskie. Zgrzytem tego rendez vous, tu już zahaczamy o politykę, była nieobecność w Montecatini juniorów NRD. Rząd włoski, mimo sprzeciwów federacji, nie udzielił im wiz wjazdowych. Dziennik „Unita”, organ komunistycznej partii Włoch uznał to za czyn „oburzający, złośliwy i obcy zasadom współzycia sportowców wszystkich krajów”. Puszczono to mimo uszu. Za „żelazną kurtyną” obowiązywała wtedy wobec NRD doktryna Hallsteina.

W Montecatini nasi juniorzy nie podbili Europy, także u nas w kraju trudno było by ich uznać za „cudowne dzieci”, jednak kilku z nich w wieku już w pełni dojrzałym zagrało w pierwszej reprezentacji Polski. Pamiętacie lewego łącznika Janka Liberdę? Dobry technicznie, snajper i rozgrywający, był pupilkiem całego Bytomia i trenera Ryszarda Koncewicza. A środkowego Jana Szmidta? Silny, nieco ociężały, ale strzelił bramkę Jugosławii w eliminacjach mistrzostw świata 1962. Prawoskrzydłowy Zygmunt Gadecki wychowanek Lechii Gdańsk, później partner Brychczego w Legii, szybki jak gazela... Lewoskrzydłowy Nowak najwcześniej z całej tej czwórki wystąpił w drużynie narodowej.

Lekcja, jakiej we Włoszech udzielili nam Hiszpanie i Bułgarzy, przekonała nadzorców z GKKF, że dalsze traktowanie piłki nożnej, jako

sportu niższej kategorii jest idiotyzmem. Cała Europa uwielbia tę grę i szkoli młodzież! Górski postulował: - **Jeszcze w tym roku trzeba zorganizować rozgrywki pucharowe z udziałem juniorów ze wszystkich województw. To zmobilizuje okręgi do lepszej pracy, a te z kolei zmuszą kluby do poważniejszego traktowania własnego narybku.** Zmieniono też w relacji młodzieżowej system rozgrywek z „wiosna – jesień” na „jesień – wiosna” i w ten sposób zbliżono je do norm od lat obowiązujących w krajach zachodnich.

Przywrócono w okresie ferii zimowych i letnich wakacji centralne zgrupowania dla wybijających się juniorów. To był krok we właściwym kierunku. Rok później, podczas kolejnego turnieju UEFA na Węgrzech, wpadka z Montecatini już się nie powtórzyła. Nie dopuścili do tego przede wszystkim późniejsi reprezentanci drużyny narodowej seniorów: bramkarz Konrad Kornek, obrońcy Fryderyk Monica, Stanisław Oślizło i Władysław Kawula, pomocnik Antoni Nieroba oraz napastnicy Zygmunt Gadecki, Roman Lentner i Helmut Nowak. Ośmiu wspaniałych...

W sobotę 8 lipca 1955 roku „przeładowcy”, z okazji 10. po wojnie rocznicy ukazywania się pisma, w kawiarni „Europa” spotkali się z Czytelnikami. Wystąpiłem w jednej z głównych ról, bo już wówczas redagowałem rubrykę „ROZMAWIAMY Z CZYTELNIKAMI NA TEMATY PIŁKARSKIE”. Dyskutowaliśmy wszyscy, a potem już tylko wybrani oblewali jubileusz w restauracji „Stolica”. Pijaństwa nie było, bo ćwiartka przypadła na dwie osoby, ale na tym podrażnieniu gardeł się nie skończyło. Redakcyjni kawalerowie porwali kelnerki i przenieśli się z nimi do innych lokali. Co było później? Najzaradniejszy był Janek Wojdyga, z ładną dziewczyną wyładował w Markach pod Warszawą. Miecio Kaliciński, podpora

„Zielonego Przeglądu”, piewca Ludowych Zespołów Sportowych, chłop o zacięciu satyrycznym, podrzucił mi swój tekst z jubileuszowego numeru „PS”:

... Jerzy LECHOWSKI specjalista (in spe) od piłki nożnej. Po przegranych CWKS chodzi jak struty. Jurek terminuje u Grzegorza ALEKSANDROWICZA, znanego działacza i sędziego piłkarskiego, kierownika działu sportu „PS”. Lechowski – to już dziś chodząca encyklopedia... Często rozmawia z Czytelnikami. Pytam go: – Co chciałbyś im kolego dziś przekazać?... Wołajcie więcej i głośnij o totka – odpowiedział najgorliwszy w redakcji zwolennik zasilania funduszu PKOl.

Gry liczbowe i typowanie wyników nie tylko piłkarskiej Klasy Państwowej (tak przez jakiś czas nazywano naszą ligę) były u nas znane już w pierwszych latach po wojnie. Udziału w tym wtedy nie brałem z prozaicznego powodu - braku odpowiednich funduszy. Wolałem, korzystając często na trasie Skierniewice – Warszawa i z powrotem z biletu „rocznego-niewidocznego”, obserwować na Łazienkowskiej mecze Legii lub Polonii. Za „co łaska” w ówczesnych złotych przechodziło się na miejsca stojące od strony zegara... przez duże dziury w płocie. Było fajnie i niemalże legalnie. Gruby Kazio wtedy jeszcze tu nie rządził. On dopiero nieco później swoim napęczniałym brzuchem, nawet generałom, gdy byli po cywilnemu, blokował wejście na główną trybunę. Mnie wpuszczał, bo mocnym passe-partout była legitymacja „Przeglądu Sportowego”, początkowo na nazwisko Bogdana Tuszyńskiego, a od jesieni 1953 już na moje własne.

O konieczności wznowienia działalności totalizatora sportowego dyskutowaliśmy w „PS” dość często. Skalę i tak już gorących rozpraw na

ten temat spotęgowały echa wizyty red. red. Grzegorza Aleksandrowicza i Emilii Godlewskiej-Szczudłowej w gazecie sportowej NRD „Deutsches Sportecho”. Było to w ramach tzw. „wymiany doświadczeń” czasopismo tym profilu redagowanych w krajach demokracji ludowej. Ten szkoleniowy staż zrobił swoje. „Pan Grzegorz”, dotychczas obojętnie przyglądający się hazardowym upodobaniom redakcyjnych kolegów, nagle zmienił zdanie i zapalał chęcią utworzenia w Polsce Państwowego Przedsiębiorstwa „Totalizator Sportowy”. Trafił na podatny grunt, pochwaliliśmy tę inicjatywę i skłoniliśmy pomysłodawcę do napisania w „PS” artykułu o grze, w NRD zwanej „Sport-Toto”.

Autor zwrócił uwagę przede wszystkim na to, jakie wymierne efekty daje sportowi NRD ten „niewinny hazard”. Popularyzuje kulturę fizyczną, budzi emocje nie mniejsze, niż gra na boisku i co najważniejsze – przynosi ogromne korzyści finansowe. Dzięki temu można budować nowe stadiony i wspierać dosłownie wszystkie dyscypliny sportu. Czytelnicy, z którymi rozmawiałem na łamach również o tej nowości, z entuzjazmem przyjęli sugestie Aleksandrowicza. A władze? Najszybciej zareagował Polski Komitet Olimpijski. Totek ruszył, miał nawet własne pismo, a ja w „PS” przez jakiś czas pomagałem Czytelnikom typować wyniki ligowych spotkań. Największy pożytek z tego miała nasza ekipa olimpijska, udająca się na Igrzyska do Melbourne. Zdobyte tam medale są więc w znacznym stopniu również zasługą dziennikarza „Przeglądu Sportowego”.

Zanim jednak doszło do publicznej manifestacji naszych upodobań, w redakcji zabawialiśmy się w wewnętrzznego totka. Grał i typował każdy, a pulę zgarniał ten, kto miał najwięcej trafnych wyników. Nie koniec na tym, osobne zakłady na jakiś ważny, pojedynczy mecz, przyjmował też nasz nadworny karykaturzysta Edward Ałaszewski. Zarabiał nieporównywalnie więcej od każdego z nas, więc mógł szastać pieniędzmi. Przed wojną „Ała” bramkarz najdłużej był związany z ŁKS. Wiedziony sentymentem, miał ku temu podstawy, czy nie – z reguły stawiał na łódzkich „włóknarzy”. Nie szło mu o pieniądze, miał taki kaprys. Nie chodził boso, miał na buty i ostrogi, ładnie się ubierał. Najczęściej partnerem pana Edzia w tych gierkach byłem ja, a przedmiotem naszych sporów głównie – CWKS. „Ała” doceniał klasę Legii, ale za nią nie przepadał, wołał ŁKS i Polonię, z którą przed wojną też miał krótki piłkarski romans. Ja takich uczuć nie doznałem.

„Ała” częściej ze mną przegrywał, ale raz – dzięki sędziemu Szlajferowi ze Szczecina – dopadł mnie okrutnie, po prostu puścił w skarpetkach. Arbiter z sobie tylko wiadomych przyczyn w meczu Legia – ŁKS usunął z boiska Brychczego i... wojskowi przegrali 2:3. Potem przez jakiś czas w barze mlecznym „Prasowym” przy Marszałkowskiej, tuż obok „przeglądowej” kawiarni „Świtezianka”, aż do najbliższej wypłaty jadłem tylko suche bułki i popijałem je małym kubkiem mleka. O, przepraszam, raz jakby w przypiływie uczuć ojcowskich, pan Edward zaprosił mnie na obiad do restauracji „Rarytas”. Był zakrapiany...

Nie lubię przegrywać, zawsze pałam chęcią rewanżu. Okazja nadarzyła się we wrześniu. Na stadionie WP odbywał się finał Pucharu Polski, Legia kontra Lechia Gdańsk. Znowu zakład i to o wyjątkowo dużą stawkę.

Ałaszewski chciał tym razem postawić na CWKS, ale przekonywałem go, że nie wypada stawiać na drużynę, za którą serce nie pika. Poszło ostro, ostatecznie „Ała” postawił na Lechię. Przed grą wcale nie stał na straconej pozycji. Rywale Legii trenowani przez Tadeusza Forysia, zwanego w środowisku „Sebesem z Wybrzeża”, znani byli z doskonałej taktyki defensywnej. Żartowano, że łatwiej słoniowi przebić się przez dziurkę w igle, niż napastnikowi przez gdańską obronę. Nawet urodzony optymistą Janos Steiner miał wątpliwości, czy wojskowi na pewno wygrają.

Stała się jednak rzecz przez fachowców nie oczekiwana. Legia rozgromiła Lechię aż 5:0! Wygraną przejąłem od Ałaszewskiego w naturze. Brat pana Edwarda przysłał z Anglii elegancki garnitur, nowiuteńką dwurzędówkę w przyjemnym kolorze brązowym. Ubiór ten miał jednak pewną wadę - był dla brata z Polski nieco za mały. Na mnie akurat! Interes ubiliśmy w trymiga, przesyłka z Londynu była moja. Jednak nie to wydarzenie z meczu Legia - Lechia zasługuje na zeznanie świadka koronnego. Zjawiskiem wyjątkowym w tym pojedynku duetu bramkarz Henryk Gronowski i stoper Roman Korynt z napadem CWKS był Ernest Pohl. Wpadł na pomysł, a Steiner to zaakceptował, żeby z tej ważnej rozgrywki wyłączyć Korynta. Wtedy może łatwiej będzie o zwycięstwo...

- Zrobimy to tak - zwrócił się Pohl do kolegów swoim, jak zawsze poważnym i sugestywnym głosem. - Sam dam popalić Romanowi. Nie on będzie mnie „krył”, tylko ja jego!

- A kto będzie strzelał bramki? - rzeczowo zapytali obrońcy Legii.

- Przede wszystkim „Hyniek” Kempny, a „Kici” będzie mu podawał
- pewnie odpowiedział Ernest.

I tak się stało. Rzeczywiście, aż trzy gole dla Legii zdobył Kempny, a pozostałe dwie środkowy obrońca Słaboszowski i... Pohl. Rok później wojskowi znowu ustrzelili dublet – mistrzostwo i Puchar Polski. Drugim finalistą w tej „imprezie tysiąca drużyn” był Górnik Zabrze, a bramki dla zwycięzców tym razem zdobyli Kowal, Brychczy i Strzykowski. Debiutant z Zabrza był jednak godnym rywalem, powoli wyrastał na nową potęgę w polskim futbolu.

Finał 1957 z ŁKS-em Górnik znowu przegrał, ale w lidze był już najlepszy. Zresztą, wtedy w Łodzi przegrał nie tylko Górnik, przegrało całe krajowe piłkarstwo. Na pięć lat, Bóg wie dlaczego, pożegnano się z Pucharem Polski. Złośliwi przebąkiwali, że to z zemsty, za doznane krzywdy w latach 1946–1956 i że odrodzony PZPN wie, co robi. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ta forma rozgrywek była przecież „oczkiem w głowie” SPN GKKF, instytucji de facto hamującej rozwój piłkarstwa. Teraz jest znowu PZPN i nie ma zamiaru firmować imprez narzucanych z zewnątrz. Filozofia chłopca, który na złość babci odmraża sobie uszy.

Powodów do ubolewania nad powikłanymi losami Pucharu Polski jest więcej. Czasy się zmieniały, ster PZPN przejmowali coraz to inni prezesi (z reguły przynoszeni w teczkach przez urzędników z wysokiego szczebla ministerialnego, rządowego lub partyjnego), upadł ustrój totalitarny i gospodarka nakazowo-rozdzielcza, ale status imprezy, pomyślanej jako szansa również dla „maluczkich”, dotychczas nie uległ zmianie. Cały czas rozgrywki pucharowe są traktowane jako zło konieczne. Przy Królewnie lidze – to typowy Kopciuszek, jeśli nie powiedzieć wprost „bękart przybłąda”. Liga pochłania pieniądze, ale daje także kasę, Puchar Polski z reguły jest nierentowny, więc bez żadnych skrupułów można mu rozpruwać bebechy.

Na lidze od momentu, kiedy „pan Grzegorz” zmobilizował władze do powołania Totalizatora Sportowego, fortuny zbijają głównie hazardowi gracze, czasami także niektórzy piłkarze i sędziowie, tzw. „ustawiacze wyników”. Raz nawet z radości po wysokiej wygranej podskakiwał stoper Legii Henryk Grzybowski. W pierwszych dniach kwietnia 1955 roku (wtedy po raz pierwszy odbył się konkurs na odgadnięcie wyników I i II ligi) ja też byłem bliski szczęścia. Bezbłędnie wytypowałem rezultaty 12 spotkań, ale do kasy nie podszedłem. Pozbawił mnie tej przyjemności jeden z najwierniejszych redakcyjnych kolegów, też absolwent UW Michał Kierczyński.

Wypełniłem kilka kuponów, przeznaczyłem na to sporo pieniędzy i poprosiłem Michała, aby w moim imieniu złożył to w kolekturze. A sam, jak zwykle pełen optymizmu, udałem się na Śląsk. Wieczorem w redakcji „Sportu” Katowice sprawdziłem wyniki ligowe z moimi typami i omal nie oszalałem z radości: – Wygrałem! Kolegom ze „Sportu” postawiłem na tę okoliczność kolejkę gorzałki. O swoim szczęściu poinformowałem maszynistkę Basię Wasilewską, która odbierała moją relację z Katowic, przepraszam – wtedy Stalinogrodu. Zapytałem czy jest Kierczyński. Był z „Zielonego PS”, więc w niedzielę nie musiał pracować.

W poniedziałek też go nie było. Zastanawiające. Kochani, że mnie wtedy nie trafił szlag, to chyba zasługa opatrzości boskiej! Nie wygrałem! Kumpel, z którym mieszkalem w jednym pokoju w bursie RSW „Prasa” przy ulicy Szwoleżerów, wyrzucił moje typy do kosza. A co zrobił z forszą? Przehulał z jakąś panienką! Pozostało mi tylko powtórzyć za Mickiewiczem: - „*Nie masz teraz prawdziwych przyjaciół na świecie...*” Przebaczyłem? O, nie! W miesięcznych ratach spłacał mi tę „swoją randkę” przez ładnych kilka lat...

„Przegląd Sportowy” przez swoje pierwsze powojenne dziesięciolecie pracował w warunkach urągających nie tylko redakcyjnym, ale także ludzkim potrzebom. Tak było na Nowogrodzkiej, Żurawiej i Alei Szucha (wówczas I Armii Wojska Polskiego), gdzie pani sekretarz redakcji z... ubikacji urządziła sobie gabinet. Z tego powodu, gdy ktoś chciał zrobić siusiu, musiał się wspinać na drugie piętro i stać w kolejce za będącymi w potrzebie dziennikarzami z tygodnika „Dookoła Świata”. Takie były czasy. Dość wyraźna poprawa nastąpiła dopiero po „polskim październiku”. Przeniesiono redakcję na czwarte piętro kamienicy czynszowej przy ulicy Mokotowskiej 24.

Był to rok olimpijski – 1956. Dla sportu pomyślny, znowu posypały się medale: złote, srebrne, brązowe. Naszym specjalnym wysłannikiem był Jerzy Zmarzlik. Pisał dużo i dobrze, ale wierszówki stosownej do talentu i wysiłku nie otrzymał. Większą kasę zgarnął Artur Cendrowski za zbieranie wyników i opracowywanie przeróżnych tabel. Zaskoczony Zmarzlik specjalnie nie protestował, uznał to jednak za wypadek przy pracy sekretarza wyceniającego teksty. „Przegląd” w czasie Olimpiady z uwagi na różnicę czasu między Melbourne a Warszawą wychodził częściej i wcześniej niż zazwyczaj, bo już w późnych godzinach popołudniowych. Znaczną część nakładu z aktualnymi informacjami za frajer rozwoziliśmy furgonetkami po słabo oświetlonej Marszałkowskiej, Alejach Jerozolimskich i Nowym Świecie. Nikt nie protestował.

Byliśmy dumni z Eli Duńskiej-Krzysińskiej, Jurka Pawłowskiego i szermierzy, głównie z Marka Kuszewskiego (w roku 1956 pracował w „PS”), współczuliśmy Januszowi Sidle i przegranym bokserom. Ale nie tylko igrzyska rozbudziły w nas gorący patriotyzm. W maju kibicowaliśmy kolarzom, Stanisława Królaka traktowaliśmy, jak mistrza olimpijskiego.

Podczas Wyciągu Pokoju pełniliśmy dyżury przy telefonach, a na balkonie zainstalowaliśmy megafon. Podawaliśmy z trasy aktualne komunikaty. Wystarczyło powiedzieć: w czołówce „biało-czerwono”, a już zatrzymywali się i bili brawo przygodni kibice. Oni, tak jak my, potrzebowali zwycięstw i nadziei na lepsze jutro. Zbliżała się „odwilż”...

Najpilniej śledziliśmy rozgrywki ligowe. Bractwo grało w totka, więc musiało być w tych sprawach na bieżąco. Z reguły pewniakiem była Legia, ale niekiedy i ona płała figle. Jednak rewanż za zeszłoroczne 1:1 ze Stalą w Sosnowcu był srogi – „zieloni kanonierzy” teraz wygrali tam aż 4:0.

– Takimi wynikami na korzyść CWKS – twierdził nowy trener wojskowych, Ryszard Koncewicz – powinno kończyć się większość spotkań. Na krajowych boiskach ten zespół nie ma sobie równych.

Legioniści powtórzyli osiągnięcia z zeszłego roku, znowu wywalczyli mistrzostwo i Puchar Polski. Był to sezon, w którym obejrzałem mnóstwo spotkań ligowych, bodaj najwięcej w całej karierze. Miłe to, ale też dość kosztowne. Diety były skromne, do każdego wyjazdu sporo dokładałem. Tłumaczono mi, że to „korzystny dodatek”, bo jeść i pić trzeba wszędzie. W domu również... Red. Aleksandrowicz szybko znalazł receptę na moje stękanie:

– To podróżuj PKP!... – poradził.

– Ależ ja, panie Grzegorzu, jeżdżę tylko pociągami... Polskich Kolei Państwowych.

– Źle mnie zrozumiałeś... PKP to w gwarze piłkarskiej znaczy Płać Konduktorowi Połowę... To stara metoda. Od dawna z takich „ulg” korzystają niektórzy działacze i piłkarscy sędziowie...

Byłem w domu. Pomysł dobry i skuteczny, choć nieuczciwy. Skoro jednak im wolno, to i ja mogę spróbować. Od czasu do czasu na trasie

Warszawa–Katowice–Warszawa rzeczywiście coś niecoś zaoszczędzałem. Następcy „pana Grzegorza”, młodszy sędziowie niewątpliwie sprytniejsi i jeszcze bardziej „napaleni” na kasę, udoskonalali praktyki swoich mistrzów. Wynajmowali cały przedział, płacili znajomemu konduktorowi stosowny ryczałt i czuli się jak u siebie w domu. Nikt im nie przeszkadzał, zmęczeni mogli spokojnie pospać, a hazardziści pograć w pokera i przy okazji wypić po kielichu. Zdarzało się, że ci lepsi gracze puszczali tych słabszych w skarpetkach. A potem ci najbardziej przegrani z konieczności byli wtedy na wikcie śląskich klubów lub zaprzyjaźnionych panienek. Już czekały na „salonowców z warszawki” w hotelowych poczekalniach.

DIABELSKI TUZIN

Z licznych wtedy podróży po piłkarskiej Polsce najbardziej utkwiły mi w pamięci dwa spotkania ligowe. Jedno: to wygrana Legii w „dziesiątkę” z Lechem w Poznaniu 6:0, a drugie – miażdżące zwycięstwo w Warszawie nad Wisłą Kraków 12:0. Stołeczna drużyna zrobiła ogromne postępy. CWKS 1955 imponował przede wszystkim młodzieńczym polotem i fantazją oraz niecodziennym talentem i radością z gry większości zawodników. Natomiast ten z 1956 roku, zachowując te wszystkie cechy, zadziwiał również dobrym przygotowaniem fizycznym, poprawną taktyką i zdecydowanie większym doświadczeniem.

Nader ważny w piłkarstwie element dojrzałości wniósł do zespołu odzyskany z Gwardii Edmund Zientara, a Ryszard Koncewicz pozostałe wartości, w tym nieporównywalnie sprawniejszą niż dotychczas organizację gry. Zaczął od doskonalenia gry obronnej, następnie

pozmieniał pozycje napastników i przydzielił im nowe role w zespole. Atak Legii nadal preferował typowo ofensywny wariant taktyczny w kształcie litery „T” (czterech graczy w przodzie i jeden za nimi), ale Henryk Kempny z prawego skrzydła przeszedł na środek, natomiast na flankę powędrował Ernest Pohl.

Tym cofniętym zawodnikiem był Edmund Kowal. Wraz z Zientarą i Strzykalskim tworzyli swoisty „trójkąt myślicieli”, przypominający z systemu WM „magiczny kwadrat”. Była to wyjątkowo mocna formacja strategiczno-taktyczna i ogromna siła napędowa drużyny. A w przodzie hasali Brychczy, Kempny, Pohl i pozyskany z Polonii Bytom Czesław Ciupa. Drużyna zbierała oklaski przy „otwartej kurtynie”. Nieprzeciętne uzdolnienia tych zawodników Koncewicz podbudował żelazną kondycją i rozległą gamą wiedzy taktycznej. Realizację tych zadań powierzył odpowiednim wykonawcom. Jak to robili?

Dziś niemal każdy jak wieczornypacierz, powtarza, że **„słabszą stroną naszych drużyn ligowych jest atak pozycyjny”**. „Faja” i jemu współcześni rówieśnicy nazywali to inaczej – **„zespołowy atak wyrozumowany”**. Ta definicja zapewne lepiej oddaje ten sposób rozwijania i kończenia akcji ofensywnych. Podkreśla się w niej nie tylko formę natarcia, lecz także dobrze przemyślaną myśl taktyczną. Wymaga to wysokiej techniki i inteligencji w grze. Legia 1956 miała te wszystkie atuty.

Mecz z Wisłą był rewanżem za przegraną Legii 0:2 wiosną w Krakowie. Gospodarzom pomagały wówczas nie tylko ściany, również sędzia przyłożył do tego swój gwizdek. Wojskowi byli żądni rewanżu, od czwartku wprowadzili do zespołu niemal klasztorny reżim, nie pili, mniej palili, za przykładem Antka Mahsellego i Jurka Woźniaka mlekiem gasili pragnienie. Skutek był piorunujący! Z tuzina bramek strzelonych

Wiśle (dość długo też kandydata na mistrza) pięć zdobył Ernest Pohl, który z tej legionowej ferajny najrzadziej wylewał za kołnierz, ale właśnie on oraz Brychczy, Kowal, Zientara i Strzykalski byli głównymi twórcami tego diabelskiego tuzina. Dwadzieścia pięć tysięcy widzów szalało ze szczęścia.

Kto wie czy jeszcze wyżej nie należało by ocenić 6:0 wojskowych w Poznaniu. To nie pomyłka – 38 tysięcy kibiców przybyło na stadion Warty i wszyscy wierzyli w sukces ukochanego „Kolejorza”. Jednak już w pierwszym kwadransie bramki zdobyli Brychczy i Kempny, goście prowadzili 2:0. Stadion zamarł, ja nie przeżywałem nadmiernych emocji, bo takie „magiczne kwadranse” w wykonaniu legionistów przeżyłem już nie raz. Jednak w 17 minucie prowadzenie Legii zostało zagrożone. Kontuzji doznał Czesław Ciupa, wił się z bólu, opuścił boisko i... już nie wrócił do gry. Nikt nie miał prawa go zastąpić. Takie drakońskie były wtedy przepisy. Przez 73 minuty wojskowi musieli grać w „dziesiątkę”.

Przygaszeni kibice Lecha nagle się ożywili, dostrzegli szansę na odrobienie strat. Cały stadion ryknął: - Kolejorz! Kolejorz! To poderwało piłkarzy, wściekle zaatakowali. Poznań to już zna, niedawno tak właśnie nacierało słynne poznańskie A-B-C: trio Anioła – Czapczyk - Białas. Znowu będzie festiwal bramek? Ale Legia nie pękała. Walczono o każdy skrawek boiska. Szatańsko dobrze grał Brychczy. Miał już na koncie jedną bramkę, a teraz dołożył jeszcze trzy. Benefis futbolisty! Na trybunach cisza, tylko wśród koneserów pomruki i tajemnicze szepty: - „*Piłkarz to czy lekkoatleta?*”. Legia dobiła do pół tuzina. Tak to w „PS” opisałem:

...„Brychczy, szybko i zgrabnie, jak sarenka: biegał, podskakiwał, brał wszystkie przeszkody, imponował startem, nagłymi zrywami i obrotami

wokół własnej osi, zamęczał rywali zwodami... Potrafił na odcinku 10-metrowym zdystansować obrońców Lecha o kilka długości... Poza nim jak zwykle osiã zespołu, jego siłą napędową, była para pomocników Strzykalski – Zientara.”

Kolejny dublet Legii, mistrzostwo i Puchar Polski przypadł akurat w 40 rocznicę powstania klubu. Wiosną jubileusz ten uczczono efektowną wygraną w towarzyskim meczu ze szwedzkim Djurgaarden, natomiast jesienią w spotkaniu o punkty w Klubowym Pucharze Europy było już znacznie gorzej. Debiut w rywalizacji mistrzów opłacono słonym frycowym. Slovan Bratysława z Michałem Vicanem w obronie okazał się w tej rozgrywce „szczwanym lisem”. Nie przebijając w środkach, wyraźnie odbiegających od zasady „czystej gry”, całkowicie rozbroił CWKS. Przy rutynowanych Słowakach, młodzi legionieści chwilami sprawiali wrażenie nieopierzonych piskląt. Zabrakło rozumu przy młodości, przegrali 0:4. Oglądałem i opisałem mecz rewanżowy wygrany przez Legię 2:0. Była zdecydowanie lepsza, błyskotliwsza, mogła nawet odrobić straty z Bratysławy. Doświadczeni spryciarze ze Slovana umiejętnie się jednak bronili. Po drugiej bramce, strzelonej przez Edmunda Kowala, sprawozdawca Polskiego Radia, Tadeusz Pyszkowski wrzeszczał w niebogłosość:

– Oj strzelaj, strzelaj! Prędzej strzelaj!... Jest!...

W roku 1956 minęła druga rocznica piłkarskiego planu „dogonienia Węgrów”. W skali kraju nie widać było postępów, lekkim optymizmem powiało tylko na turnieju UEFA juniorów na Węgrzech. Natomiast, jeśli idzie o „otwarcie naszej reprezentacji na Europę”, nastąpiły dość wyraźne zmiany ilościowe. O ile w roku 1953 rozegrano trzy mecze międzypaństwowe, w następnym tylko dwa, a w 1955 znowu trzy, to

teraz już siedem, w tym jednak zaledwie dwa zwycięskie - z Norwegią 5:3 i Finlandią 5:0.

W lidze przez kolejne trzy lata (1949, 1950 i 1951) najlepszym strzelcem był Teodor Anioła z Lecha Poznań (wtedy przechrzczonego na „Kolejarza”), ustępował mu nawet Gerard Cieślik. Jednak na grę w reprezentacji monopol miał chorzowianin. Członkowie komisji selekcyjnej PZPN przeforsowali opinię, że poznaniak nie sprawdza się w reprezentacji. To zawodnik wyłącznie klasy ligowej! Sądzę, że nie była to sprawiedliwa ocena. Raczej nie potrafiono wkomponować Teodora w reprezentacyjne towarzystwo Gracza i Cieślika. Sugerowano, że Anioła nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Cieślikiem. Ale bramki umiał strzelać, tryskał energią, nacierał jak czołg. Podczas meczu Polska – NRD w roku 1952 w Warszawie przed przerwą szło naszym topornie, przeważali, ale wynik był bezbramkowy. W drugiej połowie za Jana Wiśniewskiego wszedł na boisko właśnie Teodor, rozruszał nasz atak, zdobył dwie bramki i... Polska wygrała ten mecz 3:0. Poznański „bombardier” miał wtedy zaledwie 26 lat. Piękny wiek dla piłkarza. Jednak nie dla Anioły. Wkrótce komisja selekcyjna całkowicie z niego zrezygnowała.

Więcej gier, szersze kontakty, narastająca fala nowego pokolenia, wyraźne zmiany ilościowe. To jednak jeszcze nie zmiana jakości. Sekcja Piłki Nożnej kierowana wtedy przez Władysława Rajkowskiego, średniej rangi funkcjonariusza GKKF, zdobyła się jednak na odwagę i zakontraktowała kolejny pojedynek z Węgrami. Dotychczasowe kończyły się fatalnie, po nich twarz aż paliła się ze wstydu: 2:6, 1:5 i 2:5 w Polsce oraz 2:8 i 0:6 na Węgrzech. Tego pół tuzina goli w maju 1951 roku być może udało by się uniknąć, gdyby wpływu na skład reprezentacji nie mieli pracownicy

Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Oni decydowali o wydawaniu paszportów. Właśnie przed meczem z Węgrami w Budapeszcie zablokowano je pięciu zawodnikom Wisły Kraków: Jerzemu Jurowiczowi, Mieczysławowi Graczowi, Józefowi Kohutowi, Zdzisławowi Mordarskiemu i Józefowi Mamoniowi. Jaka to reprezentacja bez tych piłkarzy?

Oglądałem trzy przegrane „biało-czerwonych” w Warszawie i za każdym razem byłem zauroczony klasą Deaka, Egressiego, Grosicsa, Bozsika, Puskasa, Hidegkutiego, Kocsisa. Tym większą radość sprawiała każda bramka zdobyta przez Polaków. Celnie strzelali: Cieślik (2), Kohut, Mordarski i Alszer. Raz tylko w roku 1952, tuż przed Olimpiadą w Helsinkach, opuszczałem Stadion Wojska Polskiego z dużym niesmakiem. Nie tyle z racji przegranej 1:5, ile z iście groteskowego przebiegu tego spotkania. Przed przerwą Węgrzy zabawiali się z nami w kotka i myszkę i bez trudu strzelili Edwardowi Szymkowiakowi pięć bramek. Oficjalnie obwiniono za to młodego stopera Romana Korynta, przeto w drugiej odsłonie zastąpił go rutynowany Ewald Cebula. I stał się cud. Ślązak zaszachował węgierski napad! Co więcej, Walter Alszer zdobył gola, w efekcie uniknęliśmy katastrofy. To też cieszyło, ale...

Dobrze zorientowani, opuszczając stadion na Łazienkowskiej, lekko przy tym mrużąc oczy, mówili, że po przerwie wcale tak fajnie nie było. Węgrzy pofolgowali na gorącą prośbę kierownictwa naszej ekipy i pozwolili uzyskać w miarę przyzwoity końcowy wynik. Gorszy – mógłby skłonić decydentów z GKKF do wycofania naszej drużyny z Igrzysk Olimpijskich w Helsinkach. Z pobudek patriotycznych i wierności zasadom „czystej gry” długo nie wierzyłem w te opowieści. Przekręty na takim szczeblu? Dopiero kilka lat później red. Mieczysław Szymkowiak, który był wtedy

w SPN GKKF wiceprezesem do spraw szkoleniowo-sportowych, ujawnił mi całą prawdę. Gustav Sebes, Puskas i spółka rzeczywiście nam pomogli. No cóż, Polak – Węgier dwa bratanki...

W tej sytuacji wynik 1:4 w roku 1956 w Budapeszcie wydał mi się już mniej upokarzający i rodził jakąś nadzieję. Rychło jednak przekonałem się, że jest ona „matką głupich”. Kolejny mecz, w dniu otwarcia Stadionu Śląskiego w Chorzowie, nasi znowu przegrali i to z NRD 0:2. Miarka się przebrała. Nastąpiły cięcia w pionie szkoleniowym; Ryszarda Koncewicza w roli selekcyjera zastąpił Alfred Nowakowski. Współpracowali z nim trenerzy Artur Woźniak i Alojzy Sitko. Też nieudolnie. We Wrocławiu w meczu z Bułgarią przełomu nie było. Zamiast oczekiwanych zmian na lepsze, kolejna przegrana 1:2. Grzegorz Aleksandrowicz potraktował drużynę dość łagodnie, ja wyraziłem opinię, że **„Z pustego i Salomon nie naleje”**.

Wpadka z Bułgarią poruszyła zespół redakcyjny. Na pomeczowej „letuczce” przeglądowi antyfutboliści zmieszali nas z błotem. Mocno poraniło to redaktora Aleksandrowicza. Był już zdruzgotany niepowodzeniem reprezentacji, teraz dobili go „przyjaciele” z redakcji. Nie był w stanie zebrać myśli i w rezultacie nie napisał zapowiedzianego artykułu redakcyjnego. A był potrzebny, bo uznano, że nasze dotychczasowe opinie na ten temat nie są wystarczające. Poczuję się nieswojo. Przecież wytknąłem Nowakowskiemu błędy w składzie i chybioną koncepcję taktyczną, nisko oceniłem postawę zawodników. Cieślaka zganiłem za brak szybkości, a Kowala za egoizm. Widział na boisku tylko kolegów klubowych, Brychczego i Pohla, a zupełnie ignorował Machowskiego z Wisły i Nowaka z Szombierek. Nieco lepiej grali tylko: Szymkowiak, Masłoń, Korynt i Woźniak.

– To wszystko prawda i nawet dobrze się czyta – tak ocenili nasz wysiłek Leszek Cergowski i Marek Kuszewski – ale nie ukazują ogólnie złego stanu polskiego piłkarstwa. Trzeba zająć w tej sprawie bardziej krytyczne stanowisko, sięgnąć przyczyn tej przewlekłej choroby. Czytelnicy tego od nas oczekują.

Zespół przyłączył się do opinii Leszka i Marka. Zrodziło się teraz pytanie: - Kto ma to zrobić? I to szybko! Pan Grzegorz jeszcze nie doszedł do siebie, a Zmarzlik tak głęboko nie tkwił w futbolu. Marek Kuszewski nie miał wątpliwości:

– Jurek był we Wrocławiu, zna temat, niech się pokaże! Wyrazi zdanie w imieniu nas wszystkich...

Zbyt dużej ochoty na to nie miałem, bo też czułem się zmęczony. Przed powrotem do Warszawy zaciągnąłem Mieczysława Gracza i Franciszka Głowackiego do wrocławskiego niby – kasyna gry. Chciałem się zabawić na stole bilardowym. Obiecałem, że jak trafi się jakiś frajer i ogram go, to zabalujemy. Szło mi doskonale. Najpierw w „piramidkę” udzieliłem lekcji miejscowemu „mistrzowi”, a potem w „amerykanke” wygarbowałem skórę facetowi, którego w trybie nagłym ściągnięto do „meliny”. Chętnych było więcej, przeto kasa rosła, kieszenie pęczniały. Zapowiedziana kolacja we wrocławskim „Metropolu” była wyjątkowo wystawna.

To było wczoraj. Zbiegłem teraz z pierwszego piętra z gabinetu naczelnego, gdzie z reguły odbywały się „letuczki”, do pokoju, w którym pracowałem razem z Grzegorzem Aleksandrowiczem i Zygmuntem Weissem. Zabrałem niezbędne notatki i udałem się do hali maszyn. Motywacja i koncentracja zawsze były moją mocną stroną. Na kilkadziesiąt minut wyłączyłem się z otaczającego mnie świata, nie reagowałem na redakcyjny gwar, tylko pisałem i w miarę szybko wysmażyłem ten „redakcyjny

komentarz”. Ulga. Red. Aleksandrowicz przyjął to przychylnie, pozostali koledzy również. A czytelnicy? Jeden z naszych wytrwałych „sympatyków” z Łodzi od lat chlastał nas niemiłosiernie, ale tym razem był wstrzemięźliwy w ocenie. Pochwalił nawet główną tezę tekstu: **„Nie taki lub inny skład, lecz słabe umiejętności zasadniczą przyczyną porażek piłkarzy”**.

Pytałem: - „W czym mamy wybierać? W Lechii jedynym klasowym piłkarzem jest Korynt, sławy łódzkiego Włókniarza już dawno przebrzmiały, Wisła, od której oczekiwano odrodzenia, przegrała 0:12 z CWKS, Cieślik – as atutowy Ruchu jest dziś tylko swoim cieniem. Piłkarze z Opola grają – poza Jarkiem – jeszcze bardzo prymitywnie. Z próżnego i Salomon nie należy. Dlatego nie trzeba się dziwić, że skład na mecz z Bułgarią znowu oparto na szkielecie CWKS i... że znowu dostaliśmy baty... Jesteśmy słabi. Bardzo ubogi jest nasz piłkarski elementarz i nic nie robimy w tym kierunku, aby ten stan zmienić...

GINĄ TALENTY

I dalej: - Cóż zatem powinniśmy robić, aby wyjść wreszcie z impasu? Mecz z Bułgarią wykazał, że ani Koncewicz ani kapitanat nie zbawi naszego piłkarstwa. Przyczyny słabości tkwią głębiej. Zmiany personalne, ta czy inna obsada poszczególnych formacji naszej drużyny, nie są w stanie spełnić roli czarodziejskiej różdżki. Z braku wyboru zmuszeni jesteśmy obracać się zarazie w kręgu tych samych zawodników, z których już niewiele da się wykrzesać.

Nasze drużyny ligowe trenują ot tak sobie, aby mieć spokojny żywot w lidze. Rzadko komu prześwięca ambicja i chęć wybicia się,

przewyższenia rywala. Zaprawa w klubach ma charakter zła koniecznego. Nikomu nie przychodzi na myśl, że im solidniej trenuje się w dzień powszedni, tym łatwiej o sukcesy w dniu wielkiego święta. Brak konkurencji w klubie sprawia, że słynny „asior”, będąc nawet w słabej formie, ma pewne miejsca w pierwszej drużynie. Zniechęca to młodzież...

Nie bez wpływu na poziom drużyn i postawy zawodników są również mierne umiejętności fachowe trenerów. Wielu z nich nie ma zdolności pedagogicznych, inni znów posiadają zbyt skromny zasób wiedzy specjalistycznej. Potrafią oni doprowadzić zawodnika do pewnego poziomu – wyżej już nie. Umiemy nieźle pracować z juniorami, ale nie jesteśmy w stanie wyszkolić dobrych seniorów. Potem pytamy: - Dlaczego giną talenty? Nie są to nowe i oryginalne poglądy, ale wszystkie te prawdy znalazły potwierdzenie w meczu z Bułgarią. Nowa ekipa, która wkrótce dojdzie do władzy, musi wreszcie wziąć się do rozumniej i konsekwentnej pracy”.

Aż się wierzyć nie chce, że są to wybrane fragmenty komentarza sprzed ponad półwiecza... Czytelnicy w listach do redakcji i korespondenci terenowi z całej Polski główną uwagę skupili na stwierdzeniu: „*Nowa ekipa, która wkrótce dojdzie do władzy...*” Potraktowano tę sekwencję szeroko, daleko wykraczając poza sytuację w futbolu. Po czerwcowych „wydarzeniach w Poznaniu”, mimo że premier Józef Cyrankiewicz groził zastosowaniem barbarzyńskiego prawa Hammurabiego wobec tych wszystkich, którzy odważą się „podnieść rękę na władzę ludową”, ruszyła lawina protestów. Domagano się zrzucenia krępującego społeczeństwo gorsetu zniewolenia. Odradzała się nasza tożsamość narodowa, potęgowało dążenie ludzi pracy

do godziwego życia. W piłkarstwie szczególnie lata 1950 – 1956 poważnie opóźniły odrabianie wojennych zaległości w stosunku do Europy Zachodniej. Zły był system, wadliwe struktury, skrępowana samodzielność Związku. Wiedzieliśmy o tym od dawna, ale byliśmy bezsilni.

Nadzieję na przewrócenie choćby namiastki normalności, odbiurokratyzowanie administracji i powrót do działalności społeczników, odsuniętych, uwięzionych lub zesłanych na „białe niedźwiedzie”, zrodził szybko zbliżający się Polski Październik. Zryw wolnościowy w Poznaniu trafił więc na podatny grunt również w sporcie. Kluby i okręgi wypowiedziały się za koniecznością zmian. Temat „rozhanków z przeszłością” i naprawiania „błędów i wypaczeń” podjęła prasa, w tym również „Przegląd Sportowy”. Jednoznacznie podkreślono konieczność „przewietrzenia naszego piłkarskiego domu”. Z katorgi zaczęli wracać działacze. W Cracovii znowu persona grata był dr Józef Lustgarten. Jego dramatyczną „polską drogę” i 17 lat tułaczki opisałem w miesięczniku PZPN „Piłka Nożna”. Doktor niechętnie mówił o swoich cierpieniach, bez rozgłosu wznowił działalność w ukochanym klubie. Rychło więc Cracovia wyniosła Józefa Lustgartena do rangi Honorowego Prezesa, a GKKFiT wyróżnił odznaką Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej. W roku 1959 PZPN nadał doktorowi praw tytuł Honorowego Członka PZPN.

Wierchuszka fizykultury „poczuła pismo nosem”. Błatowaniem niepokornych usiłowała ratować swoje pozycje. Na gruncie upokarzającego społeczników systemu totalitarnego, rządów naczelników i niekompetentnych nadzorców, obiecywano odrodzić niektóre formy działalności PZPN z okresu międzywojennego

i pierwszych lat po 1945 roku. Puste słowa. W tym systemie związkom i klubom nie da się uniknąć upokarzającej usłużności wobec GKKF, ograniczonej samodzielności i braku inicjatywy, krótko mówiąc niedemokratycznych form organizacji i zarządzania sportem. Tu potrzebne są radykalne zmiany, a nie kosmetyka dyktatu. Kierownictwo SPN GKKF trwało w obronie narzuconego porządku, ale już w czerwcu 1956 roku zaczęło przebąkiwać o planach decentralizacji. Szef resortu, Włodzimierz Reczek, tak to nakreślił:

- Sekcja centralna powinna kierować całością spraw piłkarskich, a sekcje terenowe być gospodarzem u siebie... Czy to realne? Tak, ale będzie to dłuższy proces.

To kunktatorskie oświadczenie nie zadowoliło zwolenników szybkich reform. Władze sportowe nie ustawały w „zmiękczeniu” piłkarzy. Sekundował im CRZZ, szermował ogólnikami, w rzeczywistości niczego nowego nie proponował. Stawiał na dotychczasowe formy organizacyjne i przywileje niektórych zrzeszeń sportowych. Niezadowolenie narastało. W obawie przed opozycją, w piątek, 21 września w siedzibie Stołecznego KKF na Rozbrat obrońcy starego porządku zorganizowali tajną naradę. Bez udziału prasy i delegatów z terenu. Coś się święci, ale co?... Wreszcie rzeczowa krytyka biurokratów i zapowiedź oczekiwanych zmian, czy znowu mydlenie oczu?

Dzień później, w sobotę z inicjatywy działaczy piłkarskich Warszawy, Łodzi, Krakowa i Gdańska w Pałacu Chodkiewiczów odbyła się już otwarta dla dziennikarzy Krajowa Konferencja Piłkarska („PS” reprezentowali Jerzy Zmarzlik i Jerzy Lechowski). Sekretarz SPN GKKF, kapitan MBP – Henryk Kraft, znowu bezkrytycznie ocenił swoją działalność i kolegów z prezydium. Reformatorskie pomysły delegatów zignorowano.

Wystąpienie Krafta zakrawało na prowokację, dało sygnał do jeszcze ostrzejszej krytyki. Coraz głośniej zaczęto mówić o konieczności reaktywowania PZPN. Uwagi te z lekko zarysowaną skruchą przyjął tylko wiceprzewodniczący GKKF, Paweł Procek. Ale i jemu szło głównie o wygaszenie zaognionej sytuacji, a nie o realizację jakichkolwiek reform. To wówczas wyraził o sytuacji w naszym futbolu kuriozalną opinię, do dziś dość często i chętnie powielaną:

– Towarzysze! Macie rację, trzeba ostrzej... Piłka nożna nie ciul, od głaskania się nie podniesie. Ta dyscyplina wymaga lepszego szkolenia i więcej gier... Dobrych partnerów...

– Ale PPIS przeszkadza! – krzyknął ktoś z sali.

Ktoś inny dodał:

– Kiedy zlikwidujecie ten sztuczny twór? Sami potrafimy organizować mecze i turnieje...

Procek to wytrawny gracz polityczny, po raz drugi rozśmieszył, ale i wyraźnie podbudował mniej zorientowanych działaczy:

– Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Sportowych, towarzysze, będzie istniało tak długo, dopóki sami go nie zlikwidujemy. Jednak tak szybko nie da się złamać istniejących przepisów i form pracy. Na to trzeba czasu... Można jednak – i trzeba towarzysze – już dziś uzdrowić sytuację wśród sędziów. To teraz chyba najważniejszy temat, tymczasem nikt go na tej konferencji nie podjął...

Procek świadomie usiłował zainteresować dyskutantów typowym tematem zastępczym. Bądźmy jednak sprawiedliwi, znaczna część delegatów też nie potrafiła chwycić byka za rogi. Wnioski nie sięgały sedna sprawy. Na tej naradzie nie reaktywowano PZPN, ale silna dotychczas pozycja SPN GKKF zaczęła się kruszyć.

Wybrano nowe kierownictwo tej atrapy PZPN. Przewodniczącym został Stefan Glinka, były aktywista OM TUR, sędzia piłkarski, urzędnik GKKF i działacz PZPN już w latach czterdziestych. Miał nie lada problem do rozwiązania, delegaci złożyli na jego ręce 102 wnioski i domagali się szybkiej ich realizacji. W ramach tej samej struktury... Zaraz po wyborach z nowym przewodniczącym SPN GKKF przeprowadziłem wywiad dla „Przeglądu Sportowego”. Oto jego fragmenty:

– Muszę obiektywnie stwierdzić – powiedział Stefan Glinka – że naradę cechowała dość chaotyczna atmosfera. Zbyt duża nerwowość nie pozwoliła na dogłębne rozważenie palących zagadnień.

– Opinia społeczna jest rozgoryczona., Co zrobić, aby przywrócić zaufanie społeczeństwa do futbolu i jego kierownictwa? Co zrobić, aby było po prostu lepiej?

Przewodniczący Glinka miał kłopot z udzieleniem wiarygodnie brzmiącej odpowiedzi.

– Trzeba opracować nowy regulamin sekcji i dokładnie „rozpracować” wszystkie wnioski.

„Nowy regulamin sekcji”... Czyżby Glinka nie wierzył w odrodzenie PZPN? A może bał się publicznie wyrazić w tej sprawie własne zdanie? Pytam więc dalej:

– Jak zatem teraz powinna wyglądać praca Sekcji Piłki Nożnej GKKF?

– Długofalowy plan myślę opracować dopiero po rozmowie z przewodniczącym Włodzimierzem Reczkiem. Zamierzam zwrócić główną uwagę na tematykę szkoleniową. Trzeba sprowadzić kilku trenerów z zagranicy. Bez nich bowiem popchnąć pracę naprzód będzie nam bardzo trudno. Do kraju powinniśmy sprowadzać wyłącznie silne drużyny, bo tylko od lepszych można się czegoś nauczyć.

Wcześniej podobne myśli wyraził już nasz GKKF-owski bohater, Paweł Procek. Miał widać dobre układy z Bundeslidze, bo w roku 1956 na dwa mecze do Polski sprowadził czołową wówczas drużynę RFN, Fortunę Duesseldorf. Oglądałem jej oba występy - remisowy z Ruchem w Chorzowie (3:3) i wygrany z ŁKS w Łodzi (2:1). Wielkich nazwisk nie było, ale gra przyzwoita, wyróżniał się zwłaszcza Jupp Derwall, późniejszy selekcjoner zachodnio-niemieckiej reprezentacji. Psioczyłem na Polaków: **„Pryśł jak sen, wielki polot i fantazja łódzkiego napadu. Wystrzelał gdzieś cały zapas amunicji. A Ruch? Jeśli gra dobrze Cieślik, to gra dobrze cały Ruch”**.

Nie to jednak zaskoczyło „świadka koronnego”. Przede wszystkim swoboda i radość z jaką Paweł Procek niezłym autokarem podróżował z Niemcami po kraju. Popijał z nimi piwo i śpiewał znaną z czasów okupacji marszową piosenkę „Wenn die rote Rosen bluehen”. To już był dla mnie szok, ale jeszcze większy przeżyłem na Śląsku. Piłkarzy Fortuny witano tam kwiatami i z taką pompą, jak przed laty Ruch po powrocie z Warszawy, gdzie zdobył mistrzostwo i Puchar Polski. Obmacywano autokar rękami, ruszono za nim w pościg. Czuję się nieswojo, bo ja też tam byłem...

Prockowi udało się sprowadzić do Polski również brazylijską drużynę Athletica Portuguesa. Szóstego czerwca 1956 roku, w środę, a więc w powszedni dzień pracy piłkarze znad Rio okazali się niezwykłym

magnesem dla kibiców z całej Polski. Na Stadion Dziesięciolecia zjechało 70 tysięcy widzów. Tramwaje i autobusy przepełnione, winogronka na zewnątrz pojazdów, tłok jak się patrzy, nawet samochodem fotoreportera Mietka Szymkowskiego trudno było dojechać nad Wisłę. Nikt jednak tej „drogi przez mękę” nie przeklinał. Z satysfakcją opisałem to spotkanie. Obie drużyny, a z naszej strony była to Legia w najsilniejszym składzie, zademonstrowały piękne widowisko. Wygrali wojskowi 2:1 (gole: Kempny i Pohl), ale czarni goście z drugiej półkuli też uraczyli grą, po której palce można było lizać. Jak piękne są wspomnienia... Gdzie dziś na krajowych boiskach można się rozkoszować takim kunsztem technicznym?

Poziom tego spotkania zdecydowanie przewyższał wypociny reprezentacji w krytycznym meczu z Bułgarią i trudną do wybaczenia kompromitację w spotkaniu z NRD. Wygrana Legii nieco udobruchała piłkarską społeczność, ale nie była w stanie osłabić kursu na „odwilż” i demokratyzację. Tymczasem funkcjonariusze MBP wyłapywali uczestników i świadków czerwcowych wydarzeń w Poznaniu. Dotarli nawet do naszej redakcji przy Alei I Armii WP 11. Akurat w czasie poznańskiego zrywu Michał Kierczyński Wielkopolanin od urodzenia i ja Mazowszanin, zwiedzaliśmy targi. To już było podejrzane. Emisariusze z Warszawy?...

ZACZĘŁO SIĘ W POZNANIU...

Ja jednak wprost z targów udałem się na urlop, Michał oczywiście odprowadził mnie na dworzec, ale zaraz potem dołączył do kolegów z Pleszewa studiujących w Poznaniu. Spotkali się w jakiejś bursie przy

ulicy Matejki. Stąd znowu pomaszerowali na tereny targowe. A tam, co krok to milicjant w mundurze lub konfident w cywilu. Legitymowali każdego, studentów z Pleszewa i Michała również. Kierczyński, mieszkający teraz na stałe w Warszawie, wydał im się najbardziej podejrzany. Może to rzeczywiście wicherzyciel celowo nadesłany do Poznania ze stolicy? „Zwinęli” więc Michałka i z dużą grupą, podobnie jak on zaskoczonych, popędzili na komisariat MO na Golęcinie. To bliskie sąsiedztwo znanego nie tylko w Poznaniu ośrodka sportowego „Olimpii” Poznań. Bez jedzenia i bez spania spędził tam mój kumpel 48 godzin. Czekał na przesłuchanie. Wziął go w obroty major, ale „nie znalazł winy”. Przepędził z posterunku.

Michał odetchnął z ulgą. Ale nie na długo. Przedstawiciele ludowej władzy, tym razem wyłącznie w cywilu, niepokoiłi go teraz w Warszawie. Był czas letniej kanikuły, w redakcji pustki, naczelny Strzelecki na urlopie, Michał też gdzieś hulał po Polsce. Funkcję szefa „PS” przejął Jerzy Zmarzlik. Ja wróciłem z wakacji, bo zbliżał się nowy sezon piłkarski. Funkcjonariusze z MBP uporczywie wypytywali zastępcę naczelnego o powiązania Kierczyńskiego z... „poznańskimi wicherzycielami”. Zdziwiony Zmarzlik najpierw jakby sam siebie, a potem nieproszonych gości, zapytał:

– Kierczyński, wicherzycielem?... Panowie, chyba pomyliliście człowieka... Michał to chodząca flegma, żeby nie powiedzieć dupa. I taki oferma miałby odwagę podnieść rękę na władzę ludową? Ręczę za niego i jego prawomyślność. To spokojny ZMP-owiec!...

Zmarzlik, miał to w sobie, oczywiście nadmiernie ubarwił osobowość Michała i mocno przesadził z tą jego pozorną ślamazarnością. Bo oto w październiku, gdy na wiec z udziałem Władysława Gomułki na Plac Defilad ciągnęła niemal cała Warszawa, Kierczyński zwołał nasz

zespół na Plac Unii Lubelskiej. Było to blisko, najwyżej 200 metrów od redakcji, więc bez sprzeciwów poddaliśmy się woli „wichrzyciela”. A tam cała rzesza zwolenników Gomułki. Wmieszaliśmy się w tłum i pieszo Marszałkowską powędrowaliśmy do centrum Śródmieścia. „Wiesław”, podobnie jak niedawno w Moskwie Nikita Chruszczow, potępił stalinizm i kult jednostki. Skojarzyliśmy to z sytuacją w naszej redakcji. W środowisku epitetem „Jednostka” obrzucano naszego naczelnego....

Wystąpienie Gomułki zachęciło do ofensywy również środowisko sportowe. W piłkarstwie pierwsi na barykady wspięli się sędziowie: Grzegorz Aleksandrowicz, Julian Mytnik, Józef Kowol, Włodzimierz Storoniak, Edward Budaj i inni. Apelowali do kolegów:

... „W całej Polsce odbywają się zebrania działaczy piłki nożnej, które przygotowują projekt nowej organizacji i ustalają zasadnicze kierunki pracy Polskiego Związku Piłki Nożnej. Wymaga to zmobilizowania wszystkich, którym na sercu leży dobro piłki nożnej, a więc i tych, którzy odsunięci przed kilku laty, musieli z żalem przypatrywać się niszczeniu ich wieloletniego dorobku. Także tych, którzy – mimo wielu przeszkód, zakazów, często też cierpień doznawanych przez narzucony system – pracują w futbolu do dnia dzisiejszego”...

Jednak nadal działała (już pod kierownictwem Stefana Glinki) SPN GKKF. To nie zaspokajało ambicji ludzi futbolu. Wszak to atrapa PZPN! Pod wodzą Kazimierza Morawskiego z Krakowa ruszono na Warszawę. Praktycznie w każdym województwie domagano się likwidacji zrzeszeń, przywrócenia polskim klubom osobowości prawnej i dawnych (tradycyjnych) nazw. W kołach sportowych ożywienie, nastrój stanowczości. To był kamyk, który poruszył lawinę. Na sztandarach reformatorów pojawiło się teraz prawdziwie rewolucyjne hasło: REAKTYWOWAĆ PZPN!

W dniu 9 grudnia 1956 roku odbyło się plenarne zebranie Sekcji Piłki Nożnej GKKF. Stanowczo domagano się gruntownych zmian w piłkarstwie. Delegaci już bez owijania czegokolwiek w bawełnę, odważnie przemawiali i dowodzili, że tylko reaktywowany PZPN jest w stanie zerwać z obcym dyktatem i mądrze przeprowadzić niezbędne reformy. I stało się, Stefan Glinka w imieniu prezydium SPN przedłożył wniosek o odrodzenie PZPN. Sądzę, że decyzja zapadła gdzie indziej – w GKKF lub organach partyjnych. Tak czy inaczej atmosfera wielkiego święta, wybuch entuzjazmu. Owacjami na stojąco przyjęto oświadczenie Glinki. PZPN redivivus! Znowu mamy POLSKI ZWIĄZEK PIŁKI NOŻNEJ! Wybrano zarząd tymczasowy. Prezesem został Stefan Glinka, a sekretarzem Roman Giełda, obaj znani w naszym środowisku już w latach trzydziestych.

To była również dla mnie niecodzienna satysfakcja. Byłem tam, wiwatowałem i nie ukrywam tak, jak inni, też coś w tej podniosłej chwili wypilem. A w „Przeglądzie Sportowym” z dumą informowałem o tym historycznym wydarzeniu:

„Oficjalne wybory do zarządu PZPN odbędą się w dniach 16 i 17 lutego 1957 roku na Walnym Zgromadzeniu Związku. Zarząd postanowił reaktywować okręgowe związki piłki nożnej. Wszystkie postanowienia tymczasowego kierownictwa oparte są na statucie PZPN zatwierdzonym w 1948 roku. Z wielkim zdziwieniem i niezadowoleniem przyjęli zebrani nieobecność na tak ważnej dla piłkarstwa naradzie przedstawiciela GKKF. Czyżby tak istotne zagadnienie, reaktywowanie PZPN nie interesowało wiceprzewodniczącego tow. Procka odpowiedzialnego dotychczas za piłkarstwo z ramienia prezydium GKKF”?

❧ CZEŚĆ I ❧

NI PIES, NI WYDRA

W pałacu „księcia Józefa”
Tajemnice łódzkiego „Grand Hotelu”
Kulisy chorzowskiej wiktorii
Zemsta „Siwego”
Bałkański ślad
Dziennikarskie donosy
Strzały nad Bajkałem
Na deskach Follies Bergeres
Areszt na dworcu w Trewirze
Śląskie układy
Wieczór w haremie
Herbatka u Szewczenki

Wrzało w klubach i w terenowych sekcjach piłki nożnej. Dosłownie trzy dni po reaktywowaniu PZPN najgoręcej zrobiło się w Warszawie.

– Rozpada się CWKS! – roznosili wieści kibice. Mahselli, Kempny i Brychczy idą do Polonii Bytom, Szymkowiak do Zagłębia Sosnowiec, a Kowal i Pohl do Górnika Zabrze.

Co na to kierownictwo klubu? Oficjalnie oświadczone, że *„nie czyni się zawodnikom żadnych przeszkód w dokonaniu zmiany barw klubowych”* Dzień później (13.12) w świetlicy CWKS na Stadionie WP odbyło się zebranie przedstawicieli wszystkich sekcji. Postanowiono przywrócić nazwę LEGIA i oprzeć działalność klubu wyłącznie na działaczach społecznych. Największym entuzjastą tego pomysłu był pułkownik Kazimierz Malczewski, znany i aktywny także w PZPN. Fantasta. Legia i wyłącznie społecznicy?

W Gwardii i Polonii też fantazjowano. Obwieszczono, że w Warszawie powstanie wreszcie jeszcze jeden silny klub. „Przegląd Sportowy” przekonywał, że to nie Prima Aprilis, lecz świąteczna gwiazdka dla kibiców. Będzie fuzja Gwardii z Polonią. Mówiono i pisano o tym od dawna, a ja przypominałem dotychczasowe starania działaczy obu klubów o połączenie. To długa historia. Już raz, tuż po wojnie Polonia była klubem milicyjnym. Czy teraz jest to możliwe? Kibice pokrzykiwali: - *„Polonia znowu w I lidze. Najbliższe derby stolicy z Legią na Stadionie Dziesięciolecia!”*.

Urzednicy ze Stołecznego Komitetu Kultury Fizycznej niby też popierali ten pomysł, ale... nie pchali się przed szeregiem. Przeszła wiosna, lato, jesień, reaktywowano PZPN. Wtedy sprawa ponownie odżyła. W Polonii wyłoniono specjalną komisję i zobowiązano jej członków

do podjęcia z Gwardią konkretnych rozmów. Piłkarze poparli tę inicjatywę, do zjednoczenia klubów zachęcał Stanisław Szymaniak, persona dość ważna na Konwiktorskiej i w okręgu warszawskim. Jednak znaczna część działaczy nadal miała wątpliwości. Czy opłaci się skórka za wyprawkę? Armaty jakie na rzecz fuzji wytoczył Szymaniak, nie wypaliły.

Czas pokazał, że było to dobre zrządzenie losu. Polonia bez pukania do obcych drzwi i zbierania śmietanki z cudzego garnuszka stanęła wkrótce na nogi o własnych siłach. Dziś po raz drugi w swej historii może się pochwalić wywalczeniem mistrzostwa i Pucharu Polski. Gwardii – ulubieńca władzy z lat pięćdziesiątych – pozostały już tylko wspomnienia po „harpagonach”. Odrodzenie „Czarnych Koszul”, a właściwie przywrócenie Polonii jej dawnej nazwy i należnej pozycji w stołecznym i polskim futbolu, nastąpiło już w pierwszych dniach stycznia 1957 roku. Uczestniczyłem w tym wydarzeniu. Trudno to zapomnieć: entuzjazm działaczy i chóralne okrzyki POLONIA REDIVIVA! Brawa na stojąco. Ten i ów ma łzy w oczach, wszyscy skandują: - Hurra Polonia! – Orły do boju!...

Ten uroczysty, prawdziwie warszawski nastrój przerwał jednak niejaki pan Rakowiecki (co za zbieżność z ulicą Rakowiecką?) z sekcji narciarskiej:

– Strzeż się bracie Polonisto! – wrzasnął do zebranych. – Ten powszechny entuzjazm jest nieuzasadniony. Głosowanie przez akłamację jest nieważne, nieformalne! Tak nie można... Sprawę trzeba przemyśleć, przedyskutować... Nadal jesteśmy Kolejarem!

Prawdziwi poloniści nie mieli ochoty na jałowe dyskusje. To już nie te czasy. Zbyt długo czekali na tę chwilę radości, żeby teraz wysłuchiwać takich impertynencji. Rakowiecki nie dawał za wygraną, ale od początku

było wiadomo, że ten szalenciec pomylił miejsce i czas takich wystąpień. W tym gronie persona non grata. Zamknął wreszcie buzię i z niewielką gwardią przyboczną opuścił zebranie. Zaraz po tym incydencie wybrano nowego prezesa. Stanisław Frenkiel, nowy sternik klubu, z Polonią związany był już w latach międzywojennych. Działacz prawy, patriota, uczestnik Bitwy pod Monte Cassino. Kandydat bezwzględnie najlepszy i jedyny. Na Konwiktorskiej po latach zniewolenia, jednak nie do końca można było zerwać z przeszłością. Najgorsze miało, ale system trwał. Podjęto uchwałę o kontynuowaniu współpracy z zrzeszeniem, a później federacją „Kolejarz”.

Polonia Warszawa nie była pierwszym klubem w Polsce, który rozerwał odrażający gorset sportowego totalitaryzmu. Kilka dni wcześniej uczyniła to Warta Poznań, nieco później Legia. Ale wszędzie entuzjazm był taki sam. I nadzieja... W Poznaniu sporą rolę w przemianach odegrał eksreprezentant Polski, a wtedy jeden z naszych najwybitniejszych trenerów - Michał Matyas. Z niejednego pieca jadł chleb. Był doświadczony i kompetentny. Miał biznesowy rodowód. Jako były kapitalista z branży naftowej znał prawa wolnego rynku i wagę swobód obywatelskich. W kawiarence zakładów Hipolita Cegielskiego z pasją przekonywał mnie o konieczności wprowadzenia u nas – i to od zaraz – piłkarstwa kontraktowego.

...„Jeżeli zawodnik będzie wiedział, że za występ na boisku otrzyma taką samą zapłatę, jak za pracę w fabryce, wówczas dołoży wszelkich starań, by jak najlepiej wywiązać się ze swoich zadań i pod wpływem stale narastającej konkurencji nie stracić posady...”

Mniej więcej do połowy 1956 roku temat ten był w Polsce zakazany, a jeśli już się pojawił, to w ujęciu pejoratywnym. Tymczasem podczas

wizyty w Polsce RC Lens, nasz wtedy 19-letni rodak Marian Wiśniewski, na pytanie, co go zmusiło w tak młodym wieku do podjęcia zawodu piłkarza, odpowiedział szczerze i otwarcie:

– „Jestem już dorosły i piłkarsko na tyle dobrze wyszkolony, że mogę czerpać z tego określone korzyści. Tak, to mój zawód...”

Rozmówca oczekiwał zgoła innej odpowiedzi – przedstawiającej profesjonalizm w złym świetle. Jak można zarabiać na grze w piłkę nożną?! Nawet ciotka Mariana, którą wówczas odwiedził, nieświadoma sprawy - również nie bardzo się orientowała.

– To ty Marianku, to wszystko, co masz, zarobiłeś na tym swoim kopaniu piłki?

Zdziwiony Wiśniewski tylko spokojnie przytakiwał głową:

– Ależ tak, ciociu... W kopalni było by mi trudniej się wybić i odpowiednio się urządzić. Mam smykałkę do gry w piłkę nożną, więc chętnie się z nią zabawiam. Piłkarz? Zawód jak każdy inny, tylko znacznie przyjemniejszy. To teatr na świeżym powietrzu!

W połowie lat pięćdziesiątych ze zdumieniem i z niezrozumieniem przyjmowano to wyznanie: - „Zawód jak każdy inny”... W „Przeglądzie Sportowym” też długo na ten temat dyskutowaliśmy, zwłaszcza w pokoju „piłkarzy”. Programowo byliśmy „za”. Jeśli my, dziennikarze sportowi, zarabiamy na życie opisując talenty, pracę na treningach i często nieustępliwą walkę kopiących piłkę, to dlaczego twórców tego widowiska pozbawiamy możliwości korzystania z podobnych przywilejów? Jeśli przy każdej okazji mówimy, że futbol jest największym teatrem XX wieku, to dlaczego występujących w nim aktorów traktujemy jak hobbystów, a nie profesjonalistów?

Problemu zawodowstwa czy choćby piłkarstwa kontraktowego, nie poruszono jednak na głośnej w 1956 roku konferencji SPN GKKF z udziałem Pawła Procka. To nie była wtedy sprawa najważniejsza i właściwie rozumiana. W kuluarach, owszem – nawet dość głośno o tym mówiono, ale w konwencji „raka, który toczy nasz futbol” („tajne zawodowstwo”). Na forum publicznym – milczano. Dopiero „Przegląd Sportowy” piórem swojego naczelnego Edwarda Strzeleckiego, w artykule „NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY”, jednoznacznie wypowiedział się za jawnym wynagradzaniem piłkarzy za grę.

... „Nie jest zasadą – pisał – że sport zawodowy nie szanuje reguł szlachetnego, uczciwego współzawodnictwa, że w walce zawodowców stosuje się tylko niedozwolone chwyt, że wyniki spotkań są fabrykowane, że zawodowcem powoduje tylko chęć zysku, że nie ma on żadnych sportowych ambicji i chęci udowodnienia swojej wyższości. Wiele jest dowodów na to, że przeciwnie – sportowców zawodowych cechuje wysoka moralność... Mają oni oczywiście świadomość, że za pracę w sporcie dostaną pieniądze, ale motorem ich działania jest także poczucie godności, pragnienie wybicia się, zasłużenia na ludzkie uznanie i wdzięczność”.

„Przegląd Sportowy”, jego kierownictwo i poszczególni dziennikarze, taka jest powinność tego zawodu, jeszcze nie raz wyrażali swoje opinie o różnych złych stronach i ułomnych formach funkcjonowania sportu w warunkach „budowania podstaw socjalizmu”. Uwagi te przyjmowano krytycznie, często z oburzeniem. W ślad za tym co jakiś czas pojawiały się informacje, że lada dzień nastąpi zmiana kierownictwa pisma. Redaktorowi Strzeleckiemu przepowiadano to najczęściej, bo z jednej strony chętnych na tę posadę było wielu, a z drugiej – Edwarda traktowano jako potencjalnego wroga polskich entuzjastów chińskiej „rewolucji

kulturalnej”. Ostatecznie naczelny przetrwał do stycznia 1970 roku, choć już po „wydarzeniach marcowych” w 1968 krajowi hungwejbini szykowali dla niego dziennikarską szubienicę. Schyłkowy okres rządów Gomułki charakteryzował się nie tylko polowaniem na syjonistów. Szalała „czerwona gwardia” organizacji młodzieżowych.

Narazie wciąż jesteśmy na początku 1957 roku. W „październikowym klimacie” odrodziły się polskie związki sportowe. Pod tradycyjnymi nazwami działały już prawie wszystkie polskie kluby. Na Łazienkowskiej największą aktywność przejawiali członkowie sekcji piłkarskiej. W sobotę, 26 stycznia głośno o swoje prawa upomniała się historia. Legionowymi sztandarami znowu powiewali seniorzy: dr Stanisław Mielech, Józef Ziemian, Franciszek Cebulak, Ryszard Łysakowski, Józef Ciszewski, Edward Drabiński i Henryk Serafin. Wtórowali im współcześni: Edmund Zientara, Henryk Grzybowski, Jerzy Woźniak i spora grupka juniorów. Złożyli oświadczenie, że już na zawsze pozostaną wierni nazwie WKS Legia. Prezesem sekcji został płk dr Henryk Noworyta, a jego zastępcami Alfred Nowakowski i Józef Ziemian.

Panu Ziemianowi muszę poświęcić kilka szczególnie ciepłych słów. Niegdyś w parze z Henrykiem Martyną był podporą Legii, gdy określano ją jako drużynę „fochów i nastrojów”. Zaraz po wojnie wraz z przyjaciółmi z gruzów podnosił stołeczne piłkarstwo. „**Ja kocham Legię**” – tak dziś na Łazienkowskiej śpiewają kibice. Ziemian kochał ją już w latach trzydziestych i zawsze był jej wierny. Jak ojciec, dbał o młodych piłkarzy, zwłaszcza tych powoływanych do wojska. Mieszkali w barakach. Aniołkami nie byli. Krążyły o nich legendy przerastające ludzką wyobraźnię. Sporo pili, ale rzadko zakąszali. Radzili sobie nietypowo. Zabawiali się w rakarzy, łapali psy i tak, jak to do dziś

robią w Korei, przerabiali na gorące potrawy. Najsprytniejszy w tym niehumanitarnym procederze (sam mi o tym opowiadał) był Tadeusz Waśko. Raz nawet porwał pieska żony ówczesnego dygnitarza sportowego, Tomasza Lemparta.

– Droga pani – zagaił – psina nerwowo kręci ogonkiem, zapewne chce siku. Szanowna pozwoli, odprowadzę jamniczka na stronę, niech sobie ulży. Znam tu każdy krzaczek, zaraz wracam...

Nie wrócił. Psa stopiono na smalec. Jednak w Legii drugiej połowy lat czterdziestych, zwanej potocznie lwowsko-krakowską, największym kłopotem był brak mieszkań. Młodzi w barakach jakoś sobie radzili, tymczasem kapitan zespołu Kazimierz Górski z żoną Marysią przy ulicy Dmochowskiego gnieździł się w niewielkiej klitce z dziurami w suficie i mokrymi ścianami. Górski już był bliski przejścia do Syreny, dostał nawet jak na tamte czasy wprost luksusowe mieszkanie na Lesznie, ale z Legii nie odszedł. W tej sytuacji najpóźniej po upływie roku musiałby opuścić służbową kwaterę. Wtedy właśnie do akcji wkroczył pan Ziemiański. Uwielbiał Kazia:

– Koniecznie chciałem go zatrzymać, był moim pupilem – opowiadał po latach. – Zresztą, nie tylko Kazia, także Skromnego, Sąsiadka, Serafina... Państwo Kucharowie i Walek Kisieliński też nie mieli gdzie mieszkać. Wpadłem więc na pomysł zbudowania klubowej bursy...

Było to w czasach, kiedy na ulicach Warszawy słyszało się złośliwe przyśpiewki:

– Zbudują za sto latek
Dla wnuków i dla dziątek
A życie z winy BOS-a
Przejdzie nam koło nosa.

Biuro Odbudowy Stolicy miało decydujący głos w opiniowaniu społecznych inicjatyw i próśb obywateli chętnych do indywidualnej naprawy zburzonych domów. Józef Ziemian uzyskał na to zgodę dość szybko. I wziął się do dzieła. Przy zbiegu ulic Łazienkowskiej i Czerniakowskiej, dziś jest tam sztuczne lodowisko Torwar, wykupił jakąś zburzoną chałupę, kazał ją wyremontować i tak powstała legionowa bursa. Bywałem w niej dość często. Z dala rzucała się w oczy czerwona cegła, a w górze, na dachu – błyszcząca blacha. Klubowi lokatorzy żartowali, że teraz będą mieszkać w „Pałacu pod Blachą”. I aby to miało odpowiedni wydźwięk historyczny nazwali darczyńcę Ziemiana „księciem Józefem”... Mieszkanka skromne, bez wygód, niewielkie, ale nawet w jednym małym pokoiku państwo Górscy czuli się jak u Pana Boga za piecem. Przyjmowali nawet gości, rzecz rozumiała głównie tych z „Pałacu księcia Ziemiana”.

W roku 1957 pan Józef, nieskromnie powiem, że i mnie okazywał jakąś cząsteczkę ciepła swojego serca, starał się jak tylko potrafił, aby nie dopuścić do rozpadu Legii. Najbardziej zależało mu na Brychczym. To był jego drugi idol po Górskim. Wiercił więc dziury w brzuchu ojcu Lucka, żonie i samemu piłkarzowi:

– Nie róbcie głupstw! Zostańcie!...

Ziemian, z tego co wiem., przemawiał nie tylko do rozsądku, lecz także do kieszeni. Jego wysiłki gorąco popierał trener Koncewicz.

– Szymkowiaka, Kowala i Pohla – ubolewał – już nie da się zatrzymać w Legii, ale „Kiciego” trzeba ratować. Może nawet nie tyle dla klubu, ile dla niego samego, dla jego talentu. Na Śląsku wraz z „Epim” i Ernestem znowu mógłby popaść w złe towarzystwo...

Brychczy pozostał w Legii i jest w niej do dziś. Ponad pięćdziesiąt lat! Kempny grał jeszcze rok, a Mahselli do końca kariery. Ostatecznie

odeszli tylko: Szymkowiak, o którego na Śląsku walczyły trzy kluby oraz Kowal i Pohl. „Szymka” zastąpił Bem, natomiast Kowala i Pohla Stefan Żmudzki i Mieczysław Kruk. Nieźli piłkarze, ale skala ich talentu była znacznie mniejsza. W Zabrze zapanowała radość z pozyskania niedawnych tuzów Legii. Teraz w napadzie Górnika będzie pięciu reprezentantów Polski: Pohl, Kowal, Jankowski, Lentner i Wiśniowski. Rezerwa też mistrzowska: Fojcik, Czech, Szalecki i... Gawlik.

Na pierwsze treningi Górnika z różnych stron Śląska, głównie z Bobrka rodzinnej miejscowości Kowala i Pohla z Rudy Śląskiej, ciągnęły do Zabrze pielgrzymki wiernych futbolowi, niczym wyznawcy Mahometa do Mekki. Wzmocnieniem dla „kombajnu z Zabrze” okazało się również zatrudnienie węgierskiego trenera, Zsoltana Opaty. To ten sam, który w roku 1924 na Olimpiadzie w Paryżu w meczu Węgry – Polska 5:0, zdobył dla zwycięzców dwie bramki. Trener i jego piłkarze nie zawiedli. Rok 1957 był udaną zapowiedzią długiej historii sukcesów Górnika w rozgrywkach ligowych i o Puchar Polski.

Ten pierwszy tytuł spadł na Zabrze niemal jak gwiazdka z nieba. Na Śląsku wyżej ceniono Ruch, w Warszawie nadal stawiano na Legię, dobrze grał ŁKS. Jednak największym faworytem była Gwardia. W pewnej fazie rozgrywek „harpagony” miały już 8 punktów przewagi nad „górnikami” przez złośliwców nazywanych też „Rycerzami wielkanocnego stołu”. To ze względu na skłonności zabrzeńców do biesiadowania. Mieli mocne głowy, zdrowe organizmy, więc te uciechy rzadko kiedy im szkodziły. Raz tylko w trzeciej kolejce rundy wiosennej słabości te obnażył ŁKS. Co ciekawe, stało się to w Zabrze i gdy łodzianie grali w „dziesiątkę”. Mimo to rozgromili rywala aż 5:1. Cztery gole zdobył Stanisław Baran, a piątego Władysław Soporek.

KRÓL „RYCERZY WIOSNY”

Ten sensacyjny wynik zszokował redakcję. Jak to możliwe? W tym właśnie tkwi cały urok piłki nożnej, jej ogromny ładunek emocji, nieobliczalności, zaskoczenia. Ale czy aż do tego stopnia? Niedziela 7 kwietnia 1957 roku przejdzie do historii naszej ligi. W tym dniu niespodzianek było więcej, między innymi Legia przegrała z Lechią Gdańsk 0:1. To jednak nie ta skala przeżyć co w Zabrzu. Red. Zmarzlik, wielki fan Zagłębia Sosnowiec, za innymi ligowcami nie przepadał, ale wyczyn ŁKS i na nim wywarł ogromne wrażenie.

– Grzesiu! – z podniesionym głosem wpadł do pokoju redakcyjnych piłkarzy. – Mam już super tytuł do wiktorii łodzian w Zabrzu: - **Panowie, kapelusze z głów! Tak grają „Rycerze Wiosny!”**. A ty Juruś – zwrócił się do mnie – jutro z samego rana jedź do Łodzi. Pamiętaj, pozdrów Staszka Barana. To mój rówieśnik!... A wciąż strzela bramki. Ma prawie czterdziestkę na karku. Ligowy Matuzalem...

Do Łodzi jeździłem dość często i chętnie, bo zawsze coś mnie do tego miasta ciągnęło: przyjaciele, dobrzy dziennikarze i piłkarze, serdeczność kibiców. Rodowód mam warszawski, ale sporo lat mieszkałem w Skierniewicach, dokładnie w połowie drogi ze stolicy do Łodzi. Sympatie starałem dzielić po równo. W latach licealnych nieco częściej jeździłem na mecze do Warszawy, ale ŁKS też był mi bliski. Zaraz po wojnie podziwiałem grę nieustępliwego rutyniarza, Wacława Pegzy. Wzrostem nie mógł zaimponować, ale doświadczenie i zmysł taktyczny miał niecodzienny. Później słynne trio bombardierów Baran – Hogendorf – Łącz pobudzało sportową wyobraźnię. W gimnazjum

„Prusa” recytowaliśmy o nich nieudolne, ale w treści szczerze wierszyki:
 – *Ach te Łącze, Hogendorfy i Barany! Ten nasz napad ukochany!...*

Na mecz ŁKS z Rapidem Wiedeń niegdyś bastionem austriackiego „Wunderteamu”, drużynysłynącejze „zwycięskiego ostatniego kwadransa”, namówiłem nawet redaktora naczelnego. Jechałem samochodem jak panisko. Była feta, „Rycerze Wiosny” wygrali 2:1 i to oni, a nie goście byli lepsi na finiszu. Wcześniej nie udało się to ani Ruchowi, ani Wiśle Kraków. Po tej wiktorii „chłopców Władysława Króla” (mecz odbył się środkiem tygodnia) kibice radośnie wyrażali swoje uczucia i plany na weekend:

A w niedzielę, z tą piosenką

Pójdę sobie na spacer z panienką.

Tak beztrosko, tak bez celu.

Przez Piotrkowską na wprost „Grand Hotelu”...

Wkrótce znowu wybrałem się do Łodzi, tym razem na „mecz prawdy” ŁKS – Gwardia. „Rycerze Wiosny” kontra „Harpagony”! Warszawiacy długo byli niemal murowanym kandydatem do tytułu mistrza ligi. Pretendent jednak się potknął, natomiast ŁKS znowu błysnął. Wykazał „łódzki charakter”, czym dwadzieścia lat później imponował Widzew. Do przerwy strzał Jana Gawrońskiego dał Gwardii prowadzenie 1:0. Nic to, łodzianie w drugiej połowie jeszcze bardziej zwarli szeregi i wygrali 2:1. I znowu, tak jak z Rapidem, bramkę decydującą o zwycięstwie zdobył Baran. Trenerem ŁKS był Władysław Król, autentyczny przywódca „Rycerzy Wiosny”, ale wcale się tym nie zachłystywał. Uważał, że prawdziwym KRÓLEM Łodzi, Piotrowskiej i Grand Hotelu jest Stanisław Baran.

Było to ulubione miejsce spotkań piłkarzy, działaczy, kibiców i dziennikarzy. Uważano tamtejszą kawiarnię i restaurację Grand

Hotel za wymarzony kącik do dyskusji o futbolu i ukochanym klubie. W reprezentacyjnej sali „Malinowa” do rozmów na tematy piłkarskie włączali się nawet kelnerzy. Goście niekiedy psioczyli, że za długo czekają na posiłki, często, że otrzymują już chłodnawe, ale kiedy ganiony kelner uprzejmie się skłonił i szepnął do ucha: - Sorry, dziś znowu ŁKS wygrał, każdy wybaczał. Znany aktor, głównie z przedwojennych komedii – Władysław Walter, prosił wtedy o szczegóły. Pytał ile było i kto strzelił gole.

Po meczu ŁKS – Gwardia i ja pojawiłem się w Grandzie, choć w dużej mierze z konieczności. Z winy poczty aż 90 minut czekałem na telefoniczne połączenie z redakcją. Sprawozdanie nadałem, ale uciekł mi ostatni pociąg do Warszawy. W „Malinowej” najpierw do śledzika w śmietanie zamówiłem „pięćdziesiątkę”, a potem strogonowa i piwo. ŁKS-iacy już dawno byli po kolacji, teraz tańczyli i śpiewali. Do mojego stolika przysiedli się Henio „Burza” Szczepański i właśnie Stanisław Baran. Zamówili „kolejkę” i gadu, gadu o lidze.

– Będziemy mistrzem Polski! – zapewniał Szczepański

– Heniusz – tonował „Burzę” Staszek – to nie będzie takie proste. Fakt, Gwardię opuściło szczęście, ale... to dobra, dynamicznie grająca drużyna...

Orkiestra odpoczywała po odegraniu bardzo wtedy popularnego tanga „Siwy włos”. Wykorzystał to „Burza”, usiadł przy fortepianie, uderzył w klawisze, przechylił głowę w kierunku Barana i zaintonował:

– Que cera, cera...

Co będzie pokaże czas...

Sala to podchwyciła, Staszek i ja również. Baran lubił i umiał śpiewać, a ja jeszcze nie zapomniałem grać na akordeonie. Żadnemu z nas słoń

nie nadepnął na ucho. Reporterska żyłka wzięła jednak górę nad zabawą. „Przegląd Sportowy” wprowadził niedawno rubrykę **„Gdy po ligowej niedzieli przychodzi poniedziałek”**. Trzeba wykorzystać to spotkanie w Grandzie. Będzie gratka dla czytelników...

– A co myśli pan o składzie na mecz z ZSSR – znienacka zapytałem Barana. – Nasi korespondenci z całej Polski sugerują, aby łódzki lider znowu zagrał w reprezentacji...

– Prywatnie mogę redaktorowi powiedzieć, że w obecnej reprezentacji zmian nie wymagają jedynie dwie pozycje. Reszta jest milczeniem... Ja? Z ruskimi chętnie bym zagrał, ale aż tak wygórowanych ambicji mieć nie mogę. Za słaba kondycja... Tylko pod bramką nadal wiem, co z piłką zrobić.

Zabawa trwała. Poprosiłem orkiestrę o moje ulubione tango „Powróćmy jak za dawnych lat”. W „Manewrach miłosnych” niezapomniany duet Tola Mankiewiczówka - Aleksander Żabczyński pokrzepiał zakłopotane serca: - *I w życiu może zdarzyć się cudowna baśń...* Potem było tango „Milonga” Jerzego Petersburskiego, jedno z czternastu najpopularniejszych na świecie, przebój Mariniego „Nie płacz, kiedy odjadę”, tuwimowska „Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic” i tuż przed świtem, już na pożegnanie marsz z filmu „Most na rzece Kwai...”. Kilka godzin później wszystko to opisałem w „PS” i zatytułowałem **„Ze Staszkiem Baranem w Malinowej do białego rana”**.

Podobno szczęście sprzyja lepszym. Ale czy w sezonie 1957 wtedy jeszcze mało doświadczony Górnik był rzeczywiście lepszy od Gwardii, ŁKS i Legii? Szczęście jednak miał. Najbliżej tytułu była Gwardia, ale przegrała mistrzostwo na własne życzenie. W Warszawie, na Stadionie Dziesięciolecia, gdzie czuła się najlepiej, dosłownie na finiszu rozgrywek

uległa Lechowi Poznań 0:1. Jeszcze raz dał o sobie znać Teodor Anioła. Miał już trzydziestkę na karku, ale nadal dynamit w nogach. Mógł przebierać w klubach, jednak Lecha nigdy nie zdradził. Zdobył bramkę li tylko pocieszenia – Lech i tak spadł z I ligi. A o Gwardii z przekąsem napisaliśmy „Najlepiej grała orkiestra...”

W Gwardii więc żałoba, a w Górniku niecodzienne święto. Kropkę nad „i” postawili zabrzanie w ostatnim meczu ligowym z Odrą Opole. Wynik 8:1 pokazał, co naprawdę wart jest nowy mistrz. Po tej wiktorii w zabrzańskim hotelu „Prezydent” przy kawie i małym koniaczku rozmawiałem z trenerem Opatą. Był wniebowzięty. Chwalił piłkarzy i był dumny z siebie.

– Pohl? Prawdziwy strzelec wyborowy! To, co naprawdę potrafi, pokazał właśnie w meczu z Odrą Opole. Strzelił cztery z ośmiu zwycięskich bramek. Nie mogę pojąć, dlaczego nie zagrał w meczach ze Związkiem Radzieckim.

W Zabrze cieszą się z daru niebios, natomiast w Warszawie, Sosnowcu, Bytomiu i Chorzowie pomstowano na zły los. Zwłaszcza na Śląsku tyle sobie obiecywano, a tu kłapa na całej linii. Byłem tam zaraz na początku stycznia 1957 roku. W Zagłębiu miny markotne. Szymkowiak, któremu już przewieziono meble do ładnego mieszkania nad Brynicą, ostatecznie wylądował w Bytomiu. W Chorzowie poinformowano, że „Ruch montuje atomową jedenastkę”. To też były plany na wyrost. Fakt, z Legii wrócił Mieczysław Siekiera (Siemierski), z Kolejjarza Katowice pozyskano Prutka, autentycznego kelnera z restauracji „Monopol”, ale już z transferu Józefa Gałeczki wyszły nici. Chybione okazały się również zapowiedzi o powrocie Edwarda Szymkowiaka.

CDN

Pierwsze „zmiany barw” (to określenie zastępowało trudne do strawienia słowo „transfer”) były kłopotliwe. Tu i ówdzie przypominały międzywojenne kapernictwo lub do niedawna powszechnie potępianą samowolę klubów wojskowych. O ile jednak w Warszawie powoli zaczęto wyczuwać klimat nowych czasów, o tyle w Krakowie, ściślej mówiąc w tamtejszym OWKS, jeszcze nie dostrzeżono, że podważona została wszechpotęga klubów w zielonych mundurach. Podczas pobytu na Śląsku natknąłem się na głośny wówczas „casus Gajda”. Dokładnie 1 lutego 1957 roku przelałem to na papier. W mini-farsie pt. „**Oto jak się kaperuje**” w kilku odsłonach przedstawiłem nie malejące umiłowanie klubów wojskowych do praktyk z epoki SPN GKKF:

... „Do rodzinnych Lipin wrócił z wojska smukły, o blond włosach środkowy napastnik Norbert Gajda, Wrócił, ale... tylko na miesiąc. Dlaczego? Krakowski OWKS zastosował wobec młodego piłkarza wypróbowaną metodę sprzed „października”. Wbrew woli Gajdy, przedłużył mu służbę wojskową jeszcze na jeden rok. A było to tak:

Kapitan Dwernicki (OWKS): Gajda nie musi wracać do Lipin. Jest nam potrzebny. Damy Norbertowi w OWKS takie warunki, że będzie mógł pomóc ojcu i nim się opiekować. Bez Norberta mogła by się rozpaść nasza drużyna.

Gajda (Ojciec): - Sprzeciwiam się, ja chcę mieć syna w domu!

Dwernicki: - Sam kiedyś powiedział, że chce grać w Krakowie...

Gajda (syn): - Ale skądże! Już wam raz mówiłem, że chcę wracać do Lipin.

Dwernicki: - W takim razie piszcie podanie do Warszawy. Zresztą, panie Gajda, po co tyle zachodu. Chodzi panu o pieniądze, kurację...

To się da załatwić. Dobra pensja, mieszkanie, sprowadzimy narzeczoną, będzie pracować u krawcowej...

Gajda (ojciec): - Dziękuję... żadnych obietnic nie przyjmuję. Miejsce syna jest w Naprzodzie...

W całości przeczytał to ppłk. Tadeusz Przyłipiak wówczas „szara eminencja w Legii. Zadzwoił do redakcji:

– To nie tak! Po co pisać do Warszawy?... My nie mamy z tym nic wspólnego. Przecież postanowiliśmy, że w przyszłości każdy wojskowy klub sportowy, nawet centralny będzie bazował na własnych wychowankach. W Krakowie już powinni o tym wiedzieć.

Jak zapewnienie Gajdy seniora i oświadczenie Przyłipiaka miały się do rzeczywistości? Przez jakiś czas Norbert rzeczywiście grał w Lipinach, ale Naprzód nie był w stanie nawet w części zapewnić mu takich warunków, o jakich bajdurzył kapitan Dwernicki. Życie wymusiło sprzeniewierzenie się deklaracji o przywiązaniu do rodzinnego domu i umiłowaniu barw klubowych. Wkrótce Gajda junior przeniósł się do Odry Opole, skąd przebił się do reprezentacji Polski. Jeden z masowo wtedy ginących talentów został uratowany.

Zagłębie zabołały nie tylko nieudane transfery. Od momentu awansu piłkarzy do I ligi praktycznie nie liczono się tam z pieniędzmi. Szastano forszą na lewo i prawo. W styczniu zabrakło jednak złotych na pozyskanie Edwarda Szymkowiaka. Kto się dobrał do kasy? Reaktywowano Zagłębiowski Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Nad Brynicą było to teraz najważniejsze – wyrwano się wreszcie spod niewygodnej kurateli Śląska. Już we własnym domu zaczęto urządowanie od robienia porządków w klubach. Na pierwszy ogień poszedł pupil Sosnowca. I wybuchła bomba: - Ogromny deficyt w kasie Stali! – pisano w śląskiej prasie.

Po przyjeździe do Warszawy tymi szokującymi informacjami podzieliłem się przede wszystkim z zastępcą naczelnego, Jerzym Zmarzlikiem.

– Co robić? – niepewnie zapytałem. – Opisać to wszystko?

– Oczywiście! W Sosnowcu nie mają nic do ukrycia.

Czy aby na pewno?. Własny komentarz do tej sprawy podbudowałem fragmentem klubowego sprawozdania:

...„Potrafiono znaleźć pieniądze na motocykle, wyjazdy zawodników z żonami na obozy i mecze, ale nie zdołano zapewnić młodzieży podstawowych środków dla rozwoju klubowego współżycia i koleżeństwa, nie mówiąc już o szkoleniu własnego narybku!”

Pytano, kto ponosi za to winę? Nie było takiego... Dopiero jeden z dyskutantów powiedział z rozbrajającą szczerością: - „Ogromny dług obciąża wszystkich członków koła”. Wszystkich? Czyli nikogo... W czasach „przed październikowych” takie formy gospodarowania majątkiem społecznym były zjawiskiem nagminnym. Samokrytyka też bezosobowa. W wielu klubach wydatki na szkolenie i właściwe wychowanie młodzieży często były mniejsze, niż na prezentację klubu na zewnątrz, zachcianki zawodników i kaprysy ich żon. Takie typowe, nasze starosarmackie „zastaw się, a pokaż się”. Ale za społeczne pieniądze! System temu sprzyjał.

Po Walnym Zgromadzeniu PZPN w lutym 1957 roku już demokratycznie wybrane władze Związku, za jedno ze swoich priorytetowych zadań uznały przeprowadzenie w klubach kontroli nie tylko pod kątem organizacji i szkolenia, ale również gospodarki finansowej. Bez widocznych rezultatów. Działalność reaktywowanego PZPN też nie była cacy. Zresztą, sielanki nikt nie oczekiwał, wciąż obowiązywały

rygory totalitarne. Nadal przewagę mieli ci silniejsi i sprytniejsi. Slogany o demokracji, sprawiedliwości i polityce „równych szans” umiejętnie wykorzystywali ci już z ugruntowaną pozycją w futbolu i cieszący się poparciem władzy. Słabszy nie miał racji. W pozjazdowych migawkach „**Obserwator z zielonej trybuny**” pisałem w „PS”:

... „Bardzo poważną siłę stanowił blok czterech: Śląsk – Kraków – Poznań – Warszawa. Te cztery okręgi przeforsowały projekt o 24-drużynowej II lidze. Dlaczego? – pytacie. Warszawie chodzi o Marymont i Bzurę Chodaków, Śląskowi o Piasta Gliwice i Concordię Knurów, Krakowowi o Włókniarza Chełmek, a Poznaniowi o zdegradowane do III ligi Wartę i Start Kalisz”.

Nawet zazwyczaj pryncypialny i czysty moralnie aż do bólu były sędzia piłkarski, wtedy prominentny działacz z Radomia, Kazimierz Bukowski też usiłował ubić w Warszawie własny interes. Walczył o utworzenie w Radomiu autonomicznego podokręgu. Wniósł przy tym, jak zwykle, gdy przemawiał, nieco humoru:

– Widzicie przyjaciele – powiedział – ja tu dziś siedzę w Warszawie i walczę o sprawy mojego miasta, zamiast być na ślubie córki. I co?... Mam wracać w rodzinne strony bez zwycięstwa?...

Wrócił przegrany. W czasie głosowania z „bloku czterech” wyrwała się Warszawa, by dać szansę powszechnie lubianemu Kaziowi, ale do tria Katowice – Kraków – Poznań dołączył Wrocław i wniosek Bukowskiego przepadł. Argument „ślub córki” był niewątpliwie zabawny, ale niewystarczający. Koalicja „dużych miast” zafundowała nam - na owe czasy - karykaturalnie rozbudowaną II ligę. W „Przeglądzie Sportowym” skomentowaliśmy to jednoznacznie „**NI PIES, NI WYDRA czyli o dwóch grupach II ligi**”. Z takimi dziwolągami przyszło nam walczyć jeszcze nie raz...

Cieszyć mogłatyłkozapowiedźzracjonalizowaniaiintensyfikowania pracy z młodzieżą. W czasie wakacji 1956 odbyło się zgrupowanie centralne dla ponad 300 juniorów, 80 z nich w październiku przeszło kolejny egzamin w Warszawie. Potem wszyscy byli na meczu Polska – Norwegia, bardzo ważnym, bo po przegranych z NRD, Węgrami i Bułgarią wreszcie zwycięskim 5:3. Chłopcy na własne oczy zobaczyli, że i Polacy potrafią zwyciężać. Szymkowiak, Pohl, Kempny, Baszkiewicz, Korynt, Woźniak, Zientara...Przeżyłem wtedy z juniorami na Stadionie Dziesięciolecia 90 minut radości. I jeszcze jedno! Bodaj po raz pierwszy od 10 lat na stadionie sportowym z magnetofonów wydobywały się melodie i słowa pieśni legionowych o rozmarynie, wojence, ułanach, kasztance, komendancie... To już rzeczywiście przyszła odwilż!

Juniorzy przez dwa dni, poprzedzające mecz Polska – Norwegia, grali na Legii. Czterdziestu najbardziej obiecujących, a wśród nich: Jerzego Józwiaka, Józefa Gałeczkę, Antoniego Nierobę i Eugeniusza Fabera trener Górski aż do wiosny 1957 poddawał – jak to lapidarnie określał – dalszej szlifierce. Najlepsi pojechali na kolejny turniej UEFA do Hiszpanii. Szefem ekipy został red. Tadeusz Grabowski, wiceprezes PZPN. Przed wyjazdem na Półwysep Iberyjski przewodniczący sekcji młodzieżowej Wiesław Motoczyński (też w randze wiceprezesa), powszechnie zwany wtedy „profesorem”, skłonił autentycznego profesora Jerzego Lotha znanego geografa, wykładowcę SGPiS, członka Polskiego i Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego do wygłoszenia dla chłopców wykładu o burzliwej historii i współczesnym życiu Hiszpanii.

Profesor Loth piękną polszczyznę i przy pomocy map, plansz i przeróżnych eksponatów przystępnie przybliżył naszym juniorom dzieje gospodarki i obyczaje mieszkańców Andaluzji, Katalonii, kraju Basków

oraz Wysp Kanaryjskich. Przypomniał, że Adam Mickiewicz w poemacie „Konrad Wallenrod” opisał dramatycznie wydarzenia z XVI wieku w paśmie górskim Alpuhara. Mówił też o wojnie domowej w Hiszpanii w latach 1936 – 1939, będącej dla Ernesta Hemingwaya inspiracją do napisania powieści „Komu bije dzwon”! Zachęcał do zwiedzenia Madrytu i dawnej stolicy kraju – Toledo. Są tam liczne muzea i mauretańskie zabytki, oślepiająca blaskiem złota katedra i książęcy zamek obronny – Alkazar.

Tylko jedno zwycięstwo nad Węgrami, remis z RFN i przegrana z Hiszpanią – to sportowy bilans startu naszych juniorów na Półwyspie Iberyjskim. Sporo wydarzeń „od kuchni” przekazali do kraju trener Kazimierz Górski i Wiesław Motoczyński. „Motorka” też znałem już od kilku ładnych lat głównie ze wspólnego przebywania przy stole... bilardowym. Grał dobrze, ale ze mną - zwłaszcza w „amerykanke” – z reguły przegrywał. Tu nie było dla mnie mocnych. „Pod Arkadami” i w „Smoczej Jamie” w tej specjalności uchodziłem za „strzelca alpejskiego”. Potrafiłem „ugrać partię od kija”. Uczyłem się tego niemalże od dziecka, w cukierni rodziców mojego kolegi ze szkolnej ławki. W „piramidkę”, gdzie u „Motorka” decydującą rolę odgrywał ścisły umysł matematyczno-fizyczny, a więc i fantastyczna, precyzyjna taktyka, miałem już kłopoty. Był bardziej doświadczony. Była to jednak dobra szkoła myślenia i „czytania gry”. Później bardzo mi się to przydało w opisywaniu zawodów piłkarskich.

Grywaliśmy do późnej nocy. Motoczyński mieszkał poza Warszawą, często więc nie miał już powrotu do domu. Sypiał wówczas w siedzibie PZPN przy Alejach Ujazdowskich 22, najczęściej w fotelu prezesa Stefana Glinki. Otóż „Motorek” (ja zgody na wyjazd do Hiszpanii nie

otrzymałem niejako już tradycyjnie z „powodu braku dewiz” w RSW Prasa), poza niezbędną dokumentacją i programem zawodów, przywiózł mi z Madrytu tomik poezji Józefa Łobodowskiego. W Polsce był to wtedy człowiek mało znany, więcej - zakazany. Krajowi „encyklopedyści” na jego temat również milczeli, wszak w opinii totalitarnych władz był li tylko „emigracyjnym karłem”. Krytykował socjalizm na falach Radia Madryt.

UCZTA ZADŻUMIONYCH

Po „październiku” nastąpiła lekka odwilż i na tym odcinku. Była już wiosna 1957, ale nadzieje i emocje z jesieni 1956 wciąż były żywe. Nieco stopniały także lody nieufności emigrantów do przybyszów z kraju. Dość liczna polonia hiszpańska zerwała „żelazną kurtynę” i gorąco dopingowała młodych polskich piłkarzy. A wieczorami?... Kierownictwo naszej skromnej ekipy przy dobrym winie hiszpańskim lub koniaku spotykało się nawet z hrabią Potockim (sic!), polskim księdzem z tamtejszej polskiej parafii i właśnie z poetą Łobodowskim. Imponował okazjonalnymi rymami w czasie tych nocnych rozmów rodaków, recytował też fragmenty swojego najgłośniejszego utworu „Uczty zadżumionych”:

Polsze Lwow my atabrali
 Niemcom mordu rozszybli
 I Budapiest abasrali...
 Ej ty, Czerkił stariczok
 Kudy kotuszsia?
 Popadiosz w NKWD
 Nie warotiszsia!

Tryskał humorem. Krajowcy po tych recytacjach i upolitycznionych improwizacjach mieli nietęgę minę, bo jeszcze nie przywykli do „wolnego świata” i tak luźnego obcowania. Bystry poeta-obszawator dobrze jednak wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. Tonował popisy, co wcześniej rzadko mu się zdarzało. Zaskoczył hrabiego Potockiego. Wolno wstał z krzesła i pojednawczo wzniósł w górę, a pił często i dużo, szklanke z „Veterano”:

– Zgoda, bez polityki! Wznoszę więc toast... za odbudowę Kremla...

– Jak to – za odbudowę? – nieśmiało zapytali „nasi”. – Przecież Kreml stoi i jest cały?!

– No właśnie! – spuentował swój wywód Łobodowski. – Żeby Kreml odbudować, trzeba najpierw zburzyć...

Pierwsze Walne Zgromadzenie odrodzonego PZPN, podjęcie tematyki statusu piłkarza (amator czy zawodowiec?), interesująca batalia ligowa i nagła śmierć rozgrywek o Puchar Polski, wreszcie ciekawostki z wyprawy juniorów na turniej UEFA do Hiszpanii... W pierwszej połowie 1957 roku była to niezła strawa dla sympatyków piłkarstwa. Uczestniczyłem w większości tych wydarzeń, ale żadne z nich nie wywarło takiego wrażenia jak ambitna walka o finały mistrzostw świata w Szwecji. Łza się w oku zakręciła... Po dwudziestu latach przymusowej izolacji „biało-czerwoni” znowu na wielkiej piłkarskiej arenie.

W pierwszych powojennych eliminacjach los przydzielił nam reprezentacje Finlandii i ZSRR. Potentat i outsider. Synowie Północy byli w tym towarzystwie od początku typowym Kopciuszkiem. Z nami już w roku 1947 przegrali 1:4, a w 1956 aż 0:5. Co innego „sborna” Kaczalina – mistrz olimpijski z Melbourne! Maryla Rodowicz podczas Weltmeisterschaft 1974 śpiewała „albo my wygramy albo oni”. Prawdę

tę znaleźliśmy od dawna, ale dopiero w roku 1957 nabrała szczególnego znaczenia. Nadarzyła się bowiem okazja utarcia nosa „starszemu bratu”. Nikt nie pękał. Mocno tkwiły w pamięci nasze sukcesy w towarzyskich starciach z piłkarzami ZSRR na początku lat pięćdziesiątych. Dlaczego teraz miało by być inaczej? Wciąż gra Cieślik i strzela bramki. Sowieci boją się go jak ognia!...

Jestem jednym z tych nielicznych szczęśliwców (a może pechowców), którzy na własne oczy oglądali wszystkie trzy mecze z ZSRR o punkty mistrzostw świata, najpierw ten w Moskwie, potem w Chorzowie, wreszcie w Lipsku. Na pierwszy mecz do Moskwy, a był to mój debiut zagraniczny, leciałem nafaszerowany metafizyką i właśnie cudownymi wydarzeniami z niedawnej przeszłości. Wygrywaliśmy z „ruskimi”. Satysfakcja przeplatała się jednak z obawami. Kalkulowałem: rywale ostatnio w Moskwie tylko zremisowali z Rumunią, w przeszłości nasza gra rywalom wyraźnie „nie leżała”, ale przecież to mistrz olimpijski z Melbourne. A może jednak na Łuźnikach będę świadkiem „wielkiego dnia” polskiego piłkarstwa...

Wyfrunąłem z Warszawy Iłem – 14. Przy dzisiejszych powietrznych fortcach taki sobie samolocik, z reguły rzucało nim pod każdą szerokością geograficzną. Międzylądowanie w Wilnie. W portowej restauracji po raz pierwszy w czasie tej podróży ścierpła na mnie skóra. Podchodzi do stolika kelner i pyta śpiewnym, ale wyjątkowo cichym głosem:

– Pan z Polski? Z Warszawy?

– Tak – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Cieszę się kochanieńki, oj bardzo się cieszę, że znowu spotykam rodaka. Ja tutejszy, Wilniuk. Mogę z panem porozmawiać? Ostrożnie, cichuteńko... Po polsku...

– Słucham?... O co chodzi?...

– Czy to prawda, że w Polsce zerwano z kultem jednostki, a Gomułka potępił stalinizm?...

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Może to prowokator?...

Kelner przyjął zamówienie, a gdy wrócił do stolika znowu szeptał do mojego ucha:

– Coś niecoś słyszałem, tak piąte przez dziesiąte... Podobno w październiku zeszłego roku Gomułka niezłe przygadał Chruszczowowi:

Ja Władysław, ty Nikita.

Między nami jest już kwita.

Żyj nam długo, jak nasz Solski.

Ale odczep się od Polski...

W Moskwie, na szczęście, czekał na mnie przedstawiciel redakcji „Sowiecki Sport”, Otkalenko, mąż słynnej wtedy biegaczki na średnich dystansach, a nie agent ze służb specjalnych. Taksówką podwiózł do hotelu „Leningrad”, to w bliskim sąsiedztwie Placu Czerwonego i... zaprosił na obiad. Zapytał czy piję?...

– Nieczęsto – odpowiedziałem – zdrowie nie pozwala. Boli mnie kręgosłup... Lekarze zabronili...

Otkalenko skinął na kelnera i złożył zamówienie:

– Wódki dziś tylko pół litra, bo mój gość jest chory.

Polska nie była w tym meczu faworytem. Rywal w ostatnich pięciu latach, jakie dzieliły go od niezbyt udanego debiutu olimpijskiego w Helsinkach, poczynił ogromne postępy. Ma na rozkładzie drużynę NRF, mistrza świata z 1954 roku i w dorobku złoty medal olimpijski. Tu i ówdzie sądzono nawet, że piłkarze ZSRR w 1958 roku w Szwecji

będą taką samą rewelacją, jak w 1954 hokeiści ze słynnym Wiaczesławem Bobrowem. Wtedy to aż 7:2 wygrali z Kanadą. Tymczasem w naszej drużynie pogłębiły się kłopoty personalne. Marudzili obrońca Mahselli i napastnik Pohl. Ernest stwierdził, że źle się czuje i... odmówił wyjścia na boisko.

W eksperymentalnym składzie i z księżycową taktyką przegraliśmy to spotkanie 0:3. W tym dniu w Moskwie przez cały dzień lało jak z cebra. Na rozmokłym i grząskim boisku swobodniej czuli się lepiej wyszkoleni gospodarze. To był ich duży atut. Nam nie udało się manewr z Koryntem w roli wymiatacza, nie pomogła czuła opieka Grzybowskiemu nad Strelcowem, ani też harujący między pomocą i atakiem Bolek Lewandowski. W przodzie tercet Baszkiewicz – Kempny – Ciupa wprawdzie kilka razy dał się we znaki Jaszynowi, ale to było za mało na Nikitę Simoniana i jego kolegów. Przez większość spotkania nasi tylko się bronili.

W „Przeglądzie Sportowym” mocno skrytykowaliśmy defensywną taktykę naszej reprezentacji. Tytuł komentarza „BEZ CUDÓW I METAFIZYKI” był upokarzający. Za bojaźliwą grę na Łuźnikach obciążyliśmy przede wszystkim kapitana związkowego Henryka Reymana. Dziwiliśmy się, że były król ligowych strzelców zlecił murowanie własnej bramki. Kapitana PZPN i jego taktyki bronił jednak Ryszard Koncewicz. Pomysł jego zdaniem był dobry, zabrakło tylko odpowiednich wykonawców:

... „Przed laty prowadziliśmy tu otwartą grę, ale wówczas dysponowaliśmy Cieślikiem, Trampiszem, Brychczym w dobrej formie. W Moskwie tej klasy i tego typu zawodników nie mieliśmy. Zwłaszcza Brychczy i Cieślik by się tu przydali, ale... chory zawodnik grać nie może...”

Niewątpliwie była to jedna z racjonalnych przyczyn owego 0:3, ale pojawiły się też tłumaczenia mniej rozsądne. Tak to jest: „*Złej taneczniczki przeszkadza nawet rąbek u spódnicy...*”. Niektórym naszym graczom w Moskwie najbardziej utrudniał grę deszcz i elektryczne oświetlenie. Prezes PZPN, Stefan Glinka wykiął te opinie jednym zdaniem: „**Słabszy zawsze musi przegrać!**”. Święta prawda! Ale czy cała? Już w samym wyborze taktyki tkwił błąd, dobrowolnie podłożyliśmy głowę pod topór. Reyman bał się rycerskiego podjęcia rękawicy i otwartej walki z rywalem.

W hotelu „Leningrad” mieszkała też nasza ekipa. Mój pokój 201 sąsiadował z apartamentem (były w nim radio, telewizor oraz lodówka z trunkami, kawiozem i łososiem) prezesa Glinki. Po meczu odwiedził go szef Federacji Piłkarskiej ZSRR i jednocześnie ówczesny wiceprezydent FIFA, Walentyn Granatkin. Prezes Glinka zaprosił mnie na to spotkanie. Oczywiście był też Henryk Reyman i inni członkowie kierownictwa.

– Panie pułkowniku – zaraz po pierwszym głębszym zapytał Granatkin – czy dobrze zestawiał pan skład polskiej drużyny?

– Nie! – Szybko i szczerze odpowiedział Reyman.

– A ile razy selekcjoner może się pomylić?...

– Trzy!... Najwyżej trzy...

– Wspaniale! – ucieszył się Granatkin – Gdyby przypadkiem doszło z nami do trzeciego meczu, to jest szansa, że znowu się pan pomyli...

Przed rewanżowym meczem w Chorzowie na łamach „Przeglądu Sportowego” zainicjowałem zakrojoną na szeroką skalę, ogólnopolską dyskusję: - „**CZY MOŻNA I W JAKI SPOSÓB WYGRAĆ Z ZSRR!**”. Pierwszy na ten apel odpowiedział Ryszard Koncewicz. Powtórzył uwagi już wcześniej zasygnalizowane:

... „Wygrywaliśmy z piłkarzami radzieckimi wtedy, kiedy mieliśmy w składzie Cieślaka, Trampisza, Jezierskiego, Brychczego, Sąsiadka, a więc tzw. „konusów”, niezbyt silnych fizycznie, ale za to szybkich, trudnych do utrzymania, dobrych technicznie, wnoszących do gry dużo sprytu i dojrzałości taktycznej. Pod tym kątem trzeba myśleć już dzisiaj o jedenastce na mecz rewanżowy”.

Próba generalną przed rewanżem w Chorzowie miał być mecz Bułgaria – Polska w Sofii. Czy był rzeczywiście? Do Sofii przybyto wprost z Barcelony, gdzie nasza kadra uczestniczyła w czwórmecczu z okazji otwarcia Camp Nou. Grały: Barcelona, Burnley, Flamengo i Warszawa. Nasz zespół prowadził już mgr Tadeusz Foryś, który po moskiewskiej wpadce zastąpił Koncewicza. Organizatorzy zdecydowali, że w meczu otwarcia Barcelona zmierzy się z Warszawą. Miejscowi wygrali 4:2. Przez znaczną część spotkania nasz zespół na Camp Nou grał dobrze, dopiero w końcówce – opowiadał Foryś – zabrakło chłopcom siły. Zwłaszcza Heniek Szymborski i Krzysiek Baszkiewicz stracili werwę w katalońskim upale. Jednak po akcjach Brychczego, bezwzględnie najlepszego w naszej drużynie, byliśmy nawet bliscy remisu. Przegraliśmy, ale Hiszpanie nas chwalili...

W Sofii magister Foryś zastosował wariant taktyczny zapożyczony od Janosza Steinera. W przodzie kwartet Gawroński, Jankowski, Szymborski i Nowak, a tuż za nimi rozgrywający Brychczy. W istocie „Kici” był w tym meczu jedynym napastnikiem z prawdziwego zdarzenia. Nasz zespół grał kiepsko, jednak spotkanie zakończyło się remisem 1:1. Bułgarzy przeważali, byli lepsi, ale wobec naszych dwóch arcy mistrzów – Szymkowiaka i Brychczego – byli bezradni. Edek, liczyłem to dokładnie, obronił 43 (!) strzały nie tylko napastników, a Lucek huknął tylko raz,

a dobrze. Stąd remis 1:1. Gol „Kiciego” był godny utrwalenia na taśmie filmowej, tak zdobywał bramki tylko Węgier Sandor Kocsis, „główny doskonały”. Brychczy w Sofii też tak pięknie uderzył piłkę głową, że z wrażenia aż podskoczył jeden ze „szpiegów” z Moskwy, trener Waleryj Jakuszyn, prawa ręka Gawryiła Kaczalina.

– Mołodiec! – Eto wtaroj Kocsis...

Gawryił szef „sbornej” dyskretnie skarcił Walerego:

– Trzeba prosić Boga, aby z nami tak dobrze nie zagrała cała polska drużyna. Czy nie zauważyłeś, że pozostali wiedząc o naszej tu obecności, wyraźnie kryli swoje prawdziwe umiejętności?

Iwan Kolew, kapitan reprezentacji Bułgarii był zafascynowany postawą Szymkowiaka...

– To szatan, a nie bramkarz! On wam wypracował ten remis!...

Po meczu udałem się do szatni naszych piłkarzy. Atmosfera niezbyt przyjemna. Henryk Reyman wściekły, Foryś nieco przygarbiony, zawodnicy milczący. Selekcjoner wygarnął chłopakom, że na rewanżowy mecz z ZSRR ma na razie tylko dwóch pewniaków – Szymkowiaka i Brychczego. Zwrócił się do najbliższego stojącego piłkarza:

– A pan kim jest? Jak się nazywa?

– Gawroński... Jan Gawroński z Gwardii Warszawa panie pułkowniku – wybełkotał zaskoczony gwardzista. – Grałem dziś na prawym skrzydle...

– Grał pan? Kto pana powołał?

Odpowiedzią była salwa śmiechu całej ekipy. Ponury nastrój rozładowany. Ale żarty na bok, z „przyczyn technicznych” nie było transmisji radiowej z tego meczu. Część dziennikarzy piszących też miała kłopoty „na linii”. Na moją głowę spadł obowiązek wyręczenia

kolegów zarówno „mówiących”, jak i „piszących”. Minuta po minucie, dość szczegółowo opisałem to spotkanie.

Wielu naszych dziennikarzy przyszło na stadion Wasyla Lewskiego w kiepskiej formie. Gorączkowali. Właśnie wtedy szalała w Bułgarii azjatycka grypa. Tylko ja się jej wywinąłem. Profilaktyka była nietypowa. Przed meczem, w czasie przerwy, wieczorem w hotelu „Sewastopol”, a potem podczas podróży turystycznej z Sofii do Warny, zagrypiony Stasio Wojtek ze „Sportu” Katowice wdmuchiwał mi w usta te cholerne mikroby, a ja to świństwo natychmiast popijałem setką „Pliski”. I zwalczyłem wirusa... Złożyliśmy kwiaty przed grobem Władysława III Warneńczyka.

W drodze powrotnej na lotnisku w Burgas udało mi się sprzedać mocno już sfatygowany złoty zegarek i kupić za to elegancki kozuch. Kłopotów na cle nie było. Autobus „Lotu” podwiózł nas na Plac Ludwika Waryńskiego. A tam jakieś zgromadzenie, okrzyki, złorzeczenia... Znowu nerwowe chwile. Pytam, co się stało? Podekscytowani mieszkańcy Śródmieścia chórem odpowiadają: *„To studenci protestują przeciwko zamknięciu przez nowe władze PRL ich tygodnika „Po prostu”. I to ma być ta zapowiadana wolność słowa i publikacji!”* Ni pies, ni wydra...

Szybko zbliżał się rewanżowy mecz z ZSRR. Szymkowiaki i Brychczy wciąż świetnie grali, dobrą formą błysnął też Edmund Zientara. W tej sytuacji nasz redakcyjny „enfant prodige” Leszek Cergowski, włączając się do publicznej dyskusji nad składem, zaproponował kapitanowi związkowemu własną, zilustrowaną zdjęciami, koncepcję reprezentacyjnej jedenastki: pięciu Brychczych, trzech Zientarów i trzech Szymkowiaków. Mógłby się tam znaleźć również Kazio Trampisz, bo był w dobrej formie, ale w przegranym meczu Polonii Bytom z Wisłą w Krakowie,

znowu zachował się nieprzyzwoicie. W trybie nagłym wymierzono mu trzyletnią dyskwalifikację. Pobił kogoś? Obraził sędziego?... W oficjalnym komunikacie podano, że Trampisza ukarano „za wybitnie niesportowe zachowanie”. To znaczy?... Kazio ściągnął spodenki, pochylił się i... pokazał kibicom Wisły gołą pupę. Uwierzyłem, bo to było w stylu Trampisza. Jeden z największych kpiarzy w tamtych czasach...

Przed meczem w Chorzowie, przez całe zgrupowanie, od rana do wieczora byłem z drużyną. Kwaterowała w schludnych pomieszczeniach wojewódzkiej szkoły partyjnej. Wtedy (ach, ta cenzura) musiałem napisać, że *„był to jeden z mniej znanych hoteli w Katowicach”*. Za to komfort niecodzienny. Schludne pokoje, wygodne spanie, dobre wyżywienie, nawet prawdziwy miód przed śniadaniem i czasem po kolacji. A wieczorem bogate życie świetlicowe: zimne i ciepłe napoje, brydż, skat i projekcja filmów o jakich w normalnych kinach można było by tylko pomarzyć. Znakomite amerykańskie westerny, kryminały, melodramaty. Trenowano na Stadionie Ludowym w Sosnowcu. Przez pierwsze dwa dni na zgrupowaniu nie było jeszcze Baszkiewicza i Lentnera, wojażowali po Europie z drużynami klubowymi. Trener Foryś – ku mojej radości – pozwolił mi na kilku treningach zabawiać się w lewoskrzydłowego.

Wieczorami najchętniej siadaliśmy do brydża. Do „żelaznej trójki”: Baszkiewicz, Korynt, Lechowski z reguły przyłączał się urzędnik Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Sportowych (PPIS). Hazardzista z niezłą kasą. Był dla nas zwykłym jeleniem. Niby graliśmy rundki „każdy z każdym”, ale przegrywał tylko – PPIS-owiec. Zdegustowany niepowodzeniem grą w trzynaście kart, zaproponował szybszą i mniej skomplikowaną w „pięć kart” czyli pokerka. Ale i tu litości dla nadzianego partnera nie było, odchodził od stołu z pustym portfelem. Wyjechał na

jeden dzień do Warszawy po... forszę. Wrócił skruszony, pokera już nie proponował, ale do brydza nadal go ciągnęło. A my znowu goliliśmy frajera...

Tymczasem kapitan związkowy, Henryk Reyman, zaordynował zawodnikom obowiązkowe picie miodu na czczo, zaraz po porannej toalecie. Na odprawach, przypominam, że działa się to w szkole partyjnej, opowiadał z dumą jak to jego dawny, jeszcze przedwojenny przyjaciel, Sepp Herberger, trener reprezentacji NRF, podobną terapię zastosował w roku 1954 podczas mistrzostw świata w Szwajcarii.

– Niewątpliwie – przekonywał zawodników selekcjoner – ten zwykły miód rozcieńczony w szklance ciepłej wody przyczynił się do zdobycia przez Niemców Pucharu Rimeta. Piłkarsko Węgrzy byli lepsi, ale właśnie w finale zwycięzcy górowali nad nimi siłą fizyczną. Dzięki miodowi... Ten boski napój będzie dla panów przygotowywał trener Ewald Cebula.

Dowcipami starano się zbyć pomysł Reymana.

– Najlepszy jest kasztelański! – wrzasnął Lucjan Brychczy.

– Ależ panie Brychczy – spokojnie zareagował pułkownik – to nie o taki miód chodzi... Mam na myśli prawdziwy, pszczeli... Taki jak z pasieki mojego znajomego księdza proboszcza z Grybowa.

Brychczy nie dał się przekonać:

– Taki miód najlepszy jest z uli „Siwego” z Rembertowa. Próbowałem...

– Możliwe... Ale nie znam tego pana.

– Jak to nie? Jest tu z nami. To lewy obrońca Jurek Woźniak...

Miodową kurację trener Cebula zastosował również wobec Ernesta Pohla, który w kadrze pojawił się dopiero we Wrocławiu, tuż przed

trzecim meczem z ZSSR w Lipsku. Spóźnił się na zgrupowanie i to w kiepskim humorze. Był wyraźnie zmęczony, akurat wtedy się ożenił. Przyjęcie weselne trwało kilka dni, a pan młody cały czas dotrzymywał towarzystwa gościom. Kiedy wreszcie pojawił się we Wrocławiu, Ewald Cebula zaczął wyciskać z niego nadmiar spożytych płynów. Nawet wieczorami przy świetle zwykłych lamp ulicznych powoli stawiał go na nogi. Obaj panowie wykazali dużo dobrej woli, ale to nie przekonało kapitana PZPN. Pohl, jeden z najwybitniejszych polskich piłkarzy, znowu był tylko rezerwowym, a u Baszkiewicza pojawiło się podejrzenie o białaczkę. Orły bez skrzydeł – ubolewał trener Foryś.

Henryk Reyman nie tracił jednak nadziei. Zarówno przed spotkaniem w Chorzowie, jak i przed wyjazdem do Lipska w pogadankach, pełnych patriotycznego uniesienia, twierdził, że Polacy są w stanie utrzyć nosa rywalom. Potrzebują tylko odpowiedniej motywacji i mobilizacji.

– Panowie – mówił rano i wieczorem, zawsze w stylu podniosłym – ja już wielki triumf nad Sowietami przeżyłem w roku 1920 w „bitwie warszawskiej”. Mało się dziś o tym mówi, długo był to w ogóle temat zakazany, ale mnie o „cudzie nad Wisłą” milczeć nie wolno. To był zbiorowy wyczyn, bohaterstwo całego narodu. Na taki właśnie zryw, oczekuję teraz ze strony panów w walce z „ruskimi” na boisku. Pod Warszawą do historycznego boju z bolszewikami poprowadził nas Marszałek Piłsudski, w Chorzowie zwycięstwo nad Sowietami jest ogromną szansą reprezentacyjnych piłkarzy.

– Mamy swoje powody, by walczyć na całego, ale „ruscy” mają lepszą drużynę – przerwał pułkownikowi, Edward Jankowski. – Żyją z futbolu... I nie mieszkają w takich klitkach, jak my, tu na Śląsku...

– Czasy rzeczywiście są trudne, panie Jankowski – spokojnie replikował Henryk Reyman. – Mieszkań nie mają jeszcze wybitniejsze

od nas jednostki. W Krakowie, jeden z moich przyjaciół jest znanym profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim. I też nie ma własnego kąta...

– To niech gra Fussball! – Tak Jankowski zakończył ten dialog.

Pomysły i piłkarskie homilie kapitana związkowego, przede wszystkim udane przygotowania sprawiły, że mecz w Chorzowie wygrali Polacy. Niezwykły, najlepszy mecz o punkty w dotychczasowej historii reprezentacji, widowisko na pięć gwiazdek. To historyczne zwycięstwo, poza dużymi umiejętnościami czysto sportowymi, zrodziła właśnie niecodzienna motywacja, mobilizacja i rzadko spotykana koncentracja. Ponad 100 tysięcy widzów szalało z radości. Zapotrzebowanie na bilety było trzy razy większe. Jak z tego kłopotu wybrnęli wiceprezes OZPN w Katowicach, mgr Karol Krawczyk, sekretarz okręgu Franciszek Smelczerczyk i współpracujący z nim członek kapitanatu PZPN, Feliks Dyrda – do dziś pozostało to ich słodką tajemnicą. Optymizm z narodzie był ogromny. Dostrzegł to po przyjeździe do Polski kapitan „sbornej” Nikita Simonian, wielka indywidualność z pierwszego meczu w Moskwie.

– Jeśli teraz, przed meczem rewanżowym, ktoś sądzi, a nie brak u nas takich szaleńców, że w Chorzowie znowu wygramy 3:0, to chyba nigdy nie kopał piłki. Będzie 1:0 lub 2:1 i to jeszcze nie wiadomo dla kogo...”

BENEFIS CIEŚLIKA

Było 2:1 dla Polski. Do czterdziestej trzeciej minuty utrzymywał się wynik bezbramkowy. Nasi cały czas grali ładnie dla oka, konstruowali wiele efektownych akcji ofensywnych, ale Lwa Jaszyna nie mogli pokonać. Dopiero tuż przed przerwą popisowa akcja w trójkącie Brychczy – Lentner

– Cieślik dała nam prowadzenie. Sława Gerarda na moment zniewoliła całą defensywę przeciwnika. Sprytnie zmylił obrońców i wybiegł na wolną pozycję. Przed nim tylko zrozpaczony Jaszyn. Starcie dwóch mistrzów, wymarzone dla Cieślika. W przeszłości zdobył już wiele takich goli, zwiódł bramkarza. Pozornie piłka była w zasięgu rąk interweniującego Jaszyna, ale to złudzenie. Ugrzęzła w samym rogu siatki, 1:0 dla Polski!

Widownię, trenerów, rezerwowych zawodników, działaczy, dziennikarzy poderwało z miejsc, wszystkie serca były w tym samym, polskim rytmie. Mnie wycelowali nawet konkurenci ze „Sportu” Katowice. W pięćdziesiątej minucie przeżyliśmy to jeszcze raz. Teraz Lucjan Brychczy, cichy bohater tego spotkania, zainicjował jeden ze swoich słynnych slalomów. W pełnym biegu z piłką mijał rywali niemal przez połowę boiska. Sprytnie lawirował między pomocnikami i obrońcami, zwodził ich w prawo, w lewo. Jak chart gonił za nim Igor Netto, ale i on nic nie wskórał. „Kici” był w tym meczu nie do utrzymania. Po jego dośrodkowaniu, wysoko, jak najwyżej mógł i potrafił, wyskoczył Cieślik i strzałem głową zdobył drugą bramkę. Polska! Polska! 2:0... Lew Jaszyn nie wychodził z podziwu.

– Nic tu nie rozumiem! – żalił się po meczu. – Widziałem, jak harują Gawlik i Zientara, podziwiałem sztuczki tego czorta Brychczego, ale Cieślik nie rzucał mi się w oczy. A jednak zdobył dwie bramki. Jak on to zrobił?

Cieślik bez zbędnej filozofii wyłuszczył to nie tylko Jaszynowi:

– Byliśmy dobrze przygotowani fizycznie i psychicznie. Moja rola w tym meczu? Magister wcale nie kazał mi dużo biegać. Gerard – mówił – ty tylko czekaj na okazje do strzałów. Brychczy się o to postara. „Kici” pomógł, zrobiłem więc to, co do mnie należało...

Przy stanie 2:0 jeszcze przez jakiś czas nasz zespół grał koncertowo. Wszystko się udawało: destrukcja, konstrukcja, egzekucja, jak to dwadzieścia lat później tłumaczył Jacek Gmoch w swojej „Alchemii futbolu”. Rywal jednak nie ustępował. Walczył z niebywałą pasją do końca. Teraz pole do popisu miał Edward Szymkowiak. Klasa i forma światowa! Fruwał w bramce, jak najszybszy ptak, ale w siedemdziesiątej ósmej minucie nie był w stanie obronić bardzo silnego strzału Walentyna Iwanowa. Ale i tak zwycięstwo było nasze. Wygraliśmy 2:1! Tak to widział trener Tadeusz Forys:

– ... „Ambicją i wolą walki zniwelowaliśmy częściowo przewagę techniczną i doskonałe przygotowanie kondycyjne gości. Dużą rolę odegrała tu również rozsądna taktyka. W destrukcji zastosowaliśmy obronę strefową. To utrudniało napastnikom ZSRR szybką grę i znacznie ograniczało ich możliwości w akcjach „jeden na jednego”. Zawsze była asekuracja. Dobrą robotę w tym względzie wykonał Jankowski. Nie zabroniłem mu strzelać, ale przede wszystkim nakazałem stałe wspieranie Brychczego. Przecież on zmierzył się z Igorem Netto, największą siłą napędową przeciwnika. Szło o to, żeby w tym meczu nie on, lecz „Kici” był górą. I tak się stało...”

A co na to sam Brychczy?

– „Rozegrałem w swoim życiu już setki spotkań w klubie i reprezentacji, towarzyskich i o punkty, ale to zwycięskie z Chorzowa, dzięki bramkom Gerarda, uważam za jedno z moich najwspanialszych przeżyć sportowych. Był to wspaniały mecz polskiej drużyny. Zaś mnie szczególną satysfakcję sprawił fakt, że drugą bramkę Cieślik zdobył głową z mojego podania...”

Brychczy z Legii Warszawa, Cieślik z Ruchu Chorzów, obaj Ślązacy. Przez całą swoją karierę wierni tylko jednemu klubowi – Gerard

„niebieskim”, a „Kici” „zielonym kanonierom”. Rozentuzjasmowani kibice obu wynieśli ze stadionu na ramionach. Dziewczęta i chłopcy biegli za nimi, chcieli ujrzeć z bliska ich zmęczenie, spocone twarze, ale i szczęście z nich tryskające. Chcieli dotknąć ręki, nogi, koszulki... Cały Śląsk śpiewał „Sto lat” na część zwycięzców. W tym dniu triumfowała tam tylko jedna drużyna „POLSKA”. Nie było regionalnych i klubowych podziałów. Ubolewam, że później, nawet gdy równie dobrze grała tam reprezentacja, już nie zawsze tak bywało.

„Przegląd Sportowy” opisał ten mecz na kilku kolumnach. Nad całością urozmaiconych relacji dominowało jedno tylko słowo: „ZWYCIEŻYLIŚMY!”. Ton redakcyjnego komentarza potwierdzał to wszystko, co o chorzowskiej wiktorii napisali: Grzegorz Aleksandrowicz, Lech Cergowski, Elżbieta Cunge i Jerzy Lechowski. Na całej dużej stronie (format „PS” był wtedy znacznie większy, niż obecnie) przedstawiłem „HISTORIĘ MECZU OSTATNIEJ SZANSY”. Poza tym zapoznałem Czytelników z reakcjami żon piłkarzy:

- Czegoś podobnego w życiu jeszcze nie przeżyłam (Zientarowa).
- Najbardziej jestem zadowolona, że już się skończyły czasy miesięcznych zgrupowań (Szymkowiakowa).
- Czułam, że ulatuję gdzieś w zaświaty, w jakąś bliżej mi nie znaną krainę szczęścia. Z dumą obserwowałam Stefana – walczył, jak lew (Floreńska).
- Wspaniały był Szymkowiak. Pojedynek z Jaszynem wygrał zdecydowanie (Gawlikowa).
- Widywałam Edka już w lepszej formie, ale wybaczam, bo nie grał na swojej pozycji. Wykonywał specjalne zadania. Miesiąc nie był w domu... (Jankowska).

Regulamin eliminacji do finałów mistrzostw świata był dla nas korzystny. Mieliśmy gorszy od ZSRR stosunek bramek, również w dwumeczu z Polską lepiej prezentowali się rywale. Jednak szans na wyjazd do Szwecji nie straciliśmy. W ostatecznym rozrachunku wówczas liczyły się tylko zdobyte punkty. Do pełnego szczęścia czyli zrównania się z radzieckimi i trzeciego meczu na neutralnym terenie brakowało nam jeszcze dwóch punktów. Trzeba było je zdobyć w spotkaniu z Finlandią w Warszawie. Trener Foryś, z którym kilkakrotnie rozmawiałem przed tą ważną rozgrywką, przestrzegał przed zbytnim optymizmem. Prosił więc o stały i serdeczny doping dla naszej drużyny.

– Nie gwizdźcie – apelował – jeśli nie tak szybko padnie pierwsza bramka.

Stołeczni „meczownicy” nie zawiedli, piłkarze też stanęli na wysokości zadania i pokonali Finlandię 4:0. W zasadzie wszystko wyjaśniło się w ciągu pięciu minut. W trzeciej Gawlik zdobył pierwszą bramkę z isticie atomowego strzału z rzutu wolnego, a drugą Brychczy w swoim czarodziejskim stylu dwie minuty później. Zaraz po przerwie „Kici” dołożył trzecią, a w 65 ten radosny festiwal zakończył Jankowski. Tak to obwieściliśmy w „Przeglądzie Sportowym”:

Ku radości 100 tysięcy widzów
zwycięstwo otwierające wielkie perspektywy.
Teraz tylko pakować walizki
na podróż w nieznane.

Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że ten trzeci, arcyważny mecz z ZSRR odbędzie się na Sport-Forum w Lipsku. Optymizm w społeczeństwie był ogromny. Nad Elsterę Białą, w której w roku 1813 utonął nasz książę Józef Poniatowski, wybrały się tysiące kibiców.

Zadbał o to „Orbis” i „Sports-Tourist”. Wycieczkowicze, obeznani z historią pośpiewywali: - „*Książę Józef Poniatowski dobrze Niemców kropił, tylko całe to nieszczęście, że się nam utopił...*”. Teraz trzeba będzie kropić radzieckich piłkarzy. Jaki los spotka tam naszych? Na zgrupowaniu we Wrocławiu początkowo „wszystko grało”. Nadal humorem tryskał „Jana”. Na pytanie radiowca – kto wygra? – odpowiedział:

– Jak to kto? Polska! To wam mówi sztygar Jankowski!...

Przed tym niecodziennym wydarzeniem od początku, także w tej podróży pociągiem w „nieznane”, towarzyszyłem piłkarzom. Meldunki przekazywane do „PS” napawały optymizmem. **„We wrocławskiej kuźni sypią się iskry” ... „Forma już... obecna, mimo że Pohla jeszcze nie ma”**. Gdy się pojawił i w pocie czoła zaczął odrabiać „weselne zaległości”, po wnikliwej obserwacji wszystkich napastników zaproponowałem na łamach atak w składzie: Pohl, Brychczy, Kempny (Jankowski), Cieślik, Baszkiewicz. Ale sprawność fizyczna Ernesta nie zadowoliła Henryka Reymana, w rezultacie na prawym skrzydle zagrał Kempny, a na środku napadu Jankowski.

A co z Lentnerem, który tak dobrze spisał się w Chorzowie? Był lekko kontuzjowany i Foryś bał się ryzykować. Zresztą „Baśka” nie był gorszy. Ale to nie koniec kłopotów. W pociągu na trasie Wrocław – Lipsk na gripę zachorował Gawlik, nie najlepiej też czuł się Strzykalski. Nie zdolny do gry był również bramkarz Edward Szymkowiak; w meczu ligowym ŁKS – Polonia Bytom złamał rękę. Szpital to nie reprezentacja! Jak tu grać bez Szymkowiaka, Gawlika, Pohla, Lentnera, Strzykalskiego?...

Co najmniej dwóch z nich mógłby postawić na nogi lekarz, gdyby... kierownictwo włączyło go do wyprawy na Lipsk. Ale dla doktora Henryka Soroczki, który cały czas był z drużyną we Wrocławiu, zabrakło

nagle miejsca w ekipie. Zbędny w tak ważnym meczu okazał się również trener Ewald Cebula. Czy dziś takie bzdurne decyzje mogłyby przyjść komukolwiek do głowy? A może była to strategia z góry narzucona? Za trenerem Cebulą w ostatniej chwili ktoś się wstawił, ale było już za późno na załatwienie formalności paszportowych. Śmiać się czy płakać? Dziwne to tym bardziej, że zgodnie z życzeniem przewodniczącego GK KF, Włodzimierza Reczka do Lipska pojechały żony piłkarzy.

Reprezentacja „PS” na to spotkanie była liczna i dobrze zestawiona: pięciu dziennikarzy piszących oraz dwóch fotoreporterów Mieczysław Szymkowski i Eugeniusz Warmiński. Jak oceniliśmy przegraną 0:2? G. Aleksandrowicz: - **W Lipsku nie udało się...** L. Cergowski: - **Bez złudzeń, ale i bez żalu...** oraz **Dwie szatnie, dwa światy...** E. Cunge: - **Głosy z Olimpu...** J. Lechowski: - **Nie zabrakło zapachu, zabrakło umiejętności...** Zb. Mejer: - **Zawiedzeni kibice...** Ela Cunge przekazała do redakcji opinie Seppa Herbergera, Gawryiła Kaczalina i sędziego J. H. Clough'a. Trener z NRF i arbiter z Anglii nam współczuli, natomiast Kaczalin... zapowiedział dobry występ „sbornej” w Szwecji.

Brakowało nam tylko wypowiedzi zawodników. Kilku „ruskich” na prędko w szatni przepytał Cergo, zaś mnie obarczono wywiadami z Polakami. Zrozumiałe, znałem ich najlepiej. Z niektórymi rozmawiałem zaraz po meczu, jednego „złapałem” na bankiecie w restauracji Ring Cafe, a jeszcze innych – już po nadaniu sprawozdania i po długich poszukiwaniach w różnych barach – dopadłem w hotelu, gdzie przy suto zastawionych stołach biesiadowali z żonami. Nikt nie wzbraniał się od rozmów. Och, wtedy „Przegląd” był przez reprezentantów wyjątkowo wysoko ceniony! Za fachowość, obiektywizm i życzliwość...

Lucjan Brychczy: - Ja już powiedziałem kapitanowi Reymanowi, że przegraliśmy z powodu złego zestawienia składu. Moim zdaniem na prawym skrzydle bezsprzecznie powinien zagrać Ernest, a na lewym – tak, jak w Chorzowie – Lentner. Tu, w Lipsku pierwsze skrzypce grali: Woźniak, Grzybowski, Korynt i Stefaniszyn.

Edward Jankowski (ze łzami w oczach): - To ja przegrałem ten mecz! Proszę to otwarcie napisać... Przecież gdybym strzelił przed przerwą bramkę, a okazję miałem znakomitą, niewątpliwie wygralibyśmy ten pojedynek.

Tomasz Stefaniszyn: Bardzo głupio wyszło z tą pierwszą bramką. W polu karnym stało obok siebie aż trzech naszych obrońców, ale żaden z nich nie pilnował Strelcowa. Widocznie nikt się go nie obawiał, bo w tym meczu kulał. No i stało się... „Edik” mocno strzelił, piłka trafiła w poprzeczkę, odwróciłem się, by ją chwycić, ale... odbiła się od moich pleców i wpadła do siatki...

Taki był dla nas koniec „batalii MŚ 1958”. W sumie niekorzystny, ale piłkarze, w przeciwieństwie do ich przywódców, zrobili wszystko, aby o polskim futbolu wreszcie zaczęto mówić w Europie głośniej i z uznaniem. Co za ten wysiłek otrzymali zawodnicy? Po wygranej w Chorzowie, na wniosek PZPN, GKKF przyznał Szymkowiakowi, Koryntowi i Zientarze tytuły zasłużonych mistrzów sportu. Podobno były też koperty, ale mocno zalakowane, więc nikt nie widział, co tam było. Niektórych piłkarzy wyróżniono medalami „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Pozostali mieli je otrzymać po meczu w Lipsku. Do dekoracji jednak nie doszło – przegranych się nie nagradza. Do Szwecji pojechała reprezentacja ZSRR.

Zaraz po nieudanej wyprawie do Lipska spłodziłem artykuł, w którym oceniłem postawę naszych zawodników w tych trzech trudnych meczach z ZSRR: „**Jak tam grali nasi piłkarze?**”.

MOSKWA: - „Trzykrotnie słupek bądź poprzeczka uratowały Jaszyna od utraty bramki. Z tego choćby względu przyznałbym wyższość napadowi z Moskwy nad tą linią z Lipska.

CHORZÓW: - „Bezsprzecznie najlepsze spotkanie. Dobrze grały obie drużyny. Być może wyda się to paradoksem, ale pokonani na Śląsku piłkarze ZSRR bardziej mi się tam podobali, niż w Moskwie i Lipsku. O poziomie Polaków rozpisywać się nie trzeba. Zagrali tam przecież swój życiowy mecz.

LIPSK: - „Nasz napad nie potrafił wywiązać się ze swoich zadań. Zatem kto był najlepszy w tych trzech meczach? Bezwzględnie na pierwszeństwo zasłużyło dziesięciu zawodników z Chorzowa: Szymkowiak – Floreński, Korynt, Woźniak – Gawlik, Zientara – Jankowski, Brychczy, Kempny i Cieślik. A kto jedenasty? Baszkiewicz, ale ten z meczu w Moskwie. Grał tam rewelacyjnie...

Żaden z tych piłkarzy, rzecz oczywista, nie pojawił się w Szwecji, ale nasi rodacy jednak tam byli. Spora grupka kibiców wybrała się na mistrzostwa świata statkiem (byli wśród nich także nieliczni dziennikarze), oficjalnie z dietami otrzymanymi z RSW „Prasa” naszą redakcję reprezentował Grzegorz Aleksandrowicz, a PZPN kapitan związkowy Henryk Reyman i trener Kazimierz Górski. Pożytek z wyjazdu pułkownika był niewielki, natomiast znacząco do popularyzacji w Polsce wielkiego futbolu przyczynił się red. Aleksandrowicz, a trener Górski zapoznał szkoleniowców z całej Polski z nowym systemem gry do dziś nazywanym „brasilianą”.

Z wdzięcznością i dużym uznaniem przyjęto spostrzeżenia obu tych panów. Łatwo to wytłumaczyć – wielkiej gali futbolu w Szwecji nie przeżyliśmy na żywo. Nie było stamtąd bezpośredniego przekazu telewizyjnego. Zdany na skąpe relacje radiowe ja też niewiele wiedziałem, czym właściwie charakteryzuje się brazylijskie ustawienie 1+4+2+4. To jedno. Po drugie, interesowało mnie, co ewentualnie mogłaby zdziałać w Szwecji nasza reprezentacja, gdyby znalazła się tam zamiast piłkarzy radzieckich. Tajemnice „brasiliany” poznałem na licznych spotkaniach Górskiego z trenerami w Warszawie i poza stolicą. Towarzyszyłem Kaziowi z przyjemnością. Wszędzie tłumaczył, że schemat 1+4+2+4 jest wyłącznie ustawieniem wyjściowym, w czasie gry często ulega zmianie, ale podstawowe kanony są zazwyczaj takie same. W wykonaniu mistrzów „brasiliana” gwarantuje równowagę w działaniach obronnych i atakujących, jest zapowiedzią „gry wszystkimi siłami”, co – między innymi – oznacza, że nawet boczni obrońcy też mogą i powinni włączać się do akcji ofensywnych. Ogromne zadanie w tym systemie spoczywa na pomocnikach. Muszą wykonywać wręcz tytaniczną pracę, być w obronie i ataku.

Red. Aleksandrowicz napisał całą serię artykułów o tych mistrzostwach. Z powodzeniem można by im nadać rangę pracy doktorskiej. Wyraził pogląd, że z racji wysokiego wykszolenia technicznego zawodników i ogromnego postępu w zakresie taktyki, były to mistrzostwa nowatorskie. Najlepsze w historii światowego futbolu. Autor poczuł się zmęczony satysfakcjonującą, ale trudną pracą, więc przed urlopem już nie odniósł się do tematu „**Polska, a reszta świata**”. W tej sytuacji na początku lipca 1958, gdy „pan Grzegorz” już pakował walizki na wakacje, zaproponowałem swoisty dialog na ten pasjonujący temat. Publikację tę

w środowisku dobrze przyjęto. Na pytanie „*Co by było, gdyby Polska znalazła się w Szwecji?*”, odpowiedzieliśmy – „15 miejsce na świecie”. I dalej: - „*Tylko Brychczy miałby szansę zagrać w trzecim ataku*”. Za obopólną zgodą uznaliśmy te uwagi za „nie wiążącą rozmowę przy redakcyjnym stole”. Spisałem najważniejsze wnioski z tego dialogu:

1. Pewne szanse w tym turnieju nasi piłkarze mieliby tylko wtedy, gdyby los przychylną ręką przydzielił ich do grupy sztokholmskiej.
2. W tej grupie zdecydowanie najlepsza była Szwecja. Z pozostałej trójki: Węgry, Walia, Meksyk żadna drużyna nie zasługiwała na ćwierćfinał. Najsłabszy był Meksyk. Teoretycznie moglibyśmy z nim wygrać.
3. Szymkowiak, Korynt i Brychczy nie przynieśliby nam wstydu na mistrzostwach świata w Szwecji.
4. Jedynie Brychczy mógłby kandydować do trzeciego napadu tych mistrzostw. Ustawienie według systemu „trzech obrońców” (WM) 1+3+2+5:

I – Hamrin, Pele, Kopa, Fontaine, Skoglund

II – Garrincha, Gren, Vava, Didi, Zagallo

III – Rahn, Brychczy, Seeler, Mazzolla, Jones.

(Ten ostatni atak miał charakter siłowo-techniczny).

Zakończyliśmy tę rozmowę odważnym stwierdzeniem: Brazylia – nowy wunderteam otwiera oczy Europie na kierunek rozwoju piłkarstwa. Nowy mistrz świata grał w ustawieniu 1+4+2+4, ale gdy była taka potrzeba w siedmiu się bronił, a w sześciu atakował. Uwagi te potwierdzili nasi obserwatorzy Henryk Reyman i Kazimierz Górski.

Zapewne „pan Grzegorz”, jak i ja, tak duży ukłon pod adresem Brychczego zrobiliśmy dlatego, bo byliśmy pod wrażeniem jego

fenomenalnej gry w majowym meczu Legia – Górnik rozegranym na Stadionie Wojska Polskiego. Zabrzanie, uważani przez uczestników redakcyjnej ankiety za zdecydowanego faworyta sezonu 1958, przyjechali do Warszawy w najsilniejszym składzie po pewne zwycięstwo. Natomiast Legia była mocno osłabiona w obronie. To w konfrontacji z bombowym atakiem Górnika: Pohl, Jankowski, Fojcik, Kowal, Lentner nic dobrego nie wróżyło. Jeszcze na dobre mecz się nie rozpoczął, a już Górnik prowadził 1:0 ze strzału... samobójczego niedoświadczzonego stopera Mariana Kostaniaka, w trybie awaryjnym ściągniętego z zespołu rezerw. Zanosiło się na pogrom. Wątpliwości budziły tylko jego rozmiary – 5:0 czy 6:0?

„KICI” BYŁ WIELKI!

W tych kasandrycznych wróżbach nie uwzględniono jednak faktu, że w drużynie Legii gra Brychczy. Przed meczem po przyjacielsku wyściskał się z Kowalem i Pohlem, ale na boisku był katem dla wszystkich rywali. Kapitałna gra „Kiciego” w stopniu największym dokuczyła Floreńskiemu. Ten dobry obrońca, jeden z bohaterów zwycięskiego meczu z Sowiecami w Chorzowie, wobec piłkarskiego kunsztu Brychczego był bezradny. Oxfordy, amerykanki, przeboje, dryblingi, zwody, strzały i ruchliwość żywego srebra – oto czym zadziwił kolegów z drużyny, przeciwników z Zabrze i blisko trzydziestotysięczną widownię.

„Kici” znaczy po węgiersku „mały”, ale w tym meczu legionista był „Wielki”. Zdobył dwie bramki i ze stanu 1:2 doprowadził do zwycięstwa

Legii 3:2. Po meczu na wszystkich ulicach wokół Stadionu WP i Torwaru słyhać było wydobywające się z tysięcy gardeł potężne „Sto lat”. Ludzie długo nie opuszczali Łazienkowskiej. Burzliwymi oklaskami dziękowali zwycięskiej drużynie i jej największemu aktorowi za piękne widowisko, nieustępliwą walkę i doznane wrażenia estetyczne. To, co zobaczyli i przeżyli, było rzeczywiście największym teatrem XX wieku. Dla red. Zmarzlika Legia nigdy nie była drużyną, która mogła by mu śnić się po nocach. Brychczy też nie był wyżej notowany, niż sosnowiczanie Witold „Giga” Majewski. Jednak to, co „Kici” zaprezentował w meczu z Górnikiem, oczarowało również wicenaczelnego. W najbliższym „Przeglądzie Wydarzeń Piłkarskich” napisał:

...„Nie wiem, czy powstanie piosenka „Dziś gra Brychczy”. Może to za wcześnie. Ale wiem, że Mały „Kici” uważany będzie za wielką indywidualność, która schematom i założeniom taktycznym dodaje rumieńca, która stanowi „sól gry”. Spodziewam się, iż na następny mecz Legii z Ruchem przyjdzie kilkanaście tysięcy widzów specjalnie dla Brychczego.

Nie wiem, czy Brychczy jeszcze raz zagra tak w swojej karierze... czy uda mu się doprowadzić publiczność do szału, spowodować, żeby na cześć Legii, chyba po raz pierwszy od jej założenia, śpiewano „Sto lat”... Kiedyś, a były to czasy austriackiego „Wunderteamu” z dumą informowano – „Heute spielt Uridil”. Po ostatnim zwycięstwie wojskowych nad górnikiem ja sam chętnie bym zaintonował „Dziś gra Brychczy...!”.

W relacji krajowej rok 1958 wyróżnił się również próbą ustalenia statusu piłkarza – jest wciąż amatorem czy powoli zaczyna być zawodowcem? Już na Walnym Zgromadzeniu PZPN w 1957 roku Śląsk wystąpił z wnioskiem o wynagradzanie piłkarzy za grę, ale

wówczas wiążącej decyzji w tej sprawie nie podjęto. Ta nowość była dla niektórych świętoszków szokująca. Ważne i trudne to zadanie przekazano do rozwikłania wiceprezesowi PZPN, znanemu działaczowi z Łodzi Waławowi Zatkemu, wielkiemu sympatykowi ŁKS-u. Ten mądry i inteligentny działacz zaprezentował formułę dość długo określaną jako „dożywanie”. Ten rzeczownik był strawny dla gomulłowskiej władzy i obserwatorów z zagranicy, częściowo zadowolił również nasze kluby i zawodników.

Stosowanie dożywania – nie jest zawodowstwem – dowodził Zatke – ponieważ stopa życiowa jest w Polsce dużo niższa, niż w innych krajach. W tej sytuacji u nas konieczne jest uzupełnianie kalorii. Myślę, że wszystkie kwestie w tej ważkiej materii, wyjaśnimy w przygotowywanej „Karcie Praw i Obowiązków Piłkarza”. Ale za nim to nastąpi, konieczne jest, aby już od 1 stycznia 1958 roku, każdy klub księgował swoje wpływy i wydatki.

Dokładnie w połowie marca 1958 roku „Przegląd Sportowy” opublikował „KARTEŃ PRAW I OBOWIĄZKÓW PIŁKARZY”. Była to typowa hybryda, kolejne „**ni pies, ni wydra...**” Niby usankcjonowano możliwości otrzymywania wynagrodzenia za grę w piłkę nożną, ale stanowczo odżegnywano się od zawodowstwa. W preambule do „Karty praw...” podkreślono jednoznacznie, że „**Uprawianie sportu w Polsce nie może stanowić wyłącznego źródła utrzymania. Zawodnik musi się uczyć lub pracować...** Tytułem wyrównania utraconych zarobków klub może wypłacić świadczenia 20 zawodnikom kadry klubowej... Suma wypłacana z tego tytułu nie może przekraczać kwoty 18 tysięcy złotych miesięcznie”.

Nazwano tę innowację „ekwiwalentem na dożywanie”. W „Przeglądzie...” uznaliśmy to za „atrapę kontraktów”. Jednak

uwzględniono w nich klasę zawodnika. Wysokość „dożywiania” była jawna: grupa I – do 1400 złotych miesięcznie, II – do 1000 i III – do 600 złotych. O przyznaniu piłkarzowi określonej grupy decydował zarząd klubu i miał obowiązek powiadomić o tym PZPN i OZPN. Poza tym zawodnik mógł otrzymać „nagrodę pieniężną” – do 600 złotych za zwycięstwo i do 300 za remis. W dolarach byłaby to zwykła jałmużna. Rezerwowym przysługiwało 50 procent tej sumy. A po zakończeniu sezonu (raz w roku) można też było wręczać upominki.

Takie były „prawa” piłkarzy na papierze. W rzeczywistości, początkowo może tylko poza klubami wojskowymi i gwardyjskimi, nikt tego zapisu nie przestrzegał. Z reguły płacono więcej, najwięcej w klubach przypisanych do wielkich zakładów pracy. Na Śląsku były to głównie kopalnie i huty, w Łodzi fabryki włókiennicze, w Gdańsku i Opolu budownictwo, a w Warszawie przede wszystkim tzw. resorty siłowe – MSW i MON. Zalegalizowanie „dożywiania” nie zlikwidowało „lewych kas”. Początkowo najmniej „zarabiali” piłkarze (i nie tylko oni) Zagłębia, co z jednej strony potwierdzało już wcześniej zasygnalizowaną pustkę w klubowej kasie, a z drugiej – słabą w tym okresie formę sosnowiczana. Kiepsko było też w Polonii Warszawa i Lechu Poznań wciąż firmowanych przez zacofane i biedne nasze kolejnictwo.

A jakie były obowiązki piłkarzy? Można to zawrzeć w jednym, zdaniu: **trenować sumiennie, grać w zawodach mistrzowskich i pucharowych, no i oczywiście prowadzić sportowy tryb życia.** Z trenowaniem i graniem, choć nie zawsze na dobrym poziomie, nie było najgorzej, natomiast z tym „sportowym trybem życia” zawodników kluby nie bardzo sobie radziły. Największe skłonności do dolce vita przejawiali piłkarze Górnika Zabrze. Już przegrana z rozbitą Legią w Warszawie

2:3 i z ŁKS-em w Łodzi 1:4 wystawiła im złe świadectwo, a gdy jeszcze doszła do tego przegrana w Zabrze z Gwardią Warszawa 3:4, mimo że do przerwy było korzystne 3:2, atmosfera na Śląsku przypominała inwokację z „Maratonu” Kornela Ujejskiego: - Ha, Sardes gore! Lament się rozrasta!... Zaczęto odsądzać Górnika od czci o wiary. Już bez żadnych zahamowań mówiono i pisano o nich „**Rycerze Wielkanocnego Stołu**”. Ligowa tabela nie kłamie: na półmetku rozgrywek 1958 Górnik był dopiero szósty za Polonią Bytom, Legią, ŁKS-em, Gwardią i Ruchem. Trener Zsoltan Opata był zrozpaczony.

Działo się to wszystko w roku mistrzostw świata. Tam uczta na szwedzkich boiskach, u nas głównie przy biesiadnych stołach. Przerwa w rozgrywkach, lipcowa kanikuła, sporo pracowników redakcji na urloпах. Na gospodarstwie zostali Zmarzlik i Cergowski, ja w zastępstwie „pana Grzegorza” prowadziłem dział piłkarski. Ligowe ogórki groziły spadkiem nakładu gazety. Na kłopoty jednak piłka nożna! Na różne sposoby podsumowywałem sezon, a tu jeszcze Zmarzlik podsunął intrygujący wszystkich temat – co słyhać w Górniku? W letnie upały zmusił mnie do wyprawy na Śląsk.

Buszowałem kilka dni w Zabrze, ale z niewątpliwą korzyścią dla pisma, czytelników i... samego Górnika. Zabawiałem się w Sherlocka Holmesa, wizją lokalną objąłem klub, mieszkania niektórych zawodników, restaurację i „melinę” zaprzyjaźnionego z piłkarzami fryzjera. Zdobyte tam informacje podparłem fragmentami felietonów „Wisza” z katowickiej „Trybuny Robotniczej”. W efekcie powstał z tego spory reportaż pod głównym tytułem „KILKA SŁÓW PRAWDY O GÓRNIKU ZABRZE” i wiele mówiącymi podtytułami: ● Piją czy nie piją? ● Jak to było w NRF? ● Kara za 17 tysięcy ● Adwokaci czy kierownicy? ● Przemęczeni bohaterowie...

Nie miałem wątpliwości – Górnik toczy się po równi pochyłej. Niejeden mistrzowski punkt „Rycerze wielkanocnego stołu” utopili w alkoholu. Kierownictwo klubu nie dostrzegało lub nie chciało widzieć tego problemu. W Górniku pijaństwo? To wielka przesada – usiłowano mnie przekonać. Jeśli „Jana” wypije jedno piwo, to już całe Zabrze huczy, że jest „centralnie” pijany. A zresztą, kto w lidze nie pije? Zdziwiający: klubowi notable lepiej wiedzieli, kto pije w Legii, Polonii Bytom, ŁKS-ie i Wiśle, niż w Górniku. Bardziej realistycznie widziała to żona Kowala:

– „Mąż się znacznie poprawił... Po treningach już nie wraca, jak dawniej – pijany. Abstynentem nie jest, ale który chłop nie lubi wódki?...

„Epi” lubił ten ognisty napój bardziej, niż inni. To go zgubiło. Dwa lata później zginął tragicznie. A więc nadal pili. W dzień najczęściej u wspomnianego już fryzjera, a wieczorami w restauracji „Polonia”. To głównie stamtąd zdenerwowani kibice najczęściej dzwonili do klubu lub następnego dnia z samego rana wysyłali na Roosevelta anonimowe listy. Znał ten ból felietonista „Wisz”, skądinąd wiem, że był to pseudonim Wilhelma Szewczyka, na Śląsku bardzo popularnego pisarza: *„Jestem Górnik, tym się szczycę... W tym zespole dość często krąży kwaretka jako symbol zbratania i jedności”*.

Kulisy słabej postawy zabrzan w rundzie wiosennej ujawnił również trener Opata na ogólnopolskiej naradzie trenerów. **„Górnicy są bez formy, bo piją...”** W klubie, zwłaszcza wśród piłkarzy, zostało to źle przyjęte. Zsoltan za mocno się wychylił. Powoli stawał się w Zabrze persona non grata. Opata to wyczuwał, ale kursu nie zmieniał. W Ustroniu na letnim zgrupowaniu zganił nawet swojego ulubieńca Pohla: *– Ernestowi wyraźnie się tu nudziło i znowu „zażył kropli”...*

Opinię publiczną w kraju zbulwersowały przede wszystkim echa wyprawy „zabrskich kombajnistów” do NRF. Grali tam dobrze, ale „podpadli” kibicom z zupełnie innego powodu. Nie protestowali, gdy dziennik „Frankfurter Allgemeine” napisał, że w Górniku grają sami Niemcy, nie zareagowali też gdy na afiszach reklamowano klub, jako Bergmann Hindenburg. Zapytałem więc w tym reportażu może nieco naiwnie, ale dobitnie: - **Znasz – li ten kraj? Hindenburg się nazywa...**

Piłka nożna jest twardym, męskim sportem. Twardzi i męscy muszą być również zawodnicy. Piłkarze Górnika Zabrze takich cech wówczas nie wykazywali. Nie miałem wątpliwości, że to powinno dać wiele do myślenia kapitanowi sportowemu PZPN podczas typowania kandydatów do reprezentacji Polski. Taki był końcowy wydzźwięk przykrego story o Górniku. W Zabrzu (i nie tylko) przyjęto to z niesmakiem. Ówczesny prezes klubu pan Parnowski złożył na mnie skargę u naczelnego, a prawnicy z Warszawy mieli pretensje za passus „Adwokaci czy kierownicy?”. Czas jednak pokazał, że ten tekst był potrzebny. Odwołano stary zarząd, powołano komisaryczny. Poskutkowało. Już w następnym sezonie Górnik znowu był najlepszy. Czy wtedy w tym klubie już nikt nie pił? Zmienił się tylko trener, Zsoltana Opatę zastąpił Janosz Steiner, ten sam, który wcześniej pracował w Legii. Wraz z nim pojawiło się zgoła inne spojrzenie na spożywanie kalorii w płynie:

– Fojcik ist gut. Pilkasch muss trinken! – to kolejny dowcip rubasznego Węgra.

Sezon 1958 zakończył Górnik na Stadionie Śląskim w Chorzowie bezbramkowym remisem z ŁKS-em. Ostatecznie zajął trzecie miejsce w lidze właśnie za łodzianami i Polonią Bytom. Rywal zza między złorzeczył na zabrzan, bo gdyby wygrali, choćby 1:0, mistrzem Polski

byłaby Polonia, a nie ŁKS. Czy było by to sprawiedliwe zakończenie sezonu? Nie. Tytuł, jak najbardziej zasłużenie przypadł „Ryccerzom Wiosny”. W konfrontacji ze śląskimi rywalami okazali się wyraźnie lepsi, nie przegrali z nimi ani jednego spotkania. Większość z nich oglądałem, także to ostatnie w Chorzowie. Od początku rej wiedli tam łódzcy kibice:

– Kaj my to som? – zapytał przed meczem Zbyszek Rzaski, kierownik działu sportowego „Wieczoru Katowice”, a po zwycięskim dla łodzian 0:0 wrzasnął w loży prasowej: – *To już nie tylko „Ryccerze Wiosny”, to „Ryccerze całego roku!”*. Był to najcenniejszy remis w 50-letniej historii klubu. Kibice wzniesli transparent: MISTRZOWI POLSKI – STO LAT!, a ja swoją relację z tego meczu zatytułowałem: „**Niech żyje Król Ryccerzy Wiosny**”. Cichym bohaterem tego bezbramkowego pojedynku był lewy obrońca ŁKS, Henryk Stusio. Całkowicie zaszachował Ernesta Pohla. W Chorzowie łodzianin rozegrał najlepszy mecz w karierze.

Dokonując oceny rozgrywek w 1958 roku stwierdziłem jednoznacznie, że ŁKS bezwzględnie zasłużył na mistrzostwo. Grał równo i mądrze. Raz tylko powinęła mu się noga, w Warszawie – przegrał z Legią 0:3. „**Dylizans z Łodzi uległ warszawskiej dreźnie**”. Tę wpadkę ŁKS odbił sobie z nawiązką na Stadionie Dziesięciolecia, pokonał tam Gwardię 5:0. Po tym meczu do „harpagonów” już na stałe przylgnął epitecik: „**Była perła, ale się sterła**”. Wahania formy uważano wtedy za największą zmorę naszych ligowców, a Gwardię w tym względzie za przykład wręcz kliniczny. Wczesną wiosną zaraz po powrocie z wyprawy do Egiptu i Sudanu zdeklasowała Legię 5:1, ale jesienią na kolana rzucił ją ŁKS. Trener Foryś nie bez podstaw żalił się wtedy przy każdej okazji: – *Najtrudniej upilnować zawodników w czasie wolnym od zajęć. Bóg wie, co wtedy robią...* My wiedzieliśmy – odwiedzali nocne lokale z licencjami

na alkohol, najchętniej „Melodię” na Nowym Świecie. Zdarzało się, że zamiast w drzwi „trafiali” w lustro i szpetnie rozbijali głowy. Lustro też...

Cała Łódź świętowała Złote Gody klubu i mistrzostwo Polski. Na Piotrkowskiej powiewano transparentami „**Rycerze Wiosny silni i jesienią**”. Bawiłem się razem z kibicami i działaczami. Z Jankiem Wojdygą na kilka dni zakwaterowałem się w Grand Hotelu. Apartament na pierwszym piętrze z balkonikiem i widokiem na Piotrkowską non stop zajmowali notable klubowi. Podejrzewam, że za wszystko płacił zagorzały sympatyk ŁKS, wtedy niewątpliwie kibic numer jeden, Tadeusz Warchulski. Święto ŁKS zbiegło się z jego imieninami. Solenizanta stać było na wystawne przyjęcia i prezenty dla zawodników. Zapewniał mu to status obrotnego prywaciarza. Pan Tadeusz swoją mocną pozycję zwykł ubarwiać śmiesznymi makaronizmami.

Ugościł również wysłanników „Przeglądu”. To drobiazg, wszak dokonał rzeczy po stokroć ważniejszej. Do apartamentu zaprosił, akurat wtedy przebywającego w Łodzi – Jana Kiepurę. Nasz wielki tenor wcześniej koncertował już na stadionach, platformach i dachach samochodów. Teraz wyszedł na balkon, spojrzął na Piotrkowską w prawo, w lewo, a tam wciąż tłum ludzi przed siedzibą klubu. Znowu poczuł się, jak na scenie i... zaczął śpiewać. Najpierw „**Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...**”, a potem swoją nieśmiertelną „**Ninon, ach uśmiechnij się...**” Żaden komentarz nie jest w stanie oddać nastroju tego popołudnia. Łódź falowała z radości!

Plonem naszej wyprawy do Łodzi były przede wszystkim zgrabnie opisane reakcje trenera Króla na to niezwykle wydarzenie, prezentacja zawodników, ich upodobań i słabości, wreszcie typowo sportowa ocena mistrzowskiej drużyny i jej największych bohaterów. Właśnie wtedy

ochrzciliśmy Leszka Jezierskiego „Łódzkim Napoleonem” i ogłosiliśmy specem od gotowania, a Staszka Barana przedstawiliśmy w roli miłośnika sztuki i zatwardziałego domatora. Rozmowa z seniorem ŁKS wyraźnie się wydłużała. Zerwał się wtedy z krzesła i przeprosił za brak czasu:

– „Santa madonna, poratuj!... Jutro z dalekiej podróży wraca żona ma...” Miałem okna wymalować, dywany wytrześć, a my tu gadu gadu o moich słabościach. Lubię teatr, operę, operetkę, muzykę w każdej postaci. Przepadam za tańcem... No, a grę w brydża i kierki kocham niemal tak samo, jak piłkę nożną. Z artystami jestem za pan brat, przecież grałem kiedyś z „Makusiem” Łączem w jednej drużynie... Ale teraz pędzę do domu...

Wysłuchałem też monologu trenera Władysława Króla. (Wojdyga zamęczał w tym czasie kapitana drużyny Władysława Soporka).

– Najwyżej stawiam obronę. Jest w niej żywioł i filozofia. Żywioł reprezentuje „Burza” Szczepański, a filozofię – zdolny myślowo, utalentowany stoper Wlazły. Stusio – to wzór pracowitości. Duet pomocników Jańczyk – Grzywocz dorównuje reprezentacyjnej parze Gawlik – Zientara. A napad? Zbyt często gra systemem „stu podań”. Brak w nim teraz zawodników typu Staszka Barana – fajtera, przebojowca. Władek Soporek - interesująca postać, a Leszek Jezierski bardzo wysoko zaawansowany technicznie. Dużym talentem jest Kowalec. No i Henio Szymborski... Inteligentna bestia, ma wszystko!... Także ładną buzię... Kobiety go lubią, ale w futbolu to żadna zaleta, raczej wada. Chłopak zabawowy, w równym stopniu umiował rozkosze dnia i nocy...

W cieniu mistrzostw świata w Szwecji nasza reprezentacja rozegrała sześć spotkań międzypaństwowych i... żadnego nie wygrała. Bilans sezonu 1958 był jednym z najgorszych w historii PZPN: trzy remisy – dwa razy po 2:2 z Irlandią i 1:1 z NRD oraz trzy przegrane - z Danią

2:3, Szkocją 1:2 i z Węgrami 1:3. Byłem „świadkiem koronnym” pięciu z tych sześciu spotkań, ale tylko dwa na dłużej utkwiły w mojej pamięci. W końcu maja po raz pierwszy wydelegowano mnie, umownie mówiąc, na Zachód, bo faktycznie była to północ Europy – Dania. Teoretycznie nasza drużyna w układzie personalnym nie była wtedy zła, w praktyce nieporadna. W pierwszym kwadransie meczu z Danią – kompromitacja. W loży prasowej stadionu Idraetsparken rumieniłem się ze wstydu. Za piłkarzy, członka kapitanatu Stanisława Szymaniaka i trenera Adama Niemca. Pierwszy zastępował Reymana, a drugi Forysia. Nieudolnie!...

RADIOLOG CZY SELEKJONER?

Szymaniak wpadł na pomysł, żeby dobrego prawego obrońcę Stefana Floreńskiego wystawić w Kopenhadze na stoperze, a mistrza na tej pozycji, Romana Korynta – posadzić na ławce rezerwowych. Trener Niemiec nie miał tu nic do powiedzenia. Efekt był taki, że już po 15 minutach Duńczycy prowadzili 3:0. Nie wytrzymałem nerwowo: – Wprowadzić Korynta! – krzyknąłem w kierunku polskiego boksu. – Nie wiem, czy mnie usłyszano i usłuchano, faktem jednak jest, że Roman zajął miejsce Stefana. I do katastrofy nie doszło (w 1948 już raz było 0:8!), ostatecznie przegraliśmy tylko 2:3. Bramki dla nas zdobyli Cieślik i Lentner. Dzielnie ich wspomagali: Jezierski, Norkowski i Brychczy.

Po meczu, już na spokojnie spytałem przygaszonego Szymaniaka, jaki diabeł go podkusił, że kiepskiemu taktycznie Floreńskiemu powierzył tak ważną funkcję w zespole. Odparł w stylu radiologa, a nie selekcjonera:

– Przecież nie miałem ze sobą aparatu Roentgena... Nie mogłem tego przewidzieć!...

Więcej pytań nie miałem, ta jedna odpowiedź w pełni ukazała faktyczną wiedzę członka kapitanatu. Bardziej racjonalnie ocenił występ Ślązaka trener Niemiec: - Floreński na tej pozycji do tak poważnego meczu jeszcze nie dorósł... Reyman, Szymaniak i Dyrda – dotrwali na swoich fotelach do końca tego nieudanego sezonu. Wkrótce jednoosobowo zastąpił ich Czesław Krug, rodowity warszawiak, ale ostatnio pracujący w Arkonii Szczecin. Z polecenia „pana Grzegorza” pogałem za nim na Wały Chrobrego i jeszcze zanim przejął ster reprezentacji, wystawiłem niezłą cenzurkę. W parze z Forysiem dawał nadzieję na nieco lepszy 1959 rok.

Kopenhaga jest ładnym i schludnym miastem. Pierwszy szok – w porównaniu z naszym starym „Okęciem” – przeżyłem na lotnisku. Ubikacje, jak wytworne salony. Czystość aż biła w oczy! Zapachy, też nie odstraszały... Co kraj, to obyczaj? Raczej dysproporcja między bogatym Zachodem, a ubogim Wschodem. Na ulicach mnóstwo rowerzystów, w kanałach sporo tramwajów wodnych. Piękna rzeźba Syrenki. Wówczas wszystko to było dla mnie nowością. Także rytuał pomeczowego bankietu. U nas na takich imprezach, nawet po przegranym meczu, choć na stołach mniej „delikastesów”, a więcej wódki, na ogół luz, humor, swoboda. W Danii inaczej – nastrój ciszy i powagi. Można było odnieść wrażenie, że to sztywne dworskie przyjęcie, a nie feta po wygranym meczu. Kelnerzy podawali do stołu tylko na sygnał jakiegoś restauracyjnego kamerdynera i w paradnym tempie. Feudalne tradycje?...

W bardziej kameralnej formie spotkaliśmy się z miejscową Polonią. Czuło się lekkość rodaków. Piłkarze odśpiewali ulubioną piosenkę:

„Córuś moja córuś nie chodź za piłkarza, bo piłkarz pojedzie w daleki świat, a ty będziesz sama...” natomiast bramkarz Henryk Gronowski z Lechii Gdańsk zaprezentował na fortepianie recital z pogranicza konkursów chopinowskich. W poniedziałek przed południem całą ekipę przyjął też szef naszej placówki dyplomatycznej. Znowu było wesoło: wino, śpiew, brakowało tylko kobiet. Ale i tak przypominało to sarmackie „kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!”.

Po południu wraz z kolegami z innych gazet i Polskiej Agencji Prasowej wybrałem się do słynnego parku rozkoszy „Tivoli”. Tu przeżyłem kolejny szok – masz tu wszystko, czego dusza zapagnie. To tak wygląda zgniły kapitalizm, ten zły świat za „żelazną kurtyną”?! Mnie zainteresowały przede wszystkim gry zręcznościowe. Na strzelnicy przykułem wzrok do biegnącego jelenia. Trzeba w niego trafić gumową kulką. Wykupiłem dwa karnety, każdy uprawniający do dziesięciu rzutów ręką. Bez żadnej próby! Pierwszy strzał – pudło, ale już dziewięć następnych nieźle premiowanych. Jest pierwsza nagroda. Druga seria cała moja. Koledzy zdumieni, krupier lekko przestraszony, grzecznie zaproponował inną zabawę. Spasowałem i poprosiłem o wypłacenie wygranej w duńskich koronach. Wystarczyło to na atrakcyjny prezent dla żony – dobrej marki granatową spódniczkę i białą bluzeczkę. Takich eleganckich ciuchów u nas wtedy nie było.

W następnym meczu ze Szkocją „biało-czerwonym” znowu się nie powiodło, dopiero w trzecim w Rostocku z NRD zremisowali 1:1. Był to zacięty pojedynek, zakończony niesmakiem. Niemcy, pomni niedawnego 2:0 w Chorzowie, znowu liczyli na pewne zwycięstwo. Do przerwy prowadzili 1:0, bo słabiej niż oczekiwaliśmy grał Roman Korynt. Po każdym starciu z napastnikiem masował swoje żebra.

Kilka razy podbiegł do trenera Forysia i coś szeptał do ucha. Jest źle, coś mu dolega. Prosił o zmianę? Nasz „arbiter elegantiarum” żalił się, że środkowy Troeger raz po raz wali go po plecach... protezą. Dłoń stracił na froncie wschodnim. Magister przywołał do siebie Jurka Woźniaka. Co wymyśli ten mistrz motywacji i forteli?

Tadeusz Foryś omal nie doprowadził do draki w obozie demoludów. Przywołał do siebie Woźniaka, coś mu powiedział, a Jurek przy pierwszej okazji tak prawdziwie po warszawsku natarł na Troegera. Obaj padli na murawę, ale „Siwy” wstał o własnych siłach, natomiast Niemca zniesiono do szatni na noszach. Już nie wrócił na boisko. Sodoma i Gomora, gwizdzą kibice, wygrażają pięściami. Foryś wciąż w swoim żywiole:

– Gerard walcz! – to do Cieślika – Lentner nie stój! Heniek! – to do Kempnego – wyjdź po piłkę! – Gawron nie chowaj się!

Cel osiągnął. Napad w składzie: Gawroński (Norkowski), Nowara, Kempny, Cieślik, Lentner (Jarek) zaczął grać z zębem. Kempny strzelił wyrównującą bramkę. Remis 1:1, Niemcy rozczarowani, my zadowoleni. Trener rozgrzesza Woźniaka:

– Wie redaktor, „Siwy” nie lubi Niemców, ma powody – zamordowali mu ojca. Wykorzystałem ten atut. Wykonał zadanie...

Tak zakończył się reprezentacyjny półmetek 1958. Drużyna grała nierówno, z reguły w każdym meczu nieźle prezentowała się obrona, ale napad - na pałę z minusem. Foryś był niepokieszony:

... „Kici i Gerard zdrowi i w dobrej formie są w stanie zrobić grę, poderwać zespół. To za mało, potrzebuję pięciu napastników. Teraz brak jest przede wszystkim Kempnego w dobrej formie, z którym Brychczy dobrze się czuje w roli drugiego środkowego. Jeśli Heniek

odzyska formę, a Brychczy zdrowie, to wówczas Cieślik mógłby spełniać rolę rozgrywającego. Katastrofa jest jednak na skrzydłach. Gawroński i Lentner obecnie nie nadają się do reprezentacji...”

Ocena trafna, ale... nie do końca. Cieślik urodzony przebojowiec i strzelec, nigdy nie był i nie będzie rozgrywającym z prawdziwego zdarzenia. Takim, jakim zaraz po wojnie był jego przyjaciel Mieczysław Gracz, a nieco później Edmund Kowal i Witold Majewski. Trzeba szukać innych rozwiązań. Zadanie trudne, z rozgrywającymi nasi trenerzy zawsze mieli kłopoty i tu popełniali najwięcej błędów.

Przemyślałem to spacerując po ulicach Berlina Zachodniego. Towarzyszył mi red. Zbigniew Kossek. Nie bez obaw dotarliśmy do „okna wystawowego” Europy za „żelazną kurtyną” w naszym kraju znanego tylko z kłamliwych opowieści. Kurfuerstendamm... A nuż nas tu zwiną? To echa krajowej propagandy. Rzeczywistość zgoła inna: widok baśniowy, nastrój pogodny, a efekty świetlne przerastające naszą wyobraźnię. Tak, Berlin Wschodni i Zachodni – to dwa różne światy. Marzymy o dobrym filmie, również z tego innego świata. Jest! „Most na rzece Kwai”... Zналиśmy już rytm melodyjnego marsza z tego niezwykłego obrazu, teraz wiemy wszystko. Nie tylko Polak, Anglik również jest mądry dopiero po szkodzi...

Mistrzostwa w Szwecji po raz kolejny dowiodły, jak daleko naszemu futbolowi do światowej czołówki. W eliminacjach dość wyraźnie górowała nad nami reprezentacja ZSRR, tymczasem w turnieju finałowym nie odegrała większej roli. Po tej lekcji postanowiono wreszcie zerwać z irracjonalnym „jakoś tam będzie”. Powstał Wydział Szkolenia z Koncewiczem w roli głównej. To był strzał w dziesiątkę. „Faja” miał już za sobą niepodważalne sukcesy w klubach, także kilka efektownych

zwycięstw reprezentacji, ale dopiero jako szef tego wydziału błysnął nieprzeciętnym talentem. Zorganizował od podstaw cały pion szkolenia. Postawił głównie na młodzież, dokształcanie trenerów, systematyczną opiekę lekarską i dobrą organizację w terenie.

Autonomicznej sekcji reprezentacji wówczas jeszcze nie było. Dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, by zaznaczyć wagę swojej pozycji w PZPN, utworzył ją Jacek Gmoch, a później Jerzy Engel przesadnie podniósł do rangi departamentu. Z kompetencjami osób odpowiedzialnych za selekcję niemal zawsze były u nas kłopoty i nieporozumienia. Komu to właściwie podlegało? Najpierw był kapitan, potem kapitanat, zespół selekcyjny, znowu kapitan, wreszcie selekcjoner. W każdym z tych układów niejako na uboczu, z mocno ograniczonymi kompetencjami był trener. To urażało ambicje Koncewicza. Zdecydowanie górował kompetencją i doświadczeniem nad odpowiedzialnymi za selekcję i taktykę, ale zgodnie z obowiązującą wówczas strukturą PZPN, był im podporządkowany.

W praktyce istniały dwa ogniwa decyzyjne. Silna, z dużymi uprawnieniami funkcja kapitana związkowego, ale rzadko poparta niezbędną fachowością oraz tylko połowiczna, choć znacznie bogatsza w wiedzę, faktyczna władza trenera. Ta dwutorowość irytowała Koncewicza. Będąc pewnym wyższości swej koncepcji nad selekcyjną hybrydą, znowu jakimś tam „ni pies, ni wydra”, stał się gorącym zwolennikiem jednoosobowej odpowiedzialności za pracę z reprezentacją. Zmagał się w tej materii z Czesławem Krugiem nazywanym „szczęśliwym kapitanem”, Wiesławem „profesorem” Motoczyńskim i najmniej z tej grupy kompetentnym, Klemensem Nowakiem. Swoje wiedział, ale w tajemnicy przed kapitanami właśnie mnie niekiedy pytał, kogo oni chcą wystawić w danym meczu. Paranoja. Ale dopiął swego!

Od drugiej połowy 1966 roku za pracę z reprezentacją jednoosobowo odpowiada – SELEKCJONER TRENER.

Dość długo nie pochwalałem tego mariażu. Nie sam pomysł, lecz... brak odpowiednich wykonawców. Trudno było znaleźć człowieka, który z jednej strony dobrze radziłby sobie w selekcji, a z drugiej – potrafiłby odpowiednio przygotować drużynę i dobrze sterować nią w czasie gry. Tu nie wystarczy wiedza podręcznikowa, dobre chęci i przeciętne uzdolnienia. Tu potrzebny jest talent, wyobraźnia, autorytet. Jediną osobą, która w stopniu granicznym z geniuszem potrafiła łączyć selekcję z pracą trenera, był Kazimierz Górski. Niedawno przyznano mu tytuł „Trenera Stulecia”. Jest również Doktorem Honoris Causa Gdańskiej AWF. To właśnie ta ranga!

Wybitnym kapitanem sportowym PZPN już w latach trzydziestych był Józef Kałuża. Z zasady jednak swoją pracę z reprezentacją ograniczał do selekcji, natomiast bieżącą robotę na boisku powierzał trenerom. Ryszard Koncewicz parął się tym sam i to lepiej, niż inni, ale nieco słabszą jego stroną była selekcja. Ten wybitny szkoleniowiec za bardzo przywiązywał się do nazwisk i zawodników, których sam niegdyś trenował. Nie za bardzo ufał kolegom ligowym. Stąd dość często na linii klub – reprezentacja dochodziło do starć. Cierpiała selekcja. A Górski? Był wybitnym trenerem i selekcjonerem.

W przeciwieństwie do Górskiego, Koncewicz nie miał też daru zjednywania sobie działaczy społecznych. Wielu z nich nie doceniał, niektórych uważał za ignorantów „przynoszonych w teczkach”. Przez zdecydowaną większość piłkarzy i trenerów był jednak bardzo szanowany. Stał się niekwestionowanym liderem zwłaszcza ogromnej „lwowskiej fali” szkoleniowców, między innymi Tadeusza Forysia, Michała Matyasa,

Adama Niemca, Stanisława Tymowicza Antoniego Piechniczka, Leszka Jezierskiego, Edmunda Zientary, Wojciecha Łazarka, Andrzeja Strejlaua i właśnie Kazimierza Górskiego. Autorytet w każdym calu. „Faja” uważał technikę, taktykę i kondycję w futbolu za trzy zgodne boginie, ale na zgrupowaniach kadry największy nacisk kładł na przygotowanie fizyczne i taktykę. Dawał zawodnikom w kość, co potem procentowało również w klubach. Reprezentanci nie ukrywali: - „Z Koncewiczem to się świetnie trenowało!”.

Spytałem kiedyś Górskiego:

– Słuchaj Kaziu!... Przed tobą za najwybitniejszych polskich trenerów, takich – którzy dobrze radzili sobie w pracy klubowej i z reprezentacją, uważałem „Myszkę” Matyasa, magistra Forysia oraz „profesora” Koncewicza. Jak tych ich oceniasz? Bo Koncewicz, mimo że złośliwcy chętnie stawiali was na przeciwstawnych biegunach, wyrażał się o tobie przyjaźnie i jednoznacznie dobrze. Opowiadał:

– „Blżej poznałem Górskiego na kursie trenerskim w 1953 roku w Krakowie. Był pilny i zdyscyplinowany. Potem przez wiele lat obaj pracowaliśmy w PZPN. W zawodzie trenera od początku był dobrze prowadzony, prawidłowo dojrzewał... W końcu 1970 roku zajął moje miejsce przy drużynie. I od tej pory zaczęły się sukcesy naszej reprezentacji. Tego nikt nie może negować. Wszystko, co najlepsze, słusznie przypisuje się Górskiemu”.

– Czy to nie piękne? Tak może powiedzieć o rywalu z branży tylko przyjaciel, człowiek prawy, a nie jakiś wyimaginowany wróg lub hochsztapler?

– Rysio – odpowiedział Górski - to dawna, dobra lwowska szkoła. Mógł coś mieć i zapewne miał na wątrobie, na pewno ubolewał, że

z reprezentacją nie bardzo mu się powiodło, ale zawsze był sprawiedliwy. Nie rzucał słów na wiatr i nie podejmował pochopnych decyzji. Jacy byli ci pozostali?... Matyas... Typowy praktyk, niegdyś doskonały technik... Chciał, by każdy piłkarz z taką gracją stopował piłkę i strzelał gole, jak on... A to niemożliwe. „Myszka” był tu niedoścignionym wzorem, klasą dla siebie. Nerwowym marzycielem... Foryś? Ten dla odmiany był teoretykiem. Otwarty, swobodny, elokwentny, dowcipny... Koncewicz miał w sobie coś i z Matyasa i z Forysia. Dobry organizator, spokojny, zrównoważony, ale... zamknięty w sobie. Utrzymywał dystans... Trzy różne typy psychologiczne.

Na przełomie 1958 i 1959 roku z inicjatywy Koncewicza PZPN zorganizował w Chylicach pod Warszawą II Ogólnopolską Unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Jeszcze niewiele mówiono tam o nowościach taktycznych z mistrzostw świata w Szwecji, ale osiągnięcia tych obrad są trudne do podważenia. W towarzystwie Wiesia Motoczyńskiego codziennie dojeżdżałem tam dobrze wówczas znaną i podziwianą „podwarszawską ciuchcią”. Chciałem bliżej poznać tajemnice futbolu. I nie zawiodłem się, wyniki tej unifikacji rzeczywiście były wyjątkowo pozytywne. Wreszcie postanowiono przenieść na polski grunt nowoczesne metody szkolenia. Było tam też sporo historii, ale przeważała teraźniejszość: praca z młodzieżą, metodyka treningu ligowców i seniorów w niższych klasach.

Pracowały trzy merytoryczne komisje. Obok już uznanych autorytetów: Mieczysława Balcera, Zygmunta Jesionki, Józefa Murgota, Tadeusza Forysia, Edmunda Świątkowskiego i Ryszarda Koncewicza do zajęć włączono kilku młodszych i zupełnie młodych trenerów: Jerzego Talagę, Kazimierza Górskiego, Antoniego Brzeżańczyka i Henryka

Serafina. Osiągnięcia chylickiej unifikacji wydano w formie skryptu. Długo zawarta tam wiedza była niemalże pismem świętym dla krajowych trenerów. Na temat szkolenia młodzieży najcenniejsze były wykłady Kazimierza Górskiego. W Chylicach przekazał kolegom doświadczenia zebrane na czterech turniejach UEFA (1955 – Włochy, 1956 – Węgry, 1957 – Hiszpania, 1958 – Luksemburg) oraz wnioski z sympozjum szkoleniowego w Szwecji. Był tam z Pawłem Dawidczyńskim z ŁKS i Wiesławem Korzeniowskim z Legii.

Górski w latach 1954 – 1959 często podróżował po Europie i tam pogłębiał swoją wiedzę: o szkołach, stylach, systemach i taktyce gry w piłce nożnej. Wszystkie nowości przekazywał Radzie Trenerów PZPN. Krajowym szkoleniowcom niewątpliwie sporo tu pomogła również książka dra Stanisława Mielecha „STYLE, SZKOŁY I SYSTEMY W PIŁCE NOŻNEJ”. Styl – zdaniem doktora, to zespół podobnych do siebie zagrań o wyraźnie rzucających się w oczy cechach, nawykach. Stąd np. styl ofensywny lub defensywny, zaś szkoła to odmiana stylu o charakterze narodowym, lokalnym, zależna od klimatu i innych uwarunkowań środowiskowych. W skali światowej najsłynniejsze były i częściowo nadal są trzy szkoły: łacińska, kontynentalna i środkowo-europejska, a w Polsce krakowska, lwowska i śląska.

System? Najogólniej mówiąc jest to ustawienie zawodników i w miarę ściśle określenie ich funkcji na boisku. Od tego zależy umiejętne przechodzenie z obrony do ataku i odwrotnie. Najwięcej kłopotów sprawiało zdefiniowanie pojęcia taktyki w futbolu. Teoretycy podkreślali jej dużą rolę w grze, ale też dawali do zrozumienia, że taktyka jest najczęściej pochodną zmian, jakie co jakiś czas następują w przepisach i systemach gry. Od tego uzależniano sposób walki i zadania w grze poszczególnych zawodników. To, co

w kwestii taktyki zaferowano w Chylicach jakościowo przekraczało już osiągnięty poziom wiedzy. Prym wiódł tu właśnie Ryszard Koncewicz. Gdzie się tego nauczył?

– Byłem jeńcem wojennym, przez ponad pięć lat przebywałem w oflagu w Woldenbergu - opowiadał. - Byli tam przeważnie ludzie młodzi, w sile wieku. Dla większości z nas sport w ogóle, a piłka nożna szczególnie, była najskuteczniejszą obroną przed załamaniem psychicznym. Najlepsi piłkarze otoczeni byli troskliwą opieką przez kolegów niedoli. Od anonimowych nadawców otrzymywaliśmy paczki żywnościowe. A ja także sporo publikacji o historii i współczesnych wartościach futbolu. Szkoły, style, systemy, taktyka gry... Pilnie to studiowałem, ot i wszystko...

Od Koncewicza ja również dowiedziałem się, czym różnił się system „wewnętrznej obrony” od „trzech obrońców” i dlaczego Herbert Chapman z londyńskiego Arsenalu uważał, że w futbolu „najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką”. Jaka jest rola „łazika” w ustawieniu 1+3+2+5? Co to jest wariant „roszadowy” i co w żargonie piłkarskim oznacza „pomocnik przed atakiem”. W pierwszych latach pracy w „PS” miałem o tym niewielkie pojęcie, zresztą niektórzy trenerzy oraz większość działaczy i piłkarzy również. Dopiero seria publikacji z unifikacji w Chylicach wielu ludziom znacznie poszerzyła piłkarski horyzont.

O naszym powojennym piłkarstwie, ubogim w teorię i praktykę, dość często rozmawiałem też z Mieczysławem Graczem z Wisły Kraków. Był w reprezentacji tym, do których „Faja”, aczkolwiek w klubie nigdy go nie trenował, miał największe zaufanie.

– Gdy drużynie nie szło, chłopcy tracili siły, wtedy Koncewicz wrzeszczał do mnie: - „Messu”, ty masz największe zdrowie... Musisz!”.

Przed Koncewiczem reprezentacja grała w „ciemno”, bez ładu i składu. Naszymi atutami były tylko: jakiś tam talent, umiejętność improwizacji i... wyczucie. Zwyczajny piłkarski nos... Kiedy „profesorek” Kuchar usiłował wprowadzić do zespołu coś nowego, skończyło się to przegraną w Kopenhadze z Danią 0:8. Właśnie dopiero po tej wpadce pan Rysio praktycznie od podstaw zaczął nas uczyć taktyki. W tym względzie jego zasługi są wielkie i niepodważalne.

Koncewicz w skali dotychczas niespotykanej ożywił wszystkie formy szkolenia PZPN. Kierunek wytyczony w Chylicach powoli docierał do okręgów i klubów, stawał się tam obowiązujący, choć nie wszędzie były po temu odpowiednie warunki i nie wszyscy chętnie się temu nakazowi podporządkowywali. Tak czy inaczej rok 1959 trzeba uznać w szkoleniu piłkarskim za urodzajny. Fakt, w rozgrywkach ligowych, nadal zdarzały się taktyczne niewypały, nadmierne „murowanie” własnej bramki, ale krok naprzód został zrobiony. Czym konkretnie, na dobre i na złe futbolu, wyróżnił się ów rok 1959?

Byłem wtedy „świadkiem koronnym” w zasadzie wszystkich ważniejszych wydarzeń. Na plus zaliczyłbym przede wszystkim pierwszy start „biało-czerwonych” w rozgrywkach o mistrzostwo Europy. Reprezentacja pod dowództwem kapitana związkowego Czesława Kruga i trenera Tadeusza Forysia, choć nie podbiła kontynentu, wstydu nam nie przyniosła. Sezon rozpoczęła 20 maja w Hamburgu rewelacyjnie, od remisu z NRF, mistrzem świata ze Szwajcarii. Do przerwy nasi ze strzału Krzysztofa Baszkiewicza nawet prowadzili 1:0, a Brychczy wprost ośmieszał wówczas dobrze znanego w piłkarskim świecie niemieckiego pomocnika Szymaniaka. Porywający futbol zademonstrował Marcelli Strzykalski, wyróżnił się również Jan Liberda.

To miła niespodzianka, ale nie została dobrze „sprzedana” w prasie. Na tym meczu nie było polskich dziennikarzy. Nie otrzymali wizyjazdowych. Z redakcji „Przeglądu Sportowego” w tym „podejrzanym” gronie znalazł się Grzegorz Aleksandrowicz. A jednak duże fragmenty tego, jak wówczas mówiliśmy „mecz pierwszej jaskółki”, obejrzelśmy na Placu Napoleona w gmachu Polskiej Telewizji. Byliśmy dumni z naszych piłkarzy. Nie dały powodów do radości dwa przegrane mecze eliminacyjne mistrzostw Europy z Hiszpanią, ale cieszył fakt, że zwłaszcza w Chorzowie w rywalizacji z Alfredem di Stefano i Luisem Suarezem nasi najwybitniejsi piłkarze Lucjan Brychczy i Ernest Pohl nie byli gorsi. Zdobyli po jednej bramce.

Z kierownictwem PZPN ściśle kontakty utrzymywał francuski menadżer polskiego pochodzenia, Juliusz Ukraińczyk. Długo zabiegał o to, by nasza reprezentacja i czołowe drużyny klubowe wyjeżdżały na Zachód, a zachodnie zespoły od czasu do czasu gościły w Polsce. W roku 1959 niewątpliwie dzięki aktywności Ukraińczyka, PZPN do pracy z kadrą narodową zatrudnił trenera z Francji, Jean’a Prouff’a. To pierwszy odważny krok, choć nie do końca udany, a drugi – zaproszenie do Polski na cykl wykładów, wybitnego teoretyka i praktyka europejskiego piłkarstwa Gabriela Hanot’a.

Piłkarski życiorys Francuza można by wraz ze zdjęciem oprawić w ramki i obwozić po klubach i federacjach. Najpierw 12 razy wystąpił w reprezentacji Francji, potem chwycił za pióro. Pracował w „L’Intrasigeant”, „Miroir des Sports”, „Football” (organ FFF), następnie w „L’Equipe” i „France Football”, jako kierownik działu i redaktor naczelny. Zaraz po wojnie był też kapitanem związkowym Francuskiej Federacji Piłkarskiej, zaś przed wojną organizatorem pierwszych kursów

szkoleniowych dla trenerów pracujących z młodzieżą. Wreszcie w jego głowie narodził się pomysł zwany dziś Ligą Mistrzów i Pucharem UEFA.

Do Warszawy sprowadzono więc fachowca najlepszego z najlepszych. W stołecznej AWF w wykładach słynnego Francuza uczestniczyło 70 polskich trenerów, w tym oczywiście Foryś, Górski, Koncewicz, Matyas, Talaga i inni. Wśród tych szczęśliwców, ale głównie jako dziennikarz-sprawozdawca, byłem również ja. Hanot swoje wystąpienia oparł na trzech fundamentach: historycznym (nacisk na rozwój systemów gry), współczesnym (głównie o szkole łańskie) i dotyczącym polskiego piłkarstwa. Zrozumiałe, że najbardziej interesowało nas, co „profesor profesorów” myśli o naszym futbolu. Dał do zrozumienia, że tak nasi trenerzy, jak i zawodnicy, wykazują „niewiarę we własne siły”. To jest istotna blokada psychiczna, trzeba z tym walczyć. Stwierdził również, że nasi piłkarze nie mają własnego stylu gry.

– Prezentujecie – powiedział Hanot – jakby zlepek wartości zapożyczonych od innych. A przecież macie moc własnych atutów, jesteście odważni, pełni polotu i fantazji. Tylko z techniką piłkarską jesteście w tyle za światową czołówką. Nie brak jednak w Polsce dobrych piłkarzy. Na czoło wysunąłbym tu Brychczego, Pohla i Strzykalskiego, ale w sumie wasza technika nie jest finezyjna. Nie bardzo to rozumiem, jesteście przecież nacją piłkarsko uzdolnioną...

W roku 1959 pracowało w Polsce już kilku dobrze znanych trenerów zagranicznych: Janosz Steiner w Górniku Zabrze, Stiepan Bobek w Legii i właśnie Jean Prouff w PZPN. Szansę samodzielnego prowadzenia drużyny wojskowych miał Górski, nawet był z nią na przedsezonowym obozie szkoleniowym w Jugosławii, jednak ostatecznie powrócił do pracy w PZPN. Przed sezonem 1959 Legia została więc bez trenera.

Na zgrupowaniu w Jugosławii Górski poznał późniejszego prezydenta Chorwacji, Franja Tudjmana. Wtedy, w randze pułkownika, był on prezesem Partizana Belgrad. Polubili się, a że żaden z nich nie „wylewał za kołnierz”, wypili niejedną lampkę śliwownicy. Kazimierz zwierzył się Tudjmanowi z kłopotów Legii:

– Nie macie trenera?! – mocno zdziwił się Franio. – To się dobrze składa... Właśnie szukam dobrej pracy dla Stiepana Bobka. To mój przyjaciel, Chorwat. Polecam, bierzcie go do Warszawy!...

Legia i Górski wrócili do kraju. Kazio nie chciał, jak to przysłowiowe ciele, co pokornie piersi dwóch matek ssie, być jednocześnie w Legii i PZPN. Zdecydował, że nadal będzie przygotowywał juniorów do turnieju UEFA w Bułgarii. Wcześniej jednak sens rozmowy z Tudjmanem dość wiernie przekazał szefowi Legii pułkownikowi Edwardowi Potorejce. Ten nie dowierzał:

– Kaziu, ty naprawdę nie chcesz być u nas?...

Milczeniem zbył Górski to pytanie. Kiedy Potorejko nie miał już żadnych wątpliwości, wyszeptał zawiedziony:

– No, dobrze... W takim razie lecę zaraz do Belgradu, porozmawiam z prezesem Tudjmanem i... przywiozę Bobka.

Chorwat przed przylotem do Warszawy szkolił młodzież Partizana Belgrad. Obok legendarnego bramkarza Beary przez długie lata był najpopularniejszym piłkarzem Jugosławii. Świetnie wyszkolony, strzelał dużo bramek. Był też charyzmatycznym kapitanem reprezentacji „plavich”. Jakim będzie trenerem? W Legii to nie łatwy kawałek chleba. Czy Bobek potrafi go przełknąć? Zrobił niezłe wrażenie, po rundzie wiosennej 1959 był z Legią na udanym tournée w USA, podziwiał tam Brychczego, ale na Łazienkowskiej pracował zaledwie 9 miesięcy.

W tak krótkim czasie trudno było poznać jego wszystkie zalety. Wojskowi zawsze słynęli z dobrego wykształcenia technicznego. Niewątpliwą zasługą Chorwata jest, że zdołał je podnieść na jeszcze wyższy szczebel, zwłaszcza technikę strzału. Często obserwowałem zajęcia Bobka i czasami sam kopałem na bramkę Stasia Fołtyna. Z reguły uderzałem czysto i mocno prostym podbiciem. Widać robiłem to nieźle, bo Bobek strzelec wyborowy, wówczas gdy instruował zawodników z pola, pozwalał na „szlifowanie” formy bramkarza.

Legioniści uwielbiali tzw. „małą grę”, krótkie, przyziemne podania, rzadziej stosowali dłuższe przerzuty. Właśnie o tę sferę zagrań zadbał Bobek, nazywał to „diagonalnymi rzutami”. Najszybciej takie akcje po przekątnej przyswoił sobie Marceli Strzykowski. Stiepan mówił o nim:

– To niezwykle utalentowany pomocnik, dynamiczny, dobry technicznie, mocno strzela z dystansu. Umie poderwać drużynę. Dziwiłem się, dlaczego tak rzadko gra w reprezentacji, przecież z Niemcami w Hamburgu zagrał kapitalnie. Teraz już wiem! Malkontent i niesamowity nerwus! Łatwo go sprowokować. Poza tym „Mari” za często napompowuje swój organizm „wysokoprocentowymi witaminami” w płynie. To go osłabia. Gdy w celach zdrowotnych zaleciłem mu picie wody mineralnej, obejrzał butelkę i szybko odrzucił: „Tu piszą, że „miralka” ułatwia trawienie i chroni przed tyciem. Nie pija! Już i tak po pana treningach za dużo schudłem...”

Nie wszyscy legioniści polubili Chorwata. Był wyniosły. Z natury dowcipny i wesoły lubił jednak ponad miarę pozartować ze słabszych technicznie zawodników. Sam był tu niedoścignionym mistrzem, sądził więc, że ma prawo pozartować z „drewniaków”. Tu i ówdzie porównywano Stiepana Bobka z genialnym Węgrem Ferencem Puskasem. A jednak

odszedł z Legii. Dlaczego? U schyłku sezonu niektórych piłkarzy zaczął posądzać o handel ligowymi punktami. Zraził sobie tym najbliższe otoczenie. To jedna z przyczyn pożegnania Chorwata z Legią. Ale była też druga, znacznie poważniejsza – zainteresowały się nim wojskowe służby informacyjne. Był szpiegiem? Nielada „zagwozdka” spadła zwłaszcza na głowę generała Tadeusza Jedynaka, wtedy szefa wojskowego kontrwywiadu, a w młodości partnera Górskiego z boisk piłkarskich we Lwowie.

– Co zrobić? – zastanawiał się wraz z Potorejką. – Po co właściwe Jugosłowianie przysłali nam tego Bobka?... Teraz nasze służby depczą mu po piętach... Jak to rozegrać?...

Kierownictwo Legii dość sprytnie pozbyło się tego kłopotu. Ponieważ ówczesne naczalstwo GKKF nie wyraziło zgody na opłacenie pracy Bobka w Legii w twardej walucie, na Łazienkowskiej grzecznie wypowiedziano mu umowę. Chorwat przyjął tę decyzję w miarę spokojnie, można było odnieść wrażenie, że nawet z pewną ulgą, bo miał już dość sporów z duetem Strzykalski – Zientara. Im najbardziej nie podobało się traktowanie niektórych piłkarzy per noga. Przy rozstaniu nikt nie ronił łez, zadowolone były obie strony. Do Legii wrócił wkrótce Górski.

BOJE TRENERÓW Z DZIENNIKARZAMI

Od kilku lat, to następstwo groźnej piłkarskiej kontuzji, mocno dokuczały mi bóle kręgosłupa. Jednak chęć pokopania piłki była silniejsza od tej dolegliwości. Kolejna okazja przydarzyła się podczas turnieju UEFA w Bułgarii. W Płowdiw, dzięki staraniom Dymitra Popdymitrowa, jeszcze przed rokiem czołowego napastnika Spartaka-Lewskiego Sofia,

a w roku 1959 już znanego dziennikarza „Naroden Sportu”, zorganizowano atrakcyjny mecz „TRENERZY-PRASA” z udziałem reprezentantów 16 krajów. Nasz udział w tym widowisku był wyjątkowo duży i znaczący. W ekipie trenerów wystąpili: Kazimierz Górski, Mieczysław Gracz i Wiesław Motoczyński, a w zespole dziennikarzy: Stefan Grzegorzcyk, Jerzy Lechowski i Stanisław Wojtek.

Przed grą, jak zawsze dowcipny „Messu” Gracz, zapytał mnie z głupia frant:

– Panie Jurek, czy był pan kiedyś w szlachtuzie?

– Nie, nie byłem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– No to zaraz tam pan będzie...

– Ale co to jest szlachtuz, panie Mieciu?

– Nie wie pan? Rzeźnia... Zaraz to pan zobaczy. Prawdziwą rzeź niewiniątek...

Faworytem spotkania TRENERZY – DZIENNIKARZE byli oczywiście szkoleniowcy, w większości ludzie przed czterdziestką, piłkarsko zdecydowanie od nas lepsi, eskligowcy i reprezentanci swoich krajów. W zespole prasy dorównywał im tylko Popdymitrow. Powierzyliśmy mu najtrudniejsze zadanie, miał opanować środek boiska. Zrobił to doskonale. Najmłodszy w naszym towarzystwie, Stefan Grzegorzcyk usiłował wyłączyć z gry Górskiego, a Staszek Wojtek (niedawny napastnik AKS Niwka) miał strzelać bramki. Ja rozgrywać i uderzać z dystansu. Tak sobie pomarzyliśmy. Mądrale. Trzeba to pokazać na boisku przed najlepszymi juniorami z 16 krajów Europy!

Rzezi nie było! Do przerwy, kiedy nasze organizmy jeszcze się nie buntowały, że je nadmiernie eksploatujemy, nawet prowadziliśmy 3:1. Dwie bramki zdobył Stasio Wojtek ze „Sportu” Katowice, a jedną

w swoim stylu, prostym podbiciem z dystansu, Juruś Lechowski z „Przeglądu Sportowego”. Trenerzy odpowiedzieli na to tylko jednym golem Kazia Górskiego. Po przerwie jeszcze przez jakiś czas dawaliśmy sobie radę, ale w ostatnim kwadransie goniliśmy resztkami sił. A trenerzy szaleli! „Messu” znowu przeżył swój wielki benefis. Zaraz po wojnie w meczu Szwecja – Polska w Sztokholmie strzelił dwie bramki, a teraz powtórzył ten wyczyn w tej niby „rzezi niewiniątek” w Płowdiw. Jednak niemal do ostatniej minuty prowadziliśmy 3:2, dopiero ostatni rajd Gracza okazał się zabójczy – 3:3! Ten remis był niewątpliwie naszym sukcesem i wzmocnił pozycję wśród trenerów. Staliśmy się ich cenionymi partnerami.

Niestety, gorzej od dziennikarzy spisali się w Bułgarii polscy piłkarze. Grali w jednej grupie z Czechosłowacją, Francją i NRD. Pierwszy mecz z Czechosłowacją w Starej Zagorze zremisowali 1:1. W tym samym czasie trener Gracz wystąpił w roli zwiadowcy na meczu NRD – Francja.

– Jak tam było? – zapytałem. – Jakie nowiny przynosi nasz „szpieg”?

– Nie jest źle. Jeśli nasi juniorzy zagrają tak, jak z Czechosłowacją, z sercem i odważnie, mogą wygrać oba mecze. Od piłkarzy NRD jesteśmy lepiej wyszkoleni, oni grają siłowo... Natomiast spotkanie z Francją powinno być widowiskowe, na dobrym poziomie technicznym...

Drugi mecz i drugi remis, tym razem 3:3, szczęśliwy dla Francuzów. W końcowej fazie gry Polacy mieli miażdżącą przewagę, ale zawodzili strzałowo. Pudłowali Krajczy i Wilczek, a Śladek wprost irytował „strzało-wstrętem”. Teraz wszystko miało się rozstrzygnąć w meczu z NRD. Nie zagrał chory Piotr Suski i zgasł duch w drużynie. Oddaliśmy punkty bez walki. Po boisku pętało się jedenastu śpiących królewiczów...

– Bez ikry, bez zęba i zaciętości... W tak poważnym turnieju... Primadonny! – żalił się trener Górski.

– Mam już czterdzieści lat, ale czegoś podobnego jeszcze nie wiedziałem! Cebula i Sass dupą bronili dostępu do bramki – łapał się za głowę Gracz.

Polacy byli w swojej grupie, obok Francuzów, najlepiej wyszkoleni technicznie, ale była to „technika stojąca”, nieużyteczna. Zabrakło prostopadłych podań na dobieg. A jednak i z tego „mdłego” zespołu o kadre pierwszej reprezentacji otarli się: bramkarz Marian Wilczyński, pomocnicy Piotr Suski i Stanisław Sass oraz napastnik Erwin Wilczek. Po tym turnieju wypowiedziałem się za koniecznością powolnego wprowadzania juniorów do zespołów ligowych. W przeciwnym razie pogubimy talenty...

Sukces w meczu z trenerami Europy zachęcił dziennikarzy do rozegrania podobnego w relacji krajowej. Za przyzwoleniem kolegów podjąłem się tego zadania. Trzeba było tylko przekonać do tego pomysłu trenera Koncewicza i solidnie się przygotować. Udało się jedno i drugie. „Faja” obiecał zmontować silny skład szkoleniowców, ja indywidualnie chyba przez trzy miesiące trenowałem na bocznym boisku Legii i od czasu do czasu ściągałem tam na gry kontrolne wszystkich kandydatów do dziennikarskiej reprezentacji.

Spotkanie wyznaczono na wrzesień. Miało ono uatrakcyjnić zakończenie Wyścigu Dookoła Polski. Komplet widzów na Stadionie Dziesięciolecia. W dniu meczu przez cały dzień padał deszcz. Odczuł to mój kręgosłup, dał sygnał, że to nie dla niego pogoda. Na śliskim boisku nie wolno ryzykować! Zły na wszystkich świętych zostałem w szatni. Zawiedzeni koledzy wybiegli na murawę beze mnie, ale

z zapewnieniem, że dobrze zagrają. Słowa dotrzykali. Do 85 minuty wynik był bezbramkowy, co więcej dziennikarze mogli nawet prowadzić. Raz na przeszkodzie Zbyszkowi Mejerowi z "PS" stanęła poprzeczka, za drugim razem Zygmunt Głuszek (również „PS”) spudłował z kilku metrów.

Sprawozdawcami z tego spotkania byli kapitan reprezentacji Polski, Andrzej Zientara i lewoskrzydłowy Gwardii, bohater z meczu RFN – Polska w Hamburgu, Krzysio Baszkiewicz. Wychodzili z podziwu dla dobrej postawy dziennikarzy. Rywale z nazwiskami: Głowacki, Szczepaniak, Koncewicz, Król, Kuchar, Górski, Matyas, Kisieliński, Prouff... Z wybitnych niegdyś piłkarzy zabrakło tylko „Messu” Gracza. Skład „Prasy” był oparty na „Przeglądzie Sportowym”: Witold Różycki w bramce, Zbigniew Mejer w pomocy, Janusz Kłós i Zygmunt Głuszek w ataku; w obronie i pomocy wspierali tę czwórkę dwaj nasi współpracownicy ze Śląska Tadeusz Sas (Wieczór Katowice) i Andrzej Marondel (Sport Katowice).

Dużym wzmocnieniem dla tej szóstki byli przede wszystkim Mieczysław Szymkowiak (Sport), Stefan Grzegorzczak (Sportowiec), Jerzy Budny (TVP) i Jan Tyczkowski (Przyjaźń). Z tym ostatnim szczególnie mnie dobrze się kopało, miał zmysł do gry kombinacyjnej. Niestety, stracił partnera. Osłabienie naszego składu było dużo większe, niż trenerów. Z powołanych przez mnie kolegów z różnych powodów zabrakło przede wszystkim strzelców trzech bramek z Płowdiw (Wojtek i Lechowski), Zygmunta Siecha (Sport), Jana Frandoferta (Tempo), Stanisława Garczarczyka (Gazeta Poznańska) oraz Michała Strzeleckiego i Władysława Lachowicza z prasy łódzkiej. Nie twierdzą, że ci co grali, byli gorsi, ale... nasza kadra była za szczupła. Dla zmęczonych brakowało dobrych zmian.

Ten właśnie czynnik zdecydował o naszej klęsce dosłownie w ciągu pięciu minut. W 85 było 0:0, a w 90 aż 1:4! Koledzy gonili resztkami sił, wielu z nich łapały skurcze nóg. Prysł sen o kolejnym remisie. Tylko Witek Różycki (w czasie okupacji bramkarz legendarnego „Błysku” z Kolonii Staszica) do końca bronił rewelacyjnie. Sprawozdawcy „PS” z tego meczu Andrzej i Krzysztof potraktowali nas bardzo serio i z sympatią, ale gdzie tylko mogli, jakąś tam szpileczką ukłuli:

... „Różycki bronił wszystko i tylko dzięki niemu tak długo utrzymywał się wynik bezbramkowy... Dziennikarze odpowiednio nastawieni przez red. red. Zielińskiego ze „Sztandaru Młodych” i Lechowskiego z „Przeglądu Sportowego” najlepiej zagrali zaraz po przerwie. Ataki, jak lawina sunęły na bramkę Głowackiego, ale większość z nich stopował Koncewicz. Grał twardo i zdecydowanie.

Kiedy spodziewano się, że prasa położy trenerów na łopatki, nagle staliśmy się świadkami jakiegoś paraliżu fizycznego dziennikarzy. Ich zespół w końcowej fazie meczu dosłownie zniknął z murawy. Teraz hasała tam tylko drużyna trenerów. Przerobiła rywala na ser szwajcarski i w ciągu pięciu minut strzeliła cztery gole. Pewną świeżość zachował tylko Mejer, na polu karnym sfaulował go Koncewicz, a rzut karny pewnie wykorzystał red. Szymkowiak.

Dziennikarze stanowili jednak nadspodziewanie silny zespół. Niemniej kierownictwo drużyny musi się zastanowić nad przyczyną stagnacji w drugiej połowie. Wtajemniczeni twierdzą, że wielu zawodników prasy częściej przebywa w „Kameralnej” i w „Domu Dziennikarza” na Foksal, niż na boisku. To znamionuje niesportowy tryb życia. Do meczu rewanżowego zespół prasy obiecał przystąpić w lepszej kondycji i w nieco silniejszym składzie...”

W lidze Górnik Zabrze, po kiepskim sezonie 1958, w następnym mocno odbił się od dna. Wywalczył mistrzostwo praktycznie niezagrożony od startu do mety z dużą przewagą nad Polonią Bytom, Gwardią i Legią Warszawa. Grał dobrze. Miał w swoich szeregach 7-8 potencjalnych reprezentantów Polski, a wśród nich czterech pozytywnych bohaterów z meczu z ZSRR w Chorzowie (Gawlik, Floreński, Jankowski i Lentner). Zabrzanie zrobili więc to, co do nich należało. Jednak do historii naszej ligi przeszły wówczas dwa zupełnie inne wydarzenia. Jedno z udziałem dwóch Polonii z Bytomia i Bydgoszczy, a drugie głównie za sprawą Pogoni Szczecin i Legii Warszawa.

Dotychczas przez ponad 150 lat dzień 3 maja kojarzył się Polakom z uchwaleniem pierwszej w Europie, a drugiej na świecie, demokratycznej konstytucji. To powód do dumy. W dzieciństwie, w każdą rocznicę tego historycznego wydarzenia ja też śpiewałem: „**Witaj, majowa Jutrzenko!**”, „**Witaj maj, 3 maj, dla Polaków błogi raj!**”. Wkrótce, choć z zupełnie innego powodu, dzień ten znowu mocno utrwalił się w pamięci. Właśnie 3 maja 1959 roku po raz pierwszy w Polsce na Stadionie Śląskim w Chorzowie zabłysło elektryczne oświetlenie. Luksów jeszcze niewiele, ale radość i frajda ogromna. Poinformowałem o tym czytelników „PS” w okazjonalnym felietoniku „**Od Edisona do Stachonia**”. ...„Przeżyliśmy historyczny dzień dla polskiego piłkarstwa, o którym jeszcze przed kilkoma laty nikomu się nie śniło. Pierwszy mecz piłkarski przy sztucznym świetle! Czekamy teraz na następne miasto, które pójdzie w ślady Chorzowa. Będzie to Kraków, Warszawa czy Łódź?”

W stolicy już w następnym sezonie, podczas meczu Legia – Aarhus o Klubowy Puchar Europy, zabłysły na Łazienkowskiej jupitery, ale na Konwiktorskiej dopiero na Wszystkich Świętych w 2003 roku. Chorzów

był jednak pierwszy. Wagę tego wydarzenia podkreślano rozegranie ligowego meczu Polonia Bytom – Polonia Bydgoszcz. Pod każdym względem było to frapujące widowisko. **„Przy blaskach sztucznych słońc na śląskim gigancie Janek Liberda strzela trzy bramki”** – taki był tytuł do sprawozdania z tego niecodziennego spotkania. W sumie tych bramek było pięć, wszystkie dziełem „bezdomnych” bytomian.

Tę niecodzienną spotęgował jeszcze jeden figiel Janka Liberdy zaprezentowany wspólnie z Heniem Kempnym. Już w 30 sekundzie sędzia tego meczu podyktował rzut karny dla bytomian. Cóż w tym dziwnego? Posłuchajcie. Oto po raz pierwszy i jak na razie ostatni w swej ponad pięćdziesięcioletniej karierze zawodowej, obejrzałem „jedenastkę” strzeloną na raty. To swoiste „kuriozum” nawet dla byłego sędziego FIFA, a dziś prezesa PZPN, Michała Listkiewicza: - *Jak to było panie Jurku?* – pytał niedawno. - Niezwykle prosto, bez żadnych dziwolągów – po prostu Liberda lekko kopnął piłkę do przodu, zza jego pleców wyskoczył Kempny i z kilku metrów huknął nie do obrony. Burchardt w bramce bydgoszczan był równie bezradny, co zaskoczony. Potem gole sypały się, jak z rogu obfitości.

Drugie niezwykle wydarzenie przeżyłem tuż przed zakończeniem sezonu 1959, dokładnie w niedzielę 15 listopada. Górnik tytuł mistrza miał już w kieszeni, natomiast wciąż nie było wiadomo, kto obok Górnika Radlin spadnie z I ligi – Cracovia czy Pogoń Szczecin. Oba zespoły trafiły na finiszu na wyjątkowo mocnych rywali – Cracovia na nowego mistrza Polski, a Pogoń na Legię zawsze groźną na własnym boisku. „Dobrze zorientowani” twierdzili, że Górnik „puści” mecz w Krakowie i uratuje zasłużoną Cracovię przed degradacją. Wtedy Pogoni nic nie da wygrana w Warszawie! Podzieli los Radlina...

Zwolennicy „pasiaków” woleli jednak „dmuchać na zimne”. Szczególną troskę o losy pierwszego mistrza Polski z roku 1921 i pierwszego po wojnie triumfatora ligi w 1948 wykazali dziennikarze krakowscy. To normalne, zadbali o własny interes. Przy okazji jednak i mnie wmieszali w te rozgrywki. Otóż red. Tadeusz Dobosz napisał w „Tempie” „List otwarty do redaktora Jerzego Lechowskiego”. Apelowiał, abym zadbał o „czystą grę” w spotkaniu Legia – Pogoń Szczecin.

„Krótko mówiąc – pisał kolega z Krakowa – chodzi o zabezpieczenie się przed zeszłoroczną „niedzielą cudów”... kiedy to opinię piłkarską zaskoczyły wyniki dwóch spotkań: Stali Sosnowiec z Cracovią i Gwardii Warszawa z Polonią Bydgoszcz... Wszystko „rozeszło się po kościach”... Teraz jednakże zbiera się nowa fala podejrzliwości... Krążą plotki na temat możliwości „cudów” w meczach Legia – Pogoń i Cracovia – Górnik Zabrze, które zadecydują o wyłonieniu drugiego „spadkowicza”! Zarówno Górnik Zabrze, jak i Legia są o klasę lepszymi zespołami od Cracovii czy Pogoni i w normalnych warunkach zwycięstwa ich nad „spadkowiczami” nie podlegałyby dyskusji...

Lecz wie Pan, Panie Jurku, co spędza sen z powiek obozowi pesymistów krakowskich? Możliwość „cudu w Warszawie”!!! Legia da wygrać Pogoni, bo... nie lubi „pasiaków”. A cóż to za plotkarskie miasto ten Kraków! – pomyśli sobie Pan w duchu ze słusznym oburzeniem. Cóż za piramidalne nonsensy!... Miejmy nadzieję, że w tym roku „niedzieli cudów” nie będzie. Pan ze swej strony może zdopinguje na szpaltach „Przeglądu Sportowego” Legię do pełnego wysiłku i do zwycięstwa. Potem już jedenastka Zientary i Brychczego może „poczuć się zmęczona” i może sobie odpocząć”...

Poczułem się głupio. Dlaczego akurat ja mam spełniać tak niewdzięczne zadanie? Mam pójść na Legię i prosić piłkarzy, by wygrali

z Pogonią? Jeśli są lepsi, to poradzą sobie bez mojego apelu. Po naradzie z „panem Grzegorzem” posłaliśmy jednak na Łazienkowską Zbyszka Mejera. Niech się dowie, co o tym sądzi szef klubu, Edward Potorejko.

– „Czytałem „Tempo” - powiedział - i jestem oburzony tekstem redaktora Dobosza. W niedzielę nie będzie „lipy”. Legia bez względu na warunki i okoliczności będzie grać uczciwie...”

Trenerem Pogoni był wówczas Edward Brzozowski, niegdyś czołowy piłkarz Polonii, a później wybijający się szkoleniowiec Gwardii Warszawa. Do wesołego Szczecina wybrał się z ochotą, bo lubił również poza boiskowe rozrywki. Nocny lokal „Bajka” stwarzał po temu duże możliwości. Bez grzechu i do syta można się było wyżyć w tamtejszym półświatku. W cyklu reportaży opisałem to na łamach „PS”. „Głos Szczeciński” odpowiedział złośliwym „Pan Lechowski odkrywa Szczecin”. Mój kłopot. Brzozowski był przede wszystkim dobrym warsztatowcem, miał ambicję utrzymania Pogoni w I lidze. On chciał, a pseudokibice żądali! *„Jeśli Pogoń spadnie, zginiesz jeszcze tego samego dnia” – grozili.* - *„Żona będzie mogła zbierać twoje kości do worka i... wywieźć do Warszawy”.* Trener jednak przeżył, a Pogoń nie spadła.

Wynik 4:0 dla Pogoni mógł i na zdrowy rozum powinien sugerować, że jednak „lipa” była. Gdyby wówczas działali w PZPN Józef Ciszewski z Bielska-Białej i inni „niedowartościowani” działacze z peryferii ligowego futbolu, tacy sami, jak ci – którzy w roku 1993, strojąc się w togi prokuratorskie odebrali Legii mistrzostwo Polski, zapewne już w 1959 zbudowali by szubienicę dla zwycięzców i pokonanych. A jednak nic takiego się nie stało. Zarówno ja w „Przeglądzie Sportowym”, jak również Tadeusz „Rebe” Maliszewski ze „Sportu” Katowice (taki autorytet!) nie mieliśmy wątpliwości, że Pogoń rozegrała w Warszawie mecz życia. I zwyciężyła zasłużenie!

Miała – jak to często mawiał trener Wojciech Łazarek – „dzień konia”. Wszystko jej „żarło”, natomiast legionistom nic się nie udawało. Poza tym ci urodzeni w Warszawie nie mieli motywacji. Szalał natomiast Brychczy (trafił w poprzeczkę), mocno strzelał z dystansu Strzykalski, cała grupa „stołecznych Ślązaków” wprost wychodziła ze skóry, ale bez powodzenia. Przebąkiwano na widowni, że decydujący głos w tej rozgrywce mieli podejrzani o spisek: Fołtyn, Grzybowski, Woźniak i Zientara. Podobno „na serio” odczytali pogrożki szczecińskich kibiców. Ale podejrzania, że Brzozowski osłabił och „waleczność” specjalną premią za przegraną stanowczo odrzucili. „Dzieckiem szczęścia” w tym dziwnym meczu był junior, Marian Kielec. Niedoceniony przez obrońcę „Grzybka” i bramkarza Fołtyna strzelił Legii trzy bramki. Wściekał się trener Stiepan Bobek. W szatni zbeształ całą defensywę. Po przerwie przy stanie 2:0 dla Pogoni postawił w bramce Konrada Kornka. Długo był bezrobotny. Teraz co najmniej przez 30 minut z furią atakowali wojskowi, ale ich pasja warta była funta kłaków. Rewelacyjnie grał stoper Pogoni, Nowacki. W końcówce zde gustowana Legia „nadziała” się na dwie kolejne kontry portowców i ostatecznie przegrała 0:4. Brzozowski był wniebowzięty:

– „To mój największy triumf! Nie mam wprost słów uznania dla Kielca. Wbrew oporom kierownictwa klubu jeszcze raz postawiłem na Mariana i dobrze na tym wyszedłem. Jego druga bramka, psychologiczna, przeważała szalę zwycięstwa. Odchodzę z Pogoni, ale szczęśliwy i – co najważniejsze – w dobrym zdrowiu i samopoczuciu”.

Początek 1960 roku przyniósł kolejną sensację na skalę ogólnopolską. W prasie ogłoszono koniec „zimnej wojny” sportu z telewizją. Już to jedno zdanie sugerowało, że w ostatnich pięciu latach, to jest od momentu,

kiedy TVP karmiła nas głównie tonami wydobytego węgla i produkcją zboża z hektara, taka wojna rzeczywiście była. Powód? Dziś trudny do zrozumienia, bo teraz telewizja płaci sportowi za jego usługi, ale wówczas i jeszcze długo, długo później było zupełnie inaczej. TVP faktycznie okradała sport! Odbierając widza, nie dawała w zamian nic, narażała więc kulturę fizyczną na straty.

Jeśli tak dalej pójdzie – publicznie głośzono – upadnie sport, a w ślad za tym sportowa telewizja, bo w swej produkcji straci bardzo atrakcyjny towar. Sądzono, że ten gordyjski węzeł rozwiąże państwo. Ale odezwały się też głosy, że państwo nie powinno dopłacać. Telewizja sama na siebie zarabia, bo pobiera opłaty od abonentów. Dobre chęci i dyskusja na ten temat niewiele więc dały. Telewizja pozostała żarłocznym rekinem. W dobrych czasach Widzewa, opowiadano mi o tym w Łodzi, przez Ludwik Sobolewski przekazał na konto TVP 15 tysięcy dolarów, jako ekwiwalent za transmisję z rozgrywek o Klubowy Puchar Europy.

Ba, jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych (wiem, bo wtedy jako wiceprezes PZPN wraz z Eugeniuszem Kolatorem pertraktowałem w tej sprawie na Woronicza), żądano od Związku grubych pieniędzy za usługi. Zachłanni ignoranci. My mieliśmy diametralnie inne zdanie i nasze drogi się rozeszły. Już zburzono „mur berliński”, dogorywała „zimna wojna”, ale zgrzyty na linii TVP – PZPN nie ucichły. Prawdą jest, że niegdyś również na Placu Powstańców podejmowano nieudane próby przeprowadzania bezpośrednich transmisji z rozgrywek ligowych. Wraz z Bogdanem Tuszyńskim ja też maczałem w tym palce, ale dopiero Canal Plus dał kibicom to, na co od lat bezskutecznie oczekiwali. Ligę, piłkarski „chleb powszedni”! I płaci za ten towar! Dla niektórych klubów jest to niewątpliwym dobrodziejstwem i często ostatnią deską ratunku.

Telewizję publiczną ani to ziębi ani parzy. Dla ligowego piłkarstwa nadal jest złą macochą!

Był to Rok Olimpijski. W Rzymie, po wygraniu wstępnych eliminacji z NRF, pojawiła się również nasza reprezentacja piłkarska. Od początku Krug, Koncewicz i Prouff mieli kłopoty z obsadą pozycji środkowego obrońcy. Lekką ręką, za jakieś domniemane kontakty ze znajomym menedżerem z Berlina Zachodniego, od drużyny odsunięto Romana Korynta. Nikt go nie bronił i nikt nie zdołał w pełni zastąpić. Powróciliśmy do tego wydarzenia w styczniu 2004 roku na noworocznym spotkaniu w PZPN. Przy jednym stoliku zasiedli starzy przyjaciele: Korynt, Jezierski, Lechowski, Woźniak, Zientara... Roman łez w oku nie miał, ale żalu ukryć nie potrafił:

- Potraktowali mnie, jak szpiega... Idioci!...
- Odebrano nam niecodzienną szansę! – ubolewał Andrzej.
- Rozpadł się monolit... Nikt nie potrafił załatać dziury w obronie po stracie Romana...
- Atmosfera była kiepska – przypomniał „Siwy”. – A przecież od dawna mieliśmy drużynę z aspiracjami na olimpijski medal! Szymek, Roman, Ernest, „Kici”, Andrzej, Hachor, Marcel...
- Pseudopolitycy pozbawili nas wszelkich złudzeń – zakończył ten przykry temat Edmund Zientara.

Wyprawa „olimpijczyków” do Wiecznego Miasta zakończyła się zupełną kląpą. Nie udała się też podróż juniorów na turniej UEFA do Austrii. Obsługiwałem tę imprezę dla „PS”. Reprezentacja Under-19 pokonała tam tylko Bułgarię, natomiast pozostałe dwa mecze z Anglią i Austrią wyraźnie przegrała. W zespole Wyspiarzy grało kilka późniejszych mistrzów świata 1966. Nad piękny modry Dunaj pojechało

też pięciu naszych zawodników, którzy już mieli za sobą chrzest ligowy: bramkarz Białek z Odry Opole, obrońca Hajnisz z Szombierek, pomocnik Kajzerek z Górnika Zabrze oraz napastnicy Gaik z Zagłębia Sosnowiec i Kielec z Pogoni Szczecin. W Grazu i Wiedniu zawiodła cała piątka.

W meczu z Bułgarią trener Władysław Stiasny postawił na rezerwowych z niższych klas. Sensacja, Polacy wygrali 2:1. Wyeliminowali plejadę młodocianych bułgarskich gwiazdeczek. Pokonani byli wściekli, bo sądzili, że się podłożymy. Przebąkiwali o tym w hotelu i prosili o „pomoc” tuż przed meczem. Nie z Motoczyńskim takie numery! W cieniu naszych ambitnych Orlików byli późniejsi wybitni reprezentanci Bułgarii: stoper Żeczew, lewy obrońca Szałamanow, środkowy napastnik Asparuchow i błyskotliwy lewoskrzydłowy Dżordziłow. „Cudowne dzieci” – jak mówił o nich Dymitr Popymitrow – z Sofii i Płowdiw. Najślynniejszy z nich Georgi „Gundi” Asparuchow dziesięć lat później zginął tragicznie. Był talentem na miarę naszego Włodka Lubańskiego. Bułgarzy często dawali mi do zrozumienia: – Nie ma Boga, nie ma cara, jest tylko „Gundi”. Samo Asparuchow!...

Po meczu z Bułgarami felietonista wiedeńskiego „Kuriera” pisał:

...„Polaków musimy szanować i zawsze dobrze ich wspominać. Swego czasu król Jan III Sobieski uwolnił Wiedeń od Turków, nigdy tego nie zapomnimy. Dziś należy podziękować jedenastce piłkarskiej, przyjaznym nam gościom za pokonanie Bułgarów i uutorowanie Austrii drogi do półfinału turnieju UEFA. Polacy zademonstrowali piękny, skuteczny futbol. Suski i Kowalik byli najlepsi na boisku”.

Nie była to jednak zgrana ekipa. Ci młodszy: Rewilak, Nowak, Musiałek, Studnicki, Hausner, Dziewiątkiewicz, Kasprzyk i Kowalik zachowywali się nienagannie, ale za tych nieco starszych, głównie

„ligowców” najedliśmy się w Austrii sporo wstydu. W Wiedniu z magazynu „80 Tage umher der Welt” przy Mariahilferstrasse kilku z nich usiłowało nielegalnie wynieść kilka par dżinsów i koszulek polo, kłócili się między sobą, a Kielec nawet pobił Hajnisza. W kierownictwie ekipy też za dużo sobie pozwalano. Wyjątkowo lekko traktował tę imprezę opiekun reprezentacji z ramienia GKKFiT, Jan Runowski. Umizgi do hotelowej barmanki i wyłudzenie od Motoczyńskiego szylingów na jej zachcianki – to miał głównie w głowie. A potem przy dewizowym rozliczeniu w kraju „profesor” z własnej kieszeni spłacał „rozzutność nadkierownika”.

INTERWIEW Z ROUSEM I KOPĄ

Oficjalne zakończenie turnieju odbyło się na wzgórzu Kahlenberg. To słynne miejsce w tym kraju i bliskie sercu każdego Polaka, wszak uświęcone pamięcią wiedeńskiej wiktorii króla Jana III Sobieskiego. Wdrapywali się tam przez oświetlony Gruenzing i śpiewający Lasek Wiedeński, ten z muzycznych opowieści Johanna Straussa. W kaplicy na Kahlenbergu uczestniczyliśmy w mszy świętej, na murach świątyni odczytywaliśmy polskie nazwiska. Był tam również twórca turniejów FIFA Anglik, sir Stanley Rous. Krok w krok podążała za nimi urocza blondynka z czarną teczką w ręku. Mówiono, że Rous często zmienia asystentki. Ta właśnie młoda blondyneczka ułatwiła mi przeprowadzenie wywiadu z tym dostojnym dżentelmenem. Ale ostrzegła, że szef nie jest zbyt rozmowny, utrzymuje dystans wobec nieznanym osobom i... potrafi być złośliwy...

– Jesteś juniorem? – pierwszy zapytał.

– Oj nie, dziennikarzem... Chciałbym przeprowadzić wywiad z panem prezydentem.

– Dziennikarz? Młodo wyglądasz... Naprawdę to twój zawód? Co cię interesuje?...

– Wszystko, a najbardziej pana droga do futbolu i pierwsze turnieje juniorów, wtedy organizowane przez FIFA.

– Synu, praca z młodzieżą zawsze była i jest pasją mojego życia. Już w latach międzywojennych, kiedy juniorski futbol był jeszcze w powijkach, śniłem o zorganizowaniu zawodów z udziałem chłopców z całej Europy. Wojna przerwała moje marzenia. Młodzież poszła na wojnę...

– Jednak w 1948 roku dopiął pan swego?

– Zaraz po wojnie był bardzo korzystny klimat dla moich idei. Młodzież była inna, zmęczona, ale też mądrzejsza, bardziej doświadczona. Miała dość walki zbrojnej, więc z ochotą przystała na rywalizację sportową. Przekonałem młodych i ich opiekunów, że z pomocą sportu można i trzeba zatrzeć ślady nienawiści między narodami, które prowadziły wojnę. W tamtych czasach byłem sekretarzem generalnym Angielskiej Federacji Piłkarskiej.

– To był pana pierwszy sukces międzynarodowy?

– Drugi... Pierwszy to zorganizowanie w 1947 roku meczu seniorów wspólnej drużyny Wielkiej Brytanii z reprezentacją reszty Europy, to pamiętne Great Britain – Rest of Europe. My, Wyspiarze wygraliśmy wówczas aż 6:1. Po takim sukcesie zorganizowanie międzynarodowego turnieju juniorów było już tylko kwestią czasu.

– Patronowała mu wówczas FIFA...

– To zrozumiałe, UEFA powstała dopiero w połowie lat pięćdziesiątych.

– Mile wspomina pan ten pierwszy turniej?

– Jak w rodzinie pierwsze dziecko. Bo też była to nadspodziewanie udana impreza, choć z kontynentu przyjechały tylko cztery reprezentacje: Austria, Belgia, Holandia i Włochy. Razem dało to osiem zespołów, bo z Wysp wystąpiły: Anglia, Irlandia, Irlandia Północna i Walia. Turniej wygrała Anglia. Dziś może się to komuś wydać dziwne, ale w roku 1948 nie to było dla mnie najważniejsze. Świętością znowu stało się posłanie barona de Coubertin'a: „Ważny jest udział, nie zwycięstwo...”

– ... i spartańskie warunki imprezy – wtrąciłem.

– Oczywiście! Zakwaterowaliśmy chłopców w Royal Air Force – Lager pod Londynem. Trochę z konieczności, bo w Londynie z hotelami było krucho, ale też dlatego, by młodzież mogła dostrzec zmiany dokonujące się w świecie. Tam, gdzie jeszcze w roku 1945 były koszary dla lotników, teraz mieszkali młodzi piłkarze. Chłopcze, czy wyobrażasz sobie, jaki ja byłem wtedy szczęśliwy i dumny?!...

– Czy chłopcy tylko kopali piłkę?

– Ależ skąd!... Po południu rozgrywali mecze, a wieczorem w sali koncertowej Royal Air Force – Lager organizowali niezapomniane „Sing – songs”. Każdy zespół miał własny program artystyczny, zresztą śpiewali i tańczyli wszyscy. Był fortepian, ktoś miał gitarę, ktoś inny bębenek i organki... Dwie piosenki „It's a long way to Tipperary...” i „May Bonnie is over the ocean.” znał każdy. W różnych językach mówiły o tym samym: długiej i trudnej drodze do celu, wyrażały uznanie dla ludzi odważnych i sławiły ich bohaterskie czyny.

Sir Stanley Rous, jeszcze przed powstaniem UEFA, był pierwszym przewodniczącym Międzynarodowej Komisji Młodzieżowej. Marzył, aby następne turnieje FIFA miały większą obsadę i były bardziej okazałe. Nieśmiało więc zapytałem:

– Jak się pan czuł, gdy na kolejnych turniejach zjawiało się jednak mniej drużyn i nawet najbliżsi przyjaciele zwątpili w celowości pana wysiłków?

– Podle... Rozgoryczony, nie mogłem pojąć, dlaczego działacze podważają wzniosłość i sens mojej idei. Ja jednak wierzyłem w pomyślną przyszłość turnieju i... cierpliwie czekałem.

– Jak długo?

– Pięć lat... Dopiero w roku 1953 do Belgii przyjechało 16 reprezentacji. Spadł mi kamień z serca. Zacząłem zbierać owoce!... Pamiętam też debiut polskich juniorów na tej mojej imprezie. To było we Włoszech, w Montecatini... Młodzież stała się „oczkiem w głowie” wszystkich europejskich federacji.

Na krajowych boiskach niespodzianka, Ruch mistrzem Polski. I znowu spory w tym udział miał Janosz Steiner. Najpierw w Warszawie, potem w Zabrze, teraz w Chorzowie. Po raz ostatni. Przed końcem rundy wiosennej Węgier odszedł od nas na zawsze. Zmarł nagle, wkrótce po operacji wyrostka robaczkowego. Jego następcy, Cebula i Szolar, nie zaprzepaścili zarysowującej się szansy. Ruch na finiszu zdystansował Legię. Właśnie to było największą niespodzianką.

O wartości wojskowych, prowadzących w lidze przez całą rundę wiosenną, decydowali olimpijczycy z Rzymu: Fołtyn, Grzybowski, Woźniak, Strzykowski, Zientara, Gadecki i Brychczy. Trenował ich Kazimierz Górski. Odszedł z PZPN i podjął pracę na Łazienkowskiej. Ambicje klubu sięgały mistrzostwa Polski. Do rundy wiosennej Górski przygotował drużynę doskonale, wyraźnie górowała nad rywalami. Po igrzyskach w Rzymie coś się jednak zacięło w zespole. W słabszej formie był teraz również pan Kazimierz. W bezpośrednim pojedynku Legia – Ruch w Warszawie wojskowi byli zdecydowanym faworytem.

Osiągnęli miażdżącą przewagę, a jednak przegrali 1:2. obrońcy nie docenili szybkości i sprytu prawoskrzydłowego Kazimierza Poloka oraz przebojowości mocnego fizycznie Jana Szmida. Błędy indywidualne? Nie tylko. Także wadliwe zestawienie formacji defensywnej.

Z powodu przewlekłej kontuzji nie zagrał w tym meczu stoper Henryk Grzybowski. Ewentualnie mógłby go zastąpić 21-letni wtedy Jacek Gmoch, zawodnik ambitny, waleczny, zdyscyplinowany, ale trener uznał, że jest jeszcze nie doświadczony. Może nie podołać odpowiedzialnemu zadaniu. Postawił więc na rutynowanego pomocnika Strzykalskiego. W Legii spełniał on już (i to dobrze) rolę forstopera, przeto poradzi sobie również na stoperze. Rozumowanie teoretycznie logiczne, na boisku nie zdało egzaminu. „Marcel” grał fatalnie. Górski przyznał się do błędu:

– Liczyłem na rutynę Marcela i... przeliczyłem się. Zresztą, nie tylko ja, także Zientara i Brychczy, bo i oni „głosowali” za Strzykalskim. Na treningach był lepszy od Słaboszowskiego, a Kostaniak - kontuzjowany. Pozostał Gmoch... Teraz dopiero wiem, że powinien zagrać w tym meczu.

Głównie ten błąd kosztował Legię mistrzostwo Polski. Ruch, aby definitywnie sięgnąć po tytuł, musiał jeszcze wygrać ostatni mecz z Wisłą Kraków. Wróble na dachu ćwierkały, że to żaden problem – starzy przyjaciele z boiska Cieślik i Gracz na pewno się dogadają. W Chorzowie pewnie wygra Ruch! Byłem na tym meczu i wszystko widziałem. Walczono... Przedostatni dzień października 1960 roku, niedziela godzina 12.00. Pogoda ładna, ale wiał dość silny wiatr. Kto lepiej sobie z nim poradzi? Ścierają się dwa zupełnie inne szkoły gry: dokładna, przyziemna, niezła technicznie gra Wisły i... żywiołowe ataki, szybko i odważnie walczących chorzowian. Przed przerwą górą była Wisła, prowadziła 1:0 ze strzału Andrzeja Sykty. Wtedy jeszcze,

mistrzem Polski była Legia, wicemistrzem Górnik, a Ruch dopiero na trzecim miejscu. Celny w 52 minucie strzał Szmidta na 1:1 zrodził w Chorzowie nadzieję na barażowy pojedynek z Legią.

– To wątpliwa szansa! – pokrzykiwali kibice. – Trzeba wygrać z Wisłą!..

Było 2:1 dla Ruchu. „Ojcem chrzestnym” tego zwycięstwa i... kolejnego tytułu mistrza Polski był szybki, jak gazela - lewoskrzydłowy Eugeniusz Faber. Zaraz po meczu do akcji wkroczyła orkiestra dęta Huty Batory. Najpierw zasłużone „Sto lat” za kolejne mistrzostwo, a potem melodyjne tony marsza „Most na rzece Kwai”. Wokół stadionu defilują piłkarze wraz z kibicami. Nie ma burd, awantur, atmosfera prawdziwie sportowa. Wśród gratulujących piłkarze Wisły, no i oczywiście „Messu” Gracz. Całuje Gerarda Cieślika. Sztandar z „białą gwiazdą” zmieszał się z tłumem triumfujących gospodarzy. Przyjacielskie gesty najstarszych ligowców były częścią radości, jaką z okazji fety w Chorzowie przeżywała wówczas cała piłkarska Polska.

Bramkarz Ruchu Ryszard Wyrobek właśnie z Wisłą rozegrał tysięczny mecz w barwach „niebieskich”. Szczególny powód do dumy. Zaraz po meczu podbiegła do niego żona z jedenastoletnim synkiem Jurkiem i wręczyła „Pingolowi” bukiet pięknych kwiatów. Rodzina Wyrobków defilowała w jednym szeregu z kibicami. Sztafeta pokoleń. Ojciec, Ryszard dwukrotnie bronił barw reprezentacji Polski (1954-1956), natomiast syn Jerzy - czternaście razy w latach 1970-1977. Konkurentami ojca byli, między innymi: Edward Szymkowiak, Tomasz Stefaniszyn i Henryk Gronowski, a syna: Jerzy Gorgoń, Stanisław Oślizło, Walter Winkler i Roman Strzałkowski. Rodzina Wyrobków odegrała więc w historii swojego klubu i reprezentacji Polski rolę szczególną.

Ryszarda Wyrobka znałem dobrze, a Jurka znam doskonale od juniora. Takim, jakim był, pozostał: skromny, koleżeński, ambitny, pracowity. W dobrej robocie upatruje źródeł sukcesów. Jako piłkarz zdobywał dla klubu mistrzostwo i Puchar Polski, jako trener w sezonie 1988/89 doprowadził Ruch do czternastego w jego historii – mistrzostwa Polski. Pomagał mu w tym dziele Henryk Wieczorek, syn Teodora, też wybitnego piłkarza i trenera. Teraz Ruch przeżywa chwile słabości. W przeszłości potrafił przewycięzać jeszcze większe kłopoty. Na ulicę Cichą w Chorzowie wróci radość i spokój...

Futbol w porównaniu z innymi grami zespołowymi jest łatwy w odbiorze, ale wyniki spotkań piłkarskich najtrudniejsze do przewidzenia. Oczywiście i tu są jakieś granice niespodzianek, jednak jest ich zdecydowanie więcej, niż na przykład w siatkówce, koszykówce, względnie w hokeju na lodzie. W latach 1960 – 1961 zwłaszcza wloty i upadki naszej reprezentacji w pełni potwierdziły tę tezę. Przegrywała, gdy była faworytem, zwyciężała, gdy nikt na to nie liczył. Oto 4 maja 1960 w Glasgow „biało-czerwoni” pokonali Szkocję 3:2, a fantastyczny gol strzelony przez Ernesta Pohla wstrząsnął stadionem Hampden Park. Czy to nie piękne?

Po tym sensacyjnym zwycięstwie kapitan zwycięskiej drużyny Edmund Zientara nadesłał do redakcji „Przeglądu Sportowego” list, w którym podważył krytyczne opinie Jerzego Zmarzlika o poziomie i możliwościach reprezentacji. Redaktor przyjął tę uwagę z godnością i... natychmiast oddał należną cześć zwycięzcom. Napisał, że ich sukces w Szkocji plasuje się na trzecim miejscu wśród najlepszych występów reprezentacji, tuż za przedwojennym 4:2 z Węgrami w Warszawie i niedawnym 1:1 z NRF w Hamburgu, a przed 2:1 z ZSRR w Chorzowie.

I radził kibicom: - *Zapamiętajcie ten dzień! Bramki Baszkiewicza, Brychczego i Pohla...*

Dobrze, aż za dobrze zapamiętałem tę wiktorię na Hampden Park. Z dużymi nadziejami i pochwałami pod adresem Polaków udałem się do Moskwy na kolejny mecz ZSRR – Polska. Na zamówienie „Sowieckiego Sportu” napisałem artykuł gloryfikujący nasz zespół. W moskiewskiej redakcji wywiesili to nawet na tablicy z krótkim komentarzem: „**Najlepsza publikacja w numerze**”. Tak było przed meczem, ale po spotkaniu nie zostawiono na mnie suchej nitki:

– To ma być ta wspaniała drużyna? – podkpiwano. Gdzie był dziś ten walczący obrońca „Burza”?... Ani błyskawic, ani grzmotów! Jakim cudem Polska wygrała w Szkocji? Gdyby w czwartek na Łuźnikach padł tuzin bramek, nikt nie byłby zdziwiony... Waliliśmy w naszych piłkarzy, jak w prująco się ze starości bokserki worek treningowy...

Nie było to przyjemne, rumieniłem się ze wstydu. Wytrącono mi wszelkie argumenty. Zresztą, jak tu usprawiedliwiać zespół, który przegrał 1:7?! Z czasem jednak doszedłem do wniosku, że za tę klęskę winić należy nie tylko przegranych gości, lecz także zwycięskich gospodarzy. Nas obciąża przede wszystkim „nowatorska” taktyka i błędy w składzie drużyny. Jean Prouff, wówczas pierwszy trener reprezentacji, zalecił naszym obrońcom indywidualne opiekowanie się napastnikami rywala. „Każdy” miał pilnować „swego”! Obronę strefową, która w 1957 w Chorzowie dała Polsce zwycięstwo 2:1, uważał za taki sam przeżytek, jak stary „polski zapis” w brydżu. Tu i tam – przekonywał Francuz – już od dawna obowiązują kryteria międzynarodowe!...

Trener Tadeusz Foryś, od lat zwolennik „strefy”, patrzył na te propozycje ze zdziwieniem, ale pozostawał w cieniu Czesława Kruga

i Jeana Prouffa, więc milczał. Największym absurdem było powierzenie Fryderykowi Monicy, zawodnikowi ociężałemu, mało zwrotnego i niezbyt szybkemu, opieki nad błyskotliwym prawoskrzydłowym Metrewellim. Gruzin ośmieszał Polaka, żałość ogarniała, gdy się na to patrzyło. Strzelił dwie bramki. Nasz napad praktycznie nie istniał, obrona jak sito. Zagrypiony był Ernest Pohl, ale znowu zabrakło w ekipie lekarza. Tych „błędów i wypaczeń” było więcej. W ogóle niepoważne potraktowano ten mecz. Nasza ekipa bardziej niż drużynę piłkarską, przypominała turystów Sports-Touristu zwiedzających Plac Czerwony i Mauzoleum Lenina lub uganających się w GUM-ie za kawiozem i zabawkami dla dzieci.

Po takich wędrówkach po Moskwie i to w dniu meczu zmęczona i rozkojarzona drużyna zjawiała się na Łuźnikach tuż przed samą grą. Nie było już czasu na solidną rozgrzewkę. Gospodarze poganiali: promineneci czekają, mecz trzeba rozpocząć punktualnie! Nikt nie protestował. Katastrofa zaczęła się więc bardzo szybko. Już w 14 minucie po strzałach Iwanowa (4), Bubukina (9) i Poniedziałnika (14) było 3:0. Nasi biegali po boisku, jak pies po pustym sklepie. Rywale byli nieuchwytni. Aż prosiło się, by ich ataki przyjmować na własnej połowie.

Kapitan reprezentacji Edmund Zientara nie krył złości:

– Gdyby dziś w Moskwie grała tylko defensywa Legii, w żadnym wypadku nie stracilibyśmy siedmiu bramek! Może dwie, trzy, nie więcej... Tymczasem oni naszym napastnikom nie dali oddychać. Nawet „Kici” i Ernest byli bezradni. Po przerwie zupełnie oklapł Michel, no to „Burza”, który i tak miał sporo kłopotów z szybkim Meschim, jak wariat biegał po całym boisku również za Bubukinem...

Przy tym lamencie, obwinianiu naszych piłkarzy i organizatorów, warto pamiętać, że nasi pogromcy zdobyli w roku 1960 Puchar Narodów.

Frajerami przeto nie byli. Trochę pomógł im tu generał Franco. W ćwierćfinale Pucharu Narodów Hiszpania miała się spotkać właśnie z ZSRR. Do meczu jednak nie doszło, bo w Madrycie nie udzielono „ruskim” wiz wjazdowych. Na teren sportu znowu wkroczyła polityka. Właśnie wtedy, kiedy Hiszpanie mieli grać z Rosjanami w piłkę nożną, na terytorium ZSRR zestrzelono amerykański samolot szpiegowski U-2. Nasiliła się „zimna wojna”, umocniła „żelazna kurtyna”. Franco wykorzystał to również na niwie sportowej.

Ryszard Koncewicz do kulis fatalnego meczu w Moskwie powrócił na zebraniu Wydziału Szkolenia. Nie ukrywał, że z taką grą i z taką taktyką, nie mamy czego szukać na Olimpiadzie w Rzymie. Istotnie, nasi wygrali tam tylko z Tunezją, natomiast Dania i Argentyna dały nam łupnia. Zgasła gwiazda Prouffa, na fotel trenera wrócił Koncewicz. W ciągu roku dokonał rzeczy teoretycznie niemożliwych - w maju 1961 w Warszawie zrewanżował się radzieckim za klęskę w Moskwie, a w listopadzie Duńczykom w Chorzowie za niepowodzenie w Livorno. Byłem świadkiem obu tych zwycięstw i szeroko je opisałem.

Nastąpiły duże cięcia w kadrze. Z „moskiewskiego” składu pozostali tylko: Szczepański, Zientara, Brychczy, Pohl i Jan Kowalski, doszli – Szymkowiak, Oślizło, Woźniak, Polok, Lentner i Jarek (Wilczek). „Faja” dał szansę kilku debiutantom, co głównie w odniesieniu do Stanisława Oślizły okazało się „strzałem w dziesiątkę”. Wreszcie zapełnił lukę po odsuniętym z kadry Romanie Koryncie. W ciągu 10 lat zabrzanin rozegrał 57 meczów w reprezentacji. W tym pierwszym tak dokładnie zaopiekował się Walerym Łobonowskim (Ukrainiec w czasie Świąt Wielkanocnych wystąpił też w meczu Górnik Zabrze – Dynamo Kijów 3:3 i zdobył przepiękną bramkę), że po przerwie

zmienił go Kraśnicki. Ten też nic nie wskórał. Wyróżnił się tylko faulem na Edku Szymkowiaku i wywołaniem gwizdów na widowni. Oślizło był zaporą nie do sforsowania.

Polska wygrała ten mecz 1:0, a bramkę strzelił Ernest Pohl. Węgierski sędzia tego spotkania Vilmos Koesztner nie krył zdziwienia: - „*Jesteście autorami światowej sensacji*”. No, europejskiej na pewno, bo przecież piłkarze ZSRR wywalczyli w Paryżu Puchar Narodów. Dlaczego w ciągu niespełna roku z 1:7 zrobiło się 1:0? Przyczyn było wiele, ale najważniejsze to: lepsze przygotowanie fizyczne, lepszy skład i lepsza taktyka. Grano „strefą”. Już nie było wyprawy z motyką na słońce! Ostoją zespołu była defensywa, a przy Jerzym Woźniaku równie szybkim jak przeciwnik, Metrewelli nie miał nic do powiedzenia. Obrońców skutecznie wspierał Jan Kowalski, a rozgrywający Lucjan Brychczy rządził z Edmundem Zientarą w drugiej linii.

- Waleryj! Waleryj! - wrzeszczał Jaszyn do Woronina. - Dzierży etowo czorta Brychczewo!...

„Kici”, tak - jak w Chorzowie był nieuchwytny dla Netty, teraz doprowadzał do rozpaczony Woronina. Strzał Brychczego z półobrotu w poprzeczkę dziś też mógłby być ozdobą wszystkich boisk świata. A jednak ten niezrównany technik, strzelec i reżyser stał się dla dziennikarzy ze „Sportu” Katowice jakimś „brzydkim kaczątkiem”. Wieszano na nim psy, odzegnani od czci i wiary. Wykrzykiwano z łamów: - „**Nigdy więcej Brychczego!**”.

Rzeczowo i kulturalnie odpowiedział na te zarzuty Grzegorz Aleksandrowicz. Zapytał: - „**Z Brychczym czy bez?**” i odpowiedział jednoznacznie: - „**Z Brychczym!...**”. „Sport” nieco spuścił z tonu, ale nie wyzbył się złośliwości: - „Nieporozumienie w dyskusji – Brychczy i wiatraki”. Ślężacy, którzy wciąż nie mogli wybaczyć „Kiciemu”, że w roku 1957 nie przeszedł z Kowalem i Pohlem do Górnika Zabrze (wtedy byłby noszony na rękach), teraz ni z gruszki ni z pietruszki zapalali chęcią gwałtownego odmładzania reprezentacji. Argumentowali: ... „Cieślik już ustąpił młodszemu, czas i na Brychczego...” Czysta demagogia. Gerard kończył karierę, gdy miał 32 lata, a Brychczy przed meczem z Danią w Chorzowie był o pięć lat młodszy. Najlepszy wiek dla piłkarza... Wiedzieliśmy o co chodzi – Wilczek za „Kiciego” – to było podłoże wylewania pomyj na legionistę.

Kapitan związkowy Czesław Krug uważnie śledził ten spór i... długo się wahał, natomiast trener Ryszard Koncewicz nie miał wątpliwości: – Z Danią musi zagrać Brychczy!. Zagrał, a Polska zwyciężyła 5:0. Był to srogi rewanż za olimpijskie 1:2 w Livorno. Opisałem w „PS” – „**Jak nasi piłkarze zwalczyli duński kompleks?**”. Był to też częściowy rewanż za 0:8 w 1948 roku w Kopenhadze. A więc nie jest prawdą, że „Duńczycy nam nie leżą”. Polski atak zagrał na piątkę, a Brychczy – podobnie, jak w meczu z ZSRR – królował w głębi pola nieco za kwartetem: Faber, Gajda, Pohl, Lentner. Był wzorowym rozgrywającym.

Mecz rozegrano na mocno ośnieżonym boisku i w czasie niezłej zadymki. Chwilami trudno było rozpoznać zawodników. Kłopot miał tu również red. Andrzej Roman z „Kuriera Polskiego”.

– Kto właściwie gra na lewej obronie? – zwrócił się do mnie z tym pytaniem.

– Jak to kto? – Woźniak, Jurek Woźniak – szybko odpowiedziałem...

– Coś ty, to Kawula! – upierał się Andrzej.

– Skądże znowu – zaprotestowałem. – Takie ruchy ma i tak biega, jak sarenka, tylko „Siwy”.

– Żartujesz – nie dowierzał Roman. – Woźniak jest blondynem, a ten ma czarne włosy...

– ... bo ma mokrą głowę.

– Trzymam jednak pięciuset złotowy zakład, że to Kawula – podniecił się Andrzej.

– Ja też! Przyklepuj...

Wygrałem. Za dobrze bowiem znałem naszych piłkarzy, bym – nawet w zadyńce – nie potrafił odróżnić Kawuli od Woźniaka. Mile wspominał brudne szyby w kabinie sprawozdawców. Po meczu za tę wygraną sumkę mogłem nieźle „porządzić” najpierw w bufecie na Stadionie Śląskim, a potem w katowickim „Monopolu”. Obiekt w Chorzowie przypominał w tym dniu stadiony europejskie. Za lożą honorową był wytworny, dobrze zaopatrzony bufet, a w nim krupniok, serdelki na gorąco, parówki, bigos, strogonow, flaczki a’la stołeczny „Flis”, herbata z cytryną, piwko Radeberger... Obsługa sprawna, uprzejma. Kanada. Kudy do Śląskiego Stadionowi Dziesięciolecia... I cóż wy na to? – pytałem na łamach „PS” – ubodzy krewni z Warszawy?.. W „Monopolu” też było miło i przyjemnie. Pił, śpiewał i tańczył nawet trener Koncewicz. Nie robiłem z tego tajemnicy... Przeczytała to żona „Fajki”, zadzwoniła do redakcji i zapytała: – *Może mi pan powiedzieć, co to była za dziewczyna?...*

Na pomeczowej kolacji byli również niemal wszyscy piłkarze. Nakłoniłem „pana Grzegorza”, żeby porozmawiał z nimi o roli, jaką w reprezentacji spełnia Lucjan Brychczy. Jest potrzebny, czy nie?

Pomysł dobry, pomogłem autorowi w zbieraniu opinii, a redaktor – w świetle doskonałego występu „Kiciego” w meczu z Danią – zawarł to w prowokującej publikacji „CZY BRYCHCZY SIĘ NADAJE?”. Odpowiadają piłkarze ze Śląska.

Ernest Pohl: - To jest dużej klasy rozgrywający. On gra do przodu, z jego podań padają prawie wszystkie bramki. Nie wyobrażam sobie, żeby w pełni zdrowia, nie grał w reprezentacji.

Roman Lentner: - „Kici” – to najlepszy napastnik w Polsce. On robi grę...

Jan Kowalski: - Skąd to pytanie? Brychczy powinien grać w reprezentacji na sto pięćdziesiąt procent!...

Norbert Gajda: - Świetnie mi się z nim gra, to bardzo dobry kolega na boisku. Wyrabia sytuacje innym...

Brychczy mocno przeżył ten nieuzasadniony atak w „Sporcie”. Mierziły go niesprawiedliwe, wyraźnie tendencyjne opinie tamtejszych komentatorów. Był moment, że chciał zakończyć karierę piłkarską i spróbować szczęścia na estradzie. W tamtych czasach wielu piłkarzy (i nie tylko oni) dobrze śpiewało lub grało na różnych instrumentach: Stanisław Baran, Czesław Wiśniewski, Augustyn Dziwisz, Kazimierz Górski, Stanisław Tymowicz, Czesław Suszczyk, Egon Piechaczek, Antoni Piechniczek, Henryk Szczepański, Henryk Gronowski, Stanisław Oślizło, Edward Jankowski...

„Kici” wykazał tu talent szczególny. Jak zawodowy wokalista, najczęściej w gronie przyjaciół, intonował ulubione „Nicolò, Nicolò, Nicolino...”, „Rio de Janeiro o hej, o haj, bo najpiękniejszy miesiąc to maj...” i „Arivederci Roma”. Wiedział, że tę włoską piosenkę najlepiej śpiewa Janusz Gniatkowski, ale i ja – twierdził - nieźle bym sobie z tym

poradził nawet w warszawskim „Bristolu”. Na szczęście, „Bristol” był wtedy w remoncie i to być może odwiodło Lucjana od rezygnacji z futbolu. Jeszcze prawie przez kolejnych dziesięć lat selekcjonerzy powoływali go do reprezentacji, zaś Czech Jaroslav Vejvoda zwracał się do niego per „mistrzu”. Brychczy to obok Cieślaka drugi taki piłkarz w Polsce, który wierny jest tylko jednemu klubowi.

Dla mnie jednak największym wydarzeniem 1961 roku był jubileusz „Przeglądu Sportowego”. To redakcyjne święto zbiegło się z 45-leciem „Legii” Warszawa i 40-leciem naszego rówieśnika Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Byłem świadkiem uroczystości i zawodów, które często się nie zdarzają. Najpierw wyróżniono wybijających się dziennikarzy, w tym Elę Cungową, biegle władającą pięcioma językami. Na gali w „Domu Dziennikarza” przy Foksal była ozdobą towarzystwa. Lech Cergowski też się sporo napracował, publicznie wystawił każdemu z nas własne cenzurki. Mnie uznał za „pierwszego po Bogu w piłce nożnej”, ale nieźle też przygryzł: „nawet w sprawozdaniu z meczu Górnika z ŁKS-em wspomni o Legii”. Może to i dobrze?...

Właśnie klub z Łazienkowskiej, zwłaszcza jego sekretarz generalny pułkownik Edward Potorejko, okazał się wtedy naszym największym sojusznikiem. Wraz z prezesem PZPN, Stefanem Glinką, szefem WOZPN Leszkiem Rylskim oraz kierownictwem „Przeglądu” i „L’Equipe” poruszył niebo i ziemię, by sprowadzić do Polski nieoficjalną reprezentację Bułgarii i finalistę Klubowego Pucharu Mistrzów Europy z 1956 roku, Stade de Reims, oczywiście z Raymondem Kopą w roli głównej. Mecz z Francuzami rozegrali wojskowi przy blasku jupiterów, które już od 9 miesięcy przyświecały piłkarzom w czasie gry. Legioniści dobrze czuli się w tej wieczorowej scenerii, między innymi niedawno

wzięli srogiego rewanzu na Ruchu Chorzów (6:0!) za zeszłoroczną wpadkę, ale Kopie i jego kolegom z Reimsu nie dali rady. Francuzi wygrali 3:1. Jak grał nasz rodak? Tak to ja widziałem:

...„Wykazał ogromne wyczucie przestrzeni i czasu lotu piłki, zadziwiał dokładnością i miękkością każdego uderzenia. Jeśli skierował piłkę pod bramkę Legii, wiadomo było, że za moment padnie strzał. Reims zdobył trzy bramki, wszystkie właśnie z podań Kopy. To prawdziwy zegarmistrz na boisku!...”

A tak Raymond Kopa:

...„Szczerze mówiąc początkowo zamierzałem grać krótko i to wyłącznie dlatego, by nie sprawić zawodu warszawskiej publiczności. Kiedy jednak dobrze się rozgrzałem gorącą atmosferą na stadionie i zauważyłem, że moi koledzy z Legii nie polują na kości, walczą fair, zaś sędzia Wacław Majdan gwizdże wzorowo, postanowiłem grać do końca. Inna sprawa, że wasz pomocnik Strzykowski specjalnie mi w tym nie przeszkadzał. Sympatyczny chłop... No to było widowisko!”.

Jubileuszowy bankiet odbył się w Sali Turkusowej Grand Hotelu. Atmosfera miła i przyjemna. Było wino, kobiety, śpiew i tańce. Najlepsza solistka Warszawy, tajemnicza pani Regina zaśpiewała „C'est magnifique”. Podchwycili to piłkarze Reimsu, weseli, roześmiani. „Ała” nie próżnował, robił im karykatury. Może za rok zabiorą je ze sobą na mistrzostwa świata w Chile? Strzelec jednej z bramek na Legii Piantoni w ogromnym sombrero na głowie płynie przez Atlantyk, a Kopa dyryguje piłkarską kapelą. Wszyscy zadowoleni... Wykorzystuję tę sprzyjającą okoliczność i proszę Raymonda o wywiad dla CZTERDZIESTOLATKA – „PRZEGLĄDU SPORTOWEGO”. Nie odmawia...

– Czy dobrze się pan bawi?

– Ależ naturalnie! Miło i przytulnie jest w tej sali...

– A czy Warszawa też się panu podoba?

– Wiedziałem, że Niemcy ją zburzyli. A teraz? Jest ślicznym miastem. Kiedy to wszystko zbudowaliście?

– Wcześniej był pan w Polsce?

– Tak, przed wojną, w 1937 roku, ale... urodziłem się we Francji. Polska jest ojczyzną mojego ojca Franciszka i matki Heleny. Byłem z nią u kuzynów koło Poznania.

– Jak długo kopie pan piłkę?

– Od dziecka! Miałem siedemnaście lat, gdy podpisałem pierwszy kontrakt. Najpierw dwa lata grałem w Angers, a potem w Reims...

– Był też Real Madryt...

– Ano był... Pewnie zaraz zapyta pan o Di Stefano. Znam go dobrze, na pewno jest najwszechstronniejszym, najlepiej wyszkolonym piłkarzem świata... Jednak nie jest moim ideałem. Wyżej cenię Pelego. Ten Murzyn, to nie piłkarz – to artysta futbolu. Takim trzeba się urodzić!

– Właśnie. Jak to rozumieć?

– Trzeba mieć smykałkę do gry... iskrę Bożą. W Brazylii o takich geniuszach mówią, że „z nieba na ziemię są zsyłani przez Boga...” Solidna, żmudna praca i sportowy tryb życia są potrzebne przede wszystkim do długotrwałego utrzymania formy i już posiadanej klasy.

– Nie ma „bariery wieku”?

– Di Stefano i Puskas mają po trzydzieści cztery lata i są obok młodziutkiego Pelego najlepszymi piłkarzami świata. Puskas zawsze był wielki, ale dopiero w Realu, gdy go do tego zmusiła trudna sytuacja, mocno pracował. Miał więc talent i charakter... Tak, jak piłkarski matuzalem sir Matthews.

– Jak wspomina pan Real?

– Grałem tam na prawym skrzydle, bo tak chciał trener. Ale mnie to nie odpowiadało, to przywiązanie do pozycji... Wolę być wolny, nie znoszę reżimu... Chcę grać tak, jak tego wymaga mój charakter. W Reims mam swobodę, gram na całej szerokości boiska.

– A co sądzi pan o polskich piłkarzach?

– Są utalentowani. W zeszłym roku z Vichy dali nam łupnia 4:2. W Warszawie z kadrowiczów podobali mi się Lentner i Pohl, a w Legii Brychczy. To dobry technik...

– Jak będzie w Chile?

– To będą gospodarskie mistrzostwa. Brazylia, Argentyna i Urugwaj są faworytami...

„PORTUGALCZYCY”...

Jeszcze jedno wydarzenie rangi międzynarodowej przykuło w roku 1961 nie tylko moją uwagę. Turniej UEFA w Portugalii. Z zeszłorocznej drużyny, którą już w Austrii chwaliłem za dobre wyszkolenie, zostało kilku najlepszych zawodników: stoper Andrzej Rewilak, skrzydłowi Krzysztof Hausner i Janusz Kowalik oraz środkowy napastnik Jerzy Musiałek i lewy łącznik Roman Kasprzyk. Doszli Janusz Żmijewski i przede wszystkim Zygfried Szoltyśnik, cała siódemka – to przyszli reprezentanci jedenastki narodowej.

Znałem tę drużynę doskonale, także jej możliwości. Przy każdej okazji podkreślałem, że „**juniorzy pojedą do Portugalii nie tylko po naukę**”. Tymczasem kierownictwo PZPN i GKKFiT miało inne zdanie. Czy warta jest skórka za wyprawkę? Koszty duże, a sukces

sportowy wątpliwy. Dodatkowo sprawę skomplikowała wciąż „zimnowojenna” atmosfera międzynarodowa. Wcześniej Franco nie wpuścił do Hiszpanii piłkarzy ZSRR, teraz Salazar nie dał wiz wjazdowych juniorom Jugosławii. Bojkot był łatwy do przewidzenia, zwłaszcza ze strony NRD, która już w roku 1955 we Włoszech doznała podobnego afrontu. Ostatecznie z tzw. „demoludów” w Portugalii zjawili się tylko Rumuni i Polacy.

Na temat szans młodych Polaków w Portugalii jasno i jednoznacznie wyłożyłem swoje racje na łamach „Przeglądu Sportowego”:

... „Rodzi się zespół lepszy i bardziej doświadczony od tego, który przed rokiem występował w Austrii. Pojawia się drużyna, która jest w stanie przyćmić klasę wszystkich poprzednich. Dlatego dziwne i nieuzasadnione było by trzymanie takiego zespołu pod korcem i skazywanie na smażenie się we własnym sosie. Żaden z dotychczasowych startów nie został zmarnowany. W turniejach UEFA wyrosli obecni reprezentanci Polski”.

Prasa w pełni podzieliła moje zdanie. Efekt? W połowie grudnia 1960 roku specjalna komisja GKkFiT (a nie PZPN) powiedziała „tak”. Odpowiedzialnością za przygotowanie drużyny osobiście obciążono szefa wyszkolenia związku Ryszarda Koncewicza oraz trenera reprezentacji juniorów Władysława Stiasnego z Krakowa i Edmunda Świątkowskiego z Bydgoszczy. W styczniu 1961 roku na stadionie olimpijskim we Wrocławiu rozpoczęły się końcowe przygotowania do startu w Portugalii. Co kilka dni odbywała się wówczas jakaś gra kontrolna, a w lutym i marcu głównie na Śląsku raz w tygodniu ważne mecze sparingowe. Grano z „marszu”, stołowano się w barach mlecznych. Śnieg i mróz, przenikliwie zimno, mimo to z czoł chłopców spływał pot. Ciężko pracowali.

– To bardzo interesujący chłopcy, dobrze wychowani, uzdolnieni i ambitni – zauważył Koncewicz. – Może rzeczywiście do Portugalii pojedą nie tylko po naukę...

Dosłownie w ostatniej chwili zespół pozyskał jeszcze jedną gwiazdeczkę. W Rudzie Śląskiej kandydaci na Portugalie zmierzyli się z juniorami „Zrywu” Chorzów. Wygrali chłopcy Władysława Stiasnego, ale w drużynie Józefa Murgota, słynnego na Śląsku „łowcy talentów”, zobaczyliśmy gracza, który dorównywał umiejętnościami najlepszym – Kowalikowi i Musiałkowi. Zwinny, dobry technicznie, taki mały lisek chytrusek...

– Kto to jest? Jak się nazywa? – Profesorze – to do Murgota – dlaczego do tej pory ukrywał pan tę perełkę?

– Nie sądziłem, że taka kruszyna przyda się tej drużynie. To wszystko...

Ta „kruszyna”, z czasem nazwana przez kolegów z Górnika Zabrze „Małym”, dwa lata później debiutowała w pierwszej reprezentacji Polski, a podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w meczu z ZSRR, strzeliła dla Polski zwycięską bramkę. Zygfryd Szoltyśnik!.. Magister Stiasny wkomponował „Małego” w napad o wyjątkowo dużych umiejętnościach: Hausner (Żmijewski), Szoltyśnik, Musiałek, Kasprzyk, Kowalik. Tworzyła się legenda „Portugalczyków”...

Tuż przed odlotem do Lizbony odbył się w Warszawie mecz ligowy Legia – Cracovia. Wprawdzie goście przegrali 2:3, ale zdobyli więcej pochwał i oklasków, niż zwycięzcy. W drużynie pokonanych wystąpiło trzech przyszłych „Portugalczyków”: Andrzej Rewilak, Krzysztof Hausner i Janusz Kowalik. Widownię olśnili głównie skrzydłowi. Świetnie wyszkolony technicznie i ruchliwy, jak rtęć – Kowalik,

praktycznie z flanki kierował całą piątką napadu, a nacierający z siłą huraganu Hausner zdobył obie bramki. Znalazłem się w podwójnym niebie: oba punkty zostały w Warszawie, a dobra postawa juniorów z Krakowa była udaną zapowiedzią na sukces w Lizbonie.

Chłopców, niczym ojciec wielodzietnej rodziny, życzliwie pożegnał nowy prezes PZPN, Wit Hanke. Bojowo odpowiedział kapitan drużyny Andrzej Rewilak: - „PRZYWIEZIEMY Z PORTUGALII MEDAL”. W dobrych nastrojach odlatywała drużyna z Okęcia. Podróż z Warszawy via Zurich do Lizbony trwała ponad dobę. Pierwszy mecz z Francją Polacy wygrali 4:1. Po dwie bramki zdobyli Roman Kasprzyk i Jerzy Musiałek. Przedstawiciel paryskiej „L’Equipe” ze zdziwienia łapał się za głowę, gdy nadawał sprawozdanie do Paryża:

...„Nasi obrońcy nie wiedzieli, co robić, kiedy przed nimi wyłaniał się doskonały polski atak. Polacy oczarowali widownię nie tylko doskonałą kondycją fizyczną, ale przede wszystkim dużymi umiejętnościami technicznymi”.

Chwaliła nas również prasa portugalska:

... „Polacy w każdym meczu raczą publiczność na wskroś widowiskowym futbolem. Zdziwia ich wysokie wyszkolenie techniczne, polot i fantazja”.

W drodze do finału nasze „Orliki” pokonały jeszcze Austrię i NRF oraz zremisowały z Grecją. Bardzo zacięty był mecz półfinałowy z Niemcami. Trenerem tej reprezentacji był Helmut Schoen, późniejszy rywal naszego Górskiego, zaś jej asami bramkarz Sepp Maier i Wolfgang Overath – mistrzowie świata z 1974 roku. We Frankfurcie nad Menem wygrali z nami niezapomniany „bój w wodzie”, ale wtedy w Porto górą byli młodzi „biało-czerwoni”. Prowadzenie 1:0 dał nam piękny strzał

Kowalika, później „Mały” trafił w poprzeczkę, ale Wild wyrównał na 1:1. Drugi piękny strzał Janusza zza pola karnego rzucił Niemców na kolana. Zwycięstwo 2:1!... To już jest srebrny medal!

I tak zostało. Finał z Portugalią, mocno już zmęczeni chłopcy, przegrali aż 0:4, ale – to spore usprawiedliwienie – przez 84 minuty grali w „dziesiątkę”. Groźnej kontuzji doznał stoper Rewilak, a że ówczesne przepisy nie pozwalały na żadne zmiany, w osłabieniu trudno było liczyć na dobry wynik. Gospodarzom pomógł zresztą nie tylko bezsensowny regulamin, także hiszpański sędzia Ortiz de Mendebil wyraźnie im sprzyjał. Jedną bramkę uznał ze spalonego, a drugą podarował z wydumanego rzutu karnego. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje...

A więc „tylko” srebrny medal... Przy późniejszych sukcesach juniorów w mistrzostwach Europy takie sobie osiągnięcie. Jednak wtedy, w generalnie chudych latach polskiego piłkarstwa, reprezentacyjnego i klubowego (1:8 Górnika Zabrze z Tottenhamem Londyn w Pucharze Europy), był to niepodważalny sukces, dotychczas największy na arenie międzynarodowej. Jak potoczyły się dalsze losy tych chłopców? Większość z nich grała później w pierwszej reprezentacji Polski. Zygfryd Szołtysik ma w dorobku złoty medal olimpijski. Oficjalne pożegnanie „Portugalczyków” nastąpiło 16 lipca 1961 roku w Radomiu w zwycięskim meczu z ZSRR. To był autentyczny bal piłkarskich maturzystów!

Pierwszy z tego medalowego towarzystwa w mistrzowskim zespole Górnika Zabrze zagrał Jerzy Musiałek, zaraz po nim na Roosevelta czarował widownię Szołtysik. Emisariusze z Zabrze obserwowali „Małego” w Koszalinie podczas międzynarodowego turnieju drużyn szkolnych. Był tam najlepszy, rychło więc stał się w Górniku partnerem Pohla, Lentnera, Wilczka i... Musiałka. Młodzi mieli niesamowity fart,

że trafili w tym klubie pod opiekuńcze skrzydła Ernesta. Miał wady, mimo to młodzież go uwielbiała. Pohl bez cienia zazdrości, tak prawdziwie po piłkarsku, dla dobra drużyny promował te talenty. Radził, pomagał, uczył współzycia w klubie.

Dobłą szkołą, tak w sferze szkolenia, jak i wychowania, były letnie zgrupowania juniorów. W roku 1961 odwiedziłem PZPN-owską młodzież w Zielonej Górze. Zauważyłem, że „**w tej kuźni przybija się nie tylko mistrzowskie podkowy**”. Rygor, jak w wojsku: apele, raporty, zbiórki... Kierownik obozu redagował biuletyn dnia. Przewodniczący Rady Obozowej w asyście dwóch innych chłopców rano podnosił, a wieczorem ściągał z masztu flagę narodową.

– Dobranoc obóz! – rozległo się echo po okolicy.

– Dobranoc panie kierowniku! – odpowiadał donośny okrzyk 80 młodych ludzi.

Teraz do akcji wkraczał „profesor” Wiesław Motoczyński. Doksztalał chłopców z matematyki i fizyki, a inni członkowie sekcji młodzieżowej PZPN z historii i literatury pięknej. Gramatykę oddano mnie... A rano, jeszcze przed apelem, pieklił się Ludwik Ciecierski, prawa ręka „Motorka”:

– Rysiek, dlaczego jeszcze nie ogolony! Stefan, zapnij dres!... Andrzejku, uczesz się. Co z twoją głową?...

Przy śniadaniu, gdy któryś z chłopców pił herbatę z łyżeczką w szklance, grzecznie przestrzegał:

– Baba, Kłosek, Kuczko! Łyżeczki na bok, bo jeszcze sobie oczy wydlubiecie...

Przybysze z zewnątrz dziwili się:

– Apele? Raporty? Zbiórki? Czy to nie przesada?

Ktoś inny sądził, że to klasztor:

– W karty nie grają, papierosów nie palą, nie piją... Więc co robią w chwilach wolnych od zajęć? Kształcicie mnichów?

– Nie wychowujemy tu spartańskich bohaterów – spokojnie wyjaśniał trener Foryś – odpornych na głód, pragnienie i niewygodę. Wpajamy tylko te zasady, które obowiązują każde środowisko. „Gloria virtutem tamquam veram habebit...” tak uważamy: „Sława, jak cień, podąża za cnotą...”. Nie jest prawdą, że wszystkim się to podoba. Niektórzy palą, spóźniają się i po capstrzyku hałasują w łózkach... Najbardziej niesfornych karnie odsyłamy do domu.

Czy w PZPN w pracy z młodzieżą zawsze i wszędzie wszystko grało? Oj, nie! Zwykło się mówić, że „przykład idzie z góry” lub że „ryba psuje się od głowy”. Często rzeczywiście tak bywa. Działacze zachowują się nieodpowiedzialnie, a młodzież to obserwuje. Oto przykład z życia wzięty. We wrześniu 1961 roku, jakimś mocno sfatygowanym autokarem, wybrałem się z reprezentacją B do Bańskiej Bystrzycy na mecz z Czechosłowacją B. Interesował mnie przede wszystkim udział w tym spotkaniu „Portugalczyka” Romana Kasprzyka. Młody, silny jak tur, umie się zastawić, twardziel z dobrym strzałem z dystansu. Przyda się w takim meczu i z takim przeciwnikiem. Kierownikiem ekipy był skarbnik PZPN, Henryk Kalski, a trenerem Tadeusz Foryś. Pod Rozprzą magister poprosił Kalskiego, by rozdał chłopcom paszporty.

– Paszporty? – zdziwił się skarbnik – Nie mam, sądziłem, że wręczono je chłopcom w PZPN.

Podjechaliśmy na pocztę. Foryś dzwoni do Warszawy, opieprza rozmówcę. Ten akurat Bogu ducha winien, mówi przerażony, że urzędnik odpowiedzialny za ten wyjazd już wyszedł ze związku.

– Może paszporty są w jego biurku? Szukajcie! – zżyma się trener.

– Zrobi się... Czekać w Katowicach, w „Monopolu”. Przed szesnastą tam będziemy...

Czekaliśmy do siedemnastej, przesyłka nie nadeszła. Magister wściekły, przezornie się jednak przeżegnał i kazał ruszać w drogę. Już zmierzchało, gdy dotarliśmy do Cieszyna. W autokarze na grypę rozchorował się bramkarz Marian Wilczyński. Idzie, jak po grudzie... Co to będzie na granicy?... Znowu wszystko na swoją głowę wziął Foryś. Palił, mruzczył coś pod nosem i tak, jak jego ulubiony bohater Szwejk pocieszał: – *Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było...* Jakimś cudem przepchnął ekipę na stronę czechosłowacką, kłopot sprawił mu tylko tamtejszy celnik. Bez pardonu wlaź do autokaru i zapytał:

– Spirytus macie?

– Ano – odpowiedział Foryś – leczniczy. Do smarowania mięśni zawodników...

– Ile butelek?

– Dwie...

– No to jedną zostawcie!

Pojechaliśmy. Robi się ciemno, noc... Kierowca gubi się w górach. Przed godziną duchów dotarliśmy do Bańskiej Bystrzycy. Piłkarze na prędcie coś przegryźli i... do łóżek. Rano okazało się, że zdolnych do gry jest tylko dwunastu zawodników. Nie ma nawet rezerwowego bramkarza. Foryś zarządził przedmeczową odprawę. Znam magistra, wiem, że umie mobilizować piłkarzy i konkretne stawia im zadania. Wie, jak do nich dotrzeć. Technikom każe szanować piłkę, mądrze rozgrywać, walczakom walczyć, bo najczęściej nic więcej nie potrafią, a chłopcom z kopytem w nodze – strzelać z każdej pozycji. Kończy apelem do Kasprzyka: – Roman, liczę na ciebie!...

Jednak wciąż głowi się, kogo tu zrobić rezerwowym bramkarzem. Dresy z napisem „POLSKA” włożyli nawet kuśtykający skrzydłowy Kazimierz Polok i pulchny kierowca autokaru. To nie to! Żaden nie przypominał bramkarza. Foryś nadal „główkował”. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo, znowu zapalił „Mentolowego”, podreptał, wreszcie lekko się pochylił i chytrze uśmiechnął w moim kierunku.

– To chyba... redaktor – powiedział. – Nie ma innego wyjścia. Polok za mały, kierowca Maciej za grupy... Tylko pan ma odpowiednią figurę!...

Doktor Stanisław Mielech, reprezentacyjny piłkarz, prawnik i dziennikarz często powtarzał, że *„dobrze i fachowo o futbolu może pisać tylko ten, kto był reprezentantem Polski”*. – Mam szansę – pomyślałem. – Henryk Kalski wpisał moje nazwisko do protokołu i oto tak stałem się reprezentantem Polski. Na szczęście tylko „grzałem ławę”. Stasio Fołtyn, choć często faulowany, do końca wytrwał na posterunku. Udawałem przed Czechami, że jestem gotów go zastąpić, ale w duchu modliłem się, by go nie zniesiono z boiska. Było 2:2, obie bramki zdobył junior Kasprzyk. Opowiedziałem to wszystko kolegom z redakcji.

– Eee, tylko zremisowaliście!!! – tak to podsumował Leszek Cergowski.

Srebrny medal zdobyty przez juniorów w Portugalii skruszył sumienia decydentów z koncernu RSW „Prasa”. Do Lizbony wydelegowali tylko jednego dziennikarza, natomiast rok później do Bukaresztu aż sześciu. Jechaliśmy tam pociągiem. Podróż długa, nudna, ale w zaprzyjaźnionym gronie, więc skracaliśmy czas winem i... śpiewem. Kobiet nie było. Rozanielony Miecio Szymkowiak udawał więc kurtyzanę: – Ja się boję sama spać. Kto zaśnie ze mną?... Liczyliśmy na powtórzenie sukcesu z Półwyspu Pirenejskiego. Personalnie drużyna była jeszcze silniejsza,

niż przed rokiem i – zdawało się – mentalnie dobrze przygotowana do walki o najwyższe cele. W kraju zadziwiała. Miała na rozkładzie, między innymi nasz zespół młodzieżowy z Kostką, Suskim, Grzegorzkiem, Syktą, Mygą, Musiałkiem i Faberem. Atak strzelał dużo bramek. Ale miał też nazwiska: Hausner, Banaś, Maszczyk, Marx, Jarosik, Kowalik. Potencjalni reprezentanci Polski.

Z nadziei wyszły jednak nici! Juniorzy pogrzebali szanse już w pierwszym meczu z Włochami. W końcu opadli z sił i przegrali aż 0:3. Rumuni zorganizowali turniej nadspodziewanie dobrze. Nie było bałaganu i fałszowania daty urodzeń piłkarzy, jak przed trzema laty w Bułgarii. Zadbano też o informację i frekwencję. Foldery, sprawne biuro prasowe, duże zainteresowanie kibiców. Finałowy mecz Rumunia – Jugosławia na stadionie „23 sierpnia” w Bukareszcie oglądało 80 tysięcy widzów. Trudno było tam dojechać, co ulica – to kontrola. Przepustek nie mieliśmy, ale tupet – owszem. Pokrzykiwaliśmy na milicjantów po rosyjsku. Na to oni:

– Aaa... Union Sovietic!

I jechaliśmy dalej. Taki był tam wtedy klimat polityczny. „Ruski” język – najlepszą przepustką. Pogoda też łaskawa. Podczas gdy Janusz Lichocki z „Expressu Wieczornego” spacerował po plaży w Mamai, Stefan Grzegorzek ze „Sportowca” i ja z „PS” lepiliśmy śnieżne kule w Poianie. W tym czasie Tadeusz Dobosz z „Tempa” Kraków siedział przy barze na wysokich stołkach. W górach zima, wyciągi i narty, a w Bukareszcie już wiosna, kwiaty, panienki w letnich okryciach. Nasze hotele w Braszowie „Carpati”, a w Bukareszcie „Lido” były dobrej marki. Popijaliśmy tam rum „Jamajka” i młode rumuńskie wino. Trafiliśmy akurat na pięćsetną rocznicę założenia Bukaresztu. Co krok, to jakaś feta,

degustacja, przyjęcie. Byliśmy mile widziani. Zwiedziliśmy miasto stare i... nowe. Dużo zabytków i trzy nowoczesne stadiony sportowe. Takich obiektów w Warszawie nie ma. Tu wszystko tonie w kwiatach. Stefan Grzegorzycy ułożył na tę okoliczność wierszyk i śpiewał: „*Zupełnie, jak w Porto-fino*”, a romantyczny Tomasz Sobański umiał swój pokój bzem białym i różowym.

– Wyobraźcie sobie – opowiada rozgorączkowany – wychodzę z hotelu, a tu wyrasta przede mną cudowna dziewczyna... Elegancko ubrana, barwny kostium, buciki na wysokich obcasach, włosy falujące, jak u nimfy... Wrzasnąłem z wrażenia - Ale dupa!!! Pomyślałem: Taką dopaść!... Nagle babka zgrabnie się odwraca, robi głęboki ukłon i z wdziękiem oznajmia:

– I to w dodatku polska...

– Na moment zaniemówiłem. Czy wiecie, kto to był? Stefania Wojtowicz! Nasza słynna wokalistka... Wieczorem idę na jej koncert...

W Rumunii świętowaliśmy Wielkanoc, a zaraz potem moje imieniny. Podtrzymałem „przeładową” tradycję. Tam solenizanci Zmarzlik, Mrzygłód, Wiechowski i Lechowski rok rocznie urządzali huczne przyjęcia. Był potem pokerek i... dla przegranych w moim wykonaniu na akordeonie tango „Siedem czerwonych róż...”. W roku 1962 w Rumunii balangę urządziliśmy na dachu hotelu „Lido”. Pogoda wymarzona, ciepło, dużo słońca. Było bogato i wesoło, kawaleryjska szarża ot co! Nie wszyscy to wytrzymali. Dwóch „uczulonych” na trunki szybko zeszywniało, więc znieśliśmy ich do pokoju doktora Makowskiego: - Januszkę ratuj te dwa nieszczęścia!...

– To nic groźnego – powiedział – tylko lekki szok. Pod kran ich, to rychło otrzeźwieją...

DYSKWALIFIKACJA ZA... KUFEL PIWA

Pierwsza reprezentacja grała w „kratkę”. Obok liczących się zwycięstw nad Francją w Paryżu (3:1) i Belgią w Warszawie (2:0), zanotowała kolejną przegraną z Węgrami oraz dwie wpadki z Irlandią Północną w eliminacjach mistrzostw Europy i... 1:2 w towarzyskim spotkaniu z Czechosłowacją. Ten ostatni mecz, także towarzyszące mu okoliczności, szczególnie mocno utkwily w mojej pamięci. Nasi grali z niesamowitym zębem i w niczym nie ustępowali wicemistrzowi świata z Chile. Menadżer Juliusz Ukraińczyk chwalił naszych piłkarzy: – „Na najwyższe noty zasłużyli: Szymkowiak, Oślizło, Szczepański i bardzo pracowity Brychczy”.

Z Czechosłowacją walczyliśmy wtedy na trzech frontach. Najpierw oglądałem zwycięstwo juniorów 2:0 w Nowych Zamkach, a potem tę nieznaczną przegraną seniorów w Bratysławie. Ucieszyła wygrana juniorów. Zaniepokoił tylko słabszy występ Lubańskiego. Na początku września w meczu z Węgrami w Zielonej Górze grał, jak młody Bóg. Wystawiłem mu celującą ocenę: – „**Uwaga, pojawił się talent!**”. Tymczasem w Nowych Zamkach Włodek był wyraźnie w cieniu strzelców bramek – Maszczyka i Szulca. Naczelny redaktor „Sportu” Tadeusz Bagier, z którym oglądałem to spotkanie, po pierwszej połowie wykpił mnie kompletnie:

– I to ma być ten wychwalany przez ciebie talent?! Mówiłeś, że Węgrzy chcieli go z Zielonej Góry zanieść na rękach do Budapesztu. Tak im się podobał?... A on tu szwenda się po boisku, jak bohaterowie „Szwejka”... na dużym kacu. Poznałeś się na tym Lubańskim, jak kura na pierzu...

Podrażniło to moją ambicję. W czasie przerwy zbiegłem do szatni. Pytam: - „Włodziu, co się z tobą dzieje? Jesteś chory... niewyspany?”

- Głupi!... Przede wszystkim – głupi!... Najadłem się przed meczem winogron i... teraz mam za swoje. Boli brzuch... pędzi mnie... Dziś już chyba dobrze nie zagram...

W hotelu „Divin” w Bratysławie kolejna niespodzianka. Początkowo nastrój był dobry. Piłkarze zabawiali się w hotelowej restauracji. Jak normalni, młodzi ludzie... Ja też tam byłem i to dość długo. Pohl i Brychczy, zaraz po północy, przenieśli się do swoich pokoi. Tam pili? Tego nie wie nikt! Natomiast rano, przed śniadaniem, podeszli do bufetu i zamówili dwa piwa. Przyłączyłem się do nich, wszak piwo z rana, jak śmietana... Nie spodobało się to ówczesnemu wiceprezesowi PZPN, generałowi Marianowi Rybie i trenerowi Ryszardowi Koncewiczowi. Potraktowali seniorów reprezentacji, jak smarkaczy. Zbesztali obu. W kraju, na zebraniu zarządu PZPN, głównie Pohla pomówili o pijaństwo:

...„Po meczu w Bratysławie rozsmakował się w wysokoprocentowym piwie czeskim do tego stopnia, że zatracił całkowicie miarę w jego konsumpcji. Inni zawodnicy mogli w pewnym momencie wstać od stołu i pójść do łóżek, on zaś i Brychczy po kryjomu przed kolegami i kierownictwem ekipy nadal oblewali nieznaczną przegraną z wicemistrzem świata... Następnego dnia Pohl odczuwał duże pragnienie i poprosił kelnera o dwie butelki piwa...”

Mętny komunikat, istne pomieszaniem z poplątaniem... Ja to widziałem inaczej. Właśnie Pohl i Brychczy jedni z pierwszych wstali od biesiadnego stołu. Owszem, rano piwo pili, ale zamawiali nie u kelnera, lecz u barmana i nie „dwie butelki”, tylko dwa kufle. Trzeci był mój... Nikt z orzekających kary tam nie był, dano jednak wiarę generałowi

i trenerowi. To mnie zabolalo. Pohla przykladnie ukarano, Brychczego z lekkim przymruzeniem oka:

... „Ernest Pohl zawieszony do 2.05.1963 roku za **„wysoce niesportowe zachowanie się po meczu w Bratysławie i niesubordynację wobec kierownictwa ekipy”**. Lucjan Brychczy tylko **„jeden miesiąc dyskwalifikacji, z zawieszeniem na 6 miesięcy, ponieważ było to wykroczenie pierwsze od wielu lat”**.

W redakcji kilkakrotnie rozpamiętywałem to wydarzenie z „panem Grzegorzem” i red. Zmarzlikiem. Pierwszy firmował „wersję oficjalną”, drugi miał na to nieco inne spojrzenie:

... „Sprawa Pohla – pisał J. Z. W „Przeglądzie Wydarzeń Piłkarskich” – niczego nie pogarsza, ani nie zaciemnia obrazu. Za dużo się o niej pisało i to z winy Pohla, jak i z winy PZPN, a także interwencji z zewnątrz. Gdyby nie bajeczka o piwku, to nie byłoby interwencji, petycji i nieprawdziwych sprostowań”.

Pohl nie zagrał już w najbliższym meczu z Irlandią Północną, nie miał więc kto „wstrząsnąć Wyspiarzami” – przegraliśmy 0:2. Reprezentacji był potrzebny, ale karencja trwała znacznie dłużej, niż sądzono. W lidze grał, w drużynie narodowej – nie. Bardziej święci od papieża działacze PZPN nadal trzymali Ernesta na dystans. Pauzował przez cały 1963 rok. Dopiero w następnym Motoczyński przeforsował jego kandydaturę na mecz rewanżowy z Czechosłowacją. Miał zaufanie do Pohla. Sympatia odwzajemniona, Ernest strzelił dwa gole i Polska wygrała 2:1.

W każdym z następnych udanych spotkań z Turcją, Szwecją i Irlandią strzelał po jednej bramce. Nie zadzierał nosa, choć koledzy w klubie i reprezentacji nazywali go „Nochalem”. Był lubiany także przez młodzież. Włodek Lubański zwierzył mi się, gdy Ernest kończył karierę: – *„Wszystko zawdzięczam serdeczności Pohla. Był dla mnie piłkarskim ojcem chrzestnym”*. Wyjątkowo wszechstronny, o niespożytych siłach, z łatwością podnosił stukilogramowe ciężary, mógł grać na każdej pozycji. Piłkarski gladiator. Strzelec wyborowy w lidze i reprezentacji, ale też genialny strateg. Po latach zagadnąłem trenera Koncewicza: – Czy była potrzebna ta szopka z Pohlem w Bratysławie? I tak był najlepszy...

– Właśnie! I tu dochodzimy do sedna sprawy – odpowiedział „Faja” w swoim mentorskim stylu. – Najlepszy nie znaczy taki, jakim mógł być i powinien, gdyby nie te jego słabostki. W 1968 roku spotkałem go w Nowym Jorku. Grał tam i pracował fizycznie. Powitał mnie z wyraźną sympatią. Na pożegnanie wcisnął do kieszeni dwadzieścia dolarów: – To na tytoń do fajki... Pan tak to lubi...

W sezonie 1962/1963 zmieniono wreszcie niezgodny z duchem epoki system gier ligowych z układu „wiosna-jesień” na „jesień-wiosna” i przywrócono rozgrywki o Puchar Polski. Ostatnim królem ligi według dotychczasowego cyklu była Polonia Bytom. Grała rewelacyjnie, na poziomie wymaganym od mistrza Polski. Szymkowiak, Kempny, Liberda, Grzegorzczak i Trampisz od dawna byli ulubieńcami selekcjonerów, ale dopiero teraz w pełni potwierdzili zarówno reprezentacyjne, jak i ligowe aspiracje. Otóż Polonia, zwana wtedy „bezdomną”, ponieważ boisko w Bytomiu było w remoncie, w jednym z dwóch spotkań decydujących o tytule w 1962 roku na Stadionie Śląskim pokonała Górnika Zabrze aż 4:1. Dla fotoreportera Gienia

Warmińskiego, który przepadał za Ernestem Pohlem i jego kolegami z drużyny, była to ogromna niespodzianka. Przed meczem rewanżowym na boisku Ruchu w Chorzowie przekonywał trenera Edwarda Drabińskiego, że zabrzanie odrobą straty:

– Warmińsiu, czyś ty oszalał? – pieniał się Drabiński w węgierskiej restauracji „Hungaria” w Katowicach. – Znam dobrze Polonię, byłem jej trenerem, pogoni tych „rycerzy wielkanocnego stołu!”.

– Drabińsiu – ripostował Gienio – rozumisz, że ty nic nie rozumisz! Rozumisz...Górnik teraz i jeszcze przez parę następnych lat będzie najlepszy w Polsce, rozumisz...

– Spokój! Róbcie zakład, ja przyklepię – przerwałem tę paplaninę.

– Warmińsiu, ale nie o pieniądze, nie o wódkę i nie o zakąskę!

– A o co, Drabińsiu? Jak to rozumisz...

– Warmińsiu, słuchaj ty cwaniaczku! Który z nas przegra, na kolanach przedefiluje wokół boiska w Chorzowie...

– Na kolanach?... Ja z aparatem i stołeczkiem?

– Jeśli Górnik odrobi straty, to ja się pomęcę. Starszy pan...

Rewanż wygrał Górnik 2:1, ale w dwumeczu zdecydowanie lepsza była Polonia. Drabiński triumfuje. Przedwcześnie. Wygrał, ale zwycięstwa nie skonsumował. Jeszcze trwała koronacja nowego mistrza, a na stadionie Ruchu już nie było Warmińskiego. Zwiął. Drabiński wściekły, jak pies.

– Redaktorze, jedź pan ze mną na dworzec w Katowicach. W pociągu dopadnę Warmińsia!

Pojechaliśmy. Trener przeszukał wszystkie wagony i przedziały, podnosił nawet siedzenia, włożył na półki, ale Gienia nie znalazł. Zapadł się, jak kamień w wodę... Roztrzęsiony Drabiński w „Hungarii”

postanowił uspokoić skołatane nerwy. Dotrzymałem mu towarzystwa, a gdy trenerowi już zaczął wracać humor, powiedziałem:

– Panie Edziu, Gienia można pokonać, ale zainkasować wygraną, to już znacznie trudniej. Taki ma charakter...

Dominacja Śląska w krajowym piłkarstwie była wtedy wyraźna. W 1960 roku mistrzem został Ruch, w następnym Górnik, a teraz Polonia. „Śląski trojak” – tak to widziała tamtejsza prasa. Za Brynicą, w klubie i w gabinetach sosnowieckich prominentów, nie było to zbyt mile widziane. Zaczęto więc i tam budować czwartą potęgę piłkarską w regionie. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych Zagłębie rzeczywiście było mocne. Jeszcze dobrze grali rutyniarze: Machnik, Majewski i Uznański, a już pojawiło się nowe, uzdolnione pokolenie: Śpiewak, Gałeczka, Gaik, Myga, Kosider i Piecyk. Wspierali ich bardziej doświadczeni: Szyguła, Bazan, Krawiarz, Fulczyk, Strzałkowski i zupełnie młody Jarosik. Wielu reprezentantów Polski. Bywało, że pojedyncze spotkania wygrywali nawet z Górnikiem Zabrze, jednak w lidze przeskoczyć go nie mogli.

Lepiej wiodło się „chłopcom z Sosnowca” w rozgrywkach o Puchar Polski. W latach 1962 i 1963 dwukrotnie dotarli do finału i oba wygrali – pierwszy właśnie z Górnikiem, a drugi z Ruchem. Mecz odbył się 1 maja, w dniu Święta Pracy. Roman Stachoń, fan Ruchu, zrobił z tego wielką galę robotniczą i... liczył na zwycięstwo chorzowian. Sosnowiczanie na widowni było więcej, oni w ogóle nie dopuszczali myśli o przegranej. Triumfalnie wymachiwali barwnymi chorągiewkami. W klapach mieli biało-czerwone wstążeczki. Wyśpiewali wygraną Zagłębia. Jerzy Zmarzlik wniebowzięty: - Tak się bawi Zagłębie! Wracalem z Jurkiem do Warszawy. Wciąż był w świetnym humorze, zaprosił do wagonu restauracyjnego na małego „Żywca”. Ja postawiłem po „pięćdziesiątce”.

Przekąsiliśmy parówkami i wróciliśmy do przedziału. Zmarzlik nie siada. Otworzył swój podróżny naseserek i mocno się zdziwił. Spojrzał teraz na górną półkę, poprosił pasażerów, by powstali z miejsc i... zaczął podnosić siedzenia.

– Czego pan szuka, kolego? – zapytał jeden z pasażerów.

– Książki... Zacząłem czytać jakiś kryminał i gdzieś go posiałem.

Może spadł na podłogę?

– Proszę zajrzeć do prawej kieszeni... Jak wychodził pan z kolegą, to tam wepchnął tę książeczkę... Jest...?

Wicenaczelnym często bywał roztargniony, zwłaszcza przy grze w karty. Gdy mu nie szło, wprowadzał w redakcji przeróżne zakazy. Jak tylko się uspokoił i zatęsknił za karioką, zrywał kartkę potępiającą hazardzistów, którą sam wywieszał i... znowu zachęcał do gry. Najpierw zmyłkowo w cymbergaja, a zaraz potem w brydża. Od czasu do czasu razem wyjeżdżaliśmy na urlop do Domu Dziennikarza w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Wieczory spędzaliśmy w „piekiełku” w towarzystwie mocno trunkowych lub w świetlicy właśnie na grze w karty. Tu również Zmarzlik rzadko wygrywał. Zdegustowany wymyślił zabawę w „trupki”. Czytał nekrologi z „Życia Warszawy” i kazał zgadywać, ile lat miał zmarły. Tu też nie zawsze był górą. W Kazimierzu był jeszcze najprawdziwszy bilard, taki z sześcioma łuzami i szesnastoma kulami, tradycyjny, petersburski. Można było pograć w „amerykanke” lub w „piramidkę”, bo bile były numerowane. Ale tu królem byłem ja, w „amerykanke” miejscowego „mistrza” ograłem w trzech krótkich partiach: 8:3, 8:2, 8:1. Któregoś popołudnia, zaraz po obiedzie, redaktor zawitał do naszego pokoju. W oczekiwaniu na otwarcie „piekiełka” grałem z żoną w tysiąca.

– Kto wygrywa? – zapytał.

– Ja – pochwaliła się żona.

– Mogę się do was przyłączyć?

– Siadaj na moje miejsce – odpowiedziała Danusia. – Ja poczytam...

Długo nie graliśmy, bo karta się „odwróciła”, znowu ja zacząłem wygrywać. Zmarzlik zerwał się z krzesła, jak oparzony i popędził do barku, by „setką” pejsachówki, najczęściej z zakąską z „płonącego kabanosa”, złagodzić zdenerwowanie i przezwyciężyć – jak mawiał – ów karciany „lusus naturae”, czyli wybryk natury. W kartach wyraźnie mu się nie wiodło.

Dziennikarze, obojętnie jakiej specjalności, stali bywalcy Kazimierza, Broniarek, Dobrowolski, Dutkowski, czy Choynowski, także Korolkiewiczowa i Ryster, to w większości ludzie towarzyscy. W Kazimierzu Dolnym bez większych przeszkód mogli zaspokoić każdą swoją zachciankę. Urlopowe flirty też się zdarzały. W redakcji i podczas wyjazdów służbowych było o to już znacznie trudniej. Jednak nigdy nie brakowało okazji, by pójść na kielicha i pograć w karty. W „Przeglądzie Sportowym”, w „Sporcie” Katowice, w „Wiadomościach Sportowych”... Pili, choć w różnych wymiarach, zazwyczaj wszyscy, natomiast w karty grali niektórzy.

Kierownictwo „PS” promowało brydża, wszak naczelny po dymisji w Polski Związku Kolarskim, prezesował właśnie brydżystom. Redakcyjny plebs najchętniej zabawiał się w kariokę, kierki, makao i od czasu do czasu w pokera, zwłaszcza wtedy, gdy nieosiągalną dla nas „wierszówkę” inkasował karykaturzysta Edward Ałaszewski, a Leszek Cergowski miał już lekko w „czubie”. Lubili poszaleć. Niecierpliwie na ich sygnał niemal zawsze czekali: Głuszek, Karolkiewiczowa, Lechowski, Szymkowski, Sztanderski i...

Zmarzlik. Psioczył na zły los, ale wyzbyć się hazardu nie potrafił. Raz w tygodniu dołączali do ferajny Miruś Skórzewski wówczas z „Expressu Wieczornego”, niegdyś znany pływak Mieczysław „Kot” Kociszewski i oszczepnik Zbigniew „Szaman” Radziwonowicz. Pojawiali się też Witek Różycki z PAP-u i niejaki „szanowny”, kumpel Mietka Szymkowskiego.

Rozdawaliśmy karty na kilku stolikach. Grali wtedy nawet: Aleksandrowicz, Cendrowski, Cunge, Samulski, Świdorski, Weiss i Duński, rodzony brat „złotej Eli” z Melbourne. Praktycznie tylko Magda Jankowska balowała gdzieś poza Warszawą. Licytacje z udziałem „drugiego rzutu” wywoływały często salwy śmiechu lub... zgrzytanie zębów. Starsi koledzy nadal gustowali bowiem w „polskim zapisie”, przeto zwłaszcza w „międzynarodowym” popełniali gafę za gafą. Mocno ich wtedy beszał Zygmunt Głuszek. Raz grał w parze z Witkiem Duńskim. Uwielbiał kontrakty bezatutowe, natomiast Wicio gustował w kolorach. Po jednym z rozdań „Głuch”, zazwyczaj spokojny i zrównoważony, bez fałszu przy tym podśpiewujący melodie z „Przygody na Mariensztacie” lub po mistrzowsku „wygrający palcami na zębach”, wrzasnął nagle aż się szyby zatrzęśły:

– Ty cybernetyku! Z czym ty się pchasz na tak wysoką grę w kolor? Trzy bez atu! Tylko trzy bez atu!...

Takich spięć było więcej. Na grę w brydza, zwykle w piątek po fajrancie, najbardziej napalał się Zyzio Weiss, ochrzczonego przeze mnie „profesorem”. Jako skarbnik Klubu Dziennikarzy Sportowych skrupulatnie i bezbłędnie liczył każdy grosz w kasie, ale przy stole karcianym nie zawsze radził sobie ze ściąganiem atutów. Zagrywa jakąś niby fortę, a tu Cungowa przebija ją trójką pik. „Profesor” w takich sytuacjach był rozbrajający, zawsze sprytnie, z humorem tłumaczył każdy swój błąd lub przekleństwo:

– Boże, Elu! To chyba jakiś cud! Ty, matka dorosłego syna, masz jeszcze taką małą piczkę?

Dowcipami tryskał również pływak Kociszewski. Na pytanie, do której może grać? – bez namysłu odpowiadał:

– Do pierwszego wrzeźnia!...

– Dlaczego tak długo?

– Wakacje... Jestem belfrem. Dopiero we wrzeźniu wracam do szkoły...

„Kot” miał gębę pełną okazjonalnych komentarzy. Komplementował lub ganił partnerów. Podziwiał głównie oryginalne licytacje i nietypowe zrzutki Zmarzlika:

– Naczelniku! Genialnie! Przed panem tylko Kościuszko i Piłsudski mieli takie pomysły. Historia to zapamięta!...

Na grze w karty spędzaliśmy też niejedną noc. Głuszek dzwonił wtedy do „Delikatesów” przy Marszałkowskiej róg Wilczej i składał zamówienie na żarcie i picie:

– I koniecznie ogórki konserwowe! Nad ranem się przydadzą...

Zygmunt po takich „nocnych biesiadach” nigdy nie wracał do domu. Czekał aż nasz znajomy fryzjer „Gienio” z ulicy Mokotowskiej otworzy zakład. Golił się u niego i odświeżał, a potem obok w barze mlecznym prosił o gorące mleko i dwa jajka w szklance. Wracał do redakcji, pisał coś do gazety lub dzwonił do którejś ze swoich panienek i umawiał się, najczęściej z Anakondą na obiad. Do pokera nie siadał:

– Nie lubię gier – powiadał – w których decyduje głównie kasa i blef, a nie umiejętności...

Z redakcji „Przeglądu Sportowego” przy Mokotowskiej 24 do PZPN w Alejach Ujazdowskich 22 było blisko, odległość jak dobry

rzut „Szamana” oszczepem. Służbowo bywał tam „pan Grzegorz”, niekiedy „prezes” Zmarzlik (to też mój pomysł na ksywkę), najczęściej – ja. Po pracy etatowców i zebraniach społecznych działacze tam też grano w karty, a i flaszką nie gardzono. Mistrzem w organizowaniu towarzyskich seansów był najczęściej główny księgowy Wacław Kida. Chętnie mu w tym sekundowali dyrektor biura, Józef Okapiec i szef organizacji zawodów Jerzy Ptaszyński. Obaj mieli mocne głowy. Józio zwykł mawiać: - *Kto nie pije, ten donosi. Kapuś!*... Kida rzadko wracał do domu, w PZPN czuł się najlepiej. Uczestniczył w zebraniach wszystkich wydziałów Związku. Był na bieżąco, dobrze wiedział, co w trawie piszczy. Decydował o finansach...

– Najważniejsze są rozgrywki – twierdzili działacze Wydziału Gier i Dyscypliny.

– Bez sędziów nie ma meczu – chełpili się ludzie Eksztajna.

– Spokojnie panowie, spokojnie... Kim będziecie grać i komu sędziować, jeśli szkolenie, trenerzy nie wychowają zawodników? Nasz wydział jest najważniejszy! – przekonywał Koncewicz.

Trochę z góry, trochę z politowaniem patrzył na to Wacek Kida. Miał w PZPN swój skromny gabinet, a w nim kasę pancerną.

– Znacie panowie ten schowek. Zamknięty. Tam są czek i gotówka. A kto ma klucze do kasy? Pan Kida... Więc kto tu jest najważniejszy?

Księgowy był zapalonym hazardzistą. Lubił wypić, dobrze pojeść, najchętniej golonkę w knajpie „Pod chomontem” i nawet zatańczyć, zwykle „Pod Retmanem” na Mariensztacie. Ale wyścigi na Służewcu i każdą grę w karty stawiał ponad wszystko. W brydżu uznawał tylko stary „polski zapis”. Dobrze czuł się w każdym towarzystwie, ale z sędziami grywał najczęściej. Mówił, że oni mają najwięcej pieniędzy. Dziwił się jednak,

że prawie wszyscy jeżdżą samochodami... Skąd biorą te talony? Zdarzało się, że Kida rozgrywał roberka w parze ze Stasiem Eksztajnem zwolennikiem zapisu międzynarodowego. Wacek oczywiście licytował „po polsku”... Bronił każdej partii jak... niepodległości. Czasami doprowadzał partnera do białej gorączki. Podrywał się wtedy Stasio z krzesła i wrzeszczał:

– Kida! Czyś ty zwariował?! Kiedy się wreszcie nauczysz grać?!

Wacek też unosił tyłek, ale powoli, spokojnie, długo się prostował i majestatycznie cedził słowo po słowie:

– Eksztajn! Czy ja ci kiedyś mówiłem, że umiem grać w brydża? Ja tylko lubię grać w brydża... Rozumiesz! Więc nie podnoś tu głosu...

Kidzie podobała się również karioka. Przyniosłem tę grę do PZPN z „Przeglądu Sportowego”. To trochę brydża, trochę... kierek. Trzeba myśleć i uważać. Gra zespołowa....

– A czy singla też można w to zagrać? – pytał.

– Oczywiście!...

Był ambitny, koniecznie chciał się ze mną zmierzyć i... wygrać. Przyjąłem propozycję.

– Ale gramy tylko do dziesiątej trzydzieści – zastrzegłem. – Przed jedenastą muszę być w domu. W nocy nie chcę budzić żony...

Kilka partii już za nami, jednak wszystkie moje. Kida nie ustępuje.

– Jureczku! Tylko jeszcze raz, teraz już na pewno wygram.

Minęła północ, a Wacek wciąż przegrywa. Do chałupy już nie ma sensu wracać. Za późno. Jak przetrwać tę noc? Trzeba wygrywać do samego rana! Byłem mocno umotywowany i skoncentrowany. Przegrałem decydujące rozdanie dopiero wtedy, kiedy dozorca podstawił pod drzwi butelkę z mlekiem, a sprzątaczką przyszła robić porządki. Świtało, była

szósta rano. Dziś bardzo modne są rzeczowniki: motywacja, mobilizacja, koncentracja, profesjonalizm. Każdy piłkarz ma ich pełno w gębie. W praktyce dość często postępuje inaczej. Niewiele ma w sobie mentalności zwycięzcy. A bez tego trudno o dobry wynik, sukces, wygraną.

Mówię o tym z własnego doświadczenia. Przed laty, kiedy jeszcze byłem studentem, co jakiś czas spotykałem się z kolegami w salach bilardowych. Grą w te kulki dorabiałem do stypendium. W Warszawie „Pod Arkadami” i w „Smoczej jamie”, a w Skierniewicach u Plaskoty, Koterwasa i Iwańczyka. Pewnego razu właściciel jednej z cukierek zaproponował mi partyjkę za... pięćset złotych. Stypendium wynosiło wtedy 210... Skąd ja tyle wezmę? Brakujące pieniądze zebrali jednak koledzy, złożyłem pięć stów do luzu... i poszły konie po betonie. Cukiernik zaczął brawurowo, osiągnął miażdżącą przewagę, którą na finiszu można by wyrazić ósmioma jego szansami, a moją jedną. Każde nieudane uderzenie groziło utratą połowy stypendium pięciu przyjaciół.

Zrezygnowani kumple wyszli z sali, ale ja nie złożyłem broni. Intensywnie myślałem: – Przecież umiejętności wciąż niezłe... Choć z powodu braku systematycznego treningu forma nieco słabsza, to jednak ambicja i motywacja przeogromna. Tego nie wolno przegrać! Koledzy zaufali, nie można ich zawieść. Pot spływał mi z czoła, ale powolutku, zmierzałem do celu. Ubywało bil na stole, pęczniała moja szuflada. Partner zaczął się denerwować, pudłował. Awantaż po mojej stronie. Poczulem się rozluźniony, jakby lżejszy o ileś tam kilogramów i coraz pewniejszy. Partnera zaczął paraliżować mój spokój i – co tu ukrywać – niesamowite powodzenie. Bez pudła wykorzystywałem każdy jego błąd. Wygrałem na tzw. „ostatnią”. Powie ktoś, bilard – to nie piłka nożna. Tam takie cuda się nie zdarzają. Zgoda. Ale pewne stany i reakcje

w każdej dyscyplinie sportu są podobne, często nawet takie same. Trzeba chcieć i umieć wygrywać!

Partner uznał moją wygraną, jako wybryk natury. Fuks na torze! By szybko zatrzeć tę wpadkę, podwoił stawkę. Teraz każda partia ma wartość tysiąca złotych! Startowaliśmy już z innej pozycji, byłem mocniejszy psychicznie. Teraz więc ja walę w cukiernika, jak w kaczy kuper. W kieszeni coraz więcej banknotów: dwa, cztery, osiem patyków. Właściciel prawie za każdym razem łapczywie podwajał stawkę. Po dwóch godzinach z randek wrócili koledzy:

- Co ty jeszcze grasz?
- Jak widzicie...
- Kto cię obstawia?
- Jak to kto? Wy...

Grałem z cukiernikiem już w obecności kumpli niemal do północy. Był nieustępliwy, upadał i podnosił się, pił kawę, sięgał po koniaczek, przemywał twarz i ręce, ale moja wola zwycięstwa była większa, niż jego hazardowe tricki. Zabrałem mu całą gotówkę przeznaczoną na remont lokalu. Było to kilkanaście tysięcy złotych. W latach pięćdziesiątych dla nas studentów suma ogromna. Podzieliliśmy to równo, na pięć części. Balowaliśmy kilka dni. Cukiernik miał kłopoty w domu, długo nie mógł się pozbierać. Moje odczucia? W pełni poznałem wielką siłę motywacji i zbawienną rolę koncentracji. Potrafią czynić cuda... Jednak przede wszystkim samemu trzeba coś umieć i chcieć!...

Przed wojną ponad wszelką wątpliwość najlepszą polską drużyną był Ruch Chorzów. Później dyskusje „kto lepszy” - Wisła Kraków, Legia Warszawa czy może znowu Ruch, trwały do końca lat pięćdziesiątych. Aż pojawił się Górnik. Piłkarze z Zabrzea byli najlepsi już w sezonach

1957, 1959 i 1961, ale dopiero od roku 1963 zaczęło się ich bezapelacyjne panowanie w krajowym futbolu. W ciągu dziesięciu lat wywalczyli pięć tytułów mistrzowskich i tyleż razy zdobyli Puchar Polski. To bardzo szeroko otwierało bramy na europejskie stadiony. Czy Górnik właściwie to wykorzystał? Nie do końca! I to nie tylko z własnej winy.

Praktycznie we wszystkich krajach europejskich tytuł mistrza upoważniał do udziału w rozgrywkach o Klubowy Puchar Europy. U nas, niestety - dość długo obowiązywały inne praktyki, znowu jakies „**ni pies, ni wydra**”. W latach 1957 i 1959 Górnik był najlepszy, ale w KPME raz wyręczyła go Polonia Bytom, a raz Legia Warszawa. Sprawę gmatwał system rozgrywek „wiosna-jesień”, daleki od norm europejskich. Nasz mistrz na „wejście do Europy” musiał czekać cały rok, ale próg ten przekraczał tylko wówczas, gdy na półmetku nowych rozgrywek zajął miejsce nie gorsze, niż trzecie. A to się rzadko zdarzało. Stąd między innymi w roku 1955 w Pucharze Mistrzów Gwardia Warszawa grała za Polonię Bytom, a w 1957 za Legię, w 1958 Polonia Bytom i w 1960 Legia za Górnika, zaś w 1961 Górnik Zabrze za Ruch Chorzów. Istna kołomyjka! Tylko w roku 1956 Legia i w 1959 ŁKS grały w Pucharze Europy wyłącznie na własny rachunek.

System „jesień-wiosna” wprowadzono u nas dopiero w sezonie 1962/1963. W pierwszym półroczu 1962 w skróconych rozgrywkach (w dwóch grupach) wyłoniono mistrza jeszcze według starych zasad, a w sezonie 1962/1963 już zgodnie z normami europejskimi. Od tego momentu naszą ligę w Klubowym Pucharze Europy reprezentował autentyczny mistrz Polski. Polonia Bytom (ostatni mistrz starego systemu), jako pierwsza z polskich drużyn, po dwóch zwycięstwach nad Panathinaikosem Ateny 4:1 i 2:1, awansowała do drugiej rundy. Wreszcie

przerwano jakiś „zaczarowany krąg”. Pozostałe starty polskich drużyn w PKME kończyły się na pierwszej rundzie. Tę niechlubną tradycję zabrzanie przełamali w sezonie 1967/1968. Najpierw wyeliminowali Djurgaarden Sztokholm, a potem Dynamo Kijów. Duża niespodzianka, bo Ukraińcy wcześniej pokonali Celtic Glasgow, obrońcę Pucharu Europy 1967.

Z Warszawy do Kijowa wybrałem się pociągiem w towarzystwie red. Zbigniewa Kosska z Polskiej Agencji Prasowej. Do granicy z ZSRR podróż komfortowa – tylko my dwaj w całym wagonie sypialnym. Sielanka skończyła się w Medyce. Tuż za granicą do naszego slipingu wsiadły jakieś dwie baby. Konduktor nie interweniował, uznał to za zjawisko normalne. Skwitował krótko: - Przecież to też ludzie!... We Lwowie pociąg stał pół godziny, to za mało, żeby zwiedzić miasto. Podziwialiśmy tylko zabytkowy dworzec.

W Kijowie czekało na nas dwóch dziennikarzy, miejscowy Borys Gopnik z pochodzenia Ormianin (ten to mocno trzymał żonę na sznurku) i - sam tak o sobie mówił – graf Arkadyj Galiński, wysoko notowany w moskiewskim „Sowieckim Sporcie”. Arkadyj rzeczywiście miał korzenie arystokratyczne, a maniery iście hrabiowskie. Źle się wyrażał o swoich chlebobawcach, traktował per noga, patrzył na nich z góry. Opieprzał przy każdej okazji. Miałem wątpliwości: prowokator czy taki facet odważny? Wobec nas był urzekająco uprzejmy. Obaj „opiekunowie” umieli pić na stojąco i w dużych ilościach. Na „dzień dobry” zaciągnęli nas dodworcowego baru. Przepiliśmy bruderszaft dużymikuflamigruzińskiego koniaku. Repety na „drugą nóżkę” odmówiliśmy. Zamieszkaliśmy w hotelu „Dnipro”, natomiast zabrzanie w gostinicy „Moskwa”. Wieczorem „dynamowcy” na jakiejś łajbie pływającej po Dnieprze

zorganizowali dla gości z Polski mocno zakrapianą kolację. Pito w świetle księżycy. Za kołnierz nie wylewałem, ale – jak zawsze – starałem się utrzymać fason. Kossek nieco przeholował. Przetykając „rozchodniaczka” wrzasnął aż łajbą zatrzęsło:

– Siewodnia „pircówka”, spasiwa, a zawtra Górnik da wam w żopu...

Śmiechem skwitowano to niezbyt zręczne pożegnanie: - Dlaczego przysyłacie do nas ludzi z taką słabą głową?

Górnik wygrał w Kijowie 2:1. Pomógł Ernest Pohl. Sam już nie grał, nominalnie był teraz kierownikiem drużyny, w rzeczywistości asystentem trenera Gezy Kalocsaia. Podsunął Węgrowi skuteczny wariant gry. Tak to opisałem w „Przeglądzie Sportowym”.

... „Pogromca Celticu pokonany! Poza dużą ambicją i wolą zwycięstwa o wygranej Górnika zdecydowała doskonale opracowana i jeszcze lepiej realizowana taktyka. Zastanawiano się: - Grać w ustawieniu 1+4+3+3 z Lentnerem w ataku czy 1+4+4+2 i wprowadzić do gry czwartego pomocnika, juniora Deję. Za namową Pohla wybrano tę drugą koncepcję. Opanowano w ten sposób środek boiska. Czterej pomocnicy Górnika odebrali dynamowcom zazwyczaj ich największe atuty. Olek wyłączył z gry utalentowanego Sabo, uważanego powszechnie za „mózg” miejscowej drużyny, harowali Wilczek i Deja, a Szoltyśik doskonale współpracował z Lubańskim i strzelił dla Górnika wyrównującą bramkę. Drugą tę zwycięską, po rzucie wolnym egzekwowanym przez Kuchtę, strzałem głową zdobył Lubański”.

To w czasie tego meczu Janek Ciszewski ogłosił całej piłkarskiej Polsce, że „*Olek ma podwójne płuca!*”. Natomiast ja znowu byłem pod wrażeniem zwycięskiej wizji Pohla. Kiedyś Ernest pomógł Steinerowi zdobyć z Legią Puchar Polski, teraz z powodzeniem podsunął

Kalocsaiovi teoretycznie defensywny wariant „brasiliany”. Na równi z niezmordowanym Olkiem, strzelcami bramek Szołtysikiem i Lubańskim oraz Kostką, który obronił rzut karny, właśnie Pohl stał się współtwórcą kijowskiej wiktorii Górnika.

– Mam szczęśliwą rękę – powiedział – gdzie pojedę, tam wygrywam...

– Lubański, europejska klasa... A Olek? To cudotwórca! Zaszachował naszego mistrza Sabo. Do tej pory nie udało się to żadnemu z zagranicznych piłkarzy – nie mógł wyjść z podziwu trener Dynamo, Wiktor Masłow.

CHARLTON I BEST W CIENIU LUBAŃSKIEGO

W rewanżu było 1:1 i zabrzanie poszli dalej. W ćwierćfinale los przydzielił górnikom jedenastkę Manchesteru United. Bobby Charlton, „kamienna twarz” z Old Trafford, Georg Best „cudowne dziecko” brytyjskiego futbolu i ulubieniec płci pięknej, pracowity jak mrówka Stiles i wschodząca gwiazda, niedawny junior Kidd – to prawdziwy dar niebios dla polskich kibiców. Jak przeciwstawić się temu gwiazdozbiorowi? Anglicy okazali się tylko ciut, ciut lepsi. U siebie zwyciężyli 2:0, a w Chorzowie przegrali 0:1. W sumie szlaban dla Górnika. Przewidziałem to przed grą, co na Śląsku przyjęto jak „horoskop ignoranta”.

Mecz na Old Trafford - takie były czasy - opisałem dla „PS” na podstawie... relacji radiowej. Rewelacyjnie bronił Hubert Kostka, dopiero w 89 minucie przepuścił drugą bramkę. Do Chorzowa wybrałem się z informacją o „wydarzeniach marcowych”. Ślązacy zbyli

to machnięciem ręki, ich interesował teraz głównie mecz na Stadionie Śląskim. To było niecodzienne widowisko okraszone wspaniałym występem Włodka Lubańskiego, strzelił zwycięską bramkę. W zaspach śniegu, na oczach 90 tysięcy widzów przyćmił gwiazdy Manchesteru Bobby Charltona i George'a Besta. Słynny Matt Busby, ojciec drużyny obawiał się tego meczu. Nie chciał walki na ośnieżonym boisku. Nic nie wskórał, sędzia Lo Bello kazał grać. Kamień z serca spadł Anglikom dopiero po końcowym gwizdku włoskiego arbitra. Górnik wygrał tylko 1:0. Manchester w półfinale! Na tym mistrz Anglii nie poprzestał. W następnej rundzie pogrążył w smutku piłkarzy wielkiego Realu Madryt, a w finale aż 4:1 pokonał Benficę Lizbona. Nasz Górnik w tym towarzystwie spisał się przyzwoicie. Tylko różnicą jednej bramki ustępował zdobywcy Klubowego Pucharu Europy.

Udane występy Górnika w Kijowie i Chorzowie nieco osłodziły gorzką prawdę o naszym piłkarstwie. Nie było reprezentacji na mistrzostwach świata w Szwecji, w Chile i Anglii, a także w puli finałowej Pucharu Narodów Europy w latach 1960, 1964 i 1968. W rywalizacji Mistrzów Europy niewiele lepiej spisywały się drużyny klubowe. Z martwego punktu ruszyły tu dopiero Legia i Polonia Bytom, natomiast w towarzyskich turniejach organizowanych w latach 1963-1965 w Stanach Zjednoczonych nieźle spisały się Górnik Zabrze, Zagłębie Sosnowiec i właśnie Polonia Bytom. Obrotny zagraniczny menedżer „mister Cox” wymyślił intratne finansowe rozgrywki o tzw. Puchar Interligi Amerykańskiej. Zapraszał na te zawody drużyny z całej Europy: brytyjskie, węgierskie, greckie, jugosłowiańskie, austriackie, niemieckie, portugalskie, czzechosłowackie i... polskie. Od nas na pierwszy ogień poszedł Górnik Zabrze. Spisał się nieźle,

wygrał swoją grupę, ale rewelacją tego turnieju jeszcze nie był. Przetarł jednak drogę Zagłębiu i Polonii.

W roku 1964 „mister Cox” postawił na Zagłębie. Wybór uzasadniony. Sosnowiczanie mieli za sobą dwa zwycięskie finały w Pucharze Polski oraz drugie i trzecie miejsce w rozgrywkach ligowych. Ścisła czołówka krajowa. Z prezesem klubu, późniejszym wiceministrem Górnictwa i Energetyki mgr inż. Franciszkiem Wszółkiem, dyrektorem Janem Rollingiem, przedstawicielem PZPN Fabianem Marmurowiczem i trenerem Teodorem Wieczorkiem do USA udało się 16 zawodników. Z pompą żegnano Zagłębie na Okęciu, skąd odleciało do Amsterdamu. Tam razem z Crveną Zvezdą Belgrad, AEK Ateny, Schwechatem Wiedeń i portugalskim Guimaraes pofrunęło za Ocean. Zaraz po pierwszych wygranych meczach z AEK Ateny (3:0), Schwechatem (3:0) i Guimaraes 1:0, trener Wieczorek napisał list do naszej redakcji. Cieszył się jak małe dziecko, chwalił Machnika, Bazana i Jarosika, przekonywał, że sosnowiczanie robią furorę za Oceanem. Amerykańska Polonia była dumna ze swoich rodaków.

W kraju też duże ożywienie. Nawet z ław rządowych przesyłano zwycięzcom gratulacyjne telegramy i proszono o kolejne zwycięstwa. Uskrzydleni Polacy wygrali wszystkie pozostałe mecze i bezapelacyjnie zajęli pierwsze miejsce w swojej grupie. W drugiej mistrzem został Werder Brema. To solidna firma, zachodnioniemiecka czołówka, ale na Zagłębie „nie ma mocnych”. Krawiarz, Szmidt, Gałeczka i Fulczyk strzelili rywalom cztery bramki. Machnik znowu bronił jak w transie i było 4:0! Na stadionie Randalls w Nowym Jorku z kilkunastu tysięcy gardel popłynęły tony Mazurka Dąbrowskiego: - „JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA...”. Rewanż również dla Zagłębia – 1:0. „PS” informował: - **„Piłkarze Zagłębia w finale Pucharu Ameryki”**.

Red. Jerzy Zmarzlik nie byłby sobą, gdyby po takiej wiktorii ukochanego klubu nie wysłał mnie do Sosnowca:

– Jedź, Juruś! I opisz, co się dzieje nad Brynicą...

Byłem w klubie, w kilku kopalniach i w bloku przy ulicy Cedlera, gdzie mieszkały rodziny zawodników.

– No tak, mój złociutki, z Werderem wygrali. Ale teraz najtrudniejszy orzech do zgryzienia – Dukła Praga! Kouba, Pluskał, Masoupust... Klasowi zawodnicy... Wicemistrzowie świata... – To głosy z kopalni „Czerwone Zagłębie”.

– Wrócą za tydzień... Nareszcie! Wybieramy się na ich powitanie do Warszawy. Czy zdrowi i cali?... To nas w tej chwili najbardziej interesuje – dzieliły się swoimi uczuciami żony Gałeczki, Piecyka i Śpiewaka.

Kopalnia „Czeladź” – to macierzysty zakład pracy Józefa Gałeczki. Dyrektor Feliks Lech mówi podniecony:

– To są rzeczy fantastyczne! Oni, piłkarze są silniejsi i wytrwalsi, niż my górnicy i nasze marzenia...

Zagłębie w USA – to temat numer jeden także w kopalni „Milowice”, gdzie zatrudnieni są: Bazan, Machnik, Piecyk i Strzałkowski. Dyrektor naczelny inż. Janusz Strzemiński z niecierpliwością oczekuje na powrót piłkarzy:

– Górnicy proponują – powiedział – aby środa 12 sierpnia była dniem wolnym od zajęć. Odpracują to w niedzielę... Czy mogłem się nie zgodzić?

Puchar Interligi Amerykańskiej zdobyła jednak Dukła Praga, wygrała z Zagłębiem 3:1 i zremisowała 1:1. Czesi, jako obrońca pucharu, przylecieli do USA tylko na dwa mecze, natomiast Zagłębie rozegrało w tamto upalne lato aż dziesięć. Nierówne szanse. Bilans

występów Polaków jednak dobry: sześć zwycięstw, trzy remisy i tylko jedna przegrana.

– „To była dobra robota! – powiedział trener Wieczorek. – Takiej gry kibice nie widzieli w USA od lat.

Wrócili do kraju 12 sierpnia 1964 tuż przed północą. Witałem ich z rodzinami piłkarzy i rzeszą sympatyków Zagłębia. Na płycie lotniska ktoś mi podarował dwie paczki Cameli. Nie palę, ale nie odmówiłem. To był niezły pomysł ofiarodawcy. Gdy przebił się przez kontrolę celną, poprosił o zwrot „papierosów”. W środku były... dolary. Około 2.00 w nocy ze środy na czwartek dwoma nowoczesnymi autokarami udaliśmy się do Sosnowca. Nikt nie spał. Żony pytały, jak tam było, jak żyją za Oceanem rodacy. Cieszył je sukces drużyny i szczęśliwy powrót mężów do domu. Spisywałem wrażenia. Powstał z tego cykl reportaży – wspomnień pod nośnym nadtytułem „NEW YORK AND CHICAGO STORY”. Były to opisy z tej wyprawy Zagłębia na tyle autentyczne i przekonujące, że nawet Janusz Atlas, lisek–chytrusek w podobnych sytuacjach, do dziś sądzi, że naprawdę byłem wówczas z Zagłębiem w USA. A ja towarzyszyłem piłkarzom tylko na lotnisku, w autokarze i w Sosnowcu.

... „Pierwsze dni pobytu piłkarzy Zagłębia za Oceanem potwierdzają opinie, że Polonia amerykańska dzieli się na „starą” i „nową”. Przedstawicielem tej „starej” jest „chłopiec z Sosnowca”, Jan Kiepura. Polacy w USA nadal za nim szaleją. Kiepura wraz z żoną Martą Eggert i synem byli na meczu Zagłębia z Guimaraes. Kiepura pozdrawia publiczność, widzowie skandują: – Ja-nek! Ja-nek! „Chłopiec z Sosnowca” nie zapomniał o swoich krajanach. W przerwie wpadł podniecony do szatni i wykrzykiwał: – *Rodacy, jesteście wspaniali! Ja podbiłem Amerykę gardłem, a wy zarwojujecie nogami...*”

...„Zagłębie mistrzem grupy. W Waszyngtonie prezes Wszółek był na cmentarzu, na którym pochowany jest prezydent USA, John Kennedy. Na tym samym cmentarzu spoczywa Ignacy Paderewski. Prości ludzie, głównie ci mniej zamożni, jeszcze dziś przychodzą na grób prezydenta, oddają mu należną cześć i składają kwiaty.”

Na spotkaniu w siedzibie stałego przedstawiciela Polski w ONZ przegrani działacze Werderu pytali mister Coxa:

- Właściwie co to, kto to jest to Zagłębie?
- Dobry klub z Polski... Ja go odkryłem – chełpił się Cox.
- Teraz chyba już dobrze nas znają – podchwycił prezes Wszółek.
- O, yes! Very good!

Po każdej wygranej Zagłębia dzwonili do Franciszka Wszółka nasi rodacy z różnych stanów USA, najczęściej pewien restaurator z Brooklynu:

– Panie prezes! Będzie moja wielka miłość, jeśli pan przyjedzie do mnie na obiad...

Piłkarze Zagłębia nie mogli narzekać w USA na brak pokus. Jednak byli niezwykle zdyscyplinowani. Najtrudniej było utrzymać sportowy reżim w domu wypoczynkowym pana Bękarciaka. Wczasujący u niego rodacy byli szczególnie wylewni. Sukces Zagłębia w rankingu UEFA nie miał większego znaczenia, nie zmienił w Europie złej opinii o polskim piłkarstwie. Co się odwlecze, to nie uciecze... Dość szybko po tych towarzyskich przymiarkach za Oceanem przyszły osiągnięcia w rozgrywkach pilotowanych przez Europejską Unię Piłkarską. Najwyżej wywindowała się Legia. W Pucharze Zdobywców Pucharu wyeliminowała kolejno Admirę Wiedeń i Galatasaray Sztambuł i jako pierwsza z polskich klubów awansowała do ćwierćfinału PZP.

Wiosną 1965 roku warszawiacy trafili na TSV 1860 Monachium. Drużyna dobra, w pełni sezonu, z tradycjami, w tamtych czasach dużo lepsza, niż głośny dziś Bayern. Niemcy od początku byli więc faworytami, ale zwycięstwo 4:0 w Warszawie przyszło im stanowczo za łatwo. Legioniści wystąpili w mocno osłabionym składzie, poza tym w iście zimowej scenerii czuli się wyjątkowo podle. Ślizgali się po zlodowaciałej murawie, podczas gdy rywale takich kłopotów nie mieli. Zagrali w butach z odpowiednio dobranymi kołkami. Nie bez grzechu był tu również trener Virgil Popescu. Źle zestawił drużynę. W rewanżu strat nie da się odrobić.

Trener zabrał do Monachium trzech bramkarzy: Stanisława Fołtyna, Ignacego Penconka i Władysława Grotyńskiego. W przeddzień meczu, zaraz po kolacji, pojawił się w moim pokoju i po pierwszym piwku zapytał:

– Kogo postawiłby pan w bramce w jutrzejszym meczu? Fołtyna czy Penconka?

– Gdyby to ode mnie zależało, to...żadnego z nich – odpowiedziałem nieco wymijająco, ale stanowczo.

– Zatem kogo? – zdziwił się Popescu.

– Zabrał pan ze sobą tego niespełna dwudziestolatka, Władka Grotyńskiego... Chłopak jest utalentowany, ambitny... Już dużo umie! Aż pali się do gry... Chyba nie przyjechał tu li tylko na wycieczkę?...

Rozmawialiśmy do późnych godzin nocnych. W pewnym momencie pojawił się kolejny gość trener Ryszard Koncewicz, który akurat wtedy był w Hamburgu na meczu RFN – Włochy. Teraz w Monachium chciał obejrzyć legionistów. „Faja” opowiadał głównie o tym, jak grają makaroniarze, nasz najbliższy przeciwnik w eliminacjach mistrzostw świata. Popescu nadal główkował kogo wstawić do bramki. Rozważył

wszystkie „za” i „przeciw” i... wybrał Grotyńskiego. Władek nie zawiódł. Co tam „nie zawiódł” – grał rewelacyjnie! Nie przepuścił gola, w efekcie Legia uzyskała szokujący Niemców bezbramkowy remis.

Zdziwiony, ale zadowolony był też dziennikarz z rozgłośni radia „Wolna Europa”. Nie proszony czekał na mnie na stadionie tak długo, dopóki nie nadałem sprawozdania do Warszawy. Nikt z naszej ekipy o mnie nie pamiętał, on tak. Bez słów otworzył drzwi samochodu, zawiózł do hotelu i zaprosił na kolację. Dopiero teraz stał się rozmowny. Przy piwie zwierzył się, że pochodzi z Krakowa i uczył się w tym samym gimnazjum, co Józef Cyrankiewicz. Twierdził jednak, że premier PRL przed wojną inaczej się nazywał. W ekipie Legii był oficer z wojskowych służb informacyjnych.

– O czym rozmawialiście? – zapytał.

– O sporcie... Najdłużej o zbliżającym się meczu Polska – Włochy. Obaj byliśmy ciekawi, co też „Faja” wymyśli na Stadionie Dziesięciolecia – odpowiedziałem wymijająco.

Polska grała w grupie eliminacyjnej z Finlandią, Szkocją i Włochami. Pierwszym sprawdzianem naszych szans w tym gronie był właśnie mecz z Włochami. Zgrupowanie kadry odbyło się w AWF na Bielanach. Przez trzy doby, dzień i noc przebywałem z drużyną. Atmosfera doskonała, wieczorami przesiadywaliśmy w restauracji „Zorza”, co zresztą dość barwnie opisywałem na łamach „PS”. Selekcjonera Motoczyńskiego cieszyła dobra forma Pohla, dostrzegł, że z Brychczym Ernest gra na pamięć. Koncewicz trzymał zawodników na dystans, nawet jego pupil Jan Liberda nie miał taryfy ulgowej.

– Panie trenerze – pytał grzecznie - czy Staszek Oślizło i ja możemy wyjść do baru mlecznego na koktajl owocowy? Wrócimy za pół godziny...

Wieczorem cała ekipa wybrała się do teatru „Komedia” na sztukę „Billy kłamca”. Byłem tam razem z nimi. Także w Pałacu Kultury i Nauki na filmie „The Beatles”. Nawet tam Edek Szymkowiak żył niedzielnym meczem z Włochami.

– Makaroniarze nie popuszczą!... Będzie gorąco! – przekonywał Jana Banasia.

– Lubię takie gry! Wpływają na mnie mobilizująco...

Obserwowałem to spotkanie z ławki rezerwowych. Koncewicz mocno skoncentrowany. Cichutko nucił smutną pieśń z lat swego dzieciństwa. *„W dzień deszczowy i ponury z Cytadeli idą w góry. Szeregami lwowskie dzieci... Idą tułać się po świecie”*. W czasie meczu trochę pokrzykiwał, ale jego uwagi były niezwykle celne:

– Grzegorz – to do Ryśka Grzegorzcyka – prowadź jeszcze, nie trać piłki... Nie do najbliższego!

– Roman! – ostrzega Bazana. – Teraz uważaj. Wyjdź do przodu, oddaj piłkę Nierobie i natychmiast wracaj na swoją pozycję...

Znowu coś nucił, ale grę czytał bezbłędnie. Teraz dopingował Liberdę:

– Jasiu! Skacz do górnych piłek. Jesteś wyższy od Burgnicha...

Selekcjoner Motoczyński też skupiony, milczący, ukradkiem zagryzał wargi. Kiedy jednak w 65 minucie błysnął Liberda, nie wytrzymał:

– Ale ich Janek „zakręcił”. Teraz znowu „Kici” i Banaś!... Finisz jest nasz! Włosi chyba trochę „podpuchli”...

Nagle Riverę zaatakowało dwóch Polaków:

– Nie! – krzyczy „Faja”. – Jeden! Tylko jeden!

Giacinto Facchetti podciągnął z piłką aż pod strefę Bazana:

– Banaś, idź za nim! To twój obrońca!

Po meczu młodociany kibic zmartwiony bezbramkowym remisem zapytał:

- Panie Liberda, jakie mamy szanse w Rzymie?
- Takie same, jak w Warszawie...

W meczu z Włochami w Warszawie nie padł ani jeden gol. Żadna z drużyn nie kwapiła się do husarskich ataków. Włochów, od lat mistrzów gry obronnej, te puste bramki w pełni zadowalały, natomiast Polaków nieco rozczarowały. Można było wygrać... Jak będzie na boisku rywala? Najpierw trzeba zdobyć punkty w meczach ze Szkocją i Finlandią. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Kolejny mecz w Polsce z Wyspiarzami znowu zakończył się podziałem punktów. Odbijemy sobie te niepowodzenia w Helsinkach na Finach – pocieszano się w PZPN.

Trener Koncewicz wolał jednak dmuchać na zimne. Obserwował mecz Szwecja – Finlandia (2:2) i nie miał po nim najlepszej miny:

- Bez dobrego przygotowania nie ma po co jechać do Helsinek.

Pierwszy mecz z Finami odbył się we wrześniu. Dla reprezentacji nie najlepszy to termin, w tym czasie Górnik zmagał się bowiem z Austriakami i Czechami w rozgrywkach o Klubowy Puchar Europy. Koncewicz zabrał jednak do Finlandii czterech piłkarzy z Zabrze (Oślizło, Pohl, Szoltyśik, Lentner), wszyscy zagrali słabo. Pozostali nie byli lepsi. Już przed meczem na stadionie olimpijskim w Helsinkach, dostrzegłem, że atmosfera w zespole jest minorowa. Wszyscy jakoś dziwnie posępni, markotni. Wraz z wiceprezesem PZPN Klemensem Nowakiem przechadzałem się po długim korytarzu. Zawodnicy w szatni. W pewnym momencie pojawił się trener Koncewicz. Spojrzał w moim kierunku i zapytał:

– Ciekawi pana, jak dzisiaj zagrają? Mnie też... Są jacyś osowiali, mało co do nich dociera. Dlatego na moment wyszedłem z szatni. Może się uspokoją...

Niestety, Polacy nie byli przygotowani na walkę z atletycznie prezentującym się przeciwnikiem. Gra już się toczyła, ale nasi jakby przechodzili obok niej. O czym myśleli? Finowie rychło ten stan wykorzystali i po kilku minutach prowadzili 2:0. Bałagan w grze, nikt nie potrafił tego uporządkować. Błędy popełniali nawet Szymkowiak i Oślizło, a Ernest Pohl potencjalny lider drużyny chował się za plecy fińskiego obrońcy. Cały zespół grał zupełnie inaczej niż nakazał Koncewicz. Po meczu wszedłem do szatni, a tam grobowa cisza. Nie ma skorych do rozmów. Dopiero po jakimś czasie z żalem w głosie wykrztusił Edward Szymkowiak:

– Nie udało się, zawiedliśmy... Ale za tę przegraną obciążono głównie mnie. To boli... Poza Szoltysikiem i częściowo Gmochem źle grała cała drużyna. Był to chyba mój ostatni występ w reprezentacji. Przykre pożegnanie...

W rewanżowym meczu z Finlandią w Szczecinie w bramce zagrał Marian Szeja z Zagłębia Wałbrzych i – co jest szczególnie godne uwagi – po dość długiej chorobie, niejako po raz drugi, zadebiutował w reprezentacji Włodzimierz Lubański. Prawdziwe wejście smoka! Włodek strzelił Finom cztery bramki! Jeszcze dwie dołożył Jerzy Sadek, jedną Pohl i tak za fatalne 0:2 w Helsinkach narodził się srogi rewanż 7:0. Szczecin – to miasto wyjątkowo szczęśliwe dla Lubańskiego. Tu właśnie, 4 września 1963 roku, jako szesnastolatek zagrał po raz pierwszy w reprezentacji. Zdobył wtedy jedną z dziewięciu bramek. 9:0 – rekord trudny do pobicia!

Słyszałem i przeczytałem mnóstwo opowieści o tym spotkaniu i chłopięcym debiucie Włodka. Wiele tych doniesień nadmiernie ubarwiono, przy tym często mijając się z prawdą. Ja tak to widziałem. W Szczecinie odbywało się zgrupowanie kadry. Selekcjoner Wiesław Motoczyński dodatkowo powołał Lubańskiego. Ale nie jako kandydata do reprezentacji Polski na „dziś” tylko „na jutro”, z myślą o jego przyszłości. Na razie Włodek był przygotowany do udziału w przyszłorocznym turnieju UEFA w Holandii. W towarzystwie Roberta Gadochy, Zygmunta Anczoka, Stefana Klińskiego i kolegów miał tam wywalczyć dla Polski pierwsze miejsce. Los chciał inaczej...

Kończyło się zgrupowanie. Trenerzy Tadeusz Foryś i Wacław Pegza mieli już swoich faworytów, ale ostatnie słowo należało do Motoczyńskiego. Bardzo przypadł im do gustu dobrze ułożony i już nieźle wyszkolony chłopiec z Gliwic, ale wiedzieli, że jego miejsce jest jeszcze w drużynie juniorów. Taka była decyzja prezydium PZPN. Dopiero w Holandii Lubański ma się pokazać Europie. A teraz czeka go podróż na mecz juniorów w Białymstoku. Już pakował torbę ze sprzętem. Na to wszystko przyjechał z Warszawy Motoczyński.

– Witajcie panowie. Co słyhać? Jak z formą? Kto najlepszy? Czy Gałeczka zagra na prawym skrzydle?

– Mamy techniczną drużynę, są: Brychczy, Blaut, Szołtysik – odpowiada Foryś. – Brakuje nam do nich szlagierowego napastnika. Znaleźlibyśmy, ale...

– Nie certuj się – przerywa Pegza – powiedz, że zadziwił nas ten młokos z Górnika Zabrze, Lubański... Chętnie byśmy go wstawili na prawe skrzydło.

– To niech gra! – zdecydował selekcjoner.

– A prezydium PZPN, juniorzy, Białystok?...

– Biorę to na siebie. Tylko go za bardzo nie przemęczajcie, zaraz po przerwie wpuście Gałeczkę.

Pierwszy mecz Włodka, pierwsza bramka w reprezentacji i aplauz widowni. Magister Foryś jak wytrawny scenarzysta w odpowiednim momencie, przywołał juniora do siebie, wyściskał i ucałował. Uszczęśliwiony Włodek z rękami wzniesionymi ku niebu, przy trudnym do opisanego szaleństwie kibiców, burzy oklasków, wzdłuż linii bocznej kierował się ku szatni. Dziewczęta posyłały całusy. Mają nowego idola! Obserwowałem to wszystko z łezką w oku. Dokładnie przed rokiem w Zielonej Górze piętnastoletni Lubański dopiero dał próbkę swego wielkiego talentu, a teraz w Szczecinie był już partnerem asów drużyny narodowej Brychczego, Oślizły, Blauta. Włodka zabrakło w meczach z Włochami, Szkocją i w pierwszym spotkaniu z Finlandią, to i goli było niewiele. Powrócił do drużyny i natychmiast zmienił jej oblicze.

Wygrana 7:0 w Szczecinie i wcześniejsze 2:1 ze Szkocją na Hampden Park jeszcze na moment zrodziło nadzieje na powodzenie w eliminacjach mistrzostw świata. Teraz trzeba tylko wygrać z Włochami w Rzymie. Lubański pomoże? Zdobył jedną bramkę dla Polski, ale gospodarze aż sześć i to oni w roku 1966 pojechali na turniej finałowy do Anglii. O kulisach tego nieszczęsnego 1:6 kilkakrotnie rozmawiałem z trenerem Koncewiczem.

– Raz w życiu – powiedział – właśnie przed meczem z Włochami nie potrafiłem przeciwstawić się prezydium PZPN. Wymogło na mnie irracjonalny plan taktyczny: cały czas trzeba atakować, bo to nasza jedyna szansa! Pod tym kątem zestawiłem drużynę. Było w niej praktycznie sześciu napastników: Liberda, Lubański, Sadek i Lentner w przodzie

i tuż za nimi, niby w linii pomocy – Pohl i Szołtysik. Żaden z nich nie był mocny w destrukcji. A Włosi atakowali z pasją. To musiało się zakończyć katastrofą.

POLONIA BYTOM Z PUCHAREM AMERYKI

Działacze Polonii Bytom już w 1945 roku kontynuowali na Śląsku, gdzie ich pognały „wichry wojny”, tradycje Pogoni Lwów. Dwukrotnie wywalczyli mistrzostwo Polski, jedno właśnie pod wodzą Koncewicza. Jednak sztandarową postacią, tak - jak niegdyś w Pogoni, był w Polonii Michał Matyas. Wyśmienicie grał w obu tych klubach, w Bytomiu był też wysoko cenionym trenerem. Człowiek sukcesu. Rok 1965 był od tym względem dla „Myszki” szczególny. Triumfował z Polonią w rozgrywkach o Puchar Rappana. Wprawdzie był to turniej pomyślany głównie jako przetarcie dla „europejskich średniaków”, to jednak i tu naszym drużynom klubowym nie było łatwo. Dopiero w roku 1965 właśnie Polonia z trenerem Matyasem przełamała wieloletnią niemoc.

Bytomianie przez eliminacje przeszli jak burza. Pierwszy mecz w finale, do którego awansowało również SC Lipsk z NRD, Polonia przegrała aż 0:3. Znowu po herbacie? Minorowy nastrój pogłębił się, gdy Niemcy w Bytomiu strzelili Polakom czwartą bramkę. Czy ktoś o zdrowych zmysłach mógł wtedy przypuszczać, że bytomianie w ciągu pozostałych 27 minut strzelą pięć goli, odrobią straty i sięgną po puchar? Tę część drugiej połowy meczu Polacy zagrali jak natchnieni. Najpierw Jan Banaś wyrównał na 1:1, za chwilę „jedenastkę” za faul na Liberdzie wykorzystał Ryszard Grzegorzczak. Pojawił się cień szansy. Ale do końca

meczu pozostało tylko pięć minut. Kibice nie tracą nadziei, wstają z miejsc, bo nawałnica trwa. A nuż zdarzy się cud... Jerzy Józwiak, po raz drugi Jan Banaś i Norbert Pogrzeba strzelają kolejne bramki! Jest zwycięskie 5:1! Puchar Intertoto dla Polonii Bytom. Wiwat Szymkowiak, Liberda i spółka!

Mister Cox, który w latach 1963 – 1964 postawił na Górnika Zabrze i Zagłębie Sosnowiec, tym razem do USA zaprosił Polonię Bytom. Wybór słuszny, postrzegany jako nagroda za sukces w Pucharze Rappana i dobrą grę w polskiej lidze. Czy teraz uda się zawojować Amerykę? Pierwsze remisowe mecze nic dobrego nie wróżyły. W trzecim znowu remis, tym razem z West Bromwich Albion. Do kolejnych spotkań o ciężarze „być albo nie być” Polonia przygotowywała się w Chicago, u byłego piłkarza Pogoni Lwów Adama Wolanina. Lwowskie nastroje uskrzydliły drużynę. Zaczęła wygrywać: z Ferencvarosem 2:1, rewanż z West Bromwich 6:0 i z Kilmarnockiem 2:0. Jest mistrzostwo grupy! W Nowym Jorku owacjami na stojąco rodacy dziękowali polonistom za efektowne wyjście z grupy. Teraz na drodze polonistów do finału stają New Yorkers, mistrzowie drugiej grupy. Rywal odprawiony 3:0 i 2:1! Siedem i pół tysiąca rodaków znowu śpiewa „Sto lat” i bije brawa.

– Bardzo przydały się w tej wyprawie posiłki z Ruchu Chorzów i GKS Katowice. – opowiadał przez telefon trener Matyas. – Faber, Nieroba i Szmidt są znakomici. „Zyga” nastrzelał tu sporo bramek... Dobrze zastępuje kontuzjowanego Janka Liberdę... W Nowym Jorku są już piłkarze Dukli Praga. Obserwowali nas... Wiedzą, jak gramy. Ale my się ich nie boimy!

Pierwszy mecz z Duklą zaskoczył wszystkich: Coxa, trenera Jaroslava Vejvodę, kibiców i nowojorską prasę. Polonia wygrała 2:0,

a bramki zdobyli Jan Banaś i Antoni Nieroba. Wielu polonusów miało łzy w oczach. Tu, na obczyźnie dzięki piłkarzom mówi się teraz o Polakach dużo i z większą sympatią. Trzeba jeszcze raz dobrze zagrać z Duklą...

– Bramki nie decydują! – oznajmił mr. Cox. – Jeśli rewanż wygra Dukła, będzie dogrywka...

– Dogrywki nie będzie! – zapewniał przez telefon trener Matyas.

Był remis 1:1. Zwycięska Polonia! Dukła na aucie!...W latach 1960 – 1964 podopieczni Vejevody wygrywali każdy finał Pucharu Ameryki. „Dopiero Polacy przerwali monopol Dukli – rozpisywała się nowojorska prasa.

Na pierwsze spotkanie Polonii z Duklą z Chicago do Nowego Jorku przyleciało tysiące polskich kibiców. Wyprawę zorganizował klub polonijny „Białe Orły”. Przyleciał też Adam Wolanin, przyjaciel Matyasa ze Lwowa. Wojna ich rozłączyła. „Myszka” grał w Dynamie Kijów, po wojnie na krótko wrócił do Lwowa, skąd trafił do Bytomia. Mieszkał też w Krakowie, gdzie był trenerem Wisły. Adam Wolanin, piłkarz równie utalentowany, żołnierz, służył w armii Władysława Andersa. Po wojnie osiadł w Chicago i przyjął obywatelstwo amerykańskie. Nadał kopał piłkę. W roku 1950 reprezentował futbol USA na mistrzostwach świata w Brazylii. Jego drużyna pokonała Anglię i właśnie wtedy zapowiedziano pogrzeb futbolu na Wyspach... W Chicago przy burbonie i grze w karty, bo obaj to lubili, z łezką w oku wspominali Lwów i lata swej młodości. Takie były ich „polskie drogi”. Na łamach „Przeglądu Sportowego” utrwaliłem ten sukces bytomian w trzech odsłonach: · **Od Okęcia do Ferencvarosu** · **Sposób na Duklę** · **Słowo „Polak” brzmiało dumnie.**

... Upały niemiłosierne. Piłkarze rzadko wychodzili na zewnątrz, w pokojach ulgę dawała klimatyzacja. Dyżurny robił zakupy,

najczęściej taszczył dla całego zespołu kurczaki, a piekł je Jasio Liberda i przedsiębiorczy Paweł Orzechowski. Ten drugi stale miał pod ręką notes i ołówki. Zabawiał się w reportera. Notował ciekawostki i udzielał informacji „polonusom”: „Co porabiają Szoltyśnik i Lubański z Górnika...”, „Co słyhać u Gałeczki i Majewskiego z Zagłębia?”.

– Jak należy bronić strzały Alberta? – głowił się Szymkowiak.

Przechytrzył Alberta Floriana w sytuacji „sam na sam”, przy stanie 1:0 dla Węgrów. Był to przełomowy moment meczu.

– Czy dr Fenyvesi jest tak samo dobry, jak przed laty? – zastanawiał się trener Matyas.

– Jeśli „Yorkersi” – rozważał Matyas – zdołali pokonać West Ham United i TSV 1860 Monachium, finalistów ostatniego turnieju o Puchar Zdobywców Pucharów, to... umieją grać! „Półbeton” w defensywie doprowadzili do perfekcji... Polonia wygrała oba mecze. Ale jak pokonać Dukłę?

– Naszym atutem jest szybkość. – przekonywał trener. – Dukła jest mocna w taktyce, ale przeciwstawimy jej młodość, walkę, determinację... Krótkie, agresywne krycie, niekiedy wręcz „pressing”. Orzech musi „siaść” na Jelinku, Nieroba na Vacenovskym, Winkler na Kneborcie, a Anczok na Brunovskym. Zadaniem Szmidta jest wyłączenie z gry Masopousta. To połowa sukcesu na zwycięstwo...

– A druga? – pytali zawodnicy.

– Szybki atak!... To rola dla Fabera i Józwiaka...

Telewizja amerykańska transmitowała z „poślizgiem” wszystkie mecze Polonii. Upodobała sobie Zygmunta Szmidta wypożyczonego na ten turniej z GKS Katowice. „Zyga” był bowiem cichym bohaterem zwycięskiego meczu z Dukłą. W poprzednich meczach godnie zastępował

łowcę bramek Jana Liberdeę, ale teraz dla dobra drużyny „zaopiekował” się Masopoustem. Piłkarz numer jeden w Europie w roku 1962 nie pograł sobie przy graczu z Katowic.

W dniach pobytu Polonii Bytom w USA, zwłaszcza po wygranej z Duklą, słowo „Polak” brzmiało wyjątkowo sympatycznie. Zawodnicy odczuwali to na każdym kroku. Przed rokiem z sukcesu Zagłębia Sosnowiec cieszył się Jan Kiepura światowej klasy tenor, w 1965 z postawy Polonii dumna była legendarna lekkoatletka Stanisława Walasiewiczówna. W telegramie gratulacyjnym napisała, między innymi: *„Wielu naszych rodaków żyje w USA w cieniu bogaczy, ale gdy biliście rywali, właśnie o Polakach mówiono wówczas najwięcej. Dziękuję Ci Polonio!”*

Podczas gdy Górnik Zabrze, Zagłębie Sosnowiec i Polonia Bytom rozślawiały nasz futbol w Ameryce Północnej, ich od lat najgroźniejszy rywal Legia Warszawa, nieznacznie wzmocniona kilkoma zawodnikami z innych drużyn w zielonych mundurach, wojażowała po Dalekim Wschodzie. U schyłku 1963 roku w Wietnamie odbywała się piłkarska spartakiada drużyn wojskowych. Sukcesów na miarę klubów śląskich w USA nie zanotowano, ale do wyprawy przygotowywano się równie starannie, jak w 1959, gdy Legia jako pierwsza z polskich drużyn z powodzeniem występowała za Oceanem. I wtedy w Stanach Zjednoczonych i teraz w Wietnamie pierwsze skrzypce grał Lucjan Brychczy.

Podróż do Wietnamu była długa i męcząca. Najpierw przelot z Warszawy do Moskwy i... pierwsza przerwa. Zwiedziliśmy zabytki Kremla. Mróz, jak cholera, a Brychczy, Gmoch, Blaut, Żmijewski, Piechniczek, Apostel i ich koledzy w wojskowych płaszczkach. Iłem-18 lot Moskwa – Pekin. Za nami Ural, pierwsze śródlądowanie

w Świerdłowsku, następne w Omsku, Nowosybirsku i Irkucku. Dają dobrze jeść, na okrągło kawior, sałatka z krabów, pieczony kurczak i coś do popicia. Blaut i Gmoch śpią nawet podczas posiłków, Piechniczek nazywany przez legionistów „I’am sorry” nawet na wysokości 9000 metrów studiuje rozprawy filozoficzno-społeczne Adama Schaffa i Leszka Kołakowskiego. Doktor Jerzy Sulej opisuje uroki podróży, a sędzia piłkarski komandor Tadeusz Osiadacz opowiada, jak to bywa w Murmańsku na półwyspie Kola...

– Tam dopiero jest zima! Aż oczy kołkiem stają...A i podróż morska jest bardziej uciążliwa, niż lotnicza. W samolocie tylko niektórzy, a na pełnym morzu prawie wszyscy chorują – pociesza wrażliwych na wstrząsy.

Przelatujemy nad jeziorem Bajkał. Niecodzienne to przeżycie. Teraz w samolocie każdy jest sobie bliski, przyjacielem, kolegą, znajomym, bratem i prawie każdy śpiewa „Włóczęgę”. Jeden wielki chór w przestworzach! „*Za Bajkałem, gdzie złota szukają wśród gór...*” Strzelają korki z szampana, dużo tego jest, trzeba pić. Tu taka tradycja, ludzie Sybiru częstują... Wódki nie podają, tylko „Igristoje”... Lądujemy w Irkucku. Mróz duży, minus 26 stopni, ale pogoda piękna. Cisza, wiatr nie szaleje, słońce świeci, nie odczuwa się tej groźnej syberyjskiej zimy. Służby sanitarne sprawdzają czy do „żółtych książeczek” mamy wpisane szczepienia na cholere, ospę, dur brzuszny i... lecimy do Pekinu.

Przelatujemy nad Ułan Bator stolicą Mongolii. Po jakimś czasie znowu ożywia się komandor Osiadacz.

– Panowie, żołnierze! Spójrzcie przed siebie... Mur chiński...

Lądujemy w Pekinie, tu przez kilka dni będziemy oczekiwać na połączenie z Hanoi. Paszporty posiadamy wszyscy, ale nie ma w nich chińskich wiz wjazdowych. Za to jest niemała zagwozodka. Uważają tu

nas za przestępców. Prowadzą jak stado baranów, gdzieś na zaplecze lotniska i wsadzają za kratki. Niewielka klatka, typowe miejsce odosobnienia. Za jakie grzechy? W miarę szybko odnalazł nas zastępca attache wojskowego w Pekinie kapitan Józef Berent i uwolnił z kłopotów. Autokarem udaliśmy się do ambasady.

Zamieszkałem w jednym pokoju z obrońcą Legii, Henrykiem Grzybowskiem. Odwiedził nas mój kolega z „dziennikarki”, teraz korespondent „Trybuny Ludu”, red. Daniel Luliński. Był z żoną, również absolwentką naszego wydziału, Barbarą Sobierajską-Lulińską. Długimi godzinami wspominaliśmy dawne dzieje. Pytali, co słyhać w Polsce, ale mnie bardziej interesowało życie w Chinach. Tu, w ambasadzie było w zasadzie wszystko: ciepło, dobre spanie i jedzenie. Najbardziej cieszyły wzrok, ale i wzbudzały zazdrość rzadko u nas widywane owoce południowe: banany, mandarynki, pomarańcze, cytryny. Na zewnątrz jednak szaro, biednie, wszyscy jednakowo ubrani, wyraźnie kontrastuje to nawet z szarawą Polską. Mało samochodów, dużo rowerów, zmęczony Chińczyk odpoczywa w... przysiadzie.

Poznałem kawałek Pekinu. W restauracji zaskoczenie – przydzielone sale dla gości zagranicznych. Getto dla nas czy miejscowych? Smakowałem specjalności chińskiej kuchni. Zamawiał Luliński, a ja jadłem, co podano. Było bogato, aż dwanaście różnych dań, najwięcej owoców morza, wszystko bardzo pikantne. Wódki ani kieliszka, tylko wino i piwo. W ogromnej hali targowej jest wszystko, czego dusza zapragnie. Brak tylko kupujących. Sprzedawcy zachwalają swoje wspaniałości, ale... każą płacić walutą z drugiego obiegu. Nie dla mnie sznur samochodów... Za juany tylko w magazynie dla obcokrajowców można coś kupić. Wybór niewielki, głównie słynne chińskie tkaniny i nietypowe zabawki

dla dzieci. Same pistolety i kolorowe race. Lalek nie widziałem... Kupiłem żonie kupon tafty na sukienkę. Poszła w tym na Bal Mistrzów Sportu.

Być w Pekinie i nie zwiedzić Pałacu Letniego, to tak jak w Rzymie nie wrzucić monety do fontanny Trevi! Pałac usytuowany z dala od centrum miasta poraża przepychem. Kaskady wody, egzotyczna roślinność, moc stylowych zabudowań i prześliczna pagoda rzucają na kolana. Zwiedzaliśmy te cuda przez cztery godziny. A potem powrót do centrum i rzut oka na cesarski Pałac Zimowy, niegdyś „miasto zakazane”. Uderzał monumentalnym stylem hotel „Pekin” i największy na świecie plac defilad Tienanmen. Piłkarze też to wszystko oglądali, bo czasu mieli sporo. Treningów praktycznie nie było, bodaj tylko dwa – trzy razy grano w „dziada” na korcie dla dyplomatów.

Dziś plac Tienanmen w krajach demokratycznych ma fatalną opinię. Nadal zadziwia jego wielkość w metrach kwadratowych, ale przeraża pamięć o zbrodniach jakich między innymi tu właśnie dopuszczali się władcy komunistycznych Chin. Co się od tamtych czasów zmieniło? W centrum Pekinu wciąż rzuca się w oczy portret przewodniczącego Mao, jednak już nie wiszą tam zdjęcia Marksa i Engelsa. Obecni przywódcy tego coraz lepiej rozwijającego się państwa przekonują, że potrafią obiektywnie i odważnie oceniać własną historię. Przyznają, że „rewolucja kulturalna” spowodowała katastrofalne skutki dla kraju (nie tylko tam! – przyp. autora), jednak zasług Mao Tse Tungą w rozwoju chińskiego społeczeństwa nie negują. Więcej, podkreślają jego dużą rolę w dziejach Chin. Ich sprawa...

Przelot z Pekinu do Hanoi był dramatyczny. Przez cały dzień tłukliśmy się maleńkim Iłem – 14. Trzęsło niemiłosiernie. Kilku zawodników chorowało, jak kłody leżeli na pokładzie samolotu.

Mnie to jakoś nie brało. Przeglądałem pisma w różnych językach i materiały propagandowe. To specjalność komunistycznych Chin. Mnóstwo rewelacji! Dowiedziałem się, że jedynym krajem wiernym klasie robotniczej jest Albania. Największym zdrajcą wspólnoty socjalistycznej Jugosławia... Tragiczna śmierć Johna Kennedy'ego – to o jednego ciemieźcę imperialistycznego mniej... Chirurg udanie zoperował rękę rannego robotnika, bo obaj czerpali wiedzę z mądrości zawartych w „żółtych książeczkach” przewodniczącego Mao Tse Tung... I jeszcze wiele podobnych bzdur.

W Hanoi wszystkie ekipy zamieszkały w hotelu „Metropol”. Przeskok klimatyczny ogromny. Kilka dni wcześniej duży mróz dokuczał w Moskwie i Irkucku, w Pekinie temperatura w granicach zera, a tu ciepło, jak u nas w lipcu. Strefa zwrotnikowa. Rozgrzane, wilgotne powietrze chłodzi potężny wiatrak. W nocy moskitiery chronią przed podzwrotnikowymi owadami. Zimowe stroje zostawiamy w hotelowych szafach i na letniaka jedziemy do Hajfongu. Tam któregoś dnia jest tylko 17 stopni powyżej zera. Dla Wietnamczyków to już zima. Dzieci ciepło poubierane, czapki z nausznikami na głowach.

Przed turniejem obejrzelśmy przeładowany wątkami propagandowymi spektakl „Pieśń jedności” (Ket doan). Odwiedzaliśmy wietnamskie szkoły, niektóre ekipy zaprezentowały tam własne programy artystyczne. Obrońca Szafranek z Dukli Praga a capella popisywał się arią z operetki „Rosemarie”. Nasi piłkarze byli w nieco lepszej sytuacji; też śpiewali, ale wraz z moim akompaniamentem na akordeonie. To podniosło emocje. Naszą „Kukułeczkę” i inne piosenki „Mazowsza” nucili również Wietnamczycy i goście z Europy. Następnego dnia o siódmej rano wszystkie ekipy przyjął prezydent DRW Ho Szi Min.

Skromnie ubrany: jednolity, jasny tropik i skórzane sandały. Długa bródka i rzadkie wąsy, takie - jakie znaleźliśmy z fotografii.

– Ale zdjęcia nie oddają w pełni osobowości Ho Szi Mina – filozofował Jacek Gmoch. – To bardzo ujmujący człowiek, bezpośredni... Słyszeliście? Nie lubi, gdy tytułuje się go „prezydentem”... Prosi, by nazywać go „Diadia Ho”...

Byliśmy też w Muzeum Armii (Bao Tang Quan Doi). Na potężnych, żywo oświetlonych planszach zapoznaliśmy się z trzema fazami rewolucji wietnamskiej, zakończonej w roku 1954 głośną bitwą pod Dien Bien Fu. Barwna makieta w skali 1:800 w pełni odtwarza teren i przebieg tej bitwy. Mordercze walki trwały w sumie 55 dni i nocy. Ho Szi Min odznaczył wszystkich uczestników tej batalii. Wkrótce na gruzach Dien Bien Fu powstało Państwowe Gospodarstwo Rolne.

W Hajfongu mieszkaliśmy w Cat Bi Hotel. Położone tuż obok boisko sportowe było do naszej dyspozycji. Miejscowi ćwiczą tu gimnastykę, biegają i kopią piłkę już od piątej rano. Bez Brychczego, Grzybowskiego i Żmijewskiego, a z Apostelem i Blautem tylko przez 45 minut, nasi „żołnierze” zremisowali z reprezentacją Hajfongu. Twarde boisko, Mahselli i Gmoch odparzyli stopy. Tę grę kontrolną obserwowali Polacy z misji handlowej, członkowie „Międzynarodowej Komisji Rozjemczej” i marynarze ze statku „Phenian”. Po grze zorganizowano tam niezłą popijochę. Nieźle „podcięty” Antek Mahselli podszczypywał żonę rumuńskiego generała. Omal nie dostał po pysku. Z Kanadyjczykami z „Komisji...” szybko się zblatowałem. Codziennie, by uchronić nas przed amebą, zapraszali na szklaneczkę whisky. Rewanżowaliśmy się „Wyborową”.

Z Hajfongu udaliśmy się do Hon-Gayu na mecz z Duklą Praga. Pyszna podróż. Najpierw wojskowym samochodem, a potem promem.

Na wodzie dżonki, barki jako stałe miejsce zamieszania, na maleńkich wysepkach restauracje... Wokół skały, na pełnym morzu i na brzegach podzwrotnikowa roślinność. Rybacy łowią wszystko, co żyje w wodzie: ryby, homary, kraby, ośmiornice. W czasie posiłków wielu piłkarzy odrzucało te pyszności, woleli przywiezioną z Polski konserwową szynkę. Ja pożerałem owoce morza...

Trzy przeprawy promem. Wszędzie uroki Dalekiego Wschodu: historyczne malowidła, kobiety z nosidełkami i z dziećmi na plecach, rybacy, żeglarze, żniwiarze, gaje trzciny cukrowej, banany, mandarynki. Niezwykły krajobraz... *„Ryżowe pola w wodzie mokną... Barwoły groblą ciągną wóz...”* – jak w znanej piosence Janusza Gniatkowskiego. Egzotyka na każdym kroku i... cywilizacyjne zacofanie. Na wąskich wiejskich drózkach kobiety rozkładają maty i cepami młócą ryż. Nasz opiekun zdradza tajniki uprawy tego zboża: - **Ryż musi mieć nogi w wodzie, a głowę w słońcu. Wtedy jest najlepszy...**

W Hon-Gayu zamieszkaliśmy w tym samym hotelu- pensjonacie, co piłkarze Dukli Praga, dosłownie kilkadziesiąt metrów od morza. Nam, wtedy mało jeszcze obeznanym z wielkim światem zachodnim, zastępowało to francuską Rivierę. Woda, plaża, palmy, luksusowe tarasy, nowe leżaki. Dziewczyny podają napoje. Na mecz z Duklą znowu przeprawiamy się promem. Boisko prymitywne, ale wokół bieżni komplet widzów. Dopingują naszych: Balan! Balan!, co znaczy Polska! Polska! Mecz kończy się remisem 2:2. Wietnamczycy oczekują na dogrywkę. Regulamin tego nie przewiduje, gospodarze są zawiedzeni. Nasza wojskowa zbieranina uplasowała się w tym turnieju poza strefą medalową. Tylko Brychczy, obok Rumuna Pavloviciego, był tu gwiazdą powszechnie podziwianą. „Kici” nie uznawał taryfy ulgowej. W każdym

meczu dawał z siebie wszystko. Kłaniali mu się w pas Masoupust, Novak i Pluskał. Podziwiał Jaroslav Vejvoda...

Zaprzyjaźniłem się z trenerem Dukli. Wtedy jeszcze żaden z nas nie przypuszczał, że w połowie 1966 roku Czech podejmie pracę w Legii Warszawa. Wietnam pożegnał wojaków skromnym bankietem. Przypadły nam do gustu gorące sajgonki, coś a'la nasze krokiety z mięsem, tylko w nieco innym opakowaniu. Popijano ten rarytas wietnamską „ryżówką” – już nie tak smaczną – w butelkach wielkości naszego małego „Żywca”. Rosły obrońca albański, na oczach graczy z innych drużyn, na „dzień dobry” duszkiem wlał w siebie całą flaszczkę. Spodobało się to jakiemuś pyszałkowatemu Węgrowi i zapragnął przepić z Albańczykiem brudzia. Przełknął najwyżej pół butelki... To uraziło ambicję potomków Skanderbega. Przytrzymali Węgra za ręce i wpompowali mu w gardło resztę zawartości. Madziar padł na ziemię, jak ścięty piorunem.

Głupich nie sieją, sami się rodzą. „Popisy” Albańczyka obserwował też już nieco podchmielony nasz rezerwowy bramkarz Ignacy Penconek. Wystartował z flaszką. Albańczyk nie pękał, wypił już trzecią do dna. „Ignac” też pociągnął „po całości”, nie padł, lekko tylko się zachwiał, koledzy pomogli mu wsiąść do autokaru. Tam Penconek zasnął. Kolejną alkoholową balangę, teraz już tylko w naszym gronie urządził komandor Osiadacz. Pościągał z półek hotelowego baru wszystkie rodzaje wódek i zataszczył je do swojego pokoju. Chętnych na „poprawiny” było sporo. Finał opłakany – nie przywykłych do takich wyskoków długo cucono pod zimnym prysznicem.

Powrót do kraju wypadł tuż przed wigilią Bożego Narodzenia. Znowu na kilka godzin zatrzymaliśmy się w Irkucku. Serce Syberii ma

niewiele połączeń z Moskwą. Zmęczeni, głodni, zmarznięci i pełni obaw, czy przed świętami zdążymy wrócić do kraju, przemęczyliśmy się tam kilkanaście godzin. W Moskwie wylądowaliśmy tuż przed północą.

– To już jest sukces! – cieszyli się piłkarze. – Jesteśmy w Europie, stąd do Polski niedaleko...

To prawda, ale tu o samolot było jeszcze trudniej, niż w Pekinie i Irkucku. Boże Narodzenie w Moskwie? Nikt w kraju nie wiedział, co się z nami dzieje. Znowu w nocy z bagażami na lotnisku? Można umrzeć z nudów. Na szczęście, otwarte było stoisko z alkoholami. Wykupiono chyba cały zapas szampana i tak skracano oczekiwanie na odlot do Warszawy. Z rozpaczy po butelkę sięgnął nawet Benio Blaut, z reguły stroniący od alkoholu.

– W styczniu 1964 roku wracam z Legii do Odry Opole – mówił – jest więc okazja, by pożegnać się z kolegami.

Opowiadano dawne legionowe kawały, przypominano też niedawne mecze z Górnikiem Zabrze. To były te pierwsze, autentyczne klasyki naszej ligi.

– Dwa lata temu w Zabrzu – zawadiacko uśmiechał się Grzybowski – wygrywaliśmy 1:0, potem długo był remis, ale Górnik nadal grał słabo. Wtedy do akcji wkroczył prowokator „Jana”. Chytra bestia! Zaczął złościć, wyzywać, kopać „Marcela”. „Jana” dobrze znał „Marcela”, wiedział, że ten nie da sobą pomiatać. Cel osiągnął. Strzykalski wytrącony z równowagi zamiast pilnować Pohla gonił Jankowskiego po całym boisku. O Erneście zapominał... A Ernest, to jest Ernest!... Strzelił w tym czasie cztery bramki i Górnik wygrał 5:1...

– Mnie „Mari” - podchwycił temat Antek Mahselli – często podпиты budził w nocy i wyzywał od najgorszych, jeśli nie chciałem mu pożyczyć forsy na rachunek w „Melodii”. Bywał tam najczęściej z Jurkiem Słaboszowskim. Żaden z nich wódką nie gardził, ale kasę trzymały żony. Dwa golasy. Dla świętego spokoju, by nie obudzić sąsiadów, sięgałem wtedy po portfel, no i „Marcel” wracał do knajpy. Żegnał mnie czule: – Horst, buźka, już nie idź spać... Ja tu chyba jeszcze wrócę...

– A pamiętacie, jak to po krytycznym artykule redaktora o Górniku Zabrze „Jak to było w RFN?” – młodociani głupcy podśpiewywali „pod żyłtą”: - Powiedz mamó, powiedz ojczu, czy górnicy to folksdojczy?...
Jedna z żon piłkarzy nie kryła oburzenia.

– Co oni wyśpiewują?!... I to o górnikach?! To duma Polski!...
Dzięki nim mamy węgiel...

– Na ch.. nam węgiel! W Warszawie mamy gaz i elektryczność!
– Wulgarnie zareagował Stasio „Kulawka”. Górnik wygrał wtedy na Łazienkowskiej 2:1.

Niezbadane są wyroki niebios. Nad ranem, dzień przed wigilią kosztem innych pasażerów, znalazły się dla nas miejsca w rejsowym samolocie do Warszawy. Jednak gwiazdka w rodzinnym domu! Zmęczenie długą podróżą i wypite szampany dały o sobie znać. Przespałem dzień, noc, odżyłem dopiero przed pojawieniem się pierwszej gwiazdki. Wigilia z rodziną... Blaut dobił do Opola, Piechniczek do Chorzowa, ale Benio rychło wrócił do Warszawy. Grał w Legii jeszcze kilka ładnych lat. Z Łazienkowską nie tak łatwo się rozstać...

Jesień smutek niesie... Taki nastrój panował w PZPN po przegranych eliminacjach o Puchar Świata. Podle czuli się przede wszystkim członkowie „komisji selekcyjnej”. Dwóm z nich Wiesławowi

Motoczyńskiemu i Karolowi Krawczykowi podziękowano praktycznie już po przegranej 1:6 z Włochami, natomiast Ryszard Koncewicz poprowadził reprezentację jeszcze w meczu towarzyskim z Anglią w Liverpoolu. „Faja” zawsze był za jednoosobową odpowiedzialnością w pracy z drużyną narodową. Złośliwcy twierdzili, że miał tu na myśli wyłącznie siebie.

W styczniu 1966 roku właśnie w spotkaniu z Anglią Koncewicz pokazał, co faktycznie potrafi. Tak wyselekcjonował zawodników i tak ich w Bułgarii przygotował, że w środku zimy uzyskali w Liverpoolu wynik o jakim dziś można by tylko pomarzyć. Remis 1:1 był dla zasłużonego trenera godnym pożegnaniem z reprezentacją, potwierdził też wiele jego wcześniejszych przemyśleń. Jeden selekcjoner-trener i solidna praca na zgrupowaniach centralnych – to „conditio sine qua non” w pracy z drużyną narodową. Sugestie na owe czasy słuszne, dłuższe obozy kadry były niezbędne, bo w klubach pracowano nie na miarę potrzeb reprezentacji. Nadal jednak miałem wątpliwości, czy każdy polski trener dorósł do samodzielnego prowadzenia drużyny narodowej.

W lutym 1966 roku odklepano kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawcze PZPN. Walki wyborczej nie było, przeto nieco więcej czasu niż zazwyczaj, poświęcono właśnie szkoleniu w klubach i sprawom reprezentacji. Zlikwidowano komisję selekcyjną i ku dużemu zaskoczeniu pieczę nad reprezentacją powierzono Antoniemu Brzeżańczykowi. To były piłkarz Lecha Poznań i trener Stali Mielec, do niedawna też reprezentacji Polski juniorów. W krajowym piłkarstwie dotychczas nic wielkiego nie osiągnął, ale... na bezrybiu i rak ryba. Ten wymuszony awans przerósł możliwości Brzeżańczyka. Samodzielnie prowadził reprezentację w sześciu meczach i żadnego z nich nie wygrał.

Zbliżały się kolejne eliminacje mistrzostw Europy. W grupie z Belgią, Francją i Luksemburgiem nie byliśmy faworytem, ale też nie kopciuszkim. Można powalczyć, jak równy z równym! Ale czy nadal z jednym Brzezańczykiem? Odgrzebano formułę trzyosobowej komisji selekcyjnej. Był w niej Kazimierz Górski już wtedy fachowiec pełną gębą, ale miał status drugiego trenera. Najważniejszy w tym tercecie był jednak Klemens Nowak, co znaczna część środowiska uznała za wyraźny ukłon pod adresem Gwardii Warszawa. Zaczęli nieźle, od zwycięstwa w Szczecinie nad Luksemburgiem 4:0. Następny mecz z Francją w Paryżu był jednak nieudany, na Parc des Princes przegraliśmy 1:2. Obserwował tam naszą drużynę „niedawny jej opiekun”, Francuz Jean Prouff.

– Widać poprawę w wyszkoleniu technicznym – powiedział – ale to wciąż za mało. Gracie nierówno... Brak stabilizacji i dyscypliny taktycznej. Nie umiecie wykorzystać doskonałych warunków fizycznych.

Biednemu wiatr w oczy wieje... Na Parc des Princes przez większą część meczu graliśmy w „dziesiątkę” bez kontuzjowanego Jacka Gmocha. Francuzi narzucili nam swój kombinacyjny sposób gry, byli wyraźnie lepsi w ataku pozycyjnym i po 25 minutach ze strzału Di Nallo zasłużenie prowadzili 1:0. Kwadrans po przerwie Ryszard Grzegorzczak zdobył jednak wyrównującą bramkę. Do 84 minuty utrzymywał się wynik remisowy. Wtedy jednak „pękła” zdekompletowana obrona i nasz rodak z Francji George Lech zapewnił Francuzom zwycięstwo. Nie musieliśmy tego przegrać!

Z wysokości trybuny odniosłem wrażenie, że nie wszyscy zawodnicy grali na pełnych obrotach. Obronę osłabioną brakiem Gmocha dobrze wspierał tylko Piotrek Suski, chwilami ambitnie walczył Roman Strzałkowski, ale w napadzie widoczny był tylko Andrzej Jarosik.

W dzienniku „L'Equipe” nazwano go „połykaczem przestrzeni”. Inne pisma były bardziej krytyczne. „Paris Jour” końcowy wynik uznał za „szczęśliwy dla Polaków”, a „Le Figaro” po prostu nas ośmieszyło: - „Technika Polaków przypominała broń z innej epoki”. Ze zrozumieniem odniosło się do naszej gry tylko „Humanite”, sugerując, że w meczu rewanżowym w Warszawie Francuzi mogą mieć kłopoty. Moim zdaniem najbliższe prawdy były dzienniki „Le Parisien” i „L'Aurore”: ... „Polacy nie potrafili wykorzystać swojej szansy, bo to nie był najlepszy dzień trójkolorowych”. Co na to nasz trener Antoni Brzeżańczyk?

– Odniosłem wrażenie – powiedział zdegustowany – że Ośliżło i Lubański, którzy już w poniedziałek odlatują do Budapesztu na trzeci mecz Górnika z Vorwaertsem Berlin o Klubowy Puchar Europy, nie dali w tym spotkaniu z siebie wszystkiego...

Mój komentarz w „Przeglądzie Sportowym” **„Cud zdarza się raz...”** był znacznie ostrzejszy: - „Polacy grali w Paryżu słabiutko, zwłaszcza w pierwszej części meczu... Bez koncepcji i stylu... Z czwórki napastników: Sadek, Lubański, Liberda , Jarosik tylko sosnowiczanie grał na miarę swoich możliwości. Pomoc nie była osią drużyny”.

Znacznie lepiej spisali się nasi reprezentanci na występie w Folies Bergeres. Dzień po meczu w Paryżu padał deszcz. Wycieczkowicze ze Sports – Touristu i wszyscy nasi piłkarze wybrali się do kabaretu. I tu miłe zaskoczenie, znaczna część programu była poświęcona Polakom. Niektóre numery zapowiadano po polsku, akordeonistka uraczyła nasze uszy polonezem A-dur Chopina i kujawiakiem „Kaczki za wodą...”. Był to dopiero początek atrakcji. Prowadząca program zapowiedziała konkurs tańca.

OŚLIZŁO I JAROSIK TAŃCZĄ KANKANA

My, Polacy zawsze jesteśmy skorzy „do tańca i rózańca”, więc i na deskach Follies Bergers pokazaliśmy, co potrafimy. Na scenę, wytypowani przez kolegów, zgrabnie wskoczyli Stanisław Oślizło i Andrzej Jarosik. Elegancko ukłonili się widowni, ucałowali dłonie konferansjerki, wybrali mocno wymalowane dziewczyny i dawaj w płąsy. Okazali się tu autentycznymi mistrzami. Daleko za nimi uplasowali się jakiś przystojny Austriak i wysoki Amerykanin. Szarmanckich Polaków zaproszono więc do wspólnego kankana. To już wyższa szkoła jazdy, ale Staszek i Andrzej wyrzucali nogi w górę, niemal z taką samą gracją, jak dziewczęta z rewii. Finalny rozkrok też udany. Podziwiali i klaskali wszyscy, cała sala była z nami...

Oślizło wygrał jeszcze jeden konkurs. Mistrzyni ceremonii nie wychodziła z podziwu:

– O la la la!... Ten Polak całuje jeszcze lepiej, niż nasz Alain Delon!...

Czy równie wspaniale umie grać w piłkę?

– Tak! – chórem odpowiedzieli wszyscy Polacy.

– Więc dlaczego jego drużyna przegrała wczoraj z Francją na Parc des Princes?...

W kraju występami swoich mężów w Follies Bergeres zainteresowały się żony. Do redakcji zadzwoniła Barbara Jarosikowa:

– Niech pan powie coś więcej o tych tańcach i konkursach w Paryżu...

Czy mój Andrzej też całował Francuzki?...

Po przegranej z Francją odżyła dyskusja wokół selekcji. Goniono w piętke, zmieniano poglądy częściej, niż rękawiczki. Znowu kluczowo

między „komisją selekcyjną”, a „samodzielnym selekcjonerem” i tak w kółko Macieju, bez wyobraźni i jednoznacznego stanowiska. Na Parc des Princes znowu nie wypalił pomysł z trójosobowym kapitanatem. Nie czekano więc do zakończenia eliminacji i już po pierwszej wpadce podziękowano Nowakowi, Brzeżańczykowi i Górskiemu. Jednoosobowo zastąpił ich Michał Matyas. Tu i ówdzie przebąkiwano, że stało się to dzięki błogosławieństwu Ryszarda Koncewicza. Twierdzono, że „Faja” teraz z tylnego siedzenia kierował reprezentacją. Polska specjalność? W kołach rządowych w różnych okresach historycznych też o tym mówiono.

W Ploeshti oglądałem selekcyjny debiut Matyasa. Nasza reprezentacja, będąca wtedy w cieniu drużyn klubowych, przegrała tam z Rumunią 3:4. Czołowi ligowcy, zwłaszcza Górnik Zabrze, uważany w wielu środowiskach za „drużynę rządową”, dyktowali swoje racje PZPN-owi. Z Rumunami nie wystąpił ani jeden piłkarz z Zabrza, bo... tydzień później w Pucharze Mistrzów oczekiwał Górnika mecz z CSKA Sofia. Priorytet klubu, reprezentacja na marginesie. Zaraz po meczu z Rumunią, poleciałem z Bukaresztu do Sofii. Znowu poczułem się niesmacznie – nasz mistrz głupio przegrał 0:4. Trenerowi Kalocsaiovi wygarnąłem niedojrzałość taktyczną, kunktatorstwo, w ogóle złe przygotowanie drużyny do meczu. Prezesowi klubu, Erykowi Wyrze wytknąłem zaś bezwiedne odruchy charakterystyczne dla psa ogrodnika. Sam się nie pożywił i innemu też nie dał...

Michał Matyas w rozgrywkach o mistrzostwo Europy podzielił wcześniejszy los trenerów Tadeusza Forsysia i Ryszarda Koncewicza. „Myszka” już na dzień dobry posiał jeden punkt w bezbramkowym meczu z Luksemburgiem i dwa z Francją w Warszawie. Nie lubię takich

określeń w sporcie, ale był to blamaż totalny. Reprezentacja wygrała jednak oba trudne spotkania z Belgią, w Chorzowie 3:1 i w Brukseli 4:2. Szczególnie utkwіło mi w pamięci to drugie spotkanie. Realnych szans na awans już nie było, ale ewentualnym zwycięstwem na Heysel możnaby nieco odbudować mocno nadszarpniętą reputację. Przed odlotem na ten mecz napisałem w „Przeglądzie Sportowym”:

... W Brukseli wystąpi nieco silniejsza i lepiej przygotowana polska drużyna. Kto dobrze tam zagra, nadal mieć będzie otwartą drogę do reprezentacji, kto nie – będzie się musiał z nią pożegnać...

Postawiłem na prawoskrzydłowego Legii Warszawa, Janusza Żmijewskiego:

...Znam dobrze walory tego wyjątkowo nieobliczalnego napastnika. To typowy nastrojowiec. Jeśli w niedzielę nie w stanie z łóżka lewą nogą, może nawet zdobyć bramkę w Brukseli.

W dniu meczu, konkretnie 8 października 1967 roku, wraz z zastępcą sekretarza generalnego PZPN Fabianem Marmurowiczem byłem gościem na śniadaniu w prywatnej rezydencji prezesa Belgijskiego Związku Piłki Nożnej, pana Louisa Woutersa. Było miło, wróciliśmy do hotelu w dobrych humorach. Trafiliśmy akurat na kończące się spotkanie trenera Matyasa z dziennikarzami. Ogłosił już skład, nikt nie miał uwag. „Myszka” jednak dla przyzwoitości zapytał jeszcze mnie:

- A co o tym sądzi pan Jerzy?
- Znowu w najlepszym wypadku będzie tu remis – spokojnie odpowiedziałem. – Stawia pan trenerze na duet Lubański – Szoltyśik... Świetny, ale w Europie już dobrze znany. Belgowie też wszystko o nich wiedzą... Potrafią „odciąć” Włodka od podań „Małego”... Niczym ich nie zaskoczymy... A trzeba! Ja bym zaryzykował wariant ze Żmijewskim

na prawym skrzydle. W parze z Brychczym jest w stanie rozmontować belgijską obronę...

Michał Matyas nie był w rozmowach potulny, zazwyczaj nerwowo reagował, gdy ktoś podważał jego koncepcję. Przed rokiem w Rumunii mocno zbeształ redaktora Kosska, który wytknął mu uległość wobec Górnika Zabrze. Jednak tym razem żadnego wybuchu nie było:

– Tak pan sądzi?... Porozmawiam o tym z radą drużyny...

Kostka, Oślizło, Gmoch, Brychczy, Piechniczek i Lubański wypowiedzieli się jednoznacznie:

– Żmijewski na prawym?... To dobry pomysł...

Piłkarze, podobnie jak ja, dobrze wiedzieli, że w niektórych meczach „Jojo”, czyli Żmija, błyszczy jak gwiazda, ale gdy jest w złym nastroju, tylko spaceruje po boisku. W Brukseli dobrze wyspany odpowiednią nogą wstał z łóżka. Czy na Heysel zdoła udowodnić, że opinie o jego chimerach są niesłuszne i niesprawiedliwe? Polska pokonała Belgię 4:2. Trzy bramki zdobył właśnie Janusz Żmijewski, czwartą Lucjan Brychczy. Co na to Szoltyś i Lubański:

„Mały”: ... Dostównie dwie godziny przed meczem dowiedziałem się, że nie wybiegnę na Heysel. Wcale tego nie żałuję... Koledzy grali wspaniale! Na najwyższe noty zasłużyli obaj pomocnicy Szmidt i Brychczy oraz Lubański i Żmijewski w napadzie..”

Włodek: ... Szkoda, że tak rzadko grywam z Januszem. Doskonale się rozumiemy.

Do mało oczekiwanego zwycięstwa nad Belgią przyczynili się nie tylko Brychczy, Lubański, Szmidt i Żmijewski. Był to fantastyczny mecz całej drużyny, a wybór taktyki dokonany przez trenera Matyasa, akurat w tym meczu i przeciw tak groźnemu przeciwnikowi – doskonały.

Niby nastawiliśmy się na grę wzmocnioną obroną, bo aż pięciu zawodników tworzyło tę formację, ale wynik 4:2 wyraźnie dowiódł, że nie był to styl defensywny. „Myszka” dokładnie rozpisał zadania dla poszczególnych zawodników. Stanisław Oślizło był klasycznym „libero”, takim jak Armando Picchi w Interze Mediolan, Jacek Gmoch indywidualnie zaopiekował się Van Himstem i staczał z nim heroiczne boje, Brychczy i Szmidt wykonali tytaniczną pracę w strefie środkowej, a Lubański i Żmijewski przez 90 minut błyszczeli w ataku. Brukselska prasa była zaskoczona:

– Jak oni mogli przegrać w Warszawie z Francją?...

Van Himst, najlepszy piłkarz pokonanych, też nie krył zdziwienia i uznania:

...Największą bronią polskiej maszyny piłkarskiej były zwody napastników. Oni stale powodowali zawrót głowy u naszych obrońców. Natomiast Polacy łatwo stopowali nasze ataki, dyktowali tempo i rytm tego meczu...

Obserwujący to spotkanie czarnoskórzy dziennikarze z Konga, niegdyś kolonii belgijskiej, łapali się za głowy:

– Nie Pele!... Nie Eusebio... Ten Polak z numerem siedem, strzelec trzech bramek jest najlepszym piłkarzem świata! Opiszemy to w naszej prasie...

Sam bohater zachował więcej umiaru i obiektywizmu:

– Sądzę, że ten mecz na dłużej utorował mi drogę do reprezentacji. Chcę być i czuję się potrzebny...

Drugą, największą indywidualnością na Heysel był Lucjan Brychczy. Minęło właśnie trzynaście lat od debiutu „Kiciego” w reprezentacji. W klubie świętował jeszcze większe wydarzenie – jubileusz rozegrania pięćsetnego meczu w barwach Legii.

– Przypomnij – proszę – jakie były początki...

– CWKS, bo tak wtedy nazywała się Legia, był zagrożony spadkiem z pierwszej ligi. Mieszkałem wtedy na Śląsku, miałem zamiar grać w Ruchu. Tam mnie jednak nie chcieli. Do gry w Warszawie namówili mnie Ernest Pohl i „Epi” Kowal. Razem ze mną przyszedł wówczas do CWKS „Marcel” Strzykalski. I zaczęły się sukcesy... Dwa dublety w latach 1955 i 1956. To była drużyna!

– Jedenastu reprezentantów Polski...

– Ano tak... Tylko, że w roku 1957 zaczęły się gorsze czasy Legii. Na Śląsk najpierw powrócili Szymkowiak, Pohl i Kowal, a potem Kempny. Rozpadł się zespół, który miał „papiery” na podbicie Europy. Krajowi rywale mieli teraz ułatwione zadanie, tylko ja nadal poważnie im zagrażałem. Miałem więc w każdym meczu specjalnego „anioła stróża”. Niektórzy obrońcy świadomie mnie faulowali. Mimo to strzelałem bramki, byłem nawet królem strzelców. Tylko Wojtek Łazarek nigdy nie zrobił mi krzywdy. Kiedy na jednym ze spotkań Legia – ŁKS w Warszawie, trener Król zganił go, że niezbyt „dokładnie” się mną opiekuje, odpowiedział z rozbrajającą szczęściarą:

– Ależ panie trenerze!... On tak pięknie grał, czarował widownię, zbierał oklaski... Sumienie nie pozwalało, by mu w tym przeszkadzać... Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Proszę to zrozumieć i... wybaczyć...

Michał Matyas, po wygranym meczu z Belgią w Brukseli, mógłby chodzić dumny, jak paw, gdyby niespełna miesiąc wcześniej nie doznał upokorzenia w meczu z Francją w Warszawie. Na zgrupowaniu kadry w ośrodku olimpijskim na Bielanych jeszcze tryskał humorem, strzelał na bramkę w ściśle określone miejsce lepiej od reprezentacyjnych napastników, ale kilka dni później chodził, jak struty. Aż 1:4

z „trójkolorowymi” załamało zresztą nie tylko „Myszkę”. Nieco odżył po sukcesie na Heysel, jednak nie na tyle, by mieć nadzieję na utrzymanie funkcji selekcjonera. Ostatecznie pogrzebał swoje szanse po bezbramkowym meczu z Rumunią w Krakowie.

Filozofowie twierdzą, że dwa razy nie należy wchodzić do tej samej rzeki. *Panta rei* – „wszystko płynie” – powtarzają za Heraklitem z Efezu. Ryszard Koncewicz był widać innego zdania, bo z reprezentacją nie potrafił się rozstać. Samodzielnie prowadził drużynę narodową już w latach pięćdziesiątych, aż do fatalnie przegranego meczu z NRD na otwarcie Stadionu Śląskiego. Dziesięć lat później po raz drugi żegnał reprezentację po remisie z Anglią w Liverpoolu. Nie na długo usunął się w cień, bo już na początku marca 1968 roku znowu powierzono mu opiekę nad reprezentacją. Wreszcie jest selekcjonerem – trenerem! Spełnione marzenie...

„Faja” był fachowcem wybitnym, jednak zapewne nie urodził się w czepku, trudno byłoby go nazwać „szczęściarzem Antonim”. Kolejną kadencję w roli selekcjonera rozpoczął jednak wręcz koncertowo, od wygranej w Chorzowie z Turcją aż 8:0. Super debiuty zaliczyli Kazimierz Deyna i Zygmunt Maszczyk. Następne mecze towarzyskie z Holandią, Norwegią, Irlandią i NRD również napawały optymizmem. Przed mistrzostwami świata w Meksyku Polska znalazła się w grupie eliminacyjnej z Holandią, Bułgarią i Luksemburgiem. Faworytem byli tu „pomarańczowi” z Van Beverenem, Van Hanegenem i Cruyffem, jednak dość powszechnie sądzono, że również naszą reprezentację stać na stoczenie z nimi równorzędnej walki. Dopiero za duetem Polska – Holandia stawiano Bułgarię.

Śledziłem te eliminacje ze szczególną uwagą, wtedy już z pozycji kierownika działu piłkarskiego w „Przeglądzie Sportowym”. Z Krakowa,

gdzie na dobry początek „biało-czerwoni” pokonali Luksemburg 8:1, wróciłem w dobrym humorze. Koncewicz, wbrew obiegowym opiniom (z gruntu fałszywym), sugerującym jego skłonności do defensywnego stylu gry, po raz wtóry dowiódł, że wybrał zgoła inny kierunek – ofensywny. Zresztą, na łamach miesięcznika PZPN „Piłka Nożna” dość często i jednoznacznie powtarzał, że „*murowaniem własnej bramki nie osiągniemy sukcesów*”. Ale „Faja” nie był też entuzjastą „radosnego futbolu”.

Uważał, że taka beztroska piłka nożna nie ma najmniejszego sensu. Jest to gra zespołowa do dwóch bramek i jako taka musi uwzględniać rozwój wydarzeń na obu polach karnych; na jednym różne formy ataku, na drugim zorganizowaną obronę. Z reguły cel rywalizujących drużyn w sferze taktyki jest taki sam – dążenie do zachowania równowagi między akcjami ofensywnymi i obronnymi. O tę równowagę od dziesiątków lat zabiegają najznakomitsi teoretycy i praktycy futbolu. W Polsce również systematycznie zmierzano w tym kierunku.

Koncewicz wzorując się na nowościach z mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku, jednoznacznie propagował „grę wszystkimi siłami”. Wizja optymistyczna, usiłująca równoważyć podstawowe funkcje każdego zespołu piłkarskiego: destrukcję, konstrukcję i egzekucję. Szczególnie duże zadania stawiał jednak przed drugą linią. Gra w tej formacji w stopniu największym wymaga od zawodników wszechstronnego wyszkolenia – muszą być dobrzy w ataku i obronie. Anglicy narzucali taki właśnie kierunek rozwoju futbolu, a trener Koncewicz wytrwale zabiegał o przeniesienie tych wartości na nasze boiska ligowe.

Podobnie pracował z reprezentacją. Tworzył ją z zawodników uniwersalnych, w naszych warunkach dość wszechstronnie wyszkolonych, najbliższych formule gry zespołowej. Z takimi łatwiej realizować

taktyczne nowinki. Potwierdził to wyrównany mecz z Holandią w Rotterdamie z cyklu eliminacji mistrzostw świata i towarzyski z Brazylią w Warszawie. Wprawdzie oba przegrane, co w świetle koncepcji Koncewicza, można postrzegać w kategoriach paradoksu, ale to nie była teoria fałszu i sprzeczności. Obaj rywale – to światowa czołówka i przegrana z takimi wstydu nie przynosi. Droga wytyczona przez Koncewicza nie była więc błędzeniem po omacku.

Poza meczem Holandia – Polska oglądałem wszystkie pozostałe o punkty mistrzostw świata. W większości z nich nasi reprezentacni imponowali dobrym przygotowaniem kondycyjnym i taktycznym. Niewypałem okazało się tylko spotkanie z Bułgarią w Sofii. Tam „Faja” wyraźnie sprzeniewierzył się prawdzie, że „piłka nożna jest grą do dwóch bramek”. Zbłądził taktycznie czy nie miał rozeznania? Przecenił rywala i... najadł się strachu. Położył nadmierny nacisk na obronę naszej bramki. Chciał stąd wywieźć bezbramkowy remis. Nie widział w tej strategii miejsca dla Kazimierza Deyny. To mi się nie podobało. „Faja” ustąpił, a Deyna strzelił nawet bramkę. Był to jednak wyjątkowo nieudany występ naszej reprezentacji. Skrępowana defensywnym gorsetem przegrała w Sofii aż 1:4. W pozostałych meczach trener i piłkarze już nie popełnili tego błędu i kolejno pokonali: Holandię 2:1, Luksemburg 5:1 i Bułgarię 3:0.

ZŁOTE GODY PZPN

Każda z tych potyczek dostarczyła teoretykom sporo wiedzy na temat „gry wszystkimi siłami”. Szczególnie zwycięstwo nad Bułgarią 3:0 zasługuje, by pod każdym względem: nowoczesnej myśli taktycznej,

widowiskowości, zaangażowania i skuteczności uznać je za jedno z najefektowniejszych w całej historii naszej reprezentacji. Piękny i jakże dramatyczny był także mecz z Holandią w Chorzowie. Przed grą rozmawiałem z ówczesnym trenerem Holandii, Georgiem Kesslerem. Fotoreporter Mieczysław Świdorski uwiecznił to na zdjęciu, a „PS” oczywiście je opublikował.

– Uważa pan, że Bułgaria po zwycięstwach nad Holandią i Polską jest faworytem w naszej grupie?

– Tego nie powiedziałem. Zawsze uważałem i nadal uważam, że na wyjazd do Meksyku ma szansę każda z trzech drużyn – Bułgaria, Holandia, Polska. Kluczowe znaczenie ma mecz Polska – Holandia w Chorzowie... Niech pan spojrzy na moją głowę. Dużo na niej siwych włosów. Po meczu z Polską będzie już chyba biała, jak gołąbek...

– Obawia się pan naszej drużyny?

– Oczywiście! Obawiam się także śląskiej publiczności.

Georg Kessler miał rację. Nasza drużyna niesiona entuzjazmem widowni pokonała Holandię z jej wszystkimi tuzami 2:1. Bramki zdobyli Jarosik i Lubański. Co dalej? Teraz trzeba wygrać rewanże z Luksemburgiem i Bułgarią oraz liczyć na zwycięstwo „Oranje” nad Bułgarią.

– Po wygranej z Holandią w Chorzowie – powiedział Koncewicz – odzyskaliśmy wiarę w siebie i... nadzieję na wygranie eliminacji. Szansa po temu jest ogromna. Kessler obiecał pomóc: - Pokonamy u siebie Bułgarów – zapewniał – i do Meksyku pojedzie Polska. Chyba, że... z Luksemburgiem lub Bułgarią sami pogubicie punkty.

Do Luksemburga, gdzie przed dwoma laty reprezentacja pod wodzą Michała Matyasa tylko zremisowała w eliminacjach mistrzostw

Europy, jechaliśmy nie bez obaw o końcowy wynik. Taki szmat drogi podróżowaliśmy pociągiem. Innej możliwości nie było. Odbywające się wtedy manewry NATO stały się dla państw Układu Warszawskiego pretekstem do zawieszenia rejsów samolotowych. Zaraz za Berlinem Wschodnim szczególną czujność wykazały służby graniczne NRD. Kłuto bagnetami siedzenia i oparcia w przedziale, a nas potraktowano jak przestępców. Nieco wystraszeni i zmęczeni dotarliśmy jednak do Kolonii, a stamtąd do Trewiru. Zbyszek Kossek, Mietek Szymkowiak i ja kierujemy się do hotelu. Trzeba wreszcie nieco odpocząć i pospać. Połączenie do Luksemburga mamy dopiero nad ranem. Krążymy po mieście, rozglądamy się za hotelami, szukamy noclegu, ale wszędzie brak miejsc. Co się dzieje? Wszędzie dużo policji. Czy to też z powodu manewrów NATO?

Trafiliśmy właśnie na zjazd wyborczy SPD. W Trewirze, tam jak wiadomo, urodził się Karol Marks, po raz kolejny ster niemieckiej socjaldemokracji objął Willy Brandt, od 1969 roku także kanclerz RFN. A my w ciemnościach błąkamy się po bruku. Zwróciliśmy się do policji z pytaniem „co robić”? Grzecznie odprowadzono nas na dworzec kolejowy i tam kazano czekać na połączenie z Luksemburgiem. O godzinie 23.00 wszystkich nie-podróżujących wyproszono z poczekalni, a nas zamknięto na klucz. Także dworcowe ubikacje! Ulga przyszła dopiero o piątej nad ranem, odjechaliśmy do Luksemburga. Na granicy nikt nie pytał o paszporty i wizy. Inna Europa. Pociąg tylko lekko zwolnił bieg, a strażnik graniczny dziarsko zasalutował. Dziwny jest ten świat... Dobę wcześniej w NRD omal nie pokłuto nas bagnetami.

W Luksemburgu byliśmy wcześniej niż reprezentacja, która też miała podróż z przygodami. Zjawiała się tam dopiero w sobotę

po północy, a przecież w niedzielne popołudnie czeka ją mecz. Zmęczenie, brak ruchu i snu, ociężałość – to wszystko sprawiło, że przed przerwą, na Stade Municipal zanosilo się na sensację. Przegrywaliśmy 0:1! Na drugą połowę meczu wyszła jednak zupełnie inna nasza drużyna: ruchliwa, ambitna, z ogromną wolą walki, skuteczna. W ciągu 18 minut pięć bramek zdobyli: dwie najlepszy na boisku Deyna, a po jednej Bula, Jarosik i Lubański. Zwiadowca z Bułgarii Lubomir Angełow wyraźnie zmarkotniał. Jak właściwie gra Polska?

Nasza reprezentacja nie rodzi się na poduszkach z płatków róż... Wciąż na jej drodze do Meksyku pojawiają się przeróżne przeszkody. Dziś też tak było, dużo zła przed przerwą, potem tylko oklaski. Ale to, co dobre i dało wygraną z Luksemburgiem, może okazać się złudne, za słabe na Bułgarię... – napisałem w „PS”.

Natomiast żadnych wątpliwości nie miał Ryszard Koncewicz:

– Z Bułgarią wygramy! Obserwowałem tę drużynę pięć razy i wiem o niej wszystko... Niczym nas nie zaskoczy! Natomiast my mocno pokrzyżujemy Bułgarom szyki. Napad zagra w innym zestawieniu, niż oni sądzą, a bramki też będzie strzelał ktoś inny...

Był to popisowy mecz naszej reprezentacji, bezwzględnie jeden z najlepszych w pięćdziesięcioletniej historii PZPN. Godnie ukoronował Złote Gody Związku, na które akurat wtedy zjechali do Warszawy goście niemal z całej Europy. Raz po raz, gdy przy piłce byli: Bula, największy aktor tego widowiska, Deyna, Lubański lub Jarosik ogarniało ich zdumienie:

– Formidable!... Super football!...

Stanley Rous (prezydent FIFA): ... Podobała mi się ta drużyna o wielkim duchu sportowym i dużych umiejętnościach...

Hans Bangerter (sekretarz generalny UEFA): ... Byłoby wielką szkodą dla futbolu, gdyby takiej drużyny jak Polska zabrakło w Meksyku...

Do Meksyku pojechali jednak Bułgarzy, a o ich szczęściu zdecydował remis 1:1 w wyjazdowym meczu z Holandią. Wszyscy ludzie futbolu w Polsce poczuli się zawiedzeni, a trener Koncewicz wręcz oszukany. Georg Kessler zapewniał „Faję”, że u siebie odprawi Bułgarię z kwitkiem, tymczasem nie dotrzymał słowa. Tuż przed meczem poniosła go ambicja i zgubiła zbyt duża pewność siebie. Drobne nieporozumienia w drużynie zwałił wyłącznie na zawodników. Ukarzał ich i... nas!. W tak ważnym meczu zrezygnował z usług doskonałego bramkarza Van Beverena, nietuzinkowego pomocnika Van Hanegema i już wtedy najwybitniejszego napastnika Europy, Johana Cruyffa. Puszył się, sądził naiwnie, że i bez nich da sobie radę. Koniec bajki. Nikt nie chciał za nas wyciągać kasztanów z ognia!... Żał mi było Koncewicza. Oddał piłkarstwu gorące serce i trzeźwy umysł, ale znaczącego sukcesu z reprezentacją nie odniósł.

Lata sześćdziesiąte żegnaliśmy z mieszanymi uczuciami. Spektakularnych sukcesów jeszcze nie było, ale przejawy postępu już się zarysowały. Lepiej zaczęły pracować kluby. Ruch i Legia przerwały monopol Górnika Zabrze w krajowych rozgrywkach. Wojskowi już w połowie lat sześćdziesiątych dwukrotnie wywalczyli Puchar Polski, w lidze również stoczyli kilka porywających spotkań, ale tych najważniejszych jeszcze nie potrafili wygrywać. Brakowało im konsekwencji i koncentracji. Na przykład wiosną 1965 roku po pięknej grze do 85 minuty prowadzili z Szombierkami w Bytomiu 4:2, mimo to przegrali ten mecz 4:5. Fakt, gospodarzom nieco pomógł sędzia, Marian Środecki z Wrocławia, który dał się nabierać na sprytne

symulacje Jerzego Wilima w polu karnym, ale dojrzały zespół nie może sobie pozwolić na takie trwonienie wysiłku.

Kadrowo Górnik Zabrze wciąż był najlepszy. Jednak już znacznie gorzej prezentował się od strony szkoleniowej. W latach 1961 – 1967 stanowczo za często zmieniano tam trenerów. Wszelkie granice przyzwoitości przekroczone w 1964 roku. Jeden sezon – czterech trenerów, swoista sztafeta absurdu. Na pierwszej zmianie pobięł Ewald Cebula, od niego pałeczkę przejął Feliks Karolek, po nim Hubert Skolik, wreszcie do mety dość szczęśliwie dobiegł Węgier Ferenc Farsang. Najmniej znany i szanowany w środowisku był Karolek, stał się rychło marionetką w rękach zawodników. Pił razem z nimi. Na treningach znowu pojawiła się *„kwaretka, jako symbol zbratania i jedności”*.

– Karolek, wyście som ale fajny chop... Póđźcie no, sam ino!...
Ta, chlapniem kwaretka...

Łykanie kalorii w płynie modne było również w innych klubach. Krajowi trenerzy nie byli w stanie sobie z tym poradzić. Piłkarze publicznie wygłaszali opinie bagatelizujące ich rolę w szkoleniu. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych przez jakiś czas bramki zabrzan bronił Joachim Szoltysek. Wygrywali. Przechwalał się więc przy każdej okazji:

– Taką drużynę i takich piłkarzy jak Górnik, mogłaby trenować nawet moja teściowa i... też było by mistrzostwo...

Szef wyszkolenia PZPN, Ryszard Koncewicz ubolewał nad ptasimi mózdzkami niektórych piłkarzy. Przekonywał nie ich samych, bo w większości wypadków było by to bezsensowne „walenie głową w mur”, ale trenerów i prezesów klubów. Uważał, że niesportowy tryb

życia wielu czołowych piłkarzy, jest jedną z przyczyn ich permanentnych wahań formy i braku postępów. Dla pijaczków każde miejsce i czas na opróżnienie flaszki były dobre. Magister Tadeusz Foryś po jednym ze spotkań reprezentacji odkrył rzecz niezwykłą:

– Szli pod prysznic trzeźwi, wracali pijani... Głowiłem się, jak tam przemycali alkohol... W następnym spotkaniu pilnie śledziłem każdy ruch tych najbardziej trunkowych. Wchodzili pod kran tak, jak ich Pan Bóg stworzył... Nawet ręczników nie mieli... Odkryłem! Handtuchy przynosiły im żony... Owijały nimi butelki i... dyskretnie chłopom podawały...

Trener, który usiłował zaprowadzić w klubie dyscyplinę i przestrzegać choćby podstawowych norm szkoleniowych, nie był lubiany. W którymś z numerów „PS” wyraziłem to w felietoniku: „**Ależ to prawda!**”.

– Mietek – mówi trener – jutro trening, jak zwykle o jedenastej. Przyjdź punktualnie!...

– Tak rano? Czy nie za dużo tych treningów?... Codziennie...

Mietek spóźnił się, ale na trening przyszedł, Trener zganił go przy całej drużynie.

– Pieronie! - replikował skarcony zawodnik. - Jeszcze ale takiego trenera – biurokraty nie widział...

Piłkarz był już starszy wiekiem i stażem w drużynie, jednym z tych, którzy pamiętali czasy pewnego trenera z zagranicy. Zajęcia prowadził w garniturze, z krawatem na szyi i z wygodnego fotela rzucał luźne uwagi.

– To był ale fajny chop! Po zajęciach zawsze zadowolony i pysznie komentował nasz wysiłek. Manszaft jest dobra!... Pilkasz muss trinken... A dziś? Czego ten „Fajka” w tym PZPN nie wymyśli!... Plany przygotowań do sezonu i konspekty na każde zajęcia... To jest dopiero

biurokracja. Mało tego... wprowadzają sporty uzupełniające. Chcą, byśmy dźwigali ciężary, jakieś sztangi, pływali, skakali, grali w koszykówkę... Milczą, gdy te pismaki z Warszawy nas krytykują. Ej, kiedyś to były czasy!!!

W tym ostatnim zdaniu starałem się nawiązać do przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pito i objano się na treningach zawsze, ale właśnie wtedy zaczęło się w naszej lidze, jeśli nie jawne kupczenie meczami, to nadmiernie przyjazne traktowanie niektórych drużyn. W głośnym w końcu 1959 roku meczu Legia – Pogoń nikt nikogo nie złapał za rękę, nawet nie posądził o matactwo, ale już dwa lata później w Łodzi w spotkaniu ŁKS – Legia podejrzeń było sporo. O tym, że wygrają łodzianie, w Warszawie nawet wróble ćwierkały na dachu. Najgłośniej rozprawiał na ten temat „Kulawka”, Stanisław Grobelny w owych czasach kibic Legii numer jeden. Znał klub jeszcze z czasów przedwojennych. Wiedział o piłkarzach wszystko: gdzie pili, balowali z panienkami, z kim i gdzie handlowali. Skłonnych do szkodliwych uciech cielesnych przestrzegał: - Jebał Niemiec, jebał Rusin! Jeszcze ciebie diabeł skusił?...

Przed meczem ŁKS – Legia obnosił się ze swoją wyprawą do Łodzi po całym Powiślu:

– Jadę dzień przed meczem i przypilnuję, żeby Heniowi Szymborskiemu nie stała się krzywda. Nasze chłopaki zamieszkają w Savoyu... Odpowiednio ich tam ustawię... Będą przygotowani na łódzkie propozycje. A potem mocno przysmarujemy...

Byłem na tym meczu. Całe popołudnie w Łodzi padał deszcz. Mglisto, dżdżysto, chłodnawo... Nic to – kibiców 30 tysięcy! Przez całą pierwszą połowę jednak cicho, cichutko, jak by makiem zasiał. Legia gra ładnie dla oka, zdecydowanie przeważa, ale bramek nie strzela. Kibice nie dopingują. Boją się zapeszyć czy nie chcą pobudzić Legii? Piłkarze ŁKS też jacyś bierni, zrezygnowani. Tylko przyglądali się jak gra Legia, a ona nic więcej poza „sztuką dla sztuki” nie prezentuje. Gra „sobie a muzom”, bez żadnej szkody dla rywali. „Kulawka” triumfuje:

– Scenariusz, jak należy... Legia ich postraszyła, a teraz zażąda większej kasy!...

W czasie przerwy nikt jednak z forszą do legionistów nie podchodził. Mimo to obraz gry uległ radykalnej zmianie – już w 46 minucie ŁKS prowadził 1:0. Junior Charbicki, jakby przeczuwając, że Jacek Gmoch zachowa się nieporadnie, był gdzie trzeba i strzelił pierwszą bramkę. Dopiero teraz, jak wybuch wulkanu, rozległ się nad stadionem potężny okrzyk: - ŁKS! ŁKS!... Ale za moment znów było cicho. Brychczy jak kosą ścięty, padł na polu karnym łodzian. Ewidentna „jedenastka”. Sędzia Buczek za Starachowic jednak każe grać dalej. „Kici” tylko złośliwie machnął ręką i krzyknął: - *Co tu jest grane!?*

Za moment wiedział to już cały stadion. Po kolejnym strzale Charbickiego odbita piłka trafiła pod nogi Woźniaka. Legionista wyraźnie pomylił bramki. Z ogromną siłą, nie do obrony kropnął obok bezradnego Fołtyna. Niecodzienny samobój! Widownia po raz drugi oszalała. Jest już 2:0! Na tym nie koniec. Za chwilę na środku boiska piłkę przejął Wieteska i przez nikogo nie atakowany zaskoczył Fołtyna po raz trzeci. „Kici” starał się ratować twarz „śląskich legionistów”. Znowu wdarł się na pole karne ŁKS i znowu ścięty padł na murawę. Teraz sędzia

już bez żadnych skrupułów podyktował karnego. Ostatecznie ŁKS wygrał 3:1 i wyraźnie oddalił od siebie groźbę spadku z I ligi.

Po tym meczu podejrzeń o szwindel było mnóstwo. Tylko, że nikt nie widział pieniędzy. Najbardziej zdegustowany był Stasio „Kulawka”.

– Co ten „Siwy” i „Szczęka” wyprawiali?!... Chyba sami zgarnęli całą pulę. Czeka ich niezły wycisk...

ŁKS jeszcze na sto procent nie był pewny utrzymania się w I lidze. Głośno rozprawiali na ten temat łódzcy kibice:

– Najważniejsza będzie ostatnia kolejka. Polonia Bydgoszcz gra u siebie z Legią, a ŁKS z Górnikiem Zabrze. Jeszcze mogą być kłopoty...

– Coś pan oszalał?!... Legia wygra na pewno! – wrzasnął ktoś w tłumie... Przecież jest faworytem...

– No i co z tego? A czy w meczu z ŁKS nie była faworytem? Była. I przegrała...

– Panie! Czyś pan kiep?!... To zupełnie inna para kaloszy!.. Legia i ŁKS są przecież w dobrej komitywie. Naszej wygranej wymagały interesy warszawsko-łódzkiego piłkarstwa. Legii przecież zawsze lepiej, taniej i łatwiej jest jechać na mecz do pobliskiej Łodzi, niż gdzieś tam hen w Polskę. Ja to panu mówię! Ja się na tym znam!...

Kibic miał rację, Legia wygrała w Bydgoszczy 4:2, ale nie tylko dlatego, że sympatyzuje z ŁKS. Zdopingował ją do tego generał Zygmunt Huszcza, ówczesny dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego i prezes Zawiszy Bydgoszcz. Mówił przed meczem do trenera Górskiego:

– Panie Kazimierzu, mój Zawisza już wcześniej spadł z ligi... Było by mi nieco różniej, gdyby dla towarzystwa dziś ten sam los spotkał Polonię. Przecież w Bydgoszczy milicja nie może być lepsza od wojska...

Jeśli Legia wygra, publicznie spalę swój kapelusz! Potem zjemy razem obiadek, wypijemy po koniaczku i zagramy w brydża...

Wszystko odbyło się po myśli generała, ale Górski mocno współczuł trenerowi Polonii, Mieczysławowi Jezierskiemu.

– Miecio, nie gniewaj się, że to właśnie moja drużyna zdegradowała Polonię...

– Ależ Kaziu! To jest sport! Na tym polega jego urok... Osobiste sympatie nie odgrywają tu żadnej roli...

Spalono po meczu dwa kapelusze, generała Huszczy z Zawiszy i pułkownika Stanisława Szulczyńskiego z Legii.

– Kto jeszcze chętny! Może kierownik! – zwrócił się kapitan Legii, Edmund Zientara do Jana Boczeja.

Kierownik nie chciał wracać do Warszawy z gołą głową. Obawiał się przeziębienia. Ofiarował jednak na płonący stos swój jedwabny krawat. Też ładnie się palił. Brydż był nietypowy. Generał grał w parze z Górskim, a ja z Bernardem Blautem. Górowaliśmy dość wyraźnie, po jednym z rozdań Benio zalicytował szlemika karo. Pas, pas...

– Pan wistuje, generale...

– Chwileczkę, jeszcze nie koniec licytacji... Dwa trefle, proszę...

– Ależ panie generale...

– Żadne „ależ”! Gramy dwa trefle. Przecież to jest brydż generalski!...

Naszą ligę znowu zaczęto traktować jako twór cherlawy i rachityczny. Piłkarze odrabiali pańszczyznę. Nawet Górnika Zabrze męczyła ligowa młócka. Poważniej traktował tylko rozgrywki o Puchar Polski. Szkolenie kulało. Dojrzała sytuacja, by w roku 1965 zorganizować kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Kierownik wyszkolenia PZPN Ryszard Koncewicz, w tej roli dużo lepszy i wyżej ceniony,

niż w pracy z reprezentacją, mocno uderzył pięścią w stół. Kategorie domagał się poprawy jakości i unowocześnienia szkolenia w klubach. Ożył duch pozytywizmu. Apelowano o przemyślaną i systematyczną pracę z młodzieżą od podstaw. Oczekiwano pracy w lidze na potrzeby drużyny narodowej. **JAKIE KLUBY, TAKA REPREZENTACJA!**

Racjonalne szkolenie młodzieży było u nas priorytetem tylko na papierze. Naogół sądzono, że wystarczy do odpowiedniej formy doprowadzić starszych wiekiem i stażem zawodników, rutyniarzy, zazwyczaj już wyeksploatowanych, a dobre wyniki przyjdą same. Bałamutne dywagacje. Tu potrzebny jest napływ „świeżej krwi”. Tymczasem w połowie lat sześćdziesiątych stan, nawet tej starej kadry ligowej nie był budujący. Wyjątek stanowili środkowi obrońcy. Obok Stanisława Ośliży i Jacka Gmocha najczęściej razem występujących w reprezentacji, w lidze zupełnie dobrze radzili sobie: Henryk Brejza (Odra Opole), Roman Bazan (Zagłębie Sosnowiec), Władysław Kawula (Wisła) oraz Paweł Orzechowski i Walter Winkler (Polonia Bytom).

Natomiast brak było klasowych bocznych obrońców, takich – jak do niedawna Jerzy Woźniak i Stefan Floreński. Dlatego dość często „na bokach” z konieczności występowali stoperzy: Bazan, Winkler, obiecujący Bolesław Szadkowski z ŁKS-u, a nawet Jacek Gmoch z Legii i Roman Strzałkowski z Zagłębia Sosnowiec. Wśród pomocników do reprezentacyjnej klasy poprzedników (Zientara, Gawlik, Strzykalski) zbliżali się tylko Ryszard Grzegorzczak, Piotr Suski i Zygmunt Szmidt. Na szczęście, w tej formacji występowali teraz „wcześniej urodzeni” napastnicy Ernest Pohl i Lucjan Brychczy. Z młodych „łowców bramek” tylko Włodzimierz Lubański, a z rutyniarzy Jan Liberda grali na miarę potrzeb reprezentacji.

Janusz Żmijewski, Jerzy Musiałek, Joachim Marx, Eugeniusz Faber, Roman Lentner i Henryk Apostel przeżywali niepokojące wahania formy.

POZYTYWISTA Z „CZUCIEM I WIARĄ”

W tym świetle, w oparciu o europejskie wzory, nieodzowna stała się bardziej przemyślana selekcja utalentowanej młodzieży, a potem rozumne jej szkolenie na potrzeby ligi i reprezentacji. Wielkim sojusznikiem Koncewicza w takim widzeniu przyszłości naszego futbolu był Wiesław Motoczyński, urodzony piłkarski działacz młodzieżowy. Zналиśmy się z Wiesiem, „profesorem” w wyławianiu piłkarskich talentów, jak łyse konie: z boisk piłkarskich, ze stołów bilardowych i... biesiadnych. Choć był znanym fizykiem i matematykiem, romantyczne „czucie i wiara” zazwyczaj mocniej przemawiało do niego, niż „mędrca szkiełko i oko”. Zadziwiał bujną wyobraźnią i logicznym myśleniem. Umiejętnie łączył romantyczne marzenia z pozytywistyczną pracą u podstaw.

Motoczyński był jednym z tych, którzy wypromowali: Zygmunta Anczoka, Jerzego Gorgonia, Jana Banasia, Janusza Kowalika, Janusza Żmijewskiego, Zygryda Szołtysika, Jerzego Kraskę, Roberta Gadochę, Jana Domarskiego, Lesława Ćmikiewicza, Ryszarda Szymczaka, Kazimierza Kmiecika, Adama Musiała, Antoniego Szymanowskiego, Zygmunta Maszczyka, Joachima Marxa, Włodzimierza Lubańskiego, Kazimierza Deynę... To jakiś fenomen! Niemal wszyscy mają w swoim dorobku tytuły mistrzów Polski, medale olimpijskie i mistrzostw świata. Na szczyty sławy wyniósł ich Górski, ale na podwórkach, łąkach

i boiskach szkolnych wyszperał Motoczyński i jego współpracownicy. Po unifikacji szkolenia w 1965 roku w Zakopanem stał się praojcem późniejszych sukcesów klubów i drużyny narodowej.

Na mistrzostwach świata w Anglii nie było naszej reprezentacji, ale z Londynu przeniesiono do Warszawy zręby nowoczesności – intensyfikację i wszechstronność w szkoleniu. Pojawiło się też pojęcie „uniwersalizmu ograniczonego” czyli piłkarskiej maestrii na ściśle określonej pozycji. Definitywnie pożegnano „brasilianę” w jej klasycznej wersji (1+4+2+4). Zaczęto forsować „grę wszystkimi siłami” najczęściej w ustawieniu 1+4+3+3. To właśnie wymagało wszechstronnych umiejętności zawodników. Na takim fundamencie z większym powodzeniem mogły funkcjonować określone systemy, style i taktyka gry. Są to bowiem wartości, które wydają dobre owoce tylko wtedy, kiedy kadra drużyny jest dobrze wyszkolona i zdolna do realizacji stawianych zadań.

Apel o systematyczną pracę z młodzieżą i zaproponowane w Zakopanem nowocześniejsze metody szkolenia, aczkolwiek bez entuzjazmu, przyjęto w klubach ligowych ze zrozumieniem. Obiecano zadbać o własny narybek. W pierwszych latach po wojnie dobrą pracą z młodzieżą wyróżniały się głównie kluby krakowskie, śląskie i łódzkie. Po unifikacji w Zakopanem szkoleniem młodzieży nieco żywiej zainteresowano się nawet w Zabrzu i Warszawie. W 1967 roku Górnik, a w 1969 Legia wywalczyły mistrzostwo Polski juniorów. Starano się szkolić młodzież w oparciu o wzory i potrzeby drużyn ligowych. Lepiej realizował to Górnik.

Trenerzy zawsze byli (i nadal są) rozliczani za konkretnie osiągnięty wynik sportowy. W pracy z seniorami jest to zrozumiałe, choć często

też budzi wątpliwości. W nadmiernym pośpiechu chce się osiągnąć znaczący sukces. Przeskakuje się szczeble edukacji. W szkoleniu młodzieży jest to szkodliwe, tu potrzebna jest systematyczna, przemyślana praca. Wielkim klubom brak jednak cierpliwości, już wtedy zamiast szkolić własny narybek wolały kupować. Taką drogą „na skróty” tworzone nawet mistrzów Polski juniorów. PZPN niepokoiły takie tytuły „na pokaz”, był za dwiema formułami szkolenia w klubach: wychowywaniem własnej młodzieży i pozyskiwaniem utalentowanych jednostek z klas niższych.

Wizytówką Górnika i Legii w kraju i na arenie międzynarodowej zawsze były drużyny seniorów. Długo grały ze zmiennym szczęściem, tak na dobre, dopiero w sezonie 1969/1970 stały się „eksportowe”. Zaczęło owocować nowoczesne spojrzenie na współczesny futbol. Sporą cegiełkę dorzucili tu trenerzy zagraniczni: w Górniku Geza Kalocsai, a w Legii Jaroslav Vejvoda. Ich następcy Michał Matyas i Edmund Zientara też wyszli z odpowiedniej szkoły. Pierwszy z dobrej strony dał się już poznać w Wiśle Kraków i Polonii Bytom, natomiast Zientara potwierdzić swoją fachowość w pracy w Legii.

To warszawiak z krwi i kości, przed laty wybitny piłkarz nie tylko Legii, także Polonii i Gwardii kapitan reprezentacji, przejął od Vejvody zespół praktycznie bez zmian kadrowych. Po rezygnacji kontuzjowanego Jacka Gmocha bezskutecznie zabiegał o wzmocnienie środka obrony. Mimo to w 1970 roku wywalczył z Legią tytuł mistrza Polski i zadziwił jej widowiskową grą znaczną część Europy. Górnik nadal skupiał główną uwagę na rozgrywkach o Puchar Polski. Stąd droga do międzynarodowych sukcesów była nieco łatwiejsza. Bezpośrednie pojedynki Górnika z Legią tak w lidze, jak i w rozgrywkach pucharowych, były ozdobą naszych boisk. To one jako pierwsze zasłużyły na miano „klasyków” w

krajowym wydaniu. Dziś często bez żadnych podstaw szasta się takimi określeniami w odniesieniu do mniej zasłużonych i dużo słabszych drużyn. Kto w przeszłości widział mecze tej rangi sportowej i tak dużej skali emocji, ten nie ma wątpliwości, że głównie rywalizacja Górnika z Legią zasługuje na tak duże wyróżnienie i pamięć.

Oba te zespoły rozegrały na krajowych boiskach dziesiątki wspaniałych spotkań. Większość z nich, ligowych i pucharowych, oglądałem na własne oczy. Które było najlepsze? Najwspanialsze widowisko zasługujące na rangę autentycznego klasyka, moim zdaniem pojedynku najwspanialszego w blisko pięćdziesięcioletniej rywalizacji obu klubów, ci dwaj wielcy partnerzy zafundowali kibicom w rundzie jesiennej 1969 roku. Grano w Zabrze, zwyciężyła Legia 2:1, a strzelcami bramek byli: Jan Pieszko, Władysław Stachurski i „Portugalczyk” Jerzy Musiałek.

Obserwacja i opisywanie tego meczu sprawiły mi ogromną satysfakcję. Futbol z najwyższej półki! W pierwszej połowie rewelacyjnie grała Legia, a jej druga linia Brychczy – Deyna – Blaut wręcz koncertowo. Deyna wniósł do gry najwięcej polotu i fantazji, Brychczy spokoju i elementów „szanowania piłki”, a Blaut – wiedzy taktycznej. Piękny spektakl pobudził wyobraźnię, stał się nielada gratką dla estety. Górnik zwłaszcza po przerwie, dorównywał gościom, co jeszcze bardziej uatrakcyjniło to niecodzienne widowisko. Nikt tu nie chciał być gorszy i przegrany. Czarowali widownię zwycięzcy i pokonani. Piłkarskie sztuczki Brychczego, Deyny, Szoltyśnika i Lubańskiego rozpałały kibiców do granic dotychczas niespotykanych. Szaleli, przecierali oczy, pokrzykiwali: - „*Ejże, panowie! Czy to naprawdę grają polskie drużyny?! Futbol, jak szachy!*”. Grały nasze „drużyny eksportowe”. Wymiar europejski!

Działo się to akurat w roku Złotych Godów PZPN. Piłkarzem pięćdziesięciolecia wybrano Gerarda Cieślaka, ale w „10 najlepszych” znalazło się aż czterech zawodników z tego meczu: Brychczy, Pohl, Ośliżło i Lubański. Czy rzeczywiście był to najlepszy mecz dwóch polskich drużyn w dotychczasowej historii Związku? Ligę z lat międzywojennych znam z drugiej ręki, ale powojenną – daję za to głowę – już z własnych obserwacji. Tak, to był wtedy najlepszy występ dwóch polskich drużyn. W roku 1958 po wygranej Legii z Górnikiem również śpiewano „Sto lat”, ale adresat był tylko jeden – Lucjan Brychczy. W Zabrze na hymny pochwalne zasłużyli wszyscy! Ujawnili swoje faktyczne możliwości i międzynarodowe aspiracje. Awansowali do ćwierćfinału europejskich rozgrywek pucharowych, Legia w Pucharze Mistrzów, a Górnik w Pucharze Zdobywców Pucharów.

W roku 1969 szansę na ćwierćfinał w Pucharze UEFA, a właściwie w Pucharze Miast Targowych, bo tak się wtedy nazywał, miała jeszcze Gwardia. Grała dobrze, w derby Warszawy pokonała nawet Legię. W pierwszej rundzie PTM gwardziści wyeliminowali mocny zespół Wojvodiny Nowy Sad. Byli również faworytem w drugiej odsłonie. Wylosowali teoretycznie słabszy Athletic FC Dunfermline. Odlecieli do Edynburga w bojowym nastroju: - „**Równaj do harpagonów!**”. Przypomniano ich następcom, że w roku 1957 Gwardia z Krzysztofem Baszkiewiczem, Stanisławem Hachorkiem zrobiła na Wyspach furorę. Ta druga wyprawa była jednak piłkarsko nieudana. Sportowo gwardziści nie byli gorsi od Szkotów, ale mentalnie nie dorastali im do pięt. Znaleźli się w zupełnie innym świecie, pokus było wiele, one bardziej frapowały, zaś sportową koncentrację spychały na dalszy plan.

Gwardia zamieszkała w Edynburgu w Learmonth Hotel, którego właścicielem był Jan Tomasik, nasz rodak spod Krakowa. W czasie II wojny światowej walczył w Polskiej Armii na Zachodzie, z dywizją generała Stanisława Maczka, między innymi wyzwalał w Holandii Bredeę. Po wojnie osiadł właśnie w Szkocji. Dość często opisywano jego losy w krakowskiej i warszawskiej prasie. W hotelu Tomasika byłem gościem na takich samych zasadach, jak cała drużyna. Za nic nie musiałem płacić. Zastanawiałem się, co muszę dać w zamian za te względy.

– Ma pan „Wyborową” - zapytał właściciel.

– Dwie butelki – odpowiedziałem.

– To dobrze... Będą potrzebne... Prosimy do pokoju 103, oczywiście z flaszkami...

Schodzę w miarę szybko i chętnie, bo i ja mam ochotę na kielicha. Pukam, drzwi otwiera Waław Soja, kierownik stołecznej drużyny. Patrząc i oczom nie wierzę. Na podłodze ustawiono już ponad sto butelek. Będzie mały handelek?...

– Płacę półtora funta za flaszkę – mówi Tomasik. – Trzy dla pana...

– To miłe, tylko że nic dla mnie nie zostanie... A wieczory takie długie, listopad...

– Lubi pan whisky?

– Nie gardzę...

– No to zaraz po kolacji zapraszam do baru.

W Szkocji whisky piją wszyscy. Na przedmeczowym bankiecie zaserwowano kilka różnych gatunków. Prezes AFC Dunfermline Andrian Watson najbardziej zachwalał bliżej nam nieznaną „Mord whisky”.

– Ile to ma procent? – niemal jednocześnie zapytaliśmy, towarzyszący ekipie Stanisław Nowosielski, późniejszy prezes PZPN i ja.

– Ponad sześćdziesiąt – odpowiedział barman. – Whisky and soda?
 – Nie, ani kropli!... Proszę nie mieszać, bo straci moc i smak!
 – odpowiadamy. – Woda tylko do popitki...

Wypiliśmy po trzy angielski. Szkoci pełni podziwu, my zadowoleni. Mocna, ale dobra! Zapraszamy prezesa Dunferline na rewanż w Warszawie. Nasza „pejsachówka” też ma swoje procenty. Pan Watson w hotelu „Europejskim” rzeczywiście usiłował dotrzymać nam kroku. Ale nie zdzierzył – już pierwsza lampka „pejsachówki” ścięła go z nóg. Wzywano lekarza... My w Szkocji trzymaliśmy się zdrowo. W Dunferline bankietowaliśmy, w Edynburgu kontynuowaliśmy „nocne rodaków rozmowy”, a w Glasgow robiliśmy zakupy.

W drodze powrotnej do kraju zwiedzaliśmy Londyn. Hyde Park, Picadilly Circus, Big Ben, gmach brytyjskiego parlamentu i obowiązkowo lotnisko Northolt. Złożyliśmy tam kwiaty przed pomnikiem Polaków poległych w Bitwie o Anglię. Obładowany zagranicznymi towarami z lekką obawą lądowałem na Okęciu. Kłopotów nie było. Tu też zadbano, by „harpaganom” nie spadł włos z głowy. Dla świętego spokoju wytypowano trzech ludzi do kontroli celnej (nazwiska ogłoszono przez megafon zaraz po przylocie), a pozostali członkowie ekipy bez żadnych przeszkód przeszli przez pomieszczenie dla VIP-ów. Nowe doświadczenie, czegoś takiego dotychczas jeszcze nie znałem.

Żywot Pucharu Miast Targowych nie był długi, w sezonie 1971/1972 przekształcono go w Puchar UEFA. Z polskich klubów w PMT wystąpiły tylko cztery kluby: wspomniana już Gwardia, Ruch Chorzów, GKS Katowice i Legia Warszawa. Rywale mocni: Fiorentina, Ajax Amsterdam, Barcelona. Żadna z naszych drużyn nie dotarła nawet do ćwierćfinału, a Ruch w starciu z Ajaxem doznał prawdziwej klęski.

Po 0:7 w Amsterdamie nasz wielokrotny mistrz stał się obiektem żartów. Pytano: - „Czy znasz bajkę o Ajaxie? Odpowiadano: - „*A – jak – się nauczysz grać – to poznasz.*

Najlepiej w PMT spisała się Legia. W sezonie 1968/1969, jeszcze zanim wywalczyła mistrzostwo Polski, rozgromiła u siebie TSV 1860 (6:0), a w Monachium wygrała 3:2. Był to srogi rewanż legionistów na Niemczech za 0:4 i 0:0 w 1965 roku. Wojskowi po dobrej grze poradzili sobie również z belgijskim Waregem. Na drodze do ćwierćfinału stanął wojskowym Ujpest Budapeszt. Obserwowałem i opisałem w „PS” oba mecze z Węgrami. W Warszawie zima, sceneria podobna, jak przed laty w spotkaniu z TSV 1860. Jednak tym razem Legia była lepsza. Na oblodzonym i ośnieżonym boisku, powinna wygrać różnicą kilku bramek, tak miażdżąca miała przewagę, ale niespodziewanie przegrała 0:1. W Budapeszcie lodu i śniegu już nie było, więc legioniści dość szybko strzelili dwie bramki. Wynik 2:0 dawał awans. Dla tamtejszej widowni i prasy było to ogromnym zaskoczeniem.

Narosło wokół tego wydarzenia sporo plotek. Byłem w Budapeszcie, ale nie jestem w stanie ich potwierdzić. Niektórzy piłkarze mówili mi rozzaleni, że sporą cegiełkę do tego niepowodzenia Legii przyłożył Kazio Deyna. Nie wytrzymał meczu kondycyjnie. Podobno akurat w nocy poprzedzającej ten mecz zebrało mu się na amory. Faktem jest, że osłabł po godzinie gry i w środku pola powstała luka. Wykorzystali to Węgrzy i poprawili wynik na 1:2. Taki rezultat nadal był korzystny dla Legii, dzielnie go broniła. Na finiszu jednak do akcji wkroczył austriacki sędzia Linemayr. Podyktował karnego z „kapelusza” i było 2:2. Ujpest w ćwierćfinale.

Nadal głośne były echa finałów mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku i ich wpływ na rozwój piłkarstwa. Włochy, nasz niedawny

pogromca, mistrz świata z 1934 i 1938 roku, także w 1966 uchodziły tam za głównego rywala Anglii, Brazylii i Urugwaju. Losowanie puli finałowej odbyło się w ogromnej sali konferencyjnej luksusowego hotelu Royal Garden w Londynie. Nie wszystkim dopisało tu szczęście, ale właśnie nad drużyną Italii, tak przynajmniej sądzono, bogini fortuna wyjątkowo szeroko roztoczyła opiekuńcze skrzydła. Działacze włoskiej fedenarcji i trener Edmondo Fabbri z radości zaczęli tańczyć tarantelę i po każdej lampce wina lub whisky wykrzykiwali:

– Dzięki ci piękna bogini! Byłaś dla nas bardzo łaskawa... Każesz grać w grupie z Rosją, Chile i Koreą Północną. Nie zawiedziemy cię!... Rywali z grupy połkniemy jak małe rybki, a później postaramy się zdobyć Złotą Nike na własność!...

– To niemożliwe! – ripostował trener, Alf Ramsey. – Złota Nike pozostanie w Anglii! Mistrzem świata my, albo nikt!...

Były to mistrzostwa pełne niespodzianek. Już w eliminacjach grupowych odpadły Brazylia i Włochy, a Urugwaj w ćwierćfinale. Angielscy dziennikarze prorokowali: - „W VIII Mistrzostwach Świata w zasadzie możliwe jest wszystko z wyjątkiem tego, że do ćwierćfinałów awansują reprezentacje Bułgarii, KRL-D i Szwajcarii”. Na Korei połamali sobie zęby. Przegrała z ZSRR, zremisowała z Chile, ale w trzecim meczu eliminacyjnym wygrała właśnie z Włochami 1:0 i poszła dalej. Zwycięską bramkę zdobył Pak Doo-Ik. Red. Grzegorz Aleksandrowicz, który dla „Przeglądu Sportowego” relacjonował przebieg tego turnieju, nie krył zdziwienia: - „*Pak-Doo-Ik będzie się śnił Włochom po nocach!*”. Trener Edmondo Fabbri z rozpaczy przykładał kompresy na zbolełą głowę. Dyskretnie, w tajemnicy przed kibicami, Włosi opuścili Anglię. Sądzieli, że „tifosi” ich nie dopadną. Płonne nadzieje. Na lotnisku w Rzymie

powitali przegranych wyzwiskami: - „**Zbrodniarze!... Zdradziliście ojczyznę!**”... Trener musiał się ukrywać.

Niewiele brakowało, aby los Włoch podzieliła w ćwierćfinale Portugalia. Koreańczycy zgotowali jeszcze jedną niespodziankę. Po kwadransie gry prowadzili 3:0! Wtedy jednak jakiś nieziemski duch wstąpił w napastnika Portugalii, Eusebio. Przed przerwą strzelił dwa piękne gole, po przerwie jeszcze dwie, piątą Augusto i ostatecznie faworyt wygrał 5:3. Podekscytowany sprawozdawca Reutera napisał po tym dramatycznym meczu: - „*To nie Portugalia zwyciężyła Koreę, wygrał tylko Eusebio*”. Trener pokonanych Mung Yeal-Hjun zebrał jednak mnóstwo komplementów. W kraju witano piłkarzy, jak bohaterów. Zderzenie dwóch światów: w Brazylii i we Włoszech wyzwiska, stawianie szubienic dla trenerów Vincente Feoli i Edmundo Fabbriego, a w Korei gorące powitanie i przemarsz ekipy bramą triumfalną.

PUCHAR ŚWIATA NA SZKLANYM EKRANIE

Były to pierwsze mistrzostwa świata, które również w Polsce wyzwoliły u kibiców dotychczas niespotykane pokłady emocji. Przyczyniła się do tego telewizja. Niecodzienna uczta piłkarska. Redaktorzy Witold Dobrowolski, Stefan Rzeszot i Jan Ciszewski na żywo relacjonowali przebieg większości spotkań, a pisma sportowe i codzienne szeroko komentowały to niecodzienne wydarzenie,. „Pan Grzegorz” skupił się przede wszystkim na przesyłaniu „LISTÓW Z ANGLII”, natomiast redakcyjna obsługa tej imprezy niemal w stu procentach spoczywała na mojej głowie. Własne odczucia z tego wielkiego święta futbolu

przekazywałem czytelnikom w felietonie: „PUCHAR ŚWIATA NA MAŁYM EKRANIE”.

– Zjawiskiem dość powszechnym są u nas kolejki po banany i pomarańcze – pisałem na początku turnieju – ale do odległych należą czasy, w których ustawiano się w ogonku po... telewizory. Tymczasem ostatnio przeróżne „Oriony”, „Nefryty” i „Szmaragdy” cieszą się wyjątkowym powodzeniem. Wynik coraz lepszej reklamy i poprawy jakości aparatów?... Teraz o wzmożonym popycie na „szklane kino” decydują przede wszystkim mistrzostwa świata w piłce nożnej...

A oto fragmenty niektórych później zredagowanych felietonów:

– Mistrzostwom świata w Anglii towarzyszy niezwykle przyjemna atmosfera. Nie ma burd i awantur, przynajmniej w tych meczach, które oglądamy w telewizorach... Niespodzianek jest sporo, ale akurat reprezentacja RFN zasłużenie wygrała z ZSRR! Tercet Seeler – Held – Emmerich jest w tej drużynie taranem rozbijającym obronę przeciwnika i stwarza w niej luki, w które w odpowiednim momencie z drugiej linii wchodzi Overath, Haller i Beckenbauer. Tego rodzaju taktyka święciła triumf właśnie w meczu z ZSRR; zwycięskie bramki dla RFN zdobyli pomocnicy Haller i Beckenbauer.

Mecz Portugalia – ZSRR wystawia dobre świadectwo obu drużynom – zwycięzcom i pokonanym. W tym meczu nie było „ziemi niczyjej”, jak to często zdarza się podczas spotkań ligowych rozgrywanych w naszym kraju... W Anglii prawie każda z drużyn, które oglądaliśmy na „szklanym ekranie”, niejako za wstępny warunek powodzenia w danym meczu, uważała oponowanie środkowej strefy boiska...

... W owe sobotnie popołudnie po raz ostatni opustoszały ulice, kawiarnie i restauracje. W ogóle wszystko było „po raz ostatni” – także

wielki futbol, oczy wlepione w telewizor i rozpalone policzki... Szczerze gratulujemy Anglikom sukcesu, na który pracowali 100 lat. I już po mistrzostwach... Jakże teraz o godzinie 19.30 poczujemy się nieswojo? Będzie nam czegoś brakowało, na próżno będziemy oczekiwać na sygnał: tu Londyn, Liverpool, Sunderland, Manchester... Redaktorzy Witold Dobrowolski, Stefan Rzeszot i Jan Ciszewski już powrócili do kraju! Także autor tej rubryki się zegna i serdecznie dziękuje tym wszystkim Czytelnikom, którzy kierowali pod jego adresem zawsze życzliwe uwagi (telefony i listy) i pośrednio dostarczali „surowca” do redagowania **„Pucharu Świata na małym ekranie**.

Dziękuję również koledze redakcyjnemu Cergo za przekazanie mi na okres mistrzostw świata jego stałej rubryki „TV i MY”. On jest w tej dziedzinie redakcyjnym specem, może więc dorzucić kilka swoich uwag o pracy komentatorów. W każdym razie moją prywatną Złotą Nike otrzyma red. Witold Dobrowolski. Dlaczego nie Jan Ciszewski? Stanowczo za dużo mówił i nadmiernie przeżywał. Gdyby tylko niektóre okrzyki Janka „gol”, znalazły pokrycie z rzeczywistością, to mecze piłkarskie musiałyby się kończyć wynikami typowymi dla piłki ręcznej. Poza tym „Cis” zbyt często mijał się z prawdą, mylił fakty i zawodników. Był też na bakier z poprawną polszczyzną.

Kilkanaście lat później do mistrzostw świata w Anglii nawiązałem również w pracy zbiorowej wydanej przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą: „MILIARD NA WIDOWNI”. Przypomniałem, między innymi:

... Najlepszy mecz w VIII Mistrzostwach Świata rozegrały w półfinale reprezentacje Anglii i Portugalii. Trzon zespołu portugalskiego tworzyły Benfica i Sporting Lizbona. Wszyscy

zawodnicy, zwłaszcza Eusebio, Torres, Simoes i Coluna znali się bardzo dobrze. Grali prawie na pamięć. Preferowali atak czy obronę? Wszystko zależało od rozwoju sytuacji na boisku. Starano się równomiernie rozkładać akcenty w grze na wszystkie formacje. A więc „gra wszystkimi siłami”!. Była to niewątpliwie nowość taktyczna VIII Mistrzostw Świata.

Jeszcze większymi nowatorami okazali się Anglicy. Oni jedni z pierwszych, jeśli w ogóle nie pierwsi na świecie, zastosowali wymiennosc funkcji w drużynie. Bezpośrednia konfrontacja dwóch tak grających zespołów była prawdziwą ucztą piłkarską. Pierwsze jaskółki uniwersalizmu i wszechstronności, przedwiośnie futbolu totalnego? Logika i celowość każdej akcji były niewątpliwie tymi elementami, które spowodowały, że na Wembley oglądaliśmy jedno z najwspanialszych widowisk w historii nowoczesnego sportu. Dzięki Robertowi Charltonowi i czarnoskóremu Eusebio odżyły w Londynie tradycje i pokaz rycerskich obyczajów. Protokół sędziowski był czysty. Prezydent FIFA, sir Stanley Rous był rozpromieniony:

– Kopię filmu z meczu Anglia – Portugalia prześlę do wszystkich krajów. Niech się młodzi uczą, niech widzą, jaką wspaniałą grą jest piłka nożna.

Ja ze swej strony też nie skąpiłem pochwał. Odżyły na tych mistrzostwach idee „czystej gry”. Technika i myśl górowały nad siłą. Walczono w duchu wzajemnego poszanowania i koleżeńskości. Szczególnie Jaszyn i Eusebio demonstrowali gesty typowe dla bywalców wytwornych salonów. Z reguły powściągliwi w pochwałach Anglicy obiektywnie podkreślali: - *To było krykiet!... Grali sportowi dżentelmeni...* W finale spotkały się jedenastki Anglii i RFN. Jak grały? U Wyspiarzy imponowała zwartość bloku obronnego, perfekcyjna asekuracja,

żelazna dyscyplina taktyczna i konsekwencja w realizacji zadań. Łatwość w przechodzeniu z obrony do ataku i optymalne wykorzystywanie własnych atutów – to godne podziwu cechy reprezentacji Anglii.

Sposób gry mistrza świata 1966 można by przedstawić w kompozycji liczbowej 1+4+(1+3)+2. Bramkarz, dalej czterej obrońcy (w tym jeden, Bobby Moore spełniający funkcję libero), następnie wmiatacz linii pomocy (Stiles), trzech nominalni pomocnicy i dwaj napastnicy (Hunt i Hunter). Anglicy grali praktycznie bez klasycznych skrzydłowych. Ich zadania spełniali boczni obrońcy Cohen i Wilson, bądź pomocnicy Ball i Peters. Niesłusznie posądzono zespół Anglii o przesadne dbanie o „bezpieczeństwo pod własną bramką”. Fakty temu zaprzeczają. Lepiej od mistrza świata strzelali tylko piłkarze Portugalii i RFN.

Reprezentacja Niemiec na poprzednich mistrzostwach w Chile przeżywała wyraźny kryzys. Do Anglii Helmut Schoen przywiózł jakby zupełnie inną drużynę, wyrównaną w każdej formacji, skuteczną w obronie i ataku. Były trener FIFA, Dettmar Cramer, przedstawiając zalety tego finalisty z Wembley, na czoło wysunął:

- wzorową dyscyplinę taktyczną
- godną podziwu zespołowość w grze
- doskonałe przygotowanie kondycyjne
- przywódczą rolę Uwe Seelera.

Piłkarze RFN grali w ustawieniu 1+(1+3)+3+3. Dość długo stosowała je większość europejskich reprezentacji. W Anglii funkcję ostatniego obrońcy (wmiatacza) spełniał Willi Schultz, trójkę pomocników tworzyli Beckenbauer, Haller i Overath, a trio napastników: Held, Seeler i Emmerich. W defensywie Niemcy konsekwentnie stosowali „pressing”. Tracili mało bramek. Dopiero w meczu finałowym Anglia przełamała

ich szyki obronne i po dogrywce wygrała 4:2. Trzeci gol strzelony w tym niezwykłym pojedynku wywołał wiele komentarzy. Piłka przekroczyła linię bramkową czy nie? Sędzia Dienst ze Szwajcarii też miał wątpliwości. Konsultował się z arbitrem liniowym „Tofikiem” Bachramowem z ZSRR. Ten powiedział „tak” i... z ulgą odetchnęła królowa Elżbieta II. Anglia mistrzem świata!

Trener zdobywcy Złotej Nike Alf Ramsey z woli monarchini otrzymał tytuł szlachecki, a Robert Charlton zdobył piłkarskiego Oskara ufundowanego przez tygodnik „France Football”. Anglia miała w swej historii, także w tym turnieju, wielu wybitnych piłkarzy, jednak żaden z nich nie grał tak pięknie, mądrze i z polotem charakterystycznym dla Francuzów i Polaków, a jednocześnie tak skutecznie. Bobby Charlton – to synonim kultury na boisku – piłkarz dżentelmen. Głównie o nim mówiono i pisano, że „**on jest cricket**”. W Anglii znaczy to bardzo dużo, wystarczy za grę pochlebstw. Niezwykle sympatyczna postać, choć tu i ówdzie – z racji niezwyklej koncentracji w życiu i na boisku – o Charltonie mówiono też „**kamienna twarz z Old Trafford**”.

To moja opinia o mistrzostwach świata w Anglii i jej największym piłkarzu. A jak to wszystko widział specjalny wysłannik „PS”, red. Grzegorz Aleksandrowicz? Też miał wątpliwości czy piłka po strzale Hursta przekroczyła linię bramkową. Potwierdził tezę, że pomocnicy nadawali ton w grze praktycznie w każdej czołowej drużynie. Anglicy robili to najlepiej. Jednak zdaniem „pana Grzegorza” na wyróżnienie zasłużył przede wszystkim Eusebio, król strzelców tych mistrzostw. Sędziowanie nie było najlepsze, natomiast publiczność wspaniała. Była współtwórcą sukcesu Wyspiarzy.

Po tak smakowitej uczcie na angielskich stadionach powróciliśmy na ubożuchne polskie boiska. Pierwszych gier nie oglądałem, wyczerpany nieprzespanymi nocami i setkami informacji przeznaczonych do druku,

na kilka tygodni wyłądowałem w Instytucie Reumatologii. Potem był jeszcze Ciechocinek. Kręgosłup nie wybaczył długich godzin pracy za biurkiem. Kibice teraz też rzadko oglądali mecze w telewizji. Krótko i jednoznacznie podsumował to Cergo: – **U nas piłka nożna nadal nie cieszy się względami TVP. Inaugurację ligi znowu oglądaliśmy w postaci skrawków nie najlepszego filmu. Po Anglii nam to już nie wystarczy.**

Był to znowu sezon Górnika Zabrze. Wywalczył mistrzostwo i dotarł do finału Pucharu Polski. Tu jednak przegrał z Legią. Zabrzanie sięgnęli po tytuł również w roku 1967, świetnie spisali się w rozgrywkach europejskich, ale coraz wyraźniej zaczęły mu deptać po piętach Ruch Chorzów i Legia Warszawa. Wojskowi, już pod wodzą Jaroslava Vejvody, przez trzy rundy dzielnie rywalizowali z TSV 1860 Monachium, Waregem (Belgia) i Ujpestem Budapeszt w Pucharze Miast Targowych, a Ruch w roku 1968 zdobył nawet mistrzostwo Polski. Legia nie była wówczas gorsza, ale dosłownie na finiszu rozgrywek została „wykolegowana” przez śląskie lobby. Górnik nie miał już szans na mistrzostwo, więc skupił uwagę na rozgrywkach o Puchar Polski, natomiast strategia Ruchu była diametralnie inna.

Jednak Ruch bez pomocy Górnika nie byłby w stanie zdystansować Legii, a Górnik bez dobrosąsiedzkiej przysługi Ruchu nie zdobyłby Pucharu Polski. Finisz sezonu rozegrano po myśli pośła Romana Stachonia, w sporcie śląskim mocno „trzymającym władzę”. Plan był prosty. Najpierw Ruch aż 4:1 wygrał z Polonią w Bytomiu, a potem na Stadionie Śląskim gładko pokonał Górnika 3:1. W świetle jesiennej wygranej zabrzan 4:1, teraz to wiosenne 1:3 było mocno podejrzane. Ale mistrzostwo zostało na Śląsku. W finale Pucharu Polski znowu powalczą sąsiedzi zza miedzy. Dublet dla Ruchu?

Nic z tych rzeczy! Teraz zwycięstwo bardziej potrzebne było Górnikowi. Trzeba podzielić łupy. W drodze na stadion dywagowałem na ten temat z fotoreporterem Mieczysławem Świdorskim. Postawiłem na zwycięstwo Górnika.

– Juruś, chyba żartujesz – skrzywił się Mietek. – Górnik bez Lubańskiego nie da rady...

– Spokojna głowa... Da radę, zresztą Włodek tym razem zagra. Odpoczął i zapewne jeszcze coś strzeli...

Zabrzanie wygrali 3:0 i... wszystkie trzy bramki zdobył właśnie Lubański. Na łamach „Przeglądu Sportowego” wyraźnie dałem do zrozumienia, że górnicy „odpuścili” ligowy mecz z Ruchem i dopiero w finale Pucharu Polski zegrali na miarę swoich faktycznych możliwości. Nie był to wypadek odosobniony. W tamtych czasach w krajowym futbolu takich przejawów „uprzejmości” było znacznie więcej. Za tę sugestię oczywiście zganiała mnie katowicka „Trybuna Robotnicza”, przypisując „łowienie ryb w mętnej wodzie”. Wkrótce rezolutnie podsumował to Włodzimierz Lubański: - *Na układy nie ma rady!*...

Mistrzem w rozwiązywaniu takich układanek był właśnie poseł na Sejm Roman Stachoń. Piłkę śląską cenił najwyżej, no – a już Ruch był jego „miłością pierwszą”. Tytuł „wywalczony” przez chorzowian przyjął z entuzjazmem i tak, jak tamtejsze środowisko bez cienia podejrzeń. Stachoń dość często spotykał się z Heniem Loską, kilka razy i ja dostąpiłem tego zaszczytu.

– Ruch twardo idzie na mistrza, ale... Szombierki i GKS kiepsko przędą. Co ważniejsze – zapytałem - Tytuł dla Ruchu czy obrona I ligi dla bytomian i katowiczian?

– Ruch, tylko Ruch!... Tytuł dla Ruchu! A Szombierki i GKS i tak dadzą sobie radę...

Ja tak pewny takiego końca rozgrywek nie byłem. Niemal w stu procentach stawiałem na skuteczny finisz ŁKS-u. Wygra u siebie z Pogonią Szczecin i obroni ekstraklasę. Trafiłem kulą w płot. Górą byli „portowcy”. Waclaw Zatke, taki sam kibic „Rycerzy wiosny”, jak Roman Stachoń „Niebieskich” z Chorzowa, wściekał się ze złości:

– Skandal! Nikt nie potrafił przemówić piłkarzom Pogoni do rozsądku i... do kieszeni. Fatalna organizacja!

Na Śląsku – być może – takich „rozliczeń” finansowych nie było, ale „pomoc dobrosąsiedzka” doprowadzona do perfekcji. Czuwał nad tym właśnie towarzysz Stachoń. Wytknąłem mu tę asportową troskę:

– Z moich obliczeń wynika, że Ruch bardziej jest mistrzem Śląska, niż całej naszej ligi.

– Jak to? Co wam strzeliło do głowy, towarzyszu redaktorze? Ruch był najlepszy, wyprzedził Legię aż o trzy punkty!

– Porównałem wyniki poszczególnych spotkań i punkty zdobyte w nich przez te dwa kluby. Zaskakująca jest zwłaszcza analiza występów Ruchu i Legii na Śląsku. Ruch w pojedynkach z lokalnymi rywalami „wywalczył” aż dziewiętnaście punktów, natomiast przyjezdna Legia tylko cztery. Liczby nie kłamią. Co pan na to, towarzyszu pośle?

– Znam też inne fakty. Ruch dwa razy wygrał ze Stalą, u siebie 2:0, a w Rzeszowie aż 4:0. Tymczasem Legia przegrała tam w ostatniej kolejce 0:1...

– Wtedy było już po herbacie...

– Po jakiej herbacie?! Manipulujecie! Szukacie sensacji?! A gdyby Ruch przegrał z Górnikiem, a Legia wygrała w Rzeszowie, to co wtedy? Tytuł byłby w Warszawie...

– Pan poseł raczy fantazjować! Układy się liczą, układy... Wasza strategia była prosta: Mistrzostwo dla Ruchu, Puchar Polski dla Górnika. O co miała walczyć Legia?... O czapkę gruszek?...

– O honor redaktorze, o honor! To przecież wstyd, że kandydat na mistrza przegrywa z kandydatem do spadku...

– „Wstyd nie dym, oczu nie wykole”... Na Łazienkowskiej też umieją kalkulować. Legia nie musiała już pomagać Pogoni, co chętnie czyniła w przeszłości, więc teraz ratowała pierwszą ligę dla Rzeszowa. Ma to we krwi, jak jakaś samarytanka.... Nie powiem, że to miłosierdzie jest bezinteresowne. Tylko na Śląsku nazywacie to „koleżeńską przysługą”...

Przed następnym sezonem 1968/1969 w redakcyjnym komentarzu powróciłem do niedawnych wydarzeń na Stadionie Śląskim: ... Gdyby głębiej zajrzeć pod podszewkę tylko niektórych wyników, to zapewne okazało by się, że decydowały o nich nie tylko względy szkoleniowe i nie tylko słabszy dzień faworyta lub gorsza forma sędziego. Także pewne elementy z zakresu fair play. Kto teraz przejmie pałeczkę od Ruchu? Górnik po raz dziewiąty?... Sugerowałem, że o wszystkim „zadecydują” mecze Legia – Górnik. Wojskowi przystąpili do rozgrywek nieco osłabieni. Z podstawowego składu wypadł Jacek Gmoch, w meczu Kadra – Express Wieczorny (1:5!) w starciu z bramkarzem Marianem Szeją złamał nogę. Leczył się długo, jeszcze wiosną 1970 roku zapamiętałe ćwiczył w Instytucie Reumatologii w Warszawie, ale do zespołu już nie wrócił.

Jednak Legia przerwała śląski monopol, mimo że przefajdała z Górnikiem oba mecze. Ale w pozostałych zabrzanie prezentowali się znacznie gorzej, brakowało im motywacji i mobilizacji. Sporo spotkań

traktowali wybiórczo. Na Stadionie Wojska Polskiego walczyli jednak o prestiż i zaskoczyli legionistów szybkim kontratakiem i wygrali 2:1. Po tym meczu górnicy mieli nad wojskowymi już cztery punkty przewagi. Rychło ją jednak roztrwonili. W połowie maja prowadzenie w tabeli objęła Legia i już nie oddała go do końca rozgrywek. Obrońca tytułu Ruch Chorzów przegrał w Warszawie aż 2:6.

– Jestem pełen uznania dla całej drużyny – promieniał ze szczęścia trener Vejvoda – ale przede wszystkim dla Deyny. To wybitny piłkarz, umie wszystko, gra nowocześnie... Jest urodzonym pomocnikiem. W ciągu dwóch lat zrobił ogromne postępy.

– Jest już najlepszy w naszej lidze?

– Kręgosłupem drużyny jest pomoc: Deyna, Brychczy, Blaut. To mistrzowie futbolu, ale... czy Kazik jest najlepszy w lidze? Stawiam go na równi z Lubańskim. Deyna jest wszechstronniejszy, więcej umie, ale Lubański jest szybszy, bardziej przebojowy, typowy snajper. Król pola karnego. Deyna środka pola...

Wkrótce po mistrzostwach świata w Anglii wybrałem się na turniej UEFA do Turcji. Liczyłem na sukces, ale do szczęścia zabrakło naszej drużynie jednej bramki. Odpadła w eliminacjach. Brylowali juniorzy angielscy. Gra w ich wykonaniu była młodzieńczą ilustracją zalet prezentowanych przez Cohena, Wilsona, Moore'a, Charltona i Huntera. Ich następcy Shilton, Mills, Brooking, Kidd, Channon grali podobnie. Żywa kopia mistrzów świata. Turniej w Turcji był jednak dla nich tylko „przedsionkiem sławy”. Ten cudowny zespół angielski będący niewątpliwie zwiastunem futbolu totalnego, przegrał mecz finałowy z ZSRR 0:1. Jak to możliwe? – dziwił się prezydent FIFA, sir Stanley Rous. O wyniku przesądziły dwie wielkie indywidualności

rywała: skrzydłowi Kuzniecowa i Nodija. Trener naszych chłopców Jerzy Słaboszowski był ich grą zachwycony:

– Gdybym miał w zespole dwóch takich grajków, jak te dwa ruskie wiatraki, to rozbiłbym w proch i pył wszystkie drużyny. Nawet Rosję i Anglię!

EFFENDI KONTRA GRUBEŃKO

Nie były to trenerskie przechwałki. W Turcji pokazaliśmy Europie dobrą drużynę, ale nieco okaleczoną, pozbawioną właśnie nowocześnie grających skrzydłowych. Szybkich, umiejących zwodzić, dryblować, podawać i celnie strzelać. Za postawę w głębi pola należały się naszym chłopcom oklaski, zaś reprimenda za bezradność pod bramką przeciwnika. Większość goli strzelali pomocnicy. Zabrakło nam dosłownie jednej bramki, by wygrać grupę i w półfinale zmierzyć się właśnie z „ruskimi”. Do stanu 3:0 w meczu z Belgią wszystko dobrze się układało, ale gdy cel był tuż tuż, poraziła chłopców jakaś blokada psychiczna. Nawet Jerzy Kasalik, Bogdan Masztaler i Paweł Janik strzelali teraz na wiat, w słupki, poprzeczkę lub Panu Bogu w okno. Juniorska piłka: kapryśna, niestabilna, nieodgadniona. Na stadiony świata z czasem trafili jednak: Jerzy Gorgoń, Adam Musiał i Bogdan Masztaler.

Zainteresowanie turniejem w Turcji było ogromne, na każdym meczu komplet widzów. Wpływy do kasy Tureckiego Związku Piłki Nożnej nadspodziewanie duże. Skorzystały na tym ekipy (także nasza), które odpadły w eliminacjach. Nadal przyjmowano przegranych z honorami, niczego nie skapiono. Nas zakwaterowano w luksusowym hotelu

Tarabaya w Stambule, znanego mi już z serialu telewizyjnego „Święty”, w którym Roger Moore grał rolę Simona Templera. Zwiedziliśmy Adampol (Polonezkoey), polską osadę pod Stambułem założoną w 1835 roku przez księcia Adama Czartoryskiego. Chwilami czuliśmy się jak zamożni turyści. Humor dopisywał. Rozanielony trener Słaboszowski podczas przejazdów autokarami zachęcał do śpiewu. Rej wiódł tu Adam Musiał. – Adaś! Jedziemy! – ryczał „Grubeńko” i młody wiślak zaczynał swój popisowy numer: **„Andzia izbę zamiała. ...Już wygrana nasza, wyjmuję pałasza! Co za piersi, co za uda? A tam dalej same cuda!”**.

Gospodarze podczas całego turnieju byli wobec nas niezwykle szarmanccy. Zapraszali na pikniki, nad Morzem Marmara organizowali pokazy folklorystyczne, średniowieczne turnieje rycerzy i pocieszne walki zapaśników. W miejscowych zakładach pracy wręczano drobne prezenty, a wieczorami zapraszano na wystawne bankiety. Tureckie koktajle niejednego gościa zwały z nóg. Jurny „ruski” lekarz usiłował zatańczyć trepaka, ale i on nie zdzierzył. Szpetnie go obsobaczył... trener Ladin.

Nasi juniorzy często chodzili do kina. Obejrzeni głośny wówczas film „Goldfinger” z Seenem Connory w roli Jamesa Bonda, nieco już zapomniany, ale wciąż atrakcyjny „Most na rzece Kwai” oraz kilka westernów z Johnem Waynem i Gary Cooperem. Sporo wolnego czasu spędzali też w towarzystwie juniorów francuskich. Byli wśród nich chłopcy polskiego pochodzenia, narybek Valenciennes. Wręczyli Polakom znad Wisły proporczyki, znaczki Francuskiej Federacji Piłkarskiej i skromne upominki. Nas nie stać było nawet na takie drobiazgi. Ubodzy krewni z za „żelaznej kurtyny”...

Rumieniłem się za PZPN jeszcze z jednego powodu. W Turcji nie było naszych sędziów. Gwizdali ci z NRD, Rumunii, Bułgarii,

Jugosławii, Węgier, z ZSRR przyjechał nawet sławny z londyńskiego finału mistrzostw świata „Tofik” Bachramow, natomiast z Polski nie pojawił się nawet Stanisław Eksztajn. Wytknąłem to kierownictwu PZPN i... cel osiągnąłem. Na kolejnym turnieju UEFA w roku 1969 w NRD naszej ekipie towarzyszył już Edward Budaj, znany sędzia międzynarodowy. Dobrze się spisał, zbierał oklaski, był też duszą towarzystwa w Lipsku. Przebojowy, imponował tupetem, z własnej inicjatywy przemawiał na przyjęciach... Europejczyk! Miał powodzenie u pań. Nawet studiujące tam Polki do niego lgnęły. Były do tańca i... różańca. Wypiłem tam z Edkiem niejedno piwo.

W Turcji naszą reprezentacją opiekował się były piłkarz z Eskisehiru, nazwałem go „Effendim”. Przyjęło się, nikt – nawet Turcy – w innej formie do niego się nie zwracali. Otóż „Effendi” najbardziej zaprzyjaźnił się z trenerem Jerzym Słaboszowskim. Obaj chętnie rozpamiętywali barwną karierę piłkarską. Byli w tym dobrzy i nie ukrywali, że również mocno rozrywkowi. Licytowali się, który z nich lepszy. Zaproponowałem, by udowodnili w sportowej walce. Przyjęli wyzwanie. Najpierw zmierzyli się na „ręce”. Obaj o mało nie pękli z wysiłku, ale ostatecznie górą był Turek. „Grubeńko”, niegdyś tak ochrzciłem Słaboszowskiego, nie ustąpił. – Niech boisko rozstrzygnie, który z nas lepszy! Już zmierzchało, gdy wraz z nimi przeniosłem się na stadion. Strzelali karne i rzuty wolne. Tu znowu lepszy był „Effendi”. Jak się Turek zaprze, to nie popuści! Nawet w picciu wina nie był od Polaka gorszy.

– Jest jeszcze jedna szansa – pocieszałem Słaboszowskiego. – Czas na coś mocniejszego. Dam wam flaszkę „Wyborowej”... Masz mocną głowę, więc może wreszcie udowodnisz, że „Polak potrafi”?!

Turek i tu trzymał fason, znowu remis. Zwycięski w sumie i dobrze już rozbawiony „Effendi”, już blisko „godziny duchów”, namówił kierownictwo naszej ekipy na wypad do nocnego lokalu. Harem, nie harem, Bóg raczy wiedzieć, co to było. Wyciągnięci z łóżek dołączyli do nas: Wiesław Motoczyński, Janusz Garlicki i Jerzy Talaga. Wypiliśmy tylko po jednym małym piwie (słowo honoru) i patrzyliśmy, jak bawią się inni. Ni stąd ni zowąd przy naszym stoliku pojawiła się mocno rozdekoltowana dziewczyna. Zaczęła kokietować, zachwalać i bezwstydnie ukazywać swoje wdzięki, także te najgłębiej ukryte. Ogolone!... Pogłaskała Talagę po łysej głowie, potem Motoczyńskiego i dała do zrozumienia, że najbardziej podoba się jej doktor Garlicki. Chętnie by z nim poflirtowała... Janusz, tak jak „Grubeńko” nie zwykł odmawiać paniąkom, ale umizgi tureckiej kurtyzany zbył pogardliwym machnięciem ręki: - Idź precz, kusicielko!... Odeszła zawiedziona. Po chwili kelner podrzucił rachunek. Spojrzałem na sumkę i z wrażenia oczy stanęły mi kołkiem.

- Dlaczego tak drogo? - zapytałem.

- Bo była tu z panami kobieta...

Na Olimpiadzie w Meksyku znowu nie było naszych piłkarzy. Przed Tokio przegrali eliminacje z Włochami, a teraz z ZSRR. Jednak dla polskiego sportu były to igrzyska udane. Na podium stawali nie tylko bokserzy i lekkoatleci. Szczególnie miłą niespodzianką był złoty medal strzelca Józefa Zapędzkiego ze Śląska Wrocław. Cały pion wojskowy dobrze wypadł w Meksyku. Wykorzystano to w celach propagandowych. Właśnie wtedy obchodzono 25 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. W macierzystym klubie złotego medalisty, Klub Dziennikarzy Sportowych zorganizował wtedy uroczystą sesję wyjazdową. Zapędzki

był jednym z bohaterów wrocławskiej narady. Sam mówił niewiele, natomiast długo o wysokiej pozycji klubów wojskowych w polskim sporcie rozprawiał prezes Śląska. Robiło się nudnawo. Z narastającego odrętwienia wyrwał towarzystwo red. Arnold Borowik z Radia Łódź:

– Panie generale! – wrzasnął zniecierpliwiony. – Pierdyknem, bo odwyknem!...

PRZYPADKI „PROFESORA” WEISSA

Chwycił za kieliszek, po nim zaskoczony generał i cała reszta. Wzniesiono toast za pomyślność Śląska Wrocław. Szybciej niż zaplanowano, z sali konferencyjnej przeniesiono się do żołnierskiej stołówki. Obiad już czekał i... też był zakrapiany. Przed każdym z nas stał pusty kieliszek, butelek na stole nie było. Podchodził z flaszką sierżant i przydzielał niemalże aptekarską dawkę. Trunkowym to nie mogło się podobać. Kilku przezornych kolegów (co za wyobraźnia?!) miało w kieszonkach własne kieliszki, te z sali obrad. Stawiali je obok tej lampki z przydziału i informowali żołnierza:

– A to dla profesora Weissa...

Zaskoczony sierżant nie protestował, nalewał. Po obiedzie jednak zapytał:

– Obywatele dziennikarze, który z panów jest tym „profesorem”? Tęga głowa!... Opróżnić tyle kieliszków?!

Chodziło oczywiście o redaktora Zygmunta Weissa – przypominam – jemu nadałem ksywkę „profesor”. We Wrocławiu akurat nie był, stąd podstępny zwrot „to dla profesora Weissa”, bo Zyzio lubił

pojeść i popić na takich darmowych imprezach. Zresztą nie tylko on, nasz „opiekun” z biura prasy KC, Jan Symonik – również. „Profesor” jednak zawsze i wszędzie tryskał humorem, nie miał wrogów, mnóstwo przyjaciół, przepijał bruderszafty nawet z dziennikarskimi praktykantami. Na zawody dość często jeździł w duecie z fotoreporterem Mieczysławem Świdorskim. Obaj oszczędni, często w delegacji mieli własny prowiant. Chłodzili przekąski za oknem. Pewnego razu z czterech jajek tam położonych zostały tylko dwa. „Profesor” ubolewa:

– Proszę Miecicia, to jakaś kara boska, dwa jajka zniknęły! Czyżby zabrała je pokojówka? A może wiatr porwał? I niech sobie Miecicio wyobrazi, że to właśnie jego jajka się ulotniły...

Red. Weiss świetnie sobie radził w tzw. „humorze okazjonalnym”, w konkretnej sytuacji, w danym momencie. Na każdy dowcip o sobie, nawet najzłośliwszy, zawsze znalazł równie ciętą odpowiedź. „Profesor” również sam chętnie opowiadał sprośne kawały, ale lubił też w grubym notesie zapisywać nowe, dotychczas nieznanne. Popisywał się tymi wicami w redakcji na imieninach lub przedświątecznych libacjach. Z siebie też potrafił się nabijać. Kiedy wracał z niemieckiej niewoli, miał w kieszeni 17 (siedemnaście!) dolarów. Pozbył się ich przed wyjazdem do Polski, bo obawiał się rewizji na granicy. Nabito mu do głowy, że komuniści za przemyt dewiz mogą go wsadzić do więzienia. Strzeżonego, Pan Bóg strzeże!

Goły, jak święty turecki, gdy tylko dotarł do Warszawy, zameldował się w redakcji. Przytaszczył sporo numerów „Przeglądu Sportowego”, które własnoręcznie redagował w oflagu. Kochał to czasopismo. Przyzwyczajony w niewoli do margaryny, własnego kubka na herbatę i grzałki, pracę w redakcji zaczynał od takiego właśnie skromnego

śniadania. Potem pisał, dużo i długo, po każdym potknięciu stylistycznym wrzucał kartki do kosza. Palił przy tym, ba - niemalże jadł jednego papierosa za drugim. Niedopałki też wrzucał do kosza. Kilkakrotnie wzniecił pożar w naszym pokoju. Pukał się wtedy w głowę i beształ samego siebie:

- I mnie takiego ofermę zrobiono w 1939 dowódcą zwiadu rowerowego!?!... Od razu wiedziałem, że my tej wojny z Hitlerem nie wygramy...

Na uroczystościach sportu wojskowego we Wrocławiu „profesora” jednak nie było. Kto więc zorganizuje szybkiego pokerka? Chętnych niewielu, większość poszła w miasto. Red. Skórzewski, z którym mnie zakwaterowano, już wcześniej kupił gdzieś pół litra i zachęcił do gry w kariokę. Najbardziej ciągnęło go do kielicha, ale przy okazji chciał też pobawić się w karty. Sprzęt miał zawsze przy sobie. W Warszawie chętnie się ze mną spotykał. Dzwonił do redakcji: - Juruś? Tu Miruś!... Za kwadrans w „Kameralnej” na Foksal!...

Przed wejściem dość często w pozie grzesznika spowiadał mi się ze swej lekkomyślności: - Gdyby nie ta „Kamera” godziny spędzone tu na wysokich stołkach i ta kozetka na zapleczu, na której od czasu do czasu „odpoczywałem” stałby dziś na Foksla mój „Mercedes” z zawodowym kierowcą. A tak, za roztrwonione przez mnie „dudki” własnymi „Trabantami” podjerzdzają tu barmani i kelnerzy. Juruś wybac, ale ja się chyba zastrzelę!...

Teraz we Wrocławiu, tylko my dwaj, w „tango” nie idziemy, wolimy pograć w karty. Od lat mamy taką niepisaną umowę: walczymy tak długo, dopóki któryś z nas nie wygra trzech – kolejnych partii. To się rzadko zdarzało, niekiedy nawet noc była za krótka. Znowu szliśmy „łeb w łeb”.

Nad ranem zadzwonił telefon, Miruś podniósł słuchawkę :

– Dzień dobry obywatele dziennikarze. Po drugiej stronie podoficer dyżurny. Pobudka! Pobudka! Czas na śniadanie!... Czy pana kolega też już wstał?

– Tak, od stołu... Właśnie kończymy grę w karty. Dziękujemy za informacje. Jesteśmy gotowi... Czuwamy tu całą noc...

Niecały rok później na jednej z imprez centralnych w Kijowie Janek Wojdyga i ja z „PS” oraz zastępca redaktora naczelnego „Sportu” Katowice Leszek Drapiński poznaliśmy prawnuczkę wielkiego ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki. Romantyczna dusza, pokochała twórczość Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Aleksandra Puszkina. Z pamięci recytowała duże fragmenty „Pana Tadeusza”, „Grażyny”, „Kordiana”, „Eugeniusza Oniegina” i... twórczości pradziadka. Elena Szewczenko mieszkała w Darnicy pod Kijowem. Zaprosiła Polaków na herbatkę z samowaru, a potem poprowadziła na cmentarz, gdzie złożyliśmy kwiaty na grobach polskich żołnierzy z samodzielnego dywizjonu artylerii I Armii WP.

Z wizytą do Eleny zamierzaliśmy pojechać taksówką, ale przed hotelem „Dnipro” długa kolejka, więcej chętnych, niż samochodów. Sprytny i oblatany w sowieckich realiach Janek Wojdyga dosłownie za pięć rubli wynajął na tę wyprawę ciężarówkę pełną gruzów. „Gruzowik” już nie zupełnie „świeży” wytrząsł nas niemiłosiernie, ale dowiózł, gdzie trzeba. Wróciliśmy późnym wieczorem. W „gostinicy” rżnie ukraińska orkiestra, ale bawią się tylko jacyś obcokrajowcy. Śpiewają. Nadstawiamy uszy. Ryczą po niemiecku. Łyso nam się zrobiło, ale... na frasunek dobry trunek. Postanowiliśmy kupić butelkę „pircówki” i opróżnić w pokoju. Bo u prawnuczki Szewczenki alkoholu nie było.

– Pircówka? Butelka? – powtórzyła za nami barmanka.
– Można, ale tylko za zachodnią walutę.

Omiał nas szlag nie trafił. Jak oni nas traktują? Wygarniamy niezadowolenie „naczelnikowi” sali:

– W Darnicy Niemcy ubili wielu Polaków i Ukraińców, a teraz w „Dnipro” tańczą i śpiewają, jak i siebie w domu. Kąpią się w szampanie! A dla nas sojuszników nie ma nawet flaszki wódki?!

„Naczelnik” nieco się zmieszał, coś tam bąknął pod nosem, ale widać ruszyło go sumienie, bo kazał podać pół litra.

– Piat’ karbowańcow – chłodno oznajmiła kelnerka.

– O, kurwa! – wrzasnął Drapiński. – Znowu za dewizy!... Leżymy...

Janek uspokoił wystraszonego Leszka: - Karbowaniec – to taka dawna ukraińska złotówka.

∞ CZEŚĆ III ∞

LATA URODZAJU

Rozbrajanie Legii

Deyna – król Olimpiady

Lato w Monachium

Pozegnanie z Górskim

„Alchemia” pana Gmocha

Koleżeński... areszt

Syrenka dla Napoleona

„Gorąca linia” selekcionera

Na dywanie w „białym domu”

Kąpiel w gejzerze?...

Wojna na Malcie

Harce Bońka na Camp Nou

Lata sześćdziesiąte żegnaliśmy z mieszanymi uczuciami. Mocno wówczas nagłaśniane hasło „JAKIE KLUBY, TAKA REPREZENTACJA” niezbyt wiernie obrazowało faktyczny stan polskiego piłkarstwa. Wyżej ceniono drużyny klubowe. Sprawy i potrzeby drużyny narodowej tylko na papierze były najważniejsze. Reprezentacja przegrała zresztą kolejne eliminacje do mistrzostw świata, natomiast dwa nasze eksportowe kluby – Górnik Zabrze i Legia Warszawa kończyły rok 1969 awansem do ćwierćfinałów europejskich rozgrywek pucharowych. W naszych warunkach, słusznie określanych jako „**ni pies, ni wydra**”, ten wyczyn ligowców niewątpliwie cieszył. Znaczna część kibiców była więc usatysfakcjonowana.

Wyższość Legii i Górnika w naszej lidze nie podlegała dyskusji. Dość długo były to sukcesy niemal wyłącznie na użytek wewnętrzny, bo poza wygraną zabrzan w roku 1967 z Dynamem Kijów, a nieco później wojskowych z TSV 1860 Monachium, pozostałe starty tych i innych drużyn na arenie międzynarodowej kończyły się niepowodzeniem. W roku 1968 nasze barwy w Europie obok Górnika miał reprezentować „układowy mistrz” Ruch Chorzów. Co by te kluby osiągnęły, nie wiemy, bo akurat wtedy znowu na teren piłkarstwa wkroczyła polityka. Ruch wylosował Saint Etienne, a Górnik Altay Izmir, jednak po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, UEFA wszystkim reprezentantom bloku wschodniego zmieniła losowanie. Ruch miał grać teraz z Dynamem Kijów, a Górnik ze Spartakiem Sofia. Nasz duet, POD NACISKIEM WŁADZ PAŃSTWOWYCH, wycofał się z tych rozgrywek.

Zdecydowany atak Legii i Górnika na europejskie pozycje nastąpił dopiero w następnym sezonie. Jesień 1969 była bardzo pogodna

zarówno dla mistrza, jak i zdobywcy Pucharu Polski. Legia, po sukcesie w meczach TSV 1860, wygranej z Ruchem – mistrzem 1968 aż 6:2 i udanej wyprawie do USA, nabrała odpowiedniego szlif i pewności siebie. Trener Edmund Zientara niemalże katorżniczą pracą wzbogacał te wszystkie wartości, które w latach 1966 – 1969 zaszczepił legionistom Jaroslav Vejvoda. Zespołowość, dobra kondycja fizyczna i żelazna dyscyplina taktyczna – to były największe atuty ówczesnego mistrza. W efekcie w reprezentacji Polski grali wtedy nie tylko wciąż młodzi: Deyna, Gadocha, Żmijewski i Blaut, lecz także już 35-letni Lucjan Brychczy.

To właśnie ten kwintet wsparty głównie bramkarzem Władysławem Grotyńskim, obrońcami Władysławem Stachurskim i Antonim Trzaskowskim oraz bramkostrzelnym Janem Pieszka zmiotł w pierwszej rundzie Pucharu Mistrzów rumuński UT Arad. W drugiej turze legionieści dwukrotnie pokonali znanego w całej Europie reprezentanta Francji Saint Etienne. Bohaterem obu tych spotkań był przede wszystkim Kazimierz Deyna. Zresztą, cały sezon 1969 należał do legionisty, tak w klubie, jak i w reprezentacji. PIŁKARZ ROKU!

Rewanżowy mecz Legii z Rumunami w Warszawie olśnił widownię. Zwłaszcza druga połowa była rewelacyjna. Zdruzgotała rywala iście kawaleryjska szarża wojskowych. W ciągu 36 minut osiem (!) przepięknych bramek zdobyli: Gadocha (2), Blaut, Brychczy, Deyna, Pieszko, Stachurski i Żmijewski. Uczta piłkarska! Rozpromieniony Jacek Gmoch odkrył przede mną całą swoją piłkarską duszę: *„Po przerwie gra Legii przypominała piłkarski poemat. O takich bramkach, jakie zdobyli moi koledzy, czyta się tylko w fantastycznych opowieściach”*. W dobrym stylu wojskowi wygrali również kolejny „mecz prawdy” z Ruchem Chorzów. Łatwe 3:0 potwierdziło ich duże umiejętności i mocny charakter; dało tytuł mistrza jesieni.

Górnik Zabrze był godnym rywalem legionistów. Te dwa kluby tworzyły trzon reprezentacji. Tu wzloty przeplatały się z upadkami, klasa jeszcze nie ugruntowana. A jednak mecz Polska – Bułgaria, wieńczący Złote Gody PZPN, właśnie dzięki górnikom: Kostce, Latosze, Ośliźle, Szoltyśkowi i Lubańskiemu oraz legionistom Deynie i Żmijewskiemu do łez wzruszył nie tylko „świadka koronnego”. Oglądałem i opisywałem w „PS” jedno z najwspanialszych spotkań w historii naszej reprezentacji. Jak relikwie przechowuję unikalną fotkę z tego meczu. Duet Deyna – Lubański w braterskim uścisku żegnają Stadion Dziesięciolecia. Bije z ich oczu radość i narodowa duma. Splatają się ich ręce, łączą dusze i serca. Przyjaciele!

Górnik rok 1969 w rozgrywkach o Puchar Europy Zdobywców Pucharów również zakończył pełnym sukcesem. Wilczek, Skowronek, Szoltyśk i Banaś (2) strzelili w Zabrzu „dzieciom Pireusa” pięć bramek. W drugiej rundzie Górnik dwa razy po 3:1 pokonał Glasgow Rangers. Pomocnik Olek znowu udowodnił, że ma „podwójne płuca”, a Lubański – dynamit w nogach. Zatem Górnik i Legia w ćwierćfinałach! Informowałem na łamach „Przeglądu Sportowego”, że dzień ten przejdzie do historii naszych drużyn klubowych. Legia we Francji, a Górnik w Szkocji odniosły niezaprzeczalny sukces. Na tym nie koniec! Wczesną wiosną 1970 roku nasz „eksportowy duet” zapowiada dalszy zwycięski marsz przez boiska Europy.

SPÓR O DEYNĘ

Górnik już był silny, ale planował kolejne wzmocnienia. Ambicje kierownika sekcji piłkarskiej mgr inżyniera Franciszka Gładycha sięgały zwycięskiego finału w Pucharze Europy Zdobywców Pucharów. Natomiast Legii groziło duże osłabienie. Pojawił się tzw. „casus Deyny”. Biły się o niego trzy kluby: Legia, ŁKS i właśnie Górnik. Wprawdzie Kazio publicznie oświadczył, że zostaje w Warszawie i nadal będzie bronił barw Legii, ale w Łodzi i Zabrzu starano się go odwieść od tego zamiaru. ŁKS, powołując się na obowiązujące wówczas przepisy, słusznie domagał się powrotu Deyny do Łodzi. Przepis był jednoznaczny: ... *„Do dalszej gry w klubie wojskowym po zakończeniu bieżącej służby uprawnia tylko zgoda stowarzyszenia macierzystego”*. O wolnym transferze do trzeciego klubu paragrafy milczały. Na łamach „PS” starałem się rozwikłać ten problem.

Jesienią 1967 roku Kazimierz Deyna, jako poborowy, trafił do Legii z ŁKS-u. Wprawdzie w łódzkich barwach rozegrał tylko jedno bezbramkowe spotkanie i to właśnie z Górnikiem Zabrze, ale nie ulegało wątpliwości, że jego macierzystym klubem w końcu 1969 znowu był ŁKS. Znałem Deynę już dość długo, z centralnego szkolenia młodzieży i pierwszych spotkań w reprezentacji juniorów. Kochał piłkę nożną i marzył o sławie. Jego droga do futbolu była jednak trudna, a jej początki nie tak błyskotliwe jak Lubańskiego. U Włodka dostatek i nienagane wychowanie, u Kazia bieda i obawa o jutro. W domu ledwo wiązano koniec z końcem. Chłopak był wychudzony, sylwetkę

miał nie tak zgrabną jak jego rówieśnik. Wierzył jednak, że futbol ułatwi mu awans społeczny i wyjście z małego miasteczka w szeroki świat. Rodzina też żyła nadzieją na udaną karierę prowincjonalnego kopciuszka.

Zaczął od rozgrywek o Puchar Michałowicza. Byłem przy tym, widziałem te niełatwe początki. Talent, to nie wszystko, trzeba jeszcze by się na nim poznano. Deyna przez jakiś czas nie był właściwie postrzegany przez niektórych działaczy i trenerów. Na szczęście był Wiesław Motoczyński (jak on, to i ja!) oraz trener reprezentacji juniorów Jerzy Słaboszowski i współpracujący z nim wtedy Leszek Jezierski. Dostrzegliśmy w grze Deyny coś, czego inni nie widzieli lub nie chcieli widzieć. Odkryjmy całą prawdę. Na zgrupowaniach kadry juniorów Kazio był niekiedy przedmiotem żartów. Jego nieskoordynowane ruchy i nieco pokraczny start do piłki denerwowały pseudoznawców. Obiekcje miał nawet trener Antoni Brzeżańczyk.

„Grubeńko” Słaboszowski jednak uparcie twierdził, że *„Deyna – to piłkarz niekonwencjonalny, ma ogromny dar improwizacji. Kiedy zmężnieje, popracuje nad sobą i pozna dorosłe życie, zadziwi wszystkich...”* Fakt, z niektórymi elementami techniki był jeszcze na bakier, ale umiał znaleźć sobie miejsce w drużynie, intuicyjnie wyczuwał, gdzie pobiec, komu podać, kiedy strzelić. Zaczynał jako środkowy napastnik. To nie była jego pozycja, choć niektórzy trenerzy upatrywali w nim łowcę bramek. Błąd. Nie miał szybkości Włodka Lubańskiego, za to mnóstwo innych atutów: ambicję, odwagę, zmysł dyrygenta, niekonwencjonalne zwody i strzały.

Grał inaczej, niż większość rówieśników, twórczo, na pograniczu ryzyka, bez kompleksów, widowiskowo. Po ligowym debiucie Deyny w Łodzi, napisałem w „Przeglądzie Sportowym”: **„Przyjemnym**

zaskoczeniem w meczu ŁKS – Górnik była zupełnie poprawna gra niedawnego juniora – Deyny. Szybkość reakcji i dobre opanowanie piłki, łatwość uwalniania się od przeciwnika i dokładne przekazywanie piłki partnerom – zjednały Deynie ogólną sympatię widzów”. Niespełna rok później podziwiałem reprezentacyjny debiut Kazia w meczu Polska – Turcja (8:0!) w Chorzowie. Wejście smoka, niemal równie udane jak w 1963 w Szczecinie pierwszy krok ku sławie Włodka Lubańskiego. Tak to widział trener Ryszard Koncewicz:

– Co zdecydowało, że powołałem Deynę na mecz Polska – Turcja? Widział na boisku znacznie więcej, niż inni. Tym się zdecydowanie wyróżniał. Miał też jeszcze jedną cenną zaletę – może niezbyt silny, ale celny strzał, mocno przy tym podkręcony, bardzo trudny do obrony. Chętnie strzelał z dystansu, sprzed pola karnego. Wcześniej tak dobrze robił to tylko Ernest Pohl. Obserwowałem Kazia na treningach. Ambitny, pracowity... Chciał być tak dobry jak Włodek Lubański...

Deyna robił błyskawiczne postępy. Właśnie już w roku 1969 w każdym calu, choć nieco inaczej, dorównywał Lubańskiemu. „Kaka”, bo tak w Legii nazywano Kazia (za słynne „rogale” i ruchy a’la „kaczka”), miał wyjątkowe szczęście, że trafił w stołecznym klubie na trenera Vejdowę oraz mistrzów drugiej linii – Brychczego i Blauta. Byli mu przyjaźni, dostrzegali jego zalety. Przy nich prawidłowo dojrzewał i wyrósł na wybitnego rozgrywającego, reżysera, dyrygenta, lidera drużyny – klubowej i reprezentacyjnej. Dostrzegł to nawet „Sport” Katowice, przyznał Deynie tytuł „Piłkarza Roku”, a „L’Equipe” po голу w Saint Etienne postawiła go na równi z Raymondem Kopą – drugi „Le General”. W konkursie – plebiscycie „Przeglądu Sportowego” zajął szóste miejsce.

Z takimi ocenami i opiniami w kraju i poza jego granicami wchodził Deyna w rok 1970. Stał się obiektem powszechnego zainteresowania i... przetargu. Nadal będzie grał w Legii czy wróci do ŁKS? Przejaskrawiono spór na linii mistrz Polski – klub drugoligowy. Przebąkiwano też o interwencji GKKFiT i „definitywnym zwolnieniu z urzędu”. Takie były wówczas przepisy, oficjalnie nie można było ani kupić zawodnika, ani sprzedać. Ale furtka była – porozumienie zainteresowanych klubów. Mimo kontrofensywy Górnika, ŁKS i Legia szybko się dogadały. Za jaką cenę? Dziś już mało kto to pamięta, jednak faktem jest, że „Le General” pozostał w Legii na kolejnych osiem lat. Czy dobrze zrobił? W tamtych czasach bezwzględnie tak – zarówno dla siebie, dla klubu z Łazienkowskiej i reprezentacji Polski. Nie urzekły Deyny większe środki „na zagospodarowanie” proponowane przez Górnika Zabrze. Przy Vejdovzie i Koncewiczu stał się piłkarzem klasy międzynarodowej.

Historycy piłkarstwa dość zgodnie twierdzą, że „czas sukcesów w naszym piłkarstwie to lata 1972 – 1982”. Otwiera ją złoty medal olimpijski wywalczony w Monachium, a zamyka trzecie miejsce na świecie zdobyte podczas Mundialu w Hiszpanii. To wszystko prawda, choć moim zdaniem należy tu mówić co najmniej o „12 latach urodzaju”. Wszystko co dobre, najlepsze w polskim futbolu, zaczęło się już dwa lata wcześniej. Legia i Górnik wiosną 1970 wdarły się do strefy medalowej europejskich rozgrywek pucharowych. To pierwsze znaczące sukcesy. Takich na krajowych boiskach dotychczas jeszcze nie było. W tej sytuacji cezura 1970 – 1982 jest niewątpliwie uzasadniona. Legia najpierw wyeliminowała Galatasaray Sztambuł – wszystkie trzy bramki strzelił wtedy już 36-letni Lucjan Brychczy (1:1 i 2:0), a potem zmierzyła się z późniejszym zdobywcą Pucharu Świata, Feyenoordem Rotterdam. Pierwszy mecz w Warszawie rozegrano w fatalnych warunkach

atmosferycznych, w dokuczliwym zimnie i na rozmokłym, grząskim boisku. Trudno było grać szybko i kombinacyjnie, czym zazwyczaj imponowała Legia przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Łatwiej było się bronić i taką właśnie taktykę przyjęli Holendrzy. Van Hanegem, Jansen i Hasil zagęścili środek boiska. Do akcji ofensywnych włączali się więc również obaj boczni obrońcy Legii – Władysław Stachurski i Antoni Trzaskowski. Oni też strzelali! Wszystko na nic. Jeśli nawet Gadosze, Żmijewskiemu, Brychczemu i Deynie udało się wymanewrować doskonale grającego reprezentacyjnego pomocnika Van Hanegema i silnego fizycznie stopera Izraela, to bezradni byli wobec rewelacyjnego w tym dniu bramkarza Treytela. Bronił bezbłędnie. Stąd puste bramki.

W Rotterdamie Holendrzy z doktora Jekylla przekształcili się w mister Hyde'a. Zaskoczyli Polaków atakiem wszystkimi siłami. Zaraz po rozpoczęciu gry celnie strzelił Van Hanegem, a w 30 minucie równie dobrze spisał się Hasil i losy meczu zostały praktycznie rozstrzygnięte. Legia próbowała odrobić straty, ale robiła to bez wiary w powodzenie. Grała apatycznie. To nie była ta sama drużyna, która przed kilkoma miesiącami wygrała w Saint Etienne. Piłkarze dziwnie poddenerowani, można było odnieść wrażenie, że myślami są gdzieś daleko poza boiskiem. Dopiero po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że ich podróż do Holandii znacznie odbiegała od normalności. Na granicy przyłapano kilku zawodników na niedozwolonym wywozie obcej waluty. Kulisy tego wydarzenia nie są powszechnie znane. Sugerowano, że komuś wyraźnie zależało na zahamowaniu przemarszu Legii przez europejskie boiska. Znamienna jest w tej kwestii wypowiedź stopera Feliksa Niedziółki w wydawnictwie „**Dzieje Karczewa barwami sportu opisane**”:

...„W Legii – Tosiek Trzaskowski, Władek Grotyński i ja trzymaliśmy się razem. Trio karczewskie bez nałogów, mogliśmy być wzorem dla innych. Wtedy żaden z nas nie pił i nie palił... Przełom, zwłaszcza w życiu Władka, nastąpił w czasie podróży na mecz z Feyenoordem do Rotterdamu. Za drobne przewinienie dewizowe poszedł do więzienia. Dziś nie wiem, czy śmiać się z tego powodu, czy płakać?...

Piłkarze rosyjscy i czescy z Dukli Praga już wtedy mieli własne konta dewizowe. My musieliśmy główkować, jak zdobyć parę dolarów i potem przywieźć z Zachodu jakiś drobiazg, prezent dla rodziny. Nie rozumiem, jak coś takiego, co spotkało Władka i Janusza Żmijewskiego, mogło się zdarzyć w Europie. To takie przykre i upokarzające. Sądzę, że na tej pokazówce komuś wyraźnie zależało. Potrzebna była prowokacja, więc ją sfabrykowano. Złamano kariery i życie wybitnych piłkarzy, ba – całą Legię strącono z piedestału!...”

A tak to widział w tym samym wydawnictwie Bernard Blaut:

...„Wyolbrzymiono drobne kłopoty dewizowe Grotyńskiego podczas wyprawy Legii na mecz do Holandii. Dziś, było by to małe piwo, ale na początku lat siedemdziesiątych urządzono z tego powodu niemłą pokazówkę. Władkowi stała się wtedy wielka krzywda i od tego momentu zaczęły się jego wszystkie późniejsze niepowodzenia. To wręcz niezrozumiałe. On nigdy nikogo nie zawiódł, zawsze można było liczyć na pomoc z jego strony, ale – gdy jemu powinęła się noga – w biedzie prawdziwych przyjaciół w pobliżu, wokół siebie już nie miał...”

Jak do tego doszło? Wiosna 1970 roku była wyjątkowo kapryśna: „*Kwiecień plecień, co przeplata, trochę zimy trochę lata*”. Zdecydowanie więcej było zimy, w Warszawie boiska nie nadawały się do treningu, zwłaszcza szybkościowego, co przed rewanżem z Feyenoordem

miało znaczenie decydujące. Wojskowi „łapali” formę nad kanałkiem piaseczyńskim, a górnicy z Zabrzea w Ameryce Południowej. Nierówne szanse. Trener Zientara, chcąc przeciwstawić się złośliwej aurze, wymusił na przełożonych wyjazd z drużyną do ośrodka wojskowego klubu z NRD, Vorwaertsu Berlin. I w tym momencie zaczęły się wszystkie nieszczęścia klubu z Łazienkowskiej, proces sądowy trenera i kilku zawodników. Więzienie dla sekretarza generalnego, Edwarda Potorejki. Mocny cios w psychikę. Legioniści grając tak dobrze, jak w niedawnych meczach z Saint Etienne, byliby w stanie pokonać także Holendrów. Tymczasem...

Pierwsze, jakże bolesne uderzenie, zadano legionistom już na lotnisku w Warszawie. Osobistej rewizji poddano kilku zawodników; szczególnie mocno „przetrzepano” Janusza Żmijewskiego i Władysława Grotyńskiego. „Jojo” stracił (na owe czasy) cały swój majątek, środki na zakup samochodu dla chorego ojca, z zawodu kierowcy. Władek w połowie, bo część towaru i dewiz zdołał sprytnie ukryć. Pozostali zawodnicy mieli dusze na ramieniu. „Czystych” w ekipie w ogóle nie było, każdy miał jakąś obcą walutę i coś do sprzedania. Grotyńskiego i Żmijewskiego chciano zatrzymać na lotnisku, dopiero interwencja kilku generałów w zielonych i niebieskich mundurach powstrzymała straż graniczną. Ale legioniści i tak polecili do Rotterdamu w kiepskich nastrojach.

– O przegranej z Feyenoordem – wspomina trener Edmund Zientara – zadecydowały względy szkoleniowo-sportowe, ale w jeszcze większym stopniu skaza na psychice. Zawodnicy poczuli się zastraszeni, więcej uwagi skupili na kłopotach, jakie ich oczekują po powrocie do kraju niż na meczu z Holendrami. Przed tym spotkaniem w ośrodku Vorwaertsu też była zima. Z konieczności częściej ćwiczyliśmy w

hali niż na boisku. Na zaprawę w cieplejszych krajach – w Hiszpanii lub we Włoszech nie było nas stać. W kraju odbierano to inaczej, sądzono, że Legia to bogaty klub, a my ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Kokosów nie było. Na Łazienkowskiej grali tylko ci, co wyróżniali się ambicją, silną wolą i chęcią doskonalenia umiejętności. W tym głównie upatrywali swoją szansę, a nie w pomnażaniu kapitału. Taka jest prawda o „wielkiej” Legii początku lat siedemdziesiątych?...

Prawda... Ale czy cała? Długo w środowisku piłkarskim Warszawy i Łodzi krążyła tylko oficjalna wersja GKKFiT, Legii i ŁKS w tzw. „sprawie Deyny”. Twierdzono, że kluby Legia i ŁKS po partnersku się dogadały i... „casus Deyny” definitywnie znika z łamów prasy. W rzeczywistości była to zaledwie część prawdy, całą znała tylko wąska grupa „wtajemniczonych”, w tym również trener Edmund Zientara. Po udanych meczach z Saint Etienne Kazimierz Deyna deklarował chęć pozostania w Legii, ale nie „za frytki”, jak to dziś przewrotnie określają niektórzy nasi ligowcy, lecz za wymierne korzyści materialne. Wówczas nazywano to „środkami na zagospodarowanie”.

Wymyślić taką formułę można dość łatwo, ale pozyskać środki na ten cel już znacznie trudniej. Kasa Legii była pusta. Ludzie dobrej woli, fakt nie często, jednak od czasu do czasu się pojawiają. Niegdyś Józef Ziemian uratował dla Legii Lucjana Brychczego, teraz „Andrzej” Zientara zdołał zatrzymać w klubie Kazimierza Deynę. „Kaka” kuszony znacznie lepszą ofertą Górnika Zabrze nie wykluczał przeprowadzki na Śląsk. Trener przekonał jednak piłkarza, że nie powinien zmieniać barw klubowych. Jakie miał argumenty?

- Widocznie odbiła mi „szajba” – wspomina tamte lata Zientara.
- Wyłożyłem pieniądze „na zagospodarowanie” Deyny z własnej

kieszeni. Nie bez podstaw uznano mnie za wariata, bo podobną rolę odegrałem w pozyskaniu do Legii Jana Tomaszewskiego, Lesława Ćmikiewicza i Tadeusza Nowaka. Opinie o potędze finansowej Legii można było między bajki włożyć. Wcześniej na pozyskanie Roberta Gadochy złożyli się niektórzy wyżsi oficerowie Ministerstwa Obrony Narodowej. Taki w rzeczywistości był wówczas wizerunek naszego klubu. Kolos na glinianych nogach...

Wścibscy oczywiście zapytali: - A skąd Zientara ma tyle pieniędzy? Ja wiedziałem. Na początku lat sześćdziesiątych przez pewien czas grałem, pracowałem, był też trenerem w Australii. A że nigdy nie piłem i nie paliłem, w ogóle stroniłem od pozasportowych rozrywek, sporo grosza zaoszczędziłem i... prawie wszystko to wpakowałem w utrzymywanie przy życiu drużyny piłkarskiej Legii. W połowie lat sześćdziesiątych przy kawie zwierzył mi się z tej australijskiej przygody.

- „Początek miałem fatalny, już w pierwszym meczu z grecką drużyną Hellas złamałem nogę. Rozpacz – pięć miesięcy bez piłki... Dopiero rok 1963 był pomyślny. Nogę wykurowałem i grałem w jednej drużynie z Wiesławem Jańczykiem z ŁKS i Edwardem Jankowskim z Górnika Zabrze. Raju w Melbourne tyle, co na lekarstwo, trzeba było twarzo pracować, tam nikogo nie obchodziło, że ktoś jest piłkarzem... Do roboty! Nie ma taryfy ulgowej!

Ja na przykład od ośmiu do dziesięciu godzin dziennie pracowałem w firmie samochodowej Leyland... Na szczęście, przed powrotem do Polski, byłem jeszcze trenerem Polonii Melbourne. To mnie nieco mocniej postawiło na nogi. Sporo zaoszczędziłem. O kraju i naszej lidze nie zapomniałem. Na dworcu głównym w Melbourne kupowałem „Przegląd Sportowy” i „Życie Warszawy”. Drżałem o losy Legii, bo był moment,

że groził jej spadek z I ligi. Myślałem o przyszłości, wierzyłem, że kiedyś będę trenerem na Łazienkowskiej i w potrzebie pomogę klubowi...”

Zientara pomógł klubowi nie jeden raz. Najpierw wykladał pieniądze z własnej kieszeni, co już było sporą lekkomyślnością, a później – również bez głębszego zastanowienia – pośredniczył w przedsięwzięciu, które w tamtych czasach uznano za grube przestępstwo. W roku 1971, tuż przed zakończeniem sezonu, menedżer Juliusz Ukraińczyk, wiedząc że w Legii „bieda aż piszczy”, zorganizował we Francji z udziałem wojskowych kilka towarzyskich spotkań piłkarskich. Chodziło w nich głównie o podreperowanie pustych kieszeni zawodników. Sęk jednak w tym, że Ukraińczyk nie mając na koncie niezbędnej gotówki, znaczną część umówionego wynagrodzenia, przekazał w... bryłce czystego złota.

Podjął je Zientara i przewiózł do Warszawy. Ktoś ze „spółdzielni ucho” oczywiście doniósł to do prokuratury wojskowej. Złoto zabrano, zawodnicy nie powąchaliby ani złotówki, a trener przez cztery miesiące – od października 1971 do marca 1972 roku – przesiedział w areszcie tymczasowym na Rakowieckiej. Wcześniej „posadzono” Grotyńskiego i Żmijewskiego. Wkrótce jednak z więzienia w Wojkowicach wyciągnęło Władka Zagłębie Sosnowiec i tam grał bez większych przeszkód, zaś Janusz jakimś równie przedziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się w Ruchu Chorzów. Tam mogli grać, natomiast w Legii – nie.

Trenera „resocjalizowano” do rozprawy. Oskarżyciel nie był w stanie pojąć, że jeszcze żyją na tym świecie tak nierozważni ludzie jak Zientara. Wykladać z własnej kieszeni tak duże pieniądze na kupno zawodników? Skąd je brał? Filantrop czy przestępca? Andrzej miał na szczęście odpowiednie „kwity”, potwierdzające legalność i wysokość posiadanej waluty. Oszczędności ulokował w Rotundzie na skrzyżowaniu

Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Tam były żywe dowody. To go uratowało, uniknął skazującego wyroku. Sprawę „przemytu złota” też wyjaśniono, bo – jak się okazało – zaraz po powrocie z Francji Zientara powiadomił o tej transakcji odpowiednie władze.

W Legii jednak już nie pracował. Losy Grotyńskiego i Żmijewskiego były podobne – obu usunięto z klubu. Na tej „czystce” wewnętrzne porachunki na Łazienkowskiej jeszcze się nie zakończyły. Sfabrykowano jeszcze jedną, już trzecią z kolei aferę. Teraz szczebel był już bardzo wysoki. Oskarżono i skazano, przypisując wyimaginowane przeróżne przestępstwa, także szefa klubu, pułkownika Edwarda Potorejki. Czepiano się drobiazgów z bieżącej pracy klubu i jego sekretarza generalnego, a także „błędów politycznych” z niedawnej przeszłości. W roku 1966 Legia obchodziła swoje Złote Gody. Wówczas to dzięki staraniom Potorejki Wojskowe Zakłady Graficzne w okazałym wydaniu książkowym opublikowały historię stołecznego klubu.

Właśnie w tym wydawnictwie dopatrzone się owych „błędów politycznych”. Szło o legiony, de facto twórcę klubu i prezentację wyższej rangi oficerów z lat międzywojennych, którzy wówczas patronowali Legii i przyczynili się do jej rozwoju. To zgubiło Potorejki, bo... działał „nie po linii i nie na bazie”. Teraz jest inne wojsko i tylko ich dowódcy zasługują na wyróżnienie. Dokonano więc swoistego harakiri – niemal cały nakład książki przeznaczono na przemiał. Nieliczne uratowane egzemplarze, to już były „białe kruki”, sprzedawano na bazarze Różyckiego na Pradze po 500 złotych za sztukę. A Potorejki na kilka lat osadzono w więzieniu. Być może cierpiał również za to, że zaraz po wojnie był adiutantem generała Józefa Kuropieski?... Też był „starej daty”, nie mógł więc być pupilem ówczesnej władzy. Trefny szef, to i przyboczny podejrzany...

Piłkarska Warszawa zaczęła się zastanawiać, co właściwie rodzi takie anomalie. Czy inicjatorzy „casus Legia” rzeczywiście kierowali się tylko troską o poziom sportowy i czystość moralną w naszych klubach? Dlaczego Grotyński i Żmijewski w Warszawie, w klubie wojskowym byli „spaleni”, natomiast na Śląsku i w Zagłębiu wręcz przeciwnie – mile widziani? A potem zatruto życie szefowi klubu i trenerowi! Długo panowała w tej sprawie „zmowa milczenia”. Dopiero po upływie kilku lat tu i ówdzie zaczęto sugerować, że te naganne praktyki można (i trzeba!) połączyć ze zmianami kadrowymi w kierownictwie PZPR. Partyjny i rządowy „desant ze Śląska”, jaki na początku lat siedemdziesiątych opanował stolicę, miał również w piłkarstwie ściśle określone plany. Legia – sportowy symbol Warszawy nie była dobrze widziana. Teraz do rangi „drużyny rządowej” wyniesiono Górnika Zabrze.

W gronie naocznych świadków tamtych wydarzeń zwłaszcza dziś uważa się, że była to dokładnie przemyślana prowokacja. Poszukiwano w drużynie mistrza Polski „ludzi do odstrzału” i znaleziono. Najpierw byli to dwaj piłkarze, potem ich trener, wreszcie ich klubowy przywódca. Wszystko prawidłowo, jakby drogą służbową, kolejno według szarży: od szeregowców poprzez dowódcę plutonu aż do szefa pułku. Efekt końcowy tej „czystki” dobrze wszystkim znany. Niemal w całym dziesięcioleciu 1971 – 1980 wojskowa Legia była w cieniu klubów cywilnych z Zabrze, Chorzowa, Bytomia i Mielca. Tam pieniędzy w bród, bo i CRZZ miał w tym swój interes, a na Łazienkowskiej wciąż finansowa bryndza. Nie pojawił się już taki drugi wariant z kasą, jak Zientara, który ciężko i uczciwie zarobione pieniądze miałby ochotę wydawać na sport. Legia wegetowała.

Edmund Zientara, choć mu tak okrutnie zaszargano opinię, niechętnie dziś wraca do tych nieprzychylnych mu wydarzeń. Nigdy i nigdzie nie szukał zemsty, rewanżu i wyrównania rachunków za poniesione krzywdy. Pogodził się z losem? Broń Boże, dążył jednak bardziej humanitarną drogą do zatarcia pomówień i bezpodstawnych oskarżeń. Uznał, że tylko rzetelną pracą, tak w piłkarstwie polskim, jak i zagranicznym jest w stanie ukazać swoją nietuzinkową osobowość i prawdziwą wartość. To człowiek futbolu w trzech wymiarach i w każdym wybitny – jako zawodnik, trener i działacz. Wielokrotny reprezentant Polski, mistrz w swoim fachu, jeden z najbardziej kompetentnych sekretarzy generalnych PZPN. Docenili to nawet ci, co go oskarżali.

– Dużo obywatel wie i potrafi. Ma czyste intencje. Proszę te wszystkie przykre przeżycia przenieść na papier i w formie wniosków złożyć w odpowiednich urzędach. Może to pozwoli uwolnić nasz sport od tego rodzaju nieporozumień i schorzeń.

Zientara przyjął tę ofertę w dobrej wierze i... jeszcze raz dał się „wpuścić w maliny”. Opracował dokument, który śmiało można by podnieść do rangi traktatu o dobrej robocie w naszym futbolu. Mądre te uwagi dotarły ostatecznie na biurko jednego z ówczesnych wicepremierów. Przejrzał to, przeczytał i na tym się skończyło. Nigdy nie ujrzały światła dziennego...

Rozprawa piłkarzy toczyła się w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej. Praktycznie cały proces z wypiekami na twarzy śledził znany wtedy sędzia piłkarski, Jerzy Hołub. Szczęściarz, bo o przepustkę było bardzo trudno. Nie bez podstaw mówiono potem: - *Gdzie diabeł nie może, tam Hołuba pośle*”. Jurek zapoznał mnie z klimatem i niektórymi szczegółami tej pokazówki. Podziwiał spokój oskarżonych, zwłaszcza

Władka Grotyńskiego. Podczas którejś z kolei odsłony tego upokarzającego spektaklu udało mu się (tak twierdzi) w czasie przerwy w rozprawie zadać oskarżycielowi tylko jedno, ale jakże ryzykowne pytanie: - *Dlaczego jest pan tak okrutny wobec tych piłkarzy?*

Prokurator jednoznacznie sugerował bliskie kontakty oskarżonych z grupą przemytniczą, z którą już od dość dawna współdziałali niektórzy koszykarze Legii. Władek Grotyński od początku do niczego się nie przyznawał. Na każde, nawet najbardziej perfidne zarzuty, miał własne zdanie. Często zwlekał jednak z odpowiedzią - grał na czas, pytał sędziego, czy może zajrzeć do notatek. Jeśli pozwolił, Władek otwierał wówczas grubachny brulion, ponad stukartkowy, coś tam wyszukiwał, sprawdzał i dopiero wtedy odpowiadał na pytania.

- Czy oskarżony sam, bez niczyjej pomocy, przemycał niedozwolone towary i dewizy?...

- Proszę wysokiego sądu, to ja już jestem oskarżony? Myślałem, że tylko podejrzany?... W sezonie grałem w piłkę nożną w Legii, a w zimie w Okęciu w hokeja na lodzie. Tam zaprzyjaźniłem się z pewnym bagażowym z lotniska. Czasami zupełnie nieświadomie pomagał mi nieco szybciej przejść przez komorę celną.

- W jakiej formie to czynił?

- Brał na wózek moją torbę...

- Mógł się pomylić...

- Nie mógł... Moja była „Adidasa”...

- Takich mieliście sporo w drużynie...

- Moja była tylko jedna... Żółta!

- A jak oskarżony wracał z przemytem do kraju?

- Szedłem zawsze „za cieniem”...

- Co to znaczy „za cieniem”?
- Tuż za kierownictwem ekipy... Generałów i pułkowników nigdy nie kontrolowali... Trzymałem się władzy...
- A oskarżony Żmijewski też tak sobie radził?
- Proszę wysokiego sądu, to „Jojo”, znaczy Żmijewski już też jest oskarżony? To dobry chłopak. Ciułał w różny sposób grosze na sprezentowanie choremu ojcu, kierowcy – samochodu osobowego... By mógł prowadzić prywatną taryfę...
- Gdzie oskarżeni zaopatrywali się w złoto?
- To zdarzyło się tylko raz, na tureckim bazarze... Jak graliśmy w Stambule z Galatasaray, to się tam wybraliśmy. Oczy nam oślepiło. Tyle złota!!!... Żal było by zrezygnować z takiej okazji. Mieliśmy trochę „zielonych”. Kupiliśmy...
- Wywóz dewiz jest zakazany.
- Proszę policzyć, ile granic przekracza piłkarz radziecki na przykład w drodze z Moskwy do Madrytu...
- Co to ma wspólnego z dewizami i oskarżonym? – oburza się prokurator.
- Ma, proszę wysokiego sądu... Zaraz to wyjaśnię, ZSRR, Polska, NRD, RFN, Francja, Hiszpania... Za każde przekroczenie granicy już w latach sześćdziesiątych Lew Jaszyn i jego koledzy otrzymywali po pięćdziesiąt dolarów... Mnożymy przez sześć granic... To razem trzysta!... A my w Polsce dostajemy po dwa „zielone” kieszonkowego... Przecież to kpiny...
- Czy tylko oskarżeni wywozili dewizy i kryształy...
- Wszyscy! I inne towary też... Tam za bezcen kupowaliśmy koszule, bluzki, sweterki, ortaliony... Trzeba było zarobić na życie...

W Legii nie było pieniędzy. Na premię za remisowy mecz z Feyenoordem w Warszawie składali się oficerowie... Wyszło po 608 złotych na osobę... Niektóre kluby cywilne za „puszczenie” meczu oferowały nam dużo większe pieniądze...

POLSKI FINAŁ NA PRATERZE

W Górniku Zabrze takich problemów nie było. Kłopot polegał tylko na tym, jak w miarę szybko i bez większego rozgłosu wzmocnić i tak już silną drużynę. Jak mocną? W kraju nawet trener Edmund Zientara uważał, że kadrowo Górnik jest lepszy od Legii.

– Zatem w czym przejawia się przewaga Legii nad Górnikiem?
– pytałem Zientarę.

– Górnik ma w swoich szeregach więcej wybitnych indywidualności. Weźmy pod uwagę choćby świadczenia tych klubów na rzecz reprezentacji. W doskonałym meczu Polska – Bułgaria na Stadionie Dziesięciolecia wystąpiło aż pięciu piłkarzy z Zabrza, natomiast z Legii tylko dwóch. A jednak w lidze Legia rzeczywiście jest lepsza. W sezonie 1969/1970 wygrała oba mecze z Górnikiem. Nasz zespół jest bardziej wyrównany i w tym tkwi jego siła. Gramy bez nagłych zrywów, równo, nie ma u nas „huśtawki formy”. Jesteśmy zgrani, tworzymy dobrze rozumiejący się zespół. Każdy na miarę swoich możliwości właściwie wykorzystuje swoje atuty. Ale musimy grać jeszcze szybciej i skuteczniej.

Właśnie tej szybkości i skuteczności zabrakło legionistom w meczach z Feyenoordem. Nie byli dobrze przygotowani do tej rywalizacji. Górnik Zabrze był w znacznie lepszej sytuacji.

Przede wszystkim Michał Matyas zastąpił Gezę Kalocsaia. Pojawiła się nowa jakość szkoleniowa. W drużynie na dobre zaaklimatyzował się Jan Banaś z Polonii Bytom, coraz częściej w podstawowym składzie grali Władysław Szaryński z Arkonii Szczecin i Hubert Skowronek ze Śląska Wrocław. Nie udało się ściągnąć do Zabrze Kazimierza Deyny z Legii i Andrzeja Jarosika z Zagłębia Sosnowiec, ale przeszli tam Jan Wraży z GKS Katowice i Zygmunt Anczok z Polonii Bytom, potem jeszcze Jerzy Wilim z Szombierek. To już prawie reprezentacja Polski! Takie były wtedy możliwości Górnika Zabrze, jego prezesa Eryka Wyry - w Ministerstwie Górnictwa dyrektora naczelnego kadr. Ten urząd i ta w nim wysoka pozycja prominenta ułatwiały zabrzanom ówczesne „transfery” i racjonalne szkolenie.

Klub nie miał żadnych kłopotów z należytym przygotowaniem się do ćwierćfinałów PEZP. Trener Matyas wykorzystał szansę „łapanie formy” na mecze z Lewskim Sofia w Ameryce Południowej. W idealnych warunkach – jak dla „PS” informował mnie telefonicznie „pan Michał” – górnicy trenowali, rozgrywali mecze i... odpoczywali. Kolumbia, Ekwador, Peru, Chile! Pięć tygodni w zupełnie innym świecie i kilka wartościowych wyników. Forma w górę! I sporo forsy do kasy klubu i kieszeni zawodników!

Procentowało to najpierw w bardzo wyrównanych meczach z Lewskim Sofia (2:3 i 2:1), no i przede wszystkim w arcydramatycznych pojedynkach z AS ROMA. Trzy razy 1:1 w normalnym czasie: w Rzymie, Zabrze i Strasburgu. Losowanie. Tu szczęście uśmiechnęło się do zabrzan. Jan Ciszewski, który relacjonował w telewizji wszystkie te mecze, mógł wreszcie w wielkim uniesieniu ogłosić całej piłkarskiej Polsce: – Orzeł! Górnik! Polska!... Górnik w finale Pucharu Zdobywców Pucharów Europy!

Decydujący mecz odbył się w Wiedniu na słynnym Praterze. Rywalem zabrzan był Manchester City. Zespół dobry, choć już nie tak mocny jak Manchester United. Zdobywca Pucharu Polski przegrał jednak 1:2. Manchester prowadził 2:0 po strzałach Younga i Lee'a. Bramkę dla Górnika zdobył stoper Stanisław Oślizło. Polacy przeważali. Anglicy grali zachowawczo, bronili wyniku. Rok później legioniści w Pucharze Mistrzów, a górnicy w Pucharze Zdobywców Pucharów, znowu reprezentowali w Europie nasze klubowe piłkarstwo. Wojskowi, choć osłabieni kadrowo wystartowali znakomicie – 4:0 z IFK w Goeteborgu i 2:1 w Warszawie. W bramce pojawił się Zygmunt Kalinowski. Teraz Legia wyeliminowała Standard Liege. Zwycięski rewanż w Warszawie (2:0) był – dotychczas – najlepszym występem polskiej drużyny w europejskich rozgrywkach pucharowych. Znowu ćwierćfinał!

W „Przeglądzie” kierowanym teraz przez Andrzeja Jucewicza „nie pasowałem do koncepcji ideologicznej”. Jeden z najaktywniejszych zwolenników „rewolucji kadrowej”, gdy nie przystałem na jego dyktat, najpierw pozbawił mnie kierownictwa w dziale piłkarskim, potem wyrzucił z redakcyjnego kolegium, wreszcie – w porozumieniu z dyrekcją wydawnictwa - dał kopniaka w górę. „Uzczęśliwiono” mnie szefostwem w miesięczniku „Piłka Nożna”. Zygmunta Głuszka, Magdę Jankowską, Jacka Samulskiego, Witolda Szeremetę, Wacława Koryckiego i Witka Duńskiego spotkał podobny los. Niby wszyscy awansowali, niektórzy kierowali nawet innymi redakcjami, ale prawdy ukryć się nie da – w „PS” zafunkcjonował system BMW. Padł dawny „Przegląd...” ceniony w kraju i w Europie. Z małymi wyjątkami zostali głównie B(ierni), M(ierni), ale W(ierni). Uzupełnili tę grupę bliscy znajomi „Juca”, głównie z redakcji

„Głosu Pracy”, „Sportu dla wszystkich” i „Sportowca”, gdzie wcześniej sam pracował.

Jucewicz w miarę szybko zaczął „doskonalić”, a właściwie obalać dotychczasową formułę gazety. Miała charakter przede wszystkim sportowy, wszak już sam tytuł do tego zobowiązywał, w tym mocno piłkarski. Teraz „Przegląd” coraz wyraźniej stawał się nadmiernie pryncypialny, upolityczniony, pseudopatriotyczny. Czołówki gazety pełne były wiernopoddańczych manifestów: **„Ślubujemy Tobie Ojczyzno”, „Sto lat dla Władysława Gomułki”, „Młodzież zawsze wierna Partii”** i dziesiątki podobnych sloganów. Tylko w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych równie dużo było tego rodzaju deklaracji. O piłce nożnej pisali teraz głównie zaufani naczelnego, a znajomość futbolu przez niektórych z nich była równa zeru. Z przekąsem mawiał wówczas były reprezentacyjny piłkarz i ligowy trener Władysław Giergiel: – *„Znają grę w piłkę nożną z okien pociągu pośpiesznego...”*

Trwała, nie tylko w ówczesnym „PS”, także w innych pismach sportowych i codziennych fascynacja osiągnięciami drużyn klubowych. To zrozumiałe, Górnik i Legia zaszły daleko, reprezentacja została w dołkach. Przy okazji jednak serwowano pomysły, które w naszych ówczesnych warunkach były zwykłą fanfaronadą. Biedakom odciętych od Zachodu kazano się wzorować na krezusach z Realu Madryt, Manchesteru United, Interu i Milanu. Dziś też jest to praktycznie niemożliwe, cóż zatem mówić o schyłkowych czasach Władysława Gomułki? Przy tak absurdalnych wizjach wobec klubów, zapomniano o sprawach istotnych dla reprezentacji. Tu i ówdzie stawała się dla ligowców kulą u nogi. W miesięczniku „Nasza Legia” pisano na przykład:

...Drużyny Legii i Górnika nie mają lekkiego żywota, bo do rozgrywek ligowych i międzynarodowych dochodzą świadczenia na rzecz kadry narodowej, co niewątpliwie rzutuje na tok klubowego szkolenia. A w „Sportowcu” Kazimierz Deyna wyznał z rozbijającą szczerością:

...W reprezentacji gra się z większą odpowiedzialnością i o większą stawkę. Ale za grę w klubach dobrze się płaci, natomiast w reprezentacji premie są symboliczne. Nic więc dziwnego, że człowieka ciągnie tam, gdzie można zarobić. Mecze klubowe stały się dla kibiców bardziej atrakcyjne niż reprezentacji... I na to nie ma rady. Taka jest aktualnie sytuacja w piłkarstwie europejskim...

Mówiono o bogatej nadbudowie, przemilczano naszą nędzną bazę. Miałem nieco inne zdanie w tej materii. „Naszej Legii” i „Sportowcowi” odpowiedziałem, że to **„Nie ta droga i nie ta granica”**. Byłem za priorytetem reprezentacji. Wtedy żyliśmy w innym świecie, w innych warunkach społeczno-ekonomicznych, w innym ustroju. Nakazy i zakazy siłą rzeczy ograniczały możliwości tworzenia silnych klubów. Smażyliśmy się wyłącznie we własnym sosie, zagraniczne transfery były pojęciem w ogóle nieznanym. W tej sytuacji całą sympatię przenosiliśmy na występy reprezentacji. Była ona dla nas wartością największą. Jesienią 1969 roku tylko przez moment wydawało się, że „biało-czerwoni” będą w Meksyku, a już radość i duma rozpieęły serca każdego kibica. Może wreszcie świat usłyszy „Mazurka Dąbrowskiego”? Realów i Manchesterów w systemie „realnego socjalizmu” nie zbudujemy, ale na dobrą reprezentację to chyba nas stać – takie było końcowe credo mojej publikacji..

Prezesem PZPN był wówczas Wiesław Ociepka. Wyszedł z klubu, sympatyzował głównie z Zagłębiem Sosnowiec, ale mój wywód

w sprawie roli reprezentacji wyraźnie przypadł mu do gustu. Polskie piłkarstwo wymagało zmian, reform, systematycznego zbliżania się do norm obowiązujących w Europie. Obowiązujący system był tu niewątpliwie hamulcem, zwłaszcza w kwestii zmian klubowych (transferów) i oficjalnego wynagradzania piłkarzy, bariery były bardzo szczelne. Ale na arenie międzynarodowej mogła zaistnieć drużyna narodowa, więcej - powinna być wizytówką polskiego piłkarstwa. W drodze „szczególnego wyjątku” – wtedy terminu dość często nadużywanego w PZPN - dla „Sportu” Katowice, właśnie na ten temat przeprowadziłem wywiad z prezesem PZPN, a w miesięczniku „Piłka Nożna” uznałem za konieczne wznowienie dyskusji o statusie piłkarzy. Czyści amatorzy, amatorzy państwowi czy zawodowcy?

PZPN już w końcu 1970 roku wydał głośny na owe czasy komunikat 20/70, traktujący właśnie o zmianie barw klubowych przez piłkarzy. Informowano, że *„każdy zawodnik może zmienić przynależność klubową, jeśli zwróci się o to pisemnie do swego macierzystego klubu”*. Może otrzymać: · zwolnienie definitywne · okresowe · wykreślenie (dwuletnia karencja) · skrócenie karencji · przeniesienie z „urzędu”. To ostatnie tylko w wypadku zmiany miejsca pracy, podjęcia pierwszej pracy po studiach, a także przejścia z klasy niższej do wyższej (maksimum dwóch z jednego klubu), jeśli decydują o tym względy szkoleniowe.

Znowu jakaś kazuistyczna filozofia, znowu jakieś „ni pies, ni wydra” i ani słowa o formach wynagradzania piłkarzy. W tej sytuacji wznowienie dyskusji na ten temat wydało mi się konieczne. Wypowiedzieli się działacze, trenerzy, dziennikarze. Pierwszy głos w tej sprawie na łamach kierowanego przez mnie miesięcznika „Piłka Nożna”

zabrał red. Mieczysław SZYMKOWIAK. Artykuł zatytułowany „ZAWODOWSTWO?...” miał charakter typowo dyskusyjny:

... Wszelkie porównania z czołowymi piłkarzami innych krajów są nie na miejscu. Nie ma w Polsce tradycji zawodowstwa, musielibyśmy startować z niższego pułapu, zatem zbyt wielka byłaby różnica w zarobkach piłkarzy z krajów kapitalistycznych i u nas. A skąd brać fundusze na wynagrodzenie graczy? Piłka nożna jest w naszym kraju jedyną gałęzią sportu nie dotowaną przez państwo. Ale nie oznacza to, że jest ona w pełni samowystarczalna. Większość klubów pierwszej ligi ma bilans deficytowy.

Uważamy, że u nas nie ma całego zespołu warunków niezbędnych do wprowadzenia zawodowstwa. Trzeba posiadać głęboką znajomość problemów ekonomicznych, organizacyjnych, prawnych, moralnych, aby wiedzieć, jakie to może pociągnąć za sobą konsekwencje. Ale trzeba też szczerze powiedzieć, że ze wszystkich krajów naszego obozu polscy piłkarze mają najgorsze – pod każdym względem – warunki. Należy im pomóc. Ten odcinek wymaga więc zmiany.

Kazimierz GÓRSKI (trener reprezentacji): - Nie stać nas na pełne zawodowstwo w piłkarstwie, ale nie możemy kroczyć utartymi szlakami, które zresztą nie zdają egzaminu. Jednak w naszych warunkach pełne zawodowstwo nie ma racji bytu. Myślę, że u nas najlepszym rozwiązaniem było by wprowadzenie w I lidze piłkarstwa kontraktowego. Widzę w tym dwojaką korzyść. Kontrakty jasno wyrażałyby formę organizacyjno-szkoleniowej zależności na linii klub – zawodnik, po wtóre – bardziej precyzyjnie określałyby obowiązki i prawa zawodników, a także ich potrzeby bytowe. Zawodnik, który zdecydowałby się na podpisanie kontraktu, musiałby bez żadnych zastrzeżeń poddać się

reżimowi treningowemu w klubie i narzuconego sportowego trybu życia i rzecz jasna, zawsze być do dyspozycji klubu.

Edward STRZELECKI (dziennikarz): – W Polsce nie ma warunków, umożliwiających na zdrowych, ekonomicznych podstawach realizację w piłkarstwie zawodowstwa według wzorów zachodnich. Ale u nas obecny stan jest chory. Nie znamy faktycznych potrzeb zawodników i możliwości klubów. A prawda jest taka, że norm ustalonych dla ogółu sportowców, nie można zastosować w stosunku do piłkarzy. Ilość tzw. dni startowych i dni treningowych jest w tej dyscyplinie sportu bez porównania większa, niż w jakiegokolwiek innej. Możliwości normalnej nauki i pracy, o czym mówi się w „prawach i obowiązkach piłkarzy” z lat pięćdziesiątych, są ograniczone. Dla uzdrowienia w tej kwestii stosunków dziś panujących, konieczne jest postawienie sprawy w kategoriach „płacę – wymagam”.

Ten sam dziennikarz, od lat zaprzyjaźniony z ówczesnym kierownictwem paryskiej „L'Equipe”, przedstawił swoje racje także w artykule „**A tak jest we Francji**”:

...Wszyscy najlepsi piłkarze przechodzą we Francji na zawodowstwo. Wynagrodzenie dobrego zawodnika sięga około 10 tysięcy franków. Ponadto piłkarz otrzymuje premie i ma prawo do sześciotygodniowego urlopu. Jeżeli chodzi o zmianę barw klubowych (transfery), to obowiązuje zasada, że nie kluby zawierają między sobą transakcję, lecz piłkarze podpisują dwuletnie umowy (kontrakty), po wygaśnięciu których wolno im przejść do innego klubu i ustalić z nim warunki finansowe.

I co bardzo ważne: około 30 procent dochodów klubów stanowią dotacje władz miejskich. Subwencje miejskie są regułą i zastępują bliżej nieokreślone i nie zawsze pewne wpłaty mecenasów prywatnych. Dalsze 10 procent dochodów wpływa do klubów ze stowarzyszeń kibiców. Podstawą egzystencji są jednak opłaty za bilety. Jakie z tego wnioski wypływają dla naszego piłkarstwa? Po pierwsze – zdecydowanego umocnienia w naszych warunkach wymaga pozycja Związku; musi mieć więcej uprawnień i możliwości faktycznego kierowania futbolem. Po wtóre – w obecnych czasach polskie piłkarstwo nie może być w pełni samowystarczalne. Musi korzystać z pomocy władz państwowych bądź miejskich. Po trzecie – niezbędne jest uregulowanie praw i obowiązków zawodników, a także klubów w sferze materialnej.

Na początku stycznia 1970 roku w „Przeglądzie Sportowym” jeszcze nie za bardzo chciało się wierzyć, że lada dzień nastąpi zmiana redaktora naczelnego. W środowisku już wielokrotnie (bezsukutecznie) wysyłano Edwarda Strzeleckiego na „zieloną trawkę”, przeto i tym razem puściliśmy te pogaduszki mimo uszu. A jednak nie były to plotki, teraz dni szefa rzeczywiście były policzone. Mocno zaatakowała grupa polskich hunwejbiniów, którzy również w kulturze fizycznej i prasie sportowej dzielnie sekundowali twórcom haniebnego „marca 1968”. Strzelecki odszedł z godnością, w ciszy, bez przekleństw na zły los, bez rozgłosu. Dano mu jeszcze szansę zorganizowania już piętnastego z kolei Balu Mistrzów Sportu. Pierwszy z jego inicjatywy odbył się w roku 1956 w pomieszczeniach Stadionu Dziesięciolecia. Czternaście z nich zaliczyłem w dobrym towarzystwie i zawsze w dobrej formie. Wszystkie w restauracji „Kongresowa” w Pałacu Kultury i Nauki. Niektóre z nich wspólnie z Leszkiem Cergowskim i Magdą Jankowską opisywałem na łamach „PS”.

Pierwszy Bal Mistrzów Sportu w „Kongresowej” upłynął w szczególnie miłej, radosnej i uroczystej atmosferze. Wszak Czytelnicy wyróżnili, a my nagradzaliśmy, głównie naszych olimpijczyków z Melbourne. Zima była wyjątkowo ostra, mróz siarczysty, stroje nie u wszystkich galowe, ale nikogo to nie zrażało, w Pałacu było ciepło i przytulnie. Oprawa na owe czasy fantastyczna: oświetlone plansze, karykatury sportowców, dobra orkiestra, kilka powabnie ubranych pań, wesolek Lech Cergowski w roli konferansjera. Stoliki ośmio- i czteroosobowe, także jeden jeszcze większy – prezydialny. Goście niemal wyłącznie ze świata sportowego, tak-jak przystało na formułę Balu.

Wtedy podejrzanych bogaczy jeszcze nie było, a i politycy tak bardzo nie pchali się na afisz. W ekskluzywnym barze niezłe jednak były trunki, nawet whisky, ale wszystko cholernie drogie. Na popitkę soki z prawdziwych owoców cytrusowych. Pokusa ogromna, ale kieszenie pustawe. Tylko nieliczni goście pędzili na wysokie stołki. Wracali już w tempie znacznie wolniejszym, rozluźnieni, uśmiechnięci, gadatliwi. Parkiet gładki jak lodowisko, łatwo się poślizgnąć i wpaść do fontanny. Ci, co mieli już nieco więcej w czubie, pociągali za sobą partnerki. Niezwykle widowiskowe kąpiele! Dość często kończyły się zapaleniem oskrzeli.

ROCK AND ROLL W „KONGRESOWEJ”

Pierwszy Bal w restauracji „Kongresowa” z różnych względów, nie tylko rozrywkowych, był wyjątkowy. Wciąż odczuwało się klimat „polskiego października”. Nieco więcej otwartości i luzu, większa swoboda i pewność siebie. Atmosfera zabawy we własnym domu,

choć w murach postawionych przez „starszego brata”. W iście pałacowej scenerii na własne oczy oglądamy, podziwiamy i oklaskujemy medalistów Igrzysk Olimpijskich w Melbourne. Najwięcej braw dla lekkoatletki Złotej Eli Duńskiej-Krzesińskiej i szablisty Jerzego Pawłowskiego. W ogóle „ówcześni Wołodyjowscy” uosabiali naszą tęsknotę za pełną wolnością i czynami bohaterskimi.

Jurek stał się w pewnym momencie duszą całego towarzystwa. Ożywił nawet najbardziej zmęczonych. Chwycił za rękę partnerkę, pociągnął na parkiet i zaczął z nią wywijać rock and rolla. Taniec nie nowy, u nas też już znany, ale jakość zupełnie inna, przywieziony z Australii, fascynujący! Mistrz białej broni, artysta na planszy, teraz na parkiecie ujawnia swoje talenty taneczne. Cała sala jego i pojętnej dziewczyny. Utrzymują dystans, zbliżają się ku sobie, pochylają, obracają, pracują ręce i nogi, całe ciało. Nikt inny na razie nie tańczy, tylko wlepia oczy w popisy olimpijczyka. Zakręca partnerką, jak żywą śrubką. Piruet na parkiecie. Tak niedawno na Torwarze popisywała się szwedzka łyżwiarka May Briet. Tworzy się kibicowski wianuszek głów wokół rewelacyjnej pary. Każdy chce to zobaczyć, każdy bije brawo. Mocno, z niesamowitą ekspresją przygrywa orkiestra. Ogniste zachodnie rytmy nie są już owocem zakazanym. Otwiera się na świat sportowa stolica.

Nagle z ogromnego koła ciekawskich, ściśniętych wokół fontanny, jak śledzie w beczce, łaknących atmosfery Melbourne, wioski olimpijskiej, przeżyć wolnych sportowców, wyrwała się i dołączyła do tańczącego duetu jeszcze jedna dziewczyna. Rock and roll we troje! Również w tym układzie Pawłowski radzi sobie doskonale. Cergo trąca mnie w ramię: – *Widzisz to, co i ja widzę?!...* Wytężam wzrok, oczy już nieco zmęczone, ale wrażenia ukryć nie mogą. Ta druga panienska fruująca

z szablistą po parkiecie, to jedna z koleżanek pracujących w naszej redakcji. Gdzie ona się tego nauczyła?!... Na kolejnych Balach w „Kongresowej” rock and rolla równie dobrze tańczył tylko Jurek Iwaszkiewicz.

Takich i wiele innych niespodzianek na Balach Mistrzów Sportu było znacznie więcej. Głównie stałym bywalcom zawsze dopisywał humor, nowi z reguły też dobrze się czuli, reagowali spontanicznie, ale byli też tacy, których paraliżowała trema. W połowie lat sześćdziesiątych przy jednym czteroosobowym stoliku biesiadowałem wraz z żoną w towarzystwie państwa Danieli i Edmunda Jaworskich. Mundka – sportowego omnibusa, utalentowanego boksera, nauczyciela wf, trenera lekkiej atletyki - znałem jeszcze z czasów niemieckiej okupacji i konspiracyjnych Szarych Szeregów, a później ze wspólnej gry w drużynie piłkarskiej HKS „SKAUT” Skierniewice.

Danielę, jego żonę poznałem dopiero w Warszawie. Była mistrzynią w rzucie oszczepem i dzięki tej sportowej maestrii zajęła dość wysoką pozycję w konkursie – plebiscycie „PS”. Wygadana, odważna, chwilami, jak „baba-chłop”, straciła jednak tupet, gdy miała wyjść na estradę i odebrać nagrodę. Mundek nie pił i nie palił, wiadomo – harcerz i prawdziwy sportsmen, ona też unikała alkoholu. Ale trema ją trzyma. Co robić? Uratowałem dziewczynę. W locie wypita ze mną po jednym głębszym i... nagle się rozluźniła. Tryskała humorem. „Wyborowa” pomogła. Wielu innym, spożywana w nadmiarze niestety – dość często szkodziła. Zmęczeni zasypiali w WC na sedesach lub prosto z baru trafiali do fontanny.

Bal Mistrzów Sportu w roku 1970 był dla mnie czternastym z kolei i praktycznie ostatnim. Stał się początkiem pożegnania z „Przeglądem” i „erą Strzeleckiego”. Najlepszym sportowcem Polski był wtedy sztangista

Waldemar Baszanowski, ale na liście „dziesięciu najlepszych” znaleźli się również dwaj piłkarze – na szóstym miejscu Kazimierz Deyna, a na ósmym Włodzimierz Lubański. Moi dobrzy znajomi. Najlepsi z najlepszych. Włodka poznałem w Gliwicach, gdy miał... 13 lat. Już wtedy późniejszy „Portugalczyk” Jurek Musiałek prosił mnie, abym zapamiętał tego chłopca. – To „cudowne dziecko” futbolu – powiedział. – Już bryluje w zespole trampkarzy. Kilka lat później na centralnym obozie juniorów wypatrzyłem Kazia. Nie ukrywam satysfakcji, wszak właściwie oceniłem ich talenty. Nie tylko na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byli w Polsce najlepsi. Dziś też nie mają równych sobie. Blisko „dziesiątki najlepszych” był wtedy także Andrzej Jarosik.

Piłkarz Zagłębia na moją prośbę odwiedził przed Balem 1970 naszą redakcję przy ulicy Mokotowskiej 24. Wspólnie z Waldemarem Baszanowskim i komisarzem plebiscytu red. Zygmuntem Weissem oraz Grzegorzem Aleksandrowiczem i Jerzym Lechowskim wziął udział w losowaniu zwycięzców, to znaczy Czytelników, którzy trafnie wypełnili swoje kupony. Mieliśmy dla nich drobne nagrody. O samochodach wówczas jeszcze nikt nie marzył, wygrać telewizor – to już było duże szczęście. Kuponów napływały dziesiątki tysięcy. Liczyliśmy je sami, odnotowując skrupulatnie, kto pierwszy na liście, a kto dziesiąty. Dane te, pełną dokumentację, przekazywaliśmy „profesorowi”, który sporządzał ostateczne podliczenia i... trzymał w tajemnicy kolejność na liście.

Kupony segregował w paczkach po 500 sztuk. Jedną z nich każdy z nas obowiązkowo musiał przeliczyć bezpłatnie, a za każdą następną otrzymywał 100 złotych. Rekordziści, bo w domu pomagały im rodziny, potrafili w ten sposób zarobić nawet tysiąc złotych. To była niezła „wierszówka”. Honoraria za liczenie kuponów wypłacano tuż przed

Balem Mistrzów Sportu. Również inne zarobki starano się przygotować na ten czas. Żeby można było w „Kongresowej” poszaleć... Niektórych nawet tak poważny zastrzyk finansowy nie zadowalał, więc dosłownie za pięć dwunasta grą w karty usiłowali zwiększyć kasę. Będzie jeszcze weselej! Każde starcie przy stole było dobre: kilka rozdań szybkiego pokerka, oczko (Zmarzlik z uporem mawiał – siebzehn und vier), grubo płatna karioka, nawet wariackie makao lub gra w „numerki” na banknotach. Obowiązywała jednak dżentelmeńska umowa – zwycięzca utrzymywał w „Kongresowej” przegranego. Gry singlowe były w tej sytuacji najpraktyczniejsze, bo ułatwiały rozliczanie.

Czasu na brydża nie było, bo w domu już czekały wystrojone żony lub zniecierpliwieni mężowie. Tworzyły się isticie wybuchowe pary entuzjastów „numerków” i makao. Mnie, jak to zwykł mawiać, najchętniej „na warsztat” brał fotoreporter Mieczysław Szymkowski. Przed tym moim ostatnim Balem miał jednak pecha, przegrał całą wypłatę. Po trzech błyskawicznych rozdaniach w makao, portfel i kieszenie Mietka były puste. W „Kongresowej” jadł niewiele, ale pił w barze do białego rana. Zrobiłem kiepski interes...

Najczęściej i najchętniej powiadamy, że „szczęście sprzyja lepszym” lub że „szczęściu trzeba pomóc”. Stare, zawile to prawdy, ale przecież wiecznie żywe. Na początku lat siedemdziesiątych, zaraz po klubowych sukcesach Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych, w polskim futbolu reprezentacyjnym pojawiło się kilku ludzi, o których zaczęto mówić, że „są w czepku urodzeni”. A to podobno synonim szczęścia i dzieło sił nadprzyrodzonych. Wtedy dało to PZPN-owi kilku nieco inaczej myślących prezesów i... charyzmatycznego selekcjonera.

Odegrali pozytywną rolę zwłaszcza w ożywieniu reprezentacyjnego piłkarstwa. Aż mi żywiej serce pikało. Wyniesiono tę nową falę do rangi „twórców sukcesów”. Za odwagę i próbę obalenia stereotypów! Nowi ludzie postawili na priorytet drużyny narodowej i rozumną współpracę z klubami. W poprzednim układzie personalnym było to praktycznie niemożliwe, a trener Koncewicz uparcie twierdził, że ligowcy nie pracują na miarę potrzeb reprezentacji. Prezesi bronili racji klubowych. To nie mogło się podobać. Czas apodyktycznego „Fajki” nieubłaganie się kończył. Kto go zastąpi?

Prezes PZPN Wiesław Ociepka, wtedy jeszcze średniego szczebla funkcjonariusz centralnego aparatu partyjnego, nie miał wątpliwości: postawił na Kazimierza Górskiego. Przemawiały za tym nie tyle osobiste sympatie i nieco inne spojrzenie kandydata na ówczesny futbol, ile jego dotychczasowe doświadczenie i sukcesy w pracy z niezwykle utalentowaną grupą zawodników z drużyny młodzieżowej. Poza tym Górski był ceniony w centrali za bezpośredniość, koleżeńskość i partnerski stosunek do działaczy, trenerów i zawodników. W końcu grudnia 1970 roku ogłoszono więc w PZPN stosowny komunikat.

...Prezydium PZPN postanowiło podziękować trenerowi kadry narodowej i kierownikowi Wydziału Szkolenia Ryszardowi Koncewiczowi za dotychczasową pracę i zwolnić go z dniem 1.XII.1970 roku z pełnienia tych funkcji. Równocześnie prezydium postanowiło powierzyć pełnienie obowiązków trenera reprezentacji narodowej i selekcyjnera trenerowi Kazimierzowi Górskiemu.

Decyzję tę jednak nie wszędzie przyjęto z entuzjazmem. Pojawiły się bałamutne opinie: - *„Powstaje po Koncewiczu próżnia, której łatwo i szybko nie da się zapęłnić”*. Nie mogłem się z tym zgodzić, ale na wszelki

wypadek pisałem ... „**Osiągnięcia Kazimierza Górskiego w nowej roli zależą w ogromnej mierze od życzliwości prasy, zrozumienia jego trudnych zadań przez opinię społeczną oraz właściwego stosunku działaczy, trenerów klubowych i samych zawodników do drużyny narodowej**”.

Niby nic tu nowego. Oklepane komunały i kolejne pobożne życzenia, ale przypomnieć to należało. Górskiemu potrzebny był dobry klimat dla pracy z reprezentacją, lepszy niż ten z czasów Koncewicza. Kierownictwo PZPN już to zapewniało, nowy trener kadry był jednoosobowo odpowiedzialny za selekcję, tworzenie drużyny i jej wyniki. Wątpliwości mogło budzić tylko całkowite odsunięcie Koncewicza do pracy w PZPN. Był przecież dobrym kierownikiem wyszkolenia. Intencje PZPN i tu były nowatorskie. Zmierzano do zapewnienia Górskiemu pełnej swobody w podejmowaniu decyzji. Angażując innego kierownika szkolenia, chciano przede wszystkim uniknąć „powtórki z historii”, kiedy to Koncewicz z tylnego siedzenia wpływał na pracę z reprezentacją Brzeżańczyka i Matyasa. Uznano, że takich praktyk zdoła uniknąć Jerzy Talaga. Każdy ma uprawiać własny ogródek.

Zbliżało się kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze PZPN. Czy podejmie zasygnalizowane problemy i będzie wreszcie skutecznie je realizować? Podsunąłem delegatom kilka „spraw do załatwienia”:

„Dobrych pomysłów i rozumnych koncepcji nigdy nie brakowało w środowisku piłkarskim, ale z reguły zawsze znacznie gorzej było z wcieleniem ich w życie. Powierzano te zadania złym działaczom, najczęściej hobbystom, a nie fachowcom. Nakazem chwili jest szybka zmiana dotychczasowych praktyk. Dość już mamy propagandowego

pobrzękiwania szabelką i pokrzykiwania, że „jakoś to będzie”. Nie będzie! Ludzie, którzy nie zdali egzaminu, ci wszyscy, którzy nie rozumieją nowej sytuacji, potrzeb piłkarstwa i swoich zadań, nie mogą liczyć na poparcie, muszą odejść z naszego Związku... Każdy działacz szczebla centralnego musi wreszcie nauczyć się współżycia z ludźmi i liczenia się z opinią szeregowych działaczy. Karierowiczów trzeba relegować z naszego piłkarstwa. Atmosfera w polskim futbolu jest zła, a społeczeństwo to dostrzega. Nie chce być biernym obserwatorem”.

Gdy spojrzy się na te uwagi dziś, kiedy sukcesów reprezentacji brak, a o dobrą atmosferę w polskim futbolu jest równie trudno jak wtedy, to wydają się być trafne i w dużym procencie ponadczasowe. Jednak nie wszędzie przyjęto je przychylnie. Na szczęście obrady Walnego Zgromadzenia PZPN, mimo że było ono „wyborcze”, przebiegały w nastroju zrozumienia i ożywczej fali. Prezesem ponownie został Wiesław Ociepka. Krytyczny referat sprawozdawczy i rozsądne nakreślenie „**Głównych kierunków natarcia PZPN w latach 1971 – 1974**”, wyraźnie wzmocniło nowe władze.

W latach 1956 – 1971 byłem pilnym obserwatorem wszystkich Zlotów – Zjazdów – Sejmików – Zgromadzeń PZPN. Właśnie to – z marca 1971 roku było moim zdaniem jedno z najlepszych w powojennej historii PZPN. Sprawy personalne nie były tym razem najważniejsze, ale dobrze przemyślane. Optowano za ludźmi światłymi, patrzącymi dalej i szerzej, niż własne podwórko, cieszącymi się w środowisku autorytetem i zdolnych do samodzielnego myślenia. Przepojonych duchem społecznej odpowiedzialności, a nie zapatrzonych tylko we własne kluby. Światli delegaci przyjęli ten kierunek ze zrozumieniem, natomiast ci z klapkami na oczach, zaściankowcy

i partykularyści poczuli się dotknięci. Byli jednak w mniejszości. Raziło ich wystąpienie Wiesława Ociepki:

... „Nie potrafimy przeciwstawić się niezdrowym, często wręcz szkodliwym tendencjom, wypaczającym czyste idee sportu. Piłka nożna jest w naszym kraju dyscypliną numer jeden... Niepokoi jednak występująca tu i ówdzie opieszałość, konserwatyzm i słaba operatywność w pracy, także w wielu ogniwach kierowniczych i prezydium Związku... Wizytówką, wykładnikiem poziomu i wartości naszego piłkarstwa jest reprezentacja... Istniejący w przeszłości konflikt na linii KLUB – REPREZENTACJA musi być ostatecznie zażegnany. W latach 1971 – 1974 wszystkie decyzje i poczynania PZPN muszą służyć poprawie poziomu i wyników reprezentacji. Nie brak w Polsce wartościowych piłkarzy. Nie wolno zaprzepaścić ich talentów!”

Kierownik wyszkolenia Jerzy Talaga, selekcjoner Kazimierz Górski i wkrótce jeden z jego asystentów Jacek Gmoch zacierali z zadowolenia ręce. Priorytet reprezentacji! Mnie osobiście przypomniały się czasy, kiedy zaczynałem pracę zawodową w „Przeglądzie Sportowym” i musiałem wysłuchiwać bzdurnych poglądów i równie szkodliwszych decyzji o zaliczeniu piłki nożnej do czwartej kategorii sportów w ludowej Polsce. Teraz sam prezes z klucza partyjnego oznajmia z trybuny zjazdowej, że „*piłka nożna jest w naszym kraju dyscypliną numer jeden*”. Słyszę to i myślę: - Ludzie kierujący tym sportem nie mogą być przypadkowi, przeciętni, niekompetentni.

Przywrócono należną rangę reprezentacji. Kazimierz Górski miał powody do zadowolenia, snuł optymistyczne plany: ...W najbliższych dwóch latach przed polskim piłkarstwem stoją dwa bardzo ważne zadania. Pierwsze – to zgodny z życzeniami opinii społecznej pomysły

udział drużyny narodowej w rozgrywkach o mistrzostwo Europy, drugie – to odpowiednie przygotowanie zespołu olimpijskiego do wstępnych spotkań eliminacyjnych z reprezentacją Grecji. Ambicją nas wszystkich jest awans piłkarzy do ćwierćfinałów mistrzostw Europy i udział „olimpijczyków” w turnieju finałowym w Monachium... Wspólne w Jugosławii zgrupowanie szkoleniowe drużyn klubowych Górnika i Legii oraz kadry narodowej wydaje się być właściwą formą rozwiązywana nieporozumień na linii klub – reprezentacja.

Co z tych planów udało się zrealizować? W eliminacjach mistrzostw Europy nasz zespół rywalizował z piłkarzami Albanii, NRF i Turcji. Od początku wiadomo było, że w tym towarzystwie o ewentualnym powodzeniu „biało-czerwonych” zadecydują mecze z Niemcami. W sytuacji, kiedy akcje Górnika i Legii wyraźnie spadły, ich składy się kruszyły i nie widać było postępów, trudności się piętrzyły. Górnik przeżył szczyt swoich możliwości w meczach z Romą, a Legia ze Standardem Liege. W roku 1971 swój udział w międzynarodowych rozgrywkach zakończyły na meczach z Atletico Madryt (Legia) i Manchesterem City (Górnik). Czy po tych potknięciach drużyn klubowych można będzie wreszcie mówić o „czasie reprezentacji”?

Ambicją Kazimierza Górskiego było odrodzenie ducha wśród piłkarzy. Tymczasem liga grała słabo. Zaczęło się równanie większości drużyn nie do Górnika i Legii sprzed roku, to znaczy w górę, tylko do ROW-u Rybnik i GKS Katowice – to znaczy w dół. Taki był ogólny ton wystąpień na tradycyjnej już posezonowej konferencji szkoleniowej. Podczas tej narady szczególnie pilnie wysłuchałem dwóch wypowiedzi:

Tadeusz FORYŚ (przewodniczący Rady Trenerów): ...Przed wszystkim zawiodły drużyny: Legii, Ruchu, Zagłębia Sosnowiec i Polonii

Bytom. To w efekcie pozwoliło zespołom Zagłębia Wałbrzych, Pogoni Szczecin, Szombierek i Stali na zajęcie tak wysokich miejsc w tabeli. Poza Górnikiem Zabrze we wszystkich drużynach widoczne są duże braki kadrowe. Legia ma dobrą tylko pierwszą jedenastkę i... zupełny brak rezerw. Zagłębie Sosnowiec w ogóle nie ma drugiej linii, Ruch – dobrej obrony, a Polonia Bytom – napadu.

Stanowczo za mało jest w naszej lidze wybitnych zawodników, wyszkolonych wszechstronnie i uniwersalnych. A ci, których mamy, w porównaniu z europejską czołówką, grzeszą brakiem szybkości i skoczności. Obserwujemy coraz gorszą grę bez piłki. Jeżeli uzmysłowimy sobie niedomagania z zakresu techniki i braki kondycyjne, to znajdziemy przyczyny źle realizowanych założeniach taktycznych.”

Kazimierz GÓRSKI (selekcjoner): ...Wiosną 1971 roku nie mieliśmy reprezentacyjnej drużyny na miarę naszych potrzeb. Gubiła punkty w mistrzostwach Europy, tylko „olimpijczycy” dość łatwo przeszli do następnej rundy eliminacji. Utwierdziłem się jednak w przekonaniu, że grając tak, jak dotychczas, mam tu na myśli zarówno sam sposób gry, jak i ustawienie zawodników na boisku, także ich formę, nasi piłkarze nie sprostają drużynie RFN. Schemat taktyczny 1+4+3+3 jest dziś już nieco przestarzały i zbyt przejrzysty, trudno więc takim wariantem zaskoczyć przeciwnika. Retusze w ustawieniu zawodników muszą pociągnąć za sobą zmiany personalne, jeśli chcemy i musimy grać inaczej i lepiej.

Będę stawiał na zawodników wszechstronnie wyszkolonych, ale tylko na tych i tylko wtedy, kiedy będą w dobrej formie. Stanowczo za dużo tkwi w osobowości naszych piłkarzy złych nawyków i skłonności do wygodnictwa. Nie mam zbyt dużego wyboru. Wśród napastników

wiosną w słabszej formie byli nawet: Gadocha, Jarosik i Wilim. Tylko kandydatury Lubańskiego i Banasia nie budziły żadnych wątpliwości. Zmiany personalne przewiduję głównie w obronie i drugiej linii. W obronie, obok Wrażego i Anczoka, chętnie widziałbym Gorgonia, Zygmunta i Musiała. A w pomocy?... Pewniakiem jest tylko Szoltysik. W nowym ustawieniu może zabraknąć miejsca nawet dla Deyny... Dla Blauta przewiduję szczególną rolę w drużynie: widzę w nim głównego kandydata do funkcji „libero”. Aby ustrzec się błędów, wszystkie te zamierzenia sprawdzę kilkakrotnie w spotkaniach sparingowych z drużynami zagranicznymi.

Dostrzeżone również przeze mnie „równanie w dół” oraz uwagi krytyczne Tadeusza Forysia i Kazimierza Górskiego potwierdziły tezę, że nie wolno zwalniać tempa pracy, bo łatwo można się stoczyć w przepaść. Dna piłkarze jeszcze nie osiągnęli, ale powodów do zachwytów też już nie mieli. Przed rokiem, po występie Górnika w finale Pucharu Zdobywców Pucharów „na salonach” Ministerstwa Spraw Zagranicznych zawodników z Zabrze uznano za „ambasadorów Polski w Europie”, teraz po kątach przebąkiwano, że był to li tylko przejaw błyskawicznie rozrastającej się „propagandy sukcesu”. Teraz trudno było by czymkolwiek się pochwalić.

Tak czy inaczej dobra w roku 1970 postawa Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych spotęgowała zainteresowanie polską piłką nożną. Pisanie o futbolu stało się modne, głównie napastliwe, bo to znacznie łatwiejsze, niż rzeczowa ocena. Coraz więcej było „fachowców”. Teraz niemal każdy, kto potrafił utrzymać w palcach długopis lub trafiać w klawisze maszyny do pisania, wygłaszał pseudonaukowe rozprawy o piłkarskiej strategii i taktyce. Starano się

pouczać trenerów klubowych, a nawet selekcjonera Górskiego. Wołało to o pomstę do nieba. Miał utrudnione zadanie, bo niemal cała liga zasmakowała w szkoleniowym *dolce far niente*. Nawet Górnik i Legia słabły w oczach. Narastała „huśtawka formy”, zawodzili nawet „pewniacy”.

W swoim debiucie w roli selekcjonera Górski na mecz ze Szwajcarią nie powołał więc do kadry Huberta Kostki, Jerzego Gorgonia, Władysława Stachurskiego, Adama Musiała, Bronisława Buli i Andrzeja Jarosika, a Zygmunt Anczok i Kazimierz Deyna zagrali dopiero w drugiej połowie. Ten pierwszy „wstrząs”, jak to określił Górski, był bardzo potrzebny. W Lozannie drużyna wzięła się w garść i pokonała Szwajcarię 4:2. Zwłaszcza po przerwie prezentowała się dobrze. Wtedy na lewej obronie bezbłędnie grał „Ana”, a w drugiej linii grę uporządkował „Kaka”.

BLASKI I CIENIE „WARIANTU RYZYKO”

Mała rewolucja kadrowa była wpisana w „wariant ryzyko”, jeden z podstawowych pomysłów pana Kazimierza na budowę reprezentacji. Zanim sięgnął z drużyną po złoty medal olimpijski w Monachium i tamże po trzecie miejsce w X Mistrzostwach Świata, wypróbował na różnych pozycjach (i z różnym skutkiem) aż 65 zawodników, w tym – to już zadziwia szczególnie – 13 kandydatów na pozycję „libero”. Dość często towarzyszyłem Górskiemu w tych selekcyjnych wędrówkach po w kraju, niekiedy także zagranicą. Nie zawsze jego decyzje w pełni przekonywały, ale taka była cena owego „wariantu ryzyko”.

Debiut krajowy w eliminacjach mistrzostw Europy był jednak już dość wyraźną zapowiedzią przyszłego „Wunderteamu”. Wrócili

do podstawowego składu: Anczok, Gorgoń, Musiał, Bula, Deyna, Maszczyk i Jarosik. Nadal jednak największy kłopot był z bramkarzami. Władysław Grotyńskiego wyeliminowały z kadry „wydarzenia na Okęciu”, Jan Gomola nie był wymarzonym kandydatem, Piotr Czaja przedwcześnie spasował, Hubert Kostka miał już swoje lata, a Jan Tomaszewski – dopiero dojrzewał do reprezentacji. Trener Górski nadal eksperymentował. Nawet mecz z RFN w Warszawie o mistrzostwo Europy był pomyślany li tylko jako interwał w drodze do „gry innej i lepszej”. W Stambule selekcjoner obserwował reprezentację RFN w meczu o punkty z Turcją.

... „Drużyna Helmuta Schoena – to klasa światowa! – powiedział. – Już sam wynik 3:0 dla gości mówi wiele, ale... nie wszystko. Zespół RFN gra na wskroś nowocześnie. Zachowując swoje tradycyjne cechy: waleczność, twardość, szybkość i skuteczność, Niemcy wnoszą na boisko pomysłowość i elastyczność, zaskakują nowatorskim systemem gry. Większość drużyn w Europie i na świecie nadal wzoruje się na „brasilianie”, tymczasem piłkarze NRF forsują ustawienie 1+1+4+3+2. Przypomina to na boisku kształt półksiężyca. Centralną postacią zespołu jest Franz Beckenbauer. To już nie tylko „wymiatacz” w dotychczasowym stylu, to także „libero” o znacznie szerszym wachlarzu zadań. Jest i piątym obrońcą i czwartym pomocnikiem, ale w zasadzie nie przekracza środkowej strefy boiska. Dużą indywidualnością jest bramkarz Sepp Maier, imponują też Guenther Netzer i Gerd Mueller. Pierwszy gra na całej długości boiska, a drugi – to sprytny, trudny do upilnowania egzekutor.

– Któremu z naszych piłkarzy powierzyłbyś opiekę na Muellerem?

– W tej chwili mam tylko jednego kandydata, Jerzego Wyrobka. On każde zadanie wykonuje bardzo solidnie. Jego konkurentem może być zdrowy Andrzej Zygmunt...

– A kto ewentualnie mógłby być „polskim Beckenbauerem”?

– Tu też widzę tylko jednego kandydata na nowoczesnego „wymiatacza”. Może nim być, oczywiście tylko w dobrej formie – Bernard Blaut. Zastanawiam się też, kto mógłby u nas spełniać rolę podobną do Netzera... Chyba tylko Leszek Ćmikiewicz... Są to jednak uwagi wyłącznie „na dziś”... Nie wykluczone, że „jutro” czyli w meczu z Polską w Warszawie, trener Schoen zaskoczy nas jakimś nowym wariantem taktycznym...

Prawda absolutna nie istnieje, są tylko prawdy obiektywne, ale i one dojrzewają powoli. Tak też było z „prawdą selekcyjną” Kazimierza Górskiego. Przykład teorii ewolucji. Przed meczem z RFN jeszcze nie za bardzo wiedział, na których zawodników może i powinien liczyć. Potrzebne były dalsze próby, eksperymenty. Samodzielne, bez podpowiedzi natrętnych doradców, Górski korzystał z pomocy wyłącznie osób dobrze znających temat. Ale i tu nie ustrzegł się błędów. Przed meczem z RFN z lamusa wyciągnął Stanisława Ośliżkę i Jerzego Sadka, natomiast pominął Blauta, Ćmikiewicza i – co wywołało największe zdumienie – Kazimierza Deynę. Wreszcie, być może nieco przedwcześnie, ale z konieczności zdecydował się na bramkarski debiut Jana Tomaszewskiego. Wiele osób skrytykowało „Tomka”, ale moim zdaniem powodów do rozpacz nie było.

Przed rewanżowym meczem z RFN w Hamburgu „biało-czerwoni” rozegrali jeszcze z Hiszpanią w Gijon pierwszy mecz z drugiej fazy eliminacji przedolimpijskich. Byłem na tym meczu, ale – już nie jako sprawozdawca „Przeglądu Sportowego” lecz od lat naszego największego konkurenta „Sportu” Katowice i... „Piłki Nożnej”. Skład z meczu z Niemcami został gruntownie zmieniony. Odpadli: Tomaszewski,

Oślizło, Musiał, Maszczyk, Bula, Sadek i Gadocha, a pojawili się: Marian Szeja, Antoni Szymanowski, Marian Ostafiński, Bernard Blaut, Kazimierz Deyna i... Grzegorz Lato. (Był to jego reprezentacyjny debiut). No i stał się cud. Wprawdzie olimpijska drużyna Hiszpanii, to nie pierwsza reprezentacja RFN, ale poprawa w grze naszej drużyny była widoczna, zrodziła się więc nadzieja na dobry wynik w Hamburgu. Pisałem po meczu Hiszpania – Polska na stadionie „El Molinon” w Gijon:

...Spośród wszystkich czynników określających dobrą grę drużyny, tym razem na czoło wybija się ogromna ambicja, wola walki i chęć rehabilitacji za dotychczasowe niepowodzenia. Warunki do gry nie były łatwe. W Hiszpanii zamiast słońca, ciepła i suchego boiska zastały nas deszcz, chłód i błoto. I w takich oto warunkach nasi piłkarze, zwłaszcza po przerwie, rozegrali dobre spotkanie. Co szczególnie rzucało się w oczy?

1. Bramkarz Szeja w całym meczu popełnił tylko dwa niewielkie błędy. Obok Ostafińskiego w roli „wymiatacza” i Gorgonia był najlepszy w naszym zespole. W sumie obrona w składzie: Szymanowski, Gorgoń, Ostafiński, Anczok stanowiła monolit.
2. Udane powroty Deyny i Blauta. Pierwszy najczęściej zagrażał hiszpańskiemu bramkarzowi Castro, drugi wniósł do drużyny dojrzałość i spokój. Wraz z Szoltyśikiem to solidna formacja.
3. Napastnicy grali nierówno, najbardziej od najlepszych odstawał Banaś. Jak zwykle największą indywidualnością był Lubański. Udany debiut Grzegorza Lata. Dobrze przyjęła go „starszyzna” reprezentacji. Skrzydłowy z Mielca zadziwił bojowością, młodzieńczym polotem i fantazją.

Byłem przekonany, że większość aktorów z Gijon wystąpi w meczu z RFN w Hamburgu. Nieodzowny wydawał się tylko powrót Gadochy.

Był kontuzjowany, ale podobno już wydobrzał. Pozostaje pytanie, kto na prawym skrzydle – Marx czy nowicjusz Lato? Tradycjoniści powiadają, że „nie należy zmieniać zwycięskiego składu”. Nigdy nie podzielałem tego poglądu, sprawia bowiem wrażenie zastygłego w formie i treści. Często demobilizuje trenerów i zawodników, hamuje rywalizację i ogranicza swobodę w poszukiwaniu jeszcze lepszych rozwiązań selekcyjno-szkoleniowych. Górski przed odlotem do Hamburga zawierzył aż dziesięciu zawodnikom ze zwycięskiego meczu w Gijon. Odpadł tylko Banaś, a ponieważ Gadocha wciąż odczuwał skutki kontuzji, przeto w ataku wystąpił tercet: Marx, Lubański, Lato. Błyszczą Włodek. Był to już jego 50 występ w reprezentacji Polski.

Po remisie w Hamburgu przyszła jednak kolejna przegrana o punkty w eliminacjach mistrzostw Europy i... smutna refleksja: - To za wysokie progi na nasze nogi... Teraz należało się skupić na grach kwalifikacyjnych przed Olimpiadą w Monachium. Kazimierz Górski, już znacznie bogatszy w doświadczenia, nadal eksperymentował. Znowu postawił na Huberta Kostkę, Jana Wrażego, Andrzeja Jarosika, Lesława Ćmikiewicza, Jana Banasia i Roberta Gadochę, zrezygnował tylko z Bernarda Blauta. Lukę po nim skutecznie łątali Jerzy Kraska z Gwardii Warszawa lub Zygmunt Maszczyk z Ruchu Chorzów.

Wśród wybrańców Górskiego nie było jednak ani jednego zawodnika z zasłużonej dla reprezentacji Polonii Warszawa i ambitnego Lecha Poznań. Przyczyna prosta. „Czarne koszule” wciąż wałęsały się po boiskach III ligi, a „Kolejorz” akurat w roku 1971 – po dość długiej kwarantannie – dopiero awansował do II ligi. W „Piłce Nożnej” podjąłem więc powszechnie akceptowaną inicjatywę „**Odbudujmy kluby z tradycjami**”, wszak między innymi gra toczyła się również

o Cracovię i Wartę Poznań. Cała czwórka trafiła do drugorzędnych zrzeszeń sportowych, ale Lech i Polonia niewątpliwie do najgorszych. Cóż bowiem kolejarskie zrzeszenie mogło tym klubom zaoferować? – Bezpłatne przejazdy koleją? Taki sponsoring nie stworzy warunków na odgrywanie przez te kluby sztandarowej roli w Poznaniu i Warszawie.

Miałem maleńką satysfakcję, że właśnie po moim obszernym reportażu z Poznania p.t. „**I znowu rusza lokomotywa**” Lech systematycznie zaczął piąć się w górę. Najpierw z trzeciej przeskoczył do drugiej ligi, a zaraz potem wrócił do ekstraklasy. – *„Mamy dobry klimat dla naszej pracy”. „Miejsce Lecha jest w I lidze”. „Teodor Napierata przywrócił w klubie atmosferę koleżeńskiej”* – mówili ówcześni działacze: prezes Wacław Drab, wiceprezes Stanisław Buczkowski i klubowa piłkarska rada trenerów w składzie: Edmund Białas, Zygfryd Słoma i Mieczysław Tarka. Ambitni i konsekwentni ludzie, „Kolejorza” wcześniej zwanego „bombardierami z Dębca”. Pięćdziesięciolecie klubu uczcili właśnie powrotem do ekstraklasy. Zapowiedziano budowę jeszcze silniejszej drużyny. Sportowy Poznań bardzo tego potrzebuje.

Po wygranej w Gijon nasi piłkarze o jeden dość duży krok zbliżyli się do turnieju finałowego w Monachium. Wiceprezesowi do spraw szkolenia Stanisławowi Nowosielskiemu nieco poprawiło to humor zepsuty kolejnym niewypałem w eliminacjach mistrzostw Europy. Dmuchał jednak na zimne. Obawiał się bowiem, zresztą nie tylko on, reprezentacji Bułgarii. Niedawno zamiast nas poleciała na finały Mundialu w Meksyku, teraz stoi na drodze do Monachium. Trener Kazimierz Górski obserwował w Sofii mecz Bułgaria – Hiszpania, wysoko wygrany przez gospodarzy i nie ukrywał, że był pod wrażeniem ich dobrej gry. Trudny orzech do zgryzienia.

Na razie cieszyły dwa punkty wywalczone w Gijon. Nasza reprezentacja wystąpiła tam w składzie zdecydowanie lepszym, niż w przegranym meczu z RFN w Warszawie. To był pierwszy powód do optymizmu. Decyzję o powrotach niektórych zawodników do reprezentacji i udanych debiutach w meczu z Hiszpanią Górski podjął z konieczności. Nie miał wówczas innego wyboru. Eksperymenty się powiodły. Teraz trener już dobrze wiedział, że Gorgoń, pewniak w środku obrony, może grać tam w parze nie tylko z Lesławem Ćmikiewiczem lecz także z Marianem Ostafińskim. Zwiększyła się też rywalizacja na flankach. Grzegorz Lato wyrastał na groźnego konkurenta Jana Banasia, Andrzeja Jarosika, Joachima Marxa i Mariana Kozerskiego.

Kłopoty w szybko zbliżającym się rokiem olimpijskim sprawiała tylko obsada bramki. Marian Szeja w Gijon nie grał źle, ale na dłuższą metę nie mógł być uważany za zbawienie dla drużyny narodowej, podobnie jak obaj bramkarze z Górnika Zabrze – Jan Gomola i Hubert Kostka. W tej sytuacji wbrew temu, co w kółko, aż do znudzenia przez wiele lat powtarzał Jan Tomaszewski, że wszyscy i wszędzie usiłowali go powiesić, w korespondencji własnej z Gijon dla „Piłki Nożnej” napisałem: **„Ze szczególnym zainteresowaniem będziemy obserwować dalszy rozwój kariery Tomaszewskiego”**. To dość wyraźnie kłóciło się z tezą „powszechnego zakładania pętli na jego szyi”.

Mimo że jesień 1971 roku przyniosła naszemu piłkarstwu znacznie więcej smutku, niż radości, świeżością powiało na niecodziennej uroczystości „PRZYRZECZENIE REPREZENTANTA”. Futbol przebił się do ław rządowych. Ówczesny wicepremier, Wincenty Kraśko tak postrzegał popularność, rolę i znaczenie piłki nożnej w naszym społeczeństwie: ... *„Jest szkołą charakterów, wytrwałości, dobrej pracy i co szczególnie ceni publiczność – pięknym sportowym widowiskiem. Wybitni zawodnicy, tacy – jak na przykład Lubański – są dziś cenieni na równi z wielkimi aktorami scen teatralnych... Nikt w naszym kraju nie wymaga od piłkarzy zwycięstwa za wszelką cenę, ale ma prawo mieć nadzieję, że każdy reprezentant Polski zawsze, w każdej sytuacji wywiąże się ze swoich zadań na miarę posiadanych możliwości...”*

Rok 1971 żegnałem w niecodziennej roli. Byłem już wprawdzie tylko „malowanym” reprezentantem Polski, selekcjonerem drużyny mediów, teraz stałem się najbliższym współpracownikiem, można by nawet powiedzieć asystentem – Kazimierza Górskiego. Niemalże w zimowej scenerii, wobec 25 tysięcy widzów, na stadionie Polonii Warszawa przy ulicy Konwiktorskiej odbył się od dawna zapowiadany mecz AKTORZY – DZIENNIKARZE. Z racji większej znajomości kolegów piszących i mówiących, mających przy tym wymaganą w środowisku umiejętność kopania piłki, znowu powierzono mi funkcję selekcjonera tej naszej medialnej reprezentacji. A jej trenerem był właśnie Kazimierz Górski. Opiekunem aktorów zaś Marian Łącz. Obsada sędziowska też budząca zaufanie: Bernard Blaut (główny), Kazimierz Deyna i Joachim Marx. Komentatorzy telewizyjni wybitni – Jan Ciszewski i Jacek Fedorowicz.

Widownia przepełniona, mimo że unieważniono wszystkie karty wolnego wstępu. Płatne bilety jak „świeże bułeczki”, wykupiono już

w przedsprzedaży. Bo też cel tej atrakcyjnej imprezy był wzniosły: dochód przeznaczono na budowę ZAMKU KRÓLEWSKIEGO. Bramki strzelali: Łącz i Jan Englert dla Aktorów oraz Hopfer i Kubiak dla Dziennikarzy. Nasz zespół dość długo prowadził 2:0, jednak ostatecznie – mecz zakończył się wynikiem remisowym 3:3. Widownia oklaskiwała przede wszystkim artystów. Najwięcej braw zebrali: Mieczysław Czechowicz, Jan Englert, Roman Kłosowski, Tadeusz Łomnicki, Bogdan Łazuka, Józef Nalberczak, Jerzy Ofierski, Jerzy Turek i oczywiście Marian Łącz – strzelec dwóch goli. To był jego stadion. Przed laty sporo bramek zdobył tu dla I-ligowej Polonii Warszawa.

Powoli wkraczaliśmy w Rok Olimpijski 1972. Na łamach miesięcznika „Piłka Nożna”: Grzegorz Aleksandrowicz, Ryszard Koncewicz, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak, w ścisłym porozumieniu z selekcjonerem – trenerem Kazimierzem Górskim, zaprezentowali autorską listę 35 najwybitniejszych polskich piłkarzy w 1971 roku. Wśród bramkarzy najlepszy – naszym zdaniem – był Jan Gomola (Jan Tomaszewski – piąty), obrońcom przewodził Zygmunt Anczok, pomocnikom Zygfryd Szołtysik (Deyna dopiero trzeci, przed nim Blaut), a wśród napastników zdecydowanie górował Włodzimierz Lubański, w ogóle najlepszy wtedy piłkarz w Polsce. (Lato w ataku już czwarty za Lubańskim, Marxem i Gadochą). Pierwszą drużynę narodową widzieliśmy w następującym składzie: GOMOLA-SZYMANOWSKI, GORGOŃ, OSTAFIŃSKI, ANCZOK – SZOŁTYSIK, DEYNA, BLAUT I – MARX, LUBAŃSKI, GADOCHA. Tuż za nimi plasowali się: Adam Musiał, Jerzy Wyrobek, Lesław Ćmikiewicz, Henryk Kasperczak, Bronisław Bula, Grzegorz Lato i Andrzej Jarosik.

Było z czego wybierać. A jak powinni grać ci najlepsi, by być w zgodzie z kanonami współczesnego futbolu i sprostać naszym ambicjom na arenie międzynarodowej? Postanowiliśmy udzielić w tej sprawie głosu wybijającym się zawodnikom na każdej pozycji.

Władysław GROTYŃSKI (bramkarz): ...By dziś dobrze bronić, to znaczy bezbłędnie, trzeba by mieć czworo oczu. To nierealne. A co jest możliwe, ba – konieczne?! Decydująca jest tu, obok własnych umiejętności, dobra współpraca, zrozumienie i zgranie z obrońcami. Trzeba im wybić z głowy zabawę z piłką przed własną bramką. To warunek wstępny powodzenia. Obecnie obrona strzału z odległości kilkunastu metrów nie sprawia bramkarzom większego kłopotu. Gorzej bywa z tym na polu karnym. Współczesny bramkarz musi umieć grać na przedpolu, a więc być również – obrońcą. Spoczywają na nas trzy podstawowe zadania:

1. Obrona strzałów lecących na bramkę.
2. Umiejętne kierowanie akcjami obrońców.
3. Rozpoczynanie akcji ofensywnych własnej drużyny.

Wszystkie te umiejętności osiąga się dopiero po nabraniu odpowiedniego doświadczenia w różnych meczach, a przede wszystkim na treningach. Bramkarz musi ćwiczyć znacznie więcej niż zawodnik grający na innej pozycji, kładąc przy tym nacisk na zajęcia specjalistyczne. Powinien unikać wykopów nogą, ponieważ 50 procent takich zagrań powoduje utratę piłki. Starać się wprowadzać ją do gry ręką... Dokładnie, nigdy na oślep!.

Zygmunt ANCZOK (obrońca): ...Będziemy rozwijać kurs na atak... Łatwiej jest wybić się w obronie niż w napadzie. Decydują tu określone warunki fizyczne, sposób myślenia i reagowania na przebieg gry...

Nie jest prawdą, że nagła zmiana pozycji np. z lewej na prawą nie sprawia zawodnikowi kłopotu. Dużą rolę odgrywają tu nawyki, przyzwyczajenia, elementy psychiczne. Dziś zadania obrońcy nie kończą się na odbieraniu przeciwnikowi piłki. Trzeba umieć współpracować z pomocnikiem lub napastnikiem, no i – co jest obecnie bardzo cenne – samodzielnie przeprowadzić akcję ofensywną, zakończoną strzałem lub centrami. A więc trzeba też umieć „wyjść na pozycję”. Nie ma teraz mowy o grze statycznej i jednostronnej...

Bernard BLAUT (pomocnik): ...Trzeba być także obrońcą i napastnikiem... Sądzę, że z trzech elementów, składających się na dobrą grę w piłkę nożną (technika, taktyka, kondycja), jeśli idzie o pomocników, na pierwszym miejscu trzeba postawić kondycję. Rozgrywających powinno być nie mniej niż trzech, ale nie więcej niż czterech. Jeśli było by ich jeszcze więcej, to gra w piłkę stałaby się „sztuką dla sztuki”. Nie było by bramek! Kiedy trzech pomocników, a kiedy czterech? Trzech w drużynie, która ma trzech pełnowartościowych napastników, a czterech w zespole – gdy takich atakujących jest tylko dwóch.

Nie przekonuje mnie podział pomocników na „ofensywnych” i na „defensywnych”. Dobry zawodnik tej formacji musi umieć dobrze wywiązywać się z obu tych zadań. Jeśli pomocnik gra tylko „defensywnie”, to staje się stoperem lub w najlepszym wypadku forstoperem. Myślę, że dotychczas najlepszą trójką pomocników (mowa o latach 1968 – 1970) tworzyli Brychczy, Deyna i Blaut. Wszyscy doskonale się uzupełnialiśmy. Brychczy – wielka strategia i doświadczenie, Deyna – młodość, żywioł i najwięcej cech ofensywnych. Blaut – spokój i duża umiejętność asekurowania obrońców. Napastnikiem starałem się być zawsze wtedy, kiedy nacierała Legia, a obrońcą – gdy atakował przeciwnik.

W reprezentacji – z uwagi na moją budowę fizyczną, cechy charakteru i umiejętności peryferycznego postrzegania – częściej spełniałem funkcje defensywne.

W drużynie narodowej Deyna i Szostyś strzelają sporo bramek, bo w drugiej linii mają nieco więcej swobody i często łatwiej im niż napastnikowi zaskoczyć bramkarza. Ale pomocnik przede wszystkim musi umieć dobrze przekazywać piłkę do napadu. Nie ma na to recepty „jak”, jest tylko pytanie „gdzie”? Skutecznie, tak – jak wymaga tego konkretna sytuacja. Raz będą to podania prostopadłe, kiedy indziej tzw. „krzyżowe”, po przekątnej, raz górą, raz dołem, krótkie, długie, podkreścone, z rotacją (z „falszem”), no i oczywiście – na dobieg. W naszej lidze takie szybkie akcje najlepiej opanowało trio: Szostyś – Wilczek – Lubański.

Włodzimierz LUBAŃSKI (napastnik): ...Do gry w napadzie trzeba mieć „smykałkę” i dobre warunki fizyczne. Być twardym jak obrońca. Podstawą są tu: duża szybkość biegowa, przebojowość, zmysł do gry kombinacyjnej, dobra technika użytkowa, no i przede wszystkim doskonała technika strzału. Ilu na to trzeba lat pracy? Miałem za ledwie jedenaście, gdy zaczęto mówić, że mam talent. Ale to nie wystarcza. Trzeba też mieć przy tym trochę szczęścia, do klubu, szkoleniowca, kolegów z drużyny, no i oczywiście samemu dużo i solidnie pracować. Powiadają, że ja, to typowy napastnik, a Deyna – typowy rozgrywający. Ale przecież Kazik też strzela bramki, a ja coraz częściej rozgrywam akcje z głębi pola. Czego nam brakuje, by równać się z najlepszymi w Europie? Jeszcze nie umiemy się wzajemnie asekurować. Nad tym musimy popracować...

W Europie jest obecnie dwóch doskonałych środkowych napastników – Johan Cruyff i Gerd Mueller. Wyżej cenię Cruyffa.

Mueller jest tylko „królem szesnastki”. Na polu karnym nie ma dla niego żadnych tajemnic. Tam ujawnia swój genialny „uniwersalizm ograniczony”. W głębi boiska jest mało widoczny, niewiele biega, ale w „szesnastce” jest arcymistrzem. Pozwala sobie na przestoje. Cruyff nie! On gra inaczej... Jest tylko nominalnym środkowym. Szuka gry na całym boisku... Jest napastnikiem w pełni uniwersalnym! To mój piłkarski ideał, wzoruję się na jego stylu gry. Cruyff z powodzeniem mógłby grać w każdej drużynie świata, natomiast Mueller, gdyby znalazł się w słabszej, niż obecna reprezentacja RFN, to mógł by mieć trudności. Styl gry Holendra jest bardziej widowiskowy i zmusza kolegów do biegania. Chciałbym grać tak, jak on...

Napastnik musi ćwiczyć strzały z każdej pozycji, także rzuty wolne i karne, uderzenia głową. Żadne podanie, obojętnie z jakiej strony boiska, nie powinno sprawiać mu kłopotów. Potem musi być strzał!... Podczas meczu walczy się z obrońcami, utrudniają zadanie. Aby ich przechytrzyć, na co dzień, w klubie, trzeba trenować i ćwiczyć strzały w... asyście obrońcy, który przeszkadza. Tak pracuje Gerd Mueller, ja próbuję tak trenować z Jurkiem Gorgoniem. Pomaga to w grze każdemu z nas. Trening strzelecki nie jest łatwy, w każde uderzenie trzeba „włożyć” odpowiednią siłę. I to tak do stu razy na każdych zajęciach... Norma Muellera sięga podobno dwustu. Kiedy, co trzeci strzał jest celny, wtedy wiem, że jestem w formie...

Mówię tu cały czas o środkowych napastnikach, a przecież w ataku grają także skrzydłowi. Teoretycznie mają do pokonania tylko jednego obrońcę, natomiast środkowy z reguły musi walczyć z dwoma stoperami. Ale z drugiej strony - na skrzydłowym spoczywają większe zadania defensywne. Musi pilnować obrońcę przeciwnika lub co najmniej utrudniać mu grę, starać się odebrać piłkę. Jednak skrzydłowy musi

przede wszystkim umieć rozegrać akcję z rozgrywającym i środkowym napastnikiem. W reprezentacji Polski na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium powinni grać klasyczni skrzydłowi. Ma takich zespół NRF i... jest mistrzem Europy.

W DRODZE PO OLIMPIJSKIE ZŁOTO

W roku 1972 przed naszą drużyną narodową postawiono zadanie odważne, ambitne i w przeszłości nigdy tak mocno nie akcentowane. Nowy prezes PZPN, Stanisław Nowosielski wypowiedział się jednoznacznie: - **Chcemy stanąć na podium!** Argumenty? Drużyna okrzepła, już widać udaną realizację koncepcji szkoleniowej trenera Górskiego. Zawodnicy i kierownictwo PZPN mają do niego pełne zaufanie. Pojedziemy do Monachium dobrze przygotowani. W pierwszej fazie praca piłkarzy była oparta o treningi w klubach, ostatnio „olimpijczycy” byli szkoleni centralnie. To dobre rozwiązanie, w naszych warunkach najwłaściwsze. Mamy więc prawo oczekiwać dobrych wyników...

Okazję do oceny pracy w dwóch czołowych klubach Legii i Górniku (trzon reprezentacji) mieliśmy już w końcu czerwca w finale Pucharu Polski. Wybrałem się tam w towarzystwie selekcyjera – trenera. Obaj mieliśmy zadowolone miny. Na własne oczy oglądałem niemal wszystkie powojenne finały Pucharu Polski. W latach pięćdziesiątych głównie z udziałem drużyn warszawskich, a w sześćdziesiątych – obok Górnika i Legii – także z udziałem Ruchu, Zagłębia Sosnowiec i Wisły Kraków, ale żaden z nich nie dorównywał dramaturgią i poziomem sportowym temu z 1972 roku. Ten był najlepszy!

W Łodzi, właśnie tuż przed turniejem olimpijskim, bodaj po raz pierwszy w takim wymiarze ukazała się nam piłkarska Europa! Górnik i Legia znowu zagrały wspaniale. Prawdziwa rewia polskich gwiazd piłkarskich, znowu wielkie bogactwo kadrowe. Niedawni reprezentanci Polski – Andrzej Zygmunt z Legii i Jan Wraży z Górnika siedzieli na ławie. Zastąpili ich jeszcze lepsi! Legia długo prowadziła 2:1, ale finisz Górnika, zwłaszcza duetu Lubański – Szoltyś był porywający. Mistrz wygrał 5:2, jedną bramkę zdobył „Mały”, a cztery Włodek. Forma olimpijska. Będzie Lubański królem Monachium? Trener Górski ocenił to wydarzenie krótko, ale dobitnie: - **„Wielki mecz! Piękny styl! Fantastyczny Włodek!...”**

Dobry przedolimpijski prognostyk. Będzie to kolejny rok sukcesów, teraz już w wydaniu reprezentacji? Uwertura też była obiecująca. Reprezentacja Polski juniorów po jedenastu latach bezpłodnych oczekiwań zdobyła wreszcie drugi w historii medal na turnieju UEFA w Hiszpanii. Młodzi Polacy zaprezentowali tam futbol daleki od taktycznej sztampy, szybki, błyskotliwy, prawdziwie polski polot i fantazję. Wszystkich obserwatorów zaskoczyło zwłaszcza wysokie wyszkolenie techniczno-taktyczne Polaków. Najlepsi z nich to: Płonka, Żmuda, Pawłowski, Lorens, Per, Garlej i Kapka.

Nasi olimpijczycy niemal wszystkie mecze na boiskach RFN rozegrali w ustawieniu: 1+(1+3)+3+3 lub 1+(1+3)+4+2. W debiucie pokonali Kolumbię 5:1, a w finale olimpijskim wygrali z Węgrami 2:1. Królem strzelców został Kazimierz Deyna, w czym mądrze go wspierał Włodzimierz Lubański. Turnieje olimpijskie w przeciwieństwie do innych wielkich wydarzeń piłkarskich były z reguły niżej notowane. Impreza w założeniu dość długo czysto amatorska. Tylko kraje z bloku

wschodniego zawsze delegowały na Igrzyska najlepszych zawodników. I dlatego wygrywały. Po wojnie tylko w roku 1948 złoty medal zdobyła Szwecja (druga była Jugosławia), ale już na pięciu kolejnych Olimpiadach triumfowali „państwowi amatorzy”: Węgrzy, reprezentanci ZSRR, Jugosłowianie i jeszcze dwukrotnie Węgrzy. W Monachium obok ZSRR, NRD, RFN, Danii i Brazylii, też byli faworytami. Polaków w tym gronie nie widziano. Obsada mocna, gwarantowała wyższy poziom sportowy, niż w Rzymie, Tokio i Meksyku.

I rzeczywiście tak było. Poza grupą faworytów w eliminacjach grupowych nieźle prezentowały się również reprezentacje Meksyku i Maroka. Zawiodła Brazylia. W grupie C wywalczyła tylko jeden punkt w bardzo wyrównanym pojedynku z Węgrami. Później liczył się wyłącznie kwartet: Polska, NRD, Węgry i ZSRR. „Biało-czerwoni” aby zdobyć złoty medal, musieli pokonać każdego z tych rywali. Zdaniem trenera Ryszarda Koncewicza o pierwszeństwie w grupie półfinałowej zadecydował mecz z ZSRR, a właściwie „trenerski nos” Kazimierza Górskiego. Wobec tego, że Andrzej Jarosik ociągał się z wyjściem na boisko, wprowadził do gry Zygfrieda Szoltyśnika. I „Mały” strzelił zwycięską bramkę!...

...Nietypowy był to mecz – twierdził „Fajka. – Po nieudanej pierwszej połowie, ci najbardziej niecierpliwi kibice w kraju i w Monachium, zaczęli się denerwować. Przegrana z ZSRR pozwoliłaby „tylko” na grę o medal brązowy. Mecz z Sowiecami z racji dramatycznego przebiegu wydarzeń na boisku był egzaminem dojrzałości, umiejętności i odporności nerwowej naszych piłkarzy. Na finiszu narzucili rywalowi swój styl i sposób walki. Nie potrafili się temu oprzeć wicemistrzowie Europy. Pokonaliśmy dobrą drużynę, dlatego uważam to za moment najważniejszy w całym turnieju.

Jednak skierowano po tym meczu dość ostre słowa krytyki pod adresem Lubańskiego. Ganiono go za to, że się cofa, że nie ma go w przodzie, że biegając wzdłuż i wszerz boiska, trwonił siły, zamiast czyhać pod bramką rywala na dogodną okazję do strzału. Chciano, by grał tak, jak Gerd Mueller, a Włodek marzył o stylu Johana Cruyffa. W meczu z ZSRR Lubański - moim zdaniem - wybrał wariant optymalny. W granicach pola karnego „sbornej” był bardzo pieczołowicie pilnowany przez stopera Kaplicznego. Miał tam mocno ograniczone możliwości rozwinięcia skutecznego ataku, więc „szukał gry” w głębi boiska i na flankach.

Co to dawało drużynie? Miejsce opuszczone przez Lubańskiego otwierało drogę do bramki Kazimierzowi Deynie, mógł strzelać z dystansu. Poza tym Włodek, cofając się w głąb boiska, pociągał za sobą Murtaza Churcifa i ograniczał częstotliwość jego strzałów na bramkę Huberta Kostki. Robił więc Lubański dokładnie to, o czym wcześniej rozmawiał ze mną na ten temat w „Piłce Nożnej”. Futbol jest grą dla sportowców mądrych, myślących, twórczych. Jest przede wszystkim grą zespołową! Te wszystkie wartości właśnie na Olimpiadzie w Monachium zaprezentował Lubański. Taka postawa typowego napastnika niewątpliwie ułatwiła Deynie zdobycie tytułu króla strzelców.

Mecz finałowy z Węgrami nie wywołał już tak dużego napięcia wśród naszych piłkarzy jak poprzedni. Po wygranej z ZSRR mieli już srebrny medal, staną na podium, zadanie – wykonane. Bez nerwów, obawy za krytykę, spokojnie można było teraz powalczyć o cel najwyższy – olimpijskie złoto. Takiej szansy w historii polskiego piłkarstwa jeszcze nie było. Piłkarze zagrali bez obciążeń, najlepiej jak potrafili i wygrali. Obie bramki w tym pięknym finale, chyba najlepszym z najlepszych,

zdobył Kazimierz Deyna, ale jakże skutecznie pomógł mu w tym Włodzimierz Lubański. Partnerzy. Dwaj nasi najlepsi piłkarze przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych!

Po monachijskiej wiktorii pod adresem piłkarzy posypał się istny grad pochwał. Red. Grzegorz Aleksandrowicz stwierdził, że grali „w stylu największych mistrzów”, Witold Dłużniak uwypuklił „elementy nowoczesności”, Jerzy Talaga podkreślił „rolę taktyki”, Jacek Gmoch „znaczenie rozpoznania rywali”, a sam główny twórca sukcesu Kazimierz Górski „wagę skutecznego treningu i biologicznej odnowy”. Ówczesny sekretarz generalny PKOl Tadeusz Breguła przyznał wreszcie, że *„piłkarze zasługują na wydatną pomoc Polskiego Komitetu Olimpijskiego, z której dotychczas zbyt często nie korzystali”*.

A jak na to wszystko zareagowali kibice? Telefonowali i pisali do redakcji: - „Często się mówi, nie bez racji, że pierwsza bramka strzelona przeciwnikowi, pierwszy udany skok lub rzut ma znaczenie psychologiczne. W taki właśnie sposób zwyciężył Władek Komar, pchając kulę po złoty medal już w pierwszej kolejce rzutów. Ale bywa też inaczej. Przecież w dwóch kluczowych meczach z ZSRR i Węgrami pierwszą bramkę strzelili nam przeciwnicy. Oni uskrzydleni, nasi w ich cieniu. A jednak polscy piłkarze nie załamali się, ich wola walki była silniejsza, niż chwilowe niepowodzenie. W imieniu wszystkich kibiców pragnę więc podziękować „złotym chłopcom” za tę niezłomną wolę zwycięstwa – pisał Florian Skonecki z Warszawy.

Jak to od kuchni było w Monachium? Jak się mieszkało i żyło w wiosce olimpijskiej? Czy panie równie mocno przeżywały ten niecodzienny sukces swoich partnerów? Długo rozmawiałem o tym wszystkim z Kazimierzem Deyną i jego żoną Mariolą:

– Kaziu! Mecze, bramki, zwycięstwa – to ważne... Ale ja przede wszystkim byłam ciekawa, jak żyjesz w tym Monachium?

– Mieszkałem na czwartym piętrze... W trzydziestym ósmym bloku, w jednym pokoju z Grzegorzem Lato. Przez ścianę sąsiadowaliśmy z Robertem Gadochą i Leszkiem Ćmikiewiczem...

– Często opuszczaliście wioskę olimpijską?

– Kiedy?!... Nie było czasu!... Treningi, mecze, przejazdy pociągiem... Takim szczęśliwym „Sonderexpressem”. Tylko trzy razy byłem w mieście.

– A jak spędzałeś wolne chwile?

– Odpoczywałem... dużo odpoczywałem. To nie był łatwy turniej. O tym, co dzieje się na Olimpiadzie, dowiadywałem się z gazet. Hubert Kostka tłumaczył nam opinie prasy. Mówił, że Niemcy dobrze o nas piszą.

– Kiedy zacząłeś myśleć o tytule króla strzelców?

– Dopiero po meczu z Marokiem... Wtedy dogoniłem Węgra Antala Dunaia. Czułem, że w finale strzelę jeszcze jedną bramkę i go wyprzedzę. Trener Górski też w to wierzył... Przed finałem w wiosce olimpijskiej śpiewali nam „Skaldowie”... Były też Sośnicka i Kunicka...

– A Sipińska? To moja koleżanka. Obie jesteśmy poznaniankami... Co śpiewały? Ja w tym czasie słuchałam w radiu wywiadu z Jurkiem Pawłowskim. Zamówił u ciebie dwie bramki w finałowym meczu z Węgrami. Skąd on to wiedział?...

– Nie mogłem Jurkowi sprawić zawodu...

– Jak to właściwie było z tym karnym? Przecież to nie twoja specjalność, wolisz rzuty wolne... Te twoje słynne „rogaliki”...

– Przegrywaliśmy z „ruskimi” i wtedy ten faul na Włodku!... Trener Górski ustalił, że ewentualnego karnego właśnie on ma strzelać... lub ja.

Lubański sfaulowany... Wypada na mnie... Oblały mnie zimne i gorące poty. Ledwo wykrztusiłem: - Włodek strzelaj!

- A on co na to?

- Kaziu, nie mogę, strzelaj ty!... Nie zapomnę tego widoku. Włodek klęczy na ziemi, ma nisko spuszczoną głowę... Co robić?... Idzie o bramkę na wagę złotego medalu. Podszedłem wolno do piłki. Teraz tylko strzelić... Mocno, jak najmocniej! W róg... Może Rudakow nie dosięgnie piłki.

- Dobrze strzeliłeś... Ale redaktor Ciszewski obciążył cię winą za utratę pierwszej bramki w meczu finałowym z Węgrami.

- Miał sporo racji... Do tej pory nie mogę pojąć, jakim cudem Bela Varadi przechwycił moje podanie. Gut był wtedy w przodzie, Gorgoń też... Starąłem się zepchnąć Węgra do linii, ale nie dałem rady. Hubert! - krzyknąłem. - Krótki róg!... Kostka jednak przesunął się do środka. Gdyby pozostał przy słupku, nie było by tej bramki...

- Ale po przerwie całkowicie zmyłeś winę...

- Tak, dopiero gdy było 1:1, swobodniej odetchnąłem. To była lewa noga... Wolę strzelać z prawej, ale i lewa nie jest tylko do podpierania...

- A potem było to zwycięskie 2:1!

- Ładna bramka. Pomógł Włodek... Wyskoczył do „główki” wraz z dwoma Węgrami. Ja śledziłem każdy ich ruch, czyhałem na piłkę. Wyczułem jej lot, moja!... Obrońca jeszcze próbował mnie atakować, ale mu się wywinąłem. Teraz „oko w oko” z Geczim! Szedł do „krótkiego rogu”, ja zamarkowałem strzał w przeciwny... Węgier dał się zwieść i było 2:1...

Olimpijskie złoto zobowiązuje. Po sukcesie skoczek Fortuny na zimowych igrzyskach w Sapporo przyłączyłem się do chóru entuzjastów piłkarstwa, którzy pisali, że „drogę wskazał Wojtek”. Nie był faworytem, początkowo nie był nawet kandydatem „fachowców” z branży

narciarskiej, jednak przywiózł do Polski medal z najszlachetniejszego kruszcu. W Monachium równie miłą niespodziankę sprawili „chłopcy Górskiego”. Obalili bzdurne teorie o wybujałym indywidualizmie Polaków i w związku z tym zupełnym braku predyspozycji do gier zespołowych. Utarli więc nosa twórcom tych nieudacznym opiniom. Piłkarze na świeczniku! Podziękowania i gratulacje pod ich adresem kierowano również ze szczytów władzy państwowej i partyjnej.

Złotych medalistów gościli i odznaczyli Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski i Złotymi Krzyżami Zasługi – przewodniczący Rady Państwa dr Henryk Jabłoński i I Sekretarz KC PZPR, Edward Gierek. W przeciwieństwie do swojego poprzednika Władysława Gomułki, E. Gierek w pełni doceniał społeczną rolę sportu w ogóle, a piłki nożnej szczególnie. Już w czasach sprawowania niepodzielnej władzy na Śląsku niemal przed każdym ważniejszym meczem międzypaństwowym przyjmował u siebie piłkarzy, a także kierownictwo Polskiego Związku Piłki Nożnej. Znał nazwiska trenerów i czołowych reprezentantów. Na co dzień kibicował Zagłębiu Sosnowiec, ale za autentyczną wizytówkę naszego futbolu uważał reprezentację. Tworzył klimat, który wreszcie potrafili wykorzystać ludzie kierowani z KC do PZPN.

Dobra passa drużyny narodowej trwała. Wkrótce po wygranej w Monachium rozegrano w Bydgoszczy mecz międzypaństwowy z Czechosłowacją. To kraj piłkarski z dużymi tradycjami – dwukrotny wicemistrz świata i srebrny medalista olimpijski. Jak na tle takiego przeciwnika zaprezentują się Polacy? Niemal w olimpijskim składzie (zabrakło tylko Lubańskiego) „biało-czerwoni” w miarę łatwo wygrali 3:0. Włodek był jednak w tamtych czasach ambasadorem numer jeden

polskiego piłkarstwa. W roku 1971 wraz z Zygmuntem Anczokiem wystąpił w Moskwie w drużynie Reszty Świata zegnającej wraz ze „sborną” Jaszyna, a na początku października 1972 roku w Bazylei bronił barw Europy w meczu z reprezentacją Ameryki Południowej. Zwierzył mi się po tym meczu:

...Mamy w naszej drużynie narodowej jeszcze kilku innych zawodników godnych dostąpienia zaszczytu gry w reprezentacji Europy lub świata. Anczok i ja już graliśmy z najlepszymi wśród najlepszych, a przecież mamy jeszcze Deynę, Gadochę i Gorgonia...

W tych kilku słowach Lubański dał wyraźnie do zrozumienia, których z naszych reprezentantów uważa za najlepszych. Typy Włodka w znacznym stopniu pokrywały się z autorską klasyfikacją kolegium redakcyjnego miesięcznika „Piłka Nożna”. Naszym zdaniem w roku olimpijskim 1972 najlepsi na swoich pozycjach byli: Hubert KOSTKA (bramka), Jerzy GORGOŃ (obrona), Kazimierz DEYNA (pomoc) i... Robert GADOCHA (atak). Dopiero na drugim miejscu wśród napastników sklasyfikowaliśmy Włodzimierza Lubańskiego. Tuż za nim widzieliśmy już Andrzeja SZARMACHA, mimo że nie był na Olimpiadzie w Monachium, ba – dotychczas jeszcze ani razu nie wystąpił w reprezentacji. Imponowała nam jego bramkostrzelność i sprawność fizyczna. Mówiono, że tańczył w balecie. Jego dobry czas, a także Jana Tomaszewskiego i Władysława Żmudy, szybko się zbliżał.

Iskrzenie na linii kluby – reprezentacja wyraźnie zmalowało. Będą więc wygrywać drużyny klubowe i narodowe? Na taki luksus jeszcze nie było nas stać. Nadal za wąska była kadra klubowa, a w niej za mało wybitnych zawodników. Z reguły ci sami, rzecz rozumiała najlepsi, musieli brać na swoje barki odpowiedzialność za wyniki w klubie i reprezentacji.

Mieli więc prawo odczuwać zmęczenie. Ale część mediów znowu stawiała sprawę na głowie. Sugerowano, że reprezentacja odebrała zawodnikom, głównie Górnika i Legii, ochotę do równie dobrej gry w macierzystych klubach. Piłkarskie wilki nasyciły się sukcesami reprezentacji i teraz już nie są głodne sukcesów. Bzdura!

Olimpijczycy wywodzący się z Górnika i Legii równie dobrze jak w Monachium, spisywali się w meczach pucharowych swoich drużyn z Dynamem Kijów i AC Milan. Procentowało tu zdobyte doświadczenie, a także końcowa faza centralnych przygotowań do turnieju olimpijskiego. Ich forma i jakość były zdecydowanie wyższe niż praca w klubach. Kadrowicze harowali, klubowcy bimbali. Tu tkwiły zasadnicze przyczyny słabszej po Olimpiadzie gry czołowych drużyn, a nie w braku chęci u tych najlepszych. Medaliści nadal grali dobrze, natomiast ich koledzy ligowi byli piłkarsko wyraźnie słabsi. Stąd niepowodzenia klubów na arenie międzynarodowej.

Tymczasem pozycja naszej reprezentacji już w roku 1972 była w Europie wysoka. Liderowała reprezentacja RFN, wciąż w czołówce plasowali się piłkarze angielscy, włoscy i radzieccy, ale Polska była siódma w tym towarzystwie. Wygrywała nie tylko na Olimpiadzie. Zwycięstw było w sumie dziewięć, dwa remisy i tylko jedna przegrana z Bułgarią w Starej Zagorze. Trener Górski spełniał dane obietnice. Kapitan naszej reprezentacji Włodzimierz Lubański ufał mu bezgranicznie. Był przekonany, że w Monachium nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Jesteśmy w stanie zbudować jeszcze lepszy zespół. Z Anglią i Walią w eliminacjach mistrzostw świata powalczymy jak równy z równym. Wieszcze słowa kapitana.

Wysoko wygrany mecz z Czechosłowacją również kibiców i dziennikarzy utwierdzał w przekonaniu, że styl pracy z reprezentacją

zaproponowany przez Kazimierza Górskiego jest dobry i nie ma potrzeby go zmieniać. Tylko doskonalić i... zachować priorytet reprezentacji! Umocnić, rozpowszechnić i wzbogacić te wszystkie wartości, które już zdały egzamin. Olimpijski sukces bez interwencji dętej propagandy sam z siebie zrodził dotychczas niespotykane (ukryte?) zainteresowanie futbolem. Rojniej i gwarniej było teraz nie tylko w klubach, ożywiły się także podwórka, szkolne boiska i zielone błonia. W całym kraju znowu organizowano turnieje „dzikich drużyn”.

Z meczu Polska – Czechosłowacja z Bydgoszczy do Warszawy wracałem w towarzystwie red. Stefana Grzegorzcyka ze „Sportowca”. Już na początku lat sześćdziesiątych marzyło się nam wydawanie w dużym nakładzie pisma typowo piłkarskiego. Szło to topornie. Pierwszym udanym krokiem w tym kierunku było redagowanie miesięcznika „Piłka Nożna”. Specjalny numer olimpijski w nakładzie 100 tysięcy rozszedł się błyskawicznie. To dobry znak. Trzeba powrócić do pomysłu sprzed lat. Otworzyłem butelkę szampana i przed wzniesieniem toastu za udany dla futbolu rok 1972, zagadnąłem Stefana:

– Pamiętasz nasze młodzięcze marzenia? Jest szansa właśnie teraz je zrealizować. Klimat jest dobry, mamy złoty medal olimpijski. Czesi zdeklasowani. Za pomyślność naszych marzeń!

Na powołanie nowego pisma nie mieliśmy jednak żadnego wpływu, nawet pozycja Młodzieżowej Agencji Wydawniczej i PZPN była na to za niska. O wszystkim decydowała – tak to się wtedy mówiło – „wola polityczna” wyżej postawionych decydentów z Zarządu Głównego RSW „Prasa” i oczywiście Biura Prasy KC PZPR. Tam „najlepiej” wiedziano, co jest dobre, a co złe. Nie czekając na odpowiedź, kuliśmy żelazo póki gorące. Moje ambicje były tu szczególnie duże. Sądziłem, że – jeśli

cel osiągniemy – zdołam w ten sposób nieco utrzyć nosa nowemu naczelnemu „Przeglądu Sportowego”. Biada mnie naiwnemu. Zapomniałem na moment, w jakich żyjemy czasach i że „dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane”. Tam, gdzie podejmowano ostateczne decyzje, miałem niskie notowania, wytykano mi ponadnormatywny stosunek do piłki nożnej, własne zdanie, po prostu byłem za bardzo kontrowersyjny. Decydenci i ich doradcy mieli zupełnie innych faworytów, stawiali na Stefana Rzeszota i Jerzego Zmarzlika.

Jurek akurat wrócił z Monachium, gdzie był olimpijskim attache prasowym i teraz oczekiwał na równie korzystną propozycję. Natomiast Stefan zdjęty niedawno z naczelnego „Sportowca” trafił do „Przeglądu Sportowego”, gdzie był wyraźnie w cieniu Jucewicza. Pierwszy etap w wyścigu o szefostwo w tygodniku wygrał Rzeszot. Już był w ogródku i... hucznie zegnał się z „Przeglądem”... Mnie zaproponowano, bym został jego zastępcą lub sekretarzem redakcji. Odmówiłem, miałem inne plany i większe ambicje. Bezrobocie mi nie groziło, bo już miałem dwie atrakcyjne oferty pracy, jedną ze „Sportu” Katowice, kierowanym wówczas przez Andrzeja Koniecznego i drugą z PAP-u, gdzie znaczącą postacią był Włodzimierz Żróbik. Na razie pisywałem do „Wiadomości Sportowych” kontynuatora LZS-owskiej wersji „Przeglądu Sportowego” i wielu innych redakcji.

Przepychanki trwały. Drugi etap wygrał Zmarzlik, ale wyścig się nie kończył. Ja czekałem. Najbardziej czuły na moją postawę był prezes PZPN, Stanisław Nowosielski. Któregoś dnia, zaprosił mnie i red. Mieczysława Szymkowiaka na obiad do restauracji „Retman” na Mariensztacie:

– Mam ciekawą propozycję. – zwrócił się do Szymkowiaka. – Widzę cię na funkcji sekretarza generalnego PZPN. Co ty na to Mieciu?

– Co to, to nie! – zachnął się Miecio. – Już kiedyś byłem urzędnikiem w sporcie i PZPN... To nie dla mnie posada... Jestem i nadal będę dziennikarzem!...

Gdy kelner przyniósł drugą półlitrowkę, prezes niezrażony pierwszym niepowodzeniem, rozlał „po małym” i teraz mnie indagował. Mówił wolno i nieśmiało, jakby obawiał się kolejnego afrontu.

– Jest nowa kandydatura na redaktora naczelnego tygodnika... Grzegorzcyk... Stefan, ten ze „Sportowca”... Znacie go dobrze... Jurek ma być jego zastępcą, a Mietek... sekretarzem... Co wy na to?

Byłbym szalony, gdybym odrzucił taki wariant współpracy. Toż to było nasze wspólne marzenie! Najpierw nieśmiało w 1959 na turnieju UEFA w Bułgarii, a potem już znacznie odważniejsze w roku 1962 w Rumunii. A jednak takie rozwiązanie też nie wszystkim odpowiadało. Najbardziej zdziwiony był red. Krzysztof Blaut, który właśnie „uciekł” ze „Sportowca” przed Witkiem Duńskim do „Przeglądu Sportowego”.

– Stefan i ty?... W jednej redakcji?... Na zbliżonych funkcjach?... Dłużej, niż dwa-trzy miesiące ze sobą nie wytrzymacie... Jeden mądrzejszy od drugiego...

To dobry znak. Odebrałem to bez większych emocji, jeno jako opinię „obaj kompetentni”. Żadnego z nas do tego zawodu w teczce nie przyniesiono. Mamy za sobą studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim i specjalizację sportową w Akademii Wychowania Fizycznego. Każdy, z myślą o dobru piłkarstwa, a nie tylko o własnej karierze – już od dawna robił swoje. Kontrakt zawarty. Na dwadzieścia lat! W tamtych czasach był to ewenement na skalę krajową... Rozłączył nas dopiero nowobogacki Marek Profus uchodzący

za piłkarskiego menedżera i tytułujący się w naszym tygodniku redaktorem naczelnym. Na jednej z uroczystości jubileuszowych „Piłki Nożnej” (zgrywał się czy nie miał rozeznania?), wyliczając co najmniej „mendle zasłużonych” dla pisma, w ostatnim zdaniu przypomniał sobie, że „pracowali tam również Grzegorz i Lechowski”. O tempora! O mores!...

Echa złotego medalu olimpijskiego nadal były głośne i mobilizujące. PZPN po 8 latach przerwy, na początku 1973 roku zorganizował w ośrodku sportowym „Zawiszy” Bydgoszcz kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Wymagały tego następujące zmiany w systemie gry i zdobyte taktyczne mistrzostw świata w Anglii i Meksyku. Londyn wskazał kierunek na „uniwersalizm” i „grę wszystkimi siłami”, a Meksyk twórczo te idee rozwinął. Szczególnie mocno zaakcentowano tam pojęcie „uniwersalizmu ograniczonego” i rolę „libero” w zespole piłkarskim.

Reprezentowałem w Bydgoszczy, jeszcze w imieniu miesięcznika „Piłka Nożna”, bardzo wąskie grono dziennikarzy. Już wtedy takie szkoleniowe „pierdoły” powoli rodzących się redakcyjnych skandalistów nie interesowały. Ja przeżyłem chwile szczególne: na pierwszej unifikacji w roku 1958 w Chylicach siedziałem cicho, jak Niemiec na tureckim kazaniu, na kolejnej w Zakopanem już byłem dużo mądrzejszy, a teraz oficjalnie pracowałem w „komisji taktyki”. Potwierdził to i pochwalił doktor Jerzy Talaga w jednej ze swoich publikacji książkowych „**Taktyka gry w piłkę nożną**”. Pasjonowała mnie przede wszystkim funkcja „libero” we współczesnym piłkarstwie.

Unifikacja w Bydgoszczy zbiegła się z pracami PZPN nad „**Projektem zmian systemu organizacyjno-szkoleniowego**”. W Warszawie i Bydgoszczy zrobiono wiele, aby nasze piłkarstwo nadążało za światowymi trendami i poziomem oraz systematycznie umacniało swoją dotychczasową pozycję. Nad Wisłą i Brdą odważnie starano się w ówczesnej rzeczywistości ukazać w miarę nowoczesną wizję polskiego futbolu. Postawiono na młodzież. Podjęto starania, zmierzające do jednoczesnego szkolenia dwóch reprezentacji „Orląt”, tej już tradycyjnej do lat 23 i nowej Under – 21. Dla obu zaplanowano sporo spotkań międzynarodowych. Zapowiadano, że owoce tego projektu możemy zebrać już na Olimpiadzie w Montrealu. Może też przestaną ginąć talenty, od lat zmora naszych boisk?

Bliskie zmiany w „Piłce Nożnej” zasygnalizowaliśmy w błyskawicznej ankiecie „**JAKI CHCESZ MIEĆ TYGODNIK?**”, a czas miesięcznika pożegnaliśmy trzema materiałami publicystycznymi: „**Bydgoszcz – unifikacja 1973**”, „**Rodzi się polski styl gry**” i „**Z perspektywy Wembley – spojrzenie na Cardiff**”. Unifikacja do rangi szczególnie wysokiej podniosła rolę taktyki (tu dostrzeżono największe rezerwy). W nowym brzmieniu definicja tego pojęcia niewątpliwie stała się bardziej przystępna i zrozumiała nawet dla przeciętnego kibica. Taktyka jest to połączenie i wykorzystanie w grze umiejętności technicznych, wysiłków oraz zalet indywidualnych i zespołowych wszystkich zawodników. Pozwala to na osiągnięcie zamierzonego celu zgodnie z wcześniej przyjętymi założeniami i w stosunku do zaistniałej sytuacji na boisku.

Mecz Anglia – Walia w Londynie oglądali trener Kazimierz Górski i jego asystent Jacek Gmoch. Selekcjoner więcej uwagi poświęcił obserwacji piłkarzy walijskich, natomiast asystent „wziął na tapetę”

podopiecznych Alfa Ramseya. – Zespół Walii okazał się znacznie lepszy, niż można było przypuszczać – stwierdził Górski. – Wielka bojowość, nieustępliwość, twardość, szybkość, kondycja i – co zasługuje na specjalne podkreślenie – dobrze zorganizowana obrona i konsekwentnie realizowana taktyka. W Cardiff w meczu z Polską Walijczycy zapewne zagrają inaczej, odważniej, ofensywniej, a potrafią to James i Toshack. Musimy poszukać drugiego stopera o walorach Gorgonia...

– Anglicy grali na Wembley bardziej ofensywnie – podkreślił Gmoch. - Keegan obok Chiversa i Marsha był trzecim napastnikiem. Poza tym wszyscy pomocnicy i boczni obrońcy byli nastawieni na atak. Jednak Anglicy grali w sposób za mało urozmaicony, powiedziałbym nawet schematycznie. Przy dobrym bramkarzu Walii, Sprake gra górą mijając się z celem. Ale w sumie niemal wszystkie walory drużyny Alfa Ramseya są formatu światowego. Nawet w Polsce nie będzie łatwo z nią wygrać...

NARODZINY TYGODNIKA „PIŁKA NOŻNA”

Zbliżała się runda wiosenna sezonu 1972/1973, a wraz z nią „rynkowy debiut” tygodnia „Piłka Nożna”. Najpierw ukazał się numer próbny, dostępny tylko wąskiej grupie zainteresowanych, spełniał typową rolę pilotażową. Tę swoistą forpocztę przyjęto dość chłodno. Głównie grono działaczy łasych na pochlebstwa uznało, że „próbniak był nadmiernie neutralny, jakiś taki nihilistyczny, w domyśle – za mało miejsca, uwagi i zasług poświęcił zwłaszcza kierownictwu Polskiego Związku Piłki Nożnej”. To kłóciło się ich zdaniem, z formułą afirmującą „pismo PZPN”.

W centrali piłkarskiej chętnie widziano by tygodnik wyłącznie jako swoją tubę, natomiast w redakcji takie rozwiązanie musiałyby zrodzić uzasadniony sprzeciw. Ograniczało by dziennikarskie inicjatywy i swobodę wyrażania myśli. Na szczęście, w Komitecie redakcyjnym był klasyczny remis: trzech członków ścisłego kierownictwa pisma zmagало się w dyskusjach nad kształtem pisma z trzema przedstawicielami PZPN. W tej fazie profilowania tygodnika większych różnic nie było. Argumenty za pismem o charakterze społecznym, adresowanym głównie do Czytelnika, były zdecydowanie mocniejsze i ważniejsze, niż zaspokajanie ambicji i „widzimi się” niektórych związkowych narcyzów.

Opinia redakcji, którą na zewnątrz reprezentowali: Stefan Grzegorzczak, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak była jednoznaczna: w pierwszym już oficjalnym numerze deklarowaliśmy piłkarstwu: WSPÓLDZIAŁANIE, WSPÓŁTWORZENIE i POMAGANIE. Odpowiedź prezesa PZPN, Stanisława Nowosielskiego też była czytelna – POWODZENIA!

– Wspólnie rozpoczynamy kolejny rok działalności... Musimy razem walczyć o poprawę poziomu polskiego piłkarstwa... Tygodnik „Piłka Nożna” będzie przedstawiał rzeczywistość taką jaką ona jest – nie szczędząc ani pochwał ani krytyki.

Również w tym tonie utrzymał swoje „Pierwsze credo” w „Laurach i chłostach”, wybitny krytyk filmowy, publicysta i felietonista, Krzysztof Mętrak: ... „Chciałbym w tym felietonie formułować „na gorąco” takie obserwacje, wyrażać głos kibica zaangażowanego, który tu i ówdzie dostrzeże jakieś absurdy, niedociągnięcia i śmieszności, gdzie indziej zaś wzory godne poparcia”. Wszystkie tu zaprezentowane zobowiązania staraliśmy się rzetelnie wypełniać przez dwadzieścia lat kierowania tym pismem.

Beniaminek z reguły cieszy się nieco większymi względami niż stary wyjadacz, rutyniarz, gracz już powszechnie znany i... zgrany. Zadbano więc o nasz wizerunek w kraju i zagranicą, wszak dopiero „wchodziliśmy” na rynek. Początkowo w RSW „Prasa” wyrażono zgodę na obsługę nawet spotkań międzypaństwowych naszych juniorów z Węgrami w Budapeszcie, z Holandią w Veendam i z RFN w Osterode koło Getyngi. Od lat było to moje ulubione zajęcie. Teraz też dostrzegłem i wypromowałem na łamach kilku przyszłych reprezentantów Polski: Zdzisława Kostrzewę, Rudolfa Wojtowicza, Janusza Kupcewicza, Zdzisława Rozborskiego i Zdzisława Kapkę.

Nie miał też żadnych kłopotów red. Mieczysław Szymkowiak z wyjazdem do Cardiff na mecz z Walią z cyklu eliminacji mistrzostw świata. Jednak debiut w roli sprawozdawcy tygodnika, Mietek miał nieudany. „Biało-czerwoni” przegrali z Walią 0:2. Tego można się było spodziewać. Nasz pierwszy korespondent z Cardiff, były bramkarz Wisły Kraków i drużyny piłkarskiej z Brygady Karpackiej we Włoszech i na Bliskim Wschodzie, Stanisław Gerula przestrzegął: „**Zapomnieć o miękkiej grze!**”. Niestety, większość naszych reprezentantów tak dobrej pamięci w tym meczu nie miała. Dostrzegł to coach Walii David Bowen:

...Polscy piłkarze są niezwykle groźni, gdy mają dużo miejsca do gry, swobodę ruchów. Wówczas ich fantazja, umiejętność improwizacji mogą popsuć szyki najlepszym. Agresywnie atakowani, naciskani przez przeciwnika, zmuszeni do twardej walki tracą znaczną część swych niewątpliwych walorów...

Właśnie w Cardiff nasi zawodnicy napierani przez Walijszyków gubili się w sposób wręcz żenujący. Antidotum na pressing jest powszechnie znane: trzeba grać szybko, dynamicznie i być w stałym ruchu, starać się

w ten sposób uwolnić spod opieki przeciwnika. Wychodzić na wolne pozycje! Nie ma czasu na stopowanie piłki, trzeba ją zgrywać (podawać) bez zatrzymywania. To jedno rozwiązanie. A drugie? W klubach należy szkolić się w walce z partnerem (szeroko mówił o tym Lubański), we współczesnym piłkarstwie nie ma racji bytu „gra bezkontaktowa”. Tak Włodek rozumiał wówczas swoją pracę w Górniku, podobnie w Legii doskonalił swoje umiejętności Robert Gadocha. Tylko ich dwóch chwalił po tym meczu trener reprezentacji Anglii, Alf Ramsey.

Kazimierz Górski przed meczem z Walią zaufał głównie złotym medalistom olimpijskim. Nadal jednak poszukiwał kandydatów na grę w bramce, w kwartecie obronnym i na prawej pomocy. Bramkarza „odkrył” ponownie – Jan Tomaszewski w Cardiff grał dobrze i odważnie, a w pomocy powoli aklimatyzował się kolejny debiutant z Mielca – Henryk Kasperczak. Nie do końca zostało jednak wyjaśnione wyjściowe ustawienie zawodników: - Grać czwórką w pomocy i dwójką w napadzie (1+4+4+2), czy trójką w drugiej linii i trójką w przodzie. W obu wariantach niepodważalne były pozycje: Deyny, Kasperczaka, Lubańskiego i Gadochy.

Takie w każdym razie było moje zdanie. Wielu „okazjonalnych znawców” widziało to inaczej, między innymi nie doceniono zalet Kasperczaka: - To typowy piłkarz na polską ligę i nie powinno się go odrywać od rodzinnych stron. Wyraźny, choć na razie tylko lekki przytyk, pod adresem trenera Górskiego. Znacznie mocniejszy zarzut dotyczył bzdurnej - moim zdaniem - tezy, że „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Tego rodzaju opinie miały wskazywać na przyczyny przegranej z winy trenera. Tymczasem Górski, nie chcąc być niewolnikiem utartych kanonów personalnych i taktycznych, nadal eksperymentował. Naiwnie pytano: - Dlaczego w Cardiff nie zegrali ci wszyscy zawodnicy, którzy w Monachium zdobyli złoty medal?

Publicznie odpowiedziałem lansującym tezę „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Należy i to z kilku powodów: chęci wprowadzenia do zespołu nowych wartości, wyeliminowania z niego najslabszych względnie już wyeksploatowanych ogni, dania szansy piłkarzom rozwojowym i nowocześnie szkolonym. Zła jest tradycja gloryfikująca piłkarzy wyłącznie o znanych nazwiskach. Jednak najważniejsze w tych prawdach oczywistych jest stałe doskonalenie umiejętności i klasy zespołu jako całości. Złota jedenastka z Monachium nie może być „świętą krową”.

Jednym z „pewniaków” w drużynie Górskiego był stoper Jerzy Gorgoń, ale problemów w obronie wciąż było sporo. Po pierwsze, kto ostatecznie ma grać na flankach, para Wisły Szymanowski – Musiał czy mieszanka opolsko-zabrska Gut – Anczok? Trener był zwolennikiem powoływania pod broń tandemów lub nawet całych formacji klubowych. Miał też swoich ulubieńców, ale nigdy nie powoływał ich do reprezentacji na kredyt. Sprawdzał formę największych faworytów. Ufał im, ale nigdy, nawet w ulubionym „wariancie ryzyko”, nie promował w ciemno. Decyzję podejmował dopiero po serii gier kontrolnych. Zanim więc Tomaszewski i Kasperczak pojawili się w Cardiff, wcześniej w Łodzi z powodzeniem wystąpili w meczu z USA.

Największe kłopoty miał Górski z optymalnym ustawieniem pary środkowych obrońców. Poszukiwał najlepszego partnera dla Gorgonia. Zastanawiał się też, jaką faktycznie rolę w środku obrony ma spełniać stoper Górnika – „wymiatacza”, tak jak w macierzystym klubie czy „libero”? Początkowo trener miał zamiar powierzyć tę funkcję Bernardowi Blautowi. Wtedy Gorgoń byłby li tylko „forstoperem”. Rozważał też możliwość gry dwoma środkowymi obrońcami w linii. Ostatecznie przeważała wersja „libero”. Dla wielu naszych szkoleniowców nadal była to „tabula rasa”,

dla niektórych wręcz „terra incognita”. Z zainteresowaniem wysłuchali więc mojej krótkiej prelekcji na ten właśnie temat podczas unifikacji w Bydgoszczy.

Zachęcony takim obrotem sprawy postanowiłem, zapraszając do współpracy red. Mieczysława Szymkowiaka i trenera Andrzeja Strelaua, opublikować na łamach tygodnika „Piłka Nożna” przystępny esej na ten temat. Pytaliśmy „*Co to jest libero?*”. I w miarę posiadanej wiedzy staraliśmy się odpowiedzieć: - **Picchi + Suarez = Beckenbauer. TO WŁAŚNIE LIBERO!** Zapoznaliśmy Czytelników z genezą pojęcia i funkcją tego typu zawodnika w drużynie, następnie omówiliśmy czysto fachową stronę zagadnienia, wreszcie – wskazaliśmy klasycznych wówczas „libero” w drużynach zagranicznych i... kandydatów do takich zadań w reprezentacji Polski.

Funkcję libero narzuciło życie, rozwój taktyki. Sporo elementów takiej gry można było dostrzec już w zakresie obowiązków środkowych pomocników w systemie „gry otwartej” MW czyli „dwóch obrońców”. Później, w systemie WM czyli „trzech obrońców”, pojawił się Alfredo di Stefano. Był prekursorem funkcji libero w wersji ofensywnej. Nominalnie grał na środku ataku, ale w praktyce pole jego działania było znacznie większe. Stał się zawodnikiem zbliżonym w sposobie gry do drugiej linii. Później podobne zadania w Interze Mediolan i reprezentacji Hiszpanii wykonywał Luis Suarez, a jeszcze później Anglik Bobby Charlton.

W Interze, w okresie jego największej świetności (lata 1963-1965), było dwóch „wolnych” zawodników. Każdy grał inaczej. Armando Picchi operował bliżej bramki. Był niewysoki, ale skoczny, szybki, doskonale się ustawiał. Bezpośrednio nie „krył” nikogo, cofnięty działał za obrońcami,

asekurował ich, korygował błędy, był ostatnią instancją przed własną bramką. Ograniczał się do destrukcji. Kiedy przejął piłkę, natychmiast przekazywał ją Suarezowi. Następowало płynne przejście z obrony do ataku. Luis był wówczas generalnym dyrygentem Interu, reżyserem większości akcji ofensywnych. Podziwiałem go w meczu Polski z Hiszpanią. Aż wreszcie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawił się Franz Beckenbauer. Zaczynał jako napastnik, podczas mistrzostw świata w Anglii grał w pomocy i wkrótce wyrósł na nowoczesnego libero! To znaczy był solidnym obrońcą jak Picchi i twórcą „wyrozumowanego ataku” jak Suarez. Robił więc za dwóch!

Piłkarz FC Bayern Monachium był wtedy (i jest do dziś!) wzorem praktycznej realizacji tego novum taktycznego. Nominalnie zajmował pozycję za linią obrony, zatem podobnie jak „wymiatacz” był ostatnią ostoją w jej działaniach. Na tym jednak nie kończyła się jego rola. Po przejęciu piłki stawał się zawodnikiem atakującym. Najpierw wspólnie z Netzerem konstruował akcje, a potem najczęściej sam kończył je strzałem. Wszak był wcześniej napastnikiem! Taki był sens i wymóg tej taktycznej nowości. Libero z racji swego wysokiego wyszkolenia technicznego, dotychczas niespotykanej wszechstronności i dużego zmysłu taktycznego, potrafił w konkretnej sytuacji na boisku być więc obrońcą, pomocnikiem i napastnikiem.

To, co piłkarstwu zaoferował Beckenbauer, było zdaniem wielu znawców piłkarstwa trudne do osiągnięcia dla przeciętnego piłkarza. To musiał być geniusz futbolu. Doskonały piłkarz Brazylii z lat 1958 – 1962 Didi, powielając opinię ówczesnego prezesa Brazylijskiej Federacji Piłkarskiej, Jao Havelange’a, uważał, że „*tacy piłkarze są z nieba na ziemię zsyłani przez Boga*”. Leonidas, Pele, Tostao, Rivelino, Garrincha, Jairzinho...

– Libero w dawnym stylu – dowodził Didi – przeżył się, ale gra taka, jaką teraz demonstruje Beckenbauer, jest dopiero w powijakach. To futbol przyszłości... Za geniuszem Niemca pójdą inni...

W tamtych czasach jedynym w Europie środkowym obrońcą, który był bliski nowatorskiej gry „cesarza Franza”, nazywanego przez Anglików „pełnym libero”, był Rosjanin Albert Szesterniew. Niewiele mu ustępował Horst Blankenburg (też Niemiec) z Ajaxu Amsterdam. Trener Helmut Schoen marzył nawet o wykorzystaniu ich obu w reprezentacji Niemiec. A u nas? Nie wyszło z Blautem, więc Górski słusznie postawił na Lesława Ćmikiewicza. Jednak Polakowi do miana „pełnego libero” brakowało kilka centymetrów wzrostu, trochę większej wagi, a przed mistrzostwami świata w NRF także zdrowia. Z zawodników najmłodszego pokolenia sporo takich atutów dostrzegliśmy u Janusza Kupcewicza. Ale to była melodia przyszłości.

Cykl artykułów „To właśnie libero!” zakończyliśmy zaproszeniem do dyskusji. W imieniu Mieczysława Szymkowiaka i Andrzeja Strejlaua wyraziłem uzgodnioną opinię, że:

... „Nasze publikacje, rzecz zrozumiała, nie wyczerpują problemu. Uważamy je tylko za inspirację do dalszej rzeczowej dyskusji na ten temat. Zapraszamy do niej każdego (działacza, trenera, zawodnika), kto jest w stanie wzbogacić naszą dotychczasową wiedzę o libero. Oczekujemy na listy!”.

Korespondencji było sporo, ale koncentrowano się w nich głównie na podziękowaniach dla autorów za podjęty trud i w miarę przystępne omówienie tego zagadnienia. Poza tym dotarły do redakcji dwie dość obszerne publikacje, właśnie twórczo uzupełniające nasze spojrzenie na funkcję libero. Pierwszy interesujący głos w tej sprawie zabrał Jacek

Gmoch, asystent trenera Kazimierza Górskiego i jako drugi nasz ówczesny kolega redakcyjny, trzydzieści lat później redaktor naczelny dziennika „Życie”, red. Tomasz Wołek. Oto najcelniejsze ich uwagi:

Jacek GMOCH: ... „W drużynie Interu z lat 1964 – 1966 dominowały dwa warianty z graczem wolnym w defensywie tzw. libero – jako wmiataczem za trzema obrońcami i jako wmiataczem za czterema obrońcami. Pierwszy wariant stosowano najczęściej, kiedy drużyna grała u siebie i nastawiała się na atak, a drugi na wyjazdach. W obu przypadkach tym wolnym zawodnikiem był Picchi. Polskie drużyny z małym opóźnieniem wprowadziły podobne ustawienie. Jedną z pierwszych była warszawska Legia z okresu 1967 – 1969, trenowana wówczas przez Jaroslava Vejvodę. Wiernie skopiowała system stosowany przez Inter, a rola libero (wmiatacza) przypadła mnie... Wcześniej, niż w zespole wojskowym, taki wariant taktyczny zastosowała reprezentacja Polski w remisowym (1:1) meczu z Anglią w Liverpoolu, a doskonałym wmiataczem był Stanisław Ośliżło. Dziś można powiedzieć, że istnieją dwie pozycje libero – wmiatacz linii obrony i wmiatacz linii pomocy.

Tomasz WOŁEK: ... – **Od Bauera do Beckenbauera**”: ... „Bauer był pierwszym brazylijskim obrońcą, który w sytuacji, gdy jego drużyna wykonywała rzut różny, „podkradał się” pod pole karne przeciwnika i nierzadko celną „główką” zdobywał bramkę. Już tu należało by upatrywać w nim prekursora nowego atakującego stylu gry... Brazylijczyk Jose Carlos Bauer grał w Sao Paulo na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych... Przełomem w jego karierze stał się rok 1950, kiedy to faworyzowany zespół Brazylii uległ w finale MŚ nie docenionemu Urugwajowi. Po mistrzostwach Bauer doszedł do wniosku, że stoper też musi się włączać do akcji atakujących. Nie rezygnując więc z klasycznej pozycji

stopera, coraz częściej angażował się w poczynania ofensywne... Obok Bauera tylko Urugwajczyk William Martinez i Argentyńczyk Nestor Rossi położyli podwaliny pod południowo-amerykańską wersję libero. Myślą i praktyką wyprzedzili swą epokę o wiele, wiele lat...

Głos w sprawie „libero” był dla Jacka Gmocha li tylko typowym tematem rezerwowym, natomiast priorytetem pełne rozpoznanie reprezentacji Anglii. To miało pomóc Górskiemu, który nie bez kłopotów budował zespół na Wyspiarzy. Po przegranej z Walią w Cardiff tylko zwycięstw nad niedawnymi mistrzami świata prolongowało nasze nadzieje na awans do finałów Weltmeisterschaft 1974. Optymalny skład naszej jedenastki wciąż nie był znany, głównie z powodu kontuzji Zbigniewa Guta, Zygmunta Anczoka, Jerzego Gorgonia i Lesława Ćmikiewicza. Całkowita pustka w środku obrony. Towarzyski mecz z Jugosławią (2:2) nie pozbawiał optymizmu, ale – w świetle tak dotkliwego uszczerbku w kadrze – nie pozwolił na pełną i obiektywną ocenę drużyny. Z trzech formacji polskiego zespołu w spotkaniu tym najmniej zastrzeżeń miałem tylko do napadu. Gadocha i Lubański byli zdecydowanie najlepsi.

Szczególnie pilnie w pojedynku z klasowym zespołem Jugosławii obserwowałem grę Jana Tomaszewskiego i zawodników z drugiej linii. Bramkarz – komentowałem – powoli umacnia swoją pozycję w reprezentacji... okrzepł, nabył doświadczenia i większej pewności siebie. Okres załamania psychicznego spowodowany jeszcze w okresie gry w Legii i przykrym dla niego meczem z NRF, ma już chyba bezpowrotnie poza sobą. Nie ponosi winy za utratę bramek. Należy za to obciążyć obu środkowych obrońców. Z pomocników forma Deyny nadal pozostawia wiele do życzenia. A czy można sobie wyobrazić bez tego zawodnika dobrze grającą reprezentację? Trenera Górskiego

raziła postawa całej formacji: - „Słabo spisała się druga linia, zwłaszcza Kasperczak. Chyba trzeba będzie spróbować innych wariantów”...

Kolejny mecz towarzysko-kontrolny przed Anglią był już wygrany. I partner podobny – Irlandia. Powtórzyć 2:0 w Chorzowie z armadą Alfa Ramseya, to dopiero byłby sukces! W „Piłce Nożnej” sugerowaliśmy, żeby zaufać złotym medalistom z Monachium. Dlaczego właśnie im? Bo tak prawdę powiedziawszy, zdecydowana większość „odkryć” wiosny 1973 reprezentowała tylko nasz poziom ligowy. Ponad to wyrastał tylko Włodzimierz Lubański. Cały czas reprezenował wysoką klasę i dobrą formę. Przed grą z Anglią do lidera reprezentacji koniecznie muszą dołączyć Kazimierz Deyna, Jerzy Gorgoń, Lesław Ćmikiewicz i Robert Gadocha. Bez nich lub z nimi w słabej formie z Anglią wygrać się nie da!

Ten pesymistyczny ton nieco osłodziła przeciętna gra Wyspiarzy w towarzyskim meczu z Czechosłowacją. W Pradze na Letniej był nasz specjalny wysłannik Antoni Piontek i stwierdził, że „Anglicy nie zachwycili” i że „dopisało im szczęście”. A jednak zremisowali! Taki wynik w Chorzowie też by ich w pełni zadowolił. Trener Górski był bardziej wstrzemięźliwy w ocenie: „Anglicy zagrali w Pradze ulgowo... Jedynie Bobby Moore wypadł tak, jak można było tego oczekiwać”.

– A co ty o tym sądzisz? – spytałem Jacka Gmocha.

– W zeszłym i tym roku oglądałem Anglików pięć razy. Cały czas grają niby tak samo, jednak pewne zmiany są tu widoczne. Dotyczy to głównie obrony. Ramsey organizuje „strefę” już na połowie boiska, a krótkie krycie na 25-30 metrów przed własną bramką... Nie ma jednak lidera w zespole na poziomie Bobby Charltona. Jest więc w rozterce – grać w ustawieniu 1+4+4+2 czy 1+4+3+3? Nas w Chorzowie, niczym nie zaskoczy.

– To znaczy?

– Nie będziemy w tej bitwie bez szans. W meczach Anglii z Walią i Szkocją dostrzegłem luki w angielskiej obronie. W pierwszej fazie gry z reguły nieco słabiej prezentuje się Bobby Moore. Ma już swoje lata, ale wciąż chce się pokazać z jak najlepszej strony... Inicjuje akcje ofensywne... Nie zawsze udanie... Tu właśnie widzę szansę dla Lubańskiego. Włodek musi na to czyhać, starać się przechwycić piłkę! I kto wie, może celnie strzelić...

Podobno najtrudniej być prorokiem we własnym kraju, a jednak Gmoch przełamał i tę barierę. Tak, jak powiedział, tak się stało!... Drugą bramkę dla Polski, decydującą o wygranej 2:0 zdobył właśnie Lubański, po akcji, jaka od dawna śniła się Jackowi po nocach. Sen stał się jawą! Taktyczny pojedynek z kapitanem reprezentacji Jej Królewskiej Mości wygrał Polak! Wystąpiło w tym meczu 12 naszych reprezentantów. Nikt niczego nie spartaczył, wszyscy grali na piątkę! Najwspanialej Lubański i Deyna!

Włodek... Zbędny jest dłuższy komentarz o walorach tego zawodnika. Wielki piłkarz, wspaniały sportowiec. Pomógł drużynie w ciężkim boju, aczkolwiek nie zawsze wdawał się w uporczywe pojedynki z Mac Farlandem (to też duża sztuka!), jednak zawsze go absorbował, a także asekurującego środkową strefę Bobby Moore'a. Wygrał z nim cudowny pojedynek i zdobył przepiękną drugą bramkę. Okpił też bramkarza Shiltona. Mecz okupił kolejną kontuzją...

Przyzwyczailiśmy się do tego, że Deyna jest królem środka boiska i dość często z dystansu strzela bramki. Wtedy najbardziej rzuca się w oczy, błyszczy. W meczu z Anglią Deyna grał nieco inaczej, ubezpieczał drugą linię, zwłaszcza w okresie dużej przewagi Wyspiarzy,

chwilami przypominał „wymiatacza” linii pomocy. Dobrze wytrzymał mecz kondycyjnie, co pozwoliło mu na swobodne narzucanie takiego tempa i sposobu gry, jakie w danej chwili najbardziej nam odpowiadały. Gerard Cieślik też tak to widział: - „Szczególnie podobał mi się Deyna... Bardzo konsekwentny w realizowaniu założeń taktycznych”.

Kolejnym bohaterem pozytywnym tego meczu był Jan Tomaszewski. Potrafił ubiec i przechytrzyć Petersa, Chiversa i Clarke’a. Ani razu nie dał się zaskoczyć żadnemu przeciwnikowi. Bronił pewnie, czysto technicznie i spokojnie. Trener reprezentacji ZSRR, Jewgienij Goriański obserwujący ten mecz powiedział, że „Wasz bramkarz był bardziej angielski, niż Anglicy”... Czytelnicy zasypali redakcję listami pełnymi pochwał pod adresem „Tomka”, a ten chętnie na każdy z nich odpowiedział. Główny motyw: „O naszym sukcesie zdecydowała gra wszystkich zawodników. Jeszcze lepiej musimy zagrać na Wembley”...

O nieprzeciętnym talencie Janusza Kupcewicza, syna Aleksandra mojego przyjaciela z Lechii Gdańsk, dowiedziałem się, gdy miał 15 lat. Trochę za namową ojca i moją, już w roku 1972 pierwszy na temat przyszłości Kupcewicza juniora wypowiedział się red. Mieczysław Szymkowiak. Pilnie śledził jego postawę, grę i rolę w drużynie podczas VI Turnieju Przyjaźni w Rumunii. Pisał:

...Nasi juniorzy pozostawili po sobie dobre wrażenie nie tylko dzięki dobremu wyszkoleniu technicznemu, lecz głównie dzięki nieszablonowemu sposobowi gry. Najlepiej prezentowała się linia środkowa. Była popisową formacją naszego zespołu i zapewne najlepsza wśród wszystkich, które widziałem w Rumunii. Największym odkryciem turnieju był niewątpliwie Janusz Kupcewicz. Takiego talentu od czasu pojawienia się Włodka Lubańskiego nie widziałem. Istnieją zresztą

między nimi dość istotne analogie – głównie talent odkryty już w tak młodym wieku. Kupcewicz jest piłkarzem uniwersalnym z powodzeniem może grać na każdej pozycji.

Olek Kupcewicz, ojciec Janusza zachęcał mnie, abym w lipcu 1973 roku wybrał się do Krakowa na Ogólnopolską Spartakiadę Młodzieży. Będzie tam on (mieszkał wtedy w Olsztynie) i Wojtek Łazarek, trener reprezentacji juniorów Gdańska, no i oczywiście młody Kupcewicz. Pod Wawel wybrałem się również z dwóch innych powodów: z racji zawodowych upodobań w roli sprawozdawcy prasowego i działacza społecznego, przewodniczącego grupy selekcyjnej (Golan – Lechowski – Szczechowicz) w komisji młodzieżowej PZPN. Był to udany turniej, na dobrym poziomie, zapisałem w swoim notesie 40 juniorów zasługujących na dalszą obserwację. Janusz Kupcewicz grający wtedy w reprezentacji Olsztyna otwierał tę listę. Grał tak jak już rok wcześniej widział to red. Szymkowiak. W pełni podzieliłem jego opinię.

Nie wszyscy jednak obserwatorzy z PZPN mieli podobne zdanie. Zbliżone listy kilkudziesięciu najlepszych juniorów mieliśmy tylko my dwaj – Janek Golan i ja. U nas wśród wyróżniających się juniorów dwa pierwsze miejsca zdecydowanie zajmowali właśnie Janusz Kupcewicz i... Stanisław Terlecki. Trener Marian Szczechowicz widział to inaczej – u niego obaj zamykali tę listę. Kamuflaż, złe rozpoznanie czy niechęć trenera reprezentacji Polski do tych utalentowanych zawodników? W roku 1973 mieliśmy naprawdę dobrą reprezentację juniorów. A jednak, mimo dwóch efektownych zwycięstw nad Holandią, przegrała eliminacje przed turniejem UEFA w Anglii. We Włocławku i Osterode lepsi okazali się młodzi Niemcy. Miny wyraźnie nam

zrzedły. Czyżby podobny los przed Weltmeisterschaft 1974 miał spotkać podopiecznych Kazimierza Górskiego?

„Nic dwa razy się nie zdarza”... Poza tym Górski, to nie Szczechowicz – zapewne znajdzie sposób na Wyspiarzy. Po przegranej w Osterode drużyny z Kostrzewą, Wojtowiczem, Rozborskim, Kapką i przede wszystkim z Kupcewiczem o zbliżających się mistrzostwach świata rozmawiałem z ówczesnym przewodniczącym Europejskiej Komisji Młodzieżowej, profesorem doktorem Karlem Zimmermannem. Był wtedy również członkiem komitetu organizacyjnego X Mistrzostw Świata. Pan profesor mieszkał w Getyndze we własnej willi. Właśnie tam na wielkanocne jajeczko zaprosił szefa naszej juniorskiej ekipy, Stefana Bombę i... mnie. Przy kawie i koniaku Karl Zimmermann chętnie podjął temat przyszłorocznych mistrzostw.

– Jaki jest obecny stan przygotowań do tej wielkiej imprezy?
– zapytałem.

– Dziś już większość ważniejszych problemów mamy w zasadzie rozwiązanych. Na początku kwietnia w 208 punktach rozpoczęliśmy przedsprzedaż biletów. Przygotowaliśmy dwa miliony sto tysięcy kart wstępu. Ceny wahają się w granicach od 10 marek na miejsca stojące do 80 na mecz finałowy w Monachium.

– Czy wszystkie stadiony odpowiadają wymogom FIFA?

– Oczywiście! W Monachium, Stuttgarcie, Hanowerze, Hamburgu, Gelsenkirchen, Dortmundzie, Duesseldorfie, w Berlinie Zachodnim i we Frankfurcie nad Menem – wszędzie... Decydujące mecze odbędą się w Monachium.

– Już raz o złoty medal grała tam reprezentacja Polski. Czy znów się tam pojawi? – niepokoilem gospodarza.

– Najpierw musicie wygrać eliminacje. Anglia, Walia... Och, to bardzo solidne i mocne firmy!...

– Nie wierzy pan profesor w „chłopców Górskiego”?... Przegramy eliminacje z Anglią?...

– Myślę, że przegraliście je już w Cardiff... w meczu z Walią. W Monachium widziałem waszą drużynę, grała bardzo dobrze i zespołowo. Prezentowała konkretny futbol, mocno zbliżony do naszego niemieckiego, ale... Nie ukrywam, że teraz ma trudniejszy orzech do zgryzienia. Anglię uważam za jednego z faworytów całego turnieju. Miałyby z Polską przegrać eliminacje? Z drużyn europejskich liczę też na awans: Węgier, Holandii, Włoch, NRD, Bułgarii, Hiszpanii, Szkocji i... ZSRR.

– Polskę stawia więc pan na straconej pozycji?!...

– Tego nie powiedziałem... W meczach z Anglią i Walią będę trzymał za was kciuki. Życzę powodzenia. Walczcie do końca!...

– A kto wygra całą batalię – Europa czy Ameryka Południowa?

– Europa! Oczywiście Europa!... Mam kilku faworytów... Anglia, Holandia, Włochy, no i my, Niemcy. Z krajów zamorskich może z nimi konkurować tylko Brazylia... Ale tytuł mistrza straci!

Sugestie profesora Zimmermanna w znacznej mierze się sprawdziły, jednak w odniesieniu do Anglii, Włoch i Polski okazały się chybione. Dziś można o tym pisać i mówić bez większych emocji, nawet z lekkim przymrużeniem oka, na pełnym luzie, z uśmiechem na twarzy, ale wtedy nie tylko dla nas były to sprawy superważne. U przegranych mogłyby wywołać istne trzęsienie ziemi. A jednak za sprawą „państwowych amatorów” ze Wschodu Europy Anglia i Włochy za burtą mistrzostw świata! Najpierw w eliminacjach padła Anglia, a potem – już w puli

finałowej – Włochy. My śpiewaliśmy „Przeżyjmy to jeszcze raz!”, oni chcieli to wszystko, jak najszybciej zapomnieć.

Podobno przysłowia są mądrością narodów. Z tych złotych myśli dowiadujemy się na przykład – *„miłe złego początki, lecz koniec żałosny”*. Tymczasem w roku 1973 nasi piłkarze całkowicie odwrócili sens tego porzekadła. Mieli „złe dobra początki, lecz koniec radosny”. Po wpadce w Cardiff przyszła wiktoria z Anglią w Chorzowie. Co teraz? Trzeba pójść za ciosem i wygrać rewanżowy mecz z Walią! Eliminacje mistrzostw świata, dalsze w nich losy Anglii, Walii i Polski wyraźnie górowały nad ligową szarżyzną. Zepchnęły na boczny tor zmiany w kierownictwie PZPN i zapowiadaną reorganizację ligi.

KANCEROWANIE LIGI

Na ligowych boiskach nastąpiła zmiana warty. Już nie Górnik, nie Legia i nie Ruch lecz Stal Mielec sięgnęła po tytuł mistrza Polski. Szło nie tyle „nowe”, ale „inne” w naszym futbolu. Liga nadal była zwariowana, ale dość odległa od jałowej stabilizacji, nieco ambitniejsza, zdolna do zburzenia tradycyjnego układu sił. Znaczną część tej „inności” przypisywali sobie urzędnicy z CRZZ. W Mielcu starano się wykorzystać tę słabość związkowców. Obiecywali, że nad Wisłoką powstanie „polski wunderteam”? Do gry w Stali powoli przymierzał się Andrzej Szarmach. Już teraz było tam sporo reprezentantów Polski: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczak, Grzegorz Lato, Jan Domarski... Na wszystkich przychylnym okiem zerkał selekcjoner Górski.

Nie ucichły echa olimpijskiego sukcesu reprezentacji. W umysłach działaczy piłkarskich i na szczytach sportowej władzy zrodziły się tendencje do zmian. Do głosu doszli zawodowi reformatorzy. Nagle nie spodobał się im kształt wszystkich trzech lig! Pomajstrowali. Teraz będzie 16 drużyn w ekstraklasie, w drugiej lidze 32 zespoły w dwóch grupach po 16, a trzecia liga zostanie zlikwidowana. Argumentacja? Decydują – twierdzono – względy sportowe, wychowawcze i przede wszystkim ekonomiczne. Skąpcy, ale i filantropi. Na pocieszenie – z urzędu, decyzjami zza biurka – postanowili tu i ówdzie zlikwidować piłkarskie „białe plamy”.

„Dopuszcza się jednorazowo do nowego systemu rozgrywek czołowe kluby czterech okręgów, a są to: Białystok, Koszalin, Olsztyn i Zielona Góra. Ma to na celu aktywację sportu piłkarskiego w tych rejonach. Jest to również generalne zapewnienie wszystkim miastom wojewódzkim miejsc w rozgrywkach centralnej II ligi...” – brzmiał oficjalny komunikat PZPN.

Uzczęśliwione zostały: Włókniarz Białystok, Gwardia Koszalin, Stomil Olsztyn i Zastal Zielona Góra. Trzy pierwsze kluby zaliczono do grupy północnej, a Zastal do południowej. Przeprowadzona sonda w tych klubach nie nastrajała optymistycznie. Własny stadion na miarę II ligi posiadała tylko Gwardia Koszalin, ale kasę miała pustą. Szansę na funkcjonowanie w wyższej klasie w oparciu o własne środki finansowe mógł mieć tylko Stomil Olsztyn. Historia rychło wydała wyrok skazujący na reprezentantów Białegostoku, Koszalina i Zielonej Góry. Chybiony był przede wszystkim wybór kandydata z Białegostoku. Postawiono na Włókniarza, podczas gdy piłkarstwo w tym mieście, akurat wtedy objęte patronatem „Piłki Nożnej”, zawsze utożsamiane było z Jagiellonią. A więc pudło! Likwidacja III ligi też była pomysłem absurdalnym.

Taki kształt polskich lig (trzecią zepchnięto do poziomu klasy okręgowej) otrzymał w spadku nowy prezes PZPN, Jan Maj. Zastąpił Stanisława Nowosielskiego, który w połowie 1973 roku przejął kierownictwo nowo utworzonej Polskiej Federacji Sportu. Awansował jednocześnie na wiceprzewodniczącego GKKFiT. Środowisko piłkarskie przyjęło ten twór z dużą rezerwą. Niektóre dyscypliny były zadowolone, pozyskały bowiem możnego patrona, piłka nożna powodów do radości raczej mieć nie powinna. Jednak - zapewne z sympatii dla Nowosielskiego - PZPN zgodził się na formułę „**pierwszy wśród równych**”. Piłkarstwo, zwłaszcza jego ogniwa w województwach na tym pozornym liderowaniu jednak znowu sporo straciły, przede wszystkim samodzielność.

Teraz wszystkie okręgowe związki piłkarskie były tylko członkami terenowych federacji sportu. Biedne OZPN-y, od wielu lat były obiektem manipulacji. W najdrastyczniejszej formie przeżywały to już na początku lat pięćdziesiątych, a potem w połowie lat sześćdziesiątych. Były wtedy li tylko sekcjami wojewódzkich komitetów kultury fizycznej, bądź niewiele znaczącymi „oddziałami PZPN”. Starsi działacze piłkarscy z obrzydzeniem wspominali te upokarzające praktyki. Czy historia się powtórzy? Piłkarskiej centrali, głównie w kontaktach międzynarodowych, specjalnie to nie zaszkodziło, ale wszystkie związki okręgowe wyraźnie podupadły. Wcale nie były tam „pierwsze wśród równych”. Bywało, że w województwie jeden „nadzorca” z federacji, najczęściej nieprzychylny piłkarstwu, sprawował władzę jednocześnie nad kilkoma związkami sportowymi. Degrengolada. Dawną rangę odzyskało piłkarstwo dopiero po kolejnych sukcesach reprezentacji.

Miałem też wątpliwości czy prezes Stanisław Nowosielski rzeczywiście awansował. Ujmując sprawę na chłopski rozum, w tej nowej roli groziło mu pomniejszenie lub nawet przekreślenie dotychczasowych zasług dla piłkarstwa, zwłaszcza tych na rzecz reprezentacji. Potrafił jednak obronić się przed zapomnieniem. W nowej roli pozostał wierny futbolowi. Nie zdołał tylko przeciwstawić się likwidatorom III ligi i storpedować utopijnych pomysłów o likwidacji „białych plam”. Górę wzięły doraźne akcenty polityczne. Prezes nadal gustował w dziwnych propozycjach kadrowych. Mnie na przykład chciał „uszcęśliwić” funkcją rzecznika Polskiej Federacji Sportu. Widać zapomniał, że już raz red. Mieczysław Szymkowiak wykpił takie awanse. Mój sprzeciw niektórzy „przyjaciele” potraktowali jako przejaw nadmiernej samodzielności i - jak tak to już wcześniej określili - „ponadnormatywnego stosunku do piłki nożnej”.

Pierwszą konferencję prasową Polskiej Federacji Sportu prowadził więc człowiek praktycznie znikąd, bodajże z zainteresowań rugbista, w każdym razie piłkarzom nożnym nieznany. Oficjalnie poinformowano dziennikarzy, że:

1. PZPN jest członkiem Polskiej Federacji Sportu.
2. W gestii federacji pozostaje polityka sportowych kontaktów zagranicznych, kształcenie kadr trenerskich oraz nadzorowanie systemów rozgrywek i organizacji zawodów.
3. Kierowanie przygotowaniem reprezentacji do imprez rangi światowej.
4. Polski Związek Piłki Nożnej oczekuje do PFS pomocy przy budowie centralnego piłkarskiego ośrodka szkoleniowego.

PZPN znalazł się między młotem, a kowadłem. Ambicje miał duże, ale sam niewiele będzie mógł zdziałać. Nowy prezes Jan Maj ani słowem nie wspomniał o tym, że PFS będzie krępować poczynania PZPN. Natomiast chwalił swojego poprzednika.

– Nasze piłkarstwo – powiedział – jest na dobrej drodze do umocnienia silnej pozycji w Europie. Niełatwo będzie jednak sięgnąć po tak wielkie sukcesy, jakie PZPN zanotował na swoim koncie w czasie prezesury Stanisława Nowosielskiego. W zeszłym roku zdobyliśmy złoty medal olimpijski, a w tym wygraliśmy bardzo trudny mecz z Anglią o mistrzostwo świata. Piękne 2:0 w Chorzowie zjednało nam sympatię w całej Europie. Nie wolno nam niczego uronić z tych sukcesów. Teraz celem numer jeden jest dobre przygotowanie reprezentacji do pozostałych spotkań o mistrzostwo świata z Walią w Chorzowie i z Anglią w Londynie. Między innymi służyło temu tournée za Oceanem.

Reprezentacja w dobrych nastrojach i ze świetnymi wynikami powróciła z Ameryki Północnej, a zaraz potem 2:0 wygrała w Warnie z Bułgarią. Teraz szybkimi krokami zbliżał się termin rewanżowego meczu z Walią. Dla naszego futbolu było to typowo hamletowskie „być albo nie być”. Trzeba to wygrać! Nawet remis z Walią nas nie urzęda. Piłkarzom w podróży do Kanady, Meksyku i USA towarzyszył red. Stefan Grzegorzczak. W „**Dzienniku piłkarskiej wyprawy za Ocean**” pisał, między innymi:

...Trener Górski zapowiedział, że unikać będzie dziennikarzy, bo mu pokazano gazetę, w której napisano, że jest nonszalancki i zbyt pewny siebie oraz że lekceważy przeciwnika. Pan Kazimierz nie lubi jednak długo się gniewać i już następnego dnia udziela wywiadów... Żałośnie wyglądają niektórzy uczestnicy wyprawy, ale chyba nie tyle

z racji trudów meczu, co spotkań z Polonią. A rano trzeba wstać. Zawodnicy schodzą się jakby nie mieli zegarków. Ale mówią, że czują się dobrze. Klimat Kalifornii sprzyja regeneracji sił. Daleki jestem od twierdzenia, że podróże nie były męczące, ale... wytrenowane, silne organizmy w żadnym meczu nie wskazywały, że zawodnicy znajdowali się na krawędzi wyczerpania energii.

A jednak w kraju pojawiło się sporo nadgrowliwców, którzy współczuli piłkarzom. Takie męczące podróże. Zapytałem więc zaraz po powrocie ekipy do kraju trenera Górskiego:

– Przepraszam trenerze, że się ośmielam. Jesteś także zmęczony?

– Ja także? A kto jeszcze? – zdziwił się Górski.

– Mam na myśli zawodników. Oni mówią, a dziennikarze to piszą, że są bardzo zmęczeni. Biedacy!... Myślę jednak, że za miesiąc, w rewanżowym meczu z Walią wszystko będzie w porządku...

– Nie rozumiem... Za miesiąc? Reprezentanci przemęczeni?... Ja tego nie widzę!... W wygranym meczu z Bułgarią w Warnie nasi byli świeżsi od gospodarzy. A przecież nie oni lecz my wojażowaliśmy po Ameryce...

„Teoria zmęczenia” udzieliła się także wielu działaczom. W tym świetle nawet prezes Jan Maj nie był pewien czy „biało-czerwoni” uporają się z Walią. Liga, europejskie puchary – to wszystko wymaga od zawodników dużo sił i dobrego zdrowia. Obawy tonował Jacek Gmoch. Po wyjaśnieniach Górskiego byłem bodaj największym optymistą. W hotelu „Katowice”, tuż przed meczem z Walią prowokacyjnie zagadnąłem prezesa Maja:

– Janek, jesteś przygotowany na uroczysty bankiet...

– Będzie pomeczowa kolacja...

– Co tam, kolacja... To musi być uczta! Wygramy z Walią 3:0. Będziesz miał wymarzony debiut w roli prezesa.

– Trzy zero? Jurek, czyś ty oszalał?!

– Bywam szalony, ale dziś nie szarżuję. Mówię poważnie - wygramy wysoko... Szykuj przyjęcie!...

Nasi wygrali właśnie 3:0. Nikt nie zawiódł. Prezes Maj też zachował się elegancko. Stoły zastawione, moc żarcia i picia. Jak u praociców Sarmatów... Kurdesz! Kurdesz – nad kurdeszami!... Gości było sporo, także z Walii, ale tylko nieliczni sprościli rozkoszom pomeczowej biesiady. Wielu zwała z nóg „naturalna selekcja”... Do końca uroczystości w niezłej formie dotrwało tylko trzech wysoko postawionych działaczy PZPN i dwóch dziennikarzy. Za to piłkarze, ci oczywiście na boisku, byli wspaniali. Uraczyli nas dreszczowcem z happy endem. Na zgrupowaniu w Kamieniu dokładnie obejrżeli film z pierwszego meczu z Walią. To był celny chwyt motywacyjno-mobilizujący Jacka Gmocha:

...Widzicie, co oni wyprawiali z wami w Cardiff! – wykrzykiwał. – Nieustannie złośliwie faulowali. Wyciągnijcie z tego właściwe wnioski. W Chorzowie to nie może się powtórzyć... Wy musicie być górą! To jedyna prośba z mojej strony. Scenariusz meczu sami musicie napisać!

Napisali. Nie był to najpiękniejszy mecz, ale jego wynik zadziwił nawet znawców. Znowu dobrze o nas mówią i piszą w kraju i na świecie. Wynik 3:0 we współczesnym piłkarstwie zdarza się nieczęsto. To cieszy, ale i zobowiązuje. Przed nami przecież rewanżowe spotkanie z Anglią na Wembley. Tam trzeba zagrać jeszcze lepiej. Klakierzy zazwyczaj gardłują, że zwycięzców się nie sędzi, ale mnie takie opinie denerwowały. Jak tu milczeć lub bić brawo, skoro defensywa nie była w tym meczu ostoją naszego zespołu? W Londynie może się to skończyć katastrofą. Tam

trzeba zagrać bardziej „po angielsku”...

Słabe momenty miała też pomoc. Najwaleczniejszy był Ćmikiewicz, pierwszoplanową postacią Deyna, ale obu stać na dużo lepszą grę. Tylko napastnicy Gadocha i Lato bez zastrzeżeń. Wyraźnie przewyższali szybkością obrońców Walii, byli współautorami wszystkich bramek. Ich akcje, dynamiczne i precyzyjne należało by stawiać młodzieży za wzór do naśladowania. Za tydzień towarzyski mecz z Holandią, a za dwa tygodnie o decydujące punkty z Anglią. Rotterdam przed Londynem powinien być doskonałą próbą generalną w walce o udział w finałach X Mistrzostw Świata.

W wydawnictwie ustalono, że do Rotterdamu poleci Lechowski, a do Londynu Grzegorzcyk. Jednak z winy „służb pozaredakcyjnych”, a może z braku „woli politycznej” dycydentów, meczu z Holandią nie obejrzałem; stanowczo za późno otrzymałem niezbędne dokumenty. Redaktor naczelny takich kłopotów już nie miał. Szczęściarz, na Wembley przeżył wydarzenie godne wyobraźni i pióra Alfreda Hitchcocka. Ja już przed Rotterdamem poczułem się jak nawiedzony, gdy pisałem: *„Mecz z Holandią powinien mniej więcej tak wyglądać jak ten za tydzień w Londynie. Mam oczywiście na myśli taktykę gry i role, jakie przypadną tam poszczególnym zawodnikom. Może wtedy i wynik będzie podobny?”* Tu i tam było 1:1... Znowu dobrze trafiłem.

Przed meczami z Holandią i Anglią dość głośnie i ważne było jeszcze jedno wydarzenie – Walne Zgromadzenie PZPN. Miało charakter wyłącznie sprawozdawczy, ale nie tylko z tego powodu odbyło się w „klimacie optymizmu”. Cieszyła wygrana z Walią, przed Wembley malkontentów było niewielu. Nie omieszkało jednak dokuczyć Janowi Majowi: - *„Czy tak młody prezes zdoła udźwignąć spoczywający na nim*

ciężar odpowiedzialności?”. Odżył więc odwieczny spór w sporcie „starzy – młodzi”. Jak zwykle w podobnych sytuacjach narastające napięcie z humorem wyciszył „stary” Kazimierz Bukowski z Radomia. Odwołał się do historii:

...W roku 1937 – powiedział – szefostwo nad Wydziałem Sędziowskim objął 31-letni wówczas Waclaw Kaflński. Był niewątpliwie bardzo młody, ale wtedy nikogo to nie raziło. Po cóż więc wypominać Janowi Majowi, że nie osiągnął jeszcze czterdziestki?... Jest energiczny, zapewne będzie mocno naciskał na Polską Federację Sportu, by wspólnym z nami wysiłkiem zbudowała wreszcie centralny ośrodek piłkarski?

Nadszedł wreszcie 17 dzień października. Polska zremisowała na Wembley. Jan Domarski strzelcem bramki, Anglicy wyrównali z problematycznego rzutu karnego. Nasza reprezentacja pojedzie na mistrzostwa świata! Red. Stefan Grzegorzczak doniósł z Londynu o *„końcu legendy stadionu i angielskiego futbolu”*. – **„To był szok!** – pisał. – Anglia nie mogła uwierzyć. Wydawało się jej, że to gwizdek na przerwę, a nie koniec meczu. Gazety rzuciły się na Ramseya: - Co zrobiłeś?!... Oddaj mistrzostwo świata! Dobry humor mają tylko bookmacherzy, zarobili dużo forsy. Wszyscy stawiali przecież na Anglię. Alf Ramsey nadal wierzy w legendę. Dla niego Anglia wciąż jest najlepszą drużyną świata...”

Po meczu z Walią w Chorzowie, mimo że wygraliśmy tam 3:0, a więc nie straciliśmy żadnej bramki, miałem zastrzeżenia do gry naszej defensywy, także do Jana Tomaszewskiego. Na Wembley bronił jednak wspaniale, po angielsku, jakby na co dzień grał w tamtejszej lidze. Fruwał na polu karnym, zbierał piłkę z głów rosnących napastników, rzucał się pod ich nogi. Uznano, że to głównie on „zatrzymał Anglię”. Tomaszewski

zrobił swoje, ale w „twierdzy Wembley” świetnie grała cała polska drużyna. Bezbłędni byli zwłaszcza obrońcy, kilkakrotnie wybijali piłkę sprzed linii bramkowej. Miał tam być remis i cel osiągnięto!

Potwierdziła się w Londynie głębia jednej ze złotych myśli Kazimierza Górskiego: *„Aby mecz zremisować, trzeba najpierw strzelić bramkę”*. Do tego jednak potrzebne są: mądrość, ambicja i... skuteczność. Tak właśnie grali Polacy na tym legendarnym stadionie. Był to 36 mecz pod wodzą Kazimierza Górskiego: 21 zwycięskich, 8 przegranych i siedem remisów. Ten z Wembley miał wartość największą. Otworzył wrota na światowe salony. I jak tu nie wierzyć w szczęśliwą siódemkę? Był to także pięćdziesiąty występ Kazimierza Deyny w drużynie narodowej. Do tej pory częściej od niego w reprezentacji grali tylko: Lubański, Brychczy. Oślizło, Szymkowiak, Szoltyś i Anczok.

Chwalono Polaków za ogromnego ducha walki. Zaprezentowali postawę, pasję i styl naszych najwspanialszych przodków z różnych dziedzin życia. Tu i ówdzie podnoszono wyczyn piłkarzy do rangi bohaterów narodowych. Tylko jakiś pseudoznawca futbolu z „Głosu Pracy” bełkotał, że „na Wembley zabrakło ducha Stańczyka”, to znaczy zdrowego rozsądku. Odpowiedziałem paszkwilantowi fragmentem kwestii właśnie Stańczyka z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego:

...uderzyłeś w błazna ton

- Kłam sercu, nikt nie rozumie.

...sromota, sromota, wstyd,

palący wstyd.

Zaraz po londyńskiej wiktorii zastanawiałem się na łamach „Piłki Nożnej”, co trzeba zrobić, „aby grać jeszcze lepiej...”. A trzeba, bo w puli finałowej w RFN wystąpi światowa elita, groźniejsza i sprytniejsza od

Anglików. Chcemy zresztą, żeby nasi reprezentanci i ich następcy częściej grali tak dobrze i mądrze, jak w Londynie i byli stałymi uczestnikami finałów mistrzostw świata. Co stoi na przeszkodzie?

1. Brak własnego ośrodka szkoleniowego.
2. Wciąż nie wystarczająca współpraca klubów z piłkarską centralą.
3. Brak pełnowartościowego następcy Lubańskiego. Zresztą luki są w każdej formacji. Jeszcze nie zbudowano „jedenastki marzeń”.
4. Nie zawsze najwyższa forma naszych asów atutowych: Tomaszewskiego, Gorgonia, Deyny i Gadochy.
5. Zbyt powolne równanie do najlepszych – Kasperczaka i Laty.
6. Niedostateczne korzystanie z rezerw kadrowych tkwiących w drużynie młodzieżowej.

JASZYN CHWALI KOSTKĘ

W meczach z Walią i Anglią najwyraźniej dojrzał talent Jana Tomaszewskiego. Wszyscy w kraju chcieliśmy, by grał tak jak Lew Jaszyn. Do niedawna był to nie tylko najlepszy bramkarz lecz w ogóle najwybitniejszy piłkarz Europy. Gratulował nam awansu do finałów mistrzostw świata, zresztą zawsze był pełen uznania dla naszych piłkarzy. Lew Jaszyn, bramkarz wszechczasów! Przyćmił sławę Ricarda Zamory, Frantiska Planicki, Gyuli Grosicsa... Od ponad dwudziestu lat bardzo w Polsce popularny i lubiany. Ostatnio rozmawiałem z nim na zlocie najwybitniejszych bramkarzy w Czechosłowacji. Potężny, pozornie ociężały, ale wciąż zgrabny, elegancki i pamiętliwy... Nie może zapomnieć

dwóch przegranych jego „sbornej” w oficjalnych meczach z Polską – 1:2 w Chorzowie i 0:1 w Warszawie.

– Mielicie dobrych piłkarzy. Zapewne ci współcześnie nie są gorsi. Jesteście w finałach mistrzostw świata. Teraz liczę na awans naszej reprezentacji... Gramy przecież lepiej, niż wskazują na to przegrane mecze z Brazylią i Anglią, także z Polską na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium. Deyna strzelił tam Rudakowowi bramkę z karnego. Znam ten ból, mnie dwukrotnie ośmieszył Pohl. To był mistrz od „jedenastek”...

– Czy tylko Pohla pamiętasz z dawnej reprezentacji Polski?

– Najbardziej prześladował mnie Cieślik... Tego małego „czorta” Brychczego też nigdy nie zapomnę. No i Tomka Stefaniszyna. On już był znanym bramkarzem, gdy ja dopiero kandydowałem do reprezentacji. W Moskwie obronił karnego. Był wtedy lepszy ode mnie...

– Dziś mamy innego „Tomka”, a właściwie Janka... Tomaszewskiego. Widziałeś go w akcji?

– Żałuję, nie widziałem, ale... skoro trener Górski wyżej jego ceni, niż Huberta Kostkę, to rzeczywiście musi być dobry. Właściwie co się dzieje z Kostką? Doskonale wyszkolony bramkarz...

– Od czasu do czasu broni jeszcze w Górniku Zabrze. W reprezentacji już nie... Ma 33 lata...

– No to co? – zachnął się Jaszyn. – Stary, stary... Ja w roku 1963 byłem o rok starszy, a przecież wygrałem wówczas plebiscyt „France Football”. Wiesz, co o mnie mówili po mistrzostwach świata w Chile? Jaszyn się kończy!... Jeszcze raz się zawiąłem i byłem najlepszy w Europie!...

– W czym tkwił sekret tak długiej kariery? Przecież później byłeś jeszcze w Anglii, Meksyku... Grałeś w meczu FIFA – Anglia i na pożegnanie Stanleya Matthews. Dopiero w roku 1971, a miałeś wtedy

już 42 lata, ostatni raz stanąłeś w bramce...

– Sekret, jaki sekret?... Po prostu kocham sport, a nade wszystko piłkę nożną. Nie byłem „cudownym dzieckiem”. Późno zadebiutowałem w reprezentacji. Początkowo w klubie nikt nie wierzył, że mogę być następcą Aleksieja Chomicza... Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat...

– Broniełeś inaczej... Prezentowałeś „wyrozumowany”, bardzo skuteczny styl obrony strzałów.

– Bramka, to nie arena, a boisko – nie cyrk. Niepotrzebne są więc akrobatyczne popisy i oczekiwanie na oklaski...

– Nawet w meczu Dynamo – Reszta Świata byłeś taki...

– Nawet wtedy... Przeżyłem tylko frajdę, że przeciwko mnie grali: Mueller, Dżajic, Facchetti, no i oczywiście wasz wspaniały Lubański. Anczok też był dobry. Zaraz po tym meczu wysłałem do PZPN list z podziękowaniami właśnie za ich wspaniałą postawę na Łużnikach. Ej, szkoda, że to wszystko tak szybko się skończyło...

– Szybko?... Ponad ćwierć wieku! I niemal zawsze na świeczniku...

– „Cudownym dzieckiem” to ja nie byłem! Nieco starsi chłopcy zgrabniej biegali za piłką. W czasie wojny w podmoskiewskim Bogorodsku nie szło mi najlepiej, byłem jakiś dziwnie ociężały. Kumple z podwórka dawali mi do zrozumienia, że nie mam talentu.

– To zapewne „za karę” przegonili cię do bramki.

– Skąd wiesz? U was też tak bywało?... Nie miałem „smykałki” do gry w polu... Przypadek zdecydował o mojej karierze!

– Po wojnie byłeś najpierw w wojsku, czy od razu w milicji?

– W armii!... To przecież męska powinność... W mundurze i w nieco przyciasnych kamaszach prezentowałem się owszem, owszem...

– Wtedy też grałeś w piłkę?

– Futboliści wystąp! – padł rozkaz. – To wystąpiłem. Pytają – obrońca? – bo konusem nie byłem. – Bramkarz – odpowiedziałem. – I tak już zostało...

– Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy byłeś w Polsce?

– Jako żołdat! Służyłem w jednostce, która stacjonowała na waszych Ziemiach Odzyskanych. Gdzieś koło Białogardu... Mieliśmy silną reprezentację pułku, z powodzeniem rozgrywała mecze również z polskimi drużynami.

– Dobrze broniłeś... Wiem, bo tam byłem.

– Poważnie? Chyba żartujesz...

– Nie żartuję i niczego nie zmyślam. Akurat wtedy, krótko bo krótko, mieszkałem w Świdwinie odległym od Białogardu o jakieś trzydzieści kilometrów. Kopałem tam w piłkę w miejscowym klubie „Rega”. Strzelałem sporo goli. Tobie też jednego wbiłem...

– Fantazjujesz! Poczekaj... Świdwin, Świdwin... Wygraliśmy tam bodajże 4:1...

– Ciepło, ciepło... J właśnie ja cię wtedy pokonałem...

– Przepuściłem „szmatę”?...

– O, nie! Byłeś dobry, ale i ja nie od macochy...

– Przypomniałeś sobie to właśnie teraz, po tylu latach?...

– Zawsze byłem z tego dumny. Mam nawet zdjęcie z tego meczu...

– Zapewne strzeliłeś z karnego?... Z akcji było by to niemożliwe!

– Niemożliwe? To ci przypomnę! Bramka padła z akcji. Prowadziliście 1:0... Precyzyjnym „wewnętrzniaczkiem” wyrównałem na 1:1... Balu jednak nie było, ostatecznie wygraliście 4:1.

Zwierzyłem się z tej mojej „słodkiej tajemnicy” redaktorowi Stefanowi Szczepłowski, niegdyś bratniej duszy z „Piłki Nożnej”,

w „Rzeczypospolitej” autorowi rzeczowej publicystki piłkarskiej. Prosiłem jednak, aby nigdy i nigdzie tej mojej „bajkowej opowieści” nie rozpowszechniał. Na to Stefan swoim nieco teatralnym głosem:

– Ciekawostka... To dobry kąsek dla czytelników „Świadka koronnego”. Sam o tym napisz. Jednak na wszelki wypadek sprawdź, czy „kontakt z Jaszynem” nie zapaprał ci opinii w IPN-ie!...

Powoli kończył się rok 1973, tak bardzo udany przede wszystkim dla naszej drużyny narodowej. Młodzież też miała powody do radości. Zespół Under – 23 w pięknym stylu zdystansował rówieśników z Danii i RFN i awansował do ćwierćfinałów mistrzostw Europy. Sugerowano, że o sukcesie naszego zaplecza zadecydowała wyłącznie defensywna taktyka. Nieco mnie to zaskoczyło, bo w meczach z Danią i RFN nasi młodzieżowcy w żadnym wypadku nie „murowali” bramki i nie byli niewolnikami taktyki. Rzeczywiście może ona zdziałać cuda, jednak akurat w meczach w tymi reprezentacjami nasz zespół Under – 23 był lepszy pod każdym względem, także technicznie i kondycyjnie.

Jest dobre zaplecze. Ale uwaga! Nie przesadzajmy z tą taktyką, nie wymyślajmy założeń taktycznych za biurkiem. Zadbajmy najpierw o potencjał techniczny drużyny i jej wartości motoryczne. Najpierw bowiem trzeba mieć w drużynie odpowiednio wyszkolonych zawodników, a dopiero potem myśleć o taktyce. Możliwej do zrealizowania! To jest fundamentalna zasada szkoleniowa. Stawiać zadania na miarę kadry, którą się dysponuje! I tak właśnie w rywalizacji z Danią i RFN postępował Andrzej Strejla. Nie każdy trener to potrafi. Zbyt często są niewolnikami systemów gry i taktyki. To ich pcha do wypraw z motyką na słońce.

Szaleństwem jest na przykład, gdy drużyna, która ma w swoich szeregach trzech bardzo dobrych napastników, z przyczyn doktrynalnych

z uporem trzyma jednego lub nawet dwóch z nich na ławce rezerwowych. Właśnie taki „fachowiec” jest niewątpliwie niewolnikiem systemu lub taktyki defensywnej. Albo inny przykład. Klub mający u siebie czterech lub pięciu doskonałych zawodników drugiej linii, a słabych napastników, nie powinien tkwić w schemacie 1+4+3+3. Bo też staje się zakładnikiem podręcznikowych teorii. Taktyka jest ważną sferą futbolu, przeżywa permanentną ewolucję, ujawnia nowe wartości. Jednak samą tylko taktyką, gdy brakuje innych atutów, meczu wygrać się nie da.

Z kim zagramy w RFN? Już w grudniu 1973 mgr inż. Jacek Gmoch i mgr Wojciech Skoczek z Politechniki Warszawskiej zapoznali Czytelników „Piłki Nożnej” z prawdopodobnymi składami poszczególnych grup finałowych. Przepowiedzieli z 75-procentową pewnością, że rywalami Polski na boiskach Niemiec będą: reprezentant Ameryki Południowej, drużyna z Europy Zachodniej i... Ameryki Środkowej. Losowanie odbyło się 5 stycznia 1974 roku we Frankfurcie nad Menem. Gmoch i Skoczek mieli rację: gramy z Argentyną, Włochami i Haiti.

– Mogło być gorzej! – zgodnie odpowiedzieli Maj i Górski. – Sama egzotyka... Południowcy! Klasę Włoch i Argentyny znamy dobrze... To potencjalni mistrzowie świata!... Grają inaczej niż Anglicy i Walijczycy. Musimy to uwzględnić w naszych planach przygotowań. Potrzebne będzie wcześniejsze rozpoznanie przeciwników...

Kibice wysoko ocenili „zwycięski remis” na Wembley. W konkursie – plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na dziesięciu najlepszych sportowców Polski znalazło się aż trzech piłkarzy: Kazimierz Deyna (5), Jan Tomaszewski (9) i Lesław Ćmikiewicz (10). Tuż za nimi uplasowali się: Jerzy Gorgoń (11), Robert Gadocha (12), Włodzimierz Lubański (13) i... Grzegorz Lato (20). Lubański, kontuzjowany w meczu z Anglią

w Chorzowie, czuł się coraz lepiej, wierzył, że lada moment dołączy do kolegów. Jednak lekarz kadry, dr Janusz Garlicki temperował te nadzieje. W ekipie na tournée do Niemiec, Włoch i Algierii Lubańskiego nie było. Niezdolny do gry był również Jerzy Kraska.

Podziwiałem Górskiego, jego entuzjazm, żmudne poszukiwania, ale też mocno mu współczułem. Miał trudniejszą selekcję niż jego poprzednicy. Jeszcze nie tak dawno mocny trzon reprezentacji tworzyli piłkarze Górnika Zabrze wspierani głównie przez tuzów - Legii Warszawa. To był prawie samograj. Teraz rozrzut kandydatów do drużyny narodowej był znacznie większy. Stalowcy z Mielca, wiślacy z Krakowa, najlepsi z Chorzowa i Łodzi, wreszcie nowicjusze ze Śląska Wrocław też zasługiwali na wyróżnienie. Selekcjoner powtarzał przy każdej okazji, że będzie się starał tworzyć reprezentację z par lub tercetów klubowych. Jeśli Deyna, to również Ćmikiewicz i Gadocha, jak Szymanowski – to razem z nim Musiał i Kapka, jeśli Kasperczak – to także Lato i Domarski, wreszcie jak Tomaszewski – to również Drozdowski i Bulzacki. Górski niemal do końca swojej misji był wierny tej idei i źle na tym nie wyszedł.

W Ruchu wyraźnie mijał czas Bronka Buli, ale drugą młodość zaczął przeżywać Zygmunt Maszczyk. W Stali mocno trzymał się Krzysztof Rześny, zaś w Wiśle dobrze prezentował się bramkostrzelny Kazimierz Kmiecik. W Górniku Włodka Lubańskiego godnie zastępował Andrzej Szarmach, w Pogoni Zenon Kasztelan wyrastał na dublera Deyny, a w Gwardii Warszawa obok Jerzego Kraski na swoją szansę oczekiwali Władysław Żmuda, Andrzej Sikorski i... Stanisław Terlecki. Tylko w Lechu Poznań trudno było by znaleźć drugiego Teodora Aniołę. Nagle zaginął tam słuch o Włodzimierzu Wojciechowskim, natomiast Romana Jakóbczaka uważano za gracza głównie „własnego podwórka”.

W ogóle forma większości ligowców była słabiotka. Znacznie poniżej możliwości prezentowali się nawet: Deyna, Ćmikiewicz, Bulzacki, Lato, Domarski, Gorgoń i Szarmach. Na miarę reprezentacji grali tylko Antoni Szymanowski, Adam Musiał i... Władysław Żmuda. Zawodzili głównie ci bardziej znani zawodnicy, byli w cieniu ostro atakującej młodzieży. W sumie optymizmu niewiele, mnóstwo niewiadomych i ogrom pracy.

Jacek Gmoch, który już w dniu meczu z Anglią na Wembley chciał zrezygnować z pracy z reprezentacją, wziął się teraz mocno w garść i wyrastał na sprawnego „bankiera informacji”. Wierzył w siebie i w drużynę. Takie same zadania jak on u nas, w ekipie Argentyny spełniał Hector Rial, były gracz Realu Madryt z czasów Alfreda di Stefano, Puskasa, Kopy i Gento. „Szpiegował” nasz zespół od dawna, także w meczu z Fortuną. Wysoko ocenił nasze atuty, tak wysoko, że w hotelu „Forum” w Warszawie przy filiżance kawy i lampce koniaku, wespół z równie wtedy szalonym Jackiem Gmochem, uzgodnił, że w finale X Mistrzostw Świata grać będą Argentyna i... Polska. Gdy zapytałem go na czym opiera tę tak miłą dla nas opinię, odpowiedział z dużą pewnością:

– My, Argentyńczycy mamy najlepszych w świecie piłkarzy, a wy – Polacy prezentujecie futbol racjonalny, wyrozumowany, skuteczny...

– A Włosi? Co na to Włosi?... Są w naszej grupie... – ożywił się nasz „bankier informacji”.

– Feruccio Valcareggi – to wybitny fachowiec, ale jego drużyna tak daleko nie zajdzie... Padnie już w grupie w meczach z Polską i Argentyną... Zameczymy tych starszych panów Zoffa, Burgnicha, Facchettiego, Mazzolę, Riverę i Rivę atakiem non stop!...

Hector Rial z bazy w Madrycie i Carlos Lorenzo w Rzymie niemalże każdego dnia informowali selekcjonera Argentyny Vladislao Capa o

przedmundialowych manewrach reprezentacji Polski i Włoch. Znaczna część tych doniesień ukazywała się w argentyńskiej prasie, zwłaszcza w „El Grafico”. Rial nie ukrywał zaniepokojenia stale wzrastającą klasą naszej drużyny. Za pośrednictwem Jerzego Bułanowa, byłego piłkarza Polonii Warszawa i reprezentacji Polski, który mieszkał wówczas w Buenos Aires, poznawaliśmy wszystkie „złote myśli” pana Hectora.

...Polacy w ostatnich dwóch latach wyraźnie poszli w górę – ciągle powtarzał. – Potrafią grać szybko i niebezpiecznie dla przeciwnika. Polska to rywal, którego należy traktować bardzo poważnie...

Także Carlos Lorenzo utwierdzał trenera Capa w przekonaniu, że „Polska jest silna”. Jego zdaniem mecz z Polakami będzie miał fundamentalne znaczenie dla dalszych losów i sukcesów Argentyny w mistrzostwach świata. By wygrać z Polską, trzeba narzucić jej niewygodny sposób gry. Nie wolno oddać środka pola Deynie, bo potrafi zaskakująco strzelić z dystansu. Trzeba go blokować!!!... Włosi również wysoko oceniali „biało-czerwonych”, przypisując im wartości „wschodzącej gwiazdy znad Wisły”. Natomiast z dalekiego Port – au – Prince szef naszej placówki dyplomatycznej, Wiktor Karasiński donosił, że „*nie ma mocnych na Haiti*”. Oliwy do ognia dolewały niektóre polskie gazety, twierdząc, że „**Vorbe jest wielki**”.

Nie sądzę, by te krajowe sensacyjki i buńczuczne oświadczenia działaczy z Karaibów przestraszyły kierownictwo PZPN, trenera Górskiego i jego chłopców, ale na wszelki wypadek postanowili „dmuchać na zimne”. Na rekonesans wysłano na Haiti „Orlęta”, praktycznie naszą drugą reprezentację, zresztą w Port-au-Prince od początku uważaną za wszystko najlepsze, co ma Polska do pokazania. Podziwiany za humor okazjonalny nasz selekcjoner w formie dowódcy jednostki wojskowej

oznajmił:

...W terminologii wojskowej istnieje takie pojęcie – rozpoznanie przed walką. To będzie właśnie zadanie dla Strejlaua i jego chłopców. Kontakt pożyteczny... Na Haiti jedzie zespół młodzieżowy, który – wbrew pozorom – reprezentuje nieco inny sposób gry, niż nasza pierwsza reprezentacja. Zorientujemy się, co wart jest rywal, ale on zbyt nas nie rozszyfruje. Traktujemy bowiem ten wyjazd eksperymentalnie. Przetestujemy zaplecze... Natomiast kandydatów do podstawowego składu zabieram na grę kontrolną do Stuttgartu.

Byłem jednym z tych szczęśliwców, którym powierzono to „rozpoznanie przed walką” za Oceanem. Od początku była to podróż z przygodami. Już na lotnisku Okęcie nieźle nas zlustrowano, a potem w Paryżu długo czekaliśmy na samolot do Port – au – Prince. Po drodze mieliśmy tylko raz lądować na Martynice, a stamtąd polecieć już prosto na Haiti. Gdyby podróżował z nami Janek Tomaszewski, niewątpliwie skwitował by to swoim nieśmiertelnym „i znowu zawiodła organizacja”, bo oto wśród nocy pojawiliśmy się jeszcze na Gwadelupie. Zapewne turyści z takiego zrzędzenia losu mocno by się ucieszyli, ale piłkarze narzekali na tę wątpliwą wartość atrakcji. Tubylcom nasz pobyt na wyspie jednak przypadł do gustu. Chcieli nas zatrzymać na dłużej i zaproponowali nawet rozegranie meczu za niezłą kasę. Obiecywaliśmy, że... do tematu wrócimy w drodze powrotnej.

W Port – au – Prince zamieszkaliśmy w skromnym hoteliku „Paulena”, w starej dzielnicy miasta. Pokoje jak w schronisku, menu podłe, w czasie treningów brak piłek, niepokieszeni bramkarze. Tylko pogoda wspaniała. Niewielki basen przypominał brodzik dla dzieci, dla dwudziestu chłopów był stanowczo za mały. W ogródku jednak cisza,

dobre warunki do odpoczynku, regeneracji organizmu i skołatanych nerwów. A kłopotów i pytań było sporo: - O której podadzą obiad, kolację? Kiedy przyjedzie po drużynę autokar? Piłek nie ma, obiecali przysłać prasę i na tym się skończyło. Im się w ogóle nie spieszy... Szybkie okazały się tylko „panienki” z sąsiedniej Dominikany. Pojawiły się w „Paulenie”, ale... fruktów nie zebrały. Pocieszał je tylko właściciel „Pauleny”. Marek Janota, wtedy szef wyszkolenia PZPN, tylko na „dystans” podziwiał urodę i zgrabną sylwetkę młodej Kreolki.

Pierwszy mecz na Stade Sylvio Cator zaplanowano na sobotę 15 kwietnia o godzinie 17.00. Naszą drużynę zareklamowano jako złotego medalistę olimpijskiego i... pogromcę Anglii. Takiego rywala zapragnął obejrzeć prezydent Haiti Jean Claude Duvalier – junior. Spóźniał się, a bez niego gry rozpoczynać nie wolno. Miejscowi do tego przyzwyczajeni, spokojnie czekali, nas jednak o mało szlag nie trafiał. Dopiero telefon do ministra sportu „prezydent nie przyjedzie” był sygnałem do rozpoczęcia meczu. Niespodziewanie wygrali go Haitańczycy 2:1, mnie to jednak nie zmyliło, napisałem w „Piłce Nożnej” **„To jednak outsider!”**.

Zwycięzcy byli wniebowzięci, prasa, radio, telewizja trąbiło niemal przez cały następny dzień *„jesteśmy lepsi od mistrza olimpijskiego”*. Zaproszony do radia na podzielenie się refleksjami z tego meczu usiłowałem nieco stonować entuzjazm Haitańczyków. Mówiłem, że to nie jest pierwsza reprezentacja Polski, ta najlepsza byłaby w stanie pokonać zespół Haiti w granicach 5:0. Zresztą i tego spotkania polscy młodzieżowcy nie powinni przegrać, bo pierwszą bramkę zwycięzcy zdobyli z wyraźnego spalonego, a drugą z rzutu karnego, którego nie było. Pomógł wam sędzia Vallerio Raminez z Porto Rico...

Przestraszony takim komentarzem szef naszej placówki

dypłomatyczno-handlowej, Wiktor Karasiński, który tłumaczył moje wystąpienie, zupełnie zmienił jego sens. Położył oczywiście nacisk na pochwały pod adresem zwycięskiej drużyny i trenera Antoine Tassy'ego. A ten chodził dumny, jak paw. Niedługo, bo już dwa dni później podopieczni Andrzeja Strejalua pokazali Haitańczyków ich miejsce w szeregu. Wygrali 3:1. W sumie nasi strzelili na Stade Sylvio Cator cztery bramki, w tym aż trzy Andrzej Szarmach. Tę czwartą zdobył Marek Kusto. Kandydaci na Weltmeisteschaft '74?

Pytanie to było uzasadnione choćby dlatego, że w Stuttgarcie ci niby najlepsi wybrańcy selekcyjnera przegrali z drużyną klubową VfB aż 1:4. Opinia red. Mieczysława Szymkowiaka z tego przykrego wydarzenia była jednoznaczna „**Z obłoków na ziemię...**” W tej sytuacji rosły szanse większości „Orląt” na przebicie się do szerokiej kadry na mistrzostwa świata. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu pokazówka, jaką uraczyli Haitańczyków Polacy w tym drugim meczu. Wypoczęci, już przyzwyczajeni do podzwrotnikowego klimatu i spartańskich warunków bytowania, a także urażeni buńczucznym tonem miejscowej prasy, zagrali tak, że palce można było lizać.

Kłopoty z szybkim powrotem do kraju nieco zepsuły ten dobry nastrój. Liniami francuskimi nie wracamy, brak rezerwacji. Nici z meczem za grubą forszę na Gwadelupie. Menedżer Enzo Magnozzi stanął jednak na głowie i jakoś nas z tego Port – au – Prince wyzwolił. Błyskawicznie załatwił wizy tranzytowe do USA i teraz już bez większych przeszkód wylądowaliśmy w Miami na Florydzie. Ale samolot do Londynu jest dopiero za 12 godzin. Co robić z tak atrakcyjnie rozpoczętym dniem? Na Haiti zaprzyjaźniłem się z menedżerem, na dowód sztamy wymieniliśmy nawet koszule, więc teraz niemal cały wolny czas wykorzystywaliśmy na

pogaduszki (nie tylko) przy barze na wysokich stołkach.

W czasie przelotu nad Atlantykiem zdołałem jeszcze przeczytać artykuł zamieszczony w naszej prasie o piłkarzach Haiti. Tytuł niezbyt zachęcający „Tylko Vorbe jest wielki”, ale fantazja autora wybujała. Ten Philippe Vorbe to haitański Rivera, Deyna, Netzer... Kto tę bzdurę wymyślił? Typowa informacja z trzeciej ręki. Z Vorbem było zapewne tak, jak z książkami napisanymi w języku angielskim, potem przetłumaczonymi na francuski, a z tego dopiero na polski. A ja tego „wielkiego” Philippe widziałem na własne oczy!... Tak go oceniłem:

REKONESANS W PORT-AU-PRINCE

...W Port – au – Prince każdy uważa, że jest wielki. Takie mniemanie ma o sobie sprytny trener Antoine Tassy, także nie stroniący od alkoholu, ale ze słabą głową na karku, minister sportu Jean Baptiste. Jednak tak naprawdę na Haiti „wielki” jest tylko młodociany prezydent, Jean Claude Duvalier. – To on – z naciskiem podkreślił Enzo, organizator naszej wyprawy – jest tu wszystkim! Nawet faktycznym prezesem Federation Haïttanne do Football. Absolutny dyktator! Place, większe budowle, lotniska, nawet plaże noszą jego imię lub zmarłego ojca Francois Duvalier. „Baby doc” opłaca piłkarzy z własnej szkatułki. Najwyżej właśnie Philippe Vorbe, może dlatego również on jest „wielki”.

W rzeczywistości środkowy pomocnik reprezentacji Haiti nie jest nawet jej kapitanem. Wyżej notowani są stoper Nazaire, pozujący na Beckenbauera, inny pomocnik Ducoste i napastnik Sanon, autentyczny idol Port – au – Prince. Wszyscy są dość sprawni fizycznie, szczupli, nieźle panują nad piłką, ale ich technika jest typową „sztuką dla sztuki”.

Nie służy zespołowi, jest mało użytkowa, jednostronna i wyraźnie przestarzała. Przyjmują i uderzają piłkę głównie wewnętrzną częścią stopy. Kunktatorzy, obce jest im pojęcie gry „na jeden kontakt”. Podobnie gra Vorbe, jest prawonożny, a Sanon – lepiej kopie piłkę lewą nogą. Vorbe jest nieporadny wobec „pressingu”. Kiedy „siadł” na nim najpierw Jurek Kasalik, a potem Andrzej Drozdowski, nie miał nic do powiedzenia. Taka to jest ta „wielkość Vorbe”. Ale licho nie śpi! Nikogo nie wolno lekceważyć...

Jednak podczas wyprawy na Haiti bardziej niż Nazaire, Vorbe, Desir, August i Ducoste interesowali mnie nasi potencjalni kandydaci na mistrzostwa świata. Krótco określiłem stan faktyczny – „**rywalizacja trwa!**”. Nasi młodzi reprezentanci grali w Port – au – Prince szybciej, niż ich starsi koledzy w Stuttgarcie i Liege, ambitnie, nieustępliwie i skutecznie. Trener Kazimierz Górski nadal poszukuje kandydatów do drużyny narodowej. Czy na Haiti w ekipie Andrzeja Strejlaua dostrzegłem zawodników, których z czystym sumieniem mógłbym zarekomendować selekcjonerowi?

Tak. I to co najmniej 7-9! Przede wszystkim mam tu na myśli – pisałem – dobrze ze sobą współpracującą parę stoperów Henryk Wieczorek – Władysław Żmuda (połączenie taktyki, inteligencji i siły), także duet dobrze już znanych pomocników Andrzej Drozdowski – Kazimierz Kmiecik oraz dwóch napastników Andrzej Szarmach (znowu zaczął grać na miarę swego talentu) i Zdzisław Kapka. Poza nimi nie bez szans do drużyny na mistrzostwa świata są również bramkarz Andrzej Fischer i napastnik Marek Kusto. Trener Strejlau twierdził, że do zadań specjalnych przydałby się też Jerzy Wyrobek.

Co na to Kazimierz Górski. W połowie maja 1974 roku wraz z

niektórymi członkami sztabu gościł w redakcji tygodnika „Piłka Nożna”. Wkrótce po tym spotkaniu PZPN ogłosił kadrę na WM’74. Znalazło się w niej aż siedmiu uczestników niecodziennej wyprawy na Haiti: Fischer, Wieczorek, Żmuda, Kmiecik, Kapka, Kusto i Szarmach. Nie pojechali do RFN na wycieczkę, prawie wszyscy grali, a Władysław Żmuda i Andrzej Szarmach byli jednymi z głównych bohaterów X Mistrzostw Świata. W sumie 22 zawodników wywodziło się z 10 klubów. Prym w tym towarzystwie wiodła Wisła Kraków (5), tuż za nią był Górnik Zabrze (4), a dalej Legia Warszawa i Stal Mielec – po 3 oraz Ruch Chorzów, Odra Opole, Śląsk Wrocław, Gwardia Warszawa i Lech Poznań – po 1.

Po ostatnim meczu kontrolnym z Grecją powiało optymizmem. Cieszyła wygrana 2:0, ale przede wszystkim szybkie „dojrzewanie” zespołu. Podkreśliłem to już w ostatnim komentarzu przed wyjazdem do Murrhardt i zakwaterowaniu w hotelu „Sonne Post”. Tytuł dość jednoznaczny „**Coraz jaśniej!**”... a tekst też obiecujący:

...Drużyna, jako całość, choć w eksperymentalnym zestawieniu, prezentowała się znacznie lepiej niż na początku drugiego etapu przygotowań. Już tak nie raziły braki w szybkości i zgraniu, więcej spokoju i rozwagi było w obronie i więcej skuteczności w napadzie. Tylko druga linia prezentowała się nierówno... Pytanie jednak czy Tomaszewski odzyska zdrowie i formę z Wembley i kto będzie partnerem Gorgonia w środku obrony – Bulzacki czy dwudziestolatek Żmuda? Z tej trójki najsolidniejsze wrażenie sprawia gwardzista. Silny fizycznie, rozważny, góruje nad Bulzackim wyszkoleniem technicznym. W pomocy efektywnie i efektywnie grał doświadczony Kasperczak, pod nieobecność Deyny i Ćmikiewicza najlepszy. Co z napastnikami? Lubański nie wystąpi w Monachium, Szarmach jest kontuzjowany. Obecnie mamy tylko

najlepszego w całej kadrze Gadochę i coraz dojrzalszego piłkarsko – Latę. Już nie biega bezproduktywnie, celniej strzela z obu nóg...

A co robiono w Zakopanem? Wybrałem się tam na początku czerwca, prosto z Chorzowa, gdzie nasza kadra rozegrała kolejny mecz kontrolny z reprezentacją ligi węgierskiej. Skromna wygrana 1:0 znowu zmąciła pogodny nastrój. Było chudo, zawodnicy jacyś dziwnie ospali, przygaszeni. Kapryśna aura pod Reglami, raz nadmiar słońca, raz strugi deszczu, nie poprawiała samopoczucia. Trener Górski zarządził spacer po górach, sporo graczy dotarło do schroniska przy Morskim Oku. Tam rozmawiali z kibicami, fotografowali się i składali autografy. Selekcjoner wyraźnie się ożywił:

...Ten spacer w słońcu po górach – powiedział – też będzie procentował. Już jutro chłopcy będą rześcy, jak ryby. A tego właśnie, świeżości – teraz najbardziej im potrzeba. Taką formę relaksu zastosowaliśmy również przed Olimpiadą w Monachium. Na mecz z Argentyną trzeba wyjść w najlepszej formie. Najpierw jednak, jeszcze dziś wieczorem pogwarzymy przy ognisku z góralami. Będzie humor, piosenki, opowieści, poszumiamy smreki... Upieczemy też na ogniu trochę kiełbasek...

Po upływie tygodnia zapytałem trenera jak minął ten czas...

– Byłeś i widziałeś!... To, co zaplanowaliśmy, wykonaliśmy. Był trening czysto piłkarski, ale też trochę koszykówki, sprawdziany szybkości i wytrzymałości, no i dziesiątki niezbędnych nowości taktycznych. Szybka, krótka zagrywka w głębi boiska i nagły przerzut! Na to w innej strefie czyhali Robert i Grzegorz... Wyższa szkoła jazdy!....

– To cię najbardziej podbudowało?

– Cieszyło oczy, ale duchowo krzepił przede wszystkim szybki powrót

rekonwalescentów do pełnego zdrowia.

– Jednak nikt tu się specjalnie nie przemęczał...

– I co z tego?!... Tak właśnie miało być!... W Chorzowie był niewypał, brak entuzjazmu, trzeba więc było nieco skorygować plan pracy... Lżej trenowaliśmy...

Mniej lub bardziej oficjalnie rozmawiałem z Górkim codziennie. Reprezentacja już gotowa do wyjazdu. Murrhardt i Sonne Post czekają... Za kilka dni mecz z Argentyną. Trudny początek.

– Czy też tak to widzisz? – zagadnąłem selekcjonera. – Odpowiadaj szczerze, bez owijania czegokolwiek w bawełnę! Dziennikarze skarżą się, że coś ukrywasz...

– Nigdy niczego nie ukrywam i nie owijam w bawełnę. Plan wykonany, forma poszła w górę. Taki raport złożyłem twoim kolegom. Nawet po niezbyt udanych meczach z ligą węgierską i Malagą nie działaliśmy w ciemno. Wiemy jak zagrać z Argentyną. Tu potrzebny jest pressing!... Ale rodzi się też pytanie – jak długo wytrzymają to nasi zawodnicy... Kilka minut czy cały mecz?

– Więc nie masz pewności?

– Nie mam. Bo o tym decyduje nie tylko forma fizyczna, ale i psychiczna. Szukam koncepcji wykonalnej. Będę jeszcze o tym dyskutował z Gmochem i Strejlauem. Najwyżej cenię myśl w grze. W meczu z Argentyną będzie najważniejsza...

– To cenny atut Deyny, Gadochy, Szymanowskiego, Ćmikiewicza...

– Tak, oni najlepiej „rozumieją grę”...

– Ale to może nie wystarczyć...

– Wiem, dobrze o tym wiem! Jestem trenerem praktykiem, znam dobrze każdego zawodnika...

– Co to daje?

– Pewność, że w decydującym momencie nikt nie zawiedzie...

Taka chwila się zbliża. Przed meczem z Argentyną jestem optymistą... Zniwelujemy atuty Ayali, Kempesa i ich kolegów...

– W jaki sposób?

– Pozwól, że do 15 czerwca nawet tobie tego nie powiem. Zachowam to w tajemnicy... Powiem tylko, że chcemy ten mecz wygrać!... Wynik z Wembley nas nie zadowoli...

– Mogą być zmiany w składzie w porównaniu z tamtym meczem?

– Mogą? Będą!... Pewnego miejsca nie ma nawet Tomaszewski...

Nie tylko trener Górski był optymistą. Na udany występ Polaków w RFN liczył też prezes Polskiej Federacji Sportu, Stanisław Nowosielski: - Uważamy, że stać nas na kolejny wysiłek i ukończenie rozgrywek eliminacyjnych na takim miejscu, które da nam awans do ósemki najlepszych. Tu już każde miejsce było by dobre, ale wiadomo, że chcemy wspiąć się jak najwyżej. Jak wysoko? Horoskop tygodnika „Piłka Nożna” był jeszcze ambitniejszy:

... „Przebrnięcie przez rozgrywki w grupie i zakwalifikowanie się do strefy półfinałowej było by dużym sukcesem naszej reprezentacji. Znacznie większym niż wynikało by to z liczby czynnych zawodników, bazy technicznej, opieki lekarskiej, ilości i jakości urządzeń boiskowych, braku futbolu w szkole i tego wszystkiego, co się składa na ogólną kulturę piłkarską... Mimo tych zastrzeżeń, wierzymy w kolejny awans naszego zespołu w hierarchii światowego futbolu...

Doskonale znaleźliśmy układ sił w europejskim i światowym piłkarstwie. W Europie obok Holandii, Jugosławii, RFN i Włoch znaczącą pozycję zajmowała właśnie Polska. To wielka piątka ze starego kontynentu! Z

reprezentacji zamorskich zagrozić im mogły tylko: Argentyna, Brazylia, Chile i Urugwaj. Faworytem numer jeden była jednak drużyna RFN. Dochodziło do tego, że gdy ktoś kogoś nawet w nocy zapytał, kto będzie mistrzem świata, ten jeszcze nie przetańczył dobrze oczu, prawie bez namysłu odpowiadał: - „Oczywiście jedenastka Helmuta Schoena!”.

Nas straszono przede wszystkim Argentyną i Włochami oraz znowu Sanonem i Vorbe z Haiti. Trochę mnie to wkurzało, bo zupełnie inaczej oceniłem możliwości piłkarzy z egzotycznego Port-au-Prince. Przekonywałem, że dobre opinie o tej reprezentacji są przesadzone, przypominają słynne opowieści o „latających talerzach”, bądź potworze z Loch Ness. Zespół Antoina Tassyego, a widziałem to na własne oczy, nie gra ani rewelacyjnie, ani nie jest tajemniczy. Wszystko o nim wiemy. Haitańczycy nie są żonglerami, ani tym bardziej siłaczami... Boisko to potwierdziło – „biało-czerwoni” wygrali z nimi aż 7:0!

Był to dla naszych reprezentantów – w porównaniu z ciężkim bojem z Argentyną, wygranym tylko 3:2 – typowy spacer. Kolejne mecze były znacznie trudniejsze, ale Polacy cały czas ambitnie parli do przodu. Pozostawili w pokonanym polu także Włochy, Jugosławię i Szwecję, a więc śmietankę turnieju. Mecze te od strony czysto sportowej komentowałem w studiu telewizyjnym przy Placu Powstańców Warszawy, najczęściej w towarzystwie Bohdana Tomaszewskiego, Krzysztofa Baszkiewicza i Stanisława Eksztajna. Red. Bogdan Tuszyński korzystał z moich komentarzy również w Polskim Radiu, pisywałem do wielu gazet. Byłem zapraszany na spotkania z kibicami. Miałem więc swoje „pięć minut”, ale też wątpliwą przyjemność wyrażenia własnego zdania w TVP o meczu z RFN, którego stawką był finał Weltmeisterschaft '74. Przeszedł on do historii futbolu, jako „bój w wodzie”.

Środa 3 lipca 1974, Frankfurt nad Menem, Waldstadion. Tuż przed rozpoczęciem meczu nastąpiło oberwanie chmury. Siła i czas ulewy zaskoczył sprawnych zazwyczaj organizatorów. Deszcz nie ominął nikogo i niczego, ale najbardziej zniszczył nawierzchnię boiska. Była grząska, śliska, błotnista, kałuże pod obiema bramkami. Poszły w ruch pompy strażackie, sikawki ręczne, kubły i walce. Widok z zamierzchłej epoki – robotnicy boso, fotoreporterzy z parasolami. I w takich oto warunkach rozegrano ten mecz. Szczęśliwe zwycięstwo 1:0 odnieśli gospodarze, głównie dzięki wspaniałym interwencjom bramkarza Seppa Maiera.

To strefa medalowa. Teraz walczą tylko cztery zespoły: Niemcy z Holendrami o złoty medal, a Polska z Brazylią o trzecie miejsce na świecie. Pożegnałem kolegów z TVP i odleciałem na te występy do Monachium. Miejsce w podrzędnym hotelu (na lepszy nie pozwalały skąpe diety RSW „Prasa”), zarezerwowali mi attache naszej ekipy mgr inż. Henryk Loska i przedstawiciel radcy handlowego w Kolonii Jan Boczej. Henio jeszcze przeżywał niesamowity zwycięski mecz z Argentyną, popisy „Tomka” w pojedynku ze Szwecją, a Boczej przegrany z Niemcami „bój w wodzie”. Pytali, co słychać w Warszawie.

...Na Stadionie Dziesięciolecia nasi synowie też grali w piłkę ze Szwedami – opowiadałem. – Przyjechało ich do stolicy ponad stu, wszyscy na własny koszt. Grę w piłkę traktowali jak każdą inną chłopięcą zabawę, Na nadwiślańskich błoniach przegrywali więc z naszymi „dzikimi” drużynami niemal wszystkie mecze. Przebąkiwano więc, że nawet tu jesteśmy piłkarską potęgą. W Stuttgarcie ekipa Górskiego wygarbowała skórę Tapperowi i jego kolegom, a w Warszawie wysoko wygrywały ze Szwedami nasze dzieci. Chłopcy ze Sztokholmu specjalnie się tym nie przejmowali, narzekali tylko na brak wygód w naszej stolicy. Nie podobały

się im warszawskie błonia... Za twarda, nierówna nawierzchnia, klepiska nie boiska... No i że w bramkach nie ma siatek...

Nasi chłopcy z niedowierzaniem pytali:

– A może place do gry rzeczywiście są u nich lepsze? Podobno zielone murawy, miękkie jak dywan, bramki z siatkami i gra w sprzęcie „Adidasa” – buty z kołkami i ładne kostiumy – to u nich normalność... Dlatego grymaszą... Malkontenci... My w rozlatujących się trampkach, postrzępionych koszulkach i majtkach w różnych kolorach i tak byliśmy od nich lepsi.

Szwedzi narzekali też, że na naszych błoniach nie ma szatni, schronienia przed deszczem i... gorącej herbaty. Co ja mogłem tym chłopcom odpowiedzieć? Poza wstydem i skruchą nic nie przychodziło mi do głowy. Taka jest rzeczywistość! U nich w Szwecji boisk, sprzętu, domków klubowych ile trzeba, u nas nędza, prymityw na piłkarskich błoniach. Dwa zupełnie inne światy. Czy z tej upokarzającej lekcji wyciągnął ktoś kiedykolwiek jakiegokolwiek wnioski?... Wszystkich zadawała zwycięstwo nad Szwecją w Stuttgarcie. Co tam dzieci i młodzież? Gramy teraz o srebrny medal!

Nasza drużyna przeniosła się z „Sonne Post” w Murrhardt do International Hotel w Monachium.

– Jest tu ładnie, cicho – zauważył prezes Stanisław Nowosielski – ale to wszystko nie to, co w Murrhardt. Tam czuliśmy się jak u mamy... I było dużo taniej.

– Co za nowiny przywozi pan z kraju? – pytają mnie Tomaszewski, Gorgoń, Deyna, Szymanowski, Kasperczak, Wieczorek. – Czy prawdą jest, że w godzinach naszych spotkań z Argentyną, Włochami i Niemcami zamierał ruch na ulicach?

– Nie tylko w mieście – odpowiedziałem – także w klubach, kawiarniach, restauracjach... Wszędzie tam, gdzie nie było telewizorów...

– Czy rzeczywiście godnie przyjęto naszą przegraną z Niemcami?

– Jak najbardziej! Ale kibice wciąż liczą na medal... Będą jakieś problemy? Brazylia to jednak futbolowa potęga...

– Żadnych problemów – w odpowiedzi wyręczył piłkarzy Nowosielski. – Spójrz na nich, są w doskonałym nastroju. Wygrają... Przywieziemy do Polski srebrny medal!...

Jesteśmy już na stadionie olimpijskim. Żony zawodników i trenerów przystrojone w biało-czerwone chusty i czapeczki intonują: - „*Po zielonej trawie piłka goni, albo my wygramy albo oni...*” Śpiewy skracają oczekiwanie i łagodzą zdenerwowanie. O godzinie 15.15 na stadion przybył z małżonką Edson Arantes do Nascimento – Pele. Zmyłka to, gest przyjaźni czy zwykły przypadek? Oboje wystrojeni na biało-czerwono. Toż to nasze barwy narodowe!... Pele pozdrawia widownię, za chwilę z trenerskiego boksu powtarza to trener Mario Jorge Zagalo. Spryciarze, zabiegają o sympatię widowni. Stadion będzie za nimi?

Prezes Nowosielski zapewniał, że w naszej ekipie jest bojowy nastrój, Górskiego i Gmocha ucieszył powrót do drużyny Andrzeja Szarmacha. W sztabie szkoleniowym pojawił się jednak cień niepewności. Jak zagrają stoperzy Gorgoń i Żmuda? Doktor Janusz Garlicki obawia się o stan ich zdrowia. Zwierzył mi się z kłopotów:

– Władek Żmuda narzekał na bóle w stawie skokowym, poza tym przyczepiła się do niego różyczka. Swędzi go, drapie się... Dałem mu lekarstwo, maść kortyzonową, a on puchnie. Co się dzieje? Jest uczulony na leki zawierające jodynę. Sam Żmuda tej opuchlizny nie widział, był w miarę spokojny, ale Jurek Gorgoń przestraszył się i... wykrztusił

zrozpaczony:

– Ja w tym meczu bez Władka nie wystąpię... Zresztą ja też jestem chory, boli mnie kręgosłup.

Pociemniało nam w oczach, mnie bezradnie opadły ręce. Zapanowała grobowa cisza. Nawet Jacek Gmoch stracił rezon. Nagle z chwilowego odrętwienia wyrwał nas stanowczy głos trenera Górskiego:

– Obaj zagrają!

Pokonaliśmy Brazylię 1:0, a jednym z najlepszych zawodników na boisku był Jurek Gorgoń. Zaraz po meczu jakimś cudem udało mi się przedrzeć na płytę boiska. Gratulacje w tej sytuacji, to rzecz normalna, ale widzę jak Jacek pędzi w kierunku Gorgonia i krzyczy:

– Chory! Chory!... Boli go kręgosłup... A był najlepszy na boisku!...

Mecz był trudniejszy niż przypuszczaliśmy. Przed przerwą nie zdobyto żadnej bramki, grano zachowawczo. Na początku drugiej połowy to samo. Nikt nie chciał podjąć ryzyka, niewiele było dynamicznych akcji. Dopiero finisz był nasz. Górski wprowadził do gry Ćmikiewicza i Kapkę. Dobre zmiany. Leszek imponuje spokojem, Zdzisio ściąga do środka stopera, Grzegorzowi stwarza tym manewrem więcej swobody na prawej stronie. Wszystko jest przemyślane. Lato szybszy od wiatru, chytry jak lis, zdobywa zwycięską bramkę. Jest też królem strzelców, tuż za nim Szarmach. Złota Nike zawstydzona. Na zawsze wybrała Brazylię, a ta jest teraz w cieniu Polaków. Na cześć zwycięzców wiwatują kibice, biegną za autokarem, przegranym nikt nie asystuje. Tak przemija sława...

Sukcesy piłkarzy na boiskach RFN wyraźnie poszerzyły szeregi „arcybractwa”, to znaczy dziennikarzy piszących o sporcie. Futbol trafił nawet na łamy pism o profilu społecznym, politycznym, kulturalnym. Doskonały znawca literatury pięknej, wybitny w tej specjalności historyk

profesor doktor Jan Zygmunt Jakubowski też dostrzegł w piłkarstwie sporo cech narodowych i patriotycznych, a także moc elementów estetycznych, twórczych, widowiskowych. Z całą powagą swojego niepodważalnego autorytetu uznał, że polski futbol jest swoistą syntezą pierwiastków romantyzmu i pozytywizmu. Łączy w sobie polot i fantazję z organiczną pracą u podstaw. Piękne porównanie. Piłka nożna porwała społeczeństwo. Zaczęto lansować opinię: aby nie być posądzonym o „zaburzenia psychiczne”, trzeba się futbolem interesować.

Ludzie z przejawami odchyień od normy jednak nie liczą się z otoczeniem. Taka ich natura, nawyki, przyzwyczajenia. Szukają dziury w całym. Taką właśnie postawę w szczecińskim periodyku „Jantar” zaprezentował w tamtych czasach ukrywający się pod pseudonimem „Grot” autentyczny malkontent. Z furją zaatakował naszych medalistów. Jeszcze nie nastał sezon ogórkowy, ale on już wywoływał skandale i pisał paszkwile. Tępy grot...

...Na temat polskich piłkarzy – przypomina – wypowiedziałem się kategorycznie w styczniu, ale nie chcieli mi wydrukować, ponieważ mogłaby od tego rozboleć Domarskiego noga, a Gadochę wątroba... Teraz już pisać można... Więc pisał: ...Aktualna nasza reprezentacja narodowa w piłce nożnej, to jest znakomity przykład na nasze krajowe marnotrawstwo, na naszą rozrzutność, na setkę naszych wad narodowych... Jest drużyna, której nie należało by wysyłać na żadne mistrzostwa, nawet krajów rozwijających się, a cóż dopiero mistrzostwa świata zawodowców...

A’propos wad... Każdy człowiek, w mniejszym lub większym stopniu, dąży do zaspokojenia swoich egoistycznych potrzeb. Taką potrzebą „Grot” było zaistnienie w światku piłkarskim. Wybrał drogę obrzydliwą, błotem obrzucił „biało-czerwonych” i nawoływał ich do nauki, do książki,

do roboty, bo na „leniwych piłkarzy czekają wolne stanowiska pracy”. Dziś taki tekst również z wielu innych powodów uznany byłby za egzotyczny. Bo teraz „wolnych stanowisk pracy” już nie ma. Króluje bezrobocie...

Wybryk „Grota” puszczono mimo uszu, natomiast zewsząd posypały się pochwały pod adresem polskich piłkarzy. Red. Mieczysław Szymkowiak wprawdzie zaatakował obrońców, a ja wytknąłem kilka błędów nawet Tomaszewskiemu, ale generalna ocena była bardzo dobra. Nasi piłkarze przywrócili futbolowi jego podstawowe idee – potrzebę i umiejętność strzelania bramek. Prezentowali ofensywny styl gry, odpowiadający polskim charakterom i wyobraźni. Improwizowali na boisku, ale w oparciu o duże umiejętności techniczno-taktyczne. Polot i fantazja były w równej mierze tworem ducha jak i zamierzoną funkcją intelektu. Na boiskach RFN nasi piłkarze nowatorskim sposobem gry wyrażali swój stosunek do ulubionej dyscypliny sportu i spoczywającym na nich zadaniu.

Powie ktoś, że tak się akurat złożyło, że w naszym zespole jednocześnie pojawiło się trzech doskonałych napastników, genialny pomocnik, rewelacyjny stoper i nietuzinkowy bramkarz. Tak właśnie głównie na Zachodzie najgłośniej akcentowano rolę tego trzonu w naszej drużynie. Ejże, miałyby to być przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności? Nie! To było w pełni zamierzone działanie. Takie motto i właśnie takie racjonalne zasady cały czas prześwięcały Górskiemu przy tworzeniu tej drużyny. On zawsze, choć często był z tego powodu krytykowany, bronił prymatu ataku nad obroną. Stąd ofensywny styl naszej reprezentacji, stąd podporządkowanie tej widowiskowej wersji futbolu przebogatej wiedzy techniczno-taktycznej wszystkich zawodników.

O tytuł mistrza świata na stadionie olimpijskim w Monachium

walczyły zespoły RFN i Holandii. Byłem tam z naszą drużyną tak samo ubrany. Garnitur jasno-brązowy, jednorzędowy, barwna koszula i wzorzysty krawat. Przeto i mnie – nawet ze strony służb porządkowych – trafiały się słowa podziękowania i uznania za wygraną z Brazylią. Teraz grali finaliści. W duchu życzyłem sukcesu Holendrom, bo zawsze im kibicowałem, ale z ulgą przyjąłbym też zwycięstwo Niemców. Bo to oni wyeliminowali Polaków. Zawsze łatwiej strawić przegraną z mistrzem. Ale „pomarańczowi” szybko objęli prowadzenie z rzutu karnego. Pewnie strzelił Johan Neeskens. Sędzia Taylor był jednak sprawiedliwy i wkrótce podyktował „jedenastkę” dla Niemców. Paul Breitner wyrównał na 1:1, a tuż przed przerwą wynik meczu na 2:1 ustalił Mueller. Jednak „boski Johan” Cruyff w cieniu sprytnego Gerda.

Ta para finalistów i Polska grały na tych mistrzostwach najładniej i najskuteczniej, a także najnowocześniej. Pojawiło się wtedy, choć niezupełnie nowe, ale w tym czasie bardzo modne określenie „futbol totalny”. Słusznie przy tym twierdzono, że najklasyczniejszym przedstawicielem tej nowej fali w światowym piłkarstwie jest Holandia. Tytuł mistrza świata zasłużenie przypadł jednak reprezentacji NRF. Czy zwycięzca też reprezentował futbol totalny? Tak. Mistrz grał w stylu Holendrów, ale pewne różnice w postawie finalistów dość wyraźnie rzucały się w oczy. Niemcy w stopniu niemal doskonałym rozkładali akcenty w grze na atak i obronę, a więc wzorowo utrzymywali równowagę między akcjami ofensywnymi i defensywnymi. Grali konsekwentnie „wszystkimi siłami”. W każdej formacji, zwłaszcza w obronie, imponowali wzajemną asekuracją, umiejętnością uzyskiwania przewagi liczebnej. Holendrzy nie przykładali do tego tak dużej wagi lub w ogóle rezygnowali z asekuracji. Byli pewni siebie w sytuacjach „jeden na jednego”. Gustowali

w zastawianiu pułapek ofsajdowych.

Piłkarze niemieccy mieli w swoim zespole genialnego Franza Beckenbauera. To właśnie on niemal w stopniu idealnym doprowadzał do utrzymania w grze niezbędnych proporcji w destrukcji, konstrukcji i egzekucji. Ani Holandia, ani tym bardziej Polska wówczas tak wszechstronnie grającej reprezentacji nie miały. Grały pięknie, ale nie tak wyrachowanie. U Cruyffa i Deyny przeważały elementy konstrukcji i egzekucji, u Beckenbauera rzucała się w oczy także przemyślana destrukcja. Można oczywiście dyskutować czy kolejność RFN, Holandia, Polska w pełni odpowiada faktycznym możliwościom tych drużyn i właściwie równoważy ich wkład w istotę „fotbolu totalnego”, ale nikt nie miał i do dziś nie ma wątpliwości, że w roku 1974 na świecie były to rzeczywiście trzy najlepsze reprezentacje. Nikt też nie kwestionował indywidualnych zasług liderów tych zespołów: Beckenbauera, Cruyffa i Deyny. Ich głowy też zdobyły korony: złota, srebrna i brązowa. Ameryka Południowa w cieniu Europy.

Najlepsi z reguły wnoszą coś nowego do światowego piłkarstwa. W latach 1958 i 1962 Pele, Garrincha i Didi zaprezentowali „brasilianę”, w roku 1966 nowością była gra z „wymiataczem” w obronie i bez klasycznych skrzydłowych, a w 1974 wizytówką RFN, Holandii i Polski był „futbol totalny”. Głównie te kraje udowadniały, że piłka nożna jest organizmem żywym i ciągle się rozwija. Do wymiarów bliskich doskonałości doprowadzono wymiennosć funkcji. Dawnego „wymiatacza” zastąpił wykonujący znacznie więcej zadań „libero”, a skrzydłowi i obrońcy, także skrajni pomocnicy potrafili grać swoje role zarówno w ofensywie jak i defensywie. Mocno podkreślano to w raporcie FIFA.

...Futbol staje się coraz mniej obronny, stale zwiększa się liczba

zwolenników gry otwartej, śmiałej. Maleje fascynacja systemami 1+4+2+4 i 1+4+3+3. Nowoczesna drużyna musi mieć „kręgosłup”, który tworzą: niezawodny bramkarz, aktywny libero w linii obrony, dwaj inteligentni gracze środka boiska i dwaj polujący na bramki napastnicy. Pozostali zawodnicy uzupełniają ten „fundament” i w zależności od indywidualnych umiejętności wzbogacają plan taktyczny.

Jak te uwagi ekspertów FIFA odnieść do naszej reprezentacji? Czyli – jakie konkretnie polskie nazwiska wstawić na poszczególne pozycje tego „kręgosłupa”?... Widzę to tak: oś naszej niepowtarzalnej drużyny tworzyli: Tomaszewski, Gorgoń, Deyna, Kasperczyk, Lato i Szarmach. Pozostali niewiele im ustępowali, więcej – Gadocha łączył funkcję „łowcy” bramek z inteligencją graczy drugiej linii. Jaki więc generalny wniosek wypływa z raportu FIFA? Drużyna, która chce się liczyć na rynku międzynarodowym i zdobywać medale na mistrzostwach, musi mieć w swoich szeregach kilku piłkarzy klasy światowej. W tygodniku „Piłka Nożna” uznaliśmy, że w roku 1974 taką klasę reprezentowali: Kazimierz Deyna, Robert Gadocha i Grzegorz Lato, natomiast Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Zygmunt Maszczyk i Andrzej Szarmach klasę międzynarodową. Co to znaczy? Ta drużyna jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa!

GEST TRENERA W SUTANNIE

Dzięki uprzejmości księdza Ryszarda Gamańskiego z Australii, z którym zaprzyjaźniłem się w Monachium (w kraju sam był kiedyś niezłym piłkarzem i obiecującym trenerem), zdobyłem kilka książek traktujących o Weltmeisterschaft 1974. Fragmenty opinii autorów

niemieckich opublikowaliśmy w „Piłce Nożnej”. Oto niektóre z nich:

...Górski należy teraz do najwybitniejszych trenerów w historii futbolu. Zdystansował Włocha Valcareggiego i Jugosłowianina Miljanica. Swą wielkością Polak stoi w pobliżu Niemca Seppa Herbergera. Dlatego, że Górski najkonsekwentniej rozwinął „futbol partyzancki Herbergera”. (Harry Valerian: Trenerzy finałowej czwórki)

**

...Polacy pokazali to wszystko, co w tych mistrzostwach było najlepsze. Tacy zawodnicy, jak rozgrywający Deyna, reprezentowali chwytający za serce, świeży futbol ofensywny. Robert Gadocha najlepszy lewoskrzydłowy mistrzostw 1974 pod każdym względem może być porównywany z legendarnym Garrinçą. Imponował kunsztem dryblera i siłą strzału. Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato i właśnie Robert Gadocha stali się ulubieńcami widowni... Szybkość Polaków rozbiła stare gwiazdy Włochów. (Hennes Weisweiler: Piłkarskie Mistrzostwa Świata 1974)

**

...Wszyscy z wielkiej czwórki mieli wybitnych rozgrywających, to Overath, Cruyff, Deyna, Rivelino, każdy wywierał swą klasą gry wpływ na cały zespół. Polak Deyna zapewniał zwartość zespołu, a także właściwą (świadomą) różnorodność podań – raz krótkich, raz długich. (Gerd Krug: Mistrzostwa wielkiej walki)

**

...Świat się dowiedział, że nowy Rivera, nowy Gerson, nowy Netzer przybył do Niemiec z kraju, który dotychczas uchodził za piłkarską prowincję. Na pytanie, co wywarło na nim największe wrażenie w tym turnieju, Kazimierz Deyna powiedział: - „Bramka strzelona Dino Zoffowi

w meczu z Włochami”. Po zakończeniu mistrzostw zyskał Deyna miano najlepszego na świecie gracza środka pola. Polak jest piłkarzem, który nie tylko kieruje grą zespołu, ale również z niespotykaną siłą i precyzją sam potrafi strzelić na bramkę. Narzuca napastnikom takie, a nie inne tempo gry... (Harry Valerian: Deyna – nowy Rivera)

**

Lato wyprowadził Polskę na trzecie miejsce w turnieju. On był zawsze tam, gdzie nacierała drużyna, należał do najgroźniejszego tria ofensywnego X Mistrzostw Świata, które tworzyli: Andrzej Szarmach, Robert Gadocha i właśnie Grzegorz Lato. (Dieter Kuerten: Piłkarskie Mistrzostwa Świata 1974)

**

Polak Deyna nie był w swoich akcjach tak prostoliniowy jak Neeskens, ale dzięki rozumnym podaniom i dużej pracowitości porządkował grę w swoim zespole. Z Deyną i swoimi szybkimi skrzydłowymi Latą i Gadochą Polacy wprowadzili do najlepszej jedenastki świata trzech zawodników. Dla całej gamy tricków technicznych Deyny i Gadochy, jak również dla bramkostrzelnego Lato, ich żaru pobudzającego do walki na boisku, nie widzimy teraz konkurencji. (Hubert Burda: Wielkie zwycięstwo)

**

Niemcy – Polska 1:0... Gerd Mueller, Sepp Maier i straż pożarna – to trzej bohaterowie tego spotkania. Po burzy i oberwaniu się chmury boisko tonęło w wodzie, ale straż tak zadziwiła, że po półgodzinnym opóźnieniu spotkanie rozegrano. Polacy swoimi nieschematycznymi i szybkimi natarciami sprawili, że wokół uchodzili w tym meczu za faworyta. Na szczęście mieliśmy w naszej drużynie Maiera i Muellera. Sepp fantastycznie bronił, a Gerd celnie strzelił. (Erst Huberty i Willi B.

Wange: Mistrzostwa Świata 1974)

**

Z Brazylią Polacy grali trzy dni po „wodnym boju” z Niemcami we Frankfurcie. Włożyli w ten mecz wiele wysiłku, dlatego nie należało od nich oczekiwać czegoś więcej. Takie właśnie bywają mecze o trzecie miejsce. Porażka w spotkaniu o awans do finału mocno deprymuje. W następnej grze siłą rzeczy przychodzi dekoncentracja i inne wewnętrzne nastawienie. A jednak nawet w takim meczu Polacy potrafili upokorzyć trzykrotnego mistrza świata. (Karl Boediger: Gol, gol, gol...)

Status finansowy naszych piłkarzy w porównaniu z reprezentantami RFN i Holandii był bardzo skromny. Wedle stawu grobla... Polacy nie grali jednak za „czapkę śliwek”, ani też za dwudolarowe diety jak to z reguły bywało w innych zawodach międzynarodowych. Na nasze ówczesne możliwości zostali godnie nagrodzeni. Tymczasem nie wszyscy zawodnicy to potwierdzali. Przekazywali opinie daleko odbiegające od rzeczywistości. Opowiadali bajki, w czym wyróżniał się Jan Tomaszewski. Zaskoczony taką postawą prezes Polskiej Federacji Sportu, Stanisław Nowosielski opracował prawdziwe dane w tej drażliwej materii. Początkowo miały charakter poufny. Dopiero w lipcu 1998 roku informację tę przekazał Klubowi Seniorów i ówczesnemu dyrektorowi biura PZPN, Edmundowi Zientarze. Jedną z kopii dał również mnie:

... „Ostatnio, w różnych wywiadach i rozmowach publicznych, niektórzy członkowie reprezentacyjnej drużyny Polski, podają nieprawdziwe dane dotyczące nagród otrzymanych za zdobycie III miejsca na X Mistrzostwach Świata w 1974 roku. Faktyczny stan przedstawia się jak w załączeniu. Na przykład 12 osób otrzymało po 190 tysięcy złotych

i 1500 dolarów USA. W roku 1974 średnie zarobki miesięczne wynosiły 3700 złotych. Za jednego dolara USA płacono na czarnym rynku 95 zł. Fiat 126 p kosztował 30 tysięcy. Fiat 125 – 80 tysięcy zł. Skoda – 95 tysięcy złotych”.

Na poufnej wtedy liście „premii dla zawodników” (przechowuję ją do dziś) rzeczywiście figurują podpisy 12 osób, które otrzymały najwyższe nagrody w złotówkach i dolarach USA. Są też na tej liście nazwiska i podpisy pozostałych członków ekipy, jest także wykazana wysokość nagród. Nie były to groszowe sumy. Razem 28 członkom zespołu czysto piłkarskiego wypłacono – w złotówkach 3 miliony 979 tysięcy, a 32.510 w dolarach. Tę prawdę też warto znać.

Odzew sympatyków piłkarstwa na wydarzenia Weltmeisterschaft '74, utrwalone w naszych wydawnictwach prasowych i książkowych był bardzo krytyczny. W sektorze C 02-034, gdzie czytelnicy do redakcji „Piłki Nożnej” nadsyłali swoje na ogół pozytywne uwagi i opinie o sportowych wartościach polskiego piłkarstwa, tak ocenili naszą bierność i opieszałość w sferze publikacji:

...Reklamujecie broszurkę o Murrhardt i zapowiadacie w bliżej nie określonym terminie następne pozycje. A przecież dobrze wiecie, ile już wydano pięknych książek i albumów o mistrzostwach świata. Czy u nas nie wiadomo, że taka impreza się odbędzie? Czy nie można było rok wcześniej zaplanować wydania poważnej pozycji o mistrzostwach świata bez względu na to, jaką rolę odegrają w nich Polacy? Sam fakt udziału elektryzuje społeczeństwo i należało to uwzględnić. Nie tłumaczcie więc nieudolności wydawnictwa „Sport i Turystyka”. Jeśli przed mistrzostwami można było wydać piękne plakaty, foldery i kolorowy tygodnik, to dlaczego po tak udanych mistrzostwach oddano pole do popisu walkowerem?

Podzieliliśmy pogląd Czytelników, ale wobec opieszałości (czy tylko?) „Sportu i Turystyki” byliśmy bezradni. Dwie skromne broszury wydano jednak w miarę szybko, ale jedną poważniejszą pozycję „**Gra o medal**” już znacznie później. Poprawa nastąpiła dopiero po mistrzostwach świata w Argentynie (1978), Hiszpanii (1982) i Meksyku (1986). Sprawę w swoje ręce przejęła wówczas „Młodzieżowa Agencja Wydawnicza”. Zwłaszcza tygodnik „Piłka Nożna” wykazał wtedy sporą inicjatywę i aktywność wydawniczą. Była to jednak kropla w morzu w porównaniu z tym, co na ten temat pisano w Europie i na świecie. A przecież aż prosiło się o odważne wskazanie dysproporcji między pracą z drużyną narodową, a opieką nad młodzieżą, sposobem wyławiania i szlifowania talentów. Tu wciąż byliśmy daleko w tyle za Europą. Nadal przeważał u nas konserwatyzm i przypadkowość w selekcji. Dominowało tu uświęcone tradycją „dobre oko” trenera, a nie wyniki badań naukowych i inne racjonalne przesłanki.

W naszych warunkach nadal systematyczne szkolenie młodzieży w klubach jest zastępowane uprawianiem „dzikiego” piłkarstwa na błoniach, hasiokach, plantach, podwórkach. Cieszy się ono tam dużym powodzeniem, bo tego zorganizowanego futbolu jest stanowczo za mało. W tej sytuacji turnieje drużyn niestowarzyszonych nie są celem samym w sobie, mają znacznie szerszy wymiar, są pożyteczne wychowawczo i szkoleniowo. Uczą chłopców samodzielności i organizacji, wyrównują potworne zaniedbania w szkołach. Są też naturalną formą wyławiania talentów, wstępną fazą selekcji. Najlepszych z „dzikich pól” można i trzeba kierować do klubów, a nie czekać aż przyjdą tam sami. Aż dziw bierze, że z tak prymitywnych form szkolenia wyrastają medaliści mistrzostw świata.

Czy dziś są jeszcze wśród nas prawdziwi „łowcy talentów”, tacy – jakimi niegdyś byli: Józef Słonecki i Józef Murgot na Śląsku, Adam Grabka w Krakowie, Konrad Kamiński w Bydgoszczy, Florian Krygier w Szczecinie, Jerzy Krzysztofowicz w Słupsku, Waclaw Pegza w Łodzi, Stanisław Tymowicz w Płocku, Aleksander Zaranek w Warszawie i... Wiesław Motoczyński w skali całego kraju? Ci, którzy teraz tytułują się „odkrywcami” i kierują do klubów – ich zdaniem – najbardziej utalentowanych chłopców – nie zawsze zasługują na uznanie. Nie mają dostatecznej wiedzy teoretycznej, praktyki, wyobraźni. Często więc za ich „poręką” do klubów trafiają nie ci najbardziej uzdolnieni chłopcy, lecz średniacy, nawet beztalencia, a prawdziwe perełki piłkarskie giną.

To były nasze wewnętrzne sprawy, świat piłkarski niewiele o tym wiedział. W oczach większości krajów, zwłaszcza tych z odległych kontynentów, byliśmy wtedy w futbolu światową potęgą. Zewsząd napływały zaproszenia dla naszych drużyn klubowych i reprezentacyjnych, uaktywnili się różnej maści menedżerowie. Polskie piłkarstwo stało się dla nich atrakcyjnym i łatwym do sprzedania towarem. I tak już w styczniu 1975 roku Legia udała się w daleką podróż do Australii, natomiast Ruch Chorzów i Stal Mielec do Ameryki Południowej. Podróżowali też juniorzy. Nowo tworzoną reprezentację „Orlików” zaproszono (w styczniu!) do Las Palmas na turniej o Puchar Atlantyku. W lutym kadra narodowa seniorów rozegrała całą serię spotkań kontrolnych w Jugosławii, Grecji, RFN i Szwajcarii.

Uczestniczyłem w dwóch zimowych wyprawach: najpierw z juniorami z Warszawy via Madryt poleciałem na Wyspy Kanaryjskie, a potem z kadrą narodową zaliczyłem długachne tournee niemal przez pół Europy. Na lotnisku Barajas w Madrycie na przelot do Las Palmas

trzeba było czekać pięć godzin. Nuda. Bąków jednak nie zbijaliśmy. Przez chwilę oglądaliśmy barwne komiksy i pisma pornograficzne (u nas były zakazane i na Okęciu zabierane), podziwialiśmy też atrakcyjne towary w Polsce nieosiągalne. Nikt nic jednak nie kupował, bo nie miał pieniędzy. Zebracze kieszonkowe. Ruszyliśmy więc w miasto. Część ekipy zwiedzała olbrzymi zamek byłych władców Hiszpanii, pozostali - za namową szefa ekipy, mgr inż. Zbigniewa Należytego - wybrali się do słynnego Museo del Prado.

To samo centrum Madrytu, z lotniska kawał drogi, chętnych jednak nie brakowało. Nasza młodzież w muzeum żywo zainteresowała się sztuką, zachodnią kulturą, malarstwem. Dzieła największych mistrzów pędzla, zwłaszcza Francisco de Goya z jego niezapomnianą Mayą i Marią Luizą w przepysznych strojach i aktach - nie przesadzam - do głębi pobudziły chłopięcą wyobraźnię. W samolocie na trasie Madryt - Las Palmas wlepiłem wzrok w dziennik „Hoja del Lunes”. Dwanaście stron sportu, głównie futbolu. Frajda niecodzienna, ale też niemałe oburzenie. Jakiś felietonista bezcześcił idola piłkarskiej młodzieży: „Cruyff i... objawy delirium”. Szokująca diagnoza. Boski Johann alkoholikiem?... Trudno w to uwierzyć. Autor przekonywał, że na całym Półwyspie Pirenejskim Cruyff jest piłkarzem najbardziej kłótliwym. Krytykuje grę kolegów, reakcje widowni, decyzje sędziów... Wszystkim ubliża. Złośliwa primadonna! Nie za dobrze piszą też o Johanie Neeskensie. Leni się i pozuje na artystę. Boże, przecież to asy reprezentacji Holandii! Czy będą kaprysić również w meczach z Polską o mistrzostwo Europy?

Nieprzychylne opinie o Cruyffie fabrykowała nie tylko prasa madrycka, blisko związana z Realem, odwiecznym rywalem Barcelony. Na Camp Nou też Johana krytykowano, a także innych graczy

zagranicznych. Wtedy Hiszpanie jeszcze za nimi nie przepadali. Prezes Federacji Piłkarskiej z Wysp Kanaryjskich Guillermo Willenbach Garcia bez pardonu beształ bramkarza Las Palmas, Argentyńczyka Daniela Carnavalię. To pajac! Nie dba o dobro drużyny! Nie tak złośliwie, ale też chłodno oceniano występy Paula Breitnera i Guenthera Netzera w Realu Madryt. Nasi starzy znajomi z Warszawy i Monachium. Jakby szczęściarz w czepku urodzony, na lotnisku Barajas spotkałem właśnie Netzera. Nie sprawia wrażenia przygnębiętego. Przypominam się, chętnie ze mną rozmawia.

– Coś wam w lidze nie idzie... Tylko remis z Walencją?... Spadek formy? – spytałem.

– Nie, Walencja – to dobra drużyna. Niedawno była mistrzem Hiszpanii.

– Kibice są jednak niezadowoleni... Prasa też ma pretensje...

– Coś musi pisać... Początkowo rzeczywiście mi tu nie szło, teraz już wszystko jest w porządku. Mam wsparcie w doskonałym Breitnerze...

– Więc o co chodzi?... Czytałem, że kierownictwo Realu krzywo na pana patrzy...

– Nie na mnie... Na moje włosy! Mówili, że za długie... Prosił, bym częściej chodził do fryzjera. Było, minęło, pogodzili się... Znowu mam bujną fryzurę...

– A jak pan widzi reprezentację Polski?

– Którą? Widziałem dwie, tę nie najlepszą w 1971 roku i rewelacyjną w 1974. Różnica jest taka, jaka między Netzerem z tamtych czasów i obecnych. Na moją niekorzyść... Teraz wy macie króla środka boiska. To Deyna... Proszę go pozdrowić!

Kazimierz Deyna był w tym czasie z Legią w Australii. Grała tam

nadspodziewanie dobrze, co o tej porze roku, było sporym zaskoczeniem. U nas sroga zima, mróz i śnieg, a na Antypodach pełnia lata. „Kaka” początkowo źle sypiał, na boisku był więc senny. Ale i tak najlepszy. W Las Palmas nie ma upałów, w dzień umiarkowana temperatura, tylko noce są dość chłodne. To nie razi, złości tylko brak słońca i zapłakane niebo. Deszcz jest na Gran Canaria rzadkim zjawiskiem, ale teraz leje, jak z cebra. Kanarki niespokojne na drzewach. Przewrotność natury!

Nasi juniorzy na zdobycie Pucharu Atlantyku liczyć nie mogli. Znaczna część chłopców zjawiała się na Wyspach Kanaryjskich bez żadnego przygotowania. Jeszcze nie zbudzili się z zimowego snu. Tych, co ich tu wysłali, wcale to nie zrażało. Opiekunowie juniorów dyskontując osiągnięcia seniorów przyjmowali każde zaproszenie na piłkarskie salony. Zarząd PZPN nie protestował. Czy to normalne? Początek na Estadio Insular w Las Palmas był jednak dość udany – remis 1:1 z Anglią, późniejszym zwycięzcą X Torneo Internacional Juvenil Copa del Atlantico. Drugi mecz z Niemcami jednak przegrany 1:2, a trzeci z reprezentacją Las Palmas adekwatny do prezentowanej formy (0:1). W tym spotkaniu nasi chłopcy ślaniali się na nogach. Nawet Krzysztof Budka, Andrzej Sikorski, Adam Nawałka, Adam Kensy i Janusz Baran opadli z sił. Takie były koszty tej zimowej wyprawy.

Na Estadio Insular poznałem ówczesnego prezesa Hiszpańskiego Związku Piłki Nożnej, Jose Luisa PEREZ PAYA. Na dłuższą rozmowę umówiliśmy się w nowo otwartym „Casa del Futbol” de la Federacion de Futbol de Las Palmas. Z wrażenia i zazdrości omal oczy nie wyszły mi z gąłek. Niby to daleka prowincja w Hiszpanii, a taki raj dla piłkarzy. Wstyd mi było mówić jak to wygląda w Warszawie, wolałem powspominać z prezesem Perez Payą mistrzostwa świata w RFN. Był pod wrażeniem

postawy „biało czerwonych”.

– Jestem tu u nas, w Hiszpanii ambasadorem polskiego futbolu. Wszędzie podkreślam wzorową organizację gry waszej reprezentacji... Tego najbardziej wam zazdroszczę. Spokoju, przemyślanych akcji, elementów zaskoczenia... To dzieło nie tylko „trzech wspaniałych” – Deyny, Laty i Gadochy. Cudowna cała drużyna! Widowiskowy futbol... Koniecznie muszę doprowadzić do meczu Hiszpania – Polska. Niech nasi kibice, piłkarze i trener Ladislao Kubala zobaczą, jak grają najlepsi... Na razie, w imieniu gospodarzy, w niedzielę zapraszam całą polską ekipę na mecz tutejszej „Polonii” z Apolinarią Las Palmas...

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – zapytałem zdziwiony – Jest tu drużyna o nazwie „Polonia”?...

– Tak, jest, gra w lidze regionalnej... To prawdziwie amatorski klub o robotniczym rodowodzie... Bardzo go lubimy.

– Grają w nim Polacy?

Na wszystkie moje pytania Perez Paya nie był w stanie odpowiedzieć. Wyręczył go Juan Martin Rodriguez, prezes miejscowej „Polonii”. Starszy, szpakowaty pan, z mocno podkreśnionym wąsem a’la nasz pradziad Sarmata. Był w towarzystwie wiceprezesa Jacinta Fiqueroli Sune. Ten dopiero kocha Polaków! Zwracał się do mnie per „amigo” i zapewniał, że „wszyscy Polacy są jego przyjaciółmi”. Jeden z synów wiceprezesa ma na imię Chopin...

– W naszej „Polonii” grają sami Hiszpanie – wyjaśnił. – Murarze, ślusarze, tapicerzy...

– Nazwa, skąd się wzięła nazwa?

– Z życia!... Z prozy, ale i ogromnej sensacji ostatnich mistrzostw świata... Pokonaliście tam Brazylię. Nasi chłopcy z podmiejskiej dzielnicy

Rehoyas w Las Palmas tak bardzo zafascynowali się grą Tomaszewskiego, Deyny, Laty i Szarmacha, że postanowili zmienić nazwę swojego klubu z „Antonio Rojas” na... „Polonia” Las Palmas. Reprezentację Polski uważamy za lepszą od mistrza świata. Że też ten deszcz nie pozwolił wam wygrać we Frankfurcie!... Nasi chłopcy grają teraz w kostiumach blanco-rojas... Mamy tu kawałek Polski....

– Sami utrzymujecie klub?...

– Oczywiście! Finansowo wspierają nas tylko miejscowi kibice. Przychodzą tu całe rodziny, nawet matki z małymi dziećmi na rękach. Wszyscy płacą za bilety!... Mamy tu też małą salkę gimnastyczną, urządzamy tam zabawy. Tańczymy, śpiewamy, organizujemy loterię... To też daje trochę pieniędzy. I tak żyje nasza „Polonia”...

Przed występem pierwszych drużyn odbył się mecz rezerw. Wygrali miejscowi. Teraz na boisko, żywo przypominające obiekt „Drukarza” Warszawa w Parku Skaryszewskim, wyszła pierwsza „Polonia” w towarzystwie reprezentacji Polski juniorów. Niebywałe oklaski, głośne hurra widowni, uściski dłoni graczy, wymiana proporczyków. Sympatyczna impreza. „Polonia” walczy z zębem, z dobrej strony chce się pokazać gościom z Polski. Nasi juniorzy to wyczuwają. Adam Kensy organizuje doping:

– Hej Polonia, hej! Po-lo-nia!...

„Poloniści” z Gran Canaria wygrali 3:0. Prezes Juan Martin Rodriquez jest zadowolony. Przy pożegnaniu zapisuje adres PZPN.

– Do waszej federacji – powiedział – prześlę wkrótce okolicznościowy proporczyk i zdjęcia z tego niecodziennego spotkania...

– A ja – dodał kapitan drużyny – skreślę zaraz kilka słów pozdrowień z Las Palmas do bratnich klubów „Polonia” w Warszawie, Bydgoszczy i

Bytomiu.

Zaraz po powrocie z Wysp Kanaryjskich współredagowałem setny numer tygodnika „Piłka Nożna”. Większość z dotychczasowych 99 zawierała treści miłe i bliskie sercu każdego kibica. Nasz futbol był na fali. To pokłosie złotego medalu olimpijskiego, Wembley, Stuttgartu, Frankfurtu i Monachium. To także ćwierćfinał „Orląt” w mistrzostwach Europy, brązowy medal juniorów na Costa Brava w Hiszpanii oraz troska publicystów o trwałą i systematyczny rozwój polskiego piłkarstwa. To wszystko utrwaliliśmy na naszych łamach. Rzeczywiście: **Współdziałaliśmy · Współtworzyliśmy · Pomagaliśmy...** Zdarzały się też swoiste paradoksy.

„Piłka Nożna” była jedną z najpotężniejszych lokomotyw „Młodzieżowej Agencji Wydawniczej”, więcej – całego RSW „Prasa-Książka’ Ruch”. Mimo to zarobki pracujących tam dziennikarzy były dużo mniejsze, niż w niektórych pismach deficytowych. Ale one były „wiodące”, „ideologiczne”, „wychowujące we właściwym duchu”, a my tylko „pisemkiem hobbystycznym”. Naszym hobby było nie tylko pisanie o piłce, lecz również kopanie jej z ogromną pasją i wewnętrzną potrzebą.. Przez wiele lat w reprezentacji dziennikarzy grali: Stefan Grzegorzcyk, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak, teraz podporą „Publikatora” był Stefan Szczepłek, mocno wspierany przez Kazimierza Oleszka, Tomasza Wołka, Zygmunta Lenkiewicza, Pawła Smaczego, Romana Hurkowskiego i najmłodszego w tym towarzystwie Pawła Zarzecznego.

Na tym nie koniec. Praktycznie codziennie (w okresie zimowego snu) grywaliśmy w piłkę również na głównym korytarzu naszej redakcji przy ulicy Wawelskiej 5, w monumentalnym obiekcie „Skry” Warszawa. Walczono ambitnie i bezpardonowo. Ostatnie rezultaty – to po raz

drugi noga w gipsie Zygmunta Lenkiewicza, kilka stłuczonych szklanek, rozbita szyba w sekretariacie redakcji, także jedna lampa zwisająca z sufitu i... brudne ściany. - Trudno je domyć – żaliła się sprzątaczką, Stefania Sadowska. Lampę rozbił jednak nie jakiś patałach z naszej redakcji, lecz... znany, ale widać nie najlepiej wyszkolony piłkarz. Ligowcy i reprezentanci Polski odwiedzali nas chętnie i dość często. Również trenerzy i działacze. Budowały nas takie spotkania. Były prezes PZPN, Stefan Glinka jeden z twórców „Skry”, przy kawie i koniaczku grywał z nami w brydża. Gdy któryś z partnerów spartolił, nie pieklił się, tylko spokojnie dopingował: - No to piłka do dołka na poprawkę...

Przyjmowaliśmy gości z otwartymi rękami, ale „do grupy” zaliczaliśmy dopiero po spełnieniu przez nich pewnych sportowo-widowiskowych warunków. Wydawało się nam, że dla wyczynowców to żadna trudność, po prostu błahostka, bo Szymkowiak, Lechowski i Szczepek wykonywali te ćwiczenia niekiedy nawet z zamkniętymi oczami. Na jednym końcu korytarza ustawialiśmy piłkę, a na drugim (odległość zbliżona do granic pola karnego) zwykłe krzesło z czterema nie powyłamywanymi nogami. Stawką było skierowanie piłki między nogi krzesła. Testowi temu chętnie poddawali się wszyscy, ale nie zawsze z powodzeniem. Tylko Benio Blaut zrobił to za pierwszym uderzeniem, inni dopiero po kilku próbach, „siłowcy” objęli ściany. Trener Górski też trafił od razu i tak to skomentował:

- Jerzyk! – to do mnie. – Na mieście dowiedziałem się, co mnie czeka w redakcji. Potrenowałem więc pilnie w domu, no i zdałem egzamin...

Zabawa z piłką i krzesłem – to tylko jeden z wielu naszych korytarzowych pomysłów. Rozgrywaliśmy też mecze parami, a Stefan Szczepek – to już indywidualnie - z lubością posyłał piłkę z 16 metrów

do małego pokoiku przez lekko uchylone drzwi. Trafić tam, jak należy, było równie trudno, jak strzelić gola z rzutu wolnego przy wzorowo ustawionym murze. Stefan to umiał, nie przypadkowo więc Kazio Górski nadał mu przydomek „Biały Pele”. Ja – wciąż o niezłej sprawności technicznej i nawykach bilardowych – z tej samej odległości dość często trafiałem piłką w elektryczny wyłącznik i... gasiłem światło. To też wyższa szkoła jazdy. Mieliśmy redakcję o piłkarskich nazwiskach: Grzegorzcyk, Piontek, Szymkowiak... Stefan nie był jednak spokrewniony z Ryszardem z Polonii Bytom, Antek z Leonardem z AKS-u Chorzów, a Mietek z Edwardem z Małej Dąbrówki, Ruchu, Legii i Polonii Bytom. Ale kopać piłkę też umieli!...

Jacy w ogóle byliśmy? Tak jak w „Przeglądzie Sportowym” Leszek Cergowski z humorem opisywał nasze zalety i ułomności, a więc i moje, tak w „Piłce Nożnej” równie dowcipnie robił to Andrzej Pielasa. Tak na przykład ocenił szefa, Stefana Grzegorzcyka: - Znamy gorszych... Wprowadza w redakcji świadomą dyscyplinę. Jeździ konno i na nartach... Wyróżnia się tym, że ma najlepszy, tryskający inwencją zespół dziennikarski i... rzadko bywa w redakcji... Na szczęście zawsze pozostają z nami Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak.

„BIAŁY PELE” W ROLI GOŁASA

Obydwaj wyróżniają się olbrzymią wiedzą o futbolu, kochają tę dyscyplinę, ponadto literaturę piękną i sztukę (czego ślady można znaleźć w ich korespondencjach), a red. Lechowski dodatkowo jeszcze

popisuje się poprawianiem naszych tekstów. Z miłości do piłki rezygnuje z własnych urlopów, spędza je na obozach i turniejach głównie juniorów. Był przy narodzinach Brychczego, Lubańskiego i Deyny, a przed trzema laty odkrył talenty Janusza Kupcewicza i Stanisława Terleckiego. Żałuje, że tak późno poznał Stefana Szczepłka. – Stefcu – powiada – łeb bym uciał temu, kto cię tak długo ukrywał w Falenicy. Mógłbyś tak dobrze grać w piłkę jak ja w bilard...

Szczepłek był dla Górskiego „Białym Pele”, moim zdaniem – zasługiwał też na ksywkę „Biały Robson”. Śpiewał równie ujmująco i niskim głosem jak ów legendarny Murzyn swoje „Missisipi...”. Nie był to, broń Boże – sznapsbaryton, tylko bezwzględnie czysty ton jakby zapożyczony od mistrza Bernarda Ładysza. Gdzieś się Stefan musiał tego nauczyć. A już na pewno, gdy „pierwsza setka zaszumiała mu w głowie”, „Biały Robson” mógłby z powodzeniem partnerować Wiesławowi Gołasowi. Miał dar przekonywania: - „W Polskę idziemy bracia, panowie”... Wtedy po kolejną flaszkę najczęściej i najchętniej biegł Romek Hurkowski.

W styczniu byłem z juniorami na Wyspach Kanaryjskich, w lutym z kandydatami do pierwszej reprezentacji wybrałem się na podbój Europy. Niestety, chory trener Górski pozostał w domu. Ster drużyny przejął Andrzej Strejlau. Tak tłumaczył sens tego tournée:

...W dużym stopniu można to porównać z zeszłoroczną wyprawą do RFN, Włoch i Algierii. Odbywa się mniej więcej w tym samym czasie. Wtedy szło o pierwsze w nowym sezonie rozpoznanie sił kadry przed finałami mistrzostw świata, teraz idzie o podobne informacje przed meczem z Włochami o mistrzostwo Europy. Nie będę ukrywał, że wtedy byliśmy w lepszej sytuacji kadrowej...

Zaczęło się źle, od przegranej w Salonikach z tamtejszym PAOK-

iem. Nasi piłkarze, w tym zwłaszcza Deyna i Tomaszewski, narzekali na boisko.

– Błoto, glina, woda... Nogi zostają w ziemi... Już po treningach bolały nas łydki i pośladki.

– Przegraliśmy 0:1 – mówił Strejlau – mimo to jestem zadowolony z postawy zespołu. W tym roku w klubach lepiej przepracowano zimę. W Splicie powinno być lepiej...

Także ja byłem dobrej myśli. Forma kadry poszła w górę. Hajduk od lat najlepszy zespół klubowy Jugosławii, na nim opiera się trzon reprezentacji, przegrał 0:1. Zwycięstwo zasłużone, bramkę zdobył Kmiecik. Ze srebrnej drużyny z Monachium nie było na tym tournee: Żmudy, Musiała, Maszczyka i Gadochy. Ich zastępcy Henryk Wieczorek, Henryk Maculewicz, Lesław Ćmikiewicz i Kazimierz Kmiecik spisywali się dość dobrze, przeto po wygranej z Hajdukiem zapewniłem w „Piłce Nożnej”:

...Jestem gotów już dziś zaryzykować twierdzenie, że w kolejnych spotkaniach w Bochum i Zurychu nasz zespół zagra jeszcze lepiej, niż w Splicie... Pozycja wyjściowa do stałej poprawy formy jest dobra. Kadrowicze mają nieźle „naładowane akumulatory...

Polacy w trzech kolejnych meczach z VfL Bochum, Guetersloh i Grasshoppers Zurych rzeczywiście zagrali dość dobrze, mimo to jedno z tych spotkań przegrali. Na własne życzenie... Do przerwy prowadzili w Bochum 1:0 ze strzału Deyny, ale w drugiej połowie Lato nie wykorzystał dogodnej sytuacji do podwyższenia wyniku na 2:0 i w zespole zaczęły się kłótnie.

... „Ech, szkoda mówić – westchnął z żalem Henryk Wieczorek. – Mniej więcej od siedemdziesiątej minuty Janek Tomaszewski ciągle miał

do mnie pretensje. Nie widział czy udawał ślepego, że po kontuzji Jurka Gorgonia obrona w składzie: Sobczyński, Wieczorek, Szymanowski, Wawrowski grała po raz pierwszy? Z monachijskiego składu pozostał tylko Antek Szymanowski i to na pozycji libero.

Największym mankamentem naszej drużyny w przegranym meczu z VfL Bochum był brak dyrygenta. Niemiłe zaskoczenie. Wprawdzie Deyna strzelił bramkę, ale grał słabo. Wyraźnie ustępował kolegom pod względem szybkości. Jeszcze nie doszedł do siebie po wyprawie Legii do Australii. Grał jednak w swoim stylu – rozsądnie i ekonomicznie, ale w zwolnionym tempie, unikał ostrych starć z rywalami. Rezerwowi też nie grali najlepiej. Z Chopinem lub Paderewskim trudno jest porównywać początkujących pianistów...

Manewry kadry w Grecji, Jugosławii, RFN i Szwajcarii skłoniły mnie do krytycznej, ale nie porażającej oceny „**Nie wszystko gra**”. Nie było czasu, klimatu i warunków sprzyjających tworzeniu nowych wartości w reprezentacji. Niektóre treningi – rzecz zrozumiała z konieczności – niemal wyłącznie sprowadzały się do rozgrzania „zastałych mięśni” w... samolocie lub autokarze. Podkreślam to celowo, bo ktoś z ekipy przekazywał do kraju informacje całkowicie kłójące się z rzeczywistością... *„Trenerzy Andrzej Strojilau i Bernard Blaut przeprowadzają po dwa treningi dziennie, odbywają się też zajęcia w sali... Totalna bzdura.*

W ciągu dwutygodniowego tournée aż pięć dni było szkoleniowo martwych. Także te cudowne opinie o pięknych saunach i basenach też należało by potraktować jak bajki dla grzecznych dzieci lub naiwnych pańienek. Nie było komfortu szkoleniowego, nie było też warunków do biologicznej odnowy organizmów. Doktor Janusz Garlicki po nocach masował zboliałych piłkarzy. Czy to normalne? Większość

kadrowiczów, zwłaszcza tych z Legii Warszawa, Stali Mielec i Ruchu Chorzów (wcześniej z klubami podróżowali po świecie) nie była zdolna do rozegrania pięciu spotkań w ciągu 14 dni. Gorzej, cały czas z kadrą przebywał kontuzjowany Roman Ogaza, a od meczu w Bochum Jerzy Gorgoń. Dlaczego obu natychmiast nie odesłano do klubów? Bałagan... Na lotnisku, we Frankfurcie nad Menem zatrzymano całą ekipę. Nie miała wiz wjazdowych do Niemiec.

Od strony czysto sportowej obserwowałem tę wyprawę głównie pod kątem zbliżającego się meczu z Włochami o mistrzostwo Europy. Koledzy z redakcji też o to pytali. Odpowiedziałem, zresztą powtórzyłem to na łamach „Piłki Nożnej”, że nie widzę żadnych podstaw do rezygnacji z: Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Gorgonia, Wieczorka, Wawrowskiego, Maculewicza, Deyny, Kasperczaka, Ćmikiewicza, Lato, Szarmacha i Kmiecika. Miłym zaskoczeniem była zwłaszcza dobra gra obrońcy Henryka Wawrowskiego z Pogoni Szczecin. Czy są w zanadru równie uzdolnieni kandydaci? Stawiałem na Terleckiego, Kustę, Kapkę i Kupcewicza, ale wtedy ich jeszcze nie poddano egzaminowi. Niewiadomą była też forma Gadochy, bo akurat wtedy podpisał zawodowy kontrakt z FC Nantes. Obiecał jednak, że „będzie grał dla Polski”.

Z opinią – „Nie wszystko gra” nie zgadzano się w PZPN. A ja uparcie powtarzałem: ... *„Przed meczem z Włochami o mistrzostwo Europy może i musi być lepiej”*. I było! W Poznaniu „biało-czerwoni” rozgromili reprezentację USA 7:0. Ten haitański wynik nie przyszedł łatwo, trzeba było zagrać na pełnych obrotach przez 90 minut. Efektownie i skutecznie! Zespół Stanów Zjednoczonych nie był wcale gorszy od sparingpartnerów kadry podczas lutowego tournée. Ale teraz nasi strzelcy wyborowi – Lato i Szarmach oraz lider zespołu Deyna znowu byli w mistrzowskiej formie.

Także w kolejnym meczu kontrolnym z Walencją (3:0) Lolek i Bolek celnie strzelali. Czy dorówna im Gadocha?

Mecz z Włochami w Rzymie jeszcze nie był popisem Polaków, jednak wynik bezbramkowy przyjęliśmy w konwencji Wembley – jako „zwycięski remis”. Właściwie ocenił sytuację trener Górski: ... „*Wynik jest korzystny, ale gra mogłaby być lepsza...*”. Tak czy siak utrzymaliśmy po tym meczu pierwsze miejsce w V grupie eliminacyjnej przed Holandią i Włochami. Reprezentacja Finlandii była w tym towarzystwie wyłącznie dostarczycielem punktów. Wygraliśmy z nią dwukrotnie 2:1 i 3:0. Teraz do rangi przeboju sezonu urastał mecz Polska – Holandia w Chorzowie. Już raz pokonaliśmy tam „pomarańczowych”. Jak będzie tym razem? – nagabywałem Kazia w kilku kolejnych rozmowach:

– Witam trenerze, jak tam po urlopie? Wypoczął pan, widać to po brzuszku. Jakby się nieco zaokrąglił... Spada na kolana...

– Dziękuję, już mieszkanie wyremontowane, żona wraca z wczasów. A ja – kończę podróże po kraju., Dotychczas obejrzałem sześć spotkań ligowych... Drużyny wyraźnie się rozkręcają, reprezentanci też.

– Humor trenera nie opuszcza. Mnie na przykład zaskakuje słaba forma Deyny...

– Kolego, ja też to widzę, ale... za wcześnie na ostateczne decyzje. Zresztą, słabiej grają także: Maszczyk, Marx, Kasperczak, Kapka i Kmieciak...

– Będą więc kłopoty z powołaniem „szesnastki” na mecz z Holandią?

– Tego nie powiedziałem... I nie będzie to „szesnastka” tylko „osiemnastka”. Deynie i Maszczykowi muszą dać szansę...

– Odkrył pan jakiegoś nowego Żmudę lub Wawrowskiego?

– Wybitni piłkarze nie wyrastają tak szybko jak stokrotki na łące.

Na to trzeba czasu... Trzon reprezentacji będą więc tworzyć wypróbowani i doświadczeni zawodnicy.

– Będzie wśród nich Gadocha?

– Bardzo na niego liczę... Również Włodek Lubański pisał z Belgii, że jest w każdej chwili do naszej dyspozycji. Będzie dobry – to zagra na pewno...

Przed drugą rozmową z Kazimierzem Górskim dość często kontaktowałem się z byłym trenerem reprezentacji, Antonim Brzeżańczykiem. Pracował wtedy w Feyenoordzie Rotterdam, w klubie chlubiącym się wywalczeniem Pucharu Świata. Zaszczyt to niewątpliwy, dotychczas takiego nie dostąpił żaden z polskich szkoleniowców. To zdumiewające, przecież nie tak dawno Antek otrzymał w naszej lidze mocnego kopniaka w tyłek, a teraz otwiera listę naszych „eksportowych” trenerów. Ktoś tu chyba zwariował! W naszych klubach wielu prezesom, dyrektorom, notabdom z branży przemysłowej i administracji państwowej wyraźnie wadzi fachowość. Dzięki kontaktom z Brzeżańczykiem przekazywałem trenerowi Górskiemu najświeższe informacje o formie i sposobie gry reprezentantów Holandii. Za pośrednictwem Antka przeprowadziłem nawet wywiad przez telefon z Cruyffem.

– Johan, ty jesteś w Polsce bardzo popularny. Chłopcy wycinają z gazet twoje zdjęcia...

– Nie do uwierzenia! Przecież mają u siebie Latę i Deynę?! Ale widać sympatie nie mają granic. Ja też lubię Polskę...

– Teraz Johan, jesteś w Barcelonie. Opowiadaj, jak ci się tam wiedzie?

– Myślę, że dopiero w tym sezonie odegram w Hiszpanii właściwą rolę. Z Weisweilerem trenuję bardziej intensywnie niż dawniej z Michelsem. Czy wrócę do Ajaxu? O tym decydują pieniądze. A tych

Barcelona ma dziś znacznie więcej...

– A interesy w Holandii?

– Prowadzi je mój teść, Cornelius Coster. Ja nie mam na to czasu.

Teraz nawet z Pietem Keizerem rzadko się widuję i już razem nie łowimy pstrągów...

– Spotkacie się na zgrupowaniu kadry przed meczem z Polską...

– Właśnie trener Knobel powołał mnie i Neeskensa na spotkanie w Chorzowie. Już raz tam byłem, przegraliśmy 1:2.

– A kto wygra teraz?

– To będzie równie trudny mecz. Sprawa otwarta, każdy wynik jest możliwy... Polacy umieją stworzyć przyjazny klimat wokół swojej drużyny. Te sto tysięcy widzów!...

– Co ci się najbardziej podoba w polskim zespole?

– Organizacja gry, a zadziwia zbiór w jednym zespole tylu gwiazd: Lubański, Deyna, Lato, Gadocha, Gorgoń...

– Lubański i Gorgoń nie wystąpią w Chorzowie.

– Wiem, że los tak źle obszedł się z Lubańskim. Życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia. Natomiast dziwi mnie tak lekkomyślne zachowanie Gorgonia. Trwoni talent. Kiedyś sądziłem, że będzie najlepszym stoperem w Europie... Dzisiejszy futbol wymaga nie tylko dużej inteligencji, w ogóle szerszego i głębszego spojrzenia na sport, życie, współczesność... Także samodyscypliny!...

Druga z kolei rozmowa z Kazimierzem Górskim przed meczem z Holandią dotyczyła składu kadry.

– Czy coś kolegę redaktora zaskoczyło?

– Chyba tylko bezgraniczne zaufanie selekcjonera do wszystkich znanych i uznanych w kraju sław.

– Myślisz o Deynie, Kasperczaku, Marxie?... Zazwyczaj kieruję się aktualną formą zawodników, ale niekiedy robię w tym względzie wyjątki...

– Słowem nie tylko aktualna forma, ale i faktyczne możliwości?...

– Dobrze powiedziane. Kadrowiczów znam nie od dziś i wiem, na co ich stać. Zaufałem niemal wszystkim zawodnikom, z którymi byłem na tournée w USA i Kanadzie. Zrobiliśmy tam sporo dobrego dla reprezentacji.

– Więc nie była to tylko atrakcyjna wycieczka?

– To jest Jerzyk, przepraszam, że ci to wytykam, pytanie w stylu ludzi nie zorientowanych w pracy z reprezentacją. O to cię nigdy nie posądzałem... Przecież w meczach za Atlantykiem jeszcze bardziej zespoliła się nasza drużyna. Pokaże to w meczu z Holandią...

– Czy słabszy ostatnio Deyna również? Podobno marudzi...

– Powiem ci tak po przyjacielsku, tylko dla ciebie, choć wiem, że o tym napiszesz i że nie wszystkim się to spodoba. Deyna – w jakimś stopniu także Tomaszewski – mają w sobie coś z wielkich artystów, którzy swoją wielką rolę mogą odegrać tylko w wielkim widowisku i na wielkiej scenie. Mobilizują się wtedy psychicznie... Właśnie taką okazję stwarza mecz z Holandią i dlatego w nich wierzę. Z Kaziem przeprowadzę zresztą rozmowę indywidualną. Postaram się dotrzeć – że się tak wyrażę – do wnętrza jego duszy. Bo w tym meczu potrzebny będzie duch z Wembley...

Przed samym meczem jeszcze raz rozmawiałem z Górskim i z Brzeżańczykiem oraz z Ryszardem Koncewiczem. Wszyscy trzej właściwie ocenili sytuację. Górski twierdził, że „*wygra ten, kto lepiej pomyśli, a my myślimy tylko o zwycięstwie*”, Brzeżańczyk był zdania, że „*o wszystkim zadecyduje serce do walki, bo w tym meczu nie ma faworyta*”, a Koncewicz był przekonany, że „*o naszej wygranej zadecyduje własne boisko*”. Nikt więc

nie stawiał na Holendrów. Kazio Deyna marzył jednak o tym, ... „żeby Neeskens był od niego gorszy”, a Mirosław Bulzacki, który zastępował zdyskwalifikowanego Gorgonia, był przekonany, że „nawet wielki Johan nie lubi, kiedy ktoś siedzi mu na plecach...”.

Zatem kto wygra? Opinia fachowców była zgodna. Zwycięzca meczu Polska – Holandia narodzi się w wyjątkowo trudnej i wyczerpującej walce. Czy my, piłkarze, trenerzy, działacze i dziennikarze zrobiliśmy wszystko, aby zwycięstwo było po naszej stronie? Tak, ale nie bądźmy naiwni – przeciwnik też chce wygrać. Za nami – w stopniu dotychczas rzadko spotykanym – przemawiają duże kompetencje ludzi kierujących reprezentacją. Głowę selekcjonera już zdobi laur olimpijski i srebrna korona mistrzostw świata. Trenerska znakomitość. Jego najbliżsi współpracownicy: Andrzej Strejlau, Bernard Blaut, Hubert Kostka, Ryszard Kosiński i Zbigniew Należyty też nie od macochy. Pięli się w górę szczebel po szczeblu o własnych siłach. Nikt ich przecież nie porwał do piłkarstwa z ulicy, nie skierował też do reprezentacji z partyjnego „klucza”, jakiegoś podejrzanego układu towarzyskiego lub zażyłości z trenerem. Wywalczyli przy nim swoją pozycję dobrą pracą. Pobyt z kadrą w Kamieniu – to ich naturalny awans.

Czy tych ludzi mogli zawieść piłkarze? Czy mogli zawieść kibiców? Po wygranej z Holandią 4:1, a mogło być jeszcze więcej, wyczyn naszych reprezentantów wyraziłem siłą jednego słowa – NIEZAWODNI! Mieliśmy w tym meczu drużynę, o jakiej marzy każdy kraj i od dłuższego czasu nam zazdrości. Mieliśmy też trenera (i obyśmy go mieli jak najdłużej), który – taki to już z niego mistrz – w ciągu 16 dni postawił na nogi wszystkich członków zwycięskiej ekipy. Odrodził medalistów olimpijskich i mistrzostw świata! Pozostał jednak skromny i sprawiedliwy:

... „*Na ten wynik złożył się wysiłek wielu ludzi, całego sztabu szkoleniowego, ale decydujący głos należał do zawodników*”.

Jak grali? Kto się szczególnie wyróżnił? Jan Tomaszewski był perełką tego meczu. Podnosił kolegów na duchu, twardziel psychiczny. Wielki aktor wielkiego widowiska. Kto jeszcze na świecie byłby w stanie tak skutecznie obronić nogami chytry strzał „boskiego Johana”? „Tomek” doznał przy tej interwencji bolesnej kontuzji stopy lewej nogi, ale dzielnie wytrwał do końca meczu. Ból długo nie ustępował. Dopiero w Łodzi się pożalił: - Lekarze orzekli, że pękła kość śródstopia i naderwały się ścięgna w stawie skokowym... Więc nałożyli mi gips na chorą nogę...

Kazimierz Deyna?... To drugi nasz piłkarz, o którym przed meczem tak ciepło wyrażał się Kazimierz Górski. Artysta futbolu, kreator niecodziennych widowisk! Wielki strateg, jednym nieszablonowym podaniem dezorganizował holenderską obronę. Gracz wszechstronny. Był w tym meczu nie tylko genialnym reżyserem akcji ofensywnych, czwartym napastnikiem lecz także „wymiataczem” linii pomocy. Mistrz zwodów i zmiany rytmu gry. Niepokoił Van Beverena strzałami z dystansu. Bramki zdobywali jednak Szarmach, Lato i... Gadocha. Przyjechał z Nantes i zrobił swoje. Silny punkt zespołu. Co za „profesura” przy zdobytej bramce?!

Włosi, nasz równie groźny rywal w eliminacjach mistrzostw Europy, z zaniepokojeniem przyjęli naszą wiktoryę w Chorzowie. Tak się tym przejęli, do tego stopnia potracili głowy, że sami posiali kolejny punkt w bezbramkowym meczu z Finlandią. Trener Enzo Bearzot po relacji Fulvio Bernardiniego, który mu opowiedział o wyczynach Polaków w Chorzowie, łapał się z rozpaczy za głowę. Z jednej strony wpadka z Finami, z drugiej obawa przed furią Polaków. Obaj ocenili, że w meczu z

Holandią Polacy grali jeszcze lepiej niż podczas mistrzostw świata w RFN. W miarę skuteczną receptą na husarskie szarże „biało-czerwonych” może być tylko pressing i żelazna dyscyplina taktyczna. Cattenacio! Nie mylił się, tak właśnie zagrali Włosi na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie i osiągnęli tam bezbramkowy remis. Najpierw jednak w Amsterdamie odbył się rewanżowy mecz Holandia - Polska.

Po sukcesie w Chorzowie trener Górski stał się najpopularniejszym człowiekiem w naszym kraju. Dla pana Kazimierza coraz więcej było kwiatów, toastów, białych tang, spotkań z kibicami, słowem – przejawów powszechnej i szczerzej sympatii. Nawet dorastające panienki, widziałem to, wszak towarzyszyłem Górskiemu w podróżach po kraju, lgnęły do selekcjonera jak pszczoły do miodu. Prosiły o autografy i choćby o jeden takt jakiegoś płasa na parkiecie. Górski odmawiał nawet wtedy, kiedy ktoś z dobrze zorientowanych zamówił u kapelmistrza „Polesia czar”. Kazio się rozczulał, dziękował, sam też podśpiewywał, ale tańców zdecydowanie unikał. – „To nie moja specjalność” – wyjaśniał zawiedzionym panienkom.

Ale Górskiego na fali ogólnego uwielbienia usiłowano także pouczać. Raz po raz pojawiały się w prasie slogany sprzed blisko półwiecza: ...”Atak jest najlepszą obroną”... lub że „najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką...” W czasach „gry wszystkimi siłami” i „futbolu totalnego” już to wyraźnie kłóciło się z rzeczywistością, jednak mnie najbardziej bolało prostackie „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Górskiego też to wkurzało, bo zawsze był elastyczny w swoich decyzjach, daleki od rutyniarstwa i utartych szlaków. Tworzenie drużyny nazywał „procesem trwałym”, a nie działaniem „zamkniętym w sobie”. Miał duszę twórcy – nowatora, bogatą wyobraźnię. Trwanie w konserwatywnych formułkach kadrowych kłóciło by się z jego „wariantem ryzyko”.

Doskonalenie form selekcji jest koniecznością i podstawowym zadaniem każdego trenera. Mam tu na myśli oczywiście reprezentację, bo w klubach nie ma takich możliwości tworzenia lepszych wartości, jak w zespole narodowym. Tu jest zdecydowanie więcej wybitnych indywidualności. Poza tym w lidze coraz częściej decydujący głos w sprawach personalnych mają „spece” od „organizacji”, a nie od szkolenia. Na szczeblu reprezentacyjnym nie powinno być „świętych krów”. Sztuczny ferment w zespole i nieuzasadnione „rotacje kadrowe” nie są pożądane, ale świadome poszukiwanie nowych rozwiązań – bezwzględnie tak.

– Podobno nie lubisz zmieniać składu zwycięskiej drużyny? – zaskoczyłem Górskiego.

– Kto to powiedział?! – oburzył się trener. – Chcesz mieć wyniki, to nie możesz trwać w uporze! ... W pracy z reprezentacją potrzebne są nowe nazwiska. W Łodzi w meczu z Węgrami dowiedliśmy, że mamy nie tylko jedenastu „żelaznych” reprezentantów i jednego jockera Leszka Ćmiekiewicza. Są uzdolnieni następcy... Nie grali Gorgoń, Deyna i Gadocha, natomiast Tomaszewski, Szymanowski, Kasperczak i Lato w niecałym wymiarze czasowym, mimo to wygraliśmy 4:2. A bramki strzelali Marx, Kmiecik i Kasperczak...

– Ale za bardzo nie dmuchajmy w zwycięskie surmy. To, co wystarczyło na Węgrów, nie wystarczy na Holendrów... W Amsterdamie będzie zupełnie inny mecz. Deyna nie grał za karę? Podobno w Rembertowie piłkarze kręcili nosami, że spóźnił się na zgrupowanie?

– Może kręcili, może narzekali, ale ja uznałem za stosowne dać Deynie kilkudniowy odpoczynek. Psychicznie był trochę podłamany...

– Znaczy to, że zagra w Amsterdamie...

– Oczywiście! Druga linia wystąpi w składzie Kasperczak – Deyna

– Maszczyk. Tak jak podczas mistrzostw w RFN...

– Holendrzy pójdą na całego... Czy w tej sytuacji nie było by dobrze wzmocnić tę formację którymś z bardziej defensywnie grających pomocników?

– Po co? Przecież Maszczyk i Kasperczak robią to dobrze. Deyna jest lepszy w konstrukcji, ale też umie przytrzymać piłkę.

– W napadzie „bombowo” grał Marx. Knobel był zaskoczony. Czy nie lepiej było by zaskoczyć go w Amsterdamie, a nie w Łodzi?

– Marx jeszcze wszystkiego nie pokazał. Myślę, że Knobel nadal ma ból głowy.

– Górski chyba też! Trzeba się zdecydować Marx czy Gadocha?

– W Amsterdamie urządza nas remis. Gadocha w razie potrzeby może spełniać zadania czwartego pomocnika...

– Będziemy tam grać „na remis”?

– Z góry tego nie zakładam, ale byłbym z takiego wyniku zadowolony...

– A więc klasyczny kontratak?

– Może... Mamy przecież odpowiednich wykonawców. To jest nasza silna broń...

W meczu rewanżowym w Amsterdamie poznaliśmy gorzki smak porażki. Po słońcu był deszcz...

...Zaskoczenie jest powszechne – pisałem w „Piłce Nożnej”. – Tak nieporadnie grającej reprezentacji Polski nie widziano od dawna. Zrodziły się pytania, wątpliwości: - Byliśmy źle przygotowani do tego meczu? Dlaczego w Amsterdamie wystąpiliśmy w tym samym składzie co w Chorzowie? Czy to owiane już legendą 4:1 na Stadionie Śląskim nie było przypadkiem szczytem możliwości „biało-czerwonych”...

Co dalej? Jeden z liderów reprezentacji Włoch Giacinto Facchetti po naszej wiktorii w Chorzowie sugerował zmierch reprezentacji Włoch i coraz wyższy lot Orłów Górskiego. Tymczasem można chyba mówić o powolnym odwrocie naszej drużyny. Byliśmy na rozdrożu...

Po kolejnym meczu z Włochami, niestety – znowu bezbramkowym, pozostaliśmy na rozstajach. O własnych siłach nie byliśmy już w stanie przebić się do puli finałowej mistrzostw Europy. Gdyby jednak Włosi wygrali z Holandią 4:0, mogliby wyciągnąć za nas kasztany z ognia. Stracone złudzenia. Na Stadio Olimpico w Rzymie „azzurri” wprawdzie wygrali, ale tylko 1:0. Koniec marzeń – kolejne mistrzostwa Europy przeszły nam koło nosa. Czkwawką odbiły się nam dwa bezbramkowe mecze z Włochami, to zadecydowało o naszym drugim miejscu w tabeli, Holendrzy celniej strzelali. Jak teraz powiedzie się w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata? Graliśmy w jednej grupie z Cyprem, Danią i Portugalią. Zaraz po losowaniu w Gwatemali sugerowaliśmy w „Piłce Nożnej” następujący układ sił: 1. Polska 2. Portugalia 3. Dania 4. Cypr. Czy tak będzie za dwa lata?

Reprezentacja nadal cieszyła się społecznym zaufaniem. Fakt, spisała się poniżej oczekiwań i możliwości, dobre mecze przeplatała słabszymi, jednak na kontynencie nadal była wysoko notowana. Z Holendrami, finalistami Euro 1976 wypadła na remis. Taka była. A jaka być powinna? Trener Górski poszukiwał pełnowartościowych następców: Adama Musiała, Zygmunta Maszczyka i Roberta Gadochy. Znalazł tylko Henryka Wawrowskiego na lewą obronę. Pozostali kandydaci nie zdali egzaminu. To źle wróżyło przed Olimpiadą w Montrealu i mistrzostwami świata w Argentynie. Nasilało się „zmęczenie materiału”. Dość długo nowoczesnym „oknem wystawowym” naszej reprezentacji

były dwie formacje – pomoc i napad. W roku 1975 również tu można było zauważyć pierwsze przejawy „zmierzchu bogów”. Bolały „sprawy” - najpierw Gadochy, a potem Deyny i Gorgonia. Od tych ułomności musimy uwolnić naszą reprezentację.

Trener Górski usilnie pracował nad wynalezieniem nowej broni. W latach 1971 – 1975 praktycznie w każdym sezonie zaskakiwał piłkarski świat szkoleniowym nowatorstwem. Było minęło, panta rei... Aż prosiło się o nowe rozwiązania taktyczne. Te warianty, które wyniosły naszą reprezentację na olimpijskie i mundialowe szczyty, teraz już nie wystarczyły. Brakowało zresztą wybitnych wykonawców. W roku 1975 nie było graczy rangi światowej, a klasę europejską reprezentowali tylko: Jan Tomaszewski, Władysław Żmuda, Grzegorz Lato i Andrzej Szarmach. Martwił gwałtowny spadek formy Antoniego Szymanowskiego, Jerzego Gorgonia i Kazimierza Deyny. Nadal na nich liczymy. A kto z „nowej fali” rokuje największe nadzieje? Zbliżał się czas Pawła Janasa, Zbigniewa Bońka, Janusza Kupcewicza, Stanisława Terleckiego i ich rówieśników.

Zastanawiałem się, jaki będzie kształt naszej reprezentacji w roku 1976? Czy potrafi utrzymać polski styl gry? Zachować równowagę między obroną i atakiem? Dobra drużyna musi uwzględniać w tej materii trendy światowe, ale też rozwijać i wzbogacać w futbolu to, co typowo polskie odpowiadające naszej psychice, ambicjom i konkretnym zadaniom. Styl w piłkarstwie jest trwałą wartością, charakterystyczną dla danego środowiska, kraju, narodu. Reprezentacyjna drużyna bez własnego stylu, to tak – jak kobieta bez miłego uśmiechu i zgrabnej sylwetki.

Nadal obowiązywało u nas hasło „Jaka liga, taka reprezentacja”, ale było dalekie od prawdy. Kluby staczały się w przepaść moralną. W sezonie 1974/1975 w skali dotychczas niespotykanej sprzeniewierzyły

się zasadom czystej gry, poszanowaniu w sporcie dobrych obyczajów. Na ligowe boiska wkradły się elementy przekupstwa, wybiórcze traktowanie rywali, jawne fingowanie wyników spotkań. Nawet nowy mistrz Polski Ruch Chorzów zakpił sobie z idei fair play. Rozsierdzony porażkami Ruchu z Arką Gdynia 0:1 (w pierwszej rundzie wygrana 6:0!) i z Gwardią Warszawa 1:4 na własnym boisku (pierwszy mecz w Warszawie 3:1 dla chorzowian), zapytałem ówczesnego prezesa „niebieskich” wiceministra Ryszarda Trzcionkę – „co to wszystko znaczy...”. Usłyszałem odpowiedź typową dla lat pięćdziesiątych, kiedy obowiązywało socjalistyczne współzawodnictwo, bicie rekordów produkcyjnych, a po wykonaniu normy – laba, jak za króla Sasa: „Jedz, pij i popuszczaj pasa...”.

– Ruch przed terminem wywalczył mistrzostwo, ma więc teraz prawo do zasłużonego odpoczynku.

HODOWCY SPRYCIARZY I PASOŻYTÓW

„Odpoczywali”, inaczej mówiąc wypaczali sens ligowej rywalizacji nie tylko mistrzowie Polski. Praktycznie każdy zespół, wolny od obaw przed spadkiem i nadziei na mistrzostwo, bimbał sobie z rozgrywek. Zjawisko niecodzienne! Nawet byli mistrzowie Polski: Legia Warszawa, Górnik Zabrze i Polonia Bytom specjalnie się nie wysilali, natomiast aż 8 innych klubów z reguły niedozwolonymi środkami „broniło” się przed degradacją. Strefa spadkowa zmieniała kształt praktycznie co tydzień – w zależności od tego – komu tzw. „drużyny środka” sprzedały punkty. Nikt nie chciał być „czerwoną latarnią”, ale robił to w sposób ohydny. Ostatecznie aż sześć drużyn „wywalczyło” po 26 punktów, jeden – 27 i jeden – 28. Spadły Arka i Gwardia, mimo że przodowały w prokurowaniu

„niedzieli cudów”. Miały niekorzystną różnicą bramek i... niefortunny układ kalendarza gier. Przedostatni mecz rozegrały między sobą. Nie mogło więc być ani kupującego, ani sprzedającego. Padł remis 2:2 i zdegradował obu rywali.

W artykule „**Ucieczka przed odpowiedzialnością?**” pisałem po tych kabaretowych rozgrywkach:

...Liczne deklaracje i płomienne publiczne wystąpienia funkcjonariuszy klubowych i trenerów (to jest najgorsze) rozmijały się z ligową rzeczywistością. Najwięksi winowajcy głosu nie zabierali, spuścili tylko nosy na kwinty. Taka jest naga prawda o naszej lidze i ludziach kierujących klubami... Hodujemy pasożytów i spryciarzy. Kto tego nie widzi, nie powinien być akceptowany przez nasze środowisko... W nowym sezonie PZPN musi częściej zaglądać za kulisy ligowych zmagania i ostro piętnować tych, którzy plamią i hańbią nasz futbol.

Kierownictwo PZPN nie zbyło tych obaw milczeniem. Wydano oficjalne „**Oświadczenie w sprawie niektórych ujemnych zjawisk w piłkarstwie**”. Zwolenników ostrych cięć, także mnie autora „Ucieczki od odpowiedzialności”, tylko częściowo zadowolili zaprezentowane tam opinie: ... *„W niektórych przypadkach Zarząd PZPN w pełni podziela te obawy i krytyczne oceny. Równocześnie nie można się zgodzić z opiniami skrajnymi, negującymi cały dotychczasowy dorobek, poddający w wątpliwość uzyskane rezultaty wieloletniej pracy”*.

W „Oświadczeniu...” sugerowano, a właściwie sprowadzono cały splot fatalnych wydarzeń tego kabaretowego sezonu do braku pracy wychowawczej w klubach. „W stosunku do klubów, które w końcowej fazie rozgrywek tolerować będą u zawodników nie uzasadniony spadek formy, zostaną wyciągnięte surowe konsekwencje. Zarząd PZPN stwierdza

również negatywne zmiany w postawach, trybie życia i zachowaniu u niektórych członków kadry narodowej seniorów, młodzieżowej, a nawet juniorów... Przykładem naruszenia zasad moralno-etycznych było zachowanie się dwóch członków kadry PZPN – Gorgonia i Szarmacha... Daje się zauważyć zjawisko merkantylnego traktowania sportu przez niektórych zawodników, wyrażające się w dążności do częstych zmian klubowych, wygodnego urządzania się w życiu, wywierania nacisku na zarządy i kluby. Zdecydowanego przeciwdziałania wymaga lansowanie tu i ówdzie kariery... na grze w zawodowym klubie”.

Całe „Oświadczenie” spreparowano na modłę dorastających pań „chciałabym, ale boję się” i praktyk określanych w przeszłości jako „ni pies, ni wydra”. Końcowe fragmenty przypominały czasy, kiedy dyskusje o zawodowstwie w piłce nożnej były tematem wstydliwym, a transfer zagraniczny owocem zakazanym. Z „Oświadczenia” niesposób też było zorientować się, jakie to grzeszki na sumieniu mieli Gorgoń i Szarmach. Z niewiedzy wyprowadził nas list stałej Czytelniczki „Piłki Nożnej” pani Zofii Mierzyńskiej.

...W dniu 12.VI.1975 wracałam z przyjaciółką z Francji. Do pociągu wsiadła drużyna Górnika Zabrze wracająca z rozgrywek towarzyskich z Valenciennes. Do przedziału zajmowanego przez pasażera francuskiego i przez nas, wkroczyło kilku zawodników wspomnianego klubu. Rozpoznając niektórych sportowców (znanych nam tylko z telewizji lub prasy), byłyśmy usatysfakcjonowane, że ich widzimy i poznamy osobiście. Jednak po 15 minutach pobytu w jednym przedziale rozczarowałyśmy się... Zachowanie niektórych jak by nie było światowej sławy zawodników, było wprost żenujące. Jak przez mgłę mętnie patrzący pan Gorgoń zaczął od małego strip tea-se’u. Co go tam obchodziły siedzące obok jakieś tam

k...., tak właśnie bezceremonialnie wyraził się zawodnik. Na zwróconą uwagę przez kolegów (zupełnie przyjemnych i kulturalnych) zareagował w sposób natychmiastowy, obrzucając ich wiązką wulgarnych słów”...

Po ostatnich sukcesach niektórych piłkarzom wyraźnie poprzewracało się w głowach. Epilog tej sprawy? Trzej zawodnicy Górnika, w tym właśnie dwaj reprezentanci Polski Gorgoń i Szarmach, zostali ukarani dyskwalifikacjami bezwzględnymi (Gorgoń) i w zawieszeniu (Szarmach) oraz skreśleniem z listy członków kadry narodowej. A jednak obaj polecili z Kazimierzem Górskim na tournée do USA i Kanady. Jak to możliwe? Po prostu macierzysty klub obu piłkarzy o tym skandalicznym wydarzeniu powiadomił właściwe organa PZPN dopiero w przeddzień odlotu ekipy za Ocean. Na korekty było już za późno.

Na początku sierpnia ruszyła liga. Nowością był powrót do krajowej elity Widzewa. Postarali się o to prezes Ludwik Sobolewski i trener Leszek Jezierski. Z garstki rozbitków ŁKS-u i innych łódzkich klubów zbudowali drużynę, która z czasem stała się piłkarską wizytówką naszego kraju. Ligowy debiut widzewiacy mieli jednak kiepski, przegrali u siebie z Pogonią Szczecin 0:2. Zapłacili „frycowe”. Grali ambitnie, nawet dość nowocześnie, ofensywnie, ale w rażącej z tym dysproporcji pozostawało doświadczenie i boiskowe obycie. Obiecująco zaprezentował się tylko utalentowany „wymiatacz” Paweł Janas. Trudny sezon przed Widzewem. Kibice byli niepokieszeni...

Nagle, ni stąd ni zowąd, podeszło do mnie dwóch młodych, rosnących i pewnych siebie mężczyzn. Chwycili za ręce i stanowczo wyartykułowali:

– Pan pozwoli z nami, obywatelu...

Nie protestowałem, zresztą każdy opór byłby w tej sytuacji nie na miejscu. Byłem w kleszczach dwóch osiłków. Doprowadzili mnie do

niewątpliwie wyższej rangi funkcjonariusza. Zameldowali: - Zadanie wykonane! Oto redaktor Jerzy Lechowski... Spojrzałem milcząco na uśmiechniętego faceta, ale już po chwili język mi się rozwiązał:

- Julek, to ty?! - Ryknąłem, jak jakiś zwierzak.

- Jurek, to ja Julek! - Uwiesił mi się na szyi kumpel z lat szkolnych, Szarych Szeregów i wspólnej gry w HKS-ie Skierniewice. - Wreszcie cię dorwałem! Musimy to uczcić! Zaraz po meczu...

- Może być z tym mały kłopot - nieśmiało odpowiedziałem. - Nie jestem tu sam... Kierowca, no i trener Górski... Mamy razem wracać do Warszawy.

- No to proś pana Kazimierza. Jest przecież w Łodzi mile widziany. Czy jeszcze trenuje ŁKS? Już dzwonię do kasyna, niech przygotują stolik...

Julian Figat, bo to z jego rozkazu porwali mnie „jacyś dwaj cywile”, do dziś mieszka w długim bloku na przeciwko stadionu Widzewa. To jego ulubiony klub. Także żona Julka pani Helenka, najczęściej przy koniaczku mile wspominała Bońka i Młynarczyka. Nie lubię być dłużny, przeto dość często łodzianie byli również moimi gośćmi. W Brzezinach pod Łodzią właścicielem przytulnej knajpki „Słoneczna” był Jan Kuś, mój dobry znajomy z Warszawy. Po każdym meczu obojętnie ŁKS-u czy Widzewa, w drodze powrotnej z Łodzi do Warszawy zatrzymywaliśmy się właśnie w Brzezinach. Było miło i wesoło. Do domu nikomu się nie spieszyło. Z reguły biesiadowaliśmy do białego rana. „Naturalnej selekcji” nie było. Do towarzystwa wybierałem ludzi z mocną głową.

Nie był to rok dobry dla naszych reprezentacji. Wszystkie, począwszy od juniorów, skończywszy na pierwszym zespole narodowym, wyraźnie kulały. Nie było awansów i medali. Gra kadry A nikogo nie zadowalała.

Drużyna Under – 23 zrobiła wyraźny krok wstecz, Under – 21 też nie napawała optymizmem. Najwięcej rozczarowań przeżyli opiekunowie juniorów. Metody szkoleniowe trenera Mariana Szczechowicza doprowadziły do katastrofy. Nawet Dania, co najwyżej średniak europejski w tej kategorii młodzieżowców, zepchnął naszych chłopców do kąta!

Tu i ówdzie usiłowano tłumaczyć to brakiem szczęścia, pechem, złośliwością losu. Tymczasem o wszystkim decydowało nasze ubóstwo techniczne i jednostronna taktyka. Trenerzy głównie najmłodszych drużyn (w epoce „gry wszystkimi siłami!”) kładli nadmierny nacisk na warianty defensywne i prymitywne formy kontrataku. Szkoleniowe wygodnictwo. Łatwiej przecież jest się bronić, niż atakować, coś zburzyć, niż zbudować, łatwiej też nauczyć kilku szybkich wypadów niż przemyślanego ataku pozycyjnego. Jeśli więc jeszcze dziś, w pierwszych latach XXI wieku stale powtarzamy, że *„z atakiem pozycyjnym w stopniu zadowalającym nie radzi sobie żadna polska drużyna”*, to sięgnijmy do źródeł tej ułomności. Historycznie tkwią w modzie znaczniej części trenerów „na pracę poprzez drogę na skrót”.

Rok Olimpiady w Montrealu miał w znaczący sposób poprawić wizerunek głównie drużyny narodowej. Obrona złotego medalu z Monachium wymagała priorytetu organizacyjnego, szkoleniowego, propagandowego. Ambicje ogromne, determinacja już znacznie mniejsza, a poczucie rzeczywistości i troska o przyszłość reprezentacji – ledwo dostrzegalne. Postanowiono, że ten sam zespół będzie bronił naszych barw w Montrealu i w kolejnych eliminacjach mistrzostwa świata. Pociągnięcie ryzykowne i szkoleniowo nieuzasadnione. Optowałem za powierzeniem tych zadań dwóm odrębnym zespołom – olimpijskiemu w Montrealu i narodowemu w Argentynie. Uznano, że polskie piłkarstwo

na to nie stać. – *A czy jedną i tę samą drużynę stać jest na utrzymanie kilku srok za ogon?* Zbyto to milczeniem.

Na wszystkie pytania, wątpliwości, obawy sceptyków i nadzieje optymistów miały odpowiedzieć już pierwsze miesiące przygotowań do sezonu 1976. Niezbędną wiedzę na ten temat starano się wydobyć od Górskiego w telewizyjnej audycji „**Wszystko za wszystko**”. Kazio znany z uśmiechu, pogodnego podchodzenia do najbardziej drażliwych spraw, tym razem był nie do poznania. Inny, niż zazwyczaj! Mniej dowcipny, raczej ponury, mało energiczny, chwilami uległy, na szczęście tylko do pewnych granic. Atakowano go ostro, pytano bez ogródek, jaki będzie ten Nowy Rok 1976. Jednoznacznej odpowiedzi nie otrzymano. Kamuflaż czy zmiana taktyki? Obojętność czy zmęczenie? Górski tracił zapach?...

Optymistą nadal był przede wszystkim prezes PZPN, Jan Maj. Twierdził, że *„jesteśmy bogatsi o doświadczenia, a to pozwoli lepiej rozwiązywać wszystkie problemy”*. Z pomocą, głównie w sprawach transferowych, PZPN-owi przyszła też Polska Federacja Sportu. W Uchwale nr 7/75 podkreślono, że zmiana barw klubowych może nastąpić zarówno na pisemny wniosek zawodnika jak i decyzji wojewódzkiej federacji sportu lub PZPN w „przypadkach szczególnie uzasadnionych szkoleniowo”. Piłkarz nie może być ukarany dyscyplinarnie po złożeniu wniosku o przejście do innego klubu. To już jakiś krok do przodu, bo wcześniej „przywiązanie zawodnika do klubu” było jeszcze mocniejsze.

Kazimierz Deyna, kapitan Legii i reprezentacji Polski jeszcze nie myślał o zmianie barw, ale chęć pożegnania się z reprezentacją już zasygnalizował. Bardziej po koleżeńsku niż oficjalnie, poinformował mnie o tym ówczesny trener Legii Andrzej Strelau:

– Kazio zamierza zerwać z reprezentacją zaraz po Igrzyskach

Olimpijskich w Montrealu.

Tymczasem w prasie zastanawiano się, czy legioniecie nie należało by powierzyć funkcji libero w reprezentacji. Deyna polskim Beckenbauerem! Podchwyciłem ten temat, uwypuklając wszystkie atuty trzeciego piłkarza świata. Zastrzegłem jednak, że Deyna z 1975 roku nie podołałby takiemu zadaniu. Wprawdzie w meczu z Holandią w Chorzowie był dobrym „wymiataczem” linii pomocy, ale w klubie – z powodu braku sił – coraz rzadziej wykonywał zadania klasycznego środkowego pomocnika. Był raczej „łazikiem” pod bramką przeciwnika z czasów systemu „trzech obrońców”. W nowym sezonie najpierw musi odbudować szeroko pojętą sprawność fizyczną, dawne miejsce w pomocy drużyny klubowej i w reprezentacji. Być libero – to nie jest łatwy chleb! Przekonał się o tym Leszek Ćmikiewicz.

W styczniu 1976 roku powołano zespół przygotowań olimpijskich. Kierownictwo tego ciała powierzono Henrykowi Losce, od niedawna wiceprezesowi PZPN do spraw szkoleniowo-sportowych. Sekretarzem tej komisji był red. Stefan Grzegorzczak. Loska to znana postać w polskim futbolu. Niegdyś na Śląsku sam uprawiał piłkę nożną, później był wziętym działaczem Górnika Zabrze, attache reprezentacji podczas X Mistrzostw Świata w RFN, a teraz szefem sztabu olimpijskiego. Obok wielu zasług i zalet czysto piłkarskich miał (ma?) jedną szczególną – zawsze był moim przyjacielem i wysoko cenił pracę każdego dziennikarza piszącego i mówiącego. Nawet do późnych godzin nocnych lubił pograć w brydża, także w pokera głównie w towarzystwie Ślązaków z kasą dla mnie nieosiągalną. Grywał też ze mną w kariokę, a z Mirkiem Skórzewskim w „numerki”. Obaj zapaleni hazardziści!

Nie było meczu, koleżeńskiego spotkania, konferencji prasowej

lub okazjonalnego toastu, bez żonglowania banknotami. Jeden z nich wyjmował najczęściej „stówkę” z własnej kieszeni, podsuwał pod oczy partnera i zachęcał: „Strzelaj!”. Na każdym banknocie jest siedem cyfr. Heniek najczęściej stawiał na „dwie pierwsze i ostatnią”, natomiast Mirek „pierwsza moja, reszta twoja”. Nigdy nie zaglądałem im do portfeli, ale śmiem twierdzić, że po tych licytacjach dość często u jednego z nich były one puste.

Mirus nakłonił Henia do jeszcze jednego hazardu – gry na służewieckich wyścigach. Tam już najczęściej czekał na nich Janek Ciszewski, bywali też Maciej Biega i Grzegorz Stański. Byli tak zakochani w tych kłusujących konikach, że zwłaszcza w sobotnie popołudnia dość często zapominali o rozgrywkach ligowych. Mnie do tych upodobań przekonać nie mogli. Mecz ligowy był dla mnie rzeczą świętą. Miałem też duszę gracza, ale gustowałem wyłącznie w rozgrywkach zależnych od moich umiejętności. Stawiałem je ponad przypadłości losu i rozwój wypadków ode mnie niezależny. Tu najbardziej różniłem się z filozofią Kazimierza Górskiego. On z gruntu człowiek myślący, fan profesora Tadeusza Kotarbińskiego i jego „Traktatu o dobrej robocie”, niekiedy z własnej nieprzymuszonej woli powiadał, że „los tak chciał”. Ja natomiast nie grałem nawet w totka piłkarskiego. Tu stanowczo za często fingowano wyniki.

W pracy z reprezentacją takie „numery” byłyby niemożliwe. Dlatego chętniej i bez większych obaw typowałem wyniki spotkań międzypaństwowych. Decydowała wiedza o tradycjach, kulturze piłkarskiej danego kraju, umiejętnościach i aktualnej formie kadrowiczów. U nas u schyłku 1975 roku ta forma nie była najlepsza, zmienna, jednak dużo lepsza od „ligowej huśtawki”. Drużyna narodowa jako owa topola –

samotnica wyrosła ponad ligę i całe nasze piłkarskie zaplecze. Kluby nie potrafiły wykorzystać osiągnięć medalistów olimpijskich i mistrzostw świata, a władze PZPN kapitału sławy. Nieprzemysłana reforma z 1973 roku doprowadziła do upadku nie tylko średnie kluby, także niektóre duże i małe. Czy sukcesy reprezentacji długo jeszcze będą alibi dla nieodpowiedzialnych postaw działaczy?

W tekście „**Czego oczekujemy**” postawiłem sporo znaków zapytania. Jak w styczniu pracowano w klubach? Czy kadrowicze na zgrupowanie kadry stawiają się w lepszej formie niż przed rokiem? Trener Górski na tournée do Hiszpanii powołał cały zastęp młodych zawodników. Jak ich przyjmą Deyna, Szarmach, Szymanowski i Żmuda? Przebudowy wymagają niemal wszystkie formacje. Czy reprezentacyjna „starszyzna” dostrzeże tę potrzebę? Czy podczas tej wyprawy w ogóle pojawią się jakieś nowe nazwiska? Przed rokiem odkryciem był Henryk Wawrowski. Teraz wyróżniają się Zbigniew Boniek i Janusz Kupcewicz. Czy to przyszli olimpijczycy?...

Na zgrupowanie kadry do Hiszpanii trener Górski zabrał 18 zawodników. Była to typowa „mieszanka rutyny z młodością”. Pierwsze dwa mecze Polacy wygrali dość łatwo – z Betisem Sewilla 4:1 i z Malagą 2:1, ale trzeci z Deportivo La Coruna przegrali 1:2. Żadnego przedstawiciela prasy tam nie było. Przekazujący informacje z tych spotkań Zbigniew Należyty i Ryszard Kulesza byli zadowoleni. Pochwalili młodych: Zbigniewa Płaszewskiego, Zbigniewa Bońka, Janusza Kupcewicza, Tadeusza Pawłowskiego i Janusza Sybisa, także nieco starszych – Stanisława Burzyńskiego i Pawła Janasa, a ze starej gwardii przede wszystkim Deynę za wspaniałą grę w dwóch pierwszych meczach.

Kadra młodzieżowa poleciała do Kuwejtu. Reklamowano ją tam jako czołową drużynę świata. Zdumiało to miejscowych kibiców, bo Polacy przegrali z Arabami. Nas też mocno to zdziwiło, ale gdy dowiedzieliśmy się, kto tak na prawdę reprezentował tam nasze barwy, złość z piłkarzy przeszła na działaczy PZPN. Bez rozeznania terenu i przeciwnika dobrzy wujkowie z piłkarskiej centrali wysłali do Kuwejtu drużynę klubową GKS Tychy, wzmocnioną kilkoma młodzieżowcami z Pogoni Szczecin i Zagłębia Sosnowiec. Cel? Bardziej polityczny, niż sportowy. Tamtejsza prasa dobrze to wykorzystała: „Piękny prezent na Święto Niepodległości Kuwejtu – trzecia drużyna świata pokonana 3:1”.

Z niesmakiem przyjąłem obie przegrane – tę pierwszą 1:2 w Hiszpanii w dość mocnym składzie i tę drugą 1:3 w Kuwejcie... pospolitego ruszenia. Rozumiem – pisałem – że nie w każdym meczu i nie za wszelką cenę trzeba wygrywać, rzucając przy tym na szalę cały prestiż i zdrowie: „zastaw się, a pokaż się!”. Ale nie wypada też mydlić oczu mocno wyświechtanymi opiniami „*w tym meczu wynik nie był najważniejszy, chodziło głównie o wypróbowanie młodych zawodników i nowych koncepcji taktycznych*”. Istnieją przecież jakieś granice lżejszego traktowania przeciwnika, na miłość boską - kadra narodowa nie może przegrywać z „kelnerami”. Każdy mecz toczy się o jakąś stawkę: szkoleniową, widowiskową, finansową, prestiżową. Jest walką o zwycięstwo! Bałamutne są tłumaczenia większości trenerów: - *Przegraliśmy, ale cel szkoleniowy osiągnęliśmy. Zwycięstwa przyjdą później...*

Trener Kazimierz Górski z reguły unikał takich bzdurnych wypowiedzi. Wiosną 1976 roku musiał szczególnie ważyć słowa. Być w zgodzie z obiektywną prawdą i stojącymi przed nim zadaniami. Drużyna szykowana na Olimpiadę przegrywała bowiem mecz za meczem, najpierw

w Chorzowie z Argentyną 1:2, potem w Lens z Francją 0:2, w Atenach z Grecją 0:1, w Bazylei ze Szwajcarią 1:2, wreszcie w Poznaniu z Irlandią 0:2. Fatalna seria – pięć kolejnych przegranych! Dopiero łatwe 3:0 z amatorami Brazylii przerwało tę złą passę. Jak więc będzie w Montrealu? Przegrywaliśmy, ale cel szkoleniowy osiągnęliśmy... Zwycięstwa przyjdą później?...

Poza meczem z Francją byłem „świadkiem koronnym” wszystkich pozostałych występów „biało-czerwonych”. Obok olimpijskich mistrzów i mundialowych medalistów pojawili się w reprezentacji: Stanisław Burzyński, Paweł Janas, Zbigniew Płaszewski, Wojciech Rudy, Janusz Kupcewicz, Zbigniew Boniek, Jan Benigier, Zygmunt Garłowski, Czesław Boguszewicz, Tadeusz Pawłowski, Roman Ogaza i Piotr Mowlik. Nie wszyscy z nich zdali egzamin, ale były to jednak próby pożyteczne. Wiedzieliśmy po nich na czym stoimy. Górski prosił: – *Bądźmy cierpliwi... Nasz program przygotowań do Igrzysk Olimpijskich spotkał się z uznaniem Polskiej Federacji Sportu.*

– To znaczy?

– Spokojnie, nie jesteśmy bez szans...

– Czy ta obietnica wystarczy?

– Powiem wprost: nasz zespół od pewnego czasu nie robi postępów.

Więcej, gra gorzej, niż na przykład w czasie X Mistrzostw Świata. Mówię o pewnych elementach taktycznych i... wygodnictwie w grze.

– Czyja to wina? Samych zawodników?...

– Szukam przyczyn... Na dziś prawda jest taka, że to, co dotychczas robiliśmy dobrze, teraz tylko dostatecznie. A chciało by się pójść dalej...

– Co więc należy zrobić? Jakie podjąć decyzje?

– Widzę konieczność zmian personalnych w zespole... Starsi

zawodnicy stanowczo za często stosują atak pozycyjny. To dobre, ale tylko wtedy ma szansę powodzenia i jest skuteczne, kiedy po długo trwającej akcji przygotowawczej następuje nagły przerzut. Dziś tego nie ma... Na nic więc i cały atak pozycyjny!...

– A szybki?

– O tym trudno nawet mówić – zginął śmiercią naturalną. Trzeba go przywrócić, bo to była nasza najsilniejsza broń. Wygodnictwo i złe nawyki są nie do przyjęcia w reprezentacji.

– Interesują mnie nowe rozwiązania personalne.

– Proszę, bardzo proszę... Liczę wciąż na Janasa, Rudego, chcę wreszcie przekonać się, co jest wart Boguszewicz, a także myślę o daniu szansy Olszy, Kuście i Ogazie.

– To przyszłość... Czy wróci do bramki Tomaszewski?

– Tak, ale nie tylko on...

Selekcjoner dotrzymał słowa, „Tomek” wrócił do zespołu już w meczach z Grecją i Szwajcarią. Ale tylko on! Większość tuzów z mistrzostw świata dostała kosza...

– Znowu zaskoczyłeś opinię publiczną. W kadrze na Grecję i Szwajcarię nie ma: Gorgonia, Deyny, Kasperczaka, Szarmacha... Przemyślałeś tę decyzję?

– Są na pewno ryzykowne... Czy je przemyślałem?... Tak! I to bardzo... Ale samo myślenie tu nie wystarcza. Każde nowe rozwiązanie, każdy nowy wariant trzeba sprawdzić na boisku.

– Opinia publiczna przyjęła tę „kurację wstrząsającą” z aprobatą. Dlaczego?...

– Bo to była decyzja nie tylko ryzykowna, ale i konieczna. Reprezentacja osiągnęła taki krytyczny punkt, że innego wyjścia jak ostre

cięcie, nie było. Pozbyłem się asów z reprezentacji nie dla przykładu, doraźnego efektu, ale dla dobra sprawy. Dla reprezentacji... Ostatnio atmosfera wokół nie była najlepsza...

– Masz pretensje do zawodników?

– Nie, nie mam. Mogę mieć tylko pretensje do samego siebie, że ich tak długo powoływałem do reprezentacji.

– To kwestia zaufania...

– Tak, ale nie tylko. To także przyzwyczajenie, przejaw sentymentu. Człowiek czasem zapomina, że złoty medal olimpijski i srebrny na mistrzostwach świata, to już historia. W sporcie liczy się tylko dzień dzisiejszy i najbliższa przyszłość.

– Nie jest różowo. W lidze grają słabo zarówno ci starsi zawodnicy, z piękną kartą w historii, jak i ci młodzi, którzy dopiero będą ją pisać...

– Niestety, to prawda. Niepokojące zjawisko. Nie wiem nawet, na co faktycznie stać jednych i drugich. To martwi i boli najbardziej. Nie chcą czy nie mogą?

– Chyba jedno i drugie – wtrącam uspokajająco.

– I ja tego nie wykluczam, jednak stale się zastanawiam, jak można tak beztrwosko roztrwaniać ciężko wywalczony dorobek. Zawodnik nie gra tylko dla siebie i nie reprezentuje wyłącznie własnego nazwiska. Reprezentacja – to drużyna narodowa, ma barwy państwowe, jest dumą całego kraju. Kto o tym zapomina, nie będzie akceptowany przez społeczeństwo.

– Czy już wszyscy „wygodniczy” są poza kadrą?

– Nie, w zespole, z którym udajemy się do Grecji i Szwajcarii, jest jeszcze kilku takich zawodników.

– Generalnie zaufałeś młodym...

– Nie zaufałem, tylko daję im szansę. Praktyka pokaże, czy miałem rację...

NIEWYPAŁ POD AKROPOLEM

Była to moja ostatnia rozmowa z Kazimierzem Górskim przed odlotem do Aten. Ponownie spotkaliśmy się na zbiórce ekipy w hotelu „Metropol” w Warszawie. Rutyniarze z pełnym spokojem i zrozumieniem przyjęli „ostre cięcia” w kadrze. Nie gardłują. Młodzi nie dają po sobie poznać, że może ich zżerać trema lub obawa, że mistrzowie źle ich potraktują. Czy jednak zebrani z „marszu” podołają reprezentacyjnemu wyzwaniu. Nastrój powagi. Nawet Jan Tomaszewski rzadko dowcipkuje. Z lekkiego odrętwienia wyrywa kadrowiczów selekcjoner:

– Kto ma „trefne” przedmioty lub nadmiar dewiz niech to wszystko da mnie. Przechowam, bo na Okęciu mogą być kłopoty. Ja sobie poradzę...

Nie bez obaw wsiadłem do samolotu. Znowu tyły? Wiceprezes PZPN Henryk Loska przysiadł się do mnie i wspólnie – tak trochę dla zabawy, bo o wszystkim decydował trener – ustaliliśmy skład drużyny, taktykę na Greków i zadania dla poszczególnych zawodników. Nawet do kart nas nie ciągnęło, tylko ten mecz mieliśmy w głowie. Czekala nas trudna przeprawa. Zawodnicy spokojni, rozluźnieni, nie spięci. Zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności, ale publicznie tego nie okazywali. Powoli pewność siebie odzyskiwał Tomaszewski, podtrzymywał kolegów na duchu Szymanowski. Pod nieobecność Deyny trener Górski właśnie Antkowi powierzył funkcję kapitana drużyny.

Na papierze rozegrałem już z Loską mecz z Grekami, wychodził nam remis. Śródlądowanie w Genewie.

– To gdzie my właściwie lecimy, do Madrytu czy do Aten? – zdziwił się „Tomek”.

– Do Aten – odpowiedziała stewardesa – ale przez Genewę i przekazała Jankowi szczegółową informację o trasie lotu.

Jesteśmy znowu w samolocie. Trener Górski z pięknym bukietem kwiatów, które osobiście wręczył mu kapitan załogi pan Cieślikowski. Zawodnicy rozdają autografy, pasażerowie wierzą, że pan Kazimierz zdoła przywrócić reprezentacji jej dawny blask. Ożywia się także wiceprezes Loska:

– „Tomek”, masz karty? Zagramy w brydża...

– Ja, jak żołnierz na posterunku! – wykrzykuje bramkarz. – Zawsze wiozę w torbie odpowiednią broń. Ale komu tak spieszo do egzekucji?... Ja gram w parze z Leszkiem Ćmikiewiczem. Wypłata tylko w dewizach...

Ateny powitały nas deszczem. Ekipa jest już poważnie zmęczona. Starsi zawodnicy ziewają.

– Na sen przyjdzie czas – oburza się trener. – Zaraz po złożeniu bagaży robimy mały rozruch! Pół godzinki, koledzy... Poprowadzi trener Kulesza. Dopiero po tym kąpiel, kolacyjka i... będziecie spać jak susły! Panie Rysiu, jaki dziś będzie: gruziński, jugosłowiański czy polski?...

– Ma pan na myśli koniak? – podchwycił ktoś z boku.

– Jaki koniak?! – oburzył się Górski. – Pytam o markę zestawu ćwiczeń. Pan Rysio zna ich sporo... Nauczył się na licznych kursach zagranicznych. Ostatnio coś podpatrzył u Miljanicia...

Jesteśmy już dwa dni w Atenach, ale jeszcze nie wiemy, kiedy odbędzie się mecz, w środę czy w czwartek...

– Kto tam znowu coś kombinuje – złości się selekcjoner.

– Siła wyższa! – Wyjaśnia Edward Pietrzak z biura radcy handlowego.

– W wypadku samochodowym zginął członek greckiego parlamentu Alekos Panagulis. Trwa dochodzenie. Rodzina denata twierdzi, że to było z góry zaplanowane morderstwo polityczne. Stąd to zamieszanie...

– Piszą o tym w gazetach? Do nas nie doszły...

– To zrozumiałe – mówi radca. – W Atenach strajkuje teraz prasa. Tu niemal zawsze ktoś strajkuje. Nawet nauczyciele, lekarze, pielęgniarki...

Ostatecznie mecz odbył się w czwartek. Dla nas żadna pociecha, znowu przegraliśmy i znowu napastnicy nie strzelili bramki. Nie było w zespole indywidualności. Dobrze grał tylko Tomaszewski, niezłe - ale tylko przed przerwą - Ćmikiewicz, poprawnie Wojciech Rudy i to wszystko. Dziwiłem się zwłaszcza, jakim cudem w reprezentacji znalazł się Zbigniew Hnatio. W kraju mówiono o nim – to „gladiator”, tu w Atenach był skazany wyłącznie na pożarcie. Na mecz ze Szwajcarią ściągnięto z kraju posiłki. W Bazylei zameldowali się: Paweł Janas i Zbigniew Boniek z Widzewa oraz Władysław Żmuda ze Śląska Wrocław. Zagraliśmy w mocno zmienionym składzie. Niewiele to pomogło, znowu niewypał, przegrana 1:2. Gorzej już nie można!

Tak właśnie oceniłem dwie przegrane naszej reprezentacji w Atenach i Bazylei. Zupełnie inaczej widzieli to Grecy: działacze, dziennikarze, kibice. Zazwyczaj na towarzyskie mecze międzypaństwowe na stadion Panathinaikosu przychodzi 12-15 tysięcy widzów, natomiast na spotkanie z Polską sprzedano ponad 30 tysięcy biletów. Pełna kasa Greckiego Związku Piłki Nożnej! Nic więc dziwnego, że organizatorzy spełniali każde nasze życzenie, byli nadwyraz sympatyczni i gościnni, a prasa wprost piała z zachwytu. – *„Nawet mistrz świata RFN tak dobrze nie zaprezentował się w Atenach”*. Także uliczni (i nie tylko) sprzedawcy na widok dresów z napisem „Polska” wykrzykiwali na cały głos: – *„Wszystko*

dziś dla was gratis!” Spryciarze, ale nie trudno było ich rozszyfrować. Gloryfikowanie przegranych należało rozumieć jako swoisty hymn pochwalny pod adresem zwycięzców. Grecy lepsi od medalistów mistrzostw świata!

Nie traktowaliśmy tych pochwał poważnie, ale chętnie korzystaliśmy z uprzejmości gospodarzy. Oferta była wyjątkowo duża i nęcąca. Dzięki temu część ekipy zwiedziła port w Pireusie i zanurzyła się w morskich falach, nieco mniejsza grupka wspięła się na Akropol, a byli też tacy (niewątpliwie obeznani z historią starożytną), którym zamarzyła się wyprawa do Delf. Może tam, mityczna wieszczka Apollina, Pytia i nam wywróży, co nas czeka na Olimpiadzie w Montrealu. Bo na razie tylko trwonimy uznanie i sławę zdobyte w Monachium.

Nad Akropolem przelatuje samolot. Drżą mury Partenonu, świątyni boskiej Ateny. Tak to współczesność, jej zdobycze i technika starają się zetrzeć i zagłuszyć echa starożytności. Zwiedzamy Narodowe Muzeum Archeologiczne. Płaskorzeźby, freski, posągi. Niektórzy członkowie ekipy po raz pierwszy słyszą imiona i nazwiska: Zeus, Hera, Afrodyta, Artemida, Perykles, Fidiasz. Dowiadują się, że Leonidas wstawił się w bitwie pod Termopilami, a Miltiades po morderczym biegu z Maratonu do Aten przyniósł rodakom radosną wieść: - **Persowie pokonani!...** Zwycięstwo! Padł z wyczerpania. Już nie żył... Taka jest historia biegu maratońskiego.

Dotarło to wszystko do naszych reprezentantów akurat wtedy, kiedy na Węgrzech w książce Antala Vegha „**Dlaczego węgierska piłka nożna jest chora?**”, obok wielu innych przyczyn tego stanu, można było przeczytać o zupełnej obojętności tamtejszych piłkarzy wobec historii, tradycji, zdobyczy kultury, nauki i sztuki. Przykry zbiór wad o szerokim

zasięgu ogólnoludzkim. Na Węgrzech w czasach Floriana Alberta, talentu na miarę światową, pojawiły się też elementy lekceważenia, nawet przekreślenia wcześniejszych, niewątpliwie dużych dokonań Kocsisa, Hidegkutiego i Puskasa.

– Pamięć obecnych futbolistów o straconej popularności – pisał Vegh – żyje nadal, ale wyłącznie w kabaretach... Dziś każdy zawodnik tyle tylko daje z siebie na boisku, ile z tego wysiłku będzie mógł zyskać w formie forintów... Zawodowstwo czy amatorstwo? Wzajemnie się tu oszukujemy. Działacze okłamują piłkarzy przed meczem, a piłkarze działaczy, trenerów i publiczność – na boisku. Trzeba to koło, w którym nie ma miejsca na inne wartości, przerwać! Niech nawet będzie futbol słabszy od dzisiejszego, ale niech będzie czysty...

W połowie lat siedemdziesiątych nasze piłkarstwo też trapiły przeróżne dolegliwości, ale o tak mocno zaawansowanej chorobie jak na Węgrzech, jeszcze nie można było mówić. Nasi reprezentanci nie zatracili wrażliwości na piękno i spuściznę twórców europejskiej kultury, znacznie większa była też skala ich sportowych ambicji. W Atenach, kolebce nowożytnych Igrzysk Olimpijskich, a właściwie w Parnis imponującym nowoczesnym greckim ośrodku sportowym, z niepokojem mówiliśmy również o tym, co czeka naszych piłkarzy w Montrealu.

– Jak to co? – zachnął się pozujący na trybuna ludu, Jan Tomaszewski. – Przegrywamy teraz mniej ważne bitwy, ale mogę zapewnić w imieniu kolegów, że wygramy wojnę. Z Olimpiady z pustymi rękami nie wrócimy!

Już to, choć w nieco innej formie, słyszałem. Na razie nie było powodów do optymizmu. Opinię „Tomka” w pełni podzielał tylko trener Antoni Brzeżańczyk. Przyleciał z Rotterdamu, w Grecji załatwiał sprawy osobiste. Aby poprawić humor Górskiemu, a mnie nieco stępić pióro,

nie szczędził grosza na szampańskie spektakle w ateńskich tawernach. Grała orkiestra, ktoś tańczył Zorbę, a kelnerzy z hukiem otwierali butelki. Szampan lał się strumieniami. Na kamiennych podłogach tworzyły się musujące kałuże, można było zdjąć buty i moczyć nogi w tym szlachetnym trunku. Antkowi udało się nakarmić nas nadzieją, ale w Bazylei przekonaliśmy się, że naprawdę jest ona „matką głupich”. Nie pomogło wsparcie Bońka, Janasa i Żmudy, „biało-czerwoni” znowu przegrali. Fatalny serial – piąta z kolei porażka. Paweł Janas i Władek Żmuda jednak pozytywnie wpłynęli na postawę bloku obronnego, a Zbyszek Boniek zdobył honorową bramkę. Pierwszą w drużynie narodowej...

W Bazylei zebrało się spore grono entuzjastów podróży krajoznawczych i amatorów hazardowych gier w karty. Większość i tu stanowili reprezentacyjni piłkarze, ale wśród tzw. „osób towarzyszących” też było kilku chętnych do pozornie niewinnej zabawy w pokierka. Rzeczywiście, zaczęło się od stawki nie przekraczającej jednego franka szwajcarskiego, ale skończyło się na puli sięgającej tysiąca helweckiej waluty. Dziś dla naszych „zachodnich zawodowców” było by to „małe piwo”, jednak wtedy nie tylko dla przeciętnego obywatela z za „żelaznej kurtyny” były to sumy znaczące. Beneficjentem tej gry pięcioma kartami był tylko jeden z nas, Miruś Skórzewski „wyszedł na swoje”, a z pustymi portfelami odeszli od stołu Włodzimierz Żróbik z Polskiej Agencji Prasowej i Gustaw „Gucio” Górecki z COS-u. Zapożyczył się u kibicującego reprezentacji bliżej nieznanemu mi „maharadży”. Bezinteresownie?

Tego nie wiem, w każdym razie wobec zwycięzcy „Gucio” zachował się honorowo. Spłacił dług już w czasie wycieczki parostatkiem po

Renie w trójkącie przygranicznym Szwajcarii z Francją i Niemcami. Wyraźnie nadrabiał przy tym miną, demonstracyjnie paląc jedno cygaro za drugim i delektując się - mówił, że to wyniósł ze Lwowa – jedną „gilazją” piwa za drugą. Po powrocie do hotelu zasnął, natomiast znaczna część kadrowiczów (trener Górski też odpoczywał) ukradkiem wybrała się do kina i z wypiekami na twarzy oglądała (wtedy mówiono, że to pornograficzny) film „Emmanuelle II”. Dyplomatycznie przemilczałem ten fakt. A były momenty erotyczne, oj były...

W Szwajcarii Boniek nie grał olśniewająco, ale na tle pozostałych zawodników sprawiał dobre wrażenie i wydawał się być pewnym kandydatem do ekipy olimpijskiej. Miałem słabość do tego zawodnika. Przed Ogólnopolską Spartakiadą Młodzieży w 1973 roku stawiałem go w grupie największych talentów obok Janusza Kupcewicza, Stanisława Terleckiego i Henryka Miłoszewicza. Ale w Krakowie Bońka nie było. Zapytałem więc trenera koordynatora Bydgoskiego OZPN Kazimierza Gurtatowskiego, co się z nim dzieje. Usłyszałem, że ma kłopoty. Jakie i dlaczego? Postanowiłem to wyjaśnić. W zbiorowej publikacji **„Strzał w dziesiątkę”** opisał to red. Paweł Smaczny:

...Pracowałem wówczas w dziale sportowym „Sztandaru Młodych”. Któregoś dnia zadzwonił telefon. Odezwał się Jerzy Lechowski i zaprosił mnie na Wawelską do swej redakcji. Pojechałem chętnie, ale przyznaję, miałem tremę, bowiem kontakt z „Piłką Nożną” traktowałem jako pewnego rodzaju zawodową nobilitację. Lechowski postawił sprawę jasno:

– „Pan podobno pochodzi z Bydgoszczy – rozpoczął. – Czy nie zechciałby pojechać nad Brdę w pewnej delikatnej sprawie. Gra tam w piłkę niezwykle uzdolniony chłopak... Trzeba zrobić wszystko, by grał

w nią nadal. Szkopuł w tym, że jest zdyskwalifikowany... A niebawem kolejny turniej UEFA, eliminacje już trwają. Było by dobrze, gdyby zagrał w Szwecji, najpierw także w tych eliminacjach. Powiem panu jeszcze tyle, że ten chłopiec nazywa się Zbigniew Boniek.

Reszty nie trzeba było mi wyjaśniać. Wiedziałem w czym rzecz. Otóż w półfinałach mistrzostw Polski juniorów, rozgrywanych w Szczecinku, młodzi piłkarze Zawiszy mieli wielką szansę na zakwalifikowanie się do finałów. Innego zdania był jednak sędzia, wypaczył wynik meczu z Górnikiem Wałbrzych. Dostało mu się za swoje. Wśród tych, którzy za niewyparzone języki zobaczyli czerwone kartki, był Boniek. Konrad Kamiński, wychowawca i pierwszy nauczyciel Zbyszka, także Miłoszewicza i wielu innych, przyznał rację sędziemu. Skomplikowana sprawa. Jak więc to wszystko ugryźć? Stać Bońka na wiele i trzeba mu pomóc, bo rzeczywiście może zajść daleko.

– Miał Zbyszek w sobie coś, co wyróżniało go spośród rówieśników – powiedział trener Kazimierz Gurtatowski. – Co? Przede wszystkim był do przesady ambitny. Nikt z jego kolegów nie odważyłby się zakpić z jego płowej czupryny... Tak rodził się lider zespołu, nie znoszący sprzeciwu... Lepszym od siebie chciał jak najszybciej dorównać.

...W Ystad, w maju 1974 roku – to znowu wspomina Paweł Smaczny – Zbigniew Boniek zagrał w turnieju UEFA. Gdy nasza ekipa, nie odnosząc sukcesu, wracała przedwcześnie do domu, podszedł do mnie i podziękował za obronę jego osoby w „Piłce Nożnej” w artykule „*Pokrzywy nad Brdą*”. Uznałem to za miły gest, ale powiedziałem Zbyszce, że równie dobrze za to, że nie zniknął z pola widzenia może dziękować redaktorowi Lechowskiemu. Dodałem przy tym, że to dopiero początek drogi. Ważne teraz, żeby nie zawiódł pana Konrada i ludzi mu

życzliwych...

Boniek, moim zdaniem, jako piłkarz nie zawiódł nigdy i nikogo. Po raz pierwszy zagrał w reprezentacji w Chorzowie w przegranym towarzyskim meczu z Argentyną, ale ani przez chwilę nie okazywał tam debiutanckiej tremy. Nawet na ignorantach wywarł dobre wrażenie, lepsze niż mój ulubieniec Janusz Kupcewicz. Po meczu ze Szwajcarią w Bazylei, gdzie strzelił pierwszą bramkę dla „biało-czerwonych”, był obok Leszka Ćmikiewicza jaśniejszym ogniwem w drugiej linii. Tylko oni dwaj starali się potwierdzać fakt tak oczywisty, że gra w pomocy jest nie tylko zaszczytem lecz przede wszystkim zadaniem bardzo odpowiedzialnym. To właśnie po spotkaniu w Bazylei Grzegorz Lato zwierzył mi się, nie bez żalu i lekkiego oburzenia:

...Mówi się i pisze, że ja i moi koledzy z napadu gramy za mało skutecznie. To prawda. Ale czy wie pan, redaktorze, dlaczego? Od dłuższego czasu jesteśmy zdani tylko na własne siły. Nie mamy pomocy... Tak dobrej, jak na mistrzostwach świata w RFN. Grali tam nie wyrobownicy lecz dwaj artyści – Henio Kasperczak i Zyga Maszczyk oraz jeden – wielki wirtuoz – Kazio Deyna. A przecież już nie raz pisał pan: *„Pokaż mi drugą linię, a powiem ci, jaką masz drużynę...”*.

Być pomocnikiem, to znaczy umieć grać w obronie i ataku. Już w tamtych czasach do wykonywania zbliżonych zadań skłaniano również obrońców. Nie bardzo zgadzał się z takim stawieniem sprawy Antek Szymanowski. On najchętniej widziałby to w wymiarze tradycyjnym – obrońca przede wszystkim broni, zaś napastnik atakuje. Tak też odniósł się do postawy tych formacji w Bazylei. Moja wizja była inna, więc mocno się starliśmy. Nie kwestionowałem podstawowych kanonów tej teorii, znanej zresztą od dziesiątków lat. Przekonywałem jednak Antosia, że

współczesny futbol wymaga od zawodników większej wszechstronności, znacznie wykraczającej poza tradycyjną technikę i taktykę pozycyjną.

Pięć kolejno przegranych spotkań międzypaństwowych jeszcze raz skłoniło mnie do wskazania źródeł niepowodzeń. Jednoznacznie wyraziłem to w publikacji: „*Patrzę na reprezentację, widzę kluby*”. U nas nigdy jednocześnie dobrze nie grały kluby i zespoły reprezentacyjne. Raz jedne, raz drugie zbierały oklaski. Teraz zbierają cięgi. Co się stało? Kto winien? Zmęczyli się zawodnicy, trenerzy, działacze? A może już wszyscy razem mają dość tej stałej pogoni za sukcesami? Może poszukują „wygodniejszego” życia? A może brak nam dobrych trenerów w klubach i związku z tym także zawodników na potrzeby reprezentacji?

Tych „może” było znacznie więcej, tylko co zmieniło by to tuż przed Montrealem? Czy nasilająca się krytyka nagle odrodziłaby reprezentację na miarę naszych ambicji i niedawnej tradycji? Pogłębiający się zanik wiedzy techniczno-taktycznej: wślizgów, dryblingu, zwodów, celnych strzałów stał się łatwo dostrzegalny. Dziwić musiał także potęgujący się wstręt do pressingu i szybkiego ataku, zupełna bezradność na „pułapki ofsajdowe” przeciwnika i spóźnione reakcje przy stałych fragmentach gry. Starsi stażem zawodnicy byli bez formy, a młodszy po prostu niedouczeni. Tu należało szukać odpowiedzi za długą serię niepowodzeń. Wątpliwości nie ustawały. Już wszystko stracone czy jeszcze część tych mankamentów da się naprawić na zgrupowaniach kadry?

Nie było takiej pewności. Kadrowicze tracili motywację, poszukiwali demobilizujących usprawiedliwień. Po co się męczyć, dbać o formę, doskonalić taktycznie, skoro skład ekipy na Montreal jest już praktycznie ustalony. Za zasługi pojedą tam rutyniarze, młodzież zostanie w domu. Nie ma więc potrzeby walki za wszelką cenę. Klamka zapadła. W naszej

redakcji przyjmowano te kapitulanicke głosy z oburzeniem. Przestać czarować! -Umiemy odróżnić ziarno od plewy! Dobrego kandydata do reprezentacji od patałacha! Od ostatecznych nominacji jest trener Górski, on najlepiej wie, co „w trawie piszczy”. Zresztą, od dna łatwiej się odbić...

SĄD NAD „SREBRNĄ DRUŻYNĄ”

„Co dalej reprezentacja?”... Sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna. Dziennikarz powinien być optymistą i... mieć w sobie coś z wizjonera. Najważniejsze – nie być wazeliniarzem i mieć oczy szeroko otwarte. W środowisku nadal piano z zachwytem nad przyszłością „srebrnej drużyny”, moi koledzy z „Piłki Nożnej” i ja nieco inaczej to widzieliśmy. Miałem z tego powodu kilka kolejnych słownych starć z „obraźalskim” Antkiem Szymanowskim i stale coś burczącym pod nosem Jerzym Gorgoniem, a red. Zygmunt Lenkiewicz za ukazanie prawdy i tylko prawdy o wyskokach Mirka Bulzackiego został pozwany na salę sądową. W tej sprawie też byłem „świadkiem koronnym”. Ostatecznie strony – myślę, że moja rola była tu znacząca – podały sobie ręce. Zgoda buduje. Odwrót reprezentacji jednak postępował.

Czytelnikom należało wyjaśnić, kiedy to wszystko się zaczęło. Na samo dno reprezentacja spadła po przegranej z Irlandią 0:2 w Poznaniu. Diagnoza łatwa do postawienia. Znacznie trudniej było wskazać początki kryzysu. Czy zło zaczęło się już wówczas, kiedy młodych ludzi w karykaturalny sposób obsypywano zaszczytami? A może wtedy, gdy w porę nie zareagowano na antysportowe zachowanie Gorgonia i Szarmacha i zgodzono się na ich wyjazd do USA i Kanady? Nie bez wpływu na złą atmosferę wokół piłkarstwa był też jawny handel ligowymi

punktami. Oliwy do ognia dołąły boiskowe utarczki zawodnika Deyny z sędzią piłkarskim Suchankiem. Wiele do życzenia pozostawiała praca szkoleniowa w klubach. Wreszcie może trener Górski też już miał tego wszystkiego dość?...

Historia nieco ułatwiła odpowiedź na pytanie „**Co dalej reprezentacja?**... Podobne dno, jak przed Montrealem, przeżywaliśmy już dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy w roku 1956 przegraliśmy u siebie z NRD 0:2, a drugi w 1965 z Finlandią w Helsinkach. I nagle – po tych dwóch niewypałach – wszystko odżyło. Najpierw jesienią 1957 roku w Chorzowie Polska pokonała ZSRR 2:1, a wkrótce po fatalnej wpadce z Finami, na Hampden Park w Glasgow wygrała ze Szkocją 2:1. Czy możliwa jest „powtórka z historii?”... Nie ma sytuacji bez wyjścia. Trzeba znaleźć w reprezentacji miejsce zarówno dla niektórych przyblakłych gwiazdorów, jak i – z konieczności – dziś dominujących w niej przeciętników. Jak postąpi Górski?

Tymczasem selekcjoner był gościem honorowym na uroczystości XX-lecia istnienia „Piłki Nożnej”. Zaczynała w roku 1956 od miesięcznika redagowanego wyłącznie na wewnętrzne potrzeby PZPN, potem była czasopismem dostępnym również w publicznej sprzedaży, a od marca 1973 jest tygodnikiem. Kazimierz Górski był blisko jubilata od początku. Najpierw jako współtwórca „organu PZPN” i trener piszący, a potem stały gość redakcji. Wraz z nim – z powodzeniem można tu użyć parafrazy modnego wtedy sloganu – „*Reprezentacja rosła w siłę, a tygodnikowi żyło się dostatniej*”. Górski jak diabeł święconej wody, unikał towarzystwa kobiet. Na jubileuszu „Piłki Nożnej” był jednak wobec płci pięknej wyrozumiały i jak zawsze elegancki. Fotoreporter Tomasz Prażmowski utrwalił ten niezwykły moment na zdjęciu: - **On jeden wśród pięciu pań.**

Powiadają, że „na bezrybiu i rak ryba”. Złośliwcy tak właśnie skomentowali wywalczenie w roku 1976 mistrzostwa Polski przez Stal Mielec. To nieuzasadnione porównanie, bo był to sukces zasłużony. Ton w tym klubie wciąż nadawali reprezentanci Polski: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczyk, Jan Domarski i Grzegorz Lato. Usiłował im dorównać Zbigniew Hnatio, rzucając na szalę ambicję i siłę. Koledzy, nawet trenerzy, wciąż nazywali go „gladiatorem”. On nie grał, on walczył na boisku! Urokowi takiej postawy uległ także selekcjoner, powołał Hnatię na mecz z Grecją w Atenach. Mocno to Kaziowi wytknąłem. Echa tej różnicy zdań odżyły na spotkaniu trenera z kibicami na zamku w Golubiu-Dobrzyniu. Zapytano tam Górskiego, dlaczego taką właśnie podjął decyzję. Trener się tylko uśmiechnął i poprosił, bym go wyręczył w odpowiedzi.

Takim postawieniem sprawy mocno się ubawiłem, ale starałem się zadowolić racje pytających i pytanego:

– No cóż, ha, ha, ha! – Nawet „mistrzowie selekcji” mogą się mylić. W naszej zwariowanej lidze obiektywna ocena graczy jest wyjątkowo trudna. Nie spełnia swoich podstawowych funkcji. Kryzys jest widoczny. O ile jednak w sezonie 1974/1975 rangę ligi obniżają głównie nicość moralna, o tyle w roku olimpijskim sprawia to wyraźny regres w szkoleniu. Zawodzą najwybitniejsi zawodnicy. W tej sytuacji trener Górski postawił na „gladiatora”. Ale i on prochu nie wymyślił...

Praca szkoleniowa w naszych klubach, może właśnie poza Stalą Mielec, gdzie pracował Edmund Zientara, z reguły nie zaspokajała potrzeb reprezentacji. W przededniu odlotu na Olimpiadę w Montrealu kulą najmocniej. Nawet zazwyczaj przychylny klubom Kazimierz Górski zaczął miewać wątpliwości i... niespokojne sny. Bolało go, że starsi

i niewątpliwie zasłużeni zawodnicy przeraźliwie szybko spuścili z tonu, a ich młodzi następcy za wolno robią postępy. W tej sytuacji selekcjoner zaufał niedawnym mistrzom. Utalentowani: Paweł Janas, Zbigniew Boniek, Janusz Kupcewicz, Marek Kusto, Zdzisław Kapka i Tadeusz Pawłowski zostali więc w domu. Zbigniew Boniek z nieukrywanym żalem przyjął decyzję Górskiego. W odpowiedzi usłyszał: - „*Jesteś tak młody, że jeszcze niejedną Olimpiadę zaliczysz*”. Nie zaliczył. Ma w dorobku liczne trofea klubowe i reprezentacyjne, krajowe i zagraniczne, ale medalu olimpijskiego - nie. Zadra w sercu kłuje do dziś. Być olimpijczykiem – to zaszczyt największy! Boniek tego smaku nie zna...

Jednak współczuć należało przede wszystkim Górskiemu. Czas już nie był jego sprzymierzeńcem. Nie miał takich możliwości manewru jak przed Monachium '72 i Weltmeisterschaft ' 74. Wtedy jego wybrańcy dopiero wspinali się na piłkarskie szczyty i byli głodni sukcesów, teraz zaczęły przeważać u nich skłonności do wygodnego życia. Byli młodzi, błędzili. Bierność i pobłażliwość zwłaszcza działaczy klubowych była tu przerażająca. Trenerzy też nie byli bez grzechu, nie egzekwowali podstawowych zadań szkoleniowych. Tolerowali wygodnictwo zawodników. Między innymi dlatego nasz „wślizg” i nasz „pressing” wciąż był w stanie embrionalnym. Tylko w Mielcu w stopniu dostatecznym zmuszał do wysiłku Edmund Zientara.

Siedemnastoosobowa kadra olimpijska z nowicjuszami Piotrem Mowlikiem, Wojciechem Rudym, Henrykiem Wawrowskim, Romanem Ogazą i Janem Benigierem szlifowała formę w Zakopanem. Pracowano w miarę solidnie, ale zapału z 1972 i 1974 nie było widać. Ostatnim sprawdzianem przed odlotem za Ocean było towarzyskie spotkanie z amatorską reprezentacją Brazylii. Z taką drużyną przegrać nie wypadało,

przyszło więc pierwsze zwycięstwo w 1976 roku. Powodów do zachwytu było jednak niewiele. Poziom i styl gry „biało-czerwonych” wciąż nie był olimpijski. Przy całej skromności i pewnej dozie asekuracji jednak widzieliśmy Polaków w ścisłym gronie faworytów.

Były to Igrzyska niespodzianek. Dla nas zaczęły się fatalnie – od bezbramkowego remisu z Kubą. Tylko rwać włosy z głowy! Jedenastu członków „srebrnej drużyny” z X Mistrzostw Świata z trudem ratuje jeden punkt w meczu z przeciwnikiem, który nigdy nie był potęgą w futbolu. Co nas czeka w pojedynku z Iranem? Trzeciego spotkania w grupie C nie będzie, bo Nigeria – na znak protestu – wycofała się z Igrzysk. Motywy? Wyłącznie polityczne. Konkretnie: Ghana, Nigeria i Zambia potępiły Nową Zelandię za utrzymywanie kontaktów sportowych z rasistowską wówczas Republiką Południowej Afryki. Zatem turniej kadłubowy. W Monachium strzały terrorystów z organizacji „czarny wrzesień”, w Montrealu protest Czarnego Łądu. To się kłóci z ideą olimpizmu.

Redakcja „Piłki Nożnej” nie miała w Montrealu własnego wysłannika. Znowu „z powodu braku dewiz”, ale chyba też z braku „woli politycznej”. Naszym sprawozdawcą był Witold Dłużniak, były wiceprezes PZPN związany z „białym domem”. Nie za bardzo wiedział, dlaczego nasi grają słabo. Zrzucił więc całą nieporadność na brak dostatecznej aklimatyzacji, ale apelował, by nie tracić nadziei. Rzeczywiście, po wygranej w grupie eliminacyjnej z Iranem 2:1, w ćwierćfinale przyszło wysokie zwycięstwo nad przestraszoną Koreą Północną 5:0. Wreszcie w półfinale wygrana z Brazylią 2:0 i... decydujący pojedynek o złoto z drużyną NRD. Przeciwnik był wyraźnie lepszy i wygrał 3:1. Nieco pomógł mu brak w naszym zespole niedysponowanego Jerzego Gorgonia i śpiąca postawa Jana Tomaszewskiego.

Srebrny medal olimpijski, to też niecodzienne osiągnięcie, ale tym razem nie zadowoliło ono opinii publicznej. Fanfar nie było. Nawet król strzelców Andrzej Szarmach miał na Okęciu skromne powitanie. Przeważały głosy niezadowolenia i wizja „końca pewnej epoki”. Trzeba było odpowiedzieć na pytanie: „*Co po Montrealu?*”... Kadra dobrze grających zawodników topniała w zastraszającym tempie. Trener Górski nie ma już entuzjazmu beniaminka, myśli o spokojniejszej pracy. Zresztą już przed Olimpiadą nie miał odpowiedniego wsparcia ze strony młodszych trenerów. Jacek Gmoch i Andrzej Strejlau już od roku nie pracowali w PZPN. Rozpad zasłużonego sztabu szkoleniowego. Ryszard Kulesza jeden z możliwych następców Górskiego coraz wyraźniej był spychany na boczny tor. Rozpłynął się gdzieś przyjazny dotychczas klimat wokół reprezentacji. Górski zapowiedział rozstanie z PZPN.

Polityka kadrowa w pracy z drużyną narodową już od dłuższego czasu była zła. Nie zadbano o wykreowanie pełnowartościowych następców. Jedną i tą samą drużyną trzymano trzy sroki za ogon: Igrzyska Olimpijskie, mistrzostwa Europy i mistrzostwa świata. To ponad ludzkie siły. Był pomysł, aby w Montrealu dać szansę nieco młodszym zawodnikom, mniej dotychczas znanym, ale obiecującym i jeszcze piłkarsko nie wyeksploatowanym. Łaknącym sukcesu! Uznano to jednak za złe rozwiązanie. Zwyciężył pogląd, że tylko doświadczony zespół może obronić złoty medal olimpijski. Nie obronił. Zaprzepaszczono przy tym szansę sprawdzenia w trudnej walce potencjalnych kandydatów do drużyny na kolejne mistrzostwa świata w Argentynie.

Optowałem za jednoczesną budową dwóch reprezentacji – na Igrzyska Olimpijskie i mistrzostwa świata. Przemawiały za tym doświadczenia z przeszłości, kiedy obok pierwszej drużyny narodowej,

tworzono tzw. reprezentację B. Była dobrym poligonem dla zaplecza, a najlepsi z jednej i drugiej dobrym materiałem ludzkim dla selekcjonera. Gdy przed Montrealem próbowałem wskazać korzyści płynące z takiego rozwiązania naskoczono na mnie z wielu stron: - Czy to wypada mącić błogi nastrój przed Olimpiadą? Usiłowałem wytłumaczyć, że ważniejsza jest budowa reprezentacji na mistrzostwa świata, ale uwagi te zignorowano. Szermowano jednak wizją „przygotowań do eliminacji mistrzostw świata w Argentynie zaraz po zdobyciu olimpijskiego medalu”.

Słowa, słowa, słowa... Jak powinno się grać w piłkę nożną w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, pokazały mistrzostwa Europy w Jugosławii. Zostaliśmy daleko w tyle za europejską czołówką. Padła też Holandia po celnych strzałach reprezentantów Czechosłowacji. W tym czasie u nas nawet nie kiwnięto palcem w bucie, by na Argentynę przygotować zespół nie gorszy, niż był ten rewelacyjny z boisk RFN. Koło historii się zatrzymało, nie zrobiono najmniejszego kroku w kierunku postępu. Hamowano dostęp utalentowanej młodzieży do reprezentacji. Awans dwudziestolatków był czymś wyjątkowym. Nie tak dawniej bywało. Włodzimierz Lubański już jako junior strzelał bramki dla pierwszej reprezentacji.

Kazimierz Górski, kiedy przejął reprezentację, postawił odważną tezę „*Musimy grać inaczej i lepiej*”. Niespełna sześć lat później niestety – znowu było tak samo i jeszcze gorzej. Po Olimpiadzie w Montrealu nie mieliśmy nawet dwudziestu w miarę równorzędnych kandydatów do kadry narodowej. Nie było też zawodników wybitnych i w takiej formie, jak niegdyś: Lubański, Deyna, Gadocha, Lato, Szarmach, Tomaszewski. Oni już tak dobrze grać nie będą. Najlepsze dni większość z nich miała poza sobą. Niewiele zrobiono, aby równie utalentowani Boniek,

Kupcewicz, Terlecki mogli godnie ich zastąpić lub... zagrać wraz z nimi w jednej drużynie. Szansą była Olimpiada, ale z niej nie skorzystano. Gdzie zaczyna się i kończy granica piłkarskich możliwości? Na to pytanie racjonalnej odpowiedzi nie znano. Przedłużono tylko kariery mocno już wyeksploatowanych zawodników, a o tworzeniu nowych wartości zapomniano.

Kazimierz Górski publicznie już nie wygłaszał swoich „złoty myśli”. Po Montrealu definitywnie rozstał się z reprezentacją. Pożegnanie nie było jednak tak okazałe, ciepłe i optymistyczne jak przed laty powitanie. A przecież na to zasłużył. Wraz z odejściem Górskiego zakończyła się jedna z najwspanialszych epok w polskim piłkarstwie. Radosna i pełna autentycznych sukcesów. Murzyn zrobił swoje... Kazio żegnał się więc z krajowym futbolem w niezbyt pogodnym nastroju. Mierziła go niesprawiedliwa ocena – „tylko srebro w Montrealu?”... Wierzył, że w tym samym składzie, tylko nieco lepiej przygotowana i bardziej skoncentrowana nasza drużyna, była w stanie obronić złoty medal. Kto zawinił? Nie dramatyzował. Przekonywał tylko, że olimpijski finał to też niecodzienne osiągnięcie. Odpowiadał malkontentom:

– Będę teraz spoglądał na reprezentację z nieco innej pozycji. Życzę moim następcom sukcesów, obawiam się jednak, że na kolejny medal olimpijski będziemy musieli poczekać co najmniej kilkanaście lat. Wtedy na pewno to, co dziś jest porażką, będzie sukcesem...

Kto po Górskim? – to było teraz najważniejsze pytanie. Media miały swoich faworytów. A co sądzono w PZPN? Prezes Jan Maj skwitował to krótko „*dziś jeszcze dokładnie nie wiadomo*”. Łaknący informacji z pierwszej ręki wybrałem się na posezonową naradę pionu szkolenia PZPN. Tu powinni spojrzeć na sprawę bardziej kompleksowo. Istotnie wiceprezes,

Henryk Loska i kierownik wyszkolenia Jerzy Talaga nie ukrywali, że całe polskie piłkarstwo znalazło się w trudnej sytuacji. Nieudolnie pracowano w klubach, błędy popełniano w PZPN. Stawiane diagnozy były jednak mało krytyczne, a końcowe wnioski nie gwarantowały wyjścia na prostą. Głośno mówiono o chorobliwych skłonnościach działaczy klubowych do handlowania punktami i zawodnikami, ale winnych nie wskazano. Delegaci pytali więc rzeczowo:

– Czyżby tymi niecnymi procedurami zajmowała się jakaś obca agentura?

Nikogo nie satysfakcjonowała propozycja zawarcia w tych drażliwych kwestiach „dżentelmeńskiej umowy między klubami”. Już to przerabialiśmy, a wyniki – tak, jak były, są opłakane. Nie odkryto też Ameryki ogłaszając, że „nie mamy w tej chwili drużyny na Argentynę”. Pisałem o tym już przed Montrealem.

Na początku sierpnia 1976 roku reprezentacja w zasadzie miała już nowego selektonera-trenera. Był to Jacek Gmoch. Dziennikarze tygodnika „Piłka Nożna” przyjęli tę nominację spokojnie, bez przejawów zaskoczenia. „Jackie” już od dość dawna przekazywał do redakcji korespondencje ze Stanów Zjednoczonych, gdzie nadal się uczył i pracował. Dość często rozmawiał też z nami telefonicznie. Wiedzieliśmy, że ma ochotę powrócić do kraju, oczywiście do futbolu i najchętniej do PZPN. Sprawę znał też Henio Loska. Konsultacje dotyczyły sukcesji po Górskim. Awans Gmocha był praktycznie przesądzony. Kiedy ostatecznie zapadła klamka, zadzwoniłem do Gmocha, mieszkającego wówczas w Filadelfii i zapytałem, czy dobrze czuje się w roli trenera reprezentacji. Przyjął to jako dziejową sprawiedliwość.

– Czy ma pan tremę?

– Jaki pan i jaką treść?! Zapomniałeś, że mam na imię Jacek?... Treści nie mam, tylko wątpliwości, a to zupełnie inne uczucie. Treść może mieć debiutujący zawodnik, sytuacja trenera jest inna. Na końcowy efekt jego pracy składają się działania wielu ludzi: piłkarzy, innych trenerów, działaczy. Nie jestem cudotwórcą, sam nie dam rady! Stąd ta wątpliwość... Ale wiem też, że są w kraju ludzie, na których mogę polegać. Ty też do nich należysz...

– Czy masz receptę na lepszą grę wciąż jeszcze trzeciej drużyny świata?

– Nie mam i sądzę, że nikt takiej recepty nie ma. Wiem natomiast, że istnieje paląca potrzeba zmian w szkoleniu i organizacji pracy z reprezentacją.

– A „bank informacji”, którego byłeś niekwestionowanym twórcą?

– O, to dobry przykład. Parę lat temu, to była nasza „tajna broń”, ale dziś już nie jest. Teraz w piłkarski wywiad bawi się każdy szanujący się trener. Problem w tym, żeby to był wywiad najlepszy. Trzeba więc ulepszyć jego organizację.

– Jak tam z twoim wykształceniem? Magister inżynier Jacek Gomch nie miał trenerskich uprawnień.

– Ale już mam! Przed wyjazdem do USA zdałem eksternistycznie egzamin i otrzymałem tytuł trenera drugiej klasy.

– Kiedy wracasz do Polski?

– Siedzę na walizkach. W czwartek 26 sierpnia wsiadam do samolotu. Zobaczymy się na Okęciu...

Jacek był zawsze uparty, odważny i konsekwentny. I pamiętliwy! Z obrzydzeniem wspominał działacza, który nie widział w nim dobrego piłkarza. *Ja mu pokażę! Wkrótce będę reprezentantem Polski...* Najpierw

rozegrał wiele doskonałych spotkań w Legii, a potem w reprezentacji w towarzystwie Szymkowiaka, Pohla, Brychczego, Oślizły, Blauta, Szoltyśnika, Szczepańskiego i Lubańskiego. Trzydzieści razy... Bardzo sobie cenił słowo „kompromis”, ale nie wahał się dzielić przeciętnych zjadaczy chleba na „przyjaciół” i „wrogów”. Tych drugich z reguły zaskakiwał niekonwencjonalnymi rozwiązaniami. Wyprzedzał ewentualne ciosy. Na studiach godził naukę ze sportem. Tu kompromis był Gmochowi potrzebny, bo w młodości los go nie głaskał, fortuna niechętnie pieściła. Musiał umieć reagować na dobro i zło. Stąd tak duża rezerwa wobec osób niekompetentnych.

Otrzymał tytuł magistra inżyniera komunikacji. Dziekan, profesor Stanisław Lenczewski znał piłkarskie upodobania Jacka, przeto prosił go, by teraz poświęcił się zawodowi. Sport jest w życiu człowieka tylko epizodem – przestrzegał – czymś krótkotrwałym. Na tym nie można budować swojej przyszłości. Gmoch przyjął tę uwagę ze zrozumieniem, podziękował za dobre słowo, ale też pozostał przy swoim. Nie ukrywał, że piłka nożna jest pasją jego życia i czuje, że jest jej potrzebny. Futbol też jest zawodem. Red. Grzegorz Aleksandrowicz po tym wyznaniu powiedział, że *„woli Gmocha piłkarza, niż inżyniera”*. Bałby się przejść przez most zbudowany przez Jacka, ale w futbolu miał do niego pełne zaufanie.

Jacek też był przekonany, że dużo więcej jest w stanie dokonać w futbolu. Często rozmawialiśmy na ten temat podczas wspólnej kuracji w Instytucie Reumatologii w Warszawie. W piłkarstwie – mówił Gmoch – „trzeba wiedzieć wszystko o wszystkim”. Dla znawcy nie może tu być żadnych tajemnic. Zawodników zaś starał się przekonywać, że „przeciwnik nie jest wcale lepszy”. Te cechy charakteru i głęboka znajomość futbolu

zjednały Gmochowi uznanie w świecie. Słynny Allan Wade właśnie u Gmocha zasięgał opinii o przyczynach regresu angielskiego piłkarstwa, a Helmut Schoen uznał go za „tajną broń” Kazimierza Górskiego. Zanim Jacek wydał swoją „**Alchemię futbolu**”, w tygodniku „Piłka Nożna” opublikował serię artykułów pod tytułem „**Źródła zwycięstw i porażek**”. Tytan pracy? Raczej jeden z niewielu ludzi, którzy dowiedli, że można pogodzić wielki sport z nauką.

– Jako piłkarz – zwierzał się – słynąłem z twardości, nieustępliwości. Mówiono, że umiem walczyć. Tak, do walki i pokonywania trudności jestem przyzwyczajony. Nauczył mnie tego sport. Przeżyłem z tej racji niejedną satysfakcję. Lubię przeżywać to uczucie. Od czasu do czasu trzeba się z czegoś cieszyć, coś dobrego dokonać, czymś ludzi zainteresować. Mam prawo tak mówić, bo u boku Kazimierza Górskiego mam za sobą XX Igrzyska Olimpijskie w Monachium, Wembley i X Mistrzostwa Świata w RFN! Teraz jest przed nami Argentyna. Musimy tam być!

PO GÓRSKIM BYŁ GMOCH

W końcu sierpnia 1976 roku Jacek Gmoch oficjalnie zastąpił Kazimierza Górskiego. Uczeń przejął więc zadania nauczyciela. W życiu społecznym zjawisko dość często spotykane, ale w historii naszego futbolu rzadkie i mało popularne. Decydenci chętniej powierzali opiekę nad reprezentacją ludziom – jak mówili – o „nowych twarzach”, niż asystentom ustępującego trenera. Nie dostrzegano tu potrzeby kontynuacji i naturalnego awansu. Teraz zarysowała się w tej materii nowa jakość. Górski i Gmoch najpierw w relacji trener – zawodnik poznali się w klubie, a potem razem pracowali w PZPN. Przy zmianie ról podali sobie rękę.

Jacek, przejmując „błogosławieństwo” Kazia, niechętnie jednak wracał do przeszłości, nie miał też wizji przyszłości, skupił się na teraźniejszości.

– Ważny jest tylko najbliższy mecz z Portugalią – powiedział. – Nadal drugim trenerem będzie Rysio Kulesza, a szefem banku informacji Benio Blaut. Wróci doktor Janusz Garlicki, zaś kierownikiem drużyny zostanie Maciej Górzyński. Stałej kadry narodowej nie będzie. Potencjalnymi kandydatami są wszyscy zawodnicy z naszych lig. Ale w reprezentacji będą grać tylko najlepsi...

– Co ty na to? – zapytałem Górskiego.

– To jest pomysł Jacka... Jego sprawa... Życzę mu sukcesów. A wiem jak to osiągnąć, zresztą on też... Kilka lat udanie ze sobą pracowaliśmy. Obaj dobrze wiemy, że sukces można wywalczyć tylko z zespołem ludzi ambitnych, mających zaufanie do trenera i jego koncepcji. Podzielę się z Jackiem moją wiedzą o reprezentacji olimpijskiej, co po niej zostało dobrego i złego. Bo kłopotów ostatnio było sporo...

Podobnie jak wcześniej z Kazimierzem Górskim przed meczami z Holandią, tak teraz z Jackiem Gmochem przed spotkaniem z Portugalią, redakcja „Piłki Nożnej” przeprowadziła kilka rozmów. W pierwszej nowy selekcjoner zapowiedział, że uczyni wszystko, aby zawodnikom przywrócić wiarę w ich umiejętności i znowu zbliżyć do kibiców, odzyskać ich przychylność. W drugiej rozmowie już dzielił się pierwszymi uwagami z obserwacji spotkań ligowych. Podobała mu się gra Śląska Wrocław, ŁKS-u, Ruchu Chorzów i młodzieżowej Wisły Kraków. Dziwił się tylko, że w tej grupie nie ma Górnika i Legii. Był przy tym dość tajemniczy, nie próbował oceniać formy poszczególnych kandydatów do reprezentacji i zdradzać szczegółów przygotowań do meczu z Portugalią. Po co rywal ma wszystko wiedzieć?!...

W naszej redakcji takich obaw nie mieliśmy. Po Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu dokonaliśmy dogłębnego „przeгляdu stanu posiadania”. Sytuacja wśród bramkarzy nie była najgorsza, Jan Tomaszewski za swoimi plecami czuł już coraz silniejszy oddech Piotra Mowlika, Zygmunta Kukli i Jana Karweckiego, ale wśród obrońców takiego bogactwa nie było. Uznaliśmy, że pilnie poszukiwani są następcy: Gorgonia, Bulzackiego, Musiała, Szymanowskiego. Żaden z bocznych w grze obronnej nie dorównuje Zygmuntowi Anczokowi, a w ofensywnej (głównie strzał z dystansu) Władysławowi Stachurskiemu i Romanowi Bazanowi. Na pozytywną ocenę w przekroju całego sezonu zasłużył tylko Władysław Żmuda.

Staralem się też przypomnieć zadania, jakie w drużynie powinni spełniać gracze drugiej linii: - Tych trzech musi być jak jeden! Ktoś przecież w nieco większym stopniu musi wykonywać „czarną robotę”, ktoś inny tworzyć akcje i strzelać bramki, a ten trzeci głównie wspomagać obrońców. Ale żaden nie może być fuszerem, partaczem, piłkarzem niedouczoneym. Dla pomocnika w futbolu nie powinno być żadnych tajemnic. Takich mieliśmy w roku 1974, a teraz?... Na mecz z Portugalią pewniakiem był tylko Deyna. To za mało, Gmoch miał niewielki wybór. Nawet Janusz Kupcewicz i faworyt numer jeden Zbigniew Boniek jeszcze nie dorównywali Kasperczakowi i Maszczykowi. A więc póki co chuchać i dmuchać trzeba było na Deynę i Kasperczaka. Optymistycznie wypowiedzieliśmy się tylko o napastnikach.

Tymczasem Bernard Blaut podglądał Portugalię. Miał dobrze „rozpracowaną”, bo wiosną w Rzymie wraz z Kazimierzem Górskim obserwował mecz Włochy – Portugalia, a we wrześniu w Dreźnie spotkanie Dynamo Drezno – Benfica Lizbona. Przed meczem z Polską

prawie przez trzy tygodnie trener Jose Maria Pedrito szlifował formę kadrowiczów w Estorilu i Porto. Jacek Gmoch tak korzystnych warunków przygotowań nie miał. Rozgrywki ligowe oraz udział czołowych drużyn klubowych w europejskich rozgrywkach pucharowych nie pozwalały na tak długie zgrupowanie. Kluby dobrze wykorzystywały swój czas. Wisła na wyjeździe zremisowała z Celtikiem Glasgow, a Stal u siebie dzielnie walczyła z Realem Madryt (1:2). Frycowe w pełnym wymiarze zapłacili tylko piłkarze GKS Tychy, w Kolonii przegrali z IFC Koeln 0:2.

Zgodnie z oczekiwaniami Śląsk wygrał na Malcie 4:1. Wraz z red. Jerzym Zmarzlikiem, do niedawna kolegą redakcyjnym z „Przeglądu Sportowego”, towarzyszyłem wojskowym z Wrocławia w ich wyprawie do La Valletty. Była to dla piłkarzy Śląska li tylko mało wyczerpująca rozgrzewka. Floriana – to europejski outsider. Typowo amatorskiego statusu tego klubu nie znał jednak trener Śląska Władysław Żmuda. Spotkał się więc z wysłannikami „PS” i „Piłki Nożnej” i jak najbardziej poważnie zapytał:

– Zapewne orientujecie się panowie redaktorzy czy maltańscy są jeszcze na zgrupowaniu?

– Jakim zgrupowaniu?

– No, przed meczem ze Śląskiem...

Ledwo dostrzegalny uśmiech był naszą odpowiedzią. Floriana na obozie przygotowawczym? Tony Formosa zapewnił nas, że jego piłkarze to w każdym calu amatorzy. Trenują i grają wyłącznie po pracy, więcej – część z nich pracy poszukuje. Są bezrobotni... Panu Władziowi spadł kamień z serca. Zadowolony zaprosił na „małą czarną”. Po kolacji ugościło nas również kierownictwo Śląska. Był gruziński koniaczek i nasza „Wyborowa”.

Przed grą Zmarzlik i ja wybraliśmy się na basen. Najpierw po kufelku „Heinekena”, a potem pływanie. W tym mój partner był wyjątkowo kiepski. Nagle zaczął tonąć. Przypomniało mi się prawo Archimedesesa: ciało zanurzone w wodzie traci pozornie tyle na wadze, ile waży wypchnięta przez nie woda. Ciężki nie będzie. Wyciągnąłem Jurka w bezpieczne miejsce. Biedaczysko, nie umiał pływać. A opowiadał mi kiedyś, że w Sosnowcu jest mnóstwo krytych basenów. Podobno jeden na dziesięć tysięcy mieszkańców. Mógł nawet latem pokąpać się w Brynicy, ale on wolał zimą pograć w hokeja na lodzie.

Trener Żmuda dał odpocząć w tym meczu kadrowiczom: Władkowi (Żmudzie!), Janowi Erlichowi i Zygmunтови Kalinowskiemu. „The Stadium Gzira” to jakiś relikw z dalekiej przeszłości. Dziś lepsze bywają klepiska. Jednak nikt z naszych nie narzekał. Trener Formosa był zadowolony.

– Wy, Polacy nie zadzieracie nosa. – Nie przeszkadzał wam żwir i kałuże wody. Dziękuję za taką postawę... To spodobało się publiczności. Oklaskiwała wasze zwycięstwo...

Wieczorem zaproszono całą ekipę na kolację do restauracji w Sliemie. Gości mnóstwo, gra orkiestra, żony działaczy i piłkarzy Floriany same zapraszają nas do tańca. Tu taki zwyczaj. – Mężów – powiadają – to mamy w domu, a tu sympatycznych nieznajomych. Lubimy bawić się w takim towarzystwie... Okazało się, że najważniejszym gościem tego spotkania był nowy premier Malty, Dominic Mintoff z Partii Pracy. Właśnie wygrał wybory i teraz z przyjaciółmi bawi się, śpiewa i tańczy. Zapowiada pełne usamodzielnienie kraju i – co szczególnie ucieszyło piłkarzy Floriany – walkę z bezrobociem. Maltański futbol też na tym skorzysta.

Śląsk wygrał również rewanż z Florianą, a w drugiej rundzie dwukrotnie pokonał Bohemians Dublin 3:0 i 1:0. Obserwowałem te zwycięstwa, w obydwóch Polacy byli wyraźnie lepsi. We Wrocławiu grali na półobrotach i zwyciężyli 3:0, a w Dublinie wygrana 1:0 wymagała wysiłku sięgającego 75 procent możliwości drużyny. Grali już Kalinowski, Żmuda i Erlich. Byli najlepsi w zespole. Dobrze zaprezentowali się również Zygmunt Garłowski i Józef Kwiatkowski. Śląsk awansował więc do ćwierćfinałów Pucharu Zdobywców Pucharów. Stal Mielec, Wisła Kraków i GKS Tychy wcześniej pożegnały się z piłkarską Europą. Na słowa uznania zasłużyła jednak Stal znad Wisłoki. W Pucharze Mistrzów wprawdzie przegrała oba mecze z wielkim Realem Madryt, ale w najskromniejszych rozmiarach 1:2 i 0:1.

Start naszej srebrnej drużyny na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu, definitywnie zamknął określony etap pracy z reprezentacją. W prasie, nie tylko sportowej, na wszelkie możliwe sposoby oceniano dokonania Kazimierza Górskiego. Były wyjątkowe, w przeszłości żaden inny trener-selekcjoner nie osiągnął tak dobrych wyników. Prawie sześć lat „ery Górskiego” to 73 rozegrane mecze, w tym 45 zwycięskich, 12 zremisowanych i... tylko 16 przegranych. Bardzo korzystna różnica bramek 157-63. Na arenie międzynarodowej zaowocowało to dwoma medalami olimpijskimi i trzecim miejscem na mistrzostwach świata. Nie bez podstaw pytano więc: Czy ktokolwiek i kiedy osiągnie więcej? „Dziękujemy”:

...Są w piłkarstwie funkcje hierarchiczne - formalnie biorąc - ważniejsze od selekcjonera: prezes, wiceprezesi, sekretarz generalny, kierownik wyszkolenia PZPN. Jednak ich praca, wysiłki, osiągnięcia i potknięcia nie są tak powszechnie, tak gruntownie oceniane i tak

komentowane jak szefa drużyny narodowej. Nikt tak, jak on nie tkwi w kręgu społecznego zainteresowania i niemalże ambulatoryjnej obserwacji kibiców. Każdy krok selektonera, każda decyzja – dobra lub zła jest szeroko dyskutowana. Każdy sukces przysparza trenerowi reprezentacji setki tysięcy zwolenników, każda porażka – rodzi tłumy niezadowolonych, w tym także tych „najlepiej wszystko wiedzących”.

Kazimierz Górski niemal przez sześć sezonów piastował to trudne i odpowiedzialne stanowisko. Przez cały ten czas miał znacznie więcej przyjaciół niż wrogów, dużo pochwał i oklasków. Zasłużone wyróżnienia. Wszak nie wyrósł sroce spod ogona. Najpierw był świetnym piłkarzem – kapitanem ligowej drużyny, reprezentantem Polski, a potem stał się wybitnym trenerem – cenionym w ligowych klubach i PZPN. Pracował z juniorami, młodzieżowcami, seniorami. Znał zawodników, można powiedzieć - „od startu do mety”. Ułatwiało to ocenę skali ich talentu, możliwości, postępów, upodobań. Piłkarze najbardziej lubią strzelać bramki. Górski to wiedział, czuł i podziwiał, to wzbogacało jego spojrzenie na piłkę nożną – preferował grę ofensywną. Cały dowcip w tej grze polega na tym – przekonywał – żeby strzelić jedną bramkę więcej niż przeciwnik.

Największą zaletą dobrego selektonera jest umiejętność wyboru odpowiednich zawodników do wizji drużyny, jej kształtu, koncepcji. Pan Kazimierz posiadał ten dar w wymiarze dla innych nieosiągalnym. Fakty to potwierdzają! Najgłośniej komentowano na pozór sensacyjne powołanie do kadry Żmudy i Szarmacha, przedtem Kasperczaka i upór trenera w sprawie nobilitacji Jana Tomaszewskiego. Nie bez sprzeciwów mediów wykreował też realizatorów zadań specjalnych – Ćmikiewicza i Kraskę. Wszystkie te ryzykowne decyzje zdały reprezentacyjną próbę na

stadionach Wembley, Stuttgartu, Frankfurtu nad Menem, Monachium...

Nie sposób pominąć osobistych walorów Górskiego. Powodzenie, rozgłos, sława nie przewróciły mu w głowie. Jest nadal taki, jaki był zawsze: skromny, spokojny, cierpliwy, wyrozumiały, ojcowski, wrażliwy. Rzadko kto, będąc tak wysoko notowanym przez opinię publiczną, potrafi zachować te cechy. Niestety, te niezwykle walory, klasa i delikatność w obcowaniu z ludźmi, były dość często niewłaściwie wykorzystywane przez niektórych zawodników, trenerów, działaczy i... dziennikarzy. To smutne, ale w życiu bywa i tak, że najlepsze wartości człowieka po jakimś czasie obracają się przeciw niemu.

Górski najboleśniej przeżył inwektywy skierowane pod adresem piłkarzy i swoim szczególnie przez tygodnik „Film”. Śmiał się, gdy recenzenci kinowi przypisywali kopiącym piłkę li tylko możliwości szybkiego zrobienia szmalu i korzystania z bezpłatnych wycieczek zagranicznych, złościł – gdy naszych „piłkarskich amatorów” posądzano o wtórny analfabetyzm, nieróbstwo, lenistwo i niesubordynację. Jaki pan, taki kram: winą za taką postawę reprezentantów obciążono właśnie Górskiego. Nie narzucony system społeczno-polityczny i nie piłkarskie „ni pies, ni wydra”, tylko selekcjonera-trenera.

...Pan Górski – wygłupiano się w „Filmie” – który jest niezłym aktorem, zapomniał wszakże, że w RFN taktykę gry opracował Jacek Gmoch, gdy nasz trener zajmował się głównie sprzętem, kuchnią i udzielaniem skromnych wywiadów... Na szczęście zapowiedział dymisję, co nawet piłkarscy analfabeci przyjęli z oddechem ulgi.

Wredna opinia, na szczęście przez historię potępiona, a sportowe dokonania właściwie ocenione. Wtedy tych „piłkarskich analfabetów” najwięcej było właśnie w obozie filmowego paszkwilanta. Dziś jest

ich sporo również w kilku innych redakcjach. Wydają tam sądy ludzie bez odpowiedniego przygotowania, wyłącznie pod wpływem ulotnych emocji i chęci przypodobania się wydawcy. Wiedzy nie mają, ale tupetu, bezczelności i węszenia sensacji – w nadmiarze. Byłem z Górkim w tamtych - trudnych dla niego - chwilach. Miał dość tłumaczenia się za „tylko srebrny medal w Montrealu” i rzekomo wysoką stopę życiową. Hipokryzja. Niezaprzeczalnych sportowych osiągnięć Górkiego w żadnej mierze nie równoważyły posiadane dobra materialne. Kazio miał sukcesy, ale nie miał pieniędzy. Żona, Marysia już podczas mistrzostw świata w RFN zwierzała mi się z tych kłopotów i w tajemnicy przed wścibską opinią publiczną ganiła nadmierny altruizm męża:

– Czy to prawda Jureczku – pytała mnie w Monachium – że piękny samochód marki BMW, który otrzymał od tej firmy w prezencie, przekazał PZPN-owi? Każdemu pomaga, natomiast o rodzinie i sobie samym jakoś nie pomyśli... Czy nie mógłbyś przemówić mu do rozsądku?...

Tego Górkemu akurat nigdy nie brakowało, gdy szło o dobro społeczne, ogólne. Mawiał: - Jesteś na tyle dobry, na ile coś dobrego potrafisz zrobić dla innych. - Nawet w momentach istotnych dla własnej kariery i pozycji materialnej, niemal z reguły górę brała lojalność wobec otoczenia i przekonanie, że „los tak chciał”. Trochę się temu dziwiłem, bo ta wiara Kazia w przeznaczenie dość wyraźnie kłóciła się z jego codzienną realistyczną postawą. Widocznie tak jest zapisane w gwiazdach. Górski urodził się po znakiem Ryby, a to – zdaniem astrologów – winno kształtować jego charakter, zalety i wady w sposób następujący:

...Lojalny w stosunku do swoich przyjaciół, popiera ich w dobrym czy to złym... Nie widzi błędów w postępowaniu osób, które kocha, zbyt wiele wierzy ich słowom lub obietnicom... Jego giętkość psychiczna

i umiejętność dostosowania się do warunków życia pozwala mu na zrozumienie i odczucie wewnętrzne wszelkich przejawów życia... Ma wielkie aspiracje życiowe i przeważnie udaje mu się osiągnąć jakiś lepsze stanowisko. Gdy jednakże już wzniesie się wysoko, może się okazać, że właśnie wówczas grozi mu niebezpieczeństwo, a w życiu jego mogą występować zamieszki i przykrości...

...Od wczesnej młodości – zwierzał się Górski dość często – byłem łagodny, spokojny, koleżeński, lubiany. Nie byłem też i taki jestem do dziś – zazdrosny. Jeśli się komuś lepiej wiedzie, to przyjmuję to ze zrozumieniem. Ale jednocześnie jestem uparty! Jak już coś postanowię, to decyzji nie zmieniam. Powiadają, że uchodzę za człowieka, któremu życie układa się po różach. Bez przesady, zresztą róże też mają kolce. Panuje opinia, że jestem optymistą. Nie wiem, czy rzeczywiście urodziłem się optymistą, ale wiem, że optymizmu na pewno nauczył mnie sport. Optymiści podobno mają lepsze życie...

Optymista Górski wzniósł się w piłkarstwie wysoko i... nigdy nie spadł z piedestału. Jednak po Montrealu nie był w najlepszym humorze? Przeczuwał nastanie gorszych dni? Nie. Tylko wciąż nie mógł przeboleć coraz mocniej rozpowszechnianej opinii, „*że srebrny medal olimpijski jest przegraną*”. Publicznie mówił o tym niechętnie, dopiero przed wyjazdem do Grecji, nie bez żalu poruszył ten temat w towarzystwie Aleksandra Kupcewicza i... moim. Był czas letniej kanikuły, żony jeszcze nie powróciły z wywczasów, więc tylko my trzej przez kilka dni zabawialiśmy się w Warszawie. Zmienialiśmy lokale, bo uciekaliśmy przed natrętami...

Zaczęliśmy od „Retmana” na Mariensztacie i „Domu Dziennikarza” na Foksal, a skończyliśmy w SPATiF-ie w Alejach Ujazdowskich, naprzeciwko siedziby PZPN. Kazio tę ulubioną melinę aktorów

różnych specjalności nazywał „stołówką magistra inżyniera”... Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że tam najchętniej biesiadował wiceprezes PZPN, Henryk Loska. Był tam z każdym „za pan brat”, nawet do nestora naszych wokalistów, mistrza Fogga zwracał się „per Mieciu”. Na Mokotowie, a tam już wtedy mieszkał Górski, jeszcze co nieco pomarudziliśmy w restauracji rybnej przy ulicy Puławskiej i w „Patrii” w Alejach Niepodległości. Rozchodniaczka (bez tego Górski nie rozstawał się z przyjaciółmi) wypiliśmy w domu Kazia przy ulicy Madalińskiego.

– Czy prawdą jest Kaziu – pytał Olek Kupcewicz – że gdy przed Montrealem zapowiedziałeś swoją rezygnację z pracy z reprezentacją, odebrałeś piłkarzom – jak przebąkiwano w Olsztynie - resztki motywacji?

– Bzdura!... To nie jest tłumaczenie dobre dla prawdziwych sportowców... Ale na tej Olimpiadzie po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że o wynikach sportowych decydują nie tylko określone metody szkoleniowe i stopień wytrenowania zawodników... Także ogólna atmosfera, klimat, morale zawodników i samopoczucie trenera. W Montrealu w tej delikatnej materii nie wszystko grało...

– Dopiero tam pomyślałeś o wyjeździe za granicę?...

– Nie, od dawna miałem takie plany... Nic z tego nie wyszło, bo przepisy nie pozwalały! Teraz Rada Ministrów podjęła uchwałę „w sprawie delegowania specjalistów do pracy za granicą na kontrakty indywidualne”... Może wreszcie się uda...

– Więc gdzie się wybierasz? – nie ustępował Kupcewicz.

– Spokojnie, nic się nie pali... W PZPN-ie jest długa lista kandydatów na kontrakty indywidualne i zbiorowe. Ma ją Henio Loska... Chętnych jest sporo... Nie wszystkich znam, ale każdy z nich czuje się na siłach i chce lepiej zarabiać... Pośrednikiem w tych transakcjach jest

CHZ Polservice... Stawia warunki. Wymaga fachowości, znajomości języków obcych, sprawozdań z przebiegu pracy, płacenia podatków i... odpowiedniej postawy moralnej.

– Masz tu niewątpliwie pierwszeństwo – postawiłem sprawę jasno.

– Zapewne PZPN poprze twoją kandydaturę...

– Tylko że Związek o tym nie decyduje! Jeśli GKkFiS nie wyrazi zgody, to moje starania i opinia PZPN warte będą funta kłaków! Liczy się tylko głos władzy...

– Słuchaj Olek – tłumaczyłem Kupcewiczowi – Kazio już po mistrzostwach świata 1974 miał propozycje pracy w Zachodnim Berlinie, Szwajcarii, nawet w Kuwejcie mógł nabijać kabzę. I co?... Tylko się oblizał...

– Teraz też mógłbym wyjechać do Arabów, ale – żalił się Górski – jest czas urlopowy... Decydenci na urlopowach, nie ma kto podjąć decyzji. A może ja na ten wyjazd nie zasłużyłem. Tylko srebrny medal w Montrealu...

– Wiem – to znowu ja – że sprawę tego wyjazdu pilotuje Gucio Górecki, twój ziomek ze Lwowa. On też nic nie wskórał?

– Ano, nie!... Poruszył niebo i ziemię, przyjmował szejka z Kuwejtu z honorami i błagał, by jeszcze kilka dni poczekał. Lada moment będzie decyzja. Była... odmowna!

– Kto cię o tym poinformował? – wściekał się Kupcewicz.

– Całą akcję Gucia storpedowano w naszym „białym domu”. On mi to opowiedział z detalami. Znowu polityka i partyjne doktrynerstwo wkroczyło na teren sportu... Szejk stracił cierpliwość, także sporo nerwów i... pojechał do Pragi. Tam nie miał kłopotów. Zabrał ze sobą pięciu czeskich trenerów i odleciał nad Zatokę Perską. Zaczynam powoli wątpić, czy rzeczywiście tylko „los tak chciał”... Może jednak wkrótce polecę

do Meksyku. W roli wykładowcy... Interesująca propozycja... Decydenci roztaczają też przede mną wizję pracy w Grecji. Czekam... Zmieńmy jednak temat: - Oluś, co tam słysząc u syna, Januszka?

- Będzie nadal grał w Arce Gdynia – wycedził Kupcewicz.

- A dlaczego nie w Górniku Zabrze lub Legii Warszawa? – zdziwił się Górski. – Przecież Arka wciąż balansuje na krawędzi przepaści... Tam się chłopak nie rozwinie!

Kazio nie znał tej sprawy tak dobrze jak ja, przeto z ochotą włączyłem do rozmowy swoje trzy grosze:

- Słyszałem, czytałem i nawet sam o tym pisałem, że o wszystkim zadecydowały sprawy rodzinne. Niestety, również finansowe! Mama Józefa chciała mieć Januszka bliżej domu, a tata Aleksander – nie gniewaj się Olek, że ci to wygarnę – większą kasę za nieoficjalny transfer. Górnik na to nie przystał, a Legię na to nie stać. To wciąż kolos na glinianych nogach... Sekretarz generalny klubu z Łazienkowskiej, Kazimierz Konarski bodajże spod ziemi wygrzebał sto tysięcy złotych, ale to stanowiło zaledwie trzecią część tego, co zaoferowała Arka. Czy tak było? Olek!...

- Niech to pozostanie tajemnicą naszej rodziny...

- To jest zły wybór! – uniósł się Górski. – I nie idzie tu tylko o pieniądze, bo później, gdy chłopak okrzepnie i odpowiednio się rozwinie, mógł by ich zarobić znacznie więcej w klubie i reprezentacji. Tu idzie głównie o piłkarską przyszłość Janusza, doskonalenie umiejętności, o pełne wykorzystanie talentu.

Kazio trafił z argumentacją w „dziesiątkę”. Losy Janusza były mi szczególnie bliskie, rozwinąłem więc temat:

- On, młokos z niecodzienną smykałką, w Arce nie ma wystarczająco

dobrych wzorów szkoleniowych. Od kogo ma się tam uczyć? Za wcześnie obarczono go w tym klubie najpierw walką o utrzymanie w ekstraklasie, a potem o powrót do pierwszej ligi. Od ucznia wymagano kwalifikacji i obowiązków profesora. Stanowczo za wcześnie! W Legii, u boku Deyny i Ćmikiewicza mógłby doskonalić swoje umiejętności tak, jak niegdyś Deyna przy Brychczym i Blaucie. Oluś, pozbawiłeś syna tych możliwości...

– A pamiętasz lata sześćdziesiąte i początki kariery moich wychowanków Wilczka i Musiałka, a zaraz potem Szołtysika i Lubańskiego? W towarzystwie Pohla, Jankowskiego, Lentnera i Oślizły wyrosli na wybitnych piłkarzy. Dlaczego o tym nie pomyślałeś? Ach pieniądze, tylko pieniądze!... – spuentował tę drażliwą wymianę zadań Kazimierz Górski. I zaczął nucić popularne niegdyś tango: – *Cóż nam zostało z tych lat?*...

Odebrałem to dwuznacznie. Przypominały te słowa czasy, kiedy Kazio kopał piłkę za uścisk dłoni prezesa Bolesława Drobuta w RKS Lwów, a zaraz po wojnie za wyróżnienie w pułkowym raporcie w jednostce na Podchorążych. Podśpiewywanie to jak ułał, pasowało też do aktualnej sytuacji reprezentacji. Pod wodzą Górskiego lawina sukcesów, teraz pod ręką Gmocha, z trudem wiązanie końca z końcem. Czas szybko upływa i niesie za sobą mnóstwo zmian. Jacek Gmoch i jego podopieczni za chwilę wyruszą do Porto na mecz z Portugalią. Z jakimi szansami?

Tak do końca nikt tego nie wiedział. Ekipa Gmocha dość długo działała w ukryciu, bez oficjalnych spotkań kontrolnych i sparingowych, takich z widownią, kasą i dziennikarzami. Raz tylko w Łodzi, w wygranym meczu z młodzieżówką Rumunii (2:1), nieco uchylono rąbka tajemnicy. Jacka zaskoczyła jednak obecność na trybunach trenera Portugalii, Jose Marii Pedrito. – Kto go o tym poinformował? Usiłował zmylić gościa.

Zmieniał skład naszej drużyny, w sposób typowy dla hokeja na lodzie lub gry w koszykówkę. W Łodzi zobaczyliśmy tylko kilku dobrych znajomych z ekipy Górskiego. Zabrakło Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Musiała, Maszczyka, Szarmacha i Gadochy. Czy zagrają w Porto?

W Łodzi Gmoch wyraźnie postawił na kwartet z Mielca: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczałak i Grzegorz Lato. Była w tym konkretna myśl, a nie tylko ukłon pod adresem mistrza Polski i trenera Andrzeja Zientary. Jose Maria Pedroto mógł jednak przewidzieć zamierzenia Jacka. Nasz selekcjoner najbardziej zabiegał o scementowanie zespołu, grę „wszystkimi siłami” z nieco większym akcentem na ofensywę. Bramki mają strzelać nie tylko napastnicy, także zawodnicy drugiej linii i dobrze wyszkoleni wykonawcy stałych fragmentów gry. Niby nic nowego, ale nacisk większy i niemalże zegarmistrzowska precyzja.

W Porto zagrało tylko pięciu piłkarzy z „żelaznej jedenastki” Górskiego: Żmuda, Kasperczałak, Deyna, Lato i Szarmach, z tym – że Kasperczałak w parze ze Żmudą korzystnie zaprezentował się w środku obrony. Jego pozycję w pomocy zajął Henryk Maculewicz. Dwie zwycięskie bramki znowu zdobył Grzegorz Lato, król Weltmeisterschaft '74. Dobry początek. Przeciwnik nie był słaby, wiadomo – Portugalia, to synonim błyskotliwej techniki, jednak tym razem pozostawała w cieniu naszej bezbłędnie realizowanej taktyki. Nie było przypadkowości, Polacy imponowali dobrą organizacją i dyscypliną. Spełniali zadania na miarę swoich możliwości i potrzeb drużyny. Czuli się mocni fizycznie i psychicznie. Wyraźnie podkreślił to nowy „libero” zespołu Henryk Kasperczałak:

– Praca, jaką wykonaliśmy w przygotowaniach do tego meczu, pięknie zaowocowała. Na zgrupowaniu w Rembertowie oblewały nas

zimne i gorące poty, niektórym ciemniało w oczach, ale nikt nie kręcił nosem, nikt nie narzekał. Czasem tylko wspólnie z trenerem Gmochem dowcipkowaliśmy. W Porto padało, deszcz zmoczył boisko, utrudniał grę, wymagał ogromnego wysiłku, ale wszystko to przezwyciężyliśmy. Konsekwencją i determinacją w grze zdecydowanie górowaliśmy nad gospodarzami.

POWRÓT LUBAŃSKIEGO

Jacek tworzył nową drużynę, miał w niej swoich faworytów, ale przed nikim, pod warunkiem że był w dobrej formie i akceptował „gmochowskie reguły gry”, nie zamykał drzwi. Włodek Lubański z ochotą przyjął tę ofertę. I stało się, w następnym meczu z Cyprem na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie zagrał, a Polska pokonała południowców z Wyspy Afrodyty aż 5:0. Pierwszy etap przebudowy kadry pod względem: personalnym, moralnym i sposobu gry zakończył się pomyślnie.

Malkontenci jednak podważali te zmiany. Z dzisiejszą Portugalią i maruderem z Cypru nie wypadało przegrać! Odpowiedziałem na to pytaniem: - A czy z Irlandią, Szwajcarią, Grecją, NRD i kilku innymi drużynami wypadało? Jacek Gmoch przejął reprezentację w momencie, w którym każdy nawet najmniejszy błąd organizacyjno- szkoleniowy groził całkowitym zburzeniem wieloletniego dorobku. Przełamał złe nawyki i bariery psychologiczne. Za to właśnie trzeba mu podziękować i życzyć równie owocnej pracy w 1977 roku.

Nowa ekipa szkoleniowa – jak dotychczas – z powodzeniem

poszukiwała takiego sposobu gry, który w największym stopniu odpowiadałby możliwościom psychofizycznym Polaków i nie odbiegał od standardów nowoczesności. Wciąż duże rezerwy tkwią w taktyce. Gmoch zamierza to wykorzystać. W Porto zastosował nowy wariant w grze obronnej, natomiast w meczu z Cyprzem teoretycznie skorzystał z usług tylko dwóch obrońców: Maculewicz - Żmuda. W praktyce udanie wspierali ten duet Kasperczak, Masztaler, Boniek i Mazur.

Nietypowe ustawienie naszej drużyny w meczu z Cyprzem zmierzało nie tylko do bezwzględnego powalenia słabszego rywala. Było także krokiem w kierunku wzbogacenia idei współczesnego futbolu, wszechstronności i uniwersalizmu oraz próbą wykorzystania rezerw tkwiących w sferze taktyki i naszych możliwości kadrowych. Nie grał Lato, ale wrócił do reprezentacji Lubański. Kasperczak znowu był w obronie partnerem Żmudy, a Szarmach (!) w pomocy współpracował z Deyną i Bońkiem. Szaleństwo? Wszystko co inne, nowe budzi wątpliwości. Nie przyjąłem tych gmochowskich manewrów bezkrytycznie, ale przyznałem mu prawo do eksperymentowania. Dobrze, że zdobył się na odwagę w meczu z Cyprzem, a nie z Danią. Wtedy było by to już za późno.

W meczu z Cyprzem, oprócz korzystnego wyniku 5:0, zadowolić i wzruszyć musiały dwa inne, jakże ważne wydarzenia. Kazimierz Deyna i Włodzimierz Lubański znowu razem! „Kaka” akurat w tym dniu rozegrał swoje 80 spotkanie w reprezentacji, a Włodek wrócił do niej po trzy i półletniej przerwie. Deyna w czasie niezwykle trudnym dla Lubańskiego wyrósł na trzeciego piłkarza na świecie. Miał za sobą Wembley, finały mistrzostw świata w RFN i Olimpiadę w Montrealu. Włodka kontuzjowanego w meczu z Anglią w Chorzowie wszystkie te zaszczyty ominęły. Teraz znowu był z nami.

W środę, na kilka dni przed niedzielnym meczem z Cyprem (30.10) w imieniu PZPN oficjalnie witałem Lubańskiego na lotnisku Okęcie w Warszawie. Towarzyszyłem też w drodze do hotelu. To bardzo sympatyczne, w roku 1963 w Szczecinie wespół z Wiesławem Motoczyńskim i Tadeuszem Forysiem „pasowałem” tego wówczas 16-letniego chłopca na reprezentanta Polski, w 1976 przeżyłem kolejny debiut w drużynie narodowej 29-letniego mężczyzny. Trudno było ukryć wzruszenie. Powrót Włodka do wielkiego futbolu warszawska publiczność przyjęła z entuzjazmem. Młodzież i na lotnisku, i na przedmeczowych treningach, i po wygranej z Cyprem, z żarem w oczach i sympatią w sercach skandowała: **Lubański, Lubański! Lubański!...** Czy kiedykolwiek w swojej karierze przeżył to na Śląsku Kazimierz Deyna? W Warszawie był uwielbiany.

– Cieszę się – powiedział trener Górski po meczu z Cyprem – że Kazio ma znowu ochotę do gry. Już dość dawno nie grał tak dobrze. Myślę, że trener Gmoch będzie miał z niego jeszcze spory pożytek. Wiem, że Jacek już poszukuje następców, nie tylko dla Deyny, także dla Kasperczaka, Maszczyka i Ćmikiewicza. Mnie się to nie udało. Jeden Boniek – to za mało...

Tymczasem szybkimi krokami zbliżało się kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze PZPN. Przypadło mi w udziale dokonanie wcale nie łatwej oceny mijającej kadencji. Targały człowiekiem mieszane uczucia. Reprezentacja była w tym czasie z reguły na wozie, liga pod wozem, młodzież tylko raz stanęła na podium w Turnieju UEFA, baza szkoleniowa nadal przypominała czasy króla Ćwieczka. W sumie jednak uznałem, że to była „**Owocna kadencja, głównie w pracy z reprezentacją**” i sugerowałem, że należy „**UTRZYMAĆ KURS**”.

...Nasz Związek – pisałem w „PN” w przededniu Zjazdu – przeżywał przez 57 lat swej działalności różne wzloty i upadki. Najpierw walczył o piłkarskie zjednoczenie kraju, potem o wejście na arenę międzynarodową, wręcz prawdziwy bój toczył o utworzenie ekstraklasy i po latach okupacji o jej odrodzenie, wreszcie o regularne rozgrywki o Puchar Polski i niższych klas. Nasi działacze niemal zawsze zaskakiwali zręcznymi pomysłami, ale spodziewanych efektów nie było.

Do dziś PZPN nie ma własnego ośrodka szkoleniowego i przez państwowe władze sportowe wciąż uważany jest tylko za „pierwszego wśród równych”. Rubryka „MA” jest równie długa, jak „WINIEN”. Rozbudowano rozgrywki, ale nie potrafiono przeciwstawić się przeróżnym zjawiskom negatywnym, w tym jawnym przekupstwowi. Za dużo przyszło do naszego futbolu karierowiczów, zwykłych handlarzy punktami i spaczoną moralnością, niewiele do powiedzenia w sprawach merytorycznych ma pion szkolenia. A Wydział Sędziowski? Brak tam teraz takich asów, jakimi niegdyś byli: Aleksandrowicz, Bukowski, Fronczyk, Kowal, Mytnik, Majdan i choćby obecny szef arbitrów, Stanisław Eksztajn. Jesteśmy też kopciuszkiem we władzach europejskiego i światowego piłkarstwa.

Gorzkich słów prawdy przekazałem delegatom na Walne Zgromadzenie znacznie więcej i żadne z nich nie pozostały bez echa. Goście Zjazdu: przewodniczący GKkFiT – Bolesław Kapitan i nowy prezes Polskiej Federacji Sportu – Marian Renke też mocno podkreślali, że PZPN – to praktycznie połowa naszego sportu i z tego względu jego wizerunek wpływa na pozostałe dyscypliny. W podtekście wyczułem, że... źle. Ustępujący prezes PZPN, Jan Maj w swoim wystąpieniu nie bronił Związku i – ku mojemu zadowoleniu - raz po raz cytował moje krytyczne

spostrzeżenia i myśli. Niewiele mu to pomogło, raczej zaszkodziło, bo pożegnał się z prezesurą. Nowym szefem PZPN został Edward SZNAJDER, były prezes polskich szermierzy. Pion szkolenia utrzymał Henryk Loska, a funkcję sekretarza generalnego przejął Zygmunt Buhl, niegdyś wybitny lekkoatleta. Przed PZPN stanęły wysokie zadania. Czy ta ekipa im podoła?

– Trudne zadania pasjonują – powiedział w swoim wystąpieniu nowy prezes. – Poparte wiedzą, fachowością i kompetencjami są w stanie nadal rozślawiać polski futbol w świecie. To najlepszy ambasador. Jednak trzeba przepędzić z naszego środowiska ludzi małego ducha, wszelkiej maści mącicieli, „speców” od omijania przepisów i nie widzącego nic poza czubkiem własnego nosa.

Wkrótce po jednym ze spotkań z prezesami Okręgowych Związków Piłki Nożnej prezes Edward Sznajder podpisał znamienity dla tamtych czasów komunikat:

...„Zarząd PZPN w trosce o dalszy rozwój piłkarstwa zobowiązuje wszystkich zawodników, trenerów i działaczy tej dyscypliny sportu do ścisłej współpracy w realizacji programu Uchwały Biura Politycznego KCPZPR, traktując ją jako podstawowy element naszej działalności. Program ten nabiera szczególnego znaczenia w świetle przygotowań do Igrzysk Olimpijskich 1980 roku”.

Treść i forma tego komunikatu jako żywo przypominały partyjne dyrektywy z lat pięćdziesiątych. Nasz sport nadal był mocno upolityczniony, a PZPN tylko na pokaz samodzielny. Tak głośno zapowiedziana „ściśła współpraca” związku z partią była zwykłym chwytem propagandowym. Bez sukcesu... Nasza reprezentacja przedolimpijskie eliminacje piłkarskie – szpetnie przegrała.

Wróćmy jednak na salę obrad Walnego Zgromadzenia. Tam również dyskutowano w duchu charakterystycznym dla „realnego socjalizmu”. Marian WYSOCKI z Katowic domagał się, by OZPN-om przywrócić osobowość prawną i dostosować „KARTĘ PIŁKARZA” do dzisiejszych warunków, a Henryk CELAK z Warszawy zauważył, że kluby wymknęły się spod kontroli i starają się tworzyć coś na kształt klubów zachodnich. W naszym ustroju jest to rzecz nie do przyjęcia. Poparł go Edmund SITEK z Bydgoszczy grząc, że w socjalistycznym sporcie nie może być mowy o „prawach pieniądza”. Dość przekupstwa i kaperowania!

Zostawiam te wystąpienia, trącające demagogią i księżycową filozofią bez komentarza. Bardziej zasługiwało na uwagę, już tradycyjnie pełne żaru i patosu wystąpienie Kazimierza Bukowskiego z Radomia. Skierował je bezpośrednio do przewodniczącego GKKFiT:

– Bolesławie Kapitanie, generale polskiego sportu, słyszałeś dobrze, co myślimy i mówimy o naszej ukochanej dyscyplinie sportu. Ty też mówisz, że jest najważniejsza, ale przecież wyraźnie przez władzę niedoceniana. Dała ci tyle medali: złote, srebrne, brązowe! A ty generale Kapitanie, co dla niej zrobiłeś? Budujesz sportową Polskę, ale nie piłkarską. Wciąż nie mamy własnego ośrodka szkoleniowego,. Widzisz to i nie grzmisz?!...

Walne Zgromadzenie PZPN 1976 przebiegało w sztywnej atmosferze i nie zawsze szczerzej. Sporo było obłudy. Mówcy prześcigali się już to w nadmiernych pochwałach, już to w śmiertelnie nudnej i nieprzekonującej samokrytyce. Takiej na pokaz! Dopiero Bukowski nieco rozweselił salę. Tak robił zawsze. Często zupełnie zagubieni delegaci pytali z otwartymi gębami: – *Czy już przemawia Bukowski?* Do tej pory zaglądali do kieliszków, teraz porzucali nawet niedojedzoną golonkę lub flaki, nie

dopijali kawy, herbaty. Pędzili na salę obrad. Także ja z Motoczyńskim, ukryty w sali bilardowej ówczesnego CRZZ, przerywałem którąś tam z kolei partyjkę w „amerykanke” lub „piramidkę” i pędziłem posłuchać „panabukowskich oracji”. W drodze jeszcze pokrzykiwałem:

– Szybciej panowie! Kończy się oficjalna galówka, nastrój nudnej akademii, a zaczyna się wesoły występ „jednego aktora”.

Mikrofony działały. Już z dala słychać było pogodny głos pana na piłkarskich włościach Radomia. Ożywiał monotonię i smutek, ośmieszał żale na pokaz znacznej części delegatów i od lat te same najczęściej puste deklaracje sportowej władzy. Jak wytrawny satyryk kłuł ostrzem krytyki dowcipnie, nie ukrywał niezadowolenia z wygodnictwa biurokratów z GKKFiT, ganił kierownictwo PZPN za chroniczny brak sukcesów. Dowcipkował też z marzeń o potędze, kontrastujących z nieudolnością w codziennej działalności. Na Sejmiku PZPN w roku 1976 zmienił jednak spojrzenie. Zwracając się przede wszystkim do swojego imiennika Górskiego, z rękami wysoko uniesionymi w górę, niemal ze łzami w oczach, powiedział:

– Dopiero teraz wiem, o co walczyłem przez pół wieku, czego pragnąłem i z czego jestem dumny. Dziękuję ci Kaziu za Wembley, dwie Olimpiady i radość z medalu na mistrzostwach świata. Ale szlag mnie trafia, że dotychczas nie zostałeś odpowiednio uhonorowany. Tyle dobrego zrobiłeś dla polskiego piłkarstwa i co z tego masz?! Słyszałem, tu dziś, w kularach tego wysokiego Zgromadzenia, że w poszukiwaniu lepszego chleba wybierasz się do Grecji. Jedź, niech cię Bóg błogosławi, skoro tego nie zrobił nasz generał sportu.

Kazimierz Bukowski nigdy nie przemawiał z kartki. Miał cudowny dar improwizacji, wenę wieszczą, barwne słowo i urokliwy styl twórcy. Jego

oratorskie popisy były swoistą klamrą w zupełnie innej tonacji, zamykały nieszczęsne, bojaźliwe wystąpienia większości delegatów. Zaraz po reaktywowaniu PZPN w grudniu 1956 roku równie barwnie i odważnie przemawiał Wacław Zatke z Łodzi. Później jednak wyraźnie dryfował ku konformistom. Bukowski wytknął to przyjacielowi publicznie:

– Wacusiu, byłeś kiedyś wielkim mówcą, lepszym ode mnie, nigdy nie czytałeś z kartki. Tego się od ciebie nauczyłem. A dziś mówisz tak, jakby ci to ktoś napisał i tak kazał referować. Przemawiasz jakbyś się kogoś lub czegoś bał... Dlaczego tak się zmieniłeś? Już nie jesteś sobą! Ja nadal mówię to, co mi nakazuje sumienie, dusza i serce Polaka, umiłowanie futbolu... Usiłowano mnie za to usunąć w cień, ale się nie poddałem. Jestem!

Kazimierza Górskiego już nie było. Zaraz po serii wykładów w Meksyku, tak – jak zapowiedział Bukowski, odleciał do Grecji. Znowu pracował w klubie i to nie w jakimś podrzędnym, tylko w Panathinaikosie Ateny, niedawnym finaliście Klubowego Pucharu Mistrzów Europy. Będzie go nam brakowało. Na szczęście, zostawił po sobie dobre wspomnienia, wskazał godnego następcę w pracy z reprezentacją, namaścił też wyróżniających się zawodników i szkoleniowców. Piłkarzem Roku 1976 został Henryk Kasperczak, Odkryciami Roku byli Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki, a Trenerem Roku po raz drugi z kolei – Leszek Jezierski.

W obu wypadkach wraz z red. Stefanem Grzegorzczakiem uczestniczyłem w uroczystości wręczenia „Napoleonowi” tego zaszczytnego wyróżnienia. Wielkich gali wtedy jeszcze nie było, ale Bale Piłkarza z naszej inicjatywy – owszem, już się zdarzały. W karnawale 1976 cała sportowa Łódź bawiła się w restauracji „Centrum”, a w 1977

w Łódzkiej Hali Sportowej. I tu i tam było miło i wesoło, towarzystwo znakomite, nie gorsze niż podczas Balu Mistrzów Sportu w stołecznej „Kongresowej”. Tu też nikt za kołnierz nie wylewał. Laureat trzymał jednak fason. Jak przyjął kolejne wyróżnienie?

– „Syrenka” dla Najlepszego Trenera Roku... To nieczęsto się zdarza. A jaka konkurencja?! Zientara, Żmuda, Strejlau, Gałeczka, Kostka, Hajdas... A jednak szczęście znowu uśmiechnęło się do mnie. Trochę cierpi z tego powodu rodzina, żona Henia i syn Leszek, ale tego nie okazują. Są wyrozumiali i serdeczni. Jednak bez entuzjazmu przyjęli moje przejście z Widzewa do ŁKS.

– Zmieniłeś klub na przekór najbliższym?

– Nie, po prostu wróciłem do ukochanego klubu. Poza tym uznałem, że w Widzewie niewiele już wskóram. Tam za bardzo wszyscy się do siebie przyzwyczailiśmy, aczkolwiek z działaczami nie miałem żadnych kłopotów i sporów. Każdy robił swoje: Sobolewski, Wroński, Machciński i ja też. A wiem, że w naszym piłkarstwie nie wszędzie przestrzegana jest zasada racjonalnego podziału pracy i reguła „*właściwy człowiek na właściwym miejscu*”. W ŁKS-ie – jak na razie – każdy robi swoje. Chciałbym tu przeżyć takie chwile radości, jak niedawno Michał Matyas i Andrzej Zientara po udanych występach Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych...

SZOPKA MISTRZA MĘTRAKA

Powoli zegnaliśmy burzliwy w piłkarstwie 1976 rok. Na swój sposób w tygodniku „Piłka Nożna” uczynił to również nasz stały felietonista Krzysztof Mętrak. Nie uważał się za poetę, ale ważkie myśli potrafił też

wyrazić w zręcznych rymach. Jego szopka piłkarska mocno poruszyła środowisko. Był jednak w swoich ocenach, krytyce i pochlebstwach sprawiedliwy. Tak wyobrażał sobie reakcję Kazimierza Górskiego na pożegnanie z reprezentacją:

Czas nakręca zegary,
droga pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na tej drodze
ocalić od zapomnienia.
O dawny czasie, przecudny raj,
jak cudotwórca zakwitłem w Maju.
Od razu słońce, a teraz w cień już,
jam był naturszczyk, a Gmoch – prawie geniusz.
Co na to Jacek Gmoch?
Tajemnic, prawdy jestem mag
i zdrowia życzę wszystkim tak
aż w piąty pójdzie.
Bo wiedzie mnie w horyzont czas
i wierzę w wagę moich lat
i w mój horoskop.
Na swoich wykresach miewam wiedzę super,
że dostanę w kuper mówi mi komputer.
Z teorii prawdopodobieństwa czasem mi wynika,
że nie mam w kadrze gracza ponad kierownika.
Więc dyrektor Górzyński będzie wahadłowym,
moją tajną bronią...
Przeróżne pomysły Jacka Gmocha: organizacyjne, szkoleniowe,

kadrowe, koleżeńskie z rezerwą przyjmował trener Ryszard Kulesza, ale...

Ja- Kulesza – do Gmocha się nie mieszam,
najlepiej jest mi w cieniu,
choć wcale nie jestem leniuch.

Gdy mi ciebie zabraknie,
będę musiał wyjść z cienia.

A w argentyńskim tangu
tak pięknieją marzenia...

Głośne w roku 1976 było przejście Andrzeja Szarmacha z Górnika
Zabrze do Stali Mielec. To również podkreślił Krzysio w swojej szopce:

Woziciele teczek
strapili się bardzo,
żadną za Szarmacha
sumą nie pogardzą.
Dał im przykład Ojciec Chrzestny
jak kupować mają.
Górnik, który wiele
drużyn już rozłupił,
potępił moralnie te niecne zakusy.
Morał z tej bajeczki
bezwzględny jak miłość,
kiedy jesteś słabszy
ugniesz się przed siłą.
Kiedy jesteś kiepski,
kiedy drżysz w posadach,
czepiasz się przepisów,
prawisz o zasadach.

Szopkę otwierał red. Stefan Grzegorzczak skromnym:

To zaszczyt pokazać się w szopce,
to mądrość – poczucie humoru mieć.

Witam wszystkich od futbolowych szlagierów...

a żegnałem ja, nieskromnym stwierdzeniem:

Żegnać już wszystkich powoli wypada.

Gdy wy będziecie wyrzekać, że pismo jałowe,
ja wam odpowiem tylko: „bo fachowe”.

To, co znawca wie – jest pewne,

więc wyjawię wam

mój plan zdradziecki,

oto rewelacyjny skład reprezentacji:

w bramce – Terlecki

w obronie – Terlecki

pomoc i atak – Terlecki...

Dobrego życzymy wszystkim, co w futbolu,

żeby do nas przyjeżdżali znowu z La Valletty,

żeby chociaż raz odwiedził mistrz Malty, Albanii,

ale w żadnym bądź wypadku

znowu mistrz Hiszpanii.

Żeby wszyscy, co przyjadą, byli pod Gmocha eskortą.

Wtedy Nowy Rok się uda,

stale będzie Porto.

Stary rok 1976, jeśli idzie o stan kadry narodowej, żegnaliśmy w zmiennych nastrojach. Z jednej strony wypadało się cieszyć, że wśród 10 najlepszych piłkarzy (zdaniem dziennikarzy „Piłki Nożnej”) znalazło się aż pięciu medalistów olimpijskich lub mistrzostw świata: Henryk

Kasperczak, Kazimierz Deyna, Władysław Żmuda, Andrzej Szarmach i Grzegorz Lato, zaś z drugiej poczuć się nieco zawiedzionym, że z „młodej fali” na tej liście pojawili się tylko Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki. „Dziesiątkę najlepszych” uzupełniali: Henryk Maculewicz, Zygmunt Kukła i Bogdan Masztaler. Nie dotrzymali im kroku Jan Tomaszewski, Jerzy Gorgoń, Antoni Szymanowski, Lesław Ćmikiewicz, Janusz Kupcewicz i Zygmunt Maszczyk – najlepszy w 1975 roku. Winni byli sobie sami...

Przygotowania do nowego sezonu 1977, w którym – oprócz gier towarzyskich – oczekiwały „biało-czerwonych” rewanżowe mecze z Portugalią i Cyprzem oraz dwa bardzo trudne mecze z Danią, rozpoczęto już w styczniu, a dokładnie pierwszego lutego kadra wyruszyła na zgrupowanie do Jugosławii, konkretnie w okolice Splitu w Chorwacji. Szczegóły tej wyprawy, zresztą jak cały plan przygotowań reprezentacji do eliminacji mistrzostw świata w Argentynie, znałem wyjątkowo dobrze, lepiej niż każdy inny dziennikarz. Na prośbę wiceprezesa PZPN, Henryka Loski, selekcionera Jacka Gmocha i przy pełnym poparciu red. Stefana Grzegorzcyka, objąłem bowiem w prezydium Wydziału Szkolenia funkcję społecznego sekretarza.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że moja rola w tym ważkim pionie ograniczała się do przygotowania zebrań, pisania protokołów i oficjalnych wystąpień na konferencjach prasowych. Były mi bliskie sprawy reprezentacji. Zakres moich obowiązków był dość szeroki, ambitny i – co ważne – mnie w pełni satysfakcjonujący. W PZPN-ie, a stało się to głównie za sprawą Jacka Gmocha, nie było wtedy etatowego kierownika wyszkolenia. Społecznie funkcję tę – z odpowiednim podziałem zadań i kompetencji – sprawowały teraz dwie osoby mgr Tadeusz Foryś i... ja. W

towarzystwie Ryszarda Koncewicza, Ryszarda Kuleszy, Jacka Gmocha, Mariana Bednarczyka, Wojciecha Skoczka i oczywiście Tadeusza Forysia i Henryka Loski pracę tę traktowałem jako wyróżnienie i nobilitację w środowisku. Nie byłem „zielony” w sprawach organizacji, szkolenia i selekcji, ale teraz mogłem to taniej „kupić” i drożej „sprzedać”. Byłem wewnątrz sztabu **„Jedziemy do Argentyny”**.

Sprawy reprezentacji, pilotowane przez sekcję Jacka Gmocha i jego zaufanych – Wojciecha Skoczka, Wiesława Grabowskiego i Macieja Górzyńskiego – powoli, ale systematycznie urastały do rangi „państwa w państwie”. Patrzyliśmy na to z niepokojem. Najbardziej bolało to trenera Koncewicza. Miał żal głównie do wiceprezesa Henryka Loski, że – to cytata z protokołu prezydium Wydziału – „w nadmiernym stopniu skupia uwagę na problemach pierwszej reprezentacji, w pewnym stopniu dublując nawet zadania jej kierownika. A przecież na drużynie narodowej nie zaczyna się i nie kończy polskie piłkarstwo. Konieczne jest szersze spojrzenie na sprawy krajowego futbolu. Sekcja reprezentacji i tak jest rozbudowana do rozmiarów w przeszłości niespotykanych. Tymczasem i tam jest spory bałagan. Bernard Blaut doniósł, że zginęła mu cała dokumentacja „banku informacji”. Buhl ma przeprowadzić dochodzenie.”

Mnie też nie za bardzo się to podobało, bo rzeczywiście zaniedbywano sporo innych obowiązków: trenerskich, młodzieżowych, lekarskich i piłkarstwa z niższych klas. Zwłaszcza Okręgowe Związki Piłki Nożnej wymagały pomocnej ręki PZPN. Jakiś dobry duszek podpowiadał, że – poza sekretarzowaniem w wydziale – powinienem zrobić coś jeszcze wyłącznie na własny rachunek. Wciąż żarzyło się we mnie romantyczne mierzenie sił na zamiary. Z działaczami przynoszonymi w teczkach do PZPN-u, głównie z ruchu młodzieżowego i pionu MSW nie miałem

jednak szans. Już raz przegrałem szansę kierowania sekcją młodzieżową. Na szczęście Wiesław Motoczyński, na początku lat siedemdziesiątych też odsunięty w centrali od kierowania pracą z młodzieżą, wrócił do korzeni – objął funkcję wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych w Warszawskim OZPN. Zaproponował mi przejęcie w stolicy pieczy właśnie nad komórką młodzieżową. Przyjacielowi się nie odmawia. Zapytałem jednak:

- Jaki jest cel tej nominacji? Doraźny czy długofalowy?...
- Jedno i drugie! – usłyszałem stanowczą odpowiedź.

O mojej roli „długofalowej” w WOZPN będzie jeszcze okazja pomówić w późniejszych zeznaniach „świadka koronnego”, tu ograniczę się do realizacji „celu doraźnego”. Warszawski OZPN w ciągu minionego dwudziestolecia (1957–1976) ani razu nie zdobył Pucharu Michałowicza. W pierwszej fazie bieżących rozgrywek też nie za bardzo wiodło się trenerom Waldemarowi Obrębskiemu i Witoldowi Stasiukowi. Ambicją obu była walka o tytuł, ale cel mocno się oddalił. Reprezentacja juniorów Warszawy wlokła się w ogonie.

Postanowiłem odnaleźć utracony czas. O pomoc poprosiłem szkoleniowców z dwóch zupełnie innych światów – Tadeusza Forysia, wtedy już starszego pana, emeryta, ale z dużym klubowym i reprezentacyjnym dorobkiem, twórcę głośnego w 1957 roku zwycięstwa „biało-czerwonych” nad ZSRR w Chorzowie i jeszcze zupełnie zielonego w sprawach trenerskich, jednak niesamowicie ambitnego – Mieczysława Broniszewskiego. Trafiłem w „dziesiątkę”, co wcześniej zdarzało mi się tylko w grach zręcznościowych i w zagrywkach przy stole bilardowym. Teraz bogini fortuna wzięła mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła również w rozgrywkach o Puchar Michałowicza.

Sukcesem była już forma okazanej pomocy ze strony Forysia i Broniszewskiego – całkowicie bezinteresowna, społeczna. Piłkarska młodzież Warszawy w pełni to doceniła. W stylu dotychczas niespotykanym wygrała wszystkie pozostałe mecze eliminacyjne i dojrzała do rozgrywki finałowej. Tu „fachowcy” z różnych okręgów, w tym również przedstawiciele Sekcji Młodzieżowej PZPN, zagięli na mnie parol. „Proroczo” stawiali w tej decydującej potyczce na reprezentację Wrocławia (występowało w niej kilku reprezentantów Polski juniorów), poza tym przed grą, w czasie meczu i podczas przerwy „puczali” rywali, jak pokonać „dzieci Warszawy”.

Robili to nieudolnie. Do reprezentantów stolicy mocniej przemawiały błyskotliwe uwagi magistra Forysia, ojcowskie profesora Motoczyńskiego i... moje, jak zwykle pełne patosu, niż do chłopców z Dolnego Śląska głosy nieporadnych doradców z całej Polski. Warszawa na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu w cuglach wygrawszy najpierw eliminacje grupowe, w finale pokonała gospodarzy 2:0. Zaraz potem reprezentacja Warszawy wywalczyła też Młodzieżowy Superpuchar w potyczce z mistrzem Polski juniorów Pogonią Szczecin. Rok później juniorzy Polonii zdobyli klubowe mistrzostwo Polski. Miałem dobrą rękę...

Zdobywałem nowe doświadczenia. Jacek Gmoch, jeśli idzie o politykę personalną, dotrzymywał słowa. Kadra narodowa była dla niego pojęciem płynnym, mocno akcentował, że droga do reprezentacji jest otwarta dla wszystkich ligowców. Wszakże pod warunkiem: muszą być w danym momencie najlepsi! Aktualnej wiedzy na ten temat miały dostarczać bardzo często organizowane konsultacje i... testy wydolnościowe. Nie wszystkim zawodnikom się to podobało, ale Jacek był

konsekwentny i stanowczy, nawet krnąbrnych medalistów z Olimpiady i mistrzostw świata potrafił przywołać do porządku. Doświadczyli tego na własnej skórze Jan Tomaszewski, Antoni Szymanowski i Jerzy Gorgoń. Zbigniewa Bońka z udziału w zimowym zgrupowaniu w Jugosławii wyłączyła choroba (zakaźna żółtaczka). Kadrowicze już w tej fazie przygotowań zaimponowali niezłą sprawnością fizyczną. Odradza się reprezentacja?

Wiążącą odpowiedź na to pytanie miał dać mecz o punkty z Danią w Kopenhadze. Siłę rywali znaleźliśmy już dość dobrze, wszak szef naszego „banku informacji” Bernard Blaut w czasie meczu Bułgaria – Dania zebrał o nich moc niezbędnych informacji. Był optymistą, nie ukrywam, że ja również, mimo że trener Duńczyków, Kurt Nielsen na moje pytanie w Sofii „kto wygra te eliminacje”, bez cienia wątpliwości odpowiedział:

- Jak to kto? Dania! Bo ma najlepszych piłkarzy w Europie...

Towarzyszyłem Blautowi w tej wyprawie do Bułgarii, jednak reprezentowałem tam redakcję „Piłki Nożnej”, a nie Wydział Szkolenia PZPN. Stąd na potrzeby redakcji moja rozmowa z selekcyjnerem Duńczyków. Był pewny siebie i swoich podopiecznych. Jednak nie zdołał nas „rozmiękczyć”. Spostrzeżenia Benia i moje były takie same – Danię nawet na jej terenie można pokonać! Zakładamy bowiem, że nasi zagrają tam równie dobrze, jak z Portugalią w Porto.

Jacek Gmoch pozostawał wierny swojej filozofii tworzenia reprezentacji: „każdy piłkarz ligowy jest potencjalnym reprezentantem”. W końcu marca 1977 roku zorganizował więc, co wielu szkoleniowcom wydało się pociąganiem ryzykownym, mecz typowo selekcyjny POLSKA A – POLSKA B. Głosy krytyczne zbył milczeniem, robił swoje. Tym razem upiekł nawet dwie pieczenie na jednym ogniu: poddał

reprezentacyjnej próbie 32 zawodników, a ludziom dobrej woli ułatwił przekazanie dochodu z tego widowiska (35 tysięcy publiczności!) na Społeczny Fundusz Budowy Centrum Zdrowia Dziecka. Kadra A utożsamiana ze składem na mecz w Kopenhadze rozgromiła kolegów z kadry B, mającej symulować reprezentację Danii aż 6:1. „Duńczycy” jednak źle zrozumieli swoją rolę, bardziej pomagali, niż przeszkadzali „Polakom”, stąd tak wysoki wynik. Najwięcej bramek zdobył Kazimierz Deyna. Jest w formie! To dobrze. Będzie jeszcze lepiej, jeśli w równie dobrej dyspozycji dołączy do niego Włodzimierz Lubański.

Omawialiśmy przebieg tego wydarzenia na zebraniu prezydium Wydziału Szkolenia. Gmoch nie ukrywał zadowolenia, jego opinię podzieliła większość obradujących, tylko trener Ryszard Koncewicz miał obiekcje:

– Jacek! – powiedział mocno akcentując każde słowo. – Gdybym ja był na twoim miejscu, to po tym, co zaprezentowali obrońcy obu zespołów, nie mógłbym spokojnie spać po nocach. Zespół B stracił sześć bramek, a ten A strzelił sobie samobójczego gola. Czy to normalne? Czy oni wszyscy byli trzeźwi?

– Spokojnie trenerze – odpowiedział Gmoch – bez insynuacji. Jestem dużo młodszy, tylu kłopotów co pan w przeszłości jeszcze nie przeżyłem, przeto nie muszę korzystać ze środków nasennych. Śpię dobrze. Wiem, co robię...

To wszystko, co dotychczas zrobił Gmoch, było tylko i wyłącznie... próbną konstrukcją. Kiedy stanie okazały gmach? Tylko konsultacje, gry kontrolne, fingowane mecze... Część wątpliwości usunął już wygrany mecz z Rumunią B w Płocku, bo tam w naszym zespole pojawili się wreszcie Jan Tomaszewski i Włodzimierz Lubański. Pogodny nastrój

ponownie zmąciła przegrana z Węgrami w Budapeszcie 1:2, ale lamentu nie było. Dziwił tylko brak stabilizacji, bo Gmoch wciąż eksperymentował. Raz Szarmach grał w pomocy, kiedy indziej Lubański był próbowany w drugiej linii, a teraz „Diabeł” przykuty do ławki rezerwowych. Który z nich zagra w Kopenhadze?

Generalną próbą przed pojedynkiem „biało-czerwonych” z Danią na Idraetsparken był mecz z Irlandią w Dublinie. Niestety, nie doleciał tam Lubański i znowu bez odpowiedzi pozostało pytanie: - Lubański czy Szarmach w środku napadu? Wątpliwości w pełni uzasadnione, bo z Irlandią nikt z tercetu Lato-Szarmach-Terlecki nie zdołał strzelić bramki. Ofensywna mizéria Polaków ucieszyła Kurta Nielsena, który z całym swoim sztabem zjawił się w Dublinie. Nadal był pewny siebie: - Schrapiemy Polaków w Kopenhadze, jak pieczone gołąbki...

Gmoch nie ukrywał, że bawią go te przechwałki. Wierzył w Lubańskiego.

- Już raz przekonałem oponentów, że powrót Włodka wpłynie pozytywnie na ogólną atmosferę w drużynie, podbuduje chłopców psychicznie. Rozdziobią Cypr, jak sępy padlinę! I tak się stało. Ale to był dopiero początek. Teraz Lubański też będzie strzelał bramki. Już w Kopenhadze! Zaskoczę tego pyszałka Nielsena – ripostował Jacek.

Wizja naszego selekcjonera w teorii być może marzycielska, nie pozbawiona też ciągotek mocarstwowych, jednak w praktyce okazała się realna i skuteczna. Włodek strzelił w Kopenhadze dwie bramki i Polska wygrała tę próbę nerwów 2:1. Potem przyszło gładkie 3:1 z Cyprem w Limassol i w nagrodę za dobrą postawę w pierwszej połowie sezonu – wyjazd do Ameryki Południowej. Taki rekonesans przed Mundialem w Argentynie to był dobry pomysł. Ale czy my na pewno tam będziemy?

Gmoch nie miał wątpliwości, jego zaufany Wiesław Grabowski z sekcji reprezentacji przebąkiwał nawet o szturmie na mistrzostwo świata. Wygrane w Limie z Peru 3:1 i w La Paz z Boliwią 2:1 mogły nawet na to wskazywać, ale po wpadkach z Argentyną i Brazylią przyszło opamiętanie. Obie gry nieudane – tu i tam 1:3! Tak kończyła się dla reprezentacji wiosna 1977. Jaka będzie jesień?

Zaczęło się od dwóch przegranych spotkań towarzyskich – z Austrią w Wiedniu 1:2 i z ZSRR w Wołgogradzie 1:4. Byłem z drużyną w tej historycznej „twierdzy Stalingrad”. Od tej strony wyprawa nad Wołgę była udana, zwiedziliśmy bowiem „sowiecką świętość” Kurhan Mamaia i na własne oczy zobaczyliśmy poharatany dom (celowo nie restaurowany), którego w bitwie stalingradzkiej nie mogli zdobyć Niemcy. To bardzo blisko Wołgi, najdłuższej rzeki w Europie. Ogromne nadbrzeże robi wrażenie niecodzienne. Natomiast gra naszej drużyny była fatalna, moim zdaniem znacznie gorsza, niż podczas pamiętnego 0:3 w roku 1957 w eliminacjach mistrzostw świata. Przegrał przede wszystkim Gmoch, znowu niesiony potrzebą eksperymentowania i sportowego kamuflażu. Bez Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Gorgonia, Deyny, Kasperczaka, Lubańskiego i Szarmacha takiego meczu wygrać nie można! Dziwna filozofia tworzenia drużyny.

Dwa tygodnie później z Danią w Chorzowie było jednak 4:1 dla Polski. Metamorfoza? Przede wszystkim mocno zmieniony, oczywiście na lepsze, skład naszej reprezentacji. Z potencjalnych kandydatów zabrakło tylko Szymanowskiego i Gorgonia. Bramki zdobyli: Deyna, Lato, Masztaler i Szarmach. Mocne uderzenie „starej wiary”. Teraz trzeba jeszcze co najmniej zremisować z Portugalią i Argentyna nasza! Łatwo nie było, między innymi dlatego, że znowu zabrakło Włodka.

Dobrze grał jednak nasz kapitan, Kazimierz Deyna, w 56 minucie strzelił bramkę (bezpośrednio z rzutu różnego), prowadziliśmy więc 1:0. Radość w naszych szeregach. Ale gdy w 61 minucie Manuel Fernandez wyrównał na 1:1, entuzjazm nieco osłabł. Zaczął się piłkarski horror...

Portugalczyki zagrali w Chorzowie lepiej, niż w Porto, rozsądnie taktycznie, także z większą ambicją i determinacją. Postawili wszystko na jedną kartę, wszak „urządzało” ich tylko zwycięstwo. Remis nam torował drogę do Buenos Aires. W końcowych minutach to „zwycięskie 1:1” zaczęło się wymykać. Scenariusz zbliżony do pamiętnego boju na Wembley. Gmoch, broniąc wyniku, w 83 minucie w miejsce zmęczonego Deyny, świadomie wprowadził do gry skuteczniejszego w defensywie Jana Erlicha. Nie zawiódł, a że wciąż świetnie grał stoper Żmuda, pewnie bronił Tomaszewski, satysfakcjonujący nas remis piłkarze utrzymali do końca! Mamy trzeci w historii PZPN awans do finałów mistrzostw świata. Kapelusze z głów przed Gmochem!

Jacek się cieszył, biegał od zawodnika do zawodnika i każdemu z osobna dziękował. Kazia Deynę ucałował, pocieszał, współczuł mu i przeproszał za chamskie zachowanie widzów. W cywilizowanym świecie piłkarskim takie rzeczy się nie zdarzają. Strzelca jedynej bramki dla Polski, jednego z najlepszych zawodników na boisku, kapitana drużyny ubranej w stroje narodowe, praktycznie przez całe spotkanie śląska publiczność wygwizdywała. Także wtedy, gdy zdobył bramkę i kiedy schodził z boiska. Obłąd! Jakaś paranoja. Kompleksy stolicy? Nienawiść do Legii? Brak poszanowania dla wybitnej jednostki? Czegoś podobnego w swojej długiej karierze dziennikarskiej nigdy i nigdzie na świecie nie przeżyłem. Deyna miał łzy w oczach, był moment, że chciał to wszystko rzucić i samotnie wracać do domu.

W podobnym tonie”w listach do redakcji” wypowiedziało się wielu czytelników „Piłki Nożnej”. Nie wszyscy! Pan Jan Marzec zamieszkały w Chorzowie przy Placu Świętego Jana w źle pojętej reakcji na mój tekst p.t. „**Niespokojne sny**”, złośliwie napisał: *„Nie chcę, żeby kibice czytali różne bzdury i na nich kształtowali swoje poglądy... To, że Deyna jest w całej Polsce bardzo niepopularnym piłkarzem, wie każdy... Do spadku popularności Deyny przyczynił się Gmoch, jego kolega klubowy. Starał się i stara zrobić z Deyny superpiłkarza, którym nigdy nie był i nie będzie. Po ostatnim meczu z Portugalią nie powinniście więc drukować listów nieobiektywnych, szowinistycznych, w których potępia się wszystko, co „chorzowskie”... Deyna łaski nie robi”...*

Jesień 1977 roku, choć krótka – bo zima przyszła wyjątkowo wcześnie – była dla piłkarstwa pogodna i radosna. To nic, że ostatnie mecze ligowe w końcu listopada i na początku grudnia, odbywały się w niecodziennej scenerii. Wszędzie śnieg, zamiecie, wichury, lód na boiskach, ale tylko w Mielcu narzekano na zły kalendarz. Podważono tym samym priorytet reprezentacji. Zgoła inaczej przyjęto taki rozwój wydarzeń w Krakowie i Warszawie. Wisła i Legia, które dawały do wszystkich reprezentacji najwięcej zawodników, wzniosły toasty za pomyślność drużyny narodowej, a same – mimo tak dużych świadczeń na rzecz PZPN, najwyraźniej zmierzały ku mistrzostwu Polski. Gmocha interesowała jednak przede wszystkim reprezentacja, a tu szczęście jakby zaczęło go opuszczać. Lato kontuzjowany, Szarmach daleki od formy z 1974 roku, dublerzy jeszcze za asami nie nadążają. Był już znacznie mniejszy żar w Jacka oczach: - *„Czy ja wiem – rozkładał bezradnie ręce – co jeszcze może się zdarzyć do czerwca 1978 roku?”*

W bardzo sympatycznym pojedynku ze Szwecją we Wrocławiu,

poza strzelcami bramek - Markiem Kustą i Kazimierzem Deyną z Legii, podobali się jeszcze Zbigniew Boniek z Widzewa i „odkryty” przez Gmocha Tadeusz Jakubczyk z Ruchu Chorzów. Mimo pochwał bossa, zagrał jednak w reprezentacji tylko dwa razy – pierwszy i ostatni! Zdecydowanie lepszy na tej pozycji był Henryk Maculewicz z Wisły. Po wygranej ze Szwecją, Gmoch był już w znacznie lepszym humorze. W Novotelu po kolacji rozdawał kibicom autografy, a Heniowi Losce i mnie po nocach czytał fragmenty książki Waltera Winterbottoma traktującej o cechach charakterologicznych trenerów. Anglik, który na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych sam był wybitnym szkoleniowcem, wymienił tu bodajże sześć czy osiem typów selekcjonerów. Jacek zastanawiał się, który z tych portretów najbardziej do niego pasuje. Partner, dyktator czy ciepła kluska?

– Żaden z nich! – Przekonywał Gmoch nas i samego siebie. Do mnie najbardziej pasuje „twórca” – i zacierał z zadowolenia ręce. Rodzi się nowy trzon zespołu. Młody, odważny!... Widzieliście, jakie postępy poczynił Kupcewicz? Powiedziałem mu po meczu ze Szwedami: - Oby tak dalej Januszkule! Wielka kariera przed tobą! Masz szansę na wyjazd do Argentyny...

Jacek tak zasmakował w przekonaniu „jestem twórcą”, że postanowił chwycić za pióro i tworzyć eseje o piłce nożnej. Najpierw sam, a nieco później wspólnie z red. Antonim Piontkiem, na łamach „Piłki Nożnej” przekazywał czytelnikom swoje mądrości. Przy wydatnej pomocy redakcyjnej Tadeusza Olszańskiego napisał też „ALCHEMIĘ FUTBOLU”.

...Piłka jest namiętnością współczesnego świata – rozpoczął swoje wywody. – Sam należę do tych ludzi, których opętała piłka nożna... Futbol

jest funkcją jednej z najbardziej naturalnych form ruchu człowieka, a mianowicie biegu. I oto mamy niezwykle proste współzawodnictwo. Bo każdy będzie chciał pierwszy dobiec do tej piłki, a także dalej i celnie ją kopać... Jest to ponadto najbardziej demokratyczny sport. Dostępny dla wszystkich. Niskich i wysokich, chudych i grubych. Każdy, bez względu na warunki fizyczne, może znaleźć dla siebie miejsce w tej grze.

Tu Gmoch nieco przesadził, zresztą w jego „Alchemii futbolu” jeszcze w „surowej wersji”, dostrzegłem sporo istotniejszych przejawskrawień, także faktów niezgodnych z obiektywną prawdą. Poznałem te „niedoróbki” od podszewki, bo Jacek właśnie mnie powierzył zrecenzowanie swojego dziełka. Z ochotą, przy tym bardzo poważnie, przystąpiłem do tego zadania. Autor zgodził się z większością moich uwag (a było ich sporo) i uwzględnił w wersji ostatecznej, przygotowanej bezpośrednio do druku. W kilku kwestiach Gmoch był jednak nieprzejednany, chciał być nowatorski i wizjonerski. Grę w piłkę nożną usiłował utożsamić ze „sztuką wojenną”, był też przekonany, że „futbol stanie się wkrótce grą halową”.

Zbyt ryzykowne wydało mi się również stwierdzenie, że w piłce nożnej „na sukces wpływa tylko 20 procent wyszkolenia technicznego, natomiast aż 50 stan psychiczny zawodników”. Jeśli idzie o taktykę jej przyszłość upatrywał w „grze górą”, bo „dołem za ciasno”. Optowałem za jednym i drugim rozwiązaniem, dostrzegłem też możliwość doskonalenia cech motorycznych, choć tu rezerwy ludzkie są już niewielkie. Raziły też u Gmocha mało precyzyjne opisy sposobu gry niektórych drużyn. Uważał na przykład, że „Dania nie ma wysokiej techniki”, ale... „bardzo dobrze wyprowadza atak pozycyjny. Jak to możliwe? – zapytałem. – Jacek upierał się przy swoim. Nie był w stanie mnie przekonać, bo bez dobrej

techniki, praktycznie nie ma dobrego ataku pozycyjnego.

W „Alchemii futbolu” autor starał się też dowieść, że znacznie łatwiej i przyjemniej być zawodnikiem niż trenerem. Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, sugerował, że rok pracy z reprezentacją Polski kosztował go więcej zdrowia, niż pięć lat gry na boisku. Takich myśli zaprezentował znacznie więcej. Zapowiedział, że w wyniku wzrostu umiejętności indywidualnych i zespołowych obrońców, będzie coraz trudniej zdobywać bramki, a spotęgowany nacisk na paraliżowanie akcji ofensywnych wpłynie ujemnie na widowiskowość gry. Pocieszał jednak, że sprzęt sportowy zacznie odgrywać coraz większą rolę w rozwoju piłkarstwa, a gdy powstaną kryte stadiony, elementy widowiskowości zapewne odżyją. O wszystkim jednak nadal będą decydować ludzie. Piłkarze przyszłości osiągną wysoką sprawność fizyczną, imponować też będą bogatą wyobraźnią.

W prezentowaniu swoich idei Jacek Gmoch daleki był jednak od dogmatów. Nie ustawał w poszukiwaniu prawdy, pytał: - Co jest najważniejsze w piłce nożnej cechy motoryczne, technika, taktyka czy nastawienie psychiczne? Długo optował za priorytetem stanu psychicznego zawodników. Jednak wraz z nabywanym doświadczeniem, zmieniał w tej kwestii zdanie. Tak opisał tę ewolucję w „Alchemii futbolu”:

... „W 1974 roku po mistrzostwach świata w RFN, opublikowałem na łamach tygodnika „Piłka Nożna” cztery artykuły, napisane wspólnie z publicystą tego pisma Antonim Piontkiem, poświęcone źródłom zwycięstw i porażek... Tytuły do poszczególnych artykułów wymyślił zastępca redaktora naczelnego „Piłki Nożnej” Jurek Lechowski, dziennikarz z dużą wyobraźnią, kiedyś pracował on w „Przeglądzie Sportowym”, słynął z „bombowych” tytułów i chcąc jak najlepiej sprzedać

nasze artykuły, opatrzył je bardzo sugestywnymi, świetnymi zresztą tytułami. Na końcu wyszło jednak z tego, że wszystkie cztery elementy są nie tylko najważniejsze, ale i jednakowo ważne”.

Ten wywód Gmocha bardzo mnie zadowolił i w jakimś stopniu nieco utemperował jego entuzjazm, jeśli idzie o rolę „nastawienia psychicznego”. Jest bardzo ważne, ale jakie mogłyby być tego efekty, gdyby nie na miarę potrzeb reprezentacji (stawiam to w takiej kolejności) były: technika, taktyka i szeroko pojęta kondycja fizyczna? Tym trzem „zgodnym boginiom futbolu” stan psychiczny zawodników niewątpliwie jest bardzo pomocny, tworzy czwartą znaczącą wartość, ale sam w sobie istnieć nie może. W piłkę nożną najpierw trzeba się nauczyć grać i odpowiednio przygotować organizm do wysiłku fizycznego. Dopiero wtedy wsparcie ze strony sfery psychicznej będzie najbardziej pomocne i pożądane. W zdrowym ciele, zdrowy duch...

Tak czy owak dotychczasową pracę Jacka Gmocha z reprezentacją i jego spojrzenie na współczesny futbol znałem z agendy rozpraw i pogawiedzi na łamach „Piłki Nożnej”. Przeprowadziłem więc merytoryczny wywiad z selekcjonerem, poprzedzając wyświechtaną inwokacją **„Jak ocenia pan swoją dotychczasową pracę w PZPN”**. Jacek znowu spojrzał na mnie z nieukrywaną złością:

– To już nie jesteśmy na ty?! Wstydzisz się bliskich kontaktów ze mną? Po blisko dwudziestu latach znajomości? Mów i pisz – Jacek!

W takiej właśnie tonacji przebiegła nasza rozmowa. Ukazała się w tygodniku we wtorek, a w piątek stała się przedmiotem dyskusji na zebraniu prezydium Wydziału Szkolenia. Zdania na temat zawartych tam treści były podzielone, ale Gmoch pozostawał przy swoim zdaniu. Wytknął Związkowi nie najlepszy styl pracy. Optował za większą

odpowiedzialnością i możliwością podejmowania decyzji przez pracowników etatowych. W ogóle sprawniejszą organizację i racjonalne zarządzanie, większe kompetencje i solidniejsze wykonywanie zadań uważał za niezbędne w codziennej pracy PZPN. Mocno podkreślił rolę Sekcji Reprezentacji, którą kierował. Pozbył się z niej absolwentów AWF, których – jak wówczas także wielu innych ludzi w PZPN (i nie tylko tam) – nazywał „magistrami od przysiadów”. Wypowiedział się też na temat szans naszych piłkarzy na mistrzostwach świata w Argentynie. Rozbić „wielką piątkę”: Argentyna, Brazylia, Holandia, RFN i Włochy – to był plan minimum. Wywiad miał charakter partnerski i sięgał daleko poza sprawy drużyny narodowej.

– To się powinno ukazać również w „Trybunie Ludu”. Niech na szczytach władzy partyjnej wiedzą, jak się teraz pracuje w PZPN. Nie ma tu miejsca dla obiboków! – przekonywał.

„GORĄCA LINIA” Z „BIAŁYM DOMEM”

Jacek serwował nam przeróżne pomysły, lepsze i gorsze, miewał też zmienne nastroje i humory. Był wielkim marzycielem. Jeśli zdołał „złapać słuchacza”, to godzinami potrafił przekonywać go do swoich idei. Ale myśl o powielaniu wywiadu w organie partyjnym wybiłem mu z głowy. Nie mieszajmy do tego polityki. Gmoch nie za bardzo się z tym zgadzał. Lubił popularyzować „dobrą robotę”. Ale od czasu do czasu w drażliwych sprawach lub takich, których „od ręki” nie mógł sam załatwić w PZPN, podobno szukał wsparcia na szczytach władzy. Uruchamiał „gorącą linię”. W Wydziale Szkolenia tego nie odczuwaliśmy, stąd słowo „podobno”, ale w codziennych kontaktach nieustępliwość Gmocha

doskwierała Zygmuntowi Buhlowi, wtedy sekretarzowi generalnemu PZPN. Któregoś dnia zwierzył mi się przy kawie z koniakiem:

– Z tą „gorącą linią” Gmocha z wierchuszką partyjną i rządową to gruba przesada. Jedna z gierk Jacusia...

– Co ty?! To niemożliwe!... Taki z niego lisek chytrusek?!

– A jednak... Ostatnio jakiegoś kolejnego życzenia Gmocha, fakt – niezbędnego dla reprezentacji, nie byłem w stanie załatwić. Nie ma tego w planie finansowym Związku – powiedziałem. – Zresztą od tych spraw jest sztab przygotowań do Mundialu. Jacek się wkurzył!...

– To ja zaraz dzwonię do KC, do sekretarza Żandarowskiego – zagroził – i szybko podszedł do telefonu. Śledziłem ruchy jego palców na tarczy, bo nie dowierzałem, że zrobi to, co mówi. Też znałem numer tego telefonu... Jacek blefował! Ale rozmawiał... Z kim? Spryciarz... Ja też nie w ciemną bitą. Zapamiętałem każdą cyferkę, sprawdziłem... Po drugiej stronie tej niby „gorącej linii” była Gmocha żona. Zachowałem tę „tajemnicę” dla siebie. Od tej pory jednak większość „pilnych spraw” Jacka załatwiałem wyłącznie w trybie służbowym...

Kolejnym pomysłem Jacka była zbiorowa obserwacja naszych pierwszych rywali, w grupie – już tych z puli finałowej w Argentynie: Meksyku, RFN i Tunezji. Szefem „banku informacji” był Bernard Blaut, ale Gmochowi wiedza ta nie wystarczyła. Benio miał się skupić głównie na zebraniu niezbędnych informacji o Tunezji, natomiast w „rozpracowaniu” reprezentacji RFN i Meksyku Gmochowi mieli pomóc doświadczeni trenerzy: Ryszard Koncewicz, Tadeusz Foryś, Ryszard Kulesza, Hubert Kostka, Henryk Apostel, dużo od nich młodszy Wiesław Grabowski i niektórzy działacze Wydziału Szkolenia: Henryk Loska, Wojciech Skoczek i... ja. Diety na hotel i wyżywienie zapewnione, dobry sprzęt,

w tym dyktafony najnowszej generacji. Pełny komfort i profesjonalizm. Nikt nie pytał, skąd Gmoch to wszystko wytrzasnął... Wiadomo tylko, że popierali go Sznajder, Tyrański i Piszek jeden z bogatszych biznesmenów z USA.

Obserwowaliśmy dwa mecze: RFN – Brazylia w Hamburgu i Hiszpania – Meksyk w Grenadzie. Moje zadanie było proste – ogólna ocena poziomu reprezentacji RFN i Meksyku, poza tym dokładna charakterystyka zalet i wad dwóch niemieckich pomocników Heinza Flohego i Rainera Bonhofa oraz rozszyfrowanie stylu gry Victora Rangela, środkowego napastnika z drużyny meksykańskiej. Pomijam tu detale, informuję tylko, że jeśli idzie o Flohego, to wtedy chyba jako pierwszy użyłem dziś tak chętnie powielanego określenia „przeszedł obok gry”, natomiast Rangela porównałem z klasą i sposobem gry Władka Dąbrowskiego z Legii Warszawa. Część tego opisu wykorzystałem oczywiście na łamach „Piłki Nożnej”, co – w odniesieniu do środkowego napastnika z Meksyku - nie spodobało się zakochanemu w latynoskim futbolu, Tomaszowi Wołkowi. Wyżej cenił Rangela, zaufał jego dobrej postawie w meczach z Haiti i Salwadorem. Porównał go ze słynnym Borją. W praniu wyszło na moje, w Argentynie Rangel grał słabiej, niż nasz Dąbrowski w polskiej lidze.

Obie wyprawy, do Hamburga i Grenady, pełne były dobrych i złych przygód. Tu i tam przyjmowano nas z wyraźną sympatią. Burmistrz Hamburga zaprosił całą ekipę na wystawny obiad, a jego ludzie ułatwili zwiedzenie dzielnicy St. Pauli, uważanej nie tylko przez Niemców za „targowisko próżności”. Natomiast hiszpańscy kibice wręcz zmuszali do degustacji wina i spożywania andaluzyjskich kulinarnych przysmaków. Tam był również czas na zwiedzanie u podnóża górskich łańcuchów

Sierra Nevada zabytkowego zespołu twierdz i pałaców Alhambra, o której w „Konradzie Wallenrodzie” Adam Mickiewicz pisał, że „bronila się z garstką rycerzy”. Hiszpanie przypomnieli nam, że tu właśnie przed wiekami sułtan Hassan kazał ściąć głowy swoim szesnastu synom z pierwszego małżeństwa.

Powrót z tych wojaży do kraju przypomniiał źle zorganizowany ruch partyzancki. Z Hamburga via Monachium niemal każdy z nas wracał innym samolotem. Długie oczekiwania na lotniskach. Jednak prawdziwą „drogę przez mękę” przeżyliśmy dopiero w Hiszpanii po opuszczeniu Grenady. Nie było miejsc w samolocie do Madrytu. Za część zaoszczędzonych diet wykupiliśmy więc bilety na najbliższy pociąg osobowy. Trasa piękna, egzotyczna, częste postoje, na stacjach moc sprzedawców, sceneria westernowa. Brakowało tylko napadu na tę hiszpańską ciuchcię. Na lotnisku Barajas w Madrycie, zmęczeni jak bezpieczne psy, błagaliśmy przedstawiciela LOT-u o jakiś rejs do Warszawy.

Podrzucono nas do Wiednia. Tam znowu kilka godzin oczekiwania. Piwo, piwo i jeszcze raz piwo! Nuda. Wykorzystałem ten kolejny przymusowy postój na pogaduszki z trenerem Ryszardem Koncewiczem. Tak wylewnego i sympatycznego jeszcze go nie widziałem. Przypominał swoją młodość, grę w I-ligowej Lechii Lwów, wyraźnie się rozmarzył. Opisał też swój udział w walkach w obronie oblężonej Warszawy w 1939 roku, pobyt w oflagu w Woldenbergu, a tam obozowe mecze i zgłębianie wiedzy piłkarskiej. Potem dramatyczny powrót do kraju. Chłodno, głodno i do domu daleko... Początki pracy szkoleniowej na Śląsku, klubowe sukcesy z Ruchem Chorzów, Polonią Bytom i Legią Warszawa, współpraca z Wackiem Kucharem, Reymanem i Krugiem, wreszcie lata

wzlotów i upadków w roli trenera-selekcjonera PZPN.

Ten człowiek zawsze ujmował mnie swoją niezwykłą osobowością, erudycją, kulturą, fachowością i skalą autorytetu. Teraz jednak jawił się również jako wspaniały gawędziarz i – co tu dużo mówić – w świetle tego, co usłyszałem, szkoleniowiec nie pieszczony przez los, historię i współczesność. Miał prawo być zgorzkniały i apatyczny. Nie dał tego po sobie poznać. Byłem wdzięczny wiceprezesowi PZPN Henrykowi Losce, że przywrócił „Fajce” sens wiary w ludzi, nawet w tych, którzy dość długo byli jego przyjaciółmi, uczniami, wychowankami, a teraz udawali, że go nie znają. Magister inżynier powierzając Koncewiczowi odpowiedzialną funkcję w Wydziale Szkolenia, uchronił naszego „profesora-profesorów” przed zapomnieniem. I namaścił! Wkrótce „Faja” został wiceprezesem PZPN do spraw szkoleniowo-sportowych. Właściwy człowiek na właściwym miejscu! Z jego opinią liczył się nawet Jacek Gmoch.

W roku 1977 sprawy reprezentacji narodowej i jej zmagania na drodze do Buenos Aires uznano w PZPN za najważniejsze. Po zwycięskich eliminacjach już w grudniu wszechstronnym badaniom specjalistycznym poddano 40 zawodników. W sumie w notesie Gmocha „kandydaci na Argentynę” znalazło się 75 piłkarzy. To absolutny rekord, bo nawet Kazimierz Górski, gdy sięgał po sławę w piłkarskim świecie, przetestował tylko 65 kandydatów do reprezentacji, ale aż 13 na pozycję libero. Po raz pierwszy w tym gronie znalazł się junior, Andrzej Iwan z Wisły Kraków. Wtedy chłopiec niewątpliwie najbardziej utalentowany. Gmoch stawiał na niego w takim samym stopniu, jak w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych Motoczyński i Foryś na Włodka Lubańskiego.

Jacek włączył Iwana do ekipy na zimowe zgrupowanie w Jugosławii i krótki wypad kadry do Kuwejtu. Andrzej strzelił tam kilka bramek, co

nie uszło uwadze dziennikarzy zagranicznych, zwłaszcza niemieckich. Gmoch starał się ukryć te wyczyny wiślaka, celowo i niewątpliwie z pewnym wyrachowaniem mówił, że to li tylko korzystny dla tego młokosa zbieg okoliczności. Musi się jeszcze dużo uczyć, aby dorównać starszym kolegom. Ale łowcy sensacji nie za bardzo w to wierzyli, nie bez podstaw pisząc, że „*Gmoch przygotowuje jakąś tajną broń i zamierza nią zaskoczyć rywali w Argentynie*”.

Jacek istotnie wiązał z talentem Iwana duże nadzieje na sukces w Argentynie, ale liczył się też z krajowymi potrzebami i realiami. Andrzej wciąż był juniorem, mocnym punktem tej najmłodszej reprezentacji, a właśnie w roku 1978 zaplanowano w Polsce zorganizowanie XXXI Turnieju UEFA. W naszych warunkach zawody piłkarskie niecodzienne i – jak dotychczas – największe. Junior z Krakowa miał być naszą sztandarową postacią w tej imprezie. Wiosną dołączył więc do młodszych kolegów, tracąc ze zrozumiałych względów szansę na występ w pierwszej reprezentacji w meczach z Luksemburgiem, Grecją, Irlandią oraz „olimpijczykami” Czechosłowacji i Bułgarii. Do ekipy na Buenos Aires wrócił dopiero po Turnieju UEFA.

Jednak zanim ten XXXI turniej odbył się w Polsce, rok wcześniej XXX – jubileuszowy UEFA zorganizowała w Belgii. Był to dla naszych działaczy swoisty poligon doświadczalny. PZPN w porozumieniu z Polską Federacją Sportu delegował tam dwóch naszych przedstawicieli, zastępcę sekretarza generalnego Stanisława Macieja Winczewskiego i społecznego sekretarza Wydziału Szkolenia, Jerzego Lechowskiego. Zamieszkaliśmy w centrum Brukseli, w Royal Windsor Hotel, dosłownie parę kroków od Gare Centrale i Grand Place, przy skwerze Duquesnoya. Tu urzędował sztab turnieju, tu kwatrowali też wszyscy dostojnicy UEFA i – co mnie

najbardziej interesowało – umiejscowiono biuro prasowe zawodów.

Tam właśnie, zaraz po dotarciu do Royal Windsor Hotel, skierowałem pierwsze kroki. Zabrałem ze sobą butelkę „Wyborowej”, puszkę konserwowej szynki, kilka lasek kabanosów i... zacząłem się bratać z europejską „czwartą władzą”. Belgowie za kołnierze nie wylewają, przeto kolejną flaszkę podrzucił dziennikarzom Maciek Winczewski. Rewanżowali się przyjaznymi uśmiechami, informacjami, kawą z ekspresu i piwem marki Amstel. Później tego bratania się z brukselską prasą było znacznie więcej. Udana inwestycja. Miałem zapewniony wstęp na każdy dowolnie wybrany mecz (za to w kraju zwracano pieniądze) i wygodny transport luksusowymi samochodami po szerokich i mocno oświetlonych autostradach. Piwo na trasie, przed grą i po meczach stawiali gospodarze. W Antwerpii, Charlerois, Brugii, Liege i oczywiście w Lokeren, gdzie znowu spotkałem się z Włodkiem Lubańskim...

Miałem też możliwość ponownego spotkania się z Louisem Woutersem, prezydentem Belgijskiej Federacji Piłkarskiej. Od pierwszego kontaktu minęło już prawie dziesięć lat, ale nadal znaliśmy się „nie tylko z widzenia”. W roku 1967 byłem gościem pana Woutersa na wystawnym śniadanku, a późnym wieczorem odbierałem od niego gratulacje za rewelacyjny występ „biało-czerwonych” na Heysel. Przypomnijmy: Brychczy, Gmoch, Piechniczek, Lubański, Żmijewski i ich partnerzy wygrali tam 4:2! Teraz prezydent Belgijskiej Federacji dawał nam do zrozumienia, że udział w turniejach UEFA stwarza działaczom i trenerom możliwości poznania wszystkich najnowocześniejszych kierunków i tendencji w rozwoju piłkarstwa młodzieżowego.

Mnie interesowało głównie funkcjonowanie biura prasowego i nowości szkoleniowe. Trenerem nigdy nie byłem, jednak pobyt w Brukseli

wykorzystałem (właściwie zaproponował to Wydział Szkolenia PZPN) również dla celów szkoleniowych. Zaraz po moim powrocie z Belgii z inicjatywy wiceprezesa Henryka Loski i przewodniczącego komisji młodzieżowej Mariana Bednarczyka zorganizowano w Mielcu naradę dla trenerów pracujących z młodzieżą. Tematów było mnóstwo, mnie powierzono omówienie jednego z nich „**Uwagi o XXX Turnieju UEFA juniorów**”. Sporo spostrzeżeń w tej materii przekazałem zainteresowanym również na łamach tygodnika „Piłka Nożna”, ale nad Wisłoką sprawę potraktowałem znacznie szerzej.

Obserwowałem w swojej karierze dziennikarskiej kilkanaście turniejów UEFA, mam więc sporą skalę porównawczą, jeśli idzie o kierunki rozwoju piłkarstwa i ewolucje w taktyce. W Belgii najlepsze zespoły preferowały ofensywny styl gry, ale miały też dobre formacje obronne. Grano „wszystkimi siłami”. Nadal obowiązywała zasada zachowania odpowiedniej równowagi między atakiem, a obroną. Większość zespołów stosowała ustawienie wyjściowe $1 + (1+3)+3+3$, ale w niektórych meczach próbowano już wariantu $1+3+(1+3)+3$, a więc trzech obrońców i czterech pomocników. Ustawienia $1+(1+3)+3+3$ czołowe zespoły nie traktowały jako „systemowego tabu”. Był to tylko schemat wyjściowy, później – w zależności od aktualnego wyniku następowały zmiany pozycji. Niemcy na przykład, gdy wynik był dla nich korzystny, mieli w przodzie tylko dwóch zawodników, a gdy przegrywali, trener Helmut Widmayer kierował do ataku nawet czterech graczy. Jeśli udało się osiągnąć cel, natychmiast wracano do ustawienia $1+(1+3)+4+2$.

Sporo miejsca poświęciłem stałym fragmentom gry. Już wtedy dobre ich wykonywanie dość często przesądzało o wyniku meczu. Przy rzutach z rogu zazwyczaj uczestniczyli obaj środkowi obrońcy drużyny atakującej.

Rzuty wolne niemal każdy zespół egzekwował inaczej: decydowała pomysłowość, technika uderzenia i elementy zaskoczenia. Poziom zawodów był zróżnicowany. Najbardziej jednak zawiodły reprezentacje: Jugosławii, Anglii, Holandii i Włoch, a więc zazwyczaj przysłowiowe „koło napędowe” każdego turnieju UEFA. Wydolnościowo najlepiej prezentowały się: Bułgaria, Belgia i ZSRR.

Jak w tym świetle należało by ocenić umiejętności naszych juniorów? Są słabsi technicznie – to wada podstawowa. Później trudno to odrobić: przyjmowanie piłki zewnętrzną częścią stopy, stosowanie zwodów, grę pod pressingiem, a także poprawne wykonywanie wślizgów i już tradycyjnie złe uderzanie piłki głową. W taktyce obowiązuje w Europie zasada nieustępliwej walki w środku boiska, nie ma tam „ziemi niczyjej”. Każdy chce się tu jak najdłużej utrzymać przy piłce. Celowali w tym Anglicy, Niemcy i juniorzy ZSRR. Nieco więcej swobody w tej strefie boiska dawali rywalom Belgowie. Świetnie czuli się w kontrataku.

Czy przed XXXI Turniejem UEFA, który w roku 1978 odbędzie się w Polsce, zdołamy odrobić choćby część dystansu dzielącego naszych juniorów od europejskiej czołówki? Trzeba położyć większy nacisk na kształtowanie wszechstronności w wyszkoleniu. Gramy zbyt jednostronnie i defensywnie. Tymczasem w Belgii przeważa styl ofensywny, nie było murowania bramki. Turniej UEFA jest imprezą dla najlepszych – słabsi, niedouczeni technicznie i taktycznie odpadają już we wstępnych eliminacjach. W puli finałowej kondycja potrzebna jest na pięć spotkań. Młodzi są prekursorami zmian w taktyce. Libero zaczyna się pojawiać również w drugiej linii. W napadzie coraz wyraźniej zanika tradycyjna funkcja środkowego napastnika. Natomiast wzrasta rola skrzydłowych. W pewnych fragmentach gry ich zadania coraz częściej

przejmują skrajni pomocnicy lub boczni obrońcy. Nasila się wymiennosc funkcji.

Uczestnicy narady w Mielcu przychylnie ustosunkowali się do moich spostrzeżeń. Spotkanie zakończyło się wspólnym obiadem. Były toasty. Wesoły był więc powrót do domów. Niektórzy odczuwali jednak potrzebę kontynuowania tak pięknie rozpoczętego dnia. Przewodniczący sekcji młodzieżowej był tu najaktywniejszy. Zarządził postój w Radomiu. Kierowca „Mirafiorii” podjechał pod restaurację „Europa”. Dzień powszedni, mimo to ludzi pełno. Wszystkie stoliki zajęte, miejsca brak. Gra orkiestra. Atmosfera zachęcająca, ale piekli się Loska:

– Szkoda czasu, wracamy do domu!...

– Tylko bez nerwów. Tak?!.. Marianek prosi o spokój. Tak?! Zaraz wszystko się załatwi, tak! – zapewniał Bednarczyk. – Hallo, kelner! Zawołajcie mi tu kierownika! Powiedzcie, że pułkownik go wzywa...

Marianek lubił szarżować i podkreślać swoją uprzywilejowaną pozycję w każdym towarzystwie, choć wzrost go do tego nie upoważniał. Był pułkownikiem MSW, konkretnie naczelnikiem w Biurze Ochrony Rządu. Jednak ani razu nikt z nas nie widział go w mundurze. Chyba dlatego, że był niższy od Napoleona, a tuszą dorównywał sierżantowi Garcia ze „Znaku Zorro”. „Chody” miał jednak typowe dla tamtych czasów. Znalazł się dodatkowy stolik tuż przy orkiestrze. Przygrywała do tańca tak głośno, że aż uszy pękały. Nie lubię takich hałasów. Pytam więc kapelmistrza, czy nie mogliby grać trochę ciszej. Udał, że nie dosłyszał. Pytam więc jeszcze raz:

– Czy mogę prosić o jakąś spokojniejszą melodię nie koniecznie do tańca? Zapłacę...

– To kosztuje sto złotych! Jest jakieś konkretne zamówienie?

– Jest... A gdybym poprosił o dołączenie do melodii życzeń dla wskazanej osoby?...

– To druga „stówa”!

Przystąpiłem na te warunki, sięgnąłem po portfel, przygotowałem kasę i... na cieniutkiej serwetce spisałem życzenie. Kapelmistrz dał stosowny znak perkusiście, a ten z fantazją trzasnął w miedziane czynele. Coś się dzieje? Muzyk czyta, goście słuchają:

...Dla syna Ziemi Radomskiej, pułkownika Mariana Bednarczyka, który w czasie niemieckiej okupacji był tu partyzantem i życie narażał po to, abyśmy dziś mogli się tu dobrze zabawić, pojeść i popić, tę oto melodię wraz z najlepszymi życzeniami, przesyłają koledzy z Mazowsza.

Z kącika, gdzie dotychczas hałasowała orkiestra, popłynęły smutne tony pieśni chłopców z lasu: *„My ze spalonych wsi, my z głodujących miast. Za ból, za krew, za lata też, już zemsty nadszedł czas”*... Marianek nie dostrzegł w tej „zagrywce” żadnego podstępu. A powinien, bo przed rokiem właśnie w Radomiu władza, o którą walczył, zgotowała protestującym robotnikom nieludzkie „ścieżki zdrowia”. Bednarczyk usłyszawszy swoje nazwisko i słowa uznania za konspiracyjną działalność, zerwał się z krzesła, wyprostował, uśmiechnął i zaczął się wszystkim nisko kłaniać. Cisza, nikt nie klaszcze. A Marianek wciąż się kłaniał, kłaniał, kłaniał...

Działacze centralnych władz sportowych i piłkarskich od dawna upatrywali we mnie kandydata na rzecznika prasowego. Także nowy prezes PZPN, Edward Sznajder nieśmiało zapytał, czy nie podjąłbym się tej społecznej funkcji. Rychło zorientowałem się, że ten niefortunny pomysł podsunął prezesowi Henryk Loska. Co mu strzeliło do głowy? Grzecznie odmówiłem. Jednak z racji funkcji sprawowanej w Wydziale Szkolenia nie mogłem odmówić pieczy nad biurem prasowym. W

ten sposób stałem się jednym z członków Centralnego Komitetu Organizacyjnego odpowiedzialnym za informacyjną i medialną stronę XXXI Turnieju UEFA. Wykorzystałem tu doświadczenia zdobyte przed rokiem w Belgii.

Przygotowanie naszej reprezentacji do XXXI Turnieju UEFA dość niespodziewanie powierzono trenerowi, Edmundowi Zientarze. „Niespodziewanie”, bo dotychczas pracował wyłącznie z seniorami w Legii, Pogoni Szczecin i Stali Mielec, wszędzie zresztą osiągając znaczące sukcesy. Kontakty Zientary z piłkarską młodzieżą ograniczały się wyłącznie do czasów, kiedy sam był juniorem i... nazywał się Andrzej Szczepański. Jego partnerem w reprezentacyjnym zespole był wtedy (Jak to dawno? – W roku 1947!) Ryszard Kulesza. Asystentem „Andrzeja” był teraz już dobrze obeznany z pracą z juniorami Henryk Apostel. Co wywalczą? Choć zarząd PZPN nie wymagał od nich zwycięstw za wszelką cenę, w Wydziale Szkolenia postanowiliśmy sprawę jasno: – *Macie przebić „Portugalczyków”!. A więc zdobyć złoty medal...*

Nie były to mrzonki, pomysły chorej wyobraźni, mierzenie sił na zamiary. Wielu kandydatów do reprezentacji juniorów miało już za sobą udane debiuty w I lidze, Andrzej Iwan nawet w kadrze narodowej. Dobry rocznik, chłopcy utalentowani. Aż 8 z nich: Jacek Kazimierski, Andrzej Buncol, Krzysztof Baran, Kazimierz Buda, Andrzej Iwan, Mirosław Pękala, Andrzej Pałasz i Piotr Skrobowski występowało później w pierwszej reprezentacji Polski. A przecież równie dobre, jak oni – „papiery” na grę w piłkę nożną mieli: Marek Chojnacki, Krzysztof Kajrys i Joachim Hutka. Na własnych boiskach najpierw w grupie eliminacyjnej łatwo powinni sobie poradzić z Hiszpanią, Turcją i Anglią, a potem zwycięsko przebrnąć przez półfinał i finał.

Za najgroźniejszych rywali w tej grupie uznaliśmy Anglików. Przed rokiem w Belgii nieco zawiedli, odpadli już w eliminacjach, ale głównie dlatego, że w ich szeregach było sporo chłopców o rok młodszych. W tej kategorii wiekowej to dużo. Przygotowywano ich do następnego występu właśnie w Polsce. My albo Anglicy! Innego rozwiązania nie przewidywaliśmy. Trzon zespołu angielskiego poznałem już w Belgii.

– Śledź ich dalej! – postanowiono w Wydziale Szkolenia.

Nawiązałem więc ścisły kontakt z byłym bramkarzem Wisły Kraków Stanisławem Gerulą, żołnierzem II wojny światowej, uczestnikiem bitwy pod Monte Cassino, teraz na stałe mieszkającym w Londynie. Był kopalnią wiedzy o młodych Anglikach. Informacje uzyskiwane drogą telefoniczną i listowną jednak nie wystarczały. Trzeba tych Anglików zobaczyć na własne oczy i sfilmować! Staś Gerula zawiadomił, że właśnie wybierają się do Paryża na towarzyski mecz z juniorami z Francji. Ktoś z nas musi tam pojechać i zabrać ze sobą operatora z COS-u. Kto? Trenerzy zajęci przygotowaniem zespołu. Więc kto? Padło na mnie. Jakimś cudem o moim pobycie we Francji dowiedział się grający tam teraz Roman Jakóbczak z Lecha Poznań. Zaprosił na wędrowną nie tylko po „paryskim bruku”. Piliśmy dobre francuskie wino.

BALANGA JUNIORÓW NA TURNIEJU UEFA

Nasz zespół w czasie turnieju zakwaterowano w hotelu przy Stadionie Śląskim. Tam właśnie głowiłem się ze szkoleniowcami jak pokonać młodych Wyspiarzy, bo Turków i Hiszpanów – jak zapewniał Bednarczyk – „wciągniemy nosem”. Pierwszy mecz na obiekcie AKS Chorzów, pamiętającym czasy, kiedy klub – pupil huty „Kościuszko”

był w I lidze, gramy właśnie z Hiszpanią. Atmosfera dużego święta, mnóstwo kibiców, ale czujemy się dziwnie nieswojo. Na Śląsku w podobnych sytuacjach z głośników z reguły witały gości „Karolinka” i „Szła dziewczeczka do laseczka”. Teraz na AKS-ie rozbrzmiewają tylko hiszpańskie rytmy.

– Kto to wymyślił?! – pytam zdesperowany. – Gramy w Madrycie czy w Chorzowie? Hiszpanie się cieszą, a nasi chłopcy są jacyś pogubieni. Może być kiepsko...

Wykrakałem, Hiszpania wygrała 2:1. Grobowa cisza, tylko Marianek ryczy jak zraniony dzik. Splendor wymyka mu się z rąk. Teraz mecz z Anglią. Jeśli znowu przegramy lub zremisujemy, żegnaj medalu! Chłopcy do domu, a Bednarczyk niech przygotowuje prośbę o dymisję. Zientara uratował jednak stołki wielu działaczom, a zawodnikom ułatwił dalsze kariery. Do meczu z Anglią Polacy przystąpili mocno skoncentrowani i z ogromną wolą zwycięstwa. Atuty rywala znali. Ale czy to wystarczy? Samemu trzeba mieć jeszcze taki dobry dzień, jak Jan Tomaszewski przed pięcioma laty na Wembley. Udało się, Anglia na kolanach. Jak najbardziej zasłużone 2:0! Potem było jeszcze trochę kłopotu w ostatnim meczu z Turcją, ale wszystko dobrze się skończyło. Teraz półfinał z ZSRR...

Sąsiedzi ze Wschodu mieli dobrą drużynę, brylował w niej napastnik Wiktor Taran, którego dużą klasę poznałem już przed rokiem w Brukseli. Był to jednak zespół do pokonania. Dlaczego więc wygrał 2:0? Ułatwiły mu to „grzechy młodości” naszych nieopierzonych reprezentantów. Awans do półfinału zakończyli huczną libacją we własnym zaufanym gronie. Młodość musi się wyszumieć, ale w odpowiednim miejscu i czasie. Balanga na Stadionie Śląskim była bardzo złym pomysłem. Trener Zientara zaskoczony, tylko Marian Bednarczyk wyniuchał ten

„konspiracyjny bankiet”, ale zachował to w tajemnicy. Balował też Andrzej Iwan, pewniak Gmocha na Mundial w Argentynie. Prezes PZPN Edward Sznajderr i wiceprezes Henryk Loska mieli niezły orzech do zgryzienia. Powiadomić selekcjonera czy nie?

Gmoch nie zawracał sobie głowy takimi detalami. Iwan poleciał do Buenos Aires. Juniorom uciekł jednak finał sprzed nosa. Trener Zientara, nieświadomy nocnych wyczynów niedojrzałej młodzieży, kilka godzin po tej libacji, dał chłopcom mocno w kość. Niektórym ciemno robiło się w oczach...

– Mam żal do kierownictwa PZPN – powiedział Zientara – że ukryto przede mną to wydarzenie. Wyszedłem na głupka i przegranego... Traktowałem chłopców poważnie, nie przypuszczałem, że mają aż tak zielono w głowach... W meczu z „ruskimi” byli ociężali, dreptali po boisku. Nie mieli tej werwy, świeżości i ochoty do gry, jak w meczach z Anglią i Turcją. Nieświadomy dobiłem ich na treningu. Odżyli dopiero w meczu o trzecie miejsce, podjęli walkę i pokonali Szkotów 3:1.

Główny sztab XXXI Turnieju UEFA mieścił się w krakowskim Novotelu. Wikt i opierunek na miarę polskiej gościnności i sarmackich tradycji: „**Zastaw się, a pokaż się!**”. Było wszystko: wykwinne jadło i picie, wygodne spanie, przyjęcia dla VIP-ów, wycieczki i... prezenty. Z niedowierzaniem, ale i zadowoleniem kręcił głową twórca tych turniejów Anglik, sir Stanley Rous. Podobały mu się zwłaszcza nasze kryształły. W Nowym Sączu na życzenie gości nawet w niedzielę za twardą walutę w Pewex-ie sprzedawano przepiękne wazony. Najwięcej radości sprawił żonie szef komisji sędziowskiej UEFA, Austriak Friedrich Seipelt. Koneser kryształów, wykupił prawie wszystkie. Wina chętnie degustował Renato Orlando z sekretariatu generalnego UEFA, a Kosta Popovic z

Jugosławii (ten to lubił się zabawić!) pytał, kiedy zorganizuję przyjęcie dla dziennikarzy zagranicznych.

Kłopotliwe pytanie. Żurnalistów zjechało do Polski nadspodziewanie dużo, znacznie więcej niż wydaliśmy akredytacji. Reprezentowali wszystkie znane redakcje ówczesnego obozu socjalistycznego, ale nie brak też było dziennikarzy piszących i mówiących z: Anglii, Belgii, Hiszpanii, Holandii, RFN, Norwegii, Portugalii, Szkocji, Turcji i Włoch. Najliczniej swoje agencje i pisma sportowe oraz radio i telewizję reprezentowali Niemcy z NRD i RFN oraz Włosi. „La Gazzetta dello Sport” i „Corriere dello Sport” wysłały do Polski po kilku przedstawicieli. Organ bułgarskiej fizyki, „Naroden Sport” z Sofii tradycyjnie już firmował Dymitr Popdymitrow, ten sam, z którym w roku 1959 na stadionie Spartaka Płowdiw grałem w jednej drużynie dziennikarzy Europy przeciwko trenerom. Przypominam, był tam remis 3:3.

Przeżywałem istne męki Tantalą, zaczęła boleć głowa. Co, kiedy i jak mam odpowiedzieć na zobowiązujące pytanie Kosty Popocicia. Ugościć dziennikarzy?... W wąskim gronie „rozmowy przy koniaku” organizowaliśmy praktycznie co wieczór, a gdy Alek Jarguz, wtedy nasz sztandarowy sędzia piłkarski, rzucił na stół świeżutkie węgorki z jezior mazurskich, pojawiła się również „Wyborowa”. Ale skąd wziąć pieczywko, masełko, jakąś sałatkę, jajeczko z szynką i coś mocniejszego do picia dla pięćdziesięciu „ochlapusów” z całej Europy? I gdzie to zorganizować?!...

W tym czasie, a była to połowa maja, w Krakowie odbywały się tradycyjne studenckie Juwenalia. Jak zawsze bawiono się nie tylko wesoło, dowcipnie, ale i... dość prowokacyjnie. U żaków główka pracuje! Tym razem jednak, opowiedział to w dobranym towarzystwie ówczesny prezes Wisły Kraków, pułkownik Zbigniew Jabłoński, najsprytniej swoją

obecność na Juwenaliach zaznaczył rodzimy Fred Astaire czyli Andrzej Rosiewicz. Paradował po krakowskich plantach z barwnym napisem na plecach „NIE LUBIĘ RUSKICH”. Służby porządkowe, no i oczywiście milicjanci odczytali to, jako „swoistą sympatię dla wielkiego brata”.

– Prosimy to natychmiast usunąć!...

– Dlaczego? – zdziwił się Rosiewicz.

I zrobiwszy zgrabny obrót wokół swojej osi, ukazał na piersiach jeszcze jedno słowo „PIEROGÓW”. Po czym chłodno oznajmił:

– Mam chyba prawo „nie lubić ruskich pierogów”...

Prezes Jabłoński, kilka lat później również prezes PZPN, wówczas komendant wojewódzki milicji, był w dobrym humorze. Akurat wtedy jego ukochana Wisła sięgała po tytuł mistrza Polski. Niektórzy zawodnicy na długo przed oficjalnym bankietem już oblewali ten sukces w „Novotelu”. A kibice gotowi byli nosić trenera Oresta Lencyka na rękach. Toż po upływie ćwierćwiecza przywrócił Wiśle prymat w polskiej lidze. W „Piłce Nożnej” podkreśliliśmy to w publikacji: - „**Tacy młodzi, a już pany!**”. Na arenie międzynarodowej Wisła nie zawiodła. Jako jedyna z polskich klubów awansowała w roku 1978 do ćwierćfinałowych rozgrywek organizowanych przez UEFA. W „Novotelu” kułem żelazo, póki gorące:

– A może by tak panie prezesie – zagadnąłem nieśmiało Zbigniewa Jabłońskiego – zapoznać historię Wisły, jej dorobkiem i dniem dzisiejszym dziennikarzy obsługujących turniej UEFA? Chętnie zwiedzą najlepszy klub piłkarski w Polsce. Kawka, woda mineralna, paluszki, może nawet mały koniaczek przy okazji... To byłaby dobra reklama mistrza Polski! Niech coś więcej wie o tym klubie piłkarska Europa!...

– Kiedy chce pan, redaktorze zorganizować to spotkanie? –

zachęcająco zapytał prezes Wisły. – Muszę o tym powiadomić sekretariat klubu.

Stało się to zaraz po zakończeniu eliminacji w grupach. Do Krakowa, do motelu „Krak” i hotelu „Cracovia” zjechali dziennikarze z Częstochowy, Katowic, Bielska-Białej i Nowego Sącza. Zaproszenie na spotkanie z Wisłą przyjęli z ochotą. Zorganizowałem transport i cała „pięćdziesiątka” wylądowała przy ulicy Reymonta. Zwiedzanie obiektu trwało krótko, natomiast znacznie dłuższe były rozmowy o klubie i jego historii. Niedawno, podobnie jak Cracovia, uroczystie obchodził swoje siedemdziesięciolecie. Wydano wspólną monografię, wszak to rówieśnicy. Jest co poczytać. Byłem tam bodajże przez trzy kolejne dni, w randze jednego z członków honorowych Wisły, w towarzystwie Kazimierza Górskiego, Henryka Loski i Stefana Grzegorzcyka. Było godnie i bogato, w zgodzie z Cracovią.

Wtedy w drodze powrotnej do Warszawy Stefan usiłował przekonać Henia, że on wiceprezes PZPN, ma w futbolu tylko status amatora, zaś on, Grzegorzcyk i ja Lechowski jesteśmy w tej materii prawdziwymi zawodowcami. Bo profesjonalnie piszemy o piłce nożnej! Z racji wykonywanego zawodu jesteśmy partnerami Górskiego, a z Loską łączą nas głównie więzy koleżeńskie. I tak na okrągło, jak stare baby... Każdy miał trochę w czubie... Jak na te dyrdymały reagował Kazio? Podziwiał małopolski i mazowiecki krajobraz i niemal przez całą drogę śpiewał. Kilka razy powtarzał ulubione tango „Polesia czar” i walczyka „Tylko we Lwowie”... W Radomiu wstąpiliśmy na piwko. Nikt nas nie gonił, zresztą Górski, gdy humor mu dopisywał, zwykł mawiać, że „w domu to ludzie umierają”.

Teraz, po spotkaniu z Wisłą, też nikomu nie było spieszo do

domu. Na Reymonta każdy dziennikarz poczuł się jak na wystawnym raucie, kończącym emocje rozgrywek o Puchar Europy. Pomyślałem: - Jakże fałszywe i niesprawiedliwe są opinie o krakusach, że to centusie. Przyjęcie na sto fajerek! Jak za króla Sasa! Tylko jeść, pić i popuszczać pasa... Niektórych obcokrajowców, usiłujących naśladować naszych przodków, trzeba było dyskretnie wyprowadzać na świeże powietrze. Nie przywykli do tak wylewnej polskiej gościnności...

Tymczasem w Warszawie trwały ostatnie przygotowania do Mundialu. Pisano o tym szeroko, znacznie szerzej, niż przed Weltmeisterschaft 74' i to nie tylko w prasie codziennej. Ukazało się też sporo publikacji książkowych. Udział dziennikarzy „Piłki Nożnej” w tej popularyzacji mistrzostw świata i prezentacji drużyny był niewątpliwie największy. Ale i kłopotów nie mało. Red. Mieczysław Szymkowiak na przykład, kreśląc piłkarskie dokonania Jacka Gmocha, spotkał się z jego strony z kontrą, która wstrząsnęła całym naszym środowiskiem. Miecio w dobrej wierze napisał, że Jacek piłkarsko był średnio utalentowany, ale ogromną pracą osiągnął reprezentacyjny poziom. W duecie ze Stanisławem Oślizłą tworzył parę stoperów trudną do sforsowania. Jacek poczuł się dotknięty taką oceną swojego talentu i... zażądał wyrzucenia tej frazy z publikacji. Znaczna część nakładu poszła na przemiał. Natomiast bez żadnych przeszkód ukazała się na rynku „**Droga do Buenos**” pióra Stefana Grzegorzcyka i „**Mundial'78 – bank informacji**”, praca zbiorowa, w której mój udział był znaczący. Nakład każdej pozycji owszem, owszem - blisko sto tysięcy!

Po występie „biało-czerwonych” w Argentynie jednak nie tak udanym, jak obiecywał Jacek Gmoch, wspólnym wysiłkiem pracowników „Piłki Nożnej” ukazały się dwie dalsze książeczki „**Miliard na widowni**” i

pod moją redakcją „**Trzy finały**”. Wydawcą dwóch przedmundialowych publikacji była Krajowa Agencja Wydawnicza, a tych po mistrzostwach Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Tu już nakład był znacznie skromniejszy, zaledwie po dziesięć tysięcy egzemplarzy. Entuzjazm wydawcy osłabił powrót reprezentacji bez medalu oraz coraz wyraźniej dostrzegalny brak papieru i mocy produkcyjnych. „Miliard na widowni” drukowano w Białymstoku, a „Trzy finały” w Koszalinie.

W Argentynie nasz pierwszy i główny rywal Niemcy jest zaliczany do „wielkiej piątki”: Argentyna, Brazylia, Holandia, RFN i Włochy. Nas w tym towarzystwie nie widzą. W piłkarstwie, jak w życiu, wszystko się zmienia. Niczego więc nie należy wykluczać. Nawet o złotym medalu można pomarzyć... Kiedy Jacek Gmoch został trenerem-selekcjonerem, postawiono mu tylko zadanie awansu do puli finałowej Mundialu '78. Jacek jednak z każdym dniem zaostrzał nasze apetyty, zwłaszcza po dwóch wygranych z Danią. W bramce spokój – nadal przewodzi Jan Tomaszewski, w obronie już znacznie gorzej – wysoką klasę reprezentują tylko stoper Władysław Żmuda i wszechstronny Antoni Szymanowski. W pomocy „pewniakami” są Kazimierz Deyna, Zbigniew Boniek i Henryk Kasperczak, a nadzieją napawają Janusz Kupcewicz, Adam Nawałka i Bohdan Masztaler.

Nie powinno też być kłopotu z napastnikami: Grzegorz Lato jest niezniszczalny, Marek Kusto zaczął wreszcie zdobywać bramki, Andrzej Szarmach – jeśli tylko będzie w pełni sił fizycznych – może sięgnąć po koronę króla strzelców. Technika i pomysłowość, głównie w pierwszej fazie ataku – to Stanisław Terlecki. Bojowość i szybkość połączoną z rutyną reprezentuje Wojciech Tyc z Odry Opole, a młodość i fantazję w parze z dużymi umiejętnościami – młodziutki Andrzej Iwan. Wszystko?

O nie, jest jeszcze Włodzimierz Lubański! Zdrow i dobrze przygotowany nie potrzebuje żadnej rekomendacji. Klasa światowa! Naszej reprezentacji najbardziej odpowiadać będzie gra w ustawieniu $1+(1+3)+4+2$. Czy doprowadzi to nasz zespół do tytułu mistrza świata? Nasza obecna pozycja w Europie do takiego optymizmu nie upoważnia.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że do Argentyny nie pojedzie rekonwalescent Stanisław Terlecki, Włodzimierz Lubański będzie głównie zastępował Bońka, a Andrzej Iwan przestanie być tajną bronią Jacka Gmocha. Wiślak grał w sumie zaledwie 104 minuty. Niepełne mecze rozgrywał także Henryk Kasperczak, w pomocy jako zmiennik Bohdana Masztalera, zaś w obronie – alternatywa dla Gorgonia. Na uznanie Jacka Gmocha w ogóle nie zasłużyli Stanisław Sobczyński i Lesław Ćmikiewicz (mimo że w przededniu odlotu ekipy do Argentyny był w formie lepszej, niż w roku 1974) oraz Zdzisław Kapka i Paweł Janas. Targały mną mieszane uczucia, ale Gmoch nie miał żadnych wątpliwości. Ogłosił: do Argentyny jadą najlepsi!

W domu zostało nie tylko kilku niezłych piłkarzy. Gmoch rozbił też swój niedawny sztab. Dotychczasowego kierownika drużyny Macieja Górzyńskiego zastąpił Janusz Dudek, a Ryszarda Kuleszę – wydawało się pewniaka na Argentynę - trener reprezentacji młodzieżowej Waldemar Obrębski. W ostatniej chwili, ratując w ten sposób część układu z poprzednich mistrzostw, do pionu produkcyjnego na argentyński Mundial, jak mawiał o tej grupie prezes Sznajder, Gmoch włączył Andrzeja Strejlaua. Jacek miał swoje sympatie i antypatie, ale też wyobraźnię, sporo sprytu i zdrowego rozsądku. Awans Strejlaua był dla niego swoistą formą alibi... w razie niepowodzenia. Grupę obserwatorów tworzyli: Ryszard Koncewicz, Bernard Blaut, Hubert Kostka i Jerzy Kopa oraz z zespołu

analiz Wojciech Skoczek. Po mistrzostwach pod redakcją „Fajki” ukazał się „**Raport z Mundialu**”. Był znakomity, lepszy, niż gra naszej drużyny.

Polakom i Niemcom, mistrzom świata sprzed czterech lat, przypadł zaszczyt rozegrania na stadionie River Plata w Buenos Aires meczu inauguracyjnego Mundial’78. Rywale wiedzieli o sobie wszystko. Można było z góry przewidzieć, że będą to raczej szachy, a nie piłka nożna. Więcej suchej kalkulacji i zagrań zapożyczonych z komputera, niż polotu i fantazji. Obawa przed stratą bramek już w pierwszym meczu weźmie górę nad chęcią ich zdobywania. Antyfutbol? Tak, choć prezentowany nie przez piłkarskich partaczy lecz potencjalnych kandydatów do medali. Tym gorzej dla prawdziwego futbolu.

Na zer prymitywnej strategii rzucono piękno i zagadkowość piłki nożnej. Dla Gmocha i Schoena praktycznie nie było żadnych tajemnic. Wiedzieli, że Bonhof zaopiekuje się Deyną, Boniek utrudni życie Flohemu, a Nawalka będzie spełniać rolę „panienki do wszystkiego”. Niemcy mieli też nadzieję, że „nie pohasa sobie Lato”. Czy w tej sytuacji mogły paść bramki? Drużyny wystąpiły w nieco innych składach, niż zapowiadali dziennikarze, ale ich kunktatorska taktyka – nasza ustalona w Jockey Clubie w Rosario, a rywala w Ascochinga koło Cordoby – zgodna z oczekiwaniami. Zanim zawodnicy wybiegli w Buenos Aires na boisko trenerzy obu drużyn rozegrali już kilka symulowanych spotkań na magnetowidach. Sepp Maier reagował na te dziwactwa z lekkim przymrużeniem oka: - *Gram sobie na gitarze „El condor pasa”...* (Orzeł odlatuje).

Miał rację, ale i dużo szczęścia. Przy tak wyrafinowanej taktyce i żelaznej dyscyplinie taktycznej bramka mogła paść tylko ze stałego fragmentu gry. U Niemców dobrze to robił Bonhof, u nas wybornie Kazio

Deyna. W kraju jego „rogali” jak ognia bał się nawet Jan Tomaszewski, tu w Argentynie ogromnego pietra miał Maier. „Biało-czerwoni” rzeczywiście byli bliżsi zwycięstwa, ale Sepp utrzymał czyste konto przez 90 minut. Przy strzale Deyny, właśnie z rzutu wolnego, czuwała nad Niemcem opatrność boska. „Kaka” posłał mu „rogala” z zegarmistrzowską precyzją, jednak Maier i ten fantastyczny strzał obronił. Po tym wydarzeniu pocieszył kolegów: - „Gott mit uns!” (Bóg z nami).

W bezbramkowym meczu z RFN główną siłą polskiego zespołu stanowiła pomoc. Deyna jak przed laty był wielkim dyrygentem, a Masztaler i Nawałka wykonali wprost tytaniczną pracę. Od czasu do czasu wspomagał ich Włodzimierz Lubański. Ustawienie 1+4+4+2 gwarantowało naszej drużynie pełne bezpieczeństwo. Po „komputerowym meczu” RFN – Polska następny z Tunezją, tak ocenili to Niemcy, przypominał „zmagania Goliata z Dawidem”. Dawidek z Afryki przegrał 0:1, ale tanio skóry nie sprzedał. Nam przyszło przeżyć niejedną cenę strachu. Nawet zwykle pewny siebie Gmoch zachował się jak człowiek rażony prądem wysokiego napięcia. Cały czas był „elektryczny”... Rozluźnił się dopiero po meczu: - „*Wróciliśmy z dalekiej podróży*”...

Pozostało do rozegrania spotkanie z Meksykiem. Ciekaw byłem, jak zagra Victor Rangel, którego nie tak dawno przyrównywałem do naszego Władka Dąbrowskiego, a Tomasz Wołek do słynnego Borji. Każdy z nas nieco przesadził, ale akurat w tym meczu Rangel zagrał dość skutecznie. Przy stanie 1:0 dla Polski wyrównał na 1:1. Finisz był jednak nasz – dwie kolejne bramki zdobyli Boniek i Deyna. Który lepszy? Obaj zebrali najwięcej oklasków. Piłkarze całą gębą. Dla statystyków kąsek wyjątkowo smakowity. Otóż Zbyszek strzelił w tym spotkaniu swoje dwie pierwsze bramki na mistrzostwach świata, a Kazio – niestety, ostatnią. Narodziny

gwiazdy i... powolny zmierzch boga futbolu!

ARGENTYŃSKIE FRUSTRACJE

W meczach z RFN i Tunezją Boniek wyraźnie pozostawał w cieniu Deyny, jednak dwa gole strzelone Meksykowi zaczęły przeważać szalę na jego korzyść. Co będzie po meczu z Argentyną otwierającym drugą fazę turnieju? Gmoch rozpowiadał na wszystkie strony! – **Interesuje mnie tylko zwycięstwo!** Wypowiedział wojnę „złemu losowi” i „działaniu sił nadprzyrodzonych”. Nawet wtedy, gdy Mario Kempes zdobył pierwszą bramkę i Argentyna prowadziła 1:0, Jacek wierzył w swoją gwiazdę i umiejętności zawodników. Walczyli z pasją.

– Tylko tak dalej – pokrzykiwał – a szczęście przyjdzie samo.

Nie chciało... Wyraźnie się od nas odwróciło. Najpierw Lato nie strzelił „pewniaka”, bilardziści o takiej sytuacji mówią „nie dobił trupa”, za chwilę Deyna (o zgrozo!) nie wykorzystał rzutu karnego. Mimo zaklęć Gmocha, jednak zmówiły się przeciw nam wszystkie „siły nadprzyrodzone”. A tak pięknie się zaczęło. Tuż przed grą, delegacja PZPN z wiceprezesem Henrykiem Loską i redaktorem Stefanem Grzegorzczkiem, wręczyła uszczęśliwionemu Deynie bukiet pięknych kwiatów. Wszak rozegra dziś setny mecz w reprezentacji! Celnym strzałem z „jedenastki” miał szansę ukoronować swój jubileusz i zapewnić drużynie dobry wynik w meczu z Argentyną.

Nie gustuję w metafizyce, ale po nieudanym strzale Deyny zacząłem przeklinać zły los. Wyraźnie nas prześladowuje! Piłkarz, który dotychczas strzelał karne bezbłędnie, na Olimpiadzie w Monachium okpił Rudakowa, w eliminacjach do tych mistrzostw zdobył bramkę

bezpośrednio z rzutu różnego, teraz nie wykorzystał „jedenastki”. To się w głowie nie mieści! Robota szatana, sprzyja Argentyncom! Przed chwilą Mario Kempes strzelił nam pierwszego gola, zaraz potem wybił piłkę z własnej bramki, a teraz Matildo Ubaldo Fillol obronił rzut karny. Rozpacz! Kempes podwyższył wynik na 2:0... Czy to już koniec? Jacek Gmoch opuszczał stadion w Rosario z podniesioną głową: - „*Przegrałem bitwę, ale nie wojnę*”. Deyna nie mówił nic. Czy tak przemija sława? Sic transit gloria mundi...

Teraz mecz z Peru. Podróż z Rosario do Mendoza przebiegała w bojowym nastroju: - Tego już przegrać nie wolno! Ten sam kraj, ale jakby nieco inny. Widać góry, bo blisko Andy, surowsze powietrze i inna roślinność. Ekipa zamieszkała w miejscowości Porterillos oddalonej od Mendoza o blisko 50 kilometrów. Tu jeszcze inny krajobraz. Chłodno i wysoko, niemal tak, jak u nas na Kasprowym Wierchu. Dziwna nawierzchnia boiska, przypomina leśne poszycie, mech, a nie zieloną murawę. Jak tu grać? – zastanawiali się Gorgoń i Szarmach. W takiej scenerii niewątpliwie lepiej będą się czuć Peruwiańczycy.

Płonne obawy, z Peru nasi wygrali 1:0, a zwycięską bramkę zdobył właśnie Andrzej Szarmach. W bramce dobrze zaprezentował się Zygmunt Kukła, zaś na pozycję „wymiatacza” z powodzeniem wrócił Jerzy Gorgoń. Zatem jeszcze nie wszystko stracone. Powalczymy z Brazylią o pozycję medalową? Wariantów jest nadal kilka: w wypadku wygranej - walka w finale lub w meczu „pocieszenia” o trzecie miejsce, natomiast przegrana wyrzuca nas poza pierwszą czwórkę. Optymistów było niewiele. Ta diabelna Brazylia! Do tej pory nie przegrała jeszcze żadnego spotkania i straciła zaledwie jedną bramkę w remisowym meczu ze Szwecją! Polacy znowu zagrali z pasją i odważnie aż do granic ryzyka.

Remis nic nie dawał, do awansu - potrzebna wygrana! Do przerwy było 1:1. Tuż przed zejściem do szatni wyrównującego gola strzelił Grzegorz Lato. W Monachium jego bramka dała nam srebrny medal. A tu?...

W drugiej odsłonie swoje „pięć minut” miał jednak „złoty młodzieniec” reprezentacji Brazylii – Roberto. Nasi przeważali, rywal kontratakował i wygrał 3:1. Trzecią bramkę poprzedził istny taniec piłki na słupkach i poprzeczce. Strzelali Gil, Mendonca, znowu Gil, wreszcie Roberto huknął pod poprzeczkę. Gdzie w tym czasie byli nasi obrońcy? Gmoch wciąż żył nadzieją, wzmocnił atak, Kasperczaka zastąpił Lubański. Porywający finisz Polaków. Pomysłowe akcje Deyny, Laty, Bońka, Szarmacha i Nawałki, jednego z większych odkryć tego Mundialu, ożywiły widownię. Gole jednak nie padały. Brazylijczycy już też nauczyli się bronić wyniku. Mur obrońców utytułowanego rywala starał się rozbić... Jerzy Gorgoń. Był nawet bliski szczęścia, ale spudłował. Jemu trudno się dziwić, ale napastnikom?! Strzelali wyłącznie na wiwat... Teraz to już na pewno trzeba wracać do domu.

Strefa medalowa. Z wielkiej czwórki europejskiej: Holandia, Polska, RFN i Włochy na placu boju pozostały już tylko Włochy i Holandia. Nie ma Polaków, polegli też Niemcy. Manszaft Schoena, mimo że w pierwszej fazie mistrzostw nie stracił ani jednej bramki, w drugiej przekonał się, że poprawna gra wyłącznie w defensywie, to nie jest dobry sposób na sukces w argentyńskim Mundialu. Tu liczą się bramki zdobyte, a nie stracone. W drugiej rundzie Niemcy znowu dwa razy zremisowali i... przegrali z zaprzyjaźnioną Austrią. O medale walczyły: Argentyna z Holandią o złoto i Brazylia z Włochami o trzecie miejsce. A więc canarinhos na tym samym wózku, co w Monachium. Tam przegrali z Polską 0:1, w Buenos Aires pokonali Włochów 2:1.

Dla Brazylii trzecie miejsce, to jednak przegrana. Sami sobie winni. Nadal mają świetnych piłkarzy, ale ze strategią i taktyką wciąż są na bakier. Usiłują naśladować w tej materii Europę, ale robią to nieudolnie. Popadają z jednej skrajności w drugą. W RFN nastawiali się głównie na kawaleryjskie szarże i to ich zgubiło, w Argentynie dla odmiany znacznie lepiej prezentowali się w obronie, niż w ataku. Znowu źle pomyśleli. W futbolu, zwłaszcza na tak wysokim szczeblu, trzeba umieć jedno i drugie, zachować równowagę między obroną i atakiem. Najlepiej radzili sobie z tym gospodarze i konsekwentnie zmierzali do tytułu mistrza świata. Wprawdzie finał z Holandią (3:1) wygrali dopiero po dogrywce, ale nikt nie miał wątpliwości, że mistrzostwo wywalczyła drużyna najlepsza. Argentyna campeón!

Było w tym zespole wiele doskonałości: Fillol, Passarella, Gallego, Luque, Bertoni, ale nad tą plejadę gwiazd wyraźnie górowali Mario Kempes i Cesar Luis Menotti. Pierwszy był królem strzelców tych mistrzostw, a drugi bezwzględnie najwybitniejszym trenerem. Argentyna zawsze miała piłkarzy światowego formatu. W latach trzydziestych bożyszczem był tam Guillermo Stabile, piłkarz elegancki, gentleman na boisku i w życiu prywatnym, ulubieniec seniorit, król strzelców I Mistrzostw Świata w 1930 roku. Nazywano go „El Filtrador”, bo umiał się przebić przez każdą obronę. Świetny był też Luis Artime.

Po nim przyszła właśnie era Kempesa. To z urodzenia romantyk, ale z postawy na boisku twardy pragmatyk. Grał już przeciw Polsce w 1974 w Stuttgarcie, ale dopiero u siebie w domu, w Rosario strzelił Tomaszewskiemu dwie bramki. Zanim pojawił się „boski Maradona”, Mario Kempes był dla swoich rodaków „El Matador”. Pięknie strzelał gole głową. Przed nim w historii światowego futbolu równie dobrze

robił to tylko legendarny Węgier Sandor Kocsis z „cudownej jedenastki” Gustava Sebesa. Mario strzelił także dwie bramki w finałowym meczu z Holandią. To dało mu tytuł króla strzelców. Był też na Mundialu w Hiszpanii, ale tam poniżej oczekiwań zagrała cała jego drużyna.

A Menotti? W młodości był partnerem Pelego w FC Santos. Już to go nobilituje. Inteligentny, pomysłowy i... oryginalny w spojrzeniu na futbol, jako zawodnik i trener. Był jeszcze młodszy niż nasz Gmoch, gdy powierzono mu funkcję selekcyjnera. Też cieszył się uznaniem na szczytach władzy. Chętnie otwierano przed nim drzwi do gabinetów największych dygnitarzy. Zadziwiał nowatorstwem i skutecznością w pracy z drużyną narodową. Przekonał kluby, że priorytet musi mieć reprezentacja. Wstrzymał tuż przed Mundialem transfery zagraniczne, pracował systematycznie i konsekwentnie według ściśle założonego planu. Potrafił utrzymać dyscyplinę w przygotowaniach kadry i w grze na boisku. Jacek Gmoch, gdy się zastanawiał: - Jakim jestem trenerem? – po dokonaniach Menottiego mógłby chyba powiedzieć, że wzorem dla niego nie był Walter Winterbottom, lecz właśnie selekcyjner Argentyny. Ale dobre wzory i tylko dobre chęci, to za mało, by zyskać sławę. Podczas, gdy po zdobyciu przez Argentynę mistrzostwa świata Menottiego okrzyczano geniuszem, w jednym z PRL-owskich pism centralnych pozycję Gmocha w naszym futbolu porównywano z karierą Nikodema Dyzmy. Cios poniżej pasa...

Jacek zapewne nawet tego nie czytał, tak – jak i moich komentarzy o wydarzeniach na Mundialu. W Argentynie naszą redakcję reprezentował Stefan Grzegorzczak, przekazywał stamtąd głównie interesujące reportaże i sekrety z codziennego życia naszej ekipy. Sportowej harmonii tam nie było. Na miejscu, w Warszawie korzystaliśmy z przekazu telewizyjnego

i na tej podstawie wyrażaliśmy swoje zdanie o sposobie gry innych drużyn oraz aktualnym układzie sił w światowym piłkarstwie. Nas w czołówce już nie było. To poniżej oczekiwań. Taki był ton głównie moich komentarzy. Nasi specje od „propagandy sukcesu” widzieli to inaczej. Usiłowali przekonać opinię publiczną, że miejsce uzyskane przez naszą reprezentację w Argentynie jest właśnie sukcesem. To oczywiście kłóciło się z komentarzami zamieszczonymi w „Piłce Nożnej” zwłaszcza po meczach z Argentyną i Brazylią.

Odpowiadałem wówczas bezpośrednio nie tylko za treść własnych tekstów lecz także wszystkich innych zamieszczonych na łamach tygodnika. Cały czas były krytyczne, ale do momentu przegranej z Brazylią z zewnątrz nikt nie ingerował. Dopiero teraz nasze opinie nie spodobały się cenzurze. Były za chłodne i zbyt ostre, za mało w nich optymizmu. Wezwano mnie na Mysią. Kazano złagodzić wymowę końcowego komentarza, mocno odbiegającego od reguł ówczesnej propagandy i napisać w zamian kilka ciepłych słów o dużym „sukcesie naszej reprezentacji”. Odmówiłem. Kilka najbardziej krytycznych uwag cenzor sam wykastrował. Zrobił się na kolumnie luz, było dużo światła, mało prawdy. Interlinie i spacje zapełniły puste miejsca. Nie dotarła więc do Czytelników oficjalnie lansowana informacja, że „5-8 lokata uzyskana w Buenos Aires ma nie mniejszą wartość, niż trzecia przywieziona w roku 1974 z RFN.”

Pisałem ten ostatni pomundialowy komentarz „na gorąco” i tak jak poprzednie w ostatniej chwili wysłałem do drukarni. To się źle skończyło. Ale na tzw. „wewnętrznych kolumnach”, zredagowanych znacznie wcześniej, ukazały się jeszcze dwa inne, równie krytyczne artykuły. Tego już w zasadzie zmienić nie było można. Taki był cykl produkcji pisma.

Chyba, że cały nakład skazano by na przemiał... Do tego nie doszło, ale mnie usiłowano dobrać się do skóry. Zawezwano mnie teraz do „białego domu”, do biura prasy KC. Karny raport na partyjnym dywaniku. Czy zdołam wyjść z tego obronną ręką? Jeśli nie dopisze mi szczęście, niechybnie powędruję na zieloną trawkę. Kto wygra? Ja czy oni? Dość zręcznymi unikami przechytryłem przeciwnika. Nie jestem na aucie...

Jednak w nie najlepszym nastroju wróciłem do domu. Kazano mi bowiem czekać na kolejny telefon. A więc to jeszcze nie koniec tego niezwykłego starcia. Do bezwzględnej i długiej dyskwalifikacji nie doszło. Nawet w „białym domu” ten i ów potrafił zachować zdrowy rozsądek. Dziś z tej opowieści można by się pośmiać, wszak w wolnym kraju cenzury i biura prasy już nie ma, poza tym dziennikarza broni prawo prasowe. Ale wtedy nie było mi do śmiechu, bo i bronić nie miał kto. Jednak się udało... Warto jeszcze wspomnieć, za jakie to przewinienie groził mi spadek z dziennikarskiej ligi. Oto niektóre moje grzechy:

**

*

Znam dobrze naszych reprezentantów. Uważam, że... stać ich było na więcej.

**

*

Ten zespół już coś umiał. Trzeba było tylko to doskonalić. Albo szukać innych rozwiązań. Tymczasem nie zrobiono ani jednego, ani drugiego.

**

*

Po prostu nasza drużyna została przestawiona na inną, nie odpowiadającą jej grę.

**

*

Brak było szybkości, dynamiki, umiejętności przyspieszenia, zmian rytmu.

**

*

Moim zdaniem, błędem było trzymanie na ławce Lubańskiego i wpuszczenie go na kilka minut, gdy aż prosiło się wzmocnienie ofensywy.

**

*

Na koniec tej przykrej kwestii pytanie za 100 punktów: - Kto to wszystko powiedział? – Fachowiec niekwestionowany, wtedy Zasłużony Trener PRL, a teraz Trener Stulecia, Kazimierz Górski. Do dziś na wspomnienie tamtych dni dwuznacznie się uśmiecha. Pogodny nastrój z czasów „ery Górskiego” prysł jak bańka mydlana. Przed Mundialem, w czasie mistrzostw świata, a także po powrocie ekipy z Argentyny, atmosfera w naszej reprezentacji jak i wokół niej, oględnie mówiąc, pozostawiała wiele do życzenia. Reakcja typowa dla frustratów. Jacek i jego ludzie z sekcji reprezentacji obiecywali marsz na sam szczyt Andów, tymczasem nie zdołali się wznieść ponad argentyńską równinę. Niezrealizowany cel zrodził agresję. Niby to takie ludzkie i nasze, polskie. Zręcznie wszystko tłumaczyli kręcący się wokół Gmocha psychologowie, choć on uważał, że sam jest w tej specjalności najlepszy. Opinię społeczną drażniły jednak echa sporów dochodzące zza Atlantyku.

W Argentynie kłócono się o byle co, o każdy drobiazg, niemal każdy mundialowiec miał jakieś muchy w nosie. Zawodnikom nie odpowiadała

jakość sprzętu, a działacze wytykali Jackowi błędy w ocenie aktualnej formy zawodników i niewłaściwą obsadę niektórych pozycji w zespole. A wszyscy razem targowali się o wysokość i terminowość wypłacania premii. Ten spór ciągnął się jeszcze po Mundialu, zawodnicy całe miesiące dochodzili swoich racji finansowych. W przypiływie złości posądzono Jacka o celową zwłokę w rozwiązywaniu tej palącej kwestii.

Gmoch – to niewątpliwie twardziel, bestia niezwykle ambitna i konsekwentna. Chciałby jeszcze coś więcej osiągnąć z reprezentacją, także w eliminacjach do mistrzostw Europy, ale i jemu z powodu nadmiaru kłopotów powoli zaczęły opadać ręce. Stał na rozdrożu: - Nadal pchać ten niewdzięczny wózek czy poświęcić się pracy naukowej? Poprowadził drużynę narodową jeszcze w dwóch wygranych meczach, towarzyskim z Finlandią w Helsinkach i o punkty w mistrzostwach Europy z Islandią w Reykjaviku i powiedział „dziękuję”. Wyjechał na stypendium doktoranckie do Norwegii, ale nawet norweskie fiordy nie zdołały go odciąć od miłości największej - piłki nożnej. W Oslo doskonalił także swoją wiedzę futbolową.

Na przełomie sierpnia i września 1978 roku, tradycyjnie już w towarzystwie Jerzego Zmarzlika, wybrałem się na wypoczynek do Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Tamtejszy „Dom Prasy” całkowicie zaspokajał moje urlopowe ambicje. Nagle telefon z Warszawy przerwał poobiednią sjęstę. Dzwoniono z PZPN, mam szybko wracać do Warszawy i przygotować się do podróży z reprezentacją na mecz z Islandią w Reykjaviku. Nie jest to wyjazd służbowy z RSW „Prasa”, tylko „nagroda” PZPN za sprawną organizację biura prasowego i pomysłową oprawę strony medialnej XXXI Turnieju UEFA. Wiza zbiorowa, żadnych kłopotów paszportowych nie będzie. Ekipa w komplecie, Jacek w dobrej

formie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że po meczu z Islandią pożegna reprezentację.

Rejs na daleką północ pilotował przyjaciel Górskiego, Gustaw „Gucio” Górecki z COS-u:

– Lecimy najpierw do Kopenhagi – poinformował kierownika ekipy, inżyniera Zbigniewa Należytego – a stamtąd bezpośrednio do Reykjavíku. Przerwa będzie króciutka...

Obiecanki, cacanki... W ekipie nie było Janka Tomaszewskiego, bo znowu miałby doskonałą okazję do puszczenia w ruch swojej ulubionej płyty: - „*I znowu zawiodła organizacja*”... Nie ma dla nas miejsc w samolocie do Kopenhagi... Och, jaka szkoda, że nie sfilmowano wtedy reakcji Gmocha... Szczeka mu się wydłużyła... „Gucio” stanął jednak na głowie i ostatecznie wyekspediował drużynę via Oslo do Reykjavíku. Spóźnienie było spore, nudy na pudy, złości równie dużo, na szczęście nikt się nie upił. Kilka osób, w tym jeden dziennikarz spoza Warszawy, szczerze tego żałowało, bo w Islandii bycie pod rauszem było niemożliwe. Tam nawet piwo jest bezalkoholowe...

Gmoch dostrzegł w tej wyprawie dwóch nieproszonych gości. Towarzyszyli mu – tak przypuszczał – dwaj kandydaci na nowego selektonera, Edmund Zientara i Ryszard Kulesza. Będą patrzeć na ręce? Jacek tak to właśnie widział i zareagował w swoim stylu. Na przedmeczowej odprawie, na którą i mnie zaprosił, od strony czysto sportowej powiedział wszystko, co mógł i powinien każdy rozgarnięty selektoner. Dorzucił do tego niecodzienny komentarz, co – w dobrej wierze – uznałem za dotychczas niespotykaną formę motywacji.

– Mamy w ekipie kilku „szpiegów” – wypalił z grubej rury. – Po powrocie do kraju zapewne zechcą zdać relację z naszej tu postawy. Będą

szukać dziury w całym. Odbierzcie im wszelkie atuty... Nie dajcie żadnej szansy na paskudną krytykę... Wygrajcie! Zróbcie to dla siebie, ale też dla mnie. Bo jest to moje ostatnie z wami spotkanie. Żegnam reprezentację...

Gmoch starał się dowieść, że jest „twórcą sukcesów” i urodzonym przywódcą. Często mu się to udawało. Był mocny fizycznie i psychicznie. Jego zachowanie mówiło samo za siebie: - „Spójrzcie, kto jest waszym trenerem! Człowiek czynu! Odważny, przed nikim nie pęka. Chcę, żebyście i wy tacy byli... Drogę do reprezentacji macie otwartą”. Na treningach Jacek starał się dorównać zawodnikom, włączał się do gry, czasami nawet za pieniądze, był nieustraszony w sytuacjach ekstremalnych. Dla podkreślenia swej „wodzowskiej” roli w zespole gotów był nawet połknąć żabę, zjadać surowe ślimaki lub... łeb urwać hydrze.

W Reykjavíku wpadł na wyjątkowo szaleńczy pomysł. Islandia jest krajem pełnym dziwów natury. Daleka północ Europy. Powinno tam być dużo więcej wiecznych śniegów, siarczystych mrozów, białych niedźwiedzi, niż ciepła, słońca i... śródziemnomorskiej roślinności. Tymczasem, pomijając wulkany i gejzery, osobliwość w Europie szczególną, są tam również inne kaprysy natury: gorące jeziora, stawy, nawet sadzawki. A w ich pobliżu oazy dojrzewających cytrusów i bananów. Cała nasza ekipa obejrzała to na własne oczy. Gmoch i w tej niezwyklej scenerii usiłował podkreślić swoją herkulesową moc i odwagę:

– Zaraz się w którymś z tych stawów wykąpię...

Już nie raz podejmował z zawodnikami ryzykowne zakłady, ale ta zapowiedź poruszyła nie tylko hazardzistów.

– Czyżby? – zaśmiał się Zbyszek Boniek.

Za chwilę z przechwałek selekcyjnera zaczęli pokpiwać Stefan Majewski i Antek Szymanowski:

– Chce się trener żywcem usmażyć? Kto jutro poprowadzi nas do zwycięstwa?...

Jacek nie dawał za wygraną:

– Zrobię to, ale najpierw mały zakładzik... Mam tu dwieście zielonych, złóżcie się, to pogadamy...

Antoś zaczął zbierać zapowiadzaną sumkę dolarów. Jacek sięgnął do kieszeni po swoje, zdjął marynarkę, podwinął rękaw od koszuli i łokciem próbował zmierzyć temperaturę wody. Ktoś z nas powiadomił o tym szaleństwie przewodniczkę tej egzotycznej wyprawy:

– Stój! Co pan robi? Nie wolno! – wrzasnęła ile sił w płucach. – Wrzątek!... Dziewięćdziesiąt stopni Celsjusza... Ręka się ugotuje...

Do zakładu nie doszło, ale pomysł Gmocha mobilizująco wpłynął na całą drużynę. Następnego dnia, przy pięknej, bezwietrznej pogodzie, co o tej porze roku w Islandii jest rzadkością, godnie pożegnali swojego trenera. Islandia – Polska 0:2! Znowu na wysokości zadania stanął Grzegorz Lato, wreszcie celnie strzelił Marek Kusto. Relacjonując przebieg tego meczu dla „Piłki Nożnej”, nawiązałem do korzystnej dla nas aury. **„Gmoch jest w czepku urodzony”** – wrzeszczałem przez telefon. - **„Nawet niebo jest mu przychylnie. Pięknie było dziś w Reykjavíku”**. Podważyłem przy tym niektóre decyzje personalne selekcjonera. Nie za bardzo byłem w stanie zrozumieć ukłon Jacka wobec Tadeusza Błachny, a pominięcie w składzie – pod nieobecność Deyny – Janusza Kupcewicza. Czyżby Boniek przyłożył do tego swoją widzewską cegiełkę? Jacek za drzwiami podsłuchiwał moją rozmowę z Warszawą... Gdy tekst był już w redakcji przy ulicy Wawelskiej, wskoczył z pretensjami do mojego pokoju:

– W czepku urodzony? W jakim czepku?!... Idealista... To wszystko było przemyślane... Aura nie miała z tym nic wspólnego... A twój pupilek

Januszek musi jeszcze poczekać na swoją szansę...

Pozostaliśmy przy swoich zadaniach, ale późnym wieczorem puściliśmy to wszystko w niepamięć. Gmoch postawił nawet butelkę whisky, którą kupił na lotniku w Oslo. Zaprosiliśmy szefa ekipy Zbigniewa Należytego oraz Grzesia Stańskiego wówczas dziennikarza „Sportu” Katowice i zasiedliśmy do brydza. Przed północą pojawił się Janusz Dudek i... przestawiliśmy się na pokera. Dolar w tym towarzystwie miał wtedy wartość stu złotych.

Następnego dnia spacerowaliśmy po Reykjavíku. W magazynach piękne kożuchy, ale nie na naszą kieszeń. Inżynier Należyty wołał więc zwiedzać miejscowe zabytki. Trafiliśmy nawet do miejscowego więzienia. Tu zaskoczenie jeszcze większe niż podziwiana pogoda i dobry wynik meczu. Cele więzienne porażają przepychem. W naszych szpitalach rzadko spotyka się tak schludnie urządzone, nawet najlepsze gabinety lekarskie. Czysto, luźno, skazani paradują w białych kitlach, niczym ordynatorzy lecznicy. W całym tym „miejscu odosobnienia” dostrzegamy tylko dwóch „pacjentów”. Gdzie reszta? Przewodniczka zdradza sekret niezwykły: - U nas w ogóle więźniów jak na lekarstwo. Ci dwaj, to przebrani strażnicy... na ochotnika. Przecież jakoś dziwnie by to wyglądało, gdybyśmy pokazywali wam więzienie bez więźniów...

Następcą Jacka Gmocha został Ryszard Kulesza, wychowanek Okęcia Warszawa. Zaraz po wojnie, w meczach z Czechosłowacją grał w reprezentacji Polski juniorów, później związał się z Polonią Warszawa, bronił też barw Polonii Bydgoszcz. Miły człowiek, zawsze pogodny i uśmiechnięty, niekiedy można było odnieść wrażenie, że nie „pasował” do tak męskiej gry, jaką jest pika nożna. Zbyt układny i tolerancyjny. Całkowite przeciwieństwo Jacusia. Zanim przejął reprezentację narodową

„alfabetu trenerskiego” uczył się w Ludowych Zespołach Sportowych i w kilku klubach niższych klas na Mazowszu, w Lechii Gdańsk, wreszcie w PZPN w towarzystwie Ryszarda Koncewicza, Kazimierza Górskiego, Edmunda Zientary, Jacka Gmocha i Andrzeja Strejlaua.

„Pan Rysio”, zwany też „Loczkiem”, bo tak go ochrzcił trener Górski, był powszechnie lubiany i podziwiany za dżentelmeńską postawę. Kazio przy każdej okazji powtarzał, że jego młodszy kolega elegancko się ubiera, a buty ma z reguły jeszcze bardziej błyszczące niż lakierki. „Kulka”, bo i tak wybierzmowano Rysia w Polonii Warszawa, nie był selekjonerem z przypadku. Wcześniej z powodzeniem budował zespoły Under – 23 i Under – 21, choć najczęściej z winy klubów prawie nigdy nie mógł skorzystać z usług wszystkich wyróżniających się młodych zawodników. Kulesza był też w drugiej połowie lat siedemdziesiątych trenerem reprezentacji B. Przeszedł więc wszystkie szczeble „reprezentacyjnego wtajemniczenia”. Przed nim niewielu trenerów – selekjonerów przeszło podobną drogę. Co więc zwojuje „pan Rysio”? Czy zdoła nawiązać do medalowej ery „pana Kazia”?...

„BANDYTA” Z MONTE CARLO

Debiut Kulesza miał nieudany, jego wybrańcy przegrali wyjazdowy mecz z Rumunią 0 :1, ale już następne gry o punkty i towarzyskie ze Szwajcarią, Tunezją, Algierią i Węgrami były obiecujące. Pierwszego meczu Rysia ze Szwajcarią z cyklu eliminacji mistrzostw Europy nie oglądałem, bo akurat wtedy (znowu w nagrodę za dobrą pracę na XXXI Turnieju UEFA w Krakowie) byłem z reprezentacją Polski juniorów w Monako na VIII Międzynarodowym Turnieju o Puchar Księcia Alberta.

Piękna impreza nie tylko pod względem piłkarskim. Bogaty program pozasportowy. Poziom i precyzja szwajcarskiego zegarka. Na futbolowych zawodach to się nieczęsto zdarza.

Najpierw przyjął nas mer Monte Carlo, potem zabawialiśmy zwierzęta w ZOO, a śródziemnomorską roślinnością i kwiatami zachwycaliśmy się w ogrodzie botanicznym. Dzieła sztuki pokazano nam w tamtejszym muzeum, zaproszono do pałacu księcia Alberta, wreszcie z własnej inicjatywy odwiedziliśmy słynne kasyno gry w Monte Carlo. Mieszkaliśmy w hotelu Beach Plaza, ale poznaliśmy też wspaniałości Hotelu de Paris, w którym niegdyś buszował Arsen Lupin. Tam właśnie na półmetku turnieju na wystawny obiad zaprosił nas sam książę Albert. Na przyjęciu i w pałacu robiono nam pamiątkowe zdjęcia. Przesłano je wkrótce na adres PZPN w Warszawie. Na jednej z fotek jestem blisko, niemal ramię w ramię z uroczym księciem. Jak on kocha piłkę i ludzi futbolu?!...

Już choćby z racji półzawodowej w przeszłości gry w bilard i najczęściej półamatorskiej w karty, mam w sobie coś niecoś z hazardzisty, Nie to co Miruś Skórzewski, który w poszukiwaniu fortuny bywał nawet w Las Vegas, ale nie mogłem odmówić sobie, chociaż przez moment bycia krezusem w kasynie Monte Carlo. Szczęście było nawet blisko, wykręciłem trzy pełne siódemki i... niecałą czwartą. Coś się zacięło. Niegdyś w kopenhaskim „Tivoli” własnymi rękami rozbiłem bank na strzelnicy, a tu jakiś mechaniczny „bandyta” zabrał mi całe kieszonkowe. Marian Bednarczyk szukał po sali krupiera, usiłował interweniować, zapytać, dlaczego nie pokazała się czwarta siódemka. Machał rękami, coś pokazywał, ale nic nie wskórał. Bariera językowa była za duża. Jednak przed hotelem Beach Plaza jakimś cudem grywał z obcokrajowcami w

brydża. Przy panienkach w stroju topless pozował na playboya! Zdejmował koszulę i z lubością wystawiał na słońce swój tłusty brzuch. Do neglizju zachęcał francuskiego arbitra Michela Vautrota.

Któregoś popołudnia wybrałem się do szkoły trenerskiej w Palais des Congres. Rozprawiano o pracy z młodzieżą i zasadach selekcji. Nic nowego, rzeczy powszechnie znane. W dyskusji z sensem głos zabrał Henryk Apostel. Ze szczególną uwagą przyjęto jednak wystąpienie selekcionera z Anglii, R. Greenwooda. Chwalił profesjonalizm w futbolu, natomiast mocno zganił wszelkie przejawy amatorszczyzny. Co to właściwie jest amatorszczyzna? – pytali zebrani. Odpowiedział: - **Bimbanie na treningach i balanga poza boiskiem!** W szkoleniu młodzieży najmocniej zaakcentował potrzebę treningu indywidualnego. Mocno poparł go Sergiej Korszunow z federacji rosyjskiej. Nasza delegacja wyraziła podobną opinię.

Tymczasem w krajowym piłkarstwie nastąpiło sporo planowanych i nie zamierzonych zmian. Dramaty, nawet tragedie, mało radości. Kruszył się Wydział Szkolenia, po przejściu na zawodowstwo Deyny, Laty i Tomaszewskiego, rozpadł się silny dotychczas trzon reprezentacji. Górnik Zabrze spadł do II ligi. Radość tylko w Krakowie – po 28 latach wzlotów i upadków Wisła znowu mistrzem Polski. Żałoba w PZPN – w dwóch odrębnych wypadkach samochodowych zginęli dotychczasowy prezes Edward Sznajder i sekretarz generalny, Zygmunt Buhl. Zmarłego prezesa zastąpił generał Marian Ryba, a sekretarza - Konrad Kaleta. Nie koniec wstrząsów. Z funkcji wiceprezesa do spraw szkoleniowych zrezygnował Henryk Loska. To już naprawdę koniec świata!

Ktoś z pezetpeenowskiej „spółdzielni ucho” doniósł, że Loska złożył podpis na legitymacji wydanej przez PZPN bliżej nieznanemu mi

„maharadży”, a więc obcokrajowcowi z Dalekiego Wschodu. Legitymacja jak legitymacja, a i podpis na niej jak każdy inny. Wiceprezes ma do tego prawo. Sęk jednak w tym, że owego „maharadzę” miały na oku PRL-owskie służby bezpieczeństwa. Przestraszyło to nowego prezesa PZPN, również państwowe władze sportowe robiły w gacie. Henio Loska zachował się elegancko. Nie czekał aż go ktoś pozbawi funkcji, sam podał się do dymisji. Na znaczącą pozycję w PZPN wrócił dopiero przed Mundialem w Meksyku. Odchodząc na swoje miejsce zaproponował Ryszarda Koncewicza. Wybitny trener był teraz szefem całego pionu szkolenia.

Mój status w tym wydziale nie uległ zmianie, nadal byłem tu społecznym sekretarzem. Rysio Kulesza miał w naszym towarzystwie dobry klimat dla swej pracy. Może wreszcie właśnie on przełamie naszą niemoc w rozgrywkach o mistrzostwo Europy? Zaczął dobrze, od wygranej ze Szwajcarią, ale nie Helweci byli w naszej grupie faworytem. Wyżej notowano Holandię i NRD. Silna konkurencja, tylko Islandia zupełnie się tu nie liczyła. Naszym przekleństwem okazała się reprezentacja sąsiadów zza Odry. W meczach ze Szwajcarią i Islandią zdobyliśmy komplet punktów, aż trzy(!) w pojedynkach z Holandią, ale tylko jeden w konfrontacji z NRD.

W Lipsku na Sport-Forum nasi przegrali 1:2, a na Stadionie Śląskim w Chorzowie zremisowali 1:1. Te wpadki, to był dla nas prawdziwy szok. W Lipsku podczas degustacji „brunatnego niedźwiedzia” czyli szampana pomieszanego z koniakiem, kierownictwo naszej ekipy była przekonane, że łatwo ten mecz wygramy. Kulesza zaprosił Janka Ciszewskiego i mnie na przedmeczową odprawę. Też była budująca, potwierdziła powszechny optymizm. Rysio wymyślił wariant ryzykowany, na polskich boiskach

wcześniej już znany, ale dla Niemców nowy i zaskakujący. Celem było pokrzyżowanie szyków obronie gospodarzy. Długo nie mogli sobie z tym poradzić. Napastnik Roman Ogaza utrudniał grę stoperowi Doernerowi. To był wówczas as atutowy NRD-owców, wzorował się w grze na stylu Franza Beckenbauera. Taka namiastka „cesarza” – libero.

Roman dobrze wykonywał swoje zadanie, a Zbyszek Boniek świetnie wykorzystywał lukę powstałą w niemieckiej obronie. Strzelił bramkę i „biało-czerwoni” prowadzili do przerwy 1:0. Zespół na fali. Kulesza triumfuje. Mistrz taktyki? Jednak po przerwie nasza drużyna nagle „siadła”, a gwiazda Rysia powoli gasła. Niemcy strzelili dwa gole i ostatecznie wygrali ten arcyważny mecz 2:1. To było irytujące. W kularach przebąkiwano, że NRD-owcy w czasie pauzy czymś struli Polaków, a sami zażyli niedozwolonych środków dopingujących. Biegali jak frygi, a nasi człapali po boisku i od czasu do czasu zbierało im się na wymioty. Do głęboko ukrytych „tajemnic” tego meczu wracano w PZPN dość często. Sugerowano, że ze strony zwycięzców nie była to „czysta gra”. Racjonalnie trudno było wytłumaczyć tak nagłą po przerwie metamorfozę obu drużyn.

Pomówienie? W każdej plotce tkwi ziarno prawdy. „Przekreću” więc wykluczyć nie można. Ale faktem jest również, że my z tą reprezentacją nigdy za dobrze nie graliśmy. Toporny futbol NRD paraliżował nasze narodowe cechy - polot i fantazję. Nie powiodło się nam w debiucie na Stadionie Śląskim, w roku 1970 w Rostocku przegraliśmy aż 0:5! Nie wygraliśmy też meczu rewanżowego w Chorzowie. Remis 1:1 w końcowym rozrachunku był na rękę Holendrom... To oni pojechali na finały mistrzostw Europy do Włoch. Nam po raz szósty pozostały tylko przykre wspomnienia po niepowodzeniach: najpierw Tadeusza Forysia,

potem Ryszarda Koncewicza, Michała Matyasa i Kazimierza Górskiego, a teraz Ryszarda Kuleszy. Kto wreszcie przerwie ten zaczarowany krąg?

Ryszard Kulesza poczuł się przegrany. W obszernym dokumencie „**Analiza gry i szkolenia reprezentacji Polski w 1979 roku**” zaprezentowanym na jednym z zebrań prezydium Wydziału Szkolenia podkreślił to dość wyraźnie. Dostrzegł w tym kolejnym niepowodzeniu również własną winę, jednak nie wyłącznie w sferze czysto sportowej, także wobec własnej uległości wobec kierownictwa PZPN i... nadmiernej tolerancji wobec zawodników. Działacze nie wywiązywali się z zadań organizacyjnych. Natomiast piłkarze nie zawsze i nie wszędzie potrafili zachować odpowiedni dystans na linii trener – drużyna. Na przegraną z NRD w Lipsku spory wpływ miały też czynniki pozasportowe.

Dość częstym gościem na zebraniach prezydium Wydziału Szkolenia był sekretarz generalny PZPN, Konrad Kaleta. Przejął on tę odpowiedzialną funkcję po tragicznie zmarłym Zygmuncie Buhlu. Dwa różne typy. Zygmunt był niewątpliwie bardziej oddany piłkarstwu i przy całej swej dokładności w realizowaniu zadań i liczeniu się z każdym groszem, nie miał węża w kieszeni. Konrad wręcz przeciwnie – forsa, duże wpływy na konto PZPN i małe wydatki – to była jego idea fix. Zapewne bardziej pasowałby do dzisiejszego wizerunku naszego futbolu, gdzie w wielu klubach ligowych priorytetem jest dążenie do taniego kupna i drogiej sprzedaży zawodników, a nie troska o wysoki poziom sportowy drużyny. Dla Kalety pełna kasa też była ważniejsza niż wynik sportowy.

W pracy z reprezentacjami dochodziło w roku 1979 do niejednej kompromitacji. W meczu wygranym 2:0 w Tunezji Paweł Janas, nikt nie ukrywał, że to jeden z największych ulubieńców Kuleszy, grał w pożyczonych butach, a Leszek Ćmikiewicz w koszulce o rozmiarach

„starszego brata”. Oberwał więc za długie rękawy. Zdegustowany ówczesny kierownik pierwszej reprezentacji Janusz Dudek opracował więc szczegółowy plan zapotrzebowania na sprzęt „Adidasa” dla drużyny A i olimpijskiej. I nic nie wskórał. Usłyszał tylko zniewalającą odpowiedź sekretarza generalnego: ... *„Jest ukierunkowanie władz naszego sportu, żeby mecze rozgrywać w polskim sprzęcie”*. No to rozgrywano. Nic więc dziwnego, że takich scen jak w Tunezji, było znacznie więcej.

Rodziły się w pionie szkolenia wątpliwości i liczne pytania: - Czy tego rodzaju decyzje nie doprowadzają graczy do frustracji? - Czy opieszałość i brak zrozumienia w COS-ie dla potrzeb piłkarstwa nie jest u niektórych zawodników źródłem opryskliwości i agresji? A może najbardziej wrażliwi, wszelkie kłopoty usiłują utopić w alkoholu? Okazji jest sporo: urodziny, imieniny, rozłąka z domem... Nadgorliwcom nie spодobało się, że Władek Żmuda na zgrupowanie do „Novotelu” w Warszawie przyjechał z dziewczyną. Chcieli go ukarać. Schlastano też Szymanowskiego, a był wtedy kapitanem reprezentacji, za rzekome „markowanie gry” w niektórych meczach. A on nie lubił (i z tym sobie nie radził), gdy usiłowano jego kosztem łątać każdą dziurę w obronie.

Kulesza starał się przekonać oponentów, że splot przyczyn, które spowodowały przegraną z NRD z Lipsku, zaczął się już na zgrupowaniu w Rembertowie. Nie zapewniono tam warunków niezbędnych dla racjonalnych przygotowań. Na prędcie przeniesiono się więc z jednostki wojskowej do „Novotelu”. Później miał być czarter do Lipska, ale to też skończyło się na obietnicach. Dlatego przegraliśmy? Selekcjoner dowodził, że bezpośrednią przyczyną 1:2 w Lipsku była zła postawa drugiej linii. Nie widział natomiast żadnych błędów w rozpoznaniu przeciwnika (robił to Bernard Blaut) i w taktyce gry. Doktor Janusz Garlicki dostrzegł

jednak przed tym meczem przejawy apatii u większości zawodników. Byli dziwnie ospali i nieporadni.

– Przed następnymi meczami – powiedział - trzeba będzie mocniej pobudzać niektórych zawodników. W świetle podejrzanych zachowań piłkarzy NRD (po przerwie grali, jak szaleni) należy też przekonać działaczy FIFA o potrzebie przeprowadzania kontroli antydopingowych przed każdym międzypaństwowym meczem o punkty.

Rok 1979 nie był udany praktycznie dla wszystkich naszych reprezentacji. Pierwsza przegrała eliminacje mistrzostw Europy, olimpijska – choć była faworytem – nie sprostała Węgrom i Czechom, a juniorzy Under – 19 fatalnie spisali się na XXXII Turnieju UEFA w Austrii. Piłkarsko żadna z tych reprezentacji nie ustępowała rywalom, ale mentalnie nie dorosła do sukcesów. Atmosfera wokół piłkarstwa nie była więc najlepsza. Najostrzej krytykowano pion szkolenia, ale w PZPN niewiele zrobiono, by ułatwić mu pracę. Nadal nie było etatowego kierownika wyszkolenia, nie zapewniono też od lat obiecywanej pomocy biurowej dla Rady Trenerów. Szwankowała również praca Wydziału Zagranicznego. Tam tylko nieliczni etatowcy znali języki obce.

Z tego właśnie powodu do prawdziwej komedii absurdu doszło po powrocie drużyny olimpijskiej z Libii. W Trypolisie i Benghazi, gdzie grali podopieczni Edmunda Zientary i Waldemara Obrębskiego, poznaliśmy świat bez mięsa wieprzowego i alkoholu. Na szczęście pracował tam wtedy Jurek Słaboszowski. Szybko skumał się i zaprzyjaźnił z Amerykanami. Połączyło ich przede wszystkim wspólne pędzenie whisky i piwa. Codziennie podrzucał nam te samogony do hotelu. Nawet Ryszard Koncewicz chętnie to łykał. Już w kraju, na kolejnym zebraniu Wydziału Szkolenia słyszymy, że teraz czeka „olimpijczyków” wyprawa

do Kanady. O, tam to już prawdziwej whisky nie zabraknie! Obeszliśmy się jednak smakiem. Okazało się, że owszem – możemy tam polecieć, ale w roku 1980 i to dopiero po wygraniu eliminacji przedolimpijskich. No to nie ma tematu, bo nasi te wstępne gry już przefajdali. Wiceprezes Henryk Loska wyjaśnił to *qui pro quo* z rozbijającą szczerością: - **Źle odczytano tekst telegramu w Wydziale Zagranicznym PZPN.**

Kłopoty sprawiała również codzienna, nie zawsze zgodna z kierunkiem prezydium wydziału, polityka sekcji młodzieżowej. Popelniano tam błędy szkoleniowe i wychowawcze, ale nie poczuwano się do winy. Złej tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy... Usiłowano więc tłumaczyć jawną nieporadność brakiem odpowiedniego sprzętu, kiedy indziej toreb podróżnych lub jednolitych garniturów. To nie są błahe sprawy, ale te niedopatrzenia nie mogą usprawiedliwiać ignorancja i nagannych postaw kierownictwa. Tuszowało zbiorowe kradzieże w domach handlowych. Starszym działaczom, głównie tym z przedwojenną szkołą nie mogło się to podobać. Tak nie wolno! – przestrzegali, bo „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Ostatecznie juniorów ukarano, ale ich wychowawców całkowicie rozgrzeszono. Ryszard Koncewicz był zgorszony:

– To nie może być tak, żeby całą winę zwałać na tych młodych ludzi. Są jeszcze trenerzy, działacze klubowi i opiekunowie z PZPN. W sprawach wychowawczych najpierw trzeba się uderzyć we własne piersi i rzetelnie rozliczyć się z samym sobą. Widzę potrzebę dokonania kompleksowej oceny dotychczasowej działalności całej sekcji młodzieżowej. Bo tu zaczyna się wszelkie zło...

Przewodniczący sekcji Marian Bednarczyk coś tam burczał pod nosem, ale rzeczowych argumentów na obronę nie miał żadnych. Źle działało

się również w Radzie Trenerów. Tam sprawy etyki zawodowej, gorszące postawy moralne i zły wpływ na szkoloną młodzież też pozostawiały wiele do życzenia. Przykład zawsze idzie z góry. Jedno z najbardziej karygodnych zachowań trenera młodszego pokolenia opisałem w „Piłce Nożnej” w felietonie „**Ja cię kasuję...**”: Był dupkiem w zawodzie, a już beształ zasłużonych szkoleniowców.

...„Wszystko i wszystkich lekceważył. Jedynym dla niego miernikiem wartości działacza, trenera, zawodnika jest książeczka PKO i umiejętność omijania obowiązujących przepisów. Nikt nie zesłał go nam z innej planety. Żyje (i to dobrze) wśród nas. Bohater tej opowieści szczyli się nawet dyplomem wyższej uczelni wychowania fizycznego. Uważa, że to daje mu patent na mądrość. Lubi wypić, a tych którym nie podoba się jego zachowanie, obrzuca już nie stekiem lecz wulkanem przekleństw. Pieniacz niepospolity.

... Występ podchmielonego aplikanta nabrał rumieńców, kiedy jego promotor, znany trener z Łodzi serdecznie powitał kolegów z Warszawy. Rzutki gość, zamówił kawę i... koniaczek. Ryszard Koncewicz, spostrzegłszy, że w tym towarzystwie jest również ów przemądrzały asystent powszechnie lubianego mistrza, wyszedł z lokalu bocznymi drzwiami.

... Nieokrzesany kandydat cały czas pokrzykiwał. Za wszelką cenę starał się być gwiazdą wieczoru. Zaczepił Strejlaua:

– Masz tytuł magistra, a jesteś taki głupi. Pracujesz za grosze... Zarabiam znacznie więcej, niż ty!...

Potem zaatakował Henryka Loskę:

– Ja wiem! – wrzeszczał – Pan nazywa się Loska... Jest pan wiceprezesem PZPN, ale... nie wie, kim ja jestem! Ha, więc rozmowy

nie będzie...

Zaczynałem mieć tego dość. Zapytałem znanego trenera:

– Kim właściwie jest ten arogancko zachowujący się żółtodziób?...

– Eee, to tęga głowa – odpowiedział. – Ma taką gadkę, że mógłby być mistrzem reklamy. Od siedmiu lat mówię mu, żeby zaczął chodzić po ziemi. Nie pomaga, wciąż szuka guza... Stary, daj spokój – grzecznie zwrócił się znany trener do nieznanego asystenta.

– Chwileczkę trenerku, chwileczkę... Jedziemy na tym samym wózku... Zwałą mnie, to i ty spadniesz. Ja cię kasuję!... Słyszysz? Kasuję! Siadaj! – rozkazał asystent.

– Trenerze – wygarnąłem ze złością mistrzowi – dopiero teraz wiem, dlaczego miał pan kłopoty w poprzednim klubie. Jeśli ma się takich asystentów...

Krewki kandydat na trenera rzucił się na mnie z pięściami. Powstrzymali go mocno zbulwersowani Andrzej Strejlau, Edmund Zientara i Waldemar Obrębski. Znany trener nie interweniował. Nikt nie wypił ani łyka kawy, nikt nie tknął koniaku. Znany trener i nieznaną asystent zostali sami. Nazajutrz mistrz uczestniczył w naradzie, a czeladnik prowadził trening I-ligowej drużyny. Relację z haniebnego występu kłótliwego asystenta Ryszardowi Koncewiczowi zdali Tadeusz Foryś i Edmund Zientara. „Faja” nie przepuścił. Podsumowując przebieg i wyniki narady, najwięcej miejsca poświęcił narastającemu rozwydrzeniu wśród ligowych trenerów. Zaczął ostro:

– Czas powiedzieć – Dość!

Potem wygarnął młodszym kolegom:

...„Nasza piłka nożna jest w impasie... Jaka jest w tym rola trenerów?...

Odpowiadamy w polskim piłkarstwie za odcinek szkoleniowy, za poziom

I i II ligi oraz postawę i siłę reprezentacji. Jest to podstawowe zadanie każdego trenera. Ale to jeszcze nie wszystko. PZPN, kluby, rodzice, kibice widzą w nas również wychowawców młodzieży. Tak, właśnie wychowawców! Nikt, nigdy i nigdzie nie zwolni nas z tego obowiązku! Tymczasem...

Przedstawia się nas w nie najlepszym świetle. Trzeba więc podjąć jak najszybciej wysiłki, by opinia „to trener piłki nożnej” była rozumiana przez ludzi sportu, młodzież, kibiców – jako przejaw dumy i nieskazitelnej czystości w futbolu. Tak kiedyś mówiono o trenerach. Jestem w naszym środowisku seniorem, ale nie lubuję się w umoralniających przemówieniach. Jednak dziś jest taka potrzeba. Zawód trenera jest nie tylko trudny, odpowiedzialny, ale i piękny, przynosi osobistą satysfakcję. Rola szkoleniowca jest więc w naszej dyscyplinie sportu wyjątkowo duża.

Czy wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę? Praktyka ostatnich lat nie zawsze to potwierdza. Wśród trenerów są tacy, którzy przynoszą wstyd naszemu środowisku... Coraz częściej głosi się opinie, że trenerzy są inspiratorami machlojek w piłkarstwie, że pośredniczą w kupowaniu i sprzedawaniu już nie tylko zawodników lecz także meczów i w przekupywaniu sędziów. Oto, do czego doszliśmy. O sukcesie w futbolu zaczynają decydować czynniki poza sportowe. Trzeba się z tego powodu rumienić i jednoznacznie określić trenerskie morale jako złe, niewłaściwe. Już samo mówienie o tym boli i zmusza do refleksji.

... Niepokoi mnie stała pogoń, zwłaszcza młodych trenerów, wyłącznie za ciepłymi posadkami. Osobista wartość szkoleniowca nie może być i – mam nadzieję – nie będzie określana tym, kto ile zarabia, ale faktycznymi jego umiejętnościami, wiedzą ogólną i piłkarską. Powstaje tu jednak coraz większe bagno. Ludzi o słabszych charakterach pieniędzy

rozsadza. Pojawili się przeto trenerzy o skłonnościach do lekkiego życia i nadużywania alkoholu. My to widzimy i nie będziemy ukrywać bądź firmować zwykłego łobuzerstwa. Zło trzeba wyplenić z naszego zawodu!

Jeśli ktoś poczuł, że te przykre słowa mogą w jakimś stopniu i jego dotyczyć, a przejawy złego zachowania, więcej – chuligaństwa mieliśmy też na tej naradzie, ma jeszcze czas na opamiętanie. Wierzę w ludzi, w was koledzy i w naszą pracę. Bądźmy pierwsi, którzy postawią wysoką tamę od lat narastającym nieprawidłowościom w polskim piłkarstwie”.

Dokładnie 6 lipca 1979 roku Ryszard Koncewicz już w randze wiceprezesa PZPN, przejął od Henryka Loski kierownictwo Wydziału Szkolenia. Zapowiedział, że będzie mniej tolerancyjny wobec opieszałych działaczy niż jego poprzednik i bardziej stanowczy wobec Zarządu PZPN. Wreszcie Wydział musi mieć kierownika wyszkolenia, fachową obsługę do spraw biurowych i drugiego trenera do pracy z młodzieżą. Zapowiedział, że etatowym szefem Wydziału będzie Antoni Piechniczek. Pobożne życzenie. Trzy tygodnie później w tej nowej roli „Fajka” poniósł pierwszą porażkę. Ze względów finansowych i mieszkaniowych Antek nie przeniósł się do Warszawy.

Koncewicz jednak nie zrezygnował z usług Piechniczka. W kraju korzystał z jego pomocy w pracach sekcji trenerskiej, a zagranicą w reprezentowaniu PZPN w międzynarodowych naradach szkoleniowych. Niepowodzenie na starcie w sprawowaniu trudnej roli w PZPN nie zniechęciło pana Ryszarda. Nadal walczył o wysoką pozycję szkolenia w PZPN. Ale kłopoty się mnożyły, tak wewnątrz Związku, jak i na zewnątrz, w biurach Głównego Komitetu. Nie było pieniędzy na zatrudnienie kolejnych trenerów, a GKKFiS nie wydał zgody (tak wtedy wyglądała samodzielność PZPN) na zoperowanie kontuzjowanego Władka Żmudy

w klinice w Wiedniu. Sugerowano, że u nas też można...

– Przegrałem drobne potyczki – pocieszał się „Fajka”, ale wojny o wyższą rangę, większą samodzielność i odpowiedzialność Wydziału Szkolenia nie przegram.

Optymista. Coraz częściej i coraz wyraźniej inicjatywy naszego pionu były torpedowane nie tylko na szczytach władzy państwowej, ale również na zebraniach Zarządu Związku. Osamotnieni, powoli zaczynaliśmy się upodabniać do Don Kichota walczącego z wiatrami. Wobec przedłużającego się wakatu na stanowisku kierownika wyszkolenia znowu niemal przez cały dzień do dyspozycji Wydziału byliśmy (społecznie), Tadeusz Foryś do pory obiadowej, a ja po pracy w „Piłce Nożnej”. Zastanawialiśmy się, któremu z trenerów powierzyć pracę z drugą reprezentacją juniorów. Tu nie było zgody. Magister był za szkoleniowcem bardziej doświadczonym, ja za młodym, ambitnym, wciąż jeszcze sprawnym fizycznie i piłkarsko, dobrym prezydentem na zajęciach. Takim wydał mi się Mieczysław Broniszewski.

Forysia to nie przekonało, był za kimś z grupy: Mariański z Opola, Gurtatowski z Bydgoszczy i Jaćwiąg z Katowic. Zdecydowało głosowanie. Prezydium Wydziału Szkolenia poparło mojego kandydata, ale nie dlatego że był młodszy, ile z racji miejsca zamieszkania. Rogatki Karczewa można było dostrzec w Warszawie już ze szczytowych pięter Pałacu Kultury i Nauki. Podczas kilkuletniej pracy w PZPN Broniszewski dowiedział, że nie tylko mała odległość, jaka dzieliła Karczew od Warszawy, była jego atutem. Najpierw był dobrym dublerem Henryka Apostela, a potem już samodzielnie sięgał z juniorami po medale w turniejach UEFA i światowych rozgrywkach o Puchar Coca-Coli. Z czasem jednak i jego dopadli prowokatorzy. Przypięli mu łatkę przemytnika. Odszedł z

PZPN w niesławie. Wrócił na Aleje Ujazdowskie 22 dopiero w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy selekcjonerem został Henryk Apostel. Mieczysław Broniszewski był nawet jego asystentem.

Sekcja młodzieżowa, mimo licznych błędów popełnianych w organizacji, szkoleniu i wychowaniu juniorów, usiłowała stworzyć wrażenie, że jest główną siłą sprawczą w PZPN. Poprzedni selekcjoner Jacek Gmoch jednak nie dał sobie w kaszę dmuchać. Preferował formy pracy ukierunkowane przede wszystkim na potrzeby dorosłego piłkarstwa; młodzi mają obowiązek w tym pomagać. Był przeciwny faworyzowaniu działaczy i trenerów o mentalności minimalistów. Nie mogą ich zadowalać doraźne wyniki uzyskiwane na turniejach UEFA i FIFA. To nie jest główny cel ich pracy. Przede wszystkim muszą pamiętać o zobowiązaniach wobec ligi i drużyny narodowej. Ryszard Kulesza był w tym względzie bardziej tolerancyjny. Starał się nie wadzić nikomu. Bednarczyk to wykorzystywał. Oponentów gasił rozbrajającym pytaniem: - *Co to, już nie kochasz Marianka?*

Przed odlotem zespołu Under – 20 do Japonii na turniej FIFA sponsorowany przez Coca-Colę pułkownik Bednarczyk i mnie niezłe wdarł się za skórę. Z klauzuli organizatorów wyraźnie wynikało, że w składzie każdej ekipy musi się znaleźć dziennikarz. Dość długo, z racji wyuczonego i wykonywanego zawodu oraz funkcji sprawowanych w Wydziale Szkolenia PZPN, byłem jedynym kandydatem. Wypełniłem nawet odpowiednie ankiety i wnioski wizowe wymagane przez Japończyków, przyjąłem też zamówienie red. Macieja Polkowskiego na przekazywanie relacji z Tokio dla „Przeglądu Sportowego”. Przedwcześnie. W odpowiednim momencie kropkę nad „i” w tej sprawie postawił resort o prerogatywach szczególnych. Do Japonii, nie w charakterze kierownika

ekipy, bo był nim Ryszard Koncewicz lecz sprawozdawcy prasowego, polecał płk mgr Marian Bednarczyk. Komentarz zbyteczny.

W końcu 1979 roku pracę Wydziału Szkolenia, zwłaszcza wyniki pierwszej reprezentacji Polski, oceniono na zebraniu Zarządu PZPN. Dintojry nie było, czas goił rany. O niewypale juniorów na turnieju UEFA w Austrii już zapomniano, zresztą osłodził go udany występ (czwarte miejsce) zespołu Under – 20 na imprezie Coca-Coli w Japonii. Reprezentacja w eliminacjach mistrzostw Europy zagrała na miarę swoich możliwości. Wciąż wyżej ceniono tu Holendrów, choć akurat w meczach z Polską w Chorzowie przegrali 0:2, a w Amsterdamie tylko zremisowali 1:1. Ówczesny prezes PZPN, generał Marian Ryba miał więc podstawy do stwierdzenia, że *„pod względem sportowym, pierwsza reprezentacja dobrze wykonała swoje zadanie”*. Trenera Kuleszę ucieszyło to rozgrzeszenie, a także „błogosławieństwo” przed zbliżającymi się eliminacjami do Mistrzostw Świata w Hiszpanii.

Selekcjoner już w końcu 1979 roku podał długą listę zawodników, z którymi zamierza pracować przed Espana'82. W ogromnej większości byli to ci sami zawodnicy, którzy... przegrali batalię o mistrzostwo Europy. W Wydziale Szkolenia przyjęliśmy to z dużą rezerwą, bo... przegrani zwykle nie mają racji. Czy w tej sytuacji w roku 1980 nadal korzystać z usług: Zygmunta Kukli, Wojciecha Rudego, Adama Topolskiego, Zbigniewa Płaszewskiego, Romana Ogazy, Włodzimierza Mazura, Antoniego Szymanowskiego i... Grzegorza Laty. Pozycji króla strzelców z 1974 roku twardo bronił Ryszard Kulesza. Polegał na nim, jak na Zawiszy.

Pan Rysio nie opracował jednak na czas założeń programowych na 1980 rok. W tej sytuacji Ryszard Koncewicz zasugerował, aby każdy z członków Wydziału zaproponował własną koncepcję takiego dokumentu.

Kulesza słusznie uznał to za gest bardzo mu przyjazny. Ja też pracowałem na rachunek całego Wydziału Szkolenia. Z nikim się nie ścigałem, ale prawda jest taka, że prezydium jednomyślnie przyjęło moją propozycję. W protokóle numer 23 z dnia 9 listopada 1979 roku można przeczytać, jaka była moja wizja niezbędnego opracowania:

1. Stan faktyczny kadry narodowej i jej wartość sportowa jesienią 1978 roku po ustąpieniu Jacka Gmocha.
2. Zadania postawione przed Kuleszą przez PZPN.
3. Sposób realizacji postanowień i uzyskane wyniki.
4. Problemy, które pojawiły się w czasie pracy z reprezentacją:
 - a. w kontaktach z klubami;
 - b. w organizowaniu zgrupowań szkoleniowych;
 - c. w nawiązywaniu kontaktów międzynarodowych;
 - d. weryfikacji materiału ludzkiego, z uwzględnieniem elementów szkoleniowych i wychowawczych.
5. Założenia organizacyjno-szkoleniowe na lata 1980 – 1981.
6. Niezbędne warunki dla sprawnego przeprowadzenia „Operacji Mundial ‘82”.
7. Dokumentacja i określenie wysokości premii za ewentualny awans do finałów mistrzostw świata.

Selekcjoner niemal przez cały rok 1980 w miarę potrzeb korzystał z tych propozycji, ale wszystkich nie był w stanie zrealizować. Nie mógł też w pełni wykorzystać swoich autorskich pomysłów, zmierzających do przebudowy reprezentacji. Rzeczywistość brutalnie je przerwała. Zanim jednak „era Kuleszy”, trwająca tylko dwa lata, przeszła do niechlubnej historii, niemal cały rok 1980 był dla Rysia dość udany. Najcenniejsze było zwycięstwo w Barcelonie nad Hiszpanią 2:1 (wreszcie dwie bramki

Andrzeja Iwana) i całkiem udane tournee po Ameryce Południowej: z Kolumbią 4:1, z Boliwią 1:0, z Brazylią 1:1 oraz nikła przegrana z aktualnym mistrzem świata Argentyną 1:2. Wysoko należało też ocenić remis 2:2 z Włochami w Turynie i w Chorzowie z Czechosłowacją 1:1.

W meczu z Czechami po raz ostatni w reprezentacji wystąpił Włodzimierz Lubański. Jak to szybko minęło, choć tak długo trwało? We wrześniu 1963 roku w Szczecinie byłem przy reprezentacyjnym chrzcie 16-letniego juniora, a teraz – również we wrześniu, ale 17 lat później – żegnałem zasłużonego dla drużyny narodowej 33-letniego jej nestora. I tam wtedy i tu teraz strzelał bramki. W Szczecinie jedną z dziewięciu, w Chorzowie dającą nam remis w pojedynku z wicemistrzem Europy. Wzruszyłem się ogromnie. W głowie kołatało też natrętne pytanie: - *Kiedy na polskich boiskach pojawi się równie utalentowany napastnik?*

AFERA NA OKEŃCIU I... DRESZCZOWIEC NA MALCIE

Wkrótce rozpoczęły się w naszej grupie mecze eliminacyjne przed hiszpańskim Mundialem. Znowu zmagaliśmy się z NRD. Grupa mała, tworzyły ją zaledwie trzy reprezentacje: Malta, Polska i NRD. Od początku wiadomo było, że o przepustkę na Półwysep Iberyjski decydujący bój stoczą sąsiedzi, których dzieli Odra. Kulesza marzył o udanym rewanżu za niepowodzenie w eliminacjach mistrzostw Europy. Powtarzał przy każdej okazji: - *Jureczku, teraz już wiem, jak dobrać się Niemcom do skóry!* Miałem podobne odczucia. Reprezentacja mocno stała na nogach. Niespodziewaną, ale zasłużoną wygraną w Barcelonie, ugruntowała wysokim 5:1 z Algierią w Krakowie.

W oczach dojrzewali do reprezentacyjnych zadań: Andrzej Iwan,

Janusz Kupcewicz, Piotr Skrobowski, Włodzimierz Smolarek, Leszek Lipka i nieco od nich starszy „odrodzony” Stanisław Terlecki. To już zupełnie nowa fala. Nad tym jeszcze nieopierzonym towarzystwem opiekuńcze skrzydła roztaczali: Józef Młynarczyk, Władysław Żmuda, Paweł Janas, Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach i już piłkarz całą gębą Zbigniew Boniek. Wybuchowa mieszanka młodości z rutyną? Drużyna przyszłości? Kandydaci na kolejny medal mistrzostw świata?

Najpierw trzeba wygrać eliminacje. Na pierwszy ogień poszedł mecz z Maltą w La Valletta. Wyprawę na tę maleńką wysepkę poprzedziły jednak wydarzenia w sporcie raczej rzadko spotykane, w każdym razie nietypowe. Był początek grudnia, już po Barbórcie i świętym Mikołaju. To nic, byliśmy przekonani, że na Malcie okazjonalne prezenty, choć o jeden dzień później, na pewno nie ominą i naszych piłkarzy. Ze względu na zimową u nas aurę przedmeczowe zgrupowanie zorganizowano we Włoszech, konkretnie w okolicach Peruggi. Jednak los lubi płatać figle. W dniu odlotu na lotnisku Okęcie w Warszawie okazało się, że Józek Młynarczyk nie jest w „najlepszej formie”.

Kierownictwo ekipy otrzymało od „życzliwych” informację, że całą noc poprzedzając podróż „z ziemi polskiej do włoskiej”, spędził w kilku lokalach rozrywkowych stolicy i na kwaterze prywatnej. Towarzyszyli mu żądni sensacji dziennikarze. Niegodziwcy, wykorzystali słabość Młynarczyka i jak w tej piosence „*Józek nie daruję ci tej nocy*” ujawnili swoją wredną postawę w radiu i telewizji. Finał był zaskakujący. Postanowiono wstrzymać wyjazd bramkarza do Włoch. Wiem, że Kulesza był temu przeciwny, nie miał też ochoty na ukaranie zawodnika szef ekipy inżynier Zbigniew Należyty, tylko naczelne kierownictwo PZPN, być może inspirowane przez kogoś z zewnątrz, było innego zdania. Szlaban dla

Młynarczyka!

Trzej piłkarze: Władysław Żmuda, Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki stanęli w obronie kolegi. Władzy to nie mogło się podobać. Posypały się kolejne kary, co w sferze sportowej oznaczało dalsze osłabienie reprezentacji. W wyraźnie spóźnionej trosce o czystość moralną w piłkarstwie z ekipy na Maltę wyłączono najwybitniejszych zawodników. Zabawna początkowo aferka rychło przerodziła się w skandal. Żerowały na tym media. Do krytycznych przekazów filmowych w telewizji i pokrzykiwań w radiu przyłączyła się prasa, w tym – ubolewam nad tym, oj ubolewam, moja pierwsza miłość w zawodzie „Przegląd Sportowy”. Młynarczyka i jego trzech kolegów z drużyny nazwano „bandą czworga”, jakby to były czasy średniowiecznej inkwizycji lub ciągle żywej chińskiej „rewolucji kulturalnej”. Napisano tak z własnej woli czy może na czyjeś polecenie? Bardziej po ludzku oceniła to przykre wydarzenie „Piłka Nożna”:

...Zasługa to przede wszystkim działaczy i to tych, którzy piastowali najbardziej eksponowane funkcje. W klubach, a nawet i – w pewnym procencie – PZPN. Wielu z nich arbitralnie narzucając „wytyczne” działaczom bardziej szeregowym, za ich pośrednictwem przyczyniało się do upadku moralności futbolistów. W każdym razie przykład ze wspomnianej bezkarności – najczęściej idzie z góry... Z pewnych resortów względnie organizacji i niektórych federacji sportowych. Chociaż teoretycznie ten ostatni przypadek nie jest aż tak zły, wszak lepsze to, niż odgórne „mianowanie” działaczy i przynoszenie prezesów w teczkach...

Po takim naszym komentarzu (piłkarze dobrze to przyjęli) bez żadnych obaw mogłem się udać, już w drugą w mojej karierze dziennikarskiej, podróż na Maltę. Kulesza był jednak załamany:

– Wyobraź sobie – żalił się – miałem już w dziewięćdziesięciu procentach optymalny skład, brakowało mi tylko Grzesia Lato, a tu takie świństwo. Będzie trudno Jureczku, ale jakoś damy sobie radę. A co stanie się później? Bóg raczy wiedzieć...

Reprezentacyjne wizje Ryszarda Kuleszy przysły jak bańka mydlana. Wyrwać nagle ze zdrowego organizmu cztery dotychczas dobrze funkcjonujące ogniwa, to ubytek trudny do zastąpienia. A tu jeszcze z Lokeren nie dotarł Grzegorz Lato! Znowu trzeba było przypomnieć Rysiowi przedwojenną przyśpiewkę Kazimierza „Lopka” Krukowskiego „*Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma...*”. Lubić można, ale... pogodzić się z tym trudno. Kiepska gra i niezbyt korzystny wynik gry kontrolnej z Perugią nie nastrajały optymistycznie. Z Rzymu do La Valletty odlecieliśmy więc z duszą na ramieniu. Licho nie śpi...

W trybie doraźnym dołączył do ekipy prezes PZPN, Marian Ryba. Zastąpił odwołanego z tej wyprawy „trefnego” wiceprezesa, Zbigniewa Należytego. Niezbadane są wyroki niebios. Jeszcze wiosną 1980 roku Zbyszek wraz z generałem i przy dużej mojej pomocy redakcyjnej opracowywał „**Węzłowe kierunki działania PZPN na lata 1980 – 1985**”, a teraz poczuł się jak trędowaty. Poniósł karę za „kawaleryjską szarżę” Józefa Młynarczyka i dowody serdecznego doń stosunku kolegów z reprezentacji: Bońka, Terleckiego i Żmudy. Zabrakło takiego ludzkiego spojrzenia w ówczesnym kierownictwie PZPN. A przecież zapowiedziano w „Węzłowych kierunkach...”, że „przykład idzie z góry”:

... Brak konsekwencji w wielu działaniach władz piłkarskich, ich słabość w podstawowych sprawach organizacyjnych, szkoleniowych, wychowawczych, dyscyplinarnych, doprowadziły do zakłóceń w funkcjonowaniu klubów i innych komórek podległych zarządowi

Związku... Każde nasze niedociągnięcie wywołuje głęboki rezonans w społeczeństwie. Sypią się gromy ostrej krytyki pod adresem tych, którzy kierują polskim piłkarstwem.

Zasadne stało się właśnie teraz pytanie: - „Jakie to gromy posypią się po – tak to wtedy określano – „aferze na Okęciu”i (odpukać w niemalowane drzewo) po ewentualnym bezbramkowym remisie na Malcie. Kpię czy o drogę pytam? Przypominam tylko, że tak zaskakujących wyników ze słabeuszami w przeszłości przytrafiło się nam sporo, zresztą nie tylko w meczach wyjazdowych. Na przykład długo czkawką odbijało się 0:0 z Estonią, Albanią, Norwegią i z Luksemburgiem. Obawy Kuleszy były więc uzasadnione. Ślęczał po nocach nad zieloną tablicą. Ustawiał na niej i przesuwiał pionki symulujące obraz gry z Maltańczykami. Przeżywał katusze, bo to była li tylko namiastka tego czym mógł tu postraszyć gospodarzy. Wzdychał zakłopotany: - *Gdybym tu miał chociaż Grzesia Latę... Ale zaraz brał się w garść i pokrzykiwał: - Odwagi! W górę serca!...*

Złośliwcy podkpiwali, że z Maltą „zagrał skład desek”. No, cóż - wtedy stać nas było tylko na taką reprezentację. W „maltańskiej” drużynie wystąpiło zaledwie kilku późniejszych mundialowców. A jednak w La Vallecie ten niby „skład desek” wygrał 2:0! Stres, duże napięcie po wydarzeniach na Okęciu, nie przerodziło się w zwątpienie, nie zdołała zwalić z nóg frustracja. Niekorzystna sytuacja kadrowa spotęgowała ambicje „chłopców Kuleszy”, do granic rzadko spotykanych, wyzwoliła sportową złość. Spory wpływ na taki stan ducha miała również maltańska prasa. Pocieszała kibiców, że z Polską, która wystąpi w tak „nędznym składzie”, można i trzeba wygrać!

Do przerwy wszystko układało się po myśli marzycieli z La Valletty, rzeczywiście było 0:0. Również pierwsze minuty po przerwie były dla

miejscowych udane. Uwierzyli w swoją szansę i energicznie zaatakowali. Nasi dość długo nie mogli uchwycić właściwego rytmu. Najszybciej do trudnych warunków przystosowali się Andrzej Iwan i Marek Dziuba (nasz kapitan w tym pojedynku), który tym razem – wobec niespodziewanej kontuzji Janusza Kupcewicza – wystąpił na środku pomocy. Luki dostrzegało się w każdej formacji. Na lewej obronie jednak dość szybko debiutanckiej tremy pozbył się Ryszard Milewski, a Smolarek, Iwan, Dziuba i Mowlik potwierdzili dużą klasę i dobrą formę. Byli w tym meczu podporą „biało-czerwonych”. Tak to opisałem w „Piłce Nożnej”:

„Był już siódmy dzień grudnia, ale na Malcie aura, jak u nas u schyłku lata. Ciepło. Żadnej chmurki na niebie, najmniejszego podmuchu wiatru. Z okien Tower Palace Hotel, gdzie Janusz Jeleń ze „Sportu” Katowice, Jan Ciszewski z TVP i ja, Jerzy Lechowski zamieszkaliśmy wraz z całą ekipą, dokładnie widać było płaską taflę Morza Śródziemnego. Promenada przy Binazza Street wypełniona spacerowiczami. Nasi piłkarze też wdychają morskie powietrze, kilku śmiazków wystawia twarze do słońca. Ja, w towarzystwie prezesa PZPN pijam „Heinekena” z beczki. To najlepsze piwo na świecie! Przyłącza się trener Kulesza. Nie pije, tylko zwierza się ze swoich przemyśleń:

– Będzie dobrze... Zawodnicy muszą jednak pamiętać o założeniach taktycznych. Wczoraj wieczorem spotkałem się z mieszkającym na Malcie sir Stanleyem Matthewsem. Ten legendarny piłkarz angielski przekazał mi sporo pożytecznych wskazówek o drużynie naszego rywala. Odkrył też wszystkie tajemnice groźnego stadionu „The Gzihra”. Tu bardziej liczą się spryt, inteligencja i oczywiście technika, niż uporczywa walka. Trzeba szybko zgrywać piłki, wychodzić na wolne pozycje i strzelać już zza pola karnego...

Tak właśnie starali się grać Polacy. Już w pierwszej połowie mogli prowadzić, ale dwóch doskonałych sytuacji nie wykorzystał Smolarek. Przerwa. Naszą szatnię i otwartą trybunę chronią policjanci, część na koniach, pozostali w zwartym szeregu twarzą do widowni. Można się było czuć bezpiecznie. Pozory. Mundurowi nie zdołali zapobiec skandalowi. W 77 minucie spotkania, choć już wcześniej pachniało zadymą, zaczął się prawdziwy horror. Właśnie wtedy Włodek Smolarek, w myśl przysłowia „do trzech razy sztuka”, już nie spudłował i nasza drużyna objęła prowadzenie. Złowrogi pomruk na trybunach. Dotychczas dość spokojna widownia staje się agresywna. Większość maltańskich piłkarzy też nie przebiera w środkach. Faulują. Trener Victori Scerri wrzeszczy jak ranione zwierzę. Liczyli na sukces, a tu takie zaskoczenie! Zamierzony cel wyraźnie się oddala. Irytuje ich radość Smolarka. Cieszy się ze zdobytego gola, unosi w górę ręce, wiwatuje. Sędzia Duszan Maksymović nieco temperuje zapał Polaka, ale widownia wciąż reaguje złowrogo.

Maltańscy piłkarze też zapominają o „fair play”, złości ich niepowodzenie, polują głównie na Smolarka. W roku 1973 Anglik Mc Farland poniewierał na Wembley Grzegorza Latę, teraz Edwin Farrugia stara się poturbować Włodka. Sędzia interweniuje. Wyciąga żółtą kartkę, choć powinien czerwoną. Faul był obrzydliwy. Jest ich coraz więcej, bo Maltańczycy zaczynają uprawiać zapasy w stylu wolnym. Wszystkie chwytaki dozwolone! Woni technika, teraz liczy się tylko siła i napór za wszelką cenę. Do czasu... W oczach daje o sobie znać zmęczenie gospodarzy. Jeszcze próbują atakować, ale z każdą chwilą stają się nieporadni, po stracie piłki już nie wracają w porę pod własną bramkę. W to nam graj, robi się luźniej, jest więc szansa na kolejną bramkę. Świetnie kontratakuje trio z Wisły Kraków: Piotr Skrobowski, Andrzej Iwan,

Leszek Lipka i jest 2:0! Widownia zaskoczona. Miała nadzieję, że sędzia przed strzałem odgwizdże spalonego, tymczasem energicznym ruchem ręki i stanowczym głosem, nakazuje: – Grać dalej!

Maksymovic tą odważną i w pełni uzasadnioną decyzją rozpałił najpierw część widowni zwaną „Palestyną”, a potem doprowadził do szału cały stadion. Posypały się na pustynną płytę butelki, puszki po piwie, owoce i różne przedmioty osobiste. A gdy ich zabrakło rozsierdzeni Maltańczycy rozbijali wapniowe skały. Grad pocisków spadł na boisko. Barbarzyństwo! Tolerancyjny sędzia długo zwlekał z przerwaniem meczu. Ale kanonada trwała. Kontynuowanie gry stało się niemożliwe, w 77 minucie Jugosłowianin odgwizdał koniec spotkania.

Dolał tą decyzją oliwy do ognia. Spotęgował zwierzęce instynkty sfrustrowanych kibiców. Grozą. Nie pozwalają graczom i sędziom zejść z obłązonego boiska. My, dziennikarze piszący i mówiący też obawiamy się o całość naszych ciał. Wytykają nas palcami. Nikt nas nie chroni, nikt nie podaje przyjaznej ręki. Nie ma porządkowych. A bandyckie pociski wciąż fruwać nad naszymi głowami. Dopiero gdy zabrakło „amunicji”, bombardowanie ustało. Niepowtarzalna „oprawa” meczu o mistrzostwo świata! Można było odnieść wrażenie, że to ludzie z innej planety tak mordują piłkarskie widowisko. A to tylko dalekie południe Europy...

W „Piłce Nożnej” z detalami opisałem ten mecz w dwóch reportażach „**Dreszczowiec**” i „**Mecz grozy**”. Na gorąco było to dla mnie ważniejsze, niż aspekt czysto sportowy, też ważny, bo w tak ekstremalnych warunkach przed Espana’82 wywieźliśmy z Malty dwa cenne punkty. Relacjonowałem przebieg tego dramatycznego meczu również dla „Przeglądu Sportowego”. W drodze powrotnej do kraju wraz z red. Januszem Jeleniem na dwa dni zatrzymaliśmy się w Rzymie. Zwiedziliśmy Watykan i inne cuda

Wiecznego Miasta. Do fontanny Trevi wrzuciliśmy drobne monety za pomyslność reprezentacji i zawieszonych zawodników. Jeden mecz, a tyle atrakcji...

Do „Przeglądu Sportowego” również nadałem dwie korespondencję. Pierwszą zaraz po meczu z La Valletty, tę drugą następnego dnia już właśnie z Rzymu. Bajeczna sceneria. Hotel „Boston”, gdzie zatrzymaliśmy się z red. Januszem Jeleniem, usytuowano w bliskim sąsiedztwie parku Villa Borghese. Przeżywałem tam swoiste rozdwojenie jaźni. Trudno było zachować podzielność uwagi. Do Warszawy przez telefon przekazywałem pomeczowy komentarz, a z okien hotelu „Boston” sterowany jakąś „siłą wyższą” kierowałem wzrok na słynny park i zieloniutki w nim egzotyczne drzewa. Gdzieś w dali jawiły mi się kontury bogactw kardynała Borghese: pomniki, fontanny, pomysłowe budowle. Jakiś czarodziejski ogród. Takie chwile są niezapomniane...

W hotelu „Boston” też przeżywano wczorajszy mecz. Zapytano mnie, jak to się stało, że skoro z trybun lawinowo leciały pociski, żaden z zawodników ani sędzia Maksymowicz nie został raniony. To jakiś cud! Sam się temu dziwiłem, bo przecież – będąc w środku tej zawieruchy – jestem w Rzymie zdrowy i cały. Ciekawskim gościom przekazałem więc opinię zasięgniętą u psychologa dra Marka Pilkiewicza:

– Tłum działał według jednego stereotypu. Kibice mieli pretensję tylko do arbitra tego meczu i tylko na nim chcieli dokonać samosądu.

– Co ich uspokoiło?

– To, że polscy piłkarze, także jugosłowiański sędzia nie ulękli się gradu pocisków i sami, bez eskorty policji, udali się do szatni. Szaleńców rozbroiła ich odwaga. Złe instynkty powoli gasły. Ulice też stawały się spokojniejsze. Pogodzeni z losem kibice zaczęli się rozchodzić do

domów...

Zaraz po wygranym meczu na Malcie do akcji wkroczył Wydział Dyscypliny PZPN. Jego przewodniczącym był wówczas pułkownik WP, Stefan Bomba. Przy stole biesiadnym fajny kumpel, po każdym kielichu uparcie powtarzał, że „boh trojcu liubit”... Przywykłym do takiej normy szło to w miarę gładko. Bomba wówczas nie ustępował, powiększał skalę trudności w postępie geometrycznym: - „Boh tri raza trojcu liubit... To już przerastało możliwości „przygodnych gości”.

Stefan był w tamtych czasach działaczem nietypowym, ot takim „białym krukiem” wśród gromadnie krakających wron. Cenili go ludzie prawi, sprawiedliwi, bezstronni. Zjednał ich sobie fachowością i odwagą w podejmowaniu decyzji. Z reguły bronił piłkarzy. Nie zdołał jednak przeforsować swoich racji po „aferze na Okęciu”. „Moralisci” z Wydziału Dyscypliny stanęli wobec szefa okoniem i zdyskwalifikowali niemal połowę reprezentacji: Bońka, Młynarczyka, Terleckiego i Żmudę. Cios w selektonera i jego drużynę. Gdzie zrodził się ten samobójczy pomysł?

Stanisław Terlecki, nie ukrywam – gracz darzony przez mnie dużą sympatią w swoich długachnych piłkarskich opowieściach pt. „**Z lewej mańki**”, taką oto postawił diagnozę:

... „Czy to nie dziwne, że dziennikarze znaleźli się na Okęciu tak szybko i to w tak liczonym składzie. Ktoś się więc postarał, by nadać sprawie rozgłos. Jestem przekonany, że to był z góry ustalony scenariusz. Kamery rozstawione, wszystko przygotowane do kręcenia. Autorzy przedstawienia chcieli odwrócić uwagę społeczeństwa od tego, co działo się wtedy w Polsce. Pokazać, że sportowcy, którym tak dobrze się powiodło, nadużyli zaufania rodaków. A przypomnę, że był to grudzień 1980 roku”.

Wciąganie sportu w ogóle, a piłki nożnej szczególnie w niszczące tryby polityki od dawna było jedną z wypróbowanych form propagandy sukcesu, a także łagodzenia społecznych nastrojów. Nie wiem czy akurat wtedy sugestie Terleckiego były trafne, ale też jestem przekonany, więcej – wiem o tym, że wierchuszka PZPN nie spowodowała „afery na Okęciu”. Tu rzeczywiście ktoś z „wyższego szczebla” musiał w tym maczać swoje palce.

Ryszard Kulesza pierwszy demonstracyjnie odciął się od tego wyroku. Zrezygnował z funkcji selekcjonera. Zaraz po nim ustąpili: generał prezes – Marian Ryba, wiceprezes do spraw organizacyjnych inżynier Zbigniew Należyty i oczywiście Stefan Bomba. Pułkownik znalazł się wtedy w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Trzymał stronę piłkarzy i Kuleszy, tymczasem ligowa szlachta zaściankowa głównie jego obciążyla za te drakońskie kary. Nie protestował, współczuł tylko Rysiowi Kuleszy. Ujął się za nim również Ryszard Koncewicz. Dintojra w prezydium Związku.

Wrzało również w klubach, zwłaszcza w Łodzi przychodziły ludziom do głowy nierealne pomysły. Tu znów powołam się na zwierzenia Stasia Terleckiego:

... „Po przyjeździe do Polski szybko spotkaliśmy się z działaczami Widzewa i ŁKS, by ustalić taktykę działania. Prezesi Ludwik Sobolewski i Stanisław Olek oraz my piłkarze: Młynarczyk, Żmuda, Boniek, Terlecki i Smolarek. Padła propozycja, by ŁKS i Widzew wyszły ze struktur PZPN, namówiły na to jeszcze kilka klubów, utworzyły nową federację i zorganizowały odrębne rozgrywki ligowe. To z pozoru desperacka zagrywka mogła mieć sens. Oderwanie się od komunistycznej struktury mogło się spotkać z aprobatą „Solidarności”.

A więc znowu próba grzebania się w polityce. Przed Mundialem w Hiszpanii nie było by to najlepsze rozwiązanie. Zresztą, dotychczasowe kierownictwo już było za burtą, a reprezentacja nie miała trenera... Czy to już wszystko na temat smutnej „afery na Okęciu”? Oficjalnie tak, w każdym razie w takiej wersji przedstawiono to całe „wydarzenie” na początku 1981 roku. Przez ponad następných dwadzieścia lat od czasu do czasu ktoś na moment wracał do tej sprawy, nie wnosząc jednak do meritum już nic nowego. Co najwyżej wytykano głównie wiceprezesowi PZPN, Zbigniewowi Należytemu, że w zarodku nie „wyciszył” tej wpadki Józka Młynarczyka. Przecież nie on pierwszy i nie ostatni lubił chadzać własnymi ścieżkami. Należyty dobrze o tym wiedział, można jednak przypuszczać, że w mocno napiętej wtedy sytuacji społeczno-politycznej nie chciał zaognić sprawy. Mam na to konkretne dowody. Okazuje się bowiem, że naganne zachowanie wytknęli bramkarzowi nie tylko wścibscy dziennikarze i przewrażliwieni sportowi prominenci, lecz także... koledzy z reprezentacji.

Napisali do PZPN list, w którym wyrazili swoją opinię o słabości Młynarczyka. Poprosili, by właśnie Należyty odczytał go na zebraniu zarządu Związku. Wiceprezes jednak schował pismo do kieszeni, a następnie zakluczył w domowym sekretarzyku. Nigdy nie dotarło na obrady kierownictwa PZPN. Kierował się Należyty dobrem reprezentacji, Młynarczyka czy swoim własnym? Właściwą odpowiedź na to pytanie daje treść oświadczenia zawodników. Na szczęście nigdy nie ujrzało światła dziennego, dopiero teraz po raz pierwszy podaję jego treść do publicznej wiadomości. Dotychczas o istnieniu tej tajemniczej korespondencji wiedzieli tylko członkowie kadry narodowej udający się na Maltę i wiceprezes Należyty. Ostatnio kopia dotarła do „świadka koronnego”.

Zachęcam do wnikliwej analizy tego pisma. Ilustruje atmosferę tamtych czasów.

Do Zarządu
Polskiego Związku Piłki Nożnej

Reprezentacja Polski w porozumieniu z trenerem selekcjonerem zwraca się do Zarządu PZPN o zaakceptowanie sankcji jakie wyciągnęliśmy w stosunku do naszego kolegi J. Młynarczyka.

Postanowiliśmy:

1. Ukarać J. Młynarczyka naganą z wpisaniem do akt reprezentanta Polski.
2. J. Młynarczyk przeznaczy kwotę 15 000 złotych na prezenty świąteczne dla dzieci z Domu Dziecka w Pyrach.

J. Młynarczyk zachował się nagannie opuszczając bez uzasadnienia zgrupowanie w nocy z 28/29.11.80r. Taka postawa naszego kolegi nie zyskała akceptacji drużyny reprezentacyjnej, która wyciągając konsekwencje w postaci wyżej wymienionych sankcji, dała dowód swej dezaprobaty w stosunku do J. Młynarczyka.

Podkreślamy, iż kara wymierzona J. Młynarczykowi w wewnętrznym gronie drużyny uświadomi reprezentantów Polski, że w przyszłości nie będziemy tolerować podobnych występów, lecz sami będziemy domagać się o surowe karanie niezdyscyplinowanych zawodników.

Prosimy o opublikowanie w prasie powyższego pisma.

Zawodnicy Reprezentacji Polski

Pod tym listem podpisało się 14 zawodników. Którzy? Na pewno nie ma tam parafy Józefa Młynarczyka i najprawdopodobniej Stanisława Terleckiego. Głowy za to dać nie mogę, bo nie wszystkie podpisy są łatwe do odczytania. Nie ulega jednak wątpliwości, że obok Ciołka, Dziuby, Janasa, Kupcewicza, Lipki i Smolarka, które są najbardziej czytelne, figurują również nazwiska Zbigniewa Bońka i Władysława Żmudy. Uczynili to (i kiedy?) z własnej woli czy ktoś ich do tego zmusił? Wszak powszechnie wiadomo, że obok Terleckiego właśnie ci dwaj zawodnicy najmocniej wstawiali się za Młynarczykiem i głównie z tego powodu zostali ukarani i na pewien czas wykluczeni z reprezentacji.

Operacja Mundial '82 zagrożona. Wyłoniono władze tymczasowe. Funkcję pełniącego obowiązki prezesa powierzono Jerzemu Białkowi z CRZZ, a cały pion szkolenia oddano w ręce pułkownika Henryka Celaka z MSW. Tu już nie było miejsca dla Forysia, Koncewicza, Kuleszy, Lechowskiego i Loski. Nowe towarzystwo mocno pachniało Rakowiecką. Stan tymczasowości trwał kilka miesięcy. W kwietniu zwołano Nadzwyczajne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze. Ster Związku przejął dr Włodzimierz Reczek przez wiele lat przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. Szef resortu z czasów, kiedy piłkę nożną zaliczono do czwartej kategorii sportu w Polsce i uchwalono „czterolatkę piłkarską”. Ale to było dawno i – zdaniem niektórych – nie prawda. Pułkownik Celak utrzymał tekę wiceprezesa, wrócił na stare śmiecie Leszek Ryłski.

Kandydatura Włodzimierza Reczka była jedyna i w tamtych czasach niepodważalna. Wygrał w cuglach. Nieco gorzej poszło ze skompletowaniem zarządu i prezydium PZPN. „Trzymający władzę” już mieli gotowe listy, ale delegaci trzeźwiej i szerzej myślący nieco

pokrzyżowali im szyki. Znowu stawiali na Ryszarda Koncewicza, Zbigniewa Należytego i Stefana Bombę, ale żaden z nich nie przyjął zaproszenia. Mnie też usiłowano podłechtąć funkcją wiceprezesa sportowo-szkoleniowego. To nie dla mnie towarzystwo. Pierwszym i niewątpliwie najważniejszym zadaniem nowego zarządu i prezydium PZPN było powołanie nowego selekcjonera. W Warszawie nie znaleziono dobrego kandydata, postawiono więc na Antoniego Piechniczka.

„I’m sorry” czyli Antek tym razem przyjął tę prominentną propozycję. Był to dobry wybór. Za Piechniczkiem przemawiała wiedza, doświadczenie, długi staż ligowy w Legii i Ruchu Chorzów oraz kilka udanych występów w reprezentacji. Ślązak wyrósł w szkole Michała Matyasa, Ryszarda Koncewicza i Teodora Wieczorka był więc stanowczy i odpowiedzialny, pracowity i racjonalnie myślący, skuteczny w realizacji zadań. Potwierdził te zalety jako trener Odry Opole. Wierzył w swój dobry warsztat trenerski. Już w pierwszym meczu o punkty mistrzostw świata położył na łopatki „niewygodnego” dotychczas rywala z NRD. Pupil Antka, Andrzej Buncol zdobył zwycięską bramkę.

Wygrana 2:0 na Malcie kosztowała mnie sporo zdrowia, teraz też długo denerwowałem się na Stadionie Śląskim. Te wszystkie dolegliwości były jednak wkalkulowane w „operację Mundial’82”. Jeśli wygramy eliminacje, polecę z drużyną do Hiszpanii. Do pełnego szczęścia piłkarzom, Piechniczкови i mnie brakowało jeszcze dwóch zwycięstw w rewanżowych meczach z NRD w Lipsku i z Maltą we Wrocławiu. Zabiegaliśmy, by zagrali w nich Młynarczyk i Boniek. Potrzebna tu była przychylna decyzja nowych władz PZPN. Rozsądnie postąpiono już przed pierwszym meczem z NRD, odwieszając Władysława Żmudę. Teraz trzeba było pomyśleć o rehabilitacji Józefa Młynarczyka

i Zbigniewa Bońka. A co ze Stasiem Terleckim? Akurat wtedy jakimś cudownym zbiegiem okoliczności wydebił na Koszykowej dwa prywatne paszporty, a potem wizy i pofrunął samolotem do USA. Zaczynał tam jak Kopciuszek, a skończył jak piłkarski Królewicz. Dziecko szczęścia.

Antoni Piechniczek nalegał w PZPN na szybkie podjęcie decyzji. Ostrzegał, że bez dobrego bramkarza i sprytnego Bońka trudno będzie wygrać w Lipsku. Cel osiągnął, ale też naraził się na krytykę. Po przegranych meczach towarzyskich z RFN i Portugalią ten i ów w PZPN pluł sobie w brodę: - *I po co nam to było?* Rzeczywiście, z Niemcami w Chorzowie i z Portugalczycami w Lizbonie Młynarczyk i Boniek jeszcze nie błyszczeli, ale o ich umiejętności i powrót do reprezentacyjnej formy byłem spokojny. Denerwowały jednak próby selekcjonera z Krystianem Walotem i Tadeuszem Dolnym. Odebrałem to jako ukłon trenera pod adresem piłkarzy z klubów śląskich. Tu potrzebni są: Janas, Majewski, no i oczywiście tandem Lato-Szarmach!

Piechniczek nie był w ciemni bity. Powołał całą tę czwórkę na mecz w Lipsku. Ściągnął też Jana Tomaszewskiego, choć w głębi duszy (i słusznie!) stawiał na Młynarczyka. Na Sport-Forum, rzekomo tak samo „szczęśliwym”, dla Niemców jak nasz „śląski stutysięcznik” dla Polaków, pojawił się niemal taki sam polski zespół, jaki wymarzyłem sobie na Espana’82: Młynarczyk – Dziuba (Wójcicki), Janas, Żmuda, Jałocha – Lato, Matysik, Majewski, Boniek – Szarmach (Iwan), Smolarek. Brakowało mi tylko Janusza Kupcewicza i Dariusza Dziekanowskiego. Ten drugi, zdaniem Piechniczka, nie dorównywał jeszcze Andrzejowi Pałaszowi. Trochę mnie to śmieszyło, bo już w meczu Polska – Malta (6:0) we Wrocławiu kończącym eliminacje, Pałasz był wyraźnie w cieniu Dziekanowskiego. Później Darek przerósł rywala zdecydowanie. W

Hiszpanii przydałby się również Kazimierz Buda.

Klimat miesiąca października od lat jest sojusznikiem naszych piłkarzy. Potrafią to wykorzystać. Tak było w roku 1957 w pamiętnym meczu z ZSRR w Chorzowie, tak w 1973 na Wembley, a teraz w Lipsku. Butni Niemcy zapowiadali, że znowu połączą „biało-czerwonych” jak śliwkę w kompocie. Andrzej Szarmach i Włodzimierz Smolarek już po sześciu minutach gry wybili im z głowy te pogrożki i... hiszpański Mundial. Wygraliśmy tę wojnę nerwów 3:2. Polska po raz czwarty w finałach mistrzostw świata! Wybrańcy Piechniczka potwierdzili wagę tego sukcesu udaną wyprawą do Buenos Aires. Na stadionie River Plate pokonali niedawnego mistrza świata 2:1. Zwycięskie bramki zdobyli Buncol i Boniek.

Początek lat osiemdziesiątych był więc dla reprezentacyjnego piłkarstwa pomyślny. Wygrywali nie tylko seniorzy. Juniorzy dwukrotnie zajęli drugie miejsce w Europie, a młodzieżowcy dopiero w ćwierćfinale minimalnie ulegli Anglikom. Gorzej wiodło się drużynom klubowym. Przełknąłem wraz z nimi kilka gorzkich pigulek. Jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych Ruch Chorzów, trenowany wtedy przez Leszka Jezierskiego, wyraźnie mnie zawiódł w meczu z Dynamem Berlin (1:4), a w roku 1980 Szombierki Bytom do rozpaczki doprowadziły po przegranej 0:4 z CSKA Sofia. To już taki drugi blamaż przeżyłem w Bułgarii, w roku 1966 również 0:4 przegrał sam „wielki” Górnik Zabrze. O drużynie Szombierek mówiono wtedy: „na bezrybiu i rak ryba...”. Hubert Kostka się wściekał. Czy tylko on?

Ówczesnej władzy usuwał się grunt pod nogami. Wyraźnie załamywał się realny socjalizm. Atmosfera była napięta, wzrastało społeczne niezadowolenie, szerzyły się protesty i strajki. Rosła w siłę

opozycja. Starły się więc dwa obozy: obrońcy starego, totalitarnego porządku nakazowo-rozdzielczego ze zwolennikami nowych idei, nurtu niepodległościowego, wolnego rynku i demokracji parlamentarnej. Z każdym dniem walka tych systemów przybierała na sile. W dniu 13 grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny. Czarne chmury zawisły teraz również nad piłkarską reprezentacją Polski. Przerwano kontakty międzynarodowe. Ostatni mecz towarzyski z Hiszpanią „biało-czerwoni” rozegrali w drugiej dekadzie listopada w Łodzi. Wtedy ostatecznie z reprezentacją pożegnał się Jan Tomaszewski. Powrót na arenę międzynarodową nastąpił dopiero na Espana’82 w połowie czerwca 1982 roku. Pół roku sportowej wegetacji.

TAJEMNICE HISZPAŃSKIEGO MUNDIALU

Sympatycy piłkarstwa byli zaniepokojeni. Czy w tych anormalnych warunkach, zupełnie odmiennych od tych, jakie w latach 1974 i 1978 mieli Górski i Gmoch, Piechniczek sobie poradzi? Nie płynął pod prąd. Dobrze ułożył sobie stosunki z trenerami i działaczami w klubach i PZPN, miał też za sobą piłkarzy i dziennikarzy, tak samo jak on, odczuwającymi ograniczenia i zagrożenia stanu wojennego. Piechniczek, uchodzący za trenera „twardej ręki”, upartego i konsekwentnego w pracy z reprezentacją, miał teraz duży ból głowy. Z dnia na dzień musiał zmieniać plany, improwizować, poszukiwać zastępczych rozwiązań. Międzynarodowe sankcje odczuła również reprezentacja. Wypadł z kalendarza międzypaństwowy mecz z Belgią. Kilka gier kontrolnych ze słabymi drużynami w RFN i Francji nie miało tej rangi i wagi. Brakowało hartowania się w prawdziwej walce. Antek nie mógł jednak liczyć na

taryfę ulgową. Nie tylko kibicom potrzebny był sukces, autorom stanu wojennego również. Czy spełnią te marzenia piłkarze?

Ale ani ci z WRON-u, PZPN-u, ani kibice nie znali realnej wartości reprezentacyjnej drużyny. Nadzieje opierano na przychylnym losowaniu. Kamerun i Peru z uwagi na większe walory egzotyczne niż sportowe, wydawały się mało groźne, natomiast Włosi od dawna nas się boją. Jeśli uda się z nimi przynajmniej zremisować, to później będzie już z górki. Polacy w pierwszej fazie turnieju zamieszkali w hotelu „Porto Cobo” w miejscowości Santa Cruz w bliskim sąsiedztwie La Corunii. Na inauguracyjny mecz z Włochami w Vigo drużyna wyjechała autokarem już dzień wcześniej. Ja, Mirek Skórzewski z „Przeglądu Sportowego” i Grzesio Stański ze „Sportu” Katowice, następnego dnia pociągiem. Niby pośpieszny, ale włókł się w tempie dziewiętnastowiecznych pojazdów z amerykańskich westernów. Zdania o poziomie bezbramkowego meczu z Włochami były podzielone. Podział punktów zadowolił jednak malkontentów i optymistów.

Rzecznik ekipy Czesław Rowiński, instruktor z KC, trener Piechniczek oraz Boniek i Żmuda uczestniczyli w konferencji prasowej. Dobrze wypadli. Doktor Janusz Garlicki towarzyszył Smolarkowi i Matysikowi w kontroli antydopingowej. Trwało to dość długo, organizmy odwodnione, z trudem sikano. Pito więc piwo, wino, szampana i... dopiero wtedy jakoś to poszło. Specjalnym mikrobusem odjechali do Santa Cruz. W kłopotliwej sytuacji znalazła się jednak znaczna część dziennikarzy. Był stan wojenny, połączenia telefoniczne z Polską – utrudnione, choć dla mundialowych sprawozdawców odblokowane. Robotę wykonali, ale... grubo po północy. Wokół cisza i pustka. Centrum mistrzostw też milczało. Wszystkie pojazdy już w drodze. Co robić?... Polak potrafi. Na

plaży spędzono tę noc pełną niespodzianek. O suchym pysku!

W polskiej grupie w pierwszej serii spotkań nie padła ani jedna bramka. Nasze 0:0 z Włochami powtórzyli aktorzy meczu Kamerun – Peru. Niezadowolony z tego powodu był przede wszystkim trener Elba de Padua Lima-Tim. Natomiast Jean Vincent trener Kamerunu ocenił to pozytywnie. W naszej ekipie podział punktów w tym bezbarwnym meczu uznano za dużą niespodziankę. Na „Estadio Riazor” w La Corunie nudziła się cała nasza ekipa, a ja wraz z nią. Nieliczne komentarze były szokujące:

– Sensacja! Ogromna sensacja! – wykrzykiwał kierownik drużyny, Edward Kucowicz. – Kopciuszek z Afryki remisuje z utytułowaną Ameryką Południową!

Zbyszek Boniek, będący wówczas już zawodnikiem Juventusu Turyn zawadiacko mrugnął tylko okiem i równie głośno wyraził swoją opinię:

– Na tych mistrzostwach będą się działy jeszcze większe cuda!... Oby tylko nie w najbliższym meczu Polska – Kamerun...

Jak grają Kameruńczycy? Całkiem po europejsku. Dużo walki, determinacji w obronie i czyhanie na kontrataki. Najlepsi? Bramkarz Thomas N’Kono, atletycznie zbudowany pomocnik Emmanuel Kunde i sprytny napastnik Albert Roger Milla; autentyczny lider zespołu. Na kwaterę piłkarzy Kamerunu wybrałem się w towarzystwie dziennikarza Dinga Ambe Luke Ado z redakcji „Cameroon Tribune” w Juandzie. Rywale wynajęli cały hotelik „Rias Altos” w miejscowości Santa Cristina. Zatoka, plaża, szum morza. Drugiego takiego miejsca nie ma chyba w całej Hiszpanii. Wymarzone dla przybyszów z Afryki. Hotelik z zewnątrz cały biały, wewnątrz dużo szkła, luster, jasne fotele, czerwone dywany,

połączane(?) poręcze i błyszczące ściany. Willa, jak świecidełko! A tu jeszcze gra muzyka. Są też kobiety. To żony oficjeli. Zawodnicy nisko się im kłaniają. Intymny mały świat.

Edmund Zientara oglądał zespół Kamerunu dwukrotnie. Najpierw w meczu o punkty z Peru, a potem w moim towarzystwie w grze kontrolnej z II-ligowym zespołem hiszpańskim. Wynik 6:1 dla „niby-kopciuszka” z Czarnego Lądu wywarł na nas duże wrażenie:

– Kamerun – powiedział Zientara na odprawie w „Porto Cobo” – to nie są „kelnerzy”.

Tymczasem w naszej ekipie pojawiły się pierwsze kłopoty kadrowe. W napadzie kontuzjowanego Iwana, u którego doktor Janusz Garlicki stwierdził naderwanie mięśnia dwugłowego lewej nogi, w meczu z Kamerunem ma zastąpić Andrzej Pałasz. Trochę zaskoczyła mnie ta decyzja: - Czy ten drobny chłopiec zdoła wymanewrować roślących i sprawnych fizycznie kameruńskich obrońców? Wątpliwości mieli również szefowie naszej ekipy podczas frapującej wycieczki do Finisterre, najdalej na zachód wysuniętego zakątka hiszpańskiej Galicji. Krajobraz i kultura tej części kraju kłóci się z wizerunkiem spalonej słońcem Hiszpanii. Galicja ma kolor soczystej zieleni, z palmami, cyprysami i lasami eukaliptusowymi. Rozdarte serca. Smucą kłopoty drużyny, ale humory poprawia ten niezwykły krajobraz. Góry, także skalne ściany, gaje oliwkowe, na wysokim wybrzeżu moc kościołów z granitu, a tam nisko w dole – cicha tafla Oceanu Atlantyckiego. Kojąco wpływa to na skołatane nerwy. Przechadzałem się po tych cudach natury w towarzystwie Janka Ciszewskiego. Wspomniałem o Pałaszu... Przestrzegałem, że to nie da bramek. Znowu było 0:0...

Zawiodła zwłaszcza druga linia, a w niej także Zbigniew Boniek. Nie

był jeszcze „cudownie uzdrowiony” Andrzej Iwan, a już groźnego urazu doznał Jan Jałocha. Kto więc zagra w trzecim meczu z Peru, decydującym o dalszych losach Polski, Włoch, Peru i Kamerunu? Cała czwórka miała na koncie po dwa punkty i równe szanse na awans. Kto pójdzie dalej? Hiszpanie stawiali na Włochów w meczu z Kamerunem i na Peru w spotkaniu z Polską. Mocno już siwiejący Brazylijczyk Tim, trener Peru cieszący się w zespole dużą charyzmą zapowiadał wręcz pogrom „białoczerwonych”.

Walka na słowa w prywatnych rozmowach i oficjalnych wystąpieniach prasowych rozgorzała na całego. Południowcy ze słonecznej Italii oraz egzotyczni rywale z Afryki i Ameryki Południowej byli znacznie głośniejsi od Polaków. Nasz entuzjazm gasł w oczach. Markotni chodzili piłkarze, kierownictwo ekipy już wytyczało trasę powrotu do kraju, a część dziennikarzy wyżywało się na zawodnikach. Najmocniej dobierano się do skóry Zbigniewowi Bońkowi. Jerzy Wykrota z katowickiej „Trybuny Robotniczej” zadał cios najdotkliwszy; apelował po meczu z Kamerunem, by „przygotować stołek dla pana Bońka”. Równie ostro ocenił jego grę Andrzej Biliński z „Trybuny Ludu”. Upatrywał w nim dwunastego zawodnika rywala.

Było to nieuzasadnione oskarżenie wobec Zbyszka. Mnie też raziła jego słabsza postawa, ale źródeł apatii nie znałem, przeto potępić go w czambuł nie mogłem. Przecież to jest wybitny piłkarz, a nie boiskowa fajtlapa! Dlaczego więc sprawił tak duży zawód? Dlaczego tylko jeden raz w tym meczu pokazał swoje prawdziwe umiejętności i był bliski strzelenia gola? Nie wracał po stracie piłki pod własną bramkę. Brak ambicji czy niedostatki kondycyjne?

Wraz z red. Stefanem Grzegorzczakiem napisałem po Espana'82

dość interesującą książeczkę „TAJEMNICE MUNDIALU”. Czy wszystkie ujawniłem? Otóż nie! Po wywalczeniu trzeciego miejsca na świecie niezręczne było by nadmierne znęcanie się nad kierownictwem ekipy, trenerem i niektórymi zawodnikami. Zresztą, w tej konkretnej sytuacji każde słowo krytyki pod adresem prezesa Włodzimierza Reczka i trenera Antoniego Piechniczka przyjmowano by jako „szukanie dziury w całym”. Znam ten ból, już raz wezwano mnie na dywanik do KC. Nie do końca wyjaśniłem więc kulisy kłopotów naszych piłkarzy w „Rezydencji Gispert” i przyczyny słabszej gry Bońka w meczu z Kamerunem. Tajemnicę „Gispert” wyjawiał mi kierownik reprezentacji Edward Kucowicz:

– Po pustych bramkach w meczach z Włochami i Kamerunem zdegustowani i zrezygnowani powoli przygotowywaliśmy się do powrotu. Już mało kto wierzył w awans. Stąd te kłopoty z boiskami treningowymi i porządnym zakwaterowaniem... Po wygranej z Peru zabrakło czasu i możliwości na zapewnienie ekipie lepszego hotelu...

Trzy dni przed meczem z Peru byłem jednak po stokroć większym optymistą, niż większość członków ekipy. Głowiłem się, sam siebie w duchu pytałem, jakich ożywczych trzeba dokonać zmian, by wyjść z cienia, poderwać zespół, przywrócić mu wiarę. Trzeba zacząć od ataku, grającego dotychczas bez ikry i nieporadnie. Olśnienie przyszło w porę, narodził się pomysł. Wykupiłem bilet i autobusem pognałem do Santa Cruz. W hotelu grzecznie zapukałem do pokoju drugiego trenera Bogusia Hajdasa i poprosiłem o rozmowę.

– Ja wywiadów nie udzielam! To przywilej Antka...

– Nie gorączkuj się, tylko posłuchaj – w miarę spokojnie odpowiedziałem na nerwową reakcję wystraszonego gwardzisty. – Mam pomysł... Może to jeszcze nas uratuje?

Hajdas spojrział na mnie z niedowierzaniem:

– Wierzysz w duchy?... To nie jest dobry klimat do żartów... Ale mów!... Co tam znowu wymyśliłeś?...

– Słuchaj Boguś!... To, co ci teraz powiem, wymaga jeszcze konsultacji z doktorem Garlickim i... szczerzej rozmowy z Kupcewiczem. Czy mógłbyś zorganizować króciutkie spotkanie, być może już ostatnie na tych mistrzostwach: ty, ja i dwóch Januszów, lekarz i kontuzjowany piłkarz? Sam dobrze wiesz, że potrzebne są zmiany w składzie na mecz z Peru.

– To wiedzą wszyscy w naszej ekipie. Teraz każdy zastanawia się jak zestawić drużynę. Piechniczek też ma ból głowy. Powiedział, że gdyby dziś pięciu ludzi podjęło się tego zadania, to każdy z nich miałby inną koncepcję personalną i taktyczną.

– To się dobrze składa... Do mojego pomysłu na razie potrzeba nas tylko czterech, ale... koncepcja musi być jedna. Myślę, że zwycięska!

– Mów wreszcie o co ci chodzi?

– Zdrowy Kupcewicz w środku pomocy i... Boniek nie na trybunie lecz... na prawym skrzydle... Takie ustawienie jest jeszcze w stanie odrodzić nasz zespół... Kupujesz ten pomysł?

– Ciekawostka... Rozumiem – rozluźnił się Boguś – że w pomocy zagrałiby Lato, Matysik, Kupcewicz i Buncol, a w napadzie widzowski duet Boniek – Smolarek.

– Dokładnie! Tak to właśnie widzę... Wiesz dobrze, że Zbyszek jest ambitny i wciąż pełen optymizmu. Nie potrzebuje bujanego fotela, a tylko szansy na pełne odrodzenie. Napad to frontowe okno drużyny. Tam nie można i nie wypada chować się za plecy partnerów, markować gry, narażać się na gwizdy widowni, być w cieniu kolegów. Tam trzeba walczyć!

Boniek to lubi. Będzie miał okazję... także na oklaski. To go zmobilizuje, będzie szalał na połowie Peru! Przecież grać i strzelać bramki potrafi!...

Trener dał się przekonać i... wykonał dobrą robotę. Zwołał zapowiedziane spotkanie i gdy każdy z tego „uzdrowicielskiego kwartetu”: Garlicki, Hajdas, Kupcewicz, Lechowski powiedział „tak”, przystąpił do realizacji ryzykownego zadania. Podsunął ten „ratunkowy wariant” Piechniczкови. W „ciemno” kupił ten pomysł Piotr Czaja, zaś Antek wyraźnie grał na zwłokę. Kontemplował, bo nie przepadał za doradcami i niechętnie słuchał ich pomysłów. W sprawach reprezentacji swoje racje cenił najwyżej, nie chciał „dzielić się pomysłami”... Miał w sobie „coś z Koncewicza”, tu i ówdzie uchodził nawet za dyktatora, ale powoli oswajał się z propozycją Hajdasa. Sprytnie więc tylko przyznał, że pokrywa się ono z jego wizją składu na mecz z Peru. Chyba było mu trochę głupio, że wcześniej sam nie znalazł takiego rozwiązania. Informację Hajdasa przyjął jednak z zadowoleniem:

– Pogadam teraz z Bońkiem, pospacerujemy na osobności i zapytam, co on o tym wszystkim sądzi...

Kapitanem naszej reprezentacji był wtedy Władysław Żmuda. Po upływie wielu, wielu lat zwierzył mi się, że jemu również taki pomysł chodził po głowie. W Santa Cruz w towarzystwie Laty, Janasa, Młynarczyka, Smolarka, Majewskiego i Dziuby też długo zastanawiał się jak zestawiać optymalny skład na ten mecz ostatniej szansy. Wariant z Bońkiem w napadzie i Kupcewiczem w pomocy też brali pod uwagę. Atmosferę niepewności i nadziei przed pojedynkiem z Peru bodaj najmocniej przeżywał właśnie Janusz Kupcewicz:

– Mecze z Włochami i Kamerunem przesiedziałem na ławce rezerwowych. Opuchnięta stopa wciąż dokuczała. Ucieszyłem się jednak,

że ktoś jeszcze na mnie liczy. Wierzyłem też w odrodzenie Zbyszka. Wiedziałem, że jest nacisk na trenera Piechniczka... Ale czy nam zaufa? Pełen nadziei mocno ćwiczyłem indywidualnie. Dużą pomoc w tej harówce okazali mi trener Hajdas i doktor Garlicki. Jeden szlifował formę, a drugi leczył nogę...

– Czy Boniek nie powinien już wcześniej zagrać w przodzie? – zapytałem.

– Myślę, że tak... Zbyszkowi to bardzo odpowiada. Porywa go walka, jest dynamiczny, zadziorny... Potrzeba nam takiego żądła. Dla tak wybitnego piłkarza nie ma zbyt dużej różnicy między grą w pierwszej i drugiej linii.

– Podobno nie za bardzo się lubicie...

– Powiem tak: może w nieco inny sposób, ale obaj walczymy o to samo... O dobro reprezentacji Polski! Dla mnie osobiście byłby to udany debiut na mistrzostwach świata właśnie w towarzystwie Bońka.

– Przecież byłeś już na Mundialu w Argentynie!?

– Tak, nawet dużo wtedy zdrowszy i młodszy, ale cały turniej przesiedziałem na ławce rezerwowych.

Przed meczem Polska – Peru (czyżby już z myślą o pożegnaniu?) kierownictwo naszej ekipy wydało koktajl dla miejscowych oficjeli, dziennikarzy i działaczy FIFA przebywających w La Corunie. Atmosfery nerwowości nie było, a uprzejmość Peruwiańczyków wręcz szokująca. Szef ich ekipy inżynier Alberto Espantosa Perez wręczył naszemu prezesowi doktorowi Włodzimierzowi Reczkowi dwie barwne laleczki. Któryś z gości dyskretnie to skomentował:

– To jest taki stary zwyczaj Inków. Jeśli przed walką chcą dać rywalowi do zrozumienia, że go pokonają, ofiarowują właśnie taki

niewinny prezencik.

Prezes Reczek nie dał się zbić z pantałyku. Rezolutnie odpowiedział:

– Zapewne chciałby pan te cacuszka zagarnąć dla siebie... Czy bez laleczek było by nam łatwiej? W duchy nie wierzę! Zabieram suweniry i jestem przekonany, że to nam przyniosą szczęście.

Następnego dnia, 22 czerwca 1982 roku, prezes Reczek opowiedział to wydarzenie piłkarzom. Śmiechu było nie mało, ale też sporo podstaw do głębszej refleksji. A nuż się nie uda? Starym zwyczajem jak podczas igrzysk olimpijskich, były szef PKOl już w bardzo poważnym tonie przemówił do zawodników:

– Koledzy! Przed wami mecz ostatniej szansy. My, Polacy słyniemy z tego, że w trudnych chwilach potrafimy się maksymalnie zmobilizować. Teraz jest taki moment, taka właśnie chwila – trudny mecz z Peru. Myślę, że dziś każdy z was da z siebie wszystko. W zespole tkwią jeszcze duże rezerwy. Panowie stać was na wygranie tego meczu! I tego właśnie wam życzę...

W meczu z Peru przyszło od dawna oczekiwane ODRODZENIE. To chyba najwłaściwsze słowo dla określenia tego, co zademonstrowała i czym na „Estadio Riazor” w La Corunie uraczyła nas reprezentacja Polski. Można to porównać tylko z pamiętnym w roku 1974 zwycięskim meczem z Argentyną w Stuttgarcie. Tamten otworzył długą drogę do trzeciego miejsca na świecie, ten ostatecznie oddalił już tak bliskie niepowodzenie. Przywrócił nadzieje. Odżyliśmy. Stało się to tak nagle i zaskakująco, że chwilami aż nie chciało się wierzyć. Czy w meczu z Peru rzeczywiście grała ta sama drużyna, która w meczach z Włochami i Kamerunem nie zdobyła ani jednej bramki?

Kiedy przed tym spotkaniem odwiedziłem Peruwiańczyków

nieopodal La Corunii w uroczym, ale mało dostępnym zakątku El Pazo de Marinan, minę miałem nietęgą. Rygor tu znacznie większy niż w naszej ekipie, „Policia National” wpuszcza tylko ludzi z przepustkami w ściśle określonych godzinach. W innym czasie nawet nie pocałujesz klamki, nie pozwolą. Starzejący się trener Elba de Padua Lima-Tim, z którym udało mi się zamienić kilka słów, tryskał humorem i pewnością siebie. Poprawił tylko starą czapkę, z którą rozstaje się dopiero przed pójściem do łóżka i rozpoczął rozmowę z taką pewnością siebie, że aż mnie zamroziło:

– Wygramy ten mecz bez większego trudu! Zresztą, remis też nas urządza. Włosi i my już strzeliliśmy po jednym голу, a to przy równym dorobku punktowym – zadecyduje. Górą będzie Italia i Peru! Chcemy zająć dalej niż w Argentynie.

– Nasi piłkarze są w doskonałym nastroju i wprost tryskają zdrowiem – włączył się do rozmowy lekarz Peruwiańczyków Jorge Alva Flores. Jest im tu w El Pazo de Marinan cudownie. Woda, drzewa, niewielkie wzgórza i kręte ścieżki... Czujemy się jak u siebie w domu. Quiroga, Uribe, Velasquez i Barbadillo będą jeszcze gwiazdami tych mistrzostw! Wie pan jak po 1:1 z Włochami w hiszpańskiej prasie ocenił ich trener Enzo Bearzot? To brylantowi technicy!... A nasze radio i telewizja niemal od rana do wieczora nadaje melodyjną piosenkę „Peru Campeon”.

Takie dictum mogło zrobić wrażenie. Podzieliłem się tymi pogrózkami z trenerem Piechniczkiem i kapitanem drużyny Żmudą. Nie padli na kolana.

Antek: – Trzeba zagrać szybko i nieustępliwie. Nie pozwolić na rozwinięcie wygodnego dla nich ataku pozycyjnego. Niech pobiegają, to może opadną z sił...

Władek: - Z każdym dniem dojrzewamy w tych mistrzostwach jako drużyna. Po pierwszych słabszych meczach, atmosfera była kiepska, teraz wszystko dobrze się układa. Nabieramy świeżości... Przed meczami z Włochami i Kamerunem za mocno ćwiczyliśmy. Trener trochę pofolgował i teraz czujemy się świetnie. Będzie dobrze!...

Przed przerwą na to się nie zanosilo. Przez 45 minut trzeba było gryźć palce z rozpaczy. Bramka „szalonego” Quiroqi wydawała się być zaczarowana. Czy ten człowiek ma w sobie jakieś magiczne siły? Jak długo jeszcze jego zaklęcia i okrzyki kierowane do kolegów, ale też do samego siebie, będą skuteczne? Trener Tim zaraz po przerwie wzmacnia atak. Wchodzą do gry Uribe i Barbadillo. Był tak pewny siebie czy zabrakło mu wyobraźni? Legł pod gruzami własnych przechwałek. A my, Polacy przeżyliśmy jakiś cudowny sen. Szczelna dotychczas obrona Peru zaczyna pękać. Dostrzega to od lat dobrze mi znany i zawsze przyjazny Polsce trener FIFA, Dettmar Cramer:

– Jest tak jak przewidywałem. Zaraz posypią się bramki. Polska wie, co robi. Forsuje szybkie tempo, ani na moment nie zwalnia... Wszyscy biegają. Peruwiańczycy tego nie wytrzymają!

Prorocze słowa. Festiwal pięciu bramek otworzył największy pupil Piechniczka, Włodzimierz Smolarek. Niegdyś Rapid Wiedeń słynął z „cudownego kwadransa” kończącego niemal każdy mecz. Polacy takie „swoje piętnaście minut” zafundowali nam między 55 a 70 minutą. 1:0 – Smolarek, 2:0 – Lato, 3:0 – Boniek, 4:0 – Buncol. Nieco później wynik na 5:0 podwyższył rezerwowy Włodzimierz Ciołek. Dopiero gdy „chłopcy Piechniczka” nieco odpuścili, La Rosa ustalił końcowy wynik na 1:5. Nie ma Peru! Nie ma Tima! Nie ma Velasqueza, Cubillasa i Uribe! Peru do domu! Teraz na ustach Hiszpanów są tylko dwa słowa:

- Brawo Polonia! Słyszymy też głosy turystów z kraju: - Polska! Polska! Obok biało-czerwonych sztandarów powiewają flagi „Solidarności”. Zwycięska drużyna jest skarbem wszystkich Polaków. La Coruna żegna naszych piłkarzy długotrwałą owacją. Wniebowzięty jest red. Stanisław Garczarczyk z Poznania, który w La Corunie zjawił się z wycieczką „Orbisu”:

– Przyniosłem wam szczęście! Jedziemy dalej! Do zobaczenia w Barcelonie...

Stasio już wybiegł w przyszłość, tymczasem nasi piłkarze dopiero po powrocie do Santa Cruz tak na dobre zaczęli smakować peruwiańską wiktoryę. W drzwiach hotelu Porto Cobo” właściciel, popularny wśród naszych chłopców Eduardo i jego brat Francisco powitali zwycięzców tradycyjną lampką szampana. Kolacja była wyjątkowo uroczysta, a menu niecodzienne. Czego dusza zapragnie! Jednak na staropolską biesiadę zbyt dużo czasu nie było. Bo oto, zamiast już brać zapowiadany kurs na Barcelonę, w „Porto Cobo” pojawili się wycieczkowicze z Poznania. Wyczałowali piłkarzy, odśpiewali „Sto lat” oraz „Mazurka Dąbrowskiego” i dopiero wtedy ruszyli w dalszą podróż. A piłkarze, mimo zmęczenia - z zainteresowaniem oglądali w telewizji mecz Szkocja – ZSRR.

– W drugiej rundzie – sugerował Piechniczek – najprawdopodobniej spotkamy się z Belgią i właśnie z ZSRR. Nasze zadanie? Wygrać z Belgią i zremisować z „ruskimi”. To było by wykonanie mundialowego planu z nadwyżką...

Mecze Polaków z Kamerunem i Peru oglądali prezydent FIFA, Joao HAVELANGE i trener FIFA Dettmar CRAMER. „Latający prezydent” zorganizował w biurze prasowym na „Estadio Riazor” interesującą konferencję, a „trenerski obieżyświat” wdał się ze mną w

typowo partnerską rozmowę.

– W obu meczach – komplementował nas Havelange – Polacy potwierdzili dobrą o sobie opinię. To nie przypadek, że już po raz trzeci z kolei jesteście w finałach mistrzostw świata. Teraz zapewne zagracie w grupie z ZSRR. To mocny rywal. Dość pechowo przegrał z Brazylią 1:2. Z Polską też może mieć kłopoty. Z meczu na mecz gracie coraz lepiej...

Cramera zapytałem, które kraje – jego zdaniem – zrobiły w futbolu największe postępy.

– Czarny Ląd! – odpowiedział bez namysłu. – Pamięta pan rok 1974 i mistrzostwa świata w Niemczech? Wtedy Zair, przedstawiciel Afryki przegrał z Jugosławią 0:9... A tu, w Hiszpanii Kamerun zremisował wszystkie trzy mecze: z Peru, Polską i Włochami. Algieria wygrała z RFN!

– Jest najlepsza w Afryce?

– Nie... Mnie bardziej podoba się Kamerun. Jest coraz bliższy poziomowi europejskiego i południowo-amerykańskiego. Już teraz gra dojrzałe. To drużyna przyszłości...

– A jak widzi pan naszą reprezentację?...

– Rozmawiałem już z Antonim Piechniczkiem. Znam wasze kłopoty... Zaczęliście z niskiego pułapu, bez dostatecznych przygotowań, a jednak... w meczu z Peru pokazaliście dużą klasę. Pójdziecie jeszcze dalej!...

– Mamy równie dobrą drużynę jak w 1974 roku?

– Wtedy mieliście silniejszy zespół, ale teraz też zasłużenie – i to z pierwszego miejsca – awansowaliście do drugiej tury. Od początku na was stawiałem.

– W Barcelonie też będzie pan nam kibicować?

– Będę! Ale tam już tak łatwo wam nie pójdzie... Musielibyście zagrać jeszcze skuteczniej niż w meczu z Peru. Przede wszystkim w obronie...

W czwartek 24 czerwca pożegnaliśmy La Corunię i tawernę, w której najczęściej się stołowaliśmy. Gustowaliśmy w owocach morza, co oczywiście popijaliśmy popularnym w Hiszpanii koniakiem „Veterano”. Miruś Skórzewski miał na to proste wytłumaczenie: - Lubię ośmiornice, ale bez czegoś mocniejszego trudno to strawić. Pomagała właśnie butelka „Veterano”. Poznaliśmy tam jeszcze boski smak luksusowego „Carlos IV”. Bezpłatnie! Tak właśnie trunkowych klientów pożegnał właściciel lokalu. Do Barcelony lecieliśmy razem z Włochami. Mają nadzieję, że na „Camp Nou” dojdzie do rewanżu za bezbramkowy remis w Vigo. Z lotniska pod silną eskortą policji nasza ekipa udała się do „Residencia Gispert” w miejscowości Collbato, oddalonej od centrum Barcelony o 48 kilometrów.

To zupełnie inny świat niż Santa Cruz. Tam hotel „Porto Cobo” usytuowany w centrum miasteczka, natomiast „Gispert” stoi na niewielkim wzgórzu, w lasku, zacisznym ustroniu. Z zewnątrz prezentuje się to nie najgorzej, ale wewnątrz – dramat już na starcie. Brak klimatyzacji! W Santa Cruz nikt na to nie narzekał, bo tam upałów nie było, ale tu żar leje się z nieba. Parno, trudno oddychać. Podobno planowano inną kwaterę, ale uprzedzili nas Argentyńczycy. Wyłożyli gotówkę na stół, my zwlekaliśmy. Cierp ciało jak pieniędzy nie stało... Dziennikarze włoscy podawali o tej naszej „rezydencji” niemalże wojenne komunikaty. Twierdza, forteca, „piłkarski bunkier”...

Nie ma tu basenu, nie ma też boiska. Jest tylko upał, 30 stopni Celsjusza w cieniu i perspektywa jeszcze większej spiekoty. Basen

znaleziono w sąsiedniej wsi, a boisko w odległości 8,5 kilometra od „Gispert”. Jest tu nieco więcej spokoju, nie ma tylu kibiców, co w Santa Cruz. Policia National pilnie strzeże dostępu do piłkarzy, także w drodze na basen i podczas treningów w Esparraquera. To taki maleńki obiekcik wśród domów mieszkalnych. Z okien i balkonów zajęcia Polaków obserwują lokatorzy. Wszyscy darzą nas dużą sympatią. Mówią, że Polska jest „ich” drużyną i w meczach z Belgią i ZSRR będą nam kibicować.

Do meczu z Belgią jeszcze sporo czasu, a że w „Gispert” nie ma wentylacji, przeto w sobotę 25 czerwca wybrano się w góry, do miejscowości Montserrat. Tu jest dużo lepsze powietrze, rześko, lżej oddychać. W Montserrat atrakcją jest klasztor z XI wieku. Trasa z Collbato wiedzie tuż nad samą przepaścią, można najeść się strachu. Ponad godzinę trwa zwiedzanie tego fenomenu – jak twierdzą Hiszpanie – Katalonii i całego świata. Klasztor niczym jaskółcze gniazdo do sufitu, jest przyklepiony do gór. Wybudowali to cudo pracownicy benedyktyni-bracia zakonni, a unosi się nad nim „Czarna Madonna”, patronka prowincji. Niektórzy nasi zawodnicy kupują świece i zapalają je w starym klasztorze. Może „Madonna” pobłogosławi nas w meczu z Belgią?...

Na razie informacje z obserwacji najbliższego rywala przekazuje trenerowi Piechniczкови, Hubert Kostka. W przeddzień meczu bardziej dokładne „rozpoznanie” przeciwnika zaprezentował Kostka całej drużynie. Jest silny fizycznie, można z nim wygrać tylko sprytem i nie szablonowymi akcjami ofensywnymi. Dryblasy z Belgii Bońka nie przerażają: - A czy u nas Władek, Paweł i Stefan – to ułomki? Grzegorz Lato, ten gra w ich lidze... w Lokeren, też twierdzi, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jak zatem zagrać z Belgami? Nie pozwolić na swobodne przeprowadzenie ataku pozycyjnego, nie dopuszczać do wrzutek ze skrzydeł na pole karne

i uważać na spalone. To broń obusieczna! Skład taki sam jak w wygranym meczu z Peru: Młynarczyk – Dziuba, Janas, Żmuda, Majewski – Lato, Matysik, Kupcewicz, Buncol – Boniek, Smolarek.

EL PARTIDO NUMERO TREINTA Y OCHO

Wynik też zbliżony – 3:0! Koncertował Zbigniew Boniek, zdobył wszystkie trzy bramki. Pierwszą zza pola karnego po wspaniałym podaniu (do tyłu!) Grzegorza Laty. Niemal żywa kopia tej, która w roku 1974 w RFN w meczu z Włochami z podania Kasperczaka zdobył Kazimierz Deyna. O takich golach mówią dziś „stadiony świata”. Zburzyło to taktykę wcale nie słabego rywala, musiał atakować. W to nam graj! Drugi gol – to popis duetu Kupcewicz – Buncol i... strzał Bońka głową. A akcja na 3:0? Prezentacja wrodzonej inteligencji i piłkarskiego sprytu Bońka – czempiona. Ośmieszył belgijskich obrońców i ich „pułapki ofsajdowe”. Strzelił do pustej bramki. Triumfował!

Jakie właściwie słowo jest w stanie w pełni oddać wyczyny Bońka w tym piłkarskim spektaklu? Wirtuozeria?... Fascynacja?... Radość?... Szok dla Belgów i hiszpańskiej prasy?... Nasz Zbyszek przyćmił sławę Maradony. Był gwiazdą widowiska, którym obdarowała kibiców cała polska drużyna. Tak pięknie, mądrze i skutecznie na tym Mundialu grała tylko Brazylia. Na konferencji prasowej jeden z włoskich dziennikarzy zapytał Polaka:

– Panie Boniek czy dlatego grał pan tak dobrze w meczu z Belgią, bo na trybunach siedział trener Juventusu, Giovanni Trapattoni?

– Trapattoni? Juventus? – To nie ten temat. Dziś grałem w biało-czerwonych barwach. Dla Polski zdobyłem trzy bramki...

Oklaskami nagrodzono tę dumną wypowiedź Bońka. To był jego wielki dzień. Mnie już na boisku porwał sposób w jaki dochodził do piłki. Swoboda, dynamika w przeprowadzanych akcjach, zaskakujące zwody i efektowne strzały... Płynna współpraca z kolegami. Jakby to wszystko było kreślone ręką na papierze, a nie nogą na boisku. Polska głowa i dusza!... Kontuzjowany Andrzej Iwan, którego w napadzie zastąpił właśnie Boniek, przesiedział cały ten mecz na trybunach:

– Każdy z nas przynajmniej raz w życiu ma tak zwany... „dzień konia”. Myślę, że Zbyszek taki dobry mecz jak z Belgią, jeszcze nieraz rozegra. Ale już ten z poniedziałku 28 czerwca na „Camp Nou” w Barcelonie, przejdzie do historii. Świat piłkarski zapamięta również wspaniałe parady Młynarczyka w bramce, determinację stoperów Żmudy i Janasa oraz zmysł taktyczny Kupcewicza. Także niesamowitego Grzegorza Latę...

Senior reprezentacji akurat z Belgią rozgrywał swój setny mecz. Zrobił to cudownie. Na pozór bez większego wysiłku, szybko i sprawnie, jakby był o dziesięć lat młodszy. Pamiętacie? Grał tak w 1974 roku na boiskach RFN. Potwierdził to pan Bofinger, właściciel uroczego pensjonatu „Sonne Post” w Murrhardt. Tak wtedy polubił naszych piłkarzy, że teraz przyleciał za nimi do Barcelony. Uściskał dłonie Żmudy, Szarmacha i właśnie Laty. To już trzeci ich Mundial i wciąż mistrzowska forma!... Trener Piechniczek też zbierał gratulacje.

– Czy Boniek jest już gwiazdą tego Mundialu? Hiszpańska prasa wynosi go pod niebiosa...

– Jest i sądzę, że jeszcze o nim usłyszymy.

„El partido numero treinta y ocho” czyli mecz trzydziesty ósmy, tak w oficjalnym komunikacie to zwycięskie 3:0 „biało-czerwonych” zaznaczyli statystycy FIFA. Dla nich też głównym bohaterem tego

widowiska był Boniek. Dla nas Polaków było to niecodzienne wydarzenie jeszcze z jednego powodu: setny mecz w reprezentacji właśnie w tym dniu rozegrał Grzegorz Lato, król strzelców Weltmeisterschaft '74. Wtedy w Monachium bramką strzeloną Brazylii dał nam trzecie miejsce na świecie, a teraz w Barcelonie wręcz książkowym podaniem z prawej flanki, przyczynił się do inauguracji festiwalu strzeleckiego Zbigniewa Bońka.

– To już jedenasty sezon Lato w drużynie narodowej i trzecie mistrzostwa świata... Gratuluję! To szczególnie uroczyste chwile w tak długiej karierze.

– Ale powoli trzeba będzie się zegnać. Może jeszcze Władek Żmuda zagra na kolejnym Mundialu...

– Czy wierzył pan, że po pustych bramkach w meczach z Włochami i Kamerunem rozegra w Hiszpanii swój setny mecz?

– Nie traciłem nadziei... Sytuacja była bardzo trudna, nie szło nam, ale gdy przypominałem sobie bezbramkowy mecz z Kubą w Montrealu, a potem olimpijski finał, zacząłem wierzyć, że i tym razem się uda. W trudnych sytuacjach potrafimy się zmobilizować...

– Dlaczego na początku szło tak, jak po grudzie?

– Trzeba na to spojrzeć realnie i... sprawiedliwie. Od listopada 1981 roku nie rozegraliśmy ani jednego meczu międzypaństwowego. Stan wojenny... Pojawiło się zwątpienie, rodziły się złe nawyki... Dopiero w Hiszpanii, w warunkach turniejowych powoli zmieniała się nasza mentalność i rosła forma. Zaczęliśmy wygrywać..

– Jak teraz Jubilat widzi drużynę?

– Przedwcześnie niektórzy położyli na nas krzyżyk. Drużyna jest młoda, rozwojowa... Jestem zaskoczony postawą Matysika. Nie

ma jeszcze „nazwiska”, a już odgrywa w zespole dużą rolę. Dobry jest również Buncol. Świetnie gra para stoperów Janas – Żmuda. Janas jest wszechstronniejszy od Gorgonia.

– Teraz mecz z ZSRR. Pójdzie równie dobrze jak z Belgią?

– Zawsze wolę grać z drużynami europejskimi, niż z Ameryki Południowej. Niech Włochy pomęczą się z Argentyną i Brazylią...

– Które z tych stu rozegranych spotkań wspomina pan najchętniej?

– Wszystkie na mistrzostwach świata w RFN...

– Dlaczego?

– Bo to był dla mnie osobiście i dla reprezentacji sukces największy. Graliśmy nowocześnie, chyba najlepiej w całych dziejach naszego piłkarstwa. Byłem królem strzelców...

– No właśnie! Wtedy hasał pan po skrzydle, teraz ciężko pracuje w drugiej linii. Łatwiej być napastnikiem czy pomocnikiem?

– Zdecydowanie napastnikiem! Wymaga to nieco mniej wysiłku. Ale trener Kulesza zrobił ze mnie pomocnika i tak już zostało...

Bogdan Łazuka tuż przed hiszpańskim Mundialem śpiewał tajemniczo brzmiącą piosenkę: *„Entliczek, pętliczek, co robi Piechniczek tego nie wie nikt”*... Po meczu z ZSRR - wynik bezbramkowy w pełni nas urządził - wiedzieli już wszyscy: - **Jesteśmy w strefie medalowej!** Teraz można już było tu w Hiszpanii zanucić za Hanką Ordonówną: - *„Uliczkę znam w Barcelonie”*... I powtórzyć za Łazuką: **„W uliczkę wyskoczył Boniek”**... Zrobił to perfekcyjnie na „Camp Nou”. W najbliższym sąsiedztwie Plaza Catalunya – takie odniosłem wrażenie – poznałem też „uliczkę” ze szlagieru boskiej Hanki.

Penetrowaliśmy teren dość długo, ale skutecznie. Dwieście, może trzysta metrów od skromnej naszej kwatery odkryliśmy: Skórzewski,

Stański i ja taką właśnie przytulną uliczkę, a przy niej niedroga, schludną restaurację. Czuliśmy się tam wyjątkowo swobodnie. Hiszpanie już po wygranej z Peru obdarzyli nas sporą sympatią, ale teraz po wyeliminowaniu Belgii i ZSRR, kłaniali się w pas. E viva Polonia! Oberkelner „Antonio” o stałej godzinie rezerwował dla nas miejsce przy barze. Jadło i napoje wyśmienite, ceny przystępne. Własnego wyrobu piwo „Tele” – prawdziwy rarytas! Nawet Heineken i Carlsberg w jego cieniu!

Po meczu z ZSRR i pewnym awansie do półfinału zaprosiliśmy do „naszej tawerny” trenera Ryszarda Kuleszę. Przyleciał na Mundial aż z Afryki, gdzie teraz pracował. Zdobył sympatię ministra kultury i sportu Tunezji. Egzotyczny boss z własnej puli pokrył tygodniowy pobyt Polaka w Hiszpanii. Via Tunis – Marsylia – Barcelona dotarł Rysio na końcową fazę mistrzostw. „Kulce” również spodobała się nasza „uliczka w Barcelonie”, a w tawernie przyjazne gesty Antonia. Biesiada na całego.

– Antonio! – wzywał Miruś barmana. – Post dos „Tele” quatro „Veterano”!

Pili wszyscy. Rozochocony Kulesza nabrał kolorków, rychło zaprzyjaźnił się z obsługą, uśmiechał się i oznajmił w swoim stylu: – *Teraz ja stawiam „po kubetku”*. Każdy postawił kolejkę. Skórzewski chętnie posiedziałby jeszcze na wysokich stołkach, ale ochłodziłem jego zamiary:

– Dość! Teraz zapraszamy Rysia do naszego hotelu... Tam pobałujemy do rana. Trzeba zapamiętać ten awans do półfinału!

– Juruś! – Miruś z przyzwyczajenia pokręcił nad głową palcem wskazującym: – Ty masz „genialne pomysły”!

Już poniedziałek czy jeszcze niedziela 5 lipca? Do późnych godzin nocnych rozkoszowali się przede wszystkim piłkarze. O trzeciej nad ranem dołączyli do ferajny Tadeusz Dolny, Grzegorz Lato i doktor Garlicki.

Byli po kontroli antydopingowej. „Residencia Gispert” przeżywała najazd dziennikarzy, krajowych i zagranicznych, głównie Włochów. Oni też mieli swój dzień: pokonali Brazylię 3:2 i teraz po raz drugi zagrają z nami. Mecz Włochy – Brazylia oglądałem na stadionie „Sarria” czyli Espanyolu w kompanii z Piechniczkiem, Kostką i Żmudą:

– Niesamowite! Niesamowite! – wykrzykiwali raz po raz. – Ach ten Paolo Rossi! W jego cieniu cały brazylijski gwiazdozbiór! Zico, Sokrates, Falcao, Dirceu...

Po meczu włoscy tifosi wylegli na ulice Barcelony. Śpiewają, wznoszą okrzyki, tańczą tarantelę. Na Ramblas przy Plaza Catalonia w pobliżu naszego pensjonatu bawią się całe pułki kibiców. Grają trąbki, walą bębny, powiewają flagi. Istny zawrót głowy. Nie wytrzymał tego napięcia i potwornych upałów skarbnik PZPN, Wilhelm Bąk. Powędrował do szpitala. Źle się czuł także Janek Ciszewski. Nie miał ochoty na pokera. Nikt z nas nie domyślał się, że to jest jego ostatni Mundial. Wkrótce odszedł na „wieczną wartę”... A słońce wciąż praży. Takiego skwaru nie było tu od stu lat. Czterdzieści stopni w cieniu! W „Gispert” jak w piekarni. Na mecz z Włochami ekipa wyjechała już o 14.30, bo dziś gramy już o 17.15. Dla nas to zły czas. Włosi w pełni to wykorzystali i wygrali z Polską 2:0. Ale czy tylko nieprzychylna nam aura, brak Bońka w składzie, bo cierpiał za „żółte kartki” i „grzanie ławy” przez Szarmacha ułatwiły rywalom zwycięstwo?

– Trzy dni przed meczem z Włochami – użalał się Paweł Janas – były dla nas fatalne. Temperatury stulecia, a my w pokojach bez klimatyzacji. Kładliśmy się spać o drugiej – trzeciej w nocy, przewracaliśmy się z boku na bok i o świcie pędziliśmy do lodówki po coca-colę. Mordega! Ja wiem, że głównie z mojej winy Rossi zdobył drugą bramkę... Przepraszam, ale

w tym spotkaniu nic więcej zrobić nie mogłem. Koledzy również. Formę z meczu z Belgią straciliśmy w „Gispert”...

Sięgam dziś, po dwudziestu kilku latach, pamięcią wstecz, widzę „Camp Nou” i ten przegrany mecz. Powiewają sztandary „Solidarności”, rozbrzmiewa „Jeszcze Polska nie zginęła”, jest wiara w zwycięstwo, ale nie ma już formy ze spotkań z Peru i Belgią. Wyraźnie brakuje wytrzymałości i... dyscypliny taktycznej. Luki w środku pola, bo z konieczności brak tu teraz pracowitego Laty, w przodzie duet Włodek - Grzesio, to już nie to samo, co „wiedzewski tandem” Boniek - Smolarek. Nasi nie byli w stanie przebić się przez szczelną obronę rywala. Napad praktycznie nie istniał. Dino Zoff mógł spać spokojnie. Triumfował Enzo Bearzot.

Nadal gorąco. W naszym hoteliku przy Plaza Catalunya równie parno jak w „Gispert”. Też nie ma klimatyzacji. Zaczynam mieć tego dość. Wprawdzie skoro świt właściciel podrzuca do łóżka zimne piwo, ale to lekarstwo na krótką metę... Chłodny prysznic też niewiele pomaga. Tylko Mirusiowi to nie przeszkadza. Wstał wyjątkowo wcześnie, zarzucił na plecy mundialową torbę ofiarowaną przez organizatorów i wybrał się po zakupy do domu towarowego „El Corte Ingles” przy Ramblas. Ja z Grzesiem Stańskim jeszcze nie zdążyłem rozegrać pierwszej partyjki karioki, a Skórzewski z wyrazem twarzy skazańca znowu jest z nami.

– Miruś! Co się stało? Masz sraczkę?...

– Gorzej... – ledwie wykrztusił.

– Stan przedzawałowy?

– Jeszcze gorzej... – stękał zrezygnowany.

– Mów, co cię ugryzło?

– Okradli mnie... O, z tej torby wyciągnęli całą moją forszę... W „El Corte Ingles”. Chyba na ruchomych schodach.

– Ile? – pytamy jednocześnie.

– Osiemset „zielonych”... Jestem teraz golas... Muszę wracać do Warszawy...

– To się dobrze składa – powiedziałem pół żartem, pół serio – bo ja też mam taki zamiar... Nie widzi mi się w taki upał podróż z Barcelony do Alicante... I to w pociągu osobowym!... Innego połączenia jutro nie ma. To ponad moje siły...

Stański, od obu z nas dużo młodszy, spojrzał z politowaniem i wypalił.

– Jedźcie! Jedźcie... Tylko kto wtedy poda wam piwko do łóżka?... U nas teraz o „Żywca” trudniej niż o lekarstwo.... A octu chyba pić nie będziecie...

Grzesio dość łatwo nas przekonał. Chcąc uspokoić skołatane nerwy Mirusia i kłopot, który i nam spadł teraz na głowę, zamówiliśmy u gospodarza po setce „Veterano”. Do wieczora graliśmy w karty. Krótkie przerwy Stański wykorzystywał na zakupy. Na frasunek dobry trunek!... Z samego rana odjeżdżał pociąg do Alicante. Znowu popadam w zły humor. Jak to wszystko pozbierać? Ciężar niesamowity. Rzeczy osobiste, drobne prezenty, mnóstwo dokumentacji prasowej...

– Jedźcie sami, ja nie dam rady – wystękałem. – Za dużo tych maneli...

Koledzy pomogli. Na dworzec dotarliśmy tuż przed odjazdem pociągu. Tłok, jak u nas w kolejce po mięso na kartki. O wolnych miejscach w przedziale, ba – nawet na korytarzu, nie ma co marzyć. Z litości wpuszczono nas do brankardu. Chyba pół rozspiewanej Barcelony zmierza ku Costa Brava i Costa Blanca. Co chwila ktoś wsiada i wysiada. Szczęśliwcy za moment zanurzają się w morskich falach, a nas w Alicante

czeka jeszcze mecz z Francją. Złani potem, z zaschniętymi gardłami i opuchniętymi nogami, docieramy do Walencji. Tu przesiadka i... ulga, bo wagony klimatyzowane. Nieco „odrodzeni” docieramy na „Estadio Jose Rico”, gdzie przez kilka miesięcy grał Jan Tomaszewski. Był tu dobrym duchem „Herculesa” Alicante.

Polacy zamieszkali w „Gran Hotel Delfin”. Tu nieco spokojniejsze życie. Na zewnątrz upał bodaj jeszcze większy niż w Barcelonie, ale wewnątrz można swobodnie oddychać. Jest klimatyzacja! Nie będzie już nieprzespanych nocy i sennych majaków. Rysuje się realna szansa powtórzenia sukcesu z 1974 roku. Zagra już Boniek, ale – znowu te przeklęte „żółte kartki” - zabraknie Smolarka. Co teraz wymyśli Piechniczek? Postawił wreszcie na Szarmacha. Ma to być chwyt psychologiczny, bo Andrzej jest we Francji wysoko notowany. Strzela dużo bramek w Auxerre. Czy dziś to potwierdzi?...

Trener „trójkolorowych” w meczu z Polską zrezygnował z kilku zawodników wyczerpanych morderczym pojedynkiem z Niemcami. W normalnym czasie 1:1, po dogrywce 3:3, w rzutach karnych 5:4 dla RFN. Z nami nie zagrali, między innymi: Platini, Giresse i Rocheteau. Michel Hidalgo postawił na „świeżość” i ambicję rezerwowych. Ruszyli z impetem i już w 14 minucie prowadzili 1:0 ze strzału Girarda. Świetnie grał pomocnik Bordeaux Jean Tigana. Dotychczas był w cieniu Platniego, teraz nie czując obok siebie oddechu wielkiego Michela, Tigana sam „rządził i dzielił” na boisku. Jednak w końcówce meczu i on gonił resztkami sił. Dał o sobie znać wysiłek włożony w mecz RFN – Francja, chyba najlepszy na tym Mundialu!... Było tam wszystko: wysoki poziom gry, indywidualne popisy gwiazd, niezwykła dramaturgia i... zaskakujący finał. Widowskowo grająca Francja w dogrywce prowadziła 3:1, mimo

to powalił ją niemiecki czołg. Czy „piłkarskie tygrysy” zburzą w finale włoski bunkier? To jutro, dziś my gramy o trzecie miejsce na świecie.

Francuzi potrafią błysnąć, olśnić, by nagle zgasnąć. Te swoje fanaberie zaprezentowali również w meczu z Polską w Alicante. Dość długo śmiało nacierali na Polaków, ale nasi nie byli dłużni. Atak za atak, można nawet powiedzieć „ząb za ząb”. To ostatni mecz Mundialu, trzeba więc pójść na całego! Taktyka „burzy i naporu”, z obu stron. Kto to lepiej wytrzyma? Sześciu rezerwowych Francuzów, jeszcze nie wypalonych, łaknących walki i zwycięstwa, a piłkarsko nie gorszych od tych z podstawowego składu, w końcowej fazie meczu może nas zamęczyć. Nie ma na co czekać, trzeba to wcześniej rozstrzygnąć! Recepta? Na szaleńcze natarcie „biało-czerwonych” Francuzi nie znaleźli odpowiedzi, już w pierwszej połowie przegrywali 1:2. W 41 z podania Bońka, Szarmach (a jednak!) wyrównał na 1:1, a w 45 – po rzucie rożnym Kupcewicza – rosły Stefan Majewski głową wepchnął piłkę do siatki.

Zimny prysznic dla Francuzów tuż przed zejściem do szatni. Ochłona, poderwą się czy oklapną? Takie myśli krążyły człowiekowi po głowie, ale rychło wszelkie niepewności rozwiał Janusz Kupcewicz. Z rzutu wolnego „zakręcił rogala” w stylu Kazia Deyny i tak finezyjnie ominął skąpy mur, że bramkarz Jean Castaneda bezradnie szukał piłki... wzrokiem. 3:1! Rywal nie rezygnował. Finiszował ambitnie, poprawił wynik na 2:3, ale do remisu i dogrywki nie dopuścił Józef Młynarczyk. Grał bezbłędnie, strzałów Rene Girarda i Alaina Couriola nie mógł obronić. Tym razem aura nam sprzyjała. W czwartek na „Camp Nou” w skwarze ulegliśmy Włochom, tu w Alicante w sobotę wiał od Morza Śródziemnego chłodny zefirek. W sumie widowisko udane, zadające kłam obiegowym opiniom, że w mistrzostwach świata mecze o TRZECIE

MIEJSCE są zazwyczaj nudne. To był pokaz dobrego futbolu!

Mały łyk statystyki. Był to siódmy z kolei występ Polaków na hiszpańskim Mundialu. Bataię o „srebrny” medal zaczęliśmy 14 czerwca w Vigo bezbramkowym remisem z Włochami, a zakończyliśmy 10 lipca 1982 roku w Alicante wygraną z Francją 3:2. Prawie cztery tygodnie zaciętej rywalizacji na światowym poziomie. Początek nie najlepszy, finisz udany. Szczyt formy naszego zespołu przypadł w odpowiednim momencie, na bardzo ważne mecze z Peru (5:1) i Belgią (3:0). Wraz z osiągnięciami drużyny rosła klasa Zbigniewa Bońka. Ostatecznie, tak – jak w roku 1974 Kazimierz Deyna – był trzeci na świecie. To będzie miało duże znaczenie w wyborze polskiego piłkarza wszechczasów. Tak widziałem naszych medalistów po wygranej z Francją.

Józef Młynarczyk: W całym turnieju nie popełnił poważnego błędu. Szalenie silny punkt zespołu również w meczu o medal.

Marek Dziuba: dobry. Umiejętnie współpracował z Lata.

Władysław Żmuda: 80 występów w reprezentacji. Imponował spokojem. Ofiarne interwencje w końcowych minutach meczu z Francją. Autentyczny kapitan.

Paweł Janas: Chyba najbardziej odczuł trudy tego turnieju. W pięciu meczach świetny, w dwóch nieco słabszy.

Stefan Majewski: Umiejętnie asekurował stoperów, ale też dość często współtworzył akcje ofensywne. Dobra gra głową. (Gol po rzucie różnym Kupcewicza).

Grzegorz Lato: Jak zwykle pracował na całym boisku. Były król strzelców, także mistrz w destrukcji. Wzorowo ubezpieczał Dziubę. Wielce udane pożegnanie z Mundialem i reprezentacją Polski.

Waldemar Matysik: Tytan pracy. W meczu z Francją miał prawo

prosić o zmianę, bo w oczach opadał z sił. Ten Mundial kosztował go sporą utratę zdrowia.

Janusz Kupcewicz: Z meczu na mecz lepszy. Duże umiejętności. Grał z rozmachem. Autor nieszablonowych podań, strzałów z dystansu, świetny wykonawca stałych fragmentów gry. Wielka nadzieja na przyszłość.

Andrzej Buncol: Odkrycie Mundialu, ale... finisz nieco słabszy. Też mocno odczuł trudy 7 spotkań. Lepszy w konstruowaniu akcji niż wspomaganie Majewskiego.

Roman Wójcicki: W meczu z Francją praktycznie trzeci stoper. Grał twardo i spokojnie. Odpowiada mu wir ostrej walki.

Zbigniew Boniek: Dynamiczny, przebojowy, brakowało tylko takiej kropki nad „i” jak w meczu z Belgią. Wzorowo współpracował zwłaszcza z Szarmachem, Latą i... Kupcewiczem. Jedna z gwiazd tych mistrzostw.

Andrzej Szarmach: Zawsze jego zadaniem numer jeden było strzelanie bramek. W meczu z Francją to potwierdził. Indywidualność, ale daleka od egoizmu. Szkoda, że był tylko rezerwowym w przegranym meczu z Włochami.

Włodzimierz Smolarek: Nie grał z Francją. Jego nieobecność była mocno odczuwalna, głównie w odciążeniu pracy obrońców. Dobry duch zespołu, spryciarz, obok Laty i Matysika największy wojownik w naszej drużynie.

Znowu długa podróż pociągiem (w nocy) z Alicante do Madrytu. Potrzebny wypoczynek i odrobina spokoju, bo rano trzeba poszukać miejsca w niedrogim hotelu i opisać występ „biało-czerwonych” na Costa Blanca. Tymczasem Andrzej Makowiecki, reklamowany przez kolegów z Łodzi, jako „prozaik, scenarzysta filmowy, podróżnik, jazzman, jeden z

najwybitniejszych polskich reporterów, publicysta”, raz po raz z hukiem otwierał nasze drzwi od przedziału i robił zrzutkę na kolejną butlę „Veterano”. Trudno było pogonić natręta, już za dużo miał w czubie...

Łódzki Hemingway mniej więcej w tym samym czasie, co ja wspólnie z red. Stefanem Grzegorzycykiem „**Tajemnice Mundialu – Espana ‘82**”, napisał książeczkę pod zachęcającym tytułem „**Nerwy · radość · zwątpienie · zwycięstwo**”. Nakład prawie stutysięczny. Przy 60 000 naszego „Mundialu”... robiło to wrażenie. Tylko że my w „Espana ‘82” nikogo bezpodstawnie nie obrażaliśmy, z nikogo też nie kpiliśmy, natomiast „najwybitniejszy polski reporter” w swoim „dziele” uznał to niemalże za wątek najważniejszy.

...Wasza fachowość panowie, o którą tak bardzo walczy szef „Piłki Nożnej”, redaktor Grzegorzycyk, robiąc gdzie się da karczemne awantury, że na Mundial pojechało parę piór dyletanckich, wasza fachowość stoi pod dużym znakiem zapytania... No bo co wy umiecie? Podać składy, minuty... a dalej: kilka wyuczonych na pamięć sloganów – kiwka w lewo, kiwka w prawo, kontuzja, brak kondycji, błąd taktyczny. Jak któryś dorzuci od siebie jakiś prząsny epitet, to już jest za Hemingwaya. Czasy się zmieniły... Zmienił się także piłkarze, z którymi kiedyś tak łatwo się gadało, a dzisiaj wielu z nich przewyższa dziennikarzy intelektem... Zresztą, niech pan przeczyta dalej tę książkę, na zdrowie! Gdzieś tam jeszcze wyjaśnię panu po drodze kilka spraw.

No i „łódzki Hemingway” zaczął wyjaśniać:

...Hotelarki odwołują mnie na bok. Proszą, abym zatrzymał w salonie wszystkich obecnych... Panie ustawiają na stole ogromny gar, z którego buchają na metr jęzory ognia. Grad pytań:

– Co to jest?

– Alkohol.

– Jaki?

– Galicyjski.

– Z czego?

– Z szalenie mocnej, tutejszej wódki terrinia, do której dodaje się trochę owoców, trochę cukru, trochę kawy, albo czerwonego wina i podpała. To, co zostaje, zwała bitewnego byka w nóg.

– Jak to się nazywa?

– Oueimada.

**

*

– ...Nie mogę dzisiaj pić. Skaleczę się, zaskoczę, pójdę w tango, a jutro zamiast pisać, będę umierał.

Książeczkę pisał dopiero w sierpniu, ale chyba już wcześniej przygotował na nas donosy.

**

*

...Wróćmy do Bońka. Ma sławę, fart, pieniądze i to takie pieniądze, że może mu spokojnie wymyć nogi najbogatszy badylarz.

– Dlaczego nie lubi pan dziennikarzy?

– Nie lubię po prostu dwulicowych dziennikarzy.

– W „La roz de Galicia” jest zdjęcie, na którym po zdobyciu bramki pozdrawia pan jakby polskich kibiców, mnie natomiast wydaje się, że grozi pan ręką polskiej loży prasowej. Mam rację?

– Niezupełnie. Pokazałem: o! – zgięcie ramienia i charakterystyczne cmoknięcie pięści – redaktorowi Wykrocie.

– Ten z „Trybuny Robotniczej”, który po meczu Polska – Kamerun

napisał: „Stołek dla pana Bońka”?

– Tak. I czy się panom redaktorom podoba czy nie, to ja dzisiaj idę do dechy.

Sam, wybaczcie szczerść, mam identyczne zamiary. I w ogóle nie jestem świętoszkiem. I jeszcze jedno: w żadnym, ani radzieckim, ani amerykańskim reportażu nie spotkasz tylu cholernych zakłamańców, tylu kryształowych męczenników zawodu, co w naszym. Fiut na supeł, wódki nie ruszy, żonę zdradził ostatni raz w myślach z Marylin Monroe.

**

*

Siup! Powtórzyłem jeszcze dwa razy. W sali tranzytowej rozkleiłem się z lekka. Boniek patrzył na mnie koso... Uratował mnie jednakże Marek Dziuba.

– Koniec!

– To znaczy?

– Ani kropelki.

– Kiedy mam ochotę.

– Wszyscy są zdenerwowani, wszyscy mają ochotę i jednocześnie wszyscy są trzeźwi.

– Boniek też jest trzeźwy?

– Też.

– No to nie dotrzymał słowa.

– Dlaczego?

– Bo powiedział, że „idzie do dechy”.

PARSZYWY LOT Z BRĄZOWYM MEDALEM

Być może Zbigniew Boniek rzeczywiście złożył taką właśnie obietnicę, ale może to być również li tylko wytworem fantazji autora „Nerwów i radości...”. Zwykłe „chciejstwo”... Na lotnisku Barajas w Madrycie byłem również ja, a także większość polskich dziennikarzy wracających z Mundialu do kraju. Okoliczności poprzedzające powrót prawie każdego z nas zmusiły do wypicia kilku głębszych. Niewiele brakowało, a spotkał by nas taki sam los, jak piłkarzy Manchesteru United w końcu lat pięćdziesiątych. Najpierw lot z winy skacowanego przedstawiciela LOT-u opóźnił się o kilka godzin, potem długo nie było zezwolenia na start, wreszcie gdy samolot wystartował, zaczął się kołysać, krążył wokół lotniska, nie mógł się wzbić na wymaganą wysokość.

– Wobec awarii podwozia zmuszeni jesteśmy do lądowania – oznajmia kapitan Lewandowski.

Nasi piloci robią to doskonale, huragan braw nagradza ich wyczyn. Co teraz? Godziny uciekają, a my wciąż w poczekalni. Jest z nami przewodniczący GKKFiS, Marian Renke. Pociesza, co pewien czas wskakuje na wzniesienie w sali tranzytowej i przekazuje kolejne komunikaty. Sprawa robi się poważna, bo decyzji o ponownym starcie nie ma. Dopiero teraz nerwy grają na całego. Nikt nie potrafił ustać w jednym miejscu, cała ekipa popada w jakiś chocholi taniec. Podróżni z innych krajów patrzą na to ze zdziwieniem, a znużony przewodniczący Renke przemawia i przemawia. Był już wtedy, tak – jak nasz Janek Ciszewski, nieuleczalnie chory.

– Jest decyzja! – nagle się ożywia. – Z Warszawy przyleci po nas inny samolot – „Ił – 62”. To jednak trochę potrwa...

Złość ogarnia znaczną część ekipy. Czy nie można było od razu wsadzić nas do sprawnego samolotu? Szukaj teraz wiatru w polu – winnych

nie ma! Co począć z tak dramatycznie rozpoczętym poniedziałkiem 12 lipca? To jakieś fatum, bo niedziela też była zła. Piłkarze nie oglądali meczu finałowego Włochy – Niemcy. Zabrakło dla nich biletów. To nie zły los, to kompromitacja! Srebrni medalisci finał Espana'82 oglądali gdzieś wysoko w górach, na mocno już sfatygowanym szklanym ekranie. Widoczność słaba, drgania, odbicia... To wczoraj, dziś skancerowany samolot. Można się załamać.

Dla mnie to nie nowość. Już kiedyś w drodze powrotnej z Irkucka całą noc na smakowaniu szampana spędziłem z piłkarzami Legii na lotnisku w Moskwie. Piętnaście lat później w Wiedniu w grupie obserwatorów PZPN wypiliśmy chyba całą beczkę piwa, a teraz w Madrycie przelewało się wino i hiszpańskie brandy. Znowu na frasunek dobry trunek... Pili więc wszyscy, zakąszali tylko niektórzy, więc ci z pustymi żołądkami mieli kłopoty z utrzymaniem równowagi. Ja ze Skórzewskim tymi nieco mocniejszymi trunkami zabijałem nudę głównie w towarzystwie Władysława Żmudy, Pawła Janasa i Zbigniewa Bońka. Po którejś z kolei flaszcze w zupełnie dobrej formie przepiliśmy „brudzia”. Zdrowe głowy. Może dlatego Andrzej Makowiecki miał żal do Bońka, że „nie poszedł do dechy”. Tymczasem „łódzkiemu Hemingwayowi” urwał się film.

Na Okęciu wylądowaliśmy grubo po godzinie drugiej w nocy. Nadal obowiązywały rygory stanu wojennego, bez przepustki po godzinie 23.00 każdemu obywatelowi groziło pudło. Ale Polak potrafi... Na lotnisku ludzi mnóstwo, cieszą się, gratulują, dodają otuchy. A przecież nikt ich tu siłą nie sprowadzał. Nie lubimy poniedziałków... Ten z 12 lipca 1982 roku dał się nam we znaki szczególnie. Dopiero radość wiernych kibiców osłodziła gorzkie przeżycia na trasie Madryt – Warszawa. Czekali na nasz powrót dwanaście godzin! Nie tylko na lotnisku. Podczas przejazdu

z Okęcia do hotelu „Victoria” warszawiacy również towarzyszyli piłkarzom. Wyglądali z okien, wychodzili przed domy, zatrzymywali autokar, wiwatowali i śpiewali nieśmiertelne „Sto lat”.

Jakież to mogło być powitanie, gdyby Polacy zdobyli w Hiszpanii mistrzostwo świata. Taki właśnie temat na lotnisku Barajas w Madrycie podsunął mi Andrzej Szarmach:

– Gdyby tu, w Hiszpanii grała ta nasza drużyna z roku 1974, to zapewne dziś wracałaby do kraju z Pucharem Świata. Ale z tą obecną też było to możliwe...

– To znaczy?

– Wystarczyło, żeby w półfinałowym meczu z Włochami zagrał Zbyszek Boniek...

– ... albo Andrzej Szarmach – wtrąciłem. – I strzelał równie zaskakująco i celnie, jak w meczu o trzecie miejsce z Francją.

– Tak! – poparł kolegę Paweł Janas. – Brak Bońka, męczarnia w „Residencia Gispert” i te piekielne upały... To było nasze nieszczęście!...

Racje Szarmacha i Janasa niezupełnie mnie przekonały. Wyłożyłem więc swoją opinię na lamach „Piłki Nożnej”:

...Zaczynaliśmy z niskiego pułapu, potem przyszło odrodzenie w meczu z Peru, wreszcie prawdziwa eksplozja możliwości i formy Bońka w porywającym pojedynku z Belgią. Pełna stabilizacja w spotkaniu z ZSRR i powolne opadanie z sił właśnie w meczach z Włochami w Barcelonie i z Francją o medal w Alicante. Ale tu znowu przyszła refleksja: - Co by to było, gdyby każdy z naszych piłkarzy przyleciał na Mundial w życiowej formie? Czy wówczas pozycja „biało-czerwonych” mogła by być jeszcze wyższa?

Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności wszystko się może zdarzyć.

Jednak Włosi byli w tym turnieju lepsi. Zresztą, podobne pytanie jak Polacy, z równym powodzeniem mogliby postawić sympatycy: Brazylii, Argentyny, a także Francji, Anglii i Jugosławii, nawet ZSRR. Nasz zespół był wówczas jeszcze bardzo młody. Na dobrą sprawę tylko rewelacyjny Józef Młynarczyk, doświadczony Władysław Żmuda i ich rówieśnik Paweł Janas byli u szczytu sławy. Dla pozostałych ten czas dopiero się zbliżał. Można więc było pomarzyć o takiej drużynie, tak dobrze poukładanej, tak walecznej i tak mądrej, jak ta z pojedynków z Peru, Belgią, ZSRR i Francją. Taką stworzyć – to zadanie dla nowego selekcjonera.

Czytelnikom „Piłki Nożnej” odpowiedziałem na jeszcze jedno pytanie: - **Jaki to był Mundial?** Każdy kibic miał w tej materii własne zdanie, ale ”zeznania świadka koronnego” zapewne ułatwiły obiektywne spojrzenie. **Po pierwsze**, były to mistrzostwa, w których po raz pierwszy wystąpiły aż 24 reprezentacje. Pod względem promocji światowego piłkarstwa formuła ta zdała egzamin. Mundial obejrzało prawie dwa miliardy widzów ze wszystkich kontynentów. **Po drugie**, futbol to nie jest sprawa dla garstki hobbystów, to jest problem całych społeczeństw. Hiszpania, jej rząd dobrze to rozumie. Pomogli piłkarzom. Piłem tu do naszych decydentów. W Polsce nie ma takich stadionów, jak Camp Nou w Barcelonie, Santiago Bernabeu w Madrycie, Riazor w La Corunii lub Balaidos w Vigo.

Po trzecie, pod względem sportowym nie miał ten Mundial takich cech przełomowych jak na przykład mistrzostwa w roku 1958 w Szwecji (tam narodziła się „brasiliana”), w 1966 w Anglii, gdzie zaczęto torować drogę wszechstronności i uniwersalizmowi, co z kolei w 1974 doprowadziło do „gry totalnej”. W Hiszpanii w sposób tak wyraźny nic takiego nie nastąpiło. Odżyły tylko stare prawdy. Starano się zachować

właściwe proporcje między obroną i atakiem. Najbliższe tych kanonów były zespoły: Włoch, Polski, Francji, Anglii, Jugosławii i w pewnym stopniu RFN. Brazylia beztriosko upajała się tylko atakiem. Padła powalona przez własną lekkomyślność.

Po czwarte, zostały zatarte pewne granice. Co to znaczy? Jak to rozumieć? Futbol powoli zaczyna być grą bardziej otwartą i dostępną dla wszystkich krajów naszego globu. Ale nawet Kamerun, Honduras, Kuwejt i Salvador, zachowując pewne własne cechy narodowe, w charakterze ogólnym starały się zbliżyć do stylu czołowych nacji europejskich i południowo-amerykańskich. Niemalą zasługę w tym „łamaniu granic” mają trenerzy FIFA i prezydent Joao Havelange. Nie wszędzie jednak piłkę kopie się tak samo i na jedną modłę. W każdym systemie, szkole gry, strategii i taktyce dość wyraźnie rzucają się w oczy cechy narodowe: odmienność temperamentu, skala wyobraźni i wrażliwości na piękno, reakcja na nowinki techniczno-taktyczne, możliwości i... upodobania widzowi.

Po piąte, wyszkolenie techniczne wciąż jest w futbolu najważniejsze. Jednak przykład Brazylii wymaga nieco głębszej refleksji. W sztuce panowania nad piłką podopieczni Tele Santany nie mieli sobie równych. Byli świadomi swej wyższości nad rywalami. I to ich zgubiło. Często zapominali, że o powodzeniu w piłce nożnej decydują również inne wartości, że gra toczy się do dwóch bramek i że nie jest (nie może być) „sztuką dla sztuki”. Mistrzostwo techniczne musi iść w parze z rozumną taktyką, dobrym przygotowaniem fizycznym i psychicznym, wolą walki. Najwięcej tych atutów zaprezentowali Włosi właśnie w meczu z Brazylią i Niemcy w spotkaniu z Francją. Pokonani byli lepsi technicznie, ale w finale grali Włosi z Niemcami. Brazylia jest w stanie dać światowemu

futbolowi dużo więcej, wszakże pod warunkiem, że bajeczną technikę wzbogaci innymi równie ważnymi pierwiastkami.

Po szóste, dlaczego przegrała Argentyna, choć miała w swoich szeregach Diego Maradonę? Z tego samego powodu, z jakiego w roku 1970 Anglia nie obroniła tytułu w Meksyku, a w 1978 Niemcy w Argentynie. Aby zostać mistrzem świata trzeba rywali czymś zaskoczyć. Właśnie Włosi, ów w przeszłości bastion antyfutbolu, w drugiej rundzie zaskoczyli rywali odwagą, konsekwencją w natarciu i bramkostrzelnością. Argentyna grała po staremu. A Maradona w przeciwieństwie do Paula Rossi'ego był w swoich poczynaniach osamotniony.

Po siódme, gdzie jeszcze tkwią w piłkarstwie rezerwy? Różnie to bywa na różnych kontynentach. Europie na przykład, a w niej nawet Niemcom i Anglikom, przydałaby się „brazylijska” technika, a reprezentacjom niemal wszystkich części świata, głównie tym z Afryki – taktyka i kondycja czołowych drużyn z Europy. Piłka nożna jest grą zespołową, tu tkwią jej największe wartości, ale bez wybitnych indywidualności jej jakość nie jest najwyższa. Trzeba więc pielęgnować talenty. Gwiazdy muszą jednak świecić nie tyle dla własnego rozgłosu i sławy, ile dla potrzeb całej drużyny. W dotychczasowej historii mistrzostw świata najwięcej takich cech reprezentował Pele – już sporo w 1958 roku w Szwecji i bardzo dużo na Mundialu 1970 w Meksyku.

Teoretycznie trzecie miejsce piłkarzy na świecie powinno nas zadowolić. Tak jednak nie było. Kibicom marzyło się mistrzostwo świata. Akcentując głównie stronę czysto sportową, stwierdziłem wówczas, że byłby to sukces ponad nasze możliwości. Czy łatwo dostrzegalne niedostatki w wyszkoleniu mogłaby zrównoważyć lepsza organizacja, bo tu rzeczywiście kłopsów było ponad przyzwoitą miarę? Kierownictwo

ekipy uznało, że końcowy wynik świadczy o „dobrej robocie całej ekipy na wszystkich odcinkach”. Zupełnie inaczej widziała to znaczna część dziennikarzy i... piłkarzy. Na Espana’82 w naszej ekipie nie było sielanki. To prawda, co zresztą w miarę szczegółowo opisałem to także w tej książce, a zaraz po mistrzostwach zasygnalizowałem w „**Tajemnicach Mundialu**”.

CZEŚĆ CZWARTA – trudna droga powrotu

- **Mundial po polsku · Wigilia w Pireusie ·**
- **Święty Mikołaj ze Stavanger · Służby specjalne w „Ukrytej Zatoce” · Taniec niedźwiedzia z Fredem Astairem ·**
- **Puchar Świata dla Młynarczyka · Kabaret w teatrze „Buffo” ·**
- **Na nowojorskim bruku ·**
- **Juniorzy mistrzem Europy · Rozpacz Kuleszy i... sądy kapturowe ·**
- **Legia i Widzew w Lidze Mistrzów · Dramat Górskiego**
- **Wojna UKFiT-u z PZPN-em · Engel na „tak” i „nie” ·**

Każdy medal ma dwie strony. Tę lepszą na Espana '82 media pokazywały natychmiast, ale tę gorszą już z dość dużym opóźnieniem. Niedociągnięć było sporo. Pierwsi milczenie w tej sprawie przerwali Piotr Mowlik w „Przeglądzie Sportowym”, Stefan Majewski w „Piłce Nożnej”, Janusz Kupcewicz w prasie Wybrzeża i Zbigniew Boniek w „Przekroju”. PZPN uznał to za insynuacje. Odpierał zarzuty na kadłubowej konferencji prasowej dostępnej tylko dla wybranych. Manipulacją pachniało na kilometr. Do dyskusji w TVP nie zaproszono specjalnych wysłanników na Mundial z „Przeglądu Sportowego”, „Sportu” Katowice, „Piłki Nożnej” i „Sportowca”. Na względy i „łaskę” PZPN oraz telewizji zasłużył tylko redaktor Jan Frandorfert z Krakowa; dziewięciu pozostałym zamknięto usta. Ze szklanego ekranu przekazano społeczeństwu jednostronny i fałszywy obraz wydarzeń.

Frandorfert trzymał stronę PZPN, dla niego w Hiszpanii wszystko było na medal. Całe nasze środowisko po tym dziwacznym „występie”

Janka w TVP skrytykowało go za lizusostwo i wazeliniarstwo wobec Związku i jego prezesa. Opinia ta spłynęła jednak po działaczach z centrali, jak woda po tłustej kacze. Z góry przygotowano pokrętną odpowiedź: - „**Wszystkiemu winni organizatorzy Mundialu!**” Boże, słyszysz i nie grzmisz?! Przecież nie Hiszpanie ponoszą winę za polskie grzechy: stan wojenny i wyjazd na Mundial bez odpowiedniego przygotowania, „rezydencję” bez sauny i klimatyzacji, brak boisk do treningu, biletów na mecz finałowy i dramatyczny powrót do kraju. Medal i trzecie miejsce na świecie nie były w stanie przesłonić naszych kardynalnych błędów organizacyjnych. Piłkarze zrobili to, co do nich należało, kierownictwo ekipy niestety – nie! Stanowczo za dużo było w niej „wolnych słuchaczy”.

„*Kto i ile zarobił na tych mistrzostwach!?*”... Przez całe dziesięciolecia unikano podobnych tematów. Obłudnie udawano przed światem czystych amatorów. Najwięcej na Mundialu oficjalnie zyskał PZPN; FIFA przekazała do Polski dokładnie jeden milion trzysta czterdzieści osiem tysięcy czterysta dziesięć dolarów (1.348,410). Czy jednak cała ta suma wpłynęła do kasy Związku? O swoje prawa, w podobnych sytuacjach, z reguły dopominał się GKKFiS i COS. A jak wynagrodzono piłkarzy? Znacznie lepiej niż za podobne osiągnięcie w 1974 roku. Zbigniew Boniek w wywiadzie dla „Przekroju” powiedział: „*Otrzymałem 7000 dolarów i 200.000 złotych*”. Pozostali gracze też nie narzekali. Służba medyczna i szeregowi członkowie kierownictwa na podstawie porozumienia PZPN z GKKFiS pobierali tylko „dziadowskie” kieszonkowe w wysokości trzech dolarów dziennie. Mówiono po kątach, że jedynie prezes PZPN otrzymywał wysokie diety z puli FIFA, a zapracowany doktor Janusz Garlicki był finansowo wspierany przez niektórych zawodników.

Wybuchła kolejna bomba: - **PIECHNICZEK ODCHODZI!**

Po takim sukcesie? To totalna bzdura! Antek sam zrezygnował czy ktoś „przychylny” z PZPN usiłował go do tego zmusić? Do społeczeństwa docierały tylko strzępki faktów. Na towarzyski mecz z Francją w Paryżu kadrę powołał Edmund Zientara. To on zastąpi Piechniczka? Nie, po rozmowie z Marianem Renke, Antek zmienił zdanie i pozostał w PZPN. Dlaczego nie potrafiono rozwiązać tej sprawy na zebraniu prezydium lub zarządu PZPN? Opinie o samodzielności i samorządności Związku były zwykłą bajką. Można było odnieść wrażenie, że ta kupa wrzasku wokół reprezentacji miała na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od innych, po stokroć ważniejszych wydarzeń natury politycznej.

Ostatecznie na mecz z Francją pojechali dwaj trenerzy – Piechniczek i Zientara. Skład z konieczności był mocno okrojony, eksperymentalny, bez: Młynarczyka, Żmudy, Bońka, Laty i... Szarmacha. Zientara usiłował ściągnąć na Parc des Princes choćby jednego z nich – Andrzeja Szarmacha, ale „Diabeł” zrażony smutnym dla niego epilogiem wieloletniego romansu z reprezentacją, zrezygnował. Wcześniej rozstanie z kadrą zapowiedział Grzegorz Lato, natomiast Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda grali już w zagranicznych klubach. A jednak tak osłabiona reprezentacja pokonała Francuzów 4:0. W znanej paryskiej restauracji „Maxim” podczas pomeczowego bankietu szefostwo francuskiej federacji było wyraźnie zdegrustowane:

– Po takim laniu trzeba będzie na jakiś czas przerwać kontakty francusko-polskie. Sytuacja polityczna temu sprzyja, bo wciąż trwa u was stan wojenny. To nie jest dobry czas na przyjacielskie spotkania...

Rewelacyjny wynik z Francuzami w „Parku Księżąt” praktycznie zakończył prawie dwunastoletnie pasmo sukcesów „biało-czerwonych”. Nasi trenerzy kuli jednak żelazo póki gorące. Zaraz po zakończeniu

rundy jesiennej w Jachrance pod Warszawą zorganizowali kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Dla mnie była to już czwarta z kolei okazja do wzbogacenia wiedzy o futbolu. Najpierw były Chylice (1958), potem Zakopane (1965), Bydgoszcz (1973) i teraz Jachranka (1982). Prym wiodła tu stara trenerska gwardia: Tadeusz Foryś, Ryszard Koncewicz i Waław Pegza. Dzielnie ich wspierali młodszy Kazimierz Górski, Zbigniew Naglak z WSWW Wrocław oraz Edmund Zientara i Antoni Piechniczek. Pracowano w czterech komisjach: teorii treningu, współczesnych elementów techniki, taktyki na Mundialu'82 i pracy z młodzieżą.

Tendencje i kierunki rozwoju futbolu opracowała również grupa trenerów – obserwatorów hiszpańskiego Mundialu. Słusznie uznano, że wywalczony tam medal był ponad aktualny stan naszego piłkarstwa. Prasa rozwinęła ten temat, „Piłka Nożna” w publicznej dyskusji **„Jaka jest polska piłka nożna?”**, a redakcja krakowskiego „Tempa” w symposium o podobnej treści **„Dokąd toczy się piłka?”**. Znowu starły się tu dwa różne spojrzenia: optymistyczne oficjalnych przedstawicieli PZPN i krytyczne ze strony mediów. Dość łatwo obroniliśmy tezę, że sukces na Mundialu nie może przesłaniać szarej codzienności polskiego piłkarstwa.

ZAWODOWSTWO? PZPN – TAK! GKKFiS – NIE!

W podobnym tonie na kolejnym Walnym Zgromadzeniu PZPN w kwietniu 1983 roku wypowiedzieli się delegaci. Nawet w sprawozdaniu komisji rewizyjnej pełno było gorzkich słów pod adresem centrali. W czambuł potępiono praktycznie wszystko, poczynając od braku sprzętu i złego stanu boisk, fikcji w wynagradzaniu piłkarzy, a kończąc na

dramatycznej sytuacji w szkoleniu i skancerowanej moralności. Starzy trenerzy się wykruszają, a młodzi nie dorównują im pod względem fachowym i etycznym. W sferze polityki transferowej jednak coś niecoś drgnęło. Pojawiły się wzory umów klubów z zawodnikami oraz listy transferowe. Impulsem stała się kolejna na ten temat dyskusja w „Piłce Nożnej” – „*Może zawodowstwo?*”.

Te w miarę racjonalne pomysły zaniepokoiły GKKFiS. U nas zawodowstwo? Wiceprzewodniczący Bogusław Ryba wolał trwać w fikcji i zakłamaniu. Wystosował więc do prezesa PZPN, dra Włodzimierza Reczka oficjalne pismo, w którym ostro skrytykował uchwałę zarządu PZPN w sprawie znowelizowanej wersji „zmiany barw” w I i II lidze i wynagradzania piłkarzy. Przy okazji postraszył, że GKKFiS przeprowadzi kontrolę finansową w tych klubach. Ludzi ze szczytów sportowej władzy najbardziej zabolęła wysokość (21 ówczesnych milionów) transferu Dariusza Dziekanowskiego z Gwardii Warszawa do Widzewa Łódź. Romans „Dziekana” z Widzewem nie trwał jednak długo. Publicznie oznajmił, że „nie odpowiada mu łódzki klimat” i przeniósł się do Legii Warszawa.

Kontrolę w klubach przeprowadzono, ukarano „za niegospodarność”: Widzew Łódź, Lecha Poznań, Cracovię, ŁKS, Motor Lublin i Pogoń Szczecin. Wobec jedenastu klubów zapowiedziano też wstrzymanie stypendiów i zakaz wyjazdów zagranicznych. PZPN stanął w obronie ukaranych, starał się przekonać wszystkich zainteresowanych, że nowa polityka w sprawie transferów jest wyraźnym krokiem naprzód, daje realną możliwość tworzenia silnych klubów i likwidacji „lewych kas”. Jest więc uzasadniona szkoleniowo, finansowo i moralnie. Sugestie GKKFiS zawarte w liście do PZPN w Alejach Ujazdowskich 22 uznano za „**cofanie**

piłki nożnej z właściwej drogi". Opinia publiczna poparła Związek, a prezes Widzewa – Ludwik Sobolewski po prostu uznał decyzję Głównego Komitetu za kłócaącą się z rzeczywistością i odrzucił nałożoną karę. Nie ukrywając satysfakcji, poinformował mnie, że podobnie jak inne kluby, jego Widzew ma osobowość prawną, ważny statut, jest samorządny, prowadzi gospodarkę finansową w oparciu o własny regulamin i stosowne uchwały. „Doradców” z zewnątrz nie potrzebuje. Chodziło mu po głowie „wyrwanie” ligi spod kurateli GKKFiS i PZPN. W tamtych czasach? Marzyciel.

Nie każdy z ukaranych klubów tak odważnie i jednoznacznie wyłożył swoje racje. Widzew mógł, bo właśnie w roku 1983 (większość tych spotkań widziałem na własne oczy), eliminując kolejno Hibernians La Valletta, Rapid Wiedeń i Liverpool FC (!), jako druga z polskich drużyn (wcześniej w roku 1970 uczyniła to Legia) awansował do półfinału Klubowego Pucharu Mistrzów Europy. Tu przegrał dopiero z Juventusem Turyn, w którego barwach grał już wówczas Zbigniew Boniek. A co z reprezentacją?

Nadal kursowało pojęcie „priorytet reprezentacji”. Zwłaszcza w latach mistrzostw świata, Europy i Igrzysk Olimpijskich przypominano, że drużyna narodowa jest „wizytówką całego polskiego piłkarstwa”. Na linii kluby-reprezentacja obowiązywał wówczas swoisty gentlemen's agreement. W latach siedemdziesiątych zaowocowało to medalami olimpijskimi i mistrzostw świata. Jednak w rozgrywkach na kontynencie europejskim nie zdawało to egzaminu. Wkrótce po udanym Mundialu w Hiszpanii rozpoczęły się kolejne gry eliminacyjne o mistrzostwo Europy. Przerwiemy wreszcie te „niedostępne bariery”? Szansa była, ale się zmyła, gdy za namową działaczy PKOl nasz Związek największymi przywilejami

obdarzył drużynę olimpijską. Finał tej zabawy? Dwa niewypały! W publikacji książkowej „**Droga do Meksyku**” Stefan Grzegorzczak i ja ubolewaliśmy nad brakiem wyobraźni twórców tego pomysłu.

...Chcielibyśmy być dobrze zrozumiani. Nie negujemy zadań, potrzeb i dobrego klimatu dla wszystkich reprezentacji, ale jeszcze raz podkreślamy, że we współczesnym piłkarstwie światowym najważniejsza jest drużyna narodowa. Ekipy młodzieżowe i olimpijskie, takie są twarde prawa wyczynu sportowego i naturalnego awansu, zawsze służyły i służyć powinny pierwszej reprezentacji. Należy uszanować tę nadrzędną rolę.

Czy ktoś wziął sobie do serca te życzliwe uwagi? W PZPN-ie potraktowano drużynę olimpijską jako cel sam w sobie. Chuchano nań i dmuchano, mimo to przepadła w eliminacjach. W grach o mistrzostwo Europy Polacy walczyli w jednej grupie z Finlandią, Portugalią i ZSRR. Tu też nic nie wskórali. Powoli zaczynała się rozpadać trzecia drużyna świata. W meczu z Portugalią w Lizbonie z „hiszpańskiego” składu pozostali tylko: Majewski, Janas, Buncol, Boniek i Dziuba. Wiosną 1983 roku wrócili do drużyny: Młynarczyk, Kupcewicz, Ciołek i Smolarek, ale pomogli Piechniczкови tak, jak umarłemu kadzidło. Jeden z najgorszych sezonów w całej historii naszej reprezentacji!

Pięć spotkań bez zwycięstwa, tylko trzy remisy: z Finlandią, ZSRR i Rumunią oraz dwie przegrane w Moskwie – z ZSRR 0:2 i z Portugalią we Wrocławiu 0:1. Przykre wspomnienia. Na Łużnikach dobrze zagrał tylko Zbigniew Boniek, mimo że – oprócz reprezentacji – w barwach Juventusu miał na głowie finał Klubowego Pucharu Europy. Mógł odczuwać nadmiar futbolu, ale w Moskwie – choć „przemęczony” – znowu był najlepszy. W pojedynkę jednak niewiele mógł zdziałać. Co się stało z trzecią drużyną świata? Zbliżał się czas pożegnań. Rozstaliśmy się też

ze Stadionem Dziesięciolecia. Powoli stawał się największym bazarem środkowej Europy.

W roku 1983 już nikt nas nie podziwiał i nie zapraszał na mecze towarzyskie. Nie ta jakość gry i nie ta forma większości zawodników. Krajowcy bimbali czy byli źle szkoleni? Chyba jedno i drugie. Na tle rzeńskiego Bońka przypominali człapiące chabety. Zbyszek niemal zaraz po przylocie z Turynu wybiegł na mecz w Moskwie i... na tle większości naszych ligowców był prawdziwą perłą wśród sztucznej biżuterii. Po 2:0 z Polską i wcześniejszej wygranej z Portugalią aż 5:0, awans „sbornej” do finałów mistrzostw Europy wydawał się być pewny. Kierownictwo naszej ekipy już składało zwycięzcom gratulacje i życzyło powtórki z historii z 1960 roku. Wtedy właśnie na Parc des Princes w Paryżu Lew Jaszyn i Nikita Simonian, z którymi rozmawiałem po kolejnej naszej wpadce na Łużnikach, wywalczyli mistrzostwo Europy.

– Pamiętam tę naszą radość w Parku Książąt – rozczulał się Jaszyn.

– W finałowym meczu z Jugosławią dobrze broniłem...

– Ale tym razem we Francji jeszcze nie jesteśmy – przerwał te wspominki Simonian.

– Jak to, nie?! – zdziwił się doktor Henryk Soroczko, wreszcie towarzyszący naszej ekipie w wyprawie do Moskwy.

– Ano, tak to – wyjaśnił Nikita. – Czeka nas jeszcze rewanż z Portugalią w Lizbonie...

– To małe piwo!... Jesteśmy lepsi, niedawno w Moskwie było 5:0 – chełpił się Jaszyn. – Poza tym Polacy nam pomogą. Grają przecież z Portugalią u siebie...

– Wygramy! Nie ma sprawy... Na pewno wygramy! – zapewniał szef polskiej ekipy, pułkownik Henryk Celak.

Przyjąłem tę deklarację z niemałym zdziwieniem. Minorowego nastawienia nie zmieniły nawet duże stakany „Sybirskiej” i smażony jesiotr. „Nie ma sprawy?...”. Sprawa jednak była, we Wrocławiu przegraliśmy z Portugalią 0:1. Jak to się stało? Podobno „motywacja była”, tylko „po prostu nie szło”, bo... „nie było zgrania”. Tak to ocenili zawodnicy: Jan Jałocha, Andrzej Buncol i Stefan Majewski, a trener Antoni Piechniczek nie poczuwał się do winy: - *„Mój ewentualny następca nie miałby lepszych wyników”*. Nieoczekiwany finał, „sborna” też się nie popisała, straciła w Lizbonie bramkę z rzutu karnego i do Francji pojechała Portugalia.

Rok stracony dla pierwszej reprezentacji. Nie powiodło się też faworyzowanej drużynie olimpijskiej. Start miała udany, pokonała na wyjeździe Norwegię 1:0. Miłe złego początki... Do jesiennych spotkań „olimpijczycy” przygotowywali się w Kolumbii, Gwatemali i Meksyku. W tej części świata rynek dla naszych reprezentacji był jeszcze otwarty. Podopieczni Waldemara Obrębskiego uzyskali tam kilka niezłych wyników, wygrali między innymi z pierwszą reprezentacją Kostaryki 3:0, a z Kolumbią zremisowali 1:1. PZPN meldował: - **„Plany szkoleniowe zrealizowane”**. Natomiast bardziej dociekliwi działacze pytali: - *„Jak to się dzieje, że dla pierwszej reprezentacji świat zamknięty, natomiast dla olimpijskiej otwarte nawet republiki bananowe?. Tu też w grę wchodzi polityka?”*

Mocno hołubieni „olimpijczycy” przegrali najważniejszy mecz z NRD 1:3. Relacjonowałem przebieg tego nieudanego spotkania dla „Piłki Nożnej”, a red. Mirosław Skórzewski dla „Przeglądu Sportowego”. Miny mieliśmy nietęgę, złość z niepowodzenia na boisku przenieśliśmy na papier. Z Karl-Marx-Stadt (Chemnitz) do Berlina wracaliśmy pociągiem. To dość długa podróż. Na przesiadywanie w wagonie restauracyjnym nie

mieliśmy ochoty, woleliśmy pograć w kariokę. To chorobliwa zabawa. Nadal obowiązywała stara umowa: gramy tak długo, dopóki któryś z nas nie wygra trzech kolejnych partii. Marzenie ściętej głowy. Nawet w Berlinie nie zapadło rozstrzygnięcie.

Naszym zaciętym pojedynkom przyglądali się podróżni, w tym spora grupa radzieckich żołnierzy. Nie kapowali o co chodzi w tej grze, ale cały czas oczy mieli wlepione w karty. Zafascynowała ich nasza determinacja i... żelazna kondycja. Było ciepło, początek września, już pot nas oblewał, gardło zasychało, a my nie mieliśmy pod ręką nawet kropli wody. Sołdаты nam współczuli. Co jakiś czas któryś z nich biegł do bufetu po piwo i stawiał przed nami. I tak dotarliśmy do Berlina. Wieczorem byliśmy na proszonym przyjęciu. „Wyborowa” lała się strumieniami. Rano, mocno skacowani, ledwo zdążyliśmy na samolot do Warszawy.

Nieco lepiej niż reprezentacje spisały się drużyny klubowe. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszymi drużynami „eksportowymi” były Górnik Zabrze i Legia Warszawa. Zaraz po początku „osiemdziesiątych” bliski tych zaszczytów był Widzew Łódź, chrapkę na wdarcie się do europejskiej elity miał też Lech Poznań. Łodzianie już w roku 1980, wtedy jeszcze z Młynarczykiem, Żmudą i Bońkiem, w dwóch pierwszych rundach Pucharu UEFA wyeliminowali Manchester United i Juventus Turyn (!). W trzecim podejściu padli pod ciosami Ipswich Town, ale właśnie w roku 1983 powtórzyli osiągnięcie Legii sprzed 13 lat, dotarli aż do półfinału Pucharu Mistrzów. Wprawdzie z Rapidem Wiedeń na wyjeździe przegrali 1:2, a z Liverpoolem 2:3, to jednak wyższe zwycięstwa uzyskane w Łodzi, zapewniły Polakom awans właśnie do półfinału KPME.

Wygrana w ćwierćfinale z Liverpoolem i to w marcu, miesiącu

dla naszych drużyn niezbyt korzystnym, zrobiła wrażenie na rywalach z półfinału. Znowu Widzew kontra Juventus! Gwiazdy z Turynu oblały strach, wszak niedawno Widzew wygarbował im skórę. Ale wtedy w Łodzi grał Boniek, teraz jest w Juventusie, to może zadecydować o końcowym wyniku. Od początku byłem tu pesymistą. Kawiarniani „znawcy przedmiotu” przyjęli to z oburzeniem. Oni kierowali się „chciejstwem”, ja realiami. W Łodzi Widzew zremisował 2:2, w Turynie przegrał 0:2. Dlaczego tak się stało? Dość szczegółowo wyłuszczyłem to na łamach „Piłki Nożnej”. Piłkarzy pochwaliłem, ale klimatu tamtych lat – już nie. Nie było twórczej atmosfery, czas „propagandy sukcesu” już dawno się skończył, a stan wojenny jeszcze trwał.

Regressię pogłębiał. Trener Piechniczek był rozżalony, bo praktycznie za wszystkie niepowodzenia piłkarzy, w klubach i reprezentacji, hurtem jego obciążano. Tłumaczył się jak tylko potrafił, ale brak było w tym merytorycznych podstaw i konsekwencji. Twierdził na przykład, że w eliminacjach mistrzostw Europy tylko w meczu z ZSRR w Moskwie byliśmy słabsi, natomiast w pozostałych spotkaniach dorównywaliśmy rywalom. Dlaczego więc przegraliśmy oba mecze z Portugalią i zremisowaliśmy w Warszawie ze słabą Finlandią? Niegdyś były to dla nas „małe płotki”.

Tłumaczono te wpadki „zmęczeniem materiału” i odprężeniem po grze na Mundialu w Hiszpanii. Ale nie były to jedyne i najważniejsze przyczyny. Źle pracowano w klubach, poza tym większość zawodników z medalowej ekipy już rozjechała się po Europie, niektórzy definitywnie kończyli kariery. Reprezentacja w rozsypce. Dopiero teraz, gdy przegrano turniej olimpijski i eliminacje mistrzostw Europy, zaczęto myśleć o skleceniu drużyny na kolejny Mundial w Meksyku. To był już wyraźnie

spóźniony dzwonek. Piechniczek miał wtedy do dyspozycji tylko jednego piłkarza klasy międzynarodowej (Młynarczyk – piłkarz roku 1983) oraz kilku reprezentacyjnej (Kupcewicz, Ciołek, Wójcicki); nie było wśród tych najlepszych, bohaterów Espana'82. Antek łatał powstałe dziury: Krzysztofem Urbanowiczem, Krzysztofem Pawlakiem, Jerzym Wijasem, Waldemarem Prusikiem, Mirosławem Bąkiem, Adamem Kensym i Markiem Ostrowskim. Nie wszystkie próby były udane. „Piłka Nożna” wypromowała jednak Marka Leśniaka z Pogoni Szczecin.

Krajowa mizéria zmusiła do znacznie baczniejszej niż dotychczas – obserwacji naszych zawodników występujących w klubach zagranicznych. Zbigniew Boniek i jego aktualna forma interesowały nas najbardziej. Wszak to niekwestionowany lider reprezentacji! Znaliśmy już rywali w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata, to: Albania, Belgia i Grecja. Takie zrządzenie losu odrodziło nadzieje. W tym towarzystwie można pokusić się o wygraną eliminacji. Poczekamy, zobaczymy. Tymczasem po przegranej Widzewa z Juventusem przenieśliśmy swoje sympatie na zespół „Starszej Damy” z Turynu. Gra tam przecież Boniek i wraz ze swoim przyjacielem Michele Platiniem wystąpi w finale Klubowego Pucharu Mistrzów Europy.

Rywalem Juventusu był HSV (Hamburger Sport Vevein). Organizację meczu powierzono Atenom. To się dobrze składało. Do niedawna trenerem Panathinaikosu był Kazimierz Górski, teraz znowu – po krótkim pobycie w kraju – pracował w Grecji, konkretnie w Olympiakosie. Miał propozycje z AEK, ale z niej nie skorzystał, ostatecznie – na gorącą prośbę prezesa Stavrosa Dajfasa – zakotwiczył w Pireusie. Olympiakos czyli znane z filmu „Nigdy w niedzielę” sympatyczne „Dzieci Pireusu”, był dla Kazia kolejnym poważnym wyzwaniem. Od Veselinovicia przejął

drużynę po pięciu kolejnych przegranych meczach, pałętającą się w dole tabeli, ale po niespełna pół roku wytężonej pracy doprowadził do mistrzostwa Grecji. Zaczęto żartować, że „Górskiemu znowu diabeł dzieci kołysze”...

Finał HSV – Juventus odbył się w końcu maja 1983 roku. Wtedy jeszcze Górski na sto procent nie wiedział czy jego Olympiakos wywalczy mistrzostwo. Dla mnie był to równie atrakcyjny temat medialny jak potyczka duetu Boniek – Platini z „czołgistami z Hamburga”. Zadzwoiłem więc do Kazia, powiedziałem w czym rzecz i zapytałem czy wyjdzie po mnie na lotnisko.

– Oczywiście! Mów tylko kiedy i o której godzinie. Bo w czasie przylotu mogę mieć trening...

Kłopotu nie było, samolot z Warszawy wylądował w Atenach tuż przed północą. Do Aten, w „poszukiwaniu Bońka” i chęci „złożenia mu gratulacji” za zapowiadane zdobycie Pucharu, zjechało wtedy kilku dziennikarzy z Polski. W gościnie u państwa Górskich, obok mnie zatrzymali się red. Zbigniew Dutkowski z „Trybuny Robotniczej” i red. Grzegorz Stański ze „Sportu” Katowice. Pani Marysia, żona Kazimierza gotowa była nam nieba uchylić. Gwarzyliśmy do późnych godzin nocnych. Następnego dnia Kazio całą trójkę zabrał do hotelu „King George” na wystawne przyjęcie. Bankietowała piłkarska Europa.

U nas w kraju bieda aż piszczy, w sklepach wciąż więcej butelek z octem i słoików z kiszonymi ogórkami, niż mięsa, mąki i cukru, a tu stoły pękają pod naciskiem kulinarnych przysmaków. Można jeść i pić bez kartkowych ograniczeń! W towarzystwie Górskiego, bo wszędzie mnie za sobą pociągał, czuję się jak jego prawa ręka. Kazio w gronie piłkarskich notabli z całej Europy jest postacią wyjątkową. Wszyscy go

znają, serdecznie witają, padają mu w objęcia, a Grecy – bez względu na sympatie klubowe – po prostu całują. A przy okazji pytają: - „**Kto dziś wygra**”? Przy „whisky and soda” Kazio głośno zdradza swój typ: „**Wygrają Niemcy!**”...

Większość „ludzi z towarzystwa” przyjmuje to z niedowierzaniem. Ja też mam wątpliwości. Z racji sympatii do Bońka i polskich akcentów w tym finale, dusza chciałaby żeby wygrał Juventus, ale rozum podpowiada: - Postaw na HSV! Nie pytałem o radę Pytii delfickiej, zawierzyłem sugestii Górskiego i... własnym przemyśleniom. W wyjątkowo dużym międzynarodowym „totku dziennikarskim” na wynik do przerwy i końcowy rezultat postawiłem 1:0 dla Hamburga. Takich śmiałków praktycznie nie było, zgarnąłem więc prawie całą pulę. Za wygraną kupiłem u kuśnierza Pavlosa Passiasa (dla nas był to po prostu „Paweł”), Greka sympatyzującego z Polakami, dwa kożuszki – dla żony i wnuczki.

Ateńskie media niemile zaskoczyła przegrana „Starej Damy”. Popularny dziennik „Fos” pisał – „*Czołgi z Hamburga zmiażdżyły gwiazdy Turynu...*”, a czasopismo „Ethnos” ubolewało, że „*trener Ernst Happel przechytrzył hałaśliwych Włochów*”. Pisano też o „**wielkim skandalu w Atenach**”. Włoska mafia podrobiła i sprzedała 50 tysięcy fałszywych biletów. By jednak „przeciek”. Kontrolę biletów przeprowadzano już na granicy greckiej. Na Stadionie Olimpijskim dla nikogo nie zabrakło miejsc. Mnie Górski usadowił obok siebie w łoży VIP-ów. Jak odebraliśmy ten europejski finał? Zbyt dużo było w nim elementów antyfutbolu, niestety – prezentowanego głównie przez „Dostojną Damę” z Turynu. Na tle tego podstarzałego towarzystwa nasz Zbigniew Boniek tryskał młodzieńczą werwą, był przebojowy i tak naprawdę tylko on jeden łaknął sukcesu.

Goście z Polski i z innych krajów już opuścili Grecję, ja jeszcze

na kilka dni zostałem u państwa Górskich. Czekałem na postawienie przez Olympiakos kropki nas „i” w walce o mistrzostwo. Miał o tym zdecydować mecz z Larisą, co za zbieg okoliczności, trenowaną wtedy przez Jacka Gmocha. Trzydzieści tysięcy kibiców oczekiwało na zwycięstwo Olympiakosu i kolejny tytuł mistrza Hellady. Pani Góraska wraz z całą grecką rodziną przygotowała dla Kazia ogromny tort, sporo flaszek wina i... moc kwiatów. Wnuczek Kostas miał złożyć życzenia w języku polskim i na ewentualne pytania dziadka: *Kto ty jesteś?* – odpowiedzieć: - *Polak mały.* - *Jaki znak twój?* – *Orzeł biały...* Dobrze przećwiczył to z babcią Marysią.

Scenariusz rodzinnych uroczystości Górskich i Kafirisów pokrzyżował Jacek Gmoch. Larisa wygrała z Olympiakosem 1:0. Zaskoczony Górski przyjął tę niespodziankę w swoim stylu: - „*Widocznie los tak chciał...*”. Wprawdzie nieco później, ale mistrzostwo i tak trafiło do Pireusu. Prezes Dajfas był wniebowzięty, nazwał polskiego trenera cudotwórcą, a opinia publiczna „profesorem futbolu”. Kibice mieli rację, prezes Dajfas – nie. Cud zdarza się tylko raz... A przecież Kazio ma w greckim dorobku, w Panathinaikosie i Olympiakosie, w sumie pięć tytułów mistrzowskich, trzy samodzielnie wywalczone Puchary Grecji i w czwartym doprowadzenie Kastorii do finału. Jak to osiągnął?

Przy siedmiogwiazdkowej „Metaxie” przedstawił sekrety swoich metod pracy w Atenach, Kastorii i Pireusie. Wszędzie największą zaporą była mentalność zawodników. Z indywidualistów, przyzwyczajonych do piłkarskiej „sztuki dla sztuki”, z reguły ze szkodą dla nich samych, musiał tworzyć zespół zdolny do zwycięstw. Mocny kondycyjnie i dyscyplinowany taktycznie. Potrzebna tu była wyrozumiałość i cierpliwość. Niełatwo przecież zmienić psychikę typowych południowców, wychowanych w

klimacie, w którym znacznie łatwiej o lenistwo, długie wylegiwanie się w cieniu niż o ciężką pracę. Efektami tej pracy trzeba było ich przekonać, że to właściwe rozwiązanie. Powoli obie strony zaczęły wychodzić sobie na przeciw. Połączyły ich sukcesy.

Dla takiej właśnie filozofii trenerskiej, nie popularnych tu metod szkolenia, a także do partnerskich stosunków z zawodnikami, trzeba było pozyskać również kibiców i media. W kraju, w pracy z reprezentacją Polski, Górskiemu w pełni się to udało, natomiast w klubach – już nie. O sukces w Gwardii było trudno, nie ta klasa graczy, ale w Legii – tak na początku lat sześćdziesiątych, jak i dwadzieścia lat później – kłopotów z wywaleniem mistrzostwo Polski być nie powinno. A jednak los trenerowi nie sprzyjał. Drugie podejście Górskiego do pracy w Legii przydarzyło się akurat w okresie stanu wojennego. Ograniczony był teraz dostęp do „nocnych rozkoszy”. Godzina milicyjna i alkohol na kartki, to mniej powodów do gubienia formy. W tej sytuacji legionieści dość długo kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa. Jednak – starym zwyczajem – u schyłku sezonu znowu przegrywali najważniejsze mecze.

Najemni piłkarze z Łazienkowskiej większość spotkań traktowali „wybiórczo”, bez najmniejszych skrupułów w „prezencji” oddawali punkty rywalom będącym w „potrzebie”. Nie były to li tylko gesty przyjaźni i miłosierdzia, ponoć kryły się za tym spore pieniądze. Górskiemu w Legii nie powiodło się również w rozgrywkach o Puchar Zdobywców Pucharów. Jesienią 1981 roku w dwóch pierwszych rundach legionieści w miarę łatwo wyeliminowali Valerengen Oslo (2:2 i 4:1) i FC Lausanne (2:1 i 1:1), ale w ćwierćfinale już nie dali rady Dynamu Tibilisi. Piłkarsko gorsi nie byli, ale – tak to wtedy tłumaczono – zabrakło im wsparcia ze strony kibiców. Podła atmosfera. W Warszawie znaczną część widowni

zajmowali „sympatycy” futbolu w polowych mundurach. Stadionowi WP też dały się we znaki rygory stanu wojennego.

Fama o niezwykłym powodzeniu Kazimierza najpierw w Panathinaikosie Ateny, a zaraz potem w Kastorii i Olympiakosie Pireus, dotarła oczywiście do Polski. Ale też z kraju do Grecji, przeto i do Górskiego, dochodziły informacje o coraz ostrzejszych formach walki politycznej. Sierpniowy zryw gdańskich stoczniovców zapowiadał gruntowną zmianę dotychczasowego oblicza Polski. Aby nie być na uboczu tych wydarzeń, Górski zdecydował się na powrót do Warszawy. Zresztą, codzienne życie w Atenach i Pireusie nie jawiło się w tak ciepłych barwach, jak osiągnięcia w piłce nożnej. Pełno było dramatów, zdarzały się też tragedie.

EMPIRYZM KAZIMIERZA GÓRSKIEGO

Podczas meczu Olympiakos – AEK Ateny (6:0!) w trzynastym sektorze zginęło 26 osób, a 50 rannych trafiło do szpitala. W Salonikach po spotkaniu PAOK – Olympiakos na zawał serca zmarł węgierski trener Lorant niegdyś prawy obrońca ze „złotej jedenastki” Gustava Sebesa. Wiosną 1981 roku państwo Maria i Kazimierz Górsy przeżyli też trzęsienie ziemi. Ludzi ogarnęła panika, zaczęli opuszczać domy, na ulicach bezładnie krążyły samochody, tańczyły raz w jedną, raz w drugą stronę. Górsy uwięzieni. Byli wtedy w Atenach na wspólnym rodzinnym obiedzie. Jak dotrzeć do domu w Pireusie? Wszystkie ulice nieprzejezdne. Marysia i Kazio decydują się na powrót do dzielnicy Pasalimani per pedes. Późnym wieczorem zakończyli tę mozolną wędrówkę. Wszyscy zdrowi i cali, ale... Górski miał powody do przemyśleń: - *Czy rzeczywiście los tak*

chciał? Czy nie za często przeżywa się tu takie dramaty?

– **Marysiu, wracamy do kraju!... Mam już tego dość, czuję się zmęczony...**

Prezes Olympiakosu Stavros Dajfas był wyraźnie zaskoczony. Usiłował odwieść przyjaciela od tego zamiaru:

– Gdzie się pan tak spieszy?! Nie słucha pan radia!... Nie ogląda telewizji!... Przecież w Polsce nie ma co jeść! Tam lada moment wkroczą Sowieci!...

– W moim kraju – spokojnie odpowiedział Górski – żyje ponad trzydzieści pięć milionów obywateli. Jakoś sobie radzą... Ja też przeżyję...

– Dobrze to rozumiem – zmienił ton Dajfas. – Życzę powodzenia i równie owocnej pracy w Polsce... Gdyby jednak los znowu rzucił pana do Grecji, to w Olympiakosie zawsze będzie pan moim gościem, przyjacielu...

Państwo Górscy w kraju. Kazio znowu w niezłym nastroju, zadowolony, że wolne chwile mógł teraz wykorzystywać na grę w brydża w towarzystwie Alka Kozłowskiego z Greenpoint spod Nowego Jorku, stałego gościa hotelu „Victoria” w Warszawie, magistra inżyniera Henryka Loski, Stefana Grzegorzycy, moim i Pawła Rusina. Sporo czasu, nierzadko aż do godziny milicyjnej, spędzaliśmy też w „zielonym barku” przy niejednej lampce „harcerzyka” i kminkówce ulubionym trunku gościa z USA. Wtedy właśnie Górski najchętniej zwierzał się ze swej kolejnej, niezbyt udanej pracy w Legii. Nie przegrał z nią kolejnych 18 spotkań, ale po mistrzostwo Polski znowu sięgnął Widzew. To drużyna z charakterem...

– Właśnie takiego twardego charakteru – ubolewał Kazio – brakowało legionistom. Miałem w zespole dziesięciu reprezentantów Polski: Kazimierskiego, Janasa, Milewskiego, Janusza Barana, Buncola,

Majewskiego, Miłoszewicza, Okońskiego, Adamczyka i Kustę. No i co z tego? Rzadko grali na miarę swoich możliwości. Taki piłkarski kameleon. Raz błyszczeli jak nikt inny w lidze, by za chwilę partolić jak piłkarski debiutant.

– Dlaczego? – pytali nieorientowani, głównie wysoko postawieni przełożeni w generalskich mundurach.

Górski cierpliwie odpowiadał. Jednak gdzieś tam w głębi duszy, szlag go trafiał. Znał ten ból od lat, jeszcze z czasów, gdy sam był zawodnikiem.

– Legia – to specyficzny klub, dla trenerów i... zawodników. Można się tu wybić, ale łatwo też złamać sobie kark. Na początku każdy chce się pokazać z dobrej strony, ale gdy zbliża się koniec służby wojskowej, myśli głównie o tym, gdzie i za jakie pieniądze się sprzedać. To mają w głowie, a nie grę na Łazienkowskiej. Armia zaciężna od wielu lat, mniej lub bardziej świadomie, odgrywała w Legii rolę „konia trojańskiego”. Z reguły głównie z tego powodu na finiszu rozgrywek mistrzostwo Polski uciekało sprzed nosa. Zniecierpliwieni działacze proponowali więc – wzorem klubów cywilnych - chwyty poniżej pasa.

– Panie Górski, trzeba było na wszelki wypadek – tak, jak to robią inni – kupić jeden lub dwa mecze, to może wtedy tytuł byłby nasz?...

Sęk jednak w tym, że „najemni legionieści” woleli sprzedawać mecze, niż kupować, zaś Górski zwykł liczyć tylko na siebie i swoją pracę.

– To co, mistrzostwo można kupić?!... Szwindle, matactwa, kombinacje?!... Fuszer, a nie dobry fachowiec, ma być na świeczniku?...

Trenera, który był bożyszczem w Grecji, denerwowały te parszywe myśli wysoko postawionych działaczy. Przeciętny kibic nie zaprzętał sobie tym głowy. U schyłku lata 1982, wśród boiskowej zieleni nad rzeką Jagodzianką, swoje czterdzieste urodziny, choć działo się to w czasie

stanu wojennego, w dobrej atmosferze świętował tamtejszy LKS „Mazur” Karczew. Kazimierz Górski wyniesiony do rangi honorowego obywatela tego miasta był jednym z najznamienitszych gości tego jubileuszu. Towarzyszyłem trenerowi w tej niecodziennej uroczystości. W pewnym momencie jeden z sympatyków „Mazura” podszedł do mównicy, chwycił w obie ręce mikrofon i ku ogólnemu zaskoczeniu, wypalił:

– Mówił pan tu, trenerze, że niedawno wrócił z Grecji. Czy to normalne? Teraz niemal wszyscy ludzie starają się uciec z Polski, a pan właśnie przyjechał z zagranicy. Dlaczego?...

– Ciekawe pytanie kolego, ciekawe... Wydaje mi się, że łatwo na nie odpowiedzieć. Przede wszystkim ja jestem Górski, a nie wszyscy... Zresztą, widocznie los tak chciał... Poza tym, a to dla mnie równie ważne, gdybym został w Grecji, nie mógłbym być na tej dzisiejszej uroczystości. Miecio Trzaskowski współzałożyciel „Mazura” zapewne poczułby się zawiedziony. A to taki sympatyczny i dobry kumpel.

Burzą oklasków skwitowano to dowcipne i niewątpliwie szczere wyznanie. Ktoś inny, równie wścibski, zapytał:

– A dlaczego nie był pan na mistrzostwach świata w Hiszpanii? Emeryci mają teraz dużo czasu...

– W PZPN-ie uznano mnie za osobę niepożądaną. Podobno deprymująco wpłynąłbym na trenera Piechniczka i zawodników. Ja, niby wielka sława, człowiek sukcesu, a oni w większości niedowartościowani, ludzie stłamszeni przez stan wojenny. Sądzieli, że będę im przeszkadzał... No to zostałem w domu...

Trener Górski już zaczął się przyzwyczajać do statusu emeryta i nieskrępowanego życia towarzyskiego, gdy nagle – widać znowu „los tak chciał” – na początku 1983 roku wrócił do Grecji. Nie na wywczasie i w

odwiedziny do córki Urszuli lecz do pracy w klubie, na boisku. Kazio nadal w grze! I znowu w Olympiakosie Pireus. Ta druga przygoda Górskiego „z Dziećmi Pireusu” trwała tylko jeden sezon, ale prezes Stavros Dajfas – w dniu rozstania – gotów był wystawić Polakowi pomnik. Przecież Olympiakos znowu był mistrzem, a jego trener wciąż na ustach całej Grecji. Wracał do Warszawy w pełni sławy i chwały.

Znowu hotel „Victoria”, a w nim „zielony barek”, brydż, a wokół stolika wianuszek ciekawskich kibiców i wiernych przyjaciół. Tu też Górski wyróżniał się okazjonalnym dowcipem i humorem. Nawet Andrzej Strejlau zazwyczaj poważny i pryncypialny wyraźnie się wówczas rozluźniał i spontanicznie wyrzucał z siebie:

– To cały Kazio! Złoty człowiek... Zadziwia oryginalnymi toastami i celnymi ripostami na uwagi z boku. Gdy ktoś, chcąc go wzruszyć, może i pocieszyć, intonuje walczyka „Tylko we Lwowie”... wtedy Górski natychmiast śpiewem odpowiada, że „Warszawa da się lubić...”

Przypominam sobie, jak w podobnych sytuacjach reagował Jacek Gmoch. Wcielał się wówczas w postać „warszawskiego taksówkarza”:

– Jestem grzeczny dla grzecznych, lecz gdy ktoś niestosownie zachowa się, małą wiązkę posyłam i już po chwili przyjaciel wie, że... Nie ma dla mnie cwaniaków... Ja naturę mam taką, że nie bawię się w układane słówka...

Górski, Gmoch, Grecja... Kazio ma tam córkę, zięcia i wnuka, Jacek uważa ten kraj za drugą swoją ojczyznę. Obaj do dziś cieszą się tam dużą sympatią. W Polsce różnie to bywało. Górski zawsze był u nas niemalże noszony na rękach, natomiast Gmoch częściej pod wozem niż na wozie. Kiedy Jacek przejął po Kaziu reprezentację, wtedy przyjaźnie podali sobie ręce. Partnerzy. Ale w opinii społecznej zawsze wyżej notowany był Kazio.

W Grecji dokonania obu są niemal równe, także popularność, sympatia i uznanie wysokie. W roku 1983 Gmoch jednak dopiero wspinał się tam na szczyty sławy, natomiast Górski miał jej już całe tony.

Status emeryta nie miał dla szefów ateńskich klubów najmniejszego znaczenia. Kazio jeszcze nie zdążył dobrze skonsumować kolejnego sukcesu w Olympiakosie, a już otrzymał propozycję pracy w Ethnikosie Pireus. To mu schlebiało. Wciąż ma w Grecji dobrą markę. Podjął wyzwania. Wprawdzie biednawy Ethnikos, to nie bogaty Olympiakos, ale w Pireusie też cieszy się dość dużą sympatią. Trener zamieszkał w dzielnicy Kastella, w pobliżu klubu i stadionu Karaiskaki. Tam właśnie rozgrywał (gościnnie) swoje mecze „bezdomny” Ethnikos. Prezes klubu Murkakos był w Atenach znaną osobistością: pracował w greckiej telewizji, był miłośnikiem muzyki, pisywał wiersze i teksty do popularnych piosenek.

Rówieśnik Górskiego, łatwo znajdowali wspólny język. Nawet gdy Ethnikos popadł w kłopoty finansowe, Kazio zaufał prezesowi. Bez obaw wyjechał na wakacje do Warszawy, a tuż przed sezonem 1984/1985 sprowadził do Polski również swoją nową drużynę. Grecy z niezłej strony pokazali się w meczach z Polonią i Polonezem Warszawa, a także w przedsezonowym turnieju I-ligowców w Skarżysku Kamiennej. Tam właśnie trener reprezentacji Antoni Piechniczek spotkał się z Górskim. Tu też im towarzyszyłem. Zналиśmy już rywali Polski w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata 1986. Albania, Belgia, Grecja... Napomknęliśmy, że w grudniu najprawdopodobniej pojawimy się w Atenach na meczu Grecja – Belgia. Kazio wyraźnie się ożywił:

– Przyjeżdżajcie, zapraszam do siebie! To przed samymi świętami Bożego Narodzenia... Mieszkanie duże, miejsca sporo, akurat wtedy zamierza mnie odwiedzić brat Janek. Będzie też siostrzenica Elżbieta.

Nudzić się nie będziemy...

Eliminacje przed mistrzostwami świata w Meksyku rozpoczęła reprezentacja zwycięskim meczem właśnie z Grecją w Zabrzu. Ale zanim to nastąpiło nasza drużyna, już wolna od dolegliwości stanu wojennego, teraz dość często podróżowała po świecie. Już w styczniu 1984 roku wybrała się na dość ryzykowną wyprawę do Indii. Przez 16 miesięcy tylko przegrywała. Czy teraz w pełni zimy zdoła się pozbierać po zeszłorocznych niepowodzeniach? Na szczęście rywale w turnieju o Puchar Jawaharlara Nehru (Nehru Gold Cup) nie byli najmocniejsi. W Kalkucie (znam to z relacji Piechniczka, Hajdasa i Małkiewicza) na stadionach Eden Gardens i Salt Lake rywalizowaliśmy z: Indiami, Chińską Republiką Ludową, Argentyną oraz dwiema drużynami klubowymi z Węgier i Rumunii. Poszło dobrze, nie przegraliśmy żadnego meczu i zajęliśmy w tym turnieju pierwsze miejsce. Miła niespodzianka, bo w ekipie zabrakło między innymi: Władysława Żmudy, Zbigniewa Bońka, Kazimierza Przybysia, Marka Ostrowskiego, Ryszarda Komornickiego oraz Dariusza Kubickiego i Dariusza Wdowczyka. Zarobiono na tym wyjeździe kilkaset tysięcy hinduskich rupii, ale spodziewanych fruktów walutowych nie osiągnięto. To nie były amerykańskie dolary...

Początek tworzenia zespołu na Mundial w Meksyku był więc udany. Obiecująco zaprezentowali się zwłaszcza, poza zawsze zasługującymi na pochwałę Józefem Młynarczykiem, Andrzejem Buncolem, Włodzimierzem Smolarkiem i Dariuszem Dziekanowskim, reprezentanci Lecha Poznań: Krzysztof Pawlak, Józef Adamiec, Czesław Jakołcewicz i Mirosław Okoński. To była wtedy „wielka czwórka Kolejorza”, mistrza z 1983 i 1984 roku oraz zdobywcy Pucharu Polski z 1982 i 1984. Wojciech Łazarek i jego najbliżsi współpracownicy, a wśród nich dobrze znany w

całym kraju Hilary Nowak, działacz PZPN i Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej, dali Poznaniowi drużynę, o jakiej kilka lat wcześniej można było tylko pomarzyć. Był to „wielki” Lech również na arenie międzynarodowej?

Niestety, tylko na nasz wewnętrzny użytek. Lech nigdy nie osiągnął w Europie wyników na miarę Górnika Zabrze, Legii Warszawa i Widzewa Łódź. W Pucharze Mistrzów „Kolejorz” już w pierwszej rundzie dwukrotnie przegrał z Liverpoolem 0:1 i 0:4, z Athletic Bilbao u siebie wygrał 2:0, ale w Hiszpanii całkowicie to zaprzepaścił (0:4). Natomiast w Pucharze Zdobywców Pucharów w sezonie 1982/1983, po dwóch zwycięstwach nad słabym Vestmannaeyjar z Islandii (1:0 i 3:0), dwukrotnie przegrał z przeciętnym Aberdeen FC ze Szkocji 1:2 i 0:1.

Jednak trener Antoni Piechniczek miał zaufanie do odpowiedzialnie grających poznaniaków. W połowie kwietnia 1984 roku w pożegnalnym meczu Grzegorza Laty z reprezentacją z drużyny Lecha wystąpili w Warszawie: Pawlak, Adamiec i Okoński, poza tym w kręgu zainteresowań selekcyjnera byli Jarosław Araszkiwicz i Czesław Jakołcewicz. Rozstanie Laty z zespołem narodowym szczególnie od strony sportowej było smutne i mało obiecujące. Nieoficjalny rewanż z Belgią za piękne 3:0 na Camp Nou w Barcelonie przegraliśmy na Stadionie Wojska Polskiego 0:1.

Drużyna nie rokowała większych nadziei. To był zlepek piłkarzy pozbawionych cech ofensywnych. Czy nie ma w kraju lepszych zawodników? Nasza liga jest kiepska, ale nawet w niej łatwo dostrzec piłkarzy o wyższych umiejętnościach i większych ambicjach. Konkurencji młodszych i sprawniejszych kandydatów już nie wytrzymują: Adamiec, Ciołek, Kensy, Pękała i Miłoszewicz. Zbliża się czas: Jacka Kazimierskiego, Jerzego Wijasa, Jana Urbana, Marka Ostrowskiego, Jana Furtoka, a

także Dariusza Kubickiego i Dariusza Wdowczyka. Tylko ich imiennik Dziekanowski coraz częściej zawodził. Klimat mu nie odpowiadał? Grzegorz Lato też się dziwił:

– Ja nigdy nie schodziłem poniżej przeciętnego poziomu. Grałem może nie tak elegancko jak „Dziekan”, ale zawsze skutecznie i – co równie ważne – długo. Moimi partnerami w reprezentacji byli: Lubański, Deyna, Gadocha, Boniek i... właśnie Dziekanowski. Z każdym z nich czułem się pewnie, a wielkiego futbolu nauczyłem się praktycznie do końca długiej kariery. Gwiazda Darka za szybko gaśnie...

Ujemnie odbijało się to na wynikach reprezentacji. W Zabrze, w wygranym meczu z Grecją, Darek strzelił dwie bramki, ale już w następnym z Albanią w Mielcu ani jednej. Nad Wisłoką zawiodła zresztą cała drużyna, stąd tylko remis 2:2 z archaicznie grającą Albanią. (Z techniki tylko dobre przyjęcie piłki i „mała gra”). W PZPN nie chciano jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Za utratę punktu obwiniano szwajcarskiego sędziego Bruno Gallera. Tymczasem remis w Mielcu był wiernym odbiciem sprawności naszej ligi. Przeważały w niej „jesienne róże”, a więc zawodnicy już zmęczeni, bez uśmiechu i radości z gry. Zmienił się nawet Zbigniew Boniek, stał się przesądny, koledzy poszli za jego głosem i przed meczem odmówili Gieniowi Warmińskiemu pozwania do zdjęcia.

... Nie było fotografowania przed spotkaniem z Grecją w Zabrze i przyszło zwycięstwo, nie będzie teraz w Mielcu, bo z Albanią też chcemy wygrać.

Wiara w siły nadprzyrodzone, szczęśliwe gwiazdy i pechowych fotoreporterów... Przemilczano fakt, że w roku 1984 reprezentacja miała gry po dziurki w nosie. Zaczynała w styczniu w Indiach, a skończyła

w grudniu we Włoszech. Do Pescary na towarzyski mecz z Włochami Piechniczek już nie zabrał Dziekanowskiego. Nie ufał mu czy chciał dać odpocząć? A może szukał lepszych rozwiązań? W Pescarze nie było też Józefa Młynarczyka i Włodzimierza Smolarka. Z mundialowego składu zagrali tam tylko: Żmuda, Matysik i Boniek oraz dwaj „żelazni” rezerwowi – Wójcicki i Pałasz. Mistrz świata dość łatwo wygrał więc 2:0. Sezon się skończył, a my nadal nie mieliśmy drużyny na miarę ambicji i potrzeb medalisty mistrzostw świata.

Z Pescary do Rzymu reprezentacja wracała autokarem, natomiast nieliczna grupa dziennikarzy – pociągiem. Ponownie spotkaliśmy się dopiero na lotnisku w Rzymie. Piłkarze najchętniej opowiadali tam o audiencji u papieża. Znał wynik meczu z Włochami, był wyrozumiały, życzył powodzenia przed Mundialem w Meksyku i pozdrowił... Cracovię. Mediolańska „La Gazetta dello Sport” chwaliła swój zespół, a trener Enzo Bearzot niemalże z przyzwyczajenia uznał naszą reprezentację za „groźną i niewygodną”. W samolocie usiadłem obok trenera Piechniczka. Podbudowały go pochlebstwa włoskich dziennikarzy. Teraz próbowaliśmy „w cztery oczy” ocenić miniony sezon.

– Czy spełniły się twoje oczekiwania?

– Niezupełnie. Liczyłem na cztery punkty w meczach z Grecją i Albanią.

– Kibice twierdzą, że masz szczególny dar tłumaczenia niepowodzeń.

– Nie jestem dyplomata, mówię to, co myślę i dobrze wiem.

– W meczach z Grecją i Albanią popełniłeś jednak błędy kadrowe.

Po co grał Buncol? Po co Wójcicki i przemęczony Żmuda?..

– A dlaczego nie zapytasz, dlaczego postawiłem na Budę? To ja ci powiem. Jeśli już tak naprawdę mam się przyznać do jakiegoś błędu,

to rzeczywiście pluję sobie w brodę, że w Mielcu od początku nie zagrał Komornicki. Właśnie za Budę! A dlaczego zdecydowałem się na Buncola, Żmudę i Wójcickiego? Podczas treningów i w grach kontrolnych prezentowali się lepiej niż potencjalni konkurenci.

– Jak zatem widzisz dzisiejszą reprezentację Polski?

– Jest obiecująca, znacznie lepsza niż w połowie 1981 roku, kiedy przystępowaliśmy do pierwszego meczu z NRD.

– Dostrzegasz młodych zawodników?

– Jest ich sporo. W bramce obok Jacka Kazimierskiego i Eugeniusza Cebrata widzę Henryka Bolestę i Janusza Jojkę. Mocno depczą Józkowi po piętach... W obronie coraz lepiej radzą sobie Damian Łukasik i Kazimierz Sokołowski, a w pomocy Zbigniew Kaczmarek i Jan Urban. Napad? Tu najbliższej szansy jest Jarosław Araszkiwicz. To uzasadnia mój optymizm. Sądzę też, że w porę wykurują się Smolarek i Karaś, a Buncol i Dziekanowski zaczną wreszcie grać na miarę swoich możliwości. Czy to mało?...

– Nadal będziesz korzystał z usług zawodników grających teraz w ligach zagranicznych?

– W grę wchodzi tu praktycznie tylko Boniek, Żmuda i ewentualnie Młynarczyk. W reprezentacji potrzebni są tacy zawodnicy, którzy nie będą kalkulować, tylko walczyć do upadłego, tacy jak Waldek Matysik!

Wyraźnie nadchodziła „nowa fala” uzdolnionych piłkarzy. Selekcjoner nie dostrzegł w niej napastnika Jana Furtoka z GKS Katowice, który zdaniem „Piłki Nożnej” był prawdziwym „odkryciem roku”. Wśród starej gwardii – nic nowego, znowu najlepszy Włodzimierz Smolarek z Widzewa, a trenerem roku 1984 – po raz drugi z kolei – został Wojciech Łazarek z Lecha Poznań. „Smolar” już dość długo leczył kontuzję, to

go męczyło, ale „widualski charakter” nie pozwalał na utyskiwanie. Z uśmiechem odpowiadał na wszystkie pytania:

– Czy pojedziemy do Meksyku? – Oczywiście! I ja też... W najgorszym wypadku na własny koszt. Tak widzę swoją przyszłość i reprezentacji. Tak łatwiej żyć...

ANTEK W KABINIE PILOTA

Optymizm Smolarka wzmocnił duchowo selekcynera, ożywił też nadzieje kibiców. A tu jeszcze los wyraźnie nam sprzyjał. Belgia straciła punkty z Grecją i Albanią. Wreszcie ktoś za nas wyciąga kasztany z ognia. Przed meczem Grecja – Belgia zapytałem Piechniczka:

– Węszysz niespodziankę w Atenach?

– Tak i wiele sobie po tym meczu obiecuję... Szkoda, że nie będę w Tiranie... Albania może sprawić ogromną sensację.

– Nie chcesz tego zobaczyć na własne oczy?

– Bariery polityczne...

Ostatecznie nasz trener pojawił się tylko w Atenach. Ja też tam byłem. Potyczkę Grecja – Belgia oglądałem więc w towarzystwie dwóch selekcynerów – legendarnego Kazimierza Górskiego i jego godnego następcy Antoniego Piechniczka. Obaj mają w dorobku medale mistrzostw świata. Antek marzy o kolejnym w Meksyku. Bezbramkowy remis w meczu Grecja – Belgia wprowadził go w anielski humor:

– Teraz jestem pewien, że w Tiranie wygra Albania. W naszej grupie zacznie się ładna zabawa. Belgowie są słabi. Już Grecy mogli ich pogonić!...

– Grecy zagrali normalnie, na swoim poziomie... Ani lepiej, ani

gorzej niż potrafią – ocenił Górski. – Gdyby lepiej strzelali, mogliby nawet wygrać to spotkanie. Sądziś więc Antoś, że Albańczycy będą lepiej strzelać?

Po meczu wybraliśmy się na konferencję prasową. Przedstawiciela Albanii nie było. To wciąż kraj za „żelazną kurtyną”?!... Znamienne były wypowiedzi trenerów. „Papa” Guy Thys z Belgii wyznał szczerze: - *„Jestem zadowolony z wyniku, ale nie z postawy drużyny”*. Na to Grek Miltos Papapostoleu: - *„Jestem zadowolony z postawy drużyny, ale nie z wyniku”*. Nasz Piechniczek nisko skłonił się gospodarzom: - *„Dziękuję Grecji, że zabrała Belgii jeden punkt”*. Nazajutrz ton prasy ateńskiej był jednak minorowy: - *„Żegnaj Meksyku!”* Dziennik „Ethnos” (Naród) 22 grudnia, po wygranej Albanii z Belgią 2:0. Zmienił jednak zdanie: - *„Wreszcie mamy dobrą drużynę. W tej grupie jeszcze wszystko może się zdarzyć”*. Górski, Piechniczek i ja nie mieliśmy już wątpliwości: - **Do Meksyku pojedą „biało-czerwoni”**.

Piechniczek wracał do kraju w dobrym humorze. Nie tylko dlatego, że Belgia pogubiła punkty. To prawdziwy „szczęściarz Antoni!”. Nasze bilety na powrót do Warszawy nie były o’key. Czas przedświąteczny, miejsc w samolocie brak. Dla mnie szlaban, ale dla trenera reprezentacji i to nie jest żadną przeszkodą. Przedstawia się kapitanowi rejsu i leci... w kabinie pilota. Był w domu przed gwiazdką, ja zostałem w Atenach. Podobny los spotkał goszczących wtedy pod Akropolem złotych medalistów olimpijskich – Tadeusza Ślusarskiego i Władysława Kozakiewicza. Opłatkami dzielili się na lotnisku. W Warszawie wszyscy trzej będziemy dopiero rano w pierwszy dzień świąt.

Państwo Maria i Kazimierz Górscy przytulili pechowca. Wigilia w Pireusie! Wykorzystam rezerwowe nakrycie. Wieczernię przygotowuje

Marysia, a ja z Kaziem niemal od rana do zmierzchu hulam po mieście. Tu kawka, tam mały koniaczek, bilard, gra w kości, nawet kilka partii karioki. W centrum Pireusu króluje ogromna szopka. Wszystko naturalnej wielkości: stajenka, ludzie, zwierzęta. Przenosimy się nad morze. Co krok to restauracja. Właściciele witają Górskiego z otwartymi ramionami, goszczą po królewsku. Kazio nie przepada za rybami i winem, zdrowie przepija więc whisky z lodem. Owoce morza kuszą, ale zachowujemy wstrzeźliwość, wszak uroczysta kolacja wigilijna dopiero przed nami.

Grecy tak jak my, uważają Boże Narodzenie za święto szczególne, rodzinne. U Górskich jest cała familia również od strony zięcia Jorgo Kafirisa, męża Urszuli. Jest też zaprzyjaźniony z Kaziem sąsiad Tadeusz Czad, niegdyś lotnik z dywizjonu 303. Na zewnątrz aura helleńska, ciepło, nie ma śniegu, ale w mieszkaniu sceneria typowo gwiazdkowa. Żywe, zielone drzewko, lampki, świecidełka i srebrno-złote łańcuchy, a pod choinką oczywiście prezenty. Dla mnie pięciogwiazdkowa „Metaxa”. Na stole wigilijnym trzy barwne wazy z zupami i barszczem czerwonym z uszkami, kapusta z grzybami oraz trzy rodzaje pierogów: ruskie, z kapustą i grzybami. Śledziki i ryby...

– Normalnie jak w Polsce – podkreśla zadowolona Marysia.

Kwaszona kapusta i grzyby... Dla Greków to egzotyka. Senior rodu Kafirisów, dziadek Kostas wprost demonstracyjnie delektuje się pierogami. To specjalność Marysi. Trunki grecko-polskie, spod Akropolu „Metaxa”, anyżkowe Quzo i młode wino, zwane przez Ateńczyków „rycyną”. Znad Wisły nasza „Wyborowa”. Pili wszyscy i śpiewali. Najpierw kolędy, głównie polskie i znaną na całym świecie „Cichą noc”, a potem pieśni patriotyczne, ludowe, biesiadne. Jan i Kazimierz Górscy, dobrze obeznani z repertuarem Szczepka i Tońka, wrócili do rodzinnego

Lwowa, a Kazio solo zaśpiewał też swoje ulubione tango „Polesia czar”. Kuzynka Ela przypomniała melodyjne piosenki chóru harcerskiego „Gawęda” i „Mazowsza”. Dziadek Kostas zaintonował „Dzieci Pireusu”, lotnik z dywizjonu 303 zanucił „My Bonnie is over the ocean”. Jorgo – ojciec „małego Polaka” Kostaska odtańczył Zorbę, a babciom Marysi i Ninie ze szczęścia łzy zaczęły spływać po policzkach.

Sąsiedzi pootwierali okna, na ulicy zatrzymywali się przechodnie i też śpiewali. Przed odjazdem na lotnisko „wigilię w Pireusie” zakończyło chóralne „Góralu, czy ci nie żal?”... Tego Grecy już nie zrozumieli. Przed odlotem do Warszawy „strzemiennego” Kazio i ja w barze na lotnisku wypiliśmy w towarzystwie – też już wyraźnie zmęczonych – tyczkarzy Ślusarskiego i Kozakiewicza. Tam u nas, w Warszawie ludzie już wracali z pasterki, a my dopiero teraz żegnaliśmy Ateny. Wigilia z najbliższą rodziną dopiero za kilka godzin, razem ze świątecznym śniadaniem. Z nadmiaru wrażeń zamieniliśmy na Okęciu torby z prezentami. Tyczkarze odszukali jednak Darka Górskiego, syna Kazia. Darek odwiedził mnie zaraz po śniadaniu i torby trafiły pod właściwy adres.

Zimowe wyprawy reprezentacji do krajów pozaeuropejskich powoli stawały się nie tyle potrzebą, co koniecznością. Niezbyt wysoko – z różnych względów, także poza sportowych – ceniono teraz naszych piłkarzy na starym kontynencie, więc poszukiwano kontaktów z krajami „trzeciego świata”. Niedawno w styczniu wożowano po Indiach, a na początku lutego 1985 roku wybrano się na tournée do Kolumbii i Meksyku. Znowu skład okrojony: tradycyjnie już zabrakło Bońka, Młynarczyka i Żmudy grających w klubach zagranicznych oraz Jerzego Wijasa. Był powołany, ale na lotnisku się nie pojawił. Odebrano mu paszport. Kto i dlaczego? Domysłów było sporo, o spisek posądzano „wszystkich świętych”

ówczesnej władzy, choć sam piłkarz za to swoje niepowodzenie obwiniął głównie macierzysty klub – Widzew. W Łodzi usiłowano „bronić” zawodnika przed pójściem do wojska. Dla dobrze zorientowanych miało to oznaczać niedopuszczenie do wzmocnienia „wrażeń” Legii Warszawa. Smakiem oblizwały się jednak oba kluby, bo Wijas wyładował ostatecznie w karnej jednostce na Pomorzu Zachodnim.

Reprezentacja bez Wijasa. W tej sytuacji szybciej niż oczekiwano do kadry trafili Jan Urban z Zagłębia Sosnowiec i Damian Łukasik z Lecha Poznań. Powiodło się tylko Urbanowi, udanie zadebiutował w meczu Polska – Bułgaria (2:2) w... meksykańskim Queretano. Natomiast Łukasik prawdziwe męki Tantala przeżywał w sromotnie przegranym spotkaniu z Meksykiem 0:5 (!). Specjalnym wysłannikiem naszej „Piłki Nożnej” na te lutowe mecze za oceanem był red. Stefan Szczepłek. Użył sobie w felietonie „**Pozdrowienia od Osesa**” na organizatorach tych czterech potyczek z: Meksykiem, Bułgarią i dwukrotnie z Kolumbią.

..., „Umowa z Cadillo Osesem została zawarta w Warszawie. Śmieszne lub – jak kto woli – upokarzające są warunki finansowe. Około pięciu tysięcy dolarów za mecz nie bierze teraz żadna szanująca się europejska drużyna klubowa. Kwoty są kilkakrotnie większe. Trzecia reprezentacja świata powinna dyktować warunki, a znalazła się w roli uboższego krewnego. Staliśmy się z tego powodu i ze względu na wynik meczu pośmiewiskiem w Meksyku”. Zatwierdzałem ten tekst do druku ze złością i z dużym wstydem, ale też z pewną dozą satysfakcji. Zawsze bowiem byliśmy w „Piłce Nożnej” przeciwko takim nieprzemyślanym podróżom, mało wartościowym o tej porze roku pod względem sportowym, w tym wypadku upokarzającym również finansowo. Nawiązując do celnych uwag Stefana w redakcyjnym komentarzu skreśliłem na ten temat jeszcze

kilka równie krytycznych zdań:

...Nie rozegrano wcześniej zapowiadanych meczów z Argentyną i Urugwajem. Nie mogła tego zrównoważyć i nie zrównoważyła, zresztą przegrana potyczka z Kolumbią w Cali. Dostaliśmy więc łupnia z dwóch stron – od rywali na boisku i menedżera przy zielonym stoliku. Ale trzeba zgodzić się z poglądem, że za tę karkołomną wyprawę do Ameryki Łacińskiej winę ponosi nie tylko jej organizator. Duży udział mają tu również ludzie z PZPN, znowu kupowali kota w worku i znowu tylko marzyli o wyrwaniu się – bo tu zimno, mróz – z rodzinnego gniazda. To nie może przejść bez echa, to nie może być uznane za kolejny wypadek przy pracy, bo prywatą zalatuje tu w sposób jednoznaczny. Żebraczy styl został tu podniesiony do rangi cnoty... I dalej:

...Byliśmy, jesteście i zawsze będziemy za silną reprezentacją. Jest nam potrzebna szczególnie teraz, gdy w decydującą fazę wchodzi rozgrywki eliminacyjne o mistrzostwo świata. Ale kadra, zwłaszcza w okresie przygotowawczym do sezonu, nie może być ciałem sztucznym, samym w sobie, oderwanym od klubów ligowych. Reprezentacja najlepiej ma grać w maju, a czołowe kluby muszą być w formie już na początku marca. Należało to zgrać i o tym pamiętać. Reprezentacja jest najważniejsza! Ale czy dla każdego?

Już w domu, w Warszawie zapytałem Antoniego Piechniczka czy prawdą jest – a taką wersję przedstawił w „Tele-Golu” prominentny działacz PZPN – że wyjazd „z marszu” do tak odległych i egzotycznych krajów, był twoim pomysłem?

– Zaprzeczam! Nie miałem na to żadnego wpływu. Decydowały względy polityczne. Jednak ta przykra wpadka sportowa – obciąża głównie moje konto.

Taka była przygrywka do przedmundialowego sezonu. Zła, daleka od publicznie głoszonych zapewnień centrali o jedności i zgodności poczynań klubów i reprezentacji. PZPN myślał teraz tylko o sobie i utrzymaniu na stołkach niekompetentnych i skompromitowanych działaczy. Nasz tygodnik, piórami praktycznie każdego dziennikarza, za ten cały bałagan między Mundialami w Hiszpanii i Meksyku obwinał zarząd PZPN-u i jego prezydium. Bulwersował sposób i styl kierowania Związkiem. Powszechnie krytykowani działacze lata 1981 – 1985 ocenili jednak pozytywnie, wbrew faktom, przypisując „*dużą aktywność wszystkim członkom Zarządu*”. Takie piłkarskie pop swoje, a czort swoje...

Delegaci nie dali się zwieść pozorom, stary zarząd przepadł w wyborach z kretesem. Ster PZPN-u przejął Edward Brzostowski, wiceminister rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Od wielu lat mówiono, że ma mentalność „zwycięzcy i twórcy”, cieszącego się w swoim środowisku dobrą opinią. Dba o załogę w kombinacie i klub Igloopol Dębica. Jest energiczny, pomysłowy, ma nowoczesne spojrzenie na gospodarkę i rolę sportu w życiu społecznym. Samodzielnie podejmuje większość decyzji i jest konsekwentny w realizacji zadań. W tamtych czasach ludzie o takiej osobowości i takim widzeniu rzeczywistości nie wszędzie byli mile widziani. Na Walnym Zgromadzeniu Sprawozdawczo-Wyborczym jednak doceniono tę odrębność Brzostowskiego, prezesem PZPN wybrano przez aklamację, a więc w pełni zaufano. Zamarzyło się delegatom piłkarskie Eldorado.

Klimat wokół PZPN nieco się poprawił. Z nadzieją oczekiwano na trzy przewidziane w maju mecze o mundialowe punkty z Belgią, Grecją i Albanią. Start miał jednak prezes – wiceminister nieudany, w Brukseli dość łatwo wygrali gospodarze. Piechniczek postawił na rutyniarzy.

Zawiedli. Młodym nie zaufał. Uznał, że czas Jana Urbana, Ryszarda Tarasiewicza i Dariusza Dziekanowskiego jeszcze nie nadszedł. Zagrali dopiero z Grecją w Atenach i gruntownie zmienili wizerunek drużyny, wygrali 4:1. Ton komentarzy ekspertów był budujący. Kazimierz Górski, Jacek Gmoch i Andrzej Strelau, którzy pracowali wówczas w Grecji, zgodnie, orzekali: - **To był nokaut gospodarzy!**

AWIONETKĄ Z HEYSEL DO TIRANY

Na mecz z Albanią w Tiranie leciałem więc w dobrym nastroju. Podbudował mnie Ryszard Koncewicz, który znał albański klimat i tamtejszy stadion: - „*Niczego się nie bać! Grać swoje, spokojnie i konsekwentnie. Albańczycy są do pokonania nawet na własnym boisku*”... Pierwsi dokonali tego nasi młodzieżowcy, podopieczni Andrzeja Zientary. W miejscowości Berat, odległej od Tirany o 130 kilometrów, na stadionie usytuowanym dosłownie u podnóża gór, wygrali 2:1. Trudniejsza niż sam mecz, była nasza przeprawa „Pobiedą” z Tirany do Berat. Krajobraz niemalże bitewny, na mijanych przez nas polach - bunkry i schrony przeciwlotnicze, a co kilka kilometrów punkty kontrolne żandarmerii. Tłumaczono, że to dla naszego bezpieczeństwa, a my i tak wiedzieliśmy swoje. Taki to kraj ta Albania, tu wciąż obowiązywała „czujność rewolucyjna”. Wszak Polacy, to ustrojowi odszczepieńcy! A oni? Wierni komunistycznym przywódcom pognali gości z Polski na cmentarz i pokazali grób, dyktatora Envera Hodży. Czczą go jak bożka.

Wygraną Orlą Albańczycy przyjęli z dezaprobatą. Grozili srogim rewanżem w meczu pierwszych reprezentacji. Dawali do zrozumienia: pokonaliśmy Belgię 2:0, a Polacy 0:2 przegrali w Brukseli. Damy więc

wam tu popalić! Te pogrożki nieco temperowały nasz optymizm, obawy pogłębiał brak w ekipie Zbigniewa Bońka. Wieczorem 29 maja w przeddzień spotkania z Albanią, wystąpił w Brukseli w finałowym meczu Juventus – Liverpool o Klubowy Puchar Mistrzów Europy. Doszło tam do tragedii. Już nie pytanie czy Boniek zdąży dolecieć do Tirany cisnęło się na usta, ale czy jest zdrowy i cały.

Na stadionie Heysel zginęli wtedy ludzie. Kibice mordowali swoich bliźnich. Zezwierzęcenie ludzkiego gatunku. Tragedię w Brukseli oglądaliśmy na ekranie telewizyjnym w hotelu „Tirana”. Po koniaku Skanderbeg potwornie bolała głowa, ale nie zatarła grozy i widoku śmierci z Heysel. Co z Bońkiem? W jakim jest stanie – fizycznym i psychicznym? Przybył w porę, zdrów i cały, leciał prywatnym samolotem prezesa Juventusu. W odstępie niespełna dwudziestu godzin po dużym wysiłku sportowym i trudach nocnej podróży na trasie Bruksela – Tirana wybiegł z drużyną na boisko, jako jej kapitan i... strzelił zwycięską bramkę. Tylko słowo bohater jest w stanie wiernie oddać prawdę tamtych dni. Boniek obalił uczone wywody traktujące o fizyczno-psychicznych barierach sportowców. Twarda gra na Heysel i przeżyty tam dramat nie zburzyły niezwyklej osobowości Polaka.

Po udanych występach w Atenach i Tiranie reprezentacja pociągnęła za sobą ligowe kluby. Nabrały nieco większej pewności siebie. Mniej było teraz „murowania” bramek, nieco więcej goli, trochę lepszy poziom. Tylko Legia wyraźnie została w dołkach, a Widzew leczył rany po odejściu Dziekanowskiego i stracie Wijasa. Ożywienie trwało krótko. Po wakacjach znowu zaczęła kuleć reprezentacja, zawodziła liga. W meczu ze Szwecją w Malmoe, gdzie zabrakło Bońka, przeżyłem kolejne rozczarowanie. Wyraziłem to jednym słowem - „BEZSILNOŚĆ”! Żle

zaprezentował się cały zespół. W akcjach indywidualnych ta bezradność była jeszcze bardziej widoczna. Kiepskie zwody, nieudane dryblingi, przegrywane pojedynki, strzały na wariat...

...Nie zamierzam niektórym naszym piłkarzom – pisałem - zarzucać skłonności do wygodnictwa w grze, ale chciałbym, żeby zrozumieli (a także ich klubowi trenerzy), iż próby prezentowania antyfutbolu (postawa defensywna i brak odwagi) wszędzie będą kwitowane – tak, jak w Malmö – gwizdami... Miejskowy dziennik „Sydsvenska Dagbladet Snaelposten” ujął to bardziej elegancko: ... „Polacy nie za bardzo się w tym meczu przemęczali”... Co dalej? Sądzę, że pomysł rozegrania meczu ze Szwecją był dobry. To zupełnie inny przeciwnik niż Grecja i Albania. Wyższa jakość i inny sposób gry. Twardość i konsekwencja... Dobrze wyszkolenie techniczne, inteligentni zawodnicy, słowem - europejska czołówka.

Te walory Szwedów potwierdzili goście „Malmö Stadion”: Franz Beckenbauer z RFN, Sepp Piontek z Danii i Guy Thys z Belgii, a także nasz Wojciech Łazarek pracujący wtedy w Trelleborgu. Rozmawiałem z każdym z nich, wypiliśmy też niejedno piwo, a to wszystkim rozwiązało języki. Szwedzi zaskoczyli Polaków bardzo „agresywną strefą”. W niektórych rejonach boiska przeradzała się w klasyczny pressing. Nie podjęliśmy walki. Trener Guy Thys nie ukrywał zadowolenia: - „Po tym, co zobaczyłem w Malmö, moja wiara w zwycięstwo nad Polską w Chorzowie jest coraz większa. Sięgnijmy tam po tę samą broń, która dziś przyniosła sukces Szwedom”.

Na zgrupowanie w Wiśle przyjechali Józef Młynarczyk i Zbigniew Boniek. Piechniczek mógł więc wrócić do koncepcji składu z Tirany. Ostatecznie dokonał jednej zmiany – w pomocy Andrzeja Buncola zastąpił Ryszard Komornicki. Siła ognia naszego zespołu jednak wciąż

była nikła. Duet Boniek – Smolarek ani razu nie przebił się przez belgijską strefę. Puste bramki do końca meczu. Belgowie zawiedzeni, bo Polacy utrzymali pierwsze miejsce w tabeli. Oto właśnie chodziło! Ten jeden punkt zapewnił nam udział w finałach mistrzostw świata. Widownia właściwie to oceniła, odśpiewała „sto lat”, a trener Antoni Piechniczek i główny bohater tego meczu Józef Młynarczyk powędrowali do szatni na ramionach przyjaciół. Radość większa niż poziom gry. Trudna jest droga powrotu na mundialowe boiska!...

Dokładnie 19 września 1985 roku agencje światowe nadały wstrząsającą wiadomość: **Mexico City w gruzach!** Nienotowanych dotychczas rozmiarów trzęsienie ziemi nawiedziło stolicę Meksyku. Całe ulice legły w gruzach. Tysiące zabitych, setki tysięcy ludzi bez dachu nad głową. Tu mistrzostw świata nie będzie! Na szczęście te kasandryczne wróżby się nie potwierdziły. Działacze Federacion Mexicana de Futbol Asociacion i Komitetu Organizacyjnego Mundialu dokonali błyskawicznego przeglądu stadionów i stanowczo orzekli: - **„Nie oddamy nikomu tych mistrzostw świata”**. Meksyk miał stadiony gotowe. Czekwały tylko na finalistów. Świat przyszedł Meksykanom z pomocą, także Polacy. W PZPN-ie się nie przelewało, mimo to na rzecz ofiar trzęsienia ziemi przeznaczono cały dochód z towarzyskiego meczu Polska – Włochy.

Italia – to mistrz świata Espana '82. Graliśmy tam z Włochami dwa razy – w Vigo i Barcelonie. Bez powodzenia. Również w Peszarze Włosi byli lepsi. Teraz nasi piłkarze, zgodnie z zasadą „bij mistrza”, zmobilizowali się na ten pojedynek jak rzadko kiedy. Była już połowa listopada, zima przyszła wcześniej niż zazwyczaj, śnieg i mróz nie sprzyjały widowisku, ale „biało-czerwoni” zagrali w Chorzowie rozważnie i z zębem. Rzadko

dotychczas chwalony Dariusz Dziekanowski zaprezentował się wreszcie na miarę swojego talentu i już w 6 minucie gry zdobył zwycięską bramkę. Po tej wiktorii odwiedził naszą redakcję prezes PZPN Edward Brzostowski i kokieteryjnie zapytał: „Kogo „Piłka Nożna” ogłosi piłkarzem roku?”. Wątpliwości nie było, osiągnięcia sezonu 1985 przemawiały właśnie za Dziekanowskim. Zasłużył na to dobrą grą w Widzewie, Legii i reprezentacji. Gość z centrali przyjął to z uznaniem.

Rywalizacja w naszej lidze była bardziej wyrównana niż w poprzednim sezonie, mecze atrakcyjniejsze i na nieco wyższym poziomie. Jednak była to poprawa dostrzegalna tylko na krajowym podwórku. Z europejskich rozgrywek pucharowych już w pierwszej rundzie odpadły: Górnik Zabrze, Widzew Łódź i Lech Poznań. Dalej poszła tylko Legia, eliminując kolejno norweski „Viking” Stavanger i węgierski „Videoton” Szekesfehervar. Dopiero w trzeciej rundzie Pucharu UEFA, po dwóch bezbramkowych remisach, w dogrywce uległa Interowi. Oba te pojedynki, w Mediolanie i Warszawie były widowiskowe, zacięte, o dużych walorach sportowych. Potwierdziły wciąż spore rezerwy, tkwiące w jedenastce Legii i międzynarodową klasę Dariusza Dziekanowskiego. W lidze brylował jednak Górnik, co kibice Legii przyjęli z rozpaczą:

Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud.

Słuchaj, słuchaj uczyń z Legią cud!

My czekamy już piętnaście lat,

Jezu, pociesz nas!

W latach osiemdziesiątych bogowie pocieszali jednak inne kluby: Widzew Łódź, Lecha Poznań i Górnika Zabrze. Na arenie międzynarodowej los im nie sprzyjał. Honoru naszej ligi najdłużej broniła Legia. Z norweską drużyną „Vikingiem” Stavanger przyleciał

do Warszawy Kare Torgrimsen dziennikarz o dobroci i tuszy Świętego Mikołaja. Przytaszczył do redakcji ogromnej wielkości torbę, a w niej moc prezentów wtedy u nas dostępnych (i to nie zawsze) tylko w PEWEX-ie. Rozpuszczalna kawa „Nesca”, herbata „Lipton”, w puszkach smaczne paszteciki, konserwy rybne, środki czystości i wykwintne alkohole. Rozłożyłem te delikatesy na swoim biurku. Oczy na wierzch wychodziły z wrażenia. Tak żyje Europa! Przywołałem redakcyjną załogę i rozdzieliłem mikołajkowe dary. Rewanż za ten bezinteresowny gest Norwega spoczął na mojej głowie. Ufetowałem go „Żytnią” z Pewexu oraz domowym bigosem i ruskimi pierogami. Za kołnierz nie wylewał, zachował się jak prawdziwy Wiking.

Samarytanin ze Stavanger nieco rozjaśnił szarość naszego codziennego bytowania i pobudził wyobraźnię. Pokazał cząstkę innego świata. Czy my dożyjemy takich czasów? Kiedy opowiedziałem Gieniowi Warmińskiemu o tym przyjaznym gościu Kare Torgrimsena, nie był zdziwiony. Podobnych dowodów sympatii i solidarności kolegów dziennikarzy z zagranicy było wówczas znacznie więcej.

– Juruś! Mnie już w grudniu 1981 roku przysyłano paczki z prowiantem, nawet z Rosji...

– Mówisz poważnie?...

– No, Juruś, bój ty się Boga, jak mógłbym cię bujać?! Delikatesów tam nie było, skromniutko, ale się przydało...

– To ruscy też wiedzieli, że u nas prawie wszystko jest na kartki?

– Nie mam pojęcia, ale Borys Świetłanow z „Sowieckiego Sportu” musiał wiedzieć, że w naszych sklepach półki są puste. Jego koledzy też nas dokarmiali. Pierwszą paczkę wysłali tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

– I doszła na czas?

– Na Sylwestra! Miałem cukier, herbatę gruzińską i kaszę manną... Wszystko w jednym worku, pomieszane, taki misz-masz, rozumisz. Czujni byli celnicy, torby porozrywali...

– I nie wyrzuciłeś tego „koktajlu” do kosza?

– Jakbym śmiał?! Jadzia, to znaczy moja żona, przez kilka godzin filtrowała to wszystko przez sitko. Najpierw wyłowiła herbatę, potem cukier, a na końcu kaszę manną. Nic się nie zmarnowało...

Do Poznania na mecz Lecha z Borussią wybrałem się w towarzystwie Stefana Szczepłka, Pawła Smaczego i Darka Górskiego. Pod Kutnem przez moment wydawało się, że te lepsze czasy na zawsze nam uciekną. Sporej wielkości kamień doszczętnie rozbił frontową szybę „Fiata” i przeleciał obok mojego prawego ucha. Odebrało nam mowę, w aucie martwa cisza. W każdej szczelinie pełno szkła, tak szybę zmiażdżył pęd powietrza i ten przekłety kamień. Szklany pył osiadł mi nawet na rzęsach. W kieszonce marynarki wyrosła butonierka z rozproszonych kryształków. Kierowca Andrzej Cieślik przywykły do takich niespodzianek, przytomnie zatrzymał pojazd. Ekipa nadal jak zahipnotyzowana. Z odrętwienia wyrwała nas dopiero nadjeżdżająca wiejska furmanka. Woźnica warknął na konie „prrry” i zwrócił się w naszym kierunku:

– Panowie, może kupicie cebuli? Świeżutka, wiozę prosto z pola... Niedrogo...

Przed chwilą omal nie wylądowaliśmy w rowie lub na drzewie, dusze mieliśmy na ramieniu, a tu taka zaskakująca propozycja. Paweł, w każdej sytuacji pozujący na gieroja, teraz również umiał się znaleźć:

– Chłopie – wypalił – czy nie widzisz, co się stało?!... Ale daj po

jednej... na zagrychę. Musimy chlapnąć po łyku... Darek podaj flaszkę! Koleś chyba też łyknie...

Bez szyb, zmarznięci i w mękach, bo wiało i padało, dowleliśmy się do Kutna. Długo szukaliśmy warsztatu samochodowego. Znalazła się nawet odpowiednia szyba, ale z naprawą było już gorzej. Mechanikowi nigdzie się nie spieszyło. Szlag nas trafia, bo na mecz Lecha z Borussią już nie zdążymy. Na szczęście w firmie jest telefon. Dzwonimy do Poznania. Na Bułgarskiej, blisko stadionu Lecha, z obiadem czekała moja siostra Zofia ze szwagrem Aleksandrem. Opowiadam, co się stało. Olek typowy poznański pyra niegłupio zapytał: - *Nie mogliście przyjechać pociągiem?!... Teraz sąsiadów muszę zaprosić na kielicha... Mecz obejrzymy w telewizji...*

- A my - odpowiedziałem - zapewne w knajpie „U Wicka” w Sochaczewie. - Zadzwońcie do mojej żony!

Już w październiku 1985 roku gotowy był dość szczegółowy plan przygotowań do meksykańskiego Mundialu. Otwarcie rewelacyjne, na początek zwycięski mecz z Włochami w Chorzowie, potem sporo gier sparingowych, a na zakończenie tuż przed mistrzostwami, towarzyskie starcie z Danią w Kopenhadze. Wcześniej z Meksyku w dobrym nastroju wróciła delegacja PZPN z wiceprezesem Stanisławem Nowosielskim i selekcjonerem Antonim Piechniczkiem. Po powrocie do Warszawy meldowali: - „Rekonesans udany. Znamy miejsce naszego pobytu w Meksyku, stadiony i hotele. W Queretano zamieszkamy razem z ekipą RFN. Mecze rozgrywać będziemy głównie w Monterrey”. Z jakimi szansami tam polecimy?

Reprezentacja w składzie z 1985 roku dała sobie radę w eliminacjach, ale czy to wystarczy na Meksyk? Miarodajną odpowiedź na te pytania miał dać mecz z Danią. Wątpliwości było sporo, poza obsadą bramki,

gdzie pewniakiem był Józef Młynarczyk. Najwięcej kłopotów sprawiała postawa napastników. Włodzimierz Smolarek i Zbigniew Boniek wyraźnie górowali nad konkurentami, jednak już nie mieli tej siły ognia co w Hiszpanii. Smolarek nie z własnej winy zgubił bojowość i szybkość, prześladowały go kontuzje. Tylko Boniek utrzymywał się na wysokiej fali. Zasadne stało się więc pytanie, kto będzie jego partnerem w ataku. Kandydatów było kilku, między innymi Mirosław Okoński i Krzysztof Warzycha, ale żaden z nich nie miał jeszcze w sobie tego błysku, co „Smolar” w La Corunii i Barcelonie. To tylko klasa krajowa. Reprezentacja wymaga czegoś więcej niż ligowej poprawności.

Naszymi rywalami w „grupie Monterrey” będą: Anglia, Maroko i Portugalia. Wszyscy rywale w naszym zasięgu, wszak niegdyś już mieliśmy ich na rozkładzie. Miasto Monterrey, nazywane tu i ówdzie „piekłem Meksyku” ze względu na wysoką temperaturę, wilgotność powietrza, też jest nam znane, bo tam właśnie niezapomniani „chłopcy Górskiego” przed laty wygrali z reprezentacją Meksyku 2:1. Nie trzeba więc przed przeciwnikami i klimatem z góry robić w spodnie. Ciągle miałem w uszach przesłanie trenera Koncewicza: - *„Dobrze przygotowany piłkarz poradzi sobie w każdych warunkach”*... Forma podobno jest, ale czy wystarczy umiejętności?

Marzyła się gra „biało-czerwonych” na poziomie dwóch wygranych z niedawnej przeszłości, w 1973 roku z Anglią w Chorzowie i w 1976 z Portugalią w Porto. Tylko wtedy możnaby liczyć na sukces w Meksyku. Tymczasem generalna próba w meczu z Danią na Idraetsparken w Kopenhadze nie wypadła najlepiej. Największym mankamentem na kilkanaście dni przed odlotem do Meksyku był zastraszający brak skuteczności w akcjach ofensywnych. W porównaniu z wynikami 4:1 w

Chorzowie i 2:1 w Kopenhadze w „erze Jacka Gmocha”, obecne 0:1 było wyraźnym krokiem wstecz. Grubo poniżej możliwości zagrali zwłaszcza: Buncol, Dziekanowski, Boniek, Matysik i Wójcicki. Dziekanowski – nie po raz pierwszy – potwierdził od dawna lansowaną przeze mnie opinię, że z racji swoistych cech psycho-fizycznych bardziej odpowiada mu gra w drugiej linii niż w napadzie. Możliwości i umiejętności większości naszych reprezentantów wciąż są dość duże, ale forma słaba, nie na miarę mistrzostw świata. Już zgubiona czy jeszcze nie uzyskana?

Tymczasem Antoni Piechniczek cały cykl przygotowań widział w znacznie jaśniejszych kolorach.

– Czy lista kadrowiczów jest ostateczna? – pytał go redakcyjny kolega.

– Tak.

– Gdyby miał pan do dyspozycji wszystkich polskich piłkarzy ery powojennej, kogo dziś powołałby do kadry?

– Szymkowiaka, Młynarczyka, Szymanowskiego, Oślizłę, Żmudę, Anczoka, Pohla, Lubańskiego, Brychczego, Deynę, Bońka, Latę, Cieślika, Woźniaka, Szarmacha i... dziesięciu innych.

– Którzy z Polaków mogliby aktualnie pretendować do jedenastki świata?

– Boniek, a wcześniej Deyna...

– Szanse Polaków w Meksyku?

– Zakwalifikujemy się do drugiej rundy.

– Które miejsce zajmie Polska?

– Czwarte.

– Czy będzie pan przygotowywał kadrę do mistrzostw Europy w 1988 roku?

– To zależy od wyników na Mundialu.

Reprezentacja jechała do Meksyku z nadzieją skutecznej walki o trzeci medal. Nie po naukę, co w sytuacjach niepewnych, trudnych z reguły jest swoistym alibi, lecz z określonym celem sportowym: - **Trzeba znowu stanąć na podium!...** Ale samym pobrzękiwaniem szabelką niewiele się wskóra. O sukcesie w mistrzostwach świata decyduje nie tylko zwykła (arytmetyczna) suma wiedzy poszczególnych zawodników. Liczy się również ich doświadczenie, spryt, odwaga, umiejętność zaskoczenia rywali i entuzjazm w grze. Równie ważny jest warsztat i realizm trenera. Końcowy wynik osiąga się bowiem nie tyle poprzez dobre samopoczucie, ile w oparciu o rzetelną pracę oraz rozsądne i zgodne współdziałanie całej ekipy.

Zespół, który udał się do Meksyku, sposobił się do decydującej rozgrywki w znacznie lepszych warunkach niż poprzedni przed startem w Hiszpanii. W ciągu czterech lat przez reprezentację przewinęło się blisko pięćdziesięciu zawodników. Jej ostateczny kształt mieliśmy poznać właśnie w towarzyskim meczu z Danią w Kopenhadze. Ale to jeszcze nie było to. Wybrańcy Piechniczka grali zbyt przejrzyście, szablonowo, statycznie. To się zemści w Meksyku! Młynarczyk, Majewski, Żmuda, Wójcicki, Boniek, Buncol, Matysik, Smolarek, Pałasz... To było dobre w Hiszpanii, teraz rywale nie dadzą się zaskoczyć. Naszą szansą w Meksyku są więc: Kubicki, Ostrowski, Urban, Dziekanowski, Tarasiewicz i... Furtok. Czy ją wykorzystają? Tak, jak w RFN Żmuda i Szarmach, w Argentynie – Boniek i Nawałka, a w Hiszpanii Buncol i Matysik! Teraz też potrzebne są nowe rozwiązania kadrowe i taktyczne.

Zaczęło się nijako od bezbramkowego remisu z Marokiem, a więc tak samo, jak w Hiszpanii w meczu z Włochami. Ale wtedy był to wynik

w miarę dobry, uzyskany w walce z przyszłym mistrzem świata. Teraz niedosyt. Martwił przede wszystkim brak w drugiej linii rozgrywającego klasy Kazimierza Deyny lub Janusza Kupcewicza. Nie było też tytana pracy i łowcy goli na miarę Grzegorza Laty. Zastanawiałem się, jak trzeba zagrać z Wyspiarzami, by nie dopuścić do katastrofy. Ale moje „dobre rady” wyartykułowane w „Piłce Nożnej” w formie hasłowej: „nasza szansa w kontrataku”, „stoimy pod ścianą”, „lubimy ekstremalne sytuacje”, na nic się zdały! Przegraliśmy 0:3!

Poszliśmy jednak dalej. O awansie do drugiej rundy zadecydowała jedna jedyna bramka zdobyta w meczu z Portugalią. Piechniczek w porę przejrzał na oczy. Przed kluczowym meczem z Portugalią przełamał chorobliwe przywiązanie do niektórych graczy i „taktycznej sztampy”. Posadził Buncola na ławce rezerwowych, w zamian wprowadził do drugiej linii Dziekanowskiego. Dobry ruch. Drugi też, Bońka tak, jak w Hiszpanii przed meczem z Peru przesunął z pomocy do napadu. W przodzie znowu hasał duet Boniek – Smolarek, a w środku pola rolę rozgrywającego przejął Dziekanowski. Wygraliśmy 1:0, a zwycięską bramkę, właśnie z podania „Dziekana” zdobył Smolarek.

Mistrzostwa w Meksyku oglądałem wyłącznie na szklanym ekranie. Wiedząc, że mam szansę na wycieczkę do Meksyku w towarzystwie sporej grupy działaczy PZPN, świadomie zrezygnowałem z wyjazdu służbowego na Mundial z puli RSW „Prasa”. Miałem dość złych doświadczeń z Hiszpanią '82. Dziadowskie diety, ryczałt na hotele najgorszego sortu, kłopoty z uzyskaniem połączeń telefonicznych, brak środków na lokalne przejazdy i pilne telefony. Oczy bolały, gdy Włosi, nawet Peruwiańczycy szastali forszą na lewo i prawo. Trzymałem sztamę z dziennikarzami włoskimi. Wozili mnie wynajętymi samochodami. Gdy

przekazałem im coś ciekawego o rywalach z grupy, zatrzymywali się przy najbliższym słupie telegraficznym z telefonem i dzwoniли do redakcji. A ja często do białego rana czekałem na połączenie z Warszawą i Romkiem Hurkowskim. Miał z tego powodu kłopoty z milicją, ale w „pace” nie siedział.

Redakcję z dobrym skutkiem reprezentowali w Meksyku Stefan Grzegorzczak i Stefan Szczepłek. Natomiast ja, tu na miejscu, pisywałem dość obszernie komentarze, takie typowe „**Spojrzenie z kraju**”. Z wycieczki do Meksyku wyszły jednak nici: nie otrzymałem na to zgody Zarządu Głównego RSW „Prasa”. W efekcie zablokowano mi paszport. Pierwsze wrażenie z Mundialu korzystne dla Europy. Nadawała ton rozgrywkom. Piłkarskich bubli praktycznie nie było. Mecze: Dania - Szkocja, ZSRR – Francja, RFN – Urugwaj, Dania – Urugwaj i RFN – Szkocja były perełkami eliminacji. Brazylia na razie nieco w cieniu europejskich rywali. Głównie w oparciu o lepszą niż przed laty grę w defensywie, ciuła punkty i jest już w drugiej rundzie. Ale czy z taką grą Brazylia dorówna drużynom z Europy?

Wszystkie zespoły z półkuli zachodniej udoskonaliły grę w obronie, zresztą Argentyna i Urugwaj w przeciwieństwie do Brazylii zawsze były tu mocne. Europa również dobrze sobie z tym radzi. Sędziowie też nieźle się prezentują, są w miarę obiektywni i... odważni. Bronią zasad „fair play”. Sypią się jednak żółte i czerwone kartki. Gra niezgodna z przepisami, to jedna ze słabszych stron tych mistrzostw. Zbyt wiele drużyn chce tu wygrać za wszelką cenę. Powoli bledną na tym Mundialu niedawne gwiazdy. Piękno futbolu zapewne nie dozna z tego powodu uszczerbku, bo już pojawiają się nowe perełki i to w drużynach ze wszystkich kontynentów. Jest wśród nich również nasz Dariusz Dziekanowski. Źle się stało, że nie

był już na poprzednim Mundialu w Hiszpanii.

Mistrzostwa w Meksyku były pełne niespodzianek. Campeon Argentina, wicemistrzem Niemcy, trzecia Francja – to od wielu lat europejska i światowa czołówka. Ale tym razem liczone przede wszystkim na Brazylię, Danię, Anglię i zespół Związku Radzieckiego. Wszystkie znalazły się w cieniu medalistów. Z wielkich poprzedniego Mundialu, tu w Meksyku nic nie wskórały nawet Włochy, daleko od czołówki uplasowała się nasza reprezentacja, znowu zawiodła Szkocja. Belgowie też mieli duże ambicje, ale nie najlepszych wykonawców i nieco spaczoną wizję futbolu. Dla nich wynik był dużo ważniejszy, niż styl i piękno gry. Zgoła inaczej widział to Sepp Piontek, ale też nic nie wskórał. Przeszarżował z Danią w prezentacji futbolu widowiskowego, przesadnie ofensywnego. Natomiast Bobby Robson trener Anglii i Walery Łobanowski z ZSRR nie do końca wiedzieli, co lepsze – atak czy obrona?

Tylko Argentyna potrafiła zachować tu odpowiednie proporcje. Grała bardziej po europejsku niż drużyny z Europy. Niewątpliwa to zasługa futbolowej maestrii Maradony i w jakim takim stopniu jego „boskiej ręki” w meczu z Anglią, Passarelli, Burruchagi, Valdano i... klubów z naszego kontynentu. Tam właśnie grając od lat, nic przy tym nie tracąc z „argentyńskiego” wyszkolenia technicznego i pomysłowości, nowi mistrzowie świata, nabyli wiele pożytecznych cech futbolu europejskiego, między innymi: twardości, konsekwencji w walce i wiedzy taktycznej. Na tle tak zdyscyplinowanego zespołu błyszczała gwiazda niekonwencjonalnie grającego Diego Maradony.

Dla naszej reprezentacji był to Mundial nieudany. Wykonała tylko plan minimum – przebiła się do drugiej tury, ale już pierwszy mecz o szczybel wyżej zakończył się kompletną klapą. W „piekle Monterrey” 0:3 z

Anglią jeszcze nie przekreśliło szans, dopiero 0:4 z Brazylią w Guadalajarze rozwiało wszelkie nadzieje. Żegnaj Meksyku! Na tym Mundialu, niestety już bez naszego udziału, zarysowały się kontury „futbolu przyszłości”, a właściwie próby powrotu do najlepszych tradycji piłki nożnej. Daniem z jej asami atutowymi Larsenem, Laudrupem i Lerbym porównywano do cudownej jedenastki Holandii z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych. Larsen przypominał artyzm Cruyffa, Laudrup szybkość Rensenbrinka, a Lerby zmysł taktyczny Johanna Neeskensa. Jednak Duńczycy grali nieco „po frajersku”, zbyt radośnie za co zbierali oklaski, ale mało skutecznie, by zagrozić najlepszym.

W pierwszej fazie turnieju godna podziwu i uznania była również postawa reprezentacji ZSRR, a w końcowej głównie Francji i Argentyny. To właśnie te zespoły najwyraźniej dały do zrozumienia, że współczesny futbol wcale nie musi być walką „boiskowych drwali”, lecz może i powinien być pokazem sportowego arcyzmu. Stąd oklaski dla takich wybitnych indywidualności jak: Larsen, Biełanow, Platini, Maradona... W Meksyku w naszych barwach takich wirtuozów futbolu nie było. Autentycznego geniusza, jednego z tych, co od czasu do czasu Bóg zsyła na ziemię, pokazała Argentyna. Diego Armando Maradona praktycznie sam przesądził o wynikach meczów Argentyna – Anglia i Argentyna – Belgia. Dbał o interes drużyny. Żywo przypominał Pelego z Mundialu w 1970 roku. Czy taki właśnie będzie futbol XXI wieku?

...Argentyńczycy – powiedział Cesar Luis Menotti - nie ograniczali się w Meksyku do neutralizowania poczynąń napastników rywali. Gdy tylko byli przy piłce, akcje rozgrywali umiejętnie i pomysłowo. Tworzyli widowisko. Anglicy mnie zawiedli. Popełnili ten sam błąd, co piłkarze Niemiec, kładąc zbyt duży nacisk na destrukcję i... przerywanie gry

przeciwnika. Wyspiarze zupełnie nie wykorzystywali swoich dużych umiejętności techniczno-taktycznych i możliwości ofensywnych. Grali jednostronnie, zachowawczo, niezbyt twórczo, więc ulegli wszechstronnej i pomysłowej Argentynie. Anglia to jednak mocny zespół, żeby go pokonać trzeba naprawdę umieć dobrze grać w piłkę. Moi rodacy to potrafili. Są dobrym wzorem dla innych...

W „Ukrytej Zatoce” z Menottim rozmawiał również red. Stefan Grzegorzczak.

- Czy oglądał pan mecze Polaków?
- Oczywiście! Staram się widzieć wszystkie spotkania na Mundialu.
- Interesuje mnie opinia o grze polskiej drużyny...
- No cóż, na tych mistrzostwach świata Polska była po prostu słaba.

Nie zaprezentowała wartości, jakich od niej oczekiwano.

- A co sądzi pan o Zbigniewie Bońku?
- O, to piłkarz bardzo dobry.
- Na tym Mundialu też?
- Tu, niestety – nie zagrał tak, jak potrafi...

Jak w tym świetle ocenić ostatnie lata pracy Antoniego Piechniczka z naszą reprezentacją? Postawił na szkolenie centralne. Była to jednak przykra konieczność, a nie „widzimi się”, bo w naszych klubach pracowano źle, nie na miarę potrzeb reprezentacji. Poza tym selekcjoner większość spotkań kontrolnych i meczów międzypaństwowych z konieczności rozgrywał poza krajem. To przykre, bo nikt tego nie widział i nie kontrolował. Sporo wątpliwości budziło również szkolenie w okresie przygotowawczym. W styczniu i lutym najważniejsza jest praca w klubach, tzw. „ładowanie akumulatorów”, tymczasem w latach 1984 – 1986 nasza reprezentacja właśnie w tym czasie rozgrywała mecze głównie w Azji i

Ameryce Południowej. Atrakcyjniejszych ofert nie było. Następstwa? Te zimowe wyprawy w pełni sezonu ujemnie odbijały się na rozgrywkach ligowych, także na poziomie i wynikach reprezentacji. Przed Mundialem w Meksyku braki w przygotowaniu fizycznym zawodników były aż nadto widoczne.

Zawiłości szkoleniowe Piechniczka potwierdzały jego złożoną osobowość. Skłonności do permanentnego eksperymentowania ścierały się z brakiem odwagi do zmian. Antek chciał być nowatorem, ale miał słabość do zawodników, z którymi już coś w życiu osiągnął. Stąd wiara, że trzon zespołu z Hiszpanii, osiągnie podobny wynik w Meksyku. Stąd też – mimo poszukiwań – dość wyraźny dystans do nowych twarzy Ryszarda Tarasiewicza, Jana Karasia, Dariusza Kubickiego, Dariusza Wdowczyka, Krzysztofa Barana, Jana Furtoka... A przecież młodzi, mało jeszcze znani w świecie piłkarze zawsze byli naszą nadzieją i siłą. Obecnie jest im kunktatorstwo i powielanie złych wzorów.

Niemalże po kibicowsku ocenili nasz występ w Meksyku oficjele z PZPN. Większość z nich była zadowolona zarówno z postawy jak i wyników drużyny. Brakiem szczęścia usiłowano tłumaczyć końcowe niepowodzenie. Obiektywnego spojrzenia zabrakło. W kraju dla odmiany niektóre opinie były przesadnie niesprawiedliwe. Jan Tomaszewski na przykład na łamach „Kuriera Polskiego” (nr 116 z dnia 17 czerwca 1986 roku), posługując się słownictwem z pogranicza świata przestępczego, uznał naszą przegraną w Meksyku za „jedną wielką kompromitację”. Zmartwiła też nieprawdziwa wypowiedź w „Expressie Wieczornym” Antoniego Piechniczka: - *„Mojemu następcy przekazuję młody zespół...”*. Gruba przesada.

MEKSYKAŃSKA TAKTYKA

Na łamach „Piłki Nożnej”, zaraz po uświęconym tradycją „Adios Mexico”, wspólnie z red. Mieczysławem Szymkowiakiem rozwinąłem temat „**Co nowego w taktyce?**”. Praktycznie każde mistrzostwa świata wzbogacają w tym względzie naszą wiedzę. W Meksyku tylko w taktyce gry bramkarza nie dostrzegliśmy specjalnych nowości, musi umieć bronić rękami i nogami, niekiedy głową i w razie potrzeby być także „ostatnim obrońcą”. W tej sztuce najlepszy był Argentyńczyk Nory Pumpido. Obronę dość często wzmacniano trzecim stoperem nie tylko w celach typowo defensywnych. W zespole Argentyny (Batista), RFN (Eder), we Francji (Fernandez) byli również współtwórcami akcji ofensywnych i... strzelali gole! Wyżywiali się też boczni obrońcy: Francuz Amoros, Brazylijczyk Josimar, Niemcy Berthold i Briegel, Argentyńczyk Olarticoechea. To byli autentyczni skrzydłowi! My takich piłkarzy nie mieliśmy.

W drugiej linii, zazwyczaj traktowanej jako jądro drużyny, dostrzegliśmy dwa różniące się od siebie prądy. Pierwszy, częściej stosowany, zmierzał do zdobycia przewagi w środkowej strefie boiska. Kierowano tam najwybitniejszych i najbardziej doświadczonych zawodników umiejących dobrze rozegrać akcję i zakończyć ją skutecznym strzałem (Maradona, Platini, Ceulemans, Socrates, Zico, Matthaeus). Większość drużyn korzystała w tej formacji z usług napastników, tylko Duńczycy powierzali to zadanie jednemu z obrońców. Wszyscy ci „dodatkowi” pomocnicy aktywnie uczestniczyli w akcjach ofensywnych. W niektórych zespołach zdobywali nawet więcej goli niż napastnicy (Maradona, Ceulemans, Platini).

Nieliczne zespoły, głównie te słabsze, podejmowały próby omijania drugiej linii, stosując długie podania bezpośrednie z obrony do ataku. Niby to takie proste i sztampowe, ale też wymagało odpowiednich wykonawców. Podać piłkę na odległość 40-50 metrów, potem dobrze ją przyjąć i nie pozwolić jej sobie odebrać, wreszcie celnie strzelić na bramkę – to też sztuka nielada. Z mocnych na tym Mundialu ów manewr najbardziej upodobali sobie Anglicy. W meczu z Polską często osamotniony Gary Lineker wykorzystał to bezlitośnie, ale już w pojedynku z Argentyną był bezradny. Jose Brown i Oscar Ruggeri nie dali się zaskoczyć.

Takich strzelców wyborowych jak Lineker na XII Mundialu było niewielu. Poza nim dobrze radzili sobie Hiszpan Butragueno, Brazylijczyk Careca, Niemiec Voeller (duże możliwości), pozostali wyraźnie im ustępowali. Nawet nominalni napastnicy Duńczyk Larsen i Rosjanin Biełanow wykonywali w swoich drużynach nieco inne zadania. Byli co najwyżej „fałszywymi skrzydłowymi”. Zanikała trzyosobowa formacja. Większość trenerów wystawiała w ataku dwóch zawodników (RFN, Francja, Dania), a po jednym: Argentyna (Valdano), Belgia, ZSRR i Polska (Smolarek). Klasycznych skrzydłowych, takich – jakimi niegdyś byli: Garrincha, Jairzinho, Lato, Gadocha, Rensenbrink, przywiązanych do flanki reprezentantów „uniwersalizmu ograniczonego”, nie było. Zastępowali ich głównie boczni obrońcy, ale także pomocnicy: Maradona, Burruchaga, Stopyra, Zawarow, Laudrup, Lerby, Barnes. To po ich precyzyjnych dośrodkowaniach padały piękne bramki. Czarowali jak niegdyś: „argentyński” Włoch Orsi, Anglik Matthews, Szwed Hamrin, Węgier Czibor, Hiszpan Gento, a na polskich boiskach Gerard Wodarz, Mieczysław Balcer i Walery Kisieliński.

Następujewzajemneprzenikaniewartości europejskiej i południowo-

amerykańskiej piłki nożnej. Argentyńscy przejęli od Europy zespołowy sposób gry, który dzięki perfekcji technicznej podnieśli do mistrzowskiego poziomu. Wspaniała gra bez piłki, umiejętności wychodzenia na wolną pozycję, całe serie podań bez stopnigu – to mogło się podobać i przyniosło konkretne efekty. Akcje ofensywne Francuzów i Duńczyków były równie pomysłowe, zaskakujące i oryginalne, ale nie tak skuteczne jak mistrzów świata. Nieco mniej do arsenału środków taktycznych wniosła Brazylia. Grała zbyt banalnie, za często wszereż boiska. Prostopadłe podania raziły szablonem, były łatwe do rozszyfrowania. Niemcy, przy poprawnej technice, najwyraźniej imponowali dyscypliną taktyczną i konsekwencją w grze. To dało im finał na tym Mundialu.

Ogólny postęp w taktyce jest niewątpliwy. Współczesne wymogi w tej materii, zresztą zawsze tak było, są jednak nierozzerwalnie związane z wyszkoleniem technicznym i dużą wydolnością organizmu. Mundial w Argentynie potwierdził też starą tezę, że nie było, nie ma i nie będzie (chyba?!) idealnych systemów gry i genialnych rozwiązań taktycznych. To stale rodzi się na nowo i stale rozwija. Zaczynamy mówić i pisać o futbolu XXI wieku. Jaki będzie? Nadal główną rolę odegra tu taktyka, wsparta właśnie wysokim wyszkoleniem technicznym i doskonałą kondycją oraz niezbędnymi walorami psychicznymi. Wydaje się, że w Meksyku futbol wkroczył na właściwą drogę.

Nie były to jednak zmiany odkrywcze. Raczej sygnalizowały powrót do korzeni i przypominały niektóre stare prawdy: a) skuteczność naturalnych form szkolenia, b) prezentowanie w grze tego, czego piłkarz uczy się na treningu, inaczej mówiąc - „w grze tak - jak na treningu”, c) zachowanie równowagi w działaniach obronnych i ofensywnych, d) wierność zasadzie, że piłka nożna jest grą do dwóch bramek. Tymczasem w

naszej lidze przeważa przekonanie, że najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką. To zubaża tę piękną grę. Przyczyna? Zaniedbujemy wszechstronne i systematyczne szkolenie od podstaw. Naukę techniki traktujemy wybiórczo, kładąc nacisk na elementy najłatwiejsze do przyswojenia. To polityka zgubna, doraźna, na krótki dystans.

W Meksyku wyszło szydło z worka: w czterech meczach (z Marokiem, Portugalią, Anglią i Brazylią) Polacy zdobyli tylko jednego gola, a siedem stracili. Klops pod obiema bramkami. Nieudana droga powrotu do sławy. Po Weltmeisterschaft 1974 w „jedenastce świata” było aż trzech polskich piłkarzy (Deyna, Gadocha, Lato), po Mundialu 1986 nikt nie dostąpił tego zaszczytu. W Meksyku sześć goli zdobył Gary Lineker i to wystarczyło w rywalizacji o koronę króla strzelców. W RFN lepiej strzelał Grzegorz Lato, niewiele gorzej Andrzej Szarmach. Wspomnienia, wspomnienia... Sugerowano, że krępowało zawodników złe towarzystwo. Nie nowość to i kruche usprawiedliwienie. Być może zabrzmi to nieskromnie, ale prawdą jest, że na kanwie naszych uwag o Mundialu w Meksyku zaprezentowanych na łamach „Piłki Nożnej” specjaliści obserwatorzy PZPN formułowali wnioski na obrady Rady Trenerów. Jeden z nich, swego czasu najlepszy w Polsce, z rozbijającą szczerością wyznał:

– Wyłożyliście nam całą prawdę o tych mistrzostwach, jak schabowego na talerzu. Skonsumowaliśmy. A co? Mieliśmy prosić kelnera o jakiś inny kotlet?...

W większości meczów rozgrywanych poza granicami kraju niemal zawsze „towarzyszył” naszym reprezentantom i pilnie śledził ich zachowanie (głównie poza boiskiem) etatowy funkcjonariusz bądź tajny współpracownik służb bezpieczeństwa. Mieli „oko” nie tylko na

chętnych do „wybrania wolności”, podsłuchiwali wszystkie rozmowy i śledzili kontakty. W Meksyku podwojono „czujność”, było tam aż dwóch takich „opiekunów”. Polityczna piecza nad całością wyprawy spoczywała w rękach pułkownika Adama Pacholczaka z MON-u, notabene od wielu lat działacza społecznego PZPN. Podlegał mu służbowo nikomu bliżej nieznanemu jakiś oficer z MSW. Ustalono, że był on ściśle związany z GKKFiS-em. Węszył wszędzie. Pułkownik nie robił tajemnicy ze „służby” na Mundialu. Chętnie zwierzał się ze swoich spostrzeżeń podczas rozmów korytarzowych w PZPN. Ale czy mówił całą prawdę?

– **Zabiegaliśmy o utrzymanie właściwego klimatu w ekipie. Szło głównie o to, aby piłkarze i ich najbliżsi opiekunowie zajmowali się wyłącznie sferą sportową mistrzostw i prezentowali lojalną postawę wobec kierownictwa, także osobistą poprawność moralną. Moim zdaniem przedstawiciel MSW był tu zupełnie zbyteczny. Nie politykowano, więc poszukiwał tematów zastępczych. Zawodnicy i działacze wyraźnie go ignorowali. Ja dużo lepiej znałem tych ludzi, przeto wiedziałem kiedy i jak z nimi rozmawiać. W Meksyku było sześciu zawodników z klubów wojskowych, z Legii Warszawa i Śląska Wrocław. Oni mnie najbardziej interesowali...**

– Jak na to reagowali?

– Nie dałem powodów, by patrzyli na mnie z podejrzliwością. Sytuacja w kraju i w Meksyku była trudna, ale oni tego publicznie nie okazywali. Być może dlatego, że dość dobrze znali mnie z działalności społecznej zarówno w Legii, jak i w PZPN. Nie, kłopotów z zawodnikami nie miałem.

– A z działaczami?...

– O, tu już było znacznie gorzej!... Często popijali, głośno przy tym

marudzili... Tematów politycznych jednak unikali. Ochlapusy... Mniej trunkowych sprytnie brali pod włos: – „*Co to z przyjacielem się nie napijesz*”.

– Nie było harmonii w ekipie?

– Klimat był kiepski, bo drużyna przegrywała. Niepowodzenie starano się utopić w alkoholu. Kapitan z MSW tego nie rozumiał... Pichcił głupawe raporty! Tych najbardziej trunkowych i kłopotliwych chciał odsyłać do domu. Nawet na mnie szukał haka!

– Tak ostro iskrzyło?...

– Wódka robiła swoje... Rano kac, kłopoty z racjonalnym myśleniem, dobry każdy powód do kłótni... A okazji do „dawania w szyję” było sporo. Gościła miejscowa Polonia, chciały się pokazać władze samorządowe, nawet szeryf Monterrey zapraszał na wysokie stołki.

– Jak pan na to wszystko reagował?

– Staralem się łagodzić wszelkie sprzeczki, nieporozumienia i „wyciszać dyskusje”, skakanie sobie do oczu... Starli się nawet Boniek z Domańskim. Pierwszy – pyskаты, drugi – pryncypialny. Dintojry więc nie było. Targi w ekipie o pieniądze puszczałem mimo uszu...

– Zupełnie inaczej reagowali piłkarze...

– To bardzo różne charaktery, nawyki, przyzwyczajenia... Jedni bez przerwy rznęli w karty, inni zabawiali się grą w „numerki. Głośni i skorzy do sporów, ale byli i tacy, których z powodzeniem można by posłać do klasztoru. Ciekawy przekrój osobowości. Ale, że to młodzi i zdrowi mężczyźni, prawie wszystkich łączyła pogoń za dupami. Sprowadzali panienki nawet do swoich pokoi...

– Legalnie? Przecież bramy Bahia Escondita były pilnie strzeżone...

– Widać ochrona była bardzo wyrozumiała. Ja też przymykałem oczy... Straż zatrzymała jednak Kazia Deynę. Musiałem interweniować...

– To i „Kaka” tam był?

– Rozmawiał nawet z Piechniczkiem i ubolewał: – „Antek, nie masz w drużynie zawodnika, który wzięłby na siebie ryzyko „niebezpiecznego” podania. Próbuje pięć razy, nie udaje się, ale wreszcie za szóstym razem otwiera kolegom drogę do bramki. Stąd prawie puste siatki!

– Na zewnątrz hotelu było bezpiecznie? Meksyk kojarzy się z westernową scenerią...

– Strzałów na ulicach nie słyszeliśmy. Czuliśmy się więc bezpiecznie. Strzegli nas ludzie szeryfa.

Meksykańskie mistrzostwa zakończyły się dla naszych piłkarzy dokładnie w połowie czerwca 1986 roku. Przyszły wakacje, lipcowe upały, letnia kanikuła. Żar lejący z nieba niewątpliwie utrudniał logiczne myślenie. Kto się rezolutnie skrył w cieniu przykrych wydarzeń w Meksyku, temu wakacyjna „psia lutnia” (poeta barokowy Jan Andrzej Morsztyn utożsamiał to z kanikułą) specjalnie nie zaszkodziła. W PZPN jednak letniej przerwy nie było. Najpierw sfrustrowani członkowie zarządu milcząco przyjęli rezygnację Antoniego Piechniczka, a potem prezydium ogłosiło (podobno sam prezes wpadł na ten dziwaczny pomysł) wybór nowego selekcjonera z konkursu. Moim faworytem był Wojciech Łazarek. Złożył najlepszą pracę? Nie wiem, ale konkurenci mieli zastrzeżenia. Podobno rozstrzygnięcie padło znacznie wcześniej, niż publicznie je ogłoszono. Wojtek był nie tylko moim faworytem! Miał mocne poparcie w Wydziale Szkolenia.

Po tych kontrowersyjnych decyzjach zaktywizowały się całe plutony faktycznych i okazjonalnych znawców futbolu, ludzi oddanych piłkarstwu i zwykłych koniunkturalistów. Każdy wtrącał tu swoje trzy grosze i usiłował uchodzić nie tylko za znawcę, ale też za zbawcę reprezentacji.

Nawet Andrzej Jucewicz, z zamiłowania lekkoatleta, a z chęci rządzenia w sporcie, prezes - tenisista, sięgnął po pióro i „uszcześliwił” sympatyków piłkarstwa publikacją książkową „SELEKCJONERZY”. Niewiele było w tym „dziele” autentycznych przemyśleń, ocen autora (bo i skąd?), natomiast moc opinii zapożyczonych od innych autorów. Sporo też było tam moich, ale tylko jeden jedyny raz w całym wydaniu Jucewicz oficjalnie powołał się na moje nazwisko.

...Już na poprzednich mistrzostwach świata w polityce Piechniczka wiele było posunięć przypadkowych, decyzji kadrowych wymuszonych przez wypadki losowe. Piechniczek był w sumie oportunistą, człowiekiem przywiązany do starych nazwisk i wyeksploatowanych zawodników. Niechętnie sięgał po młodych. Dlaczego? – zastanawiał się Andrzej. - Jerzy Lechowski tak widzi ten problem: ...„Dlaczego? Bo z nimi przeżył już sukces na Mundialu w Hiszpanii. Zwykła ludzka słabość, nadmierna dobroć i... przywiązanie. Taka była koncepcja trenera i tylko on, wyłącznie on, za to odpowiada.

Z meksykańskich doświadczeń wiemy, że sporo decyzji personalnych selekcjonera – pomijając wynikłą z tego wadliwą organizację i ubogi styl gry – było chybionych. Antoni Piechniczek do końca wierzył, że Matysik, Buncol, Boniek, Smolarek, Majewski, Wójcicki i Młynarczyk powtórzą sukces z Hiszpanii. Zapomniał lub nie chciał wiedzieć, że w Meksyku każdy z nich był o cztery lata starszy i że swój – jak ja to określam – piłkarski skok Wojciecha Fortuny już wykonał w Vigo, La Corunie, Barcelonie i Alicante. W Monterrey więc potrzebni byli tacy piłkarze jak na przykład Matysik i Buncol w Hiszpanii. Mieli nimi być Dziekanowski i Urban, ale nie byli. Dlaczego?

W Legii mówią, że „Dziekan” bez solidnego przygotowania

zimowego nigdy dobrze grać nie będzie. Wyprawa do Argentyny i Urugwaju temu nie sprzyjała. Coś więcej dla drużyny mogli zrobić Karaś i Tarasiewicz, także i Baran. Pierwszym trener za późno zaufał, a Baran oglądał Mundial z trybun. Karaś i Tarasiewicz na ratowników tonącego okrętu w Guadalajarze w arcytrudnym meczu z Brazylią już się nie nadawali. A może tego „czegoś więcej” dokonaliby właśnie w Monterrey..”

Po Mundialu Piechniczek był obiektem powszechnego zainteresowania. Dmuchano najczęściej w jedną i tę samą trąbę – krytykowano selekcionera. Spośród dziennikarzy „na żywo” oglądających meksykańskie mistrzostwa, pod ten nieprzychylny Antosiowi nurt popłynął tylko Ryszard Niemiec, redaktor naczelny „Tempa” Kraków. Być może do tak kontrowersyjnej postawy zachęcił Ryszarda właśnie Jucewicz, który w swoich „Selekcjonerach” przyłączył się do grupy osób, które powiełały opinię, że ... „ze współodpowiedzialności za niepowodzenia nie można wyłączyć mass – mediów, które bez przerwy były Piechniczekowi w tarabany”. Otóż red. Niemiec w felietonie „**Wrogowie i prokuratorzy**” też bez żadnych ogródek stwierdził, że: „Milczeli trenerzy, milczeli dziennikarze, Piechniczek był ulubieńcem prasy, wystarczy zajrzeć do własnych zszywek, panowie koledzy, kochający futbol pierwszą miłością”.

Niewątpliwie byłem jednym z tych, których Niemiec powinien zaliczyć do kochających piłkę nożną „pierwszą miłością”. Jacek Syski w publikacji „Mundial Ekspres” spojrział na to nieco inaczej: „Gdy z daleka śledzili mistrzostwa inni dziennikarze – fachowcy, do Meksyku udała się armia nuworyszów”. Zirytowała mnie zwłaszcza filipika R. Niemca. Czy Piechniczek był moim ulubieńcem? A jeśli nawet był, czy to znaczy, że bezkrytycznie oceniałem jego pracę. Za radą kolegi z „Tempa” zajrzałem

więc do zszywki tygodnika „Piłka Nożna”. I oto co tam zauważyłem? Może nie w tak ostrej formie jak niegdyś Ryszard Koncewicz, Kazimierz Górski, Jacek Gmoch i Ryszard Kulesza, ale Piechniczek i jego najbliżsi współpracownicy też byli krytykowani. Prasa ich nie głaskała. Przypomnę tu tylko własne opinie w tej sprawie.

Sugerowałem ostrożny optymizm, uznając, że remisowy mecz z Belgią i wygrany z Włochami, to dopiero zapowiedź lepszych dni. Trzeba wyżej podnieść poprzeczkę. Tymczasem trener był zadowolony nawet z nieudanego występu w Turcji. To nie była klasa na Mundial! Tak to wtedy widziałem. Iście homeryckie boje staczałem z trenerem również w kwestii szkolenia centralnego w zimie i egzotycznych w tym czasie wycieczek do ciepłych krajów. Na pytanie – „Czy to nie przesada?”. Piechniczek odpowiadał: - „Biorę tych, których potrzebuję. Pójście na kompromis z klubami było by pogorszeniem sytuacji”... I tak ciągnęła się ta reprezentacyjna karawana.

Przed Mundialem istotnie dla trenera i reprezentacji był czas ochronny. – „Dla dobra sprawy” – mówiono. Mimo to po występach w Argentynie i Urugwaju oraz nieudanym meczu z Hiszpanią w Kadyksie, pisaliśmy jednoznacznie: ... Nasi piłkarze nie ustrzegli się błędów... Niektóre z nich były szkolne, podstawowe, nie do wybaczenia na szczeblu reprezentacji. Jest więc powód do troski i zadumy. Nie można w „ciemno” powoływać do reprezentacji każdego, kto już kiedyś w niej grał i coś dla niej zrobił. Ważne są bieżące atuty: dyspozycja, faktyczna przydatność i możliwości. A tego przed meczem z Hiszpanią nie sprawdzono. Nadchodzi końcowy etap przygotowań do Mundialu... **„Największych zmian należy oczekiwać w obronie, pięcie achillesowej reprezentacji, ale i w pozostałych formacjach też nie wszystko jest jasne i do końca**

przesądzone...”

Natomiast zaraz po przegranym w Kopenhadze towarzyskim meczu z Danią, który Antoni Piechniczek uznał za udany, sygnalizowałem:

...Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem Mundialu największym mankamentem zespołu jest brak skuteczności, tak w obronie, jak i w ataku. Wójcicki był najslabszy, wolniejszy od rywali... Boniek chował się za plecy kolegów, Matysik omal nie strzelił samobójczej bramki, a Buncol w drugiej połowie wyraźnie osłabł... Andrzej Zgutczyński nie wniósł do gry żadnych pozytywnych elementów. W Kopenhadze słabiej, niż oczekiwaliśmy, zagrali praktycznie wszyscy nasi zazwyczaj najlepsi...

Dla kogo i w jakim celu to pisałem? Chyba nie sobie a muzom? W zszywce „Piłki Nożnej” łatwo sprawdzić, co jeszcze przed Mundialem stwierdziłem: ... Już nie Młynarczyk, Wójcicki, Boniek, Buncol, Matysik lub Smolarek są w stanie zadziwić świat. Naszą szansą są: Kubicki, Urban, Dziekanowski, Tarasiewicz i... Furtok, bo tylko oni mogą czymś nowym zaskoczyć rywali”. Nie mam zamiaru przypisywać tym słowom wagi szczególnej. Wyrażały po prostu moje widzenie „spraw reprezentacji”. Dziennikarze, mimo iż „Piechniczek był ich ulubieńcem”, mieli jednak oczy otwarte i zawsze mówili i pisali to, czego wymagał interes reprezentacji i pozycja polskiego piłkarstwa w świecie.

...Dziś być mądrym po szkodzie – to też moja uwaga – po fakcie sterować nastrojami kibiców i działaczy – to rzeczywiście żadna sztuka. Ja, na miarę swoich możliwości starałem się o tym wszystkim pisać „przed szkodą”. A że Ryszard Niemiec tego nie dostrzegł? Nie mój to kłopot. Widocznie za bardzo był zapatrzony w swoje „Tempo”... Selekcjoner-trener nigdy nie był, nie jest i nie może być „świętą krową”. Tę fundamentalną prawdę powinien znać każdy, kto przejmie schedę

po Piechniczku. Konkurs trwa. Ubolewam, że od czasów Kazimierza Górskiego żaden z polskich szkoleniowców nie potrafił w stopniu dostatecznym łączyć obu tych funkcji. Bo wbrew pozorom selekcjoner i trener – to nie to samo!

Pomundialowy wątek, nieco zbliżony do sugestii redaktora Niemca, wyraził na łamach tegoż „Tempa” Kraków jeszcze jeden felietonista, Wojciech Lipoński. Nie bronił wprost Piechniczka, ale uznał, że przede wszystkim prezes PZPN Edward Brzostowski ponosi winę za „meksykański niewypał”. Bo ponoć w ogóle nie ingerował w to, co robi trener. Natomiast diametralnie inną opinię, mocno korespondującą z moimi odczuciami i wiedzą, wyraził wybitny krytyk literacki i filmowy, Krzysztof Mętrak:

...Niektórzy trenerzy – to ciekawe, że właśnie z krajów naszego obozu – ani w ząb nie chcą przyjąć na siebie odpowiedzialności za klęski na Mundialu. Węgier Mezey i Bułgar Wucow nie poczuwają się do winy. Niestety, Antoni Piechniczek też kręci i nie zachowuje się, jak pełnokrwisty mężczyzna. Tylko Włoch Bearzot umiał wziąć na siebie odpowiedzialność za klęskę... Dlaczego w naszym futbolu ludzie tak boją się przyznać do błędów, fuszerki i słabości?

Nie były to jednak „Czarne dni Tempa”. Tylko nieco śmieszne, inne widzenie sprawy. Nieco później było już nie do śmiechu. W artykule „**Mówi to panom coś?**” z krakowskim pismem stał się red. Zygmunt Dziubek ze „Sportu” Katowice. Zaatakował, między innymi – właśnie red. Ryszarda Niemca. Sięgając formy dialogu z czasów „zniewolonego futbolu” „Sport” dopatrzył się w „Tempie” „jawnej manipulacji faktami, jako metodzie obarczania górniczej kultury fizycznej całą winą za obecne kłopoty polskiego sportu”. Opinię naczelnego „Tempa” ówczesny

naczelny „Sportu” uznał oczywiście za błędną. I skończył złowrogim post scriptum: - Oczywiście w naszej potyczce nie padły jeszcze najcięższe „strzały”, przynajmniej z mojej strony. Red. Niemiec o tym – jak sądzę – wie. Ja też wiem. On wie, że ja wiem. I ja wiem, że on wie, iż ja wiem. Czytelnicy, zwłaszcza z centralnej i północnej części kraju nie za bardzo wiedzieli o co w tym bełkocie chodzi, więc red. Niemiec w kolejnym tekście wyjaśnił to jednoznacznie: **To nie jest przypadkowe zderzenie:**

...Źródła konfliktu sięgają lat siedemdziesiątych, kiedy to wszystko, co pochodziło ze Śląska lub Zagłębia miało sankcje monopolu, ostatecznej racji stanu... „Tempo” dostało szczęścia uzyskania drugiego wydania. Polska sportowa podzielona była na sfery wpływów dwóch imperialnych mocarstw – „Przeglądu Sportowego” i „Sportu”. Każda próba dekompozycji tego modelu była natychmiast kontrowana, zwłaszcza ze strony katowickiej. „Tempo” zaczęło się jednak ukazywać trzy razy w tygodniu... Wtedy bardzo wpływowy zawiadowca katowickiego pisma wystąpił z wnioskiem o likwidacji „Tempa”...

I clou sporu: „Tempo kierowane przez Niemca i „Sport” kierowany przez Dziubka są z góry skazane na układ antagonistyczny... Należą po prostu do innych światów: do świata dziennikarstwa walczącego i świata dziennikarstwa zachwyconego raz na zawsze”. W świetle tego magła, nasze – Rysia i moje – nieco inne spojrzenie na ocenę dokonań Antoniego Piechniczka, jest po prostu małym piwem.

W roku 1986, mimo klapy w Meksyku, pozycja PZPN na arenie międzynarodowej była dość dobra. Nawiązano bezpośrednią współpracę z wieloma federacjami, wprowadzono do prac w komisjach UEFA kilku nowych działaczy, otrzymano zgodę na organizację wspólnie z OZPN Warszawa Międzynarodowego Turnieju o Puchar Warszawskiej Syrenki,

wreszcie – co też ma wydźwięk międzynarodowy – delegację Związku z prezesem Edwardem Brzostowskim przyjęło w Zurychu kierownictwo FIFA. Trudniej jednak było znaleźć wspólny język w kraju. Państwowym władzom naszego sportu nie za bardzo spodobała się rzutkość i nadmierna samodzielność prezesa PZPN.

Nie mogąc zyskać w GKKFiS akceptacji dla swoich pomysłów, w większości burzących zastałe formy działania, Brzostowski w dniu 13 października 1986 roku zrezygnował z funkcji prezesa. Zastąpił go płk Zbigniew Jabłoński, były szef Wisły Kraków, a więc osoba ze sportem obeznana. Nie był „prezesem malowanym”. Pułkownik też nie ukrywał chorób zagrażających naszemu futbolowi. Martwił go zwłaszcza stale obniżający się poziom szkolenia w klubach i reprezentacjach. To następstwo zastraszająco niskiego morale działaczy, trenerów i zawodników. Ta zaraza najbardziej zżerała nasz futbol. Nie wykorzystano kolejnej szansy awansu do puli finałowej mistrzostw Europy (dopiero czwarte miejsce w grupie za Holandią, Grecją i Węgrami) i Igrzysk Olimpijskich w Seulu.

Na zebraniu sprawozdawczym PZPN w maju 1987 roku Zbigniew Jabłoński publicznie wytknął delegatom to, o czym mówiono w kuluarach ... „Trzeba się zdobyć na brutalną szczerłość – nie mamy aktualnie żadnych liczących się osiągnięć sportowych. Meksyk – mimo wyjścia z grupy – był falstartem i antypropagandą piłki nożnej. Efekt finansowy nie może przesłaniać żenujących widowisk w wykonaniu najsilniejszego w tym okresie składu reprezentacji Polski. Nie udało się także trenerowi Wojciechowi Łazarkowi reanimować jej do przebrnięcia eliminacji mistrzostw Europy... Realia naszej piłki nożnej są niedobre. Jest ona cherlawa, jakby dychawiczna. Głęboko jest zaawansowany upadek zasad moralnych wśród trenerów I i II ligi. Postępuje proces demoralizacji

sędziów i niektórych grup działaczy... W pracy szkoleniowej prabłądy tkwią już w selekcji juniorów...”.

Diagnoza trafna, ukazująca kompletne dno: szkodliwy system zarządzania klubami, nasilający się przyływ niekontrolowanego pieniądza także w klubach niższych klas, brak szerokiego zaplecza, bo baza i szkolenie piłkarzy przypomina czasy króla Ćwiczka. Prezes Jabłoński poszedł za ciosem. Najpierw zlecił opracowanie raportu w sprawie szkolenia młodzieży. Podkreślono w nim dwa fakty oczywiste: po pierwsze – za późno zaczynamy szkolenie młodzieży, po wtóre – nasz futbol nie jest powszechny. ... „Co jedenasty Duńczyk, co trzynasty Holender, co szesnasty Węgier i co... czterdziesty trzeci Polak kopie piłkę... Tam dzieciom stworzono w tym celu odpowiednie ramy organizacyjne. Trzeba iść tym tropem. Innego wyjścia nie ma”.

Wkrótce po tym apelu prezes powołał specjalny zespół pod kierownictwem Kazimierza Górskiego, któremu zlecił opracowanie „**Raportu ekspertów**”. Wskazano w nim przyczyny regresu naszego futbolu i nakreślono kierunki pracy uzdrowicielskiej. Prochu nie wymyślono, potwierdzono tylko powszechnie znaną prawdę, że organizacja oraz szkolenie w klubach i centrali jest złe, daleko odbiegające od wymogów współczesności. Pewną nowością było tylko krytyczne spojrzenie na kształt naszych lig i próba przystosowania ich do faktycznych możliwości klubów. Wedle stawu grobla! Puste hasło, bez odzewu. Równoległe do „Raportu ekspertów” w jakimś diabelskim kotle warzono karykaturalne formy naszej ligi. Prywata brała górę.

W założeniu najważniejsza była reprezentacja. Żaden z zarządów PZPN nie kwestionował jej priorytetu, takie deklaracje składano na każdym Walnym Zgromadzeniu PZPN. Po dymisji Piechniczka wiele

sobie obiecywano po nominacji Łazarka. Jego dobroć, iście staropolski humor i okazjonalny dowcip, łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, no i oczywiście autentycznie piłkarski rodowód, wiedza i doświadczenie – to wszystko rodziło kolejne nadzieje. Głęboko do serca wziął sobie Wojtek i jego najbliższy współpracownik Hilary Nowak z Poznania krytyczne słowa dotyczące drużyny narodowej. Przywrócił więc mocną niegdyś pozycję sekcji reprezentacji i... stanął na jej czele.

Tu naśladował praktyki Gmocha, ale w sposobie tworzenia zespołu poszedł nieco za daleko. W towarzyskim spotkaniu międzypaństwowym z KRL-D w Bydgoszczy wystąpiło 21 zawodników. Dziś chlubią się, że byli reprezentantami, ale wtedy przypominali „jednodniowych milionerów”. Andrzej Sikorski (Legia), Tadeusz Świątek, Wiesław Wraga i Henryk Bolesta (wszyscy Widzew) oraz Kazimierz Sokołowski (Pogoń) zagraли w reprezentacji dwa razy – pierwszy i ostatni. Takich chybionych decyzji, z których Wojtek nie zawsze w porę się wycofywał, było niestety - więcej.

Łazarek miał słabość do zawodników z Łodzi, swojego rodzinnego miasta i z Gdańska, gdzie przez wiele lat z powodzeniem grał i pracował. Głównie tam szukał debiutantów, ale oni nie potrafili sprostać zadaniu, po prostu byli za słabi. W eliminacjach mistrzostw Europy graliśmy wtedy w jednej grupie z Holandią, Grecją, Węgrami i Cyprzem. Łazarek po selekcyjnej wpadce w meczu z KRL-D dosłownie w ciągu tygodnia oddzielił ziarno od plewy i na mecz z Grecją w Poznaniu zestawiał zupełnie przyzwoitą drużynę. Postawił na Darka Dziekanowskiego, a ten w podzięcie zdobył na Bułgarskiej obie zwycięskie bramki. W dobrych nastrojach jechaliśmy po kolejne punkty do Amsterdamu.

Byłem tam o kilka ładnych godzin przed reprezentacją. W hotelu wcześniej pojawił się również Zbigniew Boniek. Czyhała na niego

holenderska telewizja. „Zibi” zgodził się na rozmowę, ale dogadać się nie mogli. Miejscowi dobrze znają tylko swój język, jako tako niemiecki, natomiast Boniek polski i włoski. Liczono na pomoc Janusza Kowalika mieszkającego wówczas w Maastricht, ale na czas nie dojechał. Bariera językowa nie do sforsowania. Poliglotą nie jestem, z konieczności jednak podjąłem się roli tłumacza. Boniek opowiadał o swojej karierze piłkarskiej w Polsce i we Włoszech, naszej obecnej drużynie i zapowiedział dobry wynik w meczu z Holandią. Pewny swoich racji, swobodny i barwny w ich wyrażaniu, zaimponował reporterom. I tak jak przewidywał, mecz zakończył się bezbramkowym remisem.

Znowu komentowałem to wydarzenie dla „Piłki Nożnej” i „Przeglądu Sportowego”. W obu publikacjach nieco popsioczyłem, bo ten mecz można było wygrać. Generalna teza była jednak dość optymistyczna. Reprezentacja zaczęła odzyskiwać utraconą pozycję. W Amsterdamie zagrała zdecydowanie lepiej, niż z KRL-D w Bydgoszczy, Grecją w Poznaniu i z Irlandią w Warszawie. Wagę tej opinii uwiarygodniła klasa przeciwnika, Holandia wciąż była groźna i silna. My jednak nie za bardzo pozwoliliśmy gospodarzom rozwinąć skrzydła. Defensywa jako całość w całym meczu popełniła dosłownie dwa błędy (brak asekuracji), raz jednak doskonale interweniował Jacek Kazimierski, a raz fatalnie spudłował Marco van Basten. Ostrej walki do końca nie wytrzymał tylko Dariusz Dziekanowski, zastąpił go Jan Urban i luk w zespole nie było. Tak czy inaczej początek batalii o mistrzostwo Europy był dość udany. O całym sezonie wypowiedziałem się jednak krytycznie.

... Wróciliśmy do szarzyzny dominującej niestety – na polskich boiskach. Wprawdzie druga połowa roku nieco osłodziła gorzkie nastroje, ale na odczuciach trudno budować wielkie plany. Czym w rzeczywistości

dysponujemy? Na razie nie ma się czym pochwalić. Marzymy o finałach mistrzostw Europy w RFN. Ale dziś nie stać nas na awans do grona najlepszych. Mamy tylko jednego piłkarza reprezentującego klasę międzynarodową. To Włodzimierz Smolarek, Piłkarz Roku 1986. Kropla w morzu potrzeb. Selekcjoner tryskał jednak humorem i obiecywał przerwanie wreszcie „zaczarowanego kręgu” eliminacji i udaną w 1988 wyprawę na stadiony w RFN. Sugerował, że powstaje nowa drużyna.

Miłe złego początki, tylko odrobina wiosny jesienią. Koniec żałosny. W trzech kolejnych meczach eliminacyjnych z Cyprem, Grecją i Węgrami w pierwszym półroczu 1987 Polacy zdobyli tylko jeden punkt. Na Wybrzeżu z Cyprem bezbramkowa bryndza, w Atenach fatalny błąd bramkarza Jacka Kazimierskiego i przegrana z Grecją 0:1, zaś w Budapeszcie beznadziejna końcówka i niespodziewane zwycięstwo Węgrów 5:3. Wrażenia przygnębiające. Brak kondycji i prawdziwie męskiego charakteru u większości naszych zawodników. Nieporadna kopanina. Trener Łazarek dokonał kolejnej „czystki”. Powpadce w Atenach wyrzucił z kadry Kazimierskiego, Ostrowskiego, Dziekanowskiego i Furtoka. Pomogło jak umarłemu kadzidło. Mistrzostwa Europy znowu bez Polaków. Ten sam los spotkał drużynę olimpijską.

ZABAWA W ARGONAUTÓW

Zainicjowaliśmy dyskusję na temat: „**Dziś i jutro polskiego futbolu**”. Wszyscy eksperci potwierdzili niski poziom ligi i słabość reprezentacji. Nikt jednak nie podważał priorytetu drużyny narodowej. Wojciech Łazarek był z tego powodu wyraźnie zadowolony. Reprezentacja nadal jest niekwestionowaną wizytówką polskiego futbolu! Dobre samopoczucie

selekcjonera lekko mną wstrząsnęło.

– Czy nie żałujesz, że wygrałeś konkurs PZPN? Ludzie coraz głośniej mówią, żebyś się podał do dymisji...

– Gdyby taka sugestia wyszła z Rady Trenerów Wydziału Szkolenia, to bym się musiał zastanowić i... chyba bym zrezygnował. Bo byłby to głos fachowców. Ale mojej rezygnacji oczekują głównie ludzie nijacy... To oni z reguły żyją najdłużej i cieszą się dobrym samopoczuciem. Wygrany konkurs PZPN dał mi satysfakcję i trenerską nobilitację.

– Dla reprezentacji nic to nie znaczy... Drużyna znowu zostaje w domu...

– Podzieliłem los moich poprzedników. Płacimy słońną cenę za stare i stale powtarzane błędy. Każdy Mundial kończy u nas czteroletni cykl pracy. Potem wszystko się rozlatuje, nie ma zespołu na mistrzostwa Europy. Nie sądziłem jednak, że szczątki meksykańskiej drużyny aż tak długo trzeba będzie zbierać. Może teraz będzie lepiej?

– Myślisz o jutrze. A czy dziś mamy reprezentację?

– Sądzę, że mamy i to na dziś, i właśnie na jutro! Trzon zespołu jest, ale nikomu nie obiecuję abonamentu na grę w reprezentacji. Poszukiwanie dublerów trwa...

– Oby tylko znowu nie byli to „jednodniowi milionerzy”. Dotychczas za łatwo rozdawałeś nominacje...

– Mam czyste sumienie, dałem szansę każdemu, kto wyróżniał się w lidze. Nie wszyscy jednak grali na miarę swoich możliwości. Ilu tych „wielkich” zostało po Meksyku? Dziekanowski, Urban, Tarasiewicz i... reszta to chyba ci „jednodniowi milionerzy”. Szansę dostaje każdy, ale w rywalizacji z silnymi drużynami sprawdzają się tylko najlepsi. Po prostu inna jest skala trudności w naszej lidze i... w reprezentacji.

– Wydałeś walkę nałogom. Jak dziś jest z paleniem i piciem? Oczyszczyłeś atmosferę? Kto jeszcze bryka?

– No, jeszcze nie każdy jest cherubinkiem, ale przeważa zrozumienie celów i... kultura osobista. Palenie – to sprawa świadomości, zaś alkohol – to umiejętność odróżnienia etyki od lektyki. Kto pije, trzeba go nieść! Teraz nikt tak ostro nie bryka...

– Czujesz się na siłach dalej ciągnąć ten reprezentacyjny wóz?

– Wierzę w tych chłopaków. Jest w nich coś, co już w miarę szybko może spowodować wybuch. Celem strategicznym są finały mistrzostw świata we Włoszech. Wszystkie zwady i nieporozumienia trzeba teraz zepchnąć na boczny tor. Może wtedy turniej we Włoszech przybierze barwy biało-czerwone?

– Po Mundialu w Meksyku zapowiedziano działanie sztabowe. Może rzeczywiście przeżył się układ trener – selekcyjner? Zadania wydają się przerastać jedną i tę samą osobę. Może warto wrócić do instytucji kapitana związkowego i właśnie jemu powierzyć zadania selekcyjnera? Natomiast trenera zatrudniać osobno, rozliczać za same wyniki na boisku, a odciążyć od obowiązku szerokiej selekcji.

– Piłka nożna jest pełna konserwatyzmu. Ale czy akurat trzeba trenerowi odbierać selekcję? U nas dość często się zdarza, że pacjent przychodzi do lekarza już z gotową receptą: żąda Raphacholinu, a potrzebuje Nervosolu. W piłce nożnej też nie brakuje znachorów. Jednak ona wciąż twórczo i w miarę spokojnie się rozwija.

– Dlaczego nie mieszkasz w Warszawie?

– Może jestem jakimś odszczepieńcem? Diabli wiedzą... Brak własnego kąta w stolicy wynagradzają mi dowody sympatii, przyjaźni i serdeczności, z jakimi spotykamy się właśnie w Warszawie. Stałe

podróże z garniturem w walizce i z brzytwą w neseserze pracy jednak nie ułatwiają...

– A co z funkcją menedżera?

– Tu już coś drgnęło. Po rezygnacji Hilarego Nowaka zadania kierownika reprezentacji przejął Czesław Gołębiowski, do niedawna działacz komisji młodzieżowej PZPN i bliski współpracownik Edmunda Zientary. Dobrze zdał pierwszy egzamin w Izraelu. Jest służba medyczna, są trenerzy odnowy biologicznej, uruchomiliśmy komórkę informacji. To mocne trio: Dariusz Śledziwski z AWF, Paweł Janas i Tadeusz Dubrawski z COS-u. Przydałby się w tym towarzystwie jeszcze kierownik techniczny. A menedżer? To również pilna potrzeba! Ale chyba nie jest to pytanie wyłącznie pod moim adresem?...

Podobną opinię wyraził Łazarek na grudniowym zebraniu Zarządu PZPN. Nie wszystkim to się spodobało. Nawet bardzo przyjazny Wojtkowi Krzysio Mętrak w swoim stałym felietonie w „Piłce Nożnej” („Grzejąc ławę”) zarzucił selekcyjnerowi „gejzery samozadowolenia”. Krytyk co nieco przesadził, ale też trener dał sporo powodów do takiej właśnie reakcji. Mnie Łazarek przekonywał, że „jego rezygnacji domagają się ludzie nijacy”, natomiast członków zarządu PZPN starał się utwierdzić w przekonaniu, że „opinią publiczną kieruje ślepy egoizm, strach i chęć zemsty”. Jaki był rezonans tej niefortunnej wypowiedzi? Nie zjednała mu wrogów, gorzej – zraziła przyjaciół, w rezultacie miał ich coraz mniej.

Zastanawialiśmy się z red. Stefanem Grzegorzcykiem, jakie „właściwie jest dziś i jutro polskiego piłkarstwa”. Atmosfera jest zła. Nasz futbol stał się obiektem bezpardonowych ataków, często w formie karczemnych bijatyk, a nawet strzałów zza węgła. W publikacjach łatwo można było dostrzec przerost formy i demagogii nad treścią.

W przeciwieństwie do wielu krajów europejskich u nas obwinia się głównie jednostki, natomiast nie dostrzega się szkodliwych układów, zła – mającego swoje źródło w powszechnym upadku autorytetów i schorzeniu moralnym. Polski futbol chce i powinien być samodzielny, samorządny, nie skrzepowany, by mógł sam na siebie zarabiać! Potrzebuje więcej zielonego światła dla swoich działań finansowych i szkoleniowych. Dotychczasowe struktury, przestarzałe systemy i schematy organizacyjne, zbiurokratyzowany aparat etatowy PZPN nie są w stanie temu podołać.

Kierownictwu Związku brakuje odwagi i konsekwencji. Jest przeżarte stereotypami, dogmatami, sloganami. Lekceważy społeczny charakter działalności, często podejmuje decyzje w bardzo wąskim gronie, zza biurka, sprzeczne z zasadami sprawiedliwości i odczuciami opinii publicznej. Zapomina się, że dzisiejszy sport w ogóle, a futbol szczególnie przestał być zajęciem dla garstki nie wyżytych lub pragnących reklamy hobbystów, że wymaga fachowców, ludzi kompetentnych, z otwartą głową światowców... Wciąż nie potrafimy wyzwolić się z czasów, kiedy prezesów przynoszono w teczkach i kazano sprawować władzę w świecie im zupełnie nieznanym.

PZPN, mając dość kłopotów z reprezentacją, usiłuje grać jeszcze rolę rzecznika kilku najbogatszych klubów. To maluczkich boli i boleć będzie. W centrali powinni działać najlepsi, a nie uprzywilejowani... Mówi się, że „pańskie oko konia tuczy”. Gdyby Wojciech Łazarek lub każdy inny selekcjoner był na co dzień w Warszawie i miał dostęp do wszystkich tajemnic biura PZPN, stołecznych urzędów i klubów, to zapewne efekty jego pracy byłyby znacznie lepsze. Pracę z „doskoku” w tak spektakularnej branży jaką jest PZPN i jego reprezentacja, trzeba uznać za czyste szaleństwo.

Jak pionkami na szachownicy manewruje się niektórymi działaczami. Przy okazji – pod naciskiem opinii publicznej – błyskawiczną karierę pezetpeenowskiego społecznika zrobił Kazimierz Górski. Jest dziś już wiceprezesem PZPN. To budzi kontrowersje. Jedni twierdzą, że centrala uwierzyła w nadprzyrodzone siły pana Kazimierza, drudzy – że stał się dla obecnych władz związku wygodnym parawanem. Osobowość Górskiego ma uspokoić zbulwersowaną opinię publiczną.

Kryzys moralny ogarnął całe piłkarstwo! To trzeba sobie wyraźnie powiedzieć. I nie dyskutować jałowo, w jaki sposób ukarać złodzieja, lecz po prostu go zamknąć. Dość już chyba pobłażania, głaskania, perswazji. Należy bić tych, którzy przyszli do futbolu nie z potrzeby serca, ale dla korzyści osobistych, z pobudek koniunkturalnych. Zabiegi kosmetyczne już nie wystarczą. Przestępców trzeba karać! Kto? Osławione, a zrodzone w PZPN „brygady tygrysa”, nie są już żadnym postrachem dla klubów łamiących prawo, przekupnych działaczy i łasych na precjoza piłkarskich arbitrów. Na całym świecie zajmują się tym zwyrodnieniem funkcjonariusze służb specjalnych. Tylko ich akcje mogą być skuteczne.

Niewątpliwie w tych naszych dywagacjach z końca lat osiemdziesiątych łatwo dziś dostrzec sporo zwykłego „chciejstwa”, postulatów naiwnych, trudnych do zrealizowania, po prostu prób płynięcia pod prąd. Oczekiwanych zmian nie było, prezes i selekcjoner ten sam, tylko w pionie PZPN Stanisława Nowosielskiego zastąpił Kazimierz Górski. Działiałem wtedy społecznie w Wydziale Szkolenia. Uznałem, że skoro był zły, to całe gremium powinno podać się do dymisji. Niech inni pokażą, co potrafią! Jednak wniosek upadł, poza mną nikt nie poczuł się do odpowiedzialności. Red. Stefan Grzegorzczak w felietonie p.t. „**Pranie**” ocenił to jednoznacznie:

...Program przygotowań i działań związanych z reprezentacją przyjęto, a więc rozgrzeszono i selekcjonera i siebie za dotychczasowe wyniki. Wychodzi więc na to, że jedynym mankamentem Wydziału Szkolenia był wiceprezes i teraz wszystko będzie cacy. Wypada więc pogratulować trenerom i działaczom Wydziału Szkolenia dobrego samopoczucia. Pranie się kończy? A co z przebudową?. Pytany o to przez nas obu Kazimierz Górski odpowiedział:

...Nigdy nie mierzyłem tak wysoko... Wiem jednak, że piłka nożna jest u nas pod ostrzałem, a więc teraz będą celować również we mnie. Czy jesteśmy na dnie?... Ja tak ostro tego stanu nie oceniam. Na pewno trzeba mówić o niepowodzeniach...

– Szkolenie, zwłaszcza szkolenie znajduje się od dłuższego czasu na cenzurowanym. Czy jest ono rzeczywiście takie złe?

– Wydaje mi się, że ani lepsze, ani gorsze od innych działów futbolu. W grupie wyczynowców za dużo jest jednak zawodników niedouczonech. Trenerzy produkują braki... Trening indywidualny jest prawie zapomniany.

– Co to znaczy, że PZPN powinien być samodzielny i samorządny?

– Same słowa wyjaśniają tu wszystko, idzie o pełną autonomię Związku. Sam powinien się rządzić i sam na siebie zarabiać. Mieć własne konto dewizowe. Czy w tym składzie personalnym jest to możliwe? Mam wątpliwości... By działać samorządnie i samodzielnie, bez prowadzenia za rączkę, do tego – obok fachowości – potrzebna jest odwaga. Bo decyzje trzeba podejmować natychmiast!

– Mamy kontrakty jak zawodowcy, a poziom gry oldboyów...

– Myślę, że w futbolu – tym niby mistrzowskim – jest za dużo pieniędzy, legalnych i nielegalnych... Korzystają z nich nie tylko

niedouczeni piłkarze lecz także ich nieuczciwi opiekunowie.

– Znany jesteś z optymizmu. Czy po objęciu wysokiej funkcji w PZPN nadal zachowujesz pogodę ducha?

– Gdybym nie wierzył w uzdolnienia naszych piłkarzy, mądrość działaczy, fachowość trenerów i sympatię społeczeństwa, nie przyjąłbym funkcji wiceprezesa PZPN. Wiem, co trzeba zmienić, a co udoskonalić. Oby tylko znowu nie zabrakło konsekwencji i wytrwałości w realizacji tych zadań.

Takie właśnie na początku 1988 roku było credo nowego wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych, Kazimierza Górskiego. Pionem organizacyjnym, a także działalnością międzynarodową i sprawami wychowawczymi kierował wówczas w PZPN red. Jerzy Domański. Ten sam duet Grzegorzcyk – Lechowski zapytał kolejnego wiceprezesa, czy zgadza się z powszechnie powielaną opinią, że „organizacyjnie leżymy?”:

– Nie jestem z tych, którzy widzą tylko czarny i biały kolor. Jest jeszcze wiele barw pośrednich. Określenie „leżymy organizacyjnie” jest nie precyzyjne. Ale czy dobra lub zła organizacja zawsze wpływa na obiektywną ocenę stanu całego piłkarstwa, zwłaszcza reprezentacji? W Meksyku bezstronni obserwatorzy stwierdzili, że nasza ekipa była lepiej niż dobrze zorganizowana. I co z tego, skoro nie osiągnięto spodziewanych wyników sportowych?

– Obecne struktury Związku nie nadążają już za życiem, za rozwojem piłkarstwa, za jego nowoczesnym kształtem i wynikającymi z tego potrzebami.

– Bardzo łatwo można przestawić się na działanie menedżerskie, ale jak to pogodzić z wielką siłą społeczną? A właściwie jak dopasować jedno do drugiego, by nic nie stracić? Jest to możliwe w PZPN, w niektórych

okręgach, wielkich klubach, ale w całej reszcie piłkarstwa, niewątpliwie dużo większej – już nie. Z licznych raportów i sondaży wynika, że społeczność piłkarstwa niechętnie przyjmuje to, co po prostu nowe. Jest jakby zadowolona z tego co jest i chętnie sama się w sobie zamyka. Ja też uważam, że PZPN powinien sam o wszystkim decydować i nie oglądać się na Komitet, a także nie ulegać interesom partykularnym.

– PZPN jest jednak instytucją konserwatywną...

– Historia, w tym również piłkarstwa, pełna jest sporów radykałów z reformistami. Myślę, że dojrzał czas do zmian radykalnych: w kierunkach działania, strukturach i systemach, wreszcie w sprawach personalnych. Ale jestem przeciwny wszelkim tendencjom odśrodkowym, chęci wyprowadzenia futbolu z rodziny wszystkich sportów, względnie stawianiu go ponad nimi. Idzie tylko o to, aby przepisy, zarządzenia i regulaminy służyły rozwojowi i podnoszeniu poziomu piłkarstwa.

Wypowiedzi zbliżonych do tych, które na łamach „Piłki Nożnej” zaprezentowali wiceprezesi Kazimierz Górski i Jerzy Domański było w przeszłości dość dużo. Wszystkie pięknie brzmiały. Jaki był jednak odzew na rzucone hasła? Niewielki, czasami nawet żaden! Z reguły większość mądrych myśli i w ślad za tym sporządzonych dokumentów - niekiedy o wartości historycznej – ukrywano w szufladach lub przeznaczono na przemiał. Tak przykry los spotkał nawet (na owe czasy) rozumnie opracowany system organizacyjno-szkoleniowy PZPN na lata 1973 – 1980. We fragmentach zrealizowano tylko zadania postawione tam przed reprezentacją. Teraz, u schyłku lat osiemdziesiątych wszystko zaprzepaszczono. Para poszła w gwizdek! Przedstawiono długą listę pozornie obiektywnych trudności, w rzeczywistości dość często urojonych, które doprowadziły do zwęksławiania wcale nie głupich pomysłów na

boczne tory.

Zebraliśmy z tych „papierowych obietnic” jakże parszywe owoce: w sferze sportowej fiasko w eliminacjach mistrzostw świata, zapisane w pierwszej fazie na konto Wojciecha Łazarka, a w drugiej Andrzeja Strejlaua i kompletną klapę w międzynarodowych rozgrywkach pucharowych. W kwestiach organizacyjnych – trwanie w zastygłych strukturach. „Czas radykalnych zmian” zasugerowanych przez wiceprezesa Jerzego Domańskiego prezes Zbigniew Jabłoński złagodził do ram tezy **„Reformować, ale nie burzyć”**.

– Jaka jest ogólna kondycja naszego futbolu – moralna, intelektualna, kadrowa? – pytaliśmy prezesa.

– Tu zbyt wielkim optymistą być nie mogę. Kondycja jest słaba. Wiemy, w jakim kierunku zmierzać, ale ciągle zbyt dużo energii zabiera likwidowanie spraw nagannych.

– Dotychczas wiele kontrowersji budziła współpraca naczelnych władz sportu z PZPN. Utrzymuje się ten trend czy sytuacja się zmienia?

– Gorset przepisów skrojony przez poprzednie komitety utrudniał działalność i ograniczał samodzielność PZPN. Obecnie dostrzegam ze strony Komitetu Młodzieży i Kultury Fizycznej działania świadczące o nowym podejściu do sprawy. Przeważa atmosfera partnerstwa.

– Reformy nie można sprowadzać tylko do ligi...

– Ale wraz z tą reformą oczekujemy wyraźnej i tak przez wszystkich oczekiwanej odnowy moralnej w naszym piłkarstwie. Jestem za generalną naprawą piłkarstwa, ale rozsądną, przemyślaną, nie burzeniem, a wzmacnianiem konstrukcji. Tak w centrali, jak i w klubach.

– PZPN w drugim etapie reformy: stowarzyszenie czy przedsiębiorstwo? A może jedno i drugie?

– Było by dużym nieporozumieniem, gdybyśmy w pogoni za pieniędzmi zepchnęli na dalszy plan tradycje i podstawową działalność sportową opartą o pracę społeczną. Odpowiedź jest krótka – związek sportowy, który prowadzi działalność gospodarczą. A więc jedno i drugie!

– Czy to ma być podstawowe źródło dochodów?

– Podstawowym sponsorem piłkarstwa jest społeczeństwo. Ono utrzymuje kluby, zwłaszcza te mniejsze, buduje i konserwuje obiekty, pokrywa koszty działalności administracyjnej. Tak jest w klubach. A u nas w PZPN? Jesteśmy związkiem nie dotowanym przez państwo. Ekwiwalenty za udział w finałach mistrzostw świata, to dotychczas nasza najmocniejsza pozycja w rubryce „wpływy”.

– Zmiany w piłkarstwie są konieczne. Czy z tymi ludźmi, którzy są można porywać się na te reformy?

– Dobór ludzi lepszych uzależniony jest od wynagrodzeń. Przy tej siatce płac do sportu w ogóle nie przyjdą ludzie o najwyższych kwalifikacjach... Skoro jednak ja nie mam dotacji, to dlaczego muszę trzymać się tych stawek?

TAJNY RAPORT

Niemilkłyechanieudanegostartupolskichpiłkarzynamistrzostwach świata w Meksyku., Zdobyte tam (głównie złe) doświadczenia miały usprawnić pracę z reprezentacją, w rezultacie zapewnić jej pierwszy w historii awans do finałów mistrzostw Europy i kolejnych mistrzostw świata we Włoszech. Swoistym drogowskazem w tym kierunku miał być raport z... Mundialu w Meksyku. Dla przegranych eliminacji Euro 1988 okazał się jednak typową „musztardą po obiedzie”, a dla Copa del Mondo – 1990 poradnikiem bez przyszłości. Okręt tonął. Tam i tu „nasze Orły”

wylądowały za burtą.

Twórcy raportu, „**Udział reprezentacji Polski w XIII Mistrzostwach Świata Mexico '86**” wyraźnie spóźnili się z dobrymi radami. W każdym razie Wojciech Łazarek praktycznie z nich nie skorzystał. Opinia publiczna też w niewielkim stopniu wzbogaciła swoją wiedzę, bo treść raportu zawarowano klauzulą „*wyłącznie do użytku wewnętrznego*”. Byłem dość blisko tego układu, przeto ów „**tajny dokument**” dotarł do moich rąk. Przeżyłem jednak rozczarowanie. Publicznie zadałem więc pytanie: - **Czy to jest RAPORT?** Była to publikacja znacznie gorsza, niż podobne opracowane po mistrzostwach świata w latach 1974, 1978 i 1982. I wyraźnie spóźniona: większość „nowinek szkoleniowych” i ocen dotyczących naszej reprezentacji omówiliśmy na łamach „Piłki Nożnej” dużo, dużo wcześniej.

Powierzchnowość i jednostronne spojrzenie na Mundial w Meksyku nie upoważniały do nadania tej publikacji rangi raportu. W Monterrey było wielu naszych trenerów, tymczasem „Raport” firmowali tylko Antoni Piechniczek i Marian Szczechowicz. A co robili inni? W tej sytuacji w relacji z Meksykiem stanowczo za dużo było ogólników, sądów bardzo subiektywnych, często sprzecznych – wzajemnie się wykluczających, w efekcie nieprawdziwych. Pobożne życzenia uznano za fakty. Służyło to obronie własnych teorii, a nie wiernemu przedstawieniu rzeczywistych wydarzeń na tych mistrzostwach.

W Polsce obowiązywał wówczas schemat systemowo-taktyczny 1+4+4+2, przeto i w relacji z Meksykiem do tego jednego kotła wrzucono praktycznie wszystkie drużyny. Tymczasem właśnie w Meksyku sporo zespołów (Argentyna, RFN, Francja) grało trzema stoperami (środkowymi obrońcami), stwarzając tym samym duże możliwości ofensywne obu

bocznym obrońcom. Szczechowicz w jednym miejscu twierdził na przykład, że „W Meksyku dominowała obrona strefowa, całkowicie zrezygnowano z obrony kombinowanej”, a w drugim, że „Obrona strefowa połączona z fragmentarycznie stosowaną obroną „każdy swego”, była podstawą skutecznej taktyki bronięcia w mistrzostwach Świata Mexico '86”. A co to jest? Czy to nie jest właśnie obrona „kombinowana”?

Sprzeczności w swoich głęboko osobistych wywodach nie ustrzegł się również trener Piechniczek. W PZPN uznano, że w Meksyku nasza reprezentacja zawiodła, a jej sposób gry trącił myszką. Antek widział to tylko tak: ... „Nasza reprezentacja zaprezentowała się poniżej oczekiwań i chyba własnych umiejętności i możliwości”. Nie odpowiedział konkretnie – dlaczego? Raz pisał, że do lepszego przygotowania „zabrakło dwóch mikrocykli szkoleniowych...”, w innym miejscu chwalił się, że ... „podkreślano dobre przygotowanie wytrzymałościowe”. Postawił wreszcie tezę z gruntu fałszywą: *„Zespół pod względem przygotowania ogólnego, a także wartości cech motorycznych nie ustępował rywalom”...*

Nie były to jedyne spostrzeżenia Piechniczka budzące niepokój. Bulwersowała zwłaszcza jego opinia o fatalnym stanie opieki lekarskiej: - „Medycyna? Pracującej systematycznie na potrzeby drużyny w Meksyku nie było. Piłkarze mieli więc pretensję, że w premiowaniu uwzględniono cały pion szkoleniowo-medyczny, w sumie 7 osób. Ta grupa otrzymała kwotę równą wynagrodzeniu dwóch zawodników”. To oświadczenie selekcjonera dość wyraźnie ilustruje skalę kłótni na tym Mundialu w kwestiach zdrowotnych i finansowych. To też musiało mieć wpływ na mizerną postawę Polaków w tych mistrzostwach.

Cały piłkarski świat, w tym również wielu fachowców w kraju, nie miało wątpliwości, że nasza drużyna grała w Meksyku zachowawczo,

prezentując typowo defensywny styl gry, ale trener widział to inaczej: ... „W każdym meczu (poza meczem z Portugalią) zespół przeprowadził więcej akcji ofensywnych oraz oddał więcej strzałów na bramkę przeciwnika”... Założmy, że tak było. W takim razie jak należy rozumieć sens jednego z końcowych wniosków selekcjonera, w którym podkreśla „zachowawczy sposób gry – Bońka, Buncola i Dziekanowskiego”.

Józef Boniek, ojciec Zbyszka miał w tej sprawie własne zdanie: - „Zbychu grał tak, jak wszyscy czyli kiepsko. Tylko jedna „przewrotka” w meczu z Brazylią przypomniała światu, że mój syn coś potrafi. To za mało. On sam liczył na więcej”. Ojciec słusznie bronił więc syna. Ale czy trener Ryszard Koncewicz równie sprawiedliwie swojego pupilka Antoniego Piechniczka: - „Ogólna postawa naszej reprezentacji w Meksyku była tym razem prawdziwą wizytówką tego, co umiemy i jak gramy. Dużym uproszczeniem było by zrzucenie całej winy za niepowodzenie na trenera – selekcjonera”.

To wszystko, co w swoim raporcie napisali Piechniczek i Szczechowicz, trudno było by uznać za ostateczny rozrachunek z meksykańskim Mundialem. Dyskusje trwały. Pojawiło się mnóstwo „uzdrowicieli” polskiego piłkarstwa. Reformowano ligę, rozgrywki młodzieżowe, krytykowano szkolenie w klubach i formy tworzenia reprezentacji. Znowu, że powtórzę za Wyspiańskim – słowa, słowa, słowa... Efekty żadne. Nadszedł kres sukcesów reprezentacji. Po RFN, Hiszpanii i Meksyku zostały tylko wspomnienia. A więc rzeczywiście tylko „do trzech razy sztuka”. Zaczęła się długa i kręta droga powrotu do sławy. Jak długo to potrwa?

Ciągle mam w uszach slogan sprzed dwudziestu lat „Jaka liga, taka reprezentacja”. Niemal przez cały rok 1987 jeżył się z tego powodu

włos na głowie. Liga była słabiutka, reprezentacja bezradna. Większość naszych trenerów miała jednak dobre samopoczucie. Można było odnieść wrażenie, że oni – trenerzy i my – dziennikarze oglądamy zupełnie inne mecze. Podczas gdy na przykład ja zarzucałem wielu drużynom człapanie po boisku, małą siłę ognia i „gry pozorowane”, znaczna część szkoleniowców zaczęła przebąkiwać o „prasowej dywersji”. Byłem też przeciwny przyznawaniu dodatkowego punktu za wygraną różnicę trzech bramek. Nawet taki lis jak Jerzy Kopa dość długo patrzył na ten dziwny pomysł przez „różowe okulary”. Na szczęście w porę przejrzał na oczy i wkrótce przyłączył się do opinii mediów. Tym samym przyspieszył naturalną śmierć bzdurnych przepisów.

Recepta ta miała zachęcić drużyny do bardziej ofensywnego stylu gry. Trafiano kulą w płot. Ligowcy strzelali teraz mniej goli niż w 1986 roku. Tylko Górnik Zabrze, który i tak z reguły zdobywał w rozgrywkach najwięcej bramek, skorzystał z tego przywileju. Zapomniano, że kij ma zawsze dwa końce. To, co zyskali zabrzanie, inni tracili, ergo – bronili się przed tak wysoką przegraną. Stąd jeszcze większa mizeria bramkowa. Nie można na rozkaz usprawnić strzelania. Faktyczny wzrost ofensywności osiąga się poprzez odpowiednie umiejętności snajperskie wszystkich ligowców, a nie tylko garstki wybrańców.

I jeszcze jedna uwaga: reprezentacji też nie służy monopol jednego nawet najbardziej ofensywnie grającego klubu. Historia to potwierdza. Tak było w czasach, kiedy Legia miała w swoich szeregach praktycznie jedenastu reprezentantów, tak również w odniesieniu do Górnika Zabrze w latach późniejszych. Sukcesy klubów bezpośrednio nie przekładały się na poziom reprezentacji. Drużyna narodowa musi mieć większe możliwości wyboru zawodników. Dopiero wtedy wzrasta konkurencja.

Koncentracja najlepszych piłkarzy w jednym klubie często demobilizuje pozostałe.

Wojciech Łazarek obejrzał w akcji, tak w lidze jak i na reprezentacyjnym poligonie, dużą grupę zawodników. I co to dało? De facto selekcję negatywną! Niemal dzień i noc usiłował zabawić się w „poławiacza pereł”, a wyławiał żółwie i ślimaki. W takiej sytuacji łatwo o błędy. Łazarek się ich nie ustrzegł, ale biczować się nie musi. W tej „negatywnej selekcji” wykazał dużo dobrej woli, cierpliwości i... sklecił trzon nowej kadry. Czy na miarę eliminacji mistrzostw świata? Było to wszystko zbyt kruche, rozlazłe, utwierdziło Łazarka w przekonaniu, że nie można ulegać iluzjom. Po pierwsze, nie wszyscy piłkarze grający na co dzień w zachodnich klubach są zbawieniem dla reprezentacji, po drugie – same apele o lepsze szkolenie w naszych klubach też nie gwarantują sukcesu.

Co robić? Mocniej uderzyć pięścią w stół? A może wrócić do szkolenia centralnego? Tej prawdy ukryć nie wolno: drużyna narodowa „jest w odwrocie”. Nie mamy jedenastu zawodników na reprezentacyjnym poziomie. Selekcjoner ubolewał w swoim rubasznym stylu: - *„I niedźwiedzia poprzez wczesną i właściwą tresurę na rozżarzonych węglach można nauczyć tańczyć, ale przecież nigdy nie będzie Fredem Astairem”*. Nie ta skala talentu i nie ta jakość piłkarzy! Poza tym brak motywacji, odpowiedzialności i ambicji u znacznej części zawodników. To wszystko powoli stawało się nawykiem, wchodziło graczom w krew. To zły znak. Do tradycyjnych niedostatków w wyszkoleniu techniczno-taktycznym właśnie teraz doszły słabsze cechy motoryczne i... mentalność drobnych kramarzy. Poziom kreta na Żuławach...

Nastrój podły, ale łudzono się, że czas zagoi rany. Z takim

przekonaniem Wojciech Łazarek, udał się na losowanie przed Copa del Mondo '90. Ta przedmundialowa gala odbyła się w samo południe 12 grudnia 1987 roku w Hallenstadion w Zurychu. Mnie tam też wiatry poniosły. Obiekt wielki, ale z każdego miejsca widoczność wspaniała. Tylko nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Sekretarz generalny PZPN Zbigniew Kaliński i Wojciech Łazarek ogryzają palce. Kolega Andrzej Żmuda z telewizji i dwaj dziennikarze piszący, Michał Listkiewicz i Jerzy Lechowski też sprawiają wrażenie „elektrycznych”. Nie daje tego poznać po sobie znacząca postać tej uroczystości Michel Platini i jego asystenci, prezenterka włoskiej telewizji Elisa Gardini i Edson Arantes do Nascimento - PELE.

Mistrzem całej ceremonii, wzbogaconej sportowymi pokazami i śpiewem, jest jednak sekretarz generalny FIFA – Joseph Blatter. Robi to na wysoki połysk, więc prezydent FIFA, Joao Havelange z zadowolenia tylko się uśmiecha. W losowaniu poszczególnych grup partnerami Blattera byli: Ornelia Mutti popularna włoska aktorka, piłkarz roku 1982 Paolo Rossi i sternik MKOl – Juan Antonio Samaranch. Z widowni do otwierania pojemników z kuleczkami poproszono młodzieńką Joasię – wnuczkę prezydenta Havelange’a. Nam wylosowała: Anglię, Szwecję i Albanię. Nie, to jeszcze nie „grupa śmierci”, ale obok pierwszej (Bułgaria, Dania, Rumunia, Grecja) niewątpliwie jedna z najsilniejszych. Znowu aktualne stało się pytanie: - **Kto teraz zatrzyma Anglię?** Nie ma już Tomaszewskiego, nie będzie też Młynarczyka. Teraz czas Józefa Wandzika i Jarosława Baki.

W kolejnej korespondencji z Zurychu „**W rytmie tarantelli**” starałem się przekonać czytelników, że nie wszyscy ludzie na świecie tracą głowy z powodu futbolu. Szwajcarzy są praktyczni, widzą więcej i sięgają

głębiej. U nich praca jest na pierwszym miejscu, potem rodzina i związane z tym różne problemy, a dopiero w dalszej kolejności wszelkiego rodzaju rozrywki i sport. Helweci potrafią też bawić i wznosić toasty. Wieczorem w ogromnej sali położonej w najbliższym sąsiedztwie Hallenstadion odbył się bankiet – jak to my byśmy powiedzieli – na cztery fajerki. Miejsca przy stołach biesiadnych tylko dla wybranych. Dziennikarzy zbyt wielu tu nie było, przeto Listkiewicz i ja poczuliśmy się w pełni dowartościowani. Popijaliśmy wino „Frascati Doc 1981 Villa Patrizia” i „Chianti Classico 1981 Riserva La Madonnina”. Przemówił Joao Havelange:

...Jestem więcej niż optymistą, jeśli idzie o finały mistrzostw świata w 1990 roku. Komitet organizacyjny z moim przyjacielem Franco Carraro pracuje bardzo dobrze. Znamy już dwanaście stadionów, na których odbywać się będą mecze. Tylko dwa z nich powinny być rozbudowane – w Turynie i Bari... Jeśli idzie o finanse, to rząd włoski przeznaczył na Coppa del Mondo czterysta milionów dolarów... Nie przewiduję żadnych kłopotów...

Przy „Frascati Doc...” i „Chianti Classico...” zastanawialiśmy się nie tylko kto zatrzyma Anglię, lecz także czy w meczu z Albanią nie powtórzy się niedawny wynik remisowy z Mielca, a ze Szwecją przegrana w ostatnim meczu towarzyskim w Malmoe. Przypomniałem Łazarkowi, zresztą on sam również był na tym meczu, że... „**W reprezentacji Szwecji obowiązuje zasada: nie dać pograć napastnikom ani obrońcom rywala**”. Zawodnicy realizują to konsekwentnie. Odpada więc możliwość tak często praktykowanej u nas jałowej wymiany podań – „**ty do mnie, ja do ciebie**”. Dziś w Europie podejmuje się walkę na całym boisku! Nasza gra na Albanię wystarczyła, Krzysztof Warzycha strzelił zwycięską bramkę, ale na Solnej w Sztokholmie Szwedzi znowu byli lepsi. W relacji z tego

meczu starałem się współczuć Łazarkowi, bo do „urządzającego” nas remisu zabrakło zaledwie kilkudziesięciu sekund. Ostateczne pożegnanie z Copa del Mondo nastąpiło po przegranej z Anglią (0:3) na Wembley. Łazarek podał się do dymisji. Ster reprezentacji przejął Andrzej Strelau.

Najwszechstronniejszym zawodnikiem w kadrze Łazarka był Waldemar Prusik. Potrafił rozgrywać, strzelać bramki, dobrze czuł się również w grze obronnej. Dość długo pewniakiem w tej formacji był stoper Paweł Król, ale nie potrafił wykorzystać szansy. Słaby charakter. Złośliwcy opowiadali, że potrafił się zabarykadować w czołgu i tam popijać gorzałę. Wszyscy współcześni stoperzy nie dorównywali swoim wielkim poprzednikom: Parpanowi, Koryntowi, Ośliźle, Gorgoniowi, Żmudzie, Janasowi. Dariusz Dziekanowski dość często występował teraz w drugiej linii i spisywał się tam nie najgorzej. Jawił mi się po nocach drugi Deyna, ale na razie sny się nie sprawdzały. Darek też nie grał na miarę swojego talentu. Obwinałem za to, między innymi - naszych trenerów klubowych i reprezentacji:

– „Gdyby Dziekanowski w odpowiednim momencie trafił w rękę drugiego Jaroslava Vejvody – pisałem - byłby dziś najlepszym rozgrywającym nie tylko w polskiej lidze”. Nikt jednak nie miał odwagi (może i wyobraźni), by ukrócić Darkowi cugle i powiedzieć, jak niegdyś właśnie Vejvoda powiedział Deynie, z którego też na siłę robiono napastnika: - „*Kazio, tyś je urodzeni pomocnik*”...

Temat nie nowy i zapewne złożony, Dziekanowski też nie potrafił w pełni pomóc talentowi i... szczęściu. Niegdyś trudne chwile przeżywał Józef Młynarczyk, ale to twardy facet, więc w porę mocno stanął na nogach. Właśnie w roku 1987 jako drugi Polak w historii naszego futbolu wywalczył Klubowy Puchar Mistrzów Europy, a wkrótce potem już jako

pierwszy - Puchar Świata. Młynarczyk grał wtedy w FC Porto. Na własne oczy przeżywałem ten pierwszy sukces Młynarczyka. Przez kilka dni w ogóle wydawało mi się, że jestem w piłkarskiej krainie szczęśliwości. Futbolowa Arkadia! Najpierw na wiedeńskim Praterze oglądałem finał Pucharu Mistrzów, a potem praktycznie codziennie w austriackiej telewizji podziwiałem w akcji: Juventus, Romę, HSV, Ajax, cały mecz Barcelona – Real Madryt, a także fragmenty jednego z występów naszego „Mundka” Okońskiego. To, co pokazał na polu karnym (w kwadracie pięć na pięć metrów wymanewrował czterech rywali), istotnie stawia go w rzędzie najlepszych napastników świata. Ale zaraz nasunęło się pytanie: - *Dlaczego tak samo dobrze nie zagrał w fatalnym meczu z Cyprzem w Gdańsku?*

Był to mój drugi dziennikarski finał Pucharu Klubowych Mistrzów Europy z... udziałem polskiego piłkarza. Pierwszy w roku 1983 w Atenach nie skończył się po myśli Zbigniewa Bońka, natomiast ten drugi w Wiedniu jeszcze bardziej rozjaśnił gwiazdę Józefa Młynarczyka. Polak bronił doskonale. Zresztą cały zespół z Porto miał swój wielki dzień i wygrał 2:1. Już na rozgrzewce prezentował się lepiej niż monachijczycy. W czasie gry zwłaszcza Joao Pinto, kapitan Porto, Rabah Medjer i Paulo Futre potwierdzili swoją wyższość techniczną nad rywalem. Tam też tuzów było sporo: słynny bramkarz belgijski Jean-Marie Pfaff, równie znani na całym świecie Lothar Matthaeus, Michael Rummenigge, Dieter Hoeness i strzelec bramki, nowa gwiazda Bayernu Ludwik Koegl. Moim faworytem było jednak FC Porto. Żałowałem tylko, że Austriacy nie są tak zapalonymi hazardzistami jak Grecy i nie zorganizowali „totka” na końcowy wynik. Może znowu, tak jak w Atenach, zgarnąłbym całą pulę.

Przed przerwą górą był nieco lepiej zorganizowany Bayern.

Bryłował rozgrywający Matthaeus. To piłkarz, którego po raz pierwszy widziałem w roku 1980 w Częstochowie w meczu drugich reprezentacji Polski i RFN. Zachwycił mnie swoim wyszkoleniem i żywiołowością w grze. Publicznie wyraziłem wówczas ten zachwyt: - „*Panowie za kilka lat - to będzie najlepszy piłkarz świata*”. Trener Udo Lattek, wiedząc że FC Porto słynie z groźnych kontrataków i umiejętności „murowania” własnej bramki, nastawił monachijczyków na szeroką grę skrzydłami, centry w pełnym biegu i strzały głową. Była to skuteczna taktyka, Bayern prowadził po pierwszej połowie gry 1:0. Po przerwie trener Jorge wprowadził do gry Brazylijczyka Juarę. I stał się cud! Piłkarze z Porto rozluźnili własne zasieki obronne, postawili teraz wszystko na jedną kartę, odważnie dążyli do odwrócenia losów meczu.

Błyszczał lewoskrzydłowy Paulo Futre. Niemiłosiernie poniewierany przed Edera i jego kolegów, jak jakiś współczesny Feniks, odradzał się po każdym upadku i parł uparcie do przodu. Nie szukał pomocy u sędziego Aleksisa Ponneta z Belgii. Wyłącznie swoją żywiołowością, szaleńczymi dryblingami a’la slalomista Szwed Stenmark i akcjami żywo przypominającymi popis Maradony w meczu z Anglią w Meksyku, doprowadzał obrońców Bayernu do rozpacz. Także bramkarz Pfaff z każdą minutą tracił pewność siebie. Bojowego Futre dzielnie wspierał Algierczyk Rabah Medjer. Najpierw iście cyrkowym strzałem piętą wyrównał stan meczu na 1:1, a nieco później po jego niezwykle efektownym zwodzie Brazylijczyk Juary zdobył dla FC Porto zwycięską bramkę.

- ... To był mój rewanż za Gijon – powiedział po meczu Medjer.
- Nigdy tego nie zapomnę, tej ukartowanej gry piłkarzy Niemiec i Austrii. Zmowa tych dwóch reprezentacji spowodowała w Hiszpanii

wyeliminowanie mojej drużyny z mistrzostw świata.

Na Wiener Praterstadion triumfował futbol techniczny i trzy gwiazdeczki: Paulo Futre i Rabah Medjer z FC Porto oraz Ludwik Koegl z Bayernu Monachium. Po przerwie nawet Lothar Matthaeus był w ich cieniu. A nasz Józef Młynarczyk zdecydowanie wygrał konfrontację z Belgiem Pfaffem, o którym przed meczem mówiono i pisano, że „jest chwilami najlepszym piłkarzem świata”. W sumie był to piękny futbol. Kibice dostroili się do wysokiego poziomu widowiska. Organizatorzy również – 27 maja 1987 roku na wiedeńskim obiekcie obowiązywał „dzień trzeźwości”. Nikt nie przemycił na stadion ani jednej butelki alkoholu. Punkty kontrolne były szczelne, a bilety drogie. Piwa nie było nawet dla VIP-ów i dziennikarzy. Tragedia z Heysel 1985 nie mogła się powtórzyć!

Górami była prawdziwa piłka nożna, trwał festiwal Józefa Młynarczyka. W maju w Wiedniu był jednym z bohaterów Klubowego Pucharu Mistrzów Europy, natomiast w grudniu w Tokio poznał Polaka już cały piłkarski świat. FC Porto pokonało tam Penaral Montevideo 2:1, zdobywcę południowo-amerykańskiego Copa Libertadores. I znowu decydującą bramkę dla zwycięzców zdobył Algierczyk Rabah Medjer. Na równie duże uznanie zasłużył Polak. Niemal przez całą drugą połowę meczu i w dogrywce wyraźnie przeważali piłkarze zza Oceanu. Jednak przegrali 1:2, bo właśnie w tych dwóch fazach spotkania rewelacyjnie bronił bramki FC Porto nasz Józef Młynarczyk. Trzeci wielki sukces na koncie Polaka: w reprezentacji – medal mistrzostw świata w Hiszpanii, w klubie – Puchar Europy i Puchar Świata. Taki dorobek w swej karierze klubowej ma jeszcze tylko Zbigniew Boniek!

Józef Młynarczyk – to był w roku 1987 nasz jedyny, choć wpisany na obce konto, mocny akcent na arenie międzynarodowej. Osłodził

gorycz blamażu „biało-czerwonych” w kolejnych eliminacjach mistrzostw Europy, fiasko priorytetu „olimpijczyków” przed turniejem w Seulu i niepowodzenia Górnika Zabrze, Śląska Wrocław, Pogoni Szczecin i GKS Katowice w europejskich rozgrywkach pucharowych. Z takiej mizerii nie łatwo było wybrać najlepszych w kraju. W „Piłce Nożnej” po długich i zaciętych dyskusjach zdecydowaliśmy się na taki oto wybór: Leszek Jezierski (Trener Roku), Andrzej Iwan (Piłkarz), Piotr Werner (Sędzia) i Ryszard Cyroń (Odkrycie Roku). Mnie osobiście dużą satysfakcję sprawił wybór najlepszego arbitra. Przed laty, mało wtedy znany Werner, podczas meczu Widzew – Lech zbierał cięgi od gości i gospodarzy. Pobiegiem do szatni, by go pocieszyć: - *„Głowa do góry, kolego. Za kilka lat będzie pan najlepszym sędzią w Polsce...”*

Pojawiły się nowe zagrożenia i to na Igrzyskach Olimpijskich. W Calgary w organizmach niektórych hokeistów wykryto testosteron. A więc doping wdarł się na najwyższe szczeble światowego sportu! Podjąłem ten temat w piśmie czysto piłkarskim, wychodząc z założenia, że sport jest jeden, niepodzielny i to, co dziś dotknęło hokeistów, jutro może spotkać piłkarzy. Takich dożyliśmy czasów. Już w latach piłkarskich mistrzostw świata w RFN i Hiszpanii błogi nastrój z czasów barona de Coubertina mąciły permanentne kontrole antydopingowe. Najbardziej zzymali się: Władysław Żmuda, Grzegorz Lato, Waldemar Matysik i Włodzimierz Smolarek, bo ich najczęściej typował komputer. Dlaczego właśnie ich?

Organizatorom wydała się podejrzana ogromna waleczność i wytrzymałość Polaków. Krążyły nawet plotki, że niektórych zamierzano wykluczyć z mistrzostw. Ale nasi piłkarze nie wzmacniali organizmów niedozwolonymi środkami. W Monachium i Alicante byli po prostu dobrzy, przy tym rozsądni, dalecy od nieuzasadnionego ryzyka i nieuczciwości.

Po Calgary zastanawiano się, jak przeciwstawić się testosteronowi i dopingowi? Radzono powrót do amatorstwa. Nawet Zbigniew Boniek usiłował dmuchać w tę utopijną trąbę. Syty głodnego nie zrozumie. Kolejny pomysł „Zibiego”: - „Najlepiej setce młodych piłkarzy pozwolić wyjechać za granicę”... też nie przystawał do naszej rzeczywistości. W latach 1970 – 1982 nikt u nas takich szaleństw nie praktykował, mimo to piłkarze zdobywali medale olimpijskie i mistrzostw świata.

URODZINOWA GALA

W roku 1988 przeżyłem jeszcze dwa dość ważne wydarzenia. Zbliżający się koniec reprezentacyjnej kariery Zbigniewa Bońka, a w różnych kategoriach wiekowych trwała ona blisko 15 lat oraz jubileusz piętnastolecia ukazywania się tygodnika „Piłka Nożna”. Byłem „świadkiem koronnym” początków (narodzin?) obu tych niecodziennych faktów. Przydatność Bońka do drużyny narodowej dość jasno nakreśliłem w stałej mojej rubryce „**Sprawy reprezentacji**” pt. „Przebłycki możliwości”. Miałem tu na myśli głównie „przebłycki” naszych reprezentacyjnych drużyn, ale właśnie Bońkowi, liderowi pierwszego zespołu, poświęciłem najwięcej uwagi.

...Powiedzmy sobie szczerze – w Meksyku Boniek nie grał lepiej od pozostałych członków drużyny... Czy teraz zdoła odzyskać dawną mocną pozycję w reprezentacji? Lata lecą, a wraz z upływem czasu słabnie entuzjazm i młodzieńczy zapał... Górę biorą doświadczenie i wyrachowanie... Nie sposób wymagać dziś od Bońka, Smolarka, Młynarczyka, żeby uzdrowili reprezentację... Mogą tylko pomóc drużynie, ale gruntownie jej kształtu i wartości już nie zmieniają. A propos Boniek.

Jest tak doświadczony, tak potrafi kierować i regulować swoimi nastrojami i zamierzeniami, że tylko od porozumienia na linii selekcjoner – piłkarz zależy czy jeszcze zagra w reprezentacji i na jakiej pozycji.

Boniek powiedział „tak”, przeto można być przekonanym, że wykona powierzone mu zadanie. Ma wciąż dość sił i ochoty na grę w drużynie narodowej. W jakiej roli? W dzisiejszym wieku Bońka (32 lata) w biało-czerwonych barwach występowało wielu niegdyś wybitnych zawodników: Gracz, Cieślik, Pohl, Brychczy, Lato... Cały problem Bońka sprowadza się do tego, na jakiej pozycji powinien (lub mógłby) zagrać. Czasy z Mundialu w Hiszpanii (i częściowo w Argentynie i Meksyku), gdzie był typowym harcownikiem, łowcą bramek i siłą napędową zespołu, trzeba uznać za historyczne, one już nie wrócą. To dobra rola dla żrebaków, takich jak dziś: Leśniak, Kosecki, Marciniak i ewentualnie Furtok. Nawet Dziekanowski nie pasuje do tej koncepcji. „Zibi” niezbyt dobrze czuł się w drugiej linii... Co w tej sytuacji?

Jest rzeczą naturalną, że każdy starszy wiekiem i stażem zawodnik przesuwa się z przodu do tyłu drużyny, z napadu – często poprzez pomoc – do obrony. I taką możliwość, zapewne ku zadowoleniu Bońka, dostrzegł trener Łazarek. Pan Zbigniew zagra więc w obronie, kiedyś z powodzeniem robił to w Widzewie, a teraz imponuje w Romie. Nie będzie konkurentem dla Kubickiego i Wdowczyka, miejsce Bońka jest tylko w środku obrony i to w charakterze „libero”, a nie zwyczajnego rozbijacza zagrań przeciwnika. Z tej pozycji, można dowodzić całą drużyną, a nie tylko blokiem obronnym, inicjować akcje, włączać się do gry ofensywnej i kończyć atak celnym strzałem. To może być idealna sytuacja dla dzisiejszego Bońka. A gdyby ten eksperyment się nie udał?

W pięciu meczach w latach 1987 – 1988 partnerem Pawła Króla

lub Damiana Łukasika w środku obrony był Witold Wenclewski z ŁKS-u. W remisowym pojedynku z Irlandią Północną w Belfaście łodzianina zastąpił właśnie Zbigniew Boniek. Był to eksperyment udany. Wojciech Łazarek zmierzał ku trwalszym i bardziej perspektywicznym rozwiązaniom, tymczasem „Zibi” pożegnał się z reprezentacją. Odszedł w sławie i chwale. Mniej lub bardziej udanie próbowali go zastąpić: Roman Wójcicki, Witold Bendkowski i Zbigniew Kaczmarek, ale nie były to duety z czasów Oślizły i Gmocha, Gorgonia i Żmudy oraz Żmudy i Janasa.

Kolejny selekcjoner Andrzej Strelau w środku obrony korzystał z usług Janusza Nawrockiego, Krzysztofa Budki, Zbigniewa Kaczmarka, Damiana Łukasika, Romana Szewczyka i Piotra Czachowskiego. Kierując się ówczesną modą w kilku meczach wystawił w obronie tylko trzech zawodników. Z małym powodzeniem... Gdy po przegranym meczu z Anglią 0:2 w Londynie zapytałem Leszka Ćmikiewicza, dlaczego akurat tu w „twierdzy Wembley”, walczyliśmy tylko trójką w obronie, odpowiedział: - „Bo dziś tak grają wszystkie czołowe drużyny świata”... Współczułem naszym chłopcom: niewolnicy taktyki!

W znacznie lepszym nastroju skonsumowałem jubileusz naszego tygodnika. „Piłka Nożna” najpierw jako miesięcznik i organ PZPN tylko do użytku wewnętrznego, a potem w wolnej sprzedaży rynkowej, ukazywała się już w latach 1956 – 1973. Teraz był rok 1988, a więc rzeczywiście tygodnikowi stuknęło piętnaście lat. To prawie dwa pokolenia piłkarzy i całe zastępy trenerów, działaczy i służb medycznych, zarówno w klubach jak i w reprezentacji. Żywymi symbolami tego piętnastolecia są przede wszystkim: Kazimierz Górski wówczas Zasłużony Trener PRL, Włodzimierz Lubański – piłkarz trzydziestolecia PRL, Kazimierz

Deyna – piłkarz siedemdziesięciolecia PZPN, Grzegorz Lato – król strzelców Weltmeisterschaft 1974 i rekordzista występów w reprezentacji Polski. To także trenerzy Jacek Gmoch, Andrzej Strejlau, Ryszard Kulesza, Antoni Piechniczek i Wojciech Łazarek oraz wybitni piłkarze: Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda, Józef Młynarczyk, Robert Gadocha, Jan Tomaszewski i ich rówieśnicy. Nasze pismo praktycznie przez całe piętnastolecie towarzyszyło im w drodze do sławy – na dwóch Olimpiadach i czterech finałach mistrzostw świata. Zapewne nie tylko z racji jubileuszowej kurtuazji, mówili wtedy o naszym tygodniku:

Kazimierz Górski: - ...Najbardziej upodobałem sobie w „Piłce Nożnej” trzy rubryki: „Świat między bramkami” pióra Antoniego Piontka, „Grzejąc ławę” Krzysztofa Mętraka i „Z woleja” Stefana Grzegorzycy. To te felietony oraz wywody Miecicia Szymkowiaka i Jerzyka Lechowskiego na temat ligi i reprezentacji najbardziej pobudzały moją wyobraźnię, wzbogacały wiedzę taktyczną, pomagały w pracy...

Więzy łączące mnie z redakcją są trwałe i nie ograniczają się do kontaktów służbowych... Czuję się w redakcji jak we własnym domu. A gdy pracowałem w Grecji, tam dla odmiany redaktorzy z „Piłki Nożnej” czuli się u mnie jak u mamy. Potrafiliśmy wtedy znaleźć czas i na lampkę wina, partyjkę szachów i na roberka w brydża... Podczas mistrzostw świata w RFN Miecicio dość często był moim tłumaczem, a Jerzyk nieocenionym recenzentem mojej pierwszej książki „**Pół wieku z piłką**”.

Na turnieju UEFA w Bułgarii w roku 1959 Stefanek Grzegorzycy i Jerzyk Lechowski (wtedy pierwszy z nich pracował w „Sportowcu”, a drugi w „Przeglądzie Sportowym”) występowali w reprezentacyjnej drużynie dziennikarzy obsługujących tę imprezę, a ja – wspólnie z Miecciem Graczem – w zespole trenerów z całej Europy. Było 3:3, więc

nikt nikomu krzywdy nie zrobił, przyjaźń się potęgowała. I trwa do dziś!...

Ryszard Koncewicz (Zasłużony Trener PRL): - ...Co dwa tygodnie korzystam z rubryki, jaką mi przydzielono i pod winiętą „**Okiem eksperta**” dzielę się z Czytelnikami swoimi doświadczeniami i wiedzą... Staram się pisać przystępnie, podchodzę do omawianych tematów popularnie, zrozumiale dla każdego, kto kocha lub tylko lubi piłkę nożną... Dla mnie – człowieka, który nie przestał się czuć przede wszystkim szkoleniowcem, dużą satysfakcją jest to, że uznano potrzebę przekazywania Czytelnikowi przy sposobności wywiadów, artykułów problemowych, ocen spotkań, wiadomości z zagranicy, itp., trochę wiedzy, która pozwoli każdemu patrzeć na piłkę z większym zrozumieniem jej braków i potrzeb.

Antoni Piechniczek (trener): -...Utworzenie tygodnika było pożądane, a okazało się również wyjątkowo pożyteczne. W najwspanialszym okresie polskiego futbolu mogliście popularyzować ten sport, troszczyć się o rozwój tej dyscypliny i edukację całego środowiska piłkarskiego. Zrobiliście bardzo dużo... Mój błąd i wielu innych szkoleniowców polegał na tym, że powodowani brakiem czasu nie sięgaliśmy sami po pióro, nie próbowaliśmy polemizować. Robić to, co czyni na przykład Ryszard Koncewicz... Cenię i lubię was za to, że nie ograniczacie się do opisywania piłki. Sami jesteście piłkarzami w dziesiątkach meczów „Publikatorów”, gra sama w sobie jest dla was źródłem przeżyć...

Wojciech Łazarek (selekcjoner): ...Moją obecność w tym wspaniałym świecie futbolu „Piłka Nożna” odnotowała, gdy byłem za ledwie trenerem reprezentacji juniorów Wybrzeża. Wszelkie następne szkoleniowe sukcesy zdobywałem w towarzystwie szanownego Jubilata... Wasze bratnie dusze zawsze pomagały mi wybrnąć z największych tarapatów. Najprzyjemniejszy był okres poprzedzający jedno Boże Narodzenie, gdy

dowiedziałem się, że uznaliście mnie „Trenerem Roku”. I takich was pamiętam... Wszak nadane przez was „szlachectwo” zobowiązuje. W dniu waszego Jubileuszu mogę oświadczyć, że nadal będę pracował nad sobą.

Kazimierz Deyna (Piłkarz trzeci na świecie '74): ...Ubolewam, że tygodnik nie powstał wcześniej. Przypomnijmy sobie czasy, kiedy Legia i Górnik swoimi zwycięstwami w europejskich pucharach wytyczały szlak dla całego polskiego piłkarstwa. Już wtedy zainteresowanie w kraju było olbrzymie... Bo po raz pierwszy polskie drużyny klubowe walczyły z zachodnimi jak równy z równym. Dzień po meczu zaczynaliśmy od czytania prasy. Brakowało nam czegoś takiego jak „Piłka Nożna”. Dopiero teraz są miłe wspomnienia. Ja mieszkałem i grałem w Warszawie, wy macie w Warszawie redakcję. Można powiedzieć, że byliście cały czas przy mnie. Przecież redaktor Jerzy Lechowski zna mnie od czasów, kiedy jeszcze chyba sam nie wiedziałem, że będę reprezentantem Polski. A on to wiedział, pracując wtedy w „Przeglądzie Sportowym”. I jak tu wam nie wierzyć?.

Włodzimierz Lubański (Piłkarz trzydziestolecia PRL): - ...Tak się złożyło, że kiedy wy się rodziście i umacnialiście, zdobywaliście sobie popularność, jako tygodnik, ja powoli upadałem. Paradoksem jest fakt, że kiedy nasza reprezentacja wygrywała z Anglią w Chorzowie, rozpoczynając drogę ku światowym wyżynom, dla mnie był to praktycznie koniec kariery... Jestem teraz w Belgii, tam też – choć z dużym opóźnieniem i nie każdy numer – czytam „Piłkę Nożną”. Muszę przyznać, znając poziom pism piłkarskich w zachodniej Europie, że pod względem fachowości znajdujecie się wśród najlepszych. Wasza krytyka jest konstruktywna, zawsze wnosi coś nowego, zmusza do refleksji. Nie ma zjadliwych napaści

tak charakterystycznych dla wielu pism. Gdybyście jeszcze wyglądali tak, jak kolorowe „Kicker”, „France Football”, „Guerin Sportivo” czy choćby holenderski „Voetbal”.

Zbigniew Boniek (Trzeci piłkarz świata '82): - ...„Piłka Nożna” jeszcze w moich bydgoskich czasach zawsze była w naszym domu. Gdy jest się synem piłkarza... Dziś w Rzymie również was czytam z... czterodniowym opóźnieniem., Dobrze was wspominam. Najpierw znalazłem się wśród „Talentów”, potem byłem „Odkryciem Roku”, by wreszcie dwukrotnie być „Piłkarzem Roku”. Ale największą przyjemność zrobiliście mi, gdy umieściliście mnie w „Jedenastce świata”. Bardzo podobała mi się wasza ocena wydarzeń na Okęciu. Była obiektywna, podobnie jak relacje ze śmiesznego naszego procesu. Myślę, że jestem coś winien waszemu tygodnikowi, za te wszystkie lata, gdyśmy się tak dobrze rozumieli...

Grzegorz Lato (król strzelców, WM – 74): - ...Zawsze chętnie czytałem „Piłkę Nożną”, chociaż przeważnie miałem kłopoty z jej kupnem. Czytam ją i dzisiaj, ale tu do Kanady przychodzi z trzytygodniowym opóźnieniem,. Wśród tutejszej Polonii mamy nie pisaną umowę, że po przeczytaniu natychmiast udostępniamy gazetę innym chętnym... Czego można życzyć Jubilatowi? Na pewno kolejnych piętnastoleci w dobrej kondycji. Pod względem fachowości jesteście na dobrym kursie. Trzymajcie go! Róbcie również wszystko, aby choć odrobinę uatrakcyjnić szatę graficzną!...

Józef Młynarczyk (Zdobywca Klubowego Pucharu Świata): - ...Chętnie czytam „Piłkę Nożną”. Jest to jak na polskie warunki świetne pismo specjalistyczne. Bardzo ucieszył mnie fakt, że wasz wybór Piłkarza Roku 1983 padł właśnie na moją osobę. Po „aferze na Okęciu” w powodzi

najrozmaitszych artykułów wykazaliście powściągliwość i niezbędny w takiej sytuacji – chłodny dystans. W końcu to nie „Piłka Nożna” nazwała mnie członkiem „bandy czworga”... Miałem szczęście do trenerów, nie od dziś jednak wiadomo, że najwięcej zawdzięczam Antoniemu Piechniczкови. Niech więc mogę, korzystając z jubileuszowych łamów „Piłki Nożnej”, publicznie mu za to wszystko podziękować...

Rozmowy z naszymi najwybitniejszymi piłkarzami i trenerami przeprowadzili: Jacek Barański, Roman Hurkowski, Waldemar Łodziński, Kazimierz Oleszek, Paweł Smaczny, Stefan Szczepłek i Paweł Zarzeczny. Oni też uznali, że w piętnastoleciu (1973 – 1988) najlepsi w naszych konkursach – plebiscytach byli: Kazimierz Górski (Trener), Kazimierz Deyna (Piłkarz), Zbigniew Boniek (Odkrycie roku), Alojzy Jarguz (Sędzia). Natomiast ja przeprowadziłem wywiad z wydawcą naszego tygodnika, dyr. **Zygmuntem Konopką**. Zapytałem go między innymi:

– Czy dostrzega pan lub dostrzegał wpływ tygodnika „Piłka Nożna” na rozwój i poziom futbolu w Polsce?

– Tak. Moim zdaniem stanowisko zajmowane przez redakcję na pewno wywierało i wywiera istotny wpływ, między innymi na politykę PZPN i ułatwia związkowi formułowanie podstawowych zasad i kierunków społecznej działalności.

– Wiele imprez międzynarodowych odbywa się bez obecności na nich przedstawicieli naszego tygodnika. Czy w tej kwestii widzi pan jakieś możliwości poprawy?

– Z przykrością muszę powiedzieć, że na razie niewielkie. Poprawa mogłaby nastąpić w wypadku rozwinięcia przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą (MAW) działalności eksportowej, co mamy w planie. Wówczas część uzyskanych środków dewizowych można było by

przeznaczyć na wyjazdy służbowe dziennikarzy.

Praktycznie od pierwszego numeru „Piłki Nożnej” stałym felietonistą tygodnika był Krzysztof Mętrak. Najpierw rozdawał „Laury i chłosty”, a później jeszcze bardziej osobiste odczucia przekazywał w rubryce „Grzejąc ławę”. Były to prawdziwe perełki sportowej felietonistyki. W wydaniu jubileuszowym opisał też Krzysio nasze kłopoty lokalowe. Najpierw gnieździliśmy się w trzech pokojach i długim korytarzu na stadionie Skry przy ulicy Wawelskiej, skąd nas permanentnie wyrzucono, potem gdy tam eksmisja stała się faktem, cały rok 1984 spędziliśmy „gościnnie”, niemalże na stojąco redagując pismo na Wspólnej i w Alejach Ujazdowskich. Wreszcie w miarę normalne warunki mieliśmy w kilku pokojach w pawilonie typu „Lipsk” przy Alejach Stanów Zjednoczonych. To tam – gdzie dziś gospodarzem jest stacja telewizyjna „POLSAT”. Na Wawelskiej najczęściej ja wyklócałem się z milicją i robotnikami z ciężarówki. Kilka razy chcieli nas wziąć siłą, ale długo nie dawali rady. Wczesnym rankiem nasza gospoia pani Stefania Sadowska skutecznie odstraszała ich szczotką, mokrymi ścierkami i stanowczym głosem: - Redaktorów jeszcze nie ma i nikt do redakcji nie wejdzie!

Krzysio Mętrak był z nami wszędzie, dobrze nas znał, wszystko widział i wiedział, mógł więc bez żadnych oporów wewnętrznych napisać:

...Kiedy rodził się tygodnik „Piłka Nożna”, nasz futbol odbywał bezprzykładowy marsz ku światowym standardom. Ostatnie lata to jednak marsz w kierunku odwrotnym. Musiało to wpłynąć na charakter pisma, na sposób reagowania nas wszystkich, na rolę, jaką sobie wyznaczamy. Czasy euforii należą do przeszłości, nastały lata wymagające zwiększonego krytycyzmu i prasowej czujności. Wielu młodszych kolegów „posterowało” w kierunku jałowego (na dłuższą metę) negatywizmu, wszędzie szukając

tylko drapieżnych sensacji i afer. Pojęcie „krytyki konstruktywnej” zdewaluowało się, obiektywizm stracił na wartości i cenie.

Wydaję mi się, że „Piłka Nożna” potrafiła zachować pewną równowagę między zdrową i potrzebną krytyką, a propozycjami i postulatami konstruktywnymi. Wiele z tych postulatów pozostało wyłącznie na papierze, ale to już nie nasza wina. Dziennikarze nie odpowiadają za stan i kondycję rodzimego futbolu, choć często na ich barki składa się odpowiedzialność za zło. Są to jednak na ogół nieczne wybiegi ze strony ludzi, którzy nie chcą się przyznać do własnych grzechów. Łatwo więc biją się w cudze piersi... Ciężką nad naszym futbolem jakieś zmory. Nie będę ich dzisiaj wymieniał, żeby nie psuć nam wszystkim „jubileuszowego nastroju”.

CZKAWKA „NAPOLEONA”

Lata 1988 – 1990, to początek naszej transformacji: ustrojowej, światopoglądowej, społeczno-ekonomicznej, politycznej. Szczególnie rok 1989 zapisał się dużymi zgłoskami w historii naszego kraju. Triumfalne zwycięstwo odniosła „Solidarność”, całkowicie zmieniając układ sił w społeczeństwie. Upadł system totalitarny, nastał czas gruntownych reform. Domagano się ich również w piłkarstwie. Na początek zerwano z fikcją premiowania zawodników. Ówczesny sekretarz generalny PZPN, Zbigniew Kaliński przesłał do FIFA pismo następującej treści:

... „PZPN zwraca się z uprzejmą prośbą do FIFA i wszystkich należących do niej federacji narodowych o traktowanie zawodników występujących w polskiej I i II lidze piłki nożnej jako piłkarzy kontraktowych”. Jednocześnie do naszych władz państwowych skierowano

pismo informujące o „przyjęciu systemu piłkarstwa zawodowego”. Zawarte tam tezy poparł ówczesny przewodniczący Urzędu Kultury Fizycznej i Młodzieży, Aleksander Kwaśniewski.

Był to rok kolejnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego PZPN. Zapowiadano dalsze rewolucyjne zmiany. Jednak tylko w niektórych okręgach pojawili się autentyczni reformatorzy. Przeważały opinie i dążenia o charakterze lokalnym. Kraków jednoznacznie stwierdził, że „pada po ciężarem wytycznych”, Gdańsk apelował o „skuteczną pracę z młodzieżą”, a Warszawa była przeciwna dominacji wielkich klubów. Wyraźnie przypomniła „skąd wyrastają ich korzenie”. Domagała się uznania i szacunku dla małych klubów. Tu i ówdzie postulowano też konieczność odchudzenia nadmiernie rozbudowanych rozgrywek ligowych. Podobną linię przyjął zarząd PZPN i miał szczerzy zamiar zreformować głównie ekstraklasę.

Okoniem stanął jednak OZPN Katowice. Storpedował reformę rozgrywek, argumentując, że „jest sprzeczna z uchwałą Walnego Zgromadzenia z kwietnia 1985 roku”. W tej sytuacji Zarząd PZPN był przegrany na dwóch frontach: w walce ze skostniałymi władzami polskiego sportu i we własnym środowisku. Nie mogłem wyjść z podziwu: księżycowe pomysły Śląskiego OZPN, to spaczone spojrzenie na kształt wszystkich trzech lig, poparł trener Jezierski. Należę do ludzi, których nie łatwo zaskoczyć, nigdy przedwcześnie się nie poddaję, ale postawa Leszka niemalże zwała mnie z nóg. Co mu strzeliło do głowy? Balował w nocy z „architektami” tych absurdalnych rozgrywek i nagle diabłu duszę zaprzedał? Boże, nawet „Napoleonowi” przytrafiają się chwile słabości! Ocknął się dopiero tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

– W czerwcu, na Walnym Zjeździe PZPN wdałem się w pewne

układy, po których do dziś mam niesmak.

Nie przeceniam antyreformatorskiej roli Jezierskiego, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w jakimś procencie i on przyczynił się do wywrócenia oszczędnościowego projektu zarządu Związku. Racje centrali dla świątłych ludzi były bardzo czytelne: nadmiernie rozbudowane ligi w czasach, gdy skończyły się patronaty bogatych zakładów pracy, także polityczne polecenia bogatych bonzów partyjnych, są pod każdym względem nieuzasadnione. Kondycja finansowa klubów jest zła, zaczęła się bitwa wyłącznie o byt i przetrwanie. Na tworzenie nowych wartości nie było po prostu pieniędzy.

W wielu klubach walkę o mistrzowskie punkty wyparło zebranie środków na kolejny mecz wyjazdowy. Quo vadis polska piłka? Zdrowa rywalizacja ligowa traciła swój sen, ale krótkowzroczność, prymitywizm i zaściankowość święciły triumfy. W redakcji zastanawialiśmy się, kto jest teraz gorszy – piłkarze czy działacze? Prawda była okrutna. Każda epoka ma takich działaczy, trenerów, piłkarzy, dziennikarzy, na jakich zasługuje. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. W odniesieniu do zawodników znamienna, rzeczywiście na miarę tamtych czasów, była opinia Kazimierza Deyny:

– Patrzę teraz na niektórych piłkarzy reprezentacji i myślę, że gdybym ja był trenerem, u mnie by nie zagrali nawet przez kwadrans.

Deyna wypowiedział te przykre słowa na turnieju oldboyów w Danii dosłownie na kilka dni przed tragiczną śmiercią. Trapiła go współczesność, chętnie więc wracał do przeszłości, lat własnych sukcesów i zwycięstw reprezentacji. Z perspektywy San Diego oceniał naszą piłkarską rzeczywistość. Nie znał realiów, nie wiedział, że cały polski futbol staczał się w dół. Ryszard Tarasiewicz, wówczas jeden z naszych

najlepszych piłkarzy zwierzył mi się w przypiływie szczerości:

– Mój macierzysty klub Śląsk Wrocław od kilku miesięcy nie wypłaca nam premii. Nie ma z czego, kasa pusta...

Opowiedziałem to Krzysztofowi Mętrakowi. Napisał w jednym ze swoich niepowtarzalnych felietonów:

– Nie widać żadnych powodów, żeby sport miał być wyłączony z „płacenia za długi”. Trzeba się przystosować do reguł nowej gry ekonomicznej, jak i nowych zasad ładu społecznego. Kto tego nie zrobi, upadnie. Kluby sportowe muszą szukać sponsorów. Trzeba na chłodno kalkulować to, czego przez lata nie kalkulowano, bo zawsze można było od Dobrego Wujka – Państwa coś wyrwać.

Jak zdobyć pieniądze? – zastanawiał się w „Piłce Nożnej” również Michał Listkiewicz w felietonie „**PZPN za otwartymi drzwiami**”.

... O to przede wszystkim – a nie o wzrost poziomu szkolenia – muszą się dzisiaj martwić kluby, okręgi oraz oczywiście PZPN... Bardzo zaawansowane są rozmowy z kilkoma firmami zagranicznymi, które chciałyby sponsorować naszą federację... Nakazem chwili stało się też wynegocjowanie rozsądnych stawek od rodzimej telewizji za transmisje z meczów ligowych i międzynarodowych... Kiepsciutko prezentują się też dochody od Totalizatora Sportowego.

Jak to wówczas było w okręgach, wiem z własnego doświadczenia, wszak od kilkunastu miesięcy kierowałem Warszawskim OZPN. Transformacja ustrojowa pozbawiła środków do życia nie tylko pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, zaskoczyła nieznanymi dotychczas zjawiskami również wiele innych środowisk, także sportowych – piłkarstwa nie oszczędzając. W Warszawie nie było wcale lepiej, niż w innych regionach kraju. Nasilające się trudności

pobudzały jednak inicjatywę, rodziły pomysły, zmuszały do elastyczności w podejmowaniu decyzji. Znacznie wcześniej niż w PZPN na jednym z zebrań WOZPN wyraziłem smutną prawdę:

– Pierwszą połowę 1990 roku musimy koledzy poświęcić głównie na rozwiązywanie niekorzystnych spraw finansowych... Na razie szkolenie schodzi na dalszy plan.

Ryszard Kulesza, który wtedy w WOZPN sprawował funkcję wiceprezesa do spraw szkolenia, oczywiście ubolewał, że w warszawskim okręgu nie ma już etatowego trenera koordynatora. Dotychczasowy nie potrafił wczuć się w trudną sytuację finansową naszej organizacji. Z braku odpowiednich środków zwolniliśmy część pracowników etatowych, tymczasem ów trener głośno domagał się podwyżki dotychczasowego wynagrodzenia. Oburzenie było powszechne, podziękowaliśmy mu za współpracę. Odszedł w niesławie.

Na kilka miesięcy do społecznego sprawowania funkcji trenera koordynatora pozyskałem Mieczysława Broniszewskiego. Łatał, co mógł, zaglądał do klubów, próbował wyławiać uzdolnionych chłopców, ale brak pieniędzy hamował jego ambicje. Dopiero powołanie KONWENTU PREZESÓW i próba utworzenia FUNDACJI „SAWA FUTBOL” pozwoliły na przywrócenie w Okręgu priorytetu pracy z młodzieżą. Dobre wyniki przyszły jednak dopiero wtedy, gdy trenerem koordynatorem w WOZPN i makroregionie warszawsko-mazurskim został Zygmunt OCIMEK. Złote i srebrne medale w rozgrywkach im. Wacława Kuchara, Jerzego Michałowicza i Kazimierza Deyny posypały się jak z rogu obfitości.

Zacieśniała się współpraca między PZPN i WOZPN. To dobra tradycja, wszak Warszawa zawsze była nieprzebraną kuźnią działaczy dla

piłkarskiej centrali. W pełni doceniał to nowy prezes PZPN, red. Jerzy Domański. Mocnym dowodem umacniającej się symbiozy Brackiej z Alejami Ujazdowskimi były już zeszłoroczne, wspólnie organizowane, uroczystości związane z 70-leciem istnienia PZPN. Potęgowało się zbliżenie kierownictwa PZPN z działaczami stołecznego piłkarstwa. Poczuliśmy się autentycznymi partnerami centrali, byliśmy sobie wzajemnie potrzebni. Pięknie mówił o warszawskich klubach i ofiarności działaczy ówczesny wiceprezes do spraw kontaktów międzynarodowych Kazimierz Górski, a członek Komitetu Wykonawczego Michał Listkiewicz trafnie opisał wagę tego spotkania w „Piłce Nożnej”:

... Ostatnie posiedzenie Komitetu Wykonawczego PZPN odbyło się... na wyjeździe. Co prawda Aleje Ujazdowskie (PZPN) od ulicy Brackiej (WOZPN) dzieli zaledwie kilkaset metrów, ale nie bez racji spotkanie działaczy piłkarskiej centrali z władzami Warszawskiego OZPN uznano za historyczne. Od dawna problemy stołecznego piłkarstwa nie były kierownictwu PZPN przedstawione tak otwarcie i tak kompleksowo.

Co nas łączyło? Nie tylko bliskie sąsiedztwo, długa i dobra tradycja, wciąż nie gasnąca pasja społecznego działania, więzy koleżeńskie, częste przyjaciół rozmowy, nawet biesiady. Tym razem jednak przeważało zbliżone spojrzenie na bolączki polskiego piłkarstwa. Nie było dostatecznych środków do życia, ale „pseudoreformatorzy” zamiast chleba zafundowali nadmiar ligowych igrzysk. Nie realizm, nie rozumne „według stanu grobla”, lecz starosarmackie „zastaw się, a pokaż się” prześwięcały prowincjonalnym „magnatom”. Programowo byli oni przeciwni wszelkim zmianom, głównie w sferze rozgrywek. Prezes Domański zmierzał w kierunku budowania partnerskich stosunków z każdym Okręgowym

Związkiem Piłki Nożnej, ale jego wysiłki w tworzeniu takiego modelu współpracy centrali z terenem okazały się zwykłą utopią. Zarząd przegrywał. Zaczęło się to wszystko w Roku Jubileuszowym PZPN, obchodzonym właśnie swoje siedemdziesięciolecie.

Przeddziesiątkilat obserwowałem (i komentowałem) obrady Walnych Zgromadzeń PZPN z... „łóży prasowej”, najpierw jako przedstawiciel „Przeglądu Sportowego”, a później „Piłki Nożnej”. Nigdy jednak nie byłem delegatem na zjazd, choć na brak propozycji reprezentowania tam klubów lub okręgów narzekać nie mogłem. W roli tej wystąpiłem dopiero w 1989 roku. W połowie lutego dość przypadkowo objąłem kierownictwo Warszawskiego OZPN. Zebranie przebiegało wtedy już w nieco innym stylu, zaczęło pachnieć zmianą klimatu. Jednak znowu był tylko jeden kandydat na funkcję prezesa - Marian Uraz i zgodnie z wieloletnią tradycją zapowiedziano wybory jawne. Ale nagle padły głosy z sali, pierwszy – „potrzebny kontrkandydat”, a drugi – „wybory powinny być tajne”.

Prowadzący obrady późniejszy pierwszy wiceprezes PZPN Eugeniusz Kolator podjął temat. Wtedy rękę w górę podniósł Zbigniew Stanaszek z LKS „Mazur” Karczew i zaproponował w imieniu małych klubów moją kandydaturę. Sprzeciwu nie było. Przegłosowano też formę wyborów – tajne. Kolejna nowość: poproszono ustępującego prezesa Mariana Uraza i mnie o publiczne zaprezentowanie programu działalności. Tego dawno na takich zebraniach nie było. Nieco zaskoczony, podszedłem do mikrofonu i dosłownie „z kapelusza” wyłożyłem swoje racje. Były pełne żaru, ofensywne, typowo warszawskie, zgodne z duchem oczekiwanych przemian. Gdy skończyłem red. Mirosław Skórzewski z „Przeglądu Sportowego” wyciągnął ku mnie przyjacielską dłoń:

- Juruś, witam nowego prezesa WOZPN! Wygrałeś to w cuglach!...
- Miruś, za wcześnie się podniecasz... Jeszcze nie było wyborów...
- Będą tajne... To twój duży atut... Zresztą, twoje wystąpienie zrobiło wrażenie na delegatach... Zajmę się przygotowaniem bankietu w „Domu Dziennikarza” na Foksal...

Forma wyborów spodobała się delegatom, a dla mnie rzeczywiście była korzystna, bo wybrano mnie sporą większością głosów. I tak na długie lata i kilka kadencji stałem się prezesem Warszawskiego OZPN. Otrzymałem też mandat delegata na Walne Zgromadzenie PZPN. Impreza odbywała się w Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 115. Debiut w nowej roli już nie był tak pomyślny. Wygłosiłem przemówienie, chyba najlepsze w całej karierze działacza społecznego, ale zupełnie nie przystające do „piłkarskiego betonu” zebranego w tej sali. Zbyt merytoryczne i krytyczne. Tymczasem ludzi interesowała głównie bitwa o pezetpeenowskie stołki i ewentualne zyski dla własnego środowiska. Atmosfera żywo przypominająca szlacheckie sejmiki: Każdy sobie rzepkę skrobie...

Referat sprawozdawczy wygłosił ustępujący prezes płk Zbigniew Jabłoński. Odważnie, krytycznie ocenił mijającą kadencję, ale był przeciwny odejściu Wojciecha Łazarka. Natomiast gorąco apelował o reorganizację wszystkich trzech lig i kierowanie się przy tej niezbędnej kuracji dobrem całego piłkarstwa, a nie lokalnym partykularyzmem. To też było ostre wystąpienie, co nie wróżyło Jabłońskiemu powodzenia w wyborach na prezesa. W „Domu Przyjaźni” wciąż unosił się duch odchodzącej epoki. Dyskusję utrzymano w dawnym klimacie i starym stylu. Nastrojami sterowali delegaci z Katowic. Przyjechali na Zgromadzenie dobrze przygotowani, z pomysłami trafiającymi w gusta zebranych. Piłkarski

koncert życzeń, dla każdego coś miłego, głównie w sprawie kształtów wszystkich trzech lig. Wygrali.

Zwyciężyła więc prywatna, lobby okręgów nieprzychylnych centrali i nomenklatura z ośrodków ligowych. Siły te odrzuciły reformę zaproponowaną przez zarząd PZPN, bo uderzała w ich wąskie interesy. Zdecydowaną większością głosów utrzymano I ligę w dotychczasowym kształcie (16 drużyn), utworzono 20-zespołową II ligę w jednej grupie (!) i do granic monstualnych rozbudowano III ligę – cztery grupy po 20 drużyn każda. Farsa w roku jubileuszowym! Zamiast powszechnie oczekiwanej reformy kompromitacja „reformatorów”. Opinia publiczna przyjęła te karkołomne decyzje jako „dziurawienie piłki”.

W wyborach przypadła większość członków dotychczasowego zarządu i prezes, który opowiedział się za odchudzeniem ligi. Nowym szefem PZPN został red. Jerzy Domański. Upatrywał we mnie kandydata na jednego z wiceprezesów PZPN, ale po moim krytycznym wystąpieniu wyraźnie dał do zrozumienia, że w tym towarzystwie „nie dałem mu żadnych szans”. Zasadnicze powody były dwa: nie uczestniczyłem (mimo natarczywych telefonów do domu) w nocnych rodaków rozmowach o dzieleniu wyborczych łupów, a przecież byłem już prezesem WOZPN, no i nie zostawiłem suchej nitki na dotychczas obowiązujących wiernopoddańczych układach w strukturach PZPN.

Oburzenie było aż nadto widoczne. Zaledwie kilka osób miało odwagę zbliżyć się do mnie i podziękować za odwagę, strawną formę i trafną merytorycznie treść wystąpienia. Najgoręcej wyraził to obecny na tym Zjeździe Bogdan Łazuka. Gonił mnie po sali i wykrzykiwał:

– Jurek! Jurek! Stój! Gdzie tak pędzisz?... Ale im przyłożyłeś! Mam jednak wątpliwości czy oni cośkolwiek z tego zrozumieli...

Moje spojrzenie na polski futbol końca lat osiemdziesiątych podzielił jednak red. Mieczysław Szymkowiak, niegdyś wiceprezes PZPN, a teraz aktywny członek Koła Seniorów. Przypomniał jak dokładnie przed czterdziestoma laty ludowa władza likwidowała wszystkie związki sportowe i manipulowała ligą piłkarską. W miejsce PZPN – w narzuconych z zewnątrz strukturach – pojawiła się sportowa atrapa czyli Sekcja Piłki Nożnej Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Nastrój w domu przyjaźni polsko-radzieckiej i podejmowane tam decyzje bardzo podobne – przekonywał:

... Krótkowzroczność, prymitywizm, zaściankowość... To kłóci się z klimatem zmian zachodzących w naszym kraju. Wtedy jednak inni za nas decydowali, a teraz niby demokratycznie wybrani delegaci sami się kompromitują. Niedawno Dziekanowskiemu zablokowali paszport, dziś zahamowali postęp w lidze. Wywrócili reformę. Czy to ma być powrót do normalności? Boże, teraz tylko handel „żywym towarem” może zmniejszyć powstałe niedobory. Czy tak rozdmuchana liga zdoła się obronić piłkarsko i ekonomicznie?...

Nowy prezes związku nie miał jednak wystarczających sił na walkę ze szkodnikami i... nie dotrwał do końca kadencji. Był przeciwny nadętym kształtom rozgrywek ligowych, zapowiedział też przywrócenie pełnego amatorstwa w III lidze. Rzucił pomysł w gniazdo os. Reakcja „zagrożonych” była natychmiastowa. W połowie stycznia 1991 roku we Wrocławiu zebrali się przedstawiciele 12 klubów ligowych i opracowali „Statut – regulamin Unii Klubów Ligowych PZPN”, w którym zasygnalizowali jej autonomię w... ramach PZPN. Pomysł dobry, ale zaprezentowany w formie kamuflażowej, bo ambicje większości członków – założycieli „Unii” były znacznie większe. Postanowienie to rychło więc złamano i

podjęto bardziej radykalną uchwałę: „PZPN i organizacje z nim związane są ciałami służebnymi i mają obowiązek honorowania postanowień podjętych na niniejszym spotkaniu”.

Efektem obrad „dwunastki gniewnych” było powołanie Rady Ligi Polskiej. Kwartet najaktywniejszych (Andrzej Bińkowski, Piotr Bierwagen, Marian Dziurawicz i Maciej Kapelczak) zobowiązano do opracowania programu i regulaminu funkcjonowania Rady. Ludziom nie obeznanym z działalnością w piłkarstwie, a takim niewątpliwie był najgłośniejszy pokrzykujący Kapelczak, zamarzył się kolejny duży skok: zwołanie Nadzwyczajnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego PZPN. Klimat po temu był sprzyjający, przeto Maćko z Wrocławia wszczął ostrą walkę z kierownictwem związku.

Programowo zupełnie inne zdanie miał Jerzy Domański. Odważnie i rozsądnie bronił stanowiska Komitetu Wykonawczego w sprawie redukcji lig, ale na apele te głusi byli przedstawiciele klubów. Co więcej, Domański nie był w stanie przekonać do swoich idei nawet członków zarządu PZPN. Przegrał z tymi, co go wynieśli na fotel prezesa. Honor i ambicja nie pozwalały mu w takich warunkach na dalszą działalność: podał się do dymisji. Rezygnacja została przyjęta, a funkcję pełniącą obowiązki prezesa powierzono Kazimierzowi Górskiemu. Zapowiedziano Zjazd Nadzwyczajny.

Jak ocenić tę skróconą kadencję? Praktycznie cały rok 1989 stał pod znakiem jubileuszu 70-lecia PZPN. Organizowano lokalne turnieje, okolicznościowe mecze, wystawy i pokazy, zdobywano Młodzieżową Odznakę Piłkarską. Przywrócono do łask Dzień Piłkarza. Centralne imprezy zorganizowane wspólnie przez PZPN i WOZPN odbyły się w Mirkowie pod Warszawą. Atrakcją był kiermasz towarów rzadko

spotykanych na rynku; do Warszawy najchętniej przewożono pluszowe misie i papier toaletowy. W połowie listopada PZPN wspólnie z „Przeglądem Sportowym”, katowickim „Sportem”, „Piłką Nożną” i redakcją sportową Telewizji Polskiej, ogłosił konkurs – plebiscyt na wybór piłkarza i trenera 70-lecia. Wątpliwości nie było: najlepszym piłkarzem wybrano niedawno tragicznie zmarłego Kazimierza Deynę, drugi był Włodzimierz Lubański, trzeci – Zbigniew Boniek, a czwarty – Grzegorz Lato. Trenerem siedemdziesięciolecia z ogromną przewagą punktową został Kazimierz Górski, drugie miejsce zajął Antoni Piechniczek, a trzecie Andrzej Strelau.

Wyróżniono również Ryszarda Kuleszę i Ryszarda Koncewicza. „Fajce” wręczono Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Moja rola i działaczy WOZPN oraz klubów warszawskich w organizowaniu głównych uroczystości w Mirkowie była znacząca. Mimo braku pieniędzy (kluby i okręgi ledwo wiązały koniec z końcem) nie było szaro i nudno. Odżyły gry i zabawy. Przemiany ustrojowe szczególnie mocno dotknęły średnie i małe kluby. Skończyły się dotacje państwowe, ale pasja działania wyraźnie wzrosła. Poszukiwano nowych rozwiązań. Pojawiły się pierwsze formy sponsoringu, zacieśniła się więź okręgów z klubami. W Warszawie na przykład, z mojej inicjatywy prawie przez dziesięć lat funkcjonował i dobrze zapisał się w historii WOZPN – KONWENT PREZESÓW. Ligowcy wspólnie z klubami niższych klas skutecznie wspierali organizacyjne i szkoleniowe pomysły służące stołecznemu piłkarstwu.

WIECIE KOLATOR... SŁUCHAJCIE ŻELAZKO...

Sympatia dla futbolu i chęć skutecznego w nim działania były wówczas w najwyższej cenie. Środowisko starało się być solidarne i zintegrowane. Jeszcze nie wyczuwało się nieuchronnie nadchodzącego podziału na „my” i „oni”, bogatych i biednych, chuchania na reprezentantów z lig zagranicznych i nieco z ukosa spoglądania na grajków krajowych. Taka właśnie atmosfera dokładnie w połowie grudnia 1989 roku charakteryzowała również finałową uroczystość Roku Jubileuszowego PZPN. W Sali Turkusowej Grand Hotelu w Warszawie nawet wiecznie niezadowolony Jan Tomaszewski bił brawo, gdy referat okolicznościowy wygłaszał prezes Jerzy Domański, a wicepremier Jan Janowski publicznie wyraził uznanie dla założycieli PZPN, jego obecnego kierownictwa i pięknej historii naszego futbolu „oczka w głowie” większości rodaków.

W felietonie „PZPN za otwartymi drzwiami”, tak to opisał w „Piłce Nożnej” Michał Listkiewicz:

„Uroczystość w warszawskim „Grandzie” była moim zdaniem taka, jaka powinna być w obecnej sytuacji polskiego futbolu i w ogóle całego naszego życia społecznego. Skromnie, rzeczowo, w gronie prawdziwych przyjaciół z boisk i stadionów”.

O stworzenie takiej właśnie atmosfery na tym niecodziennym święcie naszego piłkarstwa dość długo zabiegał prezes Jerzy Domański. Usiłował zażegnać wszelkie spory i jeszcze mocniej zespolić środowisko. W „Grandzie” Tomaszewski obok Andrzeja Strejlaua i Michała Listkiewicza, więcej – także obok Leszka Jezierskiego, któremu ostatnio mocno wdarł się za „skórę”, a Stanisław Eksztajn przekazujący Eugeniuszowi Kolatorowi i Witowi Żelazce „znak spokoju”. To był spory sukces prezesa, bo przecież wciąż krążyło wśród sędziów nierozważne oświadczenie ich „ojca chrzestnego”:

– „Wiecie Kolator, gwizdać owszem – umiecie, ale zagranicę to wy nie wyjedziecie”...

– „Słuchajcie Żelazko, ponieważ publicznie mnie skrytykowaliście, będę głosował, żebyście nie sędziowali w pierwszej lidze”.

W „sędziowskiej rodzinie” niezbyt mile widziany był też nieskazitelnie czysty moralnie Edmund Brzeziński i buntowniczy Jerzy Hołub. Co się u nich ówczesnym „prominentom w czerni” najbardziej nie podobało? Styl sędziowania! Byli przede wszystkim partnerami dla zawodników, a nie katami, umieli znaleźć z nimi wspólny język. Potrafili wczuć się w atmosferę na placu, tłumili gorszące nastroje, współtworzyli widowisko. Mieli w sobie coś z szołmenów. Kibice to akceptowali, zwłaszcza przy Hołubie i Żelazce nudzić się było niesposób. Na uroczystościach jubileuszowych humor wszystkim dopisywał. Fanfar nie było, stoły skromnie zastawione, ale emocji i zadowolenia nie brakowało. Na moment zapomniano o szarej rzeczywistości.

Zły wpływ na sytuację w naszym piłkarstwie wywierały wciąż głośnie i bulwersujące echa czerwcowego Walnego Zgromadzenia PZPN. Pogłębiało się „dziurawienie piłki”, po kilkunastu latach tłustych, znowu zabrakło „biało-czerwonych” w finałach mistrzostw świata. Na Copa del Mondo we Włoszech nasz futbol reprezentowali tylko trzech działacze (prezes Domański, sekretarz generalny Marek Pietruszka i jego zastępca Zbigniew Kaliński) oraz siedmiu trenerów – obserwatorów: Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Andrzej Strejlau, Władysław Stachurski, Janusz Wójcik, Włodzimierz Gąsior i Jerzy Wyrobek.

Plonem tej skromnej wyprawy nad Tybr był jednak w miarę szybko i dość poprawnie opracowany „**Raport z II Mondiale Italia ‘90**” oraz przyjęcie przez prezydenta FIFA Joao Havelange’a zaproszenia do Polski.

W publikacji (znowu do użytku wewnętrznego) podkreślono teraz już powszechnie stosowane zmiany w ustawieniu zawodników na boisku (system gry) i taktyczne: trzech obrońców, pięciu pomocników i dwóch napastników oraz tzw. „skracanie pola gry”. Raport przestudiowałem, poza tym moc cennych uwag osobiście przekazał mi Edmund Zientara. Przekonywał, że futbol w najbliższej przyszłości wcale nie musi być nudny i wyłącznie defensywny. Copa del Mondo 1990 był turniejem bez rozkapryszonych gwiazd grających egoistycznie i wyłącznie na własny rachunek. Nawet dwie największe indywidualności, Niemiec Lothar Matthaeus i Argentyńczyk Diego Armando Maradona grali dla dobra swoich drużyn. Turniej we Włoszech utwierdził Zientarę w przekonaniu, że bodźce finansowe nie są jedyną i główną motywacją do dobrej gry. O klasie, formie i wizerunku zawodnika decydują przede wszystkim umiejętności.

Również Zbigniew Boniek z uwagą obserwował te mistrzostwa. Kibicował gospodarzom, wszak od lat mieszkał w Italii, a począwszy od 1982 roku przez kilka ładnych sezonów grał w Juventusie i Romie. Od początku II Mondiale miał jednak nietęgą minę, bo jego faworyt z trudem wygrywał. Z Austrią i USA tylko po jednej bramce strzelili Schillaci i Giannini, dopiero w meczu z Czechosłowacją dwa gole dla Włochów zdobyli Schillaci i Baggio. Po wygranych w II rundzie z Urugwajem 2:0, a w ćwierćfinale z Irlandią 1:0, wydawało się że będący w doskonałej formie strzeleckiej Schillaci, poprowadzi Włochów do finału Copa del Mondo. Ale na tej drodze w półfinale stanęła Argentyna, mistrz świata z poprzedniego Mundialu w Meksyku. Tak to widział Zbigniew Boniek w swej barwnej publikacji:

... „W Neapolu odbył się pogrzeb włoskiej piłki. Italia mogłaby

przegrać na tych mistrzostwach z każdym, ale nie z Maradoną. Trzeba znać Włochy, trzeba wiedzieć o wciąż utrzymującym się podziale na północ i południe, żeby zrozumieć dlaczego niemal całe Włochy nie lubią Maradony z Neapolu. Tymczasem - moim zdaniem - Diego rozegrał najlepszy mecz na tych mistrzostwach. W dogrywce, mimo że Argentyna grała w dziesiątkę, Maradona był absolutnie piłkarzem numer jeden na boisku. Z pełną świadomością dążył do karnych, zdając sobie sprawę, że mistrzowie świata będą mieli kolosalną przewagę psychiczną nad gospodarzami”.

Włochy upokorzone, rzuty karne wygrała Argentyna i przeszła do finału.

... „To był na pewno jeden z brzydszych finałów w ostatnich kilkunastu latach – stwierdził Boniek. – W Meksyku Argentyna była nadzieją wszystkich wielbicieli futbolu. Wielki Diego zdeptał wówczas konkurencję... Nie ma najmniejszego sensu porównywanie finału z 1986 roku i ostatniego. Tam Argentyna była faworytem, tutaj liczyła wyłącznie na Maradonę i znowu na karne. Taktyka trenera Bilardo mogła być tylko jedna – zaryglowanie tyłów 6-7 zawodnikami i niezłomna wiara w Maradonę, a potem w rzuty karne...”.

Tak, Carlos Bilardo dobrze ocenił wartość i możliwości swojej drużyny. Liczył, że ktoś z reprezentacji Niemiec sfauluje Maradonę i w taki oto sposób tytuł mistrza świata znowu powędruje do Buenos Aires. Ale tym razem wyobraźnia go zawiodła. Karny był i on przesądził o tytule, jednak nie Kohler sfaulował Maradonę, tylko Serrizuela błyskotliwego Voellera. Jedenastkę pewnie wyegzekwował Andreas Brehme i Franz Beckenbauer ze swoją drużyną znowu triumfował. Oceniał to krótko, ale treściwie: - **„Byliśmy drużyną lepszą, zasłużyliśmy na zwycięstwo”**.

Włochom na pocieszenie pozostała walka o trzecie miejsce. Wygrali z Anglią 2:1. Ocenia Zbigniew Boniek:

... „Moim zdaniem był to najładniejszy mecz całego turnieju. Dopiero w chwili, gdy stawka nie wiązała nóg, Włosi potrafili pokazać wiele wspaniałych akcji. Również Anglicy udowodnili, że akurat tego dnia i jedni i drudzy sprawiliby Niemcom dużo więcej kłopotów w finale niż Argentyna. Włosi wygrali trochę przy pomocy Shiltona, ale najważniejsze dla gospodarzy, że dzięki bramce „Toto” Schillaciego i tytułowi króla strzelców mogli zachować resztki dobrego samopoczucia straconego w Neapolu... To Mondiale jeszcze raz udowodniło, że włoska piłka nożna opiera się na doskonałej grze w defensywie... Trzecie miejsce zapewne nie satysfakcjonuje Włochów, ale było godnym pożegnaniem z piękną imprezą”.

Wkrótce po mistrzostwach świata we Włoszech prezydent FIFA, Joao Havelange rzeczywiście odwiedził Polskę. Spotkanie z kierownictwem PZPN i wybraną grupą działaczy piłkarskich z całej Polski traktował priorytetowo, ale nie omieszkał też spotkać się w Gdańsku z Lechem Wałęsą, a w Warszawie z wicemarszałkiem Sejmu Olgą Krzyżanowską i wicepremierem Janem Janowskim. Szef FIFA był wobec „przyjaciół z Polski”, podkreślał to wszędzie i przy każdej okazji, niezwykle szarmancki. W sali recepcyjnej hotelu „Victoria”, gdzie o dziwo mnie poznał i pamiętał, że w roku 1982 podczas Mundialu w Hiszpanii, udzielił mi wywiadu, stwierdził zobowiązująco:

– Przybyłem do Polski, aby pomóc w rozwiązywaniu problemów z jakimi się boryka wasz futbol.

Na Wybrzeżu złożył głęboki ukłon pod adresem „Solidarności”:

– Gdańsk jest symbolem, kolebką ruchu, który stał się głównym

animatorem przemian nie tylko w Waszym kraju. Zaprosiłem przewodniczącego Lecha Wałęsę do udziału w ceremonii otwarcia mistrzostw świata w Stanach Zjednoczonych w 1994 roku...

W podróży do Gdańska towarzyszył prezydentowi FIFA ówczesny wiceprezes PZPN Kazimierz Górski. Lech Wałęsa powitał go niezwykle serdecznie:

– Pan Kazimierz jest dla mnie wielką postacią. Ostatni patriotyczny dreszczyk emocji, jaki przeżyłem, zawdzięczam jemu. W Niemczech sprawił, że byliśmy lepsi od Argentyny, Włoch i Brazylii...

Towarzyszyłem Górskiemu w podróży do Stalowej Woli na I Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej Drużyn Polonijnych. Na stadionie pojawił się niemal równocześnie z powszechnie szanownym tam biskupem katolickim, entuzjastą futbolu. Nie miałem wątpliwości, że to duszpasterza powitano gromkimi oklaskami. Tymczasem wyraźnie podekscytowany spiker krzychał do mikrofonu: - *Serdecznie witamy wybitnego trenera, wiceprezesa PZPN – Kazimierza Górskiego!* Ciarki przeszły po mnie od stóp do głowy... Takie wyróżnienie?!... Na drugich mistrzostwach polonijnych w Stalowej Woli PZPN reprezentowałem ja, na wniosek Kazimierza rok wcześniej wyniesiony do rangi wiceprezesa do spraw sportowo-szkoleniowych. Otwierałem i zamykałem imprezę, przemawiałem i wraz z uczestnikami turnieju oraz tysiącami widzów głośno śpiewałem: - **Marsz, marsz Polonio! Nasz dzielny narodzie!...**

Miałem też powody do zadowolenia czysto osobiste. Pierwsze miejsce w turnieju zajął „Polonez” Wiedeń, którego prezesem i jednocześnie kapitanem drużyny był mój syn, Leszek. Jak tam się znalazł? Wyjechał z Polski z żoną i córką wkrótce po zakończeniu stanu wojennego. Kto mu ułatwił ten manewr, nie mam pojęcia. Akurat wtedy

w szpitalu na Bródnie operowano mi żyłki. Zaraz po tym po raz kolejny wezwano mnie na dywanik do Biura Prasy KC PZPR. Ktoś „życzliwy” ze „spółdzielni ucho” doniósł o „przestępstwie” syna. W „białym domu” przesłuchiwał (właściwie rozmawiał) ze mną Jerzy Domański, wtedy jeszcze bardzo młody działacz PZPN, a w latach 1989 – 1991 jego prezes. Donos skwitował jednym zdaniem: - *Nie mam zamiaru legalizować odpowiedzialności zbiorowej...*

Wewnątrz PZPN wiele spraw wciąż wymagało pilnego rozwiązania. Odważnie podejmował je właśnie Domański, między innymi: próbował napęlić pustawą kasę związku, zażegnać spory nękające środowisko sędziowskie, skuteczniej realizować nadawanie licencji trenerskich i łagodzić napięcia wśród starszych i młodszych szkoleniowców. Do rangi klasyka urosło starcie Leszka Jezierskiego z Janem Tomaszewskim. Niedawno „Tomek” był uczniem „Napoleona”, a teraz sam usiłował go pouczać. Sąd koleżeński PZPN podjął decyzję kompromisową: - *Panowie, podajcie sobie ręce! Wszak jesteśmy z tej samej piłkarskiej rodziny.* Tomaszewskiego jeszcze bardziej to rozjuszyło, na znak protestu zrezygnował ze współpracy z selekcjonerem, Andrzejem Strejlauem. Zapytany zaraz potem, co będzie robił w klubie jako samodzielny trener, odpowiedział szybciej niż pomyślał:

- To samo, co Jezierski – tylko wszystko odwrotnie!

Wysiłki nowego prezesa dość często przypominały „szyfrowe prace”, jednak szczególnie jeden ruch organizacyjno-szkoleniowy trzeba wyraźnie zapisać na jego dodatnie konto. W końcu 1989 roku PZPN podpisał porozumienie dotyczące powołania i współpracy z Piłkarską Fundacją Olimpijską. Sfera działań organizacyjnych spoczywała głównie na Fundacji, natomiast w gestii PZPN, głównie Wydziału Szkolenia,

były formy tworzenie drużyny na Olimpiadę w Barcelonie. Na czele Rady Fundatorów Piłkarskiej Reprezentacji Olimpijskiej stanął znany biznesmen Zbigniew Niemczycki. Jego credo było na miarę nowych czasów:

– W futbolu obecnej doby nie ma już miejsca na amatorszczyznę, improwizację w sensie organizacyjnym, liczenie na przypadek lub zrządzenie losu. Skoro wymagamy od piłkarzy gry na wysokim poziomie, musimy im stwarzać odpowiednie warunki do podnoszenia kwalifikacji.

Powołano Zarząd Fundacji, a prezesurę powierzono Henrykowi Losce. Wybór trafny nie tylko dlatego, że Henio był doskonale obeznany z pracą w wielkim klubie i PZPN. W Górniku Zabrze kolekcjonował tytuły mistrzowskie i sukcesy w Pucharze Polski, również w PZPN działał skutecznie i był powszechnie lubiany. „Miał szczęśliwą rękę”, czego i gdzie się nie dotknął, tam leciała mu manna z nieba. Umiał skupić wokół siebie wartościowych ludzi i jako wiceprezes lojalnie z nimi współpracować. Tak było i tym razem. Znalazł wspólny język z trenerem Januszem Wójcikiem, choć nie raz zgrzytał na niego zębami, także z jego asystentem Pawłem Janasem i kierownikiem drużyny Krzysztofem Rolą-Wawrzeckim. Zawiózł mnie Loska do Jaworzna na międzynarodowy debiut tej drużyny z olimpijską reprezentacją Bułgarii. Była to ekipa jeszcze „zielona”, ale... obiecująca, bez trudu wygrała 2:0. Miała zresztą jeszcze sporo czasu na odpowiednie „dotarcie”.

W roku 1990 istniały praktycznie trzy reprezentacje seniorów: dwie A, jedna oparta niemal wyłącznie na zawodnikach występujących w krajowej lidze, druga mocno wspierana przez graczy z lig zagranicznych i... trzecia - olimpijska. Zadania? Przed połączonymi zespołami A kolejna próba zakwalifikowania się do finałów mistrzostw Europy w

Szwecji, a przed drużyną olimpijską awans na Igrzyska w Barcelonie. Początek kandydatów na Szwecję był fatalny. W Gdańsku z okazji „Igrzysk Solidarności” gościła klubowa jedenastka Eintrachtu Frankfurt. To był przykry widok, nasi dość skrupulatnie wyselekcjonowani ligowcy zaprezentowali styl gry jakby żywcem wzięty z zamierzchłej epoki. Zachowawczy, bez ładu i składu, bierność fizyczna i psychiczna. Kandydaci do reprezentacji przeszli po prostu obok gry. Taka postawa, abstrahując od kiepskich umiejętności, napawała smutkiem szczególnym. Miernej wartości rywal wygrał 4:1.

Kreowanie graczy tej klasy, jakich zaprezentowano w Gdańsku, było niewątpliwie niegodziwością wobec historii. Jednak terażniejszość oddawało dość wiernie. Drugi rzut kadrowiczów przypominał uliczną zbieraninę. Nie dorosli do reprezentacji. – Może zabrzmiało to nieco humorystycznie – pisałem w tekście przed meczami z Anglią – ale faktem jest, że skazani jesteśmy na gloryfikowanie przeciętności. Cała nadzieja w piłkarzach występujących – w ligach zagranicznych. Również „olimpijczycy” zbyt wolno dojrzewali. Brakowało im inwencji twórczej, odwagi, młodzieńczej żywiołowości. Nie grali na miarę oczekiwań. Kiedy się wreszcie obudzą?

Olśnienie przyszło na stadionie Tottenhamu w Londynie, w przeddzień meczu pierwszych reprezentacji Anglii i Polski o punkty w mistrzostwach Europy. Przed przerwą „olimpijczycy” jeszcze drzemali, ale gdy w czasie przerwy Janusz Wójcik mocno ich zbeształ, w drugiej połowie przeszli cudowną metamorfozę. Grali teraz ambitnie i konsekwentnie. O zwycięstwo! Dostrzegliśmy to na trybunach i także się ożywiliśmy, a gdy w końcowej fazie meczu Dariusz Adamczuk zdobył zwycięską bramkę, Loska omal nie oszalał. Z radości tak mnie trzasnął

w chory kręgosłup, że z bólu dość długo nie mogłem złapać oddechu. Henio nie był w stanie opanować wzruszenia, reagował tak jakby uległ narkotycznemu odurzeniu. Fruwał gdzieś w obłokach, myślałem, że się ze szczęścia popłacze. W takim stanie jeszcze nigdy go nie widziałem. Przepraszał, gdy na bankiecie rozluźniła go whisky...

Teraz Wembley czekało na armadę Andrzeja Strelaua. Ten sam termin, taki sam dość ciepły i pogodny wieczór, co w roku 1973. Tylko przepaść w umiejętnościach i szczęściu w ciągu tych 17 lat ogromna. Było 1:1, jest 0:2! Wtedy i teraz w centrum uwagi był Kazimierz Górski. Miał jednak dużo więcej szczęścia jako trener niż działacz. Mnie na ten mecz praktycznie ostatni w dziennikarskiej karierze, bo już zacząłem myśleć o emeryturze, wydelegował tygodnik „Piłka Nożna”. Diety jak zawsze skromne, ledwo wystarczały na hotel podłej kategorii, ale z Górkim zginąć nie mogłem. Czuł się w Londynie, jak prawdziwy lord. Reprezentował nasz futbol na wszystkich oficjalnych spotkaniach i towarzyskich przyjęciach. Brał mnie do kompanii. Otrzymał do dyspozycji superluksusowego Rolls-Royce’a i hulał po Londynie. A ja razem z nim.

Powoził nas po londyńskim bruku kierowca ustrojony w elegancką liberię i czapkę z epoki wiktoriańskiej. Zatrzymywał się wyłącznie na sygnał gościa z Polski. Bystry facet, we właściwym momencie wyłączał telefon, otwierał gustowny barek, stawiał na zgrabnej podpórce szklaneczki do whisky i zgodnie z tutejszym rytuałem napełniał je tym boskim trunkiem. Nastawiał radio, muzyka grała. W sąsiedztwie Hyde Parku delektując się „szkocką”, z nieukrywanym zdziwieniem wysłuchiwalismy wystąpień przygodnych trybunów ludu. Górski z namaszczeniem przejął od kierowcy żarzące się hawańskie cygaro i wydawał dalsze rozkazy.

Złożyliśmy kwiaty przed pomnikiem naszych lotników poległych w Bitwie o Anglię. Na zwiedzanie galerii figur woskowych Madame Tussaud's tym razem czasu już nie było.

W przegranym meczu z Anglią 0:2 na Wembley nie grał Dariusz Dziekanowski. Fakt, był „enfant terrible” naszej reprezentacji (w przeszłości też ich nie brakowało), ale bez tego „kłopotliwego dziecka” drużyna sporo traciła na wartości. To jednak piłkarz dużej klasy. Dowiodło tego już następne spotkanie – również o punkty mistrzostw Europy – z Turcją w Stambule. Polska wygrała 1:0, a zwycięską bramkę zdobył właśnie Dziekanowski. Odżyły nadzieje na korzystny finał tej rywalizacji, bo rewanżowy mecz z Turkami w Warszawie wygraliśmy aż 3:0. Tym razem na Legii najlepiej zaprezentował się Roman Kosecki. Bezbramkowy remis z Irlandią w Dublinie też należało uznać za korzystny. Będzie wreszcie udany finał? Teraz w Polsce trzeba wygrać rewanżowe mecze z Anglią i z Irlandią!

TRENER PREZESEM PZPN

Jesienią „biało-czerwoni” na arenie międzynarodowej uzyskiwali z reguły lepsze wyniki niż wiosną. To potęgowało optymizm. Duże nadzieje wiązano również z objęciem przez Kazimierza Górskiego prezesury PZPN. Może i na tej funkcji będzie tak skuteczny jak w roli trenera? Już w styczniu zapowiadane Nadzwyczajne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze odbyło się w dniach 10 i 11 czerwca 1991 roku. Moja rola w przygotowaniu tego futbolowego sejmiku była dość duża. Pomagałem Górskiemu, pełniącemu wtedy obowiązki prezesa, w ustaleniu składu sześciu merytorycznych komisji, w opracowaniu referatu

sprawozdawczego, wyraziłem też zgodę na objęcie przewodnictwa w komisji wyborczej. To było kłopotliwe zadanie. Proszono w rozmowach telefonicznych lub „przypadkowych” spotkaniach o koleżeńską przysługę przy ustalaniu listy kandydatów do zarządu. Nawet dwaj dotychczasowi wiceprezesi i jeden dopiero ubiegający się o pezetpeenowskie szlify dość jednoznacznie sugerowali: „*Miej nasze nazwiska na względzie*”.

Kazimierz Górski był jedynym kandydatem na prezesa PZPN. Kiedy jego nazwisko podałem delegatom i zapytałem czy ktoś proponuje jeszcze inną osobę na tę funkcję, na moment zapadła grobowa cisza. Rychło jednak przerwał ją huragan braw. Nowy sternik Związku został wybrany przez aklamację. Zjawisko to, niegdyś dość powszechne, w światku piłkarskim tu i ówdzie nadal było praktykowane. Niespełna dwa miesiące wcześniej, mnie również w ten sam sposób, już na drugą kadencję wybrano w Warszawskim OZPN. W PZPN powierzono mi funkcję wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych. Kazimierz Górski nieco się wtedy zagalopował; do rangi wiceprezesów wyniósł aż sześciu członków zarządu, w tym dwóch z pionu szkolenia. To nie mogło zdać egzaminu.

Pozycja Kazimierza Górskiego była wówczas bardzo mocna. Walne Zgromadzenie zagwarantowało mu wolną rękę w wyborze ścisłego kierownictwa PZPN nawet spoza kręgu członków zarządu. Górski okazał się jednak demokratą w każdym calu – nie skorzystał z możliwości utworzenia „dyrektoriatu koleśiów”. Zaproponował tylko (i uzyskał zgodę) utworzenia dziesięcioosobowego zespołu sportowo-szkoleniowego, w którym obok trenerów: Leszka Jezierskiego, Ryszarda Kuleszy, Andrzeja Strelaua i Edmunda Zientary byli także dwaj wiceprezesi – Marian Dziurawicz i Jerzy Lechowski. To oni mieli płynąć pod prąd.

Błyskawicznie potęgowało się „urynkowanie piłki nożnej”. Z kraju wyjeżdżali najlepsi, natomiast do naszej ligi sprowadzono graczy miernej jakości. W tej sytuacji grupa sportowo-szkoleniowa szybko zareagowała: „Zespół, rozumiejąc nieuchronność tego rodzaju procesów, pragnie jednocześnie przestrzec przed dalszą wyprzedaną zawodników. Wymagają tego interesy naszej ligi i reprezentacji. Nie zapominajmy, że wykładnikiem poziomu piłkarstwa w każdym kraju jest przede wszystkim drużyna narodowa”. Apel pozostał bez echa, a reprezentacja coraz bardziej kulała. Dna sięgnęła w meczu ze Szwecją na wyjeździe. Niedawno kręciłem nosem, gdy – po w miarę wyrównanej grze – w Malmö było 0:1, a w Sztokholmie 1:2, teraz odebrało mi mowę, po klęsce 0:5. Raport przed członkami prezydium PZPN złożył Strejlau. Mnie się upiekło, bo akurat wtedy w Sztokholmie nie byłem. Andrzejowi zasychało w gardle, gdy meldował:

... „Nasza drużyna w każdym elemencie wyszkolenia była wyraźnie słabsza od zespołu Szwecji. Wyjątkowo niski u polskich piłkarzy był poziom motoryki, zwłaszcza szybkość. W zasadzie tylko trzech zawodników Jacek Ziober i Roman Kosecki, a w drugiej połowie także Krzysztof Warzycha dorównywało umiejętnościami przeciwnikom”.

Przyczyna? Moim zdaniem głównie dla bramkarza Kazimierza Sidorczuka oraz graczy z pola: Piotra Jegora, Dariusza Skrzypczaka, Jerzego Podbrożnego i Janusza Góry były to stanowczo za wysokie progi. Zresztą w meczach ze Szwedami rzadko kiedy byliśmy górą, z reguły przewyższali nas organizacją i kulturą gry. Ale tym razem głównie z powodu beznadziejnego przygotowania fizycznego dostaliśmy tak mocno w pupę. Co na to Strejlau? Zawodników słabych kondycyjnie lub za późno przyjeżdżających na zgrupowania, bankietowców słusznie

odsylał do domu. Miał pełne poparcie Wydziału Szkolenia. W prezydium i zarządzie PZPN już nie. Podniosła się demagogiczna wrzawa, także w mediach sugerowano, że mamy wybitnych piłkarzy, tylko trener jest nie za dobry. Czy dlatego, że napiętnował tych najbardziej rozrywkowych? Podjęto w Alejach Ujazdowskich uchwałę, z której dość jasno wynikało, że decyzje selekcjonera były chybione. Górą ignoranci i dobrzy wujkowie! Czy w tej sytuacji możliwe były lepsze wyniki reprezentacji?

Na początku lat dziewięćdziesiątych dla delegatów na Nadzwyczajne Zgromadzenie PZPN znacznie istotniejsza była odpowiedź na pytanie: - **Co dalej z I, II i III ligą?** Prezes Górski, zewsząd zbierający gratulacje i wysłuchujący głośnego „Sto lat”, w swoim wystąpieniu apelował o zachowanie rozwagi przy omawianiu kształtu tych klas rozrywkowych. Był to głos wołającego na puszczy!... Tu już żadnych sentymentów nie było. Co tam Górski?! Co tam reprezentacja?! Umiłowanie własnego klubu i samego siebie, podlizywanie się delegatom - wszystko to wzięło górę nad sympatią do prezesa i losami drużyny narodowej. Triumfowały: prywatnie, partykularyzm, szowinizm lokalny i interesy ligowców z przerostem ambicji. Chcą potęgą być i basta!

Ten Nadzwyczajny Zjazd PZPN odbywał się w teatrze „Buffo” w Warszawie. To świątynia rozrywki, zazwyczaj pełno w niej ognistych tańców, dowcipu, humoru i satyry wytykającej nam wszelkie przywary. Dobry kabaret. W „Buffo” w szaty ludzi estrady tym razem ustroili się działacze piłkarscy. Przyjęli wrocławską propozycję prezesów 12 klubów i... powiększyli „ekstraklasę” do 18 drużyn. Rozbudowali też II ligę (dwie grupy po 18 drużyn), zaś III ligę ulokowali w 8 makroregionach: gdańsko-pomorskim, śląskim, małopolskim, lubelskim, łódzkim, wielkopolskim, warszawsko-mazurskim i dolnośląskim. Dyskusja i końcowe decyzje w

tej sprawie przypominały kiepski kabaret.

Pojawiły się też głosy rozsądku. Zapowiedziano oczyszczenie zachwaszczonego przedpola. Wyraźnie zmierzano w kierunku dostosowania naszych przepisów i regulaminów do norm międzynarodowych (zacieśnienie współpracy z FIFA i UEFA) i do zmieniających się w kraju warunków społeczno-ekonomicznych. Za konieczną – w świetle nasilającego się łapówkarstwa – uznano bieżącą analizę dochodów i wydatków w klubach oraz oszczędną gospodarkę finansową Związku. Pilną potrzebą stało się również wzmożenie wysiłków w celu wprowadzenia w Polsce futbolu profesjonalnego (licencyjnego) oraz utworzenia przez PZPN szkoły trenerskiej i własnego ośrodka metodyczno-szkoleniowego. Usiłowano więc wyjść naprzeciw wyzwaniom nowej rzeczywistości, ale przeszkód w ich realizacji było więcej niż szczerych chęci i wiedzy o „dobrej robocie”.

Rok 1991 chyba tylko dla Kazimierza Górskiego był w pełni udany. Środowisko wyniosło go na fotel prezesa PZPN dokładnie w siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Była wielka feta. W dużej sali recepcyjnej hotelu „Victoria” w tej samej, w której przed rokiem z honorami goszczono prezydenta FIFA, Joao Havelange’a, przyjaciele zgotowali Jubilatowi widowisko iście królewskie. Strawy było początkowo niewiele, ale uczyły dla ducha – więcej niż podczas dziś tak popularnych benefisów wybitnych osobistości w Teatrze Stu w Krakowie. Sięgam po pamiątkowe zdjęcie z tej urodzinowej gali w „Victorii” – same sławy ze świata Melpomeny i aren sportowych: Irena Szewińska, Magdalena Zawadzka, Halina Kunicka, Grażyna Torbicka, Stanisław Tym, Wiktor Zborowski, Zbigniew Wodecki, Andrzej Supron oraz najbliżsi Górskiemu z boisk piłkarskich – Stefan Grzegorzczak, Jerzy Lechowski, Michał Listkiewicz,

Henryk Loska i inni. W samym środku tego niecodziennego ujęcia – solenizant Kazimierz, tuż obok jego żona Marysia, moja Danusia i Krystyna Loska.

Było bardzo rodzinnie, przyjemnie, bohater dnia tryskał dowcipem. Stanisław Tym do łez rozbawił towarzystwo okazjonalnym monologiem, a Magdalena Zawadzka z ogromnym wdziękiem zaśpiewała: - „**Kaziu, Kaziu zakochaj się!**”. W ogóle występ niepowtarzalny! Ktoś wyrecytował wiersz przygotowany na tę uroczystość przez Wojciecha Młynarskiego, ktoś inny odczytał najpikantniejsze fragmenty z książki tercetu autorskiego: Kazimierz Górski – Stefan Grzegorzczak – Jerzy Lechowski „**MOJE 70 LAT**” czyli „**Sekrety trenera Górskiego**”. Mnie przypadły do napisania w tej publikacji trzy rozdziały: „Dziecko Lwowa”, „Łazienkowska i okolice”, „Tak go widzą inni” oraz spore fragmenty „Wygnanie czy nowa przygoda”. Finał w atmosferze jak „u cioci na imieninach”, w „zielonym barku”, zaś dla najwytrwalszych w „Czarnym kocie”, nocnym lokalu „Victorii”. Orkiestra grała lwowskie melodie.

Kto bliżej nie znał Górskiego, tam właśnie poznał go w pełnym wymiarze. Towarzyski facet, każdemu przyjazny, chętnie podpisywał swoje „Sekrety...”, odporny na toasty, śpiewający. Tylko na tańce nie miał ochoty. Taki był zawsze. A jak postrzegali go inni? Myślę, że fizyczną i psychiczną strukturę Górskiego bardzo dokładnie ukazali jego przyjaciele właśnie w książce „**Moje 70 lat**”

Michał KRAUS, były piłkarz Pogoni i Spartaka Lwów: - Lubił towarzystwo, niekiedy mówił, że „w domu to ludzie umierają”. Typowy napastnik.

Ryszard KONCEWICZ: Nic, co piłkarskie nie jest mu obce: grał w lidze i reprezentacji, pracował z juniorami i seniorami w klubach i

reprezentacjach. Układ ja i Górski? Nasze sprawy zawodowe nie wpłynęły na osobiste.

Jan BOCZEJ, lwowianin, działacz Polonii Bytom, Legii Warszawa i PZPN: - Z zawodnikami z reguły rozmawiał indywidualnie, lubił też pogwarzyć z ich żonami. Na ławce trenerskiej powściągliwy, reagował kulturalnie, nie beształ zawodników, był dla nich wyrozumiały, przyjacielski...

Edward POTOREJKO, lwowianin, były sekretarz generalny CWKS Legia: - To skromny człowiek, wyrozumiały, ujmujący, ale chyba zbyt delikatny w życiu i... łatwowierny. Uczciwy, koleżeński, przyjacielski... Nigdy nie wykorzystywał dobrych znajomości.

Edmund ZIENTARA, były piłkarz ligowy, kapitan reprezentacji: - Solidnie podchodził do pracy. Czym się różnił od Bobka? Był lepszym fachowcem. Prowadził interesujące życie. Bobek był apodyktyczny, Górski umiał znaleźć z nami wspólny język. Zmuszał ludzi do myślenia i tworzenia.

Wiesław MOTOCZYŃSKI, były selekcjoner i wiceprezes PZPN: - Kazio to dobry organizator, jest współtwórcą rozgrywek o Puchar im. Jerzego Michałowicza. Przekazywał zawodnikom te wartości, którymi wcześniej sam imponował. Preferował wyszkolenie techniczne... Nie znosił graczy bez charakteru!

Ryszard KULESZA, były selekcjoner i wiceprezes PZPN: - Dobrze wspominał Wacława Kuchara, Edwarda Brzozowskiego, Tadeusza Forysia, Ryszarda Koncewicza. Od nich przejmowałem wiedzę i doświadczenie. U Górskiego imponowała mi prostota poczynań, nieskomplikowana taktyka, jasna i dla wszystkich zrozumiała filozofia działania. Integruje każdy zespół, niczego nie narzuca, w grze daje szansę

na improwizację...

Stanisław NOWOSIELSKI, były prezes PZPN: - Zawsze miał koncepcję własną, praktycznie już wszystko wiedział, ale do końca nie lekcewał opinii innych. Z reguły był opanowany, ale potrafił też wrzasnąć na swoich asystentów „K..... mać, co wy robicie?!”. Potem szybko się reflektował: - No dobrze, dziękuję... Zróbmy to tak i krótko wyłuszczał swoją wizję i argumenty.

Henryk LOSKA, były działacz klubowy, wiceprezes PZPN: - Jako trener miał jakiś szósty zmysł. Trafiał w dziesiątkę!... W Murrhardt zaimponował mi w tzw. „sprawie Musiała”. Było to, po wspaniałym meczu z Włochami, piłkarz za późno wrócił do hotelu.:

- Adaś pozwól... Porozmawiamy. Co to, zegarek ci stanął?...

A potem zawiesił lewego obrońcę. Zapytałem Górskiego, dlaczego zdecydował się na taki krok.

- Trzeba było zrobić mały wstrząsik, bo... za dobrze idzie. Niektórzy myślą, że już są mistrzami świata...

Włodzimierz LUBAŃSKI, były kapitan reprezentacji: - To drugi ojciec! Swoistą rodziną była dla niego cała drużyna... Darzyliśmy więc trenera olbrzymią sympatią i bezgranicznym zaufaniem. Pani Maria Górka czasami dziwiła się, że traktujemy go jak ojca. Żartowała: - A może on naprawdę prowadzi drugie życie? Jeżdżę teraz po całej Europie, spotykam tam pana Kazimierza, gwarzymy przy piwku bądź szklaneczce whisky...

Andrzej STREJLAU, były trener-selekcjoner: - Trener Górski nigdy nie był egoistą w swojej pracy, szanował wysiłek innych. Ufał im i życzył sukcesów. Ale też wymagał, żeby opiekunowie młodszych zespołów pamiętali o priorytecie pierwszej reprezentacji... Zabierał

mnie na konferencji prasowej, mówił - będziesz się uczył... Nasz zespół jeszcze nie osiągnął najlepszej formy, trzeba to umiejętnie wytłumaczyć redaktorom... On działa na zawodników mobilizująco, a nie bulwersująco. Umiał wyzwolić ambicje reprezentantów: - Jesteście najlepsi. Kluby z krajów zachodnich chyba nie przypadkowo was wykupiły.

Lesław ĆMIKIEWICZ, mistrz olimpijski, trener: - Po meczu z Anglią na Wembley byliśmy w dyskotecie. Wróciliśmy późno, mocno „zmęczeni”. Podczas śniadania trener spojrzał na nas i pokiwał głową.

- Słabo wyglądacie panowie!... Przydałaby się wam lampka koniaczku...

- A pan trener się z nami napije?

- Czemu nie?

Jan TOMASZEWSKI, były reprezentant Polski: - Powołał mnie na mecz z Walią w Cardiff, pocieszał: - Psy szczekają, karawana jedzie dalej!... Jego atuty? Wychowawca, psycholog, bystry obserwator, wiedział jak kreować indywidualności. Kazimierz Górski był trenerem i selekcjonerem! Niczego nie wymyślał za biurkiem... Wszystko sprawdzał na boisku.

Nadal istniały dwie reprezentacje seniorów. Najlepsi z klubów krajowych i zagranicznych tworzyli drużynę A i kontynuowali rozgrywki o mistrzostwo Europy. Zespół młodzieżowy-olimpijski obrał kierunek na Olimpiadę w Barcelonie. Bieżące zadania realizował pomyślnie: wygrał mecze rewanżowe z Turcją i Anglią oraz oba z Irlandią. Bilans zaskakująco dobry: 6 kolejnych zwycięstw, 12 zdobytych punktów i różnica bramek 12-2. W równie imponującym stylu awans do finałów mistrzostw Europy w Niemczech wywalczył zespół juniorów Under - 18. W eliminacjach same zwycięstwa i ani jednej straconej bramki! W pracy z młodzieżą,

tak w PZPN jak i w WOZPN, pomagałem nie opuszczającemu mnie szczęściu. Wszędzie było mnie pełno: na treningach i zgrupowaniach, na meczach kontrolnych, mogłem więc śmiało powiedzieć, że „pańskie oko konia tuczy”.

Pilnie śledziłem też ostatnią fazę przygotowań „olimpijczyków” do Igrzysk w Barcelonie. Decydującą rolę w długim cyklu szkoleniowym odegrało zgrupowanie tej kadry z Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Reprezentowałem tam prezydium PZPN, ale wciąż pamiętałem, że jestem dziennikarzem. Po raz ostatni w swej karierze zawodowej opisywałem tę wyprawę w dwóch czasopismach – „Przełądzie Sportowym” i „Piłce Nożnej”; przepracowałem w nich w sumie prawie czterdzieści lat. Było, minęło. Korespondencje z Dubaju i Sharjah przekazywałem wyłącznie z dobrej woli, dla przyjemności, a nie z redakcyjnego obowiązku. Mile wspominał podróż nad Zatokę Perską, wszak po drodze i później w towarzystwie Antka Piechniczka, który pracował wtedy w ZEA oraz tete’a tete z Januszem Wójcikiem lub Pawłem Janasem, gustując przy okazji w „Jasiu wędrowniczku”, snuliśmy ambitne plany na przyszłość. Henio Loska pił bardzo rzadko i mało, a jednak mocno się rozczulał:

– Z tą drużyną zjeździłem już kawałek świata, ale chyba dopiero tu w Emiratach poczułem się jak u Pana Boga za piecem. Gdzie indziej o tej porze roku znaleźlibyśmy tak znakomite warunki do pracy i taką życzliwość gospodarzy? Chłopcy to widzą i doceniają...

Za znakomity wikt i opierunek, klimatyzowane pokoje w nowoczesnym hotelu „Continental” i dobrze utrzymane boiska, młodzi piłkarze odwdzięczali się doskonałą postawą w grach kontrolnych. 8:0, 6:0 i 8:0 – to były znaczące sygnały ich piłkarskiego potencjału. Wtedy Wojtek Kowalczyk i Andrzej Juskowiak, czołowi strzelcy z Barcelony,

byli jeszcze w cieniu Grzegorza Mielcarskiego, Tomasza Wieszczyckiego i Jerzego Brzęczka, ale ich snajperskie uzdolnienia dojrzewały w oczach. Początkowo Juskowiak fatalnie pudłował, dopiero w meczu z olimpijską reprezentacją ZEA zachwycił nawet Walerego Łobanowskiego.

– To wybitnie uzdolniony napastnik! – pokrzykiwał. – Ten blondyn w obronie (mowa o Tomaszu Wałdochu) też ma przed sobą piękną karierę...

Juskowiak strzelił w tym meczu trzy gole; jeden z nich był w stylu „bomby” Ernesta Pohla ze zwycięskiego meczu ze Szkocją. Wtedy to w Glasgow Ernest „wstrząsnął Hampdem Parkiem”, a teraz Andrzej na stadionie Al Wasl w Dubaju do rozpaczy doprowadził miejscowych działaczy. Prasa dolewała oliwy do ognia:

– Po co nam to było? Taki wstyd! Trenerze Mosjagin, co pan na to?! Nasi mają siłę tylko na 60 minut...

Zmartwionych Arabów pocieszał Antoni Piechniczek, a wtórował mu Walery Łobanowski:

– Panowie, spokojnie! To żaden wstyd! Pokonał was finalista najbliższych Igrzysk Olimpijskich w Barcelonie...

Prorocze słowa, finał rzeczywiście był nasz, ale niewiele brakowało, by wysiłek wielu ludzi z ostatnich trzech lat został zaprzepaszczone. W pierwszym meczu decydującym o „przepustce” na Olimpiadę nasi „cudowni chłopcy” przegrali z Aalborg z Danią aż 0:5.

– Młode lwy bez zębów! – Zapomnieć o Barcelonie! – pojawiły się głosy w polskiej prasie.

Znowu siedziałem na tym meczu ramię w ramię z Henrykiem Loską. Milczący i słaby. Twarz papierowa, pali jednego papierosa za drugim. Mnie też szlag trafiał, ale starałem się sięgnąć do źródeł tej

kompromitacji. Wyłuszczyłem Heniowi swoje racje:

– Wójcik nie miał dostatecznego rozeznania o wartości Duńczyków... Widać sądził, że to „kelnerzy”, nie w pełni ukształtowani piłkarze, zaś niektórzy nasi zawodnicy po udanym zgrupowaniu w Emiratach przedwcześnie poczuli się „piłkarskimi gwiazdami”. Udany etap pracowitych przygotowań w Dubaju i Sharjah przekreślono skłonnościami do wygodniejszego życia. W drodze powrotnej z Aalborg do Warszawy pasażerowie – goście Zbigniewa Niemczyckiego nie mieli ochoty na żarty i olimpijskie toasty. Dmuchali na zimne: premier Jan Krzysztof Bielecki, ksiądz prałat Henryk Jankowski, prezes Kazimierz Górski, zawiedziony Włodzimierz Lubański...

Co dalej? Teraz koniecznie w Zabrzu trzeba wygrać mecz rewanżowy lub w najgorszym wypadku – przy szczęśliwych dla nas wynikach pozostałych spotkań – zremisować. Trener Wójcik chodził jak struty, ale wciąż wierzył w swoją gwiazdę i ambicje piłkarzy: - **Barcelona będzie nasza!** Udało się, Szkoci pokonali Niemców i utorowali nam drogę do Katalonii. Był to krzepiący gest bogini szczęścia. Postawiła na właściwego konia. Bez naszej drużyny turniej olimpijski byłby okaleczony. Bramkostrzelni Polacy przywrócili futbolowi piękno, ofensywny styl i wiarę, że też może być ozdobą Olimpiad. Finał Hiszpania – Polska (3:2) był widowiskiem pasjonującym, godnym króla sportu!

Było w tej naszej kadrze olimpijskiej wielu utalentowanych piłkarzy. Najlepszych poznałem już znacznie wcześniej w turnieju o Puchar im. Jerzego Michałowicza, klubowych mistrzostwach Polski juniorów i w rozgrywkach organizowanych przez UEFA. Wyróżniał się przede wszystkim Tomasz Wałdoch, duże nadzieje rokował Tomasz Łapiński, wkrótce z dobrej strony pokazali się Andrzej Juskowiak,

Grzegorz Mielcarski i Wojciech Kowalczyk. Ten „chłopiec z Bródna” od dziecka starał się dreptać własnymi ścieżkami. Indywidualista! Gustował w oryginalnych sądach i... bulwersujących opisach z życia piłkarzy. Pupilem Janusza Wójcika był jednak Jerzy Brzęczek, niezły technicznie i... wygadany kapitan drużyny. Mnie specjalnie nie przypadł do gustu, bardziej do roli rozgrywającego pasował Tomasz Wieszczycki. Jeśli niegdyś widziało się w akcji Gracza, „Gigę” Majewskiego, Brychczego, Szoltyśnika, Deynę i Kupcewicza, to... łatwiej o taką opinię.

Najszybciej z tego „wójcikowego” towarzystwa, jeszcze przed Olimpiadą w Barcelonie do pierwszej reprezentacji trafili: Kowalczyk, Wałdoch i Mielcarski. „Kowal” już jako dziewiętnastolatek w meczu z Sampdorią Genua o Puchar Zdobywców Pucharów strzelił dwie bramki dla Legii Warszawa, a zaraz po Olimpiadzie wywalczył z nią mistrzostwo Polski. To z barcelońskiej ekipy osobowość najbardziej wyrazista, ale piłkarsko nie do końca spełniona. Kowalczyk mógł i powinien dokonać więcej! Nie miał na to ochoty. W przeszłości takich piłkarzy, którzy w równym stopniu pokochali „rozkosze dnia i nocy” było więcej: Pohl, Edmund Kowal, Szymborski, Jankowski, Strzykalski, Słaboszowski, Baszkiewicz, Wspaniały, Monica, Okoński i spora grupka ich mniej utalentowanych rówieśników. Teraz nieco trudniej o taką diagnozę, bo dostęp do ligowych szatni i reprezentacji jest mocno strzeżony.

Dawni trenerzy i selekcjonerzy: Reyman, Krug, Koncewicz, Matyas, Foryś, Motoczyński, Górski, Gmoch i Kulesza, a za ich przykładem zawodnicy byli mniej zamknięci w sobie. Dziennikarza o żyłce działacza traktowali jak bratnią duszę, osobę godną zaufania i... partnerskiej współpracy. Wraz ze zmianą statusu naszego futbolu z „państwowego amatorstwa” na profesjonalny i narastającego podziału na ligowców z

kraju i zagranicy zaczęły się pojawiać pierwsze tamy, rodziły się jakieś tajemnicze enklawy, świat reprezentacji stawał się bardziej intymny i zamknięty w sobie. Ukrywano tajemnice warsztatu, taktyki, zarobków?

Jałowe konferencje prasowe nie były w stanie zaspokoić opinii społecznej. Sporo informacji przekazywanych z drugiej ręki bądź niepełnych, okrojonych, traciło walor autentyczności. Raz nawet właśnie z tego powodu zaiskrzyło na linii wiceprezes – selekcjoner. Andrzej Strejlau, gdy publicznie pozwoliłem sobie mieć nieco inne zdanie na temat jego współpracy z mediami, zamierzał mnie wezwać przed oblicze sądu koleżeńskiego. W rozmowie w „cztery oczy” uznaliśmy jednak, że gdy walczy się o to samo wspólne dobro, choć nieco inaczej, nikt nie powinien zadzierać nosa. Wyciągnąć tylko ku sobie ręce i w zgodzie dążyć do celu. Szło to topornie. Tylko juniorzy i „olimpijczycy” nie sprawiali kłopotów, natomiast członkowie kadry narodowej powodowali ból głowy i wiele nieprzespanych nocy.

Bardzo aktywne wówczas Koło Seniorów PZPN zaprosiło mnie na jedno ze swoich zebrań. Starsi panowie nie szczędzili słów krytyki. Pytali, czemu przymykam oczy na nieporadność reprezentacji. Żyli tematem, bolała ich niska pozycja Polski w Europie. Przed rewanżowymi meczami z Irlandią i Anglią wręcz do rozpacz doprowadziła ich kompromitująca przegrana w Poznaniu z Francją 1:5. Starąłem się bronić Strejlaua i piłkarzy, bo przez 20 minut grali naprawdę dobrze, nawet prowadzili 1:0. Jednak czujny i świetnie znający te sprawy z autopsji Ryszard Koncewicz uznał to za kiepski żart i skwitował krótko: - *Czarno to wszystko widzę!*

„Faja” miał rację, choć wygrana w Gdyni ze Szwecją i remis z Holandią w Eindhoven nie zapowiadały katastrofy. Grano poprawnie. Byłem na tych meczach w towarzystwie Kazimierza Górskiego, był

bardziej wymagający, ale nie tracił wiary. Dopiero po kolejnych remisach z Irlandią (3:3) i Anglią (1:1) omal nie trafił go szlag.

– Jerzyk! Zapewne dużo lepiej czuł byś się dziś w tradycyjnej roli recenzenta prasowego, niż wiceprezesa PZPN. Te wyniki – to nasza przegrana, ale pociesz się, że pójdą głównie na moje konto. Zresztą diabli wiedzą, kto teraz bardziej cierpi, Strejlau czy ja. A przecież Andrzej to dobry trener. Szkoda tylko, że nie ma równie dobrych wyników...

Nikt jednak w PZPN nie stawiał dla Strejlaua szubienicy. Rozgrzeszono go, bo spisał się nie gorzej i nie lepiej, niż wszyscy jego poprzednicy. Finały mistrzostw Europy od dziesiątków lat są dla nas owocem zakazanym. Za wysokie progi? Czasu na rozpamiętywanie było niewiele, bo już kilka tygodni później oczy sympatyków piłkarstwa skierowały się ku stolicy świata, Nowemu Jorkowi. Dokładnie w dniu Świętego Mikołaja 1991 roku odbyło się tam losowanie grup eliminacyjnych przed kolejnym Mundialem. Finały World Cup '94 w królestwie futbolu amerykańskiego! Soccer nie jest pierwszą miłością kowbojów i farmerów, ale biznesmeni uznali, że i na tej grze można zarobić furę dolarów.

ŚLEDZTWO W NOWOJORSKIM KONSULACIE

Z PZPN na to losowanie oficjalnie wydelegowano cztery osoby: prezesa Kazimierza Górskiego, wiceprezesów Jerzego Lechowskiego i Michała Listkiewicza oraz trenera – selekcjonera Andrzeja Strejlaua. Poza tym, praktycznie na własny koszt, wybrali się tam również Ryszard Piechaczyk z Poznania i Władysław Robaszewski z Warszawy. Obaj byli wtedy członkami komisji finansowej naszego związku. Z Warszawy do

Londynu poleciliśmy LOT-em, a potem przejęło nas British Airways. Była to oferta bardzo korzystna pod względem finansowym. Zrodziła jednak sporo domysłów i plotek. Zaraz po lądowaniu w Nowym Jorku redaktor Maciej Majewski z tamtejszego „**Nowego Dziennika**” zadał Andrzejowi Strejlauowi szokujące pytanie:

– Czy to prawda, że bilety na samolot wykupili wam Anglicy? Tu u nas, w Stanach mówią, że była to dodatkowa premia za „układowy remis” w Poznaniu...

Tylko ten, kto dobrze zna Strejlaua, jest w stanie wyobrazić sobie jego reakcję. Gotów był rozerwać zuchwalca na strzępy. Z trudem udało się nam wyprowadzić pana Majewskiego z błędu. Na szczęście pogoda w metropolii Nowego Świata była wspaniała, znacznie cieplej niż w Warszawie i humory rychło się nam poprawiły. Wszystkich gości zakwaterowano w The New York Hilton Hotel przy Avane of the Americas. Cały piłkarski świat - przedstawiciele 141 krajów - znalazł się nagle w jednym miejscu. To city miasta. Stąd zaledwie kilkaset metrów do Central Parku i słynnego Broadwayu. Zamieszkałem w jednym pokoju z prezesem Górskim. To najbardziej znany trener – prezes. Także Michała Listkiewicza serdecznie tu witają, zwłaszcza młodzi z FIFA i UEFA. Uściskali go również Jugosłowianin Miljan Miljanic, Rumun Stefan Kovacs i Holender Rinus Michels. Wysoko cenią Polaka, mówią, że jako sędzia piłkarski dał się poznać z dobrej strony na Copa del Mondo we Włoszech.

Była sobota 5 grudnia. Wybraliśmy się na spacer do Central Parku. Ulice Nowego Jorku nie są w tym dniu łatwe do sforsowania. Wszędzie tłok i coś się dzieje. Tu Murzyni sprzedają różne błyskotki, tam ktoś w sportowym stroju biegnie po chodniku, ktoś inny wskakuje do pubu na

piwo, uliczni sprzedawcy zachwalają hamburgery, a na skrzyżowaniu ulic dmuchają w trąbki ludzie z Armii Zbawienia. Huczą syreny barwnych samochodów. W Central Parku jakaś wysoka dziewczyna kłania się panu Kazimierzowi i mówi, że poznała go na mistrzostwach świata w Niemczech. Za chwilę fiaker kolorowej dorożki ostro strzela z bata i krzyczy: - *Panie Górski, co się dzieje z polską piłką nożną?!...*

O piątej popołudniu jesteśmy na koktajlu u Francuzów. Ludzie prezydenta federacji Michela Cogniana i Michela Platinięgo podłechtują podniebienia gości krewetkami, homarami, ostrygami i wytwornymi trunkami. Niech piłkarski świat zapamięta szampański gest „trójkolorowych”. Francja ma ambicje zorganizowania w roku 1998 kolejnych mistrzostw świata. Marzy też o tym Maroko. Prezes tamtejszej federacji liczy na wsparcie naszego prezesa. Kazimierz Górski jest tu teraz po prostu rozrywany. Grecy go całują, kupcy i hotelarze z Bermudów przynoszą do naszego pokoju śliczną torbę ręcznie plecioną, a w niej dziesiątki kolorowych prospektów i folderów. Reklama jest dźwignią handlu. Liczą więc ludzie z tej małej wysepki, że jeszcze przed World Cup '94 Polacy ich odwiedzą i dadzą zarobić trochę dolarów.

Wieczorem wielka gala. Najpierw koktajl – gigant w Grant Ballroom Foyer w hotelu Hilton, a zaraz potem niecodzienna kolacja dla ponad 1500 osób w sąsiedniej sali. Podchodzą do „polskiego stolika” prezes Anglików sir Berl Milichip z żoną, a za chwilę szef Holendrów Jo Van Marle. Prezes Kanadyjczyków Keran Pipe zaprasza naszą drużynę na tournée w połowie 1992 roku. Wtórjuje mu wiceprezes amerykańskiej federacji John Edwards. Ten i ów przekazuje pozdrowienia dla Alojzego Jarguza. Znają go z Mundialu w Argentynie i Hiszpanii. W piłkarskim świecie wciąż jesteśmy wysoko notowani. Wyspiarze stosują przy naszym

stole biesiadnym autentyczny pressing. Piją z nami i wykrzykują „na zdrowie”! Mamy kłopoty ze skonsumowaniem rolady z łososia i krwistego befsztyka. W rękach tylko kieliszki, tylko chirs i chirs!... Uroczą Barbarę Eden śpiewem umiła tę przyjacielską wymianę toastów.

Nagle cała sala wstaje, klaszcze, niektórzy gwizdzą, gdy na podium pojawiają się kapitanka kobiecej reprezentacji Stanów Zjednoczonych Shannon Higgins i najlepsza snajperka niedawnych mistrzostw świata w Chinach, Michelle Akers-Stahl. Pierwsza ma ładną, prawdziwie dziewczęcą buzię, druga – jest wysoka, ma długie nogi i coś z boiskowego urwisa. W niedzielę przed południem jechaliśmy razem z nimi na losowanie World Cup ‘94. Było miło, gdy Akers-Stahl chwaliła nasze piłkarki i... wspominała jeden z ich występów na Sardynii. Tam jak Michelle nas zapewniała, padł sensacyjny remis 1:1, co w świetle ostatnich sukcesów Amerykanek, było wyczynem godnym uznania.

Losowanie mistrzostw mężczyzn odbyło się w małej sali Madison Square Garden, zwanej potocznie The Paramount Theater. Usadowiliśmy się w siódmym rzędzie, tuż przed nami trener Stefan Kovacs, a zaraz za naszymi plecami słynny „Święty” i James Bond w jednej osobie czyli Roger Moore z dwoma swoimi „goryłami”. W przodzie cała elita FIFA: Joao Havelange, Hermann Neuberger, Sepp Blatter i inni. Kokietowała ich Barbara Eden, porywała wdziękiem gości z całego świata, ale ucałowała tylko Rogera Moore’a. Niewątpliwie była jedną z jego wielbicielk, jednak tym razem gorący całus był podziękowaniem i nagrodą za czek wartości miliona dolarów. „Święty” wręczył go prezydentowi FIFA jako dar dla UNICEF. Dobrzy ludzie kochają dzieci na całym świecie.

Nasza ekipa, jeśli idzie o czysto sportową stronę losowania, przyjęła je z godnością i spokojnie. Tylko raz przeszył nas dreszczyk emocji.

Znaliśmy już czterech rywali: Anglię, Norwegię, Turcję i San Marino, kto jeszcze będzie? Stawialiśmy na Austrię, ale tego życzenia los nie przyjął. Znowu pojawiła się Holandia. Boże, co za grupa! Prezes Górski cichutko zanucił tylko pierwszą frazę szlagieru z czasów swej młodości, śpiewanego przez Halinę Kowalewską: ... *Jest coś, co nas prowadzi dokąd chce, choć my gdzie indziej chcemy iść. Jest coś, co ludzkim losem zowie się...*

Co dalej ze Strejlauem? Czy zdoła skutecznie pociągnąć ten wózek? Takie pytania padły również na spotkaniu z generalnym konsulem w Nowym Jorku, Jerzym Surdykowskim. Wścibski red. Maciej Majewski z „Nowego Dziennika” wypalił prosto z mostu:

- Czy pan odchodzi z PZPN, panie Strejlau?
- Przyjechałem na losowanie. Czy nie dostrzega pan tu logicznego związku z moimi dalszymi planami?
- Ale z niektórymi zawodnikami zapewne już się pan pożegnał?
- Nie było takiego pożegnania! Kto zagra w eliminacjach? Najlepsi z lig zagranicznych, czołowi olimpijczycy i wyróżniający się piłkarze kadry B. Będzie rywalizacja. Nikt nie trafi do zespołu na kredyt.

Tak rzeczywiście było, ale to nie wystarczyło na wygranie eliminacji w tak dostojnym towarzystwie. Słusznie obawialiśmy się głównie Anglii i Holandii, ale prezes włoskiej federacji Antonio Mattarese dostrzegł jeszcze jedno niebezpieczeństwo:

- *„Uwaga na Norwegię! W eliminacjach mistrzostw Europy zabrała nam trzy punkty”!*

Nie były to strachy na lachy – rozumne ostrzeżenie. Nie potrafilimy się temu przeciwstawić! Przegraliśmy oba mecze z Norwegami, u nich 0:1, a u siebie 0:3. Jak to się wszystko porąbało. Niegdyś Foryś i jego drużyna rozgromiła Norwegię 9:0! Po wpadce w Oslo cieszył się tylko

red. Majewski z Nowego Jorku, bo Andrzej Strejlau podał się do dymisji. Zastąpił go Lesław Ćmikiewicz. Nic nie wskórał, miał do dyspozycji szczątki reprezentacji, wszystkie trzy mecze przegrała: w Poznaniu z Norwegią 0:3 (!), z Turcją w Stambule 1:2 i znowu w Poznaniu z Holandią 1:3. Fatalny bilans: tylko trzy wygrane, dwie z San Marino i jedna z Turcją oraz dwa remisy z Holandią i Anglią. Lament się rozrastał. A zaczęło się z uśmiechem na ustach...

Do pierwszych spotkań o punkty mistrzostw świata w USA reprezentacja była dobrze przygotowana. Bez zakłóceń realizowano wszystkie plany szkoleniowe. Otwarcie było więc wymarzone, najpierw w Poznaniu wygrana z Turcją 1:0, a potem remis 2:2 z Holandią w Rotterdamie. To nowa jakość. Przez wiele lat wybrańcy niemal wszystkich kapitanów PZPN, selekcjonerów i trenerów na starcie każdej wielkiej imprezy rangi międzynarodowej najczęściej zostawali w dołkach i dopiero na finiszu – mocno przyparci do muru – starali się odrabiać straty. Za późno. Od pewnego czasu reprezentacja lepiej prezentowała się na początku rozgrywek, a fatalnie na końcu. Rezultat tej odmiany był jednak taki sam: niegdyś wyłącznie „łabędzi śpiew”, teraz tylko „słomiany ogień”. Brak stabilizacji i wytrwałości w dążeniu do celu. Takiej huśtawce nastrojów nie potrafili się przeciwstawić ani Łazarek ani Strejlau.

W roku 1986 Wojtek miał prawo puszyć się jak paw, po bezbramkowej przeprawie z Holandią w Amsterdamie, a w 1992 Andrzej właśnie po remisie 2:2 w Rotterdamie. Prezes Górski i ja odczuliśmy jednak pewien niedosyt. Pomeczowe toasty to potwierdziły. Nie było iskier w oczach. Ten mecz można było wygrać. Pogoń za „nowoczesnością” odebrała zdrowy rozsądek. Grano w ustawieniu 1+3+5+2. Prowadziliśmy 2:1, ale z

każdą minutą wzrastał napór „pomarańczowych”. Tymczasem nasze trio obronne Adamczuk – Szewczyk – Lesiak ku ogromnemu zaskoczeniu nie miało dostatecznego wsparcia w pięcioosobowej drugiej linii. Holendrzy wyrównali, było 2:2 i obawa, że może być jeszcze gorzej. W ataku osłabł Wojtek Kowalczyk. Miał prawo, bo się naharował, tuż przed zakończeniem meczu zastąpił go o 15 lat starszy Włodzimierz Smolarek. Robił, co mógł, ale bardzo korzystną sytuację na zwycięstwo 3:2, spartolił. Znowu tylko miłe złego początku...

Ten remis z Holandią wstydu nam jednak nie przyniósł, całe zło dopadło Strejlaua i jego drużynę dopiero wiosną 1993 roku. W pewnym stopniu wpływ na słabiutkie wyniki w kilku meczach towarzyskich miał „syndrom srebrnego medalu olimpijczyków” na Igrzyskach w Barcelonie. Niektórym działaczom, trenerom, a najbardziej zawodnikom po tym sukcesie co nieco poprzewracało się w głowach. Najenergiczniej Wojtek Kowalczyk wymachiwał transparentami. Domagał się zmiany kierownictwa PZPN, natomiast pod niebiosa wyniósł młodych finalistów olimpijskich. – *„Zmieniamy szyld i jedziemy dalej”*.

Prezesa Górskiego okrzyki te ani nie ziębiły, ani nie parzyły, ja udawałem, że ich nie słyszę, tylko trener Strejlau mocno to przeżywał. Tu i ówdzie sugerowano, że powinien go zastąpić Janusz Wójcik, zaś jego „olimpijska młodzież” zluzować – tak jak życzył sobie tego Kowalczyk – już nadmiernie wyeksploatowanych rutyniarzy. Do rewolucji kadrowej jednak nie doszło. Sporą niespodzianką było tylko przejście Wójcika z PZPN do Legii. Wojskowi akurat poszukiwali trenera z charyzmą. Temat znałem, przeto w miarę szybko w mieszkaniu Henryka Loski, przy którymś z kolei rozdaniu brydża, zapytałem młodego trenera:

– Panie Januszu, jest pan na fali, ambitny, rodowód ma warszawski...

W PZPN-ie już coś dobrego pan zrobił... Czy teraz nie należało by popracować w stołecznym klubie?...

– Cały czas myślę – odpowiedział Wójcik w swoim stylu. – Na wygodny fotel, grzane wino i ciepłe bambosze mam jeszcze sporo czasu...

Redaktorzy Mirosław Skórzewski i Grzegorz Stański, także gospodarz spotkania magister inżynier udawali, że nie widzą i nie słyszą. A przecież wszyscy trzej dobrze wiedzieli o czym ja mówię, a Janusz... marzy.

– Skończcie tę zabawę w ciuciubabkę – zirytował się Loska.

– Legia naprawdę potrzebuje trenera! – Staralem się zachować powagę.

– A ja szukam pracy! – odpalił Wójcik.

– W Łodzi, w Poznaniu czy w Bydgoszczy? Bo takie wieści krążą po Polsce?...

– W Warszawie również...

– No to wszystko jest jasne! Grzesiu rozlej po lampeczce! – rozkazał Miruś.

Ustaliliśmy, że w sprawie ewentualnego zatrudnienia Wójcika na Łazienkowskiej, ja porozmawiam z red. Stefanem Grzegorzczakiem, moją bratnią duszą w dziennikarskiej profesji, a teraz rzecznikiem prasowym Legii. Finał powszechnie znany: już na „dzień dobry” Janusz kulejącą dotychczas Legię poprowadził w Zabrzu do zwycięstwa 3:0! Prawdziwe wejście smoka! Prawie wszyscy zadowoleni. Tylko Henio Loska miał po tym mocno zakrapianym spotkaniu brydżowo-pokerowym nietęgą minę. Przegrywał „jego” Górnik, a żona Krysia też za słodka nie była. Wróciła właśnie z podróży służbowej i przed pójściem do wanny wzięła ją chętką na drinka. Zajrzała do lodówki, poszperała w barku – wszędzie pusto.

– Heniu? – zapytała. – Gdzie schowałeś koniak i whisky?...

– Byli tu niedawno u mnie koledzy. Graliśmy w karty. Widocznie oni wypili...

– Co ty mówisz?! Wszystko?!... Od lat przyjmuję tu gości z telewizji i estrady i coś podobnego jeszcze się nie zdarzyło... Musiała tu być jakaś mocno trunkowa drużyna...

– Znam mocniejsze – rezolutnie odpowiedział – „mąż swojej żony”... To tylko Janusz, Jurek, Mirek i Grzesio...

Rok 1992 był dla PZPN, w porównaniu z kilkoma ostatnimi „chudymi latami”, dość udany. Zrekonstruowano wewnętrzną strukturę Związku, powołano Sąd Polubowny, zaproponowano utworzenie związku zawodowego piłkarzy, pomyślnie kontynuowano negocjacje finansowe w sprawach transmisji telewizyjnych i reklam, pozyskano kilku sponsorów. W ślad za udanym mariażem PZPN – Fundacja Olimpijska zawarto porozumienie zmierzające do utworzenia Fundacji Piłkarskiej Reprezentacji, zwanej potocznie „Fundacją Buechnera”. Akurat tu korzyści były niewielkie, w sumie jednak konto finansowe PZPN wyraźnie wzrosło i stało się podstawą dla merytorycznej działalności jego ogniw.

W tej kwestii najwięcej do powiedzenia miała komisja rewizyjna, o dziwo – także w sprawach szkoleniowych. Znowu oryginalnymi ocenami błysnął Jacek Bertlejewski. Jego „Analiza wyjazdów zagranicznych wszystkich reprezentacji” była druzgocąca: koszty duże, wyniki małe! Pochwalił natomiast „działkę” wiceprezesa Mariana Dziurówicza. To było do przewidzenia, mocno popierała się śląska „grupa nacisku”. Zawarto dwie umowy z firmą Saatchi and Saatchi, Sports Events and Licensing Limited w sprawie transmisji telewizyjnych i radiowych. Wartość całego kontraktu opiewała na 2,8 miliona dolarów USA. Pełne zadowolenie:

- „Realizację umowy z Saatchi and Saatchi uznać należy za dobrze wykonaną i rokującą uzyskanie przewidywanych zysków”. Ten i ów z przyzwyczajenia podrapał się po głowie, ale głośno nie zgłaszał żadnych wątpliwości.

Trwał jednak spór na linii PZPN – ADMIRAL. Anglicy nie wypłacili raty i nie dostarczyli kolejnej porcji sprzętu, bo wbrew umowie – nasza reprezentacja olimpijska wystąpiła w Barcelonie w strojach ADIDASA. Na szczęście ten konflikt zażegnano, co też w sprawozdaniu komisji rewizyjnej na wyrost ubarwiono: - „Należy zatem oczekiwać, że umowa w 1993 roku doczeka się pełnej realizacji i rozwinięciem współpracę w latach następnych”. Pobożne życzenia, bo żadnej „realizacji” nie było. Wkrótce podobny los spotkał FUNDACJĘ BUECHNERA i spółkę „POLFOOTBALL” z 60-procentowym udziałem PZPN. Żałosny koniec działaczy pozujących na menedżerów.

Ja też nigdy nie byłem mocny w sprawach finansowych, bitew o kasę od dziecka się brzydziłem, a po bliższym zapoznaniu się z tymi problemami w PZPN, wręcz od nich stroniłem. Ale gdy się weszło między wrony... Krakałem jak inni. Najpierw wraz z Gieniem Kolatorem, oczywiście bez powodzenia, negocjowałem w TVP (po tej stronie był dziś też dobrze znany Piotr Gaweł) warunki współpracy PZPN – TELEWIZJA, a potem istne tortury przeżywałem, gdy nasz Związek ogłosił kolejny przetarg w sprawach sprzedaży praw telewizyjnych i reklamowych. Zgłosiło się czterech kandydatów: Włodzimierz Lubański Sportmanagerem BVBA, Profus Menagement, Saatchi and Saatchi i Telewizja Polska.

Zanim do tego doszło, w Poznaniu odbył się mecz Polska – Anglia z cyklu eliminacji mistrzostw Europy. Wynik od strony sportowej był kiepski, podobnie jak rywalizacja w grupie z Anglią, Irlandią i Turcją,

ale w PZPN na jeszcze większe niepowodzenie zapowiadało się w pertraktacjach z TVP. Partner starym zwyczajem żądał finansowego ekwiwalentu za przeprowadzenie transmisji z tego spotkania.

– Telewizja jest monopolistą i w związku z tym dyktuje bandyckie warunki – grzmiał sekretarz generalny PZPN, Marek Pietruszka.

– Twierdzenie, że telewizja zabiera PZPN-owi pieniądze jest zwykłą demagogią – odgryzał się ówczesny szef redakcji sportowej TVP, Marek Madej.

A jaka była prawda? Telewizja znowu postawiła PZPN pod ścianą:

– Będzie sygnał i będzie transmisja, ale... najpierw trzeba za to zapłacić 52 tysiące dolarów!

Do skandalu nie doszło. PZPN jakimś cudem wspólnie z firmą „Saatchi and Saatchi”, bulił jak za zboże. Dopiero wtedy Madej spuścił z tonu:

– Myślę, że wszystko jakoś się ułoży, bo teraz nie będziemy rozmawiać z panem Pietruszką, który dość skutecznie nas unikał, ale z prezydium związku. Tam są bardziej wiarygodni partnerzy! Zresztą, do takich transakcji potrzebny jest pośrednik!

Nadzieja na okrzyk „kochajmy się!” była jednak przedwczesna. Jak po grudzie szło też w sprawie przetargu. Z naszej strony w komisji negocjującej z kontrahentami prym wiedli teraz Marian Dziurawicz, Marek Pietruszka i dr Andrzej Wach. Dyskutowało całe prezydium. Przy mecenasie Wachu moja wiedza na ten temat sięgała co najwyżej przedszkola. Nie tyle więc w oparciu o znajomość „tematu”, ile z sentymentu do Włodka Lubańskiego w decydującej rozgrywce postawiłem na BVBA. Ale miałem też na uwadze racje mecenasa: - „Dobrze pojęty interes PZPN wymaga wprowadzenia sankcji finansowej wobec agencji,

gdyby ta jednostronnie zerwała umowę lub gdyby związek był zmuszony wypowiedzieć umowę z przyczyn leżących po stronie agencji”. Wszak istnieje ryzyko w przeprowadzeniu transmisji telewizyjnych.

Największe w tym względzie zaufanie miałem właśnie do Włodka. Zdecydowana większość członków prezydium zarządu PZPN też wypowiedziała się za ofertą Lubańskiego. Zadowolone były obie strony. Przedwcześnie. Tu też więcej było dobrych chęci i wzajemnych sympatii, niż podstaw do realizacji przedsięwzięcia. Stawiano zamki na lodzie. Mniej zorientowani już byli przygotowani na parafowanie kontraktu, bo dokonane w nim poprawki zadowalały obie strony. Na przykład określenie „co najmniej” zastąpiono przysłówkiem „około” a zwrot „winna zapewnić” mniej dosadnym stwierdzeniem „winna dołożyć starań”. No to poszły konie po betonie?! Nie, trzeba było jeszcze rozstrzygnąć według jakiego prawa będą realizowane postanowienia. PZPN był za polskim lub międzynarodowym, a Włodek za holenderskim. Pokonano i tę barierę, ale umowy nie parafowano. Ostatnia przeszkoda – finansowe gwarancje bankowe – były nie do sforsowania. Lubański zrezygnował...

Po Olimpiadzie starano się przywrócić należną pozycję pierwszej reprezentacji. Podstawę zespołu nadal tworzyli zawodnicy występujący w ligach zagranicznych, selekcjoner mógł też korzystać z usług srebrnych medalistów z Barcelony oraz pozostałych piłkarzy wyróżniających się w naszej lidze. Strategia w założeniu słuszna, jednak wątpliwości niektórych członków Wydziału Szkolenia budziło nadmierne faworyzowanie graczy występujących w klubach zachodnich. Domagano się większego udziału w kadrze narodowej – w pełni podzielałem ten pogląd - krajowych ligowców. Trener Strejlau był za utrzymaniem dotychczasowych proporcji, zapewniał, że są właściwe. Bronił przegranej sprawy. Na forum

zarządu i prezydium PZPN tak żarliwych i wnikliwych dyskusji nie było. Ubolewano tylko, że nasza reprezentacja plasuje się dopiero na 20 miejscu w Europie. Kto winien? Cięgi zbierał tylko pion szkolenia. Wszyscy inni umywali ręce.

Mnie osobiście zmartwiła słaba postawa najstarszych juniorów na turnieju finałowym o mistrzostwo Europy. Przecież trener Wiktor Stasiuk miał w Norymberdze równie utalentowanych zawodników jak Janusz Wójcik w Barcelonie. Motywacja też winna być duża, bo w Niemczech szło nie tylko o medalową pozycję na naszym kontynencie, lecz także o wyprawę w roku 1993 do Australii na mistrzostwa świata reprezentacji Under – 20. Byłem kierownikiem tej ekipy niespełnionych nadziei. Zgubiła nas zbyt duża pewność siebie czy złe przygotowanie? Co za różnica – stracone złudzenia! Chłopcy mentalnie nie dorosli do zadań na tak wysokim szczeblu. W eliminacjach same zwycięstwa, awans do puli finałowej w stylu mistrzów, a w Niemczech gra typowa dla debutantów. Do Australii poleciecieli więc Anglicy i Niemcy, ale lepsi od nas byli tylko młodzi Wyspiarze. Gospodarzom nie tylko ściany pomagały...

Władzom światowego i europejskiego piłkarstwa przypisuje się konserwatyzm, niekiedy wręcz awersję do nowelizacji przepisów gry. Opinie te nie zawsze wiernie oddają postępowanie dżentelmenów z FIFA i UEFA. Od czasu do czasu oni też, w poszukiwaniu lepszych rozwiązań, decydują się na eksperymenty. Właśnie w Norymberdze podczas mistrzostw Europy Under – 19 tytułem próby wprowadzono zakaz tradycyjnego podawania piłki przez graczy z pola do własnego bramkarza. Dotychczas mógł takie podanie przejąć (złapać) w ręce. Teraz musi odbić piłkę nogą! Każdy chwyt przez bramkarza futbolówki w ręce po celowym podaniu (nogą) partnera z drużyny, karano rzutem

wolnym pośrednim. Trener Wiktor Stasiuk i jego asystent Edward Klejdinst przed meczem z Anglią przeciwcyli z drużyną to zalecenie dość skrupulatnie, ale w meczu z Anglią nie wyszło to najlepiej. Górę brały stare przyzwyczajenia. Wyspiarze odpowiednio tę naszą słabość wykorzystali. Eksperyment jednak się udał i obowiązuje w tej formie do dziś.

Jesienią 1992 roku podjęto budowę nowego zespołu Under – 21. Mimo niewypału w Norymberdze, zadanie to powierzono Stasiukowi. Nowa „młodzieżówka”, w perspektywie kadra olimpijska, wystartowała znakomicie. W pierwszym meczu w Rawiczu po dobrej grze pokonała Turcję 3:0, a w Utrechcie Holandię 3:1. Rewelacją tego udanego meczu był przede wszystkim stoper Arkadiusz Kaliszan. Wiązałem z nim duże nadzieje. Prezes Górski też był zadowolony. Rośnie następca Jerzego Gorgonia, Władysława Żmudy czy Pawła Janasa? Kaliszan zawodu nie sprawił, ale na miarę swoich faktycznych możliwości grywał stanowczo za rzadko. Uchodził w naszej lidze za „rębajkę”. Tak nim pokierowali trenerzy czy sam wybrał tak prymitywną drogę rozwoju?

Piłkarską wiosnę 1993 nasza młodzież również rozpoczęła obiecująco. W dwóch meczach z San Marino strzeliła 12 bramek... i nagle straciła impet. Nie nowość to w naszym futbolu. Tym chłopcom też poprzewracało się w głowach? Balowali czy znowu dopadł ich „kompleks Anglików”? Pierwszy mecz w Jaworznie przerznęli aż 1:4, ale rewanżowy w Anglii wygrali 2:1. Cały czas grali w kratkę: w Stavanger nie dali rady Norwegom (1:3), ale w Pile dość mocno wygarbowali im skórę. Potem znowu huśtawka: z Turcją na wyjeździe przegrana 0:1, a w Pniewach piękne zwycięstwo nad Holandią 2:0. Uff! Jednak jest awans do ćwierćfinałów mistrzostw Europy. Ale to był już szczyt możliwości. Przyszło pożegnanie

z Europą i resztą świata. Dalej poszła Portugalia i jej „cudowne dzieci znad Tagu”, pokolenie utalentowane o mentalności mistrzów świata. Dwukrotnie z nimi przegraliśmy, w Szczecinie 1:3 i w Coimbrze 0:2.

Na posiedzeniach zarządu i prezydium PZPN dość mocno musiałem się tłumaczyć, dlaczego to młodzi Portugalczycy, a nie Polacy są wybrańcami niebios. Oliwy do ognia z reguły dolewał przewodniczący Komisji Rewizyjnej, Jacek Betlejewski. Ubolewał: - *Ile to pieniędzy poszło na marne?* Argument „rywale byli lepsi” absolutnie nikogo nie przekonywał. Motywy irracjonalne były w tym gremium po stokroć większe, niż znajomość realiów i sportowe kompetencje. Ale i tu do dintojry nie doszło, bo – na szczęście – mniej więcej w tym samym czasie nasi najmłodszy juniorzy (Under – 16) wywalczyli w Turcji mistrzostwo Europy. Zostawili w pobitym polu najpierw Szwajcarię, Irlandię i Islandię, a potem Belgię, Francję i Włochy. Asami atutowymi tego zespołu byli: Mariusz Kukiełka, Jacek Magiera, Mirosław Szymkowiak i Maciej Terlecki. Kolejne przekleństwo - znowu w niepełnym wymiarze wykorzystali swoje talenty. Mocno powikłane stały się zwłaszcza losy Maćka Terleckiego. Był diamentem, mógł być brylantem, pozostał w cieniu ojca Stanisława. Nie był gwiazdą nawet w II lidze. Czy tylko trenerzy tu zawinili? Jak sam sobie pościelisz, tak się wyśpisz...

W Japonii, gdzie do tej złotej ekipy dołączył Artur Wichniarek, chłopcy Andrzeja Zamilskiego, trenera w PZPN zbyt nie rozpieszczanego, znowu byli bliscy zdobycia medalu. W półfinale przegrali jednak z Nigerią 1:2, notabene zwycięzcą turnieju, a w meczu o trzecie miejsce z Chile wyraźnie nie sprzyjał im los. W egzekwowaniu rzutów karnych szczęście uśmiechnęło się do rywali z Ameryki Południowej. Z drużyn europejskich i tak „biało-czerwoni” byli najlepsi, przed Polską

tylko Nigeria, Ghana i Chile. Czarny Łąd pokazuje pazurki. Postawa naszej młodzieży w Turcji i Japonii potwierdziła lepszą pracę z juniorami w klubach i okręgach, a w PZPN postęp w selekcji i szlifowaniu talentów. Zasługi Zamilskiego są tu niewątpliwe. Otwarte pozostawało jednak pytanie: - Co dalej? Czy znowu – jak dotychczas – na „podstawówce” zakończy się edukacja piłkarsko uzdolnionej młodzieży? Nadal będą ginąć talenty?..

Podczas panelu na ten temat zorganizowanego przez Sejmową Komisję Kultury Fizycznej i Turystyki po raz kolejny publicznie starałem się podkreślić rolę racjonalnego szkolenia. W Polsce w miarę dobrych trenerów mamy tylko właśnie na szczeblu podstawowym. Ale im wyżej, tym gorzej. Nadal mało jest u nas szkoleniowców – nauczycieli już nieco wyższej rangi, takich „panów profesorów” szkoły średniej na potrzeby ligi. A już zupełnie brakuje, nazwijmy to umownie, autentycznych doktorantów o wiedzy wykładowców wyższych uczelni. A tacy właśnie trenerzy, nie tylko prezenterzy ze szkółek dla piłkarskich przedszkolaków, potrzebni są naszej drużynie narodowej. Mistrzowie selekcji, twórcy racjonalnej strategii i skutecznej myśli taktycznej! Reprezentacja takich szkoleniowców miała dotychczas niewielu.

Gmochowi lepiej powiodło się w pracy klubowej, Strejlau z reguły najczęściej dobrze zaczynał, ale źle kończył. W eliminacjach World Cup '94 na przykład nie wykorzystał dobrego startu z jesieni 1992 roku. Wiosną 1993 już oba mecze ze słabiutkim San Marino nie wróżyły nic dobrego. Oglądałem te spotkania w towarzystwie prawdziwego mistrza w tym fachu, Kazimierza Górskiego. W Łodzi wstyd było spojrzeć sąsiadom w oczy, taka była mizeria. A gdy jedyną (zwycięską!) bramkę ręką strzelił Jan Furtok, prezes zakrył twarz rękami i westchnął głęboko:

- „*Gdzie są chłopcy z tamtych lat...*” Żaden z napastników (Roman Kosecki, Andrzej Juskowiak, Jan Furtok) i mocno ich wspierający Jacek Ziober nie potrafił celnie strzelić. Ni nogą, ni głową! Pyrrusowe zwycięstwo dały nam dopiero spryt i bezczelność Furtoka; ręką wepchnął piłkę do bramki. Czy rzeczywiście sędzia tego oszustwa nie zauważył?

Kilka tygodni później odbył się mecz rewanżowy w San Marino. Trener Strejlau dość gruntownie zmienił „łódzki” skład. Powrócili do drużyny bramkarz Adam Matysek, „ułaskawiony” pomocnik Andrzej Rudy (w czasach komuny „nielegalnie” wyjechał z Polski za lepszym chlebem), a także bramkostrzelny Krzysztof Warzycha, szybki Marek Leśniak i walczący Piotr Świerczewski. Armia zaciężna, zachodni zawodowcy. Przed przerwą grali jednak równie słabo, jak amatorzy z San Marino – na 0:0. Znowu istne męki Tantala. W czasie przerwy prezes Górski koktajlem campari z koniakiem i sokiem pomarańczowym starał się ukoić zgryzotę i... zde gustowany czekał na cud. Nawet nie miał ochoty na cygaro. Wygraliśmy jednak 3:0. Dwie bramki zdobył Leśniak i jedną Warzycha. I to było nasze ostatnie zwycięstwo w tych eliminacjach.

Mistrzostwa świata w USA bez „biało-czerwonych”. Polonia amerykańska była zawiedziona, a w kraju domagano się zmiany selektonera. Nie byłem już wtedy wiceprezesem PZPN, nie miałem więc w tej sprawie nic do powiedzenia. O wszystkim decydowało prezydium Związku, a zarząd bez dyskusji musiał przyjąć to do... wiadomości. Postawiono na Henryka Apostela. Ogólne zaskoczenie. Ja też wcześniej o tej nominacji nic nie wiedziałem. A jednak koledzy dziennikarze właśnie mnie pytali, co o tym sądzę.

– Kandydatura dobra, Henio był niezłe wyszkolonym piłkarzem, raz nawet – tak jak kiedyś Górski – zagrał w reprezentacji. Miał dobre

wyniki w pracy z młodzieżą, zna robotę. Sądzę jednak, że tę funkcję powierzono mu stanowczo za późno. Trudno będzie mu pozbierać to nasze „międzynarodowe” towarzystwo. Ma chyba za miękki charakter...

Apostel zaczął jednak dobrze, od dwóch remisów w towarzyskich meczach z Hiszpanią na Wyspach Kanaryjskich i z Grecją w Salonikach oraz skromnych wygranych z Arabią Saudyjską w Cannes i Węgrami w Krakowie. Z Austrią i Białorusią było już gorzej, a zupełnie źle z Izraelem w Tel Awiwie w meczu inaugurującym eliminacje kolejnych mistrzostw Europy. Grupa do strawienia: Azerbejdżan, Francja, Izrael, Polska, Rumunia i Słowacja. Kością w gardle stanęła nam jednak większość rywali, bolały zwłaszcza przegrane z Izraelem i Słowacją oraz kompromitujący remis z Azerbejdżanem. Przeważający mecz ze Słowacją (1:4 podczas gdy w Polsce było 5:0!) miał wymiar szczególny. Rozlatywała się drużyna. Pogłębiał się jej niedowład moralny, coraz bardziej odczuwalny stawał się brak ambicji i sportowych motywacji. Potęgowały się natomiast skłonności do ziemskich rozkoszy i brak szacunku dla barw narodowych. Koszulka z Białym Orłem parzyła niektórych reprezentantów. Nawet pryncypialnego Romana Koseckiego! Zbulwersował opinię publiczną. Koniec drużyny, koniec selekcyjera!

Po bezbramkowym remisie z Azerami już nowy prezes PZPN, Marian Dziurówicz pilnie poszukiwał kolejnego selekcyjera. Postawił na Władysława Stachurskiego, ale rychło zmienił zdanie. Przegrane w Hongkongu z Japonią 0:5 i w Rijece z Chorwacją 1:2 oraz w kraju dwa remisy ze Słowacją i Białorusią przekonały go, że trafił kulą w płot. Stachurski podzielił los poprzedników. Patrząc na to wszystko już nieco z boku, nie miałem wątpliwości, że nominacja Stachurskiego miała „krótkie nogi” i była rozwiązaniem typowo zastępczym. Od początku po piętach

deptał mu Antoni Piechniczek, teoretycznie jako doradca prezesa, de facto szkoleniowy „nadzorca” selekcjonera. Antek po raz drugi przejął reprezentację. Staął więc w poprzek przestrodze Heraklita z Efezu, że „nie należy po raz drugi wchodzić do tej samej rzeki”. *Panta rei* - wszystko płynie! I stało się, po przegranej w Chorzowie z Anglią 0:2, Piechniczek podał się do dymisji. Kto następny? Z rekomendacji Warszawskiego OZPN nowym selekcjonerem został Janusz Wójcik. Miał być zbawcą, ale zły los i jemu przypisał rolę grabarza.

Kłapa w eliminacjach mistrzostw Europy i świata, to nie jedyne niepowodzenie Wójcika. Wcześniej w pracy w klubie też mu się nie powiodło. Otwarcie w Legii miał radosne, ale zamknięcie smutne. Obiecywał nowym właścicielom klubu mistrzostwo Polski, podbój Europy i... dużą kasę. Legię rzeczywiście już w roku 1993 stać było na wygranie krajowej rywalizacji. Najwięksi dotychczas jej rywale Górnik Zabrze i Widzew Łódź już tak bezapelacyjnie w ekstraklasie nie rządzą i nie dzielili ligowych fruktów z takim powodzeniem, jak w latach osiemdziesiątych. Wtedy mocniej „trzymała władzę” i tak rozdawali karty, by mistrzostwo utrzymać w CRZZ-towskiej rodzinie.

KARA BEZ ZBRODNI

Podczas meczu Widzew – Górnik w 1985 roku byłem „świadkiem koronnym” wyjątkowo interesującego przekrętu. Widzew już nie miał szans na mistrzostwo Polski, natomiast Górnik jak najbardziej. Jeśli wygra w Łodzi, Legia – gdyby nawet zgarnęła w Szczecinie całą pulę, może się tylko oblizać smakiem: tytuł znowu powędruje do Zabrza. Ówczesny

Widzew był jednak na tyle mocny, że mógł pokrzyżować plany górników. Robił to sprytnie, do przerwy prowadził 1:0. W tym czasie Legia wygrywała z Pogonią również 1:0. Mistrzostwo dla wojskowych? Nic z tych rzeczy! W Łodzi i Szczecinie „grano” również przy pomocy gorącej linii telefonicznej. Pełna kontrola wydarzeń. O niespodziance nie mogło być mowy. Górnik oczywiście wygrał w Łodzi i został mistrzem. W tej sytuacji „czujna” Legia „tylko” zremisowała z Pogonią i znowu uratowała ligę dla Szczecina. Pogłębiono przyjaźń wojskowych z portowcami. A w Łodzi prezes Widzewa Ludwik Sobolewski wyczałował prezesa Górnika, Mariana Polusa.

– Gratuluję! Które to już mistrzostwo? Jedenaste?... Jest tak, jak być powinno: Legia znowu na aucie – nie krył zadowolenia szef „wiedzewskiej manufaktury”.

– Dziękuję... Dobrze to rozegrałeś Ludwiku! Spełniłeś moje marzenia. – rozluźnił się pryncypał Górnika. - Znowu utarliśmy tym wojskowym nosa... Niech żyje nam, górniczy stan!...

Takie pozaboiskowe rozgrywki odbywały się w naszej lidze dość często, ale nawet osławione pezetpeenowskie „brygady tygrysa” nie były w stanie złapać kogoś za rękę i udowodnić czarne na białym, że wynik jakiegoś meczu jest ukartowany, a przekręt oczywisty. Teraz też nikt nie protestował. Dopiero w sezonie 1992/1993 pojawili się odważni moralisci o darze „wizjonerskim”; dopatrzyli się nieczystej gry w meczach ŁKS Łódź – Olimpia Poznań i Wisła Kraków – Legia Warszawa. Starły się olbrzymy z karzełkami. Cele ŁKS i Legii sięgały tytułu mistrza Polski, natomiast dla ich rywali nie miały żadnego znaczenia. Olimpia już pożegnała się z I ligą, a Wisła zajmowała bezpieczne miejsce w tabeli. Kto wygra?

Wątpliwości nie było – wygrają faworyci z Warszawy i Łodzi. I tak się stało: Legia strzeliła Wiśle sześć goli i żadnego nie straciła, a ŁKS równie gładko pokonał Olimpię 7:1. Te dość rzadko spotykane wyniki wzbudziły najpierw podejrzenia Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, a zaraz potem Prezydium Zarządu PZPN. Mnie to nie zdziwiło, wszak Legia już kiedyś pokonała Wisłę 12:0, a ŁKS z silnym Zagłębiem Sosnowiec wygrał 7:0. Byłem zresztą świadkiem koronnym jeszcze wielu podobnych wyników. Patrzono na nie przez palce, rzadko protestowano. Gdy o tym pisałem, zbywano uwagi milczeniem. Teraz ja nie miałem powodów do zmartwień. Jako prezes WOZPN cieszyłem się podwójnie: z mistrzostwa Polski Legii i od 41 lat oczekiwanego powrotu Polonii do pierwszej ligi. Rychło okazało się, że tylko radość z sukcesu „Czarnych koszul” była uzasadniona. Na Łazienkowskiej smutek, bo odebrano liderowi mistrzostwo. Wystawiono pierwszy słony rachunek za przywileje z czasów PRL-u.

Pokrzywdzone kluby, bo ŁKS, Wisłę i Olimpię też ukarano, usiłowały bronić swoich racji. Spory, kłótnie, wyjaśnienia, przedstawianie argumentów i opinii prawników trwało kilka tygodni. Prezydium PZPN w okrojonym składzie „wałkowało” tę sprawę już 21 czerwca. Przedstawiciele Śląskiego OZPN, wiedząc co się święci, zastosowali wtedy klasyczny unik: nawet zazwyczaj obowiązkowy wiceprezes Marian Dziurawicz nie przyjechał do Warszawy. Zamiast 11 członków prezydium Związku tylko 8 podjęło próbę rozwiązania tej krakowsko-łódzkiej zagadki. Wniosków było kilka, często wzajemnie się wykluczających, niedorzecznych. Najbardziej racjonalna wydawała się zebranym nasza propozycja tj. Wydziału Szkolenia. Niech Legia i ŁKS rozegrają dodatkowy mecz na neutralnym boisku. Kto wygra, będzie mistrzem Polski anno 1993!

Było to nieco na bakier z regulaminem rozgrywek, mimo to doszło do głosowania właśnie nad takim rozwiązaniem. Był przecież bliski duchowi sportu, wykluczał grę przy „zielonym stoliku”. Upoważniony przez prezydium „z marszu” zreferowałem „stan obrad” kolegom dziennikarzom i grupce ciekawskich „ludzi z zewnątrz”. Czyhali za drzwiami. Służb ochroniarskich wówczas jeszcze nie było, więc sforsowali wejście do siedziby PZPN i przez dziurkę od klucza podsłuchiwali burzliwą wymianę zdań w sali konferencyjnej. Moja misja pojednawcza nie ostudziła gorącej atmosfery. Na korytarzu wciąż wrzało, a prezydium PZPN nadal obradowało w napięciu. Wreszcie Kazimierz Górski zarządził głosowanie. Klasyczny remis 4:4. Pat? Nie! Wniosek upadł! O odrzuceniu propozycji Wydziału Szkolenia zadecydowało weto prezesa. Ustalono, że wiążącą decyzję w tej sprawie podejmie Zarząd PZPN na swoim posiedzeniu w dniu 9 lipca 1993 roku.

Informacja ta lotem błyskawicy rozeszła się po Warszawie. Do akcji wkroczyli kibice Legii. W dzień i w nocy dzwonili do członków prezydium z pouczeniem jak się należy zachować na zebraniu Zarządu. Akurat mnie nie trzeba było ani pouczać, ani straszyć, bo od początku byłem za sportowym rozwiązaniem tej sprawy. W piłce nożnej takie zaskakujące wyniki zdarzają się nawet w meczach międzypaństwowych. Z dobrej i złej strony na własnej skórze doświadczyła tego również nasza reprezentacja. Zarządzono tajne głosowanie, to dobre dla działaczy z terenu, na kartkach powiedzą to, co myślą o tych „wielkich ligowcach”. Co tam racjonalne argumenty? Najważniejsze by dokopać tym znienawidzonym pieszczochom totalitarnej władzy. Ostatecznie ten sąd – o kapturowej proweniencji postanowił:

1. Unieważnić wyniki spotkań Wisła – Legia i ŁKS – Olimpia.

2. Tytuł mistrza Polski przyznać Lechowi Poznań.
3. Cztery kluby (Legia, ŁKS, Olimpia, Wisła) ukarać trzema minusowymi punktami (-3) w nowym sezonie 1993/94.
4. Nałożyć na każdy klub grzywny pieniężne w wysokości ówczesnych 50 milionów złotych.

Z tymi decyzjami zarządu nie mogłem się zgodzić. Jak można karać kluby bez udowodnienia im winy? Protestowałem nie tylko z pozycji prezesa Warszawskiego OZPN. Obłuda współczesnych inkwizytorów, którzy w przeszłości nie dostrzegali po stokroć większych przekrętów, dotknęła mnie osobiście. Nigdy nie byłem z prawdą na bakier, a teraz zarzucono mi lawirancтво. Zrezygnowałem więc z funkcji wiceprezesa PZPN. To nie dla mnie towarzystwo! Nie wiem dokładnie, jakimi motywami kierowali się wiceprezes Piotr Bierwagen i członek prezydium PZPN, Jerzy Koziński, ale faktem jest, że oni również ustąpili z zajmowanych stanowisk. Być może tak, jak ja, już dość mieli dwulicowości tych, którzy tak nagle przystroili się w anielskie szaty, choć wcześniej bardziej im było do twarzy z rogami na głowach i widłami w rękach. Ostatecznie o tych kontrowersyjnych wydarzeniach w lidze zadecydowało Walne Zgromadzenie PZPN.

Złe nastroje wśród kibiców i organizowane przez nich nocne „spektakle telefoniczne” nie ustały. Z dnia 9 na 10 lipca dzwoniło do działaczy praktycznie przez całą noc. W trybie nagłym odwołanie od decyzji zarządu do Walnego Zgromadzenia złożył w imieniu ASPN Legia dyrektor Artur Mazurek. Od strony prawnej odpowiednie dokumenty przygotował mecenas Ryszard Parulski. Wygłosił płomiennie przemówienie przepojone wątkami o głębokiej treści humanistycznej. Źle trafił, to nie ta widownia, ma gdzieś takie argumenty. Wyczuwało się

jawną niechęć wobec ukaranych, przeważała zwłaszcza chęć upokorzenia Legii.

Wystąpienie Parulskiego doprowadziło znaczną część delegatów do „białej gorączki”. Niektórzy, ci najbardziej ziejący nienawiścią do Legii, zaczęli mecenasa obrażać. Rzeczowych argumentów nie mieli, więc pokrzykiwali jak stare przekupki. Pełnomocnik Legii starał się utrzymać nerwy na wodzy, ale ciosy, jakie zadawano, nie pozwalały na utrzymanie bon tonu. Był przekonany, że delegaci już wydali wyrok, chcą po prostu upokorzyć Legię. Jeden z „najaktywniejszych dyskutantów”, jak to trafnie określił mecenas, „taki z pogranicza upośledzenia umysłowego”, ryczał na całą salę:

– Jeśli Parulski nadal będzie bronił Legii, to on postawi wniosek, by mu odebrano kierowanie Fundacją Gloria Victis.

Odpowiedź była w podobnym stylu:

– Więcej kultury mają w sobie handlarze z praskiego bazaru Różyckiego... Delegatom PZPN przydałoby się kilka lekcji traktujących o zasadach dobrego wychowania. Działanie wbrew prawu i kierowanie się głosem spólstwa wystawia polskiemu piłkarstwu złą opinię. Prestiż PZPN upada... Poważny kraj i poważny związek piłkarski nigdy nie pozwoliłby na taką szopkę. Zgroza!

Z woli grupki ludzi rozsądnych powołano jednak nadzwyczajną komisję, która jeszcze raz rozpatrzyła okoliczności 0:6 w Krakowie i 7:1 w Łodzi. Był w niej, między innymi - nasz najlepszy międzynarodowy sędzia piłkarski Alojzy Jarguz, a przewodniczył Maciej Kapelczak. W imieniu tego ciała oświadczył, że... „**Nie dopatrzono się winy Legii, ŁKS, Olimpii i Wisły. Ukarano te kluby bezpodstawnie, bez udowodnienia winy**”. Wrzask na sali zagłuszył końcowe słowa oświadczenia. Jednak

dobrze je usłyszał wiceprezes PZPN, Ryszard Kulesza, który bardziej niż siebie po „aferze na Okęciu”, bronił teraz decyzji zarządu PZPN.

– To oburzające! – grzmiał z trybuny zjazdowej. – Cała Polska widziała przestępstwo, a panowie z komisji nadzwyczajnej – nie?!

„Pan Rysio” miał potem z tego powodu sporo kłopotów w domu, na ulicy, w pracy. Cudem uniknął samosądu. Lata mijają, ale wciąż męczy go czkawka. Boi się na żywo oglądać mecze Legii na Łazienkowskiej. Jednak zdania nie zmienił, trwa w swoim przekonaniu do dziś. Wściekły trener Janusz Wójcik dość długo podkpiwał z tego uniesienia „Kulki”:

– Jak mogła to widzieć cała Polska, skoro nie było transmisji telewizyjnej?! A pan Kulesza ułożył się w tym czasie w wygodnym fotelu, poprawił bambosze i głośno chrapał...

Doniosły głos Ryszarda Kuleszy w Centrum Konferencyjnym Wojska Polskiego przy ulicy Żwirki i Wigury w Warszawie zrobił duże wrażenie przede wszystkim na delegatach z małych klubów i niewiele znaczących okręgów. Wreszcie i oni mogli się pokazać i o czymś publicznie decydować. Zarządzono głosowanie nad oświadczeniem „Komisji Kapelczaka”. Wynik szokujący! Tylko dwudziestu delegatów, głównie z klubów ligowych, wypowiedziało się przeciwko ukaraniu Legii, ŁKS-u, Olimpii i Wisły. Pozostali byli za utrzymaniem proponowanych kar bądź wstrzymali się od głosu, a wśród nich prezes PZPN Kazimierz Górski. Część delegatów na czas głosowania opuściła salę.

Pogwałcono elementarną zasadę europejskiej kultury prawnej: *„Lepiej, aby ktoś uszedł sprawiedliwości, niż gdyby miał być ukarany bez udowodnienia winy”*. Złamano też powszechnie obowiązującą zasadę: *– „Nie dających się usunąć wątpliwości nie wolno rozstrzygać na niekorzyść oskarżonego”*. Kierownictwa ukaranych klubów, w stopniu największym

Legii, usiłowały drogą prawną bronić swoich piłkarzy i mistrzostwa. Klamka jednak zapadła, nic nie wskórano. Nawet postanowienie krakowskiej prokuratury, która nie dopatrzyła się przewinienia, starano się wyciszyć, wszak nie było po myśli rozhisteryzowanych pseudoobrońców „czystej gry” w naszej lidze.

„Oceniając zebrany w sprawie materiał dowodowy w kontekście ewentualnego ustalenia, iż w związku z opisywanymi meczami funkcjonariusze publiczni, a więc działacze klubowi przyjmowali korzyści majątkowe lub udzielali obietnic ich przekazania – nie sposób dopatrzeć się popełnienia przestępstwa. Brak jest jakichkolwiek dowodów potwierdzających, aby taka sytuacja miała miejsce w rzeczywistości (...) Postanowiono zatem dochodzenie w niniejszej sprawie umorzyć wobec nie stwierdzenia przestępstwa” – tak brzmi końcowy fragment postanowienia Prokuratury Rejonowej w Krakowie z dnia 5 lipca 1995 roku.

Towarzystwo brnęło w nieświadomości. Za chwilę popełniono kolejny błąd – mistrzostwo Polski przy „zielonym stoliku” przyznano Lechowi Poznań. Ma reprezentować z powodzeniem nasze piłkarstwo w Klubowym Pucharze Mistrzów Europy. O ludzka naiwności!... Wieści z naszych boisk i piłkarskich salonów dotarły do UEFA. Szczegółów nie znano, przeto z biura sekretarza generalnego Piłkarskiej Unii Europejskiej Gerharda Aignera wysłano do PZPN pismo z żądaniem „podania dokładnej informacji w sprawie decyzji podjętych w związku z ligowymi rozgrywkami i zgłoszeniem polskich drużyn do rozgrywek międzyklubowych UEFA na sezon 1993/1994... Prosimy o wyjaśnienie sytuacji i udzielenie przed losowaniem odpowiedzi na ewentualne pytania podczas posiedzenia Komisji Organizacyjnej UEFA, która odbędzie się

we wtorek 13 lipca 1993 roku w Hotelu Voga Hilton w Genewie”...

Do Genewy polecieli wiceprezysi PZPN Eugeniusz Kolator i Michał Listkiewicz. Nic nie załatwili. Tymczasem sprawa nabierała rozgłosu. Do akcji wkroczyła FIFA. Najpierw Thomas Kurth z departamentu rozgrywek, opierając się na publikacjach prasowych informował PZPN, że „klub Legia Warszawa (o innych klubach w ogóle nie było w tym piśmie mowy – przypisek autora) dopuścił się nieprawidłowości podczas meczów kończących mistrzostwa Polski”, a potem ówczesny sekretarz generalny FIFA Joseph Blatter oznajmił Edmundowi Zientarze: ...*„FIFA zgadza się z decyzją podjętą przez władze związku i gratuluje sposobu, w jaki rozwiązano tak trudny problem w tak krótkim czasie”*.

Gratulacje przyjęto i naiwnie uznano, że to już koniec kłopotów. Sprawa trafiła jednak na obrady Komitetu Wykonawczego UEFA. Tam tak łatwo nie rozgrzeszają. Jeśli jest wina, to będzie też kara! Na wniosek Komisji Organizacyjnej, postanowiono wykluczyć Legię i ŁKS z międzynarodowych rozgrywek pucharowych w sezonie 1993/1994. Dopiero teraz koło się zamknęło. Wprawdzie Legia jeszcze próbowała się bronić, ale w UEFA nie miała już żadnych szans. Przeniosła więc swoje żale na grunt krajowy. W piśmie do przewodniczącego UKFiT, powołując się na stosowne ustawy i paragrafy, działacze z Łazienkowskiej postulowali między innymi o: zawieszenie w czynnościach kierownictwa PZPN i wyznaczenie kuratora do czasu wyboru nowych władz. Strzelano na ślepo.

Wszystkie wnioski pozostały bez echa. Zmowa milczenia? Zdegustowany Janusz Romanowski publicznie wyraził wówczas swoje zdanie: - *„Nagonka na Legię – nie jest przypadkowa. Zdaniem wielu ludzi, jak „śmiała” zostać mistrzem Polski. Przed ostatnią kolejką wzywano do krucjaty*

przeciwko klubowi. Niektórzy ludzie chyba potracili zmysły”... „Sprawę” Legii poruszono również na Walnym Zgromadzeniu delegatów Okręgu Warszawskiego. Podjęto uchwałę zobowiązującą zarząd WOZPN do podjęcia starać, aby w sezonie 1993/1994 PZPN uchylił karę minus trzech punktów (-3) nałożoną na Legię, ŁKS, Olimpię i Wisłę. „Casus Legia” na dalszy plan zepchnął inne wydarzenia piłkarskie w Warszawie. A przecież dokładnie 2 czerwca 1993 roku Polonia po 41 latach tułaczki po boiskach II i III ligi powróciła do ekstraklasy. Wkrótce na Konwiktorskiej utworzono Autonomiczny Zespół Piłki Nożnej. Główną postacią stał się tam teraz poseł na Sejm Rzeczypospolitej – Marek Wielgus. W okresie prezesury Mariana Dziurowicza był wiceprezesem PZPN. Zginął tragicznie podczas urlopu na Dominikanie.

Utarło się przekonanie, że zazwyczaj po siedmiu latach tłustych przychodzą te chudsze, mniej udane. W naszej lidze na własnej skórze odczuły to nawet Wisła Kraków, Ruch Chorzów i sam „wielki” Górnik Zabrze. Ale bywa i tak, że dobro częściej przeplata się ze złem. Lech Poznań, mistrz Polski 1993 z „awansu” Walnego Zgromadzenia PZPN, jest w tej huśtawce nastrojów przykładem szczególnym. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych był równorzędnym rywalem Wisły, Cracovii i Ruchu Chorzów, jednak u schyłku tej drugiej dekady tułał się po boiskach II ligi. A potem – w różnym przedziale czasowym – też raz był na wozie, raz pod wozem. Jednak zawsze miał, ma i zapewne mieć będzie – wiernych kibiców. Od zarania powojennej ligi przekonują całą piłkarską Polskę: - **„W górę serca, wygra Lech!”**

Bije radość z tego okrzyku, w roku 1993 była wyjątkowo duża, bo przyszła niespodziewanie, bardziej z „woli nieba” niż własnych możliwości i faktycznych dokonań. Właśnie wtedy KKS Lech czyli Kolejowy Klub

Sportowy zaczął chylić się ku upadkowi. Chichot rzeczywistości! Z jednej strony ligowy triumf, a z drugiej... pusta kasa, więcej – duże długi. Poznaniacy to zaradni ludzie. W tej trudnej sytuacji niejako łagodząc dolegliwości ustrojowo-społecznej transformacji, wzorem innych klubów postanowili zmienić nazwę, przy tym nieco odciąć się od przeszłości i utworzyli Poznański Klub Piłkarski „Lech”. W dniu 16 czerwca 1994 roku nowe stowarzyszenie pod numerem 199 wpisano do rejestru Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. Prezesem PKP Lech został Ryszard Dolata, a jednym z trzech wiceprezesów Roman Jakóbczak, były piłkarz w 1974 roku uczestnik mistrzostw świata w RFN.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami PKP Lech, chcąc samodzielnie zaistnieć na poznańskiej i ogólnopolskiej scenie piłkarskiej, musiałby rozpocząć rozgrywki od najniższej klasy w Okręgu. A przecież pomysłodawcy samobójcami nie byli! Wszystko dokładnie przemyśleli. Zamierzali upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć się długów i utrzymać I ligę w Poznaniu. Nic nie trzeba burzyć, tylko nieco zmienić szyld i dokonać fuzji. Poszło jak po maśle, w drugiej dekadzie czerwca 1994 roku nastąpiło połączenie sekcji piłki nożnej KKS „Lech” z PKP Lech. Pełna symbioza. W umowie, traktującej o tym historycznym wydarzeniu czytamy: ... „Na podstawie & 11 ust. 2 uchwały Zarządu PZPN a dnia 14.05.90 r. w sprawie organizacji rozgrywek w piłce nożnej przekazujący i przejmujący oświadczają, że z dniem 21.06.94 nastąpiło połączenie sekcji piłki nożnej KKS Lech Poznań z PKP Lech Poznań. Przyjmujący oświadcza, że odpowiada za zobowiązania powstałe od dnia połączenia... Przejmujący powiadomi właściwy związek sportowy (OZPN i PZPN)... o połączeniu sekcji piłki nożnej”. Udana transakcja.

Kolejny krok (decyzje OZPN i PZPN) nie był już tak udany. O ile Poznański OZPN bez żadnych zastrzeżeń w dniu 5 lipca „zarejestrował klub PKP Lech do udziału w rozgrywkach prowadzonych na szczeblu OZPN”, o tyle PZPN 18 lipca 1994 roku stanął okoniem: **„brak jest podstaw do przyjęcia, że nastąpiło połączenie Poznańskiego Klubu Piłkarskiego „Lech” Poznań z sekcją piłki nożnej Kolejowego Klubu Sportowego „Lech” Poznań”**. „Przedmiotowe połączenie może dotyczyć jedynie klubów występujących już wcześniej w rozgrywkach mistrzowskich... Stąd też w rozgrywkach sezonu 1994/95 może wystąpić jedynie zespół KKS „Lech” Poznań”.

Oświadczenie to podpisali sekretarz generalny PZPN Edmund Zientara i radca prawny dr Andrzej Wach. Przekazali je do wiadomości nie tylko prezesowi KKS „Lech” Janowi Grodziskiemu i prezesowi OZPN w Poznaniu Marianowi Kustoniowi, lecz także Ryszardowi Górcie. Riposta zarządu PKP „Lech” była błyskawiczna: ... **„nie może się zgodzić z takim stanem rzeczy”**. Oświadczone, że – wbrew powszechnie przyjętym zasadom – w PZPN zaistniałe wątpliwości rozstrzygnięto na niekorzyść wnioskodawcy. To zła decyzja. Nie ma więc podstaw do kwestionowania praw PKP „Lech” jako klubu. Zarząd PKP „Lech” wyraził również zdziwienie, że „jednym z adresatów pisma PZPN jest p. Ryszard Górka, który zrezygnował z funkcji członka zarządu KKS „Lech”... R. Górka nie jest w żaden sposób stroną w tej sprawie”.

Działacze PKP „Lech” wyrazili też opinię, że w omawianej sprawie nie powinna mieć znaczenia kwestia przejęcia długów KKS „Lech”. Stosunki obligacyjne stanowiące ich źródło są wyłącznie sprawą KKS i ich wierzycieli... Mając na względzie to, że już wcześniej PZPN wyraził zgodę na grę w I lidze w podobnych okolicznościach innym

klubom, wniosek Zarządu PKP „Lech” jest uzasadniony i zasługuje na uwzględnienie. Jednoznacznie poparł tę opinię Poznański Okręgowy Związek Piłki Nożnej. – „Prosimy o podjęcie decyzji umożliwiającej wszystkim drużynom piłki nożnej KKS „Lech” Poznań branie udziału w sezonie 1994/95 w PKP „Lech” Poznań.

Tak szerokie potraktowanie „casus KKS Lech – PKP Lech Poznań” wynika z kilku powodów. Przede wszystkim nie był to przypadek odosobniony, wówczas raczej typowy. Na początku transformacji ustrojowej w podobnej sytuacji znalazły się i też przeżywały trudne chwile również znane kluby w Warszawie, Gdańsku, Dębicy, w Łodzi, na Śląsku i w tymże Poznaniu. Wtedy nie były jeszcze w modzie sejmowe komisje śledcze, ani komisje etyki w PZPN, przeto trudno jednoznacznie wskazać motywy i formy działania, jakimi się kierowano. Jednym się udało uchronić przed degradacją, innym – nie, niektóre – choć nie zawsze zgodnie z przepisami – mocniej stanęły na nogach, ale część z nich do dziś ma kłopoty finansowe i szkoleniowe. Tu i ówdzie dziury łatają nowobogaccy, dają sporo pieniędzy, ale niewiele sportowej wiedzy. Błądzą. Są jednak sprytnie wspierani przez makiawelizm prawników. Przedziwna to profesja. To głównie oni ułatwiają produkowanie piłkarskich fikcji i uczą wygrywać przegrane sprawy.

Sprawa Lecha wydała mi się jednak – choć sportowo mocno pokrętna - społecznie uzasadniona. Poznaniacy logicznie i niewątpliwie zgodnie z prawdą argumentowali swoje decyzje:

„Podstawową przyczyną, dla której podjęliśmy się transformacji zespołu, była dramatyczna sytuacja finansowa KKS „Lech”... W takim stanie rzeczy dalsze jego normalne funkcjonowanie stało się niemożliwe. Narosłe zobowiązania blokowały jakikolwiek ruch w sferze majątkowej.

Obecnie każdy z polskich klubów może się znaleźć w podobnej sytuacji. Stąd też przy podejmowaniu decyzji o połączeniu klubów nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do tego, że będziemy mogli liczyć na pomoc stowarzyszenia, w którym jako klub jesteśmy zrzeszeni – Polskiego Związku Piłki Nożnej. Tymczasem stanowisko, jakie zajęło prezydium PZPN, stanowiło dla nas niemałe zaskoczenie”.

Są to fragmenty pisma, jakie na moje nazwisko, ale adres Warszawskiego OZPN, przesłał prezes PKP „Lech” Ryszard Dolata. Sądzę, że podobne listy otrzymali również prezesi innych okręgów. Dolata zabiegał o naszą wyrozumiałość i bezstronność, aczkolwiek wiedział, że bardziej jesteśmy za przestrzeganiem prawa, niż przejawami miłosierdzia. Stanowiska klubu uznał za słuszne, natomiast decyzję prezydium PZPN za błędną od A do Z. W tej sytuacji zarząd Związku, a przecież już nie byłem wiceprezesem PZPN, właśnie mnie powierzył wcale niełatwe zadanie mediacji i doprowadzenia do rozwiązania, które pozwoliło by w tej sprawie „zachować twarz PZPN-owi, zaś nowemu klubowi PKP „Lech” Poznań – z takim powodzeniem jak dotychczas robił to KKS „Lech” – dobrze służyć zakochanej w futbolu Wielkopolsce i dobremu imieniu Lecha w całym kraju”.

Nie był to przejaw sympatii okazany wyłącznie „Kolejorzowi”. Na żywym organizmie wreszcie uwiarygodniono od dawna lansowaną tezę, że kluby z tradycjami nie tylko należy szanować, ale także trzeba im pomagać. Ja też nie miałem wątpliwości, że „Lech – Lech – Kolejorz” zasługuje w tej złożonej sprawie na względy szczególne. Po tych wydarzeniach poznański klub nie za szybko „rósł w siłę”, na przełomie stuleci nawet spadł z ekstraklasy, ale nie po raz pierwszy zdołał przewyciężyć nękające go chwile słabości. W roku 2004 na oczach ludzi nie zawsze

mu przyjaznych zdobył Puchar Polski. Teraz czas na sukcesy w lidze!... Ma to ułatwić kolejny mariaż tym razem z Amicą Wronki.

PONURY JUBILEUSZ

Zbliżała się 75 rocznica powstania PZPN. Kierowany przeze mnie zarząd Warszawskiego OZPN zgłosił 8 propozycji będących w stanie uświetnić ten jubileusz. Postulowaliśmy między innymi ogłoszenie konkursu - plebiscytu na najlepszego piłkarza 75-lecia, zorganizowanie turnieju z udziałem najstarszych ligowców i historyczno-sportowego sympozjum. PZPN w minimalnym stopniu wykorzystał te propozycje. Mimo uszu puszczono również dezyderat walnego zebrania delegatów okręgu warszawskiego: *...„Zobowiązuje się Zarząd WOZPN do wystąpienia z wnioskiem do Zarządu PZPN o ogłoszenie z okazji 75-lecia PZPN amnestii i anulowania kary trzech punktów ujemnych, nałożonej na cztery kluby I ligi po zakończeniu rozgrywek sezonu 1992/1993. Umożliwi to sprawiedliwą, w sportowej atmosferze walkę o mistrzostwo Polski w 1994 roku”*.

Teraz dość luźno byłem związany z PZPN, natomiast w WOZPN nadal działałem aktywnie. Priorytetem znowu było tu szkolenie, głównie drużyn młodzieżowych, sprawność rozgrywek i stan gospodarki finansowej. Okręg z ostrego wirażu wyraźnie zaczął wychodzić na prostą. Bez żadnych kompleksów podjęliśmy więc działania zmierzające do ogłoszenia przez PZPN „jubileuszowej amnestii”. Napisałem i wysłałem w tej sprawie dwa odrębne pisma – jedno do Zarządu PZPN, a drugie do prezesa Kazimierza Górskiego. Było mi przykro w tej formie komunikować się z przyjacielem, ale wymagały tego urzędowe procedury.

... „Wystąpienie Zarządu WOZPN do Polskiego Związku Piłki

Nożnej z postulatem amnestii jest podyktowane treścią Uchwały Walnego Zebrania WOZPN z grudnia 1993 roku. Delegaci zobowiązali członków Zarządu Okręgu do zabiegania w PZPN o prawo łaski dla czterech klubów, w tym również dla Legii Warszawa – członka WOZPN... Naszym zdaniem prezydium Zarządu PZPN przewrotnie interpretując paragraf 28 ustęp 1 punkt 17 Statutu PZPN, oddaliło naszą prośbę... W nierównej walce o racje Okręgu i ukaranych klubów pozostały nam już tylko ambicja osobista i honor”...

Prezes Górski nie odpowiedział na to pismo jednoznacznie: - „Postawię wniosek o zwołanie posiedzenia zarządu, który – być może – zadecyduje o uchwaleniu amnestii”. Zarząd PZPN obradujący w Krakowie pozostał jednak głuchy na prośbę WOZPN i swojego sternika. Skwitowałem to krótko: - „PZPN-owi nie zależy na tym, aby w roku niecodziennego Jubileuszu, przynajmniej w pewnym stopniu usunąć skutki kontrowersyjnych decyzji podjętych na zeszłorocznym Walnym Zgromadzeniu. Obniżono wówczas rangę polskiego piłkarstwa w kraju i na arenie międzynarodowej, Lechowi Poznań bezprawnie zafundowano mistrzostwo Polski, a Legię i ŁKS wyeliminowano z rozgrywek europejskich. W rezultacie – zamiast jednoczyć rozbite środowisko piłkarskie – pogłębiono różnice i regionalne antagonizmy. Takie praktyki dezintegrują ludzi futbolu”.

Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu. Odpowiedzi na te zarzuty nie otrzymaliśmy, jedynie za pośrednictwem „Sztandaru Młodych” dowiedzieliśmy się, że „**Decyzja PZPN jest suwerenna i ostateczna**”. Piłkarska Warszawa w miarę logicznie skomentowała to oświadczenie: - „Nie jesteśmy zaskoczeni. Przecież w większości ci sami ludzie, którzy bez udowodnienia winy wydali wyrok, teraz nie mają odwagi

go zmienić. Oficjalnie zasłaniano się brakiem stosownych uprawnień. Bzdura! Amnestia – o co zabiegaliśmy – nie jest przecież zanegowaniem wydanego wyroku, a tylko darowaniem części kary. Zatem nie brak podstaw prawnych lecz dobrych chęci kierował działaczami PZPN”.

Spór na linii Bracka – Aleje Ujazdowskie trwał ponad rok. Jako prezes WOZPN trzymałem stronę pokrzywdzonych klubów i sfrustrowanych działaczy, natomiast Kazimierz Górski był lojalny wobec prezydium i zarządu PZPN. Nie nadszarpnęło to naszej przyjaźni. Każdy jednak robił teraz swoje. Prezes nadal darzył mnie sympatią i zaufaniem. Nasze kontakty były teraz nieco rzadsze (nie byłem nawet na uroczystościach jubileuszowych PZPN w Krakowie!), ale pamięć o latach wspólnej pracy wciąż żywa. Górski zaproponował mi zredagowanie publikacji traktującej o 75-letniej działalności PZPN. Przyjacielowi się nie odmawia.

Opracowałem konspekt, wskazałem wiarygodnych autorów, między innymi Mieczysława Szymkowiaka, chodzącą encyklopedię naszego futbolu i sam napisałem kilka rozdziałów. Nie była to charakterystyczna dla niektórych „dziejopisarzy” książka telefoniczna, lecz nieco szersze spojrzenie na te Diamentowe Gody PZPN. Tę formę publikacji przyjęto w Związku z uznaniem. Prezes Kazimierz też był wylewny. Na honorowym miejscu tej historycznej pozycji skreślił pod moim adresem naprawdę kilka ciepłych słów. Najbardziej jednak zaskoczył mnie współautor „**Historii PZPN**” red. Paweł Smaczny. W trzech słowach wyraził od lat okazywaną sympatię: - „Swemu czarnoksiężnikowi – uczeń”.

Najłatwiej i najprościej jest narobić we własne gniazdo, ale posprzątać po sobie brudy i udawać, że się świeci nieskazitelną czystością intencji, tak w kraju jak na zewnątrz – w Europie, już znacznie trudniej. Wydarzenia z Krakowa i Łodzi oraz późniejsze babranie się w nich na zebraniach

PZPN znacznie zeszpeciło i tak już mocno skancerowany wizerunek całego polskiego piłkarstwa. Entuzjastycznie zapowiadany Jubileusz 75-lecia istnienia PZPN odbył się w nastroju dalekim od powszechnej szczęśliwości i jedności środowiska.

Pod Wawelem zabrakło piłkarskiej Warszawy, znaczącego koalicjanta grupy pięciu założycieli PZPN. Poczuliśmy się jak trędowaci. Kawę na ławę wygodną dla oskarżycieli wyłożył red. Ryszard Niemiec. Nawiązując do grzechów z burzliwej historii władców Mazowsza również współczesnym przypisał skłonności do buntów i protestów. Mnie szczególnie wytknął nadmiernie wybujałą ambicję i... rozbijacką działalność. Jak to się ludzie zmieniają? Po mistrzostwach świata w Hiszpanii ówczesny felietonista „Życia Literackiego” nazwał mnie w tym tygodniku „niecodziennym i wysoko cenionym znawcą piłkarstwa”. Zapytałem więc we Wrocławiu na wyjazdowym zebraniu zarządu PZPN:

– Rysiu!... Kiedy pisałeś o mnie prawdę – wtedy czy teraz?

Red. Niemiec zachował się elegancko i pryncypialnie. Zaniechał bzdurnych inwektyw:

– Nadal widzę cię takim jakim jawiłeś mi się po Espana 82. Masz dobre spojrzenie na ten nasz futbol. Ostatnio jednak obaj nieco się zagalopowaliśmy...

Była to odpowiedź wyraźnie zmierzająca do zaprzestania dalszych kłótni i... podania sobie rąk na zgodę. WOZPN wyciągnął pojednawczą dłoń również do centrali z Alei Ujazdowskich. Zaraz po zdobyciu przez Legię mistrzostwa Polski w 1994 roku zarząd WOZPN publicznie oświadczył: *„Piłkarze Legii na boisku usunęli przyczyny, które zrodziły różnice zdań między PZPN i WOZPN”*. Głupi i niepożądany spór ostatecznie zażegnano na zebraniu zarządu PZPN w dniu 27 czerwca

1994 roku.

Finalne uroczystości z okazji diamentowych godów PZPN odbyły się w Warszawie przy ulicy Żwirki i Wigury, w tym samym ośrodku wojskowym, w którym rok wcześniej na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu PZPN odebrano Legii mistrzostwo Polski. Tu już warszawskie piłkarstwo reprezentowała dość liczna grupa działaczy, w tym również – ja, prezes WOZPN i współautor „ZARYSU HISTORII PZPN”. Było wielu gości z kraju i zagranicy, prezes Kazimierz Górski zapoznał ich z dotychczasowym dorobkiem polskiego piłkarstwa. Wręczono wyróżnienia i odznaczenia. Do niedawna „buntowniczy” WOZPN otrzymał 25 medali pamiątkowych. Prezes Górski osobiście wręczył je zasłużonym działaczom w dniu 22 listopada 1994 roku w siedzibie WOZPN przy ulicy Brackiej 18 w Warszawie.

W kraju więc wszystko powoli wracało do normy, aczkolwiek nadal nie wszędzie doceniano faktyczną wartość ówczesnej Legii. Tu i ówdzie sugerowano, że tym razem w zdobyciu mistrzostwa Polski pomógł wojskowym sędzia Sławomir Rędziński z Zielonej Góry. Nowej draki na szczęście nie było. Słusznie i odważnie decyzji arbitra bronili Alojzy Jarguz i Eugeniusz Kolator. „Kawiarniani” znawcy przepisów skapitulowali. Wciąż dobrze mieli w pamięci zeszłoroczne kary nałożone przez Europejską Unię Piłkarską. Bokiem wyszły nam wszelkie donosy do UEFA osób prywatnych, nieprzychylnych naszej lidze, historyczne opisy prasy i niejednoznaczne „wyjaśnienia” delegatów PZPN.

W styczniu 1995 roku warszawscy działacze po raz pierwszy w historii Okręgu, w kawiarni „U HUTNIKÓW” na Bielanach, zorganizowali spotkanie noworoczne na skalę dotychczas niespotykaną. Zaproszono ludzi futbolu z Łodzi, Gdańska, Olsztyna, Białegostoku i

oczywiście z PZPN. Byli przedstawiciele klubów wielkich, średnich i małych, dopisała prasa. Cel – zbliżenie i integracja środowiska. Nieco inny charakter, istotny głównie dla sfery działań organizacyjno-szkoleniowych, miało lutowe „PIŁKARSKIE FORUM DYSKUSYJNE” zorganizowane przez PZPN i Krakowski OZPN. Warszawski Okręg reprezentowali: Jerzy Lechowski (prezes), Witold Abert (wiceprezes), Eugeniusz Kolator (przewodniczący Komisji Rewizyjnej), Leszek Rylski (były prezes WOZPN i sekretarz generalny PZPN), Józef Wiśniewski (Legia) oraz dr Kazimierz Doktor.

Delegacja Warszawy wykazała na tym Forum dużą aktywność. Dr Doktor przewodniczył zespołowi problemowemu „MODEL KLUBU PIŁKARSKIEGO”, mecenas Abert współtworzył zarys przyszłego STATUTU PZPN, a Leszek Rylski nakreślił kształt współczesnego systemu nadawania licencji klubom i trenerom. Prezes Lechowski, mówiąc o modelu klubu piłkarskiego, położył nacisk na właściwe zdefiniowanie i rozwijanie pojęcia futbolu amatorskiego i profesjonalnego. Podkreślił też konieczność równoległego rozwijania w klubach wszystkich klas funkcji ekonomicznych i sportowo-widowiskowych. Muszą tu być zachowane odpowiednie proporcje. Klub to przedsiębiorstwo o wyjątkowo wrażliwej strukturze. Niedocenianie szkolenia i spychanie na boczny tor sportowego współzawodnictwa – to wypaczenie istoty kultury fizycznej i podcinanie własnych korzeni.

Rok 1995 charakteryzował się jednak dość dużą aktywnością w sferze organizacji i szkolenia. Formowano nowe ekipy kierownicze w okręgach i centrali. Tym razem już nie wybierano prezesów i członków zarządów przez aklamację, niemal wszędzie o przejęcie steru w OZPN-ach i PZPN ubiegało się kilku kandydatów. Powoli dojrzewały

procedury w pełni demokratyczne. W Warszawie na przykład o fotel prezesa ubiegali się: Ryszard Bęben (Gwardia Warszawa), Kazimierz Doktor (Legia), Wit Żelazko (Mazur Karczew) i Jerzy Lechowski. Po prezentacji programów przez kandydatów przeprowadzono wybory tajne. Zdecydowane zwycięstwo (różnicą ponad stu głosów nad drugim na liście) odniósł dotychczasowy prezes. To już trzecia kadencja. Jaka będzie?

... Zbliża się 75 rocznica działalności WOZPN – powiedziałem w słowie końcowym. – Wkraczamy w rok jubileuszowy z podniesionym czołem. Mamy Legię w „potrójnej koronie”, Polonię znowu wśród najlepszych, stale powiększa się liczba klubów i zawodników, nasza piłkarska piramida zaczyna nabierać właściwych kształtów. Znamy swoją wartość sportową i intelektualną. Te atuty dobrze wykorzystuje PZPN. Warszawski OZPN zawsze był dla centrali źródłem pozyskiwania ofiarnych działaczy, wybitnych sędziów i trenerów, utalentowanych piłkarzy, a ostatnio jest także kuźnią sprawnych organizacyjnie sponsorów. Chcemy kontynuować ten kurs, pozyskiwać przy tym sympatię sąsiadów i sportowych rywali. Wszak Warszawa nie tylko potrafi walczyć i dobrze pracować, ale... „Warszawa da się lubić”. Szanujmy te wartości!

UMIZGI MAGNATA

Od dość dawna wiedziałem, że w PZPN na drugą kadencję już nie będzie kandydował prezes Kazimierz Górski. W tej sytuacji – tego ukryć się nie da – czyniłem starania, aby nowy prezes Związku był z Warszawy. Stosowne grono działaczy stołecznych organizowało więc spotkania informacyjno-sondażowe w wybranych klubach, a także w okręgach

zrzeszonych w makroregionie warszawsko-mazurskim. Uznaliśmy, że z tego środowiska najlepszym kandydatem na nowego sternika PZPN będzie redaktor Jerzy DOMAŃSKI. Wieści w tej sprawie dotarły na Śląsk, gdzie do funkcji szefa Związku przymierzał się Marian Dziurawicz. Miał za sobą południową Polskę. Ze mną również usiłował się dogadać. Sprzyjał mu dotychczasowy prezes.

– Tu Górski! – słyszę w słuchawce głos Kazia. – Jerzyk masz chwilę czasu?...

– Dla ciebie Kaziu zawsze! A co się urodziło?

– Przyjedź na Mokotów... Nie, nie do mnie na Madalińskiego... Będę czekał w tym gmachu wojskowym przy Alejach Niepodległości. Tam pogadamy...

Trafiłem bez trudu, już nie raz byłem tam na piwku, i z Górskim i z Koncewiczem, wszak „Fajka” mieszkał na tyłach tej kamienicy. Podjechałem windą na piąte czy szóste piętro i już w korytarzu usłyszałem rozmowę:

– Prezesie, znam Jurka od blisko czterdziestu lat, mamy wspólnych przyjaciół... Ale w tej sprawie nic nie wskóram. On stawia na Domańskiego... Tylko pan może mi pomóc! – tak widział swoje prezesowskie szanse Marian Dziurawicz.

Podszedłem do bogato zastawionego stolika. Fłaszczka, chyba nie pierwsza, kilka buteleczek „Żywca”, głośno, tylko czujność towarzystwa jakby nieco osłabiona. Nie zauważono, że już jestem, wszystko słyszę i widzę. Kogo tu jeszcze mamy? Dziurawicz, Bugdoł, Betlejewski i oczywiście prezes Górski. Wszyscy mają mocne głowy. Włączone mnie do kompanii i powolutku wyłuszczano cel spotkania. Marian mówił niewiele, Kazio też nie był zbyt rozmowny, tylko Bugdoł i Betlejewski

usiłowali przekabacić mnie na stronę Dziurowicza. Daremny trud. Ja nie umiem robić z gęby cholewy. Mam innego kandydata...

Jerzy Domański był nie tylko moim faworytem na fotel prezesa PZPN. Mocno i bardzo aktywnie wpierali go również inni prominenci z centrali. Trio Domański – Pietruszka – Speczik skierowało apel do Komisji Statutowej Walnego Zgromadzenia Sprawozdawczo-Wyborczego Delegatów PZPN, w którym jednoznacznie dało do zrozumienia, że: „obecny Statut PZPN jest aktem niespójnym, pełnym luk, a w ostatecznym kształcie w minimalnym stopniu przystającym do rzeczywistości”. Autorzy przekazali to do wiadomości prezesowi Górskiemu, a we mnie dostrzegli sojusznika grupy domagającej się zmian. Jako pierwsi za koniecznością opracowania nowego STATUTU wypowiedzieli się działacze Warszawskiego OZPN. Poparli:

- Zmianę związku stowarzyszeń na rzecz federacji autonomicznych podmiotów prawnych.
- Modyfikację definicji członkostwa PZPN – poza osobami prawnymi uwzględnić w nim również osoby fizyczne.
- Wprowadzenie trójpodziału władzy na uchwałodawczo-jurysdyczną, dyscyplinarną i wykonawczą.
- Upodmiotowienie prawne piłkarzy, określenie ich statusu i zagwarantowanie uczestnictwa we władzach organizacji.
- Zmianę trybu wyłaniania władz PZPN. Umocnić podstawy demokratyczne, równość i równorzędność wszystkich członków PZPN i zakaz łączenia funkcji i stanowisk w organach uchwałodawczych i wykonawczych.
- Zagwarantowanie daleko idącej autonomii organizacjom członkowskim. Jedyne zastrzeżenia, to:

- regulacje statutowe
- reprezentowanie wobec władz państwowych i międzynarodowych organizacji piłkarskich
- orzecznictwo dyscyplinarne.

Uczestniczyłem w wielu zebraniach propagujących te wartości i wskazujących na Domańskiego jako głównego kandydata na sternika PZPN. Po drugiej stronie tej wyborczej barykady, bronionej przez wciąż niebywale silną „grupę śląską”, znalazł się Ryszard Niemiec, dziennikarz – prezes OZPN z Krakowa. Przegrał głosowanie na wybór przewodniczącego zebrania sprawozdawczo-wyborczego, ale walnie przyczynił się do elekcji Mariana Dziurówicza. Jednak największy wpływ na zwycięstwo wyborcze Mariana miał ustępujący prezes Kazimierz Górski. Ze zjazdowej mównicy oficjalnie zarekomendował Magnata. Trochę nieświadomie Dziurówiczowi pomógł tu również poseł na sejm Marek Wielgus. Wbrew stanowisku Konwentu Prezesów WOZPN tylko w Jerzym Domańskim upatrującego kandydata na prezesa nagle sam zapragnął przejąć ster PZPN. Wielki mówca i filozof rzymski Marcus Tullius Cicero twierdził, że w podobnych sytuacjach „nomina sunt odiosa” czyli – nowe nazwiska są niepożądane. Bo gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta...

Stolica w odwrocie. W nowym zarządzie PZPN z działaczy Warszawskiego OZPN na uznanie „ludzi Dziurówicza” zasłużyli tylko: Witold Abert, Eugeniusz Kolator, Artur Mazurek i właśnie Marek Wielgus. Ja, „przyjaciół” Mariana nie miałem teraz najmniejszych szans. Tę skromną rolę stolicy we władzach krajowego piłkarstwa, co nieco osłodziło powierzenie Michałowi Listkiewiczowi funkcji sekretarza generalnego PZPN, a Władysławowi Stachurskiemu – selekcyjnera

drużyny narodowej. Nie miałem wątpliwości, że w obu wypadkach były to decyzje „na pokaz”. Wkrótce bowiem Władka zdymisjonowano, a „pan Michał” skrępowany gorsetem pustych haseł prezesa - „porządek musi być”, sam zrezygnował.

Sportowa pozycja stołecznego piłkarstwa i makroregionu warszawsko-mazurskiego była dużo, dużo lepsza. Zdobywaliśmy złote medale we wszystkich kategoriach wiekowych juniorów: w pucharach imienia Wacława Kuchara, Jerzego Michałowicza i Kazimierza Deyny. Udało się zaszczepić tego bakcyła młodzieżowego futbolu niemal wszystkim znaczącym działaczom klubowym, no i oczywiście w okręgu i makroregionie. To była dobra wizytówka naszego piłkarstwa, czysto amatorskiego, jeszcze nie skażonego rzekomym „profesjonalizmem”. Tyrał jak osioł trener koordynator Zygmunt Ocimek oraz szkoleniowcy poszczególnych drużyn: Tadeusz Siejewicz z Białegostoku, Ryszard Kosiński, Jerzy Biechoński i ich liczni współpracownicy z Ciechanowa, Olsztyna i Warszawy. Nigdy i nigdzie nie byli w swym trudzie osamotnieni, praktycznie każdy mecz reprezentacji Warszawy lub makroregionu obserwowali, dopingowali zawodników i udzielali trafnych wskazówek: Bernard Okrasa, Zbigniew Cybulski, Waldemar Wojciechowski, Jan Małkiewicz i prezes Jerzy Lechowski. Pańskie oko konia tuczy...

Władze okręgów piłkarskich mają niewielki wpływ na pracę w I-ligowych klubach, ale radą i... życzeniem szczęścia mogą jednak służyć. Tak właśnie układała się współpraca na linii WOZPN – wielkie stołeczne kluby. Niemal całe dziesięciolecie 1990-2000, to – obok zgrzytów - pasmo sukcesów Legii i Polonii w lidze i rozgrywkach o Puchar Polski. Do Warszawy zawitała również europejska Liga Mistrzów. W pierwszym podejściu Legia zapłaciła słone frycowe, ale już w drugim starciu wraz ze

Spartakiem Moskwa zakwalifikowała się do ćwierćfinałów. W marcu 1996 roku rywalem „wojskowych” w tej fazie Ligi Mistrzów był Panathinaikos Ateny. Zima nie ustępowała, wszędzie lód i śnieg. Stadion Wojska Polskiego przedstawiał żałosny widok. Nawierzchnię boiska zniszczyły tony soli i różnych środków chemicznych. Podgrzewanej płyty nie było. W tych anormalnych warunkach padł bezbramkowy remis. Rewanż pewnie wygrali Grecy. Legioniści przefajdali również mistrzostwo Polski. W decydującym meczu prowadzili 1:0 po pięknym strzale z woleja Tomasza Wieszczyckiego, mimo to przegrali 1:2. Ówczesny trener Widzewa Franciszek Smuda tak to skomentował:

... Oni mieli indywidualności, a my dysponowaliśmy grupą zgranych zawodników... A może zjadła ich trochę pycha?

Przyczyn było więcej, między innymi brak przywiązania do barw i pogoń za lepszymi zarobkami. Przebąkiwano też o bierności niektórych zawodników. Zaraz po zakończeniu sezonu ze składu, który walczył w Lidze Mistrzów, odeszło aż 9 zawodników: Maciej Szczęsny, Marek Józwiak, Krzysztof Ratajczyk, Radosław Michalski, Tomasz Wieszczycki, Zbigniew Mandziejewicz, Leszek Pisz, Grzegorz Lewandowski i Jerzy Podbrożny. Koniec Legii warszawskiej? Przejmie ją cudzoziemska? Odżyła tu stara prawda: same nazwiska nie grają! Tak osłabiona Legia znowu wywalczyła wicemistrzostwo Polski, a w Pucharze UEFA zrewanżowała się „Wszechateńskim” za zeszłoroczne niepowodzenie w Lidze Mistrzów. W naszej ekstraklasie znowu górą był Widzew. Po raz drugi jednak frajersko zachowali się legioniści.

Zwycięstwo łodzian z Legią w Warszawie w meczu już praktycznie przegranym przypomniało kibicom z całej Polski, że Widzew wciąż jest „drużyną z charakterem”. Łódzka ferajna mierzyła wysoko i powalczyła

o Ligę Mistrzów. Zaczęła obiecująco od wygranej z duńskim Broendby 2:0. Rewanż dość niespodziewanie przybrał formę dramatu, przeciwnik prowadził u siebie już 3:0. Łodzianie rychło jednak doprowadzili do w pełni ich urządzającego wyniku 2:3. Liga Mistrzów będzie teraz w Łodzi! Cała drużyna z Tomaszem Łapińskim, Mirosławem Szymkowiakiem, Maciejem Szczęsnym zasłużyła na uznanie, ale najwięcej braw zebrał Marek Citko. To był wyjątkowy rok w jego piłkarskiej karierze. Strzelał bramki w naszej lidze, w klubowych rozgrywkach UEFA i w reprezentacji Polski. Właśnie w roku 1996, jako drugi Polak zdobył bramkę na Wembley. Telewizjowcy zafundowali mu koronę króla całego polskiego sportu. Zabawna citkomania...

W tym czasie Warszawski OZPN rozpamiętywał jeszcze swoje 75-lecie. Kolejny dla stolicy tytuł mistrza Polski i ponowny start Legii w Lidze Mistrzów miał być mocnym akcentem tego jubileuszu. Mówią, że nadzieje żyją najdłużej, ale tym razem trwały tylko do 85 minuty. W tym momencie wszelkich złudzeń, właśnie w meczu z Widzewem, pozbawili swoich fanów dziwnie rozkojarzeni piłkarze. Trener Mirosław Jabłoński też już widać bujał w obłokach. Dokonał zmian, które rozkleiły zespół i całkowicie pozbawiły go cech ofensywnych. Sprytnie wykorzystali tę słabość „chłopcy Smudy” i dosłownie w ciągu pięciu minut z przegranego 0:2 doprowadzili do zwycięskiego 3:2. Specjalność Widzewa? Niedojrzałość legionistów! Rywale z Ligi Mistrzów już tak bezradni nie byli, więc łodzianie nic tu nie wskórali. Ogon tabeli!

Znacznie większy hart ducha, niż piłkarze Legii, wykazali w sezonie 1996/1997 poloniści. Dziarsko zmierzali do ekstraklasy i z rozmachem tworzyli zespół na miarę mistrza Polski. Uroczystości jubileuszowe WOZPN przebiegały więc w dobrym nastroju. Podniosłą atmosferę

potęgowało miejsce, w którym odbyła się ta historyczna gala. Futbol trafił w progi stołecznego ratusza, siedziby prezydenta miasta i wojewody warszawskiego. Gmach na Placu Bankowym rozbrzmiewał więc głosem usatysfakcjonowanych działaczy. Niebagatelne zasługi stolicy dla polskiego piłkarstwa podkreślili przedstawiciele PZPN i wszystkich OZPN-ów. Wojewoda Bohdan Jastrzębski też nie szczędził pochwał. Nawiązał w swoim barwnym wystąpieniu do patriotycznych postaw piłkarzy i roli Warszawy w walkach o niepodległość Polski.

Jestem zbudowany organizacją waszego święta właśnie w dniu 29 listopada. To ważna data w dziejach Warszawy. Jesteście wierni tradycji nie tylko sportowej, lecz także wielkich zrywów powstańczych ludu Warszawy. Świętujecie w dniu wybuchu Powstania Listopadowego 1830 roku. Były to dni „naszej krwi i chwały”. Dokonania piłkarzy też są znaczącą częścią w 400-letniej historii stołeczności Warszawy.

Wojewoda jednak nie tylko chwalił, także ganił. Przed rokiem na Stadionie Wojska Polskiego powiało grozą. Po meczu finałowym o Puchar Polski Legia – GKS Katowice 2:0 wszczęto bójki, zdemolowano odkrytą trybunę, przerwano żelazne ogrodzenie, chuligani wtargnęli na boisko. Interweniowała policja, w ruch poszły polewaczki i armatki wodne. Sodoma i Gomora, żaloszny widok. Kto wywołał te barbarzyńskie zajścia i dlaczego? Mecz był przecież „czysty”, arbiter dobrze prowadził zawody, Legia wygrała. Skąd więc te skandaliczne wyczyny? Podobno nie bez winy była tu też policja. Zachowywała się prowokacyjnie. Kruchy argument...

Ubolewałem w oficjalnym oświadczeniu Warszawskiego OZPN:

... Stadiony – współczesne świątynie sportu – stają się azylem dla chuliganów, wandali, zwykłych łobuzów. Trybuny przeradzają się w

miejsca porachunków młodocianych gangów, na zieloną murawę lecą petardy. Rodzą się zagrożenia... Warszawa (i jej stadiony wszystkich klas) nie jest wolna od tych ułomności. Nie umiemy uszanować przeciwnika, nawet sąsiada zza miedzy... To takie niskie, niegodne stolicy. Niech przestaną nas dzielić barwy klubowe, a zaczną łączyć dobre imię polskiego futbolu... Szanujmy pracę sędziów i wysiłek zawodników walczących drużyn... Taką drogę wskazuje, nam gorące serce i... chłodny umysł...

Wydarzeniem sportowym Roku Jubileuszowego WOZPN był zorganizowany w stolicy i na Mazowszu wrześniowy turniej o Puchar Warszawskiej Syrenki. Był też „dawnych wspomnień czar...”. Na stadionie Legii „Orły Górskiego” spotkały się z reprezentacją oldbojów Warszawy. Pyszna zabawa. Z jednej strony w barwach stołecznego grodu między innymi olimpijczycy: Edmund Zientara, Jerzy Woźniak, Lucjan Brychczy, Jerzy Kraska oraz medaliści mistrzostw świata: Jan Tomaszewski, Robert Gadocha, Paweł Janas i Stefan Majewski, a z drugiej „stara wiara Górskiego”: Adam Musiał, Piotr Mowlik, Andrzej Szarmach, Zdzisław Kapka, Kazimierz Kmiecik, Janusz Kupcewicz i... kilku zupełnie młodych żrebacków. Wygrali ci nieco później urodzeni, ale prawdziwych atrakcji piłkarskich w równym stopniu dostarczyli jedni i drudzy.

Do pełnego szczęścia w tym niecodziennym widowisku zabrakło jednak aktora odgrywającego zazwyczaj główną rolę –Kazimierza Górskiego. Wybierał się na Olimpiadę do Atlanty, już był bliski podjazdu na lotnisko „Okęcie”, gdy nagle dopadła go bolesna i do dziś trwająca choroba kręgosłupa. Później przyczepiły się też inne. Jubileusz WOZPN i mecz swoich „Orłów” na Łazienkowskiej, na murawie, na której w młodości sam rozegrał dziesiątki spotkań ligowych, teraz postrzegał li

tylko oczami wyobraźni na łóżu szpitalnym przy ul Szaserów w Warszawie. Odwiedzili trenera najwierniejsi z ekipy „Orłów Górskiego”.

– Nasz Kazio, to mocny facet – powiedzieli po tej wizycie – Adam Musiał i Zdzisław Kapka. – Nie da się chorobie, wyjdzie z tego... Pocieszaliśmy go? Nie, tylko umocniliśmy w przekonaniu, że wkrótce znowu spotkamy się na boisku.

Na tym niezwykłym meczu sławnego trenera reprezentowała żona Marysia, córka Urszula i syn Dariusz. A drużynę „Orłów” w zastępstwie Kazimierza prowadził Henryk Serafin, gracz Legii z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Był też na tej uroczystości Ryszard Koncewicz, starszy kolega jeszcze ze Lwowa i wspólnej pracy w PZPN. Chodząca kultura. Szarmancki wobec Marysi Górskiej i jej dzieci, serdeczny i sprawiedliwy w ocenie dokonań ziomka, przyjaciela, przecież także rywala z branży trenerskiej. Teraz życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia. Gromkie oklaski nagrodziły typowo lwowski ukłon Koncewicza: Całuję rączki pani Marysiu...

Kazimierz Górski powoli wracał do zdrowia. Było ono potrzebne jemu, rodzinie i... piłkarstwu. Odzyskiwał siły i chęć społecznego działania. Odwiedziłem go z żoną Danusią na kuracji w Ciechocinku. Wypiliśmy nawet po małym koniaczku. Kazio ocenił to w swoim stylu:

– Wiesz Jerzyk, że mnie teraz zupełnie na ciągnie do gorzałki...

– Historyczne osiągnięcia stołecznego futbolu, chyba można to tak określić, utrwaliliśmy w pracy zbiorowej „75 lat Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej”. Współautorzy tekstów i wykonawcy zdjęć znani i godni zaufania, między innymi: Stefan Grzegorzczak, Mirosław Skórzewski, Dariusz Górski, Mieczysław Świdorski, Eugeniusz Warmiński... Listy gratulacyjne przesłali na Bracką 18 wojewoda

warszawski Bohdan Jastrzębski i prezydent Warszawy Marcin Świącicki oraz osobiście na moje ręce: Prezes Honorowy PZPN Kazimierz Górski, prezes Marian Dziurawicz i sekretarz generalny Michał Listkiewicz. A Miruś Skórzewski przeprowadził ze mną jubileuszową rozmowę, w tytule wiernie oddając moją sportową pasję: FUTBOL – MOJA MIŁOŚĆ.

– Pracowałeś w „Przeglądzie Sportowym” obok wielu wybitnych dziennikarzy, znawców futbolu. Czy dużo się od nich nauczyłeś?

– Trafiłem do tego pisma zaraz po studiach na Uniwersytecie Warszawskim i specjalizacji sportowej w AWF Warszawa. Tam uczyłem się dziennikarstwa i roli sportu w życiu społeczeństwa. A w zawodzie moimi promotorami, zresztą nie tylko w „Przeglądzie Sportowym”, byli: Edward Strzelecki, Tadeusz Maliszewski, Włodzimierz Gołębiowski, Stanisław Mielech, Mieczysław Szymkowiak, Jerzy Zmarzlik i mój bezpośredni szef w „PS” Grzegorz Aleksandrowicz. Nauczyli mnie rzetelności, obiektywizmu, umiłowania sportu. A redaktor Aleksandrowicz zachęcił do działalności społecznej w piłkarstwie, bycia w środku „sprawy”. Przekonywał, że nie wystarczy obserwować sport z wysokości trybun, a mecze z okien pociągu pośpiesznego. Sam byłem zawodnikiem, przeto w pracy dziennikarskiej łatwiej mi było „czytać grę”.

– Wiem skądinąd, że miałaś liczne kontakty z trenerami, piłkarzami, sędziami, uczęszczałeś na kursy i konferencje szkoleniowe.

– Byłem i jestem przekonany, że tylko dzięki takim kontaktom można poznać piłkarstwo „od podszewki”. Pomogli mi w tym: Ryszard Koncewicz, Tadeusz Foryś, Michał Matyas, Waclaw Pegza, Jaroslav Vejvoda, Geza Kaloscai, Janos Steiner, a przede wszystkim Kazimierz Górski.

– Z panem Kazimierzem jesteś bardzo zaprzyjaźniony.

– Nasza znajomość, a później przyjaźń trwa ponad pięćdziesiąt lat. Wcześniej obserwowałem Górskiego jako zawodnika. Grał zespołowo, miał świetny strzał z rzutu wolnego. Tak się potem złożyło, że w tym samym czasie Kazimierz rozpoczynał pracę jako trener, ja jako dziennikarz.

– Znasz osobiście plejadę wybitnych polskich piłkarzy. Czy mógłbyś wymienić najlepszych zawodników okresu powojennego?

– Wiem, że kibice to lubią, ale i tak wszystko wiedzą lepiej. Mnie – podkreślam, to moje subiektywne zdanie – najbardziej przypadli do gustu, wymieniam ich w kolejności alfabetycznej: Zbigniew Boniek, Lucjan Brychczy, Gerard Cieślik, Kazimierz Deyna, Robert Gadocha, Mieczysław Gracz, Grzegorz Lato, Włodzimierz Lubański, Józef Młynarczyk, Ernest Pohl, Jerzy Woźniak, Edmund Zientara i... spora grupa rówieśników Dariusza Dziekanowskiego. Gdybym miał ich sklasyfikować, to na pierwszym miejscu byłby Deyna.

– A jacy zagraniczni piłkarze wywarli na tobie największe wrażenie?

– Wielu poznałem osobiście, nawet przeprowadzałem z nimi wywiady. Niewątpliwie największymi gwiazdami w moich czasach byli: Alfredo di Stefano, Ferenc Puskas, Sandor Kocsis, Rajmund Kopa, Lew Jaszyn, Edward Strelcow, Gunnar Nordhal, Stiepan Bobek, Pele, Diego Maradona, Franz Beckenbauer, Gerd Mueller, Johan Cruyff, Johan Neeskens, Luis Suarez, Francisco Gento, Tostao, Rovelino, Jairzinho, Luigi Riva, Gianni Rivera, Paolo Rossi, Sandro Mazzola, Dino Zoff, Guenter Netzer, Josef Masopoust, „Gundi” Asparuchow, George Best, Bobby Charlton, Michel Platini... Zidane’a poznałem w Karczewie, gdy był juniorem. Olśnił mnie swoją techniką podczas turnieju o Puchar Warszawskiej Syrenki.

– Czy działałeś w jakimś dużym klubie?

– Nie, nigdy! Kocham piłkarstwo jako całość, zjawisko społeczne. Zawsze patrzyłem szerzej, w skali okręgu, kraju. Dziennikarz nie powinien obejmować funkcji rzecznika prasowego, co niestety – ostatnio zdarza się dość często. Kieruję się zasadą: wiedza, kompetencje, bezstronność. Jestem przy tym zdecydowanym orędownikiem prymatu sprawiedliwości nad miłosierdziem. Dura lex, send lex...

– Młodzi ludzie wolą „świętą wojnę” niż dobre zachowanie i uznanie dla rywala...

– To jedno z największych zmartwień współczesności, sprawa bardzo bolesna. Sprawcami awantur są pospolici chuligani, mocni czują się w tłumie. Nie sądzę, by prawdziwy kibic działał na szkodę swojego klubu, sportu, piłkarstwa. Szanują się piłkarze, przyjaźnią trenerzy, także większość działaczy, tymczasem niektórzy niby – sympatycy futbolu zachowują się jak troglodyci w epoce kamienia łupanego. Ci ludzie zapewne nigdy nie uprawiali sportu i nie rozumieją sensu sportowej rywalizacji.

ARGUSOWE OKO PANA JANKA

W marcu 1997 roku na Walnym Zgromadzeniu PZPN dokonano nowelizacji Statutu Związku. Określono też zasady i tryb wprowadzania reformy rozgrywek. Zmiany te w miarę szybko zatwierdził ówczesny prezes UKFiT, dr Stefan Paszczyk, a następnie zostały one wpisane do rejestru stowarzyszeń kultury fizycznej i związków przez VII Wydział Cywilny i Rejestrowy Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. To było jedno z ważkich osiągnięć PZPN. Jak podkreślono w obszernym dokumencie naszej centrali piłkarskiej „KONFLIKT UKFiT – PZPN”, osiągnięcia

organizacyjno-finansowe Związku „były...całkowicie w niesmak nowemu prezesowi UKFiT, Jackowi Dębskiemu”. Postanowił „wypowiedzieć wojnę” PZPN-owi, a w jej następstwie „stworzyć sobie... przedpole do podporządkowania organizacji sportowych w Polsce administracji państwowej”.

„Wojna”UKFiT – PZPN przybrała formy dotychczas niespotykane w świecie sportowym. Siłą rzeczy znowu nadwerężyło to pozycję polskiego piłkarstwa na arenie międzynarodowej. Jaki czort podkusił zwaśnione strony? Złośliwcy przebąkiwali, że to Jan Tomaszewski wywołał wilka z lasu. Zaczęło się od sporu w sprawie przejścia piłkarza Mirosława Szymkowiaka z Olimpii Poznań do Widzewa, a zakończyło na zawieszeniu przez prezesa UKFiT 33 członków zarządu (dziwne, że nie wszystkich), w tym prezesa Mariana Dziurowicza i sekretarza generalnego Michała Listkiewicza. Śledziłem ów konflikt pilnie z pozycji prezesa Warszawskiego OZPN. Doktor Dziurowicz nie był moim wymarzonym prezesem, ale od początku stanąłem po stronie Związku. Szybko poczułem „pismo nosem”, byłem przekonany, że na restrykcjach wobec centrali się nie skończy. Skok po władzę w futbolu zatoczy szerszy krąg. Lada dzień „lustrowane” będą również Okręgowe Związku Piłki Nożnej. I tak się stało...

W naszym OZPN i makroregionie warszawsko-mazurskim akurat w sezonie 1997-1998 rozpoczęło się długo trwające pasmo sukcesów w pracy z młodzieżą, a tu nagle uderzono nas obuchem w łeb. Na własnej skórze zaczęliśmy odczuwać skutki sprzeczności interesów Urzędu ze Świętokrzyskiej ze Związkiem w Alejach Ujazdowskich 22. Utrudniając systematyczną i planową pracę emisariusze Urzędu Kontroli Skarbowej bardzo dokładnie spenetrowali wszystkie nasze księgi i konto bankowe,

wpływy i celowość wydatków Warszawskiego OZPN. W wyznaczonym terminie nie mogli znaleźć żadnych uchybień, przeto dwukrotnie przedłużyli czas kontroli. Ostatecznie ogólną część sprawozdania i wnioski zawarte w końcowym protokole pokontrolnym utrzymano w formie kolorowej laurki. Narażono jednak wielu działaczy społecznych na stres, a pracowników etatowych na niepotrzebną stratę czasu.

Prawie trzy lata trwała futbolowa wojna UKFiT z PZPN. Z pozycji okręgu publicznie broniłem dobrego imienia Związku. Jednoznacznie po stronie PZPN wypowiadali się działacze również z innych dyscyplin sportu. Z naszego środowiska najmocniej Rudolf Bugdoł ze Śląska i Ryszard Niemiec z Krakowa zarzucali prezesowi Urzędu gwałcenie elementarnych zasad społecznego dialogu i brak poszanowania – tak cennych w sporcie – reguł demokratycznego współdziałania. Oburzenie było powszechne, ale chęć zażegnania sporu równie duża. Podkreślano to w listach – z prośbą o mediacje – do premiera Jerzego Buzka oraz nowo wybranego prezesa FIFA Josepha Seppa Blattera.

Mój udział w redagowaniu tych prośb i skarg był znaczący. Do rangi symbolu w tym szkodliwym sporze urosła przede wszystkim prośbą Prezesa Honorowego PZPN, Kazimierza Górskiego skierowana do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Nestor polskich trenerów i działaczy od początku trzymał stronę Związku. Wyraził nadzieję, że wszystkie problemy paralizujące statutową działalność PZPN zostaną wkrótce rozwiązane zgodnie z literą prawa i dobrymi obyczajami. W prośbach adresowanych do władz Rzeczypospolitej informowaliśmy, że decyzje prezesa UKFiT naruszają Statut FIFA i mogą doprowadzić do pozbawienia PZPN członkostwa w międzynarodowych organizacjach piłkarskich, a w ślad za tym do wykluczenia polskich drużyn

reprezentacyjnych i klubowych z rozgrywek organizowanych przez FIFA i UEFA.

Bezzasadność sankcji nałożonych przez UKFiT na PZPN i jego kierownictwo uznała też Sejmowa Komisja Kultury Fizycznej i Turystyki. Zobowiązała prezesa UKFiT do ponownego rozpatrzenia wszystkich decyzji, na mocy których Urząd zawiesił w czynnościach 33 członków zarządu PZPN. Z dokumentów przedłożonych w Sejmie przez środowisko piłkarskie jednoznacznie wynikało, że prezes UKFiT działał niezgodnie z normami prawa wewnętrznego i międzynarodowego. Na Świętokrzyskiej zbyto to milczeniem: - Ty sobie mów, a ja będę zdrow... Spotęgowano nagonkę na PZPN. W Aleje Ujazdowskie naślano kuratora Wiesława Pakocę w towarzystwie dyrektora Jerzego Staronia (w czasach Łazarka kierownika reprezentacji); usiłowali „przejąć władzę”. W wyniku zdecydowanej interwencji Zdzisława Kręciny i Edmunda Zientary nie proszeni goście opuścili siedzibę Związku.

Nie na długo. Ówczesna minister sprawiedliwości Hanna Suchocka zaprezentowała w toczonej wojnie wykładnię prawną podważającą opinię Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. W efekcie zachęcony tą decyzją Wiesław Pakoca podjął kolejną próbę „zadomowienia się” w PZPN. Przepychanka trwała, emisariusze ze Świętokrzyskiej poczuli się bezkarni. Kurator – jak czytamy w dokumencie piłkarskiej centrali - zaczął się posługiwać podrobionymi papierami firmowymi PZPN, próbował też zablokować konto Związku w banku. PZPN nie pękał, zawiadomił prokuraturę śródmiejską o możliwości popełnienia przestępstwa przez „kuratora”. Kołomyjka nabiera rozpędu, końca konfliktu nie widać. Komu to służy? Kto powstrzyma to szaleństwo?

Echa konfliktu UKFiT – PZPN słychać już było daleko poza

granicami kraju. Zwaśnione strony starały się pozyskać sojuszników i przekonać ich do swoich racji. O ile jednak Marian Dziurawicz poszukiwał rozwiązań głównie na drodze prawnej i we własnym środowisku, o tyle Jacek Dębski chwycił się też argumentów uważanych w sporcie za naganne. Próbował rozbić PZPN od wewnątrz. W tym celu uchylił niektórym członkom zarządu wcześniej nałożone kary, organizował poza strukturą Związku zamknięte zebrania z zaufanymi członkami Polskiego Kolegium Sędziów, obiecując przy tym „panom w czerni” – złote góry. Usiłował też zbojkotować rozgrywki ligowe. Tu z kolei uległym klubom obiecywał „gruszki na wierzbie”. Coraz mocniej zaczęły dręczyć złowrogie pytania: - *Czy nasz futbol już naprawdę umiera? Dlaczego nie potrafimy własnymi siłami uzdrowić tej obrzydliwej choroby?* Walczyły dwa rozsierdzone koguty. Brakowało dialogu.

Dość długo FIFA i UEFA bez większego zaangażowania, być może nawet obojętnie i z lekkim przymrużeniem oczu, patrzyła na te przepychanki. Bawiły Blattera i jego ludzi kruczki regulaminowo-prawne wyciągane u nas na światło dzienne, jak króliki z kapelusza prestidigitatora. Ale i tu miarka się przebrała. W dniach od 19 do 21 lipca 1998 roku przebywała w Warszawie mieszana komisja FIFA – UEFA w składzie: Joseph Mifsud – członek Komitetu Wykonawczego, Markus Studer – zastępca sekretarza generalnego UEFA i Vincent Monnier – szef działu prawnego FIFA. Cel tej wizyty był jednoznaczny – zakończyć ten bezsensowny konflikt. Pobożne życzenie: prezes UKFiT nie wyraził zgody na wspólne spotkanie antagonistów z wysłannikami Seppa Blattera i Lennarta Johanssona. Emisariusze stwierdzili z ubolewaniem, że **„przedstawiono im rozwiązania niespotykane w żadnym z cywilizowanych, demokratycznych państw. Prawa wewnętrzne**

przewidują orzeczenie sankcji dopiero po stwierdzeniu jakiegokolwiek winy”.

Do akcji włączył się były prezydent Lech Wałęsa. Skierował list do przedstawicieli FIFA – UEFA, w którym wyraził jedynie słuszną opinię, że *„rozwiązania wszelkich problemów, w tym także dotyczących polskiego futbolu, należy poszukać w drodze negocjacji i rozsądnych decyzji”*. Jakby rzucił grochem o ścianę – mediacja komisji mieszanej nie przyniosła rezultatu. Władze FIFA i UEFA zaczęły tracić cierpliwość, mocno pociągnęły za cugle: - **„Jeśli do dnia 7 sierpnia 1998 roku przez UKFiT nie zostanie cofnięte zawieszenie 33 członków PZPN, może nastąpić – w trybie natychmiastowym na czas nieoznaczony – zawieszenie PZPN”**.

Przestrogi, apele, próby ratowania Związku nie przekonały resortu kultury fizycznej. Kluczono, lawirowano, ignorowano konwencje międzynarodowe. Nadszedł wreszcie od dawna oczekiwany dzień 7 sierpnia. Prezesa PZPN, Mariana Dziurówicza przyjął w Kancelarii Prezydenta RP, minister Ryszard Kalisz. W obecności kompetentnej delegacji PZPN rozmawiał kilka godzin z ówczesnym wicepremierem Januszem Tomaszewskim. Zwyciężył rozsądek, normy demokratycznego państwa prawa i dobro futbolu. Dokładnie o godzinie 23.50 prezes UKFiT Jacek Dębski uchylił zawieszenie wobec 33 członków zarządu PZPN. PZPN natychmiast poinformował o tym władze FIFA i UEFA. Liga wznowiła rozgrywki.

Pięć dni później zarząd PZPN podjął uchwałę o zwołaniu Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia. Mimo woli sięgnąłem pamięcią wstecz, przypomniał mi się rok 1956, kiedy reaktywowano PZPN. Teraz nastrój już nie był tak podniosły, jak w tamtych czasach, ale ulga równie duża. Futbol potęgą jest i basta! Takie było moje odczucie,

ale Urząd KFiT nie dawał za wygraną. Zakwestionował legalność Statutu PZPN uchwalonego w lipcu 1995 roku, kilkakrotnie przedłużał kompleksową kontrolę w PZPN, wreszcie posądził Związek o defraudację. W tych „pomysłach” wyraźnie wspierał oskarżycieli były bramkarz Jan Tomaszewski. On też konsekwentnie dążył do obalenia „Dziurolandu”.

PZPN jest jednym z nielicznych Polskich Związków Sportowych, które praktycznie nie korzystają z pomocy państwa. Tymczasem w dniach skomasowanych ataków na Aleje Ujazdowskie płynęły z ulicy Świętokrzyskiej informacje, że jednak „PZPN korzysta w swojej działalności z pieniędzy publicznych”. Aby uwolnić się od tych pomówień, wysłano do Sejmowej Komisji Kultury Fizycznej i Sportu pismo z prośbą o przeprowadzenie w Związku kontroli przez NIK. Prośbę spełniono, kontrola przebiegła sprawnie i obiektywnie, nieprawidłowości nie stwierdzono.

Mnie, prezesa Warszawskiego OZPN, najbardziej ubodło oskarżenie UKFiT, przypisujące PZPN-owi złe gospodarowanie środkami przeznaczonymi na funkcjonowanie Piłkarskich Szkół Mistrzostwa Sportowego. Był to akurat czas, w którym mocno dopingowani z zewnątrz, dużym wysiłkiem własnym otworzyliśmy taką szkołę w Piasecznie pod Warszawą. Do dziś wyrzucam sobie naiwność i wiarę w dobre intencje Urzędu. Nie przeznaczył na prowadzenie SMS ani jednej złotówki! Wystosowałem w tej drażliwej sprawie dziesiątki listów – monitów do UKFiT, PZPN, kuratorium i innych instytucji. Błagałem – ratujcie! Bezskutecznie. Zadłużyliśmy się po uszy. W czerwcu 1999 roku naukę w tej piłkarskiej szkole zawieszono. W gardle mnie ścisnęło, gdy zegnałem zawiedzionych Artura Gregorka, Krzysztofa Łągiewkę, ich równie utalentowanych kolegów i zrozpaczonych rodziców.

Powoli zaczynałem mieć dość pracy społecznej w piłkarstwie. Zresztą, na działalność bezinteresowną, ale pełną pasji i zaangażowania bez względu na poglądy polityczne, było teraz już coraz mniej miejsca. Społecznicy ze starego zaciągu do lamusa! Nadchodzą etatowcy! Ludzie małej wiedzy, ale o nowym i „słusznym” spojrzeniu – pazerni na pieniądze. Coraz częściej pytali „za ile mam pracować?”. Czy to już nieodwracalny signum temporis? Słabsi psychicznie społecznicy rezygnowali. Jednych zniechęcał niedostatek środków, stałe wyklócanie się o każdy należny grosz w samorządach i bogatszych klubach (tam szło o drobne procenty z zysku za handel zawodnikami), innych znowu próba omijania przez nuworyszów przepisów i regulaminów. Bufonada nowobogackich! A jeszcze innych odrzucały natrętne skoki na kasę: zdemoralizowanych działaczy, wiejskich piłkarzy i – jak hydra – odradzających się przekupnych sędziów. W klubach i okręgach bieda zaglądała w oczy, a oni w zamian za świadczone „usługi” chcieli zbijać tak dużą kabzę jak członkowie rad nadzorczych wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. A tam o przekręty najłatwiej...

W roku 1999 władze państwowe dokonały reformy administracyjnej kraju. Powstało 16 dużych województw. Warszawa stała się stolicą Mazowsza. W maju 2000 roku odbyło się Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Sprawozdawcze Warszawskiego OZPN. Ostatnie w blisko 80-letniej historii stołecznego okręgu. Pożegnanie było godne: reprezentantom trzydziestu klubów i wyróżniającym się działaczom z Brackiej 18 przyznano tytuły Honorowych Członków WOZPN, a Jerzemu Lechowskiemu tytuł Honorowego Prezesa Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej.

Podobnie działo się w innych regionach kraju. Powoli powstawały

Wojewódzkie Związki Piłki Nożnej, natomiast śmiercią naturalną umierały makroregiony. Nasz warszawsko-mazurski w pierwszej połowie 2000 roku pożegnaliśmy w Olsztynie. Jak zwykle na wysokości zadania stanął prezes miejscowego OZPN, pułkownik Jan Wiśniewski. Na obiekcie Stomilu był czas na dyskusję przy stole obrad i... biesiadnym. Frekwencja stuprocentowa, po raz ostatni w takiej strukturze PZPN spotkali się działacze z Białegostoku, Ciechanowa, Łomży, Olsztyna, Ostrołęki, Suwałk i Warszawy. Nikt nie ukrywał, że każdy Okręg – na miarę swoich możliwości – wykonał kawałek dobrej roboty. Zwłaszcza w pracy z młodzieżą daleko w tyle zostawiliśmy znacznie bogatsze i w przeszłości dużo silniejsze regiony kraju. Był uzasadniony powód do dumy. Polały się nawet „łzy czyste, rzęsiste”...

Dokładnie w piątek 26 maja powstał MAZOWIECKI ZWIĄZEK PIŁKI NOŻNEJ. Niegdyś już funkcjonował taki twór organizacyjny, ale wyłącznie jako alternatywa dla Warszawskiego OZPN. Teraz w świetle majestatu prawa nastąpiło zjednoczenie całego piłkarskiego Mazowsza. Jednomyślnie za takim rozwiązaniem wypowiedziało się 262 delegatów z byłych województw: ciechanowskiego, ostrołęckiego, płockiego, radomskiego, siedleckiego, części skierniewickiego z Żyrardowem i warszawskiego. Przyjęto wersję utrzymania OZPN-ów w Płocku, Radomiu i Siedlcach oraz w połączonych dwóch byłych województwach w Ciechanowie-Ostrołęce. Prezesem Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej został były działacz Gwardii i byłego Warszawskiego OZPN, pułkownik Zdzisław ŁAZARCZYK.

Zbliżała się 80 rocznica zorganizowanej działalności piłkarstwa na Mazowszu. Z tej okazji, nawiązując do podobnych wcześniejszych publikacji na ten temat, wydano kolejną książkę, w której zaprezentowano

futbolowe osiągnięcia: Ciechanowa, Ostrołęki, Płocka, Radomia, Siedlec i Warszawy. Pierwszy rok współpracy w nowym układzie terytorialnym i personalnym oceniono pozytywnie. Stwierdzono, że dokonana reforma trafiła na podatny grunt. Podobne sygnały dochodziły praktycznie ze wszystkich wojewódzkich związków piłki nożnej. Można więc przyjąć, że opinie wyrażone na Brackiej 18 w Warszawie były zbieżne z odczuciami działaczy z całej Polski. Tak to widział prezes z Mazowsza, Zdzisław Łazarczyk:

... „Otwierają się nowe szanse dla piłki nożnej, ale także są zagrożenia, na które trzeba szybko reagować. To wszystko nie oznacza, że zapomniałem o moich poprzednikach. Wiele zawdzięczam Jerzemu Lechowskiemu, który jest obecnie prezesem honorowym, ale nadal działa bardzo aktywnie. Podzielił się ze mną swoim bogatym doświadczeniem...

... Bankructwo nam nie grozi, ale potrzeby są znacznie większe, niż posiadane środki. Podstawowe źródło wpływów to procenty od transferów, składki, opłaty członkowskie... W pierwszym roku pracy na funkcji prezesa za sukces uważam integrację środowiska... Tworzymy jedną, wspólną mazowiecką rodzinę. Jednak nie udało się pozyskać nowych sojuszników i sponsorów, a są przecież ludzie i instytucje, o pomoc których warto zabiegać. No i ta baza! Wciąż jak za czasów króla Ćwiczka...

– A co pan sądzi o sławetnym finiszu ligowym w 2001 roku, zaskakujących „cudownych” wynikach? – zapytał prezesa dziennikarz „Przeglądu Sportowego” Mirosław Skórzewski.

– Niektóre mecze wzbudziły wręcz niesmak. Ale czy to był handel punktami? Nikogo za rękę nie złapano, a więc trzeba ostrożnie z oskarżeniami... Mazowieckie kluby rywalizują jednak w sposób

bardzo sportowy. Nie ma mowy o fingowaniu wyników, nigdy z góry nie typowaliśmy faworytów i nie pomagaliśmy tej czy innej drużynie w uzyskaniu awansu... Decydować tu musi czysta walka na boisku!... Należy nadal rygorystycznie przestrzegać wyznaczonych zadań i terminów ich realizacji. Wszak nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej...

Jubileusz 80-lecia piłkarstwa na Mazowszu był też szczególną okazją do ogłoszenia konkursu – plebiscytu na wybór najlepszego: PIŁKARZA, TRENERA, SĘDZIEGO, WYCHOWAWCĘ MŁODZIEŻY I TRENERA HONOROWEGO Mazowieckiego ZPN. Komitet Organizacyjny, któremu przewodniczył wiceprezes Tadeusz Diakonowicz, powołał jedenastoosobową KAPITUŁĘ i powierzył jej zadanie ogłoszenia listy nawiąbitniejszych ludzi futbolu w naszym województwie. Przewodnictwo Kapituły powierzono mnie, Prezesowi Honorowemu WOZPN.

W oparciu o moje konkretne propozycje nominowaliśmy do konkursu dziesięciu zawodników oraz po pięciu trenerów, sędziów i wychowawców młodzieży. Przy wyborze laureatów zastosowano obiektywną i niezwykle precyzyjną punktację, w której uwzględniono: w stosunku do zawodników staż gry w klubach Mazowsza, liczbę występów w reprezentacji narodowej, osiągnięcia w lidze, Pucharze Polski i Superpucharze oraz w europejskich rozgrywkach pucharowych, a także działalność społeczną w OZPN-ach i PZPN. Suma zdobytych za to punktów wyłoniła zwycięzcę. Podobne kryteria zastosowaliśmy, jeśli idzie o trenerów i sędziów, natomiast przy wyborze najlepszego wychowawcy młodzieży najwyżej punktowaliśmy wierność środowisku i w pracy z młodzieżą oraz wypromowanie kandydatów do wysokiego wyczynu. I tak powstały cztery listy wybrańców KAPITUŁY...

ZAWODNICZY: Lucjan Brychczy, Lesław Ćmikiewicz, Kazimierz Deyna, Dariusz Dziekanowski, Robert Gadocha, Roman Kosecki, Władysław Szczepaniak, Jerzy Woźniak, Jacek Zieliński i Edmund Zientara.

TRENERZY: Lucjan Brychczy, Paweł Janas, Ryszard Koncewicz, Andrzej Strelau, Edmund Zientara.

SĘDZIOWIE: Grzegorz Aleksandrowicz, Kazimierz Bukowski, Stanisław Eksztajn, Michał Listkiewicz, Wacław Majdan.

WYCHOWAWCY MŁODZIEŻY: Andrzej Nizielski, Zygmunt Ocimek, Marian Olszewski, Witold Stasiuk, Stanisław Tymowicz.

Wolą KAPITUŁY, wspartą punktacją adekwatną do osiągnięć, jednomyślnie tytuły najlepszych w piłkarstwie na Mazowszu w osiemdziesięcioleciu 1921 – 2001 otrzymali:

Kazimierz DEYNA - piłkarz

Paweł JANAS - trener

Michał LISTKIEWICZ - sędzia

Marian OLSZEWSKI - wychowawca młodzieży

Zdecydowana większość wyróżnionych na Mazowszu jest dobrze znana w naszym środowisku, zasługuje więc na uznanie w skali ogólnopolskiej. Jednak ponadtezaszczytywposzczególnychspejalnościach za ogromny udział w rozwoju całego polskiego piłkarstwa, zwłaszcza w pracy z pierwszą reprezentacją Polski, KAPITUŁA wyniosła Kazimierza GÓRSKIEGO przyznając tytuł HONOROWEGO TRENERA Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej. Prezentację sylwetek laureatów udokumentowaliśmy nośnymi tytułami:

TRENER STULECIA - Kazimierz GÓRSKI

NAJLEPSZY W XX WIEKU - Kazimierz DEYNA

WYBITNY PIŁKARZ I TRENER - Paweł JANAS

ARBITER ELEGANTIARUM

-

Michał

LISTKIEWICZ

ZAWSZE Z MŁODZIEŻĄ -Marian OLSZEWSKI

Byłbym hipokrytą, gdybym przemilczał reakcję środowiska na mój udział w zredagowaniu monografii obrazującej 80-letnie dzieje piłkarstwa na Mazowszu i w kierownictwie pracami wspomnianej KAPITUŁY. Oba pomysły i w pełni udana ich realizacja spotkały się z powszechnym uznaniem ludzi futbolu nie tylko z naszego województwa. Potwierdza to opinia wyrażona na ten temat przez red. Jerzego FIGASĄ w tekście „**Zamiast podziękowania**”. Widzi we mnie nie tylko dziennikarza i pasjonata piłki nożnej...

„Jurek... Kiedy będziemy wertowali strony przybliżające „80 LAT PIŁKARSTWA NA MAZOWSZU” – nie zapomnijmy, że to właśnie On był głównym pomysłodawcą i autorem wydania. To kolejny Jego wkład w historię warszawskiego i mazowieckiego piłkarstwa...

Niedawno – nieco przypadkowo – dowiedziałem się o bliskim związku Jurka z harcerstwem, ściślej z Jego wspaniałą grupą okupacyjnych Szarych Szeregów. Skauci z tamtych lat organizują zebrania w siedzibie Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej. Widziałem jak w tym gronie jest poważany i ceniony. Teraz już wszystko rozumiem lepiej: to tu hartowały się Jego postawy moralne i zasady postępowania. Trudno o lepszą szkołę. Szkołę, która dała Jurkowi chlubne i wspaniałe odznaczenia: Krzyż Armii Krajowej i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. A tę „misję” połączył właśnie z promocją piłki nożnej. Wiedzieliśmy więc kogo obdarzyć zaszczytnym tytułem HONOROWEGO PREZESA.

W PZPN zlecono mi (oczywiście społecznie) opracowanie nowej

mapy rozgrywek III ligi i jednolitego nazewnictwa niższych klas piłkarskich. Zaproponowałem cztery grupy terytorialne obejmujące następujące województwa:

I – łódzkie, mazowieckie, warmińsko-mazurskie i podlaskie;

II – kujawsko-pomorskie, pomorskie, wielkopolskie i zachodnio-pomorskie

III – dolnośląskie, opolskie, śląskie i lubuskie;

IV – lubelskie, małopolskie, podkarpackie i świętokrzyskie.

Argumentowałem racjonalnie, mając na względzie nie tylko atuty sportowe lecz także: kulturowe, ekonomiczne, dobrosąsiedzkie, zgodne z wieloletnią tradycją. Dyskutowano rzeczowo, uznając, że jest to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Minęło kilka lat od tej decyzji i jak na razie nikt poważniej nikomu na odcisk nie nadepnął. Trzecia liga w tym kształcie niemal wszędzie ma swoich pozytywnych bohaterów. Pojawiły się nowe nazwy i kluby, a w Krakowie „pasy” wreszcie o własnych siłach wróciły do I ligi. Stoczyłem też ostry bój o utworzenie w kilku województwach tych najbardziej piłkarskich, a nie tylko na Śląsku – IV ligi. I to też się udało. Poza tym Zarząd PZPN przyjął proponowane przez mnie nazewnictwo pozostałych klas rozgrywkowych: liga okręgowa, A, B i C klasa. Miało to mieć moc obowiązującą, bo sięgało tradycji dwudziestolecia międzywojennego, ale się nie przyjęło. W większości okręgów i związków wojewódzkich nadal mówiono i pisano: V, VI a nawet VII liga. Pytałem dlaczego? Bo tak życzą sobie sponsorzy. Ich zdaniem, zawsze to ładniej brzmi, gdy wspierają na przykład siódmą ligę, a nie B lub C klasę. Protestów ze strony Zarządu PZPN nie słyszałem. Co tam klasa! Liga to potęga!...

Wyjątkowo długo trwająca zabawa w „ciuciubabkę” między

UKFiT i PZPN, unikanie konstruktywnego dialogu, a także celowe niedotrzymywanie słowa przez wrogie sobie strony, to wszystko spowodowało trzykrotną zmianę terminu Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia PZPN. Obietnicę w tej materii zarząd PZPN złożył już w sierpniu 1998, ale ostatecznie Zjazd ten odbył się dopiero 20 lutego 1999 roku. Pilnymi jego obserwatorami, co nader rzadko zdarzało się w przeszłości, byli przedstawiciele FIFA i UEFA. Zapoznali się z działalnością finansową Związku, z drobnymi zmianami w statucie, a także z formami funkcjonowania wszystkich ogniw polskiego piłkarstwa w nowym podziale administracyjnym kraju.

Strona merytoryczna Nadzwyczajnego Zgromadzenia była więc po myśli gości z zagranicy i znacznej części działaczy przychylnych prezesowi Dziurówicowi. Oczekiwanego napięcia, emocji i... zmian nie przyniosła. Nie dokonano bowiem wyboru nowych władz PZPN, a to przecież zawsze delegatów najbardziej podniecało. Zapowiedziano jednak zwołanie kolejnego zgromadzenia, teraz już sprawozdawczo-wyborczego zaraz po Igrzyskach Olimpijskich w Sydney. Sprytnie pomyślane. Z jednej strony wydłużało to upływającą kadencję, a z drugiej – czas rozliczeń za falstart olimpijczyków przed igrzyskami i kolejną wpadkę pierwszej reprezentacji przed mistrzostwami Europy w Belgii i Holandii. Pomysłodawców spotkał jednak zawód. Na oficjalne żądanie FIFA kolejne Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Wyborcze przeprowadzono już 28 czerwca 1999 roku. Będzie merytoryczna ocena „Dziurolandu” czy tylko kolejna bitwa o władzę? Od dawna było wiadomo, że na fotel prezesa szansę mają tylko dwie osoby – dotychczasowy prezes, Marian Dziurówicz i swego czasu jego prawa ręka – Michał Listkiewicz. Warszawa i makroregion warszawsko-mazurski, znowu przy moim aktywnym udziale, murem

stanęły za byłym sekretarzem generalnym PZPN.

Przeżyłem na tym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu mały dramat. Byłem delegatem makroregionu i tak – jak wszyscy reprezentanci Warszawy, miałem głosować na Listkiewicza. Ale nie dostałem tego zaszczytu. Zgromadzenie, zapewne w obawie o kolejne szukanie dziury w całym przez UKFiT, usiłowali pozbawić głosu właśnie 16 delegatów ośmiu makroregionów. Większość z nich bez zmrużenia oka pozbyła się mandatów, natomiast czterech miało odwagę powiedzieć „nie”. W tym niesfornym kwartecie byłem również ja, w rezultacie – zamiast jednym z rozprawiających w grze o fotel prezesa – stałem się zwykłym obserwatorem. Wybory zakończyły się jednak po mojej myśli – zdecydowanie wygrał Listkiewicz. W grudniu w „Teatrze Polskim” w Warszawie z rozmachem zorganizował uroczystości jubileuszowe 80-lecia PZPN. A potem w Hotelu Europejskim było wino, kobiety i śpiew.

W styczniu 2000 roku, a więc już w XXI stuleciu ukazał się (na dobrym papierze) pierwszy numer czasopisma PZPN „POLSKA PIŁKA”. Wówczas jeszcze jako działacz społeczny komisji do spraw mediów byłem przy jego narodzinach. Kolegium redakcyjne kompetentne: Jerzy Figas (przewodniczący), Roman Kołtoń (wiceprzewodniczący), Roman Laszuk (sekretarz), Jarosław Kołakowski (rzecznik prasowy PZPN), Jerzy Lechowski (konsultant ds. prasowych) i Jerzy Talaga (konsultant ds. szkoleniowych). Treść tego pierwszego numeru bogata i merytorycznie mocno różniąca się od paplaniny dyletantów zatrudnionych w niektórych redakcjach.

Michał Listkiewicz w rubryce „**Zarezerwowane dla prezesa**” przekonywał:

... „Zaprosiliśmy do współpracy najlepsze pisma piłkarskiej Rzeczypospolitej. Mam nadzieję, że zespół redakcyjny spełni Państwa oczekiwania. Nowe władze PZPN starają się pracować przy otwartej kurtynie, reformować polski futbol we współpracy ze wszystkim jego środowiskami... Pragnę, aby „Polska Piłka” stała się forum szerokich rzesz sympatyków futbolu. Autorom życzę tego, aby jak najczęściej opisywali zwycięstwa „biało-czerwonych” i polskich klubów. Czytelnikom – dobrej lektury i wielu piłkarskich emocji...”

Dość długo byłem jednym z tych najbardziej zaangażowanych „opisywaczy”. Później nasze drogi się rozeszły, bo - ... tak sędzę – moje teksty były zbyt krytyczne. A ja serwilistą i wyłącznie pochlebcą nigdy nie byłem i być nie chciałem. Zawsze starałem się bronić obiektywnej prawdy. Bez kłopotów -mniej więcej w tym samym czasie - mogłem prezentować swoje racje o lidze i reprezentacji w polskiej edycji „Football World”.

W tekście „**Moje jubileusze**” (jednak w „Polskiej Piłce”) w miarę barwnie opisałem ten z grudnia 1999 roku czyli z okazji OSIEMDZIESIĘCIOLECIA PZPN:

... Połączone siły UKFiT – PZPN – POLSAT zorganizowały w teatrze Polskim w Warszawie Wielką Galę. Z głębi sali z nieukrywanym zadowoleniem kierowałem wzrok na scenę. Trochę oślepiały jupitery, jednak bez trudu rozpoznawałem tam piłkarzy, trenerów i działaczy, z którymi „grałem” w jednej drużynie, chwaliłem bądź ganiłem ich na łamach prasy, przemierzałem z nimi świat wzdłuż i wszerz, poświęciłem moje najlepsze lata. Nadal wszyscy jesteśmy razem. To był mój najwspanialszy Jubileusz!

Szkoda jednak, że bonzowie PZPN na jakiś czas wstrzymali

wydawanie „Polskiej Piłki”. Wszak na tych łamach z pożytkiem gościli współczesne tuzy polskiej żurnalistyki nie tylko sportowej: Janusz Basałaj, Jerzy Domański, Stefan Grzegorzczak, Roman Hurkowski, Roman Kołtoń, Ryszard Niemiec, Stefan Szczepłek, Mieczysław Szymkowiak, Dariusz Tuzimek, Paweł Zarzeczny, a nawet „wszystkowiedzący” Jan Tomaszewski. Ten jednak czuł się w tym towarzystwie nieswojo, stąd też rychło zdezerterował. Nie był w stanie sprostać wymaganej poprawności językowej i niepisanemu prawu, obligującego autorów do rzetelności i kierownia się zasadami fundamentalnymi dla gatunku homo sapiens.

„Tomek” nie zagrał też długo na platformie doradców prezesa do spraw młodzieżowych. Finał do przewidzenia, bo to dla takich ludzi zbyt nudne i mało medialne zajęcie, a przecież wymagające dużej wiedzy i umiejętności działania w grupie. Karczemne kłótnie, oskarżenia o złe intencje wszystkich razem i każdego z osobna, to jest prawdziwy żywioł eksbramkarza. Potem zaś liczne z tego powodu rozprawy na sali sądowej. Lubi to „pan Janek”, taką ma naturę, wszędzie widzi wrogów lub węży oszustów. Zmusza to do zastanowienia: - To jeszcze obsesja czy może już schizofrenia? A może tylko „normalność” w obecnych czasach? Najskuteczniejsza droga do zaszczytów? Bo oto wkrótce „wojowniczy Tomek” został w PZPN przewodniczącym komisji etyki, ścigającej „piłkarskich przestępców”. Do niedawna wydawać by się mogło – tym, co go dobrze znają – że w takiej roli trudno było by ujrzeć naszego bohatera nawet w najczarniejszych snach.

Wcześniej i później Listkiewicz i Kolator wzywali Tomaszewskiego na salę rozpraw, a teraz stanęli z nim w jednym szeregu obrońców prawa i sprawiedliwości. Nie nowość to w naszej rzeczywistości. Modne są dziś pozorne pojednania, przeto i w PZPN ponownie wyciągnięto dłoń ku

synowi marnotrawnemu. Listkiewiczowi się nie dziwię, ma bowiem w sobie coś z samarytanina, nie obce są mu też skłonności do manifestowania miłosierdzia i zmiany zdania. Ale członków tej komisji pościgowej, zwłaszcza tych z tytułami profesorskimi zrozumieć nie mogę. Chyba, że „Tomek” występuje w tym dostojnym gronie również w roli „świadka koronnego”. A to chapeux bas!

Już poprzedni prezes Marian Dziurów energicznie zabiegał o przeniesienie siedziby Związku z niewielkich pomieszczeń w Alejach Ujazdowskich 22 na ulicę Miodową 1, można powiedzieć – w samo serce stolicy. To najbliższe sąsiedztwo Kolumny Zygmunta i Zamku Królewskiego – symboli starej i nowej Warszawy. Plac Zamkowy i Trasa W-Z widoczne są z okien każdego piętra. Na parterze obsługuje swoich klientów Poczta Polska, a tuż obok wysłużona kawiarnia „Poziomka”, długo zapraszała na wysokie stołki działaczy piłkarskich z całej Polski. Niegdyś, często zaraz po śniadaniu, spotykali się tam weseli lwowiacy: satyryk Józef Prutkowski, generał Tadeusz Jedynak, sekretarz generalny Legii, Edward Potorejko i oczywiście Kazimierz Górski. Po złotym medalu w Monachium i srebrnym na Weltmeisterschaft 1974 towarzystwo Kazia także dla ówczesnych prominentów było swoistą nobilitacją.

Na PZPN-owskim tronie zasiadał teraz Michał Listkiewicz. „Pan Misio” – tak od lat zwracał się do niego Kazimierz Górski – miał tę przewagę nad swoimi poprzednikami, że do Związku nikt nie przyniósł go w teczce. Od dziecka jest „człowiekiem sportu”. Najpierw pasjonowała „Misia” koszykówka, a „miłością pierwszą” obdarzył Polonię Warszawa. Z czasem jednak stał się prawdziwym entuzjastą piłkarstwa i sympatykiem większości klubów. Zaczynał jako sędzia i dziennikarz sportowy w czasach, kiedy obie te profesje cieszyły się

w środowisku dużo większym zaufaniem. W czasie swej pierwszej prezesury Listkiewicz nie przejawiał wodzowskich cech. Sugerowano, że bardziej prezentował je Zbigniew Boniek. Nie sądzę. Bońka ciągnęło przede wszystkim do marketingu i... reprezentacji. Fakt, początkowo – podobnie jak – Eugeniusz Kolator – zgłosił swoją kandydaturę na prezesa, ale w odpowiednim momencie obaj zgrabnie się wycofali. To była dobrze przemyślana gra, utorowali drogę Listkiewiczowi.

W PZPN najbardziej błyszczał jednak Boniek, mimo że nieustannie podszczypywał go Tomaszewski. „Zibi” to człowiek wysoce medialny. Sam potrafił chwycić za pióro i trafnie przyłożyć komu trzeba. Więcej, niemalże na starcie swej działalności w PZPN stał się ojcem chrzestnym czasopisma „POLSKA PIŁKA”. Był dumny z tego osiągnięcia, ale mierzył wyżej i dalej. Porwał się na funkcję selektonera. „Tomek”, zawodowy prześmiewca spotęgował wtedy ataki, natomiast mnie do dziś zadręcza pytanie: – *Dlaczego Boniek wcześniej o tym nie pomyślał?* Przed World Cup 2002 w Japonii i Korei! Nie wierzył, że na zgliszczach, jakie zostawił po sobie Janusz Wójcik, uda się reprezentacji przywrócić dawny blask?

PODCIĘTE SKRZYDŁA ANIOŁA

W drugiej połowie grudnia 1999 roku, poza fruującym gdzieś po świecie prezesem Listkiewiczem, w kawiarni „U Hutników” w Warszawie zebrała się cała pezetpeenowska śmietanka. To już taka przedświąteczna tradycja Ryszarda Sobieckiego, przez wiele lat bossa bielańskiego klubu: homilia księdza Mikulskiego, opłatek, kolędy, zakąski i wódeczka, a potem – już tylko dla wybranych – piłkarskie rodaków rozmowy przy koniaczku i kawie w gabinecie fundatora. Co dalej z reprezentacją? Kto

teraz będzie selekcjonerem? – te dwa pytania zdominowały inne tematy. Wierchuszka PZPN z Kolatorem, Apostelem, Strejlauem, Kręciną i Jurasem dość jednoznacznie dawała do zrozumienia, że na Miodowej faworytem jest Franciszek Smuda, wtedy trener klubowy Legii. Nie ma konkurenta? Niemożliwe!

– Czy to już przesądzone? – spytałem z głupia frant. – W kawiarniach mówią o Bońku...

– Nie słyszałem... Tu i ówdzie wysokie notowania ma Jurek Engel - wyrwał się Strejlau.

To akurat wiedziałem. Dobrze znałem też piłkarską drogę obu pretendentów do selekcyjnej buławy. Wyłożyłem swoje racje elicie PZPN.

– Smuda był niewątpliwie lepszym piłkarzem, ale wiedzę teoretyczną o futbolu znacznie większą ma Engel. Jest inteligentny i wykształcony, absolwent AWF, nieźle mówi i pisze. Czytałem jego pracę magisterską, realnie i ze sporą wizją szkoleniową ocenił występy naszej reprezentacji na mistrzostwach świata w RFN. Sądzę, że potrafiłby to wykorzystać w praktyce. Głównie jako selekcjoner, kto wie, może również jako trener?... Oni obaj, to znaczy Smuda i Engel lubią opowiadać bajki.

– Widzę, że w tym wyścigu praktyka z teoretykiem, stawiasz raczej na magistra – roztropnie zauważył Kolator.

– Niezupełnie... Jeśli nie ma innych kandydatów, to rzeczywiście wolę magistra. Bo gdzie dziś szukać drugiego Koncewicza, Górskiego lub Piechniczka. A o Bońku na Miodowej cisza. Engel trochę przypomina mi Tadeusza Forysia... Też wygadany, umie zadbać o swoje „ja” i znaleźć się w towarzystwie. Smudzie dałbym na razie spokój, niech najpierw pokaże coś w Legii. Jeśli tam zda egzamin, a Engel w PZPN zawiedzie,

to wtedy można będzie powrócić do sprawy.

Na pracy w Legii połamał sobie zęby już niejeden szkoleniowiec. Nawet Trener Stulecia Kazimierz Górski nie zdołał na Łazienkowskiej wywalczyć mistrzostwa Polski. W połowie lat osiemdziesiątych bliski tego celu był tam jednak właśnie Engel, ale i jemu nie udało się zmienić mentalności ówczesnych „amatorów”. Znowu przegrywali ważne mecze. Franciszek Smuda zapowiadał, że odwróci koło historii i zagarnie wszystkie krajowe trofea. Padł jednak pod naporem własnych przechwałek. Przyszedł do Legii z rekomendacją trzech mistrzostw Polski, dwóch w Widzewie i jednego w Wiśle Kraków, ale w towarzystwie stołecznej ferajny stał się największym przegranym. Nie zdołał utemperować rozkapryszonych piłkarzy, zawiódł wierzących w cuda działaczy, sfrustrował kibiców i naiwnych akcjonariuszy sportowej spółki akcyjnej. Efekt? Z hukiem wylądował na „oślej łączce”.

Na Łazienkowskiej przyblakła gwiazda trenera „naturańczyka”, natomiast mniej więcej w tym samym czasie na Konwiktorskiej zapaliło się zielone światełko dla szkoleniowca dobrze obeznanego z wiedzą książkową. W Polonii wiodło się Engelowi nadspodziewanie dobrze, cieszył się dużym zaufaniem Janusza Romanowskiego i Jerzego Piekarczewskiego, co niewątpliwie w znacznym procencie przetarło mu ścieżkę na fotel selektonera. Rzucił więc klub i porwał się na reprezentację. Asystent Dariusz Wdowczyk przejął „Czarne koszule” i dał im mistrzostwo Polski. Ten tytuł, to fenomen na tle upokorzonej Legii i nerwowego przebijającej nogami Wisły Kraków. Sukces Polonii – to niewątpliwie nieco jaśniejszy promyk na tle szarawego sezonu 1999/2000.

Jak grali poloniści? Ładnie, radośnie?... Przede wszystkim

skutecznie! Zaskakiwali tym słabszych psychicznie rywali. Zadziwiali konsekwencją i nieustępliwą walką, ale nie dostarczali oczekiwanych doznań widowiskowo-estetycznych. Solidne rzemiosło. Nie był to jedyny znak firmowy Olisadebe i spółki. Drużyna Polonii ustrzegła się nagłych wlotów i upadków, grała równo, odpowiedzialnie i przekonująco praktycznie w każdym meczu. Imponowała doskonałym przygotowaniem kondycyjnym. Zadbał o to właśnie Wdowczyk, zwolennik rzetelnej pracy i wytrwałości w szkoleniu. Przeto jeszcze dziś chylę czoło przed Darkiem i dziękuję, że te pozornie elementarne wartości przywrócił piłkarstwu... W naszych warunkach, gdzie technika nie przekracza norm podstawowych, właśnie dobra motoryka i rozumna taktyka jest skarbem największym. Na arenie międzynarodowej to stanowczo za mało. W Lidze Mistrzów wymagane są większe umiejętności czysto piłkarskie. Polonistom wystarczyło klasy tylko na Dynamo Bukareszt, ale na nieco lepszy technicznie Panathinaikos Ateny już nie.

Listkiewicz stawiając na Engela w zasadzie błędu nie zrobił, ale też z nowym selekcjonerem świata nie zawojował. Ekipa „Pana Michała” przerwała jednak „zakłęte rewiry” międzynarodowe, niedostępne dla reprezentacji od finałów mistrzostw świata w 1986 roku w Meksyku. Mocno wspierali go w tym dziele już nie najmłodszy Apostel, Strejlau, Lenczyk... Ale fachowcy! Z nimi niewątpliwie łatwiejszy był powrót reprezentacji na drogę sławy. Jerzy Engel miał też sporo szczęścia w losowaniu, przeto i w eliminacjach łatwiejsze zadanie niż dwaj jego poprzednicy. Nie przegapił szansy. W grupie z Armenią, Białorusią, Norwegią, Ukrainą i Walią górowała flaga biało-czerwona. Podziękowałem za to w tekście „**Witaj Daleki Wschodzie**”.

... Składamy reprezentacyjnym piłkarzom i ich trenerowi głęboki

ukłon. Dziękujemy za ponowne wprowadzenie naszego futbolu na światowe salony. Szesnastoletnia przerwa w rywalizacji z najlepszymi była przykra i uciążliwa, groziła kompleksem niższości. Ten jakby zaczarowany krąg niemożności przerwały dopiero efektowne wygrane z Ukrainą i Norwegią. Końcowy sukces przyszedł wcześniej, niż powszechnie oczekiwano. To upoważnia do optymizmu, ale... Po efektownym 3:0 z Norwegią w Chorzowie, pojawiło się zawstydzające 1:4 w meczu z Białorusią w Mińsku... Jak więc ocenić faktyczne umiejętności i możliwości sportowe naszej reprezentacji? Jest w stanie grać co najmniej tak dobrze, jak z Ukrainą w Kijowie, z Norwegią w Oslo i Chorzowie, czy tak źle – jak ostatnio w Mińsku? Bo gdyby „wpadka” z Białorusią miała się powtórzyć na Dalekim Wschodzie, to wtedy wyniku 1:4 z Mińska nie można by tłumaczyć „wypadkiem przy pracy”.

Przepytałem na tę okoliczność selekcjonera:

– Jak reagowali piłkarze na prezentowane przez pana podstawowe założenia w pracy z reprezentacją. Długo ich pan przekonywał?

– Szybko przywykli do moich intencji. Gorzej było z dziennikarzami i kibicami. Wkrótce po nominacji słyszałem: „*panie, czego się pan podejmuje, z czego pan stworzy reprezentację?*”. Jak wymieniłem nazwiska Karwana i Krzynówka, to się śmiali, a gdy ten drugi w pierwszym meczu popełnił błąd, to w ogóle go skreślono. Jak wymieniłem nazwisko Zdebel, to pytali: „*O czym on mówi?*”. Jak zacząłem wspominać o parze napastników Kryszalowicz – Olisadebe to wykpiwano to ustawicznie w mediach. To są fakty!

– Wybór Krzynówka uważam za udany i... obiecujący. Koncepcję tworzenia drużyny, już nie za bardzo. Rzeczą najważniejszą w kształtowaniu oblicza reprezentacji jest stan kadry. Pan to widzi inaczej...

Czy do swojej koncepcji znalazł pan takich zawodników, którzy mogą zrobić to, co przed laty piłkarze Górskiego i Piechniczka czyli zdobyć medal?

– Innych tak, takich samych nie, bo drugiego Deyny się nie znajdzie. Mój zespół już prezentuje skuteczny futbol i uzyskał oczekiwany wynik.

– Pewna wstrzemięźliwość w głoszeniu pochlebstw jest jednak pożądana. Ten zespół jeszcze do końca nie został sprawdzony. Weryfikacja nastąpi dopiero w Korei. Jak to tam będzie?

– Nie jesteśmy zespołem, który... potrafi lekko wygrać, technicznie, bez większego wysiłku. My każdy mecz musimy wypracować i z taką samą wielką determinacją rozgrywać... Obecnie z każdym możemy wygrać jak i przegrać.

– A chciałby pan po czerwcowych finałach mistrzostw świata nadal pracować z reprezentacją?

– Oczywiście! Mistrzostwa Starego Kontynentu to wielkie wyzwanie...

Jerzy Engel jest przesadnym optymistą. Lubi ubarwiać każdą rzeczywistość, także piłkarską widzi wyłącznie w różowych kolorach. Staralem się temperować te wygórowane ambicje, ale przerastało to moje siły i... możliwości. Nawet Honorowy Prezes PZPN, Kazimierz Górski nie zdołał stonować tej tęczowej wizji. Engel był przekonany, że urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Współ z Maciejem Polkowskim napisał książeczkę pod bardzo obiecującym tytułem „**Futbol na tak**”. Sądziłem, że znajdę w tej publikacji odkrywczą odpowiedź na postawioną tezę: - **Co to właściwie znaczy i jak należy rozumieć pojęcie „Futbol na tak”**. Ofensywny, odważny, widowiskowy, skuteczny?... To już dobrze znam z opisów teoretyków i własnej obserwacji wielu „cudownych” reprezentacji,

w tym także tej „niepowtarzalnej” prowadzonej w latach 1971 – 1976 przez Kazimierza Górskiego.

Dziś tamte wartości można oczywiście potraktować jako „futbol retro”, tu i ówdzie już zapomniany i nie przystający do wymogów nowoczesności, słowem – uznać za „futbol na nie”. Współczesność stawia bowiem coraz większe i ambitniejsze zadania. Piłka nożna jest żywym organizmem, nieustannie się rozwija, można powiedzieć, że nie do końca rozpoznana i że wciąż tkwi w jej głębi sporo tajemnic i możliwości. Engel nie przybliżyła nas do poznania tych jeszcze nieodkrytych prawd. Nie wyjaśnia, czy obok stale doskonalonego sprzętu, pomysłowości w budowie stadionów, iście diabelskich rozwiązań w produkcji urządzeń pomocniczych, umiejętności serwowania zawodnikom dozwolonych i zabronionych środków wspomagających organizm oraz postępu w warstwie odnowy biologicznej, te czysto piłkarskie wartości są teraz również coraz lepsze? Technika, taktyka, szeroko pojęta motoryka i cechy wolicjonalne...

Niemal wszystko jest teraz inne i nieco inaczej postrzegane. Ale czy lepsze, a jeśli tak to dlaczego? Co spowodowało, że dzisiejszy futbol jest szybszy, twardszy, niekiedy przypomina sporty walki - rugby i zapasy? Stało się tak dzięki większym indywidualnym umiejętnościom zawodników, bogatszym dziś formom zespołowości czy głównie za sprawą rewolucji w dziedzinie infrastruktury? Zapewne oba te zjawiska korzystnie wpływają na rozwój dyscypliny. Po prostu tworzą „futbol realny” na miarę czasów, wiedzy teoretyków i praktyków, ale też nie wolny od kaprysów właścicieli klubów, warunków stawianych przez sponsorów, wreszcie uzależniony od sprawności rodzimych i międzynarodowych federacji.

Nie zawsze i nie wszędzie jest to „**futbol na tak**”, zarówno w sferze

szkoleniowej jak i w formach organizacji i zarządzania. Coraz wyraźniej gubimy przypisane sportowi wartości moralne i... uświęcone tradycją proporcje. Podupadają podstawowe funkcje szkoleniowe. Zaczyna – również u nas – przeważać dążenie do zwycięstw za wszelką cenę i pomnażania kapitału nie zawsze uczciwą drogą. Ekonomia i chęć zysku góruje nad walorami czysto sportowymi. Problem mocno złożony, wymaga wykładni naukowców i pomocy sprawnego pióra. Duet Engel – Polkowski aż tak dużych walorów nie zaprezentował. Śmieszą też zapewnienia, że: *„Pozytywny sposób myślenia oraz determinacja i wiara w osiągnięcie celu doprowadziły do sukcesu” (J. Engel) „Potrafiono wznieść się na wyżyny, przekroczyć barierę najśmielszych marzeń i wyobraźni... Dzięki Jerzemu Engelowi i jego ludziom poczuliśmy, że bliżej nam do futbolowego świata” (M. Polkowski)*

Komunały, sporo przy tym przejawów amnezji. Znacznie **„bliżej futbolowego świata”** byliśmy już w erach Górskiego i Piechniczka. Gdyby taki tekst ukazał się w latach „realnego socjalizmu”, nazwalibyśmy to „propagandą sukcesu”. Teraz ów slogan z powodzeniem można by zastąpić sformułowaniami typowymi dla gospodarki rynkowej – naiwny marketing i rozdmuchana reklama. Na World Cup 2002 w grupie z Koreą Południową, Portugalią i Stanami Zjednoczonymi reprezentacja wychwalana przez Engela zajęła ostatnie miejsce. To nie był „futbol na tak” czyli według sugestii selekcjonera taki, który zadowalał by gusta kibiców.

Naiwna okazała się też engelowska „żelazna reguła”: ... „prawy obrońca musi grać na prawej obronie, środkowy na środku, a prawy pomocnik na prawej pomocy, napastnik w ataku, a rozgrywający musi być rozgrywającym”. Wskazówki dla piłkarskich przedszkolaków bądź

wtórnych analfabetów. Od blisko 40 lat znam zupełnie inne reguły: „gra wszystkimi siłami”, „piłkarska wszechstronność”, „uniwersalizm ograniczony”. Wtedy też mówiono, że to „futbol na tak”. W świetle prawd lansowanych przez Engela dziś byłby to „futbol na nie”. W meczach z gospodarzami i Portugalią Polacy nie potrafili obronić „złotych myśli” selekcjonera. Nikłe pojęcie mieli też, choć to umiejętności z „zamierzchłej epoki” o „wszechstronności” i „uniwersalizmie ograniczonym”. Brak tej wiedzy musiał się źle skończyć. Reszty zła dopełniło słabiutkie rozeznanie w możliwościach rywali i własnych zawodników. Dopiero „drugi rzut” graczy w meczu z USA co nieco uratował twarz selekcjonera. Bo ci rzekomo najlepsi pułap swoich możliwości osiągnęli już we wstępnych eliminacjach.

W sekwencji „**Godne pożegnanie**” Engel przekonuje, że „trzeba się mocno koncentrować, by zyskać szacunek kibiców, by odpowiedzieć na „tak” tym wszystkim, którzy w Polsce wiedzą wszystko lepiej na „nie”. A jeśli chodzi o tę reprezentację zawsze się mylili i nadal się mylą”. Wylazł z worka pyszałek. Nie mylił się tylko Engel. Swoim narcyzmem i bałamutnymi obietnicami przed World Cup 2002 zdołał zarazić sporą grupkę przydupasów, a kilku nadmiernie rozgorączkowanych klakierów omal nie doprowadził do orgazmu. Po „koreańskim niewypale” nawet niektórzy z tych aplegierków zaczęli pomrukiwać, że „król jest nagi”.

Tak czy inaczej początek XXI wieku przyniósł Jerzemu Engelowi rozgłos i sławę. Jednak bardziej niż osiągnięte wyniki, przyczynił się do tego Jan Tomaszewski, ni z gruszki, ni z pietruszki, czołowy apologeta niedoszłego mistrza. Jego zdaniem cały PZPN – to zgraja nieudaczników, na tle których błyszczy właśnie gwiazda uskrzydłonego Engela. Ja też znam pana Jerzego od ponad ćwierć wieku, zawsze starałem się być dlań

życzliwy i z uwagą śledziłem jego trenerską karierę. Zaczynał wcześniej, już jako „trzydziestolatek” przebojem wdarł się na Łazienkowską, ale – jak tylko zdołałem sięgnąć pamięcią wstecz – marzył o pozycji jaką osiągnął Kazimierz Górski. Nie ukrywał tego ani przed swoim idolem, który w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia był prezesem PZPN, ani przede mną – ówczesnym wiceprezesem. Świadkiem tych rozmów była nie tylko nieistniejąca już kawiarnia „Ewa” przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Odnieśliśmy wrażenie, że pobyt na Cyprze Engel traktował jako dobrze płatną egzotyczną przygodę, ale nie zaspokajającą jego ambicji. Natomiast możliwość znaczącej w odczuciu społecznym pracy w PZPN uważał za życiową szansę. Dopiął swego i chwala mu za to. Sprytu i inteligencji trudno było by mu odmówić. Pozostał więc ulubieńcem niektórych mediów także po zakończeniu misji niespełnionej w PZPN. Zadziwiająco sprawnie i skutecznie wcielił się wówczas w rolę telewizyjnego komentatora. Tu w roli piłkarskiego mentora prześcignął nawet pozującego na erudyte znanego bramkarza. Engel wyraźnie lubi być na wierzchu. Nieco wcześniej, wkrótce po mistrzostwach Europy w roku 2000, ujawnił swoje spojrzenie na współczesny futbol również w książce Marka Ołdakowskiego „**Tytuł dla Francji**”.

Tak się złożyło, że w tejże publikacji z pozycji eksperta ja również się wypowiedziałem. Nasze widzenie futbolu, jego historii, rozwoju, niuansów systemowo-taktycznych dnia dzisiejszego już wtedy nie zawsze było zbieżne. Niekiedy także fakty podważały wiarygodność prawd wygłaszanych przez selekcjonera. To drobiazg. Bardziej raziło ujawnienie przyczyn naszego niepowodzenia w eliminacjach mistrzostw Europy. Jerzy Engel przekonywał, że na tę formę rozgrywek z reguły znacznie

większy (ujemny) wpływ miały względy polityczne niż sportowe. To już jawny skok w przepaść! Co na to Hiszpanie, Francuzi, Holendrzy, Niemcy i Anglicy? Wygrywali z nami dlatego, że byli sprawniejsi politycznie? Dla mnie zawsze ważniejsze były i są racje sportowe. Nie dorastamy do poziomu Europy: piłkarsko, mentalnie, finansowo. Stąd nasza niemoc wobec wyjątkowo gęstego sita eliminacji, gęstszego, niż w eliminacjach mistrzostw świata. W Europie jest więcej klasowych drużyn, niż na pozostałych kontynentach. To jest i kolebka i twierdza futbolu! Stąd i o awans do finałów jest znacznie trudniej.

Pewne różnice zdań zarysowały się również przy ocenie faktycznych umiejętności naszych piłkarzy, Jakie są ich niedostatki w stosunku do europejskiej czołówki? Jerzy Engel na czoło wysuwa brak mocnych charakterów. Nie umiemy wygrywać? Upraszcza sprawę. Niezłomne charaktery i mentalność zwycięzców są to cechy ważne w każdym zawodzie. Ale rzeczywiście prawdą jest, że wysokie morale i silne pierwiastki patriotyczne są w sporcie najbardziej pożądane. Tu się zgadzamy, bo bez tych przymiotów trudno o dobrą pozycję również w futbolu. Jednak nie są one w stanie zastąpić wiedzy stricte piłkarskiej. Mogą tylko duchowo wesprzeć trzy istotne filary szkoleniowe: technikę, taktykę, kondycję.

Spór to zresztą czysto teoretyczny, praktyka rozstrzyga, co jest pierwotne, a co wtórne, duch czy materia. Piłkarstwu potrzebne jest i zdrowe ciało i zdrowy duch. Ale i to nie wystarcza, potrzebne są przede wszystkim wybitne indywidualności w gabinetach prezesów i warsztatach trenerskich oraz gwiazdy na boisku. Takich właśnie działaczy, trenerów, no i oczywiście piłkarzy miała wtedy Francja, przeto wywalczyła – najpierw w roku 1998 mistrzostwo świata, a w 2000 – mistrzostwo Europy. Zgrabnie

opisał to właśnie Marek Ołdakowski były dziennikarz „Piłki Nożnej” i „Przeglądu Sportowego”. Trzeba być jednak obiektywnym, kilka cennych uwag w książce Ołdakowskiego przekazał również Jerzy ENGEL:

...„Ostatnio Francuzi triumfują na wszystkich ważnych zawodach. Spójrzmy na ich piłkę młodzieżową. Tu też nie ma żadnego przypadku. To jest efekt właściwej skutecznej, spokojniej, planowej pracy. Celem jest „produkcja” wyśmienitych piłkarzy, którzy potem kosztują miliony dolarów. To też konsekwencja decyzji rządowych, wspaniałej, przemyślanej do najdrobniejszych szczegółów organizacji, w której nie ma miejsca na improwizację, akcyjność... I nie mam tu wcale na myśli jedynie słynnych w całej Europie francuskich szkółek piłkarskich, ale mówię o pewnych sprawach generalnych, zasadniczych, o klubach i ich zapleczach. Są one zobowiązane do szkolenia młodzieży, w warunkach sprzyjających rozwojowi piłkarzy. Francja ma też doskonałych szkoleniowców, oni – „masowo” tak, jak my nie gubią talentów. Chłopcy grają na stadionach jak z bajki. To kosztuje, ale – brutalnie mówiąc – jest to swoista lokata kapitału. Tak dziś kształtują wizerunek futbolu kraje z Unii Europejskiej”.

Tu moje myśli były zbieżne z opinią Engela. Stwierdziłem, że: ... „Francja – to swoisty fenomen. Pozwolę tu sobie na pewne uogólnienie. Otóż, moim zdaniem, historia spłaca teraz dług wdzięczności wobec Francji. Co przez to rozumiem? Ano to, że to przecież Francuzi są twórcami wszystkich wielkich imprez światowej rangi w piłce nożnej: mistrzostw świata i Europy, także europejskich rozgrywek pucharowych, którymi wszyscy pasjonujemy się od lat. Byli pomysłodawcami i realizatorami tych idei: Jules Rimet, Henri Delaunay, Gabriel Hanot... Radzę zapamiętać te nazwiska. To słupy milowe w dziejach piłki nożnej. Sami Francuzi. Oni przez całe dziesięciolecia tak byli zaabsorbowani

tym tworzeniem dla wszystkich, że zapomnieli o sobie.

A teraz robią i jedno, i drugie, nawet nieco bardziej akcentując potrzebę własnych sukcesów, bo światu dali już bardzo dużo. I może jest to jedynie poetycka przenośnia, ale – powtarzam – właśnie teraz historia spłaca im dług wdzięczności, a oni potrafią to wykorzystać. Byłem kilka razy we Francji na międzynarodowych turniejach w Saint Malo, Monaco, Cannes i wszystko widziałem na własne oczy. Tam nie ma błagania o pomoc dla młodych piłkarzy, tam praktycznie każdy ośrodek, nawet najmniejszy, już wiosną organizuje jakiś turniej i dzieciaki wszędzie grają w piłkę, niekoniecznie na dużych boiskach. Także różnokolorowi... Francja jest uważana za pierwszy kraj na świecie, któremu obce są różnice rasowe. Tam w futbolu liczy się tylko talent, rozum i chęć do gry.

W książce Marka „Tytuł dla Francji” w obu naszych wypowiedziach jest też sporo wątków dotyczących polskiego piłkarstwa. Co powodowało, że niegdyś w Paryżu wygrywali nie tylko medaliści mistrzostw świata z Hiszpanii, lecz także ich znacznie starsi koledzy: Brychczy, Pohl, Woźniak, Oślizło, Lentner? Wprost odpowiedzieć na to pytanie nie jest łatwo, trzeba jednak ujawnić jedną prawdę – oczywistą. W przeszłości Francuzi górowali nad nami tylko wyszkoleniem technicznym, teraz lepsi są również w pozostałych elementach sztuki piłkarskiej. W latach sześćdziesiątych „trójkolorowi” mówili o „biało-czerwonych” – to typowi reprezentanci futbolu siłowego, świetni kondycyjnie. A dziś trudy walki na boisku wytrzymują lepiej, niż my. Może inaczej, to znaczy bardziej odpowiedzialnie pojmują status zawodowca?

W styczniu 2001 roku zapoznałem się również z opracowaniem obserwatorów PZPN p.t. „**Raport z finałów Mistrzostw Europy Belgia – Holandia 2000**”. Głównymi autorami tego raportu są Władysław

Żmuda i Władysław Szyngier, ale spory wpływ na ostateczny kształt tego dokumentu mieli także: Jerzy Engel, Edward Klejdinst, Edward Lorens i Orest Lenczyk. Objętościowo ów raport jest godny uwagi (164 strony wydania książkowego), ale wartości odkrywcze ma niewielkie. Zdaniem polskich szkoleniowców w Belgii i Holandii piłkarska Europa potwierdziła swój znaczący wkład w rozwój światowego futbolu, ale zbyt dużo nowości nie zaprezentowała. Przeto i nasi obserwatorzy powielili prawdy już dość powszechnie znane:

...„Najlepsze zespoły tych mistrzostw potwierdziły kierunek dalszej ewolucji piłki nożnej. Współcześnie w takiej imprezie nie wystarczy grać solidnie, dobrze taktycznie, bazując tylko na przygotowaniu motorycznym i czekać na błędy przeciwnika. Trzeba umieć grać ofensywnie, zaryzykować, stwarzać sytuacje bramkowe i zamieniać je na bramki. Do przeszłości należy typowe ustawienie czwórki obrońców, gdy przeciwnik gra jednym napastnikiem w przodzie – wystarczają często tylko dwaj obrońcy... Gra skrzydłami to w dalszym ciągu skuteczny środek przeciwko skomasowanej obronie, ze szczególnym akcentem gry ofensywnej bocznych obrońców”...

Takie „rewelacje” systemowo-taktyczne mogły szokować świat po Mundialach w roku 1966 i 1970, ale nie ponad trzydzieści lat później w Europie. Ja też na swój sposób, wprawdzie tylko na szklanym ekranie, oglądałem, a potem oceniłem te mistrzostwa. Wnioski z obserwacji zawarłem w obszernym tekście w „Polskiej Piłce” – **OBALANIE MITÓW:**

... „Rzeczywistość wyszła naprzeciw moim marzeniom: przestaje straszyć wiara w nadprzyrodzone właściwości własnych boisk... Łatwiej też teraz odrzucić absurdalną tezę Gary Linekera, że ... „piłka nożna jest

taką grą, w której zawsze wygrywają Niemcy”. Portugalia, Rumunia i Anglia wymierzyły „wiecznym zwycięzcom” niezwykle bolesny policzek. Byli mistrzowie świata i Europy wywalczyli tylko jeden punkt i strzelili tylko jedną bramkę. „Niemiecki czołg” nie miał pocisków... Dania, mistrz Europy z 1992 roku też nic nie wskórała. Ale w głowach rodzimych mędrców wciąż żywe jest utopijne przekonanie, że ... „stać nas na model duński”, to znaczy niemal wyłącznie oparty o „stranierich”. Tak budować reprezentację czy tak w niesławie przegrywać? Totalna bzdura!

Hiszpanie, zwłaszcza Włosi, którzy dobrnęli aż do finału, wybrali inną drogę: zbudowali reprezentacje z zawodników występujących wyłącznie we własnej lidze. Wypadało by „być za”, ale z konieczności trzeba być „przeciw”. Włoski wariant wykracza bowiem poza nasze pole działania, polska liga jest za słaba... Nurtują człowieka jeszcze inne wątpliwości. Czy w świetle tego, czym uraczono nas w Belgii i Holandii można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że triumf ofensywnego stylu gry ostatecznie odwiedzie przegrane zespoły od preferowania taktyki obronnej?

Tu też trzeba umieć zachować umiar. Z jednej strony wręcz niepoważne jest zauroczenie li tylko „radosnym futbolem”, a z drugiej – dbanie wyłącznie o własne bezpieczeństwo. Piłka nożna jest grą do dwóch bramek. Trzeba więc umieć się bronić i atakować. Najlepiej robiła to Francja i dlatego wygrała. Mistrzowie Europy dostarczali pięknych wrażeń zarówno wtedy, kiedy atakowali, jak i wówczas, kiedy się bronili. Nic nowego, zawsze górą są ci, którzy wspaniałą techniką, rozumną taktyką i nienaganną kondycję wspierają zespołem cech wolicjonalnych. Są to w piłkarstwie wartości trwałe, ponadczasowe...

Być dziś „prawdziwym profesjonalistom” nie jest wcale łatwo.

Trudów dziesiątków meczów rozgrywanych w ciągu roku: mistrzowskich we własnych krajach, o drogocenne punkty w europejskich pucharach i światowych turniejach drużyn klubowych, o jeszcze cenniejsze w barwach reprezentacji i kosztowne w grach towarzyskich nie wytrzymują nawet najlepsi. Po prostu buntują się ich organizmy. Była to jedna z głównych przyczyn, które spowodowały, że ogólny poziom ostatnich mistrzostw świata w Japonii i Korei Południowej nie był najwyższy. Niewątpliwie w pamięci kibiców bardziej utkwiły Mundiale z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Właśnie wtedy, zwłaszcza w roku 1974 w Niemczech i 1982 w Hiszpanii, nasza reprezentacja jak równy z równym grała z: Argentyną, Brazylią, Niemcami i Włochami, wyeliminowała Anglików, a Holendrów w eliminacjach ME rozbiła w drobny mak.

Na Weltmeisterschaft '74 mieliśmy jednak drużynę wyjątkowo dobrą, śmiało można powiedzieć „niepowtarzalną”, bo nawet ta z roku 1982 w Hiszpanii nie wszystkim przypadła do gustu. „Cesarz” Franz Beckenbauer na przykład w swej pięknie wydanej książce o Mundialu w Hiszpanii napisał:

... „W roku 1974 reprezentacja Polski była dla wszystkich wielką niespodzianką, jej młodość, polot i fantazja rokowały nadzieję na dalszy rozwój. Jednak już w roku 1978 w Argentynie widać było, że ta drużyna nie poczyniła oczekiwanych postępów. Natomiast ten zespół, który tak dzielnie walczył w Hiszpanii, osiągnął więcej niż można było się spodziewać. Drużyna solidna, reprezentowała prosty futbol, nic więcej. Tylko jej lider Boniek, bramkarz Młynarczyk oraz rutyniarze Lato i Żmuda przypominali tę ekipę z 1974 roku”.

Jeśli w tym świetle spojrzymy na zespół, który był w Korei Południowej, to nadziei na dobry wynik być nie mogło. Zgodnie z

teorią prawdopodobieństwa faworytem „naszej grupy” byli gospodarze. I cel osiągnęli. A kto drugi poszedł dalej? - Stany Zjednoczone... Reprezentanci Europy w odwrocie. Jerzy Engel był przekonany, że udane przedmundialowe eliminacje „wykreowały gwiazdy w każdej formacji”... Miały nadawać blasku naszej drużynie. Zła ocena własnych możliwości. Trener Górski przestrzegał przed nadmiernym optymizmem: - „Najgorzej być pewniakiem... Trenera i zawodników musi cechować niepokój twórczy, bo z własnego doświadczenia wiem, że „nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej”. Moim zdaniem w obecnej kadrze mamy nadmiar starszych wiekiem i stażem zawodników”...

To musiało się źle skończyć. W Korei zawiedli zresztą nie tylko Polacy, prezentując futbol „nie na tak” głównie w meczach z gospodarzami (0:2) i Portugalią (0:4). Także Francuzi – niedawni mistrzowie świata i Europy nie dali rady Danii, Senegalowi, Urugwajowi. Tak, jak nam - przypadła im w grupie czerwona latarnia. Przyczyna? Lepszy rywal wyznaczyli miejsce w szeregu. Poza tym Jerzy Engel nie miał dostatecznego rozeznania we własnej ekipie. Dopiero gdy „rezerwowi”: Majdan, Kłós, Zieliński, Głowacki, Murawski i Kucharski wzięli sprawę w swoje ręce, wygrali z USA 3:1. Znowu tylko „łabędzi śpiew”, bo już dawno było „po herbacie”. W sumie tak źle postawy w sześciu naszych dotychczasowych występach w finałach mistrzostw świata (1938, 1974, 1978, 1982, 1986, 2002), jak ten ostatni w Pusan, Jeju i Daejeon jeszcze nie przeżyliśmy. Rozczarowanie powszechne. Obiecywano miejsce na podium, a odpadliśmy już w przedbiegach.

Ułomność naszej telewizji publicznej spowodowała, że tym razem to wszystko, co działo się na World Cup 2002 było dla większości sympatyków futbolu niedostępne. Przypomniał mi się rok 1970, kiedy

to – aby nieco bliżej zorientować się, co jest grane w Meksyku – trzeba było jechać aż pod „ruską granicę” i tam w sowieckiej TV smakować mundialowe dania, benefis Pelego i radość caraninhos. Teraz należało wprosić się do sąsiada i wypić z nim pół litra (miał dekoder Polsatu), by obejrzeć na szklanym ekranie coś więcej, niż skrawki Mundialu w TVP. W mediach „pisanych” też bardziej częstowano nas „otoczką mistrzostw”, niż wartościami czysto sportowymi, o nowościach szkoleniowych już nie wspominając. Jan Tomaszewski nie jest bohaterem moich ulubionych romansów, ale tym razem zapewne miał rację sugerując, że:

... „Moje ostrzeżenia nie zrobiły najmniejszego wrażenia na żadnym z Listkoludków, a to z tej prostej przyczyny, że reprezentacja zakwalifikowała się do finałów i miodowi chłopcy mogli bezkarnie realizować swoje prywatne cele (opylać prawa do transmisji TV bez przetargu, sprzedawać wizerunek reprezentacji do różnego rodzaju... zup oraz tuszować brzydkie sprawy itp., itp.), wychodząc widocznie z założenia, że Temida przymruży oczy na wszystkie szwindle”.

Nasze powojenne dążenia do udziału w finałach mistrzostw świata zaczęły się w 1957 roku. Moskwa, Chorzów i Lipsk – to były pierwsze miasta, w których na własne oczy oglądałem nieudaną rywalizację „biało-czerwonych” z reprezentacją byłego Związku Radzieckiego. Później w połowie lat sześćdziesiątych były kłopoty w meczach z Jugosławią w Chorzowie i z Włochami w Warszawie, u schyłku tego dziesięciolecia z Bułgarią w Sofii, wreszcie w „erze Górskiego” wiwaty po wygranych z Anglią i Walią. Byłem też – co szczegółowo opisuję to w tej publikacji – „świadkiem koronnym” zwycięskich spotkań o trzecie miejsce na świecie z Brazylią w Monachium i Francją w Alicante. Bryndzę w Meksyku z trudem trawiłem już tylko na podstawie relacji telewizyjnych.

W roku 2002 strzępy turnieju z Korei i Japonii pokazane w TVP nawet na to nie pozwoliły. Zrodziło to niedosyt emocjonalny i sportowy, wszak skąpa wiedza serwowana z „okienka” uniemożliwiła szersze i własne spojrzenie na te mistrzostwa. Bo to, czym „raczył” nas w swoich komentarzach Jan Tomaszewski, omal nie doprowadzało do mdłości. Podeprę się więc w tej kwestii również uwagami red. Romana Hurkowskiego. W swojej nowatorskiej książce „**Z piłką do Europy**” kreśli prawdy bliskie moim odczuciom: (Romciu wzruszyłeś mnie dedykacją „*Mojemu mistrzowi i nauczycielowi – Roman*”)

... „World Cup 2002 nie spełnił oczekiwań sympatyków futbolu. Najwięksi zawodnicy byli wyraźnie zmęczeni wyczerpującym sezonem ligowo-pucharowym. Najbardziej odbiło się to na postawie Francji. Selekcjoner Roger Lemmerre rzecz jasna z hukiem wyleciał z posady. I nie ma się czemu dziwić, bo żeby obrońcy tytułu nie wygrali meczu i nawet nie strzelili gola – to rzeczywiście kompromitacja. Przez batalię grupową nie przebrnęła też Argentyna, ekipa tuż po Francji typowana do złotego medalu”.

Czyżby więc kolejny zmierzch bogów, co w latach 1966, 1974, 1978, 1982, 1986 i 1990 przytrafiło się również Brazylii? Turniej rzeczywiście obfitował w liczne niespodzianki, ale i one nie przekroczyły dopuszczalnych granic. Triumfowały nie Stany Zjednoczone, Senegal czy Korea Południowa, uznane za rewelacje tego czempionatu, lecz dawne dobre firmy Brazylia i Niemcy. O ile jednak caraninhos byli tym razem jednym z głównych faworytów, a Ronaldo akurat wtedy osiągnął życiową formę, o tyle ich partnerzy w finale – zaszli tak wysoko głównie w wyniku słabej postawy rywali. Na tle solidnych rzemieślników znad Renu i Łaby momentami błyszczał tylko nasz rodak z Opola Mirosław Klose. Zdobył

pięć bramek i... wszystkie głową. Kocsis pierwszego Mundialu w XXI wieku?

Nie była to drużyna na miarę Maiera, Beckenbauera, Muellera z lat siedemdziesiątych. Dużo gorzej skrojony garnitur. Teraz nawet bramkarz Oliver Kahn w finale nie potwierdził opinii, że jest najlepszy na świecie. W grze finałowej dwa razy mocno go ośmieszył właśnie „wielki” Ronaldo. Osiem zdobytych bramek wyniosło Brazylijczyka na tron króla strzelców. Po kilku latach walki o zdrowie i powrót do sławy – to wyczyn nielada! Właśnie Ronaldo i kilku jego kolegów ze „złotego zespołu” (po raz piąty w historii mistrzostw świata) nieco rozjaśniło szarawy koloryt World Cup 2002. Nowości taktycznych tyle co pies napłakał, a i fajerwerków technicznych zdecydowanie mniej, niż w czasach Di Stefano, Kocsisa, Kopy, Pelego i Maradony. To mogło i powinno być w Korei na rękę naszym „papierowym tygrysom” z ekipy Engela. Iluzja. Współcześni „profesjoniści” w cieniu „państwowych amatorów” sprzed blisko pół wieku...

Nie wiem, czy akurat z tymi samymi „zawodowcami” chciał Engel podbić (w nowym rozdaniu) Europę, ale – na szczęście – w PZPN na to już nie pozwolono. Wtedy eksselekcjoner zareagował nie jak „człowiek przegrany” lecz „niedoceniony”. Miał pretensje do „wszystkich świętych” przebranych nagle w stroje szatana. Ujawnił to Romek Kołtoń w „**Prawdzie o Korei**”, a także w twórczych ze mną dyskusjach w komisji mediów PZPN:

- „Kto i dlaczego zwolnił Engela. Selekcjoner naszej drużyny narodowej po 17 Finałach Mistrzostw Świata propagował różne teorie. A to spisku członków Wydziału Szkolenia na czele z Rudolfem Kaperą, a to Zbigniewa Bońka, który miał wsparcie

dziennikarzy, a to grupy szefów mediów na czele z Marianem Kmitą z Polsatu, Januszem Basałajem..., a także do Pawła Zarzecznego z „Przeglądu Sportowego”... Prawda jest jednak taka, że Engel zasługiwał na połajanki czy wręcz gromy, ale nie dlatego, że następcą miał zostać Boniek, a dlatego, że na to zasłużył... A teraz Engel opowiada po mieście, że to Boniek i Kołtoń go zwolnili... Pierwszy Engela zaatakował Henryk Apostel. Dodam do tego od siebie: - Zrobił to słusznie i... profesjonalnie”.

CZEŚĆ PIĄTA – pół wieku później

We własnym domu Współczesna „gorączka złota”

Złodziej czy sutener? Sędziowskie amory

Połowanie na Janasa Dżoker łowcą bramek

Rasiak, Piechna czy Sosin? Znowu w Niemczech

Janek i Piotruś kontra PZPN Odcienie „czwartej władzy”

Kulisy Euro 2008 i... 2012

Gdybym opisywał dzieje wyłącznie własnego żywota, mógłbym nieco w szerszym wymiarze sięgnąć pamięcią nie tylko do pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Wszak już w międzywojniu przez blisko dziesięć lat doznawałem dobrodziejstw i niepowodzeń drugiej Rzeczypospolitej. Było to spojrzenie chłopięce, zbyt subiektywne i niedojrzałe. Zresztą wszystko, co działo się Polsce do roku 1939, z różnym skutkiem, raz świadomie fałszując rzeczywistość, kiedy indziej zbyt ją ubarwiając, co też trudno by było uznać za zgodne z prawdą obiektywną, na swój sposób opisywali historycy, a politycy wysnuwali z tego wnioski wygodne wyłącznie dla siebie.

Ja, odnosząc się do tamtych lat, a myślę głównie o sporcie, z czystym sumieniem mogę podkreślić, że fajtlapą nie byłem. Najpierw udowodniłem to w drużynie zuchów w usportowionej szkole numer 2 w Skierniewicach, wówczas imienia Józefa Piłsudskiego, a nieco później w konspiracyjnym harcerstwie – Szarych Szeregach. Dziś przypominają mi o tym przyjaciele z tamtych lat, a potwierdzają liczne wyróżnienia i odznaczenia, w stopniu największym Krzyż Armii Krajowej.

Potem była Rzeczpospolita „dwa i pół”, jak to dziś widzą i oceniają niemal wszyscy dziejopisarze. Politycy nie dostrzegają nawet tej „połówki”. To boli i zadziwia wielu Polaków. Jeśli bowiem były premier Trzeciej Rzeczypospolitej Jan Krzysztof Bielecki twierdzi publicznie, że tzw. „komuna” wyrządziła naszemu krajowi większe szkody, niż okupacja hitlerowska, to być może – jest też przekonany, że to „ruscy” zburzyli Warszawę, a „szkopy” ją odbudowali. Kto mu naopowiadał takich głupot? Zaraz po wojnie, mimo że – zdaniem wielu Polaków – jedna okupacja została zastąpiona drugą, już nie musiałem zdobywać wiedzy na tajnych kompletach w słynnym wtedy w Skierniewicach „Belwederze” dla bezdomnych, ale w pięknym gmachu gimnazjum i liceum im. Bolesława Prusa. Przez kilka lat był „Nur fuer Deutsche”. Wraz z byłymi szaroszeregowcami współtworzyłem Harcerski Klub Sportowy „SKAUT”, który zwłaszcza w piłce nożnej staczał zacięte boje nie tylko z kolejarską „Unią”, ZWM-owskim „Zrywem” i rywalami z OM „TUR”. Uczestniczyłem w normalnych rozgrywkach Łódzkiego OZPN, bez obaw przed jakąkolwiek łapanką, co – niestety – dla entuzjastów futbolu w latach 1940 – 1944 było nieosiągalne.

Na własne oczy widziałem niemal wszystkie mecze reprezentacji rozgrywane zaraz po wojnie na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie. Tam piłkarze występowali oczywiście w „biało-czerwonych” kostiumach, wiedziałem dobrze, że to moi rodacy, a nie przebrani „ruscy”. Bramkarz Antoni Janik, obrońca Tadeusz Parpan, pomocnicy Mieczysław Szczurek i Gerard Gajdzik, napastnicy Mieczysław Gracz i Gerard Cieślik oraz ich koledzy z reprezentacji utwierdzili mnie w przekonaniu, że jestem wśród swoich. Oni grali, a ja śpiewałem Mazurka Dąbrowskiego. Nie Międzynarodówkę, nie „Naprzód młodzieży świata” i nie hymn Związku

Radzieckiego lecz właśnie „**Jeszcze Polska nie zginęła**”. Zresztą rodakom spragnionym zwycięstw piłkarzy nie przyszło by do głowy, że w roku 1948 z Czechosłowacją wygrali 3:1 kolejni zaborcy. Ze stadionu, hen daleko – na Łazienkowską, Czerniakowską, Myśliwiecką i Rozbrat wydobywał się z wielu tysięcy gardeł tylko jeden jakże swojski okrzyk: - **Brawo Polska! Niezwycięzeni!!!**

Kilka lat później, zaraz po studiach na Uniwersytecie Warszawskim, a nie na przykład im. Michała Łomanosowa w Moskwie, osobiście poznałem: Edwarda Brzozowskiego, Henryka Borucza, Tadeusza Waskę, Tadeusza Parpana, Ewalda Cebulę, Mieczysława Gracza i Stanisława Różankowskiego słynnego „główkarza” z Cracovii, niewiele ode mnie starszego Gerarda Cieślika, rówieśników Edmunda Zientarę, Leszka Jezierskiego, Romana Korynta, Ryszarda Kuleszę i – to już zupełnie inny rozdział – Kazimierza Górskiego. Wszyscy mówiliśmy i myśleliśmy po polsku, wszyscy byliśmy przepojeni głębokim patriotyzmem. Wojna i okupacja nastęga nauczyła. Z Krzysztofem Baszkiewiczem zaprzyjaźniłem się już w październiku 1944 roku, kiedy to obdarty i pokaleczony nastolatek z Bielan, wkrótce po upadku Powstania Warszawskiego, znalazł przytulne schronienie w Skierniewicach. Z „Baśką” i dziesiątkami rówieśników, autentycznych „dzieci Warszawy” kopaliśmy piłkę na dzisiejszym placu targowym, tym w bliskim sąsiedztwie „Belwederu”. To było silniejsze, niż hitlerowskie zakazy.

Nadszedł jednak rok 1953, w którym ostatecznie wkroczyłem w dorosłe, samodzielne życie. Pełne kontrastów. Niby barwne i młodzieńczo bez troskie, w istocie przykre na wielu płaszczyznach, buntownicze. Kłopotów nie brak było też na studiach. Nie raz chciało się to wszystko rzucić i zająć się zawodową grą na akordeonie i amatorskim kopaniem

piłki. Szokujące doświadczenia z poligonu wojskowego w Muszakach odwiodły mnie od tego zamiaru. Wybrałem dziennikarstwo sportowe, zgodnie z wykształceniem i zamiłowaniem. Ale i tu początki nie były łatwe. Wszędzie wdzierła się ideologia i polityka. Nie tak wyobrażałem sobie to dorosłe życie.

Również sport, który dotychczas wydawał mi się oazą uczciwości, prawa i sprawiedliwości, żywym przykładem bezinteresowności i nieudawanej czystości moralnej, w praktyce mocno różnił się od tych ideałów. Braku poszanowania „czystej gry” doznałem nawet na ćwiczeniach wojskowych. Grano w piłkę pod przybranymi nazwiskami i bez jakichkolwiek uprawnień. Jeśli tam, gdzie powinna obowiązywać „żelazna” dyscyplina i bezwzględne przestrzeganie regulaminów, gołym okiem widać było przekręty, to jak to wygląda w życiu codziennym? Zrodziła się wątpliwość: - *Czy wszędzie we współczesnym świecie omija się prawo i głosi makiawelistyczne półprawdy, że „cel uświęca środki?”*

To nie był świat sportu o jakim marzyłem. Cały świat był wtedy inny! Rywalizowały ze sobą dwa systemy – kapitalistyczny i socjalistyczny, antagonistyczne nie tylko w formach sprawowania władzy, także w światopoglądzie, ideologii, gospodarce i polityce. A więc w sporcie również, bo nie był i nie mógł być wolny od tych ułomności. Niedawni sojusznicy stali się nieprzejednanymi wrogami. W Polsce ciosy zadane futbolowi przez narzuconą władzę były szczególnie dotkliwe. Zaliczono tę piękną dyscyplinę do sportów czwartej kategorii. Nie sądzę, żeby tak brutalne potraktowanie piłki nożnej w Polsce było typowe dla całego bloku wschodniego. Tam przecież gra w futbol była wymarzonym materiałem propagandowym. U nas – w tej właśnie materii - rodzimi realizatorzy dyktatury proletariatu wyraźnie się zagapili. Praktycznie poza

Polską we wszystkich krajach demokracji ludowej podległych „starszemu bratu”, futbol był wymarzoną formą gloryfikacji narzuconego ustroju i dość skutecznym orężem w walce politycznej. Sport – w założeniu – miał i mógł łamać międzynarodowe bariery. Podział świata na dwa wrogie sobie obozy, „zimna wojna” i „żelazna kurtyna” spowodowały jednak, że i tu granic wolnych od kordonów – nie było.

W czasie realizacji w Polsce „sześciolatniego planu budowy podstaw socjalizmu” futbol zepchnięto na boczny tor. Wprawdzie jeszcze gorzej potraktowano „elitarny” tenis ziemny, ale piłkarstwu ligowemu przy każdej okazji wypominano „burżuazyjny rodowód”. Następstwa były opłakane. W roku 1950 kierując się nakazami z zewnątrz zlikwidowano PZPN, a w jego miejsce utworzono przy głównym Komitecie Kultury Fizycznej swoistą atrapę – Sekcję Piłki Nożnej. Okręgowe związki też wykreślono z rejestru i zastąpiono mało znaczącymi ogniwami Wojewódzkich KKF. Kluby przekształcono w koła sportowe i odebrano im tradycyjne nazwy. Sport opanowali biurokraci z pionów, zrzeszeń i federacji sportowych.

Po śmierci Stalina dobrano się również do nazw niektórych miast i ulic. Katowice na przykład aż do „październikowej odwilży” w 1956 roku nazywały się Stalinogrodem, a Aleje Ujazdowskie w Warszawie (tam przez kilkadziesiąt lat pod numerem 22 mieścił się PZPN) Alejami Stalina. Systematycznie ograniczono kontakty z Zachodem. Piłkarstwo tylko w czasie realizacji „Trzyletniego Planu Odbudowy Kraju” ze zniszczeń wojennych utrzymywało kontakty ze światem kapitalistycznym. Priorytet miały oczywiście mecze z sąsiadami z obozu „ludowej demokracji”, nazywaliśmy to „smażeniem się we własnym sosie”, ale właśnie wtedy nasza reprezentacja grała również z piłkarzami Norwegii, Finlandii, Szwecji i Danii. Pierwsza po wojnie kadra narodowa

dość udanie podróżowała również po Szkocji, a kluby i okręgi rozgrywały mecze towarzyskie, między innymi z angielską Armią Renu i szwedzką Kamraterną Norkoeping.

Pierwszy po wojnie mecz międzypaństwowy Polska rozegrała w czerwcu 1947 roku z Norwegią w Oslo. Dlaczego akurat tam? To mocne świadectwo losów przeżytych przez te kraje w czasie hitlerowskiej okupacji. Właśnie Polska i Norwegia były wtedy jedynymi w Europie narodami, którym najeźdźca całkowicie zabronił uprawiania piłki nożnej. To niezwykle spotkanie dość wyraźnie (3:1) wygrała nieco mniej okaleczona przez Niemców reprezentacja Norwegii. Naszą drużynę w większości tworzyli piłkarze dobrze znani już przed wojną, między innymi Władysław Szczepaniak z Polonii Warszawa, Edward Jabłoński z Cracovii i Stanisław Kazimierzak z Warty Poznań. Byli wśród nich także Mieczysław Gracz i Gerard Cieślik bezwzględnie dwaj najlepsi polscy piłkarze z czasów zniewolenia.

JAK „DŻUMA” ALBERTA CAMUS’A

Lata 1950 – 1956 to bardzo zły okres w historii polskiego narodu. Stalinizm, jak dżuma ze znanej powieści Alberta Camusa, też dobrego piłkarza – wdarł się również w każdą szczelinę naszego futbolu. Dopiero w roku 1956, w ślad za innymi sferami życia społecznego, nasza niezłomna dyscyplina – w granicach możliwych do osiągnięcia – zerwała krępujący ją gorset obcego dyktatu. Odrodził się PZPN. Nigdy jednak nasz Związek nie zdołał odzyskać pełnej samodzielności i samorządności, takiej – jaką cieszył się w dwudziestoleciu międzywojennym.

W piłkarstwie określiłem ten okres jako „**ni pies, ni wydra**”. De facto – aż do odzyskania pełnej suwerenności w roku 1989 – tak właśnie wyglądała cała nasza powojenna rzeczywistość. Rzeczpospolita dwa i pół. Ulga po okrucieństwach stalinizmu niewątpliwa, ale do pełnej suwerenności było jeszcze daleko i powiedzmy szczerze – wtedy inaczej być nie mogło. Klimat „polskiego października” przeżywaliśmy przecież w ramach wciąż opasającego nas monopartyjnego systemu totalitarnego. „Odwilż” – to tylko stan pośredni między chłodem i ciepłem. Nasz kraj nie ustawał więc w walce o swobody demokratyczne, ale pełnego ciepła nie doznał nawet w „dekadzie gierkowskiej”.

Dla piłkarstwa czas ten był jednak wyjątkowo udany. Posypały się medale olimpijskie i mistrzostw świata. W skali kraju zbiurokratyzowany system centralnego zarządzania i sterowania nie był w stanie osiągnąć poziomu futbolu. Była ta nasza piłka nożna jak owa topola samotnica na tle karczowanego lasu. Uchylone okno na świat przyspieszyło jednak odradzanie się tożsamości narodowej. Dojrzewał protest społeczeństwa na miarę dotychczas niespotykaną. Dość już miało we własnym domu ograniczonej wolności, a na zewnątrz „opiekuńczych” skrzydeł „brata ze Wschodu”. Realny socjalizm stawał się niewydolny. Potęgowała się nieefektywność gospodarki i niska wydajność pracy. Przejawy stagnacji dotknęły również cały polski sport. Piłkarstwo żyło już tylko medalowymi wspomnieniami i nieudanymi próbami obcinania kuponów ze zdobytej sławy.

Narzucony dyktat nie był w stanie zapewnić potrzeb i swobód obywatelskich. Zrywy społeczne powtarzały się niemalże z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Reżim długo się bronił, ale był bezradny wobec wielomilionowego ruchu społecznego „**SOLIDARNOŚĆ**”. Nastąpiły

rewolucyjne zmiany ustrojowe. To już nie była kosmetyka, stopniowe łagodzenie dokuczliwego systemu nakazowo-rozdzielczego, lecz całkowite z nim zerwanie. Rewolucja „powszechnej nadziei 1989” zwyciężyła akurat wtedy, kiedy świat kapitalistyczny – tak przynajmniej uważają naukowcy – już był zdominowany przez ideologię neoliberalizmu. Siłą rzeczy program naszej transformacji ustrojowej oparto na tym systemie wartości. Byliśmy wreszcie we własnym domu...

Wraz z wolnym rynkiem, zdaniem liberałów regulatorem całej gospodarki, przyszły zagrożenia, którym sport, w tym także piłka nożna – dość długo nie potrafiły się przeciwstawić. Rosło rozwarstwienie społeczeństwa i bezrobocie w skali makro. W skali mikro, tej naszej, piłkarskiej – z jednej strony zaczęły dominować kluby, które na ligowe szczyty wyniosły właśnie dokonane przemiany, zaś z drugiej – ujawniła się przykra w odbiorze społecznym – niemoc nieprzystosowanych do nowej rzeczywistości. Nastąpiło groźne tąpnięcie. Pozakręcane kurki z dotacjami wielkich zakładów pracy, notabene na prędcy prywatyzowanych, najdotkliwiej odczuli ligowcy ze Śląska, niegdyś pupila sfer rządowych i resortowych. W tej sytuacji wyprzedaż graczy do bogatszych klubów, w tym do lig zagranicznych, była często jedynym ratunkiem na przetrwanie lub w miarę stabilną egzystencję. Niepomierne wzrosła liczba przeróżnych „cwaniaczków” i menedżerów od siedmiu boleści. Żerowali na podupadającym futbolu. Obniżył się poziom krajowych rozgrywek, kulała reprezentacja.

Namnożyły się, ni stąd ni zowąd dziesiątki mesjaszy, niby – zbawców futbolu, zaczęli nowobogackim i zawodnikom mieszać w głowach i obiecywać złote góry, furę pieniędzy i same zwycięstwa. Wielu działaczom, trenerom i sędziom, także zawodnikom bardzo się to

spodobało. Każdy na swój sposób chciał uczestniczyć we współczesnej „gorączce złota”. Łatwo dostępnym źródłem nabijania kabzy stał się handel „żywym towarem”. Zaczęła się przy tym szerzyć korupcja. Zderzenie z nową rzeczywistością na swój sposób starali się wykorzystać głównie spryciarze zahartowani w przestępczych praktykach w obalonym ustroju. Piłkarze nie byli tak obrotni. Znacznej części mniej odpornym i mniej utalentowanym nie powiodło się zagranicą i trzeba było przypiąć im etykietkę „odrzuty z eksportu”. Exodus czołowych piłkarzy jednak nie ustawał. To wyjaławiało naszą ligę i zmniejszało wspólnotę interesów potencjalnych reprezentantów. Pieniądz niektórym z nich poprzewracał w głowach. Ci bardziej syci, gdy zjawiali się w kraju na zgrupowaniu kadry, dość ochotnie wykorzystywali pobyt w kraju na ziemskie rozkosze. Wygłaszali bałamutne opinie, że są prawdziwymi profesjonalistami, a zachowywali się jak prymitywni dyletanci. To też miało wpływ na słabe wyniki naszej kadry przez ponad dziesięć lat. Krajowi ligowcy, marzący o lepszych zarobkach na obczyźnie, też gonili w piętke.

W połowie lat dziewięćdziesiątych tylko Legia i Widzew przebiły się do Ligi Mistrzów. Wojskowi zagrali nawet w ćwierćfinale, ale był to ich łabędzi śpiew. Łodzianom odprawiono nawet mszę żałobną. Zmierzch bogów rodzimego chowu. Kilka lat później Wisła, uchodząca w naszej ekstraklasie za krezusa, już czterokrotnie bezskutecznie puka do ligi europejskich czempionów. Z konieczności kierowaliśmy swoje uczucia ku tym klubom zagranicznym, w których grali Polacy, głównie Jerzy Dudek i Jacek Krzynówek. Dobry czas reprezentacji skończył się już w latach osiemdziesiątych, a więc jeszcze przed społeczno-polityczną transformacją. Kolejne przedmundialowe eliminacje Polska wygrała dopiero na początku XXI wieku. W rozgrywkach ligowych jednak coraz

mocniej pachniało antyfutbolem. Sądzę, że były to koszty nie tylko społecznej transformacji, głównie sportowej nieudolności.

Piłka nożna we współczesnym świecie jest niewątpliwie biznesem jak każdy inny. Prawda ta implikuje kolejną: do interesów trzeba mieć odpowiednią głowę. Kłopot nielada. W tej właśnie kwestii na łamach „Tygodnika Powszechnego” taką oto opinię wyraził były premier Jan Krzysztof Bielecki, obecnie prezes zarządu PKO S.A.:

... „Pamiętam jak parę lat temu na prośbę PZPN spotkałem się z działaczami klubowymi, którym tłumaczyłem, że ich drużyny powinny mieć budżet. Wywołało to duże zdziwienie... Rynek musi wymóc unormowanie klubu jako jednostki budżetowej... Mam nadzieję, że unormuje również relacje z zawodnikami. Nasi piłkarze nie przychodzą do klubu jak do pracy, żeby w nim spędzać – tak jak to bywa w Anglii – cały dzień... PRL dawał poczucie równości. Gdy przyszedł rynek, okazało się, że zostały trzy – cztery liczące się kluby, bo nikt tam nie wygra wyborów, gdy powie, że zamierza zmniejszyć ligę i dopuścić do niej jedynie kluby spełniające kryteria – dobre zarządzanie, przejrzyste finansowo, z przyzwoitym bezpiecznym stadionem”.

Dziś futbol jest biznesem wszędzie, a pieniądź nie śmierdzi, ani na Zachodzie, ani na Wschodzie. Głównie dlatego, niekiedy dla kaprysu, bywa, że i z autentycznej sympatii, ale najczęściej z myślą o pomnożeniu kapitału, garną się doń ludzie, którym już wcześniej się powiodło. Jakim cudem? Z ustaleniem konkretnych źródeł bogacenia się mają kłopoty nawet sejmowe komisje śledcze. Do niedawna sugerowano, że aby w miarę szybko stać się finansowym rekinem, trzeba najpierw ukraść pierwszy milion dolarów. Teraz mówi się, że równie dużą fortunę są w stanie zapewnić dobrze zorganizowane mechanizmy korupcyjne.

W piłkarstwie takich możliwości za wiele nie ma, w każdym razie dość długo nie było. Weszło do tej gry kilku byłych „cinkciarzy”, badylarzy i drobnych hochsztaplerów, ale ci najbogatsi, co w miarę uczciwie dorobili się fortuny, niechętnie wspierają ten nieczyny proceder. Niełatwo przeto ustalić, co akurat w futbolu jest najbardziej naganne. Czy tylko pogoń za kasą? A może źle pojęta ambicja, złudne marzenia o sławie, reklamie i chęć królowania na piłkarskich salonach? Słychać też o próbach „prania brudnych pieniędzy”. Wzorów do naśladowania takich postaw jest dziś wyjątkowo dużo, a i chętnych do łatwego zarobku coraz więcej. Nawet urzędnicy państwowi i politycy wyciągają ręce po łapówki. Mogą oni, to mogą też inni, w tym osoby związane z futbolem.

Niektórzy ekonomiści twierdzą, że gdy władza należy do bogaczy, to skłonności do przekupstwa są niewielkie, ponieważ bogactwo nie korumpuje. Dopiero gdy do głosu dochodzą biedacy, zaczyna się plenić łapówkarstwo. Ubóstwo generuje ludzi amoralnych. Wówczas w miejsce praw rynku wkrada się przestępstwo, w rezultacie górę biorą indywidua pozbawione jakichkolwiek hamulców społecznie nagannych. Zapewne nieprawości z większym nasileniem występują u jednostek z pustą kieszenią, ale nie jest prawdą, że tylko biedacy są nieuczciwi, sprzedajni i zboczeni moralnie. W sytuacjach zależnych od praw rynku de facto w każdej grupie społecznej zaczyna przeważać chłodny praktycyzm. Moralność dość powszechnie jest spychana na dalszy plan.

To plama również na honorze wielu sportowych funkcjonariuszy. Zwłaszcza w piłkarstwie jest sporo osób nieuczciwych i pazernych na pieniądze. Wykorzystują nieporadność dopiero raczkującego u nas prawdziwego profesjonalizmu i tą właśnie niemoralną drogą chcą dorobić się majątku. Dostarczają w ten sposób ludziom nieprzychylnym sportowi

argumentów o jego rzekomo niskiej randze społecznej. Jerzy Urban na przykład w swoim drapieżnym „Alfabcie” sięga rynsztoka, gdy pisze: ... *„zostać działaczem sportowym czyli wykonywać prace mniej inteligentne, niż zajęcie złodzieja i sutenera”*.

Obrzydliwe porównanie, ale gdy ma się w pamięci altruistyczne postawy pionierów polskiego piłkarstwa (też w czasach rozwijającego się kapitalizmu) i w jakimś stopniu własne doświadczenia z czasów amatorskiego futbolu, to trudno pogodzić się z tym, że dziś tę naszą piękną dyscyplinę babrają w błocie spryciarze, dorobkiewiczze i zwykli oszuści. Stawiane diagnozy też są prostackie. Powiela się nośne społecznie opinie, że wystarczy zmienić kierownictwo PZPN, a nasz futbol znowu stanie się oazą czystości. Nigdy taki nie był. A czy będzie? W krajach o ugruntowanej demokracji, gdzie futbol zawodowy ma bardzo silną pozycję, też zdarzają się przekręty, przekupstwa, korupcje. Bardziej cieszy zysk na piłkarskim rynku, niż radość ze zwycięstwa. Były as Realu Madryt, a dziś Interu Mediolan – Luis Figo mówi z rozbijającą szczerością: - *W Realu najważniejszą rzeczą nie jest wygrywanie, ale promowanie marki i zdobywanie dla niej nowych rynków*.

U nas także kluby piłkarskie i ich otoczenie coraz wyraźniej zaczynają tracić swoje tradycyjne funkcje sportowo-szkoleniowe i widowiskowe. Stają się instytucjami o profilu handlowym, komercyjnym, w których pozycję działaczy, trenerów i zawodników określa się nie na podstawie ich faktycznej wiedzy i sportowych umiejętności, lecz - często zupełnie bez logicznego uzasadnienia – ceny rynkowej i to głównie w obcej walucie. Sędziowie dość długo nie mieścili się w tej formule. Zadowalali się drobnymi upominkami, wystawnymi przyjęciami i towarzystwem wesołych pańienek. Teraz i oni poznają swoją wartość rynkową. To

chyba dlatego ich skłonności do przyjmowania łapówek stają się coraz powszechniejsze. Najwyżej cenią się ligowcy, natomiast sędziowie z niższych klas gotowi są sprzedać swój honor i uczciwość nawet za flaszkę wódki.

Powie ktoś, że tak być musi, bo są to kanony sportowej współczesności i zgani mnie, że staram się odwrócić bieg historii. Taki naiwny to ja nie jestem. Chciałbym tylko, żeby między sportową a gospodarczą funkcją w klubach były zachowane właściwe proporcje. Sport jest wartością nieco inną, niż fabryka, bank lub kantor wymiany walut. Skupienie się w piłkarstwie wyłącznie na relacji kupno-sprzedaż i zysk nadzwyczajny jest szkodliwe tak ze względów moralnych jak i szkoleniowych. Przecież tych przyszłych piłkarzy ktoś musi od dziecka uczyć grać i sportowo doskonalić. To wymaga pracy od podstaw. My, niestety – coraz częściej o tym zapominamy. Wysychają więc naturalne źródła, bo nie mamy ochoty na racjonalne szkolenie. A potem dziwimy się, że giną talenty. Najpierw trzeba je wyłowić, dobrze poznać i właściwie rozwijać.

Eskalacja przeróżnych przypadłości w życiu społeczeństwa, a więc także sportowych, jest niewątpliwie procesem historycznym i nasila się wraz ze wzrostem globalnej liberalizacji. Jesteśmy w nurcie tych wydarzeń, przy czym jeszcze nie za bardzo potrafimy w tych warunkach funkcjonować. W tej sytuacji łatwiej o potknięcia i nieudane próby gonienia „utraconego czasu”. Generują te błędy nie tylko ludzkie słabości, lecz także niedoskonałe struktury wewnętrzne centrali i klubów, dwuznaczność regulaminów i przepisów w PZPN, niekiedy jawne ich lekceważenie i pomijanie, a także nadmiernie pojęty liberalizm i „miłosierdzie” wobec niekompetentnych bądź opieszających w działaniu. To potęguje klubowy egoizm. Nie są też wolne od tych ułomności związki wojewódzkie i

okręgowe. Tam wciąż stanowczo za wolno następują niezbędne zmiany jakościowe. Przeważa kurs na przeciętność.

Część mediów, głównie tych zahartowanych w wyszukiwaniu skandali, obecny stan naszego piłkarstwa uważa wręcz za biblijną mannę z nieba. Jakże o tym łatwo dziś się pisze?! Jakże łatwo kogoś zgnoić, często bez żadnych podstaw odsądzić od czci i wiary?! A gdy to wszystko okaże się kłamstwem, zwykłym „szukaniem tematu”, za napaść i obrazę ofiary nawet nie przeprosić. Grunt, że nakład idzie w górę, bo dziś ludzie kupią każde świństwo. Produkcją te „rewelacje” zapomina się lub w ogóle o tym nie wie, że piszącego nikt i nic nie zwalnia z wierności wobec norm uważanych za obowiązujące wśród gatunku homo sapiens. Tymczasem...

Charles Louis Monteskiusz dość jednoznacznie określił kompetencje władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Nie przypuszczał, że na progu XXI wieku przed tę triadę coraz natarczywiej zaczną się wysuwać „czwarta władza”: prasa, radio i telewizja. Praktykom tym z lubością hołdują również mass media sportowe. Zwłaszcza ludzie piłki nożnej najczęściej wysłuchują i czytają o sobie, że są nieudacznikami, ignorantami, oszustami i że nawet kibic spod „legijnej żyłety” byłby od nich lepszy. To zachęca do działań ekstremalnych. Nie jest tajemnicą, że takie zasady prezentacji dziennikarskiej twórczości narzucają wydawcy, a pracownicy redakcji chętnie na to przystają. Bo to dopiero jest prawdziwa wolność prasy! Hańba. „Czwarta władza” najczęściej śpiewa tak, jak jej zagraniczni właściciele pism zagrają.

Coraz wyraźniej górę bierze świat zatracanych wartości moralnych i opacznie pojmowanej odpowiedzialności. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to stan chorobliwy. Dbłość o „wygodne życie”, niekiedy tylko o stałą pracę, bo etatów się unika, zabieganie choćby o ryczałt lub dobrze

wycenioną „wierszówkę”, sporo ludzi zatrudnionych w redakcjach widać zmusza do schlebiana interesom, gustom wydawców i ich nie zawsze czystym intencjom. Uraża to zdrowej tradycji i boli ludzi wychowanych w szacunku dla piłkarstwa i polskiej prasy sportowej. Alternatywy nie ma, bo niemal wszystkie media skoncentrowane są w jednych (i to obcych) rękach. Polemiki brak. Obrona przed często zmyślonymi zarzutami jest trudna, bo niektóre media dysponują nie tylko orężem publicznego rażenia, ale korzystają również z przecieków, „kwitów”, płatnych donosicieli. Z reguły im bardziej się wierzy, niż osobom w gruncie rzeczy nie mającym nic wspólnego z nagłaśnianymi oskarżeniami. To też znak czasu. Najdrobniejszy skandalik lepiej się przecież sprzedaje, niż nudną informację o życiu w spokoju i normalności. Nasze piłkarstwo, niestety – sensatom dostarcza sporo okazji do zyskiwania poklasku.

Przekręty w ligach różnych szczebli nie są jednak ani polskim wymysłem, ani też zjawiskiem dopiero dziś tak wyraźnie rzucającym się w oczy. Zna tę przypadłość od dawna cały świat piłkarski. W naszym kraju próby manipulowania rozgrywkami podejmowano już w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia. Nawet starania światłych działaczy o utworzenie ligi toczyły się w atmosferze skandalu. W bitwie tej padła Cracovia, jeden sezon była poza ekstraklasą. W roku 1929 Garbarnia Kraków była pierwsza w tabeli, ale przy „zielonym stoliku” tytuł przyznano Warcie Poznań, w tamtych czasach „pierwszej damie piłkarskiej Wielkopolski”. W lidze przegrała z „Turystami” Łódź, ale szarmanccy działacze z PZPN dopatrzyli się jakichś nieścistości, zabrali łodzianom punkty i uszczęśliwili nimi właśnie Wartę. To dało jej mistrzostwo. A biednych „Turystów” zepchnięto do A klasy.

Trzy lata później przydarzył się nieco większy skandalik. W

barwach „Czarnych” Lwów dość długo grał nieuprawniony zawodnik. Kluby o tym nie wiedziały, dopiero w dociekliwym PZPN odkryto ten drobny szwindelek i tak narodziła się głośna w owych czasach „afery Żurkowskiego”. Posypały się walkowery, a to spowodowało zmiany w tabeli. Najbardziej skorzystała na tym Cracovia. Wyprzedziła w tabeli Pogoń Lwów i zdobyła mistrzostwo Polski.

Nowością w naszej lidze nie jest też łapówkarstwo, przekupstwo, korupcja. W Katowicach już w latach trzydziestych działał klub sportowy „Dąb”, który miał ambicje większe niż możliwości. Groził mu spadek z I ligi. Zabiegał więc o pomoc sąsiada zza miedzy, również I-ligowca „Śląsk” Świętochłowice, który już nie miał szans na obronę ekstraklasy. Właśnie „Śląsk” i „Dąb” wplątały się w szalbierstwo, które bezkarnie ujść nie mogło. W Świętochłowicach postanowiono, oczywiście za odpowiednie „wynagrodzenie”, ratować sąsiada. Przestępstwo wykryto. „Śląsk” sprzedający punkty w trybie normalnym spadł do A klasy, a kupujący „Dąb” został karnie wyrzucony z ligi.

Po wojnie działań nagannych było znacznie więcej. Często maczali w tym palce przedstawiciele ówczesnej władzy. Kształt ligi kreślono nie tylko według sportowych zasług klubów, lecz także potrzeb i ambicji lokalnych baronów. W ten sposób na przykład w roku 1948 trafiły do ekstraklasy KKS Poznań (dzisiejszy Lech) i RTS Widzew. Jedni i drudzy przepadli w burzliwych eliminacjach, szukali więc sojuszników i... znaleźli w Rzeszowie. Delegaci tego okręgu zgłosili na Walnym Zgromadzeniu PZPN wniosek o powiększenie ligi do 14 drużyn. Przychylny los padł właśnie na KKS i RTS. O ile jednak poznaniacy tę uprzejmość Rzeszowa uwiarygodnili dobrą grą na boisku, o tyle łodzianie zajęli ostatnie miejsce w tabeli i na długie lata pożegnali się z ligą.

Kolejny pasztet wysmażyły ówczesne tuzy fizkultury w 1951 roku. Bezapelacyjnym liderem I ligi była Gwardia (Wisła) Kraków, jej przewaga nad Unią (Ruchem) osiągnęła 8 punktów, ale mistrzem Polski zostali właśnie chorzowianie. Przypadek? Regulamin rozgrywek tak sprytnie spreparowano, by wykazać wyższość Pucharu Polski, imprezy „tysiąca drużyn” nad elitarną Klasą Państwową, wciąż w kręgach proletariackiej władzy uważaną za przeżytek burżuazyjny. W finale na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie kibicowałem Wiśle i jej trenerowi Michałowi Matyasowi, ale skuteczniejszy Ruch wygrał 2:0. Był to początek wielkiej kariery wtedy niespełna 19-letniego bramkarza Edwarda Szymkowiaka. Człowiek „wańka – wstańka”, fruwał między słupkami. Ryszard Koncewicz już rok później powołał Edka do reprezentacji. Jak syna hołubił aż do połowy lat sześćdziesiątych.

NIEDZIELE I ŚRODY... CUDÓW

Właśnie wtedy tak na dobre zadomowiło się w naszej lidze pojęcie „niedziela cudów”. „Dziwne” mecze zdarzały się już wcześniej, choćby wtedy, kiedy Legia przegrała na własnym boisku z Pogonią Szczecin 0:4, a dwa lata później bez walki oddała punkty ŁKS-owi. Jednak dopiero w roku 1968 (ja chyba jako pierwszy w tamtych realiach miałem odwagę o tym napisać) tak bezczelnie zaczęły funkcjonować lokalne i zrzeszeniowe układy. Po mistrzowsku wykorzystywano te możliwości przede wszystkim na Śląsku. Nagannych czynów było oczywiście więcej, gdzie się tylko dało, tam manipulowano ligą i... Pucharem Polski. Nie wszystkie te „zabiegi” należało by postrzegać w kategoriach przekupstwa, łapówkarstwa i jawnej korupcji, ale wszystkie z nich – bez względu na

skale przestępstwa – wypaczyły sens rozgrywek i były zaprzeczeniem sportowej rywalizacji.

Apogeum tej nieczystej gry ligowcy osiągnęli wkrótce po mistrzostwach świata w Republice Federalnej Niemiec. Zdobyty tam medal i w związku z tym niezłe – jak na tamte czasy – korzyści finansowe zapewne zwiększyły dążenie piłkarzy do lepszego bytu. Medalowcy zasmakowali w pomnażaniu kapitału, a ligowy plebs różnymi sposobami usiłował zbliżyć się do pozycji reprezentantów. Już w roku 1975 obok dobrze już znanej piłkarskiej „**niedzieli cudów**” pojawiło się nowe pojęcie „**środy cudów**”... Zanim więc w roku 2005 w jedną ohydłą całość skumulowały się wszystkie złe skłonności ludzi futbolu: pazerność, żądza pieniądza, wola funkcjonowania w lidze wyłącznie z motywów finansowych i inne działania moralnie naganne, właśnie sezon 1974/1975 był niewątpliwie jednym z najczarniejszych w historii naszej ekstraklasy.

Machlojki powtarzały się niemal z taką samą dokładnością jak nieudane próby reformowania rozgrywek. Najczęściej jednak te ligowe matactwa perfidnie przemilczano. Ton krytyki ograniczał się do eufemizmów, takich jak „drobne schorzenia” lub „skaza na zdrowym w swej masie polskim piłkarstwie”. Niby dostrzegano jakieś nieprawidłowości, ale woli wskazania winnych i choćby próby ich ukarania, nie było. Pobłażliwość futbolowych oportunistów i ich różnej maści protektorów zachęcała do przekrętów coraz szersze kręgi ligowców. „Dobrosąsiedzkie stosunki” wykroczyły daleko poza Śląsk. W Warszawie głośno mówiło się o „spółdzielni 9 klubów” będących pod parasolem ochronnym CRZZ. Wciąż główne role odgrywała w tym towarzystwie nomenklatura węgla i stali, a chętnie się do nich przyłączała brać z branży włókienniczej.

W tygodniku „Piłka Nożna” zamieściliśmy wówczas serie

artykułów pod obiecującym nadtytułem „DIALOG Z KLUBEM”. W znacznym stopniu była to kopia cyklu „KLUB 1963” blisko 15 lat wcześniej opublikowanego w „Przeglądzie Sportowym”. Co się w tym czasie zmieniło? Wtedy i teraz nie było wątpliwości, że klub jest podstawowym ogniwem w ruchu sportowym. Zmieniały się jednak jego funkcje. Początkowo klub był – jak głosiła ówczesna propaganda – głównie kuźnią wychowania obywatelskiego poprzez sport. Jednak w miarę upływu czasu stawał się ośrodkiem coraz bardziej akcentującym przeróżne funkcje organizacyjne. W pojęciu „organizacja” – wykazał to właśnie „dialog z klubami” – mieściła się również umiejętność załatwiania spraw nagannych społecznie, sprzecznych z ideą czystości w piłkarstwie, korzystnych dla jednostek lub grup działaczy. Naiwnością byłoby sądzić, że działo się to bez wiedzy „trzymających władzę”!

Ruch Chorzów jest piłkarską wizytówką Śląska, cieszy się też sporą sympatią w innych regionach Polski. W roku 1978 chorzowianom groził jednak spadek z ligi. Zachwiana została wtedy blisko sześćdziesięcioletnia tradycja tego klubu. Przyjaciel w biedzie wymaga pomocy. Zorganizowano więc koalicję, która podjęła się próby ratowania Ruchu. Czy w grę wchodziła tu tylko sympatia? Uznanie za zasługi dla polskiego piłkarstwa? Tego nigdy do końca nie wyjaśniono. Gdy pojawiły się głosy, że to mogło być przekupstwo, oburzano się nie tylko w Chorzowie. To tylko bezinteresowna koleżeńska przysługa! Kto był tak miłosierny? Widzew... Przegrał u siebie z Ruchem 2:4, przedłużając tym samym pobyt chorzowian w I lidze, a spychając w II-ligowy czyściec Zawiszę Bydgoszcz i najgroźniejszego dotychczas rywala w regionie – Górnika Zabrze. Słowo korupcja wtedy jeszcze nie chciało przejść przez gardło.

Zawisza Bydgoszcz był w naszej lidze swoistym bumerangiem.

Często padał pod ciosami przeciwników, ale w miarę szybko się podnosił. W roku 1981, a były to czasy ostrej walki demokratycznej opozycji z epigonami „realnego socjalizmu”, znowu balansował na krawędzi przepaści. Nad Brdą wzorując się na przekupnych rywalach, wreszcie sięgnięto po kasę. Od lat była pustawa, zastanawiono się więc, kto ją napełnił. Za „koleżeńską przysługę” oferowano Widzewowi 150 tysięcy złotych. Pomógł Ruchowi, może i Zawiszy! „Przyjacielskie” rozmowy Adama Kensego (Zawisza) z Andrzejem Gręboszem (Widzew) wykrył jednak ktoś nieprzychylny bydgoskiemu klubowi i nagłośnił sprawę. W wojsku powinien być porządek, przeto za naruszenie tej zasady Kensego osadzono w areszcie. Tam przyznał się do winy, ale na zebraniu Wydziału Dyscypliny PZPN wszystko odwołał. Szukaj wiatru w polu! Komisji śledczych i etyki wtedy nie było. Kolejna próba przekupstwa puszczona płazem...

Widzew był w tamtych czasach potęgą w polskim piłkarstwie. Podejrzewano, że również rozprawdającym w tych niecznych praktykach. Sugerowano nawet, iż ktoś z tego klubu jest członkiem „rady nadzorczej” tej tajemniczej „spółdzielni ligowej”. W środowisku krążyły przeróżne opinie, częściej zmyślane niż prawdziwe, w które – przyznaję to szczerze – początkowo też nie za bardzo wierzyłem. Najgłośniej rozprawiano o umowach w sprawie zmian barw klubowych parafowanych pod stołem. To nie były domysły, bo już od dość dawna w naszej lidze funkcjonowały „lewe kasy”. Niektórzy dziennikarze wiedzieli o tym dużo więcej, niż pisali. Red. Michał Strzelecki z Łodzi przekonał mnie, że Legia za przejście Pawła Janasa z Widzewa na Łazienkowską zapłaciła 350 tysięcy złotych. Puściłem to mimo uszu, bo co to za pieniądze przy 21 milionach za „transfer” Darka Dziekanowskiego z Gwardii do Widzewa..

Rok później w środowisku zanotowano kolejną sensację. Znowu na tapecie był Widzew, ale podobno wystąpił w innej roli, nie „sprzedającego”, lecz „kupującego” mecz, a ściślej mówiąc „wspierającego” drużynę trzecią mogącą pomóc w potrzebie. Otóż przed meczem Śląsk – Wisła nawet wróble ćwierkały na płotach, że ktoś w Łodzi finansowo „mobilizował” krakowian do zwycięstwa we Wrocławiu mając nadzieję, że to uitoruje Widzewowi drogę do mistrzostwa. Do redakcji „Piłki Nożnej” i do mnie osobiście docierały na ten temat różne głosy, czasem wzajemnie się wykluczające. Fakty jednak zdawały się potwierdzać nieczystą grę. Wisła choć nie była faworytem, oczywiście wygrała we Wrocławiu. Przytrafiło się jej to jak ślepej kurze ziarno, bo Śląsk był wówczas drużyną zdecydowanie lepszą, poza tym wystarczył mu remis, by sięgnąć po mistrzostwo. A jednak...

Tadeusz Pawłowski reprezentant Polski, jeden z najlepszych wtedy piłkarzy Śląska i czołowy łowca bramek nie wykorzystał rzutu karnego. Wypadek przy pracy czy celowy strzał na wiwat? Huczało po całym kraju. Nie ukrywano, że znowu sukces odniosła „spółdzielnia” skierowana głównie przeciwko drużynom wojskowym. Jeśli tak, to armijny Śląsk sam kopał dla siebie ligowy dołek? Był to czas stanu wojennego, wtedy wszystko było możliwe. Śledztwa jednak nie przeprowadzono, nikt nikogo „nie złapał za rękę”. Tak czy inaczej Widzew zasiadł na tronie, a Śląsk był tylko wicemistrzem Polski.

Łodzianie trzymali sztamę przede wszystkim z Górnikiem Zabrze. W roku 1985 zaowocowało to - dość szczegółowo opisałem ten układ w trzeciej części tej publikacji – kolejnym tytułem mistrza Polski dla Górnika. Bez żadnych skrupułów wykolegowano wtedy Legię Warszawa. Ale bywało też, podobnie jak nieco wcześniej we Wrocławiu,

że przeciwko własnemu klubowi występowali... zawodnicy. W połowie lat osiemdziesiątych, tak pod wodzą Jerzego Kopy, jak i Jerzego Engela możliwości najemnych legionistów sięgały znacznie wyżej niż dwa kolejne wicemistrzostwa Polski. Trzeba było jednak trochę o to powalczyć. Tymczasem, zwłaszcza w roku 1986 w meczu z Górnikiem Zabrze decydującym o tytule, co najmniej połowa piłkarzy z Warszawy przeszła obok gry. Górnik gładko wygrał 3:0. W prasie nie tylko sportowej (nawet w „Polityce”) dość jednoznacznie sugerowano, że część zawodników Legii sprzedała ten mecz. Którzy? Każdy kibic wojskowych kreślił tu własny scenariusz wydarzeń. A jak zareagował trener Jerzy Engel? Odgrażał się publicznie, że wróci do tej przykrej sprawy. Nie wrócił. A dlaczego nie zareagował natychmiast?

- Rychło zorientowałem się, co się święci, ale przecież nie mogłem zmienić połowy drużyny. Przepisy nie pozwalały. Nawet ewentualny walkower nie zmieniłby wyniku...

Był to wyjątkowo zły czas dla naszej ligi. Praktycznie każdy sezon daleki od normalności. Fingowanie wyników stało się niejako chlebem powszednim. W Katowicach na przykład w roku 1987, zapewne nie za przysłowiową „czapkę gruszek”, usiłowano bronić przed degradacją kolegów z Lublina. Ale i tak Motor zgasł. Dziurowicz – junior wtedy miał jeszcze mleko po nosie, więc nie był w kursie sprawy. Zresztą w piłkarskiej rodzinie obowiązywała wówczas zmowa milczenia, cicho sza, gramy dołem, nikt nic nie wie. PZPN długo nie reagował na te pogaduszki i jawne gwałcenie ligi. No to problem narastał. Kryminogenne stały się zwłaszcza, sądzę, że rozsądny człowiek tego nie wymyślił, mecze barażowe oraz premie za zwycięstwa różnicą trzech bramek i kara za przegrane w takim samym wymiarze. To dopiero była laba dla hochsztaplerów. Za

ewidentne matactwa nikomu jednak krzywda się nie stała. Raz tylko pogrożono palcem Lechowi Poznań za układziki z Polonią Bytom, a jedno ze spotkań Górnika Wałbrzych z Motorem Lublin powtórzono. Czystej gry nie było również w meczach Lechii Gdańsk i Olimpii Poznań, ale tu Temida za miecz nie chwyciła.

Zastanawiano się tylko, kto grał w tych machlojkach pierwsze skrzypce – działacze, piłkarze czy sędziowie? Moim zdaniem nikt nie miał tu „czystych rąk”, ale już niejako „z urzędu” najwięcej gromów spadło na arbitrów. To dobrze zorganizowana grupa. Na łamach „Piłki Nożnej” początkowo udając Greka, ostrożnie pytałem „**Kto jest ojcem chrzestnym**”?, a nieco później jednoznacznie wyłożyłem kawę na łąwę. To praktyki jakby żywcem wzięte z reguł sycylijsko-amerykańskiej mafii. „Przegląd Sportowy” również mocno uderzył pięścią w stół. Mając dość „piłkarskich cudów” w przeróżnych dniach tygodnia, najpierw zrezygnował z reklamowania na swoich łamach „ligowego kabaretu”, a potem w całości przedrukował moje uwagi o tej sędziowskiej rodzinie. I co? Skazano kogoś na ligową banicję bądź wsadzono za kratki? Nastąpiło choćby drobne opamiętanie i wytarganie kogoś za uszy? Mówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu... Znowu cisza, jak na pogrzebie. Targowisko przestępczości miało się dobrze. Krzywo patrzono tylko na Eugeniusza Kolatora, bo jedno ze spotkań barażowych sędziował najzupełniej normalnie. Dziwak jakiś czy co?...

Nasi dziadowie nie bez podstaw powiadali, że „daj kurze grzędę, a ona ci powie – jeszcze wyżej siędę...” Kto najczęściej i najchętniej grał w naszej lidze role tej przysłowiowej kury? W rozmowach ze mną niemal każdy trener ligowy, a Grzegorz Polakow i Leszek Jezierski najczęściej zapewniali, że niekwestionowanymi liderami w tych „wygórowanych

ambicjach” byli klubowi działacze. Oni za wszelką cenę chcieli być na świeczniku. Nawet w obozie „Rycerzy Wiosny” szkoleniowiec był li tylko marionetką w ich rękach. Mieli swoje wypróbowane sposoby na sukces. Pro forma głaskali po plecach:

- Dobrze pan pracował?... Są wyniki. Nie mamy zastrzeżeń.

Ale gdy trener napomknął o jakiejś za to skromnej nagrodzie nie kryli oburzenia:

- Co? Liczy pan na specjalną premię? Oj, nieco więcej skromności, kolego! Przecież co najmniej połowę punktów, które pan uzbierał z drużyną, to my kupiliśmy...

Jednak w ŁKS-ie nie tylko kupowano mecze, także sprzedawano. Tu podle zachowywali się niektórzy zawodnicy. „Napoleon” nie ukrywał przede mną, że jeden z nich sprzedał mu dwa mistrzostwa Polski. Wredna bestia. Siana w głowie nigdy w nadmiarze nie miałem, przeto po sezonie 1992/1993, kiedy w kolejną „afere korupcyjną” wmieszane były: Legia, ŁKS, Wisła i Olimpia nieco mocniej puknąłem się w łepetynę i już tak jednoznacznie nie podkpiwałem z moralisty Kuleszy. Może miał rację, kiedy krzyczał „Cała Polska to widziała!”. Wątpliwości narastały, coraz natrętniej targały mną sprzeczne uczucia. A może to ja broniłem niesłusznej sprawy? Pięć lat później ŁKS znowu naraził się znacznej części ludzi futbolu. Nawet w Łodzi bez większego entuzjazmu przyjęto kolejne mistrzostwo „Rycerzy Wiosny”. Roman Hurkowski w swojej nowatorskiej publikacji „**Z piłką do Europy**” tak to opisał:

...„W czerwcu 1998 wielka feta odbyła się na stadionie ŁKS. Wkrótce nastrój świąteczny prysł. Jeden z działaczy łódzkiego klubu ujawnił, że wiele meczów kupiono, a piłkarze przeznaczali na ten cel sporą część swoich premii. Fakty te potwierdził później na łamach prasy napastnik

Tomasz Cebula. Działacze oczywiście wszystkiemu zaprzeczyli. Wszak znowu nikt nikogo nie złapał za rękę”...

Cichy handel punktami nie ustawał. W różnych okresach swej działalności PZPN rozmaitymi „zabiegami kosmetycznymi”, bez próby przykładowego ukarania winnych, usiłował łagodzić te przestępcze praktyki. Wciąż eksperymentowano, niestety – na żywym organizmie całej ligi, niewątpliwie nośnej społecznie instytucji, zamiast posyłać za kratki inspiatorów tych niecznych czynów, a kluby wyrzucać z rozgrywek. W ekstraklasie nadal rządziła – to dziś takie modne – „grupa trzymająca władzę”. Niedawna skromna „spółdzielnia” zamieniła się w duży nowoczesny „kantor ligowych usług”, ale efekt końcowy jest taki sam.

Na początku XXI wieku liga coraz wyraźniej zaczęła padać pod ciosami klubowych spryciarzy, usługowych aplegierków oraz różnej maści doradców i menedżerów. Kantory „wymiany punktów”, zapewne nie z miłosierdzia i samarytańskiego usposobienia, ale z chęci zysku, jeszcze szerzej pootwierano i sprzedawano „trefny towar” każdemu będącemu w potrzebie. Wreszcie i PZPN nieco przejrzał na oczy. Rozbił pierwszą ligę na dwie grupy po 8 drużyn. Środek typowo zastępczy. Co to miało dać? Tak to widział wiceprezes Związku, Henryk APOSTEL.

... Pozytywów jest sporo. Przede wszystkim od pierwszych spotkań rozpoczyna się ostra walka... Rywalizacja o miejsce w pierwszej ósemce będzie zbliżona do rangi spotkań o najwyższe trofeum czyli mistrzostwo Polski... Nie będzie więc na przykład ani „wolnego środka” tabeli, ani „bezpiecznej strefy”... W drugiej rundzie spotkają się ze sobą zespoły już naprawdę dobre i przynajmniej teoretycznie równe sobie. Zniknie syndrom „zmniejszonej motywacji”...

A tak „sezon regulaminowych nowości” ocenił prezes PZPN,

Michał LISTKIEWICZ:

...„Niewątpliwym wydarzeniem w polskiej piłce jest zmiana systemu rozgrywek w I lidze. Zdecydowaliśmy się na reformę, bo faktycznie nie można nadal tolerować wielu niekorzystnych zjawisk towarzyszących ligowym zmaganiom, zwłaszcza na ich finiszu. Radykalnych decyzji domagały się i kluby, i działacze i opinia społeczna. Był także ważki aspekt szkoleniowy: rywalizacja musi zmobilizować piłkarzy i trenerów do bardziej wytężonej pracy, w efekcie do wzrostu poziomu... Otrzymałem osobiście sporo listów i telefonów, aprobujących naszą decyzję. Ci, którzy wyrażają odmienną opinię – spodziewam się, że niebawem zmienią zdanie”.

Tę wypowiedź prezesa, ludzie mający wątpliwości czyli inteligentni mogli by uznać za „przebój sezonu”. Mniej rozgarnięci mieli prawo zapytać, czy w tej „nowej aranżacji” nasza liga rzeczywiście będzie grać lepiej, a jej aktorzy w tej orkiestrze mniej fałszować. Mnie osobiście najbardziej rozbawiły dwa sformułowania „Misia”: pierwsze – „radykalnych decyzji domagały się i kluby i działacze”, drugie – „ci, którzy wyrażają odmienną opinię – niebawem zmienią zdanie”. O prezesowska naiwności!!! Rozumiem jednak dotychczasowy ból sternika PZPN i niemal ślepe wiary w siłę futbolu. Tu się zgadzamy, nawet gdyby klubami kierowali sami przestępcy, to i tak piłka nożna da sobie radę. Przeżyła u nas ponad sto lat, dwie wojny światowe i kilka okupacji, mimo to jest, jak mawia Rysio Niemiec, naszą „miłością pierwszą”. Jej przyszłość wymaga jednak bardziej „radykalnych decyzji”, a nie kolejnego makijażu.

Na czym więc polega nieszczęście naszej ligi? Pisałem w czerwcu 2001 roku:

... „Czas często płata różne figle. Teraz, w układzie 16 zespołów

w dwóch grupach po 8 drużyn, być może trudniej będzie o machlojki. Są to oczywiście li tylko przypuszczenia, nie poparte żadnymi faktami z przeszłości, jedynie podbudowane wiarą, że również w naszej lidze możliwa jest szlachetna walka, nie skażona elementami pozasportowymi. Twórcy nowożytnego piłkarstwa tak jak i my dziś, naiwnie sądzili, że „futbol jest krykiet”, to znaczy więcej niż „w porządku”, nie przekupny, a ludzie nim kierujący przestrzegają zasad fair play. Marzenia fantastów XIX wielu nie oparły się jednak ofensywie następnego stulecia. Jako jedni z pierwszych sprzeniewierzyli się tym ideałom piłkarze, z czasem i krykieści ubabrali się w korupcji. Nasza liga, odległa od poziomu czysto sportowego wielu nacji europejskich, akurat w tej materii nie odstaje od najgorszych wzorców. Wszyscy byliśmy w błędzie, sądząc, że na krajowych boiskach w sezonie 2000/2001 przekroczone już wszystkie granice przyzwoitości”. Niestety, wrota dla przestępców nadal były szeroko otwarte, bo winnych nie ukarano.

Liga jest chlebem powszednim naszego piłkarstwa. Powinna smakować jak pajda razowego chleba. Tymczasem, zaraz po prezesowskich obietnicach, że po reformie rozgrywek nawet jej najzagorzalsi przeciwnicy szybko zmienią zdanie, przytrafił się kolejny zakalec. Konsumowaliśmy wypiek, po którym normalny entuzjasta futbolu, nie mający nic wspólnego z korupcją, dostawał mdłości. Łatwo gołym okiem dostrzegalna „zapaść moralna” wyraźnie się pogłębiła. Do ligowej elity, niewątpliwie „tylnymi drzwiami” wdarła się Szczakowianka-Garbarnia Jaworzno. Wraz z jej awansem rozmyły się wszelkie nadzieje na normalność w ekstraklasie. Spór Szczakowianki w marzącym o ekstraklasie Świtem Nowy Dwór Mazowiecki urósł do rangi skandalu i stał się kolejną pożywką dla medialnych sensatów. Wreszcie złapią kogoś za rękę i wkrótce powieszą?

Głównym winowajcą była Szczakowianka. W grach barażowych przekupiła sześciu zawodników Świtu. Efekt sportowy jednoznaczny – Jaworzno poza I ligą, Świt w ekstraklasie. Strona moralna tej korupcji tak oczywista już nie była. Klub z Jaworzna z oskarżonego przeobraził się w oskarżyciela. Usiłował zrzucić winę na „paskudnego rywala” i wścibski PZPN, bo śmiał tę sprawę wyciągnąć na światło dzienne. W rezultacie naraził Szczakowiankę na mocną skazę na honorze i wielomilionowe straty w żywej gotówce. Prym w prezentowaniu takiej „wykładni prawnej” wiodła pani mecenas Jadwiga Tomaszewska.

Reakcja środowiska w tej sprawie była ambiwalentna. Ta dwojakość uczuć z jednej strony wynikała z programowej niechęci do działań PZPN ograniczających zachowania naganne w klubach, zaś z drugiej – do zadowolenia, że jednak nie tylko i nie zawsze „ryba psuje się od głowy”. Wyraźnie kłóciło się z praktykami pana Jana Tomaszewskiego, który na PZPN wyładowywał swoje frustracje i jego kosztem usiłował zbić własny kapitał społeczny. Ochocho wtórowała mu imienniczka z Jaworzna. Michał Listkiewicz nie miał tu żadnych wątpliwości:

... „Pani mecenas w „aferze barażowej” wykorzystuje, niestety – piłkę nożną do prowadzenia własnej kariery zawodowej... Wprowadziła sporo zamieszania w środowisku piłkarskim. To pewien ogólniejszy problem. Dla wielu prawników futbol jest „czarną magią”... Myślę, że pani Tomaszewskiej przydałaby się praktyka w jednym z wydziałów Związku. Wtedy przekonałaby się, że nasz futbol nie jest „siedliskiem zła”, skupiającym „czarne charaktery”.

Prezes realizując ten nieco szokujący pomysł, w pierwszej kolejności przywrócił do łask Jana Tomaszewskiego. Widać naiwnie sądził, że na jednym ogniu zdoła upiec dwie pieczenie: odwieść „Tomka” od

schizofrenicznych pomysłów ciągłego oblewania PZPN pomyjami oraz znaleźć w nim wreszcie kompetentnego doradcę i wiernego sojusznika w walce z korupcją. Może to przekona opinię publiczną, że ligowe afery rodzą się nie przy ulicy Miodowej w Warszawie, lecz daleko poza jej granicami. Ja też na łamach „Polskiej Piłki” zabrałem głos w tej przykrej materii skrojonej przez Jaworzno i Nowy Dwór Mazowiecki.

... Biedna jest ta nasza liga piłkarska. Już swój „poród” w latach dwudziestych przeżywała w atmosferze skandalu, protestów i rezygnacji. A kiedy dwadzieścia lat później ekstraklasę reaktywowano, to też w klimacie sporów politycznych, doktrynalnego spojrzenia na jej funkcje społeczne i „burżuazyjny rodowód”. Dziś możemy się tylko pośmiać z tych oskarżeń, ale nie przestajemy być wolni od obaw, bo wciąż tej naszej lidze coś zagraża. Jest przekupna, rachityczna, ponad stan, nie na miarę potrzeb reprezentacji.

Dużo więcej spodziewałem się po tej „okazjonalnej” reformie rozgrywek. Tymczasem pogłębiły się moje wątpliwości i... zdziwienia. Sądziłem, że lada moment i w naszej lidze na dobre zadomowi się mała stabilizacja: organizacyjna, szkoleniowa, kadrowa. Nie będzie też wariackich wyników spotkań, podejrzeń o przekupstwo, bimbania z zasad fair play, zmiennych nastrojów piłkarzy i „pomyłek” arbitrow. Nawiązując zaś do „afery barażowej” w wydaniu Świtu i Szczakowianki, w równym stopniu uznałem winę obu zwaśnionych stron. Przyświęcało mi tu przesłanie Tadeusza Boya-Żeleńskiego: *„Bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”*. Jeśli ktoś coś pokątnie sprzedaje, to przecież musi mieć pewność, że ktoś bliski i zaufany chętnie to kupi! To nieczysty interes, ale przecież interes! Na linii Jaworzno – Nowy Dwór Mazowiecki zapewne dobrze o tym wiedziano. Ale gdy „przekręt” ujrzał światło

dziennie, kupujący i sprzedający nie poczuli się do winy. Oba kluby wywalił bym z ligi! PZPN się ślimaczył, w rezultacie i za to przestępstwo ligowców dostał niezłe baty.

Postawy ludzi tkwiących w ligowym futbolu od niedawna, wciąż szokują i daleko odbiegają od norm obyczajowo i moralnie poprawnych. Na pokaz szermują komunałami o profesjonalizmie, fachowości i uczciwości, a tak naprawdę – poza nielicznymi wyjątkami – zachowują się, jak straganiarze z bazaru Różyckiego w Warszawie. Dlatego o naszej lidze najgłośniej mówi się w kategoriach kupna i sprzedaży. „Kupującego” widzi się jednak tylko poza własną zagrodą. U siebie w domu wszyscy są czystszy jak łąza. Krecią robotę uprawiają wyłącznie sprzedajni rywale! Taka postawa zaciemnia faktyczny obraz ligi i potęguje międzyklubowe niesnaski. A „w łeb” za to wszystko dostaje oczywiście PZPN. Dojrzeła sytuacja, aby pozbyć się tego garbu. Może wtedy w ligowym piłkarstwie będzie wreszcie normalnie?

Oczekiwane zmiany na lepsze powinno zapewnić przejęcie ligowych rozgrywek przez kluby. Są o tym przekonane obie strony LIGA i PZPN. To dobry znak. Władza w rękach klubów być może ukróci egoistyczną i brudną moralnie pogoń działaczy, zawodników, trenerów i sędziów wyłącznie za karierą i kasą. Dobro sportu, klubu, ligi, wreszcie reprezentacji wymaga również postaw altruistycznych. Na razie między bajki można by włożyć zapewnienia niektórych piłkarzy i ich chlebodawców, że głównym motywem w ich pracy są wyłącznie ambicje czysto sportowe. Obce jest im zakłamywanie rzeczywistości, a przyświecają tylko czyste intencje i wzniosłe idee. Taką różową przyszłość ma umocnić samodzielna liga. Kraina szczęśliwości! Narzuca się jednak pytanie – co w tej nowej strukturze robić będą natrętni „menedżerowie”, przekupni działacze,

nieuczciwi sędziowie i różnej maści handlarze ligowymi punktami? Kogo wtedy z Groclinu będzie przepędzał Zbigniew Drzymała i z kim darł koty Bogusław Cupiał? No i co równie ważne, na kogo wówczas do prokuratury donosić będzie Jan Tomaszewski?

PO ENGELU BYŁ BONIEK

Optymiści powiadają, że nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Pesymiści wymachują drugą stroną medalu - Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej? Komu wierzyć? Poczekamy, zobaczymy jakie to środki zaradcze wprowadzi suwerenna liga. Czy spisze się równie dobrze, jak Paweł Janas w pracy z reprezentacją? Gorzko było na World Cup 2002 w Korei Południowej. Zaraz po odejściu Jerzego Engela z PZPN aż piekło w gardle. Nieskutecznym lekarstwem na te kłopoty okazał się Zbigniew Boniek. Pierwsze podejście Janasa też gryzło podniebienie, dopiero drugie wielu ludziom futbolu poprawiło humory i ułatwiło trawienie.

Jakże złożone, wręcz paradoksalne są losy naszego piłkarstwa. Akurat wtedy, kiedy sędziów słusznie chlastano nie tylko za przekręty na boisku, ale także za nocne rozkosze i w miejscach publicznych za nadmierny popęd płciowy, zaś niektórych zawodników posądzano o skłonności przemytnicze, trenerom i działaczom zarzucano brak kompetencji, reprezentacja dość szybko się odrodziła i pewnie zmierzała w kierunku finałów Weltmeisterschaft 2006. Janas utarł nosa wszystkim wszystko lepiej wiedzającym i rychło z „chłopca do bicia” stał się bohaterem narodowym. Udowodnił, że praca selekcyjnera dość wyraźnie różni się od zawodów piekarza i aptekarza. W futbolu wypiek jest wolniejszy i

nie ma gotowych recept na dobry wynik. Tworzenie reprezentacji obok wiedzy wymaga odwagi, konsekwencji i cierpliwości. Bo „spieszyć się trzeba tylko przy łapaniu pcheł”. Naloty na Janasa urządzali z reguły piłkarscy ignoranci.

W PZPN początkowo też sądzono, że cudownym balsamem na „poengelowskie” frustracje będzie Zbigniew Boniek. Wybitny piłkarz, swego czasu trzeci na Mundialu, erudyta, człowiek sukcesu, świetny polemista, wzór dla kilku pokoleń zawodników, bożyszcze kibiców, postrach dla „podwórkowych” działaczy, nie w ciemną bitą trener, słowem – światowiec jakich w naszym futbolu trzeba by szukać ze świecą. A przy tym wszystkim facet niezależny finansowo, nieskąpiec, można by nawet rzec – filantrop. Nie szczędził przecież grosza na „swój” Widzew, spłacając w tej formie dług wdzięczności za osiągniętą tam międzynarodową klasę i sławę. Szeroko otworzyło to „Zibiemu” wrota do włoskiej serie A. Kto byłby w stanie mu dorównać?

Na długachnej liście pochwał pod adresem Bońka zabrakło jednak, gdy mowa o selekcyonerze – trenerze, kilku niezwykle ważnych pytań: - Jakiej właściwie klasy jest ten szkoleniowiec? Czy gama zalet, jakie wysypiewuje się pod jego adresem, ułatwi mu pracę z reprezentacją? A może zaszkodzi? Czy raptus Boniek, bestia niezwykle ambitna, bo i takim go trzeba widzieć, podźwignie ten selekcyonerski ciężar? Zachowa się jak prawdziwy mężczyzna, gdy pojawi się pierwsze niepowodzenie, czy jak chłopiec z piaskownicy rzuci te piłkarskie zabawki? Wymarzył sobie drużynę na miarę takiej w jakiej wcześniej sam grał. Błąd w założeniu. Nie miał w kadrze tak wybitnych indywidualności.

Bońkowi jako trenerowi, nie powiodło się już w lidze włoskiej. To musiało boleć. W rodzinnym kraju, wśród swoich usiłował dowieść, że

jest równie utalentowanym trenerem, takim jakim był kiedyś piłkarzem. Kolejny błąd, bo te dwie wartości rzadko idą z sobą w parze. W każdym razie szczerze życzyłem „Zibiemu” powodzenia. Boniek zawiódł jednak wszystkich; po przegranym 0:1 meczu z Łotwą w Warszawie (nie bez winy był tu Dudek), uciekł z pola walki Zakpił z nas czy ujął się honorem? A może wcale nie ma tak „twardego charakteru” jak powszechnie sądzono?

W końcu 2002 roku berło selekcjonera przejął Paweł Janas. Też piłkarz wybitny, też medalista mistrzostw świata i też wysoko ceniony poza granicami Polski. Przyjaciel Bońka z Widzewa i hiszpańskiego Mundialu. Będzie lepszym od niego trenerem? Fakty przemawiały za Janasem. Mając na względzie wcześniejsze dokonania Pawełka w roku 2001, gdy mazowieckie piłkarstwo świętowało swoje 80-lecie - jako kanclerz jubileuszowej kapituły, spowodowałem wybór właśnie Janasa na Trenera Osiemdziesięciolecia Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej. To zasłużone wyróżnienie wręczyłem w jednej z sal konferencyjnych Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie selekcjonerem. Podczas składania gratulacji szczerze mu jednak tego życzyłem.

Janas od dawna cieszy się nie tylko moją sympatią, ufa mu znaczna część ludzi futbolu. Wbrew pozorom ma kumpelski charakter, jest otwarty i szczerzy, a to cenne zalety. Jednak splendor spływa nań przede wszystkim za piękną kartę zapisaną w roli zawodnika i trenera Legii, z którą przebił się do ćwierćfinału Ligi Mistrzów. Ma też spory udział w budowie i sukcesie olimpijczyków na igrzyskach w Barcelonie. Zatem sporo dokonał. Czy potwierdzi to w pracy z reprezentacją? Przeciwnicy Janasa od początku byli przekonani, że podzieli los swoich poprzedników. Powiało grozą. A przecież po wypadkach Engela i Bońka

aż prosiło się o odrobinę przychylności, wszak przejął drużynę rozbitą fizycznie i psychicznie. Koreański World Cup 2002 i przegrana z Łotwą w eliminacjach mistrzostw Europy 2004 załamały największych optymistów. Daleko nam w futbolu do międzynarodowych standardów.

Janas w miarę szybko zdołał zebrać i posklejać to rozproszone towarzystwo, ale strat poniesionych w eliminacjach mistrzostw Europy nie zdołał odrobić. Wprawdzie w Rydze wziął rewanż na Łotyszach, a w Budapeszcie – w przeszłości to się nikomu nie udało – poprowadził zespół do zwycięstwa nad Węgrami, jednak na finały do Portugalii to nie wystarczyło. Pogubił punkty w meczach ze Szwedami. Podzielił więc smutny los Wojciecha Łazarka, Andrzeja Strejlaua i Janusza Wójcika. Szczęście uśmiechnęło się natomiast do Łotwy. Nie brak było głosów, że w Sztokholmie wyraźnie nas wykiwano.

To jakieś fatum. Systematycznie i z zadziwiającą dokładnością reprezentacja Polski od blisko pół wieku przegrywa europejskie kwalifikacje, obojętnie kto stoi na drodze do puli finałowej. Poznali ten gorzki smak nawet tacy mistrzowie w trenerskim fachu, jak: Tadeusz Foryś, Ryszard Koncewicz, Michał Matyas, Kazimierz Górski, Ryszard Kulesza, Antoni Piechniczek, Wojciech Łazarek, Andrzej Strejlau, Henryk Apostel i Janusz Wójcik. Byli tylko biernymi obserwatorami finałów. Jednak – jak dotychczas – z ich wskazówek i doświadczeń reprezentacja niewiele zyskała. Nauka poszła w las. Czy tak będzie również po Euro 2004? Raport pezetpeenowskich wysłanników: Henryka Apostela, Pawła Janasa, Edwarda Klejdinsta, Macieja Skorży, Oresta Lenczyka, Janusza Wójcika, Dariusza Kubickiego, Mirosława Jabłońskiego i Władysława Stachurskiego tradycyjnie jest obiecujący. To się przyda w eliminacjach mistrzostw świata.

Turniej w Portugalii wykazał, że w Europie nie ma już zdecydowanych faworytów i maruderów. Poziom się wyrównuje, skoro takie futbolowe potęgi, jak: Anglia, Francja, Hiszpania, Niemcy i Włochy nie walczyły o medale. W miarę udanie honoru tych „wielkich” reprezentacji broniła tylko Holandia. Euro 2004 było natomiast popisem drużyn z nieco niższej półki, zwłaszcza Grecji i Portugalii. Niegdyś były w cieniu „biało-czerwonych”, co więcej – tuż przed turniejem finałowym nad Tagiem ekipa Janasa pokonała rewelacyjnych mistrzów Europy. Jaka właściwie jest dzisiejsza piłka nożna?

... „Rozwój futbolu – zapewnia doktor Jerzy Talaga, niegdyś ostoja AWF Warszawa i szef wyszkolenia PZPN – zmierza we właściwym kierunku. Coraz aktywniejsza, bardziej kreatywna gra, szczególnie utrzymanie równowagi pomiędzy podstawowymi jej elementami – atakiem i obroną – zapewniają tej dyscyplinie sportu możliwości dalszego doskonalenia techniki na poziomie mistrzowskim... Dobry lub doskonały poziom gry zdecydowanie zwyciężył nie lubiane przez wszystkich kunktatorstwo... Porażki faworytów i zaskakująca koronacja najlepszych piłkarzy Europy dodatkowo pobudziły zainteresowanie piłką nożną”.

Byli też na tych mistrzostwach prezes PZPN Michał Listkiewicz, wiceprezes Henryk Apostel i sekretarz generalny Zdzisław Kręcina. Oglądali tylko niektóre spotkania, ale – jak zapewnił prezes – zdołali wyrobić sobie zdanie o podniosłej atmosferze, jaka panuje na imprezie tej rangi oraz sposobie gry reprezentowanym przez poszczególne zespoły. W wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Sportowemu” Listkiewicz żałował tylko, że zabrakło tam naszych piłkarzy. Uważa, że wstydu by nam nie przynieśli.

– Skoro zbierała pochwały Łotwa, Bułgaria, Chorwacja czy Rosja

– powiada z pełnym przekonaniem – to i dla nas znalazło by się miejsce na Euro. To zespoły o podobnym do nas poziomie.

– A jaka nauka płynie z tej imprezy? – zapytali Roman Kołtoń, Dariusz Tuzimek i Marcin Harasimowicz.

– Widać wyraźnie – odpowiedział prezes – jak wiele zależy od przygotowania fizycznego zawodników. To dobra lekcja dla piłkarzy, bo dzisiaj gdy ktoś nie ma siły, to nie ma czego szukać w międzynarodowym towarzystwie... Po drugie widać, że wariant taktyczny, którego próbuje Paweł Janas jest nowoczesny, bo stosuje go wiele drużyn.

W sprawach szkoleniowych (najbardziej!!!) lubię być precyzyjny i chciałbym w związku z tym po raz kolejny przypomnieć, że w przeszłości właśnie głównie dobra kondycja i jeszcze lepsza taktyka polskich piłkarzy budziła podziw u rywali. To były nasze mocne atuty. Tym Polacy nadrabiali pewne niedoskonałości w wyszkoleniu technicznym. Zresztą, te wartości zawsze były, są i będą – podstawą w każdej grze zespołowej. I tu uwaga wcale nie małej rangi. Wtedy do występów w reprezentacji już w klubach z reguły dobrze przygotowywali zawodników polscy trenerzy. To były nasze, polskie metody, niewątpliwie dobre, bo w Europie zwłaszcza za to nas chwalono.

Dziś tę ówczesną szkołę uważa się za przestarzałą, nienowoczesną, nawet szkodliwą. Kadrowicze powiadają, że w ligach zagranicznych, niewątpliwie silniejszych i lepiej zorganizowanych, trenuje się zupełnie inaczej. Nigdy na mrozie i w zaspach śniegu. Nie przeczę, mam jednak prawo wątpić czy skutecznie, skoro wybrańcy naszych trenerów z klubów zachodnich przyjeżdżają na zgrupowania w kiepskiej formie fizycznej, w rezultacie nie mają siły na cały mecz. Czy to kwestia tylko innych metod szkoleniowych? Wymaga to głębszych studiów. W sprawie taktyki nasz

prezes też nieco przesadził. Tak „nowocześnie” jak na turnieju w Portugalii grano już na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Tylko kto to dziś pamięta?... A są i tacy, którzy nigdy nic o tym nie słyszeli i dziś... niewiele wiedzą. Ergo – nie tylko piłkarze bywają niedouczeni.

Oglądałem ten turniej w telewizji i z uwagą wysłuchiwałem komentarzy Jacka Gmocha, Andrzeja Strejlaua, Antoniego Piechniczka, uwagi dra Talagi też głęboko utkwily mi w umyśle. Wprawdzie mógłbym wytknąć doktorowi, że nieco przewrotnie postrzega wartości, które zapewniają piłce nożnej doskonalenie techniki, a Strejlauowi i Piechniczkowi, że ubolewają z powodu „przemęczenia zawodników” rozgrywkami klubowymi i pucharowymi, jednak ich ponadczasową opinię, że **„twarda ręka i wzajemny szacunek oparty na kulturze bycia jest ważnym czynnikiem w budowie, szkoleniu i kierowaniu każdą drużyną”**, uważam za trafną i u nas bardzo pożądaną.

Co konkretnie dobrego wyniósł Paweł Janas z obserwacji mistrzostw w Portugalii? Nie mając po temu podstaw kadrowych przestał wydziwiać i zaskakiwać nierealnymi systemami gry i skomplikowanymi rozwiązaniami taktycznymi. Oparł pracę na dobrze już znanej i sprawdzonej wiedzy piłkarskiej. Janas jest selekcjonerem o wyjątkowo dużym dorobku ligowym i reprezentacyjnym. Mówi się i pisze, że jest jednak mało medialny, unika dziennikarzy i że woli chodzić do lasu na polowania, niż na mecze naszych ligowców. Domniemania. Prawdy ukryć się nie da: za stylem pracy każdego selekcjonera przemawiają wyniki. Janas ma dokonania godne podziwu i uznania.

Zrobił kawał dobrej roboty nie tylko dla siebie i piłkarzy, lecz także dla sporej grupy prawdziwych przyjaciół piłkarstwa. Zagiął parol na mistrzostwa świata. Zaczęło się dobrze, od zwycięstwa nad Irlandią

Północną w Belfaście aż 3:0, ale kolejny mecz z Anglią w Chorzowie przyniósł przegraną 1:2. Właśnie wtedy nasiliła się krytyka pod adresem selekcjonera. Sięgano po siekiery, topory, żądano głowy, dymisji... Byłem na tym spotkaniu, też wytknąłbym Janasowi kilka błędów kadrowych i w sposobie gry, ale potępienia wszystkiego w czambuł nie miałbym śmiałości. Anglia – to nie jakiś tam piłkarski kopciuszek, to były mistrz świata, reprezentacja wciąż z dużymi szansami na powtórzenie tego sukcesu, bo zawodnicy utalentowani, dobrze wyszkoleni i w każdym calu profesjonalni. W Chorzowie pojawiłem się nie tylko ze względu na mecz z Wyspiarzami. Były też inne powody, pełne wspomnień, zabarwione dużym sentymentem do piłkarskich przeżyć z przeszłości.

Decyzja zapadła w PZPN podczas spotkania noworocznego 2004. Przy jednym stole biesiadnym zasiedli „piłkarze z tamtych lat”. Reprezentanci Polski, najlepsi z najlepszych głównie w czasach Tadeusza Forysia i Ryszarda Koncewicza. Jak zawsze elegancki Roman Korynt, wążący każde słowo Edmund Zientara, gadatliwy Leszek Jezierski i wciąż niezwykle sprawny i „zasadniczy” Jerzy Woźniak. Arbiter elegantiarum, Merlo, Napoleon, Siwy – to ksywki tych dziś starszych panów z okresu, gdy naprawdę dobrze kopali piłkę. Ja oczywiście wśród nich, bo to moje pokolenie, setki przeżytych spotkań ligowych i dziesiątki wspólnych radości i smutków podczas gier międzypaństwowych. Dosiedli się do tego grona nasz rówieśnik Henio Loska, tylko nieco młodszy Jurek Hołub i junior w tym towarzystwie Stefan Szczepłak. „Biały Pele” miał prawo być tam mile widziany.

Trzech z tych wybitnych niegdyś piłkarzy: Korynt, Woźniak i Zientara w roku 1957 wystąpiło w niezapomnianym, zwycięskim pojedynku z reprezentacją ZSRR. Bezwzględnie jednym z najlepszych w

długiej historii naszej drużyny narodowej. Kiedy im to przypominałem, nie mogli ukryć wzruszenia. Twarde chłopiska, ale polały się im łzy szkliste, rześiste. Mieli młodość durną i chmurną... Nagle „Andrzej” Zientara wznosił niecodzienny toast:

... „Zrobię wszystko, aby nasze dziś już prawie zapomniane pokolenie piłkarzy, trenerów, sędziów i zasłużonych dziennikarzy we wrześniu jeszcze raz spotkało się w Chorzowie. Myślę, że redaktor Szczepłek pomoże w organizacji, a PZPN z zadowoleniem przyjmie naszą inicjatywę i... sfinansuje. Panowie, po maluchu! Za taki w meczu z Anglią wynik obecnej reprezentacji, jaki – o jej, ile to lat minęło – był wtedy między innymi zasługą Romana, „Siwego” i... moją w pojedynku z ZSRR. Lechoś uwiecznił to na łamach „Przeglądu Sportowego”.

Głośnym „hurra” przyklepaliśmy ten pomysł. Słowa dotrzymani wszyscy zainteresowani i „grupa warszawska” pięknym autokarem wyruszyła z Placu Zamkowego do Katowic. Do reprezentantów z Legii i Gwardii: Lucjana Brychczego, Jerzego Woźniaka, Henryka Grzybowskiego i Henryka Szczepańskiego dołączył Wiesław Jańczyk z ŁKS i cała plejada wyróżniających się wtedy sędziów piłkarskich. Byli też moi przyjaciele z dawnej „Piłki Nożnej” Mieczysław Szymkowiak i Stefan Grzegorzczak i mój następca w „Przeglądzie Sportowym”, Mirosław Skórzewski.

DAWNYCH WSPOMNIEŃ CZAR...

Hotel „Katowice”, rojno i gwarno. Zjeżdżają byli reprezentanci Polski, dziś mieszkający w różnych zakątkach świata. Trudne do opisanego przejawy radości przy powitaniu: - *Witaj stary! Kope lat! Jak się masz? Co*

porabiasz? Gdzie mieszkasz? A potem pytania o zdrowie i... wierność piłce nożnej. U większości z nas już od dawna szron na głowie, u niektórych łysina, niczym księżyc w pełni, ale miłość do futbolu równie duża jak przed pół wiekiem. Wierzyć się nie chce, że w grupie sześćdziesięciolatków jest już nawet Jan Banaś, strzelec pierwszej bramki w jedynym dotychczas wygranym przez nas meczu z Anglią, a „Kiciemu” Brychczemu stuknęła siedemdziesiątka.

Gerardowi Cieślikowi, głównemu bohaterowi zwycięskiego meczu z ZSRR, należne ukłony i hołdy składają Leszek „Napoleon” Jezierski, Wiesław Jańczyk – obaj ze słynnej drużyny łódzkich „Rycerzy Wiosny” oraz zawsze wesolutki jak skowronek Jaś Liberda i wiecznie uśmiechnięty Kazimierz Trampisz. Oni też – podpory dawnej Polonii Bytom – zapisali w naszym piłkarstwie piękną kartę. A kto pamięta Teodora Wieczorka, byłego piłkarza AKS Chorzów, reprezentacyjnego pomocnika i wybitnego trenera? To jeden z pupilków Ryszarda Koncewicza. „Fajka” tak go widział: - „Teo” nigdy za dużo nie mówił, ale gdy już zabrał głos, miało to sens. Wody nie lał... Wolał się zabawić... Osiemdziesięciolatek Teodor, ojciec Henryka, też reprezentanta Polski, uczestnika mistrzostw świata, to tak jak Cieślik, Korynt i Zientara wciąż niekwestionowane autorytety, mistrzowie w swoim fachu, piłkarze o dużej wiedzy i dobrym smaku. Dawnych wspomnień czar...

Na tym katowickim zlocie piłkarskich gwiazd głównie z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i nieco późniejszych dobrze czuli się również uważani w tym gronie za juniorów: Włodzimierz Lubański, Janusz Kowalik, Jan Tomaszewski, Zygmunt Anczok, Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach, Władysław Żmuda, Roman Wójcicki... To w większości panowie z Klubu Wybitnego Reprezentanta! Ich dorobek jest

bogatszy, zebrali więc należne brawa od starszych kolegów za medale olimpijskie i mistrzostw świata. Nie szczędzono też braw trenerom z dorobkiem: Leszkowi Jezierskiemu, Ryszardowi Kuleszy, Andrzejowi Strejlauowi i przede wszystkim Antoniemu Piechniczкови. Było nam miło, gdy młodszy kolega po fachu, Stefan Szczepłek w imieniu organizatorów podziękował za dziennikarski trud i niewątpliwe osiągnięcia: Mieczysławowi Szymkowiakowi, Jerzemu Lechowskiemu, Januszowi Jeleniowi, Stefanowi Grzegorzycowi, Michałowi Strzeleckiemu, Jerzemu Figasowi, Mirosławowi Skórzewskiemu. Gdyby wtedy ktoś wręczał mediom Piłkarskie Oskary, to większość z nich miałaby w dorobku okazałą kolekcję. Oni zawsze utożsamiali się z całym środowiskiem. Podkreślili to „piłkarze z tamtych lat...”.

– Znali się na futbolu, byli naszymi partnerami – pochwalił nas Staszek Oślizło.

– Pisali prawdę i tylko prawdę – wtórował Janek Liberda.

– Nie szczędzili nam krytyki, byli surowi, ale i wyrozumiali. Pióra mieli wyostrzone, ale oceny zawsze sprawiedliwe – dowodził „Andrzej” Zientara. Fachowcy...

Stoły były suto zastawione, mnóstwo gorącego jadła, nie brakowało też chłodnych i wysokoprocentowych napojów. Głowy większości uczestników tego spotkania wydały mi się równie mocne jak u szczytu sławy. I wciąż pełna kultura! Ciepłem serca i siłą intelektu wypadało więc wyrazić piłkarzom wdzięczność i podziękowanie za doznane uczucia i niecodzienne wrażenia sportowo-estetyczne. To nie był jakiś zaczarowany świat, to się kiedyś naprawdę zdarzyło! Te piękne strzały Cieślaka, Brychczego, Laty, Szarmacha i Lubańskiego, te bramkarskie parady Kostki i Tomaszewskiego. Oni nam dziennikarzom to ofiarowali,

tak jak kibicom w realnym życiu sportowym. Nie ukrywajmy – ono niekiedy naprawdę przeradzało się w cudowną baśń. Podobne uczucia przeżywał prezes Michał Listkiewicz:

...„To panowie sprawili – powiedział – że o polskim futbolu wszędzie – w Europie i na świecie – mówi się dziś z szacunkiem i respektem... O tym, co się wówczas działo w piłce nożnej, obiektywnie i kompetentnie pisali dziennikarze... Zwracam się do ich młodszych kolegów, pełniących obecnie reporterskie obowiązki – uczcie się dobrego i rzetelnego rzemiosła od starszych... Wszak troska o futbol, jego wizerunek i poziom jest naszym wspólnym obowiązkiem”.

Na tym historycznym zlocie dawnych gwiazd z boisk piłkarskich zaprezentowały się również gwiazdy estrady: Krystyna Loska, Marcin Daniec i Bogdan Łazuka. To nasi wypróbowani przyjaciele. Od wielu lat wspierają nas duchowo. A wieczorem 8 września 2004 roku na Stadionie Śląskim odbył się mecz z Anglią o punkty w eliminacjach mistrzostw świata. I znowu odżyła historia. Nie zawsze dla nas miła, bo akurat niemal przed pół wiekiem, gdy uroczyście otwierano ten śląski gigant, przegraliśmy na nim towarzyski mecz z NRD 0:2. Ale też właśnie tam w roku 1973 pokonaliśmy Anglię 2:0. Marzyliśmy o podobnym sukcesie. W grupie „starszych panów” jednak najchętniej wracaliśmy wspomnieniami do pierwszego wielkiego zwycięstwa na tym obiekcie.

To był październik 1957 i niezapomniana wiktoria nad ZSRR 2:1. Przed grą z Anglikami, zanim na zielonej murawie pojawili się Jerzy Dudek, Jacek Krzynówek, Maciej Żurawski i ich partnerzy z obecnej reprezentacji, publiczność gorąco oklaskiwała uczestników tej wygranej z „ruskimi”. Z bukietami kwiatów i radością bijącą z ich twarzy zaprezentowali się blisko pięćdziesięciotysięcznej widowni: Gerard Cieślik, Roman Korynt,

Stefan Floreński, Jerzy Woźniak, Ginter Gawlik, Edmund Zientara, Lucjan Brychczy i Roman Lentner. Ośmiu wspaniałych! Wtedy było ich jedenastu, ale Edward Szymkowiak i Edward Jankowski odeszli od nas na zawsze, a Henryk Kempny, mający kłopoty rodzinne, przesłał do Chorzowa tylko koleżeńskie pozdrowienia.

Wrażliwość weteranów futbolu na wartości tkwiące w piłce nożnej są ogromne, a pamięć o osobistych w niej doznaniach wiecznie żywa. Staszek Oślizło nieco melancholijnie wspominał czasy, kiedy właśnie na Stadionie Śląskim mecz Górnika z Austrią Wiedeń o Klubowy Puchar Europy oglądało sto tysięcy widzów, a Hubert Kostka nie był w stanie zrozumieć, dlaczego podobną świątynię piłkarską w Warszawie, Stadion Dziesięciolecia przekształcono w największy bazar środkowo-wschodniej Europy. Uznał to za brak szacunku współczesnych władz stolicy dla historii. – *Odebrano nam znaczną część życia* – powiedział Oślizło. Staszek darzy ten obiekt szczególnym sentymentem, bo przecież na nim debiutował w reprezentacji Polski i to w zwycięskim meczu z ZSRR. Kogo to dziś wzrusza?...

„Biało-czerwoni” przegrali ważny mecz z Anglią 1:2. To stało się znakomitym kąskiem dla prasy. W „Polskiej Piłce” też nie głaskaliśmy i nie rozgrzeszaliśmy piłkarzy, stwierdziliśmy tylko zgodnie z prawdą: **„Silni na Irlandię, słabi na Anglię”**. Pozycja Anglii w piłkarskim świecie jest niewątpliwie wyższa od naszej, a suchy wynik w pełni to potwierdził. Czy jednak ten mecz musieliśmy przegrać? Lepiej przygotowany zespół (znowu ten przeklęty brak kondycji!) zapewne byłby w stanie osiągnąć korzystniejszy wynik, bo rywale też nie zagrali rewelacyjnie. Z Anglią można wygrać, ale pod warunkiem, że ma się drużynę o tak dużych umiejętnościach i w tak dobrej formie, jak ta z czerwca 1973 roku. We

wrześniu 2004 takiej drużyny nie mieliśmy. Fakt ten posłużył mediom do urządzenia kolejnego polowania na selektonera. Kilka pism już go zwolniło z pracy. Z niewiedzy, dbałości o nakład gazety czy z tęsknoty za Jerzym Engelem? Fantazjowano. On na pewno dałby Anglikom kopniaka!...

Nie gustuję w stadnych, przy tym niesprawiedliwych ocenach i na faktach opartych na „chciejstwie”, a nie posiadanej wiedzy. Lubię w takich sytuacjach płynąć pod prąd, nie z przekory, ale z przekonania, że skandalizujące publikacje nie są najlepszym sposobem na rozwiązywanie problemów reprezentacji. Tu bardziej potrzebne są merytoryczne uwagi, a nie jęki niezaspokojonych pańienek, dialog z selektonerem i chęć podania mu ręki. To „zwalnianie” trenera przez prasę nasiliło się przed kolejnymi meczami z Austrią i Irlandią Północną. A ja wciąż płynąłem pod prąd, szczególnie mocno akcentując swoje racje w tekście „POLOWANIE NA JANASA”. Chwila była odpowiednia, bo po przegranych eliminacjach byłaby to zwykła musztarda po obiedzie.

... I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu – tak zacząłem swój wywód. – Może to zbyt prostackie porównanie, ale ma w sobie coś ze spraw bliskich naszej reprezentacji. Od Janasa wymaga się nawet budowania zamków na lodzie. A przecież nie jest cudotwórcą! Z materiału ludzkiego, jakim dysponuje, trudno wykreować mistrza świata... Może inny selektoner miałby więcej szczęścia? A może – jak tu i ówdzie sugerują - drużynie przydałby się psycholog?

Źle postawiona diagnoza. To, co wystarczy na poprawną grę w różnych ligach, to stanowczo za mało na potrzeby reprezentacji. Tu wymagana jest wyższa jakość. Dlaczego jednak nigdy się udawało, a dziś już nie? Regres jest widoczny. Technika większości ligowców

nadal jest co najwyżej przeciętna, kondycja – to skandal – na pół godziny, a taktyka wyraźnie przerastająca możliwości wykonawców. I to właśnie jest najistotniejszą przyczyną naszych niepowodzeń na arenie międzynarodowej. Odczuwamy niedobór dobrze wyszkolonych i odpowiednio przygotowanych piłkarzy. Czy temu wszystkiemu jest winien wyłącznie Paweł Janas?

Bałamutne sugestie. Kowale zawinili, a usiłuje się powiesić Cygana. Selekcjoner ma ograniczone możliwości szlifowania formy niedotrenowanych piłkarzy. Reprezentacja gra teraz praktycznie „z marszu”. W przeszłości nigdy i nikomu to się nie udawało. Koncewicz i Górski szkoleniowe partactwo w klubach w miarę skutecznie mogli naprawić na długachnych zgrupowaniach kadry. Teraz uniemożliwiają to przepisy FIFA i UEFA, wrzask podnoszą też współcześni bonzowie klubowi w kraju i zagranicą. Tu koło się zamyka, nie ma już przychylniej „pogody dla selekcjonerów”.

O faktycznej wartości każdego piłkarza i każdej drużyny – z uporem to powtarzam – decydują przede wszystkim umiejętności techniczne. Gdzie jednak dziś szukać takich mistrzów tej specjalności, jakimi niegdyś byli: Gracz, Cieślik, Brychczy, Liberda, Gadocha, Janusz Kowalik lub Szoltyśik? Trafiają więc do reprezentacji zawodnicy niedouczeni, często zwykli wyrobownicy lub mocno już wyeksploatowane „odrzuty z eksportu”. Janasa można i trzeba winić, że ich powołuje, ale za wyszkolenie i brak siły już nie. Abecadła nauczył ich jakiś belfer z podstawówki, ale potem już nikt nie potrafił odpowiednio wyszkolić, zabrakło dobrego „szlifierza” talentów. Kondycję można stracić już po jednej większej balandze, natomiast odbudowa siły wymaga wielu dni ciężkiej pracy. Na to nie ma czasu na tak krótkich dziś zgrupowaniach kadry. Poza tym stanowczo

za wcześnie i bez racjonalnego uzasadnienia wychwała się przeciętnie wyszkolonych zawodników, a hurtowo potępia selekcjonerów.

Mieliśmy już kiedyś w naszym reprezentacyjnym piłkarstwie „szczęśliwego kapitana”, nazywał się Czesław Krug. Było to określenie przesadne, bo ważnych gier o punkty pan Czesław de facto nie wygrywał. Natomiast Janas wręcz przeciwnie, po odpowiedniej selekcji, zaczął bić rywali jak się patrzy. Na to antagoniści przypięli mu łatkę „szczęśliwego selekcjonera”. Gdy przegrywał, to był „nieudacznikiem”, a kiedy spuszczał baty rywalom, to... dopisywało mu szczęście. Nie wiedza, doświadczenie, wyobraźnia, odpowiednia strategia, że o taktyce i umiejętnym wykorzystywaniu możliwości zawodników już nie wspomnę, tylko – szczęście. Przed kolejnymi meczami eliminacyjnymi z Austrią i Walią miał go wprawdzie niewiele, bo ze składu wypadli chorzy lub kontuzjowani: Arkadiusz Głowacki, Michał Żewłakow, Damian Gorawski i Euzebiusz Smolarek, mimo to przezwyciężył wszystkie kłopoty i przywiózł z tymi graczami, których miał do dyspozycji, sześć punktów z Wiednia i Cardiff.

Z reguły każda drużyna, a więc także reprezentacja, gra na obraz i podobieństwo swojego trenera. On tworzy drużynę, nadaje jej określonego kształtu, narzuca myśl taktyczną, napawa duchem walki i umacnia wiarę w zwycięstwo. Siły nadprzyrodzone niewiele tu znaczą, a i uczone wywody psychologów odgrywają tu dużo mniejszą rolę, niż kompetencje selekcjonera-trenera. Nie przypadkowo ujmuję to w takiej konwencji, bo trzy kolejne wyjazdowe zwycięstwa ekipy Janasa w eliminacjach mistrzostw świata, kreują go na szkoleniowca w pełnym wymiarze – właśnie selekcjonerskim i trenerskim. Dotychczas z tych dwóch zadań najlepiej wywiązywał się Kazimierz Górski. Jemu też mniej przychylni ludzie przypisywali ksywkę „szczęściarz”. Dziś jest Trenerem Stulecia.

Może właśnie Janas będzie kontynuatorem dzieła Wielkiego Mistrza?

O wadze wygranych spotkań z Austrią i Walią, niejako na przekór nawiedzonemu Janowi Tomaszewskiemu i zwolennikom byłego selekcjonera Jerzego Engela, na łamach „Polskiej Piłki” dość jednoznacznie wyraziłem swoją opinię w dwóch tekstach: **„Zwrot w dobrym kierunku”** i **„Co dalej?”**. Starąłem się tam odwieść „pana Janka” od permanentnego trzymania nad głową Janasa „miecza Damoklesa”, a zawziętych krytyków selekcjonera, owych inicjatorów polowania na Janasa, skłonić do nieco cieplejszego spojrzenia na jego dotychczasowe osiągnięcia. Znany aktor i reżyser, przy tym niezłe kopiący piłkę artysta Olaf Lubaszenko, skromnie zasugerował znawcom piłki nożnej „z okiem pociągu pośpiesznego”, aby zdobyli się na odwagę i przeprosili ofiarę nieudanych łowów. Milczą do dziś...

Jednym z piszących, którzy nie ustrzegli się przedwczesnej krytyki Pawła Janasa, był również – ubolewam z tego powodu, bo to mój wychowanek - Roman Hurkowski. Znam go praktycznie od „dziennikarskiego przedszkola”, lubię i doceniam. Wiem też, że ma rozległą encyklopedyczną wiedzę o piłkarstwie, równie dużą o wartości publicystycznej. Wie chłop, co w trawie piszczy! Romek ma jednak pewną szpetną wadę: często coś powie lub napisze znacznie wcześniej, niż pomyśli. Lubi być w gorącej wodzie kąpany. Tą właśnie skłonnością gotów jestem wytłumaczyć nie do końca przemyślany tekst o całej ekipie Pawła Janasa zamieszczony swego czasu w stołecznym „Życiu” redagowanym przez Tomasza Wołka, też mojego młodszego kolegi redakcyjnego z lat siedemdziesiątych. Otóż Hurkowski tak przeżył przegraną z Danią 1:5:

... „W listopadzie 2002 roku Zbigniew Boniek, jako selekcjoner, też przegrał z Danią. Ale tylko 0:2, ale tylko na wyjeździe, ale miał na tyle

honoru, żeby zrezygnować z opieki nad kadra. Czy tak samo zrobi Paweł Janas po wpadce znacznie bardziej kompromitującej?... Tym bardziej, że błędzi już przez ponad półtora roku, podczas gdy Boniek męską decyzję podjął po zaledwie czterech miesiącach”...

FAŁSZYWE „DIAMENTY”

Już tę frazę uznałem za mocno przesadną, choćby z tego względu, że pojęcia „kompromitacja”, „blamaż” i tym podobne w sporcie w ogóle, a w piłce nożnej szczególnie uważam za niewłaściwe. Podobnie, jak i te w stylu „genialnie”, „fantastycznie”, „cudownie”. To wszystko daleko odbiega od rzeczywistości. Myślę, że futbol sam w sobie jest tak atrakcyjny i w swej warstwie wewnętrznej tak nieprzenikniony, że upiększanie go lingwistycznymi skrajnościami jest sporą przesadą. Zamiast potęgować napięcie bardzo często je osłabia. A już zupełnie źle jest, gdy piszący lub mówiący, siląc się na oryginalności, wyrządza krzywdę jednostce lub grupie osób z nią współpracujących.

Za niezręczną uznałbym więc tezę, że winę za początkowe niepowodzenia selektonera ponosi „**twór o nazwie Wronieckie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji**”. Rażą też pojęcia „wygodne gniazdko”, „jakieś tam patenty dla kadry” i „oderwane od rzeczywistości cuda”. Wyraźna przewaga formy nad treścią! W tej sytuacji wątpliwą satysfakcję daje mi taki oto wywód młodszego kolegi:

... „Krytykowaliśmy ustawienie „diamentowe” od samego początku, ale widać Janas przejął się dopiero, kiedy czytał w periodyku „Polska Piłka” te oto słowa wybitnego znawcy tematu red. Jerzego Lechowskiego: - „Nadmierne rozbudowanie drugiej linii, to już tylko jeden krok do

futbolowej „sztuki dla sztuki”. Jest to raczej negowanie, a nie kreowanie podstawowych idei futbolu. To forma jałowego ataku pozycyjnego wyłącznie w środku pola! Natomiast wystawianie w przodzie tylko jednego zawodnika (i to często o zupełnie innych predyspozycjach), to powrót do modnej w latach pięćdziesiątych „gry na desant”. Wraz z „murowaniem” własnej bramki kiedyś nazywaliśmy to antyfutbolem. Czy aż tak bardzo zmienił się wizerunek piłki nożnej, że dziś takie praktyki trzeba utożsamiać z nowoczesnością”.

No i odstąpili Janas ze Skorzą od „diamentu”, ale czy zaproponowali w zamian coś sensownego? Od dawna nie mamy w środku pomocy zawodników kreatywnych. I Kukiełka z Mariuszem Lewandowskim po raz kolejny temu nie zaprzeczyli – stwierdza Hurkowski. Ostrożna, ale merytorycznie w pełni uzasadniona diagnoza. Tylko takie „podpowiedzi” mogą pomóc selekcjonerowi. Inwektywy, połajanki, nośne medialnie polowania z nagonką i nieuzasadnione nawoływanie trenera do dymisji, nic dobrego do sprawy nie wnoszą. Godna uwagi jest tu jednak opinia Wojciecha Kowalczyka: - *„Kadrowicze z klubów zagranicznych często lekceważą towarzyskie mecze międzypaństwowe”*. Znamy ten ból od ładnych kilku lat. Doznali go praktycznie wszyscy poprzednicy Janasa.

Jednym z ważnych przymiotów piszących o futbolu, skoro wiedzy nie staje, winno być okazywanie reprezentantom Polski życzliwości i sympatii. Niestety, dziś przeważają złe nawyki „czwartej władzy”, nadmierne skłonności do działań śledczych i permanentne szukanie „dziury w całym”. Po wygranych w Wiedniu i Cardiff (a tam nawet „cudowna” jedenastka Kazimierza Górskiego z Janem Tomaszewskim w bramce padła w walce z walijskimi osiłkami) zarzucono Janasowi, że za późno wprowadził do gry filigranowego Tomasza Frankowskiego, no i

po co „odgrzebał” Radosław Kałużnego. Przekleństwo!...

Czy to były rażące błędy? Moim zdaniem raczej wariant ryzyka wkalkulowany w zamierzoną strategię. Coś więcej niż tylko zwykła konieczność, „nos trenera” i suchy pomysł taktyczny. Przechytrzyć przeciwnika i zaskoczyć! – to był cel zasadniczy. Wartość Frankowskiego siedzącego na ławce rezerwowych rosła z każdą minutą meczu właśnie po przerwie, kiedy rywale już tak wściekle nie atakowali. Wtedy górę wzięły wyobraźnia trenera oraz spryt i inteligencja piłkarza! Tak, to było oczywiste ryzyko ze strony Janasa. Jest ono tylko częścią niewdzięcznej roli selekcjonera obdarzonego przez naturę antycypacją. Efekty pracy rozgrzeszają każdego trenera.

W obecnej kadrze praktycznie nie mamy zawodników klasy światowej, takich jakimi w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych byli: Lubański, Deyna, Gadocha, Lato, Żmuda i Boniek, niewielu też rangi europejskiej. Tym większa zasługa Janasa, że choć ma uboższą kadrę, gromadzi mundialowe punkty i coraz wyraźniej prowadzi ją do kolejnych finałów mistrzostw świata. Udaną jesień reprezentacji w 2004 roku zrodziła przede wszystkim dobrze pojęta zbieżność interesów selekcjonera i zawodników. Mają przed sobą ten sam cel Weltmeisterschaft 2006.

Dokonali nasi piłkarze zwrotu we właściwym kierunku. Łączy ich rozumna strategia i taktyka, dostosowana do faktycznych umiejętności odpowiedzialnych wykonawców. Dalekie to wszystko od utopijnych wizji diamentów, brylantów i tym podobnych bzdur quasi-szkoleniowych. W Wiedniu i Cardiff oglądaliśmy widowiska fascynujące w odbiorze, czytelne, a ich końcowy efekt bardzo korzystny dla dalszych losów eliminacji. Nawet „futbolowa opozycja” przyjęła to z zadowoleniem. To

też zwrot we właściwym kierunku. Żaden selekcjoner „nie ma kławego życia”. Każda jego decyzja, dobra lub zła, rodzi wyjątkowo duże emocje. Sukces jest w stanie wynieść go do rangi bohatera narodowego, porażka – zrodzić tłumy niezadowolonych. Przeżyli ten wymiar wzruszeń wszyscy poprzednicy Janasa. Po wygranych w Belfaście, Wiedniu i Cardiff okrzyczano go „szczęściarzem” i... liczono, że wreszcie w meczu z Francją w Paryżu powinie mu się noga. Przykrość ogromna. Remis z byłymi mistrzami świata i Europy odroczył karę chłosty i nieeleganckie „pożegnanie z Janasem”, co najmniej do wiosny 2005!

Do plejady zblazowanych krytyków dołączył również były reprezentant Polski Piotr Świerczewski. Od dawna wiedziałem, że to „enfant terrible” naszego piłkarstwa, ale to czym uraczył czytelników „Przeglądu Sportowego” po sukcesach „biało-czerwonych” jesienią 2004, wydało mi się krańcowo niegrzeczne, błędne i niesprawiedliwe. ... *„Po dwóch latach – powiedział – w polskiej drużynie znowu główne role odgrywają piłkarze z kadry Jerzego Engela: Kałużny, Rząsa, Kłos, Bąk, Hajto. To trzon zespołu. Dlatego nie wiem, czy selekcjonerem rzeczywiście jest Janas, czy może jednak ciągle Engel!”*... Janas, na pewno Janas, kolego, bo w kadrze nie ma już Świerczewskiego, Kryszalowicza i Hajty – ulubieńców Engela, a pozycja Rząsy i Kłosa też wydaje się być niepewna.

W reprezentacji nie gra się za zasługi, o tym decydują przede wszystkim aktualne umiejętności, forma i... możliwości. A to już nie są mocne atuty trzydziestolatków, notabene przegranych z World Cup 2002 w Korei Południowej i Japonii. Oni nic nowego i jakościowo lepszego już nie wymyślą. Drużyna z jesieni 2004 roku też jeszcze nie była na miarę naszych marzeń i potrzeb reprezentacji na Weltmeisterschaft 2006. Kilku aktorów, nawet tak udanego meczu z Francją w Paryżu, też prochu już

nie odkryje. Tam przed przerwą nasza obrona była „dziurawa”, a funkcje twórcze drugiej linii zbyt jałowe. Wnioski nasuwają się same – w tych formacjach potrzebne są retusze. Ufam, że wiosną 2005 Paweł Janas nie ulegnie „podpowiadaczom”, którzy po długich miesiącach zaciskania pętli na jego szyi, zaczęli nagle sugerować, żeby zamknął listę kandydatów do reprezentacji.

Hola, panowie! Tworzenie reprezentacji jest procesem trwałym. To nie jest jakaś rzecz zamknięta sama w sobie lub niedostępna enklawa. To jest żywy organizm, mający określone fazy rozwoju, a przy tym swoje wzloty i upadki. Jesień 2004 obfitowała głównie w wzloty. Na eliminacje to wystarczyło. Naszą ambicją jest teraz dobry występ w turnieju finałowym. Jest już dobrze, ale musi być jeszcze lepiej! Cieszyć się wypada, że takimi właśnie pobudkami kieruje się Paweł Janas. Credo selekcjonera jest jasne: *„Przed nikim jeszcze nie zamykam furtki do reprezentacji”*. To w sferze selekcji najbardziej różni obecnego selekcjonera od poprzedniego.

Nie ukrywałem w **„Sprawach reprezentacji”** publikowanych na łamach „Polskiej Piłki”, że dostrzegam luki na kilku ważnych pozycjach w zespole. Odradzałem jednak hołubienia mocno już wyeksploatowanych uczestników nieudanej wyprawy na World Cup 2002. Byłby to bowiem zachowawczy styl pracy, typowe zawracanie Wisły kijem. W roku 2004 mieliśmy już obiecujący trzon drużyny narodowej, jej podporami byli bramkarz Jerzy Dudek, środkowy obrońca Jacek Bąk, lewy pomocnik Jacek Krzynówek i napastnik Maciej Żurawski. Poziom zbliżony do mundialowego jesienią 2004 reprezentowali: Marcin Baszczyński, Kamil Kosowski, Mirosław Szymkowiak i Tomasz Frankowski. Podstawowym atutem każdego z nich jest niezłe wyszkolenie techniczne. To jeszcze nie cała drużyna! Ale na tym fundamencie łatwiej o wybór najwłaściwszego

systemu gry i najskuteczniejszej taktyki. O motorykę, odporność organizmów na wysiłek, a to od dość dawna jest naszą słabą stroną, muszą zadbać sami zawodnicy.

A jak tę udaną jesień 2004 i sposób gry reprezentacji ocenili w „Przeglądzie Sportowym” byli selekcjonerzy?

Antoni PIECHNICZEK: - „Wreszcie zaczęliśmy strzelać bramki i wygrywać mecze wyjazdowe. Nadal jednak szwankuje gra obronna”.

Wojciech ŁAZAREK: - „Cudowna metamorfoza! Z nicości powoli rodzi się coś wielkiego i obiecującego. Gdyby jeszcze lepiej grali obrońcy”...

Andrzej STREJLAU: - „Zaimponowała mi konsekwencja i dyscyplina taktyczna we wszystkich trzech meczach wyjazdowych. To był klucz do zwycięstwa”.

Henryk APOSTEL: - „Szkoda punktów straconych z Anglią w Chorzowie. Nawet przy remisie na Śląsku była szansa na liderowanie w grupie. Zawiedli niektórzy obrońcy”.

Janusz WÓJCIK: - „Podziwiam skuteczność drużyny tak w ataku, jak i w obronie, ale nie styl, jaki reprezentowała. Pod tym względem było ubogo, a zupełnie źle w drugiej linii. Rywale dominowali w środku pola”.

Jerzy ENGEL: - „Ucieszył mnie powrót do ustawienia 1+4+4+2. To dla „biało-czerwonych” najwłaściwszy i w praktyce najskuteczniejszy sposób gry. Niepotrzebnie tracono czas, próbując inne warianty”.

Można by zostawić te uwagi bez komentarza, ale korci człowieka do wyrażenia i w tej sprawie własnego zdania. Dziwić się przede wszystkim należy, że trener Jerzy Engel –między wierszami – ma za złe Pawłowi Janasowi, że tak długo (i niepotrzebnie?!) eksperymentował. A to przecież prawo i obowiązek każdego selekcjonera. Tylko w ten sposób,

właśnie poprzez eksperymenty, doświadczenia dochodzi się do prawdy. Fakt, początkowo błędził, ale liczne próby, mniej lub bardziej udane, ostatecznie skierowały go na właściwą drogę. Nadal jest długa i kręta, ale znany jest już sposób, w jaki należy ją pokonywać. Tu w pełni zgadzam się z byłymi selekционерami: przede wszystkim trzeba doskonalić grę w obronie i drugiej linii! To zadanie numer jeden przed Weltmeisterschaft 2006. Czy w tym samym układzie personalnym? Potrzebny jest zastrzyk świeżej krwi!

Wnikliwego obserwatora naszej sceny piłkarskiej w roku 2004 niewątpliwie targwały mieszane uczucia. Z jednej strony musiały cieszyć postępy czynione przez reprezentację, w efekcie nadzieja na kolejny udział w finałach mistrzostw świata, ale z drugiej martwił niemal kompletny marazm szkoleniowy w relacji klubowej. Tu było nam (i jest nadal) znacznie dalej do Europy, niż z drużyną narodową na salony światowe. W krajowej lidze coraz wyraźniej odczuwa się brak pełnowartościowego zaplecza dla pierwszej reprezentacji. Uzdolnioną młodzież wypierają niskiej klasy obcokrajowcy. Janas z konieczności korzysta więc głównie z usług polskich piłkarzy występujących w ligach zagranicznych. Na dłuższą metę nie jest to najlepsze rozwiązanie. Pogoń klubów za miernością zagraniczną hamuje reprezentacyjne funkcje naszej ligi. A to lada dzień może grozić kadrową pustką. Ubolewać należy, że taki „czarny scenariusz” najenergiczniej kreśli w Szczecinie Antoni Ptak.

W każdej reprezentacji winna być zachowana równowaga między starszymi i młodszymi zawodnikami. W naszej kadrze te proporcje są zachwiane, zaczynają przeważać zawodnicy trzydziestoletni. Wiem, same nazwiska i metryki urodzeń nie grają, ale jestem przekonany, że już teraz przydało by się drużynie narodowej kilku dwudziestolatków, takich na

przykład jak: Władysław Żmuda, Zdzisław Kapka, Antoni Szymanowski lub Kazimierz Kmiecik w roku 1974, nie mówiąc już o nieco starszych ich partnerach Grzegorzu Lacie i Andrzeju Szarmachu. Teraz rolę „młodych wilczków” mogliby spełniać Grzegorz Rasiak, Andrzej Niedzielan, Sebastian Mila lub Paweł Brożek, ale akurat w roku 2004 los nie zawsze im sprzyjał. Będziemy więc skazani li tylko na utrzymywanie w dobrej formie mocno już wyeksploatowanych trzydziestolatków?

To problem głównie dla selekcyjnera. Kierownictwo PZPN akurat w roku swej pięćdziesięcioletniej przynależności do UEFA miało na głowie również sporo innych kłopotów. Wciąż nasilał się rozdźwięk między PZPN, a klubami ligowymi, zwłaszcza tych z drugiego frontu, nieustannie manipulującymi wokół rozgrywek. Co jakiś czas, głównie w Jaworznie odgrzewano kulisy zeszłorocznego przekrętu w meczach barażowych Garbarni-Szczakowianki ze Świttem Nowy Dwór Mazowiecki. W rezultacie sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Warszawie, a skierował ją tam PZPN jako skargę na wyrok Trybunału Arbitrażowego PKOl. I tu kolejny pat. Potwierdził to w „Polskiej Piłce” dyrektor Departamentu Prawnego PZPN, Andrzej Wach:

... „Ani Sąd Okręgowy, ani Sąd Apelacyjny w Warszawie nie wypowiedziały się dotychczas co do jakiegokolwiek aspektu postępowania prowadzonego przez Trybunał Arbitrażowy PKOl, ani też wydanego przezeń wyroku... Niechęć sędziów cywilnych do merytorycznego rozpoznania przedmiotowej sprawy jest, mimo wszystko – zaskakująca i niezrozumiała... Z przyczyn niezależnych od stron postępowania arbitrażowego sprawa wróciła zatem w pewnym sensie do punktu wyjścia”.

A jaki będzie finał? Projekt nowelizacji artykułu 41 Ustawy o Kulturze Fizycznej z 20 lipca 2004 roku uwzględnia możliwość składania

kasacji do Sądu Najwyższego. Na razie jest to melodia przyszłości. W tej sytuacji Zarząd PZPN podjął w dniu 28 czerwca 2004 roku decyzję o ponownym przeprowadzeniu przez Wydział Dyscypliny PZPN postępowania mającego na celu wyjaśnienia okoliczności, które na linii Jaworzno-Nowy Dwór doprowadziły do skandalu na skalę ogólnopolską. Przepychanki trwają, ale pojawiła się też nadzieja na ostateczne rozwiązanie tej pyskówki wyłącznie przez środowisko piłkarskie. Do sezonu 2005/2006 PZPN uprawnił do gry oba zwaśnione kluby. Echa sporu jednak nie ucichły.

PZPN zbiera też cięgi za fatalną postawę większości sędziów wszystkich klas, nie tylko ligowych. Rozjemcy piłkarscy nigdy nie mieli u nas dobrej prasy. Nawet w czasach Kazimierza Bukowskiego, Grzegorza Aleksandrowicza, Juliana Mytnika, Wacława Majdana i dużo, dużo wcześniej byli krytykowani. Niektórych nawet lżono, ale głównie ze względu na nie zawsze właściwe podjęcie decyzji czysto sportowych, natomiast bardzo rzadko z powodu skłonności do przekupstwa i moralnej rozwiązłości. Teraz gromy na sędziów spadają z różnych stron. U schyłku 2004 roku w dzienniku „Fakt”, specjalizującym się w wykrywaniu i opisywaniu skandali, dopatrzono się szczególnie nagannych zachowań kilku arbitrow.

W zamian za usługę seksualną obiecywali kandydatom płci odmiennej awans do sędziowskiej elity. To niewątpliwa nowość, bo niegdyś panie z panami na kursach sędziowskich nie bywały. Natomiast „seanse erotyczne” zdarzały się dość często, zwłaszcza wtedy, kiedy panowie byli już po „kilku głębszych”. Jeden z nich przekonywał wówczas towarzystwo, że „chłop po pijanemu nie ma ochoty tylko na szczotkę i jeża, ale... figurce Matki Boskiej już nie przepuści”... Znam też sędziów, którzy nawet tuż

przed wyjściem na boisko nie „odpuszczali” znajomym panienkom. Nigdy jednak w nagrodę nie proponowali im wejścia do „sędziowskiej rodziny”. To był ich ten „mały intymny świat”. No cóż - czasy diametralnie się zmieniły. Niczego nie da się teraz ukryć, wścibska prasa wszystko opíše. Czy zawsze sprawiedliwie i we właściwej formie? Właśnie w „Polskiej Piłce” niemalże w przeddzień tych amoralnych wydarzeń opisanych w „Fakcie” przez Dariusza Łuszczynę, przewodniczący Centralnej Komisji Szkoleniowej i członek Zarządu Kolegium Sędziów PZPN Wiesław Karolak przestrzegął „OSTROŻNIE Z KRYTYKĄ”.

...„Prasa sportowa bardzo krytycznie wypowiada się o pracy sędziów, a jeden czy dwa błędy urastają do rangi problemu iście narodowego. Są to efekty pogoni mediów za sensacją, za zwiększeniem nakładu gazety... Nie ma natomiast czasu i miejsca na spokojną, rzeczową analizę faktów czy też w ogóle na zrozumienie i tolerancję... Różnica, którą postrzegam, dotyczy poziomu organizacyjnego i technicznego polskich klubów i ich drużyn, kultury osobistej zawodników i atmosfery, w której przychodzi pracować naszym sędziom”.

I dalej: - „Sędziowie popełniali, popełniają i będą popełniać błędy w ocenie niektórych przewinień. Błąd sędziego jest nierozłącznym elementem piłkarskiego widowiska. Niestety, w błędach bądź kontrowersyjnych decyzjach polskich rozjemców doszukuje się często rozmyślnego postępowania. Jest to opinia wielce krzywdząca... Wyrażam więc chyba nie tylko osobiste przekonanie, iż polscy sędziowie są szkoleni równie profesjonalni jak ich koledzy w innych krajach, a prezentowany przez nich poziom prowadzenia zawodów jest co najmniej na tym samym poziomie”...

Ze stroną czysto sportową tych wynurzeń pana Karolaka od biedy

można by się zgodzić, bo rzeczywiście „błąd jest nierozłącznym elementem piłkarskiego widowiska”. Narzuca się jednak pytanie: - Jest spowodowany brakiem dostatecznej wiedzy i słabym refleksem arbitra czy świadomym jego działaniem, już wcześniej ukartowanym? I to złe i to niedobre. Gdyby jednak nie było tu żadnych wątpliwości, zapewne nikt z ludzi futbolu nie posądzałby sędziów o łapówkarstwo, skłonności do korupcji lub tylko złą wolę. Bo to przecież nie są i nie muszą być „nierozłączne elementy piłkarskiego widowiska”. To elementy przestępstwa! Na szczęście teraz coraz częściej wykrywane i karane. A co z seksem u sędziów i to w formie o jakiej doniosły „Fakty”? To już nie błąd. To moralne rozwydrzenie!

Po nieudanej próbie zaszczepienia naszej reprezentacji wariantu gry z jednym „diamentem” w napadzie, nie ustały jałowe dyskusje (tu i ówdzie nazywano to nawet „naukowymi rozprawami”) na temat systemu, jakim mogli by i powinni zaskoczyć piłkarski świat „biało-czerwoni”. Szkoda jednak, że te pseudoteoryjki rodziły się głównie na redakcyjnych biurkach lub w rozpalonych głowach piłkarskich prominentów. Stąd sporo nieporozumień, rozczarowań, ubolewań, że na boisku te pomysły się nie sprawdzają. Każdy system i każda taktyka wymaga odpowiednich wykonawców. Selekcjoner kadry narodowej ma w tej materii większe możliwości wyboru w porównaniu z trenerami klubowymi, ale i jemu dość często brakuje odpowiednich kandydatów. Paweł Janas nie jest pierwszym trenerem, któremu – właśnie z tego powodu – przyszło przegryźć nie jedną gorzką pigułkę.

Mija właśnie pół wieku od chwili, kiedy polscy szkoleniowcy, tak na serio podjęli trudne zadanie nadania naszemu futbolowi wizerunku zbliżonego do standardów europejskich. Zadanie to było wyjątkowo trudne, bo – goniąc utracony czas – zdawali sobie sprawę, że wszelkie

kanony piłkarskie, owe systemy gry i taktyka nie są tworamii trwałymi, dość często się zmieniają. To, co w danym momencie uważane jest za nowe w futbolu, z upływem czasu staje się wsteczne, a więc nie postępowe. Nasi trenerzy – pionierzy robili więc wszystko co było w ich mocy, aby nie pozostawać w tyle za powszechnie obowiązującymi wzorcami i szkoleniowymi trendami. Starano się przy tym zachować narodową tożsamość i od czasu do czasu stworzyć nawet co nowego, własnego. Historia mistrzostw świata i Europy daje na to moc przekonujących przykładów.

Poszukiwanie nowych rozwiązań w grze piłkarskiej może się wielu ludziom nie podobać, ale tych, którzy do zmian zmierzają, odważnie eksperymentują, nie trzeba skazywać na banicję, wyrywać im paznokci lub stawiać pod szubienicę. Wytykając światłym trenerom błędy, trzeba jednocześnie rozumieć ich intencje i uszanować prawo do poszukiwania nowych rozwiązań. Kłopot jednak w tym, że po stokroć mądrzejsi od trenerów usiłują być w naszych klubach ich właściciele, sponsorzy, prezesi, przeróżnej maści dyrektorzy i członkowie rad nadzorczych. Oni dają kasę, oni więc o wszystkim decydują. Sponsorów z puli społecznej ledwo widać. Samorządy lokalne głosy domagające się wsparcia zbywają brakiem pieniędzy lub niezyciowymi przepisami. Koło się zamyka. Autorytet szkoleniowców w tej nowej sytuacji wyraźnie podupadł. Stają się bezradni, na względy najczęściej chwilowe mogą liczyć tylko ci potulni jak baranki. Właściciel klubu bywa obrazem, przed którym się modlą. Który z trenerów teraz, tak jak niegdyś Mieczysław Gracz, potrafiłby stanąć w oko w oko przed szefem przedsiębiorstwa i powiedzieć mu kilka słów prawdy?

- Avia nie grała tak, jak życzyłby sobie dyrektor WSK Świdnik –

- przed laty zwierzył mi się „Messu”. - Chodził na mecze rzadziej, niż ja do kościoła, ale po którymś z mniej udanych spotkań swojego drugoligowca, zganił mnie za słabą skuteczność napastników.
- Skrzydłowi powinni grać inaczej! Muszą strzelać. – zawyrokował. – A obrońcy za bardzo pchają się do przodu. Tracimy za dużo bramek. Niech pan coś z tym zrobi, trenerze... Tak dalej być nie może!...
 - Swoją zawód znałem dość dobrze – kontynuował Gracz – ale o budowie śmigłowców nie miałem pojęcia. Z ciekawości i chęci dogryzienia prezesowi wybrałem się więc zaraz po tej rozmowie do hali produkcyjnej. Jest prezes. Panie dyrektorze! Dyrektorze! – krzyczę z daleka. – Tu skrzydła kręcą się nie w tę stronę, jedno jest mocno skancerowane, a tam jakieś kłopoty z podwoziem. Niech pan dyrektor spojrzy. Ktoś tu wypuścił niezły bubel... To grozi katastrofą!...
 - Spokojnie trenerze, spokojnie... Nie ma strachu w naszym fachu. Wszystko w porządku! Mam tu dobrą ekipę. Nasze śmigłowce cenią zagranicą. A pan się na tym po prostu nie zna...
 - No właśnie!... To święta prawda dyrektorze! Pan tu jest mistrzem... Widzę jednak, że równie dobrze zna się na piłce nożnej. Ostatnio tak pewnie mnie pan pouczał... Gdzie kończył pan akademię – w Warszawie czy w Krakowie?

Za tę odwagę Gracz słono zapłacił, dyrektor – prezes rychło zatrudnił innego trenera. „Messu” odniósł jednak moralne zwycięstwo. „Avii” opadły po tym wydarzeniu oba skrzydła i... wylądowała w trzeciej lidze. Obecna zależność trenera od szefa klubu i tak często związane z tym przykre następstwa, nie są więc w naszym futbolu nowością. Mają już długą i

trwałą tradycję. Pozmieniali się tylko decydenci. Niegdyś dyrektorzy przedsiębiorstw i ich polityczni nadzorcy sądzili, że pozjadali wszystkie rozumy, dziś ich role równie skutecznie przejmują właściciele klubów lub wynajęci przez nich prezesi. Trener jest najczęściej li tylko posłusznym wykonawcą ich nie zawsze zdrowych pomysłów. Szkoleniowcy, niegdyś czołowe osobistości w klubie, teraz coraz wyraźniej stają się wyłącznie dodatkiem do ludzi z... kasą.

Wypada współczuć jednym i drugim. W tej niezdrowej sytuacji znaczna część trenerów zaczyna tracić nerwy, jest zagubiona, niepewna swego losu, coraz bardziej podatna na stresy i frustracje. W efekcie uległość wobec pracodawców rodzi proste błędy merytoryczne. Tylko absolutnie pewni swej wiedzy fachowej, jak Orest Lenczyk, bywa, że i niezależni przy tym finansowo, jak na przykład Henryk Kasperczak w Wiśle Kraków, potrafią zachować odpowiedni dystans wobec zwierzchników i postawę godną szkoleniowca. Mniej odporni psychicznie i nieco słabsi przy warsztacie łatwo godzą się z losem i nieprzychylnymi im decyzjami klubowych prominentów. Ale są i tacy, którzy – chcąc się bossom przypodobać – publicznie wygłaszają opinie, które podważają ich szkoleniową wiarygodność. Niekiedy li tylko na pokaz lub dla zamydlenia oczu wymyślają „nowoczesne” systemy i „superskuteczną” taktykę gry. Słabo w tej materii zorientowani przełożeni „kupują” to w ciemno. W klubie niby wszystko wtedy gra, tylko wyników nie ma.

Przerażają pomeczowe wypowiedzi niektórych trenerów. Trudno wtedy pojąć, co się za tym kryje. Własne spojrzenie na zaistniałe wydarzenia czy prezentacja poglądów chlebodawców. Oni z reguły nie mają czasu i cierpliwości na systematyczną pracę. Chcą sukcesów natychmiast! Trenerzy, nawet ci z „nazwiskami” chętnie to obiecują i...

„idą na skróty”. Stawiają na doraźny wynik, a nie systematyczną pracę o wzrost poziomu drużyny. Sztampa i tylko sztampa płynie z ust wielu współczesnych szkoleniowców.

... Taktyka?... Wystarczy dobrze się bronić i kontratakować! – to dewiza niemal powszechna.

... Wisła w gościach skutecznie stosuje kontratak, natomiast u siebie jest zmuszona do ataku pozycyjnego – powtarzają oklepane prawdy nawet w Krakowie.

... Stosujemy taktykę defensywną, bo gra z kontry przyniosła nam już sporo punktów – chwalą się w Grodzisku Wielkopolskim.

... Stawiamy na destrukcję. Lepsze to, niż pięknie przegrywać – przekonują w Polonii Warszawa.

... Mamy kłopoty z atakiem pozycyjnym – ubolewają w Lubinie.

Nikt jednak nie mówi wprost, jakie są tego przyczyny. Brak pomysłu na racjonalne szkolenie. Smutne to, że wracamy do sposobu gry z lat pięćdziesiątych i nikt nie ma odwagi powiedzieć „dość”. Niegdyś Ryszard Koncewicz przestrzegał: - „**Murowaniem bramki nie poprawimy poziomu gry**”. Teraz zachęca się do jałowej gry w głębi boiska: - „*Zagęściliśmy środek pola, bo tak dziś gra się w całej Europie*”. Powoływanie się na europejskie wzory, w dodatku źle realizowane, to słabe alibi. U nas poza Wisłą Kraków Henryka Kasperczaka (i to nie we wszystkich meczach) i Legią pod ręką Dariusza Kubickiego większość pozostałych drużyn stawia na obronę własnej bramki i szczęście w najprostszej formie kontrataku. Kopnij i biegnij! To prymitywna taktyka przekreślająca nasze osiągnięcia szkoleniowe głównie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Atak pozycyjny nie jest łatwy w realizacji, największe kłopoty mają z nim zespoły słabo wyszkolone technicznie. Taka forma akcji ofensywnych

wymaga od zawodników nie tylko odpowiednich cech motorycznych, lecz także dużego wysiłku intelektualnego. Dopiero to ukazuje właściwe oblicze współczesnego futbolu. W Europie dobre kopanie piłki z pracą umysłu po mistrzowsku łączą głównie Francuzi, Holendrzy i Szwedzi. U nas przez kilka lat dobrze to robiła „niepowtarzalna” ekipa Kazimierza Górskiego. Obecnie wolimy rozwiązanie znacznie łatwiejsze, bez głębszej myśli, niekiedy wręcz prostackie. Na własny, wewnętrzny użytek bywa to skuteczne, ale w rywalizacji międzynarodowej jest bliskie zeru i coraz bardziej nas ośmiesza. Nie łatwo było by znaleźć dziś w Europie reprezentacje słabsze od nas technicznie; o drużynach klubowych pisać nawet nie wypada. Przedszkole. Już w wieku juniora dominuje siła i szablon taktyczny.

Maszerowanie drogą na skrót weszło nam w krew i trudno to zburzyć. Nawet w PZPN-ie pion szkolenia jest dla niektórych piątym kołem u wozu. Bagatelizowanie wiedzy, fachowości, otaczanie się ludźmi z najbliższego otoczenia bądź dominującej opcji politycznej, to zmora współczesnego życia społecznego i gospodarczego. Sport nie ustrzegł się tych globalnych zjawisk. Tu również wdarty się złe nawyki, a w futbolu – sportu numer jeden na świecie – są najbardziej dostrzegalne i najostrzej wytykane. Chęć szybkiego osiągnięcia celu jest w piłkarstwie wyjątkowo duża, natomiast wola mozolnej pracy znacznie mniejsza. W klubach chętniej skupują zagraniczny złom, niż budują własne zaplecze. To jest dość istotne podłoże, na którym wyrastają niemal wszystkie rozczarowania. Dziwaczne, szkoleniowo ubożuchne rozwiązania taktyczne cofają nas w tej materii do epoki „radosnej twórczości”. Systemom gry, które już od lat były znane, jesteśmy skłonni przypisywać cechy nowoczesności.

Dokładnie przed pół wiekiem dr Stanisław Mielech dość precyzyjnie

zdefiniował takie pojęcia typowe dla futbolu jak: szkoły, style, systemy i taktyka gry. Na kilku kolejnych unifikacjach nauczania piłki nożnej twórczo rozwijali te wartości polscy trenerzy. Z ich prac korzystali nawet fachowcy zagraniczni, a popularyzatorami naszej myśli szkoleniowej na sympozjach o zasięgu europejskim byli głównie Ryszard Koncewicz, Jerzy Talaga i Antoni Piechniczek. Największe zainteresowanie poza granicami kraju wzbudziły rezultaty unifikacji zorganizowanej w roku 1982 w Jachrance pod Warszawą. Tylko u nas zdobycze tej narady nie osiągnęły zamierzonego celu. Tam jasno i jednoznacznie mówiono, że technika to coś więcej, niż umiejętność przyjęcia, prowadzenia i podania piłki, to przede wszystkim drybling, zwód i strzał. Te trzy czynniki w stopniu największym decydujące o skuteczności w grze ofensywnej, są u nas najbardziej zaniedbane. Dlatego nasi zawodnicy są tak nieporadni w akcjach „jeden na jednego”.

EWOLUCJA SYSTEMÓW GRY

Istotny wpływ na rozwój futbolu, jego kształt i sposób poruszania się zawodników na boisku ma niewątpliwie system, inaczej mówiąc wyjściowe ustawienie drużyny na boisku i związane z tym zadania dla poszczególnych zawodników. To jeden z tych kanonów nowożytnego piłkarstwa, które najwyraźniej obrazują jego ewolucję. Zaczęło się od prymitywnego „kick and rush” (kopnij i biegnij), w którym praktycznie wszyscy zaciekle atakowali, a jedynym zawodnikiem broniącym i przypisanym do stałej pozycji był bramkarz. Nie było w tym żadnej myśli przewodniej, tylko chaos i stadne parcie do przodu. Ale już u schyłku XIX wieku zaczął się kształtować „system klasyczny”. Tworzyły go trzy

odrębne formacje: bramkarz i dwóch obrońców, trzech pomocników i pięciu napastników (1+2+3+5).

W tym ustawieniu obrońcy utrudniali grę głównie łącznikom drużyny przeciwnej, środkowy pomocnik środkowemu napastnikowi, a boczni pomocnicy – skrzydłowym. Po zmianie przepisu o spalonym (1925) grę klasyczną zaczął wypierać system „trzech obrońców” zwany w skrócie WM. Do Polski trafił z dużym opóźnieniem. Jeszcze w latach trzydziestych (i później) praktycznie wszystkie nasze drużyny klubowe i reprezentacja wierne były ustawieniu 1+2+3+5 i lepiej się w nim czuły. W przededniu wybuchu drugiej wojny światowej „biało-czerwoni” potwierdzili to w zwycięskim meczu (4:2) z reprezentacją Węgier, wicemistrzem świata z 1938 roku.

W Europie i na świecie już od dość dawna z powodzeniem grano jednak systemem „trzech obrońców”. Z takim sposobem gry Polacy po raz pierwszy spotkali się w roku 1936 na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie, w meczu z Norwegami, którego stawką był brązowy medal. Rywale całkowicie zaskoczyli nas tym nowatorskim sposobem gry, inną – nieznaną dotychczas rolą poszczególnych zawodników na boisku. Długo byliśmy bezradni i ostatecznie zaprzepaściliśmy szansę na zwycięstwo. Tuż przed wojną Niemiec Kurt Otto i Anglik James Alex próbowali zaszcześcić na polskich boiskach podstawowe wartości systemu „trzech obrońców”, ale długie lata niewoli nie pozwoliły na jego rozpowszechnianie. Pierwsi po 1945 roku mistrzowie Polski Polonia Warszawa, Warta Poznań i Cracovia grały więc w ustawieniu 1+2+3+5. Także reprezentacja w pierwszych po wojnie meczach międzypaństwowych tkwiła w tym już mocno przestarzałym sposobie gry. Próba przejścia na system „trzech obrońców” i „magiczny kwadrat” 1+3+(2+2)+3 w meczu z Danią w

Kopenhadze w 1948 roku zakończyła się katastrofą, przegraliśmy 0:8.

Zanim jednak Wacław Kuchar podjął w Kopenhadze próbę przejścia z „systemu klasycznego” na „trzech obrońców” i doznał tam wraz z drużyną totalnego niepowodzenia, niejako na pożegnanie ustawienia 1+2+3+5 triumfował w Warszawie w spotkaniu z Czechosłowacją. Wygraną 3:1, pierwszą po wojnie z tak dobrą drużyną (niespełna rok wcześniej w Pradze było 6:3 dla rywali), słusznie porównywano do przedwojennego zwycięstwa 4:2 nad Węgrami. Trzon zespołu w meczu z Czechami tworzyli piłkarze ze Śląska i Krakowa: odważny bramkarz Antoni Janik z Pogoni Katowice i bramkostrzelny Gerard Cieślik z Ruchu Chorzów oraz wytypowani niedawno przez Henryka Reymana do reprezentacji Europy środkowy pomocnik Tadeusz Parpan z Cracovii i prawy łącznik Mieczysław Gracz z Wisły. Dobrze zagrał cały zespół, ale było wówczas jeszcze kilku zawodników o równie wysokich umiejętnościach: bramkarz Jerzy Jurowicz z Wisły, prawy obrońca Władysław Gędłek z Cracovii i pomocnik Czesław Suszczyk z Ruchu. W schyłkowym okresie ustawienia 1+2+3+5 najlepiej prezentowała się drużyna w składzie:

Antoni Janik (Pogoń Katowice) – **Henryk Janduda** (AKS Chorzów), **Antoni Barwiński** (Tarnovia) – **Tadeusz Waśko** (Legia), **Tadeusz Parpan** (Cracovia), **Gerard Gajdzik** (AKS Chorzów) – **Henryk Alszer** (Ruch), **Mieczysław Gracz** (Wisła), **Józef Kohut** (Wisła), **Gerard Cieślik** (Ruch), **Zdzisław Mordarski** (Wisła). W tym klasycznym ustawieniu również dobrze sobie radzili: Henryk Skromny (Legia), Edward Brzozowski (Polonia Warszawa), Mieczysław Szczurek (Wisła), Henryk Bobula (Cracovia), Maksymilian Barański (AKS Chorzów), Henryk Spodzieja (AKS Chorzów), a także przedwojenni reprezentanci Władysław Szczepaniak (Polonia Warszawa) i Stanisław

Baran (ŁKS Łódź).

W Europie i na świecie bezapelacyjnie królował jednak system „trzech obrońców”. Teoretycy i praktycy futbolu już w roku 1925, zaraz po zmianie przepisu o spalonym uznali, że wciąż „pada za dużo bramek”. Można z tym dyskutować, bo istotą gry w piłkę nożną jest właśnie zdobywanie goli, przeto myślę, że „reformatorom systemów” szło tu nie tylko o większe bezpieczeństwo pod własną bramką, lecz głównie o zachowanie równowagi w działaniach atakujących i obronnych. Największym orędownikiem tych idei był dyrektor londyńskiego Arsenalu, Herbert Chapman, słusznie przez historyków futbolu uważany za twórcę systemu „trzech obrońców”.

Co się zmieniło w porównaniu z grą klasyczną? W napadzie nowości było niewiele, nadal w przodzie dwaj skrzydłowi i środkowy napastnik, a tuż za nimi nieco cofnięci łącznicy. Istotne zmiany nastąpiły natomiast w obronie i pomocy. Do tradycyjnej pary bocznych obrońców do centrum tej formacji wycofano środkowego pomocnika. Teraz ten tercet defensywny wraz z parą pomocników przypominał w swoim układzie na boisku literę M, zaś kwintet ofensywny literę W. Stąd też grę z trzema obrońcami nazywano potocznie, ale jakże obrazowo - systemem WM. Nie koniec na tym, do rangi „mózgu” drużyny podniesiono parę łączników i duet pomocników, błyskotliwie określając ich rolę w zespole jako „magicznego kwadratu”. Wyjściowe ustawienie graczy na boisku w systemie WM wiernie oddaje schemat liczbowy $1+3+(2+2)+3$.

Spójrzmy uważnie na to ustawienie. Czy nie przypomina ono lansowanego już w naszych czasach systemu $1+3+4+3$? Siłę zespołu stanowi tu czteroosobowa druga linia, nadal zwana pomocą. A wtedy? Zawsze była i jest to formacja, od której wymaga się największej

wszechstronności i... pracowitości. Z jednej strony przemyślanej konstrukcji akcji ofensywnych, a z drugiej – skutecznej już w środku pola gry obronnej. Głównie w latach trzydziestych, kiedy system „trzech obrońców” był w futbolu powszechnie stosowaną nowością, a „magiczny kwadrat” (czworobok) osiąą drużyny, twierdzono, że **„wraz z nim system wznosi się lub upada”**. Jak to powinni rozumieć współcześni? Jeśli druga linia ma w sobie więcej cech ofensywnych, to wzbogaca piękno futbolu, natomiast – gdy przeważają w niej elementy destrukcji – owa siła systemu rzeczywiście staje się uboższa. Przypomina często jałową „sztukę dla sztuki”, w efekcie futbol bez goli.

Czterooosobowe linie pomocy, a niegdyś „magiczny kwadrat”, są dużą szansą dla zawodników dobrze wyszkolonych, wszechstronnych, bez kłopotów radzących sobie pod obiema bramkami. Tak właśnie grano już grubo przed pół wiekiem, wzdłuż i wszerz boiska, od jednego pola karnego do drugiego. W systemie „trzech obrońców” parę rozgrywających tworzyli głównie dwaj łącznicy, a wspierali własnych obrońców – obaj pomocnicy. Przypomina to dzisiejszy podział na pomocników ofensywnych i defensywnych. Na pozór nie wymyślono więc nic nowego, jak powiedziałby rabin Ben Akiba – „wszystko już było”, także wciąż modne pojęcie taktyczne „pomocnik przed atakiem”. Tak czy inaczej dobry zawodnik drugiej linii musi umieć grać i w obronie i ataku!

W systemie klasycznym środkowy napastnik był kluczową postacią w drużynie, przypisywano mu obok egzekutora rolę kierowniczą w napadzie. W ustawieniu 1+3+(2+2)+3 „center ataku” miał przede wszystkim strzelać bramki, a skrzydłowi przygotowywać mu dogodne pozycje strzeleckie lub „ścinać rogi”, czyli też wdzierać się na pole karne i samemu zdobywać gole. To niby takie staroświeckie, że aż wierzyć się nie

chce, iż w XXI wieku graczom ofensywnym zaleca się podobne zadania. I, o zgrozo, nazywa to taktyczną nowością! W grze obronnej dyscyplinę zaostrzono też już przed pół wiekiem. Pojawienie się „techniki szybkiej”, na jeden kontakt, wymagało stałego doskonalenia umiejętności. Na tradycyjne „kopnij i biegnij” praktycznie nie było już żadnych szans. Futbol stawał się coraz bardziej „wyznaczony”.

System „trzech obrońców” w większości krajów utrzymał się niemal do końca lat pięćdziesiątych. Starano się go ulepszać, doskonalić, wymyślano różne warianty, jedne bardziej ofensywne z pomocnikiem przed atakiem, inne bardziej defensywne z forstoperem przed trójką obrońców. Przeważały jednak opinie, że tak rozumiane ustawienie 1+3+(2+2)+3 jest zbyt zachowawcze, defensywne i... zabija podstawowe idee piłki nożnej. Sprzyja „murowaniu” bramki. W Polsce tę właśnie możliwość najdłużej i najsukuteczniej wykorzystywano w Lechii Gdańsk i Lechu Poznań, gdy ze słynnego tercetu A – B – C ostał się tylko Teodor Anioła. Lechia niemal zawsze odczuwała brak odpowiedniej siły ognia. Natomiast z reguły futbol odważny, ofensywny prezentowały Górnik Zabrze, Legia Warszawa, Polonia Bytom, Ruch Chorzów i częściowo ŁKS Łódź. Swoistą mieszankę systemu klasycznego i „trzech obrońców” w okresie swej powojennej prosperity dość udanie wykorzystywała Wisła Kraków.

Piłkarski świat wyczuwał potrzebę zmiany utrzymującego się ponad 30 lat systemu WM. Rzeczywiście przestał być atrakcyjny. W Europie już w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Węgrzy jako pierwsi postawili na wzmocnienie siły ataku. W efekcie stali się twórcami przejściowego systemu „trzech w obronie i czterech w ataku”. Tę wysuniętą czwórkę napastników tworzyli najczęściej: Budai, Kocsis, Puskas i Czibor,

natomiast nieco poza nimi (w głębi boiska) operował główny strateg – Hidegkutti, tworząc wraz z Bozsikiem i Zakariasem de facto trzyosobową drugą linię.

W Polsce, oczywiście za sprawą Węgra Janosa Steinera, tak w tym samym czasie grała Legia Warszawa. Nieco później ten wariant systemu „trzech obrońców” w kilku meczach zastosowała również nasza reprezentacja. Jednak nadal najczęściej preferowano ustawienie 1+3+(2+2)+3. Na uwagę zasługuje pomysł Tadeusza Forysia w zwycięskim w roku 1957 meczu z ZSRR w Chorzowie. Też grano tam czwórką w napadzie: Brychczy, Kempny, Cieślik, Lentner, ale nie środkowy napastnik, lecz nominalny prawoskrzydłowy Edward Jankowski spełniał funkcję trzeciego pomocnika. Wspierał głównie hasającego po prawej flance „Kiciego”. Była to wtedy jeszcze nieśmiała, ale już skuteczna forma gry z fałszywym skrzydłowym”. Nigdy nie zapomnę tego fascynującego meczu z „ruskimi”. Ten właśnie i kilka równie udanych utwierdziło mnie w przekonaniu, że największą klasę w systemie „trzech obrońców” reprezentowała jedenastka w składzie:

Edward Szymkowiak (Polonia Bytom) – **Stefan Floreński** (Górnik Zabrze), **Roman Korynt** (Lechia Gdańsk), **Jerzy Woźniak** (Legia) – **Marceli Strzykowski** (Legia), **Edmund Zientara** (Legia) – **Ernest Pohl** (Górnik Zabrze), **Lucjan Brychczy** (Legia), **Teodor Anioła** (Lech Poznań), **Gerard Cieślik** (Ruch Chorzów), **Krzysztof Baszkiewicz** (Gwardia Warszawa).

W reprezentacji znacznie częściej od Anioły i Baszkiewicza występowali: Henryk Kempny, Stanisław Hachorek i Roman Lentner, ale za poznańskim „bombardierem z Dębca” przemawiają głównie niecodzienne osiągnięcia strzeleckie w lidze, a za „Baśką” doskonały

występ (i gol) w remisowym meczu z RFN w Hamburgu oraz świetna postawa w spotkaniach z ZSRR w Moskwie i Lipsku. Na tle lekkiej kawalerii prezentowanej głównie przez Brychczego i Cieślaka były to dwa trudne do zatrzymania piłkarskie czołgi. Silną w tej jedenastce pozycję Baszkiewicza umacnia jeszcze brawurowa gra podczas tournée Gwardii Warszawa w Wielkiej Brytanii w roku 1957, a także bramka zdobyta trzy lata później w zwycięskim (3:2) pojedynku ze Szkocją na Hampden Park w Glasgow. Mocne punkty reprezentacji w systemie „trzech obrońców” stanowili również prawy obrońca Henryk „Burza” Szczepański i pomocnik Ginter Gawlik oraz Tomasz Stefaniszyn, Edward Jankowski, Leszek Jezierski i Kazimierz Trampisz.

W roku 1958 podczas mistrzostw świata w Szwecji narodziła się klasyczna „brasiliana”, to znaczy ta w ustawieniu 1+4+2+4. Ten schemat, niemal idealnie zapewniający równowagę w obronie i ataku, a przez Brazylię realizowany perfekcyjnie, dał jej pierwszy tytuł mistrza świata. Szczególnie duża rola i odpowiedzialność w grze spoczywała tu na parze pomocników Didi – Zito. Oni w stopniu największym wspierali atak i obronę, widać obu natura najhojniej obdarzyła „podwójnymi płucami”. Ofensywne zadania w „brasilianie” wykonywali również (oczywiście na zmianę) obaj boczni obrońcy Djalma Santos (prawy) i Nilton Santos (lewy). Cztery lata później w Chile Brazylia znowu wygrała Mundial, ale jej „brasiliana” przybrała już nieco inny kształt: 1+4+3+3. Tym trzecim pomocnikiem („fałszywym” lewoskrzydłowym) był Mario Jorge Zagalo. A w przodzie hasało tam „cudowne trio”: Garincha, Vava, Pele.

Ustawienie 1+4+2+4 względnie 1+4+3+3, oczywiście w różnych wariantach taktycznych, utrzymało się prawie piętnaście lat. Na polskich boiskach, tak z udziałem drużyn ligowych, jak i reprezentacyjnych,

na dobre „brasiliana” zadomowiła się dopiero w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Wszystkie w tym czasie nowelizacje tego systemu miały na celu wzmacnianie defensywy. Pojawił się więc z czasem sposób gry z tak zwanym „wymiataczem” w obronie, czwórką pomocników i parą napastników czyli $1+(1+3)+4+2$. W takim ustawieniu nasz Górnik Zabrze w roku 1967 zagrał w Kijowie w zwycięskim (2:1) meczu z Dynamem w Klubowym Pucharze Mistrzów Europy, a reprezentacja w jeszcze bardziej betonowym schemacie taktycznym $1+(1+4)+2+3$ na stadionie Heysel w Brukseli; pokonała wtedy drużynę Belgii 4:2. Sądzę, że zanim Kazimierz Górski i jego niepowtarzalny zespół zdobył w RFN trzecie miejsce na świecie, w różnych wariantach „polskiej brasiliany” najlepiej swoje role odgrywali:

Hubert Kostka (Górnik Zabrze) – **Roman Strzałkowski** (Zagłębie Sosnowiec), **Jacek Gmoch** (Legia), **Stanisław Oślizło** (Górnik), **Zygmunt Anczok** (Polonia Bytom) – **Zygfryd Szoltyś** (Górnik), **Bernard Blaut** (Legia) – **Jan Banaś** (Polonia Bytom), **Włodzimierz Lubański** (Górnik), **Jan Liberda** (Polonia Bytom), **Andrzej Jarosik** (Zagłębie Sosnowiec).

Dobrze w tym ustawieniu spełniali się również Władysław Stachurski i Janusz Żmijewski (obaj Legia) oraz Zygmunt Szmidt (GKS Katowice), Ryszard Grzegorzczak, Walter Winkler (obaj Polonia Bytom), Antoni Nieroba (Ruch), Henryk Latocha, Jan Kowalski (obaj Górnik) i Jerzy Sadek (ŁKS). Także wielcy mistrzowie z czasów systemu „trzech obrońców” – Lucjan Brychczy i Ernest Pohl byli w tym ustawieniu prawdziwymi gwiazdami. U schyłku reprezentacyjnej kariery – byli równie dobrymi pomocnikami jak niegdyś napastnikami. Tej klasy piłkarze z powodzeniem mogliby grać w każdym systemie i w każdym

towarzystwie. Również dzisiaj.

Ulepszanie „brasiliany” kontynuowano na mistrzostwach świata w Anglii w 1966 roku. Na pierwszy rzut oka zasadniczym celem znowu było wzmocnienie obrony, w rzeczywistości tylko nieco inny, bardziej precyzyjny podział ról w zespole. Ustawienie 1+(1+3)+4+2 z „wymiataczem” i tylko dwoma napastnikami teoretycznie ograniczało możliwości odważnych działań atakujących. W praktyce mocno je potęgowały dzięki ofensywnym manewrom obu bocznych obrońców, w wypadku Anglii – mistrza świata J. Cohena i R. Wilsona. W wielu meczach wykonywali oni zadania typowe dla skrzydłowych w poprzednich systemach gry. Teoretycy futbolu uznali te praktyki za początek „gry totalnej”. Oprócz Anglików próby tej wersji futbolu już na tych mistrzostwach podejmowali Niemcy. Znacznie więcej reprezentacji przejęło ten system na kolejnych mistrzostwach świata w roku 1970 w Meksyku.

Jednak największe zasługi w prezentowaniu „futbolu totalnego” położyli Holendrzy. Najpierw błysnął niezwykle mocny w tamtych czasach Ajax Amsterdam z Krolem, Neeskensem, Cruyffem, Keizerem i Repem, zaraz potem reprezentacja, bo właśnie Ajax stanowił jej trzon i przeniósł na ten grunt swój nowatorski sposób gry. Dotychczas o takiej formie futbolu ogólniej mówiono jako o „grze wszystkimi siłami”, teraz odważnie i jednoznacznie nazywając to „grą totalną”. Wzorem dla wszystkich byli tu więc „pomarańczowi”, ale na mistrzostwach świata w roku 1974 w Republice Federalnej Niemiec równie dobrze taką formę futbolu zaprezentowali gospodarze (mistrz świata) i Polacy.

Te trzy reprezentacje w stopniu największym imponowały niespotykaną dotychczas szybkością w rozgrywaniu akcji, wytrzymałością, wszechstronnością, wysokim stopniem wyszkolenia techniczno-

taktycznego oraz sprawną wymiennieścią funkcji i zadań w drużynie. Dawnego „wymiatacza” zastąpił wykonujący znacznie więcej i bardziej złożonych zadań „libero”, a skrzydłowi i boczni obrońcy na przemian (niekiedy nawet jednocześnie) spełniali swoje niełatwe funkcje zarówno w ataku jak i w obronie. Była to forma futbolu głęboko przemyślanego i doskonale zorganizowanego. Każde ogniwo było w tym „totalnym kotle” mocne i trwałe. Nie krępowało to improwizacji, ale przypadek ograniczało do minimum. Nasza reprezentacja, może poza małymi wyjątkami, miała zawodników dobrze przygotowanych do prezentacji takiego właśnie futbolu. Docenił to cały piłkarski świat. Przypomnijmy więc aktorów tych pięknych widowisk w wykonaniu „biało-czerwonych” anno 1974.

Jan Tomaszewski (ŁKS Łódź) – Antoni Szymanowski (Wisła Kraków), Władysław Żmuda (Gwardia Warszawa), Jerzy Gorgoń (Górnik Zabrze), Adam Musiał (Wisła) – Henryk Kasperczak (Stal Mielec), Kazimierz Deyna (Legia Warszawa), Zygmunt Maszczyk (Ruch Chorzów) – Grzegorz Lato (Stal), Andrzej Szarmach (Górnik), Robert Gadocha (Legia).

To „żelazny skład”, a przecież z ławki rezerwowych wchodził do gry równie utalentowani i dobrze wyszkoleni: **Lesław Ćmikiewicz (Legia), Mirosław Bulzacki (ŁKS), Kazimierz Kmiecik (Wisła), Zdzisław Kapka (Wisła), Jan Domarski (Stal) i Zbigniew Gut (Odra Opole).** Przewlekła kontuzja wyłączyła z gry Włodzimierza Lubańskiego (Górnik Zabrze).

Ci wybitni piłkarze grali w ustawieniu wyjściowym 1+(1+3)+3+3. W niektórych fazach spotkań sięgano również po formułę 1+4+4+2. Robert Gadocha na lewej stronie naszego ataku wykonywał również zadania typowe dla pomocnika. W następnych latach okazało się, że

takie ustawienie jest dla naszych piłkarzy bardzo korzystne. W grze czterema pomocnikami i tylko dwoma napastnikami teoretycznie nieco więcej miejsca poświęca się defensywie, ale akurat „biało-czerwonym” na mistrzostwach świata w roku 1982 w Hiszpanii pomogło to w wywalczeniu po raz drugi trzeciego miejsca na świecie. Postarali się o to:

Józef Młynarczyk (Odra Opole) - Marek Dziuba (ŁKS), Paweł Janas (Legia), Władysław Żmuda (Widzew), Stefan Majewski (Legia) - Grzegorz Lato (Lokeren), Waldemar Matysik (Górnik), Janusz Kupcewicz (Arka Gdynia), Andrzej Buncol (Legia) - Zbigniew Boniek (Widzew), Włodzimierz Smolarek (Widzew).

W trudnych chwilach dzielnie ich wspomagali: **Andrzej Szarmach (Auxerre), Andrzej Iwan (Wisła), Marek Kusto (Legia), Włodzimierz Ciołek (Stal Mielec), Andrzej Pałasz (Górnik), Roman Wójcicki (Odra Opole) i Jan Jałocha (Wisła).**

Po mistrzostwach świata w Hiszpanii nadal najchętniej nawiązywano do kanonów klasycznej „brasiliany” i jej pochodnych. Reprezentacje ze światowej czołówki preferowały przede wszystkim warianty ofensywne tego systemu, natomiast te nieco słabsze stawiały na działania obronne. Modne stało się wzmacnianie przede wszystkim drugiej linii, u jednych kosztem napadu, u innych formacji obronnej. Wyjściowe ustawienie zawodników, tak drużyn narodowych i tych największych klubowych, przypominało jednak tę bardziej umiarkowaną odmianę „brasiliany” (1+4+4+2). O wyborze konkretnego sposobu gry decydowały założenia drużyny w danym meczu, aktualny wynik i indywidualne możliwości graczy. Raz więc – w zależności od potrzeb – wzmacniano atak, kiedy indziej obronę. Stosowano więc daleko posuniętą elastyczność w strategii i taktyce. Potwierdził to Mundial w Meksyku.

Nasza reprezentacja starała się być w awangardzie tych przemian, ale skąpe możliwości kadrowe nie zawsze na to pozwalały. Brak odpowiednich wykonawców niweczył ambicje międzynarodowe. Mimo to nasze drużyny do dziś z reguły najlepiej radzą sobie właśnie w ustawieniu 1+4+4+2. To był nasz pomysł na „grę wszystkimi siłami”, jednak nieco mocniej akcentującą działania obronne. Jeszcze w pierwszej połowie 1989 roku tak prezentowała się drużyna prowadzona przez Wojciecha Łazarka. Andrzej Strejlau w debiucie z ZSRR (1:1) też postawił na czterech obrońców, ale już w następnym meczu z Grecją, kierując się światowymi tendencjami i świadomością gry na własnym boisku, zdecydował się na trzyosobowy blok obronny. Akurat w tym spotkaniu eksperyment się udał, Polska wygrała 3:0.

Strejlau nie ustawał w poszukiwaniu innych rozwiązań najbardziej adekwatnych do umiejętności piłkarzy. Kluczył między trzema, czterema i... pięcioma obrońcami. Ostatecznie w meczu z Anglią w eliminacjach mistrzostw Europy zdecydował się na grę tylko trzema obrońcami i... pięcioma pomocnikami. To nie był dobry pomysł, na Wembley Polska przegrała 0:2. Siedziałem na tym meczu obok Kazimierza Górskiego, jemu też nie spodobało się takie jałowe ustawienie drużyny. Andrzej akurat w tak ważnym meczu starał się być wierny „obowiązującym trendom”, ale ta chwalebna misja przerastała możliwości większości zawodników, niemal w równej mierze tych z kraju, jak i tych z lig zagranicznych. Po tym nieudanym eksperymencie, były więc podstawy do wyrażenia opinii, że system 1+4+4+2 również w „czasach Strejlaua” i nieco wcześniejszych był dla naszej reprezentacji najkorzystniejszy. Moim zdaniem w tym ustawieniu najlepiej prezentowali się:

Józef Wandzik – Dariusz Kubicki, Zbigniew Kaczmarek,

Piotr Czachowski, Dariusz Wdowczyk – Waldemar Prusik, Robert Warzycha, Ryszard Tarasiewicz, Jacek Ziober – Roman Kosecki, Dariusz Dziekanowski.

W ówczesnej kadrze narodowej mocnymi punktami byli również: Jarosław Bako, Roman Szewczyk, Leszek Pisz, Jan Urban, Jan Furtok i Marek Leśniak. Bodaj największym zaufaniem kilku kolejnych selekcjonerów cieszył się Dariusz Dziekanowski. Sęk jednak w tym, że nie zawsze najwłaściwiej wykorzystywano jego talent. Darek dobrze czuł się w drugiej linii, jeszcze lepiej w ataku, ale najchętniej inicjował akcje z głębi boiska, mając na flankach szybkich skrzydłowych. Nieco gorzej wiodło mu się w roli klasycznego przebojowca. W 63 meczach zdobył tylko 20 bramek, co nie mogło zaspokoić jego ambicji i oczekiwań licznych wielbicieli. Pchano jednak „Dziekana” do przodu, natomiast w pomocy częściej stawiano na Krzysztofa Warzychę, typowego łowcę bramek. Ewidentny błąd w sztuce. Obaj powinni grać w reprezentacji, ale... na właściwych pozycjach.

Po Igrzyskach Olimpijskich w Barcelonie trener Janusz Wójcik na moje pytanie: - *Ilu z tych srebrnych medalistów zagra wkrótce w pierwszej reprezentacji?* bez większego namysłu odpowiedział: - **Wszyscy!** Przyjąłem to zapewnienie zgryźliwym uśmiechem, bo tak szybka i gruntowna „zmiana szyldu” po prostu nie mieściła mi się w głowie. Nie ta miara talentu i charakteru! Z ekipy barcelońskiej w drużynie narodowej aż do mistrzostw świata w Korei Południowej i Japonii dotrwali jednak: Tomasz Wałdoch, Marek Koźmiński i Piotr Świerczewski. Wcześniej nawet najbardziej w tym towarzystwie utalentowani Wojciech Kowalczyk, Andrzej Juskowiak i Tomasz Wieszczycki niewiele wskórali w eliminacjach mistrzostw Europy i świata. Sztandarowa wówczas

jedenastka to:

Jerzy Dudek – Tomasz Wałdoch, Jacek Bąk, Jacek Zieliński, Marek Koźmiński – Tomasz Hajto, Radosław Kałużny, Piotr Świerczewski, Jacek Krzynówek – Wojciech Kowalczyk, Emmanuel Olisadebe. U schyłku ubiegłego stulecia i zaraz na początku XXI wieku w reprezentacji Polski w ustawieniu 1+4+4+2 dość często grali również: Adam Matysek, Kazimierz Węgrzyn, Jerzy Brzęczek, Marek Leśniak, Andrzej Juskowiak, Grzegorz Mielcarski, Marek Saganowski, Marcin Jałocha i Ryszard Staniek.

Dobry piłkarz powinien dać sobie radę w każdym systemie gry, a trener właściwie to wykorzystać. Janas nie tkwi w zastygłych formach, obdarza zaufaniem faktycznie najlepszych, ale unika formuły „jest w kadrze za zasługi”. Wprawdzie nie lubi się reklamować w mediach, ale przypisywanie mu z tego powodu łatki bufona i zarozumialca jest grubą przesadą. Janas stawia na partnerskie kontakty z prasą, owocne merytorycznie, a nie na słowne utarczki, z których nic dobrego dla reprezentacji nie wynika. Fakt, mówi niewiele, zresztą nie ma daru do opowiadania bajek, jest konkretny, choć pracuje (i to dobrze!) bez większego rozgłosu. Nie jest też głuchy na twórcze wypowiedzi z zewnątrz, ale irytują go pomysły nierealne, dyletanckie, mądrości na pokaz, nic nie wnoszące do sprawy. Czy to grzech?

JEDNODNIOWI MILIONERZY

Udana jesień 2004 odrodziła wiarę w reprezentację i przywróciła dobry klimat dla jej trenera. Gloryfikuję Janasa? Wytknąłem selekcjonerowi już niejedno głupstwo, wciąż powtarzam, że dziwi mnie na przykład tak

bezkrytyczne przywiązanie Pawełka do Grzegorza Rasiaka. Gdy znalazł się we Włoszech, a potem w Anglii, na moment coś we mnie zadrżało – czyżbym się mylił w ocenie talentu i przydatności tego piłkarza dla reprezentacji? Ale gdy tu i tam zaczął „grzać ławę” wątpliwości już nie miałem. Lubańskim to ten Rasiak nie jest i nie będzie.

Przed Rasiakiem, oj dawno, dawno temu, akurat wtedy, kiedy Paweł Janas był podporą drużyny, która w Hiszpanii wywalczyła trzecie miejsce na świecie, imiennik Rasiaka, Grzegorz Kapica z Szombierek zdobył tytuł króla strzelców w naszej lidze. Też usiłowano zrobić z niego gwiazdę i zbawcę reprezentacyjnego ataku. W rzeczywistości był ów Kapica tylko jednym z tych piłkarzy, których w podobnych sytuacjach oceniałem jako „jednodniowych milionerów” bądź uważałem za szczęśliwców, którym raz w życiu udało się wykonać olimpijski „skok Fortuny”. Było ich więcej: Marian Kielec, Mirosław Okoński, Leszek Iwanicki, Mirosław Tłokiński, Tomasz Dziubiński, Zenon Burzawa, Arkadiusz Bąk, Adam Kompała.

Nie wszyscy za królestwo strzeleckie w naszej lidze trafili do reprezentacji, a z tych, którym się udało, tylko Okoński w 25 meczach rozegranych w biało-czerwonych barwach zdobył... jedną bramkę. Liga – powtarzam starą prawdę – obojętnie krajowa czy zagraniczna, to jednak nie to samo co reprezentacja. Teraz Rasiakowi wyrósł nowy rywal, nazywa się Grzegorz Piechna i też strzela dużo bramek w lidze. Zatrzesienie tych Grzegorzów. Ten z Korony Kielce nie jest pierwszej młodości, ale serce do gry ma jak początkujący junior. Skuteczność pod bramką większości rywali też imponująca. Taki dar strzelecki miał chyba tylko Ernest Pohl. Kandydat na Welmeisterschaft 2006? Oby Piechna nie stał się gwiazdą tylko jednego ligowego sezonu.

Poszukuję w pamięci równie błyskotliwej kariery. Mam! W latach

pięćdziesiątych debiutował w Gwardii Warszawa Stanisław Hachorek. Zaczynał na prawej obronie w towarzystwie Zdzisława Maruszkiewicza i Wojciecha Hodyry. Zwrócił na siebie uwagę dużą przebojowością i silnym, czystym uderzeniem piłki, niemal z każdej pozycji.

– To cechy typowe dla napastnika! – zachwycił się trener Edward Brzozowski i powierzył „Hachorowi” rolę środkowego napastnika.

Rychło stał się niedawny obrońca „głównym harpagonem” i w roku 1955 sięgnął po tytuł strzelców I ligi, dystansując prawdziwych mistrzów w tym fachu Ernesta Pohla i Lucjana Brychczego. Wkrótce stał się ich partnerem w reprezentacyjnym ataku i wraz z nimi poleciał do Rzymu na Igrzyska Olimpijskie. Tam też zdobył jedną bramkę. Miał wtedy już 33 lata, dokładnie tyle co Gerard Cieślik, który już rok wcześniej zakończył karierę. Analogia z karierą Piechny łatwo dostrzegalna. Obaj Stanisław i Grzegorz wcześniej mało znani, w porę nie dostrzeżeni przez kiepskich łowców talentów, niemal w tym samym - piłkarsko mocno dojrzałym – wieku trafili do ekstraklasy i już na starcie ligowej kariery walczyli o koronę króla strzelców. Hachorek nie był przy tym przysłowiowym „jednodniowym milionerem” i nie tylko jeden raz w życiu sprzyjała mu bogini szczęścia. Tę sportową parabolę Hachorek – Piechna przypominam ku pokrzepieniu serc wszystkich miłośników piłkarstwa. Potrzeba nam trochę nowości, mocniejszych wzruszeń i... folkloru. Wtedy Olimpiada, teraz piłkarski Mundial! Jednak podmuchać przy tym na zimne nie zaszkodzi.

Paweł Janas ma dar pozytywnej selekcji. Niedawno, w odpowiednim momencie i chyba na długo, wprowadził do reprezentacji Artura Boruca, Mariusza Jopa, Radosława Sobolewskiego i Euzebiusza Smolarka, a zaraz po tak pomyślnie zakończonych eliminacjach testował właśnie

bombardiera z Kielc. Wszedł do gry z Estonią i trafił bez pudła. Będzie więc Grzegorz Piechna alternatywą dla Grzegorza Rasiaka? Oby równie udane były dalsze próby! Już jeden Grzegorz, ten Lato z Mielca był bohaterem mistrzostw świata. A podobno historia lubi się powtarzać... Sądzę, że Piechna jest sprytniejszy od Rasiaka, nie ma kompleksów, jest mocniejszy psychicznie, nie kalkuluje. Dopiero teraz poznał smak prawdziwego futbolu. To mu sprawia prawdziwą radość, a każda zdobyta bramka, niekiedy jakby od niechcienia, przybliża go do sławy. Na razie świetnie sprawdzał się w lidze. Potrafił zaskoczyć każdego obrońcę. To cenny atut. Czy będzie „tajną bronią” reprezentacyjnego ataku? Ubolewałbym, gdyby pozostał wodzirejem tylko jednego sezonu. Wiosna 2006 wyraźnie na to wskazywała. Pojawiły się sugestie, że Piechnie „odbiła woda sodowa”. Przestał strzelać bramki. Czy pojedzie na Mundial?

Gdyby Piechna był obrońcą lub pomocnikiem, zapewne nieco łatwiej mógłby wdrzeć się do reprezentacyjnego składu. Tam bowiem jeszcze w końcu 2005 roku nie wszystko grało. Ale jak tu rozbić bramkostrzelny duet Żurawski – Frankowski? Zespół na Weltmeisterschaft 2006 potrzebuje zawodników klasy międzynarodowej. Czy takim graczem jest już nasz powszechnie lubiany „Kiełbasa”? W obronie i pomocy wzmocnienia są niezbędne, tymczasem właśnie w napadzie łatwo dało się zauważyć nawet pewne „kłopoty bogactwa”. Pewniakami byli tu oczywiście Żurawski i Frankowski, ale przecież na swoją szansę liczyli także: Andrzej Niedzielan, Marek Saganowski, Piotr Włodarczyk, Paweł Brożek i... nieobliczalny Grzegorz Rasiak. Latem 2005 roku nieźle spisał się w Kijowie na turnieju imienia Walerego Łobanowskiego, jednak w meczu rewanżowym z Anglią w Manchesterze znowu był w cieniu, nie tylko angielskich obrońców. Odstawał też od kolegów z własnej ekipy.

Wszedł do gry Frankowski i zaraz w swoim stylu zdobył wyrównującą bramkę. Rasiak przyglądał się, jak to robi prawdziwy mistrz w tym fachu. Nominacji Łukasza Sosina nie traktowałem poważnie. Ale to zadziwiające odkrycie. Strzelił dwa gole w meczu z Arabią Saudyjską. Piechna, Rasiak, Sosin... Jednodniowi milionerzy? Może więc Paweł Janas postawi na równie nieobliczalnego Ireneusza Jelenia?

Kolejny paradoks potwierdzający dość powszechnie lansowaną tezę, że Janasa tak do końca rozszyfrować się nie da. W większości spotkań o mundialowe punkty wyznaczył Frankowskiemu rolę „dzokera”. Szalencie jakiś! - Oburzali się niektórzy sprawozdawcy. - Moim zdaniem raczej gość z wyobraźnią i dużą intuicją, świadomy przy tym wagi i odpowiedzialności za te eksperymenty. Staralem się wczuć w intencje selekcyjnera. Uznał, że „dzoker” jest równie wartościowym zawodnikiem, jak każdy inny reprezentant. To mi odpowiada, bo lubię chłopów z jajami. Powiem więcej: - Jeśli ktoś ma w sobie choć by tylko odrobinę z duszy hazardzisty (a w sporcie taka „żyłka” jest bardzo przydatna), to wie, że w każdej grze, w każdej talii kart i w każdej sytuacji krytycznej, „dzoker” jest wart więcej, niż najwspanialszy „diament taktyczny”. Z reguły przesądza o losach każdej rywalizacji. Bywa więc też nieocenionym skarbem dla każdego trenera i skutecznie wpisuje się w jego sportowy „wariant ryzyko”.

Przed pół wiekiem prominenci ówczesnej Sekcji Piłki Nożnej GKKF stawiali na szkoleniowców z Budapesztu i z ich dużą pomocą opracowali nierealny plan rychłego „dogonienia w futbolu Węgrów”. Teraz już tak księżycowych pomysłów staramy się unikać, zwłaszcza w pracy z reprezentacją zawierzyliśmy rodzinnym trenerom. Trosk nie brakuje, od dziesiątków lat blaski i cienie towarzyszą naszej futbolowej codzienności. Pamiętajmy jednak, że wszystkie powojenne gry kwalifikacyjne przed

mistrzostwami świata wywalczyli z piłkarzami polscy trenerzy. Najpierw Górski, potem Gmoch, po nim dwa razy Piechniczek, raz Engel i teraz Paweł Janas. Niewypałem był tylko wojaż do Korei Południowej. Ale tam przecież obiecywano nam sukcesy jeszcze większe, niż specjaliści od propagandy z połowy lat pięćdziesiątych. Janas jest realistą, medali nie obiecuje...

Dzieli nas cała epoka w rozwoju europejskiego i światowego piłkarstwa. W tym przedziale czasowym i korzystnej dla futbolu ewolucji przewija się cały żywot naszego selekcionera. Uczył się dopiero chodzić, gdy FIFA świętowała swoje pięćdziesięciolecie, a UEFA dopiero stawiała pierwsze kroki w swej owocnej działalności. Czy są jeszcze wśród nas ludzie futbolu, którzy pamiętają tamte czasy z autopsji? W PZPN-ie bodaj jedynym człowiekiem z „tamtych lat” jest były sekretarz generalny i wiceprezes Leszek Rylski. To epoka, w której za fachowość i aktywność zbierał pochwały w kraju i poza jego granicami. Ostatnio z Nyon koło Genewy, siedziby UEFA przesłano Rylskiemu potężnych rozmiarów książkę, prawdziwy skarb historyczny – **„50 LAT UEFA 1954 – 2004”**.

– To majstersztyk wydawniczy – z błyskiem w oczach mówi adresat.
– Jest w tej swoistej biblii piłkarskiej Europy wszystko: historia, ludzie, struktury, rozgrywki, powiązania UEFA ze współczesnym światem, Unią Europejską i... wizja przyszłości. Jest też w tej książce mocno podkreślona rola tej organizacji w FIFA, a także światłe spojrzenie ludzi futbolu na rolę ekonomii, socjologii i polityki w rozwoju piłkarstwa.

– Byłeś na pierwszym kongresie UEFA?

– Niestety... W ogóle Polski przy powstaniu UEFA nie było! Taki wtedy był nasz kraj. Granica zamknięta, paszporty tylko dla osób zaufanych, piłka nożna w cieniu innych sportów. Kongres założycielski

odbył się w Bazylei. Szwajcaria to kraj neutralny, ale i od niego dzieliła nas „żelazna kurtyna”. W roku 1954 odbywały się tam mistrzostwa świata w piłce nożnej. Dla Ciebie nie nowość to, bo pracowałeś wtedy w „Przeglądzie Sportowym”. Musisz więc pamiętać, że tylko Grzesio Aleksandrowicz jako sprawozdawca z tego Mundialu był również przy narodzinach UEFA. Opowiadał mi, że w naszym imieniu na tym Kongresie przemawiali Czesi. Upokarzająca sytuacja. Piłka nożna była u nas sportem czwartej kategorii.

– Ale na pierwszym kongresie roboczym UEFA w Wiedniu w roku 1955 już byłeś? To dobrze pamiętam...

– Tak byłem, ale nie sam... Towarzyszył mi Ryszard Łysakowski, naczelnik naszej sekcji w GKKF. A w Wiedniu europejska elita. Poznałem pierwszego prezesa UEFA Duńczyka Ebbe Schwartz, Henriego Delaunaya i Stanleya Rousa. Sporo się od nich nauczyłem. Uchwalili statut Europejskiej Unii Piłkarskiej, zatwierdzili jej strukturę i opracowali merytoryczny program działalności. Był tam też Gabriel Hanot twórca dzisiejszej Ligi Mistrzów i Pucharu UEFA. Same tuzy futbolu. Czułem się wśród nich jak hinduski parias.

– Rychło jednak stałeś się ulubieńcem tych panów, zresztą wielu innych też, wszak dość długo byłeś członkiem Komitetu Wykonawczego UEFA.

– W sumie dziesięć lat... Najpierw w czasie dwóch kadencji 1956 – 1964, a potem jeszcze raz w latach 1966 – 1968. Działałem również w komisji europejskich rozgrywek pucharowych.

– Nie miałeś kłopotu z językami obcymi? W tamtych czasach złośliwie mówiono, że nasi przedstawiciele w różnych europejskich federacjach sportowych najczęściej wyróżniali się znajomością trzech

języków... dwoma w butach i jednym w gębie. A ty?...

– Kłopotów nie miałem...

– Który z polskich działaczy był w UEFA równie wysoko ceniony?

– Najdłużej i najbardziej chyba wiceprezes PZPN Wilhelm Bąk ze Śląska, popularny w tamtych kręgach „mister Bak”. Świetnie znał niemiecki i francuski. Wacław Kafliński i Zbigniew Kaliński z Warszawy też dobrze sobie radzili. Również z dobrej strony dali się poznać Bronisław Kołodziej i Zbigniew Należyty. Sądzę jednak, że te nasze osiągnięcia sprzed lat łatwo przebiją obecny prezes PZPN, Michał Listkiewicz. On zna nawet język węgierski.

– A jaką, twoim zdaniem, osobowością w UEFA jest obecny prezydent Szwed, Lennart Johansson?

– Każdy szef Unii i sekretarz generalny był (jest) wybitną indywidualnością. Różnili się sposobem bycia, tuszą i wiekiem, ale wszyscy prezentowali dużą klasę i dobrze służyli europejskiemu piłkarstwu. Mnie osobiście kordialnym usposobieniem najbardziej imponował Włoch Artemio Franchi. A Johansson?... Myślę, że łączy w sobie wszystkie dobre cechy swoich poprzedników. On też lubi Polaków...

Leszek Ryłski jest działaczem nietuzinkowym, to prawdziwy pasjonat futbolu. W dawnym PZPN-ie swoją postawą społeczną, fachowością, kulturą osobistą i żyłką sportową urzekał każdego. Był godnym partnerem Ryszarda Koncewicza. „Fajka” zbudował i przez wiele lat trzymał w garści cały pion szkolenia, a Leszek był mistrzem organizacji i zarządzania, a także sportowej dyplomacji. Umiejętnie poruszał się w europejskich realiach. Słynął z nawiązywania korzystnych dla Polski kontaktów międzynarodowych, tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Otwarta głowa, pełna pomysłów. Europejczyk!...

W światowym piłkarstwie nasz kontynent odgrywa rolę szczególną. Znacznie wcześniej niż UEFA powstały piłkarskie federacje w Ameryce Południowej i Azji, jednak europejskie inicjatywy, zdolność i skuteczność w organizowaniu międzynarodowych rozgrywek klubów i reprezentacji zadziwiają teraz cały świat. Europa, to jest Europa! Na pomniki zasługują zwłaszcza niezwykle pomysłowi, twórczy i konkretni w działaniu Francuzi: Jules Rimet, Henri Delaunay i Gabriel Hanot. Dzięki nim mamy mistrzostwa świata, Europy, a także europejskie rozgrywki pucharowe. Głośno mówiono o tym na jubileuszowym Kongresie UEFA na Cyprze. Wyróżniono też największe gwiazdy europejskiego futbolu: Franz Beckenbauera, Johana Cruyffa, Zenidine Zidane'a. „Kaiser Franz” na pytanie, kto z nich był najlepszy, bez namysłu odpowiedział: - „*Holender Cruyff, ponieważ potrafił zrobić z piłką i przeciwnikiem wszystko, co chciał*”.

Swoje wielkie dni przeżywał również prezydent FIFA Sepp Blatter. Przewodzi stowarzyszeniu, które ma już sto lat! Sternik FIFA – jak na Europejczyka przystało, był oczywiście na jubileuszu UEFA i z tej okazji w Limassol zabrał głos w stylu godnym reprezentanta naszego kontynentu: - „*Union of European Football Association jest twórcą światowego dziedzictwa futbolu... Jest symbolem jedności i pokoju, który panuje w Europie w ostatnich pięćdziesięciu latach...*”. Były też słowa uznania dla Polaków. Za dwanaście lat działalności pamiątkowe plakiety otrzymali nasi obecni przedstawiciele w UEFA: Kazimierz Oleszek, Stanisław Speczik i Andrzej Wach. Szkoda tylko, że wśród wyróżnionych piłkarzy zabrakło choćby kilku ciepłych słów uznania dla naszych prawdziwych artystów futbolu: Zbigniewa Bońka, Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy, Grzegorza Laty, Włodzimierza Lubańskiego i ich wielkich poprzedników Gerarda Cieślika, Lucjana Brychczego i Ernesta Pohla. Sic transit gloria mundi.

Tak przemija sława tego świata.

Atmosfera roku 2004 tak czy inaczej była w futbolu podniosła, także w kraju mieliśmy sporo podstaw do zadowolenia, głównie z powodu tak bardzo udanej jesieni naszej reprezentacji. Pojawiły się nawet opinie, że na grudniowe kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze prezes PZPN i jego najbliżsi współpracownicy do sali konferencyjnej stołecznego Sheratonu zostaną wniesieni na rękach. Przedwczesna euforia, bo nie ma róży bez kolców. W naszym piłkarstwie w tym samym czasie działo się sporo rzeczy nagannych, czynów amoralnych, działań o dużym zabarwieniu przestępczym. Odżyły słowa i pojęcia: łapówkarstwo, korupcja, przekupstwo, kumoterstwo, łamanie przepisów, spory w rodzinie i nieporadność w negocjacjach z kontrahentami. Sugerowano, że dużą winę ponosi tu prezes Michał Listkiewicz i jego najbliżsi współpracownicy. Prawda to czy zwykłe pomówienia?

„Postęp w wymiarze sportowym, bazy, regulacji prawnych, licencji, a nawet zawodników czy szkolenia młodzieży, jest widoczny... Krok po kroku idziemy do Europy... Przydało by się jednak trochę więcej profesjonalizmu w pracy Wydziału Dyscypliny, Najwyższej Komisji Odwoławczej czy Wydziału Gier... Źle się stało, że system rozgrywek był kilkakrotnie zmieniany... Uważam, że pierwsza liga w 16-zespołowym składzie, a tak będzie od sezonu 2005/2006, powinna funkcjonować co najmniej trzy lata... Rozgrywkami będzie zarządzać podmiot o statusie spółki prawa handlowego, niezależny prawnie od PZPN... Priorytet reprezentacji, w naszych realiach, musi być zachowany. Nasze kluby, głównie z przyczyn ekonomicznych, nie są w stanie podjąć rywalizacji ze ścisłą europejską czołówką. Reprezentacja ma taką szansę” – zapewnia prezes Listkiewicz

Akurat te myśli brzmią racjonalnie. Ale pojawiły się też mniej wyważone i już nie tak celne, naiwne, rażące niewiedzą lub chęcią obrony spraw przegranych. Prezes nie zgadzał się na przykład z krytyką sędziów piłkarskich. W powszechnym odczuciu znaczną ich część w mijającej kadencji stanowili nieudacznicy, a także spryciarze i kombinatorzy. Listkiewicz oburzał się na takie stawianie sprawy.

– To polska choroba – stwierdził w wywiadzie dla „Polskiej Piłki”. – Podam taki przykład. Gdyby mecz, który sędziował Cwalina, sędziował Collina i podejmował te same decyzje, to najwyżej spotkałby się z opinią, że „miał słabszy dzień, ale jest wielkim sędzią”. W naszej lidze sędziuje jednak Cwalina, którego można bezkarnie obrażać i lżyć, świadczy to o niskich instynktach części środowiska dziennikarskiego. Mamy do czynienia z zastraszającą „rządzą krwi”. Jeśli nie ma ofiary, to gazeta jest „nudna”... Agresja mediów wobec sędziów tylko taką bezkarność napędza. Do niektórych sędziów mam jednak pretensję, że sami się nie szanują... Nie potrzebnie dają pretekst do różnych plotek.

Takie dictum musi rodzić sprzeciw. Prezes coś wiedział, ale zachował to dla siebie. Nasilającą się z każdym dniem nieufność wobec sędziów zwykł traktować w kategorii złośliwości lub nieuzasadnionych oskarżeń. Stwierdził z zadziwiającą pewnością siebie: – *„Chyba jestem „za miękki” w stosunku do dziennikarzy, ale lubię rozmawiać i dyskutować. Taką mam naturę... Jestem zwolennikiem ewolucji, a nie rewolucji. W sporcie rewolucja nie ma szans”*. Czy takim wyznaniem można wygrać kolejne wybory? Na to pytanie Michał Listkiewicz również odpowiedział triumfalnie:

– Nie ma potrzeby, abym kogoś teraz agitował i przekonywał do mojej osoby. Ci, którzy uznali, że warto na mnie głosować, zapewne już się zdecydowali. Ci, którzy mnie nie lubią, również zdania nie zmienią.

Delegaci na zjazd to nie są przypadkowi ludzie, tylko osoby wybrane przez swoje środowiska i oni wiedzą, że oceny człowieka nie dokonuje się „za pięć dwunasta”, ale na podstawie tego, co robił przez cały czas.

FAWORYCI TRENERA STULECIA

Z tego oświadczenia jasno wynika: Listkiewicz był święcie przekonany, że w swej pierwszej kadencji zrobił dużo więcej dobrego, niż złego. Odstraszył więc rywali do sukcesji? Był jedynym kandydatem na prezesa, co w wolnym kraju, można by uznać za sprzeniewierzenie się demokratycznym procedurom wyborczym. Zabrakło więc spodziewanych emocji. Być może do ponownej elekcji „Misia” znowu mocną cegielkę przyłożył Kazimierz Górski. W dość obszernej wypowiedzi pod tytułem „**Mocna czwórka**” tak ocenił jego pięcioletnią prezesurę:

...„Klubowi notable też nie są święci, nie mają klasy i kultury, ale przy pomocy bulwarowej prasy są na świeczniku. Produkują „afery”, a potem całe odium spada na PZPN i prezesa. Czy to wszystko przyszło ze zmianą orientacji ze wschodniej na zachodnią? Mnie trudno było by się znaleźć w tym towarzystwie. A Listkiewicz? Zachowuje stoicki spokój. Jego nikt nie przyniósł do PZPN w teczce. To człowiek dobrze znany w futbolu, w kraju i zagranicą. To były sędzia międzynarodowy, członek znaczących komisji UEFA i FIFA. Dobrze czuje się na piłkarskich salonach i udanie reprezentuje tam polskie piłkarstwo. Swobodnie rozmawia w kilku językach. Tak, to właściwy kandydat na kolejną kadencję. Prezes nie malowany”.

Świetna rekomendacja. Kazimierz Górski widać wyspecjalizował się w wydawaniu przychylnych opinii kandydatom na prezesa piłkarskiej

centrali. Z jego „poręki” w roku 1995 ster PZPN przejął Marian Dziurawicz wyraźnie wtedy dystansując Jerzego Domańskiego, a w grudniu 2004 też dzięki „panu Kaziowi” samotny bieg po kolejną prezesurę wygrał właśnie Listkiewicz. Głos Górskiego trafił delegatom do przekonania. Wprawdzie przed wyborami przebąkiwano o zmianie „pezetpeenowskich cugli”, podobno chciano nimi uszczęśliwić Antoniego Piechniczka, Ryszarda Niemca, a nawet Zbigniewa Bońka, jednak w Sheratonie okazało się, że były to li tylko miraż „wolnej elekcji”. Triumfował Listkiewicz, mając w garści mandaty aż 193 delegatów.

– To nadspodziewanie dobry wynik, jestem zaskoczony, ale przede wszystkim szczęśliwy. – stwierdził prezes. – Nie liczyłem na tak wyraźne zwycięstwo. Ono niewątpliwie cieszy, ale budzi też troszeczkę niepokoju. Tak dobry wynik wskazuje, że delegaci mają do mnie zaufanie. Ale czy tylko to? Spodziewają się, że spełnię ich wszystkie oczekiwania. A to niełatwe zadanie...

W sumie Walne Zgromadzenie 2004, choćby z powodu braku tradycyjnie zaciętej walki o fotel prezesa, zapewne nie najlepiej zapisze się w annałach PZPN. Było nudnawo, nie skakano sobie do gardeł, najwyżej ktoś kogoś nieco mocniej pociągnął za krawat. Brakowało Jana Tomaszewskiego. Olał towarzystwo czy bał się spojrzeć mu w oczy? Zdegustowany gładkimi wystąpieniami większości dyskutantów przed czasem opuściłem „twierdzę Sheraton”. Nie tak dawniej bywało! Tym razem nikt nie potrafił stworzyć nawet pozornie banalnego nastroju „**kochajmy się i szanujmy**”, jaki zazwyczaj na salę obrad wnosił niepowtarzalny Kazimierz Bukowski z Radomia. Nie było też przebiegłej retoryki polemistów „**tylko krowa nie zmienia poglądów**”, czym przed pół wiekiem „gasił” oponentów kapitan związkowy pułkownik

Henryk Reyman z Krakowa. Wreszcie w małych grupkach przy kawie bezskutecznie oczekiwano na kogoś, kto powie, że „**ryba psuje się od głowy**”. Niegdyś było to ulubione powiedzonko Jerzego Chrzanowskiego z Lublina. Znaczyło jednak niewiele, tyle ile dziś „pustosłowie” śmiesznych parlamentarzystów.

W Sheratonie delegaci gniewnych opinii nie wygłaszali. Dobrze bowiem wiedzieli, że na współczesny wizerunek polskiego piłkarstwa decydujący wpływ ma praca w klubach, związkach wojewódzkich i okręgach. A tam „głodno, chłodno i do domu daleko”. Trzeba wiązać koniec z końcem. Zmusza do tego nie tylko brak pieniędzy i nieudolność w pozyskiwaniu sponsorów, lecz także – może nawet przede wszystkim – brak piłkarskiej wiedzy i doświadczenia. To najbardziej hamuje niezbędne inicjatywy, ściślej mówiąc – skuteczne rozwiązania organizacyjne i szkoleniowe. Anno 2004 nawet w teoretycznie sprawnie funkcjonujących klubach podstawowym lekarstwem na wszelkie tam występujące choroby nie jest walka z wygodnictwem i amoralnymi postawami, lecz z... trenerami.

Nie zdziwiłem się więc, gdy jeden z dowcipniejszych obserwatorów grudniowego festiwalu ekipy Listkiewicza powiedział, że „*nowy-stary prezes jest maską dla trupa, jakim jest dziś polski futbol*”. Nadal nie ma więc autorytetów, ludzi z charyzmą Cetnarowskiego, Bończy-Ujazdowskiego, Aleksandrowicza, Rylskiego, Koncewicza lub Górskiego. Niedawno na łamach dziennika „Życie” trener Orest Lenczyk na pytanie dziennikarza „jakie inne postrzega dziś autorytety”, odpowiedział (zwłaszcza mnie) szokująco:

„Ludwik Sobolewski jako prezes Widzewa Łódź, Zbigniew Jabłoński jako prezes Wisły Kraków oraz redaktorzy Jerzy Lechowski

i Ryszard Niemiec, to obok szkoleniowców Jerzego Talagi i Kazimierza Górskiego, to ci ludzie piłki nożnej, których wciąż cenię i szanuję”. Lenczyk nie jest stronnicyzmem dziejopisarzem ani satyrykiem, tylko poważnym trenerem, więc chyba nie żartuje. Jego nostalgiczne historyczne rażą jednak współczesnych. To już wszystko było. Teraz główne role w naszym futbolu obok wolnego rynku odgrywają ludzie z kasą. Czy Lenczyk jest w stanie im jeszcze coś zaproponować? W Bełchatowie zdaje się dowodzić, że zdrowa myśl i stara szkoła trenerska nie rdzewieje. Ratował też Zagłębie Lubin i Cracovię. Doskonałym warsztatem pracy i nieskazitelną postawą moralną, a nie pustosłowiem.

Tematyka szkoleniowa, niestety – nie dominowała na grudniowym zjeździe PZPN. Nawet w kuluarach znowu najchętniej rozprawiano o marketingu, podatkach, grupie G-4, próbującej rozbić i rozwarstwić naszą ligę, podgrzewanych płytach, oświetleniu boisk i machlojkach przy nadawaniu licencji. To wszystko ważne, ale produkcja zawodników (przepraszam za to niewiele dziś znaczące pojęcie) – jest najważniejsza. W tej właśnie kwestii PZPN powinien być wzorem dla klubów, tymczasem od ładnych kilku lat nie ma na Miodowej klasycznego Wydziału Szkolenia. Funkcjonują przeróżne atrapy.

To trudny do wybaczenia „grzech zaniedbania” jeszcze z czasów prezesury Mariana Dziurawicza. W centrali ażro się dziś od biurokratycznie zarządzanych departamentów. W pionie szkolenia również narodziło się sporo odrębnych (chyba tylko ambicjonalnie uzasadnionych) wydziałów (departamentów?): reprezentacji, młodzieżowy, trenerski, itp. A to przecież wszystko razem jest szkoleniem. Sztucznymi podziałami rozwodniono odpowiedzialność za organiczną całość produkcji. Chyba przyszła wreszcie pora, aby przywrócić tu niezbędną jedność i oddać

szkolenie w jedne, ale mocne ręce i otwartą głowę. W Sheratonie Antoni Piechniczek słusznie domagał się wyższej rangi dla całego pionu szkolenia i więcej troski o losy trenerów. Podupadającej roli szkoleniowców w klubach i to we wszystkich klasach rozgrywkowych bronili również Jerzy Engel i Zbigniew Boniek. Przypomnieli, że trenerzy są nauczycielami. Ryzykowne porównanie: w szkołach wychowawcy inkasują grosze, zaś trenerzy w klubach grube tysiące. Tam i tu efekty stanowczo za małe.

W świecie, w którym rytm codzienności rzeczywiście narzuca wolny rynek i nie zawsze sprawiedliwy podział złotówki, coraz dramatyczniejszy staje się wybór między dwiema postawami: pierwszej - posłuszeństwa wobec reguł zdziczałego praktycyzmu, i drugiej - wolności obywatela i jego nieskrępowanej myśli. Dziś wyraźnie przeważa nurt zimnego wyrachowania, pozowanie na posiadaczy lub przebiegłych inwestorów. Etos społecznej wrażliwości odchodzi do lamusa, liczy się tylko status materialny. A to osiągnąć nie jest łatwo. To generuje podejrzania, brak zaufania, rodzi śmieszne obawy i wulgaryzmy. Na Walnym Zgromadzeniu PZPN 2004 właśnie taki sens „nowoczesnych” postaw zaprezentowali niektórzy delegaci:

...„Jeśli ktoś inwestuje w polską piłkę, to nie dla kaprysu, chciałby z czasem przynajmniej odzyskać te pieniądze. Tymczasem jest traktowany jak frajer, którego można łatwo wykiwać i pozbawić wszystkiego, co ma. To nakazuje pewną wstrzemięźliwość w szastaniu pieniędzmi. Ja na przykład swój płaszcz i portfel zostawiłem w szatni, bo tutaj mogło by to się różnie potoczyć” – bez cienia umiaru i szacunku dla otoczenia powiedział prezes Legii, Piotr Zygo. To tak, jakbym czytał „Alfabet” Jerzego Urbana.

...„To jest cyrk, to jest cyrk” – taką opinię o dyskusji nad poprawkami

do statutu wyraził Leszek Miklas z Piłkarskiej Ligi Polskiej.

...„Po co te 47 poprawek? Chyba lepiej by było, gdyby od nowa cały statut napisano” – wtórował ktoś w kularach.

Działacze piłkarscy, w tym wypadku elita futbolu, bo taki status ma każdy delegat na zjazd, mogą być różnie postrzegani w środowisku. Można im przypisywać brak kompetencji, kultury osobistej, niezbędnej w sporcie charyzmy i wyobraźni, ale nie mogą być śmieszni. Bo wtedy tracą resztki autorytetu. Prezes Legii Piotr Zygo uchodził tu i ówdzie za herszta „bandy czworga”, jak niektórzy ligowcy ochrzcili bogatą G-4, bo Amica, Groclin, Legia i Wisła wzorując się na rekinach finansowych, podobno chciały zawładnąć (połknąć, pożreć) całą naszą ligę piłkarską. Narzucić swoje prawa i rządzić! Mniej zasobni ligowcy w rzeczywistości narazili się z tego powodu na śmieszność. Narobili „wiele hałasu o nic”. Liga znowu jest razem.

„Fachowcy” od marketingu, których teraz w PZPN jest dużo więcej, niż znawców futbolu, twierdzą, że były te tak mocno nagłaśniane różnice zdań li tylko dobrym chwytem reklamowym sprokurowanym przez nową siłę w PZPN – operatora telefonii komórkowej IDEA. Na łamach prasy potwierdzono, że w tym pozornie głośnym sporze rzeczywiście szło wyłącznie o nadzwyczajną promocję właśnie Idei. Rychło bowiem tak ostro krytykowana „grupa czterech”, wtajemniczeni twierdzą, że dzięki dyplomatycznemu wstawiennictwu Michała Listkiewicza wtopiła się w całą ligę sponsorowaną wtedy właśnie przez elektroniczną Ideę. Ów manewr wydał mi się korzystny dla obu zainteresowanych stron. Idea daje pieniądze, a PZPN – ściślej PLP i kluby ligowe atrakcyjny towar reklamowy. Partnerska forma wymiany usług.

Zbliżenie się do Idei naszej ligi nie wszystkim się jednak spodobało.

Sugerowano, że ta sponsorska nowość jest zapowiedzią pogłębiającego się konfliktu na linii kluby – PZPN, a także niepotrzebną rywalizacją ERY czyli Telekomunikacji Polskiej od dawna głównego sponsora reprezentacji z operatorem Polskiej Telefonii Komórkowej – IDEI. Czy dwa grzyby w barszczu to nie za dużo? Logicznie odpowiedział na te wątpliwości Leszek Miklas, znacząca postać w PZPN, w naszych klubach i w lidze.

...„Piłkarskiej Lidze Polskiej, nie było bliżej ani do ERY ani do IDEI... Wybrana oferta jest dla klubów najkorzystniejsza... Wystarczającym dowodem na to był wybór IDEI przez aklamację... Środowisko piłkarskie powinno być dumne, że dwóch gigantów telefonii mobilnej w Polsce walczyło o duszę kibiców futbolu... Idą lepsze czasy”...

Tymczasem Piotr Dziurawicz w sierpniu 2005 roku ujawnił korupcyjne mechanizmy zżerające naszą ligę. Wstrząsnął całym towarzystwem. Sam na siebie też ukręcił niezły bicz. Był jednym z „rozgrywających” w tym niecznym procederze, a teraz liczył na poklask środowiska. Tu jednak każdy „główkował” na swój sposób, kalkulował, oceniał zyski i straty aż do grudniowego Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Delegatów PZPN. „Mały magnat” i „wielki” Tomaszewski też wazyli swoje szanse. Uzdrowią ligę czy pogłębią jej szpetne notowania? Biedna ta nasza liga. Nie w ciemną bicia „działacze” dość często ją „reformowali”, a potem w klubach na swój sposób to wykorzystywali. Raz przypominała przydługą spódniczkę, kiedy indziej kusą sukieneczkę przed kolanka. Przeważała jednak opcja: – *Większa liga to wyższy poziom!* Teraz, po oskarżeniach młodego „Magnata” dla odmiany gardłuje się: – *Osiem klubów w I lidze, to świat i ludzie! Będzie ciekawiej! Więcej atrakcji i łatwiejsza kontrola zdemoralizowanych przywódców!* Prasa poszła jeszcze dalej. Jeden z jurnych felietonistów radzi, żeby ligę zlikwidować.

... „To całe towarzystwo rządzące polską piłką należy rozgonić na cztery wiatry. Tak, drodzy działacze, widzi polski futbol każdy uczciwy kibic. Argument, że likwidacja ligi spowoduje kłopoty z przygotowaniem do mistrzostw świata, jest co najmniej śmieszny”...

Nie tylko – to wynika z obsesji owego obskuranta– „piłkarscy działacze coraz częściej sprawiają wrażenie kompletnie odciętych od rzeczywistości”. Także niektórzy podpowiadacze usiłujący ich pouczać „działają w przestrzeni wirtualnej”. Będąc przekonany, że uwolni polski futbol od nieudaczników i potencjalnych przestępców, ów zbawca stwierdza: ... *„Żałować należy, że Jerzy Engel jeszcze przez kilka lat zajęty będzie Wisłą, bo w moim pojęciu byłby najzdrowszym kandydatem na zrobienie porządku w PZPN. Polska ligowa piłka umrze po prostu szybciej, niż nam się wydaje, jeśli ktoś nie zrobi prawdziwego porządku”*.

Do tej pory sądziłem, że tylko złotousty Engel mamił kawiarnianych znawców piłki nożnej „futbolem na tak”. Teraz dowiedziałem się, że jego zwolennicy upatrywali w nim również twórcę „PZPN-u na tak”. Nijak ma się to do rzeczywistości, bo enigmatyczny „prezes Engel” nie jest na miarę nawet klubów ligowych. Miał spore kłopoty w Legii, równie duże w Polonii, tu i tam odchodził w niesławie, a teraz nie „za kilka lat”, lecz zaledwie po 116 dniach zwolniono go w Krakowie. Miałby taki człowiek robić porządek w centrali? W Wiśle niepotrzebnie pchał się na afisz. Chciał być partnerem właściciela krakowskiego klubu? Widać zapomniał, że w grudniu 2004 roku wyrzucił z Wisły nawet Henryka Kasperczaka, trenera o niepodważalnym autorytecie i warsztatowca z wysokim znakiem jakości. Ciekawie na ten temat wypowiedział się Roman Hurkowski w liście otwartym do Bogusława Cupiała:

... „Zamiast osobiście w jakiś sposób porozumieć się z trenerem

Henrykiem Kaspercakiem zaufał Pan ludziom mało kompetentnym względnie mającym na uwadze głównie własne interesy... Na jakiej podstawie liczył Pan, że Liczka wyniesie drużynę Wisły na poziom wyższy niż wyniósł Kaspercak? Na podstawie katastrofального serialu Liczki jesienią 2004 roku w Górniku Zabrze? A potem myślał Pan, że Engel ot przyjdzie tak sobie, pełen pięknych słówek plus dyżurnych deklaracji i w miesiąc wszystko poukłada, co Liczka rozwalił?... No to doczekał się Pan, niestety – katastrofy... Ma Pan stanowczo zbyt rozbudowany sztab, przez co odpowiedzialność się rozmydla... Piłkarska Wisła Kraków to wprawdzie Pana własność, ale przecież zarazem dobro narodowe i nie może dla pewnych ludzi (nie mam tu na myśli bynajmniej Pana) stanowić jedynie zabawki bądź odskoczni dla robienia karier. To klub o blisko stuletniej tradycji i już dziewięciokrotny mistrz kraju”.

Na swoje stulecie Wisła miała zdobyć kolejne (dziesiąte) mistrzostwo i Puchar Polski. I nie były to li tylko pobożne życzenia, była to realna ocena możliwości tej drużyny. Nie w pełni je wykorzystano. Trenerzy nie są bez winy, ale przecież ktoś ich zatrudniał. Stawiano na gamoni większych od działaczy? Mimo prymatu operacji handlowych nad szkoleniowymi, w wyniku których „Biała Gwiazda” straciła obu strzelców wyborowych – Macieja Żurawskiego i Tomasza Frankowskiego, jej potencjał sportowy nadal był największy w ekstraklasie. Głównie na arenie międzynarodowej nie potrafiono tego wykorzystać. To plaga większości naszych klubów. Ich sternicy nie są lepsi od trenerów. Koło się zamyka...

Brak dostatecznej wiedzy o warsztacie zatrudnianych szkoleniowców usiłuje się w klubach zastępować przekonaniem, że „każda nowa miotła jest w stanie zrobić porządek w klubie”. To są argumenty dobre dla dyletantów, a nie dla zawodowców. Ale ta prawda do nich nie dociera.

W rundzie jesiennej 2005 wystali więc na „zieloną trawkę” aż dwunastu szkoleniowców. To woła o pomstę do nieba! Karuzela się obraca, trenerami szasta się jak pionkami na szachownicy, ale pole manewru przez to się nie powiększa. Wszystko kisi się w tym samym towarzystwie. Nowości i jakości w szkoleniu więc nie przybywa. Tu i ówdzie na ratunek wzywa się ludzi z zagranicy. To jest jakieś wyjście. Tylko na Boga, oni muszą być lepsi od naszych! Nie są, o czym dowiadujemy się po niewczasie. Reprezentują poziom graczy niechcianych w zawodowych klubach lub ściąganych do Polski prosto z plaży Copacabana. A u nas giną rodzime talenty...

To boli najbardziej. Był czas, kiedy w miarę skutecznie penetrowano przede wszystkim rynek krajowy, wyławiano uzdolnione jednostki, teraz gustuje się w tandetnym zaciągu zagranicznym. Bo to tanie, modne i łatwe w odbiorze. Szkolenie własnego narybku znowu schodzi na dalszy plan. A gdy już pojawi się bardziej obiecujący junior, menedżerowie od siedmiu boleści czyhają nań jak zgłodniałe sępy na padlinę. W zamian proponują zatrudnianie w naszych klubach miernych obcokrajowców. Czerpią z tego tytułu określone zyski, ale nasz futbol jako całość znacznie więcej traci. Lepiej wyszkolony lub jeszcze nie do końca wyeksploatowany egzotyczny piłkarz z reguły traktuje naszą ligę jako odskocznię do dalszej kariery. Tak było z Zeigbo w Legii, Olisadebe w Polonii, Uche z Wisły i Krizancem z Dyskobolii Grodzisk Wielkopolski. Teraz tylko Cantoro, Choto, Quattara, Edson, Guerreiro i ewentualnie Hernani z Korony Kielce zasługują na uwagę. Cała reszta wraz z „odkryciami” Pogoni Szczecin w gruncie rzeczy zaśmieca naszą ligę.

LIGA NA ŻUŻLU

Od wtorku 29 listopada 2005 roku mamy już u nas ligę zawodową. W szerokim świecie piłkarskim taka właśnie forma rozgrywek i na tym właśnie szczeblu znana jest od dawna. W czasie porodu w większości demokratycznych krajów nie wzbudzała jednak tak dużych emocji, a jej tworzeniu nie towarzyszyły... akcenty pozasportowe. Ale my lubimy takie spektakle. Stosując (na szczęście) odpowiednią rangę wartości, pełniący dotychczas obowiązki prezesa ekstraklasy mecenas Michał Tomczak dość jednoznacznie dał do zrozumienia, że w naszym futbolu z chwilą powstania ligowej spółki piłkarskiej obumarły resztki komunizmu. Przyjęto tę nie nową przecież polityczną grę słów z wyraźną ulgą. Śledząc sprawę nieco z boku, można jednak odnieść wrażenie, że ta swoista lustracja ligi sięga nie tylko czasów Rzeczypospolitej dwa i pół. Odcina się od przeszłości, tworząc jakby zupełnie nową kartę w historii krajowej ekstraklasy. A przecież ma ona już blisko osiemdziesięcioletnią tradycję. I przetrwała wszystkie burze...

Teraz do głosu dochodzą zupełnie nowi ludzie, bo ci z przeszłością – takie jest przekonanie awangardzistów – zbyt mocno są ubabrani w sportowym bagnie i nie nadążają politycznie. O fotel prezesa, liczącej ostatecznie siedemnastu członków (16 przedstawicieli klubów i... PZPN) ubiegało się ponoć siedemdziesięciu kandydatów. Sporo, to mniej więcej tyle, ile pracowity selekcjoner, z wyobraźnią i dobrym warsztatem poddaje próbie kandydatów do reprezentacji. Czysta gra, nie było kumoterstwa, postaw konformistycznych i chęci od dawna zapowiadanego skoku na kasę?

Jakieś okruchy sympatii osobistych i łamanie norm równego startu być może się pojawiły, bo nawet tak poważny kandydat na tę funkcję,

były szef całego polskiego sportu Andrzej Wiśniewski, z niezadowolenia kręcił nosem. Nic to, najważniejsze, że Ekstraklasa Orange jednogłośnie przyjęła wodzostwo Andrzeja Ruski. Tak dobrze jest znany i ceniony w środowisku piłkarskim? Nic z tych rzeczy! Dotychczas obracał się w sporcie zupełnie innej kategorii, niebezpiecznym, wymagającym odwagi i wysokiego zaawansowania technicznego, odpornym na zakręty i ostre wirażę. To w gruncie rzeczy obrotny żużlowiec promujący szaleńców różnych nacji i niewątpliwie samodzielny finansowo. Ma więc mocne atuty. Uchronią go przed korupcją, która ostatnio tak szpetnie zaszargała opinię całemu piłkarstwu? Wyniki głosowania przekonują, że dobrze się stało, iż człowiek z innej branży pokieruje ekstraklasą. Musiał mieć ogromną siłę przebicia, bo wszyscy bili mu brawo.

Andrzej BAS (Wisła Kraków): - Rusko łączy w sobie kompetencje menedżera i działacza. Potrafi odnosić sukcesy w wymiarze biznesowym.

Piotr ZYGO (Legia Warszawa): - On potrafi ze sportu zrobić biznes.

Wiesław TKACZUK (Korona Kielce): - Ma bardzo dobre kontakty z potencjalnymi sponsorami ligi i jest niezależny finansowo.

Andrzej KRUG (Zagłębie Lubin): - Potrafi w sporcie robić interesy, co pokazał na przykładzie Atlasu Wrocław.

Janusz FILIPIAK (Cracovia): - Przeczytałem życiorys, który mi dostarczono. Lobbowały za nim inne kluby, odebrałem dwa – trzy telefony w jego sprawie... Wiem, że każdy wybór jest ryzykowny. Poczekajmy, jak się sprawdzi w nowej roli...

Jerzy KOPA (Groclin Grodzisk Wielkopolski): - Rusko potwierdził swoim życiorysem zawodowym, że jest człowiekiem sukcesu.

Zbigniew KOŹMIŃSKI (Górnik Zabrze): - Jest w stanie zrobić z

ligi dochodowy interes. Jest ponad podziałami...

Radosław MAJCHRZAK (Lech Poznań): - Głosowałem na podstawie opinii Rady Nadzorczej Ekstraklasy S.A.

Krzysztof DMOSZYŃSKI (Wisła Płock): - To kompromis...

Ireneusz SERWOTKA (Odra Wodzisław): - Wiele dobrego czytałem o nim w prasie...

Opinie ligowców są więc wyważone, ale tak całkiem wątpliwości nie eliminują. Żużel jest sportem droгим i w porównaniu z piłką nożną – elitarny, nie tak powszechny i chyba również mniej popularny. Tak to widzę od ponad pół wieku. W latach pięćdziesiątych w wolnych chwilach też interesowałem się wyczynami Alfreda Smoczyka. Wolałem jednak podziwiać reprezentacyjnych piłkarzy. I tak już zostało. Dziś nasz rodzimy futbol tworzą setki tysięcy zawodników, trenerów, różnej maści płatnych funkcjonariuszy, sędziów i kibiców, a na niższych szczeblach, jeszcze tu i ówdzie niewielkie grupki kompetentnych i bezinteresownych działaczy. To w naszej dyscyplinie naprawdę potężna armia. Powinny w niej tkwić i zapewne są wybitnie utalentowane jednostki. Dlaczego więc na sternika ligowej spółki piłkarskiej wybrano człowieka spoza branży? Ma to głębsze podłoże. Przede wszystkim sugeruje słabość i rozbitcie naszego środowiska. Ale wierzyć się nie chce, że jest aż tak nieudolne organizacyjnie i ubogie intelektualnie, pozbawione wybitnych indywidualności i niekompetentne, że nie jest w stanie wykreować na szefa zawodowej ligi własnego przedstawiciela.

Niewątpliwie prezesura pana Andrzeja Ruski jest bliska ludziom dobrze prosperującego biznesu. Ale nie zaszkodzi przypomnieć, że dotychczas w naszej lidze więcej było klubów ledwo wiążących koniec z końcem, niż opartych na zdrowych podstawach finansowych. Jeśli zatem

ci biedniejsi ligowcy postawili na człowieka z innej bajki, to zapewne kierowali się nadzieją, że ich nowy przywódca zadba o wszystkich, a nie tylko o tych z większą kasą. Cieszy się przecież opinią utalentowanego menedżera, obeznanego ze światem biznesu, mającego łatwość pozyskiwania pieniędzy i darem ich pomnażania. Będą potrzebne klubom nie tylko na bieżącą działalność, ale również na unowocześnienie bazy i – aż boję się tego wyrazić – szkolenie własnej młodzieży. Jest równie utalentowana jak jej rówieśnicy z wielu nacji europejskich. Kluby planując szturm na ligowe szczyty, powinny też pamiętać o konieczności powrotu do korzeni, czyli o pracy u podstaw. Bo tylko takie spojrzenie na polską ligę będzie miało wymiar w pełni sportowy. Znajdą się oczywiście i tacy, którzy staną w poprzek tych nieprzemijających wartości. Przymusu nie ma...

Przyszłe losy naszej ligi, choć to dziś takie niemodne, warto wciąż ściśle wiązać z ogólnym dobrem krajowego futbolu. Wszak liga jest jego solą i chlebem powszednim. Wierzę w jej odrodzenie w nowej formule oraz czystość moralną i spełnianie funkcji służebnych wobec reprezentacji i prawdziwych kibiców. Podnieść rangę i poziom ekstraklasy, to jest priorytetowe zadanie dla nowego prezesa. Być przy tym stanowczym i... sprawiedliwym. Ludzie futbolu są w większości sprawni i kompetentni, dojrzały, ale te zalety dość często wykorzystują wyłącznie dla własnych celów. Na tym gruncie wyrasta skłonność do łamania przepisów, łapówkarstwa, korupcji i pokrętnych poglądów. Pewne fakty wydają się być podejrzliwie zbieżne. Akurat wtedy, kiedy ligowcy tak zgodnie wybrali swojego prezesa, po raz wtóry głos na łamach prasy zabrał zde gustowany Piotr Dziurawicz.

...„Układy się nie zmieniły” – twierdzi na łamach dziennika „Fakt”.

– Ale 7 grudnia prezes PZPN ogłosi, że nasza piłka już wyleczyła się z korupcji... Tu nic się nie zmieniło. Dzisiaj tylko cena za ustawienie meczów znacznie wzrosła. No i trudno o kontakt, bo wszyscy zmienili telefony komórek... W warszawskim hotelu Sheraton może przy okazji pojawi się i korupcja, ale odpowiedzialność za nią po prostu spadnie na mnie i na kilku dziennikarzy... Z Dmoszyńskim i Marczykiem chętnie spotkam się w sądzie. Moi przeciwnicy chcą bym poczuł się osaczony, ale celu nie osiągną”...

Dziurawicz – junior nadal zabawia się w Heraklesa, usuwającego oczyszczanie od lat nie porządkowanej piłkarskiej stajni Augiasza. Ma sojusznika w prokuraturze. Słusznie, bo tylko ten urząd ma konstytucyjne prawo ścigać i oskarżać przestępców, a sąd przykładowo ich karać. Pan Piotr jest niewątpliwie „świadkiem koronnym” w tym towarzystwie. Ilu jeszcze takich „świadków”, na razie działających skrycie i bez rozgłosu, pałęta się w naszej lidze? Nowy prezes i zarząd ligi, którym pokieruje, zapewne dotrze gdzie trzeba i ujawni wszystkich, którzy wypaczają ideę mistrzowskich rozgrywek. To byłby krok we właściwym kierunku. A w ślad za nim już w najbliższej przyszłości być może poznamy też środki, które ukróćą te nieczyste praktyki.

Dziurawicz uważa, że wystarczy również wśród sędziów wprowadzić zawodowstwo, a plaga korupcji przestanie nas straszyć. Pomysł nie nowy, pisałem o tym już w latach osiemdziesiątych, twierdząc, że w naszych warunkach jest zwykłą mrzonką. Potencjalny przestępca rychło odnajdzie się w nowej sytuacji i... będzie jeszcze więcej zarabiał. Wzrośnie bowiem – co zresztą w zbliżonej konwencji dostrzega sam Dziurawicz – cena za „ustawianie” meczu. Korupcja, już wcześniej starałem się to dowieść, nie jest tylko grzechem biedaków. Nieuczciwi ludzie mogą się pojawić nawet

wśród stu najbogatszych Polaków. Jest więc z czym walczyć! Ten trud muszą podjąć nowe władze naszej ligi.

Ludzie dobrze obeznani z tą plagą radzą, by najpierw ograniczyć biurokrację, bo w niektórych klubach i PZPN rozrosła się do granic wcześniej niespotykanych. Zżera skromne środki i rodzi przesłanki korupcyjne. Może temu zapobiec działanie przy „otwartej kurtynie”. Inaczej mówiąc należy ujawniać wszystkie ważniejsze decyzje, a gdy i tu dostrzeże się nieprawidłowości, nie wahać się sięgnąć po skuteczne akcje policyjne. Pomocna może tu być metoda prowokacji, jaką zastosował właśnie Piotr Dziurawicz. Chwała mu za to. Pozwoliło to nie tylko złapać przestępcę, ale przynajmniej na jakiś czas zadziało prewencyjnie. Jan Tomaszewski również podsuwał ten pomysł, jednak stanowczo za często zmienia zdanie lub wręcz trafia kulą w płot. Prowadzi własną grę, a nie w interesie społecznym. Traci w ten sposób wiarygodność. Stąd, zamiast pochwał pod adresem podległej mu Komisji Etyki, zaczyna zbierać cięgi. Prasa wytyka mu oportunizm: - Panie Janie, niech pan przestanie!... Człowiek, który zatrzymał rewolucję”. „Gazeta Wyborcza” akcentuje to najwyraźniej:

...„Z determinacją Tomaszewski prowadzi tylko krucjatę wymierzoną w Zbigniewa Bońka. Przy każdej okazji przypomina, że to Boniek współtworzył korupcjogenny system... Niedośzły rewolucjonista broni już spowolnienia reform z otwartą przyłbicą, potwierdzając, że Komisja Etyki przy PZPN zamieniła się w Komisję PZPN podporządkowaną. Zaatakował Piotra Dziurawicza, domagając się dla niego dożywotniej dyskwalifikacji... On przecież kupował i sprzedawał mecze. Ale zapytany, czy brał kiedykolwiek udział w korupcji i czy jest gotów złożyć pisemne oświadczenie w tej sprawie, odparł z uśmiechem: - *Nie złożę, bo Komisja*

Etyki, na czele której stoję, nie jest w PZPN, a przy PZPN. Nie muszę więc tego robić...

Wyciszanie Dziurowicza stało się coraz wyraźniejsze. Czy słusznie? Czas i decyzje prokuratury to pokażą. Myślę, że klimat w tej materii przed grudniowym Walnym Zgromadzeniem PZPN właściwie określił w „Przeglądzie Sportowym” wiceprezes PZPN Antoni Piechniczek: ... *„Tak jak Piotr Dziurowicz nie jest świętą krową, tak Michał Listkiewicz nie jest kozłem ofiarnym”*. Wprawdzie przy drugim nazwisku zwrot „nie jest” chętnie zastąpiłbym twierdzeniem „nie może być”, bo brzmiało by to zgrabniej stylistycznie i prawdziwiej merytorycznie, ale najważniejsze, że intencje są właściwe. Bardziej zmartwił mnie donos, jaki na PZPN skierował do UEFA i FIFA dziennik „Fakt” i na domiar złego jeszcze się tym publicznie pochwalił, zakładając z góry, że „PZPN bez tej pomocy nie potrafi się obyć”. Znacznie więcej rozsądku i przyzwoitości zachował rzecznik prasowy UEFA. Robert Faulkner:

... *„Swoje wewnętrzne sprawy każda federacja powinna załatwiać sama. Dopiero jeśli ma problemy, to UEFA z nią współpracuje. Możemy służyć pomocą i wsparciem”...*

Jakże diametralnie różni się to ostatnie zdanie od donosu gazety i pouczenia w nim światowych i europejskich władz futbolu. Ich delegaci – radzi „Fakt” – powinni między innymi:

- udać się do prokuratury we Wrocławiu;
- zaapelować do skompromitowanego Michała Listkiewicza, by ustąpił ze stanowiska;
- zaproponować zmniejszenie liczby drużyn w ekstraklasie – będzie wtedy atrakcyjniejsza i trudniej będzie ukryć korupcję.

Może i tkwią w tych zaleceniach ziarenka rozsądku, ale – biorąc

sprawę na chłopski rozum – trzeba zapytać czy wymaga to interwencji z zewnątrz. Łatwo się w tej sytuacji narazić na śmieszność i przy okazji zadać ból setkom tysięcy prawdziwych miłośników piłkarstwa. Słuszniejszy byłby apel o skucie grzeszników kajdankami lub ubranie w kaftan bezpieczeństwa „działaczy” o skancerowanej moralności. Co by jednak złego lub dobrego nie powiedzieć o Dziurówiczu – juniorze, inspiratorze antykorupcyjnej burzy, przyznać trzeba, że niektóre z jego grzmotów i błyskawic mogą wpłynąć na ligę uzdrowieńczo. Szkoda jednak, że nie zawsze trafiał do celu, zbyt często strzelał na oślep i obrzucił obelgami ludzi Bogu ducha winnych. Taka jest cena ratowania własnej skóry. Tam gdzie drwa rąbią, wióry lecą. Przyszłość pokaże, czy młody „Magnat” rzeczywiście przyczynił się do zbudowania nieco lepszego klimatu wokół naszej ligi.

Forma wypowiedzi Dziurówicza w prasie, radiu i telewizji jest mało przekonująca. Więcej w nich przypuszczeń, domniemań, osobistych odczuć i własnych przekonań, niż stanowczych opinii popartych konkretami, faktami. Niewątpliwie tylko fakultatywną wartość mają sformułowania: *- Nie ulega dla mnie wątpliwości... Moim zdaniem... Tajemnicą poliszynela jest fakt... Jestem przekonany... Uważam, że tak naprawdę... Jak to możliwe... To ofiary systemu... Myślę, że tak... To są domniemania, ale uważam... To Listkiewicz jest winny! Sędziowanie – to ma być zawód... Nie wiem, nie wiem... Zyskam jedynie to, że uniknę odpowiedzialności karnej...*

I chyba głównie o to Dziurówicz zabiega w swoich wynurzeniach. Jest bowiem taki artykuł kodeksu karnego, który mówi, że jeżeli przedstawi się organom ścigania nowe, nieznanne im wcześniej fakty, to można liczyć na uniknięcie odpowiedzialności karnej... „Nie chcę komentować zachowania Piotra Dziurówicza, ale rzeczywiście może on

być potraktowany w sposób wyjątkowo łagodny” – powiedział na łamach „Przeglądu Sportowego” zastępca prokuratora generalnego Kazimierz Olejnik.

Szokujące opinie publiczną wynurzenia Piotra Dziurawicza ukazały się – jak wiemy - w „Gazecie Wyborczej”. Ten dziennik, uchodzący za umiarkowany w sądach i solidny w przedstawianiu rzeczywistości, już kilka lat wcześniej opublikował rozmowę z Jackiem Dębskim, która też zbulwersowała środowisko piłkarskie. Szkodliwą wojnę na linii UKFiT – PZPN ostatecznie wygrał Marian Dziurawicz. Czy syn Piotr też będzie górą? Inne mamy teraz czasy i inne jest podłoże kolejnej „wojny futbolowej”. Wtedy atakowano PZPN z zewnątrz, a teraz trwają „kłótnie w rodzinie”. Syn „Magnata” nie oszczędził w atakach nikogo, zmieszał z błotem i tych ze szczytów piłkarskiej piramidy i tych spod jej podnóża. „Przekupić, sprzedać, oszukać” – taka była wymowa oskarżeń pana Piotra. Nie ukrywa, że współtworzył świat przestępczy:

...„W ciągu kilku lat w piłkarskim biznesie kupiłem 50, a może nawet 80 meczów... Czasem w jednej kolejce obstawiało się, oprócz swojego meczu, nawet i cztery inne. Trudno je wszystkie policzyć i zapamiętać. Najwięcej zapłaciliśmy za remis na Polonii w sezonie 2002/03. Kosztował nas 150 tysięcy złotych. Sto tysięcy wzięli warszawscy piłkarze, a 50 tysięcy złotych arbiter. Wynik dał nam 3 miejsce i występy w europejskich pucharach”. I dalej:

...„Po raz pierwszy w życiu kupiłem mecz ze Świtem Nowy Dwór w II lidze. Byliśmy w Konstancinie. Do ośrodka przyjechało dwóch czołowych piłkarzy Świtu, dostali 30 albo 40 tys. zł. i odjechali... Awans do I ligi kosztował nas milion dolarów. Część z tych pieniędzy poszła na sędziów i piłkarzy. Prześcigaliśmy się z ojcem w kupowaniu meczów.

Byłem młody i chciałem się wykazać... Teraz mam dość. Dość piłki, w której awans do ekstraklasy lub utrzymanie są „robione”, a nie wywalczone. Tytuł mistrza Polski też się „robi”, a nie zdobywa (no może poza Wisłą Kraków w ostatnim okresie). Mam dość piłki”...

Takiej piłki, o jakiej mówi Dziurawicz – junior, zapewne „dość ma” każdy szanujący się i prawy działacz, piłkarz, trener, sędzia, kibic i dziennikarz. Bo to obrzydliwy proceder! Młody magnat nagle przejrzał jednak na oczy. Czy w porę? Ludzie dobrze go znający na Śląsku i blisko z nim związani twierdzą, że stanowczo za późno. Puścił „parę z gęby” dopiero wtedy, kiedy grunt coraz mocniej usuwał się pod nogami. Ratując własną dupę, utopił w szambie całe piłkarskie środowisko. Narobił we własne gniazdo – obrzydliwy konfident. Tak dokładnie skomentował rewelacje byłego prezesa GKS Katowice jeden z działaczy bardzo wysoko postawiony w tym regionie.

... „Od kilku miesięcy współpracuję z policją i prokuraturą – potwierdził Dziurawicz opinię kolaboranta w „Gazecie Wyborczej”. To dzięki mnie do aresztu trafili sędziowie Antoni F. I Krzysztof Z. oraz obserwator Marian D. Ustaliliśmy, że najlepszym kandydatem do prowokacji będzie sędzia F. Zaproponowałem, by pomógł mojemu klubowi wygrać z Cracovią. W lesie pod Kielcami dałem mu 100 tys. policyjnych pieniędzy, schowałem je w kole zapasowym w bagażniku i wtedy nas zatrzymano. W kajdankach trafiliśmy do aresztu. On siedzi do dziś (już nie siedzi – przyp. J.L.) i chyba się domyśla, że współpracuję z policją”. Aresztowano także współnika Antoniego F. Przewodniczącego Kolegium Sędziów Śląskiego ZPN Mariana D. Za kratki poszło też sporo mniejszych rybek i były prezes Piasta Gliwice.

Nie były to zdaniem młodego „Magnata” – jedyne „czarne owce”

polskiego piłkarstwa. Wylicza całe pęczki. Wśród sędziów w „czołówce” wymienia Zbigniewa Marczyka, Tomasza Mikulskiego, a nawet Słowaka Lubomira Ludwardę. Z trenerów najbardziej podejrzani wydali mu się Paweł Kowalski i Mieczysław Broniszewski, nie oszczędził też Jana Żurka, który w GKS-ie zrobił chyba najwięcej dobrego. Na liście „przekupnych” działaczy znaleźli się nawet Michał Listkiewicz i Krzysztof Dmoszyński. Czy takie supozycje mogły przejść bez echa?

– ... Może jestem słaby, ale uczciwy! – oburza się Mikulski.

– Gdybym wziął, byłbym w areszcie – wyjaśnia Marczyk.

Broniszewski wyraźnie posądza oskarżyciela z Katowic o hipokryzję:

– Szkoda, że zabrakło mu odwagi, by odstąpić kulisy awansu GKS do I ligi w 2000 roku, kiedy kierował tym klubem, a nie wówczas, gdy zrezygnował z działalności w polskiej piłce...

Najdalej poszedł Dmoszyński – złożył w sądzie pozew o pomówienie. Minał już pierwszy termin rozprawy, ale Dziurawicz na niej się nie stawił. Nagle się ukrywa?...

– „Obawiam się o swoje bezpieczeństwo” – powiedział dziennikarzowi z Polskiej Agencji Prasowej.

Liczy jednak na pobłażliwość prokuratury. Dlatego jest na wolności.

– Wszyscy ludzie futbolu, którzy zeznawali przeciwko korupcji w sporcie, nawet jeśli sami dawali lub przyjmowali łapówki, mogą liczyć na amnestię – potwierdza stan faktyczny w „Przeglądzie Sportowym” prokurator Kazimierz Olejnik.

Niewątpliwie młody Dziurawicz miał swoje „pięć minut” i kto wie, czy jego rewelacje nie wzbudziły w społeczeństwie jeszcze większego zainteresowania, niż przeróżne sejmowe komisje śledcze. Wszak w parlamencie oskarżyciele dopiero na siłę poszukiwali dowodów

i domniemanej winy, natomiast były prezes GKS-u bez żadnych zahamowań podawał przestępców na talerzu. Na to tylko czekał Jan Tomaszewski. Szybko ubrał się w szaty wymiaru sprawiedliwości i kazał dla przestępców stawiać szubienice. Nie tylko dla tych, których wskazał syn ojca gnojonego przez „Tomka” niemal do śmierci. Zdaniem „pana Janka” aż 99 procent sędziów piłkarskich jest skorumpowanych, a skrót PZPN – tak złośliwie rozszyfrował :

PRZESTĘPCY ZRZESZENI PRZECIWKO NAM

Pozwano za to Tomaszewskiego do sądu. Niemalże już tradycyjnie uniknął kary o pomówienie. Wkupił się nawet „do rodziny”. Prezes Listkiewicz podał mu rękę na zgodę, a wraz z tym pojednawczym gestem uprawnienia, z których dumna mogła by być nawet żona Cezara. Powołał „Misio” w PZPN-ie komisję etyki i na jej czele postawił właśnie Tomaszewskiego. Wcielił się więc prezes PZPN w rolę współczesnego Antona Makarenki. A „pan Janek” na „dzień dobry” znowu zapukał do drzwi prokuratora Olejnika i zasugerował, *„żeby w dalszym ciągu policja prowadziła zakupy kontrolowane wśród sędziów i piłkarzy. Niech mają się na baczności!”*. Z czasem nieco spuścił z tonu, stąd te kpiące komentarze w prasie, ale miecza do pochwy nie schował. Niestrudzony bojownik o „czystość w naszym futbolu”.

Przestępcy Zrzeszeni Przeciwno Nam, to dla dobrze zorientowanych (wtajemniczonych?) głównie grupa ludzi z piłkarskiego „Dziurolandu” i „Listkolandu”. To są właśnie – jak zapewnia Tomaszewski – źródła wszystkiego zła w naszym futbolu. Gdyby „pan Janek” w dobrych sprawach dla PZPN był równie pomysłowy i aktywny jak w tworzeniu neologizmów

i „łamanie szyfrów”, to zapewne stałby się już dziś jedną z pierwszych osób mile widzianych na piłkarskich salonach w całym kraju. Ale tak nie jest, bywa „persona grata” głównie dla pism o wyraźnie spaczonym spojrzeniu na ligową i reprezentacyjną rzeczywistość. Inaczej jawi mi się Listkiewicz. Jest osobą o bardziej złożonej strukturze wewnętrznej. Nie kuma się z bulwarowcami, choć z racji przypisywanego mu wizerunku – powinien, natomiast zadziwia całą serią uczynków społecznie pożytecznych.

Trudni precyzyjnie określić, ile razy były prezes PZPN Michał Listkiewicz i jego były doradca, Jan Tomaszewski spotkali się na sali... sądowej. Przyczyna sporu? Odmienne spojrzenie na uzdrowienie piłkarskiej rzeczywistości! Prezes starał się robić to systematycznie i profesjonalnie, natomiast eskdoradca w stylu chorobliwie natrętnym. Chętnie wymachiwałby na ulicy rozwiniętym transparentem: „Ja i polski futbol – to jedno! Taki stan ducha zazwyczaj rodzi frustrację negatywną, co z kolei wyzwała agresywność, napastliwość i uporczywe poszukiwanie wroga lub kozła ofiarnego.

Medycy takie natrętne myśli i czyny nazywają obsesją. Objawy tej choroby zazwyczaj są leczone ambulatoryjnie, ale bagatelizowane potęgują u pacjenta ataki hysterii, sprzyjają też rozwojowi egocentryzmu, chęci dominacji w środowisku i psychicznego terroryzowania bliskich. Ze strony Jana Tomaszewskiego grozy tak niezrównoważonej postawy doświadczyli: Leszek Jezierski, Antoni Piechniczek, Andrzej Strejlau, no i przede wszystkim Marian Dziurów. Wszystkich usiłował ośmieszać, poniżać, wyzywać od dyletantów, karierowiczów, aferzystów, niemalże przestępców kryminalnych. Nawet Zbigniew Boniek zbierał cięgi od niedawnego przyjaciela. Potem przyszła właśnie kolei na Michała Listkiewicza i kolejnego selekcjonera Pawła Janasa.

Natrętom nie wolno pobłażać. Były prezes PZPN zalecił więc byłemu doradcy leczenie ambulatoryjne, ale gdy i ta kuracja na niewiele się zdała, pozwał prześladowcę do sądu. Oryginalną myśl na łamach prasy wyraził wówczas senator Grzegorz Lato: „... Powiem krótko: matka miała dwóch synów, jeden był normalny, a drugi bramkarz... Jan Tomaszewski wszystkich krytykuje – czy to był Dziurawicz czy ktoś inny... Jest człowiekiem o jakichś niespełnionych swoich marzeniach, słabo odporny psychicznie...”

Kiedyś cesarz Kaligula uparcie powtarzał: „Niech nienawidzą, byle się tylko bali...” Czy jest to również credo „pana Janka”. Bywa, że zniechęcony bezskutecznym biczowaniem nieudanych kolegów z boiska, zaczyna dostrzegać absurdalność swoich publicznych wynurzeń i nienaturalnego postrzegania rzeczywistości. Mniej lub bardziej świadomie wyciągnął niedawno rękę do „przestępców” zrzeszonych w PZPN-ie: - *„Jeśli nie będziemy dmuchać w jedną trąbę, zapomnimy o sukcesach w polskim piłkarstwie. Trzeba zrobić okrągły stół”*. To też wyraźny przejaw megalomanii, ale też nadzieja, że skancerowana wyobraźnia „bohatera z Wembley”, zacznie wkrótce normalnie funkcjonować.

Dotarła do mnie, w przeszłości w PZPN nieznana, **„Księga Dobrych Spraw”**. Na pierwszy rzut oka przypomina zbiór haseł z epoki „propagandy sukcesu”. Prezes chwali się, że... *„Nigdy w historii PZPN nie przekazał tylu środków finansowych i sprzętu sportowego dla najbardziej potrzebujących” dzieci z biednych środowisk, organizacji zajmujących się walką z ubóstwem, domów dziecka, szkół. Żadna prośba o pomoc nie pozostała bez odpowiedzi...”*.

Podrapałem się w głowę: - To jakiś dualizm! Jest więc Listkiewicz nie tylko przywódcą bandy przestępców, lecz także przykładem dobrze

pojętego miłosierdzia? Filantrop na pokaz, czy może skryty faryzeusz? Tajemnicza osobowość. Zajrzałem do wnętrza „Księgi dobrych spraw”. Z wrażenia resztki włosów stanęły mi dęba na głowie. Mnóstwo „podziękowań”, „wyrazów szacunku”, „gorących wzruszeń”, „słów uznania” oraz „wdzięczności” i „sympatii”. I to wszystko skierowane głównie na ręce „szanownego pana prezesa”.

Kto to pisze i dziękuje? Różne stowarzyszenia, fundacje, szkoły, LZS-y i UKS-y, ośrodki sportu i rekreacji, zakłady specjalne, szpitale, również Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Domy Dziecka, a nawet służba więzienna. A więc zwykli ludzie, zapewne jeszcze nie skażeni żółcią i schizofrenią, dostrzegają także społecznie użyteczne strony działalności PZPN. Ten wymiar poczynań Związku i jego prezesa jest jednak mało atrakcyjny, stąd nader rzadko trafia na szpalty rodzimych brukowców, nie jest bowiem odpowiednim tworzywem dla płomiennych wystąpień Jana Tomaszewskiego.

Korupcja w Polsce jest zjawiskiem dość powszechnym. Przez lata miała się u nas dobrze, ale nasiliła się w pierwszych latach społeczno-politycznej transformacji. Stało się tak wbrew przekonaniu infantylnych reformatorów i głoszeniu haseł o „czystych rękach”, że w świecie wolnego rynku taka przestępczość rychło zaniknie. Tymczasem tylko w ciągu 1990 roku, w porównaniu z poprzednim, w skali kraju, praktyki korupcyjne wzrosły aż o 60 procent. Tak mówią oficjalne z tego okresu dane prokuratury. Najpierw pojawiła się afera alkoholowa, a wraz z nią dość powszechna zachęta do malwersacji. Łapownictwu nie potrafili się oprzeć urzędnicy i politycy. Długo patrzono na to przez palce, dopiero głośna „afera Rywina” uświadomiła grozę tego zjawiska. Trwał wyścig o sukces, powodzenie materialne, nie zawsze drogą uczciwą, na skrót,

wreszcie w sposób ewidentnie przestępczy.

Nie jest to „polska specjalność”. Korupcja dotyka wiele krajów na świecie. To plaga globalna, nikt nie ma tu całkiem „czystych rąk”, tak w każdym razie informuje Transparency International. Nawet tak antykorupcyjne kraje jak Islandia i Finlandia mają lekką skazę na swej uczciwości. Liczący 150 pozycji orszak łapówkarzy długo zamykały Bangladesz i Czad, ostatnio pałeczkę z największą korupcją przejęła Albania. Polska w tym towarzystwie zajmuje 70 miejsce, co w rozumieniu twórców tego raportu oznacza „wysoki poziom korupcji”. Dane Instytutu Banku Światowego są zatrważające: łączna kwota globalnych łapówek wynosi około biliona dolarów rocznie. Niewiarygodne! Bo u nas ostatnio w Kujawsko-Pomorskim Związku Piłki Nożnej stwierdzono, że w IV lidze można mecz kupić już za 500 złotych.

Podobno w tych klasach rozgrywkowych grają również amatorzy, stąd takie niskie stawki za usługi. W zawodowym piłkarstwie koszty te były i są nieporównywalnie większe. Akurat wtedy, kiedy nasi „państwowi amatorzy” przygotowywali się do Igrzysk Olimpijskich w Monachium, w polskiej prasie rozpisywano się o „handlu żywym towarem i... punktami” w Bundeslidze. Horst Gregorio Canellas z klubu Kickers Offenbach wręczył Manfredowi Manglitzowi z 1FC Koeln 100 tysięcy marek, mając nadzieję, że to wystarczy, by utrzymać drużynę w lidze. Sąsiad Kickersa z dołów tabeli Arminia Bielefeld okazał się jednak sprytniejszy. Przebił stawkę, przekupił Bernda Patzkego i Tassa Wildego z Herthy Berlin i to właśnie Arminia utrzymała się w Bundeslidze.

Finał tej transakcji był jednak dla krętaczy opłakany. Dowiedziono, że na piłkarstwie RFN żerują głównie prezesi klubów. Wszystkich przyłapanych na przekupstwie działaczy i piłkarzy przykładowo ukarano.

Mocno nagłośniła to cała piłkarska Europa. Czy ta „berlińska afera” oczyściła futbol z korupcji? Niezupełnie. Tylko na jakiś czas potencjalni przestępcy w różnych krajach nieco pofolgowali. Cisza przed kolejnymi burzami, tam na Zachodzie i u nas w kraju. Szeroko rozpisywała się o tym również nasza prasa. Niestety, służby mające wykrywać i karać przestępców, przymykały na to oczy. Teraz może będzie inaczej, ale pewności wciąż nie ma.

Historia jest nauczycielką życia, bardziej obeznani z kulturą ducha, twierdzą nawet, że jest teatrem, w którym gra się różne kostiumowe sztuki, a z czasem z szaf (właśnie historii) wyciąga tylko te szaty, w których nam lepiej do twarzy. Jeśli to jest prawdą i rzeczywiście ludzie obojętnie jakiego stanu i profesji tak widzą nasze dzieje i potrafią z tego wyciągnąć wnioski korzystne wyłącznie dla siebie, egoistyczne - to błędzić nadal będziemy i wcale nie staniemy się lepsi i uczciwsi. W XXI wieku mamy coraz więcej błędzących. Nawet w Organizacji Narodów Zjednoczonych pojawiają się przestępcy, przekupni urzędnicy i politycy powiązani z biznesem. Wykryto to w czasie realizacji w Iraku programu „**Ropa za żywność**”. To nie były centy, to były setki tysięcy dolarów.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że coraz wyraźniej bakcyle korupcji wdzierają się do sportu, w tym również do piłkarstwa. Przestało być oazą „czystej gry” i dżentelmeńskich postaw. Ludzi prawych i bezinteresownych traktuje się dziś jak frajerów. W roku 2005, niemal już tradycyjnie, najgłośniej było o wynaturzeniach w futbolu włoskim i brazylijskim, a także – ku powszechnemu zaskoczeniu – w fińskim i znowu niemieckim. Świat piłkarski nie jest bierny, zwalcza tę zarazę. W Berlinie odbył się pokazowy proces byłego sędziego piłkarskiego oraz kilku jego najbliższych kompanów. Wyrządzone przez nich szkody przy

manipulowaniu wynikami I i II Bundesligi szacuje się na dwa miliony Euro. U nas tak wysokich sum w tej nieczej grze nie ma, ale to mała pociecha. Każda łapówka jest przestępstwem, a sprawcy korupcji muszą być ukarani.

Oczekiwano, że znaczną część brudów, jakie osiadły na krajowym futbolu, uda się usunąć na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu PZPN. Do hotelu Sheraton w Warszawie głównie w tej sprawie zwołano w grudniu 2005 roku znowu grubo ponad stu delegatów, cały zarząd i prezydium Związku, wybraną grupkę dziennikarzy oraz skąpą reprezentację działaczy spoza piłki nożnej. Ministra sportu nie było, a ci, którzy przemawiali w jego imieniu, podobnie jak przedstawiciel FIFA – zebranych niczym nie zaimponowali. Brakowało ikry w przydługich oracjach i szczerzej chęci porwania byka za rogi. Zdegustowanych delegatów dopiero mocno naelektryzowany Piotr Nurowski, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego nieco ożywił. Mówił głośno, z przytupem i na temat.

Byli też na tym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu Członkowie Honorowi PZPN, a wśród nich i ja – niegdyś persona grata. Teraz długo szukałem swojego miejsca na sali. Naiwnie liczyłem, zresztą zgodnie z wieloletnią tradycją, że starsi panowie również na tym zlocie będą mile widziani, ergo – ulokowani nieco bliżej pańskiego stołu! Podobne rozterki przeżywali: Leszek Rylski, Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Leszek Jezierski i inni. Posadzili mnie obok siebie i dowcipkowali:

– No, tym razem jeszcze nie wypchnęli nas poza salę obrad – zauważył łódzki „Napoleon” – ale na następnym Zjeździe mamy to jak w banku. Nasz czas już minął... Tak to panowie z prezydium ocenili...

– W dzisiejszych czasach uznanie i szacunek dla starych pierdzieli

nie są poprawne politycznie – usiłował usprawiedliwić organizatorów Edmund Zientara.

– Cieszymy się, że w ogóle jeszcze o nas pamiętają – podchwycił wywód „Andrzeja” Leszek Rylski. Ale zaraz z nieukrywanym żalem w głosie zauważył: – Nie wykluczone, że na kolejnym Zjeździe zbędna będzie troska o miejsca nawet za drzwiami tej sali. Spotkamy się na... Powązkach.

– Ja się tam jeszcze nie wybieram! – jak zawsze z uśmiechem na ustach zaprotestował Rysio Kulesza.

Niestety, kolejnego Zjazdu nie doczekał. Odszedł także do „lepszego świata” – Leszek Jezierski.

Każdy na swój sposób odbierał w sumie zadziwiająco spokojną atmosferę na tym Zgromadzeniu. Można było odnieść wrażenie, że znaczna część delegatów zjawiała się w Warszawie z dużo wcześniej opracowanym scenariuszem. Nie będzie dintojry! Nawet Jan Tomaszewski, zamiast wytoczyć Przesłaniem Zrzeszonym Przeciwno Nam najtęższe działa, co robił i robi od dawna, nagle zmiękł, przycichł. Zachował się jak średniowieczny Jan Bez Ziemi, który pod naciskiem możnych ówczesnego świata podpisał Magna Charta Libertatum czyli Wielką Kartę Swobód. „Pan Janek” zaproponował mianowicie abolicję, to znaczy umorzenie postępowania karnego wobec piłkarskich przestępców. Cichy pomruk sali skwitował tę kolejną panatomkową rewelację.

Czy Jan Tomaszewski jest człowiekiem odważnym? Jednoznacznie nie da się na to odpowiedzieć. Wszak z jednej strony – co mu się chwali – nie bał się wrzucić kij w futbolowe mrowisko, ale z drugiej – co trzeba zganić – na mównicy w Sheratonie zachował się, jak typowy konformista. Nie wystąpił do delegatów z otwartą przyłbicą, kamuflował przed

nimi swoje racje i prawdziwe oblicze. Sprzyjał środowisku? Dopiero w kuluarach grzmiał:

... „Oni z nas zwyczajnie zakpili. Miał to być zjazd w sprawie korupcji, a zrobiono z tego pokaz propagandy sukcesu. Nie ma jednak ucieczki przed zarządem komisarycznym. Ci panowie mogą sobie już zaśpiewać: – „Bój to był nasz ostatni”...

Burzyciel „ostatniego bastionu komuny” (taką dla odmiany w grudniu 2005 roku przypiął łatkę PZPN-owi), kiedy stanął na mównicy, tak bojowy jednak nie był. Celnie zauważył więc jeden z dziennikarzy: – *„Tomaszewski najodważniejszy był tylko w kuluarach, podczas telewizyjnych wywiadów”,* a inny jeszcze trafniej wyłożył kawę na ławę: – *... „Gdy doszło do powiedzenia czegoś publicznie, wszyscy tchórzliwie trzęśli portkami przed gniewem prezesa Michała Listkiewicza”.*

W tym momencie, jak w jakimś złym śnie, pojawił mi się przed oczami Piotr Dziurawicz. Nie było go w Sheratonie. A gdyby był, jak by się zachował? Czy tak samo jak Tomaszewski i poparłby abolicję? Z nieobecności młodego „Magnata” na tym Nadzwyczajnym Zgromadzeniu PZPN uknuto intrygę i znowu rolę negatywnego bohatera przypisano Listkiewiczowi. To on zatrzasnął przed Dziurawiczem wrota do Sheratonu! A to głównie prawda... Aczkolwiek eksprezes GKS-u Katowice nie miał mandatu delegata, bo w tej sytuacji nie mógł mieć, to jednak zaproszenie na Zjazd otrzymał. Postąpił – w moim odczuciu – jeszcze śmieszniej, niż Tomaszewski. Ten też nie był delegatem żadnego klubu, mimo to dopuszczono go do głosu i wysłuchano zaskakująco łagodnej rozprawy z przestępcami. Zarezerwowano też miejsce na mównicy dla Dziurawicza. Nie skorzystał z tej możliwości. Dlaczego? Czy musiałby postąpić tak samo jak przewodniczący Komisji Etyki?

Targają mną mieszane uczucia: bał się Dziurówicz konfrontacji z delegatami i potępienia ze strony tych, którym nieco na wyrost zarzucił korupcję, czy też uznał, że całe to towarzystwo, tak jak ci przyłapani pod Kielcami, warte jest tych samych brudnych pieniędzy i nie ma już sensu z nimi rozmawiać. W każdym razie szansę publicznego zaprezentowania swoich łapówkarskich doświadczeń i naświetlenia mechanizmów przestępczych zakorzenionych w naszej lidze – zaprzepaścił. Mógł też być inny motyw rezygnacji z przyjazdu do Warszawy. Porządek Zgromadzenia i sposób prowadzenia obrad (przewodniczył sam prezes Listkiewicz) był tak sprytnie przygotowany, a atmosfera na sali tak pojednawcza, że najmniejszy zgrzyt w tym swojskim nastroju, zostałby przyjęty jako obraza boska.

Starły się jednak, bo było to nieuniknione, dwa spojrzenia na tegoroczną (i nie tylko!) sytuację w naszej lidze i w piłkarskiej centrali. Podczas gdy „wykrywacze deformacji” bili na alarm, domagali się „uzdrowicielskich” działań w klubach, rezygnacji zarządu i prezesa PZPN oraz nowych wyborów, to osoby przez nich atakowane, fakt – dość często bezpodstawnie, ani myślały o rezygnacji z zajmowanych stanowisk. Myślę, że najdokładniej ukazują te jaskrawe różnice oświadczenia, dziś chyba dwóch największych antagonistów – Piotra Dziurówicza i Michała Listkiewicza.

Pierwszy podtrzymuje swoje oskarżenia, co więcej – twierdzi, że odsłonił zaledwie 10 procent prawdy o piłkarskiej mafii i pewny swoich racji dodaje: - „Układy się nie zmieniły, tylko cena za ustalanie meczów znacznie wzrosła”. W tym samym czasie drugi – jak sugeruje dziennik „Fakt”: - „Jest mistrzem pozorów. Kiedy wybuchła afera korupcyjna w polskiej piłce, twierdził, że to pojedyncze wypadki. Teraz uważa, że problem

został rozwiązany, choć ligowy handel kwitnie, a prokurator wyciąga nowe sprawy”. Jest to ta sama linia postępowania (i przekonania), którą wybrał i nadal kroczy Jan Tomaszewski. Nie ustaje w powielaniu opinii, że rządy w PZPN-ie musi przejąć komisarz. I z pełnym przekonaniem nieskromnie dodaje, że właśnie on jest tu najlepszym kandydatem. Za głównego winowajcę niskich notowań PZPN-u uważa teraz Eugeniusza Kolatora. Powinien odejść! Takie pomysły wiceprezes odważnie ripostuje: - *Honorowo to może odejść ze struktur Jan Tomaszewski, a nie ja...*

Rządy komisarzy nie są nowością w polskim piłkarstwie. Różne tylko były ich formy, łagodne i represyjne, potrzebne i nieuzasadnione, ale niemal zawsze w ostatecznym rozrachunku – szkodliwe, choć pomyślane jako sanacyjne. Niewątpliwie najdłużej trwały i najbardziej dały się we znaki krajowej piłce nożnej w czasach stalinowskiego zniewolenia. Bo czymże innym, jeśli nie „rządami komisarzy”, nazwać trzeba lata 1950 – 1956, kiedy to nadzór nad całym naszym futbolem mieli naczelnicy z Głównego Komitetu Kultury Fizycznej? Wtedy jeszcze nie kaperownictwo i korupcja groziły „odosobnieniem”. Szkodliwsze były priorytety. Wystarczyło, że człowiek piłki miał inne poglądy polityczne, „złe” pochodzenie społeczne i walczył o inny kształt Polski, o demokrację, a nie dyktaturę, a już był za burtą PZPN i wymarżonym kandydatem na zsyłkę w krainę wiecznych śniegów i białych niedźwiedzi.

Po roku 1956 w piłkarskiej centrali i związkach okręgowych też zdarzały się „rządy komisarzy”. Nawet Warszawa nie ustrzegła się tej formy sprawowania władzy, ale nie były to zjawiska już tak powszechne i wszechogarniające. Sport, teoretycznie wolny od obciążeń stricte politycznych, niechętnie przyswaja nadmierne ingerencje z zewnątrz. Taka jego uroda. Nawet w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych

ubiegłego stulecia, a więc już w Trzeciej Rzeczypospolitej, gdy kurator wdarł się do siedziby PZPN, potępienie było dość powszechne. O, przepraszam, ten sportowy desant z ulicy Świętokrzyskiej w Aleje Ujazdowskie, z prawdziwą ulgą i zadowoleniem przyjął właśnie Jan Tomaszewski. Zacierał ręce z radości, że wreszcie ktoś zechciał „czyścić” ten obrzydliwy Dziuroland. Profity miał z tego niewielkie, wciąż tylko błąkał się po „obrzeźkach zjawisk”, ale poczuł „wiatr w żagle” i nadal haftował antypezetpeenowską intrygę. Teraz – już z pomocą rodzimych prokuratorów oraz iluzorycznym wsparciem zagranicznych obrońców praw – coraz mocniej drąży skałę.

Nie sądzę jednak, by zagrażało naszemu futbolowi kolejne upodlenie, zmiana szyldu PZPN na jakiś inny skrót językowy względnie przejście w nim rządów przez „okazjonalnych rewolucjonistów”, w niedawnej przeszłości nazywanych „polskimi hunwejbiniami”, a teraz dość przewrotnie „krzewicielami norm etycznych”. To wszystko już było, poza koniecznością ukarania winnych. Wiele hałasu o nic narobiono już w Polskim Związku Narciarskim. Kurator został nowym prezesem. Czy równie wysoko sięgają ambicje „komisarza” Tomaszewskiego? Na razie jest niewielka nadzieja, że jednak (wreszcie!) ludzi szpecących wizerunek naszego futbolu kara nie ominie. Mocno trzyma cugle w tej sprawie wrocławska prokuratura. Na razie łapie same płotki, być może wkrótce zacznie też łowić finansowych rekinów. A co z Tomaszewskim? Sądzę, że w pełni obiektywną wykładnię „czyszczenia” przez niego piłkarskiego środowiska dała „Gazeta Wyborcza” w publikacji pt. **„Samobójstwo Komisji Etyki”**:

... „Działalność Jana Tomaszewskiego – nie bez podstaw twierdzą redaktorzy Jarosław Bińczyk i Jacek Sarzyło – graniczy z obsesją...

(zastanawiałbym się czy już nie ze schizofrenią – przyp. autora), ale z drugiej strony projekt powołania Komisji Etyki przy PZPN od początku nie miał wartości większej niż papier, na którym go spisano. A teraz po prostu znalazł się w koszu”.

I dalej: ... „Tomaszewski zapowiada, że nie zrezygnuje z walki. Nie deprymują go słowa wiceprezesa Kolatora, który zapytany przez telewizję, co może zrobić UEFA, kiedy Tomaszewski zasypie ją skargami na Związek, odrzekł: - Jak to co? Odeśle skargi do PZPN”. To jakiś wybryk natury! Bo akurat w tym samym czasie, kiedy „pan Tomek” nieustannie dymisjonował prezesa Listkiewicza, ten z siedziby władz światowego piłkarstwa – obok prezydenta UEFA Lennarta Johanssona – otrzymał nominację na członka grupy roboczej do spraw politycznych FIFA. No to pojawiły się złośliwe komentarze: - Kruk krukowi oka nie wykole...

KODEKS PROFESORA LIPCA

Głównym osiągnięciem Komisji Etyki jest opracowany przez profesora Józefa Lipca „**Piłkarski Kodeks Wartości**”. To małe dzieło głosi prawdy oczywiste, znane zresztą od dawna. Dobrze, że je właśnie teraz profesor przypomina, aczkolwiek zapewne sam zdaje sobie z tego sprawę, że zawarte tam wzniosłe idee moralne w niewielkim stopniu przystają do piłkarskiej współczesności. Autor przypomina między innymi, że „**Gra musi być uczciwa, jeśli ma być grą sportową...** Uczciwość obowiązuje zarówno samych piłkarzy, jak i trenerów, lekarzy, sponsorów oraz działaczy... Wymóg bezwzględnej, podatnej na matactwa i przekupstwa prawości dotyczy w szczególności arbitrów, zobowiązanych do ferowania obiektywnych orzeczeń i dawania zawsze jednoznacznego przykładu

zawodnikom i widzom”.

Po zapoznaniu się z taką deklaracją zapewne już sto lat temu biłby brawo sam baron Pierre de Coubertin. Jednak dziś, kiedy futbol coraz rzadziej uważa się za „grę sportową”, natomiast coraz częściej za „grę interesu”, zaś społecznych działaczy zastępuje się armią urzędników nie zawsze przyzwoitej konduity i łasych na walutę menedżerów, to norm sportowych, o których mówi „Piłkarski Kodeks Wartości”, już rzadko kto przestrzega. Pielęgnuje się inne wartości. Za „dziwaków” uważa się tych, co płyną pod ten nasilający się prąd. Rezygnować jednak nie wolno!

Rację ma również Józef Lipiec, gdy pisze, że „Wychowawców i trenerów, jak również publiczność i dziennikarzy obowiązuje stosowanie jednakowych kryteriów i sprawiedliwe oceny występów... Należy pamiętać o realizacji wartości tworzonych przez tradycję i szanownych przez publiczność”. To również są reguły i prawdy oczywiste i ponadczasowe. Dodałbym do tego, że tak samo cenne jak fachowość i partnerstwo w ich tworzeniu i głoszeniu. Niestety, dzisiejsza „czwarta władza” od czasu do czasu o tym zapomina. Talent i los dał dziennikarzowi możliwość niczym nieskrępowanego opisywania piłkarskiej rzeczywistości. Ale nie fałszowania! Tego wymaga zarówno tradycja, jak i filozofia wykonywanego zawodu.

Przyklasnąć więc trzeba autorowi „Piłkarskiego Kodeksu Wartości”, kiedy apeluje o kulturę i honor sportowy, godność osobistą, wierność ideałom i odpowiedzialność w działaniu: - „Etos piłkarstwa – podkreśla Józef Lipiec – to także aktywność w demonstrowaniu i zwalczaniu prób korupcji i innych form psucia obrazu sportu... Piłka nożna, która może i powinna tworzyć wartości pozytywne, radość i piękno musi zawsze – od święta i na co dzień – dbać o swój prawdziwie sportowy wizerunek”.

Zgoda absolutna! Ale jak to osiągnąć? Jednostka nawet najwybitniejsza będzie tu bezradna, jeśli nie znajdzie wsparcia w zbiorowym wysiłku ogółu miłośników futbolu i ludzi odpowiedzialnych za pracę w klubach, okręgach, związkach wojewódzkich i w centrali z ulicy Miodowej w Warszawie. Słowem – dbałość o dobre imię polskiego piłkarstwa, tak w kraju jak i poza jego granicami jest obowiązkiem nas wszystkich. Szumny frazes?

Takie widzenie futbolu i ludzi z nim związanych było nam potrzebne już przed pół wiekiem, kiedy zerwano tej pięknej dyscyplinie generalskie szlify i zdegradowano do rangi sportu czwartej kategorii. Zlikwidowano PZPN i jego ogniwa terenowe, kluby zastąpiono kołami i faktyczną nad nimi władzę przekazano pionom i zrzeszeniom quasisportowym. W iście sprinterskim tempie usiłowano wykreślić z naszej pamięci historyczne nazwy. Nie było siły, żeby te polityczne szaleństwa powstrzymać. Dopiero po październiku 1956 roku te najgłupsze obce wzory przestały obowiązywać.

Łudzono się, że już nikt nigdy nie splami klubowych sztandarów. Różnie bywało. To jakieś fatum. Nawet teraz, po upływie pół wieku od tego zniewolenia, nie wszędzie wierność tradycji jest zachowana. Zwłaszcza w pierwszej fazie ustrojowej transformacji profanowano nazwy niektórych klubów. O ile jednak w siermiężnej przeszłości w grę wchodziły niemal wyłącznie elementy doktrynalne, o tyle teraz w tej przykrej sprawie przeważają czynniki merkantylno-komercyjne. Kurczowe trzymanie się ciasnych formuł ideologicznych zastąpiono kultem pieniądza. Stąd znowu pojawiły się rażące kibiców nazwy klubów, takie typowe klubowe hybrydy.

Nie był to pęd powszechny, ale łatwy do rozszyfrowania.

Kluby mające największe kłopoty finansowe w możliwych sponsorach poszukiwały takich właśnie dróg wyjścia z kryzysu. I tak na przykład zrodziły się „Legia – Daewoo” Warszawa oraz „ŁKS-Ptak” Łódź i „GKS Dospel” Katowice. Najdłużej tradycyjną nazwą klubu zonglowano w Płocku. Najpierw oczywiście była Wisła, ale zaraz potem Petrochemia, Petro i Orlen. Do końca jednak nie zatracono tam zdrowego rozsądku i wraz z awansem piłkarzy do ekstraklasy przywrócono klubowi swojsko i dostojnie brzmiące imię. Teraz już spokojnie płynie Wisła swym starym historycznym korytem i jeśli komuś znowu nie pomiesza się w głowach, być może wybije się na godną rywalkę swej pół wieku starszej imienniczki z Krakowa.

Obok klubowych nazw – hybryd pojawiły się również sportowe efemerydy: „Miliarder” Pniewy, „Sokół” Tychy, Pegrotour-Igloopol Dębica, Lechia – Olimpia Gdańsk, itp. Przed wojną przykładowe kluby też pchały na afisz swoich dobrodziejów, ale z czasem niektóre z nich uszły z pola widzenia. Ten sam los spotkał ich współczesnych naśladowców. Ostatnio indywidualistów tak ochotnie manipulujących nazwami klubów w lidze już prawie nie ma; w zamian cała ta niezbyt udana zabawa przybrała formę zbiorową. Koncentracja kapitału? To się okaże, na razie faktem jest, że już finisz rundy jesiennej 2005 cała liga firmowała swój produkt pod typowo elitarnym wyzwaniem „Orange Ekstraklasa S.A.”. Jak w tej sytuacji poradzą sobie mocne dotychczas pojedyncze podmioty biznesowo-sportowe Amica Wronki i Dyskobolia Grodzisk Wielkopolski? Aura dla klubów o dużych ambicjach w małych miastach powoli przestała być przychylna. Amica w porę to dostrzegła i przeniosła swoje sympatie na Lecha Poznań. Dobry ruch – stolica Wielkopolski potrzebuje wielkiego i mocnego klubu. Ale średnie i małe

też są tam potrzebne. Niczego nie likwidować! Mówił chłop do obrazu? Groclin z Grodziska sprzedano Warszawie.

Od tych koniunkturalnych dziwactw na szczęście dalekie są dwa nasze piłkarsko najsilniejsze kluby, Wisła Kraków i Legia Warszawa. Ich właściciele – jak to się dziś wzniośle podkreśla – również strategiczni sponsorzy, dalecy są od tych małomiasteczkowych manier. Ani pan Bogusław Cupiał, choć ma mnóstwo innych słabości, nie wpisuje swojej firmy i nazwiska w stuletnią historię Wisły, ani też Mariusz Walter z ITI nie podważa praw klubu z Łazienkowskiej do trwającej już dziewięćdziesiąt lat legionowej tradycji. Legii wyzwolonej spod koreańskiej dominacji i obaw z okresu niezbyt hojnych następców, nie przygniatają już wielomilionowe długi i anse kibiców. Buduje zespół na miarę swych najlepszych lat.

Dewiacji organizacyjno-szkoleniowych w naszej lidze jednak nie brakuje. Prym w próbach odkrywania nowych dróg, myślę, że również z chęci prezentowania swej niezwyklej szczodroblowości... na pokaz, wiedzie chorobliwie ambitny Antoni Ptak. Wprawdzie po złych doświadczeniach w ŁKS-ie już się nie kwapi do uskrzydlenia logo „Pogoni” własnym nazwiskiem, ale żyłki poszukiwacza przygód, niczym pozytywistyczny „Pan Balcer w Brazylii” i cudacznych rozwiązań plantatorskich jeszcze się nie wyleczył. Kiedyś już szkolił młodych Brazylijczyków w centrum swego imperium handlowego pod Łodzią. Wyniki miał kiepskie. Zamierza więc podążać w odwrotnym kierunku, zlecając wykonanie swoich baśniowych pomysłów synowi o biblijnym imieniu Dawid. Junior Ptak, być może dobrze obeznany z niezwykłym wyczynem swojego chuderlawego protoplasty w zwycięskiej walce z potężnym Goliatem, jest gotów stawić czoła każdemu wyzwaniu losu. Senior o tym marzy. Mają

panowie pieniądze, więc mogą pędzić żywot dziewiętnastowiecznych podróżników i filantropów.

Młodszy Ptak będzie więc szkolił synów „kraju kawy” w ich własnym domu, natomiast Ptak starszy przeniesie ich ojców do Szczecina. Stamtąd poprowadzą klub byłych „portowców” do Ligi Mistrzów. Ryzykowna decyzja i kruche nadzieje, ale jak mawiał niepowtarzalny Kazimierz Górski, tylko poprzez eksperyment i przeżyte własne doświadczenia dobre lub złe, można dokonać rzeczy wielkich lub stoczyć się w przepaść. Konsekwencje bywają więc różne. W pomysłach panów Ptaków kryje się posłanie piłkarzy krajowego chowu na zieloną trawkę, na sprzedaż lub w najlepszym wypadku na ławkę rezerwowych. Być może źle odbieram te intencje, a moja wyobraźnia nie sięga szczytów intelektu „szczecińskich odkrywców”, ale coś mi podpowiada, że zgodnie z teorią prawdopodobieństwa mogą doprowadzić do „piłkarskiego perpetuum mobile”.

Poszukiwaczy nowych dróg w rozwoju naszego futbolu jest nad Wisłą, Wartą i Odrą znacznie więcej. Łączy ich nie tyle miłość do piłki nożnej, ile chwilowy kaprys względnie chęć pomnożenia już posiadanego kapitału. To też są przedsięwzięcia ryzykowne. Eksperymenty rodziny Ptaków przekraczają jednak wszelkie granice racjonalnego myślenia. Nic więc dziwnego, że bywają chybione. Nie wypalił projekt zaangażowania kibiców w formę premiowania zawodników, a także powołanie „klubowego triumwiratu”: Baniak – Malura – Ptak (junior) i powierzeniu mu całej gamy spraw selekcyjno-szkoleniowych z taktyką gry włącznie.

Stwierdziłem wówczas publicznie, że to się źle kojarzy i zapewne źle się skończy. Już w starożytnym Rzymie takie „porozumienie” trzech wielkich mężów stanu doprowadziło do zbrojnej walki o władzę. W

Szczecinie nie doszło do rozlewu krwi, bo Ptak senior nadzorujący ten „trójosobowy trust mózgow”, w porę się połapał, że to jakaś szkoleniowa paranoja i rozpędził towarzystwo. Ciekawe, czy podobny los spotka wręcz obsesyjną wiarę w tę „brazylijską Pogoń”. Nowy trener tej drużyny, oczywiście też z Sao Paulo, niemłody już Jose Serrao też pobrzękiwał szabelką: - Pokażemy na czym polega futbol... Robimy coś wyjątkowego, coś – czego dotychczas nikt jeszcze na świecie nie zrobił... A właściciel „Pogoni” dodaje niezbyt giętkim językiem:

– *„Srowadzenie Brazylijczyków powinno sprawić, że nasza klubowa piłka zniweluje dystans do zespołów zachodniej Europy”.*

Wszystko, co nowe, rodzi się w bólach i... budzi podejrzenia. Poznałem takich „futbolowych planistów” już przed pół wiekiem. Zza biurka zapowiedzieli wówczas rychłe dogonienie najlepszych w tej grze – Węgrów. Na mistrzostwach świata w Szwajcarii pokonali Brazylię 4:2. Teraz niedoścignionymi mistrzami są jednak „caraninhos”. Trenerom węgierskim, których wtedy sprowadzono do Polski, nie udało się „zniwelować dystansu”, choć ambicje mieli ogromne. Równie buńczucznie wypowiadał się egzotyczny szkolenowiec zdeorientowanych „portowców”. Pogoń w Lidze Mistrzów? Powodzenia. Jednak obok narzucających się wątpliwości i zastrzeżeń nie wolno pominąć prawdy szczególnie bolesnej: - **„Nie będzie to już „nasza” Pogoń!”**.

Niby to trend ogólnoeuropejski trudny do powstrzymania, ale już pojawiają się głosy, że prowadzi donikąd. Czyżby zbliżał się kres tego szaleństwa? Nawet liberalny prezydent FIFA, Sepp Blatter ma dość Abramowów i jemu podobnych. Wkroczy z urzędu? Ostatnio dał dużo mówiący sygnał pomawiając Unię Europejską o „piłkarski imperializm”. Wystąpi w roli obrońcy tradycyjnych wartości i przywróci należną rangę

federacjom narodowym i wysoki poziom ich rodzimym drużynom klubowym? To szerszy problem. Należy go postrzegać w kategorii „**jest to jeszcze piłka nożna czy już wyłącznie futbolowy biznes?**”. Jestem za poszanowaniem dziedzictwa narodowego. Na progu XXI wieku pojawiają się jednak pomysły, o których przed pół wiekiem jeszcze nikomu się nie śniło. Zbyć tego milczeniem, nie wypada, trzeba głośno zapytać: - Przyznać rację „brazylijskiej” Pogoni czy na przykład „krajowej” Odrze Wodzisław? Co na to prezes Michał Listkiewicz i przywódca spółki Orange Ekstraklasa S.A. Andrzej Rusko? Ja to widzę w barwach mocno zbliżonych do następstw korupcji.

Barier dla klasowych obcokrajowców stawiać nie trzeba, bo ani Listkiewicz ani Rusko nikt nie chce być Donkiszotem i nie zamierza „walczyć z wiatrakami”, ale... Namawiałbym obu do obrony naszej ligi przed nieprzemyślanym odpływem rodzimych talentów i zalewem zagranicznej miernoty. Tu jakaś w miarę skuteczna tama jest potrzebna! Co, że właściciele klubów poczują się dotknięci? Nie była by to patriotyczna postawa. A przecież ludzie bogaci też lubią dobre widowiska, wysoko cenią wybitnych piłkarzy, ale nade wszystko kochają reprezentację. Stawiam na prezesa Rusko i jego wyborcze obietnice. Wszak publicznie zapewnił wątpiących, że „*w futbolu też mu się powiedzie...*” Ufam, że ma na myśli nasz futbol, polski futbol... Zapewne będzie chuchał i dmuchał głównie na ligę, jednak powinna tu być na pierwszym planie również dbałość o krajowe zaplecze i znaczącą pozycję w świecie drużyny narodowej.

Czy dziennikarze powinni sprawować znaczące funkcje w ruchu sportowym? W latach pionierskich polskiego piłkarstwa takie pytanie było by nie na miejscu i mogło by zrodzić ironiczny uśmiech na twarzach zainteresowanych. Kroniki naszego futbolu przecież nie kłamią; w wielu

klubach, okręgowych związkach sportowych i piłkarskiej centrali ludzie pióra odgrywali istotne role. Byli tam autentycznymi współtwórcami podstaw polskiego sportu, jego struktur, regulaminów i programów działania. Dziś jakiś historyk, lubujący się w „działaniach śledczych”, mógłby spojrzeć na to z pogardą i złośliwie zapytać: - Czy potem również sami swoją pracę recenzowali? Odpowiadam: utrzymywali niezbędny dystans...

Wtedy prasa nie uzurpowała sobie praw „czwartej władzy”. Skupiała się przede wszystkim na tworzeniu, a nie burzeniu, była bezinteresownym partnerem działaczy dosłownie w każdej dyscyplinie sportu. Miłośnicy piłkarstwa robili to ze zdwojoną energią i z ogromną pasją. W Krakowie byli to przede wszystkim Józef Lustgarten i Tadeusz Synowiec, a w Warszawie bracia Jerzy i Tadeusz Grabowski oraz Marian Strzelecki. Łączyła ich znajomość piłki nożnej „od podszewki”, z boisk krajowych i zagranicznych. Każdy z nich był znanym, często też wybitnym zawodnikiem, mistrzem Polski, reprezentantem, a także nieustrudzonym propagatorem idei futbolu. Najdalej tą dobrowolnie wybraną drogą doszli Tadeusz Synowiec i Marian Strzelecki. Obaj byli filarami dawnego „Przeglądu Sportowego”. Bracia Grabowscy to też znani dziennikarze i byli wiceprezesi PZPN, a Synowiec – w połowie lat dwudziestych wysoko ceniony selekcjoner.

Tej rangi dziennikarzy, a zarazem wybitnych działaczy miała nasza piłka nożna dużo, dużo więcej. Doktor Stanisław Mielech prawnik z wykształcenia, ale publicysta „Życia Warszawy” z wyboru, autor kilku nowatorskich książek o tematyce piłkarskiej był w roku 1916 jednym z ojców – założycieli „Legii” Warszawa, a trzydzieści lat później pierwszym wiceprezesem odrodzonego PZPN. Wkrótce w jego ślady z równym

powodzeniem poszli Tadeusz Maliszewski, też były redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”, a także koryfeusze piłkarskiej żurnalistyki – Mieczysław Szymkowiak i Grzegorz Aleksandrowicz. Jestem jednym z wychowanków „pana Grzegorza”. To właśnie on nauczył mnie dostrzegać w futbolu głównie piękno, duże wartości społeczne i estetyczne, wskazał również ścieżki, jakimi powinienem kroczyć w zawodzie, aby zyskać uznanie ludzi kompetentnych, prawych i bezinteresownie działających w naszej ukochanej dyscyplinie sportu. W testamencie zapisał mi cały swój dorobek twórczy i przebogatą dokumentację prasową.

Później tak bliscy w pracy i humanistycznym spojrzeniu na sport, zwłaszcza na piłkę nożną, byli mi tylko redaktorzy właśnie wszechstronny Mieczysław Szymkowiak i utalentowany organizator Stefan Grzegorzycyk. Miecio był najpierw wiceprezesem PZPN i selekjonerem, a potem zawodowo dość długo pracował w „Sporcie” Katowice. Stamtąd to właśnie ja ściągnąłem go do „Piłki Nożnej”. A Stefan? Wspólnie tworzyliśmy ten tygodnik. To tuz dwóch PZPN-ów! W tym piłkarskim był członkiem prezydium, a w tym drugim czyli Polskim Związku Pięcioboju Nowoczesnego ponad ćwierć wieku był powszechnie cenionym prezesem. Ma w dorobku dziesiątki medali olimpijskich, mistrzostw świata i Europy. Kiedyś namawiałem Grzegorzycyka, by przejął ster Związku Piłkarskiego. Nie podjął rękawicy, grata dla futbolu.

Znani i wybitni niegdyś dziennikarze działali z pożytkiem i skutecznie nie tylko w piłkarstwie. Grzegorzycyk jest tu zdecydowanym liderem, ma największy staż i dorobek w sporcie wysoko kwalifikowanym. Dobrze udokumentowali w nim swój prezesowski udział Włodzimierz Gołębiowski i Edward Strzelecki w kolarstwie oraz Jacek Żemantowski i Edward Strzelecki w brydżu sportowym. Nigdy nie pełnili tak

odpowiedzialnych funkcji redaktorzy Jerzy Zmarzlik, Stefan Sieniarski, Lech Cergowski, Marian Matzenauer i Zygmunt Głuszek, ale w dyscyplinach sportu, które opisywali, mają również niebagatelne osiągnięcia. Fachowcy w każdym calu i z niecodzienną wyobraźnią. Współtwórcy sukcesów w wielu dyscyplinach sportu.

W części zatytułowanej „**Futbol zniewolony**” wspomniałem już, że Grzegorz Aleksandrowicz był inicjatorem przedsięwzięcia, które do dziś cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem kibiców. Mowa o totalizatorze piłkarskim. Dziennikarze nieco młodsi od „pana Grzegorza” wykreowali kilku mistrzów olimpijskich. Zapewne nie wszyscy wiedzą, że Władysław Komar, zanim w roku 1972 w Monachium zdobył złoty medal w pchnięciu kulą, uprawiał boks. I tu wykazał niemały talent, ale znacznie mniejszą odporność na ciosy. Janek Wojdyga, redakcyjny asystent „prezesa” Zmarzlika dowodził, że Komar miał „szklaną szczękę”, taką samą jak niegdyś inny znany reprezentacyjny bokser Stanisław Gościański. „Prezes” dał więc Władkowi delikatnie do zrozumienia, żeby dał sobie spokój z tą „szlachetną walką na pięści”. Znacznie większą karierę jest w stanie zrobić w lekkiej atletyce. Komar mocno się wkurzył, ale Zmarzlik nie ustępował, powoli i skutecznie drażył skałę. Efekt? Na Olimpiadzie w Monachium, gdy Komar stał na najwyższym podium, a Zmarzlik bił brawo w łoży prasowej, obaj z równym wzruszeniem wysłuchali Mazurka Dąbrowskiego. Z ochotą przeszli wówczas na „per ty”, mimo że Jurek był starszy od Władka dokładnie o dwadzieścia lat.

A czymże to wyróżnił się Leszek Cergowski? Po Jurku Mrzygłódzie „odziedziczył” w „PS” szermierkę i niektóre konkurencje narciarskie. Później też przejął kolarską pałeczkę od „profesora” Zygmunta Weissa. To dopiero była niespokojna dusza! Marzyciel. Momentami przy tej

dziennikarskiej robocie, jak bohatera romantycznych dramatów Leszka ogarniał „jaskółczy lęk”: Czy się uda? Czy nie palnę jakiegoś głupstwa? Znał się na rzeczy, umiał przy tym „cierpieć za miliony” i rzadko mylił się w swoich prognozach. Po każdym sukcesie Polaka rozczulał się do łez. Patriota, któremu w więzieniu we Wronkach usiłowano obrzydzić miłość do Ojczyzny. Podczas Olimpiady 1964 w Tokio, gdzie jego cichy faworyt Egon Franke wywalczył w szpadzie złoty medal, Cergo płakał ze szczęścia jak dziecko. Wszak wyróżył Frankemu ten sukces. Po raz drugi szalał z radości w roku 1972 po triumfie Wojciecha Fortuny w Sapporo. Nawet dla niektórych „znawców” z Polskiego Związku Narciarskiego był to zwykły fuks na torze. Ale nie dla Cergowskiego i jego przyjaciela Mariana Matzenauera z Zakopanego. Obaj – wbrew opinii „fachowców” – wręcz domagali się włączenia Fortuny do olimpijskiej ekipy. Rezultat znamy.

Zupełnie inaczej reagował na swoje sportowe wizje Stefan Sieniarski. Machał pogardliwie ręką na planistów z GKKFiT i PKOl, zgryźliwie się przy tym uśmiechał i z lubością sięgał po angielską „Wyborowej”. Swoją przygodę ze sportem zaczynał w Żyrardowie od piłki nożnej, raz nawet w meczu Unia Skierniewice – Żyrardowianka graliśmy przeciwko sobie, ale „miłością największą” obdarzył lekkoatletykę. Z pełną wzajemnością! Co tu ukrywać, z jego publikacji najpierw w „Przeglądzie Sportowym”, a potem w „Sporcie” Katowice i „Życiu Warszawy” dość łatwo można było odnieść wrażenie, że wie więcej o tym sporcie, niż wszyscy działacze i niektórzy trenerzy razem wzięci. Otóż w roku 1968 przed Olimpiadą w Montrealu Stefan namówił Irenę Szewińską do startu tam w biegu na 400 metrów. Światli trenerzy to podchwycili i tak przygotowali Irenkę, że przywiozła z tych igrzysk złoty medal. Wnioski oczywiste. W tamtych

czasach mieliśmy dziennikarzy na miarę talentów naszych największych sportowców. To były medialne indywidualności, prawdziwi eksperci, wizjonerzy. Dziś ludzie pióra pełnią inne funkcje. Usiłujący płynąć pod prąd lądują za redakcyjną burtą.

Mnie osobiście, zresztą nie pierwsza w dziejach „Przeglądu Sportowego” zaskoczyła i zmartwiła rewolucja kadrowa, jakiej w końcu 2003 roku dokonano w „Przeglądzie Sportowym”. Pracowałem w tym dzienniku blisko dwadzieścia lat, w różnych okresach historycznych, ale nigdy nie spotkałem się z tak druzgocącą krytyką ludzi odpowiedzialnych z w nim za dobór pracowników i panującą w redakcji atmosferę. Trudno dziś bez zastrzeżeń przyjmować słowo pisane, takie mamy czasy, przeto i w tygodniku, który doniósł te „rewelacje”, nie wszystko wydało mi się zgodne z obiektywną prawdą. Jednak włos mi się zjeżył na głowie, gdy w tekście zatytułowanym „Ptasia grypa po polsku” przeczytałem, że „W przeglądzie Sportowym rewolucję kadrową połączono z odrzuceniem 80-letniej tradycji”.

Jak należy to rozumieć? Czy tak, że również to, co i ja przez tyle lat wraz z Aleksandrowiczem, Cergowskim, Głuszkim, Strzeleckim, Zmarzlikiem, Weissem i rówieśnikami prezentowałem na łamach „PS” należy wyrzucić na śmietnik? Kto robi tak wstrętne porządki?! Czy jest to dziś zjawisko nagminne? Nie. ... „W Katowicach naczelny „Sportu” Adam Barteczko i jego pracownicy – czytamy na tej „ptasiej grypie” – dzielnie bronią prawa do tytułu i tym samym samodzielnego decydowania o swoim losie. Natomiast pracownicy „PS” i „Tempa” są niczym pańszczyźniani chłopci skazani na widzimisię plenipotentów właściciela ze Szwajcarii... Jesienią 2003 roku pojawił się przedstawiciel wydawcy, niemiecki fachowiec... spod znaku „Bilda” i postanowił przerobić „PS” na

bildowską modłę”.

Wyrzucono nie tylko redaktora naczelnego Piotra Górskiego i jego zastępcę Pawła Zarzecznego jednego z najzdolniejszych i dobrze piszących (dziennikarzy, a nie ludzi zatrudnionych w redakcjach). Znam jego zalety i wady, bo talent Pawełka krystalizował się na moich oczach w tygodniku „Piłka Nożna”. Gdy o tych zmianach dowiedział się Prezes Honorowy PZPN, Kazimierz Górski nie bez podstaw zapytał: - „no to kto będzie teraz robił ten „Przegląd”? Rychło odpowiedział na to pytanie autor „Ptasiej grypy po polsku”: ... „Faktyczną władzę sprawuje Tomasz Zięba nazywany „Playboyem”. Na ile mu pasuje, na tyle się nią dzieli z podlegającym mu Kołtoniem”.

Ten passus zdziwił mnie najbardziej, bo Romana też znam z kilkuletniej wspólnej pracy i nie bardzo wierzę, by dał sobą pomiatać lub tylko w „kaszę dmuchać”. To dobrze ułożony, ambitny i sprawny redaktor. Ale i marzyciel! Szermuje hasłem o utworzeniu z obecnego „Przeglądu Sportowego” medialnego Realu Madryt. W tym składzie personalnym? Musiał się Romcio zarazić fantasmagorią niektórych chorobliwie ambitnych właścicieli naszych klubów piłkarskich i też plecie głupstwa. Jest jeszcze młody (kto w jego wieku nie chciał przenosić gór i zmieniać koryta rzeki), więc z upływem czasu dokładniej pozna prozę życia i przestanie rzucać słowa na wiatr. Życzę mu tego z całego serca, no i oczywiście niczym nie skrępowanej samodzielności. Cholera, teraz i ja fantazjuję...

Bywało, że mnie również od czasu do czasu udało się przekroczyć barierę typowo dziennikarskiej sztampy. Swego czasu trafnie, choć bez entuzjazmu, ujął to Rysio Kulesza mówiąc publicznie, że „mam w sobie coś z selektonera”. Rzeczywiście, w sekcji młodzieżowej PZPN dość

długo zabawiałem się w „łowcę talentów”, a w redakcji „Piłka Nożna” z powodzeniem redagowałem rubrykę „**Gdybym był selekcjonerem**”. Potrafiłem do swoich przemyśleń przekonać nawet ówczesnych decydentów. W roku 1961, właśnie wbrew bonzom z fizykultury, skutecznie optowałem za wysłaniem reprezentacji Polski juniorów na Turniej UEFA do Portugalii. Nie mogli mnie skreślić, bo chłopcy przywieźli stamtąd srebrny medal. Kilka lat później w Brukseli przed meczem z Belgią o mistrzostwo Europy przyłożyłem niemałą cegiełkę do naszej wiktorii na Heysel (4:2). Moi faworyci, których poleciłem Michałowi Matyasowi, a ten bardzo poważnie potraktował dziennikarską sugestię, zdobyli wszystkie cztery bramki: Janusz Żmijewski (3) i Brychczy.

W trzeciej części „Świadka koronnego” dość szczegółowo opisuję „tajemnice” naszej wygranej z Peru na Mundialu w Hiszpanii. Do detali nie będę więc tu wracał, przypomnę tylko, że trener Bogusław Hajdas, doktor Janusz Garlicki i piłkarz Janusz Kupcewicz w tej niecodziennej sytuacji również potraktowali mnie jak wiarygodnego partnera. Pomysł przekazali Antoniemu Piechniczкови, ten z kolei piłkarzom, oni zrobili, to co do nich należało i tak narodziła się mało oczekiwana wygrana 5:1. Nigdzie się z tym publicznie nie afiszowałem, niekiedy tylko w „nocnych redaktorów rozmowach” wyrażając zadowolenie, że skorzystano z moich uwag, a reprezentacji wyszło to na dobre.

Byłby człowiek rad, gdyby współczesne media, wolne od cięć cenzury i w związku z tym niczym nieskrępowane w formułowaniu własnych opinii i bardziej krytyczne w spojrzeniu na poglądy i praktyki ludzi związanych z futbolem, w sytuacjach trudnych, konfliktowych, społecznie często dwuznacznych, potrafiły wyzbyć się subiektywizmu, besserwisterstwa i nadmiernego radykalizmu. Wiem, że kiedy w instytucjach i klubach

sportowych – obok kultu dobrej roboty – nagromadziło się moc zjawisk i postaw nagannych, trudno reagować bez emocji i chęci szybkiej naprawy. Odróżnianie dobra od zła jest teraz wyjątkowo trudne. Starożytni Rzymianie w podobnych sytuacjach mawiali: „*audiatur et altera pars*” czyli „*należy wysłuchać i drugiej strony*”. Ułatwi to sprawiedliwe oceny i znalezienie przyczyn zaistniałej sytuacji. Zachowania nieodpowiedzialne, społecznie naganne, przestępcze, trzeba napiętnować. Tu nie ma „przebaczyć”, nie wolno przymykać oczu, pobłażać. Ale warto też pamiętać, że zbyt pochopne stawianie szubienic, bez udowodnienia winy, bywa szkodliwe. Łatwo wtedy trafić kulą w płot, kto wie – może nawet zawiesić pętlę na własnej szyi...

„PIŁKARSKI SENAT” Z MIODOWEJ 1

Ostatnio ważne tematy piłkarskie omawia się również w Klubie Seniora PZPN. To poważna placówka. Można ją porównać, zachowując oczywiście odpowiedni dystans, z drugą izbą naszego parlamentu. Sporo jest bowiem w tym Klubie starszych panów, myślę, że lepiej znających krajowy i zagraniczny futbol, niż ich niektórzy młodociani następcy. Przemyślenia, wnioski, niekiedy nawet żądania tych seniorów mają jednak niewielką moc sprawczą, dużo mniejszą niż poprawki do sejmowych ustaw naszych senatorów. Mogą więc gadać sobie dowoli, utyskiwać, krytykować, niekiedy nawet z rozpaczy łezkę uronić, że ich niegdysiejszy wysiłek współcześni mają w nosie. Sentyment do przeszłości łączą jednak z nadzieją, że wkrótce, może wreszcie na mistrzostwach Europy głośno będzie o „biało-czerwonych”.

Klub Seniora ma długą i dobrą tradycję. Tworzyły ten „piłkarski

senat”, między innymi takie nieskazitelnie, czyste moralnie osobowości jak sędzia Mieczysław Walczak, trener Ryszard Koncewicz i selekcjoner Wiesław Motoczyński. Wszyscy ukształtowani przez Drugą Rzeczypospolitą. Ich duch autentycznej, a nie tylko propagandowej uczciwości i sprawiedliwości, długo gościł na pierwszym piętrze siedziby PZPN przy ulicy Miodowej w Warszawie. Na wyżej położone apartamenty te wartości już rządziej docierały. Członkowie Klubu Seniora teraz w gmachu na Bitwy Warszawskiej 7 - z dumą nawiązują do sportowej pasji swoich poprzedników, ich niezwykłych przeżyć i zasług dla polskiego piłkarstwa. Walczak był arbitrem, którego przez dziesiątki lat stawiano za wzór uczciwości, sportowej prawości i solidarności, przebogatej wiedzy i sympatii okazywanej całemu środowisku. W dzisiejszych czasach brzmi to, jak opowieść z innej planety, ale wiedzieć warto, że sędziowie piłkarscy niegdyś też byli „krykiet”. Senior Walczak nie znał pojęcia „łapówkarz”.

Motoczyński – to jeden z tych, którego nie tylko z racji wykonywanego zawodu nazywano „profesorem”. Kochał młodzież piłkarską jak własnego syna Michała, wyławiał i wychowywał talenty nie tylko na dobrych, więcej - wybitnych zawodników, ale również na prawych i przepojonych patriotyzmem obywateli. Po mistrzowsku łączył dobre wychowanie ogólne z piłkarskim szkoleniem specjalistycznym. Był ceniony w kraju i poza jego granicami, w klubach, federacjach, w domach rodzinnych młodych piłkarzy i ich najbliższym otoczeniu. Umiał się znaleźć w każdym towarzystwie i te wartości starał się przekazywać wszystkim ludziom futbolu. Bardzo pod tym względem przypominał swojego największego przyjaciela Kazimierza Górskiego. Mieli zbliżone spojrzenie na kanony życia codziennego. Były w nich miejsce i czas zarówno na ciężką pracę jak i zasłużony odpoczynek, a także na chwile

nieco zabawniejsze. Zdrowy rozsądek jednak zawsze brał u nich górę nad chorobliwymi emocjami.

Ryszard Koncewicz był w piłkarstwie przez blisko pół wieku „profesorem profesorów”. Nie znam ani jednego polskiego selekcjonera i wybitnego trenera, któremu obca byłaby „koncewiczowska szkoła”. Wiedza, rzetelność, twarda praca i nienaganna postawa moralna. Poznali zalety tej szkoły zarówno rówieśnicy „Fajki”: Tadeusz Foryś, Michał Matyas i Wacław Pegza, jak i liczni ich następcy: Antoni Brzeżańczyk, Kazimierz Górski, Leszek Jezierski, Edmund Zientara, Ryszard Kulesza, Jacek Gmoch, Wojciech Łazarek, Andrzej Strejlau, Antoni Piechniczek... Jest w Polsce, konkretnie w Dobiegniewie szkoła imienia Ryszarda Koncewicza. To dawny Woldenberg. Był tam oficerski obóz jeniecki, do którego pognali pana Ryszarda Niemcy po kapitulacji bohaterskiej Warszawy. Był liderem tych towarzyszy niedoli i wraz z nimi „za faszystowskimi drutami” uprawiał ukochaną piłkę nożną. Liczna delegacja Klubu Seniora reprezentowała PZPN w Dobiegniewie właśnie na otwarciu tej szkoły. Ciekawie opowiadali o tym wydarzeniu: Edmund Zientara, Leszek Rylski, Jerzy Talaga, Andrzej Strejlau. Ja, też miałem tam być, niestety - spóźniłem się na pociąg do Stargardu Szczecińskiego. Dużo straciłem.

W Klubie Seniora nie ma już mężczyzn pierwszej młodości. Łysiny i szron na głowie mówią tu wszystko. Nawet Benio Blaut, jeden z najmłodszych w tym towarzystwie, też jest na zasłużonej emeryturze. Obecnie szefem tej armii „starszych panów” wiernych futbolowi jest były prezes PZPN, Zbigniew Jabłoński. Można rzec, że jest „prezesem prezesów”, bo w tym zacnym gronie jest również trzech innych byłych sterników PZPN: Marian Ryba, Stanisław Nowosielski i Jan Maj oraz

kilku równie dobrze znanych wiceprezesów i – dziś już opromieniony legendą – wieloletni sekretarz generalny Leszek Rylski. Większość z nich kierowało Związkiem, kiedy zbierał medale za sukcesy na Igrzyskach Olimpijskich i mistrzostwach świata.

Jest taki zwyczaj wśród członków Klubu Seniora, że spotykamy się nie tylko raz w miesiącu zgodnie z harmonogramem zebrań i prezentowaną na nich „senatorską tematyką”, lecz także z okazji – jak to się potocznie mówi – „okrągłą rocznicą urodzenia” któregoś z nas. Wcześniej przeżyliśmy te chwile wraz z tymi, którzy już odeszli na „wieczną wartę”: Mieczysławem Walczakiem, Wiesławem Motoczyńskim, Ryszardem Koncewiczem i Włodzimierzem Reczkiem. Niedawno głośne „sto lat” intonowaliśmy Leszkowi Rylskiemu, Marianowi Rybie, Zbigniewowi Jabłońskiemu, Marianowi Bednarczykowi, Hermanowi Steinowi, Edmundowi Zientarze, Janowi Majowi, Waławowi Majdanowi, Henrykowi Losce, Józefowi Różyńskiemu i Jerzemu Hołubowi. W listopadzie 2009 roku także mnie spotkał ten zaszczyt. Laudacja pełna życzliwości. Jak ten czas szybko leci?! Jeszcze nie uszły z naszej pamięci mecze z Anglią na Wembley i z Brazylią w Monachium, a już wichry historii pognały niedawnego prezesa Janka w świat siedemdziesięciolatek. Ale on wciąż czuje się Majem nie tyle z racji wiosennego nazwiska i urzekającego w tym czasie zapachu bzu, ile ze względu na nienaganną sylwetkę, chłonny umysł i dużą aktywność zawodową.

Inżynier z wykształcenia, a więc nasycony ścisłą wiedzą matematyczno-fizyczną, ma w sobie również sporo cech humanistycznego erudyty. Dał się uwieść namiętnościom sportu, on też ukochał futbol „miłością największą”, był nawet dyplomata, jest nadal niezrównanym gawędziarzem. Właśnie na swej uroczystości urodzinowej niczym

wytrawny eseista zbeletryzował cały swój żywot sportowo-zawodowy. Ukazał kilka wcieleń swej barwnej osobowości, w tym nawet kilka nocy spędzonych ze mną na grze w kariokę, ale – taka jest siła futbolu – najcieplej i z największą satysfakcją mówił o swojej przygodzie z piłką nożną. Prezes sukcesów!

... „Wypomniała mi to brazylijska prasa – z filuternym uśmiechem opowiadał Maj. – Gdy w tamtejszej ambasadzie podjąłem niełatwą i odpowiedzialną pracę, w jednym z prorządowych dzienników uznano mnie za „człowieka sukcesu”. Nawiązując do wygranego przez nas meczu o trzecie miejsce na świecie zrobiono niecodzienną reklamę: **Witamy Polaka, który pokonał Brazylię!** Zrobili to – jak wiadomo Górski, jego drużyna i przede wszystkim strzelec bramki Grzesio Lato, ale w tym wielkim kraju jakaś część splendoru spadła również na mnie. Takie chwile są niezapomniane...

Zaraz po Weltmeisterschaft 1974 ówczesny prezes PZPN nie miał jednak zbyt dużo powodów do radości.

– Nie potrafiliśmy wykorzystać sprzyjającej koniunktury. Marzył się nam własny ośrodek piłkarski z prawdziwego zdarzenia, zarobiliśmy przecież sporo pieniędzy na tych mistrzostwach, ale o własnych siłach zbudować tego nie mogliśmy. Zresztą do kasy PZPN wpłynęła tylko część dolarów. Bodaj aż osiemdziesiąt procent waluty nadesłanej z FIFA przejął GKKFiT i COS. Siermiężne to były czasy, siermiężny był nasz sport... Piłka też...

– Niby piłka nożna była wtedy „pierwsza wśród równych” – na moment przerwał te Janka wspomnienia Stefan Grzegorzczak – ale w praktyce nic dobrego z tego nie wynikało. Decyzje zapadały gdzie indziej...

– I to uważam za najbardziej przykre w swej prezesowskiej

karierze – kontynuował Maj. – Nasza samodzielność była zwykłą fikcją. Reprezentacja wygrywała z największymi potęgami w piłkarstwie zawodowym, ale „realny socjalizm” wciąż traktował nasz futbol po amatorsku.

– Pojęcie „transfer piłkarski” – podchwycił temat Andrzej Strelau – było nieznane...

– Tak, to też mocno odczułem na własnej skórze – nie ukrywał rozgoryczenia Jan Maj. – Po Monachium czołowymi polskimi piłkarzami zainteresował się niemal cały świat. Na moim biurku, także w rozmowach telefonicznych pojawiały się niezwykle korzystne oferty transferowe. Składał je nawet Bayern Monachium, a przypomnijmy sobie, że wtedy w tej drużynie grali między innymi: Maier, Breitner, Beckenbauer, Schwarzenbeck, Mueller... Mistrzowie świata. Najenergiczniej zabiegano o pozyskanie Kazia Deyny, ale równie wysoko ceniono Gadochę, Latę, Szarmacha. Szło o dużą kasę. Poszedłem z tymi kłopotami do Bolesława Kapitana. Wysłuchał, pokiwał głową i mocno zafrasowany, zapytał:

– A co na to powiedzą towarzysze radzieccy?

– Na moment mnie zatkało... Nie wiem panie przewodniczący – naiwnie odpowiedziałem. – Słyszałem jednak, że niektórzy piłkarze mają paszporty w domu i... mogą to wykorzystać bez naszej zgody. Namawiają ich do tego natrętni menedżerowie. A chłopcy chcą zarobić...

– Słuchajcie Maj, coś wam poradzę... Wy z tymi klubami zagranicznymi, z naszymi piłkarzami też, rozmawiajcie jak gdyby nic, normalnie... Po partnersku. Nie dajcie poznać, że ich kiwacie, że to takie piłkarskie sztuczki. Jeśli kapitaliści chcą z nami handlować, to znaczy kupować naszych zawodników, to spokojnie odbierajcie telefony, pertraktujcie. Takie są reguły tej gry...

– Czy znają je również piłkarze? – wtrąciłem.

– Piłkarze?... Rozumiem, że chcą grać za większe pieniądze... dla innych. Ich też nie zniechęcajcie. Będziecie mieć kłopot z głowy...

– Jak mam to rozumieć, towarzyszu przewodniczący? – znowu zapytałem Kapitana.

– Wy Maj, obiecujcie, dajcie nawet zgodę... Będziecie w porządku... A ja po prostu zablokuję im paszporty...

Jeszcze u schyłku „realnego socjalizmu” pana Antoniego Ptaka, jego syna Dawida i ludzi im podobnych nazywano by „prywaciarzami”, „badylarzami” lub też nieco obrzydliwej „cinkciarzami”. Dziś są w większości szanowanymi i podziwianymi biznesmenami. Wprawdzie niektórzy ekonomiści i politycy uważają nasz nowy ustrój (w skali globalnej) za kapitalizm peryferyjny, więc zrzęczniejsze jest mówić i pisać o „powrocie w gospodarce do wolnego rynku”. Jedną z trwałych cech tego ustroju jest poszukiwanie taniego surowca i jeszcze tańszej siły roboczej. Światowy futbol wyraźnie kroczy tą drogą, masowo penetruje zwłaszcza Afrykę i Amerykę Południową. Rodzina Ptaków uznała, że najlepiej jest robić tego rodzaju interesy w Brazylii. Rynek stosunkowo tani i wciąż nasycony bogactwem piłkarskich talentów.

Pan Antoni jest przekonany, że tamtejsi zawodnicy, nawet wyeksploatowani i już o mocno zgranych nazwiskach, będą błyszczeć na polskich boiskach. Lepszych nie widział? Prasa podbija ten bębenek, sugerując, że w naszej lidze jeszcze nie grali tej klasy zawodnicy. Śmiać się z tego powodu czy płakać? „Cudze chwalicie, swego nie znacie...”. Podczas Weltmeisterschaft '74 w RFN Polacy pokonali reprezentację Brazylii. Mimo że aż roiło się w niej od piłkarzy jednak lepszych niż niedawne gwiazdy Pogoni. Nazwiska Paulo Cesara, Rivelino, Jairzinno,

Dirceu, Brazylijczyków z tamtych lat wciąż z uznaniem wspomina się w Sao Paulo i Rio de Janeiro, mimo że byli wtedy w cieniu: Jana Tomaszewskiego, Jerzego Gorgonia, Władysława Żmudy, Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy, wreszcie strzelca zwycięskiej bramki Grzegorza Laty.

I tu dotykamy sprawy dziś trudnej do zrozumienia. Głównie w latach siedemdziesiątych i nieco później mieliśmy reprezentację na poziomie światowym, a i niektóre drużyny klubowe na miarę dzisiejszej Ligi Mistrzów. Był to niewątpliwie powód do dumy, ale daleki od euforii i... samozadowolenia. Chciałoby się grać jeszcze lepiej i częściej zwyciężać! Od różnych stron i na różne sposoby ocenialiśmy ówczesny świat piłkarski i rolę, jaką w niej odgrywali „biało-czerwoni”. Działaliśmy niejako na przekór opinii, że „nie sędzi się zwycięskiej drużyny”. Pewne prawdy, które wtedy uznaliśmy za obiektywne, mają wymiar ponadczasowy. Również anno 2006 przed kolejną wyprawą naszej reprezentacji na mistrzostwa świata do Niemiec były godne przypomnienia.

Przede wszystkim szło o nieustający spór „starzy czy młodzi” powinni grać w drużynie narodowej. Najlepiej, gdyby „rozum był przy młodości”. Jednak rzadko to idzie ze sobą w parze. Naonczas teoretycy futbolu twierdzili, że najbardziej korzystny wiek dla piłkarza to 26-28 lat. Ma wtedy jeszcze dużo młodzieńczej werwy i już sporo doświadczenia. Nasza reprezentacja z 1974 roku była dużo młodsza, dlatego wiązaliśmy z nią nadzieję na jeszcze lepszy wynik cztery lata później w Argentynie. Bojowe hasło Jacka Gmocha „jedziemy po złoty medal” w tej konkretnej sytuacji nie było li tylko wytworem jego chorobliwej ambicji i wybujałej fantazji. Miał cudowną drużynę. Liczne błędy organizacyjne, szkoleniowe i pozasportowe jednak nie pozwoliły Polakom dotrzeć nawet do strefy

medalowej.

Dobrym materiałem do rozumnych rozważań na ten temat był po Mundialu w Niemczech przeciętny wiek czterech reprezentacji, trzech zwycięskich i jednej przegranej. W drużynach Niemiec (27, 4) i Holandii (27,7) najlepiej zagrały bariery wiekowe, w zespole Polski (24,8) były duże rezerwy, natomiast u Włochów (28,9) okres świetności już wyraźnie się oddalał. Kluczowi zawodnicy „azzruich”: Facchetti, Burgnich, Rivera, Mazzola, Riva przekroczyli już trzydziestkę, natomiast w naszej ekipie było nawet kilku dwudziestolatków w tym rewelacyjny Władysław Żmuda, Zdzisław Kapka i Marek Kusto, a także takie tuzy jak: Lato, Szarmach, Szymanowski i Kmiecik, jeszcze przed rokiem gracze reprezentacji młodzieżowej. W sumie nasza reprezentacja była w roku 1974 najmłodsza... Niestety, tego potencjału sportowego nie wykorzystano w Argentynie.

STARZY CZY MŁODZI?

Paweł Janas i jego wybrańcy znowu pojawili się na niemieckich boiskach. Drużyna nie była jednak już tak młoda, być może dojrzała, choć niewątpliwie mniej utalentowana. Znalazło się w niej kilku zawodników po trzydziestce. To wątpliwy atut. W tym wieku prochu się raczej nie wymyśli, zresztą wbrew naturze niełatwo jest „odwlekać piłkarską starość”. Okres pełnej sprawności i wydolności organizmu dla potrzeb sportu wyczynowego jest znacznie krótszy niż przeciętny wiek produkcyjny. Tu i ówdzie podejmuje się próby wzmacniania, a także przedłużania aktywności zawodniczej niedozwolonymi środkami farmakologicznymi. Są to praktyki niedopuszczalne i sprzeczne z etyką

sportową.

Ale jest też teraz cała gama środków dozwolonych, trzeba umiejętnie z nich korzystać. To zadanie dla lekarzy. Umiejętność wykorzystania postępu w medycynie sportowej i w formach doskonalenia biologicznej odnowy jest dziś równie ważne jak wszelkie operacje sztabu ściśle szkoleniowego. Stąd prosty wniosek: przeciętny wiek piłkarza, zakładając że profesjonalnie korzysta z tych zdobyczy, znacznie się wydłużył. Coraz głośniej mówi się więc i pisze, że w wielu gałęziach sportu „prawdziwe życie sportowe zaczyna się po trzydziestce”. W piłce nożnej również! Czy mając to na względzie, mogliśmy liczyć na „młodzieńczą” grę naszych trzydziestolatków?

Na granicę wieku sportowców należy spojrzeć indywidualnie. W piłce nożnej na przykład Lew Jaszyn i Dino Zoff mieli już czwarty krzyżyk na karku, a Oliver Kahn był bliski tego ciężaru, mimo to wciąż grali (gra) na najwyższym poziomie światowym. Wielu innym, znacznie młodszym zawodnikom nie zawsze się to udawało. Nasz bramkarz Jerzy Dudek, a także środkowy obrońca Jacek Bąk, w swoim „wieku chrystusowym” wydawali się być w pełni sił i nadal mieć dużą ochotę do gry. Jacek Zieliński jeszcze dłużej niż oni był podporą reprezentacji. A więc? Dawne granice pełnej aktywności sportowej znacznie się wydłużyły. Nadal jednak tylko sportowe umiejętności, aktualna forma, doświadczenie i... sentyment decydują o przydatności piłkarza dla drużyny. Liczono przeto na Jerzego Dudka, mimo że już zaczął pisać pamiętniki. W finale Ligi Mistrzów pięknie tańczył w naszej bramce. Sądzone, że równie ładnie potańczy w naszej bramce na niemieckich boiskach. Stępiona ostrość widzenia. Na mistrzostwa świata nie jeździ się za zasługi, ani też po naukę! Tam trzeba być gotowym do gry! Janas słusznie postawił na Artura Boruca.

Skoro jednak coraz bardziej przesuwana się granica wieku, tak w górę jak i w dół, w dobrej reprezentacji, mogą i powinni grać, jeśli są dobrzy, zarówno dwudziestoletni młodzieńcy jak i trzydziestoletni rutyniarze. Tego nie da się wymierzyć liniałem, ani zważyć ciężarkami. Tu potrzebna jest wiedza, wyobraźnia oraz zmysł selekcyjny i taktyczny trenera. Musi umieć wykorzystać potencjał kadry jaką dysponuje. Górski oraz jego asystenci Gmoch i Strejlau potrafili przywrócić futbolowi rzecz w nim najistotniejszą – strzelanie goli. Czy można było tę prawdę odnieść do obecnej reprezentacji?

W grach eliminacyjnych „Janas and his boys” udowodnili, że jądro futbolu czyli zdobywanie bramek nie jest im obce. Nie zadowalały ich zwycięstwa różnicą jednego gola, obce im było kunktatorstwo i zwalnianie tempa gry. Frankowski i Żurawski dość długo byli jakby bliźniaczą kopią najpierw duetu Lato- Szarmach, a później Boniek – Smolarek. Jawił się nam zespół o podobnych możliwości i o równie dużych aspiracjach? Zespół z Deyną, Tomaszewskim, Szymanowskim, Lata, Gadochą, Gorgoniem i świetnie zapowiadającym się Żmudą miał więcej indywidualności. W Hiszpanii byli to przede wszystkim Młynarczyk i Boniek. Głównie tacy piłkarze decydują o medalach.

W charakterze polskich piłkarzy jest zdobywanie bramek. To cenna zaleta, ale zespół jako całość musi być wyrównany, bez słabych punktów, tworzyć monolit. A takiej drużyny w roku 2006 nie mieliśmy. To samo można by powiedzieć o reprezentacji Niemiec, nie dorównuje klasą tej z 1974 roku. Dotychczas nasi na Mundialach grali z Niemcami dwukrotnie: raz było niezbyt sprawiedliwe 0:1 i raz 0:0. By wyrównać bilans należało wygrać 1:0. Jednak znowu było 0:1. By pójść dalej, trzeba było wygrać z Ekwadorem i Kostaryką. Mariaż młodzieży, niby dalekiej od piłkarskiej

sztampy, z doświadczeniem starszych zawodników, nie był jednak naszą szansą na sukces. Janas podobnie jak Górski nie boi się ryzyka, ale w Niemczech zalet tych nie potwierdził. Prasa brutalnie mu to wytknęła.

OREŻ „CZWARTEJ WŁADZY”

Być dziś dziennikarzem - także sportowym - jest znacznie łatwiej i prościej, niż przed pół wiekiem. Ma pełną swobodę w wyrażaniu swoich opinii (nas w tamtych czasach temperowała cenzura) i po stokroć większą możliwość bezpośredniej obserwacji pracy szkoleniowej w klubach i drużyn reprezentacyjnych. Mam tu na myśli głównie przygotowania i mecze rozgrywane poza granicami kraju. Prasa, radio i telewizja nie ma teraz żadnych kłopotów z wyjazdami na mecze klubów i reprezentacji, zarówno o punkty jak i towarzyskie. Dawniej monopol na ważniejsze imprezy sportowe miała Polska Agencja Prasowa (PAP), czasem z tego przywileju korzystało Polskie Radio, rzadziej Telewizja.

Pisma sportowe, zaszufadkowane przez ówczesne władze „do hobbystycznych”, nie miały takich możliwości. Próbowano oczywiście pytać dlaczego tak się dzieje, ale na szczytach władzy z reguły odpowiadano jasno i otwarcie, aczkolwiek nie zawsze zgodnie z prawdą „z powodu braku dewiz”. Inne były priorytety. Argument, że nasi czytelnicy też chcą wiedzieć, co w Europie i na świecie dzieje się w futbolu, praktycznie wszystkie pisma sportowe zbywano bezczelną odpowiedzią: - „Przecież ten mecz „leci w telewizji... Kibicom to wystarczy. A wy i tak jakoś to opiszecie...”. Jeśli już udało się „wydębić” pełnodewizowy wyjazd na jakiś super ważny mecz, trzeba było poza macierzystym pismem obsługiwać kilka innych gazet. Takie warunki stawiał monopolista „RSW Prasa”, którego

głównym udziałowcem, a raczej beneficjentem było KC PZPR. Jeszcze większe trudności w tym względzie mieli dziennikarze sportowi z prasy związanej ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym. Tam była nędza absolutna, przeto i działy sportowe ubogie w informacje zagraniczne.

Pracowałem w „Przeglądzie Sportowym” już od września 1953 roku, ale na pierwszy wyjazd poza „żelazną kurtynę” czekałem aż pięć lat. Gomułka i jego ludzie nieco popuścili wówczas cugle. Popaździernikową „odwilż” sprytnie wykorzystało nasze pismo. Dzięki staraniom redaktora naczelnego Edwarda Strzeleckiego uzyskaliśmy w Zarządzie Głównym „RSW Prasa” zgodę na utrzymywanie kontaktów bezdewizowych w zasadzie ze wszystkimi redakcjami sportowymi ówczesnych krajów demokracji ludowej i z francuską „L'Equipe” oraz na krótko ze szwedzkim „Idrotsbladet” i belgijskim „Le Sports”. Paszport z ulicy Bagateli w Warszawie, stamtąd jedna dieta bez hotelu oraz zakwaterowanie i wyżywienie na koszt zaprzyjaźnionych redakcji - to był już sukces ogromny.

Nie przelewało się, ale ... „Polak potrafi”. Wpadliśmy więc na jeszcze jeden pomysł. Przed każdym wyjazdem na zawody sportowe do tych krajów chwytałyśmy za pióra, zaraz potem za słuchawkę telefoniczną lub uderzałyśmy w klawisze dalekopisu i... przekazywałyśmy partnerom obszerne informacje o naszych drużynach, zawodnikach, możliwym wyniku. Oficjalnej zgody nie było (wcześniej za podobne praktyki krytykowano Maliszewskiego i Rzeszota), tera jednak patrzono na to przez palce. Niby tak od niechcienia pytano tylko, ile na tym zarobiliśmy. Podtekst był oczywisty! Trzeba było z każdego takiego „bezdewizowego” wyjazdu łaskawcę-wydawcę uhonorować jakimś skromnym suwenirem. Na tych samych zasadach przyjeżdżali do Polski specjaliści wysłannicy

pism z nami współpracujących. Też pisali artykuły wyjątkowo dobrze wyceniane, też dostawali niezłe diety, a osoby ich „pilotujące” odpowiednie fundusze na „bratanie” się w jednym z lepszych lokali warszawskich.

Różne były tych naszych gości charaktery i upodobania. Siergiej Paszynin z „Sowieckiego Sportu” zaczynał „drużbę” od dużego kufła (!) „Wyborowej” w „Smakoszu” na Mokotowskiej, a kończył solowym „Daleko, daleko...” w Stowarzyszeniu Dziennikarzy na Foksał. Szwed dla odmiany (też miał mocną głowę), gdy dowiedział się, że dolar w Polsce na czarnym rynku miewa wartość nawet stu złotych, to z nieukrywaną pogardą przyjął wysokość kieszonkowego. A dostawał pół tysiąca dziennie.

– To jest tylko pięć dolarów! – śmiał się od ucha do ucha. – Tyle to ja w Sztokholmie, gdy jestem pod „niezłą datą”, daję za usługę babci klozetowej...

Był rok 1966, druga połowa maja, wiosenne ciepło. Powiozłem gościa do Wrocławia na towarzyski mecz Polska – Szwecja. Na Stadionie Olimpijskim komplet widzów. Padł wynik remisowy 1:1, co Szweda Niemile zaskoczyło, natomiast naszego trenera Antoniego Brzeźniaczyka wprowadziło w dobry humor. Wypiliśmy po „maluchu”. Ułatwiłem gościowi rozmowę z selekcjonerem, a tuż przed północą wraz z Koncewiczem, Motoczyńskim i Ptaszyńskim, postanowiliśmy wrócić do Warszawy. Pociąg dalekobieżny, aż z Jeleniej Góry, przepełniony, a my nawet biletów nie mamy. Taki był tłok przed kasami. Dla nas Polaków to nic zdrożnego, codzienność, ale co ten Szwed sobie pomyśli. Ma jechać na gapę i całą noc stać na korytarzu?

Wysłannicy PZPN jakoś wdrapali się do wagonu, po powrocie do Warszawy chwalili się, że wszystko elegancko załatwili z konduktorem i

nawet pograli w brydża. Ja ze Szwedem wciąż na wrocławskim peronie. Pchają się ludziska, jak po cytryny w delikatesach. Facet zdziwiony, ja też tłoku nie lubię, więc krzyczę: - Stój! Poczekaj! Nie, chodź ze mną!... I podszedłem do wagonu sypialnego. Nauczył mnie kiedyś kolega redakcyjny Artur Cendrowski, syn kolejarza z Żyrardowa:

- Na dłuższą, nocną podróż nie kupuj biletu w kasie. Podejdz spokojnie do wagonu sypialnego... Tam zawsze jest jakaś rezerwa poselska... Grzecznie powitaj konduktora. Uśmiechnij się, powiedz o co idzie, sięgnij przy tym koniecznie po portfel i... spokojnie czekaj. Aż odprawi pasażerów!...

Gość ze Szwecji niewiele z tego zrozumiał, ale liczyć pieniądze potrafił. Kiedy mu powiedziałem, że za podróż z Wrocławia do Warszawy pociągiem pośpiesznym i noclegiem w wagonie sypialnym dla dwóch osób zapłaciłem tylko trzysta złotych, osłupiał. Teraz dopiero w pełni docenił wartość naszego kieszonkowego i wycenę za przekazane informacje prasowe. Miał na cztery dni pobytu w Polsce blisko trzy tysiące złotych, a więc tyle, ile wtedy miesięcznie zarabiała większość dziennikarzy zatrudnionych w „Przeglądzie Sportowym”. Głodny i trzeźwy nie chodził. A gdy jeszcze na pożegnanie dostał jakiś upominek, nie mógł wyjść z podziwu. Za niewiele ponad trzydzieści „polskich dolarów”, jak to sobie wyliczył, żył w tym czasie jak panisko. Do domu zawiózł jeszcze dwie butelki „Wyborowej” zakupione w „Pewexie” za niespełna dziesięć szwedzkich koron. U siebie drożej płacił za jeden kieliszek...

Kilka lat później, już w tygodniku „Piłka Nożna”, takich wydarzeń i „kontaktów bezdewizowych” w zasadzie nie było. W sprawach piłkarskich na ówczesnym rynku mediów nasz periodyk miał teoretycznie priorytet, ale w praktyce tego nie odczuwaliśmy. Stąd też wiele spotkań poza

Polską odbywało się bez naszego udziału. Nie mieliśmy też stałych korespondentów zagranicznych i zadowalającego dostępu do prasy zachodniej. To również obowiązywały „limity dewizowe”, szczególnie dotkliwe dla prasy hobbystycznej. Ale i tu jakoś sobie radziliśmy! Osobiste kontakty i znajomości, także sympatia do naszego pisma wielu byłych piłkarzy i kibiców na stałe lub służbowo przebywających zagranicą, pozwoliły załatać niektóre luki.

I tak: z Argentyny fachowe komentarze nadsyłał nam były piłkarz Korony, Legii i Polonii Warszawa, wieloletni kapitan reprezentacji Polski Jerzy Bułanow, z Brazylii obszerne reportaże kreślił red. Aleksander Pasierbiński, z Węgier mój przyjaciel jeszcze z czasów pracy w „Przeglądzie Sportowym” red. Witold Wieromiej, z Anglii były bramkarz Wisły Kraków Stanisław Gerula oraz od czasu do czasu Stanisław Wieliszek i Janusz Kowalik z Holandii. Także Jacek Gmoch w wolnych chwilach siadał przy biurku i pisał. To jedna z form w miarę stałych kontaktów ze światem.

Druga – to okazjonalne korzystanie z usług dziennikarzy z „demoludów”: Dymitra Popdymitrowa i Aleksandra Jasnikowa z Bułgarii, Czesława Rypara z Czechosłowacji, Constantina Macoveia z Rumunii oraz Olega Kuczerenki i Wiktora Poniedielnika (to ten, co nastrzelał nam sporo bramek w przegranym meczu 1:7 na Łuźnikach) z byłego Związku Radzieckiego. Wszyscy byli sprawni i dyspozycyjni, chętnie do nas pisali, ale mieli wadę trudną do wybaczenia, przesadzali w cukierkowatych opiniach. Wychwalali swoich piłkarzy, co nie zawsze pokrywało się z naszymi odczuciami i informacjami napływającymi w tych sprawach z innych źródeł. Były bardziej obiektywne.

No to znaleźliśmy jeszcze jedno rozwiązanie. Głównie z Włoch i

obu części Niemiec (RFN i NRD), a więc krajów w futbolu mocnych, publikowaliśmy korespondencje „specjalnych wysłanników” pracujących na stałe w naszej redakcji lub tylko okresowo z nią współpracujących. Śledzili włoską i niemiecką prasę, dzwonili do znajomych, tamtejszych klubów lub federacji piłkarskich i tak rodziły się pozornie autentyczne reportaże. Nawet nie wszyscy pracownicy redakcji wiedzieli, że interesujące rozprawy o piłkarstwie włoskim pod pseudonimem Manfredo Bartoloni „nadsyłał” z Rzymu do Warszawy stały mieszkaniec naszej stolicy Krzysztof Ernst, a korespondencje z Niemiec Jerzy Lechowski z NRD jako Sepp Kohlmann, a z RFN jako Helmut Eppmayr – obaj z Pragi Południe.

Od czasu do czasu z podobnych pomysłów korzystał w „Przeglądzie Sportowym” red. Mirosław Skórzewski. Zagranicę potrafił się wybrać z jedną czystą koszulą i... szczoteczką do zębów. I z reguły dawał sobie radę. Mnie też niekiedy wybawiał z kłopotów. Bardzo Go teraz brakuje, bo odszedł na zawsze. Już nikogo nie zaprosi na kielicha, z nikim nie pogra w karty lub „numerki”, nikogo też nie „wyciągnie” na wyścigi koników na Służewcu i nie rozbawi w drodze na mecz piłkarski. Miruś nawet wtedy, gdy był już bardzo chory, nie zatracił pogody ducha i żyłki hazardzisty. Marzył o wyjeździe i szczęściu w Las Vegas. Przedtem zagadnął jednak lekarza czy może pofrunąć za Ocean.

- A ma pana tam kto pochować? – usłyszał w odpowiedzi.
- Mam w Ameryce syna, bankowca...
- No to niech pan leci...

Po powrocie w najdrobniejszych szczegółach opowiadał swoje przeżycia w tej świątyni hazardu. Był tam kilka razy i nigdy goły nie wracał. Miał „nosa”, wiedział, kiedy odejść od stołu. A potem znowu

szedł do lekarza...

– Juruś! Te konowały wynajdują u mnie coraz to nowe choroby. Recept mało... Leki drogie... Nie chcą nic dawać na zapas. Czy ty wiesz, co jeden z nich beczelnie odpowiedział na moje „dlaczego”?...

– Do śmierci panu wystarczy...

Przyjął to Miruś spokojnie, z godnością i jak zawsze z uśmiechem na twarzy. Machnął tylko pogardliwie ręką: - „A to kanalia”! Zbagatelizował nawet groźny wypadek. To przyspieszyło Jego odejście. Stanowczo za wcześnie. Pozostał jednak, tak – jak Grzegorz Aleksandrowicz, Lech Cergowski i Jerzy Zmarzlik jedną z legend „Przeglądu Sportowego”. Nie przywiązywał większej wagi do zarobków, choć z racji swej dziennikarskiej twórczości był jedną z „lokomotyw” całego RSW „Prasa”. Spoczywa na Bródnie.

Gazety pracują teraz na własny rachunek (nam przypadają znikomy procent zysków), zmagają się z konkurencją i w związku z tym muszą mieć obsługę z aren sportowych szybką, własną, rzeczywistą, a nie zmyśloną. Czy również wystarczająco fachową? Chwilami myślę, że tak jak Miruś i inni „przeładowy” za wcześnie się urodziłem. Uciekło nam ładnych parę lat Trzeciej Rzeczypospolitej. Ale nie żałuję, bo w naszych czasach nasi piłkarze grali jednak znacznie lepiej. To wynagrodziło wszelkie niedostatki. Zastanawiam się tylko, co na ten temat mogliby dziś powiedzieć tak wybitni niegdyś piłkarze jak: Cieślik, Zientara, Woźniak, Oślizło lub Brychczy? Też za wcześnie się urodzili? Skalą talentu przewyższali większość naszych kandydatów na Weltmeisterschaft 2006.

Tak, dziś łatwiej jest być dziennikarzem sportowym niż przed pół wiekiem i ileś tam lat później. Przemawiają za tym wszystkie środki techniczne, elektroniczne, materialne i lokalowe, nieograniczony dostęp

do prasy zagranicznej, także bogate archiwa i... wolność słowa. Nie ma cenzury. Wszystko to razem wzięte ułatwia pracę. Nikt nie dopuszcza też myśli, by „Przegląd Sportowy” lub „Piłka Nożna” mogły by mieć kłopoty z delegowaniem swoich sprawozdawców na imprezy zagraniczne i inne ekskluzywne zadania redakcyjne. Serwis informacyjny jest zapewniony. A jego jakość? Bywa tak zmienna jak forma naszych piłkarzy. Raz powoduje to nadmierny pośpiech, brak czasu na „oszlifowanie” tekstu, ale dość często też brak... iskry bożej. Fachowości... Męczą zwłaszcza bezkrytycznie przyjmowane bzdurne opowieści trenerów o „zrealizowanych” lub „niezrealizowanych” zadaniach taktycznych, pechu, braku szczęścia, złej pogodzie i twardej nawierzchni boiska, w ogóle nieprzychylności sił nadprzyrodzonych i stronniczości sędziów. Ale przy tym ani słowa o własnej nieudolności. Brak odpowiedniej reakcji na te banialuki.

W rozpowszechnianiu tych bajeczek wyspecjalizowali się również piłkarze. Często przychodzi im to łatwiej, niż poprawne kopanie piłki. Niemal każdy z nich ma w gębie pełno frazesów o profesjonalizmie, umiłowaniu klubu, w którym gra, także o tym, że pieniądze nie są dla nich najważniejsze. Liczą się tylko racje sportowe. Jednak gdy tylko pojawi się nieco lepsza oferta finansowa w kraju lub możliwość wyjazdu zagranicę, cieszą się, że będą „podnosić” swoje umiejętności w jakimś podrzędnym klubie II ligi. Wtedy szybko zapominają o przywiązaniu do macierzystego klubu w kraju, rodzimych wychowawcach, lokalnym patriotyzmie i ścisłej więzi z polskimi kibicami. Tu już – zapewniają – wszystko dali z siebie i tylko nowe wyzwanie jest w stanie zaspokoić ich sportowe ambicje. Obłudnicy... Czy aby za dużo nie wymagam od „współczesnych ludzi” futbolu? Niedawno jednak z tych wewnętrznych rozterek uwolnił mnie red. Dariusz Tuzimek w tekście „**Wywiad tradycyjny**”, zamieszczonym

w „Przeglądzie Sportowym”:

... „Często łapię się na tym, że piłkarze częściej mnie wywiadami właśnie... tradycyjnymi. Człowiek słucha i słucha, a niczego się nie dowiaduje... Będę teraz wszystko czytał inaczej, z tzw. kluczem: - „Cała nasza drużyna zagrała nieźle, staraliśmy się walczyć” – opowie piłkarz X, a ja już robię tłumaczenie z wywiadu tradycyjnego: - „Redaktorze! Poza mną, wszyscy byli beznadziejni, słabiakom biegać się nie chce, wszystko mają gdzieś”. Albo zawodnik przekonuje: - ... „Wszystko zawdzięczamy naszemu trenerowi, bo dobrał dobrą taktykę”, czyli w tłumaczeniu: „trener to gamoń kompletny, o taktyce pojęcia nie ma, jakby nie my piłkarze, dawno na zbity pysk by go wylali...”

Czytałem te bliskie mi spostrzeżenia młodszego kolegi z „PS” w przededniu przyspieszonej rundy wiosennej 2006. Znowu pojawiają się wątpliwości, bo znowu gardłują głównie trenerzy i piłkarze. Wisła czy Legia mistrzem? Puchar Polski dla Lecha! Pogoń „brazylijskiej Pogoni” za Ligą Mistrzów. Ciekawe właśnie, jak po tym „Wywiadzie tradycyjnym” w najbliższej przyszłości będą komentować swoje osiągnięcia nasi ligowcy. Znowu będą „fruwać w obłokach”? Przy okazji nie zaszkodzi też podjąć się weryfikacji zwierzeń ich trenerów i prezesów. Po prostu przetłumaczyć na ludzki język. „Film” czyli „kit”, jak mawiał jeden z reprezentacyjnych niegdyś piłkarzy, można wciskać każdemu, ale nie wszyscy muszą w to wierzyć. A przedstawiciele „czwartej władzy” w stopniu najmniejszym!

Obowiązkiem dziennikarza jest mieć w każdej sprawie własne zdanie. Bez tego tekst jest ułomny, a jego wydźwięk społeczny nieskuteczny. Właściciele klubów, sponsorzy, dyrektorzy, trenerzy, psychologowie, zawodnicy, no i oczywiście menedżerowie od siedmiu boleści, a nawet politycy mówią o naszym piłkarstwie w reguły więcej,

niż w istocie wiedzą. Tu znachorów mamy całe kopy. Reformują ligę, uzdrawiają reprezentację, tylko oni znają się na transferach, strategii i taktyce, moralności i patriotyzmie. Zwalczą korupcję i usuną skostniałą władzę. Wszystko jest w tej paplaninie, oferta - do wyboru do koloru, tylko dość często sensu brak. Bez redakcyjnego komentarza tych „mądrości” na łamy prasy i w eter puszcząć nie wypada!

TO WIE TYLKO PIECHNICZEK?

Gdy pisałem te słowa, emocjonowaliśmy się przede wszystkim przygotowaniem naszej reprezentacji do finałów mistrzostw świata. Szło ku dobremu. Dudek jednak zagrał w bramce Liverpoolu, Krzyżówek też wrócił do gry, Boruc i Żurawski urosli w Celticu do rangi bohaterów, Frankowski już przestał zmieniać barwy klubowe i teraz uczył się od Anglików twardości i nieustępliwości w grze, a Szymkowiak rozповідаł, że „nie straszna mu ptasia grypa”. Euzebiusz syn Włodzimierza Smolarka zapewnił, że będzie lepszy od ojca. Ten ma w dorobku medal z Mundialu w Hiszpanii. Obiecująca perspektywa. Głównie w takiej tonacji na łamach „Przeglądu Sportowego” wypowiadał się Antoni Piechniczek. Miał tam swoją stałą rubrykę pod przesadnie brzmiącym nadtytułem „**TEGO NIE WIE NIKT**”. Czytałem Antka z zadowoleniem, bo fachowo przekazywał prawdy oczywiste: - Niegdyś w naszym futbolu było więcej serca, radości, troski o szkolenie i spojrzenia nie tylko na własne podwórko. Najważniejsza była reprezentacja!

Powie ktoś, że to historia, że to już było, że w futbolu w skali globalnej najwięcej do powiedzenia mają teraz wielkie kluby. U nas kult tego zjawiska też jest łatwo dostrzegalny, jednak kłopot z tym, że my tych

tak „wielkich klubów” nie mamy. Jeśli mistrz Polski przegrywa z drużyną zagrożoną spadkiem z ligi portugalskiej, to o czym mamy rozmawiać? Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych poziom „drużyn eksportowych” osiągnęły Górnik i Legia. Nie było to zjawisko „samo w sobie”, to nie był wyłącznie interes i sukces tych klubów. One otworzyły na świat drogę naszej reprezentacji. A dziś? Nasi gracze pracują głównie na dobrą opinię klubów zagranicznych. Podzielam tezę Piechniczka, że to „znak czasu”, ale mam też prawo zaprotestować przeciwko spychaniu naszej ligi na szlaki sportowego półkolonializmu, jak to czynił klan Ptaków.

Sukces „biało-czerwonych” w Niemczech był możliwy, natomiast na grę dawnego Górnika, Legii i Widzewa jeszcze długo musimy poczekać. Nawet gdyby ta pseudobiegająca „brazylijska Pogoń” wybiła się na Ligę Mistrzów, to nie byłoby powodów do zadowolenia. Zapewne coś na tym skorzystałaby rodzina Ptaków, może też garstka kosmopolitycznych kibiców, ale nie polskie piłkarstwo. Właściciel Pogoni Szczecin, wciąż żartobliwie nazywanej „portowcami”, zabiegał o lepsze emerytury dla nie chcianych gdzie indziej „wątpliwych talentów z Copacabany”.

Antoni Piechniczek przypomina, że „Trudno nie cieszyć się pucharami Europy i świata zdobytymi przez Bońka i Młynarczyka, a także sukcesami wielu innych... Doświadczenie i mądrość przychodzą latami i w tym zakresie piłkarze ci byli lepsi, jednak to podstawowe wykształcenie pobierane na naszych boiskach pozwoliło im na zrobienie takich karier... Nie może być jednak tak, że menedżerów jest więcej niż uzdolnionych piłkarzy, z których każdy, który rokuje nadzieje na przyszłość, natychmiast wyjeżdża z kraju. Jak pogodzić się z faktem, że w niektórych klubach obcokrajowców jest więcej niż rodzimych piłkarzy?”.

Drogi Antku! Wyjąłeś mi te smutne prawdy z ust. Zresztą, w całej tej opowieści starałem się przekonać ludzi futbolu, że szkolenie młodzieży w rodzimych klubach jest rzeczą najważniejszą, a rola PZPN w tym względzie równie duża. Byłem kiedyś, jak ty do niedawna – wiceprezesem do spraw sportowo-szkoleniowych, wraz z Zientarą i Strejlauem, Górskim i Wójcikiem mieliśmy wtedy odwagę zaprotestować przeciwko rabunkowej gospodarce utalentowaną młodzieżą. „Nowocześni” znawcy futbolu uznali tę naszą troskę o reprezentację za relikwyt przeszłości, zarzucili ludziom podobnie myślącym konserwatyzm i wkrótce... zlikwidowali Wydział Szkolenia. Starąłeś się przywrócić mu należną rangę. Ale czy zdołałeś przywrócić mu rangę z czasów Koncewicza, Forysia i Górskiego, także Talagi, Zientary, Gmocha i Strejlaua? Nie. Czy dlatego zrezygnowałeś, choć masz odpowiednie kwalifikacje?

Działąłeś w trudniejszej sytuacji. Wolny rynek, ów bożek nowobogackich, wyprowadzenie ligi z PZPN, samowola właścicieli klubów i pojawienie się w krajowym piłkarstwie, obok ludzi z pasją i uczciwych, typowych dorobkiewiczów, nie ułatwiła ci zadania. Wiem, że chciałeś przejść do historii polskiego piłkarstwa nie tylko jako dobry trener klubowy i selekcjoner, który doprowadził reprezentację do dwóch finałów mistrzostw świata, lecz także jako wybitny szef pionu szkolenia. Miałeś na to twarde „papiery, ale „miękkie” serce. Nie zdołałeś wziąć tego wszystkiego w jedną garść i jak trzeba, uderzyć pięścią w stół. Odebrać temu i owemu ligową licencję i dać wszystkim do zrozumienia, że – owszem – w sporcie pieniądze są ważne, ale jeszcze ważniejsza jest umiejętność właściwego ich wykorzystywania. Nie potrafiłeś przekonać „współczesnych mędrców futbolu”, że w klubach i piłkarskiej centrali szkolenie jest najważniejsze. W klubach, kołach sportowych, w okręgach,

ale w efekcie końcowym na potrzeby ligi i reprezentacji! A ci, co tworzą ten „piłkarski produkt”, w klubie i PZPN zasługują na uznanie największe. Ty tego zaszczytu nie dostałeś. Czy dlatego zrezygnowałeś?

Znam cię dobrze. Oburzałeś się, gdy jakiś „okazjonalny” znawca futbolu wyrzucał trenera z klubu. Sobie nie dałbyś w „kaszę dmuchać”, jednak wobec losu młodszych kolegów po fachu, byłeś bezradny. Odszedłeś. Masz w dzisiejszych czasach, atut do niepogardzenia – jesteś niezależny finansowo. To właśnie w połączeniu z ogromną wiedzą piłkarską, szerokim o zabarwieniu filozoficznym spojrzeniem na świat, dużym doświadczeniem i trudnym do podważenia autorytetem pozyskanym za „dobrą robotę”, sprawiło, że stałeś się jedną z ikon PZPN. Przeto szkoda, że odszedłeś. O tobie nawet Jan Tomaszewski, obsesyjnie ścigający wszystkich wyżej od niego stojących trenerów i działaczy, nie mógłby powiedzieć, że jesteś „nieudacznikiem”. Dobrze znasz smak finałów mistrzostw świata. Twój czas w PZPN-ie dopiero nadchodzi. Nie potrafiłeś tego wykorzystać, czy znudziła cię bezradność „oblężonej twierdzy”?...

Być może nieco za dużo miejsca poświęciłem sprawie szkolenia i Piechniczкови, ale uczyniłem to celowo. Bo szef tego pionu, obojętnie kto nim jest, musi wreszcie uderzyć pięścią w stół! Czy zrobią to następcy? Pytałem, gdy trwała jeszcze batalia o mistrzostwo Europy 2008, w przeszłości owoc dla nas zakazany. Antek zna ten ból. Był jednym z aktorów bardzo udanego w roku 1967 meczu z Belgią na Heysel w Brukseli, ale tamto zwycięstwo przyszło za późno. Wyprzedziła nas wtedy Francja, a wcześniej i później głównie Hiszpanie, Holendrzy, Niemcy i Anglicy. Klasa tych rywali w znacznym stopniu tłumaczy te wpadki. Tak przykre chwile przeżyło kilka pokoleń naszych piłkarzy,

począwszy od Brychczego i Pohla w roku 1959, a w 2003 na Dudku i Szymkowiaku skończywszy. Wraz z nimi powodów do zadowolenia nie mieli nasi najwybitniejsi trenerzy: Górski, Koncewicz, Forys i ich następcy. Piechniczek także nic nie wskórał, a Paweł Janas – mimo kilku efektownych zwycięstw – nie zdołał odrobić strat Bońka poniesionych w meczu z Łotwą w Warszawie. Przed turniejem w Austrii i Szwajcarii los przydzielił nam dużo słabszych przeciwników: Portugalię, Serbię, Belgię, Finlandię, Armenię, Azerbejdżan i Kazachstan. Niegdyś ze wszystkimi wygrywaliśmy. Szansa ogromna! Jak wykorzysta to Leo Beenhakker? Czy wreszcie będzie awans?

Po nieudanym występie na Weltmeisterschaft 2006 pytanie to miało wymiar szczególny. W reprezentacyjnym futbolu staczaliśmy się na dno. Na tej krętej drodze pojawiło się wreszcie jakieś obiecujące światło. Jeśli tak, to trzeba ten uśmiech fortuny w pełni wykorzystać. Przerwać ten zaczarowany krąg i na Euro 2008 pokazać się z jak najlepszej strony. Marzenia. Znowu przeważało „chciejstwo”, a nie realne możliwości. Przez dziesiątki lat główną przyczyną owych barier nie do sforsowania niemal wyłącznie była zła praca w klubach, a w PZPN brak rozumnej strategii w budowie reprezentacji. Po każdym mistrzostwach świata zespół narodowy rozpadał się, jak ten przysłowiowy domek z kart. Na pozostałościach powalonej konstrukcji usiłowano budować europejskie nadzieje. Tymczasem los narzucał partnerów z najwyższej półki. Wreszcie szczęście się uśmiechnęło, w naszej grupie potentatów nie było. W roku 2007 w dużo słabszym towarzystwie wygramy więc eliminacje, ale w Austrii w puli finałowej znowu była bryndza. Jeden punkt i jedna bramka (i to ze spalonego) zdobyte w trzech meczach. Boże! I ja to w ankiecie tygodnika „Przegląd” (jako jedyny) przewidziałem!

W roku 2012 Polska wspólnie z Ukrainą organizuje kolejne mistrzostwa Europy. Teraz tak trudne niegdyś eliminacje wreszcie nas ominą. Z europejską elitą zagramy na pewno. To wyraźny dar niebios – powiadają mocno wierzący. – Czy tylko? Zapewne na takie wyróżnienie nie miały wpływ miały względy polityczne oraz historyczna zażyłość „trójkolorowych” z „biało-czerwonymi”. Boniek to podkreślał, a Platini – być może – to „zaklepał”. Na przekór skomplikowanej terażniejszości! Mimo bezsensownych ataków Lipca na Listkiewicza, marionetkowych „rządów” kilku uległych komisarzy i bezpardonowej walki o fotel prezesa Związku. W atmosferze „zimnej wojny” współczesnych hunwejbiniów z „leśnymi dziadkami” trwał niewiele obiecujący serial (moim zdaniem bezsensowny) permanentnych nadzwyczajnych zjazdów PZPN. Zmienność nastrojów była tak kapryśna, jak pogoda w marcu.

Chłodem powiało zwłaszcza przed wyborem nowego prezesa i kandydatów do znacznie okrojonego zarządu. Wysoko mierzył Zdzisław Kręcina, śnił o sławie Tomasz Jagodziński, a gość z Ukrainy stawiał na Zbigniewa Bońka. Tymczasem ster PZPN dość łatwo przejął Grzegorz Lato. Wtedy na dobre się zagotowało. Odżyły kłótnie w piłkarskiej rodzinie i na szczytach sportowej władzy. Tomasz Lipiec wciąż miał bowiem kłopoty z wymiarem sprawiedliwości, a nowy minister z kolegami ubabranymi w grach hazardowych. Niedawni sojusznicy usiłowali strącić z piedestału prezesa Związku. Lato zbywał to ironicznym uśmieszkiem. Dla świętego spokoju, głównie z „czwartą władzą” wyniósł Franciszka Smudę na selekcyjerskie wyżyny. Może też wierzy w cuda? „Franc” nie bryka tak, jak Leo, ale – jak go znamy – „w kaszę dmuchać” też sobie nie pozwoli. Chce grać dla ludzi, ofensywnie, nie pęka. Oby wytrwał w tym przesłaniu. Wszak piękne stadiony i prawdziwi kibice na to właśnie

czekają!

